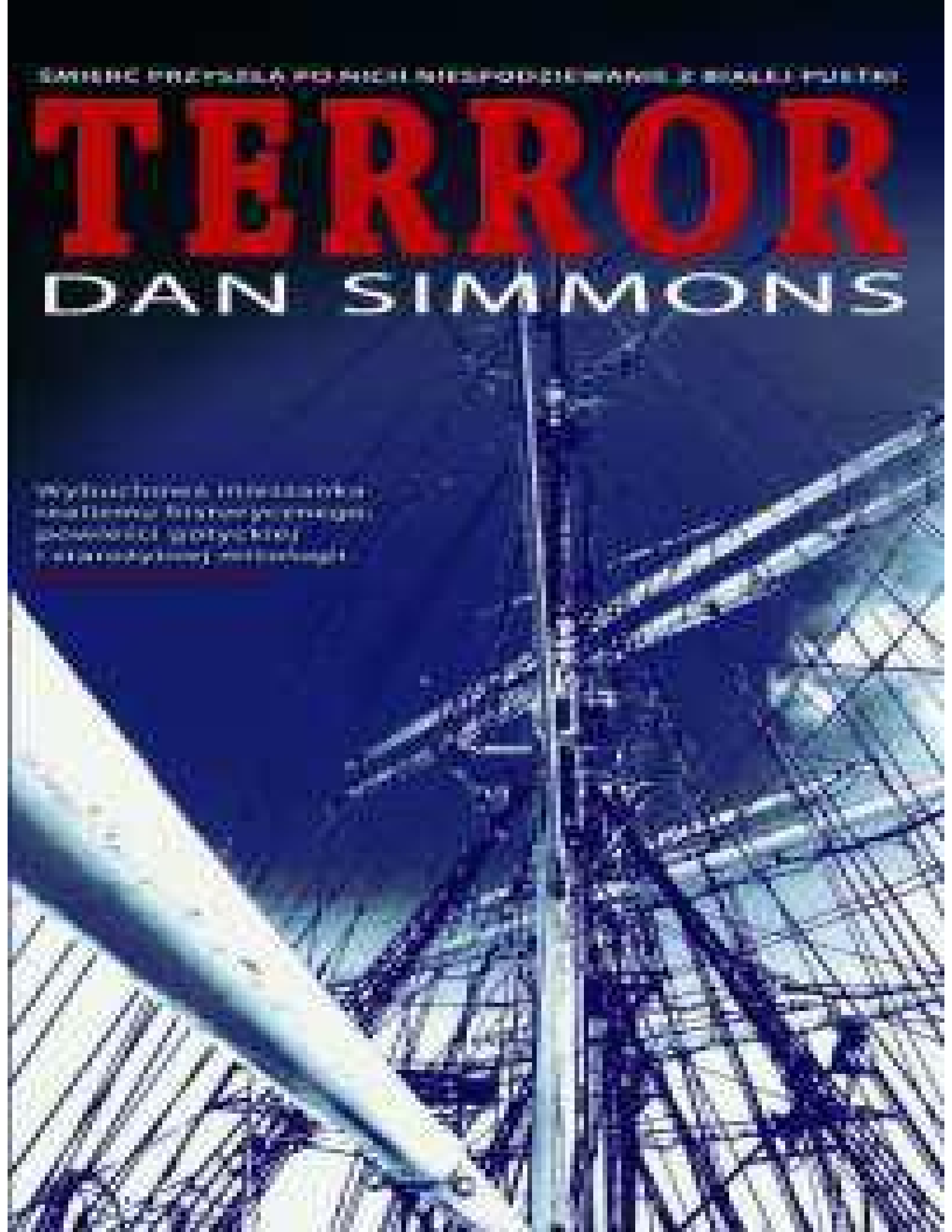


SARINE PREYSSLA ROBERT HESPOUDREYANNE C. BRALLI MUSTAI

TERROR

DAN SIMMONS

Why do we fear? In this book, author Dan Simmons explores the psychology of terror, from the most basic fears to the most complex, and how they shape our lives.



Simmons Dan

Terror

przełożył Janusz Ochab

Książkę tę dedykuję ludziom takim jak Kenneth Tobey, Margaret Sheridan, Robert Cornthwaite, Douglas Spencer, Dewey Martin, William Self, George Fenneman, Dmitri Tiomkin, Charles Lederer, Christian Nyby, Howard Hawkes i James Arness. Dziękuję wam, kochani, za niezatarte arktyczne wspomnienia.

To właśnie ta nieuchwytna właściwość sprawia, że myśl o bieli, kiedy pozbawić ją łagodniejszych skojarzeń i połączyć z przedmiotem przerażającym samym w sobie, potęguje grozę do ostatnich granic. Weźmy na przykład białego niedźwiedzia z bieguna północnego albo białego rekina z tropików: cóż innego jeśli nie ich gładka, śnieżna białość czyni z nich nadprzyrodzone monstra? Ta upiorna biel nadaje niemej potworności ich wyglądu łagodność tak ohydłą, bardziej nawet odrażającą niż straszną, że najgroźniejszy nawet tygrys w swym herbowym płaszczu nie obudzi trwogi tak wielkiej jak spowity bielą niedźwiedź lub rekin.

HERMAN MELVILLE *Moby Dick* (1851)

CROZIER

70°05' szerokości geograficznej północnej, 98°23'1' długości geograficznej zachodniej.
Październik 1847.

Komandor Crozier wychodzi na pokład i widzi, że jego statek stał się obiektem ataku duchów niebieskich. Rozedrgane fałdy światła nad jego głową i Terrorem rzucają się raptownie do przodu, a potem szybko wycofują, niczym kolorowe ramiona agresywnej, lecz wyjątkowo niezdecydowanej zjawy. Ektoplazmatyczne upiorne palce wyciągają się w stronę okrętu, otwierają, gotowe go pochwycić, a potem odsuwają się.

Temperatura wynosi minus pięćdziesiąt stopni Fahrenheita i szybko spada. Z powodu mgły, która nadciągnęła wcześniej, podczas krótkiej godziny szarówki, będącej dla nich teraz jedyną namiastką dnia, musieli usunąć i złożyć w luku trzy stengi, bramstengi, górny takielunek i najwyższe drzewca - spadające z nich sople mogły kogoś zranić, a poza tym ciężar oblepiającego je lodu groził przewróceniem statku na bok. Teraz nagie maszty wyglądają niczym odarte z gałęzi i wierzchołków drzewa, w których odbija się zorza tańcząca nad niewyraźną kreską horyzontu. Crozier obserwuje w milczeniu, jak poszarpane pola lodowe wokół statku okrywają się błękitem, który przechodzi w fiolet, potem zaś jaśnieją soczystą zielenią, niczym wzgórze, które pamięta z dzieciństwa w północnej Irlandii. Przez moment wydaje się, że odległa niemal o milę, olbrzymia pływająca góra lodowa, skrywająca *Erebus*, siostrzany statek *Terroru*, rozpala się wewnętrznym blaskiem, barwnym światłem, które wypływa z jej zimnego serca.

Crozier poprawia kołnierz i odchyła do tyłu głowę, kierowany czterdziestoletnim bez mała odruchem, który każe mu przy każdej okazji sprawdzać stan masztów i takielunku. Zauważa, że gwiazdy nad jego głową płoną zimnym, stabilnym światłem, lecz inne, położone tuż nad horyzontem, nie tylko migocą, lecz poruszają się gwałtownymi skokami, raz na lewo lub prawo, to znów w górę i w dół. Crozier widział już kiedyś coś podobnego - na dalekim południu, kiedy pływał z Rossem, ale i na tych wodach, podczas wcześniejszych ekspedycji. Pewien naukowiec towarzyszący im podczas owej wyprawy na południe, człowiek, który spędził niemal całą antarktyczną zimę na polerowaniu szkieł swej lunety, powiedział Crozierowi, że te perturbacje gwiazd są prawdopodobnie wynikiem gwałtownego załamania fal w zimnym powietrzu zalegającym nad pokrytymi lodem morzami i niewidocznymi masami zamrożonego lądu - innymi słowy nad nowymi kontynentami, których nigdy nie widziało ludzkie oko. A przynajmniej oko białego człowieka, poprawia się w myślach Crozier.

Zaledwie przed pięcioma laty Crozier i jego przyjaciel, a później również dowódca, James Ross, odkryli taki właśnie kontynent - Antarktydę. Nazwali morze, zatoki i ląd nazwiskiem Rossa. Nazwali góry nazwiskami ich sponsorów i przyjaciół. Nadali dwóm wulkanom widocznym na horyzoncie nazwy, które nosiły ich statki - te same dwa statki - *Terror* i *Erebus*. Crozier był zaskoczony, że nie nazwali jakiejś ważnej góry czy wyspy imieniem okrętowego kota.

Nie nazwali niczego jego nazwiskiem. Tej ciemnej październikowej nocy 1847 roku nie ma żadnego arktycznego lub antarktycznego kontynentu, żadnej wyspy ani zatoki, żadnego łańcucha górskiego, wulkanu i szelfu czy chociażby bloku lodowego, które nosiłyby nazwisko Francisa Rawdona Moiry Croziera.

Crozier ma to gdzieś. W chwili gdy formułuje tę myśl, uświadamia sobie, że jest trochę pijany. Cóż, rozmyśla, odruchowo łapiąc równowagę na oblodzonym pokładzie, przechylonym dwanaście stopni na sterburtę i osiem stopni na dziób, przez ostatnie trzy lata rzadko kiedy bywałem trzeźwy. Właściwie nie trzeźwiałem od rozstania z Sophią. Ale po pijaku i tak jestem lepszym

żeglarzem i komandorem niż ten biedny, pechowy gnojek, Franklin na trzeźwo, nie mówiąc już o tym jego rumianym, sepleniącym pupilku, Fiztjamesie.

Crozier kręci głową i rusza w dół oblodzonego pokładu, na dziób, w stronę jedyne go człowieka na wachcie, którego sylwetkę widać w migotliwym blasku zorzy.

To Cornelius Hickey, niski mężczyzna o szczurzej twarzy, mat uszczelniacz. Wszyscy marynarze pełniący wachtę w ciemnościach arktycznej nocy wyglądają tak samo, wszyscy bowiem noszą takie same regulaminowe okrycie chroniące ich przed zimnem: warstwy flaneli i wełny przykryte ciężkim nieprzemakalnym płaszczem, niezgrabne jednopalczaste rękawice wystające z obszernych rękawów, uszanki - grube czapki z nausznikami naciągnięte mocno na głowy i obwiązane zazwyczaj szalem, spod którego wystaje tylko czubek odmrożonego nosa. Jednak każdy z marynarzy nosi ów regulaminowy strój na własny, charakterystyczny sposób - dokłada szal, który przywiózł ze sobą z domu, wciska na głowę drugą, dodatkową czapkę, wkłada pod jednopalczaste rękawice Królewskiej Marynarki Wojennej kolorowe rękawiczki, które zrobiła dlań na drutach matka lub narzeczona. Dzięki tym dodatkowym elementom Crozier nauczył się już z daleka rozpoznawać każdego spośród pięćdziesięciu dziewięciu pozostałych przy życiu członków załogi jego statku.

Hickey wpatruje się uparcie w ciemność rozciągającą się za okrytym soplami dziobem, którego koniec tkwi zanurzony w fałdzie morskiego lodu, gdyż rufa *Terroru* została jakiś czas temu wypchnięta w górę przez ciśnienie lodu, a dziób w związku z tym przesunął się w dół. Hickey jest tak pogrążony w myślach albo tak zmarznięty, że dostrzega swojego komandora dopiero wtedy, gdy ten staje obok niego, przy relingu, który zamienił się w ołtarz lodu i śniegu. Strzelba marynarza stoi oparta o ten ołtarz. Nikt na tym mrozie nie chce dotykać metalu, nawet przez grubą warstwę rękawic.

Hickey podrywa się, zaskoczony, gdy Crozier pochyla się ku niemu. Komandor *Terroru* nie widzi twarzy dwudziestosześcioletniego marynarza, ale za grubym kręgiem szala pojawia się jego oddech, obłok pary, który natychmiast zamienia się w garść drobnych kryształków lodu.

Podczas arktycznej zimy marynarze zazwyczaj nie salutują swym przełożonym, nie skłaniają nawet głowy w tradycyjnym pozdrowieniu, lecz Hickey prostuje się odruchowo i pochyla głowę przed komandorem. Ze względu na dokuczliwe zimno wachty zostały skrócone z czterech do dwóch godzin - dobry Boże, myśli Crozier, mamy tu dość ludzi, by sobie na to pozwolić, nawet przy podwojonej liczbie posterunków - sądząc jednak po spowolnionych ruchach Hickeya, młodzieniec i tak jest już przemarznięty do szpiku kości. Choć Crozier powtarzał im setki razy, że podczas wachty muszą się ruszać - chodzić, biegać w miejscu, podskakiwać, obserwując jednocześnie pola lodowe - marynarze i tak zazwyczaj stoją w bezruchu, jakby żeglowali po gorących południowych morzach, odziani w lekką bawełnę i narażeni jedynie na zwodniczy śpiew syren.

- Komandorze.

- Panie Hickey. Coś się dzieje?

- Nic poza tymi strzałami... poza tym jednym strzałem... prawie dwie godziny temu. Przed momentem słyszałem, to jest, wydaje mi się, że słyszałem... może krzyk... coś dziwnego, komandorze... zza tej góry lodowej. Zameldowałem o tym porucznikowi Irvingowi, ale on powiedział, że to pewnie tylko lód.

Crozier otrzymał przed dwiema godzinami meldunek o huku wystrzału z kierunku *Erebusa* i wyszedł wówczas na pokład, dźwięk ów jednak nie powtórzył się więcej, a on nie wysłał nikogo na lód. Wyprawa na zamarznięte morze w ciemnościach - gdy w labiryncie lodowych grzbietów i zastrug czaiło się to... coś... - była równoznaczna z wyrokiem śmierci. Okręty przekazywały sobie wiadomości tylko w okolicy południa, gdy mrok zamieniał się na chwilę w szarówkę. Crozier wie, że za kilka dni zostaną pozbawieni także i tego, a nad statkami zapadnie arktyczna noc. Sto dni nocy.

- Być może rzeczywiście był to tylko lód - mówi Crozier, zastanawiając się, dlaczego Irving nie powiedział mu nic o krzyku. - Ten wystrzał także. Tylko lód.

- Tak jest, komandorze. To tylko lód.

Żaden z nich w to nie wierzy - odgłos wystrzału z muszketu lub strzelby jest bardzo charakterystyczny, rozpoznawalny nawet z odległości mili, a na Dalekiej Północy, w krainie skutej lodem, dźwięk niesie się bardzo daleko - prawdą jednak jest, że lód napierający na burty *Terroru* bez ustanku wydaje z siebie różnego rodzaju pomruki, jęki, skrzypienie, trzaski, zgrzyty i krzyki.

Krzyki niepokoją Croziera najbardziej, wyrrywają go z głębokiego snu. Przypominają do złudzenia krzyki i płacz jego matki w jej ostatnich dniach... a także zawrota głowy z opowieści jego ciotek, upiórów zwiastujących nocą śmierć któregoś z domowników. Oba te dźwięki nie dawały mu spać, kiedy był chłopcem.

Crozier odwraca się powoli. Jego rzęsy oblepione są już lodem, górna warga pokryta grubą warstwą szronu. Wszyscy marynarze nauczyli się już trzymać brody ukryte głęboko pod warstwą szali i kołnierzy, często jednak muszą odcinać włosy, które przymarzły do ubrania. Crozier, podobnie jak większość jego oficerów, wciąż goli się każdego ranka, choć „gorąca woda”, którą przynosi mu steward, to zwykle ledwie stopiony lód, a sam proces golenia bywa często bolesny.

- Czy lady Cisza nadal jest na pokładzie? - pyta Crozier.

- O tak, komandorze, jest tu prawie zawsze - odpowiada Hickey szeptem, jakby miało to jakieś znaczenie. Nawet gdyby Cisza ich słyszała, nie zrozumiałaby ani słowa po angielsku. Jednak załoga statku wierzy - a wiara ta narasta z każdym dniem od chwili, gdy zaczęło ich podchodzić stworzenie żyjące na lodzie - że młoda Eskimoska jest wiedźmą dysponującą tajemnymi mocami.

- Jest na posterunku przy lewej burcie, z porucznikiem Irvingiem - dodaje Hickey.

- Z porucznikiem Irvingiem? Powinien zejść z wachty ponad godzinę temu.

- Tak jest, komandorze. Ale ostatnimi dniami porucznik jest wszędzie tam, gdzie lady Cisza, jeśli wolno mi tak powiedzieć. Jeśli ona nie schodzi z pokładu, to i on tego nie robi. Chyba że już naprawdę musi, to znaczy... Żaden z nas nie wytrzyma tu tak długo, jak ta wie... ta kobieta.

- Niech pan lepiej zajmie się tym, co do pana należy, i obserwuje okolicę, panie Hickey.

Mat uszczelniać podnosi wzrok, zaskoczony szorstką uwagą komandora, ponownie jednak salutuje i odwraca swój biały nos ku ciemnościom zalegającym za dziobem okrętu.

Crozier rusza w górę pokładu, w stronę posterunku przy prawej burcie. Zeszłego miesiąca przygotował okręt do zimy, po trzech miesiącach fałszywej nadziei na ucieczkę, którą dał im sierpień. Kazał wtedy ponownie ułożyć niższe drzewca wzdłuż podłużnej osi statku, używając ich jako drągów środkowych tentu. Odtworzyli wówczas stożkowaty namiot zakrywający większą część pokładu, układając na nowo drewniane krokwie, które zdemonstrowali wcześniej podczas kilku tygodni złudnego optymizmu. Jednak choć marynarze pracują codziennie przez kilka godzin, przekopując alejki w grubej warstwie śniegu, wyrabując lód kilofami i oskardami, wyrzucając na zewnątrz zaspy, które wiatr naniósł pod brezentową płachtę, i posypując wąskie przejścia piaskiem, na pokładzie zawsze pozostaje warstwa lodu. Wędrówka Croziera po pochyłym pokładzie przypomina więc czasem raczej jazdę na łyżwach niż marsz.

Marynarz, który zgodnie z harmonogramem ma pełnić wachtę na tym posterunku, aspirant Tommy Evans - Crozier rozpoznaje swego najmłodszego podwładnego po dziwacznej zielonej czapce, będącej zapewne matczynym prezentem, którą Evans zawsze nakłada na uszankę - odsunął się o dziesięć kroków w stronę rufy, by zapewnić porucznikowi Irvingowi i Ciszy odrobinę prywatności.

Ten widok sprawia, że Crozier ma ochotę kopnąć kogoś - wszystkich - w dupę.

Eskimoska wygląda jak niski gruby niedźwiedź, okutana w futrzaną kurtkę, kaptur i spodnie.

Stoi odwrócona bokiem do wysokiego porucznika. Irving trzyma się blisko niej - nie dotyka jej, ale stoi bliżej niż jakikolwiek oficer i dżentelmen stanąłby obok damy na przyjęciu lub na jachcie.

- Poruczniku Irving. - Crozier nie chciał, by to powitanie zabrzmiało aż tak ostro, ale wcale nie jest mu przykro, gdy młody oficer podrywa się gwałtownie, jakby dźgnięty nożem, omal nie traci równowagi, chwyta się lewą ręką relingu, a prawą salutuje, choć wie, że zgodnie z regulaminem na pokładzie okrętu uwięzionego w lodzie wcale nie musi tego robić.

Crozier krzywi się w duchu - salut Irvinga wygląda żałośnie nie tylko dlatego, że wielkie rękawice, uszanka i gruba warstwa ubrań czynią go podobnym do salutującego morsa, ale także i dlatego, że młody oficer zsunął z twarzy szal - być może, by pokazać Ciszy, jaki jest przystojny - a pod jego nosem wiszą teraz dwa długie sople, które jeszcze bardziej upodabniają go do morskiego ssaka.

- Proszę nie salutować - cedzi przez zęby Crozier. Cholerny głupcze, dodaje w myślach.

Irving stoi sztywno wyprostowany, zerka na Ciszę - a przynajmniej na tył jej futrzanego kaptura - i otwiera usta. Najwyraźniej nie wie, co powiedzieć. Zamyka usta. Jego wargi są równie białe jak przemarznięta skóra.

- To nie jest pańska wachta, poruczniku - mówi Crozier, nie zmieniając oschłego tonu.

- Tak jest, komandorze. To znaczy, nie jest. To znaczy, ma pan rację, komandorze. To znaczy... - Irving ponownie zamyka usta, nadal jednak słysząc szczerkanie jego zębów. W takiej temperaturze zęby mogą się rozlecieć po dwóch lub trzech godzinach, dosłownie eksplodować, wypełniając usta odłamkami kości i szkliwa. Crozier wie z doświadczenia, że czasami słysząc trzask pękającego szkliwa tuż przedtem, nim zęby się rozlecą.

- Dlaczego ciągle tu jesteś, John?

Irving chce zamrużyć oczami, lecz jego powieki są sztywne, zamarznęte.

- Kazał mi pan pilnować naszego gościa... baczyć, by... opiekować się Ciszą, komandorze.

Westchnienie Croziera objawia się w postaci kryształków lodu, które wiszą przez sekundę w powietrzu, a potem opadają na pokład niczym garść maleńkich diamentów.

- Nie kazałem wam tego robić przez całą dobę, poruczniku. Mówiłem, żebyście ją obserwowali, meldowali o tym, co robi, pilnowali, by nie zrobiła sobie krzywdy na statku, a także, by żaden z naszych ludzi nie naraził na szwank jej... reputacji. Obawiacie, że ktoś zechce ją skrzywdzić tutaj, na pokładzie, poruczniku?

- Nie, komandorze. - Słowa Irvinga brzmią raczej jak pytanie niż odpowiedź.

- Wiecie, po jakim czasie odsłonięte części ciała zamarzają w takiej temperaturze?

- Nie, komandorze. To znaczy, tak, komandorze. Dość szybko, jak sądzę.

- Powinniście już dobrze o tym wiedzieć, Irving. Już sześć razy nabawiliście się odmrożeń, a zima nie zaczęła się jeszcze na dobre.

Porucznik kiwa smętnie głową.

- Wystarczy minuta, by odsłonięty palec, czy jakikolwiek inny członek ciała, zamarznął na kość - wyjaśnia surowym tonem Crozier, świadom, że wygaduje bzdury. Przy tej temperaturze taki proces trwa znacznie dłużej, ma jednak nadzieję, że Irving o tym nie wie. - Potem zamarznęty członek może pęknąć i odpaść jak sople lodu - dodaje.

- Tak jest, komandorze.

- Więc naprawdę uważacie, że naszemu gościowi grozi... zhańbienie... tutaj, na pokładzie, panie Irving?

Wydaje się, że Irving całkiem poważnie zastanawia się nad odpowiedzią. Crozier uświadamia sobie, że jego oficer prawdopodobnie już o wiele za długo rozmyśla nad tym

problemem.

- Idź pod pokład, John - rozkazuje krótko Crozier. - I poproś doktora McDonalda, żeby obejrzał twoje palce i twarz. Przysięgam na Boga, że jeśli znów coś sobie odmroziłeś, odbiorę ci miesięczną wypłatę Służby Badawczej i napiszę o wszystkim twojej matce.

- Tak jest, komandorze. Dziękuję, komandorze. - Irving znów zaczyna salutować, reflektuje się jednak w porę i wchodzi pod brezent, ruszając w stronę schodów. Nie ogląda się za siebie, nie zerka na Ciszę.

Crozier wzdycha ponownie. Lubi Johna Irvinga. Chłopak zgłosił się na ochotnika - wraz z dwójką swoich kolegów z HMS *Excellent*, porucznikiem Hodgsonem i pierwszym oficerem Hornbym - ale *Excellent* był rozklekotanym trójpokładowcem, który uchodził za starość, nim jeszcze Noe zaczął majstrować przy swojej łajbie. Crozier wiedział, że ów pozbawiony masztów rupieć przez ponad piętnaście lat stał zacumowany na stałe w Portsmouth, gdzie służył jako okręt szkoleniowy dla najbardziej obiecujących artylerzystów Królewskiej Marynarki Wojennej. „Niestety, drodzy panowie - powiedział im Crozier podczas ich pierwszego dnia na pokładzie, a był wtedy jeszcze bardziej pijany niż zwykle - jeśli rozejrzycie się dokoła, zauważycie zapewne, że choć *Terror* i *Erebus* zbudowane zostały jako okręty bombardujące, nie ma na nich ani jednej armaty. Można powiedzieć, moi drodzy przyjaciele, że jeśli nie liczyć muszkietów i strzelb schowanych w magazynie rumu, jesteśmy bezbronni jak noworodki albo jak ten sukinsyn Adam, zanim go wywalili z raju. Innymi słowy, panowie, wasze wasza wiedza i umiejętności artyleryjskie będą podczas tej wyprawy równie przydatne jak świnia w zbożu”.

Sarkastyczne uwagi Croziera nie ostudziły wówczas zapału młodych artylerzystów - Irving i jego dwaj przyjaciele nadal pragnęli spędzić kilka zim w trzaskającym mrozie, na zamarzniętym morzu. Oczywiście było to w Anglii, w ciepłym maju 1845 roku.

- A teraz ten biedny szczeniak zakochał się w eskimoskiej wiedźmie - mruczy głośno Crozier. Cisza odwraca się powoli do niego, jakby rozumiała jego słowa.

Zwykle jej twarz jest ukryta w ciemnym tunelu kaptura lub za szerokim futrzanym kołnierzem, teraz jednak Crozier widzi jej mały nos, duże oczy i pełne usta. Blask zorzy polarnej odbija się w tych czarnych jak noc oczach.

Jednostki przeznaczone do prowadzenia oblężeń portów, często nie miały dział burtowych, tylko ustawione na pokładzie dziobowym dwa moździerze. Zgodnie z tradycją nosiły nazwy wulkanów.

Komandor Francis Rawdon Moira Crozier nie uważa jej za atrakcyjną kobietę; zbyt wiele w niej dzikuski, by mógł uznać ją za człowieka w pełnym tego słowa znaczeniu, a tym bardziej za istotę pociągającą seksualnie - nawet dla irlandzkiego prezbiterianina - a poza tym jego umysł i okolice krocza wciąż wypełnione są wyrazistymi wspomnieniami Sophii Cracroft. Jednak Crozier rozumie, dlaczego Irving, uwięziony w łodzi z dala od domu i rodziny, mógł zakochać się w tej pogance. Sama jej osobliwość - a być może także i ponure okoliczności jej przybycia i śmierci jej towarzysza, tak dziwnie splecione z pierwszymi atakami owego monstrum ukrytego w ciemności - musiała przyciągać romantycznie usposobionego młodego oficera niczym płomień ćmę.

Crozier jest już za stary na takie romantyczne głupstwa, o czym przekonał się zarówno w Ziemi van Diemena w 1840 roku, jak i w Anglii podczas kilku miesięcy poprzedzających tę ekspedycję. Za stary i zbyt irlandzki. I zbyt pospolity.

W tej chwili ucieszyłby się najbardziej, gdyby ta młoda kobieta zeszła na okryty mrokiem lód i więcej nie wróciła.

Crozier pamięta dzień sprzed czterech miesięcy, kiedy to doktor McDonald zameldował się u

niego i Franklina po przebadaniu Eskimoski, tego samego popołudnia, gdy jej towarzysz umarł, krztusząc się własną krwią. Doktor McDonald oznajmił, że jego zdaniem kobieta miała między piętnaście a dwadzieścia lat - u tubylców bardzo trudno było określić dokładny wiek - na pewno już miesiączkowała, ale według wszelkich oznak wciąż była virgo intacta. Doktor McDonald wyjaśnił również, że powodem, dla którego dziewczyna nie przemówiła dotąd ani słowem ani też nie wydała z siebie żadnego dźwięku - nawet gdy jej ojciec lub mąż został postrzelony i umierał - był fakt, że nie miała języka. Zdaniem McDonalda jej język nie został ucięty, lecz odgryziony u samej podstawy albo przez samą Ciszę, albo przez kogoś lub coś innego.

Crozier był naprawdę zdumiony - nie tym, że kobieta nie miała języka, lecz tym, że była dziewicą. Spędził dość czasu na Dalekiej Północy - szczególnie podczas ekspedycji Parry'ego, która przezimowała w eskimoskiej wiosce - by wiedzieć, że tubylcy traktują stosunki seksualne z ogromną swobodą i że mężczyźni oddają swe córki i żony wielorybnikom lub naukowcom ze Służby Badawczej za byle błyskotkę. Wiedział też, że miejscowe kobiety czasem oddawały się im same dla zabawy i że podczas gdy biali marynarze stękali i naprężali się między ich nogami, one chichotały i gawędziły z dziećmi lub przyjaciółkami. Były jak zwierzęta. Zdaniem Francisa Croziera futra, którymi się okrywały, równie dobrze mogłyby być ich prawdziwą skórą.

Komandor podnosi odzianą w rękawicę dłoń do czapki, obwiązanej dwoma szalikami, co uniemożliwia jej zdjęcie lub uchylenie, i mówi:

- Wyrazy uszanowania, szanowna pani. Sugeruję, by wkrótce udała się pani do swej kajuty. Robi się coraz zimniej.

Cisza wpatruje się w niego. Nie mruga, choć na jej długich rzęsach nie osiadł lód. Oczywiście nie mówi też ani słowa. Przygląda mu się.

Crozier ponownie przykładą palce do głowy, symbolicznie uchylając kapelusza, i kontynuuje swój obchód pokładu, wspina się na pokrytą lodem rufę, później przechodzi na prawą burzę, przystaje, by pogawędzić z dwoma innymi marynarzami pełniącymi wachtę, daje Irvingowi dość czasu, by ten zszedł pod pokład i zdjął wierzchnie okrycie, i by nie odniósł przy tym wrażenia, że komandor depcze mu po piętach.

Kończy właśnie rozmawiać z ostatnim, przemarzniętym człowiekiem na wachcie, starszym marynarzem Shanksem, kiedy spod brezentu wybiega na pokład szeregowy Wilkes, najmłodszy żeglarz na statku. Wilkes narzucił na mundur tylko dwie luźne warstwy ubrań i jeszcze przed złożeniem meldunku zaczyna szczekać zębami.

- Panie komandorze, mechanik Thompson przesyła wyrazy szacunku i prosi, by jak najszybciej zszedł pan do ładowni.

- Dlaczego? - Crozier wie, że jeśli kocioł w końcu pękł, czeka ich wszystkich śmierć.

- Pan wybaczy, panie komandorze, ale pan Thompson mówi, że powinien pan tam zejść, bo marynarz Manson jest bliski buntu.

Crozier otwiera szerzej oczy.

- Manson się buntuje?

- Jak powiedział pan Thompson, jest „bliski buntu”.

- Mówcie po ludzku, Wilkes.

- Manson nie chce nosić worków z węglem obok Kajuty Zmarłych, panie komandorze. Ani schodzić więcej do ładowni. Mówi, że z całym szacunkiem, ale odmawia. Nie chce też tutaj wyjść, tylko siedzi na tyłku pod schodami.

- A cóż on znowu wymyślił, do diabła? - Crozier czuje, że ogarnia go niepoohamowana, irlandzka złość.

- Chodzi o duchy, panie komandorze - odpowiada szeregowy Wilkes, szczękając zębami. - Wszyscy je słyszymy, kiedy przenosimy węgiel albo przynosimy coś z ładowni. Dlatego nikt nie schodzi pod najniższy pokład, jeśli nie dostanie takiego rozkazu od któregoś z oficerów. Tam w ładowni coś jest, panie komandorze. Coś drapie i stuka we wnętrzu statku, komandorze. I nie jest to tylko lód. Manson jest pewien, że to jego stary kumpel, Walker, i... i inne trupy zamknięte w Kajucie Zmarłych, które próbują się stamtąd wydostać.

Crozier ma ochotę poinformować Wilkesa, co naprawdę jest przyczyną owych hałasów, w porę się jednak powstrzymuje. Fakty mogłyby przerazić młodego marynarza bardziej niż duchy.

Po pierwsze drapanie i skrobanie dochodzące z Kajuty Zmarłych to niemal z pewnością sprawka setek lub tysięcy wielkich szczurów wędrownych objadających się martwymi towarzyszami Wilkesa. Szczury wędrowne - o czym Crozier wie znacznie lepiej niż młody żołnierz brytyjskiej piechoty morskiej - prowadzą nocny tryb życia, co oznacza, że podczas długiej arktycznej zimy są cały czas aktywne. Mają też zęby, które bezustannie rosną, co oznacza z kolei, że przekłute szkodniki muszą wciąż coś gryźć. Crozier widział już, jak przegryzają się przez grube dębowe beczki, przez cynową blachę grubości cala, a nawet przez ołowiany pancerz. Pożarcie marynarza Walkera i jego pięciu pechowych towarzyszy - wśród nich trzech najlepszych oficerów Croziera - nie sprawia szczurom więcej trudności niż człowiekowi zjedzenie kawałka suszonego mięsa.

Crozier przypuszcza jednak, że Manson i pozostali słyszą nie tylko szczury.

Nauczony smutnym doświadczeniem trzynastu zim spędzonych na lodzie, Francis Crozier wie, że szczury zjadają ludzkie ciała szybko i sprawnie. Niepokojące hałasy dochodzące z ładowni to głównie odgłosy walki, którą toczą ze sobą upojone krwią gryzonie.

To nie szczury zgrzytają i stukają w ściany na pokładzie ładowni.

Crozier postanawia nie przypominać szeregowemu Wilkesowi o drugim prostym fakcie: choć najniższy pokład powinien znajdować się poniżej linii wody czy też linii zamrożonego morza, ciśnienie wypchnęło rufę *Terroru* ponad dziesięć stóp w górę. Kadłub statku nie zawisł w powietrzu, otacza go jednak nie lita lodowa skała, lecz kilkaset ton śniegu i odłamków lodu, które załoga usypała wokół okrętu, by zapewnić sobie lepszą izolację na czas zimy.

Francis Crozier przypuszcza, że coś przekopało się przez tę górę śniegu i lodu, by dotrzeć do kadłuba statku. W jakiś nieodgadniony sposób stworzenie owo wyczuło, które części kadłuba, takie jak zbiorniki na wodę, wyłożone są od wewnątrz żelazem, i w którym miejscu znajdują się pomieszczenia prowadzące prosto do statku - takie jak Kajuta Zmarłych. A teraz próbuje przedostać się do środka.

Crozier wie, że tylko jedna istota na świecie ma dość siły, dość wytrwałości i dość inteligencji, by dokonać czegoś takiego. Potwór z lodu próbuje dostać się do nich od dołu.

Nie pożegnawszy się ani słowem z szeregowym Wilkesem, komandor Crozier schodzi pod pokład, by zapanować nad sytuacją.

FRANKLIN

51°29' szerokości geograficznej północnej, 0°0' długości geograficznej zachodniej. Maj 1845.

Był - i na zawsze miał nim pozostać - człowiekiem, który zjadł własne buty.

Cztery dni przed terminem wypłynięcia komandor sir John Franklin zachorował na grypę, która krążyła od jakiegoś czasu po mieście. Był pewien, że nie zaraził się nią ani od żadnego z prostych marynarzy lub dokerów, którzy załadowywali statek w londyński porcie, ani też od żadnego ze stu trzydziestu czterech członków jego załogi - wszyscy byli zdrowi jak ryby - lecz od któregoś z chorowitych pochlebców z kręgów towarzyskich, w których obracała się lady Jane.

Człowiek, który zjadł swoje buty.

Zgodnie z tradycją, żony bohaterów wyruszających na arktyczne wyprawy szyły flagę, którą potem ich mężowie mieli zatknąć w punkcie położonym najdalej na północ lub, jak w tym wypadku, podnieść po przepłynięciu na drugą stronę Przejścia Północno-Zachodniego. Żona Franklina, Jane, kończyła właśnie wyszywanie jedwabnej flagi brytyjskiej, kiedy wrócił do domu. Sir John wszedł do salonu i opadł na sofę obok Jane. Później nie pamiętał, by zdejmował buty, ktoś jednak musiał to zrobić - albo Jane, albo któryś ze służących - wkrótce bowiem leżał na plecach, pogrążony w półśnie. Bolała go głowa, miał nudności, jakich nigdy nie doświadczył na morzu, jego skóra płonęła gorączką. Lady Jane opowiadała mu o wszystkim, co przyniósł dzień, usta nie zamykały jej się ani na moment. Sir John próbował jej słuchać, choć raz po raz odpływał w niebyt, niesiony falami gorączki.

Był człowiekiem, który zjadł swoje buty; był nim od dwudziestu trzech lat, odkąd wrócił do Anglii w 1822 roku po swym pierwszym, nieudanym poszukiwaniu Przejścia Północno-Zachodniego - próbował wówczas dotrzeć do niego drogą lądową, przez północną Kanadę, pamiętał złośliwości i szyderstwa, jakimi go wówczas raczono. Franklin zjadł swoje buty, powtarzano - choć podczas tej trzyletniej sfuszerowanej ekspedycji jadł znacznie gorsze rzeczy, choćby tripe-de-roche, obrzydliwą papkę z porostów zeszkrobanych ze skał. Po dwóch latach wędrówki i głodowania Franklin i jego ludzie - pamiętał jak przez mgłę, że podzielił swój oddział na trzy grupy, pozostawiając dwie z nich własnemu losowi - musieli jeść ugotowaną skórę ze swych butów, by przeżyć. Sir John - wówczas był po prostu Johnem, nadano mu tytuł szlachecki za niekompetencję po późniejszej podróży lądowej i kolejnej sknoconej wyprawie morskiej - w roku 1821 przez wiele dni żywił się jedynie kawałkami niewygarbowanej skóry. Jego ludzie jedli także ubrania ze skóry bizonów. Później niektórzy posunęli się jeszcze dalej. On jednak nigdy nie jadł ludzkiego mięsa.

Franklin wielokrotnie zastanawiał się i powątpiewał, czy inni uczestnicy jego ekspedycji, łącznie z dobrym przyjacielem, porucznikiem doktorem Johnem Richardsonem, zdołali oprzeć się tej pokusie. Zbyt wiele wydarzyło się w czasie, gdy poszczególne grupy rozdzieliły się i przemierzały na własną rękę arktyczne pustkowia, starając się za wszelką cenę dotrzeć do prowizorycznego Fort Enterprise stworzonego przez Franklina i do prawdziwych fortów, Providence i Resolution.

Zginęło dziewięciu białych ludzi i jeden Eskimos. Dziewięciu spośród dwudziestu jeden ludzi, których młody porucznik John Franklin, trzydziestotrzylatek, który już wtedy był nieco otyły i łysawy, wyprowadził z Fort Resolution w 1819 roku, plus jeden z miejscowych przewodników, których wynajęli po drodze - Franklin nie pozwolił mu odłączyć się od ekspedycji i szukać pożywienia na własną rękę. Dwaj spośród tych ludzi zostali zamordowani z zimną krwią. Co najmniej jeden z nich został bez wątpienia zjedzony przez pozostałych. Ostatecznie zginął jednak tylko jeden Anglik. Tylko jeden prawdziwie biały człowiek. Pozostali byli zwykłymi francuskimi

voyageurs lub Indianami. Był to swego rodzaju sukces - tylko jeden Anglik nie wrócił z wyprawy, choć pozostali zamienili się w bełkoczące, brodate szkielety. I choć przeżyli tylko dlatego, że George Back, ten pomyłony, niewyżyty seksualnie aspirant, przeszedł na rakietach śnieżnych 1200 mil, by przynieść im prowiant i - co ważniejsze - przyprowadzić kolejnych Indian, którzy zajęli się Franklinem i jego umierającymi ludźmi.

Ten pomyłony Back. Nawet nie udawał chrześcijanina. Arogancki. Trudno go też nazwać prawdziwym dżentelmenem, mimo że później otrzymał tytuł szlachecki za wyprawę arktyczną, podczas której płynął na tym samym okręcie, HMS *Terror*, dowodzonym teraz przez sir Johna.

Podczas tej wyprawy, wyprawy Backa, *Terror* został wyniesiony pięćdziesiąt stóp w górę przez lodową wieżę, a potem zrzucony tak gwałtownie, że przeciekała niemal każda dębowa deska w jego kadłubie. George Back przyprowadził ciekący *Terror* do wybrzeży Irlandii i wyciągnął go na brzeg dosłownie na kilka godzin przed tym, jak statek poszedłby na dno. Załoga owinęła kadłub łańcuchami i ściągnęła je tak mocno, by uszkodzony okręt zdołał dowieźć ich do domu. Wszyscy cierpieli na szkorbut - czarne dziąsła, przekrwione oczy, wypadające zęby - i graniczące z szaleństwem urojenia, które towarzyszą tej chorobie.

Oczywiście Back otrzymał po tym wyczynie tytuł szlachecki. Właśnie w ten sposób Anglia i Admiralicja traktowały kogoś, kto wrócił z nieudanej wyprawy polarnej, która pochłonęła zatrważającą liczbę ofiar; jeśli przeżyłeś, otrzymywałeś tytuł i zaszczyty. Gdy w 1827 roku Franklin wrócił ze swej drugiej ekspedycji na daleką północ Ameryki Północnej, otrzymał tytuł szlachecki z rąk samego króla Jerzego IV. Towarzystwo Geograficzne w Paryżu dało mu złoty medal. W nagrodę został również dowódcą pięknej fregaty HMS *Rainbow* i skierowany na Morze Śródziemne, tym samym otrzymał przydział, o jakim marzył każdy komandor Królewskiej Marynarki Wojennej. Oświadczył się jednej z najbliższych przyjaciółek swej zmarłej żony, Eleanor, energicznej, pięknej i elokwentnej Jane Griffin.

- Wyjaśniłam więc sir Jamesowi przy herbacie - mówiła właśnie Jane - że reputacja mojego drogiego sir Johna jest dla mnie o wiele ważniejsza niż samolubna przyjemność, jaką daje mi przebywanie w jego towarzystwie, nawet jeśli musi wyjechać na cztery... lub pięć lat.

Jak nazywała się ta piętnastoletnia Indianka, o którą Back zamierzał się pojedyńkować w ich zimowej kwaterze w Fort Enterprise? Zielone Pończochy. Właśnie. Zielone Pończochy. To była zła dziewczyna. Piękna, owszem, ale zła. Nie miała wstydu. Franklin widział osobiście, choć starał się nigdy nie patrzeć w jej stronę, jak zrzuciła z siebie swe pogańskie ubranie i szła naga przez chatę pewnej księżycowej nocy.

Miał wówczas trzydzieści cztery lata, ale ona była pierwszą nagą kobietą, jaką kiedykolwiek widział w swym życiu i zarazem najpiękniejszą - co nie zmieniło się do tej pory. Ciemna skóra. Piersi już krągłe jak dojrzałe owoce, a jednocześnie młodzieńczo jędrne, o drobnych sutkach wyrastających z dziwnych, ciemnobrązowych otoczek. Był to obraz, którego sir John nie potrafił wymazać z pamięci - choć bardzo się o to starał i modlił - od ćwierćwiecza. Włosy łonowe tamtej dziewczyny nie miały klasycznego kształtu V, który Franklin widział później u swej pierwszej żony Eleanor - miał okazję zobaczyć ją nagą tylko raz, kiedy Eleanor przygotowywała się do kąpieli, gdyż zgodnie z jej życzeniem zawsze obcowali ze sobą w całkowitych ciemnościach - nie przypominały też rzadszego, choć bardziej rozwichrzonego gniazda będącego częścią starzejącego się ciała jego obecnej żony Jane. Nie, między nogami tej dzikuski widać było tylko wąski kruczoczarny pasek owłosienia. Delikatny jak pióro kruka. Czarny jak sam grzech.

Szkocki aspirant, Robert Hood, który podczas tej pierwszej niekończącej się zimy spędzonej w chacie nazwanej przez Franklina Fort Enterprise spłodził już jednego bękartą z inną Indianką,

natychmiast zakochał się w nastoletniej squaw Zielone Pończochy. Dziewczyna sypiała wcześniej z innym aspirantem, George'em Backiem, ale kiedy ten opuścił obóz w poszukiwaniu pożywienia, przeniosła swe uczucia na Hooda z łatwością właściwą jedynie poganom i ludziom pierwotnym.

Franklin wciąż pamiętał namiętne postękiwania i jęki wypełniające długą zimową noc - nie były to kilkuminutowe akty namiętności, jakich doświadczał z Eleanor (oczywiście, jak przystało na prawdziwego dżentelmena, nigdy nie wydawał przy tym żadnych dźwięków), ani nawet dłuższe wybuchy pożądania, jakich dwukrotnie zaznał w obecności Jane, na przykład tej pamiętnej nocy podczas ich miesiąca miodowego; nie, Hood i Zielone Pończochy robili to pięć, sześć razy. Ledwie ucichły hałasy dobiegające z zajmowanej przez nich przybudówki, a już wszystko zaczynało się od nowa - śmiech, przytłumione chichoty, potem ciche pojękiwania, które zamieniały się stopniowo w coraz głośniejsze krzyki.

Jane Griffin miała trzydzieści sześć lat, kiedy poślubiła świeżo upieczzonego szlachcica, sir Johna Franklina, a stało się to piątego grudnia 1828 roku. Miesiąc miodowy spędzili w Paryżu. Franklin nie przepadał za tym miastem, nie lubił też Francuzów, zamieszkali jednak w luksusowym hotelu z restauracją, gdzie podawano doskonałe jedzenie.

Podróże na kontynent zawsze budziły we Franklinie lęk przed spotkaniem z niejakim Rogetem - Peterem Markiem Rogetem, który zdobył sobie uznanie w kręgach literackich, przygotowując do publikacji jakiś głupi słownik czy coś w tym rodzaju - tym samym człowiekiem, który niegdyś poprosił Jane Griffin o rękę i został odrzucony, podobnie jak wszyscy inni zalotnicy z jej młodości. Franklin zaglądał do pamiętników Jane z tamtych czasów - potem usprawiedliwiał się sam przed sobą z tego występkę, zakładając, że Jane chciała, by znalazł i przeczytał wielkie, oprawne w skórę tomiska, inaczej bowiem nie zostawiałyby ich na wierzchu - i znalazł zapisek sporządzony przez jego ukochaną w dniu, w którym Roget poślubił inną kobietę: miłość mojego życia odeszła.

Robert Hood hałasował z Zielonymi Pończochami przez sześć niekończących się arktycznych nocy, nim wreszcie jego towarzysz George Back wrócił z wyprawy po żywność z grupą Indian. Hood i Back mieli stoczyć ze sobą pojedynek na śmierć i życie tuż po wschodzie słońca - czyli około 10.00 - następnego ranka.

Franklin nie wiedział, co robić. Korpulentny porucznik nie potrafił zdyscyplinować gburowatych Doyagewsam pogardzających nim Indian, nie mówiąc już o upartym Hoodzie i impulsywnym Backu.

Obaj aspiranci byli artystami i kartografami. Od tego czasu Franklin nigdy nie ufał artystom. Kiedy pewien rzeźbiarz w Paryżu rzeźbił dłonie lady Jane i gdy podobny do tamtego, wyperfumowany pederasta niemal przez miesiąc przychodził do ich rezydencji w Londynie, by namalować jej portret, Franklin ani moment nie zostawił żony samej w ich towarzystwie.

Back i Hood mieli więc spotkać się o świcie i stoczyć śmiertelny pojedynek, a jedyne, co John Franklin mógł zrobić w tej sytuacji, to zamknąć się w swojej chacie i modlić, by śmierć lub obrażenia powstałe w wyniku tego pojedynku nie doprowadziły do ostatecznej klęski jego nieudanej ekspedycji. Rozkazy, którymi się kierował, nie mówiły, że powinien zabrać żywność na liczącą 1200 mil ekspedycję arktyczną, której trasa wiodła przez ląd, wody przybrzeżne i z nurtem rzeki. Z własnej kieszeni wyłożył środki na zakup pożywienia, które wystarczyło na wykarmienie szesnastu ludzi przez jeden dzień. Franklin zakładał, że Indianie będą polować i na bieżąco uzupełniać zapasy, troszcząc się o nich podobnie jak przewodnicy, którzy nieśli ich bagaże i wiosłowali na łódkach z kory brzozej.

Łodzie z kory brzozej były do niczego. Dwadzieścia trzy lata po fakcie gotów był to przyznać - przynajmniej przed samym sobą. Zaledwie po kilku dniach podróży w spływających krą

przybrzeżnych wodach, do których dotarli po ponadpółtorarocznej wędrówce z Fort Resolution, nietrwałe kanu zaczęły się rozpadać.

Franklin leżał z zamkniętymi oczami, starając się nie myśleć o dokuczliwym bólu głowy i rosnącej gorączce. Nieprzerwany potok słów wydobywający się z ust Jane przepływał obok niego, a myśli powracały do owego ranka, kiedy leżał w swoim śpiworze i zaciskał mocno powieki, podczas gdy Back i Hood odeszli od siebie na odległość piętnastu kroków i odwrócili się, by wystrzelić. Pomyleni Indianie i voyageurs - w pewnym sensie równie dzicy i bezlitośni - traktowali pojedynek na śmierć i życie jak dobrą rozrywkę. Franklin pamiętał, że Zielone Pończochy promieniowała tego ranka niemal erotycznym blaskiem.

Choć Franklin zakrył uszy dłońmi, słyszał doskonale, jak sekundant każe pojedynkującym się rozejść, potem odwrócić, wymierzyć i wypalić.

Potem usłyszał głuchy trzask. A później śmiech tłumu.

Pod osłoną nocy stary szkocki marynarz będący sekundantem pojedynku, ten szorstki i gburowaty John Hepburn, usunął z pistoletów proch i pociski. Zdeprymowani nieustającym śmiechem tłumu voyageurs i Indian Hood i Back rozeszli się w przeciwnie strony. Wkrótce Franklin rozkazał George'owi Backowi wrócić do fortów i zakupić więcej prowiantu od Kompanii Zatoki Hudsona. Back zniknął niemal na całą zimę.

Franklin zjadł wówczas swoje buty i żywił się porostami zdrapanymi ze skał - ohydą mazią, której nie przełknąłby żaden szanujący się angielski pies - nigdy jednak nie spróbował ludzkiego mięsa.

Rok po nieudanym pojedynku, gdy grupa Richardсона oddzieliła się od grupy Franklina, ten opryskliwy, na wpół szalony Irokez, Michel eroahaute, strzelił w sam środek czoła artysty i kartografa Roberta Hooda.

Tydzień przed zabójstwem ten sam Indianin przyniósł głodującej grupie Richardсона poleć mięsa o intensywnym smaku i zapachu, twierdząc, że jest to mięso wilka, który został raniony przez karibu i wykrwawił się na śmierć lub też zginął z ręki samego Teroahaute uzbrojonego w jeleni róg - Indianin kilkakrotnie zmieniał swą opowieść. Wygłodniał podróżnicy ugotowali i zjedli łup Irokeza, wcześniej jednak doktor Richardson zauważył pozostałości tatuażu na skórze okrywającej mięso. Lekarz powiedział później Franklinowi, że z całą pewnością Teroahaute wrócił do ciała jednego z voyageurs, którzy zginęli tamtego tygodnia na trasie wyprawy.

Wygłodniały Indianin i umierający Hood byli sami, kiedy Richardson, zajęty zeskrobywaniem porostów ze skały, usłyszał strzał. Samobójstwo, twierdził Teroahaute, lecz doktor Richardson, który widział już w swym życiu ciała wielu samobójców, był odmiennego zdania; położenie kuli w mózgu Roberta Hooda świadczyło o tym, że nie mógł się sam zastrzelić.

Pozbawiwszy życia Hooda, Indianin uzbroił się w brytyjski bagnet, muszkiet, dwa naładowane pistolety i nóż długości przedramienia. Dwaj pozostali przy życiu biali - Hepburn i Richardson - mieli tylko jeden mały pistolet i szwankujący muszkiet.

Richardson, obecnie jeden z najbardziej szanowanych naukowców i chirurgów w Anglii, przyjaciel poety Roberta Burnsa, wówczas zaś jedynie obiecujący lekarz i przyrodnik, poczekał, aż Michel Teroahaute wróci z wyprawy do lasu, upewnił się, że dźwiga naręczne drewna na opał, po czym podniósł pistolet i z zimną krwią strzelił mu prosto w głowę.

Później doktor Richardson przyznał się do zjedzenia płaszcza z bawolej skóry należącego do Hooda, jednak ani on, ani Hepburn - jedyni pozostali przy życiu członkowie ich grupy - nie wspomnieli słowem o tym, co jeszcze mogli jeść podczas wyczerpującej tygodniowej wędrówki do Fort Enterprise.

Franklin i członkowie jego grupy w Fort Enterprise byli zbyt słabi, by chodzić lub nawet stać. W porównaniu z nimi Richardson i Hepburn wydawali się silni i zdrowi.

Mogą sobie powtarzać, że jest człowiekiem, który zjadł swoje buty, ale John Franklin nigdy...

- Kucharka przygotowuje rostbef na kolację, mój drogi. Twoje ulubione danie. Ponieważ jest tu nowa - jestem pewna, że tamta Irlandka fałszowała rachunki i okradała nas, wiadomo przecież, że wszyscy Irlandczycy umieją tylko kraść i pić - przypominałam jej kilkakrotnie, że stek ma być tak krwisty, by broczył sokiem pod najdelikatniejszym dotknięciem noża.

Franklin, niesiony kolejną falą gorączki, próbował sformułować jakąś odpowiedź, lecz ból głowy połączony z nudnościami i odurzającym gorącem całkowicie pozbawił go sił. Mokra od potu koszula kleiła się do jego ciała.

- Żona admirała Thomasa Martina przysłała nam dzisiaj cudowną kartkę i piękny bukiet kwiatów. Wprawdzie odezwała się do nas ostatnia, ale muszę przyznać, że kwiaty są naprawdę piękne. Widziałeś je? Stoją w holu. Znalazłeś chwilę, by porozmawiać z admirałem Martinem podczas przyjęcia? Oczywiście nie jest aż tak ważny, jak mu się wydaje, prawda? Nawet nie tak ważny jak kontroler marynarki? Z pewnością nie tak znaczący jak Pierwszy Lord Admiralicji lub pierwszy komisarz, nie mówiąc już o twoich przyjaciółach z Rady Arktycznej.

Komandor sir John Franklin miał wielu przyjaciół; wszyscy lubili komandora Johna Franklina. Ale nikt go nie szanował. Od dziesięcioleci chętnie przyjmował do wiadomości ów pierwszy fakt i starał się nie myśleć o drugim, teraz jednak wiedział, że to prawda. Wszyscy go lubili. Nikt go nie szanował.

Nikt nie darzył go szacunkiem po tym, co zaszło na Ziemi van Diemena. Po tasmańskim zesłaniu i wszystkich błędach, które tam popełnił.

Eleanor, jego pierwsza żona, umierała, gdy zostawił ją, by wyruszyć w swą drugą dużą ekspedycję.

Wiedział, że ona umiera. Ona też wiedziała. Jej gruźlica - i świadomość, że umrze na nią na długo przedtem, nim jej mąż zginie w bitwie lub na dalekiej wyprawie - towarzyszyła im niczym niemy świadek podczas ich ślubu. Podczas ich dwudziestodwumiesięcznego małżeństwa umierająca żona dała mu córkę, jego jedyne dziecko, młodą Eleanor.

Kobieta o drobnym, kruchym ciele - lecz niemal przerażającej sile ducha i energii - jego pierwsza żona, choć kaszłała krwią i wiedziała, że jej koniec jest bliski, kazała mu wyruszyć na drugą wyprawę w poszukiwaniu Przejścia Północno-Zachodniego, której trasa miała tym razem prowadzić wzdłuż wybrzeży Ameryki Północnej. Mówiła, że lepiej będzie dla niej, jeśli on w tym czasie będzie gdzie indziej. Wierzył jej. A przynajmniej wierzył, że tak będzie lepiej dla niego.

Człowiek głęboko wierzący, John Franklin, modlił się, by Eleanor umarła przed jego wyjazdem. Nie umarła. Wypłynął 16 lutego 1825 roku, w drodze do Wielkiego Jeziora Niewolniczego pisał do swej ukochanej czułe listy, które wysłał w Nowym Jorku i Albany. Dowiedział się o jej śmierci 24 kwietnia, w bazie brytyjskiej marynarki wojennej w Penetanguishene. Zmarła wkrótce po tym, jak jego okręt opuścił Anglię.

Kiedy w 1827 roku wrócił z tej wyprawy, czekała nań Jane Griffin, Przyjaciółka Eleanor.

Przyjęcie w Admiralicji odbyło się niecały tydzień wcześniej - nie, ośmdziesiąt tydzień wcześniej, przed tą przekłętą gripą. Oczywiście na przyjęciu był obecny komandor sir John Franklin oraz wszyscy jego oficerowie z *Erebusa* i *Terroru*. Nie zabrakło również cywilów biorących udział w ekspedycji - byli wśród nich lodomistrz *Erebusa*, James Reid, i lodomistrz *Terroru*, Thomas Blanky, a także płatnicy, lekarze i intendenci.

Sir John wyglądał olśniewająco w swoim nowym niebieskim fraku, niebieskich spodniach ze

złotymi lampasami, obszytych złotą nicią epoletach, trójrożnym kapeluszu i z ozdobną szpadą u boku. Dowódca jego okrętu flagowego, *Erebusa*, James Fitzjames, nazywany często najprzystojniejszym mężczyzną w Królewskiej Marynarce Wojennej, wyglądał olśniewająco i skromnie zarazem, jak na bohatera przystało. Fitzjames oczarował wszystkich tego wieczoru. Francis Crozier jak zawsze wyglądał sztywno, niezdarnie i melancholijnie, i jak zawsze był nieco pijany.

Jane nie miała jednak racji - członkowie Rady Arktycznej nie byli przyjaciółmi sir Johna. Rada Arktyczna w rzeczywistości nie istniała. Był to raczej określony krąg towarzyski niż prawdziwa instytucja; z drugiej strony jednak był to także najbardziej elitarny klub oldboyów w całej Anglii.

Spotkali się ze sobą na przyjęciu - Franklin, jego najwyżsi oficerowie oraz wysocy, chudzi członkowie legendarnej Rady Arktycznej.

By zostać członkiem rady, trzeba było jedynie dowodzić ekspedycją na daleką arktyczną północ... i przeżyć.

Wicehrabia Melville - pierwsza znakomitość w długim rzędzie osób witających gości - był pierwszym lordem admiralicji i sponsorem ich sponsora, sir Johna Barrowa. Jednak Melville nie był starym arktycznym wygą.

Prawdziwe legendy Rady Arktycznej - których większość miała ponad siedemdziesiąt lat - tego wieczora bardziej przypominały zdenerwowanemu Franklinowi zebrane na sabacie czarownice z Makbeta albo grupkę szarych duchów niż żywych ludzi. Każdy z nich przed Franklinem poszukiwał Przejścia Północno-Zachodniego i wrócił z wyprawy żywy - choć nie całkiem.

Czy ktokolwiek, zastanawiał się Franklin tego wieczoru, naprawdę wracał żywy, spędziwszy zimę w rejonach podbiegunowych?

Sir John Ross, Szkot o twarzy równie kanciastej jak powierzchnia góry lodowej, miał ogromne krzaczaste brwi przypominające kołnierze i pióra pingwinów, które opisał bratanek, sir James Clark Ross, po powrocie z wyprawy na dalekie południe. Głos Rossa brzmiał szorstko, jakby cegielkę do szorowania przesuwano po pokładzie.

Sir John Barrow, starszy od samego Boga i dwukrotnie potężniejszy. Ojciec poważnych brytyjskich badań w rejonach polarnych. Wszyscy pozostali, obecni tego wieczora na przyjęciu, nawet siwowłosi siedemdziesięciolatek, byli chłopcami... chłopcami Barrowa.

Sir William Parry, dżentelmen nad dżentelmenami, nawet wśród członków rodziny królewskiej, próbował odnaleźć Przejście czterokrotnie; ostatnia wyprawa zakończyła się śmiercią jego ludzi i zatonięciem okrętu *Fury*.

Sir James Clark Ross otrzymał niedawno tytuł szlachecki i ożenił się z kobietą, która kazała mu przysiąc, że nigdy już nie wyruszy na wyprawę polarną. Gdyby tylko chciał, zająłby miejsce Franklina jako dowódca tej ekspedycji, o czym obaj dobrze wiedzieli. Ross i Crozier stali w pewnym oddaleniu od pozostałych, popijając drinki i rozmawiając cicho, niczym konspiratorzy.

Przeklęty sir George Back; Franklin nie mógł pogodzić się z faktem, że dzieli tytuł szlachecki ze zwykłym aspirantem, który niegdyś służył pod jego dowództwem, a do tego kobieciarzem. Tego uroczystego wieczora komandor sir John Franklin niemal żałował, że dwadzieścia pięć lat wcześniej Hepburn wyjął pociski i proch z pistoletów pojedynkujących się mężczyzn. Back był najmłodszym członkiem Rady Arktycznej i wydawał się szczęśliwszy i bardziej zadowolony z siebie niż którykolwiek z pozostałych członków, nawet po dramatycznej wyprawie, która o mały włos nie zakończyła się zatonięciem *Terroru*.

Komandor sir John Franklin był abstynentem, ale po trzech godzinach picia szampana, wina, brandy, sherry i whisky pozostali goście zaczęli się rozluźniać, ich śmiech rozbrzmiewał coraz

głośniej, a rozmowy nabierały luźniejszego charakteru; Franklin uspokoił się wreszcie nieco, uświadomiwszy sobie, że całe to przyjęcie, wszystkie złote guziki, jedwabne fulary, lśniące epolety, wykwintne dania, cygara i uśmiechy przeznaczone były dla niego. Tym razem wszystko kręciło się wokół niego.

Doznał więc niemal szoku, kiedy starszy Ross odciągnął go niespodziewanie na bok i zaczął zasypywać pytaniami.

- Franklin, po jaką cholerę zabierasz ze sobą stu trzydziestu czterech ludzi? - zazgrzytał kamień trący o szorstki pokład.

Komandor sir John Franklin zamrugnął gwałtownie.

- To duża wyprawa, sir Johnie.

- Moim zdaniem o wiele za duża. Trudno przepłynąć przez lód, wsadzić do łodzi i zawieźć z powrotem do cywilizacji trzydziestu ludzi, gdy coś pójdzie nie tak. Stu trzydziestu czterech... - Stary podróżnik odchrząknął paskudnie, jakby miał ochotę splunąć.

Franklin odpowiedział mu uśmiechem i skinął głową, modląc się w myślach, by Ross zostawił go w spokoju.

- No i ten twój wiek - kontynuował Ross. - Masz sześćdziesiąt lat, na miłość boską.

- Pięćdziesiąt dziewięć - odrzekł Franklin sztywno.

Starszy Ross uśmiechnął się lekko, jednak jego oczy pozostały zimne jak lód.

- Jaką ma wyporność *Terror*? Trzysta trzydzieści ton? *Erebus* trzysta siedemdziesiąt?

- Trzysta siedemdziesiąt dwie tony - sprostował Franklin. - *Terror* trzysta dwadzieścia sześć.

- I zanurzenie dziewiętnaście stóp, zgadza się?

- Tak jest, milordzie.

- To czyste szaleństwo. Nigdy jeszcze okręty o tak dużym zanurzeniu nie brały udziału w wyprawie na Daleką Północ. Z tego, co wiemy o tym rejonie, wynika, że tamtejsze wody są płytkie i że roi się na nich od mielizn, podwodnych skał i gór lodowych. Moja *Victory* miała tylko półtora sążnia zanurzenia, a i tak nie mogliśmy przepłynąć nad łachą przy przystani, w której spędziliśmy zimę. George Back omal nie rozerwał na kawałki kadłuba twojego *Terroru*.

- Oba okręty zostały wzmocnione, sir Johnie - odparł Franklin. Czuł, jak strużki potu ściekają mu po żebrach i wydatnym brzuchu. - Teraz można je śmiało nazwać najbardziej wytrzymałymi okrętami na świecie.

- A cóż to za bzdurny pomysł z tymi silnikami parowymi z lokomotyw?

- To wcale nie jest bzdurny pomysł, milordzie. - Franklin starał się zachować spokój, sam jednak słyszał protekcyjny ton w swym głosie. Nie znał się na silnikach parowych, miał jednak dwóch dobrych mechaników i Fitzjamesa, który służył na parowcach. - To bardzo mocne silniki, sir Johnie. Przewiożą nas przez lód, kiedy zawiodą żagle.

Sir John Ross parsknął głośno.

- To nie są nawet silniki okrętowe, prawda, Franklin?

- Nie, sir Johnie, ale to najlepsze silniki parowe, jakie kolej mogła nam sprzedać. Przystosowane do użycia na statku. Naprawdę potężne bestie.

Ross pociągnął łyk whisky.

- Potężne, jeśli zamierzasz położyć tory wzdłuż Przejścia Północno-Zachodniego i przejechać po nich lokomotywą.

Franklin skwitował tę uwagę chichotem, w rzeczywistości jednak wcale nie uważał jej za zabawną, a wręcz czuł się nią głęboko dotknięty. Często nie potrafił określić, czy ktoś żartuje, czy kpi sobie z niego, sam bowiem nie miał poczucia humoru.

- W rzeczywistości jednak wcale nie są takie silne - kontynuował Ross. - Ważąca półtorej tony maszyna, którą wcisnęli w ładownię twojego *Erebusa*, ma moc dwudziestu pięciu koni mechanicznych. Silnik Croziera jest jeszcze słabszy... nie więcej niż dwadzieścia koni. Statek, który odholuje was od brzegów Szkocji, Rattler, ma mniejszy silnik, ale jego moc to dwieście dwadzieścia koni. To jest właśnie prawdziwy silnik okrętowy.

Franklin nie wiedział, co odpowiedzieć, uśmiechnął się więc tylko. By wypełnić jakoś krępującą ciszę, przywołał kelnera, który roznosił kieliszki z szampanem. Ponieważ jednak z zasady nie pił alkoholu, jedyne, co mógł zrobić, to trzymać kieliszek w dłoni, zerkać na opadającą pianę i czekać na okazję, która pozwoli mu pozbyć się pozbyć kłopotliwego naczynia.

- Pomyśl tylko, ile prowiantu mógłbyś jeszcze upchnąć w ładowniach obu statków, gdyby nie było tam tych przeklętych silników - nie ustępował Ross.

Franklin rozejrzał się dokoła, jakby szukając ratunku, wszyscy jednak zajęci byli rozmową.

- Mamy zapasy, które wystarczą nam co najmniej na trzy lata, sir Johnie - odpowiedział w końcu. - Jeśli zmniejszymy racje do minimum, starczy ich nawet na pięć do siedmiu lat. - Uśmiechnął się ponownie, próbując obłaskawić jakoś tę kamienną twarz. - Do tego zarówno *Erebus*, jak i *Terror* mają centralne ogrzewanie, sir Johnie. Jestem pewien, że coś takiego przydałoby się na *Victory*.

Oczy sir Johna Rossa błysnęły zimno.

- Łód zgniół *Victory* jak skorupkę jajka, Franklin. Centralne ogrzewanie chyba na niewiele by się wtedy przydało, co?

Franklin rozejrzał się dokoła, próbując ściągnąć na siebie wzrok Fitzjamesa. Nawet Croziera. Kogokolwiek, kto mógłby pośpieszyć mu na ratunek. Wyglądało na to, że nikt nie zauważa starego sir Johna i grubego sir Johna pograżonych w tak poważnej, choć jednostronnej rozmowie. Obok przeszedł kelner, a Franklin odstawił nietknięty kieliszek z szampanem na tacę. Ross przyglądał mu się spod przymrużonych powiek.

- Ile trzeba węgla na ogrzanie jednego statku przez jeden dzień? - wypytywał dalej stary Szkot.

- Och, prawdę mówiąc, nie wiem, sir Johnie - odrzekł Franklin z rozbrajającym uśmiechem. Rzeczywiście nie wiedział. Niespecjalnie też go to obchodziło. Silnikami parowymi i węglem zajmowali się mechanicy. Admiralicja z pewnością dobrze wszystko za nich obliczyła.

- Ja wiem. - Ross skinął głową. - Trzeba spalić około stu pięćdziesięciu funtów węgla dziennie tylko po to, by ogrzać wodę instalacji centralnego ogrzewania w kajutach załogi. Pół tony węgla dziennie, żeby utrzymać odpowiednie ciśnienie pary w kotłach. Podczas normalnej żeglugi - przypuszczam, że te paskudne okręty bombardujące nie popłyną szybciej niż cztery węzły - będziecie zużywać dwie do trzech ton węgla dziennie. Znacznie więcej, jeśli będziecie próbowali przedrzeć się przez lód. Ile węgla wieziecie ze sobą, Franklin?

Komandor sir John machnął ręką lekceważąco.

- Och, około dwustu ton, milordzie. Ross znów przymrużył oczy.

- Po dziewięćdziesiąt ton na *Erebusie* i *Terrorze*, dokładnie rzecz biorąc - wychrypiał. - A tyle będziecie mieli w chwili, gdy odpłyniecie z Grenlandii, zanim jeszcze dotrzecie do Zatoki Baffina, nie mówiąc już o prawdziwym lodzie.

Franklin uśmiechnął się tylko z zakłopotaniem.

- Powiedzmy, że przyplyniecie do miejsca, w którym spędzicie zimę, spaliwszy dwadzieścia pięć procent z dziewięćdziesięciu ton węgla - kontynuował Ross, pracując uparcie do przodu niczym okręt przebijający się przez lód. - Zostaje wam więc... ile dni pracy silników przy normalnych warunkach, nie mówiąc nawet o lodzie? Dwanaście? Trzydzieście? Może dwa tygodnie?

Komandor sir John Franklin nie miał najmniejszego pojęcia. Jego umysł, choć bez wątpienia będący umysłem żeglarza i profesjonalisty, po prostu nie działał w ten sposób. Być może w jego oczach pojawił się nagle paniczny strach - Franklin nie myślał jednak wcale o niedoborach węgla, bał się jedynie, że wyjdzie przed sir Johnem Rossem na idiotę - gdyż stary żeglarz położył dłoń na jego ramieniu i zamknął je w żelaznym uścisku. Kiedy Ross pochylił się bliżej, komandor sir John Franklin wyczuł whisky w jego oddechu.

- Jak wygląda plan operacji ratunkowej przygotowany przez Admiralicję? - spytał przyciszonym głosem Ross. Dokoła rozbrzmiewały śmiechy i głosy rozbawionych gości.

- Operacji ratunkowej? - powtórzył Franklin, mrugając oczami. Myśl, że dwa najnowocześniejsze okręty na świecie - wzmocnione na potrzeby wyprawy, napędzane silnikami parowymi, zaopatrzone w prowiant na pięć lub sześć lat, obsadzone załogą wybraną przez sir Johna Barrowa - mogą potrzebować ratunku, nawet nie pojawiła się w umyśle Franklina. Taka myśl była absurdalna.

- Wiesz już, gdzie będziesz umieszczał skrytki z zapasami na trasie wyprawy, kiedy wpłyniecie między wyspy?

- Skrytki? - powtórzył ponownie Franklin. - Mamy zostawiać skrytki z zapasami? Dlaczego miałbym to robić?

- Żebyś mógł zapewnić swoim ludziom żywność i schronienie, kiedy będziecie musieli zejść na lód i wracać na piechotę - odrzekł ostro Ross, a w jego oczach pojawił się niebezpieczny błysk.

- Dlaczego mielibyśmy wracać na piechotę do Zatoki Baffina? - odpowiedział mu pytaniem Franklin. - Naszym celem jest przepłynięcie na drugą stronę Przejścia Północno-Zachodniego.

Sir John Ross odsunął głowę do tyłu. Jego dłoń zacisnęła się mocniej na ramieniu Franklina.

- Więc nie ma żadnego planu akcji ratunkowej?

- Nie.

Ross pochwycił drugie ramię Franklina i ścisnął je tak mocno, że komandor sir John skrzywił się z bólu.

- Posłuchaj mnie, chłopcze - wyszeptał Ross. - Jeśli do tysiąc osiemset czterdziestego ósmego roku nie dotrą do nas żadne wieści od ciebie, sam pójde cię szukać. Przysięgam.

Franklin obudził się gwałtownie.

Ociekał potem. Kręciło mu się w głowie. Serce waliło mu jak młot, a każde uderzenie odbijało się mocniejszym bólem głowy.

Spojrzał z przerażeniem w dół. Jego nogi i brzuch okryte były jedwabiem.

- Co to jest? - krzyknął, spanikowany. - Co to jest? Ktoś przykrył mnie flagą!

Lady Jane zerwała się z miejsca.

- Było ci zimno, John. Miałeś dreszcze. Przykryłam cię tym, żebyś się trochę rozgrzał.

- Boże! - krzyknął komandor sir John Franklin. - Boże, kobieto, wiesz, co ty zrobiła? Nie wiesz, że flagą przykrywa się zwłoki!?

CROZIER

*70°05' szerokości geograficznej północnej, 98°23'1' długości geograficznej zachodniej.
Październik 1847.*

Komandor Crozier schodzi po krótkich schodach na dolny pokład, przeciska się przez podwójne drzwi i omal się nie zatacza, uderzony nagle falą ciepła. Choć centralne ogrzewanie nie działa już od kilku godzin, ciepło wytwarzane przez ponad pięćdziesiąt ludzkich ciał i resztki ciepła pozostałe po gotowaniu pozwalają utrzymać na dolnym pokładzie temperaturę o prawie osiemdziesiąt stopni wyższą niż na zewnątrz - tuż poniżej temperatury zamarzania. Ktoś, kto zejdzie tu po półgodzinnym pobycie na pokładzie, doznaje podobnego szoku jak człowiek, który wszedłby do sauny całkowicie ubrany.

Ponieważ Crozier schodzi niżej, na nieogrzewane pokłady - najniższy i ładowni - nie ściąga ubrania, nie zamierza zatrzymywać się na dłużej w ciepłym wnętrzu. Przystaje jednak na chwilę - jak zrobiłby na jego miejscu każdy komandor - i rozgląda się dokoła, by sprawdzić, czy podczas jego nieobecności wszystkiego szlag nie trafił.

Mimo że to właśnie na pokładzie skupia się całe życie statku - tutaj wszyscy jedzą, śpią i mieszkają - panują na nim iście egipskie ciemności. Małe świetliki, które zwykle wpuszczają pod pokład odrobinę światła, są teraz zasypane śniegiem, a poza tym noc trwa już dwadzieścia dwie godziny i robi się coraz dłuższa. Tu i ówdzie jarzy się słaby blask lampki na tran wielorybi, latarenki lub świece, jednak większość ludzi porusza się w mroku na pamięć, wiedząc dobrze, gdzie uchylić się, pochylić lub odsunąć, by nie uderzyć w zawieszone pod sufitem jedzenie, ubrania, sprzęt czy też innych ludzi śpiących w hamakach. Kiedy rozwieszone są wszystkie hamaki - o dopuszczalnej szerokości czternastu cali - pozostają tylko dwa wolne przejścia szerokości osiemnastu cali, ciągnące się wzdłuż ścian kadłuba. W tej chwili jednak rozłożonych jest tylko kilka hamaków - śpią w nich ludzie, którzy obejmą wkrótce wachtę - a gwar rozmów, śmiechy, przekleństwa oraz pobrzękiwanie garnków i nieprzyzwoite uwagi pana Diggle'a zagłuszają niemal całkowicie trzaski i jęki lodu.

Według planów statku pomieszczenia na tym pokładzie mają siedem stóp wysokości, jednak w rzeczywistości pomiędzy deskami tworzącymi górny pokład oraz zapasami drewna zawieszonymi na półkach pod tymi deskami jest niecałe sześć stóp. Nieliczni wysocy członkowie załogi *Terroru*, jak ten tchórz Manson, do którego właśnie idzie Crozier, muszą ciągle się garbić, by nie uderzać głową w sufit. Francis Crozier nie jest taki wysoki. Nawet w wysokiej czapce oplecionej szalikami nie musi się schylać, kiedy przechodzi przez pokład.

Po prawej ręce Croziera, w kierunku rufy, ciągnie się wąski, niski i ciemny tunel, który w rzeczywistości jest zejściówką prowadzącą do „kwater oficerskich”, labiryntu szesnastu maleńkich kajut i dwóch ciasnych mes - oficerskiej i bosmańskiej. Kajuta Croziera ma takie same wymiary jak pozostałe - sześć na pięć stóp. Zejściówką ma zaledwie dwie stopy szerokości, może nią przechodzić tylko jeden człowiek naraz, schylając się przy tym, by nie uderzyć głową w wiszące pod sufitem zapasy; grubszy marynarz musi ją przechodzić tędy bokiem.

Kwatery oficerskie zajmują sześćdziesiąt z dziewięćdziesięciu sześciu stóp długości okrętu, a ponieważ na tym pokładzie *Terror* ma tylko dwadzieścia osiem stóp szerokości, wąska zejściówką to jedyna prosta droga na rufę.

Crozier widzi światło wydobywające się z Wielkiej Kajuty na rufie, gdzie - nawet w tym chłodziu i ciemności - kilku spośród pozostałych przy życiu oficerów odpoczywa przy stole, paląc fajki lub czytając książki z liczącego tysiąc dwieście woluminów księgozbioru okrętowego.

Komandor słyszy też muzykę: jeden z metalowych dysków ręcznych organów wygrywa melodię, która królowała w londyńskich teatrach rewiowych przed pięciu laty. Crozier wie, że to porucznik Hodgson odtwarza tę melodię; to jego ulubiony utwór, który doprowadza do furii porucznika Edwarda Little'a, oficera dowodzącego Croziera i miłośnika muzyki klasycznej.

Upewniwszy się, że u oficerów panuje względny spokój, Crozier odwraca się i patrzy do przodu. Kwatery zwykłych członków załogi zajmują pozostałą jedną trzecią długości okrętu - trzydzieści sześć stóp - jednak na tej niewielkiej przestrzeni musi zmieścić się czterdziestu jeden pozostałych przy życiu marynarzy i aspirantów; pierwotnie było ich czterdziestu czterech.

Tego wieczora nie odbywają się żadne zajęcia, a do chwili gdy marynarze rozwiną hamaki i położą się spać, została już niecała godzina, większość ludzi siedzi więc na skrzyniach lub stertach prowiantu i zapasowych materiałów, paląc i rozmawiając w półmroku. Na środku sali stoi olbrzymi piec Frazera, na którym pan Diggle piecze suchary. Diggle - zdaniem Croziera najlepszy kucharz w całej flocie i swego rodzaju zdobycz wojenna, gdyż Crozier wykradł gadatliwego kucharza z okrętu flagowego komandora sir Johna Franklina tuż przed rozpoczęciem wyprawy - zawsze coś pichci i jednocześnie bez ustanku przeklina, łaje, poganina i kopie swoich pomocników. Ludzie dosłownie biegają wokół wielkiego pieca, znikają raz po raz we włazach, by przynieść jakieś produkty z niższych pokładów, i starają się jak najrzadziej wchodzić w drogę groźnemu kucharzowi.

Sam piec wydaje się Crozierowi niemal tak duży jak silniki parowe w ładowni. To monumentalne urządzenie ma ogromny piekarnik, sześć wielkich palników, wbudowane urządzenie do odsalania wody i olbrzymią pompę ręczną, która doprowadza wodę bezpośrednio z oceanu lub wielkich zbiorników z wodą ukrytych w ładowni. Zarówno jednak morze na zewnątrz, jak i woda ładowni są teraz zamrożone, więc w olbrzymich garnkach ustawionych na palnikach pana Diggle'a roztopiają się kawałki lodu wyrąbane ze zbiorników i wciągnięte na wyższy pokład.

Za ścianką z półek i szafek pana Diggle'a, gdzie niegdyś znajdowało się przednie nadburcie, widać izbę chorych, położoną w skrajniku dziobowym okrętu. Przez dwa lata na Terrorze nie było izby chorych. Marynarze, którzy musieli zobaczyć się z lekarzem okrętowym lub jego asystentem, mogli zrobić to codziennie o 7.30 rano w niewielkim kącie przy piecu pana Diggle'a, oddzielonym od reszty pomieszczenia przepierzeniem ze skrzynek i beczulek. Jednak teraz, gdy ilość zapasów zmniejszyła się znacznie, a liczba chorych lub rannych ludzi zwiększyła, cieśle zbudowali na skrajniku trwalsze ściany tworzące izbę chorych z prawdziwego zdarzenia. Mimo to komandor widział przez skrzynki Pana Diggle'a przypominające tunel wejście, gdzie urządzili sypialnię dla lady Cisy.

Dyskusja na ten temat trwała przez większość minionego czerwca - Franklin kategorycznie odmawiał przyjęcia Eskimoski na pokład. Crozier ją przyjął, musiał jednak odbywać absurdalne niemal dyskusje z porucznikiem Little'em, dotyczące miejsca do spania dla nieproszonego gościa. Wiedzieli, że nawet eskimoska wiedźma zamrze na śmierć na górnym pokładzie lub na dwóch najniższych, do dyspozycji pozostawał im więc dolny pokład. Ze pewnością nie mogła spać z resztą załogi, choć w tym czasie, dzięki bestii z lodu, mieli już kilka wolnych hamaków.

W czasach gdy Crozier był jeszcze nastolatkiem i służył jako chłopiec okrętowy, a potem aspirant, kobiety przemycane na pokład umieszczane były w pozbawionym światła, śmierdzącym i dusznym pomieszczeniu na cumy, w najniższej i najdalej wysuniętej do przodu części okrętu, w zasięgu dziobówki, gdzie mieli do nich dostęp szczęśliwcy, którzy przemycili je na pokład. Jednak w schowku na cumy na HMS *Terror* nawet w środku czerwca temperatura spadała w tym roku poniżej zera.

Nie, ułożenie jej w jednym pomieszczeniu z załogą nie wchodziło w grę.

Kwatery oficerskie? Być może. Kilku oficerów zginęło, rozerwanych na strzępy przez monstrum, zostały więc puste kajuty. Jednak zarówno porucznik Little, jak i jego komandor szybko doszli do wniosku, że obecność kobiety oddzielonej od śpiących mężczyzn zaledwie kilkoma cienkimi ściankami i przesuwanymi drzwiami byłaby niepożądana.

Cóż mieli więc zrobić? Nie mogli przydzielić jej miejsca obok innych marynarzy i postawić przy niej uzbrojonego strażnika.

To Edward Little wpadł w końcu na pomysł, by przestawić skrzynki z zapasami i utworzyć w ten sposób niewielką kajutę dla Eskimoski w skrajniku, w sąsiedztwie izby chorych. Jedynym człowiekiem, który nie spał przez całą noc, był pan Diggle - który zajmował się niemal bezustannie pieczeniem sucharów i przygotowywaniem kolejnych posiłków dla załogi - a jeśli pana Diggle'a kiedykolwiek interesowały kobiety, to czasy te bez wątpienia należały już do odległej przeszłości. Poza tym, rozumowali porucznik Little i komandor Crozier, dzięki bliskości pieca ich gość nie musiałby obawiać się chłodu.

Rzeczywiście, w tej kwestii mieli całkowitą rację. Nadmierny upał przyprawiał lady Ciszę o chorobę, spała więc zupełnie naga na posłaniu z futer w swej małej jaskini o ścianach ze skrzyń i beczek. Komandor odkrył to przypadkiem, a obraz ten pozostał trwale w jego pamięci.

Crozier zdejmuje lampkę z haczyka, zapala ją, podnosi właz i schodzi na najniższy pokład, nim zacznie się roztopiać jak jeden z tych bloków lodu na piecu.

Twierdzenie, że na najniższym pokładzie jest zimno, byłoby swego rodzaju niedopowiedzeniem, którym Crozier posługiwał się nieświadomie, nim po raz pierwszy dotarł na obszary arktyczne. Zejście sześć stóp poniżej drugiego pokładu oznacza jednocześnie spadek temperatury co najmniej o sześćdziesiąt stopni. Panują tutaj nieprzeniknione ciemności.

Crozier swym zwyczajem przystaje na moment, by rozejrzeć się dokoła. Krąg światła rzucany przez jego lampkę jest niewielki, oświetla głównie kłęby pary wydobywające się z jego ust. Wszędzie dokoła rozciąga się labirynt skrzyń, beczek, beczulek, puszek, pudeł, toreb i okrytych brezentem hałd zapasów. Nawet bez lampy Crozier bez trudu odnalazłby drogę w tej gmatwaninie; zna każdy cal swojego statku. Czasami, szczególnie późną nocą, gdy słysząc wyraźnie jęczenie lodu, Francis Rawdon Moira Crozier uświadamia sobie, że HMS *Terror* jest jego żoną, matką, narzeczoną i dziwką. Ta dama z dębiny i żelaza, pakuł i balastu, brezentu i mosiądzu będzie jego jedyną żoną. Jak mógł sądzić co innego, kiedy poznał Sophie?

Niekiedy znowu, jeszcze głębszą nocą, kiedy jęki lodu zamieniają się w krzyki, Crozierowi wydaje się, że okręt stał się jego ciałem i umysłem. Na zewnątrz - za pokładami i kadłubem - czai się śmierć. Wieczne zimno. Tutaj, choć zamknięte w okowach lodu, wciąż toczy się życie, wciąż słysząc gwar rozmów i śmiech.

Jednak wędrówka w głąb statku, uświadamia sobie komandor, jest niczym zbyt daleka wyprawa w głąb czyjegoś ciała lub umysłu. Można tu napotkać niezbyt przyjemne rzeczy. Najniższy pokład jest brzuchem. Tutaj przechowuje się prowiant i wszelkie inne zapasy, ułożone w takiej kolejności, w jakiej prawdopodobnie będą potrzebne, łatwo dostępne dla tych, którzy schodzą tu poganiani wrzaskami i kopniakami pana Diggle'a. Niżej, na pokładzie ładowni, kryją się jelita i nerki, zbiorniki z wodą, większość zapasów węgla i reszta prowiantu. Bardziej jednak niepokoi Croziera przyrównanie statku do umysłu. Dręczony przez większość życia melancholią, pogłębianą jeszcze przez dwanaście zim spędzonych w obszarach arktycznych, a ostatnio również przez odrzucenie ze strony Sophii Cracroft, Crozier często porównuje częściowo oświetlony i ogrzany pokład do zdrowej części swego umysłu. Ostatnio jednak spędza coraz więcej czasu na najniższym pokładzie - analogii melancholii i smętnych rozmyślań - słuchając krzyków lodu, czekając, aż

metalowe sworznie i mocowania belek trzasną z zimna. Położona jeszcze niżej ładownia, wypełniona ohydny smrodem, za który odpowiada budząca strach Kajuta Zmarłych, to szaleństwo.

Crozier odsuwa od siebie takie myśli. Spogląda na alejkę biegnącą pomiędzy skrzyniami i beczkami ułożonymi na najniższym pokładzie. Światło lampy zatrzymuje się na grodziach magazynu sucharów, a alejki po obu jej stronach przypominają raczej tunele, węższe nawet od zejściówki w kwaterach oficerskich na wyższym pokładzie. By tędy Przejść, trzeba przeciskać się między magazynem sucharów i workami z węglem. Magazyn cieśli znajduje się z przodu, przy sterburcie, magazynek bosmana naprzeciwno, przy burcie lewej.

Crozier odwraca się w stronę rufy. Szczury bez pośpiechu uciekają przed światłem, chowając się między beczkami z solonym mięsem i skrzyniami z puszkami.

Nawet w nikłym świetle lampy widać, że kłódka na drzwiach magazynu rumu jest nienaruszona. Każdego dnia jeden z oficerów schodzi tu, by przynieść dokładnie odmierzoną ilość rumu potrzebną do sporządzenia codziennej porcji grogu dla wszystkich członków załogi - ćwierć pinta siedemdziesięcioprocentowego rumu na trzy ćwierci wody. Przechowuje się tu także wino i brandy oficerów oraz dwieście muszkietów, kordów i szpad. Zgodnie ze zwyczajem przyjętym od stuleci w Królewskiej Marynarce Wojennej włady prowadzą bezpośrednio do mesy oficerskiej i Wielkiej Kajuty położonej nad magazynem rumu. Gdyby na statku wybuchł bunt, oficerowie pierwsi dotarliby do broni.

Dalej znajduje się magazyn artylerzystów, a w nim beczki z prochem i kule. Po obu stronach magazynu rumu są także różnego rodzaju magazynki i schowki, między innymi schowek na linę kotwiczną; magazyn żagli wypełniony płótnem żaglowym oraz magazynek ubrań, z którego pan Helpman, klark, wydaje im okrycia wierzchnie.

Za magazynem rumu i magazynem artylerzystów leży magazyn komandora, zawierający luksusowe dobra, takie jak szynki i sery, należące wyłącznie do Francisa Croziera i zakupione z jego prywatnych funduszy. Zgodnie ze zwyczajem dowódca statku od czasu do czasu podejmuje swych oficerów kolacją i choć wiktuały zamknięte w jego magazynku nie mogą równać się z luksusowymi artykułami upchniętymi w prywatnym schowku zmarłego komandora sir Johna Franklina na Erebusie, spiżarnia Croziera - teraz niemal całkiem pusta - służy mu już przez dwa lata i dwie zimy spędzone w lodzie. Poza tym, myśli Crozier z uśmiechem, ma tę zaletę, że zawiera całkiem przyzwoitą piwniczkę z winem, z której wciąż korzystają oficerowie; oraz wiele butelek whisky, z których korzysta on sam. Biedny komandor, oficerowie i cywile na pokładzie *Erebusa* musieli obchodzić się bez alkoholu przez dwa lata. Sir John Franklin był abstynentem i za jego życia musieli nimi być także wszyscy jego ludzie.

Od strony dziobu zbliża się rozkołysana lekko lampa. Komandor odwraca się i widzi niedźwiedziową postać przeciskającą się między workiem z węglem i grodzią magazynu sucharów.

- Witam, panie Wilson - mówi Crozier, rozpoznając pomocnika cieśli po obfitej tuszy oraz rękawicach z foczego futra i spodniach z jeleniej skóry, które przed wypłynięciem oferowano wszystkim członkom załogi zamiast flanelowych i wełnianych okryć wierzchnich. Prócz Wilsona jednak mało kto zdecydował się na skórzane ubranie. Podczas podróży pomocnik cieśli zszuł także wilcze skóry, które zabrali z duńskiej stacji wielorybniczej w zatoce Disko, w obszerny - lecz ciepły, jak twierdził - kombinezon.

- Witam, panie komandorze. - Wilson, jeden z najgrubszych ludzi na pokładzie, ściska w jednej ręce lampę, pod drugą zaś trzyma kilka skrzynek z narzędziami.

- Panie Wilson, proszę pozdrowić ode mnie pana Honeya i poprosić, by dołączył do mnie na pokładzie ładowni.

- Tak jest, komandorze. W którym miejscu ładowni?

- Przy Kajucie Zmarłych, panie Wilson.

- Tak jest, komandorze. - Światło latarni odbija się w oczach Wilsona, kiedy pomocnik cieśli o sekundę za długo przygląda się z zaciekawieniem komandorowi.

- Proszę też poprosić, by pan Honey przyniósł ze sobą łom, panie Wilson.

- Tak jest, komandorze.

Crozier odsuwa się na bok i wciska pomiędzy dwie beczki, by przepuścić pomocnika. Wie, że być może niepotrzebnie niepokoi cieślę - bez żadnego konkretnego powodu zmusza go do włożenia wierzchniego okrycia tuż przed wygaszeniem świateł - ma jednak przeczucie i woli kłopotać go teraz niż później.

Kiedy Wilsonowi udaje się przecisnąć przez górny właz, komandor Crozier podnosi niższy właz i schodzi na pokład ładowni.

Ponieważ pokład ładowni w całości znajduje się poniżej poziomu lodu, jest tu niemal tak zimno jak na zewnątrz i ciemniej, nie ma tu bowiem zorzy, gwiazd ani księżyca, który choć trochę rozpraszałby mrok. Powietrze przesycane jest pyłem węglowym i dymem - Crozier przygląda się przez chwilę drobinom węgla, które krążą wokół jego lampy niczym szpony upiора - oraz smrodem ścieków. Z ciemności od strony rufy dobiegają jakieś zgrzyty, trzaski i szuranie, Crozier wie jednak, że to odgłosy przerzucania węgla do kotłowni. Tylko szczątkowe ciepło tego kotła sprawia, że trzy cale brudnej wody chlupoczącej u podstawy schodów nie zamieniają się w lód. Nieco dalej, gdzie dziób zanurzony jest głębiej w lodzie, woda ma już głębokość stopy, choć ludzie pracują przy pompach co najmniej sześć godzin dziennie. *Terror*, jak każde żywe stworzenie, wydziela wilgoć, wytwarzaną między innymi przez pracujących bez wytchnienia piec pana Diggle'a, i podczas gdy dolny pokład jest wiecznie wilgotny i oszroniony, a najniższy - zamrznięty, ładownia to paskudny loch, w którym sople zwisają z każdej belki, a pod nogami chlupocze lodowata woda. Temperaturę obniża także dwadzieścia jeden żelaznych zbiorników z wodą, ustawionych wzdłuż ścian kadłuba. Wypełnione na początku podróży trzydziestoma ośmioma tonami słodkiej wody zbiorniki są teraz zakutymi w zbroje górami lodowymi, a każdy, kto spróbuje dotknąć ich żelaznej powierzchni, straci fragment skóry.

Magnus Manson czeka przy schodach, zgodnie z tym, co mówił szeregowiec Wilkes, jednak olbrzymi marynarz nie siedzi, a stoi z pochyloną głową i ramionami, które nie mieszczą się w niskim przejściu. Jego blada, guzowata twarz i pokryte zarostem policzki przypominają Crozierowi obrany zgniły ziemniak wciśnięty pod uszanke. Marynarz unika wzroku komandora.

- O co chodzi, Manson? - Komandor nie używa ostrego tonu, którym zwracał się do swego porucznika. Przemawia opanowanym, pewnym siebie głosem, za którym kryje się groźba chłosty i powieszenia.

- O te duchy, komandorze. - Magnus Manson ma zaskakująco cienki, niemal dziecięcy głos. Kiedy *Terror* i *Erebus* zatrzymały się w zatoce Disko przy zachodnim wybrzeżu Grenlandii w czerwcu tysiąc osiemset czterdziestego piątego roku, komandor sir John Franklin uznał za stosowne zwolnić dwóch ludzi - szeregowca piechoty morskiej i żaglomistrza z *Terroru* Crozier zasugerował, by zwolniono z jego statku także marynarza Johna Browna i szeregowca Aitkena - poruszali się jak inwalidzi i nigdy nie powinni byli zostać dopuszczeni do udziału w takiej podróży - później jednak żałował, że wraz z tamtą czwórką nie odesłał do domu także Mansona. Czasami trudno było stwierdzić, czy człowiek ów jest upośledzony umysłowo, czy tylko beznadziejnie głupi.

- Manson, wiesz, że na *Terrorze* nie ma żadnych duchów.

- Tak jest, komandorze.

- Spójrz na mnie.

Manson podnosi głowę, lecz nadal unika wzroku Croziera. Jego oczy wydają się zdumiewająco małe na tle okrągłej bladej twarzy.

- Czy odmówiłeś wykonania rozkazu pana Thompsona i nie zaniósłeś węgla do kotłowni, marynarzu Manson?

- Nie, proszę pana. Tak, proszę pana.

- Wiesz, jakie są konsekwencje odmowy wykonania rozkazu na tym statku? - Crozier czuje się tak, jakby przemawiał do małego chłopca, choć Manson ma co najmniej trzydzieści lat. Twarz marynarza rozpromienia się nagle; wreszcie usłyszał pytanie, na które może bez trudu odpowiedzieć:

- Tak jest, komandorze. Chłosta. Dwadzieścia batów. Sto batów, jeśli odmówię drugi raz. Powieszenie, jeśli nie posłucham prawdziwego oficera, a nie pana Thompsona.

- Zgadza się. - Crozier kiwa głową. - A czy wiedziałeś, że komandor może także wymierzyć każdą karę, jaką uzna za stosowną w odniesieniu do przewinienia, którego się dopuściłeś?

Manson spogląda nań z zakłopotaniem. Nie zrozumiał pytania.

- Mówię, że mogę ukarać cię, jak tylko zechcę, Manson - mówi komandor.

Na twarzy marynarza maluje się wyraz ulgi.

- Tak, jasne, panie komandorze.

- Zamiast dwudziestu batów - kontynuuje Francis Crozier - mógłbym kazać cię zamknąć na dwadzieścia godzin w Kajucie Zmarłych bez żadnego światła.

Z białej twarzy Mansona odpływają resztki krwi, robi się tak blady, że Crozier odsuwa się lekko na bok w obawie, że marynarz lada moment zemdleje.

- Nie... nie zrobiłbyś pan... - Dziecięcy głos zaczyna się łamać, jakby Manson był bliski płaczu.

Crozier milczy przez dłuższą chwilę, w ciszy słysząc tylko syk płomienia jego lampy. Pozwala, by marynarz dobrze przyjrzał się jego twarzy. Wreszcie mówi:

- Jak myślisz, co to za odgłosy, Manson? Ktoś opowiadał ci historie o duchach?

Manson otwiera usta, przez chwilę jednak milczy, jakby nie mógł zdecydować się, na które pytanie odpowiedzieć najpierw. Na jego dolnej wardze tworzy się warstwa lodu.

- Walker - mówi wreszcie.

- Boisz się Walkera?

James Walker, przyjaciel Mansona, jego rówieśnik i niemal taki sam idiota, zginął tydzień wcześniej, był ostatnią ofiarą lodowego monstrum. Przepisy wymagały, by załoga utrzymywała drożne otwory w lodzie w pobliżu okrętu, nawet jeśli lód miał dziesięć lub piętnaście stóp grubości, by w razie pożaru na pokładzie było czym ugasić ogień. Walker wraz z dwójką pomocników wypełniał właśnie takie zadanie, otwierając na nowo stary otwór, który zamarzłby w niecałą godzinę, gdyby nie wzmocniono go metalowymi kołkami. Biały potwór wypadł zza wału lodowego, w mgnieniu oka oderwał ramię marynarza i zmiażdżył mu żebra, a następnie zniknął w ciemnościach, nim uzbrojeni strażnicy na pokładzie zdążyli podnieść strzelby.

- Walker opowiadał ci historie o duchach? - pyta Crozier.

- Tak jest, komandorze. Nie, komandorze. Jimmy powiedział mi dzień przed tym, jak to coś go zabiło: „Magnus, gdyby kiedyś dopadło mnie to diabelskie nasienie z lodu - mówił - wrócę do ciebie i wyszepeczę ci do ucha, jak zimno jest w piekle”. Bóg mi świadkiem, komandorze, właśnie to powiedział mi Jimmy. A teraz słyszę, jak próbuje się stamtąd wydostać.

Jakby na zawołanie kadłub skrzypi, zamrożony pokład pod ich stopami jęczy głucho, później przylaczają się do nich żelazne klamry na belkach. W ciemności rozlega się głośny zgrzyt i drapanie

obejmujące cały okręt. Łód jest niespokojny.

- Właśnie ten dźwięk cię niepokoi, Manson?

- Tak, komandorze. Nie, komandorze.

Kajuta Zmarłych znajduje się trzydzieści stóp dalej przy sterburcie, tuż za ostatnim zbiornikiem z wodą, kiedy jednak ustaje hałas dochodzący z zewnątrz, Crozier słyszy jedynie zgrzyt i szuranie łopat w kotłowni.

Ma dość tych bzdur.

- Wiesz, że twój przyjaciel nie wróci, Magnus. Leży w magazynie, we własnym hamaku, wraz z innymi zmarłymi, zamrożony na kość i owinięty szczelnie trzema warstwami naszego najgrubszego płótna żaglowego. Jeśli słyszysz jakieś dźwięki dobiegające z tamtej kajuty, to możesz być pewny, że to tylko szczury, które próbują się do nich dostać. Dobrze o tym wiesz, Magnusie Mansonie.

- Tak jest, komandorze.

- Nie będę tolerował nieposłuszeństwa na tym okręcie, marynarzu Manson. Musisz podjąć teraz decyzję. Przynoś węgiel, kiedy pan Thompson ci każe. Schodź po zapasy na najniższy pokład, kiedy pan Diggle cię tam wyśle. Wykonuj wszystkie rozkazy szybko i bez słowa sprzeciwu. Inaczej staniesz przed sądem... przede mną... a potem spędzisz zimną, ciemną noc w Kajucie Zmarłych.

Manson bez słowa saltuje, podnosi wielki worek z węglem i ciągnie go w stronę rufy, w ciemność.

Mechanik, ubrany tylko w sztruksowe spodnie i podkoszulek z długim rękawem, pracuje łopata obok czterdziestosiedmioletniego palacza, Billa Johnsona. Drugi palacz, Lukę Smith, jest na dolnym pokładzie, gdzie odpoczywa przed swoim dyżurem. Główny palacz *Terroru*, młody John Torrington, zmarł pierwszego stycznia 1846 roku, jako pierwsza ofiara ekspedycji. Była to jednak śmierć z przyczyn naturalnych. Wyglądało na to, że lekarz Torringtona namówił dziewiętnastolatka, by wybrał się na morską wyprawę i w ten sposób wyleczył nękającą go gruźlicę. Młodzieniec zmarł po dwóch miesiącach spędzonych w łóżku, kiedy to ich okręty stały uwięzione w lodzie przy wyspie Beechey, tamtej pierwszej zimy. Doktor Peddie i McDonald powiedzieli Crozierowi, że płuca chłopaka były wypełnione pyłem węglowym tak szczelnie jak kieszenie kominiarza.

- Dziękuję, komandorze - mówi młody mechanik, przerzucając węgiel. Marynarz Manson zrzucił właśnie na ziemię drugi worek z węglem i ruszył po trzeci.

- Proszę bardzo, panie Thompson. - Crozier zerka na palacza Johnsona. Bill Johnson jest od niego cztery lata młodszy, ale wygląda na trzydzieści lat starszego. Każda zmarszczka na jego twarzy wypełniona jest warstwą czarnego pyłu. Nawet jego bezzębne dziąsła są szare. Crozier nie chce udzielać reprimendy swemu mechanikowi w obecności palacza, mówi jednak:

- Mam nadzieję, że nie będziemy już więcej wykorzystywać żołnierzy jako posłańców, gdyby podobna sytuacja zaistniała w przyszłości, w co bardzo wątpię.

Thompson kiwa głową, łopata zamyka żelazne drzwi kotła, opiera się o stylisko i prosi Johnsona, by poszedł na górę i przyniósł mu trochę kawy od pana Diggle'a. Crozier jest zadowolony z odejścia palacza, ale jeszcze bardziej cieszy go fakt, że drzwi kotła są zamknięte; gwałtowne przejście z mrozu w upał przyprawia go o mdłości.

Spoglądając na swego mechanika, komandor zastanawia się nad dziwnymi kolejami jego losu. Bosman James Thompson, mechanik pierwszej klasy, absolwent prestiżowej Akademii Marynarki Wojennej w Woolwich - najlepszej na świecie uczelni dla mechaników specjalizujących się w napędzie parowym - stoi tu rozebrany do brudnego podkoszulka i macha łopata jak zwykły palacz, na pokładzie skutego lodem okrętu, który od ponad roku nie ruszył z miejsca.

- Panie Thompson - mówi Crozier - żałuję, że nie miałem okazji porozmawiać z panem, odkąd wrócił pan z *Erebusa*. Udało się panu spotkać z panem Gregorym?

John Gregory to pierwszy mechanik na okręcie flagowym.

- Owszem, komandorze. Pan Gregory przekonał mnie, że gdy nadejdzie prawdziwa zima, nigdy nie uda im się dostać do zniszczonego wału. Nawet gdyby zdołali wykopać tunel i wymienić ostatnią śrubę na tę, którą naprawili, z takim krzywym wałem *Erebusi* tak nigdzie nie popłynie.

Crozier kiwa głową. *Erebus* wykrzywił drugi wał, kiedy przed ponad rokiem statek rzucał się desperacko po lodzie. Okręt flagowy - cięższy i dysponujący mocniejszym silnikiem - prowadził ich tamtego lata przez lód, otwierając drogę obu okrętom. Jednak lód, na który się natknęli, nim zamarzli na ostatnie trzynaście miesięcy, był twardszy niż żelazo w eksperymentalnej śrubie i wale. Nurkowie, którzy zeszli wtedy pod wodę - wszyscy doświadczyli poważnych odmrożeń i ledwie uszli z życiem - potwierdzili, że śruba rozpadła się na kawałki, a wał wygiął się i pękł.

- Co z węglem? - pyta dalej komandor.

- Na *Erebusie* wystarczy go na... być może... cztery miesiące ogrzewania w lodzie, zakładając, że gorąca woda będzie krążyć na dolnym pokładzie tylko przez godzinę dziennie, komandorze. Nie zostanie ani funt na uruchomienie silnika przyszłego lata.

Jeśli uda nam się stąd wtedy wyrwać, myśli Crozier. Po doświadczeniach zeszłego lata, kiedy lody nie puściły ani na dzień, jest pesymistą.

Franklin zużywał zapasy węgla na *Erebusie* w zastraszającym tempie, szczególnie podczas tych ostatnich tygodni wolności latem 1846 roku, kiedy był przekonany, że jeśli uda mu się przebić przez ostatnich kilka lodu, ekspedycja dotrze w końcu do otwartych wód Przejścia Północno-Zachodniego przy północnym wybrzeżu Kanady, i że jesienią będą już popijać herbatę w Chinach.

- A co z naszymi zapasami? - pyta Crozier.

- Może wystarczy nam na sześć miesięcy ogrzewania - odpowiada Thompson. - Ale tylko jeśli zmniejszymy czas cyrkulacji z dwóch godzin do jednej. Radzę, żebyśmy zrobili to jak najszybciej, nie później niż pierwszego listopada.

Czyli za niecałe dwa tygodnie.

- A napęd?

Jeśli lód w ogóle ustąpi następnego lata, Crozier zamierza przenieść wszystkich pozostałych przy życiu ludzi z *Erebusa* na pokład *Terroru* i wrócić do domu tą samą drogą, którą tu przyплыnęli - wpłynąć ponownie w nienazwaną cieśninę między półwyspem Boothia i Wyspą Księcia Walii, którą pokonali tak szybko dwa lata temu, potem minąć Walker Point i Cieśninę Barrowa, wystrzelić z Cieśniny Lancastera jak korek z butelki, popędzić pod pełnymi żaglami na południe, do Zatoki Baffina, najszybciej, jak to możliwe, paląc resztki zapasów węgla, zapasowe drzewca, a w razie potrzeby i meble, byle tylko dostać się na otwarte wody Grenlandii, gdzie mogliby ich znaleźć wielorybnicy.

Jednak nawet jeśli zdarzy się cud i uda im się wyrwać z tych lodów, będą potrzebowali napędu parowego, by przebić się na północ przez płynący na południe lód, do Cieśniny Lancastera. Crozier i James Ross wypłynęli kiedyś *Erebus*em i *Terrorem* z lodów bieguna południowego, ale płynęli wtedy wraz z prądami i górami lodowymi. Tutaj, w przeklętej Arktyce, okręty muszą przez kilka tygodni płynąć pod prąd, by dotrzeć do cieśnin, które otwierają im drogę ucieczki na otwarte morze.

Thompson wzrusza ramionami. Wygląda na wyczerpanego.

- Jeśli wyłączymy ogrzewanie na Nowy Rok i zdołamy jakoś przetrwać do następnego lata, zostanie nam węgla na jakieś... sześć dni żeglugi bez lodu? Pięć?

Crozier znów tylko kiwa głową. Z pewnością jest to wyrok śmierci dla jego statku, niekoniecznie jednak dla ludzi na obu statkach. Z ciemnego korytarza dobiega jakiś dźwięk.

- Dziękuję, panie Thompson. - Komandor zdejmuje lampkę z haczyka, opuszcza ciepły blask kotłowni i wchodzi w mrok wypełniony chłupotem zimnej wody.

Thomas Honey czeka na korytarzu, oświetlony migotliwym blaskiem lampki. Jego dłonie, okryte grubymi rękawicami, zaciskają się na łomie, który trzyma przed sobą niczym muszkiet. Nie otworzył jeszcze drzwi Kajuty Zmarłych.

- Dziękuję, że zechciał pan się pofatygować, panie Honey - mówi Crozier do swego cieśli.

Bez słowa wyjaśnienia komandor odsuwa rygle na drzwiach Kajuty Zmarłych i wchodzi do zimnego wnętrza.

Nie mogąc oprzeć się pokusie, podnosi lampkę i oświetla sześć owiniętych płótnem żaglowym ciał, ułożonych na grodzi.

Wydaje się że sterta zwłok bez ustanku drży i wije się w miejscu. Crozier spodziewał się tego - spodziewał się, że zobaczy ruch szczurów od płótnem - uzmysławia sobie jednak, że patrzy na zbitą masę szczurów okrywających żeglarski całun z zewnątrz. Ma przed sobą sześcian szczurzych ciał, wznoszący się ponad cztery stopy nad pokład. Setki, może tysiące gryzoni, kotłują się w miejscu, walcząc o dostęp do ciał. Szczury biegają także po podłodze, między nogami Croziera i cieśli. Biegna na bankiet, myśli Crozier. I wcale nie boją się światła lampy.

Crozier odwraca się do ściany kadłuba, podchodzi w górę niewielkiej pochyłości powstałej w wyniku przechylenia statku na lewą burtę i idzie powoli wzdłuż drewnianej krzywizny poszycia.

Jest.

Podnosi wyżej lampę.

- A niech mnie diabli porwą do piekła i powieszą jak poganina - mówi głośno Honey. - Pan wybaczy, komandorze, ale nie sądziłem, że łód może to zrobić tak szybko.

Crozier nie odpowiada. Kuca, by przyrzuć się lepiej wygiętemu poszyciu.

Deski kadłuba zostały wgięte do środka, wybrzuszą się o ponad stopę w stosunku do właściwej krzywizny. Wewnętrzne warstwy desek są popękane, co najmniej dwie z nich wiszą luźno.

- Jezu Chryste, wszechmocny Boże - mówi cieśla, który przykucnął obok komandora. - Ten łód to prawdziwy skurwiel... Pan wybaczy, panie komandorze.

- Panie Honey - odzywa się w końcu Crozier, obserwując mimowolnie, jak kryształki jego oddechu osiadają na deskach. - Czy cokolwiek innego niż łód mogłoby dokonać takich zniszczeń?

Cieśla wybucha śmiechem, milknie jednak szybko, uświadamiając sobie, że komandor wcale nie żartuje. Otwiera szeroko oczy, potem je mruży.

- Pan wybaczy, komandorze, ale jeśli ma pan na myśli... To niemożliwe.

Crozier milczy.

- Komandorze, ten kadłub to trzy cale najlepszej angielskiej dębiny, specjalnie na tę podróż, to jest, ze względu na łód, dołożono dwie warstwy afrykańskiego dębu, każdy grubości półtora cala. A te afrykańskie nałożone są na niższe warstwy ukośnie, więc są jeszcze silniejsze, niż gdyby położono je normalnie, jedna na drugą.

Crozier przygląda się zniszczonym deskom, starając się przy tym nie zwracać uwagi na rzekę szczurów opływającą ich stopy i na odgłosy erowania dobiegające z ciemności.

- Co więcej, panie komandorze - kontynuuje Honey chrapliwym głosem - na te trzy cale angielskiego dębu i trzy cale afrykańskiego dębu położyli jeszcze dwie warstwy kanadyjskiego wiazu, każdy grubości dwóch cali. To następne cztery cale kadłuba, panie komandorze, w dodatku nałożone ukośnie na afrykański dąb. W sumie mamy tu pięć warstw poszycia... dziesięć cali

najtwardszego drewna na ziemi.

Cieśla milknie, uświadamiając sobie, że opowiada komandorowi o szczegółach prac, których Crozier osobiście doglądał przez kilka miesięcy przed rozpoczęciem wyprawy.

Komandor wstaje i przykłada dłoń do naruszonej warstwy desek. Kryje się pod nimi co najmniej cał wolnej przestrzeni.

- Proszę odłożyć lampę, panie Honey, i podważyć łomem te deski. Chcę zobaczyć, co łód zrobił z zewnętrzną warstwą poszycia.

Cieśla wykonuje jego polecenie. Przez kilka minut skrzypienie odrywanych desek i postępowanie cieśli niemal zagłuszają odgłosy szczurzej uczty. Wybrzuszony kanadyjski wiąz odrywa się od ściany i opada na podłogę. Łom radzi sobie także z pękniętym afrykańskim dębem. Zostaje tylko zewnętrzna, oryginalna warstwa dębiny. Crozier podchodzi bliżej i trzyma lampę tak, by obaj mężczyźni mogli dokładnie obejrzeć uszkodzenia.

Blask płomienia odbija się w lodowych odłamkach wyzierających spod uszkodzonych desek, pośrodku jednak widać coś znacznie bardziej niepokojącego - ciemność. Czerń. Dziurę w lodzie. Tunel.

Honey odgina kawałek spękanej deski na bok, by Crozier mógł przysunąć bliżej lampę.

- Jezu Chryste i wszyscy święci... Niech mnie jasny szlag trafi... - szepcze cieśla. Tym razem nie prosi kapitana o wybaczenie.

Crozier ma ochotę oblizać spierzchnięte usta, wie jednak, że w temperaturze minus pięćdziesięciu stopni Fahrenheita byłoby to bardzo bolesne. Serce wali mu jednak tak mocno, że ma ochotę oprzeć się dłonią o kadłub, podobnie jak zrobił to właśnie cieśla.

Lodowate powietrze z tunelu wpada do statku tak szybko, że omal nie gasi lampki. Crozier musi przysłonić ją dłonią. Migotliwy płomyk rzuca na ściany ładowni roztańczone cienie obu mężczyzn.

Dwie długie deski zewnętrznego poszycia zostały wyłamane i wepchnięte do wnętrza okrętu przez jakąś niewyobrażalną, ogromną siłę. W drżącym świetle lampy widać wyraźnie ślady ogromnych pazurów wyryte w drewnie - ślady pazurów wypełnione smugami nieprawdopodobnie czerwonej krwi.

GOODSIR

75°12' szerokości geograficznej północnej, 61°6' długości geograficznej zachodniej.
Zatoka Baffina, lipiec 1845.

Z prywatnego dziennika doktora Harry'ego D.S. Goodsira:

11 kwietnia 1845

W liście do mojego brata napisałem dzisiaj: „Wszyscy oficerowie mają ogromną nadzieję, że uda im się przepłynąć i że pod koniec przyszłego lata będą już na Pacyfiku”.

Wiem, że ktoś mógłby to uznać za egoizm, ale osobiście żywię nadzieję, iż minie trochę więcej czasu, nim nasza wyprawa dotrze do Alaski, Rosji, Chin i ciepłych wód Pacyfiku. Choć komandor sir John Franklin powierzył mi stanowisko asystenta lekarza pokładowego, w gruncie rzeczy nie jestem zwykłym lekarzem, lecz doktorem nauk medycznych, i muszę wyznać, że podczas tej podróży pragnąłbym zostać chociaż początkującym przyrodnikiem. Wprawdzie nie mam żadnych osobistych doświadczeń z arktyczną florą i fauną, zamierzam zapoznać się z tymi formami życia w lodowej krainie, ku której wyruszymy już za miesiąc. Szczególnie interesują mnie białe niedźwiedzie, choć większość opowieści o tym zwierzęciu, które słyszy się z ust wielorybników i starych arktycznych wyg, zbyt przypomina bajki, by mogła być prawdziwa.

Jestem świadom, że niniejszy dziennik trudno nazwać formalnym - w Oficjalnym Dzienniku Pokładowym, który zacznę prowadzić za miesiąc, gdy wypłyniemy z portu, będę zapisywał wszystkie istotne wydarzenia i obserwacje, których dokonam na pokładzie HMS Erebus jako pomocnik lekarza okrętowego i jako członek ekspedycji sir Johna Franklina w poszukiwaniu Przejścia Północno-Zachodniego - uważam jednak, że trzeba czegoś więcej, jakiejś bardziej osobistej relacji, i nawet gdyby po moim powrocie nikt nie miał tego przeczytać, moim obowiązkiem - względem siebie samego i innych - jest prowadzić te zapiski.

W tej chwili wiem jedynie, że moja wyprawa z komandorem sir Johnem Franklinem będzie dla mnie życiowym doświadczeniem.

Niedziela, 18 maja 1845

Wszyscy uczestnicy wyprawy są już na pokładzie i choć trwają jeszcze ostatnie przygotowania do jutrzejszego wypłynięcia - związane w głównej mierze z załadunkiem ponad ośmiu tysięcy puszek zjedzeniem, które przy były do portu w ostatniej chwili, o czym poinformował mnie uprzejmie komandor porucznik Fitzjames - sir John odprawił dziś nabożeństwo dla wszystkich obecnych na pokładzie Erebusa i dla tych członków załogi Terroru, którzy zechcieli się do nas przyłączyć. Zauważyłem, że nie było wśród nich komandora Terroru, Irlandczyka o nazwisku Crozier.

Każdy, kto uczestniczył w długim nabożeństwie i wysłuchał bardzo długiego kazania sir Johna, był z pewnością głęboko poruszony. Zastanawiam się, czy jakikolwiek statek, należący do floty jakiegokolwiek państwa, miał kiedykolwiek za komandora tak religijnego człowieka. Nikt chyba nie wątpi, że podczas czekającej nas podróży będziemy spoczywać bezpiecznie w rękach Boga.

19 maja 1845 Cóż to był za dzień!

Jako że nigdy dotąd nie pływałem po morzu, a tym bardziej nie byłem członkiem tak głośnej ekspedycji, nie miałem pojęcia, czego się spodziewać, nic jednak nie mogłoby mnie przygotować na chwałę tego dnia.

Komandor porucznik Fitzjames szacuje, że w dokach Greenhithe zgromadziło się ponad dziesięć tysięcy widzów i ważnych osobistości, które przyszły nas pożegnać.

Kolejne osobistości wygłaszały przemówienie za przemówieniem, aż zacząłem się obawiać, czy zdołamy wypłynąć z portu, nim słońce opuści letnie niebo. Zagrały orkiestry. Lady Jane - która przebywała do tej pory na pokładzie z sir Johnem - zeszła po trapie przy akompaniamencie głośnych „Hurra!” wydobywających się z gardeł ponad sześćdziesięciu członków załogi Erebusa. Znow zagrały orkiestry. Potem, gdy zaczęto oddawać cumy, podniosły się brawa i krzyki i przez kilka minut w porcie panował taki hałas, że nawet gdyby sir John wykrzyczał mi do ucha jakiś rozkaz, i tak bym go nie usłyszał.

Zeszłego wieczora porucznik Gore i główny lekarz okrętowy Stanley byli na tyle uprzejmi, by poinformować mnie, że zgodnie z marynarskim zwyczajem oficerowie nie okazują na pokładzie statku żadnych emocji, więc choć jestem oficerem tylko teoretycznie, stałem w szeregu oficerów odzianych w piękne, błękitne mundury i starałem się powstrzymać od wszelkich przejawów radości, choć nie było to łatwe.

Prawdę mówiąc, tylko my zachowaliśmy się w ten sposób. Marynarze krzyczeli, machali chusteczkami i wspinali się na liny. Widziałem też, że w odpowiedzi macha im chusteczkami wiele rumianych dziewcząt stojących na nabrzeżu. Nawet komandor sir John Franklin machał czerwonozieloną chusteczką do lady Jane, swojej córki Eleanor i swojej siostrzenicy Sophii Cracroft, które także machały do niego, dopóki nasz drugi statek, Terror, nie zasłonił nabrzeża.

Teraz ciągną nas parowe holowniki. Podczas tego etapu podróży towarzyszy nam HMSRattler, potężna fregata parowa, a także wynajęty transportowiec, wiozący nasze zapasy, Baretto Junior.

Tuż przed tym, jak Erebus odsunął się od nabrzeża, na głównym maszcie przysiadła gołębica. Córka sir Johna z pierwszego małżeństwa, Eleanor - doskonale widoczna z pokładu statku dzięki jasnozielonej sukni i szmaragdowej parasolce - próbowała o tym powiedzieć sir Johnowi, jednak krzyki i muzyka zagłuszały jej głos. Potem wskazała na maszt, a sir John i wielu innych oficerów spojrzeli w górę, uśmiechnęli się i pokazali gołębicę innym ludziom obecnym na pokładzie.

W połączeniu ze słowami, które padły wczoraj podczas nabożeństwa, jest to, jak mniemam, najlepszy z możliwych znaków.

4 lipca 1845

Mamy za sobą straszną przeprawę przez północny Atlantyk do Grenlandii.

Przez trzydzieści sztormowych dni wzburzone morze miało naszym statkiem na wszystkie strony, kołysało nim i ciągnęło raz w górę, raz w dół. Kiedy okręt zjeżdżał z fali, szczególnie zamknięte iluminatory na obu burtach wystawały zaledwie cztery stopy nad wodę. Czasami prawie w ogóle nie posuwaliśmy się do przodu. Cierpiałem na chorobę morską przez dwadzieścia osiem spośród ostatnich trzydziestu dni. Porucznik Le Vesconte mówi mi, że ani razu nie udało nam się rozwinąć prędkości większej niż pięć węzłów, co - jak sam twierdzi - nazwać należy ślimaczym tempem dla zwykłego żaglowca, nie mówiąc już o takim cudzie techniki jak Erebus, wyposażonym,

podobnie jak nasz drugi statek, *Terror*, w potężny silnik parowy.

Trzy dni temu okrążyliśmy przylądek *Farewell* na południowym krańcu Grenlandii i muszę wyznać, że widok tego olbrzymiego kontynentu, jego skalnych urwisk i bezkresnych lodowców schodzących prosto do morza ciąży mi na duchu niemal tak samo, jak nieustanne kołysanie ciążyło mi na żołądku.

Dobry Boże, jakież to jałowe, zimne miejsce! A mamy przecież *Upiec*.

Nasze morale jest jednak wysokie; wszyscy wierzą w umiejętności i doświadczenie sir Johna. Wczoraj porucznik *Fairholme*, najmłodszy z naszych oficerów, powiedział mi w zaufaniu: „Nigdy jeszcze nie pływałem z komandorem, który wydawałby mi się tak życzliwy i koleżeński”.

Dziś zawinęliśmy do duńskiej stacji wielorybniczej w zatoce *Disko*. Marynarze przenoszą właśnie tony zapasów z *Baretto Junior*, zarżnięto też dziesięć wołów wiezionych na pokładzie tego statku. Wieczorem wszyscy uczestnicy ekspedycji z obu statków będą mogli się raczyć świeżym mięsem.

Dziś zwolniono z ekspedycji czterech ludzi - za radą naszych czterech lekarzy - którzy wrócą do Anglii na pokładzie statku transportowego i holownika. Jest wśród nich jeden człowiek z *Erebusa* - niejaki *Thomas Burt*, okrętowy rusznikarz - oraz trzech z *Terroru* - szeregowiec *Aitken*, marynarz *John Brown* i główny żaglomistrz *Terroru*, *James Elliott*. Oznacza to, że w sumie na obu statkach płynie 129 ludzi.

Dziś po południu nad wszystkim unosił się zapach suszonych ryb od *Duńczyków* i chmury pyłu węglowego - z *Baretto Junior* przeniesiono setki worków z węglem - a marynarze na pokładzie *Erebusa* szorują do czysta pokład za pomocą kamieni nazywanych przez nich cegielkami, zachęcani do czynu okrzykami oficerów. Pomimo dodatkowej pracy wszyscy są w doskonałych humorach, uradowani perspektywą wieczornej uczty i dodatkowych porcji grogu.

Prócz czterech ludzi zwolnionych z ekspedycji *Baretto Junior* zawiezie do domu oficjalne sprawozdania z czerwca, depesze i listy członków załogi. Przez kilka następnych dni wszyscy będą zajęci pisaniami.

Następne listy, które dotrą do naszych bliskich, zostaną wysłane z Rosji lub Chin!

12 lipca 1845

Znów opuszczamy port, tym razem prawdopodobnie po raz ostatni przed osiągnięciem *Przejęcia Północno-Zachodniego*. Rankiem oddaliśmy cumy i opuściliśmy Grenlandię, wyruszając na zachód, podczas gdy załoga *Baretto Junior* pożegnała nas trzema gromkimi „Hurra!” i pomachała nam czapkami. Byli to zapewne ostatni biali ludzie, jakich mieliśmy okazję zobaczyć przez przybyciem na Alaskę.

26 lipca 1845

Dwa statki wielorybnicze - *Prince of Wales* z *Enterprise* - zarzuciły kotwice w pobliżu miejsca, gdzie nasze okręty przycumowały do dryfującej góry lodowej. Dzięki temu mogłem przez kilka godzin rozmawiać z komandorami i marynarzami o białych niedźwiedziach.

Dziś rano miałem też okazję - jeśli nie przyjemność - wspiąć się na tę olbrzymią górę lodową. Wczoraj wdrapali się na nią żeglarze, którzy siekierami wyrąbali w litym lodzie schody i przymocowali liny dla mniej zręcznych wspinaczy. Sir John kazał urządzić obserwatorium na szczycie tego giganta, który co najmniej dwukrotnie przewyższa wysokością nasz najwyższy maszt,

i podczas gdy porucznik Gore i kilku oficerów z Terroru dokonują tam pomiarów atmosferycznych i astronomicznych - marynarze postawili namiot dla tych, którzy spędzają noc na szczycie - lodomistrzowie naszej ekspedycji, pan Reid z Erebusa i pan Blanky z Terroru, niemal przez cały dzień obserwują przez lunety morze na północy i zachodzie, szukając, jak mnie poinformowano, najdogodniejszej drogi przez warstwę lodu, która już się tam uformowała. Edward Couch, nasz wiarygodny i elokwentny drugi oficer, objaśnił mi, że o tej porze roku jest już trochę późno na szukanie jakiegokolwiek przejścia przez lód, nie mówiąc już o osławionym Przejściu Północno-Zachodnim.

Widok Erebusa z Terroru zacumowanych do góry lodowej poniżej nas, gąszczu sznurów - które teraz, jako doświadczony już marynarz, powinienem zawsze nazywać „linami” - mocujących oba okręty do góry, najwyższych bocianich gniazd obu statków położonych poniżej mego punktu obserwacyjnego - wszystko to przyprawiło mnie o szybsze bicie serca i zawroty głowy.

To było naprawdę niezwykle doświadczenie - stanąć kilkaset stóp nad poziomem morza. Szczyt góry lodowej miał powierzchnię równą niema powierzchni boiska do krykieta, a namiot, w którym mieściło się nasze obserwatorium meteorologiczne, wyglądał naprawdę osobliwie na tle niebieskiego lodu - jednak moje nadzieje na kilka chwil cichego zamyślenia legły w gruzach, zniszczone nieustannym hukim wystrzałów. Ludzie stojący na szczycie góry lodowej zabijali ptaki - rybitwy popielate, jak mnie poinformowano. Sterty zastrzelonego ptactwa mają być teraz osobne i zamknięte w magazynach, choć niebiosy tylko wiedzą, gdzie zmieszczą się te dodatkowe zapasy, ponieważ oba nasze okręty wypełnione są po brzegi prowiantem.

Doktor McDonald, pomocnik lekarza okrętowego na HMS Terror - a więc mój odpowiednik na tamtym statku - uważa, że solona żywność nie jest tak pożywna i nie zapobiega skorbutowi w takim stopniu, jak świeże i nieosolone wiktuały, a ponieważ marynarze służący na pokładzie obu okrętów wolą soloną wieprzowinę od innych potraw, doktor McDonald niepokoi się, iż solone ptaki nie pomogą nam w walce ze skorbutem. Jednakże Stephen Stanley, nasz lekarz okrętowy z Erebusa, twierdzi, że nie ma powodów do obaw. Przypomina, że oprócz 10 000 tysięcy skrzynek konserwowego mięsa, które wieziemy na Erebusie, nasze zapasy obejmują także gotowaną i pieczoną baraninę, cielęcinę, różnego rodzaju warzywa, między innymi ziemniaki, marchew, pasternak i mieszanki warzywne, szeroki wybór zup oraz 9450 funtów czekolady. Wieziemy również niemal tyle samo - 9300 - funtów soku cytrynowego, będącego naszym najważniejszym środkiem zapobiegającym skorbutowi. Stanley informuje mnie jednak, że choć sok ten został osłodzony sową porcją cukru, zwykli marynarze go nie cierpią, a jednym z naszych głównych zadań jako lekarzy podczas tej wyprawy jest dopilnować, by wszyscy wypijali regularnie swoje porcje.

Zainteresował mnie fakt, że oficerowie i marynarze z obu okrętów polują, niemal wyłącznie korzystając ze śrutówek. Porucznik Gore zapewnia mnie, że oba okręty zaopatrzone są w pełny arsenał muszkietów. Oczywiście użycie śrutówek ma sens tylko podczas polowania na ptaki takie jak te, które zabijano setkami dzisiaj, ale nawet w zatoce Disko, kiedy małe grupki myśliwych wyruszały na polowanie na karibu i lisy polarne, wszyscy - nawet marynarze bez wątpienia umiejący posługiwać się muszkietem - zabierali ze sobą właśnie śrutówki. Oczywiście musi to być raczej kwestia nawyku niż preferencji - oficerowie to w większości angielscy dżentelmeni, którzy podczas polowania nigdy nie używają muszkietów ani zwykłych strzelb. Nawet marynarze korzystają niemal wyłącznie ze śrutówek, oczywiście z wyjątkiem walki wręcz podczas bitew morskich, kiedy to używają jednostrzałowej broni.

Czy śrutówka wystarczy do zabicia Wielkiego Białego Niedźwiedzia? Nie odzieliłmy

jeszcze ani jednego z tych niezwykłych stworzeń, choć wszyscy oświadczeni oficerowie i marynarze zapewniają mnie, że spotkamy je, gdy tylko wpłyniemy w obszar dryfującego lodu, a już z pewnością wtedy, gdy spędzimy tu zimę - jeśli będziemy do tego zmuszeni. Naprawdę, historie, które wielorybnicy opowiadają mi o nieuchwytnych białych niedźwiedziach, są cudowne i przerażające zarazem.

W chwili gdy kreślę te słowa, dociera do mnie informacja, że jakiś prąd lub wiatr, a być może jeszcze inne przyczyny, odsunęły oba okręty wielorybnicze *Prince of Wales* i *Enterprise* od lodowej góry, do której cumują nasze statki. Komandor sir John nie zje więc kolacji z kapitanem jednego z tych statków - kapitanem Martinem z *Enterprise*, jeśli się nie mylę - jak planowano to wcześniej.

Co bardziej istotne, pierwszy oficer Robert Sergeant poinformował mnie także, że nasi ludzie znoszą ze szczytu góry przyrządy astronomiczne i meteorologiczne, zwijają namiot i ściągają setki jardów sznura - liny - który umożliwił mi dzisiaj wejście na ten niezwykły twór natury.

Najwyraźniej więc lodomistrzowie, komandor sir John, komandor porucznik Fitzjames, komandor Crozier i inni oficerowie ustalili, którądy prowadzi najbardziej obiecująca trasa przez dryfujący lód.

Za kilka minut odpłyniemy od naszego małego lodowego domu i ruszamy na północny zachód. Będziemy płynąć tak długo, jak tylko pozwoli nam na to niekończący się arktyczny dzień.

Od tej pory będziemy nawet poza zasięgiem odważnych i doświadczonych wielorybników. W odniesieniu do świata leżącego za naszą nieustraszoną wyprawą można użyć słów Hamleta: „Reszta jest milczeniem”.

CROZIER

70°05' szerokości geograficznej północnej, 98°23' długości geograficznej zachodniej. 9 listopada 1847.

Crozier śni o pikniku nad Stawem Dziobaka i o Sophii pieszczącej go pod wodą, gdy nagle ze snu wyrywa go huk wystrzału.

Siada na swojej koi, nie wiedząc, która jest godzina, nie wiedząc, czy jest noc, czy dzień, chociaż nie ma już różnicy między dniem a nocą, odkąd tego ranka słońce zniknęło całkowicie. Ponownie się pokaże dopiero w lutym. Jednak nim jeszcze zapali małą lampkę, by spojrzeć na zegarek, wie, że jest późno. Na okręcie panuje cisza przerywana jedynie skrzypieniem dręczonego drewna i metalu, chrapaniem, mamrotaniem i pierdzeniem śpiących marynarzy oraz przekleństwami pana Diggle'a, przerywana nieustającym pojękiwaniem, trzaskaniem i zgrzytaniem lodu, wreszcie - upiornym wyciem wiatru.

Jednak to nie dźwięk wydawany przez lód lub wiatr obudził Croziera. To był wystrzał; przytłumiony przez grube warstwy drewna, śniegu i lodu, ale bez wątplenia wystrzał.

Crozier spał w ubraniu, teraz więc doprowadza je tylko do porządku gotów jest do wyjścia, kiedy Thomas Jopson, jego steward, puka delikatnie do drzwi. Komandor odsuwa drzwi.

- Kłopoty na pokładzie, panie komandorze. Crozier kiwa głową.

- Kto ma wachtę? - Zegarek pokazuje trzecią nad ranem. Odtwarza w głowie harmonogram wacht i przypomina sobie właściwe nazwiska tuż przed tym, jak Jopson wypowiada je głośno.

- Billy Strong i szeregowy Heather, panie komandorze.

Crozier ponownie kiwa głową, bierze pistolet z szafki, sprawdza ładunek i chowa broń za pas. Przeciska się obok stewarda, przechodzi przez małą mesę oficerską, która sąsiaduje z jego kajutą po prawej stronie, potem odsuwa kolejne drzwi i jest już w głównym korytarzu. O tej porze na pokładzie jest ciemno, w mroku widać jednak blask otaczający piec pana Diggle'a, palą się także lampki w kilku kajutach oficerów, matów i stewardów. Crozier przystaje u podnóża schodów, ściąga z haczyka swoje wierzchnie okrycie i wkłada je.

Odsuwają się drzwi. Pierwszy oficer Hornby przystaje obok Croziera. Porucznik Little spieszy ku nim, niosąc ze sobą trzy muszkiety i szablę. Tuż za nim idą porucznicy Hodgson i Irving, którzy także niosą broń.

Po drugiej stronie schodów marynarze mamrocą coś gniewnie w swoich hamakach, lecz drugi oficer zbiera już grupę operacyjną - dosłownie wyrzuca śpiących ludzi z ich hamaków i popycha ich w stronę ubrań i broni.

- Czy ktoś był już na górze, żeby sprawdzić, co to za strzał? - pyta Crozier swojego pierwszego oficera.

- Pan Male był na służbie, panie komandorze - odpowiada Hornby. - Poszedł na górę, gdy tylko posłał po pana stewarda.

Reuben Male dowodzi dziobówką. Solidny człowiek. Billy Strong, arynarz, który miał wachtę na lewej burcie, był już kiedyś na morzu

- Crozier wie, że pływał na HMS *Belvidera*. Nie strzelałby do duchów. Drugim marynarzem pełniącym wachtę był najstarszy - i zdaniem Crozier, najgłupszy - z pozostałych przy życiu żołnierzy brytyjskiej piechoty morskiej, Wiliam Hather. W wieku trzydziestu pięciu lat wciąż był szeregowcem, często chorował, zbyt często się upijał i zazwyczaj był zupełnie bezużyteczny; niewiele brakowało, by przed dwoma laty został zwolniony i odpłynął z zatoki Disko wraz ze swym

najlepszym przyjacielem, Billym Aitkenem, który wrócił na pokładzie HMS Rattler do domu.

Crozier wsuwa pistolet do ogromnej kieszeni swego ciężkiego wełnianego płaszcza, bierze lampkę od Jopsona, owija twarz szalikiem i pierwszy wchodzi na schody.

Crozier widzi, że na zewnątrz jest ciemno jak w grobie, nie ma żadnych gwiazd, zorzy ani księżyca. Jest też naprawdę zimno; sześć godzin wcześniej, kiedy młody Irving wyszedł na pokład, by dokonać pomiarów, termometr wskazywał sześćdziesiąt trzy stopnie poniżej zera. Do tego wieje mocny wiatr, który pędzi przed sobą gęsty śnieg. Wychodząc spod zamarznętego brezentu przykrywającego główny wjazd, Crozier przysłania dłonią oczy i dostrzega blask lampy po prawej stronie.

Reuben Male klęczy na jednym kolanie obok szeregowca Heathera, który leży na plecach, bez czapki i szalika. Crozier dostrzega, że brakuje też kawałka jego czaszki. Nie widać śladów krwi, w świetle lampy lśni jednak mózg żołnierza - lśni, uświadamia sobie Crozier, bo porowata szara masa pokryła się już cienką warstwą lodu.

- On jeszcze żyje, komandorze - mówi dowódca dziobówki. - Jezu kurwa Chryste - szepcze jeden z marynarzy tłoczących się za plecami Croziera.

- Spokój! - wrzeszczy starszy mat. - Nie będzie mi tu nikt, kurwa, bluźnił. I nie odzywaj się, dopóki ktoś cię o coś nie spyta, Crispe. - Głos Hornby'ego to skrzyżowanie warczenia mastyfa i parskania byka.

- Panie Hornby - mówi Crozier. - Proszę rozkazać marynarzowi Crispe'owi, by natychmiast zszedł pod pokład i przyniósł własny hamak. Przeniesiemy w nim szeregowca Heathera na dół.

- Tak jest, komandorze - mówią Hornby i marynarz jednym głosem. Wycie wiatru zagłusza tupot nóg biegnącego marynarza.

Crozier wstaje i zatacza lampą koło.

Reling, przy którym szeregowiec Heather stał na wachcie, obok pokrytej lodem drablinki, został roztrzaskany. Crozier wie, że za wyrwą ciągnie się lodowe zbocze, przypominające zjazd saneczkarski, długości co najmniej trzydziestu stóp, jednak większość owego zbocza okryta jest teraz ciemnością. W niewielkim kręgu śniegu oświetlonym przez lampę komandora nie widać żadnych śladów.

Reuben Male podnosi muszkiet Heathera.

- Z tego nie strzelano, komandorze.

- W takiej śnieżycy szeregowy Heather nie miał szans, żeby zobaczyć napastnika, dopóki ten go nie zaatakował - mówi porucznik Little.

- Co ze Strongiem? - pyta Crozier. Male wskazuje na przeciwległą burtę.

- Zniknął, komandorze. Crozier zwraca się do Hornby'ego.

- Wybierz kogoś i poczekajcie tu na Crispe'a, a potem znieście szeregowca Heathera pod pokład.

Nagle w kręgu światła pojawiają się obaj lekarze - Peddie i jego asystent McDonald, który ma na sobie tylko lekkie ubranie.

- Jezu Chryste - mówi główny lekarz okrętowy, klękając obok żołnierza. - On oddycha.

- Pomóż mu, jeśli możesz - mówi Crozier, a potem odwraca się do Male'a i pozostałych marynarzy. - Wy pójdziecie ze mną. Trzymajcie broń gotową do strzału, nawet gdybyście musieli zdjąć jedną warstwę rękawic. Wilson, weź obie lampy. Poruczniku Little, zejdźcie, proszę pod pokład, wybierzcie dwudziestu dobrych ludzi, wydajcie im okrycia wierzchnie i muszkiety - nie śrutówki, tylko muszkiety.

- Tak jest, komandorze - odpowiada Little, przekrzykując wiatr, lecz Crozier prowadzi już swą grupę do przodu, wokół śnieżnych zasp i szarpanej wiatrem brezentowej piramidy na środku okrętu, w górę pochyłonego pokładu, w stronę posterunku przy lewej burcie.

William Strong zniknął. Na linach wiszą resztki poszarpanego szalika. Płaszcz Stronga, jego czapka, strzelba i jedna rękawica leżą obok relingu, w osłoniętym od wiatru miejscu, w którym chronią się zawsze marynarze stojący na wachcie, ale Williama Stronga tam nie ma. Na okrytym warstwą lodu relingu widać czerwoną smugę, w miejscu, gdzie zapewne stał Strong, gdy ujrzał ciemny kształt zmierzający ku niemu przez gęsty śnieg.

Nie mówiąc ani słowa, Crozier wysłał dwóch uzbrojonych ludzi z lampami na rufę, trzech na dziób i jednego pod brezent.

- Zrzuć tutaj drabinę, Bob - zwraca się do mata. Ramiona marynarza ukryte są pod stertą świeżej - czyli niezamarzniętej - liny, którą przyniósł przed momentem spod pokładu. Sekundę później drabinka sznurowa ląduje na lodzie.

Crozier rusza w dół pierwszy.

Kolejne ślady krwi znaczą lód i śnieg ułożony wzdłuż odsłoniętej prawej części kadłuba. Smugi krwi, które w świetle lampy wydają się czarne, prowadzą prosto w labirynt wałów lodowych i iglic, ledwie widocznych w ciemności.

- To coś chce, żebyśmy za nim poszli, komandorze - mówi porucznik Hodgson, przysuwając się do Croziera i przekrzykując wycie wiatru.

- Oczywiście, że tak - odpowiada komandor. - Ale i tak pójdziemy.

Strong może jeszcze żyć. Wiemy już z doświadczenia, że to możliwe. - Crozier ogląda się za siebie. Oprócz Hodgsona po drabince zeszło za nim tylko trzech ludzi - pozostali zajęci byli przeszukiwaniem pokładu lub znoszeniem szeregowca Heathera pod pokład. Mają też tylko dwie lampy.

- Armitage - mówi Crozier do stewarda z mesy młodszych oficerów, którego biała broda nabita jest już śniegiem. - Daj porucznikowi Hodgsonowi swoją lampę i idź z nim. Gibson, ty zostaniesz i powiesz porucznikowi Little'owi, dokąd poszliśmy, kiedy dotrze tutaj ze swoimi ludźmi. Niech żaden z jego ludzi nie strzela do niczego, dopóki nie będzie miał całkowitej pewności, że to żaden z nas.

- Tak jest, komandorze.

Potem Crozier zwraca się do Hodgsona.

- George, pójdziecie z Armitage'em jakieś dwadzieścia jardów w tę stronę, w kierunku dziobu, a potem idźcie równolegle do nas, na południe. Staraj się trzymać lampę tak, byśmy ją widzieli.

- Tak jest, komandorze.

- Tom. - Crozier odwraca się do ostatniego marynarza, młodego Evansa. - Ty pójdiesz ze mną. Trzymaj strzelbę gotową do strzału, ale tylko z półnapiętym kurkiem.

- Tak jest, komandorze - odpowiada chłopiec, szczękając zębami.

Crozier czeka, aż Hodgson przejdzie dwadzieścia jardów - jego lampa widoczna jest w gęstym śniegu tylko jako maleńki krąg bladożółtego, przytłumionego blasku - po czym prowadzi Evansa w labirynt seraków, lodowych szczytów i wałów, idąc tropem krwawych smug. Wie, że za kilka minut śnieg zasypie wszelkie ślady. Komandor nie traci czasu nawet na wyjęcie pistoletu z kieszeni płaszcza.

Niecałe sto jardów dalej, gdzie lampy marynarzy na pokładzie HMS *Terror* nikną z pola widzenia, Crozier napotyka wał lodowy - jedną z tych wielkich hałd lodu powstałych w miejscu,

gdzie ogromne lodowe tafle nacierają na siebie i wypychają nawzajem w górę. W ciągu dwóch lat, które spędzili na lodzie, Crozier i inni uczestnicy ekspedycji nieżyjącego sir Johna Franklina mieli wielokrotnie okazję obserwować, jak pojawiają się owe grzbiety, wyrastają nagle, niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, i przy akompaniamencie ogłuszającego huku rozciągają się na powierzchni zamarzniętego morza z oszałamiającą prędkością.

Wał ma co najmniej trzydzieści stóp wysokości; wielka pionowa sterta lodu stworzona z bloków wielkości powozu.

Crozier idzie wzdłuż grzbietu, podnosząc wysoko lampę. Lampa Hodgsona zniknęła już w ciemności na zachodzie. Morze wokół *Terroru* nigdzie już nie jest płaskie. Zewsząd otaczają ich seraki, zasy, wały i iglice. Wielka lodowa góra oddziela *Terror* od *Erebusa*. Gdy świeci księżyc, w okolicy widać jeszcze kolejny tuzin gór.

Jednak tej nocy nie widać nic poza ścianą gęstego śniegu i wysokim na trzy piętra wałem lodowym.

- Jest! - krzyczy Crozier. Evans podchodzi bliżej, trzymając strzelbę w pogotowiu.

Smuga czarnej krwi na białej ścianie lodu. Potwór wniósł Williama Stronga na tę górę lodowego gruzu, wchodząc na niemal pionową powierzchnię.

Crozier zaczyna się wspinać, trzymając lampę w prawej ręce, lewą zaś szukając szczelin i nierówności, które stanowiłyby dobry punkt podparcia dla palców i stóp. Nie miał czasu, by włożyć buty o podeszwach nabitych gwoździami, które Jopson przygotował dlań z myślą o wspinaczce, a teraz jego zwykłe marynarskie buty ślizgają się i zjeżdżają z lodu. Znajduje jednak kolejne ślady krwi dwadzieścia stóp wyżej, tuż pod szczytem skalnego grzbietu, podnosi więc wyżej lampę, a nogą wykopuje ze ściany luźny kawał lodu, znajdując w ten sposób oparcie dla stopy. Podciąga się wyżej, pocierając wełnianą powierzchnią płaszcza o lód. Nie czuje już swego nosa, traci również czucie w palcach.

- Komandorze! - woła Evans z ciemności poniżej. - Chce pan, żebym tam wszedł?

Crozier dyszy ciężko i przez chwilę nie może wydobyć z siebie głosu, w końcu jednak łapie oddech i odkrzykuje:

- Nie... poczekaj tam.

Widzi teraz blady blask lampy Hodgsona na północnym zachodzie - jego grupa nie zbliżyła się jeszcze do skalnego grzbietu.

Z najwyższym trudem utrzymując równowagę i zmagając się z podmuchami wiatru, który w każdej chwili może zepchnąć go z lodowej grani, Crozier przechyla się na prawo i przenosi lampę na południową stronę grzbietu.

Pionowa ściana lodu ma tutaj jakieś trzydzieści pięć stóp wysokości. W pobliżu nie widać żadnego śladu Williama Stronga, żadnych krwawych smug na lodzie, niczego, co świadczyłoby o tym, że przeszła tędy jakakolwiek istota. Crozier nie wyobraża sobie, by cokolwiek mogło zejść po tej gładkiej, śliskiej powierzchni.

Crozier kręci głową, po czym zaczyna schodzić tą samą drogą, którą wszedł na wał lodowy, niemal dwukrotnie przewraca się na lodowe bagnety, a w końcu zjeżdża na podeszwach butów do miejsca, w którym czeka nań Evans.

Tyle że Evansa tam nie ma.

Strzelba leży w śniegu, wciąż z półnapiętym kurkiem. W śniegu nie widać żadnych śladów, ludzkich ani zwierzęcych.

- Evans! - Komandor Francis Rawdon Moira Crozier wydaje komendy od trzydziestu pięciu lat. Może przekrzyknąć południowo-zachodnią wichurę i sztorm w Cieśninie Magellana. Teraz

krzyczy najgłośniej, jak potrafi.

- Evans!

W odpowiedzi słyszy tylko wycie wiatru.

Crozier podnosi strzelbę, sprawdza ładunek i strzela w powietrze. Huk wystrzału nawet jemu wydaje się przytłumiony, widzi jednak, jak lampa Hodgsona odwraca się nagle w jego stronę, a w ciemnościach, za którymi kryje się teraz, pojawiają światła trzech kolejnych lamp.

Coś ryczy w odległości niecałych dwudziestu stóp od niego. Może to I być wiatr dmący w lodową szczelinę, Crozier wie jednak, że tak nie jest.

Stawia lampę na lodzie, sięga do kieszeni, ściąga zębami grubą rękawicę i zaciska dłoń okrytą tylko cienką wełnianą rękawiczką na rękojeści pistoletu, a potem podnosi bezużyteczną broń przed siebie.

- Chodź tutaj! - krzyczy Crozier. - Chodź, spróbuj się ze mną, a nie z dzieciakiem, ty owłosiony skurwielu, pierdolony gównojadzie z piekła rodem!

W odpowiedzi słyszy tylko wycie wiatru.

GOODSIR

74°43'28" szerokości geograficznej północnej, 90°39'15" długości geograficznej zachodniej. Wyspa Beechey, zima 1845-46.

Z prywatnego dziennika doktora Harry'ego D.S. Goodsira:

1 stycznia 1846

Dziś rano umarł John Torrington, palacz na HMS Terror. Nomy Rok. Początek piątego miesiąca naszego postoju w lodzie przy wyspie Beechey.

Jego śmierć nie była dla nikogo zaskoczeniem. Od kilku miesięcy oczywiste było, że Torrington miał już zaawansowaną gruźlicę, kiedy zdecydował się wziąć udział w tej ekspedycji. Gdyby objawy choroby pojawiły zaledwie kilka tygodni wcześniej, późnym latem, zostałby odesłany do domu na pokładzie Rattlera albo z dwoma statkami wielorybniczymi, które spotkaliśmy tuż przed wyruszeniem na zachód, przez Zatokę Bajfina i Cieśninę Lancastera aż do arktycznych pustkowi, w których spędzamy teraz zimę. Jak na ironię, lekarz Torringtona powiedział mu, że morska wyprawa wpłynie korzystnie na jego zdrowie.

Główny lekarz okrętowy Peddie i doktor McDonald z Terroru oczywiście leczyli Torringtona, jednak ja sam byłem kilkakrotnie obecny przy stawianiu diagnozy i dowiedziawszy się o śmierci młodego palacza, przeszedłem dziś na Terror w towarzystwie kilku marynarzy z Erebusa.

Kiedy na początku listopada objawy choroby stały się aż nadto widoczne, komandor Crozier zwolnił dwudziestolatka z obowiązków palacza - pył węglowy, którym wypełniona jest zawsze kotłownia, może udusić nawet zdrowego człowieka - i od tego czasu stan Johna Torringtona pogarszał się z dniem na dzień. Mimo to Torrington mógłby zapewne żyć znacznie dłużej, gdyby nie dodatkowy czynnik, który przyspieszył jego zgon. Doktor Alexander McDonald mówi mi, że Torrington, który w ostatnich tygodniach był już zbyt słaby, by odbywać krótkie przechadzki dla zdrowia po dolnym pokładzie, w dniu Bożego Narodzenia zapadł na zapalenie płuc, co było dlań równoznaczne z wyrokiem śmierci. Kiedy ujrzałem dziś rano ciało zmarłego Johna Torringtona, byłem zszokowany jego chudością, jednak zarówno Peddie, jak i McDonald wyjaśnili mi, iż chory od dwóch miesięcy nie miał apetytu, i choć obaj lekarze starali się odżywiać go głównie zupami i warzywami, wciąż tracił na wadze.

Dziś rano obserwowałem, jak Peddie i McDonald przygotowują ciało - Torrington ubrany został w czystą prążkowaną koszulę, miał równo przycięte włosy i wyczyszczone paznokcie - zgodnie ze zwyczajem obwiązując jego głowę pasem czystego materiału, by usta zmarłego pozostały zamknięte, a potem wiążąc mu podobnymi pasami białej bawełny ręce w łokciach, dłonie, kostki i duże palce u nóg. Robili to, by kończyny trzymały się razem podczas ważenia tego biednego chłopca - 88 funtów! - a poza tym przygotowywali go do pochówku. Nikt nie wspominał nawet o sekcji zwłok, jasne było bowiem, że nieszczęśnika zabiła gruźlica, nie należało się więc obawiać jakiejś zarazy, która mogłaby osiągnąć innych członków załogi.

Pomogłem moim kolegom po fachu z HMS Terror podnieść ciało Torringtona i umieścić je w trumnie przygotowanej przez cieślę okrętowego Thomasa Honeya oraz przez jego pomocnika, niejakiego Wilsona. Ciało Torringtona nie uległo jeszcze stężeniu pośmiertnemu. Cieśle zostawili warstwę wiórów na dnie trumny, starannie wystruganej i zbitej z okrętowego mahoni, układając

grubszą stertę strużyn pod głową zmarłego. Ponieważ jego ciało nie wydzielalo jeszcze przykrych zapachów, powietrze wypełniał aromat drewna.

3 stycznia 1846

Wciąż myślę o pogrzebie Johna Torringtona.

Uczestniczyła w nim tylko niewielka grupka ludzi z Erebusa, wśród nich ja, sir John, komandor porucznik Fitzjames i kilku innych oficerów. Razem przeszliśmy na piechotę na drugi statek, a stamtąd dodatkowe dwieście jardów do brzegu wyspy Beechey.

Nie umiem sobie wyobrazić zimy gorszej od tej, która zatrzymała nas tutaj, u wybrzeży wyspy, lecz komandor Fitzjames i inni zapewniają mnie, że nasza sytuacja - nawet wzięwszy pod uwagę zdradliwe lodowe grzbiety, straszliwą ciemność, wyjący wiatr i groźny lód - wyglądałaby tysiąc razy gorzej, gdybyśmy nie zatrzymali się pod osłoną wyspy i utkwili w miejscu, gdzie lód spływa z bieguna i stara się zniszczyć wszystko, co stoi mu na drodze.

Towarzysze Johna Torringtona opuścili łagodnie jego trumnę - okrytą już niebieską wełną - za reling Terroru, który stoi na wysokiej lodowej kolumnie, podczas gdy inni marynarze z tego okrętu przywiązali ją do wielkich sań. Sir John osobiście ułożył flagę brytyjską na trumnie, a potem przyjaciele i towarzysze Torringtona założyli uprzęż i przeciągnęli sanie przez sześćset stóp lodu dzielących nas od brzegu wyspy Beechey.

Oczywiście wszystko to odbywało się w całkowitych ciemnościach, gdyż teraz, w styczniu, nawet w południe, słońce nie pokazuje się na niebie i nie czyni tego już od trzech miesięcy. Powiedziano mi, że minie jeszcze ponad miesiąc, nim południowy horyzont powita ponownie naszą ognistą gwiazdę. Tak czy inaczej cała ta procesja - trumna, sanie, ludzki zaprzęg, oficerowie, lekarze, sir John, żołnierze piechoty morskiej w pełnym umundurowaniu ukrytym pod grubym okryciem, które wszyscy tu nosimy - oświetlona była jedynie blaskiem rozchybotanych lamp, kiedy szliśmy powoli przez zamrożone morze ku zamrożonym brzegom. Ludzie z Terroru wyrąbali wcześniej przejście w kilku powstałych niedawno grzbietach, które stały nam na drodze, trzymaliśmy się więc obranej trasy. Wcześniej, nim jeszcze zima zaczęła się na dobre, sir John kazał oznaczyć za pomocą systemu pali, sznurów i wiszących lampionów najkrótszą drogę między okrętami i żwirowatym brzegiem, na którym wzniesiono kilka baraków - w jednym znalazła się spora część zapasów z obu okrętów, przeniesiona tam na wypadek, gdyby lód zniszczył oba statki; drugi pełnił funkcję obserwatorium naukowego i prowizorycznego schronienia; w trzecim umieszczono kuźnię rusznikarza, by płomień i iskry nie zapaliły naszych drewnianych okrętów. Dowiedziałem się wówczas, że żeglarze nade wszystko boją się pożaru na morzu. Jednak ów szlak wyznaczony przez pale i lampki uległ wkrótce zniszczeniu, gdyż lód bezustannie się tutaj zmienia i podnosi, niszcząc wszystko, co na nim stoi.

Podczas pogrzebu padał śnieg. Wiał też mocny wiatr, który nigdy nie cichnie na tym zapomnianym przez Boga arktycznym pustkowiu. Na północ od miejsca pochówku wznoszą się strome, czarne urwiska, równie niedostępne jak góry na księżycu. Przez zasłonę padającego śniegu ledwie było widać światło lamp płonących na Erebusie i Terrorze. Od czasu do czasu pomiędzy pędzących po niebie chmur wyzierał zimny księżyc, lecz nawet ów słaby blask szybko znikł w śniegu i mroku. Dobry Boże, to prawdziwe egipskie I ciemności.

Kilku spośród najsilniejszych ludzi z Terroru pracowało niemal bez wytchnienia od chwili śmierci Torringtona, wykopując kilofami i łopatami jego grób, który zgodnie z regulaminem i rozkazem sir Johna miał mieć pięć stóp głębokości. Dół wykopany został w zamrożonych na

kamień lodzie i ziemi; wystarczyło mijednospojrzenie, by zrozumieć, ile pracy kosztowało jego przygotowanie. Usunięto flagę z trumny i spuszczo ją powoli, niemal z nabożną czcią, do wąskiego grobu. Śnieg natychmiast przykrył wieko trumny i skrzył i się w świetle naszych lamp. Jeden z oficerów Croziera ustawił we właściwym miejscu drewnianą tablicę nagrobną, a pewien olbrzymi marynarz wbił ją w zamrożnięty żwir kilkoma uderzeniami potężnego drewnianego młota. Napis wyryty na tablicy brzmiał:

**PAMIĘCI JOHNA TORRINGTONA KTÓRY ODSZEDŁ Z TEGO ŚWIATA I STYCZNIA
AD 1846 NA POKŁADZIE HMS TERROR W WIEKU 20 LAT**

Sir John odprawił nabożeństwo i wygłosił mowę pogrzebową. Trwała ona dość długo, a łagodny głos sir Johna zagłuszało tylko wycie wiatru i tupot nóg marynarzy, którzy chcieli uniknąć odmrożenia palców. Przyznaję, że słyszałem tylko niewielki fragment mowy sir Johna, zasłuchany w wycie wiatru i pogrążony w niewesołych myślach, inspirowanych wspomnieniem odzianego w koszulę ciała o związanych koniczykach, które przed momentem opuszczono do lodowej otchłani, oraz czernią urwisk wznoszących się nad żwirowatą plażą.

4 stycznia 1846

Nie żyje kolejny człowiek.

Jeden z naszych marynarzy służących na HMS Erebus, dwudziestopięcioletni John Hartnell. Tuż po godzinie, którą wciąż nazywam umownie szóstą po południu, tuż po tym, jak opuszczono na łańcuchach stoły przed kolacją, Hartnell wpadł na swojego brata, Thomasa, runął na pokład, zakasłał krwią i umarł w ciągu pięciu minut. Doktor Stanley i ja byliśmy przy nim, kiedy oddał ducha w przedniej części dolnego pokładu, której używamy jako izby chorych.

Ta śmierć była dla nas prawdziwym szokiem. Hartnell nie miał wcześniej żadnych objawów suchot ani skorbutu. Komandor porucznik Fitzjames był wówczas z nami i nie potrafił ukryć swej konsternacji. Jeśli była to jakaś zaraza albo początki skorbutu, które to choroby mogły dotknąć całą załogę, musieliśmy natychmiast o tym wiedzieć. Postanowiliśmy wówczas, gdy zasłony były jeszcze zaciągnięte, i nim ktokolwiek mógł zająć się przygotowaniem Johna Hartnella do pochówku, że dokonamy autopsji.

Oczyszcziliśmy stół w izbie chorych, osłoniliśmy nasze działania dodatkową ścianą ze skrzynek, która oddzielała nas od ludzi stłoczonych na dolnym pokładzie, zaciągnęliśmy szczelnie zasłony, a ja przyniosłem swoje narzędzia. Choć głównym lekarzem jest Stanley, on sam zasugerował, bym to ja przeprowadził sekcję, jako że z wykształcenia jestem anatomem. Dokonałem pierwszego nacięcia i zaczęliśmy.

Natychmiast uzmysłowiłem sobie, że w pośpiechu użyłem nacięcia w kształcie odwróconego Y, którym rozcinałem zwłoki podczas nauki, gdy bardzo się spieszyłem. Zamiast powszechniej używanego nacięcia Y z ramionami sięgającymi ramion i zbiegającymi na mostku, użyłem odwróconego Y, w którym nacięcia rozpoczynają się na biodrach i spotykają w okolicy pępka. Stanley uznał za stosowne to skomentować, co wprawiło mnie w zakłopotanie.

- Byle szybciej - wyszeptałem do mego kolegipo fachu. - Musimy się pospieszyć. Marynarze nienawidzą, kiedy ktoś otwiera ciała ich kolegów.

Doktor Stanley skinął głową i mogliśmy kontynuować. Jakby na potwierdzenie mej uwagi, młodszy brat Hartnella, Thomas, który stał po drugiej stronie zasłony, zaczął krzyczeć i płakać. W odróżnieniu od Torringtona, który stopniowo podupadał na zdrowiu, dając swym towarzyszom czas na pogodzenie się z jego śmiercią, spakowanie jego rzeczy i przygotowanie listu do matki,

nagły upadek i śmierć Johna Hartnella wywołała powszechny szok wśród jego przyjaciół. Żaden z nich nie mógł nawet znieść myśli, że lekarze okrętowi rozcinają jego zwłoki. Teraz tylko potężne ciało, stopień i stanowczość komandora Fitzjamesa stały między naszą izbą chorych a rozgniewanym bratem Hartnella i zdezorientowanymi marynarzami. Słyszałem, że jego towarzysze - i obecność Fitzjamesa - skutecznie go powstrzymywali, jednak gdy mój skalpel rozcinał tkankę, a nóż otwierał zwłoki, słyszałem gniewne pomruki i złorzeczenia dochodzące zza zasłony.

Najpierw wyjąłem serce Hartnella, wycinając wraz z nim część tchawicy. Podniosłem je do światła lampy, a Stanley wziął je ode mnie i startł krew brudną szmatą. Oboje obejrzelśmy uważnie. Wyglądało całkiem normalnie - nie dostrzegliśmy wyraźnych oznak choroby. Gdy Stanley stał nieruchomo, trzymając wycięty narząd blisko światła, zrobiłem jedno nacięcie w prawej komorze i jedno w lewej. Odciągnąwszy twardy mięsień do tyłu, przyjrzelśmy się zastawkom. Wyglądały na zdrowe.

Odłożywszy serce Hartnella z powrotem do jego klatki piersiowej, kilkoma szybkimi ruchami skalpela wyciąłem niższą część płuc marynarza.

- No właśnie - powiedział doktor Stanley.

Skinąłem głowę. Płuca pokryte były bliznami i innymi oznakami gruźlicy, widać było również ślady świadczące o tym, że niedawno cierpiał na zapalenie płuc. John Hartnell, podobnie jak John Torrington, był gruźlikiem, ale ten starszy, silniejszy i - zdaniem Stanleya - bardziej zahartowany żeglarz ukrywał objawy, być może nawet przed samym sobą. Ukrywał je aż do dzisiaj, kiedy zasłabł i umarł kilka minut przed otrzymaniem swej porcji solonej wieprzowiny.

Wydawszy wątrobę, podniosłem ją do światła; zarówno Stanley, jak i ja zauważyliśmy ślady potwierdzające naszą diagnozę oraz inne uszkodzenia świadczące o tym, że Hartnell już od dłuższego czasu pił za dużo alkoholu.

Zaledwie kilka jardów dalej, po drugiej stronie zasłony, brat Hartnella, Thomas, krzyczał gniewnie, powstrzymywany jedynie stanowczą ręką komandora Fitzjamesa. Słyszałem, że kilku innych oficerów - porucznik Gore, porucznik Le Vesconte, Fairholme, a nawet drugi oficer Des Vaux - przyłączyło się do niego, by wspólnymi siłami uciszyć i przywrócić do porządku wzburzonych marynarzy.

- Czy to nam wystarczy? - spytał szeptem Stanley.

Ponownie skinąłem głową. Na ciele zmarłego, na jego twarzy i ustach ani też na narządach wewnętrznych nie było widać żadnych oznak skorbutu. Choć nadal bez odpowiedzi pozostawało pytanie, jak gruźlica lub zapalenie płuc lub też połączenie obu tych chorób mogło zabić marynarza tak szybko, wiedzieliśmy przynajmniej, że nie musimy obawiać się żadnej choroby zakaźnej.

Hałas dochodzący zza zasłony przybierał na sile, szybko więc włożyłem kawałki płuc, wątroby i inne narządy do ciała zmarłego, nie troszcząc się o ich właściwe ułożenie, lecz ugniatając je w jedną masę, a potem odłożyłem na miejsce płat skóry (później uświadomiłem sobie, że ułożyłem ją do góry nogami). Główny lekarz Stanley zamknął nacięcie w kształcie odwróconego Y, używając wielkiej igły i grubej nici żeglarskiej z wprawą, jakiej pozazdrościłby mu niejeden żaglomistrz.

Po kilku minutach włożyliśmy na ciało Hartnella ubranie - stężenie pośmiertne zaczęło nam już w tym przeszkadzać - i odsunęliśmy zasłonę. Stanley - który dysponuje głosem głębszym i donośniejszym niż ja - zapewnił brata Hartnella i pozostałych żeglarzy, że jedyne, co trzeba jeszcze zrobić, to umyć ciało ich towarzysza, by mogli przygotować je do pogrzebu.

6 stycznia 1846

Z jakiegoś bliżej nieokreślonego powodu ta ceremonia pogrzebowa przygnębiła mnie bardziej niż pierwsza. Znów wyszliśmy ze statku w uroczystej procesji - tym razem brali w niej udział niemal wyłącznie marynarze i oficerowie z Erebusa, choć przyłączyli się do nas także doktor McDonald, doktor Peddie i komandor Crozier z Terroru.

Znów okryta flagą trumna - marynarze włożyli na górną część ciała Hartnella trzy warstwy ubrań, w tym najlepszą koszulę jego brata, Thomasa, dolną część ciała owinęli jednak tylko całunem. Trumna z otwartą górną połową leżała przez kilka godzin w izbie chorych, nim zabito ją gwoździami i przygotowano ostatecznie do ceremonii pogrzebowej. I znów procesja z saniami przeszła przez zamrożone morze do zamrożonego brzegu, znów lampy kołysały się miarowo w ciemnościach nocy, choć tym razem na niebie błyszczały gwiazdy i nie padał śnieg. Marynarze mieli sporo pracy, ponieważ w pobliżu pojawiły się trzy wielkie białe niedźwiedzie, czaiły się niczym upiory między lodowymi blokami. Żeglarze musieli strzelać z muszkietów, by je przegonić - prawdopodobnie ranili przy tym jedno ze zwierząt w bok.

Sir John ponownie wygłosił mowę pogrzebową - choć tym razem krótszą, gdyż Hartnell nie był tak bardzo lubiany jak Torrington - i znów szliśmy z powrotem przez skrzypiący, piszczący i pojękujący lód. Gwiazdy świeciły zimnym blaskiem nad naszymi głowami, a z tyłu dochodził nas zgrzyt łopat i stukot kilofów - marynarze zasypywali dół wykuty w zamrożonej ziemi, tuż obok okrytego brezentem grobu Torringtona.

Być może tym, co zabiło mego ducha podczas drugiego pogrzebu, była czarna ściana urwiska górująca nad całym światem. Choć celowo stałem odwrócony plecami do urwiska, bliżej sir Johna, by słyszeć słowa nadziei i pocieszenia, wciąż czułem obecność tej zimnej, czarnej, pionowej, martwej i bezdusznej ściany kamienia za moimi plecami - przywodzącej na myśl bramę do Krainy, z Której Nie Wrócił Jeszcze Żaden Człowiek. W obliczu tej czarnej skały nawet pełne uniesienia i współczucia słowa sir Johna nie przynosiły większego efektu.

Morale na obu statkach jest bardzo niskie. Nie minął jeszcze pełny tydzień nowego roku, a umarło już dwóch naszych towarzyszy. Na jutro czterej lekarze okrętowi - w ich liczbie i ja - zaplanowali spotkanie w ustronnym miejscu, w pokoju cieśli na Terrorze, dokładnie rzecz biorąc, by porozmawiać o tym, co należy zrobić, by uniknąć kolejnych ofiar podczas tej niefortunnej ekspedycji.

Napis na płycie nagrobnej Hartnella brzmiał:

PAMIĘCI JOHNA HARTNELLA MARYNARZA Z HMS EREBUS ZMARŁEGO 4 STYCZNIA 1846 W WIEKU 25 LAT „TAK MÓWI PAN ZASTĘPÓW: ROZWAŻCIE TYLKO, JAK SIĘ WAM WIEDZIE”. KSIĘGA AGGEUSZA 1,7

Wiatr wzmógł się w ciągu ostatnich kilku godzin, jest już prawie północ, a większość lamp na dolnym pokładzie Erebusa została wygaszona. Słucham wycia wiatru i myślę o tych dwóch stertach kamieni na zamrożonym brzegu, myślę o zmarłych leżących w tych dwóch zimnych dołach, myślę o urwisku z czarnej skały, i wyobrażam sobie kanonadę płatków śniegu, które już zaczynają zamazywać litery na drewnianych płytach nagrobnych.

FRANKLIN

70°03'29" szerokości geograficznej północnej, 98°20' długości geograficznej zachodniej. Około 28 mil na północny zachód od Ziemi Króla Williama, 3 września 1846.

Komandor sir John Franklin rzadko bywał tak zadowolony z siebie.

Poprzednia zima, spędzona u wybrzeży wyspy Beechey, setki mil na północny wschód od jego obecnej pozycji, okazała się trudna i nieprzyjemna pod wieloma względami - Franklin gotów był to przyznać przed samym sobą i przed ludźmi równymi mu stanem, choć w tej wyprawie nie uczestniczyli inni parowie. Śmierć trzech członków wyprawy chorych na gruźlicę, najpierw Torringtona i Hartnella jeszcze w styczniu, a potem szeregowca Williama Braine'a z piechoty morskiej, trzeciego kwietnia, była dla wszystkich szokiem. Franklin nie słyszał, by jakakolwiek inna ekspedycja tak szybko straciła trzech ludzi na tak wczesnym etapie wędrówki.

Franklin osobiście wybrał napis umieszczony na płycie nagrobnej trzydziestodwuletniego szeregowca Braine - Rozstrzygnijcie dziś, komu służyć chcecie, Księga Jozuego, 24; 15 - i przez chwilę wydawało się, że słowa te, skierowane teoretycznie do nieistniejących przechodniów mijających groby Braine'a, Hartnella i Torringtona, stanowią w istocie wyzwanie dla niezadowolonych członków załogi *Erebusa* i *Terroru*, którzy choć nie wspominali głośno o buncie, wcale nie byli od niego dalecy.

Po śmierci Hartnella czterej lekarze spotkali się ze sobą i po długiej naradzie uznali, że przyczyną, z której powodu marynarze tak szybko umierają na zapalenie płuc i gruźlicę, może być skorbut w początkowym, bezobjawowym jeszcze stadium rozwoju. Stanley, Goodsir, Peddie i McDonald zasugerowali sir Johnowi zmianę jadłospisu marynarzy - więcej świeżego pożywienia, jeśli to możliwe (choć jedynym świeżym pożywieniem w tych warunkach mogło być mięso białych niedźwiedzi, praktycznie nieuchwytnych w ciemności nocy polarnej; okazało się też, że z jakichś nieznanych powodów zjedzenie wątroby tego wielkiego zwierzęcia może mieć fatalne następstwa), lub też zmniejszenie porcji solonej wieprzowiny, wołowiny i drobiu oraz zastąpienie ich jedzeniem z puszek - warzywami i zupami.

Sir John zastosował się do tych zaleceń i kazał zmienić jadłospis na obu statkach, tak by co najmniej połowa posiłków przygotowywana była na bazie jedzenia z puszek. Wydawało się, że zmiana ta przyniosła efekty. Nikt nie umarł ani nawet poważnie nie zachorował od śmierci szeregowca Braine'a na początku kwietnia do dnia, w którym oba okręty uwolnione zostały z lodowego więzienia u wybrzeży wyspy Beechey, co wydarzyło się pod koniec maja 1846 roku.

Od tej pory lód pękał bardzo szybko, a Franklin, kierując się trasą obraną przez swych lodomistrzów, płynął pełną parą na południe i zachód.

Wraz ze światłem słońca i otwartymi wodami powróciła obfitość zwierzyny lądowej, wodnej i morskiej. Podczas tych długich dni arktycznego lata, kiedy słońce pozostawało nad horyzontem niemal do północy, a temperatura sięgała czasem wartości wyższych od temperatury zamarzania wody, niebo wypełnione było stadami migrujących ptaków. Nawet Franklin potrafił wyróżnić wśród nich nawałniki, cyranki, edredony i maskonury. Coraz szersze pasy wolnej od lodu wody wokół *Erebusa* i *Terroru* roiły się wręcz od wielorybów, o jakich większość jankeskich wielorybników mogła tylko pomarzyć, od śledzi, dorszy i innych małych ryb, a także białuch i wali grenlandzkich. Marynarze spuszczali na morze łódki i łowili całymi dniami, często strzelając także dla zabawy do mniejszych wielorybów.

Myśliwi wracali każdego dnia ze świeżą porcją mięsa; polowali głównie na ptaki, przynosili

jednak również foki grenlandzkie i foki obrączkowe - zwierzęta, których zimą praktycznie nie dało się schwycić ani zastrzelić, teraz stanowiły łatwy cel. Mało kto lubił smak foczego mięsa, jednak tłuszcz tych zwierząt miał w sobie coś, co pobudzało apetyt zmęczonych długą zimą marynarzy. Myśliwi strzelali także do wielkich, ryczących morsów, które wyszukiwały wzdłuż brzegów smakowitych ostryg, niektórzy zaś wracali z futrem i mięsem białych lisów polarnych. Ludzie ignorowali białe niedźwiedzie, chyba że któryś z nich chciał ich zaatakować lub odebrać im zdobycz. Nikt nie miał ochoty na mięso z białego niedźwiedzia, szczególnie gdy dokoła było tyle innych smaczniejszych zwierząt.

Rozkazy, które otrzymał Franklin przed wyruszeniem na wyprawę, dawały mu pewien wybór: gdyby okazało się, że „południowa droga do Przejścia Północno-Zachodniego zablokowana jest przez lód lub inne przeszkody”, mógł skrócić na północ i wypłynąć przez Cieśninę Wellingtona na „otwarte Morze Polarne” - innymi słowy, popłynąć w stronę bieguna północnego. Franklin zrobił jednak to, co bez słowa sprzeciwu robił przez całe życie: wypełnił główne rozkazy. Podczas drugiego lata spędzonego w obszarze arktycznym jego okręty - HMS *Erebus* pierwszy, HMS *Terror* w ślad za nim - popłynęły wzdłuż południowego brzegu wyspy Devon, minęły Przylądek Walkera i wpłynęły na nieznane wody lodowego archipelagu.

Minionego lata wydawało się, że będą musieli jednak zrezygnować z poszukiwań Przejścia Północno-Zachodniego i popłynąć na biegun północny. Komandor sir John Franklin miał prawo być dumny z tempa podróży, jakie udało mu się do tej pory utrzymać. Podczas skróconej letniej podróży w minionym 1845 roku - wypłynęli z Anglii z opóźnieniem, które powiększyło się jeszcze, gdy opuszczali Grenlandię zdołał pokonać Zatokę Baffina w rekordowym czasie, przepłynąć przez Cieśninę Lancastera na południe od wyspy Devon, przeprawić się przez Cieśninę Barrowa i ruszyć na południe, obok Przylądka Walkera. Tu okazało się, że dalszą drogę na południe blokują masy lodu, wciąż grube i niedostępne dla okrętów, pomimo pełni lata. Lodomistrzowie mówili jednak o otwartych wodach na północy, po zachodniej stronie wyspy Devon i w Cieśninie Wellingtona, Franklin zastosował się więc do alternatywnych rozkazów i ruszył na północ, w stronę wolnego od lodu przejścia na otwarte Morze Polarne i do bieguna północnego.

Nie znaleźli jednak żadnego przejścia do osławionego otwartego Morza Polarne. Na drodze stanął im Półwysep Grinnella, który zdaniem wielu uczestników ekspedycji Franklina mógł być częścią nieznanego kontynentu arktycznego, zmuszeni więc zostali do kontynuowania podróży otwartymi wodami na północny zachód, potem niemal prosto na zachód. Dotarwszy do zachodniego krańca półwyspu, zawrócili ponownie na północ i napotkali litą masę lodu, która ciągnęła się od Cieśniny Wellingtona aż po horyzont. Pięć dni podróży wzdłuż tej lodowej ściany przekonało Franklina, Fitzjamesa, Croziera i lodomistrzów, że na północ od Cieśniny Wellingtona nie ma żadnego otwartego Morza Polarne. Przynajmniej nie tego lata.

Pogarszające się warunki zmusiły ich do zawrócenia na południe i opłynięcie lądu znanego dotychczas jako Ziemia Cornwallisa, który okazał się jednak tylko Wyspą Cornwallisa. Komandor sir John Franklin wiedział, że jeśli nie uda im się znaleźć głównego celu ich podróży, będą mogli przynajmniej pochwalić się rozwiązaniem tej zagadki.

Dzięki temu, że morze zamarzało tego roku wyjątkowo późno, Franklin zdążył opłynąć wielką, jałową Wyspę Cornwallisa, wpłynął ponownie w Cieśninę Barrowa na północ od Przylądka Walkera, upewnił się, że droga na południe obok Przylądka Walkera wciąż jest zablokowana - tym razem przez jednolitą masę lodu - i postanowił zatrzymać się na zimę przy małej wyspie Beechey, w zatoczce, którą wypatrzyli dwa tygodnie wcześniej. Przybyli tam w sam czas, gdyż dzień po tym, jak zakotwiczyli w płytkich wodach zatoki, ostatnie otwarte przesmyki w Cieśninie Lancastera pokryły

się lodem, który uniemożliwiał dalszą żeglugę. Trudno było przypuszczać, by nawet tak wytrzymałe, wzmocnione drewnem i stalą kadłuby, jakimi mogły poszczycić się *Erebus* i *Terror*, przetrzymały zimę w lodach cieśniny.

Teraz było jednak lato, a oni płynęli na południowy zachód, uzupełniając przy każdej okazji zapasy pożywienia, korzystając z każdego wolnego przejścia w lodzie, wyszukując obszarów otwartych wód, które mogli dostrzec z punktów obserwacyjnych na masztach, i przebijając się codziennie przez warstwę lodu.

HMS *Erebus* płynął i rozbijał lód pierwszy, jak przystało na okręt flagowy i jak nakazywała logika - był cięższy i dysponował mocniejszym o pięć koni mechanicznych silnikiem parowym - ale - niech to diabli! - podwodny lód wygiął wał śruby i miejsce uszkodzonego *Erebusa* musiał zająć *Terror*.

Prowadzone widokiem skutych lodem brzegów Ziemi Króla Williama, odległych nie więcej niż o pięćdziesiąt mil na południe, okręty wypłynęły zza zasłony wielkiej wyspy położonej na północ od ich szlaku - tej samej, która zagroziła im drogę bezpośrednio na południowy zachód, obok Przylądka Walkera, gdzie kierowały wyprawę rozkazy przekazane Franklinowi, i zmusiła do żeglugi na południe, przez cieśninę Peel i inne, niezbadane dotąd przesmyki. Posuwali się coraz wolniej. Lód był coraz grubszy, góry lodowe coraz liczniejsze, a przesmyki między taflami lodu coraz rzadsze i węższe.

Rankiem trzeciego września sir John zwołał naradę, w której uczestniczyli jego komandorzy, oficerowie, mechanicy i lodomistrzowie. Wszyscy zmieścili się bez kłopotu w kajucie sir Johna; miejsce, gdzie na HMS *Terror* znajdowała Wielka Kajuta dla oficerów wraz z biblioteką, tutaj zajmowała prywatna kwatera sir Johna Franklina - szeroka na dwanaście i długa na dwadzieścia stóp, z prywatną „świątynią dumania” przy prawej burcie. Osobista toaleta Franklina miała niemal te same wymiary co kajuta Croziera i kajuty wszystkich pozostałych oficerów razem wzięte.

Edmund Hoar, steward sir Johna, wydłużył stół na tyle, by mogli pomieścić się przy nim wszyscy obecni na zebraniu oficerowie - komandor porucznik Fitzjames, porucznicy Gore, Le Vesconte i Fairholme z *Erebusa*; komandor Crozier i porucznicy Little, Hodgson i Irving z *Terroru*. Prócz tych ośmiu oficerów usadzonych po przeciwnych stronach stołu - sir John siedział u szczytu stołu, przy grodzi i wejściu do jego prywatnego ustępu - w pokoju znaleźli się także dwaj lodomistrzowie, pan Blanky z *Terroru* i pan Reid z *Erebusa*, oraz dwaj mechanicy, pan Thompson ze statku Croziera oraz pan Gregory z okrętu flagowego. Sir John poprosił również o przybycie jednego z lekarzy, doktora Stanleya z *Erebusa*. Steward Franklina wystawił na stół sok winogronowy, sery i suchary, zebrani mogli więc zrelaksować się przez chwilę i pogawędzić, nim sir John rozpoczął naradę.

- Panowie - przemówił sir John. - Z pewnością wszyscy wiecie, dlaczego się tutaj zgromadziliśmy. Dzięki łaskawości niebios przez ostatnie dwa miesiące nasza wyprawa to pasmo samych sukcesów. Oddaliliśmy się od wyspy Beechey prawie o trzysta pięćdziesiąt mil. Obserwatorzy i zwiadowcy wciąż donoszą o otwartych wodach na zachód i południe od naszych statków. Niewykluczone, że wciąż możemy - jeśli Bóg pozwoli - dotrzeć do tych otwartych wód i wpłynąć w Przejście Północno-Zachodnie jeszcze tej jesieni.

O ile mi jednak wiadomo, lód na zachodzie robi się coraz grubszy i bardziej zbity. Pan Gregory donosi, że główny wał *Erebusa* został uszkodzony przez lód i że choć nadal możemy korzystać z napędu parowego, jego efektywność znacznie zmalała. Maleją także nasze zapasy węgla - Wkrótce nadejdzie kolejna zima. Innymi słowy, panowie, musimy dziś zdecydować, jak będą

wyglądały nasze dalsze działania. Nie będzie chyba przesadą twierdzenie, że decyzja, którą tu podejmiemy, przesądzi o sukcesie lub klęsce naszej ekspedycji.

Przez dłuższą chwilę w kajucie panowała całkowita cisza.

Sir John zwrócił się do rudobrodego lodomistrza z HMS *Erebus*.

- Nim przystąpimy do dyskusji, warto chyba wysłuchać opinii naszych lodomistrzów, mechaników i lekarzy. Panie Reid, czy zechciałby pan powtórzyć przy wszystkich to, co powiedział mi pan wczoraj o naszej aktualnej i przewidywanej sytuacji?

Reid, który wraz z pięcioma innymi mężczyznami stał obok oficerów z *Erebusa*, odchrząknął niepewnie. Był człowiekiem małomównym, a perspektywa wystąpienia przed tak doborowym towarzystwem najwyraźniej go onieśmiałała.

- Sir Johnie... Panowie... Wszyscy dobrze wiemy, że mieliśmy choler... to jest... duże szczęście, jeśli chodzi o warunki lodowe od czasu, gdy nasze statki wypłynęły z zatoki przy wyspie Beechey na początku czerwca. Dopóki byliśmy w cieśninach, przebijaliśmy się głównie przez śryż. To żaden problem. Nocami, czyli w ciągu tych kilku godzin ciemności, które nazywamy tu nocami, płynęliśmy przez krążki śryżowe, podobne do tego, co widzimy już od kilku dni, gdy morze bliskie jest zamarznięcia, ale to też nie stanowi większego problemu. Do tej pory udawało nam się trzymać z dala od młodego lodu przy brzegach; to już poważniejsza sprawa. Za tym lodem idzie lód stały, który zgniecie nawet wzmocnione kadłuby *Erebusa* i *Terroru*. Ale jak już mówiłem, unikamy tego lodu... na razie.

Reid był czerwony jak burak i mokry od potu. Chętnie by na tym skończył, wiedział jednak, że nie odpowiedział jeszcze do końca na pytanie sir Johna. Odchrząknął ponownie i podjął przerwany monolog:

- No więc... Nie mamy większych problemów z pływającym lodem, z gruzem lodowym i grubszą tkanką ani też z bryłami lodu, które oderwały się od gór lodowych - udaje nam sieje omijać, bo płyniemy szerokimi pasami otwartej wody. Ale to wszystko powoli się kończy, panowie. Noce robią się dłuższe, warstwa krążków śryżowych na powierzchni morza praktycznie nie topnieje, coraz częściej też napotykamy małe góry lodowe i zwały lodu. To właśnie te zwały lodu martwią mnie i pana Blanky'ego najbardziej.

- A czemuż to, panie Reid? - spytał sir John. Na jego twarzy malowało się znudzenie, którym zawsze napełniały go dyskusje o różnych warunkach lodowych. Dla sir Johna lód był lodem - czymś, przez co należało się przebić, co trzeba ominąć i pokonać.

- To lód pokryty śniegiem, sir Johnie - wyjaśnił Reid. - Kawałki starej kry, na których widać z boku ciemniejsze obwódki. Za taką krą idzie zawsze prawdziwy pak, gruby, zbity lód, którego musimy się bać, bo przed nim już nie uciekniemy. A jak okiem sięgnąć, na zachód i południe widać tylko pak, być może z wyjątkiem pasa otwartej wody przy Ziemi Króla Williama.

- Przejdźcie Północno-Zachodnie - powiedział cicho komandor porucznik Fitzjames.

- Być może. - Sir John skinął głową. - Najprawdopodobniej. Ale żeby się tam dostać, musimy pokonać ponad sto mil paku, być może nawet dwieście. Podobno lodomistrz *Terroru* ma teorię na temat tego, dlaczego warunki lodowe na zachodzie tak gwałtownie się pogarszają. Panie Blanky?

Thomas Blanky się nie zaczerwienił. Starszy lodomistrz mówił z ogromną pewnością siebie, wyrzucał z ust sylaby niczym pociski z muszkietu.

- Wpłynięcie na ten pak to pewna śmierć. I tak posunęliśmy się już za daleko. Prawdę mówiąc, odkąd wypłynęliśmy z cieśniny Peel, widzimy strumień lodu gorszy od wszystkiego, co można napotkać na północ od Zatoki Baffina. Z dnia na dzień wygląda to coraz gorzej.

- Dlaczego tak się dzieje, panie Blanky? - spytał komandor Fitzjames, sepleniąc lekko. -

Wydaje mi się, że o tej porze roku powinniśmy jeszcze mieć do dyspozycji sporo przesmyków w lodzie, dopóki morze całkowicie nie zamarznie, a w pobliżu lądu, powiedzmy na południowy zachód od półwyspu Ziemi Króla Williama, morze powinno być żeglowne co najmniej jeszcze przez miesiąc.

Lodomistrz Blanky pokręcił głową.

- To nie są krążki śryżowe ani śryż, ani pokruszona kra, panowie, to pak. Nadchodzi z północnego zachodu. Pomyślcie o tym jako o serii olbrzymich lodowców, które zamykają w potrzasku góry lodowe i pokrywają morze grubą warstwą lodu na przestrzeni setek mil. Możemy mówić o sporym szczęściu, bo do tej pory byliśmy przed nimi osłonięci, to wszystko.

- A cóż nas przed tym osłaniało? - spytał porucznik Gore, niezwykle przystojny i ujmujący oficer.

Odpowiedział mu komandor Crozier, który skinieniem głowy nakazał Blanky'emu cofnąć się o krok.

- Wszystkie wyspy położone na zachód od naszego kursu, Grahamie - wyjaśnił Irlandczyk. - Rok temu odkryliśmy, że Ziemia Cornwallisa to w rzeczywistości wyspa, teraz wiemy też, że Ziemia Księcia Walii to tak naprawdę Wyspa Księcia Walii. To właśnie ta wyspa osłaniała nas przed strumieniem lodu, dopóki nie wypłynęliśmy z cieśniny Peel. Teraz widzimy jednak, że między wyspami położonymi na północnym zachodzie przeciska się prawdziwy pak, sięgający coraz dalej na południe. Wszelkie obszary otwartej wody, które jeszcze uchowały się przy południowych wybrzeżach, wkrótce zamarzną; podobnie jak my, jeśli będziemy płynąć dalej i spróbujemy przetrzymać na otwartym lodzie.

- To tylko jedna opinia - odezwał się sir John. - Dziękujemy ci za nią, Francis. Teraz jednak musimy postanowić, jak będą wyglądały nasze dalsze działania. Tak, James?

Komandor porucznik Fitzjames wyglądał jak zawsze na zrelaksowanego i pewnego siebie zarazem. Przytył nieco podczas wyprawy, więc guziki na jego mundurze wyglądały tak, jakby lada moment miały odpaść od niego z trzaskiem. Policzki komandora były zaczerwienione, a blond włosy opadały długimi lokami na ramiona. Fitzjames uśmiechnął się najpierw do wszystkich siedzących przy stole, po czym przemówił:

- Sir Johnie, zgadzam się z komandorem Crozierem, że źle stałoby się dla nas wszystkich, gdyby nasze statki zamarzły na otwartym morzu, nie sądzę jednak, że właśnie taki los nas spotka, jeśli popłyniemy dalej. Uważam, że musimy popłynąć jak najdalej na południe i albo dotrzeć do otwartych wód, by zrealizować cel naszej wyprawy, czyli znaleźć Przejsście Północno-Zachodnie, czego, jak sądzę, dokonamy jeszcze przed nadejściem zimy, albo znaleźć jakieś bezpieczne schronienie przy brzegu, być może jakąś zatoczkę, w której będziemy mogli przetrzymać w stosunkowo przyzwoitych warunkach, podobnie jak przy wyspie Beechey. Wiemy już dzięki poprzednim, lądowym wyprawom sir Johna i doświadczeniom innych ekspedycji morskich, że morze w pobliżu lądu zamarza znacznie później, a to dzięki cieplejszym wodom ze spływających do niego rzek.

- A jeśli na południowym zachodzie nie dotrzemy do otwartych wód ani do wybrzeża? - spytał cicho Crozier.

Fitzjames machnął lekceważąco ręką.

- Przynajmniej kiedy w przyszłym roku nadejdzie wiosna, będziemy bliżej celu. Co innego nam pozostaje, Francis? Chyba nie myślisz poważnie o tym, żeby wrócić cieśniną do wyspy Beechey albo wycofać się do Zatoki Baffina?

Crozier pokręcił głową.

- W tej chwili możemy równie łatwo popłynąć na wschód od Ziemi Króla Williama, jak na

zachód; łatwiej, wiemy bowiem od naszych zwiadowców i obserwatorów, że na wschodzie są jeszcze duże obszary otwartej wody.

- Mielibyśmy popłynąć na wschód od Ziemi Króla Williama? - powtórzył z niedowierzaniem sir John. - Francis, w ten sposób zapędzilibyśmy się w ślepą uliczkę. Owszem, półwysep stanowiłby dobrą osłonę, ale utknęlibyśmy setki mil stąd w długiej zatoce, w której być może w ogóle nie puszczą lody do następnej wiosny.

- Chyba że... - zaczął głośno Crozier, rozglądając się dokoła. - Chyba że Ziemia Króla Williama też jest wyspą. Wówczas moglibyśmy korzystać z takiej samej osłony przed pakiem spływającym z północy, jaka przez ostatni miesiąc zapewniała nam Wyspa Księcia Walii. Całkiem możliwe, że otwarte wody po wschodniej stronie Ziemi Króla Williama ciągną się aż do wybrzeża; dzięki temu moglibyśmy żeglować jeszcze przez kilka tygodni na zachód, znaleźć jakąś przytulną zatoczkę - być może przy ujściu rzeki - i tam spędzić kolejną zimę, jeśli okaże się to konieczne.

W pokoju znów zapadła cisza.

Porucznik H.T.D. Le Vesconte z *Erebusa* odchrząknął z zakłopotaniem.

- Wierysz w teorie tego ekscentryka, doktora Kinga? - powiedział cicho.

Crozier zmarszczył brwi. Wiedział, że większość badaczy zdecydowanie odrzuca teorie doktora Richarda Kinga - który nie był nawet marynarzem, lecz zwykłym cywilem - głównie dlatego, że King uważał, i głośno dawał temu wyraz, iż duże wyprawy morskie, takie jak choćby wyprawa sir Johna, były głupie, niebezpieczne i absurdalnie drogie. King twierdził również, opierając się na danych, które zebrała przed laty lądowa ekspedycja Backa, że Ziemia Króla Williama była wyspą, podczas gdy Boothia, wyspa położona jeszcze dalej na wschód, była w rzeczywistości długim półwyspem. Kontrowersyjny naukowiec dowodził, że najłatwiej, najbezpieczniej i najszybciej odnajdą Przejście Północno-Zachodnie małe grupy wędrujące najpierw drogą lądową przez tereny północnej Kanady, a potem posuwające się drogą morską na zachód, wzdłuż wybrzeża, gdzie żegludze sprzyjają cieplejsze wody, oraz że tysiące mil kwadratowych morza na północy to w rzeczywistości labirynt wysp i strumieni lodu, które mogły pochłonać tysiące Erebusów i Terrorów. Crozier wiedział, że w bibliotece *Erebusa* znajduje się egzemplarz książki Kinga - sam ją odszukał i przeczytał, a książka nadal leżała w jego kajucie na Terrorze. Wiedział również, że jest jedynym członkiem ekspedycji, któremu w ogóle chciało się do niej zajrzeć.

- Nie - odrzekł głośno. - Nie zgadzam się teoriami Kinga, sugeruję tylko, że istnieje taka możliwość. Posłuchajcie, wszyscy myśleliśmy, że Ziemia Corwallisa jest ogromna, że być może stanowi część kontynentu arktycznego, opłynęliśmy ją jednak w ciągu zaledwie kilku dni. Wielu z nas uważało, że wyspa Devon ciągnie się na północ i zachód, rośto do otwartego Morza Polarnego, lecz nasze okręty dotarły do jej achodniego końca, skąd widzieliśmy otwarte kanały na północy. Zgodnie z rozkazami, minawszy Przylądek Walkera, mieliśmy płynąć prosto południowy zachód, okazało się jednak, że dokładnie na naszym kursie leży Ziemia Księcia Walii - i co istotniejsze, że niemal na pewno est to wyspa. Wąski pas lodu, który dostrzegliśmy na wschodzie, gdy płynęliśmy na południe, może być zamarznąłą cieśniną oddzielającą Lrspę Sommerset od półwyspu Boothia, co oznaczałoby, że King się mylił i że Boothia nie jest jednym długim półwyspem ciągnącym się na północ aż do Cieśniny Lancastera.

- Nie mamy żadnych dowodów na to, że ten pas lodu to cieśnina

- odparł porucznik Gore. - Rozsądniej będzie chyba założyć, że to pokryty lodem przesmyk, podobny do tego, który widzieliśmy przy wyspie Beechey.

Crozier wzruszył ramionami.

- Być może, ale podczas tej wyprawy przekonaliśmy się już kilkakrotnie, że lądy, które do tej

pory uważano za bardzo duże lub połączone ze sobą, w rzeczywistości są wyspami. Proponuję więc, byśmy zawrócili, unikając paku nadciągającego z południowego zachodu, i popłynęli na wschód, a potem na południe, wzdłuż wschodniego brzegu lądu, który być może jest Wyspą Króla Williama. Dzięki temu będziemy przynajmniej osłonięci przed tym... morskim lodowcem, o którym mówił pan Blanky... a gdybyśmy odkryli, że jest to tylko jednak długa, wąska zatoka, przyszłego lata najprawdopodobniej moglibyśmy ponownie popłynąć na północ, wzdłuż brzegu Ziemi Króla Williama i znaleźć się w tym samym miejscu co teraz, niczego praktycznie nie tracąc.

- Prócz spalonego węgla i cennego czasu - dodał komandor Fitzjames.

Crozier skinął głową.

Sir John potarł swe pulchne, gładko ogolone policzki, nim jednak zdążył odnieść się do słów Croziera, przemówił mechanik *Terroru*, James Thompson:

- Sir Johnie, panowie, ponieważ został tu poruszony temat zapasów węgla, pozwolę sobie zauważyć, że niedługo - i to bardzo niedługo - skurczą się one do ilości, która praktycznie uniemożliwi nam powrót. Tylko w zeszłym tygodniu, kiedy korzystając z napędu parowego, przebijaliśmy się przez obrzeża owego paku, spaliliśmy ponad jedną czwartą zapasów węgla, które nam jeszcze pozostały. W tej chwili została nam jeszcze połowa pierwotnych zapasów... czyli na niecałe dwa tygodnie normalnej żeglugi, ale tylko na kilka dni, jeśli nadal będziemy przebijać się przez lód. Jeśli następną zimę znów spędzimy w lodzie, zużyjemy znaczną część tych rezerw tylko na ogrzewanie statków.

- Zawsze możemy wysłać kogoś na brzeg po drewno - wtrącił porucznik Edward Little, siedzący po lewej ręce Croziera.

Przez następną minutę wszyscy mężczyźni obecni w kajucie, prócz sir Johna, śmiali się serdecznie, co rozładowało nieco napiętą atmosferę. Być może sir John przypominał sobie swoją pierwszą lądową ekspedycję na północne wybrzeże, położone na południe od miejsca, w którym się obecnie znajdowali. Tundra ciągnęła się na przestrzeni dziewięciuset mil od wybrzeża; dopiero po pokonaniu tej jałowej krainy można było natknąć się na pierwsze prawdziwe drzewa lub krzewy.

- Mam pewien pomysł, jak rozwiązać ten problem - oświadczył niespodziewanie Crozier, gdy umilkły już ostatnie śmiechy.

Wszyscy spojrzeli z zainteresowaniem na komandora HMS *Terror*.

- Przeniesiemy całą załogę i węgiel z *Erebusa* na *Terror* i popłyniemy dalej - wyjaśnił Crozier. - Albo przez lód na południowy zachód, albo wzdłuż wschodniego wybrzeża Ziemi Króla Williama.

- Postawić wszystko na jedną kartę - przemówił lodomistrz Blanky, przerywając pełną zdumienia ciszę. - Tak, to ma sens.

Sir John przez chwilę tylko mrugał. Gdy wreszcie odzyskał głos, wydawało się, że nie do końca wierzy w to, co właśnie usłyszał.

- Porzucić okręt flagowy? - powiedział w końcu. - Porzucić *Erebusa*? Rozejrzał się dokoła, jakby dając do zrozumienia wszystkim swym oficerom, że sam widok jego kajuty powinien rozwiązać tę kwestię w sposób jasny i ostateczny - grodzie wypełnione półkami i książkami, kryształ i porcelana na stole, trzy patentowane iluminatory Prestona osadzone w suficie, dzięki czemu do wnętrza wpadał szeroki strumień słonecznego blasku.

- Porzucić *Erebusa*, Francisie? - powtórzył głośniejszym głosem, jakby domagał się, by ktoś wyjaśnił mu, o co chodzi w tym dziwnym i niezbyt śmiesznym żarcie.

Crozier skinął głową.

- Główny wał jest wykrzywiony, sir. Pański mechanik, pan Gregory, powiedział, że można go

naprawić lub wymienić tylko w suchym doku, którym oczywiście nie dysponujemy. Jeśli utkniemy w paku, sytuacja tylko się pogorszy. Jeśli nadal będziemy płynąć na dwóch okrętach, węgla wystarczy nam tylko na kilka dni walki z lodem. Jeśli nam się nie uda, wszyscy zostaniemy uwięzieni w lodzie. Jeśli z kolei zamarzniemy na otwartym morzu, na zachód od Ziemi Króla Williama, staniemy się częścią prądu lodowego, który może nas znieść na przybrzeżną płyčinę. To zaś oznacza nieuchronne zniszczenie, nawet tak cudownego statku jak ten. - Crozier objął gestem kajutę *Erebusa*. - Jeśli jednak zgromadzimy wszystkie zapasy węgla na mniej zniszczonym statku - kontynuował - i jeśli uda nam się do tego znaleźć otwarte wody przy wschodnim wybrzeżu Ziemi Króla Williama, będziemy mogli jeszcze co najmniej przez miesiąc płynąć na zachód, i to pełną parą. Poświęcilibyśmy *Erebusa*, to prawda, ale moglibyśmy dotrzeć - dotarlibyśmy - do cypla Turnagain i innych znajomych miejsc przy wybrzeżu w ciągu tygodnia. Dzięki temu wypłynęlibyśmy na Pacyfik jeszcze w tym roku zamiast w następnym.

- Porzucić *Erebusa* - powtórzył ponownie sir John. W jego głosie nie było gniewu ani irytacji, a tylko bezbrzeżne zdumienie wynikające z absurdalności takiej propozycji.

- Na *Terrorze* zrobiliby się bardzo ciasno - zauważył komandor porucznik Fitzjames. Wyglądało na to, że całkiem poważnie potraktował pomysł Croziera.

Komandor sir John odwrócił się w prawo i wpatrywał się przez chwilę w swego ulubionego oficera. Na jego twarzy pojawił się w końcu zimny uśmiech kogoś, komu nie tylko celowo nie wyjaśniono sensu żartu, ale i uczyniono go obiektem tego żartu.

- Ciasno, ale nie ponad miarę, i to tylko przez miesiąc lub dwa - odrzekł Crozier. - Pan Honey z mojego statku i wasz okrętowy cieśla, pan Weekes, zajęliby się wyburzeniem wewnętrznych grodzi; rozebralibyśmy wszystkie kwatery oficerskie prócz Wielkiej Kajuty, w której znalazłoby się miejsce dla sir Johna. Dzięki temu zyskalibyśmy naprawdę dużo przestrzeni, wystarczająco, by spędzić na statku co najmniej kolejny rok. Te stare okręty bombardujące mają mnóstwo wolnej przestrzeni pod pokładem, przynajmniej tyle dobrego można o nich powiedzieć.

- Przeniesienie węgla i zapasów musiałoby trochę potrwać - zauważył porucznik Le Vesconte.

Crozier ponownie skinął głową.

- Poprosiłem, by mój intendent, pan Helpman, dokonał wstępnych obliczeń. Pamiętacie panowie zapewne, że pan Goldner, główny dostawca konserw naszej ekspedycji, dostarczył swój towar dopiero niecałe czterdzieści osiem godzin przed terminem wypłynięcia, musieliśmy więc w znacznym stopniu przeładować nasze statki. Zdążyliśmy. Pan Helpman szacuje, że jeśli obie załogi będą pracowały od rana do nocy, przesypiając tylko połowę należnego im czasu, zdążymy przenieść wszystko na *Terror* - w ciągu trzech dni. Przez kilka tygodni może nam być trochę ciasno, ale dzięki temu nasza ekspedycja zyska nowy wymiar, jakby dopiero startowała - będziemy mieli uzupełnione zapasy węgla, jedzenie na kolejny rok i w pełni sprawny okręt.

- Postawić wszystko na jedną kartę - powtórzył lodomistrz Blanky. Sir John pokręcił głową i zachichotał, jakby w końcu znudził mu się ten osobliwy żart.

- Cóż, Francis, to bardzo... interesująca... koncepcja, ale oczywiście nie porzucimy *Erebusa*, Ani *Terroru*, gdyby twój okręt doznał jakichś drobnych uszkodzeń. No dobrze, panowie, jeśli się nie mylę, nikt nie wspominał dzisiaj o powrocie do Zatoki Baffina. Czy mogę więc założyć, że nikt nie proponuje takiego rozwiązania?

W kajucie znów zapadła cisza. Słyszeć było tylko zgrzyt cegiełek o deski; marynarze już drugi raz tego dnia czyścili pokład.

- Cóż, w takim razie sprawa jest postanowiona - rzekł sir John - Płyniemy dalej. Po pierwsze

tak mówią rozkazy, a po drugie, jak kilku z was, panowie, raczyło zauważyć, będziemy bezpieczniejsi, jeśli zbliżymy się do stałego lądu, nawet jeśli ląd ów będzie tak niegościnnie jak wyspy, które mijaliśmy po drodze. Francis, James, możecie poinformować załogi o naszej decyzji.

Sir John wstał.

Przez krótką, pełną niedowierzania chwilę komandorzy, oficerowie lodomistrzowie, mechanicy i lekarz tkwili w bezruchu, potem jednak oficerowie wstali szybko z miejsc, skinęli głowami i wyszli z ogromnej kajuty sir Johna.

Doktor Stanley kilkakrotnie szarpnął komandora porucznika Fitzjamesa za rękaw, kiedy mężczyźni przeszli wąską zejściówką i wkroczyli po schodach na pokład.

- Komandorze, komandorze - mówił Stanley - sir John nie udzielił mi głosu, ale chciałem poinformować wszystkich, że coraz więcej konserw się psuje.

Fitzjames uśmiechnął się i uwolnił rękaw z uścisku doktora.

- Postaramy się, by wkrótce mógł pan poinformować o tym sir Johna osobiście.

- Ale już mu o tym mówiłem - nie dawał za wygraną lekarz. - Chciałem tylko poinformować innych oficerów, na wypadek...

- Później, panie Stanley - uciał krótko Fitzjames.

Lekarz mówił coś jeszcze, lecz Crozier go nie dosłyszał, przeszedł dalej i gestem dał znak Johnowi Lane'owi, swemu bosmanowi, by przysłał po niego łódkę, która miała zawieźć go wąskim przesmykiem otwartej wody na pokład *Terroru*. Okręt Croziera wgryzał się uporczywie w coraz twardszą taflę lodu, a z jego komina biły w niebo kłęby czarnego dymu.

Przez kolejne cztery dni oba okręty przebijały się przez pak, zmierzając powoli na południowy zachód. HMS *Terror* spalał węgiel w zawrotnym tempie, wykorzystując całą moc silnika do walki z coraz grubszy lodem. Pasma otwartej wody na południu zniknęły, niewidoczne nawet w słoneczne dni.

Temperatura spadła gwałtownie dziewiątego września. Długi wąski pas otwartej wody za rufą *Erebusa* pokrył się najpierw warstwą krążków śryżowych, a potem zamarzł na dobre. Morze wokół nich zamieniło się w jednolitą białą masę brył lodu, gór i wałów lodowych.

Przez sześć dni Franklin próbował wszystkich znanych mu sztuczek, które mogłyby uwolnić ich z lodowej pułapki - kazał posypywać lód przed dziobami okrętu pyłem węglowym, co miało przyspieszyć jego topnienie, wysyłał do pracy grupy ludzi z ogromnymi piłami, którzy wycinali lód sprzed okrętów kawałek po kawałku, zmieniał balast, kazał setce ludzi naraz atakować lód za pomocą kilofów, oskardów, łopat ostrzonych palików, wbijał kotwice daleko z przodu i ciągnął *Erebusa* - który dzień przed nagłym atakiem mrozu ponownie zajął miejsce przed *Terrorem* - jard po jardzie. Wreszcie kazał wszystkim zdrowym członkom załogi wyjść na lód, przydzielił wszystkim liny, a najsilniejszym uprząść do sań i spróbował ciągnąć okręty naprzód, co było prawdziwie morderczą pracą przynoszącą wszakże mizerne skutki. Sir John bez przerwy powtarzał swoim ludziom, że być może już dwadzieścia, trzydzieści mil dalej czekają na nich otwarte przybrzeżne wody.

Otwarte wody mogły równie dobrze czekać na nich na powierzchni księżyca...

Nocą piętnastego września 1846 roku temperatura spadła poniżej zera a lód zaczął z jękiem i trzaskiem napierać na kadłuby okrętów. Rankiem każdy, kto wyszedł na pokład, mógł przekonać się na własne oczy, że wokół statków rozciąga się bezbrzeżna lodowa pustynia. Korzystając z krótkich okresów dobrej pogody pomiędzy coraz częstszymi śnieżycami, Crozier i Fitzjames ustalili pozycje swych statków. Obaj komandorzy obliczyli, że pozycja ta wynosi mniej więcej 70°05' szerokości

geograficznej północnej i 98°23' długości geograficznej zachodniej, jakieś dwadzieścia pięć mil od północno-zachodniego brzegu Wyspy albo Ziemi Króla Williama - teraz ta różnica i tak nie miała żadnego znaczenia.

Utknęli w otwartym lodzie - w ruchomym paku - uwięzieni dokładnie na linii ataku „ruchomego lodowca” lodomistrza Blanky’ego, który ciągnął ku nim z obszarów polarnych na północnym zachodzie, z samego bieguna północnego. Z tego, co wiedzieli, w promieniu stu mil nie było żadnej zatoki, która mogłaby osłonić ich przed tym atakiem, a gdyby nawet wiedzieli o istnieniu takowej, i tak nie mogliby się do niej dostać.

O drugiej po południu tego dnia komandor sir John Franklin rozkazał przygasić ogień w kotłach zarówno na Erebusie, jak i na Terrorze. Palacze mieli utrzymywać tylko ciśnienie pary wystarczające do ogrzewania niższych pokładów na obu statkach.

Sir John nie wygłosił żadnego oświadczenia do swych ludzi. Nie było to potrzebne. Tego wieczoru, gdy marynarze układali się w swych hamakach na Erebusie i gdy Hartnell jak co dzień odmawiał szeptem Modlitwę za swego zmarłego brata, trzydziestopięcioletni marynarz Abraham Seeley z sąsiedniego hamaka syknął w jego stronę:

- Utknęliśmy po uszy w gównie, Tommy, i ani twoje modlitwy, ani Sir John nie wyciągną nas z niego... przynajmniej przez następne dziesięć miesięcy.

CROZIER

70°05' szerokości geograficznej północnej, 98°23' długości geograficznej zachodniej. 11 listopada 1847.

Minął rok, dwa miesiące i osiem dni od czasu pamiętnej narady w kajucie sir Johna, a oba okręty nadal tkwią w lodzie, mniej więcej w tym samym miejscu, gdzie zatrzymały się tamtego wrześnieowego dnia 1846 roku. Choć prąd z północnego zachodu przesuwając lodową masę, krąży wokół, niosąc ze sobą lód, góry lodowe, grzbiety i oba okręty, więc ich pozycja pozostaje mniej więcej taka sama: HMS Erebus i HMS Terror stoją uwięzione w lodzie około dwudziestu pięciu mil od północno-zachodniego brzegu Ziemi Króla Williama i krążą powoli niczym plamka rdzy na jednym z muzycznych dysków w Wielkiej Kajucie.

Komandor Crozier spędził ten listopadowy dzień - a raczej te godziny ciemności, w których niegdyś pojawiał się blask słońca - na poszukiwaniach brakujących członków załogi, Williama Stronga i Thomasa Evansa. Oczywiście nie ma już żadnej nadziei na uratowanie któregośkolwiek z nich i istnieje duże ryzyko, że monstrum z lodu zabierze innych, ale poszukiwania trwają nadal. Ani komandor, ani żaden z członków załogi nie wyobrażają sobie innego rozwiązania.

Cztery zespoły złożone z pięciu członków - jeden marynarz w zespole trzyma dwie lampy, a pozostali czterej gotowi do strzału strzelby śrutowe lub muszkiety - prowadzą jednocześnie poszukiwania, pracując w systemie czterogodzinnych zmian. Gdy jeden zespół wraca, przemarznięty i drżący, kolejny czeka już na pokładzie, z lampami wypełnionymi olejem i załadowaną bronią, po czym podejmuje poszukiwania w kwadrancie, który opuścił poprzedni zespół. Pięcioosobowe grupy zataczają coraz szersze koła wokół statków, przedzierając się przez labirynt lodowych formacji. Strażnicy na pokładzie czasem dostrzegają ich lampy przebiegające pomiędzy lodowymi głazami i wałami. Komandor Crozier i marynarz z czerwoną lampą przechodzą z kwadrantu do kwadrantu, sprawdzając poszczególne zespoły, a potem wracają na *Terror*, by sprawdzić, jak wygląda sytuacja na pokładzie i pod nim.

Trwa to dwanaście godzin.

Po wybiciu dwóch szklanek na psiej wachcie - o szóstej wieczorem - wracają ostatnie zespoły poszukiwawcze. Żaden z nich nie znalazł zaginionych towarzyszy, a kilku marynarzy czerwieni się ze wstydu, wypaliwszy z muszkietu do lodowych głazów i seraków, które wzięli za białe niedźwiedzie. Crozier ostatni schodzi za nimi pod pokład.

Nim Crozier zamknie za sobą właz, większość załogantów ma dość czasu, by zdjąć okrycia wierzchnie i przejść do spuszczonej spod sufitu stolików, gdzie czeka już na nich posilek. Steward komandora, Jopson, i porucznik Little pomagają mu zdjąć okryte warstwą lodu ubrania.

- Przemarzał pan, komandorze - mówi Jopson. - Pańska skóra jest biała. Proszę przejść do mesy oficerskiej, podano kolację. Crozier kręci głową.

- Muszę porozmawiać z komandorem Fitzjamesem. Edwardzie, czy podczas mojej nieobecności dotarł tu jakiś posłaniec z jego okrętu?

- Nie, panie komandorze - odpowiada porucznik Little.

- Proszę coś zjeść, komandorze - nalega Jopson. Jak na stewarda jest dość dużym mężczyzną, a jego głęboki głos przybiera raczej gniewne niż błagalne tony, kiedy próbuje namówić swego komandora do zjedzenia kolacji.

Crozier ponownie kręci głową.

- Bądź tak miły, Thomasie, i przygotuj mi kilka sucharów. Zjem je po drodze do *Erebusa*.

Jopson nie kryje swego niezadowolenia z tej niemądrej decyzji, idzie jednak do pana Diggle'a, który jak zawsze stoi przy ogromnym piecu. O tej porze, w godzinie kolacji, dolny pokład jest wyjątkowo ciepły - temperatura wzrasta do ponad czterdziestu stopni. Przez resztę doby będzie tu znacznie chłodniej - ostatnio znacznie ograniczyli ilość węgla przeznaczonego na ogrzewanie statku.

- Ilu ludzi pójdzie z panem, panie komandorze? - pyta Little.

- Żaden, Edwardzie. Kiedy już wszyscy się najedzą, wyprowadź na lód co najmniej osiem zespołów i kontynuuj poszukiwania jeszcze przez cztery godziny.

- Ale, panie komandorze, lepiej byłoby dla pana... - zaczyna Little, potem jednak milknie.

Crozier wie, co chciał powiedzieć porucznik. *Terror* i *Erebus* są od siebie oddalone zaledwie o milę, jednak pokonanie tego dystansu trwa czasem kilka godzin. Jeśli nadejdzie śnieżyca albo po prostu zacznie wiać wiatr unoszący ze sobą śnieg, nieostrożny wędrowiec może się zgubić albo utknąć w miejscu. Crozier osobiście zabronił swym podwładnym przechodzić na *Erebus* w pojedynkę, a gdy trzeba przekazać tam jakąś wiadomość, wysyła co najmniej dwóch ludzi i każe im zawracać przy najmniejszych oznakach załamania pogody. Poza tym oba statki oddziela nie tylko wysoka na dwieście stóp góra lodowa, która Często zasłania flary i światła, ale i prawdziwy labirynt zmieniających SIC nieustannie seraków, wałów lodowych i odwróconych lodowych krył, przez które prowadzi wytyczona rękami marynarzy ścieżka.

- Nie obawiaj się, Edwardzie - mówi Crozier. - Zabiorę kompas. Little uśmiecha się, choć po trzech latach pobytu w tym miejscu żart ów nieco już spowszedniał. Według tego, co pokazują instrumenty pokładowe, oba okręty zatrzymały się niemal dokładnie nad północnym biegunem magnetycznym. Kompas jest tutaj równie przydatny jak czarodziejska różdżka.

Do komandora podchodzi porucznik Irving. Policzki młodzieńca błyszczą balsamem nałożonym w miejscach, gdzie odmrożenia pozostawiły po sobie białe plamy i obszary łuszczącej się, martwej skóry.

- Komandorze - zaczyna Irving pośpiesznie. - Widział pan gdzieś na zewnątrz Ciszę?

Crozier zdjął przed chwilą czapkę i szalik i zajęty jest teraz wycieraniem lodu z mokrych od potu i pary włosów.

- Chcesz powiedzieć, że nie ma jej w tej małej kryjówce za izbą chorych?

- Nie, komandorze.

- Szukałeś jej na całym dolnym pokładzie? - Crozier martwi się głównie, że podczas gdy większość marynarzy była na zewnątrz, zajęta poszukiwaniami, młoda Eskimoska zrobiła coś, czego dla własnego dobra nie powinna była robić.

- Tak jest, komandorze. Ani śladu. Wypytywałem o nią, ale nikt nie widział jej od wczorajszego wieczora. Od wieczora poprzedzającego... atak.

- Była na pokładzie, kiedy to coś zaatakowało szeregowca Heathera i marynarza Stronga?

- Nikt tego nie wie, komandorze. Być może. Tylko Heather i Strong byli wtedy na pokładzie.

Crozier wzdycha przeciągle. Myśli, że byłaby to prawdziwa ironia losu, gdyby ich tajemniczy gość, który pojawił się przed sześcioma miesiącami, dokładnie w dniu, gdy zaczął się ten koszmar, został teraz zabrany przez to stworzenie.

- Przeszukajcie cały statek, poruczniku - mówi. - Wszystkie schowki i szafki, wszystkie zakamarki. Zastosujemy brzytwę Okhama i założymy, że jeśli nie ma jej na statku, to... została porwana.

- Tak jest, komandorze. Czy mogę dobrać sobie kilku ludzi do pomocy?

Crozier kręci głową.

- Nie, musisz robić to sam, John. Chcę, żeby wszyscy pozostali wyszli ponownie na lód i szukali Stronga i Evansa do wygaszenia świateł. Jeśli nie znajdziesz Ciszy, przyłącz się do którejś z grup.

- Tak jest, komandorze.

Przypomniawszy sobie o rannej ofierze monstrum, Crozier przechodzi przez mesę marynarską do izby chorych. Zwykle w porze kolacji, nawet w tych mrocznych dniach, przy stołach słychać gwar rozmów i śmiechy, dziś jednak ciszę przerywa tylko skrobanie łyżek o metal i czkanie. Ludzie są wyczerpani, siedzą nieruchomo na skrzyniach służących im za krzesła, niektórzy tylko podnoszą głowy, by spojrzeć obojętnie na przeciskającego się między nimi komandora.

Crozier puka w drewnianą belkę przy wejściu do izby chorych i odsuwa zasłonę.

Doktor Peddie siedzi przy stole na środku pokoju i zszywa lewe przedramię starszego marynarza George'a Cann.

- Dobry wieczór, komandorze - mówi lekarz, podnosząc nań wzrok. Cann przykładą zdrową rękę do czoła, salutując.

- Co się stało, Cann?

Młody marynarz krzywi się ze złością.

- Pierdolona strzelba ześlizgnęła mi się do rękawa i przykleiła się do skóry, kiedy wchodziliśmy na ten jebany wał, komandorze... przepraszam za wyrażenie. Pociągnąłem strzelbę, a razem z nią zszedł mi płat skóry.

Crozier kiwa głową i rozgląda się dokoła. Izba chorych jest mała, ale stoi w niej teraz sześć łóżek. Jedno jest puste. Trzech chorych na szkorbut, jak podejrzewają Peddie i McDonald, śpi. Czwarty, Davey Leys, wpatruje się w sufit - jest przytomny, ale niemal od tygodnia dziwnie milczący i obojętny. Na piątym leży szeregowiec William Heather.

Crozier zdejmuje z haczyka lampkę i oświetla nią twarz Heathera. Światło odbija się w jego otwartych oczach, nie mruga jednak, gdy Crozier przysuwa lampkę bliżej. Jego źrenice wydają się na stałe rozszerzone. Głowa rannego jest owinięta bandażem, przez który sączy się krew i szara substancja.

- Żyje? - pyta cicho Crozier.

Peddie podchodzi do niego, wycierając ręce w zakrwawioną szmatę.

- Dziwne, ale żyje.

- Widzieliśmy jego mózg na pokładzie. Widzę go nawet teraz. Peddie kiwa ze znużeniem głową.

- To się zdarza. W innych okolicznościach mógłby nawet wyzdrowieć. Oczywiście do końca życia byłby idiotą, ale moglibyśmy uzupełnić brakujący fragment czaszki metalową płytką, a jego rodzina, jeśli ma rodzinę, mogłaby się nim opiekować. Ale tutaj... - Peddie wzrusza ramionami. - Wcześniej czy później wykończy go zapalenie płuc albo szkorbut.

- Jak długo to potrwa? - pyta Crozier. Marynarz Cann opuścił już izbę chorych.

- Bóg jeden wie - odpowiada Peddie. - Będziecie jeszcze szukać Evansa i Stronga, komandorze?

- Tak. - Crozier odwiesza lampkę na swoje miejsce przy wejściu.

- Z pewnością zdaje pan sobie sprawę - mówi ze znużeniem lekarz - że ani młody Evans, ani Strong nie mają już żadnych szans na przeżycie, istnieje za to duże prawdopodobieństwo, że każda wyprawa na lód przyniesie więcej ran i więcej odmrożeń, które mogą zakończyć się amputacją - wielu ludzi straciło już co najmniej jeden palec u nogi - i Ze prędzej czy później ktoś postrzeli kogoś innego przez pomyłkę.

Crozier przez chwilę patrzy w milczeniu na lekarza. Gdyby to któryś z oficerów lub marynarzy przemówił do niego w ten sposób, kazałby go wychłostać. Komandor bierze jednak pod uwagę cywilny status lekarza i jego zmęczenie. Doktor McDonald od trzech dni leży w hamaku, złożony grypą, Peddie ma więc mnóstwo pracy.

- Pan pozwoli, że to ja będę się martwił zagrożeniami związanymi z prowadzeniem dalszych poszukiwań, panie Peddie, a pan niech się martwi zszywaniem ludzi, którzy są na tyle głupi, by przy temperaturze sześćdziesięciu stopni poniżej zera przystawiać metal do gołej skóry. Poza tym, gdyby to monstrum zabrało pana, nie chciałby pan, żebyśmy pana szukali?

Peddie śmieje się głucho.

- Mam tylko nadzieję, komandorze, że jeśli porwie mnie ten okaz gatunku *Ursus maritimus*, będę miał ze sobą swój skalpel. I że uda mi się wbić go we własne oko.

- Więc proszę nosić skalpel przy sobie, panie Peddie - odpowiada Crozier, odsuwa zasłonę i wchodzi w dziwną ciszę marynarskiej mesy.

Jopson czeka nań już z zawiniętymi w chustę gorącymi sucharami.

Spacer przez lodową pustynię sprawia Crozierowi przyjemność, choć dojmujący mróz dosięga jego twarzy, palców i stóp, które pieką go teraz tak, jakby wypełniał je płynny ogień. Wie, że to lepsze, niż gdyby nie czuł ich wcale. Spacer sprawia mu też przyjemność pomimo faktu, że pomiędzy przeciągłymi jękami i nagłymi krzykami lodu, który przemieszcza się pod nim i wokół niego, oraz nieustającym wyciem wiatru nabiera coraz większej pewności, iż ktoś go śledzi.

Podczas dwugodzinnego marszu - a właściwie wspinaczki i zjazdów po wałach lodowych, które bez ustanku stają mu na drodze - może też cieszyć się niecodziennym widokiem, gdy chmury rozstępują się na jakieś dwadzieścia minut, a trzy ćwierci księżyca oświetlają fantasmagoryczny krajobraz. Księżyc jest na tyle jasny, że otacza go halo światła odbitego w kryształkach lodu, a właściwie dwa koncentrycznie ułożone halo, z których większe zajmuje niemal jedną trzecią nieba. Nie widać gwiazd. Crozier przykręca lampę, by zaoszczędzić na oleju, i idzie dalej, badając za pomocą tyczki, którą zabrał ze sobą ze statku, każdą plamę czerni na swej drodze i upewniając się w ten sposób, że jest to tylko cień, a nie szczelina lub rozpadlina w lodzie. Dotarł już do obszaru po wschodniej stronie góry lodowej, gdzie nie dociera blask I księżyca, a lód przykrywa poszarpany cień góry. Jopson i Little namawiali go, by wziął ze sobą strzelbę, odpowiedział im jednak, że nie chce dodatkowego obciążenia. W rzeczywistości nie wierzył, by śrutówka mogłaby przydać mu się do czegokolwiek w starciu z wrogiem, którego wszyscy mieli na myśli.

W krótkiej chwili spokoju, gdy nad lodową pustynią zapada nagle cisza przerywana jedynie jego chrapliwym oddechem, Crozier przypomina sobie nagle pewien obraz z czasów, gdy był jeszcze chłopcem. Pewnego zimowego wieczora wracał wtedy do domu, spędziwszy z kolegami całe popołudnie wśród wzgórz. Początkowo pędził co sił w nogach przez oszronione wrzosowisko, potem jednak zatrzymał się raptownie jakieś pół mili od domu. Pamięta, jak stał tam, spoglądając na rozświetlone okna w wiosce, podczas gdy nad światem zapadał zmierzch, a otaczające go wzgórza zamieniały się w niewyraźne, czarne kształty, aż w końcu nawet jego dom widoczny na obrzeżach wioski zatracił wyraźne kształty i trójwymiarowość w dogasającym świetle. Crozier pamięta, że zaczął wówczas padać śnieg, przypomina sobie, jak stał samotnie w ciemności, za kamiennymi zagrodami dla owiec. Wiedział, że oberwie mu się za spóźnienie, że im później przyjdzie, tym większe czeka go lanie, nie chciał jednak jeszcze iść w stronę światła domu. Radością nappełniał go szum nocnego wiatru i świadomość, że jest jedynym chłopcem - być może jedyną ludzką istotą - na tych ciemnych, zamrzniętych łąkach, w noc pachnącą nadciągającym śniegiem, odizolowanym od

oświetlonych okien i ciepłych palenisk, narodzonym w tej wiosce, ale niebędącym jej częścią w tym konkretnym momencie. Było to ekscytujące, niemal erotyczne doznanie - potajemne odkrycie własnej jaźni oddzielonej od wszystkiego i wszystkich innych w tej ciemności i zimnie. Później wiele razy ponownie doświadczał tego uczucia podczas długich lat służby na przeciwległych biegunach kuli ziemskiej, a teraz doświadcza go po raz kolejny.

Coś schodzi z wysokiego wału lodowego za jego plecami.

Crozier podkręca płomień lampki i stawia ją na ziemi. Krąg złotego światła sięga zaledwie na odległość piętnastu stóp i sprawia, że rozciągające się za nim ciemności stają się jeszcze głębsze. Pomagając sobie zębami, ściąga grubą rękawicę i pozwala, by spadła na lód. Przekłada tyczkę do lewej ręki i wyciąga z kieszeni pistolet. Crozier odbezpiecza broń, wsłuchany w coraz głośniejsze szelesty i skrzypienie śniegu dochodzące z wału lodowego. Cień góry przesłania księżyc, a w migotliwym blasku lampy komandor widzi tylko niewyraźne zarysy ogromnych lodowych bloków.

Na skalnej półce, z której przed chwilą zszedł, pojawia się jakaś futrzana postać, jakieś dziesięć stóp nad nim i niecałe piętnaście stóp na zachód.

- Stój - mówi Crozier, podnosząc ciężki pistolet. - Ktoś ty?

Postać nie odpowiada. Znów się porusza.

Crozier nie strzela. Rzuca długą tyczkę na ziemię, podnosi lampkę i wysuwają przed siebie.

Widzi marszczące się futro i omal nie strzela, powstrzymuje się jednak w ostatniej chwili. Postać zsuwa się niżej, schodząc szybko i sprawnie na lód. Crozier opuszcza pistolet i chowa go do kieszeni. Wciąż trzymając przed sobą lampę, przykuca i podnosi rękawicę.

Lady Ciska wchodzi w krąg światła, odziana jak zawsze w futrzaną kurtkę i spodnie z foczej skóry, które upodabniają ją do zwierzęcia. Głęboko naciągnięty kaptur skrywa jej twarz przed wzrokiem Croziera.

- Do diabła, kobieto - mówi cicho. - Niewiele brakowało, a byłbym cię zastrzelił. Gdzieś ty się podziewała, do cholery?

Kobieta podchodzi bliżej, niemal na wyciągnięcie ręki, jej twarz nadal jednak kryje się w cieniu kaptura.

Przeszyty zimnym dreszczem, który wędruje wzdłuż jego kręgosłupa - Crozier przypomina sobie opowieść babki Moiry, opis ukrytej pod kapturem trupiej twarzy upiora - podnosi wyżej lampę.

Widzi twarz młodej kobiety, a nie upiora, światło odbija się w jej dużych ciemnych oczach. Trudno cokolwiek z nich wyczytać. Crozier uświadamia sobie, że nigdy nie widział, by twarz tej Eskimoski wyrażała jakiegokolwiek uczucia, może prócz lekkiego zainteresowania. Nie okazała żadnych uczuć nawet tego dnia, gdy zastrzelili jej męża czy brata, czy ojca, a ona przyglądała się jego śmierci.

- Nic dziwnego, że ludzie uważają cię za czarownicę i Jonasza - mówi Crozier. Na statku, w obecności innych ludzi, zawsze jest grzeczny dla eskimoskiej wiedźmy, teraz jednak nie jest ani na statku, ani w obecności swych ludzi. To pierwszy i jedyny raz, kiedy on i ta przeklęta kobieta w tym samym czasie znajdują się poza statkiem. A on jest przemarznięty i zmęczony.

Lady Ciska wpatruje się w niego. Potem wyciąga rękę. Crozier obniża lampę i widzi, że podaje mu coś szarego i bezwładnego, przypominającego wypatroszoną rybę.

Crozier uświadamia sobie, że to wełniana marynarska skarpeta.

Bierze ją do ręki i wyczuwa pod palcami jakąś bezkształtną bryłę. - Przez sekundę jest pewien, że to część ludzkiej stopy, może podbicie i palce, wciąż różowe i ciepłe.

Crozier bywał we Francji i zna ludzi, którzy pracowali w Indiach - Słyszał opowieści o

wilkolakach i ludziach-tygrysach. W Ziemi van Diemena Sophia Cracroft mówiła mu, że zdaniem mieszkających tam białych ludzi tubylcy potrafili zamienić się w potworne stworzenie zwane diabłem tasmańskim, które mogło rozerwać człowieka na strzępy-

Crozier potrząsa skarpetą i patrzy w oczy lady Cisy. Są czarne jak dziury w lodzie, do których marynarze *Terroru* składali swych zmarłych, dopóki i one nie zamarzły na kamień.

To bryłka lodu, a nie część stopy. Sama skarpeta nie jest jednak zamarznięta. Wełna nie leżała zbyt długo na mrozie. Logika podpowiada, że kobieta przyniosła ją ze sobą ze statku, jednak z jakiegoś nieokreślonego powodu Crozier w to nie wierzy.

- Strong? - mówi komandor. - Evans?

Cisza nie reaguje na żadne z tych nazwisk.

Crozier wzdycha, chowa skarpetę do kieszeni i podnosi tyczkę.

- Jesteśmy bliżej *Erebusa* niż *Terroru* - mówi. - Będziesz musiała pójść ze mną.

Crozier odwraca się do niej plecami, choć gdy to robi, znów przeszywa go zimny dreszcz, i rusza w stronę widocznej już w oddali sylwetki siostrzanego statku *Terroru*. Po chwili słyszy jej kroki na lodzie.

Pokonują ostatni wał lodowy. Crozier widzi teraz, że *Erebus* jest oświetlony jaśniej niż kiedykolwiek. Co najmniej dwanaście lamp wisi tylko na lewej burcie wyniesionego ponad lód i przechylonego statku. To marnotrawstwo oleju.

Crozier wie, że *Erebus* ucierpiał bardziej niż jego *Terror*. Ostatniego lata wygięty został długi wał okrętu - wał był tak skonstruowany, by w razie potrzeby chował się częściowo do statku, nie zdążył jednak zrobić tego, nim trafił na warstwę twardego jak skała lodu - zniszczeniu uległa też sama śruba, a do tego w ciągu ostatnich dwóch lat *Erebus* został w znacznie większym stopniu poturbowany przez lód niż *Terror*. Lodowiec wygiął, połamał i poluzował deski w poszyciu *Erebusa*; ster okrętu flagowego został uszkodzony, kiedy ostatniego lata próbowali dotrzeć do Przejścia; mróz wysadził więcej sworzni, nitów i metalowych obejm niż na *Terrorze*, wzmocniona powłoka przystosowana do rozbijania lodu, okrywająca dziób *Erebusa*, była oderwana lub wygięta. I choć *Terror* także został podniesiony przez lód, w ciągu ostatnich dwóch miesięcy trzeciej zimy HMS *Erebus* znalazł się na prawdziwym lodowym piedestale, pod którego naporem pękła znaczna część dolnej części kadłuba z prawej burty.

Okręt flagowy sir Johna, o czym dobrze wiedzą Crozier, Fitzjames jego załoga, nigdzie już nie popłynie.

Crozier nie wchodzi od razu w krąg światła rzucanego przez lampy na okręcie, lecz chowa się za wysoki na dziesięć stóp serak i przyciąga do siebie lady Ciszę.

- Ahoj, statek! - krzyczy najgłośniejszym, jak potrafi.

Odpowiada mu huk wystrzału, a sąsiedni serak zamienia się w fontannę śniegu i odłamków lodu.

- Nie strzelajcie, ślepi idioci, mróz wam pozamieniał mózgi w gówno czy co! - ryczy Crozier.

Na pokładzie słychać podniesione głosy, oficer wyrywa strzelbę z rąk Kretyna stojącego na wachcie.

- W porządku - mówi Crozier do skulonej Eskimoski. - Teraz możemy już iść.

Zastyga w bezruchu, nie tylko dlatego, że lady Ciska wcale nie idzie jego śladem. W świetle lamp widzi jej twarz - Eskimoska się uśmiecha. Te pełne usta, które prawie nigdy się nie poruszają, teraz wygięte są w uśmiechu. Jakby zrozumiała jego wybuch i uznała go za zabawny.

Crozier jeszcze nie może uwierzyć, że widział ją uśmiechniętą, gdy Ciska cofa się nagle w mroczny lodowy labirynt i znika.

Crozier kręci głową. Jeśli ta kobieta chce tam zamarznąć na śmierć, nie będzie jej w tym przeszkadzał. Czeką go jeszcze rozmowa z komandorem Fitzjamesem i długa droga powrotna do domu.

Uświadomiwszy sobie nagle, że co najmniej od pół godziny nie czuje już stóp, Crozier wchodzi powoli na śnieżne zbocze, prowadzące na pokład zniszczonego okrętu flagowego.

FRANKLIN

70°05' szerokości geograficznej północnej, 98°23' długości geograficznej zachodniej. Maj 1847.

Komandor sir John Franklin był chyba jedynym człowiekiem na pokładzie obu statków, który na pozór zachował całkowity spokój, gdy w kwietniu, maju i czerwcu 1847 roku wiosna i lato po prostu nie nadeszły.

Początkowo sir John nie ogłaszał oficjalnie, że zostaną w lodzie co najmniej przez rok dłużej, nie musiał. Poprzedniej wiosny, przy wyspie Beechey, załoga i oficerowie obserwowali z radością nie tylko powrót słońca, ale i pierwsze rysy na lodzie, który stopniowo zamieniał się w coraz mniejsze kawałki kry, uwalniając w końcu unieruchomione od miesięcy statki. Pod koniec maja 1846 roku płynęli już po otwartych wodach. W tym roku nie.

Poprzedniej wiosny załoga i oficerowie obserwowali także powrót ptaków, wielorybów, ryb, lisów, fok, morsów i innych zwierząt, nie i wspominając o pojawieniu się porostów i wrzosów okrywających wyspy, ku którym zmierzali na początku czerwca. Nie w tym roku. Brak otwartych wód oznaczał brak wielorybów, morsów i fok - nieliczne foki obrączkowane, które udało im się wytropić, były równie nieuchwytnie jak wczesną zimą - a martwego, lodowo-śnieżnego krajobrazu nie mąciły najmniejsze nawet plamy zieleni.

Choć każdego dnia słońce świeciło coraz dłużej, temperatura wciąż była bardzo niska. Franklin kazał przysposobić maszty, założyć drzewca i takielunek, a w połowie kwietnia również świeże żagle, szybko okazało się jednak, że nie miało to większego sensu. Parę w kotłach nadal utrzymywano tylko na poziomie wystarczającym do ogrzania statków. Według obserwatorów lodowa tafla ciągnęła się po horyzont we wszystkich kierunkach. Góry lodowe tkwiły w tych samych miejscach, w których zamarzyły poprzedniego września. Fitzjames, porucznik Gore i komandor Crozier z *Terroru* ustalili na podstawie obserwacji gwiazd, że prąd spycha lód na południe w tempie półtorej mili na miesiąc, jednak ten konkretny fragment lodowca, w którym utkwili ich statki, przez całą zimę obracał się w kierunku przeciwnym do kierunku ruchu wskazówek zegara, przenosząc ich ponownie do punktu wyjścia. Na powierzchni lodu wciąż pojawiały się nowe wały. Pokrywa lodowa robiła się coraz cieńsza - potwierdzały to zespoły drążące w niej otwory - nadal jednak miała ponad dziesięć stóp grubości.

Mimo tych niepomysłnych okoliczności komandor sir John Franklin zachowywał spokój i pogodę ducha, których źródłem były dwie rzeczy: jego wiara i jego żona. To właśnie żarliwa wiara podnosiła sir Johna na duchu, kiedy ciężar odpowiedzialności i frustracja próbowały w nim tego ducha złamać. Wierzył, że wszystko, co go spotyka, zgodne jest z wolą Boga. To, co innym wydawało się nieuniknione, wcale nie musiało takie być we wszechświecie rządzonym przez miłosiernego Boga. Lód mógł nagle popękać w lecie, od którego dzieliło ich już niecałe sześć tygodni, a nawet tylko kilka tygodni żeglugi pozwoliłoby im dotrzeć do Przejścia Północno-Zachodniego. Płynęliby na zachód, wzdłuż wybrzeża, dopóki starczyłoby im węgla, potem pożeglowaliby na Pacyfik, uciekając z północnych szerokości w połowie września, tuż przed nadejściem zimy. Franklin doświadczył już w swym życiu większych cudów. Sam fakt, że został wyznaczony na dowódcę tej ekspedycji - w wieku sześćdziesięciu lat, po upokorzeniu na Ziemi van Diemena - był większym cudem.

Wiara sir Johna w Boga była głęboka i szczerą, lecz wiara w jego żonę była jeszcze głębsza i czasami bardziej przerażająca. Lady Jane Franklin była kobietą niezłomną... tak, to określenie

pasowało do niej najbardziej. Jej żelazna wola nie znała żadnych ograniczeń i potrafiła dokonać niemal wszystkiego, pokonać wszelkie przeciwności i osiągnąć wyznaczone cele. Sir John przypuszczał, że już teraz, gdy od czasu ich ostatniego kontaktu z cywilizacją upłynęły dwa lata, jego żona próbuje nakłonić Admiralicję, Parlament i Bóg wie kogo jeszcze do wysłania ekspedycji ratunkowej, angażując w to przedsięwzięcie swój ogromny majątek, rozległe znajomości i nieugiętą wolę.

W gruncie rzeczy ta perspektywa nieco niepokoiła sir Johna. Nie chciał, by jego ekspedycja została „uratowana” - by podczas krótkich letnich roztopów dotarły do niej zgromadzone naprędce zespoły dowodzone przez wielbiciela whisky sir Johna Rossa lub młodego sir Jamesa Rossa (który, czego sir John był całkowicie pewien, złamałby swe wcześniejsze postanowienia i wyruszył do Arktyki na wyraźne żądanie lady Jane). Uważał, że takie rozwiązanie oznaczałoby dlań hańbę i upokorzenie.

Obawy sir Johna nie były jednak zbyt poważne, wiedział bowiem, że Admiralicja nie działa szybko w żadnej kwestii, nawet jeśli poddawana jest naciskom ze strony tak energicznej osoby jak jego żona Jane. Sir John Barrow i inni członkowie mitycznej Rady Arktycznej, nie wspominając o bezpośrednich zwierzchnikach sir Johna w Służbie Badawczej Królewskiej Marynarki Wojennej, wiedzieli dobrze, że HMS *Erebus* i HMS *Terror* mają zapasy na trzy lata, a przy ograniczeniu racji na kolejne dwa, nie wspominając już o tym, że wiosną i latem mogli te zapasy uzupełniać, łowiąc ryby i polując. Sir John wiedział, że jego żona - jego niezłomna żona - w razie konieczności doprowadzi do wysłania ekspedycji ratunkowej, ale wiedział też dobrze, że dzięki straszliwej i cudownej zarazem inercji Królewskiej Marynarki Wojennej taka wyprawa nie zostanie zorganizowana wcześniej niż latem 1848 roku, a może i później.

W związku z tym pod koniec maja 1847 roku sir John przygotował pięć kilkusobowych zespołów, które miały zbadać tereny leżące poza obszarem widocznym z okrętów. Jeden z nich miał wędrować wzdłuż trasy, którą przybyli do tego miejsca, i wypatrywać otwartej wody. Grupy poszukiwawcze zaopatrzone w sanie, na których ciągnęły cały potrzebny im sprzęt, wyruszyły 21, 23 i 24 maja. Grupa porucznika Gore’a - najważniejsza - ruszyła w drogę ostatnia, a jej celem była położona na południowym wschodzie Ziemia Króla Williama.

Graham Gore obarczony został dodatkowym zadaniem - miał ukryć na brzegu pisemną wiadomość sporządzoną przez sir Johna - pierwszą, jaką zostawiali na trasie swej ekspedycji od samego jej początku.

W tej kwestii komandor sir John Franklin wykazał się największą chyba w swym uporządkowanym życiu niesubordynacją. Zgodnie z rozkazami Admiralicji powinien był wznosić kopce i zostawiać w nich ukryte wiadomości na całej trasie swej wyprawy - gdyby jego statki nie pojawiły się po drugiej stronie Cieśniny Beringa o czasie, okręty ratunkowe Królewskiej Marynarki Wojennej wiedziałyby wówczas, gdzie go szukać i co było przyczyną opóźnienia. Jednak sir John nie zostawił takiej wiadomości na wyspie Beechey, choć miał prawie dziewięć miesięcy, by ją przygotować. Prawdę mówiąc, sir John nie znosił tego miejsca - wstydził się śmierci trzech członków załogi, którzy umarli tamtej zimy na gruźlicę i zapalenie płuc - uznał więc, że ich groby będą jedyną wiadomością, jaką musi tam zostawić. Liczył też po cichu na to, że nikt znajdzie owych grobów, kiedy już jego wyprawa pokona Przejście północno-Zachodnie i okryje się nieśmiertelną sławą.

Minęły już jednak prawie dwa lata, odkąd opuścili wyspę Beechey, Franklin podyktował więc Gore’owi wiadomość do swych zwierzchników i umieścił ją w szczelnie zamkniętym mosiężnym cylindrze - jednym z dwustu, w które zaopatrzyła go Admiralicja.

Osobiście poinstruował porucznika Gore'a i drugiego oficera Charlesa Des Voeux, gdzie mają zostawić wiadomość - w wysokim na sześć stóp kopcu pozostawionym na Ziemi Króla Williama przez sir Jamesa Rossa, który dotarł tam z własną wyprawą przed siedemnastu laty Franklin wiedział, że właśnie tam ekipy ratunkowe będą szukały wieści o jego ekspedycji, był to bowiem punkt nanoszony na wszystkie mapy tamtych terenów.

Rankiem dnia, w którym Gore, Des Voeux i sześciu marynarzy miało wyruszyć w drogę do kopca pozostawionego przez Rossa, sir John siedział samotnie w swojej kajucie. Patrząc na samotny znak symbolizujący ten ostatni punkt orientacyjny na jego mapie, sir John Franklin uśmiechnął się mimowolnie. Przed siedemnastu laty Ross nazwał najbardziej wysunięty na zachód cypel Victory Point, a pobliskie obszary górskie Przylądkiem Jane Franklin i Cyplem Franklina - uczynił to wówczas przez szacunek, teraz jednak akt ten nabierał nowego wymiaru. Zupełnie jakby to sam Bóg lub przeznaczenie przywiodło go do tego miejsca, rozmyślał sir John, wpatrując się w podniszczoną mapę i w wielkie puste plamy na zachód od cypla Victory Point.

Podyktował Gore'owi wiadomość, która jego zdaniem była zwięzła i rzeczowa:

...maja 1847. HMSErebuse i Terror zimują w lodzie na 70c'05'szerokości geograficznej północnej i 98°23' długości geograficznej zachodniej. Zimą 1846-47 spędziły przy wyspie Beechey na 74°43'28" szerokości geograficznej Północnej i 90°39'15" długości geograficznej zachodniej po dopłynięciu do 77° szerokości geograficznej północnej w Cieśninę Wellingtona i powrocie wzdłuż zachodnich wybrzeży Wyspy Cornwallisa. Ekspedycją dowodzi sir John Franklin. Wszystko w porządku. Grupa złożona z oficerów i marynarzy opuściła okręty w poniedziałek 24 maja 1847. Porucznik Gore, drugi oficer Des Voeux.

Franklin polecił Gore'owi i Des Voeux, by podpisali wiadomość i uzupełnili datę, nim zamkną pojemnik i schowają go głęboko w kopcu Jamesa Rossa.

Dyktując wiadomość, Franklin nie zauważył - uszło to także uwagi Porucznika Gore'a - że przy opisie zimy spędzonej przy wyspie Beechey podał złe daty. W zatoce u wybrzeży wyspy zimowali w latach 1845-46; miniona, straszliwa zima, którą przetrzymali uwięzieni w otwartym paku, była zimą 1846-47.

Nieważne. Sir John był przekonany, że zostawia potomności mało istotną wiadomość - interesującą tylko dla jakiegoś historyka, który będzie chciał dołączyć materiały źródłowe do relacji sir Johna z tej słynnej wyprawy (sir John planował napisać następną książkę, która przyniosłaby mu ogromne dochody i pozwoliła powiększyć osobisty majątek do rozmiarów równych majątkowi jego żony), a nie informację, którą ktoś przeczyta w najbliższej przyszłości.

Uznawszy, że czas już wysłać grupę Gore'a w drogę, sir John ubrał się i wyszedł na lód.

- Macie wszystko, czego wam potrzeba? - spytał sir John.

Porucznik Gore - czwarty w hierarchii służbowej po sir Johnie, komandorze Crozierze i komandorze poruczniku Fitzjamesie - skinął głową, podobnie jak jego podwładny, drugi oficer Des Voeux. Słońce świeciło bardzo mocno, wszyscy uczestnicy wyprawy nałożyli więc specjalne okulary z drobnej metalowej siatki, które wydał im pan Osmer, intendent *Erebusa*, by uchronić ich przed śnieżną ślepotą.

- Tak jest, komandorze. Dziękuję, komandorze - odrzekł Gore.

- Dużo swetrów? - zażartował sir John.

- Tak jest, komandorze - odpowiedział Gore. - Osiem warstw grubej, gęsto plecionej wełny z Northumberland, a właściwie dziewięć, jeśli liczyć kalesony.

Pięciu marynarzy roześmiało się głośno, słysząc tę wymianę żarcików między oficerami. Sir John wiedział, że jego ludzie go uwielbiają.

- Jesteście przygotowani do nocowania na lodzie? - spytał sir John jednego z marynarzy, Charlesa Besta.

- Tak jest, sir Johnie - odrzekł niski, krępy marynarz. - Mamy namiot Holland i osiem koców z wilczych skór. Robimy z nich poślanie i przykrywamy się nimi. Mamy też dwadzieścia cztery śpiwory, które intendent uszył nam z koców Kompanii Zatoki Hudsona. Będzie nam cieplej na lodzie niż na statku, milordzie.

- Świetnie, świetnie - mruknął sir John z roztargnieniem. Spojrzał na południowy wschód, gdzie Ziemia Króla Williama - albo Wyspa, jeśli wierzyć szalonej teorii Francisa Croziera - widoczna była tylko jako ciemniejsza, ledwie dostrzegalna linia na horyzoncie. Sir John modlił się, i to dosłownie, by Gore i jego ludzie odkryli w pobliżu wybrzeża jakąś otwartą wodę, albo przed umieszczeniem wiadomości w kopcu Rossa, albo później. Sir John gotów był zrobić wszystko, co w jego mocy, by przeciągnąć oba okręty przez mięknący lód - gdyby tylko zechciał on nieco zmięknąć - na gościnniejsze przybrzeżne wody. Być może udałoby im się znaleźć jakąś spokojną zatoczkę albo mierzeję, gdzie cieśle i mechanicy dokonaliby niezbędnych napraw na Erebusie - wyprostowali wał, założyli nową śrubę, wyprostowali wygięte żelazne blachy wzmacniające kadłub od wewnątrz i być może uzupełnili zniszczone pokrycie dziobu - dzięki czemu mogliby wyruszyć w dalszą drogę. Gdyby nie udało im się tego zrobić, rozmyślał sir John - choć nie podzielił się jeszcze tą myślą z żadnym oficerem - zrealizowaliby smutny plan Croziera z zeszłego roku, przenieśli wszystkie zapasy i załogę z *Erebusa* na *Terror* i pożeglowali na zachód wzdłuż wybrzeża w tym zatłoczonym (lecz rozentuzjasmowanym, sir John był tego pewien, rozentuzjasmowanym) statku.

W ostatniej chwili pomocnik lekarza na Erebusie, Goodsir, poprosił sir Johna, by pozwolił mu przyłączyć się do grupy Gore'a, i choć pomysł ten nie budził entuzjazmu Gore'a ani Des Voeux - Goodsir nie cieszył się szczególną sympatią załogi ani oficerów - sir John wyraził na to zgodę. Pomocnik lekarza twierdził, że chce wybrać się na tę wyprawę, by zdobyć więcej informacji o jadalnych formach życia, które mogłyby okazać się skuteczną bronią w walce ze skorbutem, zmorą wszystkich wypraw polarnych. Interesowały go szczególnie zwyczaje i zachowanie jedynych zwierząt, które pojawiły się na lodzie podczas tego dziwnego arktycznego niby-lata, czyli białych niedźwiedzi.

Gdy sir John przyglądał się, jak uczestnicy wyprawy przywiązują ostatnie elementy sprzętu i zapasów do ciężkich sani, drobny lekarz - Goodsir był niskim, bladym i chuderlawym mężczyzną o cofniętej brodzie, ogromnych bokobrodach i dziwnie zniewieściałym spojrzeniu, które irytowało nawet życzliwego zazwyczaj sir Johna - podszedł doń, by zagaić rozmowę.

- Jeszcze raz dziękuję, że pozwolił mi pan przyłączyć się do grupy porucznika Gore'a, sir Johnie - przemówił mały lekarz. - Ta wyprawa może mieć ogromne znaczenie dla badań nad leczniczymi właściwościami wielu gatunków flory i fauny, w tym porostów, które zawsze można znaleźć na stałym lądzie, takim jak Ziemia Króla Williama.

Sir John skrzywił się odruchowo. Goodsir nie mógł wiedzieć, że kiedyś jego dowódca przez kilka miesięcy żywił się wyłącznie zupą z takich właśnie porostów.

- Proszę bardzo, panie Goodsir - odrzekł chłodno.

Sir John wiedział, że młody eskulap wołał, by zwracano się doń per „doktorze”, a nie „panie” Goodsir, choć właściwie nie miał do tego podstaw, gdyż - choć pochodził z dobrego domu -

był tylko anatomem. Teoretycznie pomocnik lekarza dorównywał rangą bosmanom, sir John uważał więc, że zasługuje jedynie na tytułowanie go panem Goodsirem.

Młody lekarz zarumienił się, zaskoczony chłodnym traktowaniem ze strony dowódcy, który jeszcze przed chwilą pozwalał sobie na żarciki ze zwykłymi marynarzami. Przyłożył palce do czapki i cofnął się niezdarnie o trzy kroki.

- Aha, jeszcze jedno, panie Goodsir - dodał Franklin.

- Tak, sir Johnie? - Młodzieniec był już czerwony jak burak, niemal jąkał się z zakłopotania.

- Proszę mi wybaczyć, że w naszym oficjalnym komunikacie, który zostanie umieszczony w kopcu sir Jamesa Rossa na Ziemi Króla Williama, napisaliśmy tylko o oficerze, podoficerze i sześciu marynarzach należących do grupy porucznika Gore'a - mówił sir John. - Podyktowałem tę wiadomość, nim wyraził pan chęć przyłączenia się do tej wyprawy. Gdybym wiedział o tym wcześniej, napisałbym „oficer, podoficer, pomocnik lekarza i pięciu marynarzy”.

Goodsir spieszył się wyraźnie, niezupełnie pewien, co właściwie sir John chciał mu w ten sposób powiedzieć, później jednak uklonił się, ponownie przyłożył dłoń do czapki i wymamrotał:

- Doskonale, to żaden problem, rozumiem, dziękuję, sir Johnie. Kilka minut później, obserwując porucznika Gore'a, Des Voeux, Goodsira, Morfina, Ferriera, Besta, Hartnella i szeregowca Pilkingtona zmierzających powoli na południowy wschód, sir John, uśmiechnięty i na pozór pewny siebie, zastanawiał się nad konsekwencjami fiaska ich wyprawy. Kolejna zima - kolejny rok - w lodzie mogła oznaczać zagładę całej ekspedycji. Skończyłyby się prawdopodobnie zapasy jedzenia, podobnie jak węgla, oleju, eteru metylowego do kuchenek i rumu. Brak tego ostatniego produktu mógł doprowadzić do buntu.

Co więcej, gdyby lato w 1848 roku było równie zimne i nieustępliwe jak obecne, kolejna zima lub rok spędzony w lodzie zniszczyłby co najmniej jeden statek, a być może i oba. Podobnie jak uczestnicy wielu poprzednich nieudanych ekspedycji sir John i jego ludzie musieliby salwować się ucieczką, ciągnąć szalupy i powiązane naprędce sanie po lodzie, modląc się o najwęższe choćby pasy otwartej wody, które potem przeklinaliby głośno, gdy przeciwnie wiatry gnałyby ich z powrotem na pak, a kolejne dni i noce upływałyby na nieustannym wiosłowaniu. Sir John wiedział, że potem czekałaby ich wędrówka po lądzie - ponad osiemset mil skał i lodu, rzek o rwących strumieniach opływających ogromne głązy, z których każdy mógłby zgnieść na miazgę ich małe łodzie (sir John wiedział już z doświadczenia, że większe łodzie nie mogły spływać rzekami północnej Kanady), osiemset mil jałowej ziemi zamieszkaney tylko przez Eskimosów, którzy często odnosili się wrogo do białych przybyszów albo też traktowali ich z udawaną sympatią, by potem ukraść, co się da, i zniknąć bez śladu.

Sir John przyglądał się jeszcze przez chwilę, jak Gore, Des Voeux, Goodsir, pięciu marynarzy i ich sanie znikają w słonecznym blasku odbitym od powierzchni lodu na południowym wschodzie, i zastanawiał się leniwie, czy nie powinien był jednak zabrać psów na tę wyprawę.

Sir John nigdy nie był zwolennikiem zabierania psów na wyprawy arktyczne. Owszem, psy czasami dobrze działały na morale ludzi, przynajmniej do czasu, gdy trzeba je było zastrzelić i zjeść - ogólnie jednak były brudnymi, głośnymi i agresywnymi stworzeniami. Pokład statku wiozącego dość psów, by mogły przynieść jakąś konkretną korzyść wyprawie - to jest ciągnąć w zaprzęgach sanie po lodzie, do czego wykorzystywali je Eskimosi z Grenlandii - wypełniony byłby nieustannym szczekaniem, mnóstwem bud i smrodem odchodów.

Sir John pokręcił głową i uśmiechnął się. Na tę wyprawę zabrali ze sobą tylko jednego psa - kundla o imieniu Neptun - oraz małą małpkę Jocko, co zdaniem sir Johna w zupełności wystarczało na potrzeby tej konkretnej arki.

Kolejny tydzień dłużył się sir Johnowi w nieskończoność. Na statek wracały następne grupy marynarzy, przemarzniętych i wyczerpanych ciągnięciem ciężkich sań przez niezliczone lodowe grzbiety. Relacje wszystkich zespołów brzmiały podobnie.

Od wschodu w stronę półwyspu Boothia - ani śladu otwartej wody. Nawet najwęższego przesmyku.

Od północnego wschodu w stronę Wyspy Księcia Walii i trasy, którą przybyli na to lodowe pustkowie - ani śladu otwartej wody. Ani śladu ciemniejszego pasma nieba na horyzoncie, które czasem zwiastowało obecność otwartej wody. Po ośmiu dniach morderczej wędrówki grupa nie zdołała dotrzeć do Wyspy Księcia Walii ani nawet jej dojrzeć. Nawet najbardziej doświadczeni uczestnicy wyprawy nie widzieli jeszcze takiego nagromadzenia gór i wałów lodowych.

Od północnego zachodu w stronę nienazwanej jeszcze cieśniny, którą spływał ku nim lodowy strumień, ciągnący się wzdłuż zachodniego brzegu i wokół południowego krańca Wyspy Księcia Walii - nic prócz białych niedźwiedzi i zamarzniętego morza.

Od południowego zachodu w stronę Ziemi Wiktorii oraz przejścia między wyspami i głównym lądem - najmniejszego pasa otwartej wody, żadnych zwierząt prócz przeklętych białych niedźwiedzi, a do tego setki wałów lodowych i tyle nieruchomych gór lodowych, że zdaniem porucznika Little'a - oficera z HMS *Terror*, któremu Franklin powierzył dowództwo nad grupą złożoną z marynarzy *Terroru* - w miejscu oceanu wznosiło się pasmo nieprzebytych gór lodu. Pogoda podczas ostatniej części wędrówki była tak zła, że trzech spośród ośmiu marynarzy doznało poważnych odmrożeń, a wszyscy uczestnicy wyprawy cierpieli w mniejszym lub większym stopniu na śnieżną ślepotę. Sam Little już od pięciu dni praktycznie całkowicie stracił wzrok, a do tego cierpiał na okropny ból głowy. Little, stary arktyczny wyga, który osiem lat wcześniej wyruszył na południe z Crozierem i Jamesem Rossem, musiał leżeć na saniach ciągniętych przez pięciu marynarzy dotkniętych w najmniejszym stopniu śnieżną ślepotą.

Ani śladu otwartej wody w odległości ponad dwudziestu pięciu mil w linii prostej od statku - dwudziestu pięciu mil, które przekładało się na blisko sto mil wspinaczki na strome wary i marszu dokoła niezdobitych gór lodowych. Ani śladu lisów polarnych, zajęcy, karibu morsów lub fok, nie mówiąc już o wielorybach. Marynarze gotowi byli ciągnąć sanie wzdłuż szczelin lub wąskich przesmyków w poszukiwaniu większych obszarów otwartej wody, lecz powierzchnia morza, jak relacjonował Little, zamarznięta była na kamień. Dotarłszy do punktu położonego o jakieś dwadzieścia osiem mil w linii prostej od statku Little postanowił zawrócić, wcześniej jednak kazał bosmanmatowi Johnsonowi, który zachował najlepszy wzrok z całej ósemki, wspiąć się na najwyższą górę lodową w okolicy. Johnson przez kilka godzin wdrapywał się na lodową ścianę, kilofem wyciosując w jej powierzchni stopnie, na których stawiał potem buty o podeszwach nabitych gwoździami. Dotarłszy wreszcie na szczyt, marynarz obejrzał dokładnie okolicę na północnym zachodzie, zachodzie, południowym zachodzie i południu, wykorzystując do tego lunetę porucznika Little'a.

Niestety, Johnson nie zobaczył niczego, co mogłoby podnieść ich na duchu. Ani śladu otwartej wody. Ani skrawka stałego lądu. Martwa układanka seraków, wałów i gór lodowych ciągnąca się po odległy biały horyzont. Kilka białych niedźwiedzi, z których dwa padły później ich ofiarą - przy okazji przekonali się, że wątroba i serce tych zwierząt są szkodliwe dla ludzi. Wszyscy byli już ogromnie zmęczeni ciągnięciem ciężkich sań przez niezliczone grzbiety, w końcu wycięli więc tylko około stu funtów świeżego mięsa, które zawinęli w brezent, by potem zaciągnąć je na statek. Później zdarli także futro z większego niedźwiedzia, resztę zaś pozostawili na lodzie.

Cztery z pięciu grup zwiadowczych powróciły ze złymi wieściami, sir John czekał jednak

przede wszystkim na to, co przyniesie wyprawa Grahama Gore'a. Największą bowiem nadzieję pokładali, jak zawsze, w południowym wschodzie, przy brzegu Ziemi Króla Williama.

Wreszcie, trzeciego czerwca, po dziesięciu dniach nieobecności Gore'a, obserwatorzy dyżurujący na masztach donieśli, że od południowego wschodu zbliża się do statku grupa ludzi z saniami. Sir John dopił herbatę, ubrał się stosownie do okazji i dołączył do tłumu, który wyległ na pokład, by przywitać swych towarzyszy.

Ostatnia grupa zwiadowcza widoczna była już nawet z pokładu, a kiedy sir John podniósł do oczu swoją piękną mosiężną lunetę - prezent od oficerów i marynarzy dwudziestosześcioarmatniej fregaty, którą Franklin przed piętnastu laty dowodził na Morzu Śródziemnym - wystarczyło jedno spojrzenie, by zrozumieć dziwne reakcje marynarzy obserwujących ekspedycję z wysokości masztów.

Na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało normalnie. Pięciu ludzi ciągnęło sanie, podobnie jak na początku wyprawy. Trzy osoby biegły obok sani lub za nimi, dokładnie jak w dniu, gdy Gore opuścił statek. Wydawało się więc, że nie ma powodów do niepokoju.

A jednak...

Jedna z biegnących postaci nie przypominała człowieka. Widziana z odległości ponad mili, między lodowymi formacjami, które wyrosły w miejscu spokojnej powierzchni morza, wyglądała jak małe, przysadziste, futrzane zwierzę.

Co gorsza, sir John nie mógł dopatrzeć się wysokiej sylwetki Grahama Gore'a ani czerwonego szala, którym zawsze ten owijał głowę. Wszystkie postaci biegnące za saniami lub ciągnące je - choć z pewnością porucznik nie ciągnąłby sań, mając do dyspozycji zdrowych podwładnych - wydawały się zbyt niskie, zbyt przygarbione, zbyt pospolite.

Równie niepokojący był fakt, że sanie wydawały się zdecydowanie za ciężko wypakowane - choć zapasy obejmowały racje żywnościowe na dodatkowy tydzień, wyprawa trwała już trzy dni dłużej, niż planowano. Przez chwilę sir John łudził się nadzieją, że marynarze zabili karibu lub jakieś inne duże zwierzę i ciągną ze sobą porcję świeżego mięsa, później jednak powracająca grupa wynurzyła się zza ostatniego dużego grzbietu lodowego, a luneta sir Johna ukazała jego oczom przerażającą prawdę.

Na saniach nie leżało mięso karibu, lecz dwa ludzkie ciała, rzucone niedbale jedno na drugie i obwiązane linami w sposób, który mógł oznaczać tylko jedno - śmierć. Sir John widział już wyraźnie dwie odsłonięte głowy, ułożone po przeciwległych końcach sań. Jedna z nich okolona była grzywą białych włosów, jakich nie miał żaden człowiek na pokładzie obu statków.

Marynarze mocowali już na burcie *Erebusa* drabinę sznurową, po której miał zejść na lód ich tęgi komandor. Sir John udał się jeszcze pod pokład, by przypiąć szpadę. Później, zarzuciwszy warstwę ciepłych ubrań na mundur, medale i szpadę, wyszedł na pokład i przeszedł przez burtę - sapiąc przy tym ciężko i korzystając z pomocy swego stewarda - by wreszcie stanąć na lodzie i przywitać ludzi zbliżających się do jego statku.

GOODSIR

69°37'42" szerokości geograficznej północnej, 98°41' długości geograficznej zachodniej.

Ziemia Króla Williama, 24 maja - 3 czerwca, 1847.

Doktor Harry D.S. Goodsir przyłączył się do wyprawy porucznika Gore'a między innymi po to, by udowodnić, że jest równie silny i wytrzymały jak większość jego towarzyszy. Wkrótce przekonał się, że jednak nie jest.

Pierwszego dnia, pomimo cichych protestów porucznika Gore'a i pana Des Voeux, Goodsir zabrał się do ciągnięcia sań, zajmując w zaprzęgu miejsce jednego z pięciu wyznaczonych do tej pracy marynarzy, który mógł dzięki temu odpocząć.

Mały lekarz nie dawał sobie rady. Uprząż ze skóry i bawełny, sporządzona przez żaglomistrzów i intendentów i połączona zmyślnie z linami sań za pomocą węzła, który żeglarze potrafili zawiązać i rozwiązać w sekundę, a który dla Goodsira pozostawał niezgłębioną tajemnicą, była za duża na jego wąskie ramiona i zapadniętą klatkę piersiową. Nawet po skróceniu przedniego pasa do minimum uprząż mu się ześlizgiwała. On sam z kolei ślizgał się po lodzie i upadał raz za razem, przez co pozostali członkowie zaprzęgu musieli się co chwila zatrzymywać. Doktor Goodsir nie nosił też nigdy wcześniej butów nabijanych gwoździami, potykał się więc nieustannie o własne stopy.

Niewiele widział przez okulary ochronne, gdy jednak podnosił je na czoło, blask słońca odbijający się od lodu natychmiast go oślepiał. Włożył zbyt wiele warstw ubrań, które wkrótce tak nasiąkły potem, że trząsał się z zimna, choć jednocześnie ogromny wysiłek rozgrzewał go wciąż na nowo. Uprząż odcinała dopływ krwi do jego szczupłych rąk i zziębniętych dłoni. Co jakiś czas gubił rękawice. Na domiar złego dyszał i sapał tak ciężko, że było mu wstyd przed pozostałymi marynarzami.

Po godzinie tego absurdałnego spektaklu, którego uczestnikami, prócz samego Goodsira, byli Bobby Ferrier, Tommy Hartnell, John Morfin i szeregowiec piechoty morskiej Bill Pilkington maszerujący wraz z nim w zaprzęgu - wszyscy czterej znosili tę mękę w milczeniu, pomagali mu wstać i otrzepywali go ze śniegu, wymieniając tylko porozumiewawcze spojrzenia - oraz zwolniony przezeń Charles Best, idący obok sań, doktor przyjął ofertę Besta i podczas jednej z krótkich przerw zamienił się z nim miejscami, pozwalając, by prawdziwi mężczyźni ciągnęli ciężki pojazd o drewnianych płożach, które podczas najkrótszej nawet chwili bezruchu przymarzały do lodu.

Goodsir był wyczerpany. Nie minął jeszcze ranek pierwszego dnia na lodzie, a on był już tak zmęczony godzinny marszem, że najchętniej rozwinąłby śpiwór, ułożył się na kocu z wilczych skór i spał aż do następnego ranka.

A wszystko to działo się, nim doszli do pierwszego prawdziwego wału.

Pośród wałów otaczających oba okręty te położone na południowym wschodzie wydawały się najniższe, zupełnie jakby zamknięty w lodzie *Terror* zostawił za sobą pas gładszego lodu. Jednak już późnym popołudniem pierwszego dnia na ich drodze stanęły prawdziwe wały lodowe. Były znacznie wyższe od tych, które oddzieliły od siebie oba statki w czasie zimy, jakby siły działające na lód były tym większe, im bliżej znajdował się stały ląd.

Trzy pierwsze wały pokonali w podobny sposób - Gore prowadził ich na południowy zachód, dopóki nie znaleźli jakiegoś obniżenia terenu, miejsca, w którym mogli przekroczyć wzniesienie przy stosunkowo niewielkim nakładzie sił. Było to rozwiązanie czasochłonne, ale lepsze od rozpakowywania sań. Niestety, nie mogli go zastosować przy czwartym wale.

Każdy postój, który trwał dłużej niż kilka minut, oznaczał, że jeden z marynarzy - zazwyczaj młody Hartnell - musiał wyjąć ze starannie zapakowanych tobołków butelkę eteru metylowego, rozpaść małą kuchenkę i roztopić w garnku kilka garści śniegu, zamieniając go w gorącą wodę - nie była to jednak woda do picia, gdyż tę przechowywali w butelkach ukrytych pod wewnętrzną warstwą ubrań - którą polewali potem płozy przymarznięte do śniegu.

Obarczone ciężkim ładunkiem sanie nie sunęły po lodzie z taką łatwością jak sanki, które Goodsir pamiętał z czasów dzieciństwa. Już podczas pierwszych wypadów na pak, niemal dwa lata wcześniej, przekonał się, że nawet w zwykłych butach nie da się po nim ślizgać tak, jak po zamrożonej rzece lub jeziorze. Jakaś właściwość lodu morskiego - zapewne wysoka zawartość soli - zwiększała jego siłę tarcia, zmniejszając tym samym poślizg przesuwanych po nim przedmiotów praktycznie do zera. Było to tylko niewielkie rozczarowanie dla dorosłego mężczyzny, który chciał się poślizgać po lodzie niczym mały chłopiec, jednak dla tych, którzy musieli ciągnąć lub pchać setki funtów sprzętu i zapasów ułożonych na saniach, oznaczało to ogromny wysiłek. Równie dobrze mogliby ciągnąć tysiäcfuntowy ciężar po szorstkim skalnym podłożu. To samo porównanie mogliby też odnieść do wałów lodowych, które przypominały wysokie na kilka pięter hałdy kamieni i żwiru.

Pierwszy z nich - bliźniaczo podobny do dziesiątek innych, które blokowały im drogę na południowy wschód - miał co najmniej sześćdziesiąt stóp wysokości.

By wciągnąć sanie na strome, poszarpane zbocze wału, musieli najpierw zdjąć z nich ważące od pięćdziesięciu do stu funtów skrzynie zjedzeniem, paliwem, ubraniami i namiotem, a potem przenieść je lub przeciągnąć na drugą stronę lodowej przeszkody.

Goodsir uświadomił sobie szybko, że gdyby wały lodowe były rzeczywiście tylko pagórkami wyrastającymi ze stosunkowo równego lodu, pokonanie każdego z nich nie wymagałoby morderczego wysiłku. Powierzchnia morza nigdzie nie była równa, lecz w pobliżu każdego wału, w pasie szerokości od pięćdziesięciu do stu jardów, zamieniała się w prawdziwą gęstwinę śniegowych zasp, seraków i olbrzymich lodowych bloków - gęstwinę, którą trzeba było pokonać przed wejściem na właściwy wał.

Jeszcze trudniejsza była sama wspinaczka, która nigdy nie prowadziła w linii prostej pod górę, lecz była raczej bezustannym kluczeniem, poszukiwaniem punktów oparcia na zdradliwym lodzie i lodowych blokach, które w każdej chwili mogły oderwać się od podłoża. Uczestnicy wyprawy pięli się zygziem po stromych zboczach, podawali sobie ciężkie skrzynie, wyrąbywali w lodzie stopnie i ogólnie rzecz biorąc, starali się nie upaść ani ściągnąć na siebie nikogo innego. Raz za razem jakaś paczka wyslizgiwała się z oblodzonych rękawic i waliła z hukiem w lód. Przy każdej takiej okazji pięciu marynarzy wyrzucało z siebie krótkie, lecz efektowne fajerwerki przekleństw, którym kres kładły stanowcze krzyki Gore'a lub Des Voeux. Wszystko trzeba było dziesięć razy pakować i przepakowywać.

Wreszcie przychodziła kolej na sanie, obarczone co najmniej połową oryginalnego ładunku - by przeprawić ciężki pojazd na drugą stronę grzbietu, trzeba go było ciągnąć, pchać, podnosić, uwalniać z lodowych pułapek, przechylać na boki i znów ciągnąć. Nawet gdy sanie docierały w końcu na szczyt grzbietu, ciągnący je ludzie nie mogli sobie pozwolić choćby na minutę odpoczynku, gdyż ich przesiąknięte potem ubrania natychmiast zaczęłyby zamarzać.

Przywiązawszy nowe liny do pionowych słupków z tyłu sań, kilku marynarzy przechodziło do przodu, by podtrzymywać je od dołu - zwykle robił to potężnie zbudowany Pilkington oraz Morfin i Ferrier - podczas gdy pozostali opuszczali je powoli przy akompaniamencie posapywań, stęknień i przekleństw.

Później ponownie ładowali wszystkie skrzynie i pakunki na sanie, dokładnie sprawdzali

wiązania, topili śnieg, by uwolnić zamarznięte płozy, i ruszali w głąb labiryntu ciągnącego się po drugiej stronie wału.

Pół godziny później docierali do kolejnej lodowej grani.

Pierwsza noc spędzona na lodzie była dla Harry'ego D.S. Goodsira niezapomnianym i straszącym przeżyciem. Młody lekarz nigdy w życiu nie spał pod gołym niebem, wiedział jednak, że Graham Gore mówił prawdę, gdy oznajmił mu ze śmiechem, że na lodzie wszystko trwa pięć razy dłużej: rozpakowywanie bagaży, rozpalanie lamp i kuchenek, rozbijanie namiotu i wkręcanie w lód śrub utrzymujących go w miejscu, rozwijanie licznych koców i śpiworów, a szczególnie podgrzewanie puszkowanych zup i wieprzowiny, które stanowiły lwią część ich prowiantu. Jeśli ktoś chwilowo nie miał żadnej pracy do wykonania, i tak musiał się bez ustanku ruszać - wymachiwać rękami, chodzić w miejscu i tupać inaczej bowiem odmroziłby sobie palce lub nawet całe kończyny.

Pan Des Voeux przypominał Goodsirowi, że podczas normalnego arktycznego lata, z jakim mieli do czynienia rok wcześniej, temperatura na tej szerokości w słoneczny, bezwietrzny dzień mogła osiągnąć nawet trzydzieści stopni Fahrenheita. Tego lata było jednak inaczej. Porucznik Gore zmierzył temperaturę powietrza o dziesiątej wieczorem - właśnie o tej porze zatrzymali się, by rozbić obóz, choć słońce wisiało jeszcze nad południowym horyzontem, a niebo było całkiem jasne - i odczyt wyniósł minus dwa stopnie Fahrenheita. Temperatura w środku dnia, w porze poobiedniej herbatki, wynosiła plus sześć stopni.

Namiot Holland był mały. Podczas burzy śnieżnej uratowałby im życie, lecz ich pierwsza noc na lodzie była pogodna i niemal bezwietrzna, więc Des Voeux i pięciu marynarzy postanowiło spać na zewnątrz, na wilczych skórach i brezencie, kryjąc się w grubych śpiworach z koców Kompanii Zatoki Hudsona; gdyby pogoda zmieniła się na gorsze, wycofali się do ciasnego namiotu. Po chwili zastanowienia Goodsir postanowił spać na zewnątrz, z marynarzami, a nie w namiocie tylko z porucznikiem Gore'em, choć bardzo go lubił i cenił.

Światło dzienne doprowadzało go do szału. Około północy zrobiło się troszkę ciemniej, nadal jednak było co najmniej tak jasno jak o ósmej wieczorem w pogodny letni dzień w Londynie. Goodsir nie mógł zasnąć. Jeszcze nigdy w życiu nie był tak fizycznie zmęczony, a mimo to nie mógł zasnąć. Uświadomił sobie, że przeszkadza mu w tym również ból nadwierzonych mięśni oraz inne drobne dolegliwości. Żałował, że nie zabrał ze sobą trochę laudanum. Mała dawka tego specyfiku uśmierzyłaby ból i pozwoliła zapaść w sen. W odróżnieniu od wielu lekarzy, którzy mogli przepisywać leki, Goodsir nie był uzależniony - używał różnych opiatów tylko wtedy, gdy chciał szybko zasnąć lub musiał być Wyjątkowo skoncentrowany. Nie częściej niż raz lub dwa w tygodniu.

Było mu też zimno. Po zjedzeniu podgrzanej zupy i mięsa z puszki i krótkim spacerze w odosobnione miejsce, gdzie mógł się załatwić - po raz pierwszy w życiu robił to na zewnątrz, w dodatku musiał się bardzo spieszyć, jeśli nie chciał odmrozić sobie bardzo ważnych części ciała - ułożył się między wielkimi kocami z wilczej skóry i wsunął głęboko do wnętrza swego śpiwora. Jednak nie dość głęboko, by było mu ciepło. Des Voeux wyjaśnił mu wcześniej, że musi zdjąć buty i zabrać je ze sobą do śpiwora, by skóra nie zamarzła na kość, nie wspominał jednak o innych ubraniach - Goodsir zauważył, że pozostali członkowie wyprawy nie zdejmują przed snem niczego prócz butów. Uświadomił sobie wówczas, po raz kolejny tego dnia, że wełna okrywająca jego ciało przesiąknięta jest potem i wilgocią jego wydechów.

Po północy niebo pociemniało na tyle, że pojawiło się na nim kilka gwiazd oraz planet, o których Goodsir dowiedział się dwa lata wcześniej podczas prywatnego wykładu w zaimprovizowanym obserwatorium na szczycie góry lodowej. Światło jednak nie ustąpiło całkowicie ani na chwilę.

Równie nieustępliwe było zimno. Ciało Goodsire'a, zastygłe w bezruchu, było teraz bezbronne wobec chłodu, który wpływał szerokim strumieniem przez zbyt szerokie wejście do śpiwora, sączył się z lodu przez warstwy wilczych skór, przenikał przez grube koce i sięgał do jego ciała niczym szpony jakiegoś lodowego drapieżnika. Goodsir zaczął się trząść i szcząć zębami.

Czterej marynarze leżący obok niego - dwaj stali na straży - chrapali tak głośno, że Goodsir zastanawiał się, czy ludzie na obu statkach, od których dzieliły ich niezliczone wały lodowe - *Boże, będziemy musieli jeszcze raz przez nie przejść* - nie słyszą owych odgłosów równie wyraźnie jak on.

Mały lekarz trzął się na całym ciele. Był pewien, że jeśli nic się nie zmieni, nie przetrwa do rana. Będą próbowali go obudzić, wyciągnąć spod koców i znajdą tylko jego zamrożone, zwinięte w kłębek ciało.

Wsunął się jeszcze głębiej do wnętrza śpiwora i zamknął nad sobą oblodzone krawędzie koców, woląc raczej wdychać kwaśny odór własnego ciała, niż wystawiać się ponownie na dojmujące zimno.

Podstępne, nieustępliwe światło i jeszcze gorszy chłód - chłód grobu, uzmysłowił sobie Goodsir, chłód czarnego urwiska nad nagrobkami na wyspie Beechey - miały jeszcze jednego sprzymierzeńca - hałas. Młody lekarz myślał, że przywykł już do pojękiwań drewnianego poszycia statku, do trzasków zamrożonego, kurczącego się metalu, do odgłosów lodu trzymającego okręt w żelaznym uścisku, lecz tutaj, gdzie od lodu dzieliło go ledwie kilka warstw wełny i wilczych skór, skrzypienie i ruchy paku były przerażające. Czuł się tak, jakby próbował zasnąć na brzuchu jakiegoś żywego stworzenia. Uczucie to było tak silne, że choć zacisnął mocno powieki i zwinął się w kłębek, wciąż wyczuwał ruchy lodu przyprawiające go o zawroty głowy.

Około drugiej w nocy - chwilę wcześniej sprawdził godzinę, wystawiając swój zegarek kieszonkowy do światła sączącego się przez otwór wejściowy śpiwora - Harry D.S. Goodsir zaczął zapadać w stan półświadomości, przypominający do pewnego stopnia prawdziwy sen. Nim jednak zdążył pograżyć się w nim na dobre, ciszę nocy rozdarły dwie ogłuszające eksplozje.

Goodsir zmagał się przez chwilę z zamrożonym śpiworem niczym noworodek próbujący przebić się przez czepek, a gdy wreszcie zdołał uwolnić głowę i ramiona, mroźne powietrze uderzyło weń z siłą, która odebrała mu na chwilę oddech. Niebo płonęło już blaskiem dnia.

- Co? - krzyknął. - Co się stało?

Des Voeux i trzech marynarze stali już na swoich śpiworach, trzymając w okrytych rękawicami dłoniach długie noże. Porucznik Gore wypadł z namiotu w pełnym ubraniu i z pistoletem w gołej - gołej! - dłoni.

- Melduj! - rzucił do jednego ze strażników, Charliego Besta.

- Widzieliśmy niedźwiedzie, poruczniku - odparł Best. - Dwa. Wielkie bydlaki. Kręciły się tutaj przez całą noc - pamięta pan może, widzieliśmy je jakieś pół mili stąd, zanim rozbiliśmy obóz. Ale podchodziły coraz bliżej i bliżej, aż John i ja musieliśmy strzelić, żeby je przepłoszyć.

Goodsir domyślił się, że John" to dwudziestosiedmioletni John Morfin, drugi marynarz pełniący wartę tej nocy.

- Strzeliliście obaj? - spytał Gore, a następnie wspiął się na pobliską stertę lodu i oglądał okolicę przez swoją mosiężną lunetę. Goodsir zastanawiał się, dlaczego gołe dłonie oficera nie przymarzły jeszcze do metalu.

- Tak jest - odparł Morfin, który ładował właśnie ponownie śrutówkę.

- Trafiliście? - spytał Des Voeux.

- Tak jest. - Best skinął głową.

- Niewiele to dało. - Morfin wzruszył ramionami. - Strzelaliśmy śrutem z trzydziestu kroków,

a te niedźwiedzie mają grubą skórę i jeszcze grubsze czaszki. Ale pewnie trochę je nastraszyliśmy, bo uciekły.

- Nie widzę ich - rzekł Gore ze szczytu wysokiej na dziesięć stóp hałdy.

- Wydaje nam się, że wychodzą z tych małych dziur w lodzie - wyjaśnił Best. - Ten większy pobiegł w tamtą stronę, kiedy John do niego strzelił. Myśleliśmy, że padł, ale nie znaleźliśmy ciała ani śladów krwi. Uciekł.

Ciągnący sanie marynarze już wcześniej zauważyli te dziwne, nieregularne otwory w powierzchni lodu - miały około czterech stóp średnicy, były więc znacznie większe od dziur, przez które oddychały foki obrączkowane, a wydawały się z kolei za małe jak na kryjówki niedźwiedzi. Każdy z nich pokryty był kilkucalową warstwą miękkiego lodu. Początkowo marynarze mieli nadzieję, że to zwiastuny większych pbszarów otwartej wody, później jednak przekonali się, że powinni je traktować jedynie jako zdradliwe pułapki. Marynarz Ferrier, który późnym popołudniem szedł na czele zaprzęgu, omal nie wpadł do jednej z nich i choć zanurzył w wodzie tylko jedną nogę, wszyscy musieli przystanąć, by mógł zmienić buty, skarpety i spodnie.

- Tak czy siak, czas już, żeby Ferrier i Pilkington stanęli na warcie - powiedział porucznik Gore. - Bobby, weź muszkiet z mojego namiotu.

- Prawdę mówiąc, lepiej radzę sobie ze śrutówką - odrzekł Ferrier.

- Mnie tam wszystko jedno. - Jego towarzysz wzruszył ramionami.

- Dobrze, w takim razie ty weźmiesz muszkiet, Pilkington. Śrut nie robi im większej krzywdy, a tylko je rozzłości.

- Tak jest.

Best i Morfin, bardziej zziębnięci po dwugodzinnej wachcie niż poruszeni ostatnimi wydarzeniami, ściągnęli buty i wsunęli się do swoich śpiworów. Szeregowiec Pilkington i Bobby Ferrier z trudem wcisnęli spuchnięte stopy do butów i powlekli się na pobliskie wały, by stanąć tam na straży.

Trzęsąc się z zimna na całym ciele, Goodsir ponownie wsunął się do swego śpiwora, wsunął przemarznęte dłonie pod pachy i zaczął modlić się o sen.

Jednak sen nie nadszedł. Dwie godziny później drugi oficer Des Voeux zarządził pobudkę.

- Mamy przed sobą długi dzień, chłopcy! - wołał bosman jowialnym tonem.

Od brzegów Ziemi Króla Williama dzieliły ich jeszcze ponad dwadzieścia dwie mile.

CROZIER

70°05' szerokości geograficznej północnej, 98°23' długości geograficznej zachodniej. 9 listopada 1847.

- Przemarzłeś, Francis - mówi komandor porucznik Fitzjames. - Chodź do świetlicy, napijemy się brandy.

Crozier wolałby whisky, ale nie pogardzi też brandy. Idzie przed dowódcą *Erebusa* w dół długiej, wąskiej zejściówki, w stronę pomieszczenia, które niegdyś było prywatną kajutą komandora sir Johna Franklina, a teraz pełni tę samą funkcję co Wielka Kajuta na *Terrorze* - jest biblioteką i miejscem spotkań oficerów po służbie, w razie potrzeby także salą konferencyjną. Crozier uważa, że Fitzjames zachował się bardzo przyzwoicie, pozostając po śmierci sir Johna w swej małej kajucie i zamieniając obszerny pokój w dostępną dla wszystkich świetlicę, a w razie potrzeby także w salę operacyjną.

W zejściówce jest prawie całkiem ciemno, dociera tu tylko blask lamp ze świetlicy. Pokład przechylony jest pod większym kątem niż na *Terrorze*, a do tego w przeciwnym kierunku - raczej na lewą niż na prawą burtę i w stronę rufy, a nie dziobu. Choć oba okręty są niemal identyczne, Crozier zawsze dostrzega także drobne różnice. Na HMS *Erebus* panuje nieco inny zapach - prócz takiego samego smrodu oleju, brudnych ludzi i ubrań, potraw, pyłu węglowego i uryny w zimnym, wilgotnym powietrzu unosi się coś jeszcze. Crozier ma wrażenie, że *Erebus* śmierdzi mocniej strachem i poczuciem beznadziei.

W świetlicy siedzi dwóch oficerów palących fajki, porucznicy Le Vesconte i Fairholme, obaj jednak wstają na widok zmierzających ku nim komandorów, wychodzą i zamykają za sobą przesuwane drzwi.

Fitzjames otwiera ciężką szafkę, wyciąga z niej butelkę brandy i napełnia dwie kryształowe szklanki, w których sir John pił wodę. Większą porcję oddaje Crozierowi. Choć zmarły dowódca ekspedycji zabrał ze sobą mnóstwo porcelanowych i kryształowych naczyń, nie było wśród nich ani jednego kieliszka. Franklin był abstynentem.

Crozier opróżnia szklankę trzema łykami i pozwala, by Fitzjames napełnił ją ponownie.

- Dziękuję, że zareagowałaś tak szybko - mówi Fitzjames. - Nie sądziłem, że pofatygujesz się osobiście, myślałem, że przyslesz raczej jakąś wiadomość.

Crozier marszczy brwi.

- Wiadomość? Od tygodnia nie miałem od ciebie żadnych wieści, James.

Fitzjames wpatruje się weń przez chwilę w milczeniu.

- Nie dostałeś wiadomości dziś wieczorem? Jakies pięć godzin temu wysłałem na twój statek szeregowca Reeda. Myślałem, że postanowił spędzić u was noc.

Crozier powoli kręci głową.

- A niech to... - Fitzjames ciężko wzdycha.

Crozier wyjmuje z kieszeni wełnianą skarpetę i kładzie ją na stole. W jaśniejszym świetle lampy nadal nie widać na niej śladów krwi.

- Znalazłem to po drodze. Bliżej twojego statku niż mojego. Fitzjames bierze skarpetę do ręki i przygląda jej się ze smutkiem.

- Spyta moich ludzi, czyją rozpoznają - mówi.

- Mogła należeć do któregoś z moich - odpowiada cicho Crozier. Opowiada krótko Fitzjamesowi o ataku, o ciężkich obrażeniach szeregowca Heathera i o tajemniczym zniknięciu

Williamama Stronga i młodego Toma Evansa.

- Czterech w ciągu jednego dnia - kwituje Fitzjames i ponownie napełnia obie szklanki.

- Tak. Co było w tej wiadomości, którą mi wysłałeś?

Fitzjames wyjaśnia, że przez cały dzień ludzie widzieli jakiś wielki kształt poruszający się wśród lodowych formacji, tuż za granicą światła rzucanego przez lampy. Marynarze wielokrotnie do niego strzelali, jednak zwiadowcy wysłani na łódź nie znaleźli żadnych śladów krwi.

- Przepraszam cię więc za tego idiotę Bobby'ego Johnsa, który strzelał do ciebie kilka godzin temu. Wszyscy jesteście podenerwowani.

- Chyba nie tak mocno, by uwierzyć, że ten potwór z lodu nauczył się mówić po angielsku - odpowiada Crozier sardonicznie i pociąga kolejny łyk brandy.

- Nie, oczywiście, że nie. To była czysta głupota. Johns przez dwa tygodnie nie dostanie swojej porcji rumu. Przepraszam cię raz jeszcze.

Crozier wzdycha.

- Nie rób tego. Skop mu tyłek do krwi, jeśli chcesz, ale nie zabieraj mu rumu. Na tym statku i tak jest wystarczająco ponuro. Była ze mną lady Ciska ubrana w tę swoją futrzaną kurtkę. Johns mógł ją wcześniej widzieć.

- Ciska była z tobą? - Fitzjames unosi brwi w niemym pytaniu.

- Nie mam pojęcia, co robiła na lodzie - chrypi Crozier. Jego gardło jest już zmęczone całodziennym wykrzykiwaniem komend na mrozie. - Sam omal jej nie zastrzeliłem, kiedy podeszła do mnie jakieś ćwierć mili stąd. Młody Irving pewnie przewraca w tej chwili cały statek do góry nogami. Popełniłem duży błąd, kiedy kazałem temu chłopakowi opiekować się tą eskimoską suką.

- Ludzie uważają ją za Jonasza - mówi Fitzjames bardzo cicho. Na zatłoczonym okręcie dźwięk bardzo łatwo przenosi się do sąsiednich pomieszczeń.

- Cóż, trudno im się dziwić. - Crozier wzdycha. Dopiero teraz zaczyna odczuwać działanie alkoholu. Nie pił nic od poprzedniego wieczoru. Przyjemne ciepło rozlewa się po jego brzuchu i zmęczonym mózgu. - Kobieta pojawia się tutaj w dniu, w którym zaczyna się ten koszmar, razem z tym swoim czarownikiem czy szamanem, mężem czy ojcem, diabeł go jeden wie. Coś wygryzło jej język u samej nasady. Czemu ludzie nie mieliby uważać, że to ona sprowadziła wszystkie te nieszczęścia?

- Ale ty trzymasz ją na pokładzie *Terroru* już od ponad pięciu miesięcy - zauważa Fitzjames. W głosie młodsze komandora nie ma wyrzutu, tylko ciekawość.

Crozier wzrusza ramionami.

- Ja nie wierzę w czarownice, James. Ani w Jonaszów. Ale wierzę, że jeśli zostawimy ją na lodzie, to coś pożre ją tak samo, jak w tej chwili Evansa i Stronga. I być może twojego szeregowca Reeda na dokładkę. Czy to czasem nie był Billy Reed, ten rudy żołnierz, który zawsze chciał rozmawiać o tym pisarzu, Dickensie?

- William Reed, zgadza się. - Fitzjames kiwa głową. - Był bardzo szybki, kiedy marynarze zorganizowali sobie wyścigi na wyspie Disko dwa lata temu. Pomyślałem, że skoro jest taki dobry, to może w pojedynkę uda mu się... - Fitzjames milknie i przygryza wargę. - Powinienem był poczekać do rana.

- Niby dlaczego? - Crozier wzrusza ramionami. - Przecież wtedy wcale nie jest jaśniej. Ani wtedy, ani o żadnej innej porze dnia. Dzień i noc niczym się teraz od siebie nie różnią i nie będą się różnić jeszcze przez najbliższe cztery miesiące. A poza tym to przekłete coś na lodzie nie poluje tylko nocą... ani jedynie w ciemności. Może twój Reed jeszcze się pojawi. Nasi posłańcy gubili się na lodzie i wracali po pięciu, sześciu godzinach, przemarznięci do szpiku kości.

- Być może. - W głosie Fitzjamesa słysząc powątpiewanie. - Rankiem wysłę ludzi na poszukiwania.

- Wiesz, że to stworzenie właśnie tego od nas oczekuje - mówi Crozier ze znużeniem.

- Być może - powtarza Fitzjames. - Ale przed chwilą powiedziałeś mi, że kazałeś swoim ludziom przez całą noc i cały dzień szukać Evansa i Stronga.

- Gdybym nie zabrał ze sobą Evansa na poszukiwania Stronga, chłopak nadal by żył.

- Thomas Evans - powtarza w zamyśleniu Fitzjames. - Pamiętam go. Wielkie chłopisko. To nie był już chłopak, zgadza się, Francis? Musi mieć... musiał mieć... co najmniej dwadzieścia dwa albo dwadzieścia trzy lata.

- Tommy skończył dwadzieścia lat w maju - odpowiada Crozier. - Jego pierwsze urodziny na pokładzie obchodziliśmy dzień po wypłynięciu. Ludzie byli w dobrych humorach i uczcili ten dzień, goląc mu głowę do skóry. Nie miał nic przeciwko. Ci, którzy go znali, mówią, że zawsze był wyrośnięty jak na swój wiek. Służył na HMS Lynx, a wcześniej na jakimś statku handlowym. Został marynarzem, kiedy miał trzynaście lat.

- Podobnie jak ty, zdaje się. Crozier uśmiecha się smutno.

- Podobnie jak ja. Choć pewnie nigdy nie będę wiedział, czy to był dobry wybór.

Fitzjames chowa butelkę do szafki, zamyka ją i wraca do długiego stołu.

- Powiedz mi, Francis, czy rzeczywiście przebrałeś się za czarnego lokaja Hoppnera, który udawał damę z towarzystwa, kiedy zamierzaliście tutaj w... kiedy to było, dwudziestym czwartym?

Crozier znów się uśmiecha, tym razem jednak nieco radośniej.

- Owszem. Byłem wtedy aspirantem na Hecli Parry'ego, kiedy płynął na północ z Fury Hoppnera w tysiąc osiemset dwudziestym czwartym w poszukiwaniu tego samego, przekłętego przejścia. Parry planował przepłynąć przez Cieśninę Lancastera, a potem przez Cieśninę Księcia Regenta. Jeszcze wtedy nie wiedzieliśmy, że Boothia to półwysep, bo odkryli to dopiero John i James Ross w trzydziestym trzecim. Parry myślał, że opłynie Boothię i dotrze prosto do wybrzeża, które sześć, siedem lat wcześniej zbadał Franklin. Ale Parry wypłynął za późno - dlaczego ci cholerni dowódcy ekspedycji zawsze wypływają za późno? - i mieliśmy dużo szczęścia, że udało się nam dopłynąć do Cieśniny Lancastera dziesiątego września, z miesięcznym opóźnieniem. Ale trzynastego września dopadł nas już lód; nie mieliśmy najmniejszych szans, żeby przepłynąć przez cieśninę, więc Parry na Hecli i Hoppner na Fury uciekli z podwiniętymi ogonami na południe. Wiatr zagnał nas z powrotem do Zatoki Baffina. Na szczęście udało nam się znaleźć przystań w maleńkiej, przytulnej zatoczce przy Przesmyku Księcia Regenta. Przesiedzieliśmy tam dziesięć miesięcy. Nieźle nam wtedy przemarzły tyłki.

- Ale ty jako mały Murzyn? - Fitzjames uśmiecha się lekko. Crozier kiwa głową i pociąga łyk brandy.

- Zarówno Parry, jak i Hoppner uwielbiali organizować zabawy przebierańców, kiedy siedzieliśmy zimą w lodzie. To Hoppner wymyślił tę maskaradę, którą nazwał Wielkim Karnawałem Weneckim, i urządził ją pierwszego listopada, kiedy słońce znika na kilka miesięcy, a morale załogi podupada. Parry przyszedł wtedy w tej swojej wielkiej pelerynie, której nie zdjął nawet wtedy, gdy wszyscy już zebrali się w jednym miejscu - większość ludzi była przebrana, mieliśmy na obu statkach skrzynie z kostiumami - a kiedy w końcu ją zrzucił, zobaczyliśmy, że przebrał się za starego marynarza. Pamiętasz tego staruszka z drewnianą nogą, który grał na skrzypkach w pobliżu Chatham? Nie, nie pamiętasz, byłeś za młody. Więc Parry - myślę, że ten stary łajdak zawsze bardziej chciał być aktorem niż dowódcą statku - wyglądał i zachowywał się dokładnie jak tamten staruszek, rzępolił na skrzypkach, skakał na tej fałszywej drewnianej nodze i krzyczał: „Rzućcie choć grosik staremu

Joe, który stracił nogę, walcząc za króla i ojczyznę!”.

Ludzie śmiali się do rozpuku. Ale Hoppner, który lubił te maskarady chyba jeszcze bardziej niż Parry, przyszedł przebrany za szlachetną damę, w najmodniejszych paryskich ubraniach z tamtego sezonu - głęboki dekolt, wielka suknia z krynoliną pomarszczona nad tyłkiem i tak dalej - a ponieważ ja byłem wtedy lekkoduchem, który miał kielbie we łbie, innymi słowy nie skończyłem jeszcze trzydziestu lat, przebrałem się za czarnego lokaja Hoppnera; miałem na sobie prawdziwą liberię, którą stary Henry Parkyns Hoppner kupił w jakimś modnym londyńskim sklepie i zabrał na statek specjalnie z myślą o mnie.

- Ludzie się śmiali? - pyta Fitzjames.

- Och, do łez. Parry i jego drewniana noga poszli w odstawkę, kiedy pojawił się stary Henry, a ja za nim z jedwabnym trenem jego sukni w rękach. Czemu mieliby się nie śmiać? Wszyscy ci kominiarze i dziewczyny z kokardami, żebracy i Żydzi z wielkimi nosami, murarze i szkoccy wojownicy, tureckie tancerki i londyńskie dziewczynki z zapalkami? Patrzcie! Oto młody Crozier, starzejący się aspirant, nawet jeszcze nie porucznik, któremu wydaje się, że zostanie kiedyś admirałem, a zapomina, że jest tylko zwykłym irlandzkim Murzynem.

Fitzjames milczy przez chwilę. Crozier słyszy chrapanie i pierdzenie dochodzące spomiędzy hamaków rozwieszonych we wnętrzu ciemnego okrętu. Na pokładzie, tuż nad świetlicą, któryś z wartowników tupie mocno, by się rozgrzać. Crozier żałuje trochę, że zakończył tę historię w ten sposób - nie rozmawia tak z nikim, gdy jest trzeźwy - ale chciałby też, by Fitzjames ponownie wyjął z szafki butelkę brandy. Albo whisky.

- Kiedy *Fury* i *Hecla* uciekły z lodu? - pyta wreszcie Fitzjames.

- Dwudziestego lipca następnego lata - odpowiada Crozier. - Ale pewnie znasz już resztę tej historii.

- Wiem, że *Fury* przepadła.

- Zgadza się. - Crozier kiwa głową. - Pięć dni po ustąpieniu lodu - płynęliśmy wtedy wzdłuż brzegu wyspy Somerset, trzymając się z dala od paku i unikając tego cholernego wapienia, który ciągle spadał z urwisk - wichura zagnała *Fury* na zwirową mierzeję. Ściągnęliśmy ją stamtąd, choć kosztowało nas to mnóstwo sił, ale potem oba statki znowu zamarzyły, a góra lodowa, prawie tak wielka jak ta cholera, która siedzi teraz między *Erebusem* i *Terrorem*, przycisnęła *Fury* do paku, oderwała ster, połamała drzewca i rozerwała poszycie. Załoga pracowała przy pompach dzień i noc, żeby utrzymać ją na wodzie.

- I przez jakiś czas wam się to udawało - wtrąca Fitzjames.

- Przez dwa tygodnie. Próbowaliśmy nawet przycumować ją do góry, ale cholerna lina pękła. Potem Hoppner próbował podnieść statek, żeby dostać się do stępki, tak jak sir John chciał dostać się do waszego *Erebusa*, ale przeszkodziła nam śnieżycy i niewiele brakowało, a oba statki zniosłoby na brzeg. W końcu ludzie przy pompach padli ze zmęczenia, byli już tak wyczerpani, że nie rozumieli naszych rozkazów, i dwudziestego pierwszego sierpnia Parry kazał przejść wszystkim na pokład *Hecli* i odpłynąć od brzegu, żeby uratować choć jeden statek. Tymczasem góry lodowe zepchnęły *Fury* na brzeg, tak że nawet nie mogliśmy wziąć jej na hol. Na naszych oczach lód zgniótł statek, rozwalając na drobne kawałki. Ledwie zdążyliśmy uciec na *Heclę*, bo i nas spotkałoby to samo. Nie dopłynęliśmy więc w końcu do przejścia, a na dodatek straciliśmy okręt. Hoppner stanął potem przed sądem wojskowym, choć Parry także poczuwał się do winy, bo Hoppner przez cały czas był pod jego komendą.

- Wszystkich uniewinniono. A nawet udzielono pochwały, jeśli dobrze pamiętam.

- Udzielono pochwały, ale nie awansowano - odpowiada Crozier.

- Ale wszyscy przeżyliście. - Tak.

- Ja chcę przeżyć tę ekspedycję, Francis - mówi Fitzjames cicho, lecz z ogromną determinacją.

Crozier kiwa głową.

- Powinniśmy byli zrobić to samo co Parry; umieścić przed rokiem obie załogi na pokładzie *Terroru* i popłynąć na wschód, wokół Ziemi Króla Williama - mówi Fitzjames.

Tym razem to Crozier unosi brwi zaskoczony. Nie dziwi go fakt, że Fitzjames uznaje Ziemię za Wyspę - piesza wyprawa, którą zorganizowali minionego lata, właściwie rozstrzygnęła tę kwestię - lecz że przyznaje, iż powinni byli zrealizować jego plan i porzucić statek sir Johna minionego lata. Crozier wie, że dla komandora nie ma trudniejszej rzeczy niż porzucić własny okręt i że taka decyzja jest szczególnie trudna dla członków Królewskiej Marynarki Wojennej. Choć *Erebus* pozostawał pod komendą sir Johna Franklina, jego prawdziwym dowódcą był komandor porucznik James Fitzjames.

- Teraz już za późno. - Crozier cierpi. Ponieważ świetlica jest wyjątkowo dużym pomieszczeniem, a w dodatku ma trzy iluminatory zamocowane bezpośrednio w górnym pokładzie, jest w niej chłodniej niż gdzie indziej na dolnym pokładzie - komandorzy widzą parę wydobywającą się z ich ust - ale i tak sześćdziesiąt lub siedemdziesiąt stopni cieplej niż na zewnątrz. Przemarznięte stopy i palce Croziera dopiero teraz zaczynają odmarzać, czemu towarzyszy palący ból, jakby ktoś kłuł je tysiącami rozpalonych do czerwoności igieł.

- To prawda - przyznaje Fitzjames. - Ale ty miałeś tyle rozumu, żeby w sierpniu przewieźć saniami na Ziemię Króla Williama trochę sprzętu i zapasów.

- To ledwie ułamek tego, co będziemy musieli jeszcze przetransportować, jeśli przyjdzie nam założyć tam obóz - odpowiada krótko Crozier. Minionego lata kazał wyładować z okrętu około dwóch ton ubrań, namiotów, sprzętu i jedzenia w puszkach i przewieźć je na północno-zachodni brzeg wyspy, na wypadek gdyby zimą musieli szybko opuścić statki, przeprawa okazała się jednak wyjątkowo trudna, mozolna i niebezpieczna. Po kilku tygodniach morderczej pracy przy ciągnięciu sań dowieźli na wyspę niewiele ponad tonę ładunku - namioty, dodatkowe ubrania, narzędzia i zapasy jedzenia na kilka tygodni. Nic więcej.

- Ten bydlak z lodu nie pozwoliłby nam tam zostać - dodaje łagodniejszym już tonem. - Wszyscy mogliśmy się przenieść na wyspę już we wrześniu - pamiętasz pewnie, że miałem przygotowane miejsce na dwa tuziny dużych namiotów - ale na statkach przynajmniej możemy czuć się w miarę bezpiecznie.

- Zgadza się. - Fitzjames kiwa głową. - Jeśli statki przetrzymają zimę.

- Jeśli... - Fitzjames wzdycha, a potem spogląda zagadkowo na Croziera. - Słyszałeś, że niektórzy marynarze na obu statkach nazywają to stworzenie *Terror*?

- Nie! - Crozier jest oburzony. Nie chce, by ktokolwiek używał nazwy jego statku w odniesieniu do jakiegoś potwora z piekła rodem, nawet jeśli ma być to tylko żart. Spogląda jednak w zielono-orzechowe oczy Fitzjamesa i uświadamia sobie, że ani on, ani marynarze wcale nie żartują. - *Terror* - powtarza Crozier gorzko.

- Uważają, że to nie jest zwierzę - kontynuuje Fitzjames. - Że jest na to zbyt przebiegłe, że to coś nienaturalnego... nadprzyrodzonego... że w ciemnościach na lodzie kryje się demon.

Crozier parska z odrazą.

- Demon - powtarza pogardliwie. - Mówią to pewnie ci sami marynarze, którzy wierzą w duchy, wróżki, Jonaszów, syreny, klątwy i morskie potwory.

- Widziałem, jak drapałeś żagle, żeby przywołać wiatr - mówi Fitzjames z uśmiechem.

Crozier milczy.

- Żyjesz już dość długo i podróżowałaś dość daleko, by widzieć rzeczy, o których istnieniu ludzkość nie miała nawet pojęcia - dodaje Fitzjames, próbując rozładować napięcie.

- Owszem - odpowiada Crozier ze śmiechem. - Pingwiny! Szkoda, że nie są to tutaj, na północy, największe zwierzęta, tak jak na południu.

- Na biegunie południowym nie ma białych niedźwiedzi?

- Nie widzieliśmy ich tam. Nie widział ich żaden z wielorybników ani badaczy, którzy w ciągu ostatnich siedemdziesięciu lat pływali w pobliżu tego wulkanicznego, zamrożonego lądu.

- A ty i James Ross byliście pierwszymi ludźmi, którzy widzieli ten kontynent.

- Zgadza się. Sir James tylko na tym wygrał. Ożenił się z piękną młodą dziewczyną, został szlachcicem i nie pływa już na bieguny. A ja... ja jestem... tutaj.

Fitzjames odchrząkuje niepewnie, jakby chciał zmienić temat.

- Wiesz, Francis, aż do tej podróży wierzyłem w istnienie Otwartego Morza Polarnego. Byłem przekonany, że parlament miał rację, kiedy wysłuchał przepowiedni wszystkich tych tak zwanych ekspertów zimą przed naszym wypłynięciem, pamiętasz? Czytałem o tym w „Timesie”, wszystkie te brednie o barierze termobarycznej, o Prądzie Zatokowym, który płynie pod lodem i rozgrzewa otwarte Morze Polarne, o kontynencie, który z pewnością czeka tam już na kolonizację. Byli tak pewni jego istnienia, że chcieli wysłać więźniów z Southgate i innych więzień, żeby przerzucali tam węgiel, który musiał przecież zalegać w ogromnych ilościach zaledwie kilkaset mil stąd, na kontynencie polarnym. Crozier śmieje się, tym razem całkiem szczerze.

- Tak, mieli wydobywać węgiel do ogrzewania hoteli i dla parowców, które będą regularnie pływać na otwarte Morze Polarne najpóźniej w tysiąc osiemset sześćdziesiątym roku. Boże, jak ja chciałbym być jednym z tych więźniów z Southgate. Zgodnie z prawem ich cele są dwa razy większe od twojej kajuty, James. Pomyśl tylko, mielibyśmy zapewnioną spokojną starość, gdybyśmy musieli tylko siedzieć w takich luksusach i czekać na wieści o odkryciu i skolonizowaniu tego kontynentu na biegunie północnym.

Obaj śmieją się teraz głośno.

Na pokładzie nad ich głowami słysząc tupot nóg - odgłosy biegu, a nie zwykłe kroki - później czyjeś głosy i trzask otwieranego wjazdu, wreszcie tupot kilku par nóg ludzi schodzących po schodach.

Obaj komandorzy siedzą w milczeniu i czekają. Po chwili ktoś puka lekko do drzwi świetlicy.

- Wejść - mówi komandor Fitzjames.

Marynarz z *Erebusa* wprowadza dwóch członków załogi *Terroru* - porucznika Johna Irvinga i marynarza o imieniu Shanks.

- Przepraszam, że panom przeszkadzam, komandorze Fitzjames, komandorze Crozier - mówi Irving, lekko szczękając zębami. Jego długi nos jest biały z zimna. Shanks wciąż trzyma w dłoniach muszkiet. - Porucznik Little kazał mi jak najszybciej zameldować się u komandora Croziera.

- Mów śmiało, John, o co chodzi? - Crozier uśmiecha się. - Chyba nie szukasz ciągle lady Cissy, co?

Irving patrzy nań przez chwilę z konsternacją. Potem odpowiada:

- Widzieliśmy ją na lodzie, kiedy wracały ostatnie grupy poszukiwawcze. Nie, porucznik Little prosił, bym sprowadził pana jak najszybciej, bo... - Młody oficer milknie nagle, jakby zapomniał, dlaczego właściwie Little posłał go po komandora.

- Panie Couch - zwraca się Fitzjames do drugiego oficera, który wprowadził dwóch ludzi z *Terroru* do świetlicy. - Będę zobowiązany, jeśli zechce pan wyjść do zejściówki i zamknąć za sobą drzwi.

Crozier także zwrócił uwagę na dziwną ciszę, która zaległa na statku po wejściu Irvinga. Zbyt wiele uszu w pomieszczeniach dla załogi nasłuchiwało uważnie, co mają do powiedzenia przybysze z *Terroru*.

Kiedy drzwi już się zamknęły, Irving mówi:

- Chodzi o Williama Stronga i Tommy'ego Evansa, panie komandorze. Wrócili.

Crozier marszczy brwi, zdumiony.

- Jak to wrócili? Żywi? - Po raz pierwszy od kilku miesięcy budzi się w nim isierka nadziei.

- Och nie, komandorze - zaprzecza szybko Irving. - Właściwie to tylko... jedno ciało. Stało oparte o reling przy rufie, kiedy wszystkie grupy schodziły już na statek... jakąś godzinę temu. Strażnicy nie zauważyli wcześniej nic podejrzanego. Ale ono tam było, komandorze. Na rozkaz porucznika Little'a przyszedliśmy tutaj jak najszybciej, żeby o wszystkim pana poinformować, komandorze. My, to znaczy ja i Shanks.

- Ono? - irytuje się Crozier. - Jedno ciało? Z powrotem na statku? - Komandor *Terroru* nic z tego nie rozumie. - Przed chwilą mówiłeś, że wrócili obaj, Strong i Evans.

Teraz już nie tylko nos, ale cała twarz Irvinga jest biała jak śnieg.

- Tak jest, komandorze. Albo przynajmniej połowa z nich. Kiedy podeszliśmy bliżej, to ciało oparte o rufę przewróciło się i... hm... rozpadło. Nie mamy pewności, ale wygląda na to, że od pasa w dół to Tommy Evans. Od pasa w górę Billy Strong.

Crozier i Fitzjames mogą tylko patrzeć na siebie w milczeniu.

GOODSIR

*69°37'42" szerokości geograficznej północnej, 98°41' długości geograficznej zachodniej.
Ziemia Króla Williama, 24 maja-3 czerwca, 1847.*

Grupa porucznika Gore'a dotarła do kopca sir Jamesa Rossa na Ziemi Króla Williama wieczorem 28 maja, po pięciu dniach wyczerpującej podróży po lodzie.

Gdy zbliżyli się do lądu - ukrytego przed ich oczami aż do ostatnich chwil - odkryli z radością, że w pobliżu lądu znajdują się niewielkie sadzawki ze słodką wodą. Niestety, wkrótce przekonali się także, że większość tych małych zbiorników to woda wypłukana z podstawy długiego szeregu gór lodowych - niektóre miały ponad sto stóp wysokości - które utknęły na płyciznach i ciągnęły się teraz wzdłuż brzegu niczym mury jakiegoś ogromnego białego zamku, sięgając po sam horyzont. Potrzebowali całego dnia, by pokonać tę przeszkodę, a żeby tego dokonać, musieli odciążyć sianie i zostawić na lodzie część ubrań paliwa i zapasów. Jakby tego było mało, musieli również wyrzucić sporo puszek zjedzeniem, okazało się bowiem, że przechowywane w nich zupy i wieprzowina zgniły - mieli teraz zapasy na niecałe pięć dni, i to tylko przy założeniu, że pozostałe puszki są dobre. Na domiar złego, przekonali się, że nawet tutaj, przy samym brzegu, lód ma siedem stóp grubości.

Jednak dla Goodsire'a największym rozczarowaniem okazała się sama Ziemia Króla Williama, a właściwie Wyspa Króla Williama, o czym przekonali się nieco później.

Położone na północy wyspy Devon i Beechey były jałowymi skrawkami lądu, na których rosły jedynie porosty i drobne rośliny, jednak w porównaniu z Ziemią Króla Williama wydawały się rajskim ogrodem. Na Beechey można było znaleźć spore obszary odsłoniętego gruntu, trochę gleby i piasku, urwiska i plażę. Na Ziemi Króla Williama nie było nawet tego.

Przez pół godziny po przekroczeniu bariery gór lodowych Goodsir nie wiedział, czy jest już na stałym lądzie, czy też nie. Wcześniej zamierzał świętować z innymi tę chwilę, jako że wszyscy po raz pierwszy od ponad roku postawili stopę na stałym lądzie, lecz lód morski sięgał daleko poza góry lodowe i łączył się z lodem pokrywającym ziemię. Wszędzie dokoła rozciągał się lód i brudny śnieg, spod którego nie przebierał choćby skrawek gruntu.

Gdy wreszcie dotarli do smaganego wiatrem obszaru wolnego od śniegu, Goodsir i pozostali upadli na kolana, jakby w geście dziękczynienia, lecz nawet tutaj drobne okrągłe kamienie były przymarzniete do siebie, twarde jak zimowy londyński bruk i dziesięć razy zimniejsze. Chłód ów przenikał przez ich spodnie i warstwy ubrań okrywające ich kolana, sączył się do kości, wędrował w górę, do dłoni i palców, niczym ciche zaproszenie do zamarzniętych kręgów piekieł ukrytych głęboko w dole.

Po kolejnych czterech godzinach wędrówki odszukali kopiec Rossa. Sterta kamieni wysokości sześciu stóp, ułożona na cyplu Victory Point, powinna być obiektem łatwym do znalezienia - tak mówił im wcześniej porucznik Gore - lecz na tym odsłoniętym terenie wiele lodowych kopców miało co najmniej sześć stóp wysokości, a mocny wiatr dawno już zwał mniejsze kamienie ze szczytu kopca. Majowe niebo nigdy całkiem nie ciemniało, lecz przytłumiony, jednostajny blask utrudniał właściwą ocenę odległości. Jediną rzeczą, która odcinała się wyraźnie od tła, były niedźwiedzie, i to tylko dlatego, że się poruszały. Co najmniej pół tuzina tych głodnych, ciekawskich zwierząt śledziło ich poczynania przez cały dzień. Poza tym jednak wszystko rozmywało się w szarobiałym świetle. Serak, który na pierwszy rzut oka miał co najmniej pięćdziesiąt stóp wysokości i stał w odległości pół mili, w rzeczywistości osiągnął ledwie dwie stopy i znajdował się

dwadzieścia jardów dalej. Pas żwiru i kamieni, który wydawał się odległy zaledwie o sto jardów, leżał co najmniej milę dalej.

W końcu jednak, tuż przed dziesiątą wieczorem, znaleźli kopiec. Wszyscy byli już tak zmęczeni, że ich ręce zwisały bezwładnie, niczym ręce małą, o których opowiadali niektórzy marynarze. Teraz wszyscy milczeli, nikt nie miał bowiem nawet sił na rozmowę.

Gore wyjął pierwszą z dwóch wiadomości - sporządził kopię, by zgodnie z instrukcjami sir Johna zostawić ją w jakimś innym punkcie wybrzeża, położonym nieco dalej na południe - wpisał datę i podpisał się swoim nazwiskiem i imieniem. Podobnie uczynił drugi oficer Charles Des Voeux. Zwinęli list, wsunęli go do jednego z dwóch hermetycznych pojemników, które przynieśli tu ze sobą, wrzucili do pustej kryjówki w środku kopca i odłożyli na miejsce kamienie, które zdjęli wcześniej, by się do niej dostać.

- Cóż. - Gore westchnął. - To chyba wszystko, prawda?

Burza z piorunami zaczęła się wkrótce po tym, jak wrócili na późną kolację do sań, które zostawili pół mili na północ od miejsca, gdzie weszli na ląd.

By odciążyć sanie przed przeprawą przez góry lodowe, zostawili w kryjówce na lodzie ciężkie koce z wilczych skór, brezent i większość jedzenia w puszkach. Zakładali, że skoro żywność znajduje się w szczelnie zamkniętych konserwach, nie zwabi wszędobylskich niedźwiedzi, i że gdyby nawet niedźwiedzie je znalazły, i tak nie zdołałyby się do nich dostać. Zgodnie z planem mieli jeść zmniejszone racje - a także zwierzęta, które zdołaliby upolować na lądzie, co jak się okazało, było całkowicie nierealne - i spać wszyscy razem w namiocie.

Des Voeux nadzorował przygotowanie kolacji, wyjmując osobiście zestaw do gotowania składający się z kilku sprytnie złożonych wiklinowych koszyków. Okazało się jednak, że trzy spośród czterech puszek, które wybrali na pierwszy posiłek na lądzie, były zepsute. Zostało im więc tylko pół przeznaczonych na srodę porcji solonej wieprzowiny - ulubionego dania marynarzy, które choć smaczne i tłuste, nie mogło zaspokoić ich głodu po tak ciężkiej pracy - oraz ostatnia dobra puszka opatrzona etykietą „Wyśmienita czysta zupa żółwiowa”, której marynarze nie znosili, wiedząc z doświadczenia, że nie jest ani wyśmienita, ani czysta, a już z całą pewnością nie żółwiowa.

Doktor McDonald z *Terroru* przez ostatnie półtora roku, to jest od śmierci Torringtona na wyspie Beechey, miał obsesję na punkcie jakości puszkowanych zapasów i bez ustanku eksperymentował, wymyślając coraz to nowe diety, które miały zapobiec skorbutowi. Goodsir dowiedział się od niego, że niejaki Stephan Goldner, dostawca z Houndsditch, który dzięki niezwykle niskim stawkom wygrał przetarg na zaopatrzenie ich ekspedycji w żywność, niemal z pewnością oszukał rząd Jej Królewskiej Mości oraz Służbę Badawczą Królewskiej Marynarki Wojennej, dostarczając prowiant skandalicznie niskiej jakości, a w niektórych wypadkach wręcz niejadalny lub nawet trujący.

Marynarze zareagowali na wieść o zepsutym jedzeniu stekiem przekleństw.

- Uspokójcie się, chłopcy - uciszył ich w końcu po minucie lub dwóch Gore, pozwalwszy, by rozsierdzeni żeglarze dali upust swej złości. - Proponuję, żebyśmy otworzyli dzisiaj puszki przeznaczone na jutro, a jutro wrócili do zapasów, które zostawiliśmy na lodzie, choćbyśmy mieli dojść tam dopiero o północy. Co wy na to?

Marynarze przyklasnęli pomysłowi.

Dwie spośród czterech kolejnych puszek, które otworzyli, nie były zepsute - jedna z nich zawierała pozbawiony smaku i mięsa „Gulasz irlandzki”, druga zaś potrawę o smakowitej nazwie „Szynka wołowa z warzywami”. Marynarze na obu statkach dawno już uznali, że wołowina w tym daniu pochodzi z garbarni, a warzywa z jakiejś zapuszczonej i mokrej piwnicy, woleli jednak jeść to

niż nic.

Ledwie podwładni Gore'a rozstawili namiot, rozłożyli w środku śpiwory, podgrzali jedzenie i rozlali je do misek, gdy z nieba zaczęły bić pioruny.

Pierwsza błyskawica uderzyła niecałe pięćdziesiąt stóp od ich obozowiska, sprawiając, że niemal wszyscy wylali na siebie gorący gulasz i wołowinę. Drugie wyładowanie uderzyło jeszcze bliżej.

Rzucili się biegiem do namiotu. Błyskawice uderzały wokół nich niczym pociski artyleryjskie. Gdy wszyscy już dosłownie wtoczyli się do środka namiotu - ośmiu mężczyzn w namiocie przeznaczonym dla czterech ludzi i drobnych bagaży - marynarz Bobby Ferrier spojrzał na metalowe słupki podtrzymujące brezent, zaklął paskudnie i zaczął się czołgać z powrotem do wyjścia.

Tymczasem na zewnątrz zaczął padać grad wielkości piłek do krykieta. Odłamki lodu wylatywały na trzydzieści stóp w górę, błyskawice były tak często, że ich huk zlewał się w jeden nieprzerwany hałas, a niebo płonęło niegasnącym blaskiem.

- Nie! - krzyknął Gore, chwytając Ferriera za ramię i wciągając go z powrotem do zatłoczonego namiotu. - Gdziekolwiek pójdziemy, i tak jesteśmy najwyższymi obiektami w okolicy. Wyrzucie te maszty na zewnątrz, ale zostańcie pod brezentem. Wejdźcie do śpiworów i leżcie płasko przy ziemi.

Marynarze posłusznie wsunęli się do śpiworów. Ich długie włosy wiły się jak węże pod czapkami i nad warstwą szalików. Burza przybrała jeszcze na sile, huk rozdzierał uszy. Grad uderzał w nich z taką siłą, jakby ktoś walił ich po plecach kamiennymi pięściami. Goodsir pojękiwał głośno, bardziej ze strachu niż z bólu, choć z pewnością było to najdotkliwsze lanie, jakie dostał od czasów szkoły.

- Jezu Chryste! - zawołał Thomas Hartnell, gdy grad uderzył z jeszcze większą mocą. Większość marynarzy skryła się pod śpiworami, a nie w nich, wykorzystując grube koce jako osłonę przed coraz to większym naporem burzy. Brezent namiotu był tak cienki, że nie zapewniał im żadnej ochrony przed lodowymi pociskami, a na dodatek mogli się pod nim udusić.

- Jak w takiej temperaturze może rozpętać się burza z piorunami?! - wrzasnął Goodsir do Gore'a, który leżał obok niego.

- To się zdarza! - krzyknął porucznik. - Jeśli zdecydujemy przenieść się ze statków na ląd, będziemy musieli zabrać ze sobą całą stertę piorunochronów.

Goodsir po raz pierwszy dowiedział się wtedy, że w ogóle rozważana jest ewentualność opuszczenia statków.

Piorun uderzył w kamień, przy którym zaczęli jeść kolację, nie dalej niż dziesięć stóp od namiotu, odbił się od niego i przemknął tuż nad ich głowami, uderzając w głaz odległy zaledwie o trzy stopy. Wszyscy przywarli z całych sił do ziemi, jakby próbowali w nią wnikać, wbić się w skałę.

- Dobry Boże, poruczniku Gore! - zawołał nagle John Morfin, który leżał zwrócony głową do wyjścia z namiotu. - Coś chodzi po lodzie.

W namiocie byli wszyscy uczestnicy wyprawy.

- Niedźwiedź? - odkrzyknął Gore. - W takim gradzie?

- To jest za duże na niedźwiedzia! - wrzasnął Morfin. - To...

W tej samej chwili piorun uderzył ponownie w pobliski głaz. Naelektryzowana płachta namiotu podniosła się na moment, a wszyscy marynarze znów przywarli do ziemi i zamilkli, modląc się żarliwie w myślach.

Atak - tak właśnie myślał o burzy Goodsir, jakby była to reakcja greckich bogów rozwścieczonych pychą zwykłych śmiertelników, którzy zapuścili się tak daleko w krainę Boreasza - trwał niemal pół godziny. Wreszcie błyskawice zaczęły uderzać coraz rzadziej, a cała burza przesunęła się na południowy wschód.

Gore pierwszy wyszedł z namiotu, lecz nawet on, postrzegany przez Goodsira jako człowiek nieulekły, poruszał się przez kilka minut tylko na czworakach. Pozostali wypęzili za nim i przez chwilę leżeli nieruchomo, rozglądając się dokoła w osłupieniu. Niebo na wschodzie wciąż płonęło gęstą siatką błyskawic, ogłuszający huk zmuszał ich do zakrywania uszu, grad jednak ustał. Ziemia zniknęła pod warstwą lodowych kul, która miejscami osiągała dwie stopy wysokości. Po chwili Gore wstał i rozejrzał się. Pozostali poszli jego śladem, podnosili się z ziemi, z trudem rozprostowując obolałe kończyny pokryte licznymi siniakami. Gruba warstwa chmur zakryła niebo na tyle skutecznie, że zrobiło się niemal całkiem ciemno, jak w środku prawdziwej nocy.

- Patrzcie na to! - zawołał Charles Best.

Goodsir i pozostali podeszli do sań. Przygotowując się do kolacji ustawili obok sań stertę puszek i innych materiałów; w jakiś niewytłumaczalny sposób błyskawica uderzyła w piramidę konserw, nie naruszając sań. Wszystkie puszki rozleciały się dokoła, jakby trafiła w nie kula armatnia - idealne uderzenie w partii kosmicznych kręgów. Osmalone kawałki metalu i dymiące jeszcze pozostałości jedzenia rozrzucone były w promieniu dwudziestu jardów. Obok lewej stopy lekarza leżało osmolone i powyginane naczynie, na którym widać było napis ZESTAW KUCHENNY. Była to część ich sprzętu do gotowania, która przed nadejściem burzy leżała na jednej z kuchenek. Stojąca obok butelka z paliwem eksplodowała, rozrzucając na wszystkie strony odłamki metalu, które minęły o cal głowy ukrytych w namiocie marynarzy. Gdyby błyskawica trafiła prosto w stertę butelek z paliwem, ułożonych w drewnianej skrzyni obok dwóch śrutówek i zapasu nabojów, eksplozja i powstały w jej wyniku ogień pochłonięłyby ich wszystkich.

Goodsir miał ochotę roześmiać się głośno, nie zrobił tego jednak w obawie, że jednocześnie może się rozplakać. Przez chwilę nikt nie odzywał się ani słowem.

Wreszcie John Morfin, który wdrapał się na pobliski wał lodowy, zawołał:

- Poruczniku, musi pan to zobaczyć!

Wszyscy dołączyli do Morfina i spojrzeli we wskazanym przezeń kierunku.

Wzdłuż grzbietu ciągnęły się ślady wychodzące z lodowego labiryntu na północy i zmierzające w stronę morza, na południowy zachód. Wpatrywali się w nie z niedowierzaniem, były to bowiem odciski większe od śladów jakiegokolwiek zwierzęcia żyjącego na ziemi. W ciągu pięciu dni wędrówki wielokrotnie mieli okazję oglądać odcisnięte w śniegu tropy białych niedźwiedzi; niektóre z nich były zadziwiająco duże - miały nawet dwanaście cali długości - lecz te były od nich co najmniej o połowę większe, dłuższe od ludzkiej ręki. Były też świeże - nie mieli co do tego najmniejszych wątpliwości, gdyż nie zostały odcisnięte w śniegu, lecz w warstwie gradu.

Stworzenie, które przeszło obok ich obozu, zrobiło to w samym środku gradowej nawałnicy, i to właśnie je widział zapewne Morfin.

- Co to jest? - zastanawiał się głośno Gore. - To niemożliwe... Panie Des Voeux, proszę łaskawie przynieść z sań strzelbę i trochę naboju.

- Tak jest, poruczniku.

Nim jeszcze mat powrócił ze śrutówką, Morfin, szeregowiec Pilkington, Best, Ferrier i Goodsir ruszyli wraz z Gore'em śladem nieprawdopodobnych odcisków, na północny zachód.

- Są za duże - powiedział Pilkington. Goodsir wiedział, że żołnierz został włączony do tej wyprawy głównie dlatego, iż jako jeden z niewielu marynarzy płynących na obu statkach polował

kiedykolwiek na zwierzynę większą od kuropatwy.

- Wiem o tym, szeregowy - odrzekł Gore. Wziął strzelbę od Des Voeux i załadował ją, podczas gdy pozostałych siedmiu mężczyzn kroczył0 powoli przez zasy py gradu w stronę ciemnych chmur zgromadzonych za linią gór lodowych okalających brzeg wyspy.

- Może to nie są ślady łap, tylko coś... Może to zajęc polarny albo jakieś inne zwierzę skakało w tej brei, a to są odciski całego ciała - rzekł niepewnie Des Voeux.

- Być może - odpowiedział Gore z roztargnieniem. - Być może, Charles.

Jednak doktor Harry D.S. Goodsir wiedział, że z całą pewnością są to odciski jakichś olbrzymich łap. Wiedzieli to wszyscy towarzyszący mu ludzie. Nawet Goodsir, który nigdy nie polował na stworzenie większe od królika lub kuropatwy, zdawał sobie sprawę, że nie są to odciski całego ciała zwierzęcia, które skakało raz w lewo raz w prawo, lecz ślady czegoś, co najpierw szło na czterech łapach, a potem - jeśli wierzyć tropom - przez ponad sto jardów na dwóch. Wyglądały dokładnie tak, jak ślady człowieka, przy założeniu, że stopy owego człowieka są dłuższe od jego przedramienia, że jeden krok ma długość pięciu stóp i że zamiast palców u stóp ma długie pazury.

Dotarli do smaganego wiatrem miejsca, gdzie jakiś czas wcześniej padli na kolana i dotykali dłońmi wyglądających spod lodu kamieni. Grad rozbił się tutaj na drobne kawałki, więc wciąż widać było odsłonięty grunt - tu także kończył się trop.

- Rozproszyc się - rozkazał Gore, wciąż trzymając strzelbę niedbale pod pachą, jakby przechadzał się właśnie po swym rodzinnym majątku w Essex. Później pokazał każdemu z ludzi, do którego miejsca ma podejść i sprawdzić dokładnie, czy w pobliżu na warstwie gradu znów nie pojawiają się ślady. Obszar odsłoniętej skały i żwiru był niewiele większy od boiska do krykieta.

W otaczającym ów obszar śniegu i lodzie nie było żadnych śladów. Marynarze kręcili się dokoła przez kilka minut, pochyleni nisko nad ziemią, wreszcie przystanęli w miejscu i spojrzeli na siebie w milczeniu. Stali teraz niemal w idealnym kole, wokół którego rozciągał się obszar nienaruszonego śniegu i lodu.

- Poruczniku... - zaczął Best.

- Chwileczkę - przerwał mu Gore. - Myślę.

Tylko on wciąż poruszał się po skalnym kole, chodził wokół niego i oglądał uważnie śnieg, lód i warstwę gradu, jakby podejrzewał, że ktoś stroi sobie z niego żarty. Burza oddaliła się już na wschód i światło znów stało się intensywniejsze. Była już niemal druga nad ranem.

- Poruczniku - nie poddawał się Best. - Chodzi o Toma Hartnella.

- Co z nim? - warknął Gore, okrążając skalne boisko po raz trzeci.

- Nie ma go tutaj. Właśnie to zauważyłem; nie ma go z nami, odkąd wyszliśmy z namiotu.

Goodsir podniósł głowę i spojrział w tę samą stronę co pozostali. Trzysta jardów za nimi ciągnął się wał lodowy, skrywający namiot i sanie. Na ogromnej połaci bieli i szarości nic się nie poruszało.

Wszyscy jednocześnie poderwali się do biegu.

Hartnell żył, ale był nieprzytomny i wciąż leżał pod płachtą namiotu. Na jego głowie wyrósł ogromny guz - brezent rozdarł się w miejscu, gdzie uderzyła bryła lodu wielkości pięści - marynarz krwawił też z lewego ucha, Goodsir szybko jednak znalazł słaby puls. Wyciągnęli nieprzytomnego mężczyznę z namiotu i otulili go dwoma śpiworami. Tymczasem na niebie znów pojawiły się ciemne chmury.

- Czy to poważne? - spytał Gore. Goodsir pokręcił głową.

- Nie dowiemy się, dopóki on się nie ocknie... jeśli się ocknie. Prawdę mówiąc, jestem

zaskoczony, że tylko jego spotkał taki los. Wszyscy zostaliśmy naprawdę solidnie obici.

Gore skinął głową.

- Nie chciałbym stracić Tommy'ego po tym, jak w zeszłym roku zmarł mu brat, John. Jego rodzina nie zniosłaby chyba takiego ciosu.

Goodsir przypomniał sobie, jak przed pogrzebem marynarze ubierali Johna Hartnella w najlepszą flanelową koszulę jego brata. Pomyślał o tej koszuli, leżącej teraz pod warstwą zamrożonej ziemi i żwiru w miejscu odległym o wiele setek mil na północ, smagany wiatrem, który uderzał w czarną ścianę urwiska. Lekarz zadrżał.

- Chyba wszystkim zrobiło się zimno - rzekł Gore. - Musimy się trochę przespać. Szeregowy Pilkington, odzyskajcie maszty i pomóżcie Bestowi i Ferrierowi ustawić namiot.

- Tak jest.

Podczas gdy dwaj marynarze szukali metalowych palików, Morfin podniósł brezentową płachtę. Namiot został tak podziurawiony przez grad, że wyglądał jak flaga po zaciętej bitwie.

- Dobry Boże... - wyjęczał Des Voeux.

- Śpiwory są przemoczone - zameldował Morfin. - W środku namiotu też jest mokro.

Gore westchnął.

Pilkington i Best wrócili z dwoma osmalonymi kawałkami metalu i drewna.

- Maszty zostały zniszczone - zameldował szeregowiec. - Wygląda na to, że metalowe rdzenie przyciągnęły błyskawice. Do niczego się już nie nadają.

Gore skinął tylko głową.

- Na saniach mamy jeszcze siekierę. Wyjmij z niej trzonek i przynieś drugą strzelbę, użyjemy ich jako masztów. Roztop trochę lodu, żeby je umocować, jeśli będziesz musiał.

- Kuchenka się rozleciała - przypomniał im Ferrier. - Na razie nie mamy w czym stopić lodu.

- Na saniach mamy jeszcze dwie inne kuchenki - odparł spokojnie Gore. - Mamy też trochę wody do picia w butelkach. Teraz pewnie zamrzła, ale włóżcie je pod ubrania, to za chwilę znów się roztopi. Wlejcie ją potem do otworów, które wyrąbacie w lodzie, i wstawcie tam maszty. Panie Best?

- Tak jest? - odpowiedział młody marynarz, tłumiąc ziewnięcie.

- Zamieć namiot do czysta, a potem weź nóż i rozpruj dwa śpiwory. Użyjemy ich jako koców, jeden położymy na ziemi, a drugim się przykryjemy. Będziemy się nawzajem ogrzewać. Musimy przespać się choć trochę.

Goodsir przyglądał się Hartnellowi, wypatrując najmniejszych oznak życia, lecz młody marynarz wciąż leżał sztywno jak trup. Lekarz ponownie sprawdził mu puls.

- Wracamy jutro rano? - spytał John Morfin. - Żeby zabrać rzeczy z naszej kryjówki i ruszyć z powrotem na statek. Teraz nie wystarczy nam już nawet jedzenia na drogę powrotną.

Gore uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Kilka dni głodówki nikomu nie zaszkodzi. Hartnell jest jednak ranny, więc czterech z was ułoży go na saniach i wróci z nim do kryjówki. Przygotujecie tam obóz, podczas gdy ja zabiorę jednego z was i ruszę na południe, by wykonać rozkazy sir Johna. Muszę zostawić drugi list dla Admiralicji i, co ważniejsze, dotrzeć jak najdalej na południe, by przekonać się, czy nie ma tam otwartej wody. Cała ta wyprawa na nic się nie zda, jeśli tego nie zrobimy.

- Chętnie pójdę z panem, poruczniku Gore - zgłosił się Goodsir, zaskoczony nieco własną reakcją. Z jakiegoś nieokreślonego powodu bardzo zależało mu na tym, by towarzyszyć oficerowi w dalszej wędrówce.

Gore także wyglądał na zaskoczonego.

- Dziękuję panu, doktorze - odpowiedział łagodnie - ale lepiej chyba będzie, jeśli zostanie pan z naszym rannym towarzyszem, prawda?

Goodsir zaczerwienił się po korzonki włosów.

- Best pójdzie ze mną - rzekł porucznik. - Do mojego powrotu wyprawą będzie dowodził Des Voeux.

- Tak jest - odpowiedzieli obaj mężczyźni.

- Best i ja wyjdziemy za jakieś trzy godziny i postaramy się dotrzeć jak najdalej na południe. Weźmiemy ze sobą trochę solonej wieprzowiny, pojemnik z wiadomością, po jednej butelce wody, kilka koców, na wypadek, gdybyśmy musieli biwakować, i jedną strzelbę. Zawrócimy około północy i postaramy się spotkać z wami przed ośmioma szklankami jutro rano. W drodze powrotnej będziemy mieli lżejsze sanie oczywiście należy doliczyć Hartnella, wiemy też, w których miejscach najlepiej pokonywać wały lodowe, więc powinniśmy dotrzeć do statków w ciągu trzech, a nie pięciu dni. Panie Des Voeux, jeśli Best i ja nie wrócimy do obozu pojutrze przed północą, wyruszajcie sami na statek.

- Tak jest.

- Szeregowy Pilkington, bardzo jesteście zmęczeni?

- Tak jest - odrzekł trzydziestoletni marynarz. - To znaczy, nie. Gotów jestem wykonać każdy pański rozkaz, poruczniku.

Gore uśmiechnął się.

- Dobrze. Obejmiecie teraz trzygodzinną wachtę. Mogę wam za to obiecać, że pierwsi będziecie mogli się przespać, kiedy wasza grupa dotrze do kryjówki na lodzie. Weźcie muszkiet, ale nie wychodźcie z namiotu - wystawiajcie tylko głowę, od czasu do czasu.

- Tak jest.

- Doktorze Goodsir? Lekarz podniósł głowę.

- Zechce pan wraz z panem Morfinem przenieść Hartnella do namiotu? Ułożymy go pośrodku naszej małej grupki, żeby nie było mu zimno.

Goodsir skinął głową, podszedł do swego pacjenta i wziął go pod ręce, nie wyjmując ze śpiwora. Guz na głowie nieprzytomnego Hartnella był teraz równie duży jak mała, biała pięść lekarza.

- No dobrze - rzekł Gore, szczękając zębami i spoglądając na namiot. - Weźmy teraz koce, ułożmy się razem jak sieroty boże, którymi przecież jesteśmy, i spróbujmy przespać się choć godzinę lub dwie.

FRANKLIN

70°05' szerokości geograficznej północnej, 98°23' długości geograficznej zachodniej. 3 czerwca 1847.

Sir John nie wierzył własnym oczom. Do statku zmierzało osiem osób, tak jak się tego spodziewał, ale były to osoby... niewłaściwe.

Czterech spośród pięciu wyczerpanych, brodatych mężczyzn w goglach, którzy ciągnęli z mazołem sanie, znajdowało się na właściwym miejscu - byli to Morfin, Ferrier, Best i olbrzymi szeregowiec Pilkington - lecz piątym człowiekiem w zaprzęgu był drugi oficer Des Voeux, który miał taką minę, jakby wracał z wyprawy do samego piekła. Marynarz Hartnell szedł obok sań. Miał obandażowaną głowę i mocno kulał, co upodabniało go do żołnierza armii napoleońskiej wracającej spod Moskwy. Lekarz, Goodsir, także szedł obok sań i zajmował się kimś - lub czymś - leżącym na saniach. Franklin szukał wzrokiem czerwonego szalika porucznika Gore'a - szal ów miał prawie sześć stóp długości, trudno więc było go nie zauważyć - wyglądało jednak na to, że niemal każda z posępnych, przygarbionych postaci nosi krótszą wersję tego szala.

Na samym końcu, za saniami, szło jakieś niskie stworzenie w futrzanej kurtce. Sir John nie widział jego twarzy ukrytej pod kapturem, wiedział jednak, że może to być tylko Eskimos.

Dopiero jednak ujrawszy z bliska same sanie, sir John wykrzyknął:

- Dobry Boże!

Widok, który ukazał mu się przedtem w lunecie, nie był złudzeniem - na wąskich saniach leżały dwa ciała, ułożone jedno na drugim. Ciało ułożone na górze należało do kolejnego Eskimosa - śpiącego lub nieprzytomnego starca o brunatnej, pomarszczonej twarzy i długich siwych włosach opadających na kaptur z wilczej skóry, który ktoś ściągnął z jego głowy i ułożył pod nią jak poduszkę. To właśnie tym człowiekiem opiekował się kroczący obok sań Goodsir. Spod bezwładnego ciała Eskimosa wyglądała poczerwiała zniekształcona twarz bez wątpienia martwego porucznika Grahama Gore'a.

Franklin, komandor porucznik Fitzjames, porucznik Le Vesconte, pierwszy oficer Robert Sergeant, łodomistrz Reid, główny lekarz Stanley i podoficerowie, tacy jak bosmanmat Brown, John Sullivan, odpowiadający za grotmarsa, oraz pan Hoar, steward sir Johna - wszyscy rzucili się biegiem w stronę sań, podobnie jak ponad czterdziestu marynarzy, którzy wyszli wcześniej na pokład zwabieni krzykami obserwatorów.

Franklin i pozostali zatrzymali się raptownie, nim jeszcze dotarli do sań. To, co przez lunetę wyglądało jak skrawki czerwonego szala na ubraniach marynarzy, było w rzeczywistości wielkimi plamami krwi. Wszyscy byli wysmarowani krwią.

Nagle zaczęli mówić jednocześnie. Niektórzy marynarze w uprząży ściskali przyjaciół, którzy wybiegli im na spotkanie. Thomas Hartnell upadł na lód i natychmiast został otoczony przez ludzi, którzy próbowali mu pomóc. Wszyscy przekrzykiwali się nawzajem.

Sir John widział jednak tylko martwe ciało porucznika Grahama Gore'a. Zwłoki oficera zostały okryte kocem, który jednak zsunął się z nich, odsłaniając twarz Gore'a, zupełnie białą w miejscach, gdzie odpłynęła z niej krew, w innych zaś spaloną na ciemny brąz przez arktyczne słońce. Przystojne niegdyś oblicze Gore'a było teraz zniekształcone, spod lekko uniesionych powiek wyzierały białka oczu pokryte cienką warstwą lodu, z otwartych szeroko ust wystawał spuchnięty język, a ściągnięte do tyłu wargi odsłaniały zęby w grymasie, który zdawał się wyrażać krańcowe przerażenie.

- Zdejmijcie tego... dzikusa... z porucznika Gore'a - rozkazał sir John. - Natychmiast!

Kilku mężczyzn rzuciło się do sań, by wykonać jego polecenie, i podniosło Eskimosa za ramiona i stopy. Starzec jęknął głucho, a doktor Goodsir wykrzyknął:

- Ostrożnie! Uważajcie na niego! Ma kulę z muszkietu w pobliżu serca. Przenieście go, proszę, do izby chorych.

Drugi z Eskimosów odrzucił do tyłu kaptur, a sir John ujrzał zaskoczony, że jest to młoda kobieta. Eskimoska przysunęła się bliżej do rannego starca.

- Chwileczkę! - zawołał sir John, machając do pomocnika lekarza okrętowego. - Do izby chorych? Naprawdę zamierza pan umieścić tego... tubylca... w izbie chorych na naszym statku?

- Ten człowiek jest moim pacjentem - odrzekł Goodsir z mocą i uporem, o jakie sir John nigdy nie podejrzewałby tego drobnego lekarza. - Muszę przenieść go do miejsca, w którym będę mógł go zoperować. Wnieście go, panowie, jeśli łaska.

Marynarze trzymający Eskimosa spojrzeli na swego dowódcę, czekając na ostateczną decyzję. Sir John był tak oszołomiony, że nie mógł wykrztusić z siebie ani słowa.

- Idziemy, panowie - rzucił Goodsir z zadziwiającą pewnością siebie. Uznawszy milczenie sir Johna za przyzwolenie, marynarze wnieśli siwowłosego Eskimosa na statek. Goodsir, eskimoska dziewczyna i kilku innych marynarzy ruszyło ich śladem. Dwóch z nich prowadziło między sobą ślaniającego się na nogach Hartnella.

Franklin, z najwyższym trudem ukrywający wyraz szoku i grozy, stał nieruchomo, wpatrzony wciąż w zwłoki Gore'a. Szeregowiec Pilkington i marynarz Morfin rozwiązywali liny mocujące ciało oficera do sań. - Na miłość boską - przemówił wreszcie Franklin. - Zakryjcie mu twarz.

- Tak jest, komandorze - odrzekł Morfin, podciągając wyżej koc, który zsunął się z twarzy porucznika podczas długiej wędrówki przez lodową równinę.

Sir John wciąż widział wklęsłość koca znaczącą miejsce, gdzie znajdowały się otwarte usta jego oficera.

- Panie Des Voeux - warknął Franklin.

- Tak jest, komandorze. - Des Voeux, który przypatrywał się z boku, jak jego podwładni odwiązują ciało Gore'a, zbliżył się doń o krok i przyłożył dłoń do czoła. Nieogolona twarz drugiego oficera, spalona słońcem na czerwono i wysmagana wiatrem, wyrażała krańcowe zmęczenie; Franklin widział, że Des Voeux ma ledwie dość sił, by podnieść rękę do głowy.

- Proszę dopilnować, by ciało porucznika Gore'a zostało przeniesione do jego kwatery, gdzie pod nadzorem zostanie przygotowane do pogrzebu.

- Tak jest, komandorze - odpowiedzieli Des Voeux i Fairholme jednym głosem.

Ferrier i Pilkington, choć również ogromnie zmęczeni, odrzucili oferty pomocy i sami podnieśli ciało swego porucznika. Zwłoki były sztywne jak kłoda. Jedna ręka Gore'a była ugięta, a odsłonięta dłoń, poczerniała od słońca lub rozkładu, zastygła w drapieżnym geście, jakby tuż przed śmiercią młody oficer chciał wydrapać komuś oczy.

- Chwileczkę - powiedział Franklin. Uświadomił sobie właśnie, że jeśli odeśle Des Voeux, minie jeszcze wiele godzin, nim otrzyma oficjalny raport od człowieka, który po śmierci Gore'a dowodził tą nieszczęsną wyprawą. Nawet Goodsir zniknął już we wnętrzu statku, zabrawszy ze sobą dwoje Eskimosów.

- Panie Des Voeux - kontynuował Franklin. - Kiedy już ciało porucznika Gore'a zostanie przeniesione do jego kwatery, proszę zameldować się u mnie.

- Tak jest, komandorze - odrzekł Des Voeux ze znużeniem.

- Proszę mi tylko jeszcze powiedzieć, kto był przy śmierci porucznika Gore'a?

- Byliśmy przy tym wszyscy, komandorze. Ale marynarz Best towarzyszył mu nieustannie przez ostatnie dwa dni naszego pobytu w pobliżu Ziemi Króla Williama. Charlie widział wszystko, co robił wtedy Gore.

- Dobrze. - Sir John skinął głową. - Proszę zająć się swoimi obowiązkami, panie Des Voeux. Wkrótce wysłucham pańskiego raportu. Best, chodźcie ze mną i komandorem Fitzjamesem.

- Tak jest, komandorze - mruknął marynarz, odcinając ostatni pasek uprząży, był już bowiem zbyt zmęczony, by ją rozplatać. Best nie miał już siły, by zasalutować.

Trzy iluminatory w suficie kajuty jarzyły się mlecznym blaskiem niezachodzącego od wielu dni słońca, kiedy marynarz Charles Best stanął, by zdać raport przed siedzącymi na krzesłach sir Johnem Franklinem, komandorem porucznikiem Fitzjamesem i komandorem Crozierem - komandor Crozier szczęśliwym zbiegiem okoliczności pojawił się z wizytą na Erebusie tuż po powrocie wyprawy nieszczęsnego porucznika Gore'a. Edmund Hoar, steward sir Johna, a czasami także jego sekretarz, siedział za oficerami i sporządzał notatki. Best oczywiście stał, Crozier zaproponował jednak, by wyczerpany marynarz pokrzepił się odrobiną brandy. Sir John przyjął tę sugestię grymasem dezaprobaty, zgodził się jednak, by komandor porucznik Fitzjames sięgnął do swych prywatnych zapasów. Wydawało się, że alkohol rzeczywiście nieco ożywił zmęczonego żeglarza.

Trzej oficerowie od czasu do czasu przerywali pytaniami raport chwiejącego się Besta. Kiedy opis wyczerpującej podróży na Ziemię Króla Williama zanadto się przeciągał, sir John kazał marynarzowi przejść jak najszybciej do relacji z wydarzeń ostatnich dwóch dni.

- Tak jest, komandorze. Po tej pierwszej burzowej nocy przy kopcu i po tym, jak znaleźliśmy te... ślady... w śniegu, próbowaliśmy się trochę przespać, ale nie bardzo nam to szło, więc ja i porucznik Gore ruszyliśmy na południe, a pan Des Voeux zabrał sanie, resztki namiotu i biednego Hartnella, który wtedy był ciągle nieprzytomny, powiedzieliśmy sobie „do jutra”, i poszliśmy, ja z porucznikiem na południe, a Des Voeux i jego ludzie z powrotem na lód.

- Byliście uzbrojeni - przypomniał mu sir John.

- Tak jest, sir Johnie. - Best skinął głową. - Porucznik Gore miał pistolet, a ja strzelbę. Pan Des Voeux zatrzymał dla siebie drugą strzelbę, a szeregowiec Pilkington niósł muszkiet.

- Powiedzcie nam, dlaczego porucznik Gore podzielił grupę - rozkazał sir John.

Best zmarszczył brwi, jakby nie zrozumiał pytania, potem rozpromienił się jednak.

- Och, mówił nam, że wypełnia pańskie rozkazy. Kiedy piorun)' zniszczyły jędrzenie i namiot, większość grupy musiała wrócić do obozu na lodzie. Porucznik Gore i ja poszliśmy dalej na południe, żeby zostawić na wybrzeżu drugą wiadomość i sprawdzić, czy nie ma tam gdzieś otwartej wody. Nie było, komandorze. To znaczy otwartej wody. Ani kawałka. Ani nawet chol... ani ciemniejszego kawałka nieba, który mógł oznaczać otwartą wodę.

- Jak daleko zaszliście z porucznikiem Gore'em? - spytał Fitzjames.

- Porucznik mówił, że przeszliśmy jakieś cztery mile na południe, przez śnieg i zamrożony żwir, kiedy dotarliśmy do zatoki... podobnej trochę do tej zatoki przy wyspie Beechey, gdzie zimowaliśmy rok temu. Ale sami panowie wiecie, co znaczą cztery mile we mgle i wietrze na lodzie, nawet na stałym lądzie. Przeszliśmy pewnie przynajmniej z dziesięć mil, żeby przesunąć się o te cztery. Zatoka była zamrożona na amen, zupełnie jak tutaj. Nie było nawet wąskiego pasa wody między brzegiem i lodem, który latem zawsze robi się tutaj w zatokach i przesmykach. Przeszliśmy więc na drugi brzeg, a potem jeszcze jakieś ćwierć mili wzdłuż cypla, gdzie zbudowaliśmy drugi kopiec - może nie taki duży i ładny jak kopiec komandora Rossa, ale solidny i wystarczająco wysoki, żeby go było widać z daleka. Łąd jest tam tak płaski, że człowiek zawsze jest najwyższym punktem w

okolicy. Ułożyliśmy go z kamieni, mniej więcej do wysokości naszych oczu, i wsadziliśmy tam tę drugą wiadomość w mosiężnym cylindrze.

- Ruszyliście wtedy od razu w drogę powrotną? - spytał komandor Crozier.

- Nie, komandorze. - Best pokręcił głową. - Przyznaję, że byłem bardzo zmęczony. Porucznik Gore też. Szliśmy przez cały dzień, ale wciąż nad ziemią wisiała mgła, która podnosiła się tylko od czasu do czasu, więc rzadko widzieliśmy brzeg i morze. Skończyliśmy budować kopiec dopiero po południu, ale porucznik rozkazał iść jeszcze jakieś sześć, siedem mil wzdłuż wybrzeża. Czasami coś widzieliśmy, zwykle nie. Ale przez cały czas słyszeliśmy.

- Co słyszeliście? - spytał zniecierpliwiony Franklin.

- Coś, co szło za nami, sir Johnie. Coś wielkiego. I dyszącego. Czasami też jakby szczeekało... wiecie panowie, jak białe niedźwiedzie, taki jakby kaszel...

- Ustaliliście, że to niedźwiedź? - spytał Fitzjames. - Mówiliście wcześniej, że byliście najwyższymi obiektami w okolicy. Skoro szedł za wami niedźwiedź, to z pewnością widzieliście go, kiedy mgła się podnosiła?

- Tak jest, komandorze - odrzekł Best, marszcząc brwi tak mocno, że wydawało się, iż zaraz wybuchnie płaczem. - To znaczy, nie, komandorze. Nie ustaliliśmy wcale, że to niedźwiedź. Normalnie pewnie byśmy to zrobili. Przynajmniej powinniśmy. Ale nie mogliśmy. Czasami słyszeliśmy, jak kaszle tuż za nami we mgle - nie więcej niż piętnaście stóp. Ja trzymałem wtedy strzelbę gotową do strzału, a porucznik odbezpieczał pistolet i czekaliśmy, ale kiedy mgła się podnosiła, nic tam nie było.

- To musiało być jakieś złudzenie zmysłowe. - Sir John pokiwał głową.

- Tak jest, komandorze - zgodził się z nim Best tonem sugerującym, że nie rozumie tego komentarza.

- To mogły być odgłosy wydawane przez przybrzeżny lód - wyjaśnił sir John. - Albo wiatr.

- Tak jest, sir Johnie - przytaknął Best. - Tyle że tam nie wiało. Ale lód... tak, być może to był lód. Niewykluczone. - Tym razem jego ton dowodził jednoznacznie, że jednak nie mógł to być lód.

Sir John poprawił się na krześle, jakby dając w ten sposób wyraz irytacji wywołanej reakcją marynarza i, odchrząknawszy, przemówił ponownie:

- Powiedzieliście wcześniej, że porucznik Gore zginął... został zabity... kiedy już wróciliście do pozostałych sześciu marynarzy. Przejdźcie, proszę, do tego punktu relacji.

- Tak jest, komandorze. Było już pewnie koło północy, kiedy doszliśmy najdalej na południe, jak mogliśmy. Słońce schowało się za horyzontem, ale na niebie było takie złote światło... wie pan, jak wygląda tu niebo o północy, sir Johnie. Mgła podniosła się na chwilę i kiedy wyszliśmy na takie małe wzgórze... nawet nie wzgórze, tylko kopczyk zamrożonego żwiru... boja wiem, jakieś piętnaście stóp wysokości... widzieliśmy wybrzeże na południu aż do samego horyzontu i czubki gór lodowych przymarzniętych do brzegu. Żadnej wody. Wszystko zamrożone na kamień. Zawróciliśmy. Nie mieliśmy namiotu ani śpiworów, tylko trochę zamrożonego jedzenia. Złamałem sobie na nim dobry ząb. I okropnie nam się chciało pić. Nie mieliśmy kuchenki, żeby roztopić śnieg albo lód, a wyszliśmy tylko z odrobiną wody, którą porucznik Gore trzymał pod ubraniami.

No więc szliśmy przez noc - czyli te dwie godziny półmroku, które tutaj nazywają się nocą - i potem w ciągu dnia, ja kilka razy zasypiałem i pewnie chodziłbym w kółko, aż w końcu bym padł, ale porucznik łapał mnie za ramię, potrząsał mną i prowadził gdzie trzeba. Minęliśmy nowy kopiec, potem przeszliśmy przez zatokę, i gdzieś około sześciu szklanek, kiedy słońce stało już wysoko na niebie, dotarliśmy do miejsca, gdzie obozowaliśmy nocą w pobliżu pierwszego kopca, to znaczy kopca sir Jamesa Rossa, właściwie dwie noce wcześniej, podczas tej pierwszej burzy. Potem

szliśmy po śladach sań, przez góry lodowe i na drugą stronę.

- Powiedzieliście „podczas tej pierwszej burzy” - przerwał mu Crozier. - Było ich więcej? Podczas waszej nieobecności my też mieliśmy tu kilka burz, ale najgorsza była na południu.

- O tak, komandorze - odpowiedział Best. - Co kilka godzin, nawet przy takiej gęstej mgle, znów zaczynało grzmieć, a wtedy włosy same się podnosiły, jakby chciały odlecieć z głową, a wszystkie metalowe rzeczy - sprzączki pasków, strzelba, pistolet porucznika - świeciły na niebiesko. Szukaliśmy wtedy jakiegoś schronienia i kładliśmy się na żwirze, a pioruny biły dokoła jak kule armatnie pod Trafalgarem.

- Byliście pod Trafalgarem, Best? - spytał sir John lodowatym tonem.

Best zamrugał oczami, zaskoczony.

- Nie, komandorze. Oczywiście, że nie. Mam dopiero dwadzieścia pięć lat, milordzie.

- Ja tam byłem, marynarzu - odrzekł sir John surowo. - Jako oficer sygnałowy na HMS Bellerophon, gdzie podczas bitwy zginęło trzydziestu ośmiu spośród czterdziestu oficerów. Powstrzymajcie się więc, proszę, od używania przenośni i porównań wykraczających poza wasze życiowe doświadczenia.

- T-t-tak jest, komandorze - wyjąkał Best, przerażony, że dopuścił się tak wielkiego nietaktu. - Przepraszam, sir Johnie. Nie chciałem... nie zamierzałem... nie powinienem...

- Opowiadajcie dalej, marynarzu - przerwał mu sir John. - Opowiedzcie nam, jak wyglądały ostatnie godziny życia porucznika Gore’a.

- Tak jest, komandorze. No więc... nie dałbym rady przejść przez góry lodowe bez pomocy porucznika - niech Bóg mu to wynagrodzi - ale w końcu jakoś nam się to udało, a wówczas została nam już tylko mila czy dwie do obozu, w którym czekał na nas pan Des Voeux i reszta, ale wtedy właśnie się zgubiliśmy.

- Jak mogliście się zgubić, skoro szliście po śladach sań? - zdziwił się głośno komandor Fitzjames.

- Nie wiem, komandorze - odparł Best głosem pełnym znużenia i smutku. - Była mgła. Bardzo gęsta. Nie widzieliśmy dalej niż na dziesięć stóp przed sobą. I jeszcze to słońce... Wszystko wydaje się wtedy takie płaskie i podobne do siebie. Wspinaliśmy się chyba ze trzy albo cztery razy na ten sam wał, a za każdym razem coraz bardziej traciliśmy poczucie kierunku. Na lodzie było też sporo miejsc, gdzie wiatr ściągnął śnieg i sanie nie zostawiały żadnych śladów. Ale prawda jest taka, panowie, że ja i porucznik Gore spaliśmy na stojąco i nawet nie wiedzieliśmy, kiedy zgubiliśmy drogę.

- Rozumiem. - Sir John skinął głową. - Mówcie dalej.

- No a potem usłyszeliśmy strzały... - zaczął Best.

- Strzały? - zdziwił się ponownie komandor Fitzjames.

- Tak jest, komandorze. Ze strzelby i muszketu. We mgle, kiedy huk odbijał się od gór i wałów lodowych, wydawało nam się, że te strzały dochodzą ze wszystkich stron, ale na pewno były blisko. Zaczęliśmy krzyczeć i wkrótce usłyszeliśmy też krzyki pana Des Voeux. Trzydzieści minut później - bo dopiero wtedy mgła się trochę podniosła - weszliśmy wreszcie do obozu. Chłopcy połatali namiot w ciągu tych trzydziestu sześciu godzin, kiedy nas nie było, i rozbili go obok sań.

- Czy te strzały miały na celu naprowadzić was na obóz? - spytał Crozier.

- Nie, komandorze. - Best pokręcił głową. - Strzelali do niedźwi dzi. I tego starego Eskimosa.

- Proszę nam to wyjaśnić - polecił sir John. Charles Best oblizał popękane wargi.

- Pan Des Voeux może wyjaśnić to lepiej niż ja, ale wiem, że dotarli do obozu dzień wcześniej i zobaczyli, że wszystkie puszkę z jedzeniem są porozrywane i rozrzucone, najpewniej przez

niedźwiedzie, więc p Des Voeux i doktor Goodsir postanowili upolować kilka białych niedźwiedzi, które kręciły się ciągle koło obozu. Tuż przed tym, jak wróciliśmy do obozu, zastrzelili niedźwiedzicę z dwójką młodych i wycie z nich mięso. Ale słyszeli też w pobliżu inne odgłosy - to dyszenie i kasłanie we mgle, o którym panom wcześniej mówiłem - i wtedy dwójka Eskimosów, starzec i jego kobieta, przeszli przez wał, cali w f trach, a była mgła, więc szeregowiec Pilkington strzelił do nich z muszkietu, a Bobby Ferrier ze strzelby. Ferrier spudłował, ale Pilkington trafił Eskimosa w pierś. Kiedy tam dotarliśmy, ściągnęli właśnie do obozu tego rannego Eskimosa i jego kobietę, i trochę niedźwiedziego mięs - zostawili na śniegu pasy krwi, po których szliśmy z porucznikiem ostatnie sto jardów, a doktor Goodsir próbował uratować tego starego Eskimosa.

- Dlaczego? - spytał sir John.

Best nie umiał mu odpowiedzieć. Przez chwilę w kajucie pan owa cisza.

- No dobrze - przemówił wreszcie sir John. - Ile czasu minęło od chwili, gdy dotarliście do grupy drugiego oficera Des Voeux, do momentu ataku na porucznika Gore'a?

- Nie więcej niż pół godziny, sir Johnie. Pewnie mniej.

- A co sprowokowało atak?

- Sprowokowało? - powtórzył Best. Jego oczy coraz wyraźniej mętniały, jakby powoli tracił kontakt z rzeczywistością. - Mówi pan o tych zastrzelonych niedźwiedziach?

- Mówię o dokładnych okolicznościach ataku, marynarzu. Jak one wyglądały? - pytał z naciskiem sir John.

Best potarł czoło. Przez chwilę stał z otwartymi ustami, nim wreszcie przemówił.

- Nic go nie sprowokowało. Rozmawiałem właśnie z Tommym Hartnellem - leżał w namiocie z zabandażowaną głową, ale był już przytomny, nie pamiętał zresztą niczego od chwili, gdy zaczęła się ta pierwsza burza - pan Des Voeux pomagał Morfinowi i Ferrierowi rozpaść kucharki, żebyśmy mogli na nich ugotować trochę tego niedźwiedziego mięsa, a doktor Goodsir zdjął kurtkę z tego starego Eskimosa i oglądał paskudną ranę na jego piersi. Eskimoska stała i przyglądała mu się, ale nie widziałem, gdzie była dokładnie w tamtej chwili, bo mgła zgęstniała. Szeregowiec Pilkington stał na wachcie z muszkietem, kiedy nagle porucznik Gore krzyknął: „Cisza! Cisza!”, no i wszyscy zamilkliśmy, przez chwilę słyszeć było tylko syk ognia w kuchenkach i bulgotanie śniegu, który topiliśmy w dwóch wielkich garnkach - zdaje się, że mieliśmy zrobić jakiś gulasz z niedźwiedziego mięsa - i wtedy porucznik wyjął pistolet, odbezpieczył go, odszedł kilka kroków od namiotu i...

Best umilkł nagle. Jego spojrzenie już całkiem zmętniało, z otwartych ust sączyła się strużka śliny. Patrzył na coś, czego nie było w kajucie sir Johna.

- Mówcie dalej - ponaglił go sir John.

Best poruszył ustami, jednak nie wydobył się z nich żaden głos.

- Kontynuujcie, marynarzu - powiedział komandor Crozier nieco łagodniejszym tonem.

Best odwrócił się do Croziera, jednak jego wzrok skupiony był nadal na czymś odległym od statku.

- Potem... - przemówił wreszcie. - Potem... lód po prostu się podniósł, komandorze. Podniósł się i otoczył porucznika Gore'a.

- O czym wy mówicie? - warknął sir John, przerywając kolejną chwilę ciszy. - Lód nie może się po prostu podnieść. Co tam widzieliście?

Best nie odwrócił głowy w stronę sir Johna.

- Lód po prostu się podniósł. Tak jak wtedy, gdy nagle powstaje wał lodowy. Tyle że to nie był wał... to nie był lód... po prostu coś się podniosło i przybrało... kształt. Białe kształt. Pamiętam, że były tam... pazury. Najpierw nie pojawiły się łapy, tylko pazur. Ogromne. I kły. Pamiętam kły.

- Niedźwiedź - rzekł sir John z przekonaniem. - Biały niedźwiedź. Best pokręcił tylko głową.

- To było wysokie. Wydawało się, że wstaje pod porucznikiem... wokół niego. To było... za wysokie. Ponad dwa razy wyższe od porucznika Gore'a, a wiecie przecież, panowie, że on był wysokim człowiekiem. Miało co najmniej dwanaście stóp wysokości, a nawet więcej, i było ogromne. O wiele za duże na zwykłego niedźwiedzia. Porucznik Gore jakby zniknął, kiedy to coś... go otoczyło... widzieliśmy wszyscy jego głowę i buty, jego pistolet wystrzelił - kula trafiła chyba w lód - potem wszyscy zaczęliśmy krzyczeć, Morfin rzucił się po strzelbę, szeregowiec Pilkington biegł z muszkietem gotowym do strzału, ale bał się strzelać, bo to stworzenie i porucznik byli jakby jednym, a potem... potem usłyszeliśmy chrzęst i trzask.

- Niedźwiedź ugryzł porucznika? - spytał komandor Fitzjames. Best zamrugał oczami i spojrzał na rumianego komandora.

- Czy go ugryzł? Nie, panie komandorze. To coś nie gryzło. Nie widziałem nawet jego łba... Tylko dwa czarne punkty unoszące się jakieś dwanaście, trzynaście stóp nad ziemią... czarne, a jednocześnie czerwone, wiecie panowie, jak ślepia wilka, kiedy odwraca się do was i odbija się w nich słońce... To był chrzęst i trzask łamanych kości porucznika Gore'a, jego żeber i rąk.

- Czy porucznik krzyczał? - spytał sir John.

- Nie, komandorze. Nie wydał żadnego dźwięku.

- Czy Morfin i Pilkington w końcu strzelili? - spytał Crozier.

- Nie, komandorze.

- Dlaczego?

Best zaskoczył wszystkich, uśmiechając się w odpowiedzi.

- Bo nie było do czego strzelać, komandorze. W jednej sekundzie to coś tam było, zgniatało porucznika, jak ja mógłbym zdusić mysz w pięści, a w następnej zniknęło.

- Jak to zniknęło? - obruszył się sir John. - Czy Morfin i szeregowiec nie mogli strzelać do niego, gdy uciekało w mgłę?

- Uciekało? - powtórzył Best, uśmiechając się jeszcze szerzej. - To wcale nie uciekało. Po prostu wróciło do lodu jak cień, który znika nagle, gdy słońce schowa się za chmurę, a nim dobiegliśmy do porucznika Gore'a, już nie żył. Leżał z otwartymi ustami. Nie zdążył nawet krzyknąć. Wtedy podniosła się mgła. W lodzie nie było żadnych dziur. Żadnych szczelin. Tylko zmasakrowany porucznik - miał wgniecione żebra, złamane obie ręce, krwawił z uszu, oczu i ust. Doktor Goodsir natychmiast do niego podbiegł, ale nic nie mógł zrobić. Gore już był martwy.

Szalony i irytujący uśmiech na ustach Besta jakby przygasł, lecz popękane wargi nadal odsłaniały jego zęby. Wzrok marynarza stał się całkiem nieobecny.

- Czy... - zaczął sir John, umilkł jednak, gdy Charles Best runął bezwładnie.

GOODSIR

70°05' szerokości geograficznej północnej, 98°23' długości geograficznej zachodniej.
Czerwiec 1847.

Z prywatnego dziennika doktora Harry'ego D.S. Goodsira.

4 czerwca 1847

Kiedy wraz ze Stanleyem rozebraliśmy rannego Eskimosa do naga, przypomniałem sobie, że starzec nosi amulet wykonany z płaskiego, gładkiego kamienia, nieco mniejszego od mojej pięści, w kształcie białego niedźwiedzia - kamień nie wyglądał na rzeźbę, wydawało się raczej, że to sama natura go tak ukształtowała - długą szyję zwierzęcia, mały łeb i potężne łapy wyprężone w skoku. Widziałem ów amulet, kiedy po raz pierwszy opatrywałem ranę Eskimosa, wówczas jednak nie zwróciłem nań większej uwagi.

Kula z muszkietu szeregowca Pilkingtona trafiła starca w pierś niecały cal poniżej amuletu, przebiła mięśnie pomiędzy trzecim i czwartym żebrzem, przeszła przez lewe płuco i utknęła w kręgosłupie, niszcząc liczne nerwy.

Nie mogłem go w żaden sposób uratować - już podczas wcześniejszego badania zrozumiałem, że każda próba usunięcia kuli doprowadzi do natychmiastowej śmierci tubylca, nie mogłem też zahamować krwawienia wewnętrznego z płuca - zrobiłem jednak wszystko, co w mojej mocy, przeniósłszy uprzednio Eskimosa do tej części izby chorych, w której wraz z doktorem Stanleyem urządziliśmy salę operacyjną. Wczoraj, przez pół godziny po moim powrocie na statek, Stanley i ja badaliśmy ranę z przodu i z tyłu, używając do tego naszych najokrutniejszych instrumentów i cięliśmy ciało starca, dopóki nie ustaliliśmy dokładnego położenia kuli w jego kręgosłupie, co potwierdzało naszą początkową diagnozę, że nieuchronnie czeka go śmierć.

Jednak niezwykle wysoki, potężnie zbudowany, siwowłosy dzikus nie podporządkował się jeszcze naszym rokowaniom. Wciąż żył. Oddychał ciężko przez swe rozerwane płuco, plując raz po raz krwią. Wciąż patrzył na nas swymi zadziwiająco jasnymi - jak na Eskimosa - oczami, śledząc każdy nasz ruch.

Dołączył do nas doktor McDonald z Terroru i zgodnie z sugestią Stanleya zabrał eskimoską dziewczynę do pomieszczenia tuż tyłach izby chorych, oddzielonego od głównej sali za pomocą koca, by tam ją poddać badaniu. Przypuszczam, że doktorowi Stanleyowi nie zależało szczególnie na tym, by dziewczyna została zbadana, lecz chciał raczej pozbyć się jej z izby chorych w czasie, gdy badaliśmy ranę jej męża lub ojca... choć ani pacjent, ani dziewczyna nie wydawali się szczególnie poruszeni widokiem krwi i rany, który to widok z pewnością pozbawiłby przytomności każdą londyńską damę i niejednego studenta medycyny.

A skoro już mowa o utracie przytomności - Stanley i ja skończyliśmy właśnie badanie umierającego Eskimosa, kiedy do izby wszedł sir John Franklin oraz kilku nuzrynarzy niosących Charlesa Besta, który, jak nas poinformowano, zemdlął w kajucie sir Johna. Kazaliśmy marynarzom położyć Besta na najbliższej koi. Wystarczyło pobieżne badanie, bym mógł wymienić przyczyny takiej, a nie innej reakcji organizmu nuzrynarza: to samo krańcowe wyczerpanie, które po dziesięciu dniach morderczych trudów stało się udziałem wszystkich uczestników wyprawy porucznika Gore'a, głód (przez ostatnie dwa dni nie mieliśmy do jedzenia nic prócz surowego niedźwiedziego mięsa), odwodnienie (nie mieliśmy czasu, by zatrzymać się i stopić lód tui

kuchenkach, uciekliśmy się więc do kiepskiego pomysłu ssania lodu i śniegu - proces ten raczej uszczupla zapasy wody w organizmie, niż je powiększa) oraz rzecz najbardziej dla mnie oczywista, a dziwnie niejasna dla oficerów, którzy przesłuchiwali Besta - biedny marynarz zmuszony był stać i zdawać raport komandorom, choć wciąż miał na sobie osiem warstw wełny (pozwolono mu zdjąć jedynie zakrwawiony płaszcz). Po dziesięciu dniach i nocach na lodzie, gdzie temperatura oscylowała zazwyczaj w pobliżu zera stopni, ciepło wypełniające Erebusa było dla mnie niemal nie do zniesienia, wszedłszy więc do izby chorych, zrzuciłem z siebie niemal wszystkie warstwy ubrań. Best nie mógł tego zrobić.

Upewniwszy się, że Best wkrótce dojdzie do siebie - dawka soli trzeźwiących już niemal przywróciła mu pełną jasność umysłu - sir John spojrzał z widoczną odrazą na naszego eskimoskiego pacjenta, który leżał właśnie na zakrwawionym brzuchu, i spytał:

- Będzie żył?

- Niedługo, sir Johnie - zameldował Stephen Samuel Stanley. Skrzywiłem się, słysząc, że ktoś wypowiada podobne słowa w obecności pacjenta. W obecności umierających my, lekarze, zazwyczaj mówimy o rokowaniach w neutralnej i niezrozumiałej dla większości ludzi łacinie - szybko jednak uświadomiłem sobie, że Eskimos najprawdopodobniej nie zna angielskiego.

- Przewróćcie go na plecy - rozkazał sir John.

Wykonaliśmy to polecenie, ostrożnie obracając pacjenta, i choć ów siwowłosy tubylec, który przez całe badanie zachowywał świadomość, musiał cierpieć podczas tego zabiegu niewymowne męki, nie wydał z siebie żadnego dźwięku, tylko wpatrywał się w twarz dowódcy naszej ekspedycji.

Sir John pochylił się nad nim i przemawiając głośno i powoli, jakby zwracał się do dziecka lub idioty, spytał:

- Kim jesteś?

Eskimos tylko patrzył w twarz sir Johna.

- Jak... się... nazywasz? - krzyczał sir John. - Do jakiego... plemienia... należysz?

Umierający dzikus nie odpowiadał.

Sir John pokręcił głową i skrzywił się z odrazą, choć nie wiem, czy większym wstrętem napelniała go otwarta rana na piersi Eskimosa, czy też jego ignorancja.

- Gdzie jest Eskimoska? - spytał sir John Stanley a.

Mój przełożony, zajęty zakładaniem bandażu, które mogły chociaż zmniejszyć, jeśli nie zatamować, krwawienie z ranionego płuca dzikusa, wskazał głową na pomieszczenie za zasłoną.

- Jest z nią doktor McDonald, sir Johnie - powiedział.

Sir John bez pytania odchylił zasłonę i wszedł do środka. Usłyszałem kilka oderwanych od siebie, niedokończonych słów, a potem dowódca naszej ekspedycji wyszedł tyłem zza zasłony. Jego twarz była tak czerwona, iż obawiałem się przez moment, że nasz sześćdziesięcioletni przywódca dostanie lada chwila wylewu.

Później czerwona twarz zszokowanego sir Johna stała się biała jak ściana.

Uświadomiłem sobie poniewczasie, że młoda Eskimoska musiała być naga. Kilka minut wcześniej zajrzałem za lekko rozsunięte zasłony i zauważyłem, że kiedy McDonald nakazał jej gestem zdjąć ubranie - kurtkę z filtra niedźwiedzia - dziewczyna skinęła głową i posłusznie zrzuciła z siebie kurtkę, pod którą nie nosiła nic od pasa w górę. Byłem wówczas zajęty umierającym człowiekiem na naszym stole operacyjnym, pomyślałem jednak, że to rozsądny sposób ubierania się w tych temperaturach - znacznie lepszy niż liczne warstwy wełny, które nosili wszyscy uczestnicy wyprawy nieszczęsnego porucznika Gore'a. Nagie ciało podfiltrem lub

zwierzęcą sierścią samo się ogrzewa, kiedy jest mu zimno, i chłodzi, gdy jest mu za gorąco, tui przykład podczas wysiłku, ponieważ pot wsiąka szybko w wilczą sierść lub niedźwiedzie futro. Weltia, którą nosiliśmy my, Anglicy, natychmiast nasiąkała potem, praktycznie nigdy nie wysychła i błyskawicznie zatnarzała, gdy tylko przestawaliśmy się ruszać. Jestem pewien, że nim wróciliśmy na statek, nieśliśmy na sobie prawie dwa razy większy ciężar niż ten, z którym wyszliśmy.

- P-p-przyjdę p-p-później - wyjąkał sir John i odwrócił się.

Komandor sir John Franklin wyglądał na wstrząśniętego, nie potrafię jednak powiedzieć, czy ten szok wywołany był widokiem nagiej kobiety czy też czymś innym, co zobaczył w izbie chorych. Opuścił salę operacyjną bez słowa.

Chwilę później doktor McDonald przywołał mnie do siebie. Dziewczyna - młoda kobieta, jak zauważyłem, chociaż badania naukowe potwierdziły, że dzikuski osiągają dojrzałość znacznie wcześniej niż młode kobiety w cywilizowanych społeczeństwach - włożyła już z powrotem spodnie z foczej skóry i kurtkę. Doktor McDonald wyglądał na poruszonego, niemal wzburzonego, a kiedy spytałem go, w czym problem, gestem nakazał dziewczynie otworzyć usta. Potem podniósł lampkę i wypukłe lustro, które skupiało światło, a ja mogłem przekonać się osobiście, co go tak poruszyło.

Język Eskimoski został amputowany u samej nasady. Widziałem, że zostało go tyle - doktor McDonald zgodził się ze mną w tej kwestii - by mogła jeść i przełykać większość pokarmów, z pewnością jednak nie była w stanie artykułować bardziej złożonych dźwięków, jeśli język Eskimosów można nazwać złożonym pod jakimikolwiek względem. Blizny były stare. Do amputacji musiało dojść znacznie wcześniej.

Przyznaję, że cofnąłem się, przerażony. Kto zrobiłby coś podobnego dziecku - i dlaczego? Kiedy jednak użyłem słowa „amputacja”, doktor McDonald grzecznie mnie poprawił.

- Proszę przyjrzeć się temu ponownie, doktorze Goodsir - wyszeptał. - To nie są ślady amputacji, nawet wykonanej narzędziem tak prymitywnym, jak kamienny nóż. Język tej biednej dziewczyny został odgryziony, kiedy była jeszcze bardzo mała - i to tak blisko nasady, że bez wątplenia nie mogła zrobić tego sama.

Odsunąłem się o krok od kobiety.

- Czy ma jeszcze jakieś inne okaleczenia? - spytałem, używając z przyzwyczajenia łaciny. Czytałem kiedyś o barbarzyńskim rytuale praktykowanym na Czarnym Łądzie i wśród mahometan, zgodnie z którym tamtejsze kobiety podlegały okrutnemu obrzezaniu, będącemu parodią hebrajskiego zwyczaju stosowanego wśród mężczyzn.

- Nie, żadnych - odparł McDonald.

Wydawało mi się wtedy, że wiem już, co tak bardzo zszokowało sir Johna, kiedy jednak spytałem McDonalda, czy ten podzielił się tą informacją z naszym dowódcą, lekarz z Terroru zapewnił mnie, że nie wspominał o niej ani słowem. Sir John po prostu wszedł do izby, zobaczył nagą Eskimoskę i natychmiast wyszedł dziwnie poruszony. McDonald zaczął mi potem pokrótce relacjonować wyniki badań naszego jeńca, czy też gościa, przerwał nam jednak doktor Stanley.

W pierwszej chwili pomyślałem, że stary Eskimos umarł, byłem jednak w błędzie. Przyszedł po mnie marynarz, który wzywał mnie do sir Johna i innych komandorów, bym zdał przed nimi raport.

Widziałem, że sir John, komandor porucznik Fitzjames i komandor Crozier byli

rozczarowani moją relacją z ostatnich chwil życia porucznika Gore'a, lecz choć zazwyczaj podobna okoliczność wielce by mnie zmartwiła, tego dnia - być może ze względu na ogromne zmęczenie oraz psychiczne zmiany, które mogły zajść w mym umyśle podczas wyprawy z porucznikiem Gore'em - ta reakcja moich przełożonych nie dotknęła mnie w żaden sposób.

Najpierw ponownie zdałem relację o stanie umierającego Eskimosa oraz o dziwnym okaleczeniu dziewczyny, to jest ojej brakującym języku. Trzejkomandorzy rozmawiali o tym przez chwilę między sobą, lecz jedyne pytanie padło z ust komandora Croziera:

- Czy wie pan, dlaczego ktoś mógłby jej to zrobić, doktorze Goodsir? - Nie mam pojęcia.

- Czy mogło tego dokonać jakieś zwierzę? - dopytywał się nadal komandor Crozier.

Zastanowiłem się przez chwilę. Wcześniej taka myśl nie przyszła mi do głowy.

- Być może - odrzekłem w końcu, choć trudno było mi sobie wyobrazić, że jakiś arktyczny drapieżnik mógł odgryźć dziecku język i zostawić je potem przy życiu. Z drugiej strony wszyscy wiedzieli, że Eskimosi hodowali dzikie psy. Widziałem to na własne oczy w zatoce Disko.

Potem nie pytano mnie już więcej o dwójkę Eskimosów.

Komandorzy wypytывali mnie o okoliczności śmierci porucznika Gore'a i o stworzenie, którego zabiło, powiedziałem im więc prawdę - że byłem wtedy zajęty ratowaniem życia eskimoskiego mężczyzny, który wyszedł z mgły i został postrzelony przez szeregowca Pilkingtona, i że widziałem tylko ostatnie chwile tajemniczej śmierci Grahama Gore'a. Wyjaśniłem, że w całym tym zamieszeniu, we mgle, pośród krzyków przerażenia, pomiędzy saniami ograniczającymi znacznie moje pole widzenia a poruszającymi się gwałtownie sylwetkami ludzi nie byłem nawet pewien tego, co zobaczyłem: a widziałem tylko wielki biały kształt ogarniający bezradnego oficera, błysk wystrzału z jego pistoletu, a potem mgłę, która znów wszystko zakryła.

- Jest pan jednak pewien, że to był biały niedźwiedź? - spytał komandor Fitzjames.

Zawahałem się.

- Jeśli to był niedźwiedź - przemówiłem w końcu - to mieliśmy do czynienia z niezwykle dużym okazem *Ursus maritimus*. Widziałem drapieżnika przypominającego niedźwiedzia - olbrzymie ciało i łapy, mała głowa, czarne oczy - lecz te szczegóły wcale nie były tak wyraźne, jak można by sądzić na podstawie mojej relacji. Pamiętam głównie to, że owo stworzenie pojawiło się jakby znikąd, po prostu wychynęło z lodu, i że było dwa razy wyższe od porucznika Gore'a. Wyglądało naprawdę przerażająco.

- Z pewnością - odrzekł sir John cierpko, niemal sarkastycznie, jak mi się wydawało. - Cóż by to mogło jednak być, panie Goodsir, jeśli nie niedźwiedź?

Zauważyłem, że sir John po raz kolejny zwraca się do mnie, nie używając przynależnego mi tytułu doktora. Mówił do mnie per „pan”, jak do zwykłego marynarza lub niewyszkolonego podoficera. Potrzebowałem dwóch lat, by uzmysłowić sobie, że podstarzały przywódca naszej ekspedycji, którego darzyłem tak wielkim szacunkiem, nie odwzajemnia tegoż szacunku w stosunku do zwykłego pomocnika lekarza.

- Nie wiem, sir Johnie - odpowiedziałem. - Chciałem wrócić do mojego pacjenta.

- Zdaje się, że interesował się pan swego czasu białymi niedźwiedziami, panie Goodsir - kontynuował sir John. - Dlaczego?

- Studiowałem anatomię, sir Johnie. Przed wyprawą marzyłem też o tym, by zostać przyrodnikiem.

- Już pan o tym nie marzy? - spytał komandor Crozier ze swym śpiewnym akcentem.

Wzruszyłem ramionami.

- Przekonałem się, że nie mam predyspozycji do pracy w terenie.

- Przeprowadzał pan jednak sekcję kilku białych niedźwiedzi, które za strzeliliśmy tutaj i na wyspie Beechey - nie poddawał się sir John. - Badał pan ich szkielety i muskulaturę. Obserwował pan ich zachowania na lodzie, jak my wszyscy.

- Tak jest, sir Johnie.

- Czy uważa pan, że obrażenia, których doznał porucznik Gore, mogły być dziełem takiego właśnie zwierzęcia?

Zawahałem się na sekundę. Zbadałem dokładnie ciało biednego Grahama Gore'a, nim załadowaliśmy je na sanie i wyruszyliśmy w tę koszmarną drogę powrotną przez pak.

- Tak, sir Johnie - odrzekłem w końcu. - Niedźwiedź polarny zamieszkujący te regiony to, o ile nam wiadomo, największy drapieżnik na Ziemi. Może ważyć o połowę więcej i być o trzy stopy dłuższy od niedźwiedzia grizzly, największego i najgroźniejszego niedźwiedzia Ameryki Północnej. To potężne zwierzę, które bez trudu mogłoby zmiażdżyć klatkę piersiową człowieka i złamać mu kręgosłup, do czego doszło u biednego porucznika Gore'a. Co więcej, niedźwiedź polarny to jedyny drapieżnik, który podchodzi ludzi i traktuje ich jak wszystkie inne ofiary.

Komandor Fitzjames odchrząknął.

- Doktorze Goodsir - przemówił łagodnym tonem - widziałem niegdyś w Indiach tygrysa, który według tamtejszych mieszkańców zjadł dwanaście osób, nim go uśmiercono.

Skinąłem głową, uświadamiając sobie po raz kolejny, jak bardzo jestem zmęczony. Znużenie działało na mnie jak mocny alkohol.

- Komandorze... Panowie... widzieliście z pewnością znacznie więcej miejsc i zwierząt niż ja. Jednakże z licznych prac badawczych dotyczących tego tematu, które miałem okazję czytać do tej pory, wynikałoby raczej, że wszystkie inne drapieżniki lądowe - wilki, lwy, tygrysy i inne niedźwiedzie - zabijają ludzi, gdy zostaną sprowokowane, a niektóre z nich, jak zapewne tygrys z pańskiej opowieści, komandorze Fitzjames, stają się ludożercami, jeśli zmusi je do tego choroba lub rana uniemożliwiająca im zdobywanie ich zwykłego pożywienia. Tylko niedźwiedź polarny, *Ursus maritimus*, traktuje człowieka jako potencjalną ofiarę i poluje na niego.

Crozier kiwał głową.

- Skąd pan o tym wie, doktorze Goodsir? Z pańskich książek?

- Do pewnego stopnia. Rozmawiałem także sporo na temat z mieszkańcami zatoki Disko, wypytywałem również komandora Martina z *Enterprise* i komandora Danmrtę z *Prince of Wales*, kiedy cumowaliśmy w pobliżu tych statków w Zatoce Baffina. Ci dwaj dżentelmeni zechcieli udzielić mi sporo informacji o białych niedźwiedziach, skontaktowali mnie również z kilkoma członkami swych załóg. Byli wśród nich dwaj starsi wielorybnicy, którzy w sumie spędzili na lodzie kilkanaście lat i którzy uraczyli mnie licznymi anegdotami o białych niedźwiedziach polujących na Eskimosów z tego regionu, a nawet porywających ludzi ze statków. Jeden z nich, Connors, jeśli dobrze pamiętam, mówił, że w dwudziestym ósmym roku niedźwiedzie porwały aż dwóch kuków z jego statku, i to z dolnego pokładu, kiedy kucharze zajęci byli gotowaniem, a pozostali marynarze spali. Komandor Crozier uśmiechnął się lekko.

- Może nie powinniśmy wierzyć we wszystkie opowieści, którym raczą nas starzy marynarze, doktorze Goodsir.

- Nie, komandorze. Oczywiście, że nie.

- To chyba wszystko, panie Goodsir - powiedział sir John. - Wezwiemy pana ponownie, jeśli będziemy mieli jeszcze jakieś pytania.

- Tak jest - odpowiedziałem i odwróciłem się, zmierzając do wyjścia.

- Och, jeszcze jedno, doktorze Goodsir - zawołał komandor Fitzjames, nim opuściłem

kajutę sir Johna. - Intryguje mnie jedno pytanie, na które, przyznam ze wstydem, nie potrafię znaleźć odpowiedzi. Dlaczego biały niedźwiedź nosi nazwę Ursus maritimus? Chyba nie ze względu na słabość do mięsa z ciał marynarzy?

- Nie, komandorze - odrzekłem. - Wydaje mi się, że niedźwiedź polarny został obdarzony taką nazwą, gdyż jest on raczej morskim ssakiem niż zwierzęciem lądowym. Słyszałem opowieści o niedźwiedziach polarnych, które widziano setki mil od stałego lądu, a komandor Martin z Enterprise powiedział, że niedźwiedź potrafi nie tylko bardzo szybko poruszać się na lądzie lub lodzie - biega z prędkością ponad dwudziestu pięciu mil im godzinę - ale że jest również jednym z najsilniejszych pływaków i może przepłynąć sześćdziesiąt do siedemdziesięciu mii bez odpoczynku. Kapitan Dannert mówił, że pewnego razu jego statek płynął z prędkością ośmiu węzłów, z dala od lądu, a dwa białe niedźwiedzie towarzyszyły mu co najmniej dziesięć mil morskich, a później po prostu go wyprzedziły, zmierzając w stronę odległego fragmentu kry z prędkością i gracją białuchy. Stąd też nazwa Ursus maritimus... owszem, ssak, ale przede wszystkim zwierzę morskie.

- Dziękujemy panu, panie Goodsir - powiedział sir John.

- Proszę bardzo, panowie - odrzekłem i wyszedłem.

4 czerwca 1847, ciąg dalszy...

Eskimos umarł kilka minut po północy. Wcześniej jednak przemówił.

Spałem w tym czasie tui siedząco, oparty plecami o grodz izby chorych, ale Stanley mnie obudził.

Siwowłosy mężczyzna poruszał się gwałtownie na stole operacyjnym, wymachiwał rękami, jakby chciał płynąć w powietrzu. Jego uszkodzone płuco krwawiło obficie, krew spływała mu po brodzie na obandażowane piersi.

Kiedy podniosłem lampkę, dołączyła do nas eskimoska dziewczyna, która spała do tej pory w rogu pomieszczenia, i wszyscy troje pochyliliśmy się nad umierającym człowiekiem.

Stary Eskimos stukał się zakrzywionym palcem w pierś, tuż obok rany. Każdy oddech pozbawiał go kolejnej porcji jasnej tętniczej krwi, uparcie jednak wyrzucał z siebie dźwięki, które mogły być tylko słowami. Wziąłem do ręki kredę i zapisałem je na tabliczce, za pomocą której porozumiewaliśmy się ze Stanleyem, gdy w pobliżu spali pacjenci.

Angatkut tuquruq! Quarubvitchuq... angatkut turkuq... Paniga tu-unbaq! Tanik... naluabmiu tuqutauyasiruq... umiaqpak tuqutauyasiruq nanuq tuqutkaa! Paniga... tunbaq nanuq... angatkut ququruq!

Później zaczął krwawić już tak obficie, że nie mógł wydobyć z siebie ani słowa więcej. Krew wypływała z niego fontanną, dusiła go, aż - choć Stanley i ja trzymaliśmy go prosto i próbowaliśmy udrożnić drogi oddechowe - wciągał do płuc tylko krew. Po kilku chwilach tej straszliwej agonii jego pierś przestała się w końcu unosić, opadł bezwładnie na nasze ręce, a jego oczy zasnuły się mgłą. Stanley i ja opuściliśmy go na stół.

- Uważaj! - krzyknął Stanley.

Przez moment nie rozumiałem, czego dotyczy ostrzeżenie mojego towarzysza - starzec był już martwy, nie mogłem doszukać się pulsu ani oddechu, kiedy się nad nim pochylilem - później jednak odwróciłem się i zobaczyłem Eskimoskę.

Dziewczyna pochwyciła jeden z zakrwawionych skalpeli leżących na stole i zbliżała się do nas, trzymając broń w podniesionej ręce. Zrozumiałem jednak od razu, że nie zwraca uwagi na mnie ani na Stanleya - jej wzrok wbity był w martwą twarz i pierś człowieka, który mógł być jej mężem, ojcem lub bratem. Ponieważ nie miałem pojęcia o barbarzyńskich zwyczajach jej

plemienia, w ciągu tych kilku sekund przez mój umysł przemknęły miriady szalonych obrazów - dziewczyna wykrawająca serce mężczyzny, pożerająca je zgodnie z jakimś straszliwym rytuałem, wydłubująca mu oczy, obcinająca palce lub też nacinająca piersi poznaczone już całym mnóstwem starych blizn.

Nie zrobiła żadnej z tych rzeczy. Nim Stanley zdołał ją pochwycić, a ja zasłonić własnym ciałem ciało zmarłego, dziewczyna machnęła skalpelem z iście chirurgiczną precyzją - z pewnością przez większość życia używała ostrego jak brzytwa noża - i przecięła rzemyk podtrzymujący amulet starca.

Pochwyciwszy płaski, zbryzgany krwią kamień w kształcie niedźwiedzia, Eskimoska ukryła go gdzieś pod kurtką i odłożyła skalpel na stół.

Przez chwilę Stanley i ja patrzyliśmy tylko na siebie w milczeniu. Potem główny lekarz Erebusa wyszedł, by zbudzić młodego żeglarza pełniącego dyżur przy izbie chorych i wysłać go do marynarza stojącego tui wachcie oraz do komandora z informacją, że stary Eskimos nie żyje.

4 czerwca, ciąg dalszy...

Pogrzebaliśmy Eskimosa około pierwszej trzydzieści nad ranem - trzy szklanki - a właściwie wsunęliśmy jego owinięte brezentem ciało do otworu w lodzie, który marynarze wywiercili w odległości dwudziestu jardów od statku na wypadek pożaru. Był to jedyny otwór przeciwpożarowy, który marynarze zdołali utrzymać w grubej warstwie lodu tego wyjątkowo zimnego lata - jak już wcześniej wspomniałem, marynarze panicznie boją się pożaru - a sir John kazał opuścić ciało właśnie tam. W czasie gdy Stanley i ja usiłowaliśmy wepchnąć zwłoki do wąskiego komina, z dala dochodziły nas odgłosy rąbania i przekleństwa dwudziestu ludzi, którzy pracowali kilkaset jardów dalej na wschód, przygotowując znacznie godniejsze miejsce pochówku dla porucznika Gore'a. Pogrzeb nieszczęsnego oficera miał się odbyć nazajutrz, a właściwie później tego samego dnia.

Choć teoretycznie wciąż trwała głęboka noc, było dość jasno, by odczytać kilka okolicznościowych fragmentów Biblii - oczywiście, gdyby ktoś zechciał przynieść tu Biblię, czego nikt nie uczynił - światło przydało się jednak, gdy my, dwaj lekarze, oraz dwaj marynarze wyznaczeni do pomocy wsuwaliśmy ciało Eskimosa do otworu w błękitnym lodzie, a potem wpychaliśmy je bosakami coraz głębiej, aż do czarnej wody znajdującej się głęboko w dole.

Eskimoska stała obok i przyglądała się nam, wciąż nie okazując żadnych uczuć. Wiatr z północnego zachodu podnosił jej włosy i przesuwiał po twarzy niczym skrzydło kruka.

Byliśmy jedynymi członkami konduktu pogrzebowego - doktor Stanley, dwaj zdyszani i przeklinający cicho marynarze, dziewczyna i ja - do momentu, gdy zza zasłony gnanego wiatrem śniegu wyłonił się komandor Crozier oraz wysoki, szczupły oficer, którzy przyglądali się ostatnim chwilom naszych zmagani. Wreszcie ciało Eskimosa przesunęło się przez ostatnie pięć stóp otworu i zniknęło w ciemnych odmętach, piętnaście stóp pod powierzchnią lodu.

- Sir John zabronił tej kobiecie spędzić noc na Erebusie - powiedział cicho komandor Crozier. - Przyszliśmy zabrać ją na Terror. - Potem zwrócił się do wysokiego porucznika Irvinga: - John, będziesz za nią odpowiedzialny. Znajdź jej jakieś miejsce do spania, z dala od innych, może przy izbie chorych, za skrzynkami, i dopilnuj, by nie stała jej się jakaś krzywda.

- Tak jest.

- Pan wybaczy, komandorze, ale dlaczego nie pozwolimy jej po prostu wrócić do jej plemienia? - spytałem.

Crozier uśmiechnął się.

- Winnych okolicznościach zgodziłbym się z panem, doktorze, ale w promieniu trzystu mil nie ma żadnej eskimoskiej osady, nawet najmniejszej wioski. Eskimosi to lud wędrowny, trudno mi jednak powiedzieć, co zawiodło tę dwójkę tak daleko na północ, gdzie nie ma żadnych wielorybów, morsów, karibu ani fok, żadnych zwierząt prócz niedźwiedzi polarnych i krwiożerczych potworów z lodu.

Ja również tego nie rozumiałem, nie miało to jednak większego związku z moim pytaniem.

- Być może dojdzie do takiej sytuacji - kontynuował Crozier - kiedy nasze życie zależeć będzie od dobrych stosunków z miejscowymi Eskimosami. Mamy jej pozwolić odejść, nim nawiążemy takie stosunki?

- Zastrzeliliśmy jej męża albo ojca - powiedział doktor Stanley, zerkając na młodą kobietę, która wciąż wpatrywała się wpusty otwór w lodzie. - Droga lady Ciska może nie darzyć nas szczególną sympatią.

- Otóż to. - Komandor Crozier pokiwał głową. - Mamy teraz dość innych problemów, wolelibyśmy więc zapewne, żeby ta dziewczyna nie sprowadziła na nas tłumu rozgniewanych Eskimosów, którzy poderżnęliby nam gardła we śnie. Nie, myślę, że komandor sir John ma rację... powinna zostać z nami, dopóki nie postanowimy, co zrobić... nie tylko z nią, ale i z nami samymi. - Crozier uśmiechnął się do Stanleya, co mnie nieco zaskoczyło, nie widziałem bowiem uśmiechu na jego twarzy co najmniej od dwóch lat. - Lady Ciska. Niezłe, Stanley. Bardzo dobre. Chodźmy, John. Droga pani, pani pozwoli z nami.

Ruszyli przez śnieg w stronę pierwszego wału lodowego. Ja tymczasem wróciłem na Erebusa, do mojej maleńkiej kajuty, która teraz wydawała mi się prawdziwym rajem, i do pierwszej prawdziwie przespanej nocy od czasu, gdy przed dziesięcioma dniami porucznik Gore poprowadził nas na południowy wschód.

FRANKLIN

70°05' szerokości geograficznej północnej, 98°23' długości geograficznej zachodniej. 11 czerwca 1847.

Do dnia, który miał być ostatnim dniem jego życia, sir John zdołał się już niemal całkowicie otrząsnąć z szoku, jakiego doznał, ujrawszy eskimoską wiedźmę nago. To była ta sama eskimoska kobieta, ta sama nastoletnia indiańska ladacznica, którą diabeł nasłał mu na pokuszenie podczas jego pierwszej, nieudanej ekspedycji w 1819 roku, piętnastoletnia wszetecznicza i nałożnica Roberta Hooda, nazywana Zielonymi Pończochami. Sir John był tego pewien. Ta kusicielka miała tę samą brązową jak kawa skórę, która lśniła nawet w ciemności, te same wysokie, krągłe piersi, te same brązowe otoczki sutków, a nawet ten sam wąski kruczoczarny pasek włosów łonowych. To był ten sam sukub.

Szok wywołany widokiem tej nagiej kobiety leżącej na stole doktora McDonalda w izbie chorych - na jego statku - był ogromny, sir John miał jednak nadzieję, że udało mu się ukryć swoją reakcję przed lekarzami i innymi oficerami do końca tego długiego, męczącego dnia.

Pogrzeb porucznika Gore'a odbył się w piątek, czwartego czerwca. Kilkudziesięcioosobowa grupa marynarzy potrzebowała ponad dwudziestu czterech godzin, by przebić się przez lód do otwartego morza. By tego dokonać, musieli prochem strzelniczym wysadzić dziesięć stóp twardego jak kamień lodu, a potem za pomocą kilofów i łopat przebić się przez kolejne pięć stóp. Gdy wreszcie skończyli, około południa, pan Weekes, cieśla z *Erebusa*, oraz pan Honey, cieśla z *Terroru*, zbudowali zgrabne i eleganckie rusztowanie nad mającym dziesięć stóp długości i pięć stóp szerokości otworem w lodzie. Przy otworze przez cały czas stała grupa marynarzy, którzy długimi drągami rozbijali lód tworzący się na powierzchni morza.

Ciało porucznika Gore'a zaczęło się szybko rozkładać w stosunkowo wysokiej temperaturze panującej na statku, cieśle sporządzili więc solidną trumnę z mahoniu, wyłożoną od środka warstwą pachnącego drewna cedrowego. Między dwiema warstwami drewna umieszczono jeszcze warstwę ołowiu, pełniącą tę samą funkcję co ołowiane kule, które podczas zwykłego pogrzebu morskiego wsadzano do worka z ciałem, by mieć pewność, że opadnie na dno. Pan Smith, kowal, wykuł piękną płytę pamiątkową z miedzi, którą przykręcono do wieka trumny. Ponieważ ceremonia pogrzebowa miała łączyć elementy pogrzebu na lądzie z typowym pogrzebem na morzu, sir John przykazał wyraźnie, że trumna ma być tak ciężka, by natychmiast zatonała.

Po ośmiu szklankach na początku pierwszej psiej wachty - o czwartej po południu - załogi obu okrętów zgromadziły się przy miejscu pochówku, w odległości ćwierć mili od *Erebusa*. Sir John rozkazał, by na pogrzebie stawili się wszyscy prócz marynarzy pełniących akurat wachtę i, co więcej, by nie wkładali na mundury żadnych dodatkowych ubrań. O wyznaczonym czasie na lodzie zgromadziło się więc ponad stu trzęsących się z zimna, lecz nienagannie umundurowanych oficerów i marynarzy.

Trumna porucznika została spuszczone z *Erebusa* i przymocowana do wielkich sań, wzmocnionych specjalnie na tę smutną okazję. Na trumnie leżała flaga brytyjska należąca do sir Johna. Potem trzydziestu dwóch marynarzy, dwudziestu z *Erebusa* i dwunastu z *Terroru*, powoli przeciągnęło sanie z trumną na miejsce pochówku, podczas gdy czterech najmłodszych marynarzy, teoretycznie wciąż tylko chłopców okrętowych - Goerge Chambers i David Young z *Erebusa* oraz Robert Golding i Thomas Evans z *Terroru* - wybijało powolny marszowy rytm na bębnach owiniętych czarnym płótnem. W uroczystej procesji za saniami szło dwudziestu ludzi, wśród nich

komandor sir John Franklin, komandor porucznik Fitzjames, komandor Crozier i większość pozostałych oficerów i podoficerów w pełnym umundurowaniu.

Na miejscu pochówku czekał już oddział odzianych w czerwone płaszcze żołnierzy brytyjskiej piechoty morskiej. Oddział dowodzony przez trzydziestodwuletniego sierżanta z *Erebusa*, Davida Bryanta, składał się z kaprała Pearsona, szeregowca Hopcrafta, szeregowca Pilkingtona, szeregowca Healeya i szeregowca Reeda z *Erebusa* - w oddziale żołnierzy płynących na *Erebusie* brakowało tylko szeregowego Braine'a, który umarł rok wcześniej i został pogrzebany na wyspie Beechey - oraz sierżanta Tozera, kaprała Hedgesa, szeregowca Wilkesa, szeregowca Hammonda, szeregowca Heathera i szeregowca Daly'ego z HMS *Terror*.

Tuż za trumną, z kapeluszem i szpadą Gore'a w dłoniach, szedł porucznik H.T.D. Le Vesconte, który przejął obowiązki zmarłego oficera. Obok Le Vesconte'a kroczył porucznik James W. Fairholme, niosąc w dłoniach poduszkę obleczoną niebieskim aksamitem, na którym leżało sześć medali zgromadzonych przez młodego Gore'a podczas jego kariery w Królewskiej Marynarce Wojennej.

Pochód zbliżył się do otworu w lodzie, a dwunastu żołnierzy rozstąpiło się na boki, tworząc szpaler. Marynarze stali ramię w ramię, zwróceni twarzami do środka, podczas gdy procesja złożona z ludzkiego zaprzęgu, sań z trumną, gwardii honorowej i innych żałobników przechodziła powoli między ich szeregami.

Gdy stu dziesięciu ludzi zajęło w końcu swoje miejsca wokół otworu w lodzie - niektórzy stanęli na wale lodowym, skąd roztaczał się lepszy widok - sir John poprowadził komandorów na prowizoryczne rusztowanie przy wschodniej części otworu. Powoli, bardzo ostrożnie trzydziestu dwóch ludzi z zaprzęgu odwiązało trumnę od sań i ułożyło ją na drewnianym podeście zawieszonym tuż nad prostokątem czarnej wody. Trumna spoczęła nie tylko na deskach, ale i na trzech grubych linach okrętowych podtrzymywanych przez tych samych marynarzy, którzy ciągnęli wcześniej sanie.

Umilkły żałobne bębny i wszyscy zdjęli kapelusze. Zimny wiatr podrywał długie włosy marynarzy, umyte, przyczesane i przewiązane czarną wstążką specjalnie na tę okazję. Dzień był zimny - przy ostatnim pomiarze termometr wskazywał niecałe pięć stopni - lecz arktyczne niebo, wypełnione lodowymi kryształami, wyglądało jak jednolita kopuła złotego światła. Jakby na cześć porucznika Gore'a do pojedynczego kręgu słońca, przesłoniętego kryształkami lodu, dołączyły trzy kolejne - złote kręgi unoszące się nad prawdziwym słońcem i po obu jego stronach - wszystkie połączone tęczowym pierścieniem halo. Wielu marynarzy przyglądało się temu z uznaniem dla trafnej reakcji natury.

Sir John odprawił mszę pogrzebową, przemawiając swym mocnym głosem, który docierał do wszystkich zgromadzonych na lodzie. Rytuał był wszystkim dobrze znany. Słowa niesły otuchę. Odpowiedzi automatycznie cisnęły się na usta. Pod koniec uroczystości nikt nie zwracał już uwagi na zimny wiatr.

- Powierzamy więc jego ciało tej głębi, gdzie ulegnie zepsuciu, czekając jednocześnie na dzień zmartwychwstania, kiedy morze odda ciała zmarłych, a życie zwycięży nad śmiercią przez naszego Pana Jezusa Chrystusa, który zstąpiwszy ponownie na ten świat, odmieni nasze marne ciała i uczyni je na podobieństwo ciała swego, on bowiem zdolny jest uczynić wszystko i poddać wszystko swej woli.

- Amen - odpowiedzieli jednym głosem zgromadzeni.

Dwunastu żołnierzy królewskiej piechoty morskiej podniosło muszkiety i oddało trzy salwy honorowe. Ostatnia salwa, w odróżnieniu od dwóch poprzednich, złożonych z czterech strzałów, liczyła tylko trzy strzały.

Gdy rozbrzmiała pierwsza salwa, porucznik Le Vesconte skinął głową, a Samuel Brown, John Weekes i James Ridgen wysunęli deski spod trumny, która teraz wisiała tylko na trzech linach. Na dźwięk drugiej salwy trumna została opuszczona do poziomu czarnej wody. Po trzeciej salwie marynarze zwolnili liny, a trumna opatrzona miedzianą tablicą - na wieku leżały teraz także medale Gore'a i jego szpada - zniknęła pod powierzchnią wody.

Lodowata powierzchnia morza zafalowała lekko, gdy jednak marynarze wyciągnęli z niej liny, znów upodobniła się do tafli czarnego szkła. Potrójne odbicie słońca i tęczowa aureola na południu zniknęły, a pod kopułą nieba płonęło tylko przygaszone czerwone słońce.

Ludzie rozeszli się na swoje statki. Minęły dopiero dwie szklanki pierwszej psiej wachty. Dla większości marynarzy był to czas kolacji i drugiej porcji grogu.

Nazajutrz, w sobotę piątego czerwca, obie załogi skryły się pod pokładami swych statków, gdyż pod niebem rozpętała się kolejna arktyczna burza. Obserwatorzy opuścili swe stanowiska na marsach grot-masztu, a nieliczni marynarze pełniący wachtę ustawili się z dala od wszelkich metalowych przedmiotów i masztów. Błyskawice raz po raz przeszywały gęstą mgłę, po niebie przetaczały się ogłuszające grzmoty, potężne wyładowania uderzały co chwila w piorunochrony zamocowane na masztach i dachach kajut, błękitne ogniki świętego Elma pełzały po drzewcach i olinowaniu. Wymizierowani marynarze schodzący z wachty opowiadali swym przerażonym towarzyszom o kulach błękitnego ognia toczących się po lodzie. Później - gdy wyładowania elektryczne i towarzyszące im zjawiska przybrały jeszcze na sile - marynarze pełniący psią wachtę zauważyli we mgle jakiś wielki kształt, znacznie większy od zwykłego niedźwiedzia, który ukazywał się tylko na mgnienie oka w blasku błyskawic. Mówili, że czasami szedł na czterech łapach jak niedźwiedź. Kiedy indziej, twierdzili, zaklinając się na wszystkie świętości, maszerował bez trudu na dwóch nogach jak człowiek. Tajemniczy kształt krążył, ich zdaniem, wokół statku.

Choć obniżał się słupek barometru, niedziela przywitała ich słonecznym świtem i temperaturą niższą o trzydzieści stopni - w południe temperatura wynosiła zaledwie dziewięć stopni poniżej zera - a sir John rozesłał wiadomość, że tego dnia wszyscy mają obowiązkowo uczestniczyć we mszy świętej odprawianej na Erebusie.

Uczestnictwo w cotygodniowej mszy świętej było obowiązkiem wszystkich oficerów i marynarzy służących na okręcie sir Johna - w ciemne zimowe miesiące sir John odprawiał nabożeństwo na dolnym pokładzie - lecz tylko najpobożniejsi marynarze z *Terroru* przechodzili przez lód, by się do niej przyłączyć. Ponieważ zarówno tradycja, jak i regulamin królewskiej marynarki wojennej nakazywały odprawiać co niedzielę mszę na pokładzie każdego okrętu, komandor Crozier także wypełniał ten obowiązek, jednak jako że na Terrorze nie było żadnego kapelana, nabożeństwo nigdy nie trwało zbyt długo - czasami ograniczało się tylko do czytania regulaminu Królewskiej Marynarki Wojennej - zwykle około dwudziestu minut. Nabożeństwa prowadzone przez sir Johna ciągnęły się co najmniej przez dziewięćdziesiąt minut lub nawet dwie godziny.

Tej niedzieli marynarze nie mieli żadnego wyboru. Komandor Crozier po raz drugi w ciągu trzech dni poprowadził przez lód swoich oficerów, podoficerów i marynarzy, tym razem okrytych szczelnie płaszczami i szalikami. Po przybyciu na *Erebusa* stwierdzili z zaskoczeniem, że nabożeństwo odbędzie się na górnym pokładzie, a sir John będzie nauczał z pokładu rufowego. Choć niebo było jasnoblękitne - tym razem nie mogli cieszyć się widokiem złotej kopuły lodowych kryształów ani symbolicznymi odbiciami słońca - wiatr był bardzo zimny. Marynarze zbili się w ciasną grupę na głównym pokładzie, podczas gdy oficerowie z obu statków zajęli miejsca za sir Johnem. Żołnierze piechoty morskiej, dowodzeni przez sierżanta Bryanta, ponownie stanęli w

szeregu, tym razem po zawietrznej, podczas gdy oficerowie ustawili się pod grotmasztem.

Sir John stanął przy szafce kompasowej - okrytej tą samą flagą, która leżała na trumnie Gore'a - pełniącej tym samym, zgodnie z regulaminem, funkcję ambony.

Tym razem sir John nauczał tylko przez godzinę, dzięki czemu nikt nie odmroził sobie palców.

Sir John, będący z natury i upodobania człowiekiem Starego Testamentu, przypominał słowa kilku proroków, skupiając się ostatecznie na surowych osądach Izajasza - „Oto Pan niszczy ziemię, pustoszy ją i przewraca, mieszkańców jej zaś rozprasza na wszystkie strony świata”. Wkrótce nawet najbardziej ograniczeni spośród marynarzy zgromadzonych na głównym pokładzie zrozumieli, że ich dowódca nawiązał w rzeczywistości do ich wyprawy oraz ich aktualnej, niewesołej sytuacji.

- Ziemia zostanie spustoszona i zmarnieje; tak bowiem mówi Pan - kontynuował sir John. - Groza i dół, i sidła dla ciebie, mieszkańcu ziemi... Ci zaś, którzy umkną przed krzykiem grozy, runą do dołu; ci zaś, którzy z otchłani się wydostaną, wpadną w sidła; otworzą się bowiem upusty w niebie, a podwaliny ziemi zatrzęsą... Ziemia rozpada się w gruzy, ziemia kołysze się i zatacza jak pijany...

Jakby na dowód prawdziwości tej przepowiedni, z lodu otaczającego HMS *Erebus* podniósł się głośny jęk, a pokład pod stopami marynarzy zakołysał się lekko. Oblepione lodem maszty nad ich głowami zadrżały, a ich wierzchołki zatoczyły niewielkie koła na tle błękitnego nieba. Żaden ze zgromadzonych na statku ludzi nie wydał dźwięku ani nie wyszedł z szyku.

Sir John przeszedł tymczasem od Izajasza do apokalipsy św. Jana i przedstawił im jeszcze bardziej przerażający obraz tego, co czeka bezbożników, którzy porzucili swego Pana.

- Co jednak stanie się z tym... z tymi... którzy nie złamią przymierza z Panem? - pytał sir John. - Przypomnijcie sobie proroka Jonasza.

Niektórzy marynarze odetchnęli z ulgą. Wiedzieli, kim był Jonasz.

- Bóg kazał Jonaszowi udać się do Niniwy i upomnieć ją, albowiem dotarła do niego wieść o nieprawości tego miasta! - wołał sir John donośnym głosem niczym prawdziwy natchniony kaznodzieja. - Lecz Jonasz, o czym dobrze wiecie, uciekł przed Panem i zszedł do Jafy, by tam wejść na pokład pierwszego okrętu wypływającego z portu. A był to okręt płynący do Tarszisz, miasta leżącego za krańcem świata. Jonasz łudził się, że ucieknie poza granice Królestwa Bożego. „Lecz Pan zesłał na morze wiatr, i powstał ogromny sztorm, a statkowi groziło rozbicie”. Wiecie, co stało się potem... wiecie, jak żeglarze pytali wielkim głosem, dlaczego spadło na nich to nieszczęście, wiecie, że rzucali losy, i że los padł na Jonasza. „Rzekli tedy do niego: Co mamy zrobić, by morze wokół nas się uciszyło? A on im odrzekł: weźcie mnie i wrzucie do morza, a wody jego się uciszą; ponieważ wiem, że to z mego powodu spadła na was ta wielka burza”.

Lecz marynarze nie wyrzucili od razu Jonasza za burtę, prawda? Nie - byli odważnymi ludźmi, dobrymi marynarzami i zawodowcami, wiosłowali więc z całych sił, by zawrócić tonący statek ku lądowi. W końcu jednak osłabli i wołali do Pana, a potem złożyli ofiarę z Jonasza, wrzucając go do morza. Mówi Biblia: „Pan zesłał wielką rybę, by połknęła Jonasza. I był Jonasz w brzuchu ryby przez trzy dni i trzy noce”.

Zauważcie, bracia, Biblia nie mówi, że Jonasz został połknięty przez wieloryba. Nie! To nie była białucha, waleń, kaszalot, orka ani żadna z ryb, którą moglibyśmy zobaczyć w tych wodach albo w Zatoce Baffina podczas normalnego arktycznego lata. Nie, Jonasz został połknięty przez „wielką rybę”, którą przygotował dla niego - a więc wielkiego potwora morskiego, którego Pan Bóg, Jahwe, uczynił na początku Stworzenia dla tego właśnie celu, by pewnego dnia połknęła Jonasza. W Biblii ten wielki potwór morski nazywany jest czasem Lewiatanem.

Podobnie i my zostaliśmy wysłani z naszą misją poza krańce znanego świata, dalej niż do

Tarszisz - które w rzeczywistości było w Hiszpanii - zostaliśmy wysłani do miejsca, gdzie nawet żywioły stają przeciwko nam, gdzie piorun uderza z zamarznętego nieba, gdzie zimno nigdy nie ustępuje, gdzie po powierzchni zamarznętego morza chodzą białe bestie. Zaprawdę, żaden człowiek, cywilizowany czy dziki, nie mógłby nazwać tego miejsca swym domem.

Lecz nie jesteśmy poza krańcami Królestwa Bożego, bracia! Jak Jonasz nie burzył się przeciwko swemu losowi ani nie przeklinał swej kary, lecz modlił do Boga przez trzy dni i trzy noce, tak i my nie możemy się buntować, lecz przyjąć Boże wyroki i spędzić trzy długie zimowe noce w tym lodowym brzuchu, i jak Jonasz musimy się modlić, mówiąc: „Wygnyany z dala od oczu twoich, spojrzę jeszcze kiedyś na Twój święty przybytek. Wody zewsząd mnie otoczyły, ogarnęły nawet mą duszę; głębia zamknęła się nade mną, wodorosty okoliły mą głowę. Zszedłem do posad gór; na zawsze zamknęły się za mną wrota ziemi; lecz ty wyrwałeś życie moje z otchłani, o Panie, mój Boże. Gdy dusza we mnie upadła, wspomniałem na Pana mego; a modlitwa moja doszła do Ciebie, do twego świętego przybytku. Ci, którzy czczą marność próżną, odrzucają łaskawość twoją. Lecz ja zaniósę ci ofiarę i złożę dziękczynienie; wypełnię to, co ślubowałem. Zbawienie jest u Pana. A Pan przemówił do ryby i wypłuła Jonasza na suchy ląd”.

Pamiętajcie, bracia moi, że złożyliśmy Panu ofiarę i nadal musimy ją składać z kornym dziękczynieniem. Musimy wypełnić to, co ślubowaliśmy. Nasz przyjaciel i brat w Chrystusie Panu, porucznik Graham Gore, niech spoczywa w pokoju, przekonał się, że tego lata nie zostaniemy wyzwoleni z brzucha lodowego Lewiatana. Nie uciekniemy z lodowych wnętrzności. I taką przyniósłby nam wiadomość, gdyby żył.

Lecz wciąż mamy nasze statki, bracia. Mamy jedzenie na tę zimę i na dłużej, jeśli trzeba będzie... znacznie dłużej. Mamy węgiel, który zapewni nam ciepło, mamy, ważniejsze jeszcze, ciepło naszej przyjaźni i braterstwo, oraz najważniejsze ciepło pewności, że Pan nas nie porzucił.

Jeszcze jedno lato i zima w brzuchu tego Lewiatana, a przysięgam wam, że łaskawość Boga wyprowadzi nas z tego miejsca. Przejście Północno-Zachodnie istnieje; czeka na nas zaledwie kilka mil za południowo-zachodnim horyzontem - porucznik Gore niemal widział je na własne oczy zaledwie tydzień temu. Dopłyniemy do tego przejścia i przepłyniemy je za kilka miesięcy, gdy tylko skończy się ta niezwykle długa zima, zawołamy bowiem w naszym nieszczęściu do Pana, a on usłyszy nasz głos dochodzący z dna tego piekła.

Tymczasem, bracia, nęka nas ciemny duch tego Lewiatana w postaci ogromnego niedźwiedzia. Pamiętajcie jednak, że choć służy Nieprzyjacielowi, to tylko zwierzę, bezrozumne bydlę, a gdy my niczym Jonasz zawołamy do Pana, by odsunął od nas to monstrum, Pan z pewnością wysłucha naszych prośb.

Zabijmy to zwierzę, bracia, a obiecuję, że w dniu, w którym się to dokona, i bez względu na to, z czyjej ręki, wypłacę wszystkim po dziesięć złotych suwerenów z moich funduszy.

Wśród marynarzy zgromadzonych na pokładzie podniósł się zdumiony pomruk.

- Dziesięć suwerenów na głowę - powtórzył sir John. - Nie tylko dla człowieka, który zgładzi tę bestię, tak jak Dawid zgładził Goliata, lecz dla każdego. Oprócz tego otrzymacie oczywiście należną wam wypłatę Służby Badawczej oraz premię w wysokości zapłaty, którą dostaliście jeszcze przed wypłynięciem - a to wszystko tylko za kolejną zimę, którą spędzimy głównie na jedzeniu, siedzeniu w ciepłej kajucie i czekaniu na odwilż!

Gdyby podczas mszy świętej wypadało się śmiać, marynarze wybuchnęliby śmiechem. Teraz jednak patrzyli tylko na siebie szeroko otwartymi oczami. *Dziesięć złotych suwerenów na głowę.* Do tego sir John obiecał premię w wysokości zaliczki, która dla tak wielu z nich była największą motywacją do wzięcia udziału w tej wyprawie - po dwadzieścia trzy funty dla większości! W

czasach gdy można było wynająć kwaterę za sześćdziesiąt pensów tygodniowo... czyli dwanaście funtów za cały rok. I jakby tego było mało, zwyczajowa pensja marynarza Służby Badawczej, wynosząca sześćdziesiąt funtów rocznie - ponad trzy razy więcej, niż mógłby zarobić jakikolwiek robotnik na lądzie! Siedemdziesiąt pięć funtów dla cieśli, siedemdziesiąt dla bosmanów i całe osiemdziesiąt pięć funtów dla mechaników.

Ludzie uśmiechali się radośnie, choć zarazem niektórzy z nich przytupywali ukradkowo w miejscu, by nie odmrozić sobie palców u nóg.

- Kazałem panu Diggle'owi z *Terroru* i panu Wallowi z *Erebusa* przygotować dzisiaj świąteczną kolację jako zadatek rychłego zwycięstwa nad chwilowymi trudnościami oraz niechybnego sukcesu naszej wyprawy! - wołał sir John ze swej prowizorycznej ambony. - Wszyscy otrzymacie dzisiaj dodatkowe porcje rumu.

Marynarze z *Erebusa* pootwierali usta ze zdumienia. Sir John Franklin pozwala wydawać grog w niedzielę - i to podwójną porcję?

- Módlmy się razem, bracia - mówił sir John. - Dobry Boże, zwróć ku nam swe oblicze i okaż nam łaskawość. Ulituj się nad nami, Panie, byśmy mogli chwalić Twe imię do końca dni naszych. Ześlij nam pocieszenie i połącz kres naszym utrapieniom; pozwól, byśmy znów się radowali po latach cierpienia. Ukaż swym sługom swe dzieła, a ich dzieciom chwałę Twoją.

Pozwól nam, Panie, chwalić Twój majestat, i pomnażaj dzieła rąk naszych.

Chwała Ojcu i Synowi, i Duchowi Świętemu. Jak była na początku tak teraz, i na zawsze, i na wieki wieków. Amen.

- Amen - odpowiedziało mu sto piętnaście głosów.

Przez cztery dni i cztery noce po kazaniu sir Johna, pomimo czerwcowej śnieżycy, która ograniczała widoczność i utrudniała wszystkim życie, zamrożone morze nieustannie rozbrzmiewało hukami wystrzałów. Każdy, kto znalazł tylko jakiś powód, by wyjść na lód - myśliwi, marynarze drążący w lodzie otwory przeciwpożarowe, posłańcy kursujący między statkami, cieśle testujący nowe sanie, marynarze wyprowadzający psa Neptuna na spacer - zabierał ze sobą broń i strzelał do wszystkiego, co się ruszało lub przypominało choćby w najmniejszym stopniu niedźwiedzia. Nikt nie zginął, ale trzech marynarzy trafiło do doktora McDonalda lub doktora Goodsira, którzy musieli wyciągać drobiny śrutu z ud, łydek i pośladków.

W środę grupa myśliwych, która przez kilka godzin na próżno szukała fok, przywiozła ze sobą ciało białego niedźwiedzia ułożone na dwóch, powiązanych ze sobą saniach oraz żywego niedźwiadka wielkości małego cielęcia.

Niektórzy marynarze domagali się głośno obiecanych wcześniej dziesięciu suwerenów, lecz nawet ci, którzy zabili zwierzę o milę na północ od statku - trzeba było ponad dwunastu strzałów z muskietu i trzech ze strzelby, by je położyć - musieli przyznać, że niedźwiedź jest za mały i za chudy, a w dodatku to samica. Upolowali niedźwiedzicę, zostawili jednak przy życiu jej młode, które przyciągnęli ze sobą za saniami.

Sir John zszedł ze statku, by przyrzeć się martwemu zwierzęciu, pochwalił marynarzy za zdobycie mięsa - choć nikt nie lubił gotowanego niedźwiedziego mięsa, a ta samica wyglądała na wyjątkowo chudą i żyłastą - zauważył jednak, że nie jest to ów potwór, który zabił porucznika Gore'a. Wszyscy świadkowie jego śmierci, wyjaśniał sir John, byli pewni, że dzielny oficer w ostatnim akcie bohaterstwa strzelił w pierś bestii. Ta niedźwiedzica była wręcz podziurawiona kulami, nie miała jednak w piersi żadnej starej rany ani kuli z pistoletu. Sir John twierdził także, że właśnie ta kula pozwoli im wkrótce zidentyfikować ciało prawdziwego potwora.

Niektórzy marynarze chcieli zatrzymać niedźwiadka, który był już na tyle duży, że mógł żywić się mrożoną wołowiną, a nie mlekiem matki, inni zaś proponowali, by od razu go zabić i wypatroszyć. Idąc za radą sierżanta Bryanta, sir John kazał zostawić zwierzę przy życiu i uwiązać je na łańcuchu do pala wbitego w lód. To właśnie tego wieczora, w środę dziewiątego czerwca, sierżanci Bryant i Tozer, oraz mat Edward Couch i stary John Murray, jedyny żaglomistrz biorący jeszcze udział w wyprawie, poprosili o prywatną rozmowę z sir Johnem w jego kajucie.

- Zabieramy się do tego w zły sposób, sir Johnie - rzekł sierżant Bryant, przemawiający w imieniu całej grupy. - Mam na myśli polowanie na tego potwora.

- Jak to? - zdziwił się sir John.

Bryant wskazał ręką na zewnątrz, jakby nawiązywał do zabitej niedźwiedzicy, którą marynarze patroszyli właśnie na lodzie.

- Nasi ludzie nie są myśliwymi, sir Johnie. Na żadnym statku nie ma nikogo, kto mógłby się nazwać prawdziwym myśliwym. Ci z nas, którzy czasami polują na lądzie, zabijają głównie ptaki, a nie duże zwierzęta. Poradzilibyśmy sobie pewnie z jeleniami albo karibu, gdyby tylko zechciały się tutaj pojawić, ale biały niedźwiedź to potężny przeciwnik, sir Johnie. Udało nam się zabić ich już kilka, ale tylko dlatego, że mieliśmy przy tym dużo szczęścia. Czaszka niedźwiedzia jest tak gruba, że może zatrzymać kulę z muszkietu, a warstwa tłuszczu i mięśni na jego ciele chroni go niczym zbroja rycerska. Niedźwiedzie są tak silne, nawet te mniejsze sztuki, że nie zabije ich strzał prosto w brzuch ani płuca. Trudno trafić je w serce. Żeby zabić tę chudą samicę, nasi ludzie musieli strzelić do niej tuzin razy, i to z bliska, a i tak by uciekła, gdyby nie chciała ochronić swojego młodego.

- Cóż więc proponujecie, sierżancie?

- Pułapkę, sir Johnie.

- Pułapkę?

- Tak jak byśmy polowali na kaczkę, sir Johnie - wtrącił się sierżant Tozer, żołnierz piechoty morskiej z fioletowym znamieniem na białej twarzy. - Pan Murray ma pomysł, jak ją przygotować.

Sir John odwrócił się do starego żaglomistrza z Erebitsa.

- Wykorzystamy metalowe pręty, sir Johnie - wyjaśniał Murray. - Wygniemy je odpowiednio i połączymy ze sobą. W ten sposób zbudujemy szkielet pułapki, która będzie wyglądała jak namiot, tyle że nasze namioty mają kształt piramidy, a ten będzie długi i niski, z daszkiem, trochę jak stragan na targowisku.

Sir John uśmiechnął się.

- Czy nasz niedźwiedź nie zauważy straganu ustawionego na lodzie, panowie?

- Nie, sir Johnie. - Żaglomistrz pokręcił głową. - Każę pociąć płótno i pomalować je na białą jeszcze przed nocą, czy też tym półmrokiem, który nazywamy tu nocą. Ustawimy pułapkę na tle niskiego wału lodowego, tak że trudno ją będzie odróżnić od tła. Widać będzie tylko długą i wąską szczelinę strzelniczą. Pan Weekes wykorzysta drewno z rusztowania pogrzebowego i zrobi z niego ławki, które ustawimy w środku pułapki, żeby strzelcy nie marzli na lodzie.

- Ilu strzelców będzie w tej... pułapce na niedźwiedzia? - spytał si John.

- Sześciu - odparł sierżant Bryant. - Zmasowany ogień z pewnością powali tego potwora, tak jak powalił tysiące sługusów Napoleoni pod Waterloo.

- A jeśli ten niedźwiedź będzie miał lepszy węch niż Napoleon poc Waterloo? - spytał z uśmiechem sir John.

Marynarze zachichotali, a sierżant Tozer skinął głową i odpowiedział:

- Pomyśleliśmy o tym, sir. Wiatr wieje teraz przeważnie z północnego zachodu. Jeśli ustawimy pułapkę pod tym niskim grzbietem lodowym, gdzie spoczął biedny porucznik Gore,

będziemy mieli sporo otwartej przestrzeni na północnym zachodzie. Prawie sto jardów strefy ostrzału. Całkiem prawdopodobne, że ta bestia będzie szła od strony wyższych wałów, pod wiatr. A kiedy już wejdzie nam pod lufy, nic jej nie uratuje.

Sir John zastanowił się nad tym.

- Będziemy jednak musieli odwołać wszystkich ludzi z lodu - powiedział Edward Couch. - Jeśli ciągle będzie się tam kręcić tylu marynarzy, którzy strzelają do każdego seraku i płatka śniegu, żaden szanujący się niedźwiedź nie podejdzie nawet na pięć mil do okrętu.

Sir John skinął głową.

- A co zwabi naszego niedźwiedzia w pole ostrzału? Myśleliście już o tym?

- Tak jest, sir - odrzekł sierżant Bryant, uśmiechając się szeroko. - Żaden drapieżnik nie oprze się zapachowi świeżego mięsa.

- Nie mamy świeżego mięsa - odrzekł sir John.

- To prawda - zgodził się z nim sierżant. - Ale mamy tego niedźwiadka. Kiedy już zbudujemy i ustawimy pułapkę, zabijemy go i zostawimy mięso na lodzie, jakieś dwadzieścia pięć jardów od stanowisk strzelniczych.

- Myślicie, że nasz potwór jest kanibalem? - zdziwił się sir John.

- Tak jest, sir Johnie - przytaknął sierżant Tozer. - Naszym zdaniem to stworzenie zje wszystko, co krwawi i pachnie świeżym mięsem. A kiedy już do nas przyjdzie, nafaszerujemy je ołowiem, każdy dostanie po dziesięć suwerenów, przeczekamy zimę i wrócimy triumfalnie do domu.

Sir John uśmiechnął się.

- Niech tak będzie - rzekł.

Po południu w piątek jedenastego czerwca sir John wyszedł z porucznikiem Le Vesconte'em na lód, by obejrzeć pułapkę na niedźwiedzia.

Obaj oficerowie musieli przyznać, że nawet z odległości trzydziestu stóp pułapka była praktycznie niewidoczna. Jej podłoga i tylna ściana zostały wbudowane w niski wał lodowy w miejscu, gdzie sir John wygłaszał mowę pogrzebową. Białe żagle zlewały się w jedno z ośnieżoną powierzchnią wału, a szczelinę strzelniczą przesłaniały rozwieszone w nieregularnych odstępach strzepy materiału. Żaglomistrz i rusznikarz przymocowali je jednak tak zmyślnie, że przybierający na sile wiatr w ogóle nimi nie poruszał.

Le Vesconte poprowadził sir Johna lodową ścieżką za wałem, później przez sam grzbiet i na tyły namiotu. W namiocie siedział sierżant Bryant z żołnierzami z *Erebusa* - kapralem Pearsonem oraz z szeregowcami Healeyem, Reedem, Hopcraftem i Pilkingtonem. Gdy do namiotu wszedł dowódca wyprawy, wszyscy zaczęli podnosić się z miejsc.

- Nie, nie, panowie, zostańcie na stanowiskach - wyszeptał sir John. Cieśle z obu statków umocowali deski w wysokich metalowych stojakach, dzięki czemu marynarze mogli strzelać z pozycji siedzącej, a nie stojącej. Druga warstwa desek oddzielała ich stopy od lodu. Wszyscy trzymali przed sobą gotowe do strzału muszkiety. W zatłoczonym namiocie pachniało świeżym drewnem, wilgotną wełną i olejem używanym do konserwacji broni.

- Jak długo już czekacie? - wyszeptał sir John.

- Niecałe pięć godzin - odpowiedział mu równie cicho sierżant Bryant.

- Musieliście zmarznąć.

- Wcale nie. - Bryant pokręcił głową. - Jest tu na tyle miejsca, że od czasu do czasu możemy się przejść i rozgrzać, a dzięki tym deskom stopy nie marzną nam od lodu. Po dwóch szklankach zmieniają nas żołnierze sierżanta Tozera z *Terroru*.

- Widzieliście coś? - spytał szeptem porucznik Le Vesconte. - Jeszcze nie. - Bryant pokręcił głową. Sierżant i obaj oficerowie pochylili się do przodu, do wąskiej szczeliny strzelniczej.

Sir John zobaczył ciało niedźwiadka, szokująco czerwoną plamę na tle białego śniegu. Marynarze zdarli z niego skórę, zostawiając nietkniętą tylko małą, białą głowę, wyłapali krew do wiader i rozlali ją wokół ciała.

- Wciąż nie mamy pewności, czy nasz wróg jest kanibalem - wyszeptał sir John.

- Tak jest, sir - odrzekł sierżant Bryant. - Zechciałby pan usiąść obok nas na ławce? Jest jeszcze mnóstwo miejsca.

Na ławce wcale nie było mnóstwo miejsca, szczególnie gdy do usadowionych już tam muskularnych tyłków dołączył szeroki zadek sir Johna. Jednak gdy żołnierze rozsunęli się jak najdalej na boki, a porucznik Le Vesconte nadal stał, siedmiu mężczyzn zdołało jakoś zmieścić się na jednej desce. Sir John zauważył, że i z tej pozycji ma całkiem dobry widok na lód.

Komandor sir John Franklin jeszcze nigdy nie czuł się tak dobrze w towarzystwie mężczyzn. Potrzebował wielu lat, by zrozumieć, że czuje się znacznie swobodniej w obecności kobiet - zarówno wrażliwych i nerwowych, jak jego pierwsza żona, Eleanor, jak i silnych i dominujących, jak jego obecna żona, Jane - niż mężczyzn. Jednak od czasu mszy świętej, którą odprawił w zeszłą niedzielę, spotkał się z tyloma wyrazami uznania ze strony swych oficerów i marynarzy, tyloma uśmiechami i przejawami wdzięczności, ilu nie doświadczył w całej swej czterdziestoletniej karierze.

Wiedział, że obietnica dziesięciu złotych suwerenów na głowę - nie wspominając o podwojeniu zaliczki, równej pięciomiesięcznym zarobkom marynarza - złożona w chwili nagłego przypływu dobrego samopoczucia, była czystą improwizacją. Sir John miał jednak spore zasoby finansowe, a gdyby zasoby owe ucierpiały podczas jego trzyletniej nieobecności, lady Jane z pewnością sięgnęłaby do swej prywatnej fortuny i pomogła mu spłacić ten nowy dług honorowy.

W gruncie rzeczy, rozmyślał sir John, ta oferta finansowa oraz nieoczekiwane przyzwolenie na wydanie dodatkowych porcji grogu były przebłyskami geniuszu. Podobnie jak wszyscy pozostali, sir John był ogromnie przygnębiony nagłą śmiercią Grahama Gore'a, jednego z najbardziej obiecujących młodych oficerów we flocie. Równie przygnębiająca była dla wszystkich wiadomość, że będą musieli spędzić kolejną zimę w lodzie, jednak obietnica dziesięciu suwerenów na głowę i jednodniowa uczta na obu okrętach z pewnością podniosła wszystkich na duchu i pozwoliła na chwilę zapomnieć o tym problemie.

Oczywiście pozostawał inny problem, o którym poinformowali go w zeszłym tygodniu czterej lekarze; żywność w coraz większej liczbie konserw była zepsuta, prawdopodobnie w wyniku nieszczelności puszek. Na razie jednak sir John nie zamierzał szczególnie się tym przejmować.

Wiatr gnał śnieg nad lodową pustynią, przesłaniając od czasu do czasu okrwawione ciało młodego niedźwiedzia. Nic nie poruszało się na okolicznych wałach ani między lodowymi iglicami. Ludzie po prawej stronie sir Johna siedzieli w swobodnych pozach, jeden z nich żuł tytoń, pozostali opierali okryte rękawicami dłonie na ustawionych pionowo lufach muszkietów. Sir John wiedział, że gdy tylko ich wróg pojawi się na lodzie, te rękawice zostaną zdjęte.

Uśmiechnął się do siebie, uświadomiwszy sobie, że stara się zapamiętać tę scenę, tę chwilę, by kiedyś opowiedzieć o niej Jane i swojej córce Eleanor oraz swej ślicznej krewniaczce Sophii. Robił to ostatnio coraz częściej, traktując ten przymusowy pobyt na lodzie jako serię anegdot, a nawet ubierając je w słowa - nie nazbyt wiele słów, by nie zanudzić słuchacza - by kiedyś zabawiać nimi swe drogie panie. Ten dzień - ta dziwaczna pułapka, stłoczeni w niej mężczyźni, dobre samopoczucie, zapach oleju, wełny i tytoniu, nawet ołowiane chmury zakrywające niebo oraz nuta

zdeenerwowania towarzysząca oczekiwaniu na ofiarę - z pewnością był doskonałym materiałem na opowieści, które mogły mu służyć jeszcze przez długie lata.

Nagle wzrok sir Johna powędrował na lewo, za ramię porucznika Le Vesconte, do miejsca pochówku Grahama Gore'a, odległego o jakieś dwadzieścia stóp od południowego krańca pułapki. Otwór w czarnym morzu dawno już zamarzł, a zagłębienie wyrąbane w lodzie niemal całkowicie wypełniło się śniegiem, lecz nawet widok tej niewielkiej wklęsłości obudził w sentymentalnym sercu sir Johna bolesne wspomnienia młodego Gore'a. Pomyślał jednak z dumą, że urządził mu wspaniały pogrzeb. Poprowadził go z godnością i dumą, jaka przystoi prawdziwemu oficerowi.

Sir John zauważył dwa czarne punkty leżące obok siebie w najniższym miejscu zagłębienia - jakieś ciemne kamyki? Guziki albo monety pozostawione tu przed tygodniem przez jakiegoś marynarza, który chciał w ten sposób uczcić pamięć Gore'a? Czarne punkty, ledwie widoczne w bladym zmieniającym się świetle śnieżycy, jakby wpatrywały się w sir Johna z czymś, co można by nazwać smutnym wyrzutem. Sir John zastanawiał się, czy to jakiś dziwny kaprys pogody sprawił, iż lód nie zamarzł w tych właśnie dwóch miejscach, ukazując jego oczom powierzchnię ukrytej pod spodem czarnej wody.

Czarne punkty mrugnęły.

- Ach... sierzancie... - zaczął sir John.

Zagłębienie w lodzie jakby nagle eksplodowało. Coś ogromnego, białoszarego oderwało się od podłoża i w mgnieniu oka ruszyło na pułapkę, znikając po jej południowej stronie, poza zasięgiem strzelców ukrytych w namiocie.

Żołnierze, kompletnie zaskoczeni i zdezorientowani, nie zdążyli nawet zareagować.

Jakaś potężna siła uderzyła w pułapkę o trzy stopy od Le Vesconte'a i sir Johna, łamiąc metalowy szkielet i rozdzierając płótno.

Żołnierze i sir John zerwali się na równe nogi, gdy pazury długości ostrza noża rozdarły grube żeglarskie płótno nad ich głowami, za nimi i z boku. Wszyscy zaczęli krzyczeć jednocześnie. Powietrze wypełniło się straszliwym smrodem padliny.

Sierżant Bryant podniósł muszkiet - potwór był w środku, między nimi, otaczał ich swymi ogromnymi ramionami - nim jednak wypalił, uderzył weń potężny podmuch powietrza przesycony smrodem wydobywającym się z paszczy drapieżnika. Głowa sierżanta oderwała się od jego ramion, wyleciała przez otwór strzelniczy i potoczyła po lodzie.

Le Vesconte krzyknął przeraźliwie, ktoś wypalił z muszkietu, kula trafiła jednak tylko stojącego obok żołnierza. Płócienny dach pułapki zniknął, a jego miejsce zajęło ogromne cielsko potwora. Sir John obrócił się na pięcie i poderwał do ucieczki, jednak w tej samej chwili straszliwy ból przeniknął jego nogi tuż pod kolanami.

Potem wszystko stało się dziwnie rozmazane i nierzeczywiste. Sir John zawisł głową do dołu, patrzył, jak jego ludzie rozsypują się po lodzie niczym kręgle, wyrzuceni ze zniszczonej pułapki. Wypalił kolejny muszkiet, stało się to jednak w chwili, gdy któryś z żołnierzy rzucił broń na lód i zaczął uciekać na czworakach. Sir John widział to wszystko do góry nogami, kołyszając się na boki, niczym wahadło zegara. Nagle jego nogi znów przeszył paroksyzm paraliżującego bólu, potem usłyszał dźwięk przypominający trzask łamanych gałęzi i poleciał do przodu, prosto do otworu pogrzebowego, gdzie widniał już nowy krąg czerni. Jego głowa przebiła cienką warstwę lodu niczym piłka do krykieta szybę.

Dojmujący chłód wody zatrzymał na moment serce sir Johna pompujące krew w szalonym tempie. Chciał krzyknąć, wciągnął jednak tylko haust słonej wody.

Jestem w morzu. Po raz pierwszy w życiu jestem naprawdę w morzu. To niezwykle.

Potem zaczął gwałtownie wymachiwać rękami, obracał się w miejscu, czuł, jak odrywają się od niego kawałki rozerwanego płaszcza. Stracił zupełnie czucie w nogach, jakby w ich miejscu ziała teraz lodowa pustka. Próbował wiosłować rękami, ale w otaczających go ciemnościach nie potrafił określić, czy zmierza w kierunku powierzchni, czy też zanurza się jeszcze głębiej w czarną wodę.

Topię się, Jane, topię się. Wiele razy zastanawiałem się, jak umrę, ale nigdy, moja droga, nie przypuszczałem, że spotka mnie coś podobnego.

Głowa sir Johna uderzyła w coś twardego, omal nie pozbawiając go przytomności, zmuszając ponownie do zanurkowania w morzu i znów wypełniając jego płuca i usta słoną wodą.

A potem, moje drogie, Opatrzność zaprowadziła mnie do powierzchni - a przynajmniej do cienkiej warstwy powietrza między morzem i grubą na piętnaście stóp warstwą lodu.

Wymachując zamasyżuje rękami - wciąż nie mógł zmusić do ruchu pozbawionych czucia nóg - sir John obrócił się na plecy i sięgnął dłońmi do lodu. Uspokoiwszy rozszalałe serce, wysunął twarz nad wodę, by jego nos znalazł choć odrobinę powietrza między warstwą lodu i wody. Oddychał. Uniósł nieco podbródek, wypłuł morską wodę i zaczął oddychać ustami.

Dzięki ci, dobry Jezu...

Walcząc z irracjonalnym odruchem, który kazał mu krzyczeć z przerażenia, sir John zaczął przesuwac się wzdłuż powierzchni lodu, jakby wspinał się na ścianę. Po tej stronie warstwa lodu była nierówna, czasami sięgała głęboko w wodę, nie dając mu miejsca na oddech, czasami podnosiła się o kilka cali, pozwalając mu wynurzyć niemal całą głowę.

Choć od blasku dnia dzieliło go piętnaście stóp lodu, docierało doń blade światło - niebieskie światło, światło Pana - które odbijało się w lodowych fasetach tuż przed jego oczami. Światło to musiało wpadać przez otwór - otwór pogrzebowy Gore'a - do którego przed chwilą został wrzucony.

Jedyne, co musiałem zrobić, drogie panie, droga Jane, to zmieść drogę powrotną do tego niewielkiego otworu w lodzie - zorientować się, gdzie jestem, że tak powiem - wiedziałem jednak, że zostały mi tylko minuty...

Nie minuty, sekundy. Sir John czuł, jak lodowata woda wysysa zeń życie. Wciąż też czuł absolutną niemoc, pustkę, w miejscu, gdzie powinny znajdować się jego nogi. A otaczająca go woda miała smak krwi.

I wtedy, drogie panie, Bóg Wszechmogący pokazał mi światło...

Na lewo. Otwór w lodzie znajdował się jakieś dziesięć jardów dalej, na lewo. Lód wznosił się na tyle wysoko nad powierzchnią wody, że sir John mógł wysunąć z niej głowę, wypłuć wodę z ust i spojrzeć na światło Pana odległe o niecałe dziesięć jardów...

Coś ogromnego i mokrego wyrosło nagle pomiędzy nim i otworem. Ogarnęły go całkowite ciemności. Wąska warstwa powietrza wypełniła się nieznośnym smrodem padliny.

- Proszę... - zaczął sir John, plując i krztusząc się. Owionął go wilgotny smród, ogromne zęby zamknęły się na jego twarzy, miażdżąc czaszkę tuż przed uszami, po obu stronach głowy.

CROZIER

70°05' szerokości geograficznej północnej, 98°23' długości geograficznej zachodniej. 10 listopada 1847.

Wybrzmiało pięć szklanek, 2.30 w nocy, komandor Crozier wrócił z *Erebusa*, obejrzał zwłoki - a właściwie połówki zwłok - Williama Stronga i Thomasa Evansa, leżące wciąż w miejscu, gdzie zostawił je potwór z lodu, dopilnował, by przeniesiono je do Kajuty Zmarłych i wreszcie wrócił do siebie. Przez dłuższy czas siedział nieruchomo za biurkiem, przyglądając się ułożonym na nim przedmiotom - nienapoczętej butelce whisky i pistoletowi.

Prawie połowę kajuty Croziera zajmowała koja przymocowana do prawej burty statku. Koja przypominała nieco dziecięce łóżeczko - miała wysokie, rzeźbione boki, wbudowane poniżej szafki i wielki materac z końskiego włosia. Crozier nigdy nie spał dobrze na prawdziwych łóżkach i często tęsknił za rozkołysanymi hamakami, w których spędził tyle lat jako aspirant i młodszy oficer i jeszcze wcześniej, gdy był tylko chłopcem okrętowym. Ta koja, przylegająca bezpośrednio do poszycia kadłuba, była jednym z najzimniejszych legowisk na całym statku - zimniejszym niż koje podoficerów, którzy zajmowali kajuty na środku niższego pokładu i znacznie zimniejszym niż hamaki marynarzy, rozciągnięte wokół pieca Frazera, na którym pan Diggle pichcił coś niemal przez całą dobę.

Książki ustawione na półkach ciągnących się wzdłuż krzywizny kadłuba ocieplały nieco kajutę Croziera, nie była to jednak szczególnie skuteczna izolacja. Więcej książek stało na półce zawieszanej pod sufitem, trzy stopy nad rozkładanym biurkiem łączącym koję Croziera ze ścianką korytarza. Nad biurkiem błyszczał czarny krąg iluminatora wykonanego z grubego wypukłego szkła, które przykrywała teraz warstwa śniegu i brezentowa płachta. Zimne powietrze bezustannie przenikało przez iluminator niczym lodowate wyziewy czegoś, co dawno już umarło, a nadal próbuje oddychać.

Naprzeciwno biurka Croziera znajdowała się wąska półka podtrzymująca miednicę. Crozier nie trzymał w niej wody, bo i tak zamarzłaby po kilku minutach; jego steward, Jopson, przynosił mu co rano wodę ogrzaną na piecu. Między półką a biurkiem zostawało tylko tyle wolnej przestrzeni, by Crozier mógł stanąć lub - tak jak teraz - usiąść na pozbawionym oparcia stołku.

Crozier wciąż wpatrywał się w pistolet i butelkę whisky. Komandor HMS *Terror* często myślał o tym, że nie wie, co przyniesie mu przyszłość - prócz tego, że ani jego statek, ani *Erebus* nigdy już nie będą pływać - teraz jednak przypominał sobie coś jeszcze: wiedział z całą pewnością, że gdy skończy się zapas whisky, Francis Rawdon Moira Crozier strzeli sobie w łeb.

Zmarły sir John Franklin umieścił w swoim prywatnym magazynku cenne naczynia z porcelany - ozdobione oczywiście inicjałami sir Johna i jego rodzinnym herbem - kryształ, srebra, beczki z wędzoną szynką z Westfalii, wieże serów z Gloucestershire, worki herbaty sprowadzonej specjalnie z plantacji krewnego w Dardżyling i słoje ze swym ulubionym dżemem malinowym.

Crozier także zaopatrzył się w wiktuały przeznaczone na uroczyste kolacje, którymi musiał od czasu do czasu podejmować swych oficerów, jednak większość miejsca w spiżarni zajęły trzysta dwadzieścia cztery butelki whisky. Nie była to najlepsza szkocka whisky, ale Crozier nie wybrzydzał. Wiedział, że dawno już doszedł do punktu, w którym ilość dostępnego alkoholu ma większe znaczenie niż jego jakość. Podczas tej wyprawy zdarzały się sytuacje, szczególnie latem, gdy był bardzo zajęty, wówczas jedna butelka wystarczała mu na dwa tygodnie albo i dłużej. Kiedy indziej znów - jak w tym tygodniu - wypijał jedną butelkę dziennie. Prawdę mówiąc, przestał już

liczyć puste butelki, kiedy minionego roku doszedł do dwustu, wiedział jednak, że wkrótce jego zapasy się wyczerpią. Nocą, kiedy osuszy ostatnią butelkę, a jego steward powie mu, że nie ma już więcej - Crozier wiedział, że będzie to noc - odbezpieczy pistolet, przystawi lufę do głowy i pociągnie za spust.

Wiedział, że bardziej praktyczny człowiek przypomniałby sobie wtedy, że w magazynie rumu pod pokładem znajduje się jeszcze spora część z liczącego cztery tysiące pięćset galonów - galonów! - zapasu stężonego zachodnioindyjskiego rumu, o mocy od 65 do 70 procent. Każdy marynarz otrzymywał codziennie ćwierć pinta rumu zmieszanego z trzema ćwierciami wody, w magazynie zostało więc jeszcze tyle rumu, że Crozier mógłby w nim dosłownie pływać. Mniej wybredny i bardziej zachłanny pijak mógłby wykorzystać ten zapas. Ale Francis Crozier nie lubił rumu. Nigdy. Pił whisky i wiedział, że gdy jej zapas się skończy, on skończy ze sobą.

Widok uciętego w pasie ciała młodego Tommy'ego Evansa, odzianych w spodnie nóg i stóp wciąż tkwiących w zasznurowanych mocno butach, przywiódł Crozierowi na myśl dzień, w którym został wezwany do zniszczonej pułapki na niedźwiedzia, położonej o ćwierć mili od *Erebusa*. W tym momencie uświadomił sobie, że za niecałe dwadzieścia cztery godziny minie równo pięć miesięcy od tamtych pamiętnych wydarzeń. Początkowo Crozier i inni oficerowie, którzy przybiegli do pułapki, nie mogli zrozumieć, co się właściwie stało. Płócienne poszycie zostało rozerwane na kawałki, żelazne pręty szkieletu powyginane. Pośród resztek połamanej ławki leżało bezgłowe ciało sierżanta Bryanta, dowódcy oddziału piechoty morskiej, który brał udział w wyprawie. Jego głowa - do czasu przybycia Croziera jeszcze jej nie odnaleziono - poleciała niemal trzydzieści jardów dalej i zatrzymała się przy odartym ze skóry ciele niedźwiadka.

Porucznik Le Vesconte miał złamaną rękę - jak się okazało, doznał tego urazu, upadając na lód, a nie w wyniku uderzenia potwora - a szeregowy William Pilkington został postrzelony w rękę przez stojącego obok niego szeregowca Roberta Hopcrafta. Hopcraft miał złamany obojczyk i osiem żeber oraz wywichnięte ramię - jak sam później powiedział, potwór tylko „pacnął” go swoją ogromną łapą. Szeregowi Healey i Reed nie odnieśli poważniejszych obrażeń, okryli się jednak hańbą, uciekając przed potworem na czworakach i krzycząc przy tym wniebogłosy. Reed podczas ucieczki złamał sobie trzy palce u ręki.

Jednak tym, co przyciągnęło uwagę Francisza Croziera, były dwie nogi sir Johna Franklina, ucięte tuż pod kolanami i rozrzucone w różnych miejscach - jedna z nich leżała w pobliżu pułapki, druga obok otworu pogrzebowego. Na obu wciąż tkwiły nogawki spodni i nietknięte zasznurowane buty.

Jakaż złowroga inteligencja, zastanawiał się, popijając whisky, ucina człowiekowi nogi, a potem niesie żywą jeszcze ofiarę do dziury w lodzie i wrzuca ją tam, by potem znów za nią popłynąć? Crozier starał się nie myśleć, co wydarzyło się potem pod lodem, choć kiedy czasami próbował zasnąć po kilku głębszych, przerażające obrazy same nasuwały mu się przed oczy. Był też całkowicie pewien, że pogrzeb porucznika Gore'a, który odbył się dokładnie tydzień przed tamtą masakrą, nie był niczym innym, jak tylko wystawnym przyjęciem dla potwora, który przyglądał się wszystkiemu spod lodu.

Śmierć Grahama Gore'a nie była dla Croziera wielkim wstrząsem. Gore był typowym przykładem dobrze wychowanego, wykształconego oficera Królewskiej Marynarki Wojennej, anglikanina i bohatera narodowego, człowieka, który ma dowodzenie we krwi, doskonale dogaduje się z przełożonymi i podwładnymi, jest skromny, lecz przeznaczony do wielkich czynów, ma opinię doskonale ułożonego Brytyjczyka, który traktuje z uprzejmością nawet Irlandczyków - słowem jest jednym z tych pieprzonych arystokratów, którzy bez trudu pną się po szczeblach kariery, podczas gdy

Francis Crozier musi czekać na swoją kolej jak pies pod drzwiami.

Crozier pociągnął kolejny łyk.

Jaka złowroga inteligencja zabija, lecz nie zjada całej ofiary podczas tak surowej zimy i oddaje górną część tułowia Williama Stronga i dolną część Toma Evansa? Evans był jednym z chłopców okrętowych, którzy pięć miesięcy wcześniej grali na bębnach podczas pogrzebu Gore'a. Jakie stworzenie porywa w ciemnościach tego młodzieńca spod boku Croziera, a jego samego zostawia w spokoju... a potem oddaje połówkę trupa?

Marynarze wiedzieli. Crozier znał ich opinię. Marynarze wiedzieli, że na lodzie grasuje diabeł, a nie jakiś przerośnięty niedźwiedź.

Komandor Francis Crozier wcale nie lekcewał ich zdania - choć nie mógł przyznać się do tego podczas rozmowy z komandorem porucznikiem Fitzjamesem - wiedział jednak coś, z czego marynarze nie zdawali sobie jeszcze sprawy; że Diabeł, który próbował ich zabić w tym białym Królestwie Diabła, miał nie tylko postać porośniętego futrem drapieżnika, lecz był wszystkim, co ich otaczało - nieustępliwym zimnem, wszechobecnym lodem, burzami, brakiem jakiegokolwiek zwierzyny, która mogłaby służyć im za pożywienie, górami lodowymi, które wędrowały przez zamrożone morze, nie zostawiając za sobą nawet skrawka otwartej wody, wałami lodowymi wyrastającymi z powierzchni paku, tańczącymi gwiazdami, zepsutym i śmierdzącym jedzeniem w puszkach, latem, które nie nadeszło po wiośnie - wszystkim. Potwór z lodu był tylko jednym z wcieleń Diabła, który chciał ich śmierci. I chciał ich cierpienia. Crozier znów przystawił szklaneczkę do ust.

Starożytni Grecy mieli rację, rozmyślał, kiedy twierdzili, że na ziemi istnieje pięć pasów klimatycznych - cztery z nich równe, przeciwległe i symetryczne, jak wiele innych greckich rzeczy i pojęć - owiniętych wokół świata niczym paski na wężu. Dwie spośród tych stref były umiarkowane i stworzone dla ludzi. Środkowy pas, obszar równikowy, nie nadawał się do życia dla istot obdarzonych inteligencją. Jak się okazało, Grecy byli w błędzie, sądząc, że ludzie nie mogą tam żyć - mogą, tyle że nie cywilizowani, rozmyślał Crozier, który miał już okazję zobaczyć Afrykę i obszary równikowe (uznał wtedy, że nie ma tam nic, z czego reszta ludzkości mogłaby skorzystać). Dwa obszary polarne, dowodzili Grecy bardzo dawno, nim pierwsi badacze dotarli do regionów arktycznych i antarktycznych, były jeszcze gorsze od obszarów równikowych - człowiek nie mógł tam żyć ani nawet tamtędy podróżować.

Dlaczego więc, zastanawiał się Crozier, naród taki jak Anglicy, który dzięki bożej łaskawości osiadł w jednym z najbardziej przyjaznych człowiekowi miejsc na ziemi, wciąż wysyła statki i ludzi na lód biegunów, gdzie nie zapuszczają się nawet barbarzyńcy odziani w futra?

I, co bardziej istotne, dlaczego niejaki Francis Crozier powraca raz po raz do tych straszliwych miejsc, służąc narodowi i oficerom, którzy nigdy nie docenili jego wartości jako człowieka i marynarza? Dlaczego to robi, wiedząc w głębi serca, że kiedyś umrze w arktycznej ciemności i chłodzie?

Komandor przypominał sobie, że już jako mały chłopiec - nim w wieku trzynastu lat został marynarzem - nosił w sobie głęboką melancholię niczym jakiś zimny sekret. Owa melancholijna natura przejawiała się w różnych sytuacjach, w których odczuwał dziwną, niemal perwersyjną przyjemność - gdy w zimową noc stał na wzgórzach okalających wioskę i patrzył, jak w oknach gasną światła, gdy chował się w mrocznych zakamarkach, które wyszukiwał z zapalem godnym lepszej sprawy, i gdy przesiadywał w ciemnej piwnicy - choć jednocześnie panicznie bał się ciemności, widząc w niej wcielenie śmierci, która tak niespodziewanie zabrała mu matkę i babkę - podczas gdy jego koledzy bawili się w blasku słońca. Crozier pamiętał dobrze tę piwnicę - grobowy chłód,

zapach pleśni i mroczną pustką, która zostawiała człowieka sam na sam z jego ciemnymi myślami.

Napełnił pustą szklaneczkę i upił kolejny łyk. Nagle łód zajęczał głośniejsze, a okręt odpowiedział mu równie głośnym skrzypieniem, próbując bezskutecznie obrócić się w zamrzniętym morzu. Ściśnięty przez lodowe okowy jęknął tylko żałością. Metalowe obejmy w ładowni skurczyły się z głośnym trzaskiem, przypominającym strzał z pistoletu.

Marynarze i oficerowie spali jednak smacznie, przyzwyczajeni do tego rodzaju hałasów. Marynarz stojący na wachcie, w temperaturze siedemdziesięciu stopni poniżej zera, przytupnął kilkakrotnie, by rozgrzać zmarzniete stopy. Cztery głośne tupnięcia brzmiały w uszach Croziera jak napomnienie znużonego rodzica, który każe się statkowi uciszyć.

Trudno mu było uwierzyć, że Sophia Cracroft odwiedziła ten statek, stała w tej kajucie i zachwycała się jej czystością, przytulnością, ogromną liczbą książek i blaskiem słońca wpadającym przez iluminator.

Działo się to na południowej półkuli niemal dokładnie siedem lat wcześniej, w wiosennym miesiącu listopadzie 1840 roku, kiedy Crozier przyплыł do Ziemi van Diemena, na południe od Australii, tymi właśnie okrętami - *Erebus* i *Terror* - by zatrzymać się tam w drodze na Antarktydę. Wyprawą dowodził przyjaciel Croziera i jednocześnie jego przełożony, komandor James Ross. Zawinęli do Hobart Town, by uzupełnić zapasy przed wypłynięciem na wody antarktyczne, a gubernator tej karnej wyspy, sir John Franklin, nalegał, by dwaj młodzi oficerowie

- komandor Ross i komandor porucznik Crozier - zatrzymali się na czas wizyty w jego domu.

Dla Croziera pobyt ten okazał się niezwykle szczęśliwy, choć zarazem zgubny w skutkach.

Inspekcja okrętów została przeprowadzona drugiego dnia wizyty - statki były czyste, sprawne i niemal w pełni zaopatrzone, a ich załoga jeszcze czysta i ogolona - i podczas gdy komandor Ross zabawiał osobiście gubernatora sir Johna i lady Jane Franklin, Crozier dotrzymywał towarzystwa krewniaczce gubernatora, ciemnowłosej i jasnookiej Sophii Cracroft. Tego dnia Crozier się zakochał i poniósł ze sobą to kielkujące uczucie w ciemność dwóch południowych zim, gdzie rozkwitło w pełni, zamieniając się po jakimś czasie w obsesję.

Długie kolacje w domu gubernatora wypełnione były ożywioną konwersacją. Gubernator Franklin był mężczyzną w wieku około pięćdziesięciu pięciu lat, znużonym i przygnębionym brakiem uznania dla jego dokonań oraz oporem, jaki napotykał ze strony miejscowej prasy, bogatych właścicieli ziemskich i biurokratów podczas trzeciego roku jego rządów na Ziemi van Diemena, lecz zarówno on, jak i jego żona, lady Jane, wyraźnie się ożywili podczas wizyty swych rodaków ze Służby Badawczej i, jak zwracał się do nich sir John, „kolegów podróżników”.

Sophia Cracroft natomiast nigdy nie wyglądała na niezadowoloną. Była dowcipna, radosna, pełna życia, czasami wręcz szokująca w swych komentarzach i bezpośredniości - nawet bardziej niż jej kontrowersyjna ciotka, lady Jane - a do tego młoda, piękna i zainteresowana wszelkimi aspektami życia, opiniami i przemyśleniami czterdziestoczteroletniego kawalera komandora porucznika Francisa Croziera. Śmiała się ze wszystkich, początkowo bardzo niewinnych, żartów Croziera - Irlandczyk nie miał zbyt często okazji przebywać w tak wyszukanym towarzystwie, starał się więc nienagannie zachowywać, pił mniej niż zwykle i to tylko wino - i zawsze odpowiadała na jego bon moty jeszcze celniejszą i dowcipniejszą uwagą. Dla Croziera było to jak gra w tenisa ze znacznie lepszym przeciwnikiem, od którego nieustannie się uczył. Ósmego, ostatniego dnia ich wizyty czuł się równy każdemu angielskiemu dżentelmenowi - owszem, urodził się w Irlandii, ale sam doszedł do wszystkiego i prowadził interesujące, ekscytujące życie - i lepszy od większości mężczyzn, przynajmniej zdaniem panny Cracroft.

Kiedy *Erebus* i *Terror* opuszczały przystań w Hobart Town, Crozier wciąż zwracał się do

Sophii per „panno Cracroft”, wiedział jednak z pewnością, że coś ich łączy; świadczyły o tym ukradkowe spojrzenia, ciepłe uśmiechy i chwile spędzone we dwoje. Crozier wiedział, że po raz pierwszy w życiu się zakochał. Jego „miłosne przygody” ograniczały się do tej pory do spotkań z portowymi nierządnicami, prostytutkami z ciemnych uliczek, dzikuskami, które robiły to za garść świecidełek, i kilku przepłaconych nocy spędzonych w londyńskich burdelach dla dżentelmenów. Wszystko to należało już do przeszłości.

Francis Crozier rozumiał teraz, że najbardziej ekscytującym i erotycznym ubraniem, jakie mogła nosić kobieta, były skromne, okrywające całe ciało suknie, wkładane przez Sophię Cracroft do kolacji; tkanina zakrywająca kształty jej ciała i pozwalająca mężczyźnie skoncentrować się na cudownej giętkości jej umysłu.

Potem nadeszły niemal dwa lata spędzone na lodzie, odległe widoki Antarktydy, smród kolonii pingwinów, dwa dymiące wulkany nazwane od nazw ich statków, ciemność, wiosna, groźba kolejnej zimy w lodzie, długa droga przez morze noszące teraz imię Jamesa Rossa, wreszcie żegluga przez Morze Południowe i powrót do Hobart Town, do wyspy osiemnastu tysięcy więźniów i jednego bardzo nieszczęśliwego gubernatora. Tym razem nikt nie przeprowadzał inspekcji *Erebusa* i *Terroru*; oba statki zbyt mocno śmierdziały smarem, potem i zmęczeniem. Chłopcy, którzy wypłynęli na południe, zamienili się w brodatych mężczyzn o zapadniętych oczach, którzy nigdy już nie zamierzali wziąć udziału w ekspedycji Służby Badawczej. Wszyscy prócz komandora HMS *Terror* marzyli o powrocie do Anglii.

Francis Crozier marzył tylko o tym, by znów zobaczyć Sophię Cracroft.

Pociągnął kolejny łyk whisky. Nad jego głową rozległ się przytłumiony brzęk trzech szklanek. Trzecia w nocy.

Marynarze szczerze żalowali sir Johna - głównie dlatego, że wraz z tym łysym grubasem umarła nadzieja na dodatkowe dziesięć suwerenów i podwojenie zaliczki - jednak w gruncie rzeczy niewiele się zmieniło po jego śmierci. Komandor porucznik Fitzjames został oficjalnie dowódcą *Erebusa*, którym w rzeczywistości zawsze był. Porucznik Le Vesconte zajął w hierarchii dowodzenia miejsce Grahama Gore’a, a komandor Francis Crozier został dowódcą ekspedycji, choć w sytuacji, gdy oba statki tkwiły w lodzie, nie mógł zrobić zbyt wiele ponad to, co do tej pory robił Franklin.

Jedną z owych niewielu rzeczy, do których zabrał się niemal natychmiast po wydarzeniach z 11 czerwca, było przewiezienie ponad pięciu ton zapasów do miejsca położonego w pobliżu kopca Rossa na Ziemi Króla Williama. Teraz byli już całkiem pewni, że w rzeczywistości jest to wyspa, ponieważ Crozier wysłał kilka grup zwiadowczych, które miały zbadać ten obszar. Sam brał udział w kilku spośród tych pierwszych wypraw, pomagając swym ludziom przedostać się przez wały lodowe i ścianę lodowych gór blokujących dostęp do wyspy. Przewieźli na stały ląd ubrania, namioty, deski, z których w razie potrzeby mogli zbudować chaty, beczki z suszonym jedzeniem, konserwy i piorunochrony - nawet mosiężne pręty z łóżka sir Johna, które miały pełnić funkcję odgromników - oraz wszelkie inne rzeczy, których obie załogi potrzebowałyby do życia, gdyby musiały porzucić zimą swe okręty.

Przed nadejściem zimy potwór z lodu zabił czterech ludzi - dwóch w namiocie podczas jednej z wypraw na ląd - lecz tym, co w połowie sierpnia przerwało transport materiałów, były gwałtowne burze z piorunami i gęsta mgła. Przez trzy tygodnie statki tkwiły we mgle, atakowane raz po raz kanonadą piorunów, ludzie wychodzili więc na lód tylko w razie potrzeby - by wydrążyć otwór przeciwpożarowy w lodzie lub zapolować na niedźwiedzia. Gdy wreszcie mgła i burze ustąpiły, zaczął się już wrzesień, a wraz z nim zima, mróz i śnieg.

Pomimo niesprzyjającej pogody Crozier znów zaczął wysyłać na Ziemię Króla Williama

transporty z zapasami, kiedy jednak drugi nawigator Giles MacBean i towarzyszący mu marynarz zostali zabici w odległości zaledwie kilku jardów od trzech sań - w gęstej zamieci śnieżnej nikt nie widział ich śmierci, jednak wszyscy pozostali, łącznie z porucznikiem Hodgsonem, aż nazbyt wyraźnie słyszeli ich przedśmiertne krzyki - Crozier „czasowo” zawiesił wyprawy na ląd. Zawieszenie trwało już od dwóch miesięcy, a po pierwszym listopada żaden zdrowy na umyśle załogant nie chciał brać udziału w trwającej co najmniej osiem dni podróży w ciemnościach.

Komandor Crozier wiedział, że powinien zgromadzić na lądzie co najmniej dziesięć ton zapasów, a nie pięć, które udało mu się tam przewieźć. Problem tkwił jednak w tym - o czym przekonał się osobiście pewnej nocy, kiedy potwór rozdarł sąsiedni namiot i porwałby George'a Kinnairda i Johna Batesa, gdyby ci w porę nie uciekli - że obóz rozbity na płaskim, smaganym wiatrem lądzie nie zapewniał im żadnej ochrony. Pokłady i burty statków pełniły funkcję murów obronnych, a same statki - fortece. Przebywając na otwartym lądzie, w namiotach, choćby rozbitych jeden obok drugiego, musieliby dniem i nocą rozstawiać co najmniej dwudziestu uzbrojonych strażników, a i tak nie mieliby pewności, czy bestia ich nie przechytry. Wiedział o tym dobrze każdy, kto brał udział w jednej z wypraw na Ziemię Króla Williama. W miarę jak wydłużały się arktyczne noce, rósł także w ludziach strach przed nienazwanym monstrum z lodu - żaden z marynarzy nie dałby się namówić na spanie w namiocie, z dala od bezpiecznej osłony statku. Crozier znów upił łyk whisky.

Był kwiecień 1843 roku - wczesna jesień na półkuli południowej, dni jednak nadal były długie i ciepłe - kiedy *Erebus* i *Terror* wróciły do Ziemi van Diemena.

Ross i Crozier znów byli gośćmi w domu gubernatora - nazywanego przez starych mieszkańców Hobart Town Domem Rządu - tym razem jednak nawet ich wizyta nie mogła przywrócić małżeństwu Franklinów dobrego humoru. Crozier gotów był nie zwracać na to uwagi, szczęśliwy, że znów widzi Sopię Cracroft, lecz nawet ona wydawała się nieco przybita wydarzeniami, które zaszły w Hobart podczas dwuletniej podróży *Terroru* i *Erebusa*. Już po pierwszych dwóch dniach pobytu w domu gubernatora Crozier usłyszał dość dużo, by zrozumieć powody depresji Franklinów.

Wyglądało na to, że miejscowi właściciele ziemscy, których interesów bronił dwulicowy i podstępny sekretarz kolonii, niejaki komandor John Montagu, uznali już na samym początku sześciolatek kadencji gubernatora sir Johna, że ani on, ani jego żona, szczerza i ekscentryczna lady Jane, nie powinni zarządzać wyspą. Sir John twierdził podczas rozmowy z komandorem Rossem, gdy wszyscy trzej siedzieli w jego gabinecie, paląc cygara i popijając brandy, że miejscowi mieszkańcy „nie potrafią nawiązywać dobruśsiedzkich stosunków i zbyt rzadko biorą w swych poczynaniach pod uwagę dobro publiczne”.

Od Sopi Crozier dowiedział się, że mieszkańcy wyspy nie nazywali już sir Johna „człowiekiem, który zjadł swoje buty” ani, jak sam lubił o sobie mówić, „człowiekiem, który nie skrzywdziłby muchy”, lecz „człowiekiem w halce”. Ta ostatnia kalumnia, zapewniała Croziera Sophia, wzięła się z niechęci kolonistów do lady Jane oraz do poczynañ państwa Franklinów, zmierzających do poprawy sytuacji tubylców i więźniów, którzy pracowali na wyspie w straszliwych warunkach.

- Poprzedni gubernatorzy po prostu wypożyczali więźniów miejscowym plantatorom oraz przedsiębiorcom z miasta, którzy dzięki tej taniej sile roboczej mogli realizować swe szalone projekty, dostawali od nich sówitą zapłatę i trzymali język za zębami - tłumaczyła Sophia Cracroft, gdy przechadzali się razem po ogrodach domu gubernatora. - Wuj John nie chciał brać udziału w tym procederze.

- Szalone projekty? - powtórzył Crozier, starając się nie myśleć bez ustanku o dłoni Sophii spoczywającej na jego ramieniu ani nie patrzeć zbyt otwarcie w jej twarz ukrytą w przedwieczornym półmroku.

- Jeśli zarządca plantacji chce zbudować nową drogę na swoim terenie - mówiła Sophia półszeptem - gubernator ma mu pożyczyć sześciuset lub nawet tysiąc przymierających głodem więźniów, którzy pracują w tym tropikalnym upale od świtu do nocy, z łańcuchami na rękach i nogach, bez jedzenia i picia. Jeśli któryś z nich upadnie lub choćby na moment przerwie pracę, karany jest chłostą.

- Dobry Boże. - Crozier westchnął.

Sophia skinęła głową, nie odrywając wzroku od białych kamieni ciągnących się wzdłuż ogrodowej ścieżki.

- Sekretarz kolonii, Montagu, postanowił, że więźniowie wykopią kopalnię odkrywkową, choć na wyspie nie znaleziono do tej pory złota. Nim zarzucił ten projekt, kopalnia miała czterysta stóp głębokości - oczywiście bez ustanku zalewały ją wody gruntowe - a podobno każda kolejna stopa tego przeklętego dołu kosztowała życie dwóch lub trzech więźniów.

Crozier powstrzymał się przed powtórzeniem „Dobry Boże”, choć prawdę mówiąc, nic innego nie przychodziło mu do głowy.

- Rok po waszym wypłynięciu - kontynuowała Sophia - Montagu, ten łajdak, ta żmija, namówił wuja Johna, by zwolnił miejscowego lekarza, człowieka cieszącego się wśród uczciwych mieszkańców wyspy ogromnym szacunkiem, zarzucając mu, zupełnie bezpodstawnie, zaniedbanie obowiązków. To wydarzenie podzieliło całą kolonię. Wuj John i ciotka Jane stali się obiektem krytyki, choć ciotka Jane od początku była przeciwna zwolnieniu lekarza. Wuj John - dobrze pan wie, drogi Francisie, że on nie cierpi wszelkich kłótni, nie mówiąc już o wymierzaniu kar, ba, mówi się o nim, że nie skrzywdziłby muchy...

- Tak. - Crozier pokiwał głową. - Sam widziałem, jak wyniósł z jadalni żywą muchę, zamiast ją zabić.

- Wuj John, za namową ciotki Jane, przywrócił w końcu na stanowisko tego lekarza, ale tym samym zrobił sobie wroga z tego Montagu. Wszyscy dowiedzieli się o nieporozumieniach, jakie ich dzielią, a Montagu publicznie nazwał wuja kłamcą i mięczakiem.

- Dobry Boże - powiedział jednak Crozier, myśląc jednocześnie: Na miejscu Johna Franklina wyzwałbym tego Montagu na pojedynek i odstrzeliłbym mu jaja, a potem wsadził kulę w łeb. - Mam nadzieję, że sir John zwolnił tego człowieka.

- Oczywiście - odparła Sophia, uśmiechając się smutno - ale to tylko pogorszyło sprawę. W zeszłym roku Montagu wrócił do Anglii na pokładzie statku, którym płynął także list wuja Johna z jego dymisją. Okazało się, niestety, że komandor Montagu jest bliskim przyjacielem lorda Stanleya, sekretarza stanu do spraw kolonii.

No to nasz gubernator znalazł się w kiepskiej sytuacji, pomyślał Crozier, gdy dotarli do kamiennej ławeczki po drugiej stronie ogrodu.

- Cóż za niefortunny zbieg okoliczności - powiedział głośno.

- Gorszy niż wuj John i ciotka Jane mogli sobie wyobrazić. - Sophia pokiwała głową. - W kornwalijskim dzienniku „Chronicle” ukazał się długi artykuł zatytułowany „Imbecylne rządy polarnego bohatera”. „Colonial Times” obarcza winą ciotkę Jane.

- Dlaczego ktoś atakuje lady Jane? Sophia znów uśmiechnęła się smutno.

- Ciotka Jane, podobnie jak ja, jest trochę... niekonwencjonalna. Widział pan jej pokój, kiedy wuj John oprowadzał pana i komandora Rossa po majątku podczas waszej poprzedniej wizyty,

prawda?

- O tak - odrzekł Crozier. - Ma naprawdę wspaniałą kolekcję.

Buduar lady Jane, a właściwie ta jego część, którą pozwolono im zobaczyć, wypełniony był od podłogi po sufit szkieletami zwierząt, meteorytami, skamieniałościami, aborygeńskimi maczugami, bębnami i maskami, długimi na dziesięć stóp wiosłami, którymi można by chyba bez trudu rozpędzić HMS *Terror* do piętnastu węzłów i całą masą wypchanych ptaków, między którymi kryła się co najmniej jedna wypchana małpa. Crozier nigdy nie widział czegoś podobnego w muzeum ani w zoo, nie mówiąc już o damskiej sypialni. Oczywiście Francis Crozier widział bardzo niewiele damskich sypialni.

- Jeden z naszych gości napisał do gazety w Hobart, że, cytuję dosłownie, „prywatne pokoje żony naszego gubernatora przypominają bardziej muzeum lub menażerię niż buduar damy”.

Crozier pokręcił głową z niedowierzaniem, wstydząc się w duchu, że przed chwilą pozwolił sobie na podobne myśli.

- Domyślam się, że ten Montagu wciąż sprawia wam kłopoty.

- I to jakie. Lord Stanley, zmija nad zmijami, poparł Montagu, przywrócił tego bydlaka na pozycję podobną do tej, z której zwolnił go wuj John, i udzielił wujowi reprimendy tak surowej, że, jak zdradziła mi w tajemnicy ciotka Jane, można ją śmiało porównać do chłosty.

Strzeliłbym temu gnojkwowi Montagu w jaja, a potem odciął jaja lordowi Stanleyowi i podał mu je w zimnej galarecie, pomyślał Crozier.

- To straszne - rzekł.

- To jeszcze nie wszystko. - Sophia westchnęła.

Crozier spojrzał jej w oczy, szukając tam łez, nie dojrzał jednak ani jednej. Sophia nie była kobietą skłoną do płaczu.

- Stanley upublicznił tę naganę? - domyślił się Crozier.

- Ten... gnojek... dał kopię swojego listu Montagu, zanim wysłał go wujowi, a Montagu, ta kanalia, wysłał go tutaj najszybszym statkiem pocztowym. Wrogowie wuja skopiowali go i rozpowszechnili na kilka miesięcy przed tym, jak wuj otrzymał oryginał oficjalnymi kanałami. Cała kolonia podśmiewała się z wuja Johna i ciotki Jane, gdy uczestniczyli w jakimś koncercie albo podejmowali jakichś ważnych gości. Zechce pan wybaczyć moje niewyszukane słownictwo, drogi Francisie.

Podałbym lordowi Stanleyowi jego własne jaja w potrawce z jego gówna, pomyślał Crozier. Jednocześnie skinął głową, dając w ten sposób Sophii do zrozumienia, że wybacza jej dobór takich, a nie innych słów.

- Gdy wuj John i ciotka Jane myśleli, że gorzej być już nie może - kontynuowała Sophia drżącym głosem (Crozier był pewien, że to drżenie to oznaka gniewu, a nie słabości) - Montagu przysłał swoim sprzymierzeńcom na wyspie trzystustronicową księgę zawierającą wszystkie prywatne listy, dokumenty rządowe i oficjalne depesze, które przedstawił lordowi Stanleyowi jako dowody w sporze z wujem. Księga leży teraz w Banku Centralnym, w stolicy, a dwie trzecie tutejszych przedsiębiorców było już w tym banku i czytało tę księgę. Komandor Montagu nazywa wuja w swoich listach „skończonym kretyńcem”... a z tego, co mi wiadomo, to jedno z najłagodniejszych określeń zawartych w tym obrzydliwym dokumencie.

- Wygląda na to, że sir John znalazł się w bardzo trudnej sytuacji.

- Czasami obawiam się o stan jego umysłu, a nawet o życie - zgodziła się z nim Sophia. - Gubernator sir John jest bardzo wrażliwym człowiekiem.

Nie skrzywdziłby nawet muchy, pomyślał Crozier.

- Ustąpi ze stanowiska?

- Zostanie odwołany - odrzekła Sophia. - Cała kolonia już o tym wie. To dlatego ciotka Jane nie może sobie znaleźć miejsca... Nigdy jeszcze nie widziałam jej w takim stanie. Wuj John spodziewa się oficjalnego listu odwołującego jeszcze przed końcem sierpnia, jeśli nie wcześniej.

Crozier westchnął i przesunął laską wzdłuż bruzdy wyłobionej w warstwie żwiru na ścieżce. Przez dwa lata czekał z niecierpliwością na powtórne spotkanie z Sophią Cracroft, teraz widział jednak, że na wizycie cieniem padnie zwykła polityka i rozgrywki personalne. Chciał westchnąć ponownie, powstrzymał się jednak w ostatniej chwili. Miał czterdzieści sześć lat, a zachowywał się jak głupiec.

- Chciałby pan zobaczyć jutro Staw Dziobaków? - spytała Sophia. Crozier nalał sobie kolejną szklaneczkę whisky. Z góry dobiegło go upiorne wycie, wiedział jednak, że to tylko arktyczny wiatr świszczący w resztkach olinowania. Komandor szczerze współczuł marynarzom stojącym na wachcie.

Butelka była już niemal pusta.

W tym właśnie momencie Crozier doszedł do wniosku, że wkrótce będą musieli przywrócić transport sprzętu i prowiantu na Ziemię Króla Williama, bez względu na ciemności, burze i zagrożenie ze strony potwora z lodu. Nie miał wyboru. Gdyby przyszło im porzucić statki jeszcze tej zimy - *Erebus* właściwie mógł się rozpaść w każdej chwili - nie chciałby rozbijać obozu tutaj, na lodzie. W innych okolicznościach miałoby to sens - niejedna wyprawa polarna obozowała na lodzie, pozwalając, by prąd z Zatoki Baffina poniósł ich na południe, na otwarte morze - ale ten lód nigdzie się nie przemieszczał. Co więcej, obóz rozbity na lodzie był jeszcze trudniejszy do obrony niż obóz znajdujący się na stałym lądzie, dwadzieścia pięć mil stąd. Przewiózł tam już pięć ton sprzętu. Przed nadejściem wiosny musiał przetransportować całą resztę.

Crozier pociągnął łyk whisky i postanowił, że osobiście poprowadzi następną wyprawę. Tym, co w największym stopniu podnosiło morale ludzi - prócz perspektywy rychłego ratunku lub dodatkowych porcji rumu - było gorące jedzenie, zamierzał więc przewieźć na stały ląd cztery kuchenki zamocowane na łodziach wielorybnych - dużych i solidnych szalupach, które w razie zatonięcia statku miały umożliwić im samodzielny powrót do domu. Piece Frazera z *Terrorui* *Erebus* były zbyt ciężkie, by przewieźć je na ląd - a pan Diggle zapewne piekłby w swoim piecu suchary do momentu, w którym Crozier wydałby rozkaz opuszczenia statku - lepiej więc było wykorzystać kuchnie z łodzi. Cztery żelazne piecyki były ciężkie jak sto diabłów, więc marynarze musieliby się naprawdę napocić, by przeciągnąć obciążone nimi sanie, jednak ten trud z pewnością by się opłacił. Crozier westchnął ciężko, uzmysłowivszy sobie, że będą musieli także przetransportować przez dwadzieścia pięć mil lodowego piekła węgiel potrzebny do opalania pieców. Na Ziemi Króla Williama nie było żadnego lasu, podobnie jak w promieniu kilkuset mil od tego miejsca. Tak, najpierw pojedą piece, zdecydował Crozier, a on z nimi. Pokonają ciemności i mordercze zimno, a potwór z lodu niech wraca tam, skąd przyszedł.

Następnego ranka, w kwietniu 1843 roku, Crozier i Sophia Cracroft pojechali konno do Stawu Dziobaków.

Crozier był pewien, że skorzystają z powozu, podobnie jak podczas poprzednich wycieczek do Hobart Town, Sophia kazała jednak osiodłać dla nich dwa konie i załadować na muła rzeczy potrzebne na piknik. Jeździła jak mężczyzna. Crozier dopiero po chwili zauważył, że ciemna „spódnica”, którą miała na sobie Sophia, to w rzeczywistości para szerokich spodni. Na górę włożyła bluzkę z grubego białego płótna, a na głowę kapelusz, który chronił jej jasną skórę przed słońcem. Całości dopełniały wysokie, wypastowane buty z miękkiej skóry, które musiały kosztować

mniej więcej tyle, ile Crozier zarabiał w ciągu roku.

Pojechali na północ, z dala od domu gubernatora i stolicy. Trzymali się wąskiej drogi, która prowadziła przez pola, później przejechali obok kolonii karnej i przez pas lasu deszczowego, by potem ponownie wychynąć na otwartą przestrzeń.

- Myślałem, że dziobaki żyją tylko w Australii - powiedział Crozier. Nie mógł sobie znaleźć wygodnej pozycji w siodle. Rzadko miewał okazję dosiadać konia, jeszcze rzadziej taką potrzebę. Sophia z kolei była doskonałym jeźdźcem, kierowała wierzchowcem z ogromną wprawą i swobodą.

- Och, nie, mój drogi - odparła Sophia. - Te dziwne zwierzęta żyją nie tylko w kilku przybrzeżnych regionach na północy kontynentu, ale praktycznie na całej powierzchni Ziemi van Diemena. Są jednak bardzo płochliwe. Dawno już wyniosły się z okolic Hobart Town.

Crozier zarumienił się lekko, usłyszawszy zwrot „mój drogi”.

- Są niebezpieczne? - spytał. Sophia roześmiała się perliście.

- Samce mogą być niebezpieczne, ale tylko w okresie godowym. Mają na tylnych łapach spiczastą narośl, która w okresie godowym staje się jadowita.

- Dość jadowita, by zabić człowieka? - spytał Crozier nieco zaskoczony. Poprzednie pytanie, dotyczące małego śmiesznego stworzenia, które widział do tej pory tylko na rysunkach, miało być żartem.

- Drobego człowieka - odrzekła Sophia. - Ale ci, którzy przeżyli atak dziobaka, mówią, że ból jest tak straszliwy, iż woleliby chyba umrzeć, niż doznać go ponownie.

Crozier zerknął ukradkiem na swą towarzyszkę. Czasami trudno było odgadnąć, czy Sophia mówi poważnie, czy też właśnie żartuje. Założył, że w tym wypadku mówi jednak prawdę.

- Czy teraz jest właśnie sezon godowy? - pytał dalej. Uśmiechnęła się ponownie.

- Nie, drogi Francisie. Sezon godowy trwa od sierpnia do października, jesteśmy więc całkiem bezpieczni. Chyba że spotkamy diabła.

- Demona?

- Nie, mój drogi. Zwierzę. Słyszałeś już może o diable tasmańskim?

- Owszem. - Crozier skinął głową. - Podobno to straszliwe stworzenia o szczękach, które otwierają się równie szeroko jak właz na statku. Ponoć potrafią zjeść całego konia albo wilka workowatego.

Sophia przytaknęła z powagą.

- Wszystko to prawda. Diabeł tasmański to naprawdę groźne i nienasycone stworzenie. Jestem pewna, że gdyby nawet taki nieustraszony badacz i podróżnik jak pan usłyszał kiedyś jego głos - trudno to nazwać szczekaniem, warczeniem lub ryczeniem, to raczej dziki jazgot i wrzask, który można zapewne usłyszeć w zakładzie dla obłąkanych - nigdy więcej nie wszedłby po zmierzchu do tutejszego lasu, a przynajmniej nie w pojedynkę.

- Pani je kiedyś słyszała? - spytał Crozier, przypatrując się jej uważnie, by sprawdzić, czy znów nie stroi sobie z niego żartów.

- O tak. Naprawdę nie da się opisać tego dźwięku - jest przerażający. Zwierzę, które je usłyszy, zastyga w bezruchu dość długo, by diabeł otworzył tę swoją ogromną paszczę i połknął je w całości. Równie przerażające są tylko głosy ich ofiar. Słyszałam beczenie i ryki całego stada owiec, kiedy jakiś diabeł pożerał je wszystkie, jedną po drugiej, nie zostawiając nawet jednego kopyta.

- Żartuje pani - zachnął się Crozier, obserwując jej reakcję.

- Nigdy nie żartuję na temat diabła, drogi Francisie - odrzekła z powagą. Wjechali właśnie w kolejny pas ciemnego lasu.

- Czy te diabły jedzą dziobaki? - Pytanie było całkiem poważne, cieszył się jednak, że w

pobliżu nie ma Jamesa Rossa ani żadnego z jego towarzyszy. W ich uszach brzmiałoby zapewne idiotycznie.

- Diabeł tasmański je wszystko - potwierdziła Sophia. - Ale i tym razem ma pan szczęście, Francisie. Diabeł poluje nocą, a jeśli się nie zgubimy, powinniśmy dotrzeć do celu naszej podróży i wrócić do domu przed zmierzchem. Nawet nie chcę myśleć o tym, co mogłoby się nam przydarzyć, gdybyśmy zostali w lesie na noc.

- Z powodu diabła? - spytał Crozier. Chciał, by jego słowa zabrzmiały lekko i żartobliwie, ale słyszał w swym głosie nutę zdenerwowania.

Sophia ściągnęła wodze swej klaczy i uśmiechnęła się doń - szeroko, olśniewająco, szczerze. Crozier także zdołał, choć nie bez problemów, zatrzymać swego wałacha.

- Nie, mój drogi - odrzekła młoda kobieta chrapliwym szeptem. - Nie z powodu diabła. Z powodu mojej reputacji.

Nim Crozier zdołał wymyślić jakąś rozsądną odpowiedź, Sophia roześmiała się głośno, spięła konia i pogalopowała w dół drogi.

W butelce została już tylko odrobina whisky, niecałe dwie szklaneczki. Crozier nappełnił naczynie, podniósł je do lampy i obserwował przez chwilę, jak światło tańczy w bursztynowym płynie. Pociągnął łyk.

Nie zobaczyli dziobaka. Sophia zapewniała go, że w stawie mieszkał dziobak, który od czasu do czasu wypływał na powierzchnię, i że wejścia do jego nory znajdowały się za poskręcanyimi korzeniami drzewa rosnącego nad brzegiem, jednak nie udało im się go dostrzec.

Widział jednak Sopię Cracroft nago.

Urządzili sobie przyjemny piknik po zacienionej stronie stawu, układając na trawie drogi, bogato zdobiony obrus, a na nim kosz, szklanki, pojemniki z jedzeniem i samych siebie. Przed wyjazdem Sophia kazała służącym zapakować kawałki pieczeni wołowej w pojemniki wypełnione najdroższym spośród artykułów dostępnych na wyspie, a zarazem najtańszym w miejscu, z którego przyłynął Crozier - lodem - by w czasie przedpołudniowej przejażdżki mięso się nie zepsuło. Mieli także pieczone ziemniaki i miseczki pysznej sałatki. Sophia zapakowała również butelkę burgunda, wraz z kryształowymi kieliszkami z bogatej kolekcji sir Johna, którą w większości opróżniła sama.

Po posiłku ułożyli się na obrusie, w odległości kilku stóp od siebie i gawędzili o tym i o owym, obserwując przez cały czas powierzchnię stawu.

- Czekamy na dziobaka, panno Cracroft? - spytał Crozier w przerwie rozmowy o niebezpieczeństwach i urokach wypraw arktycznych.

- Nie, myślę, że gdyby chciał, już by nam się pokazał - odparła Sophia. - Chciałam tylko, byśmy odpoczęli trochę przed kąpielą.

Crozier podniósł na nią zdumiony wzrok. Nie zabrał ze sobą stroju kąpielowego. Nie miał stroju kąpielowego. Wiedział, że znów sobie z niego żartuje, zawsze jednak przemawiała z taką powagą, że nie był tego całkowicie pewien. Dzięki temu jej szelmowskie poczucie humoru wydawało mu się jeszcze bardziej ekscytujące.

Przeciągając ten dziwny, choć zarazem podniecający żart, Sophia wstała, otrzepała spodnie z suchych liści i rozejrzała się dokoła.

- Rozbiorę się za tymi krzewami i wejdę do wody z tego trawiastego cypelka. Oczywiście może się pan do mnie przyłączyć, Francisie, albo nie, w zależności od tego, co nakazuje panu pańskie poczucie przyzwoitości.

Crozier uśmiechnął się, by pokazać jej, że jest wytwornym dżentelmenem, lecz jego uśmiech był dość niepewny.

Nie oglądając się więcej za siebie, Sophia przeszła do gęstych krzewów. Crozier leżał nadal na obrusie, oparty na łokciu, z lekkim uśmieszkiem na gładko ogolonej twarzy, kiedy jednak zobaczył, jak ręce Sophii kładą na krzaku jej białą bluzkę, jego twarz stężała. Podobnie jak penis. Ukryta pod sztruksowymi spodniami i przykrótką kamizelką męskość Croziera przeszła ze stanu spoczynku do pozycji baczność w ciągu dwóch sekund.

Po chwili do bluzki spoczywającej na krzewie dołączyły czarne spodnie Sophii i biała, nienazwana część garderoby z falbankami.

Crozier nie mógł uczynić żadnego ruchu. Uśmiech na jego twarzy zamienił się w zastygły grymas. Był pewien, że oczy dosłownie wychodzą mu z orbit, nie mógł się jednak odwrócić ani nawet spuścić wzroku.

Sophia Cracroft wyszła zza krzewów.

Była zupełnie naga. Ręce wisiały swobodnie wzdłuż jej tułowia, palce były lekko zwinięte. Jej piersi nie były duże, ale bardzo wysokie i bardzo białe, zwieńczone dużymi sutkami o jasnoróżowej barwie, choć wszystkie kobiety, które Crozier widział do tej pory nago - portowe dziewczki, szczerbate prostytutki, Eskimoski - miały brązowe sutki.

Czy rzeczywiście widział kiedykolwiek całkiem nagą kobietę? Białą kobietę? W tej chwili uważał, że nie. Wiedział też, że nawet gdyby było inaczej, nie miałyby to żadnego znaczenia.

Słoneczny blask odbijał się od oślepiająco białej skóry młodej Sophii. Nie zakrywała się. Wciąż zastygły w leniwej pozie, z głupawym grymasem na twarzy, Crozier uświadomił sobie, jak bardzo zaskoczył go fakt, że ta bogini, to ucieleśnienie angielskiej kobiecości, kobieta, którą myślami i sercem wybrał już na swoją żonę i matkę swoich dzieci, ma gęste, lśniące włosy łonowe, które w kilku miejscach jakby chciały wydostać się poza czarne V ukryte między nogami. Niesforne, tak właśnie brzmiało jedyne słowo, jakie pojawiło się wtedy w jego otępiałym umyśle. Sophia rozpuściła swe długie włosy i pozwoliła, by opadły na jej ramiona.

- Przyłączysz się do mnie, Francisie? - zawołała zupełnie swobodnym tonem, jakby pytała go, czy nie napije się jeszcze herbaty. - Czy będziesz się tylko gapił?

Nie czekając na jego odpowiedź, wskoczyła do wody i zniknęła na moment pod jej powierzchnią.

Crozier otworzył usta, nie mógł jednak wydobyć z siebie żadnego artykułowanego dźwięku, toteż po chwili zamknął je z powrotem.

Sophia pływała swobodnie wzdłuż brzegu. Crozier widział jej białe pośladki wznoszące się za silnymi białymi plecami, na których leżały jej wilgotne włosy, rozdzielone na trzy pasma niczym trzy smugi czarnego indyjskiego atramentu.

Zatrzymała się po drugiej stronie stawu, przy wielkim drzewie, które pokazała mu, gdy przyjechali nad staw. Podniosła głowę i, z łatwością utrzymując się na powierzchni wody, zawołała:

- Nora dziobaka jest pod tymi korzeniami. Dziś chyba jednak nie zechce wyjść i pobawić się z nami. Jest nieśmiały. Nie bądź taki jak on, Francisie. Proszę.

Poruszając się jak we śnie, Crozier wstał z ziemi i podszedł do gęstych krzewów porastających brzeg stawu naprzeciwko miejsca, w którym czekała nań Sophie. Drżącymi palcami rozpiął guziki. Wciąż nie mogąc uwierzyć w to, co się z nim dzieje, składał poszczególne części garderoby w równą kostkę i układał jedną na drugiej. Był pewien, że zajmuje mu to całe godziny, jednak pulsująca erekcja nie ustępowała. Choć starał się nie myśleć o Sophii i jej pięknym ciele, jego sztywny członek wciąż uparcie sterczał, kołysząc się przy każdym ruchu i świecąc czerwonym jak lampa sygnałowa żółędziem, który wychynął spod napiętego napletka.

Crozier stał niezdecydowany za krzakami, wsłuchując się w chłupot wody rozgarnianej

rękami i nogami Sophii. Wiedział, że jeśli będzie się zbyt długo ociągał, Sophia wyjdzie ze stawu, schowa się za krzakami i ubierze, a on do końca życia będzie przeklinał swoje tchórzostwo i głupotę.

Wyzierając zza gałęzi krzewu, poczekał, aż Sophia odwróci się doń plecami, płynąc w stronę przeciwległego brzegu, a potem tyleż szybko co niezdarnie wskoczył do wody, myśląc jedynie, by ukryć pod jej powierzchnią swą nabrzmiałą męskość, nim panna Cracroft odwróci się w jego stronę.

Kiedy ponownie wypłynął na powierzchnię, plując wodą i dysząc ciężko, Sophia unosiła się w wodzie jakieś dwadzieścia stóp dalej i uśmiechała do niego.

- Cieszę się, że zdecydowałaś się do mnie przyłączyć, Francisie. Gdyby teraz pojawił się tu samiec dziobaka ze swym jadowitym kolcem, będziesz mógł mnie obronić. Obejrzymy wejście do nory? - Obróciła się wdzięcznie w miejscu i popłynęła do wielkiego drzewa wyrastającego wprost z brzegu stawu.

Starając się nie zbliżać do niej na odległość mniejszą niż dziesięć - nie, piętnaście - stóp, Crozier popłynął pieskiem w stronę drzewa.

Staw był zaskakująco głęboki. Gdy Crozier zatrzymał się dwanaście stóp od Sophii i zaczął wymachiwać niezdarnie nogami, by utrzymać się na powierzchni wody, uświadomił sobie, że nawet tutaj, przy stromym brzegu porośniętym grubymi korzeniami drzewa i gęstą trawą, która rzucała na taflę wody nieregularne cienie, jego stopy nie mogą sięgnąć dna.

Nagle Sophia ruszyła w jego stronę.

Musiała dojrzeć przerażenie w jego oczach; nie wiedział, czy rzucić się do ucieczki, czy też poprosić ją, by się doń nie zbliżała, przystanęła bowiem nagle - widział jej białe piersi unoszące się tuż pod powierzchnią wody - wskazała głową na lewo i podpłynęła do korzeni drzewa.

Crozier popłynął za nią.

Zatrzymali się przy korzeniach, zaledwie jakieś cztery stopy od siebie, na szczęście jednak woda poniżej poziomu ich piersi była bardzo ciemna. Sophia wskazała na coś, co mogło być wejściem do nory albo tylko błotnistym wgłębieniem na powierzchni brzegu, ukrytym w gęstwinie grubych korzeni.

- To nie jest nora lęgowa - powiedziała Sophia. Miała piękne ramiona i obojczyki.

- Co? - spytał Crozier. Był zadowolony - i nieco zdumiony - że odzyskał dar mowy, mniej jednak cieszył go fakt, że potrafił wydać z siebie tylko tę pojedynczą chrapliwą sylabę i że szczekał zębami. Woda nie była zimna.

Sophia uśmiechnęła się i odgarnęła kosmyk ciemnych włosów, który przykleił się do jej policzka.

- Dziobaki kopią dwa rodzaje nor - tłumaczyła łagodnym tonem. - Takiej nory, którą niektórzy przyrodnicy nazywają norą biwakową, używają zarówno samce, jak i samice poza okresem godowym. Wtedy zwierzęta mieszkają tutaj w pojedynkę. Samice kopią jednak również nory lęgowe, w którym spółkują z samcem, a potem drążą jeszcze dodatkowy otwór, gdzie wychowują młode.

- Och - odparł Crozier, trzymając się korzenia równie mocno, jak trzymałby się liny na miotanym sztormem statku.

- Dziobaki składają jaja - kontynuowała Sophia - jak gady. Ale samice karmią swe młode mlekiem, jak ssaki.

Tuż pod powierzchnią wody widać było ciemne kręgi pośrodku białych półkul jej piersi.

- Naprawdę? - wykrztusił.

- Ciotka Jane, która też interesuje się przyrodą, uważa, że samiec wykorzystuje jadowite ostrogi na tylnych nogach nie tylko do walki z innymi samcami, ale że przytrzymuje nimi samicę, kiedy spółkują w wodzie. Prawdopodobnie wtedy nie wydziela jadu.

- Tak? - odparł Crozier, zastanawiając się, czy powinien był raczej powiedzieć: Nie? Nie miał pojęcia, o czym rozmawiają.

Trzymając się jedną ręką korzeni, Sophia podpłynęła bliżej, aż jej piersi niemal go dotykały. Położyła swą chłodną dłoń - zaskakująco dużą dłoń - na jego piersiach.

- Panno Cracroft... - zaczął.

- Pss... - szepnęła Sophia.

Przełożyła lewą rękę z korzenia na jego ramię i zawisała na nim, podobnie jak przed chwilą wisiała na korzeniu. Jej prawa dłoń przesunęła się niżej, naciskając na jego brzuch, dotknęła prawego biodra, by potem wrócić na środek i przesunąć się jeszcze niżej.

- Ojej - wyszeptała mu do ucha. Jej policzek dotykał teraz jego policzka, jej wilgotne włosy wchodziły mu do oczu. - Czyżbym znalazła jakiś jadowity kolec?

- Panno Cra... - zaczął.

Zacisnęła na nim dłoń. Przesunęła się nieco, tak że nagle jej silne nogi objęły jego lewą nogę, a potem zanurzyła się głębiej i zaczęła się o niego ocierać. Crozier podniósł wyżej tę nogę, by podtrzymać Sophię i utrzymać jej głowę nad wodą. Miała zamknięte oczy. Jej biodra naparły mocniej do przodu, piersi przylgnęły do jego ciała, a jej prawa dłoń zaczęła go pieścić.

Crozier jęknął głucho. Sophia wtuliła twarz w jego kark, wydając z siebie jakiś przytłumiony dźwięk. Czuł ciepło i wilgoć jej intymnych części ciała napierających na jego podniesioną nogę. Jak coś może być wilgotniejsze od wody? - zastanawiał się.

Potem Sophia jęknęła głośno, a Crozier zamknął oczy. Naparła nań mocniej, raz, drugi, trzeci, a jej pieszczoty stały się szybsze, ponagłające, wprawne i natarczywe.

Ukrył twarz w jej wilgotnych włosach, gdy spełniał się w wodzie. Myślał, że pulsujący wytrysk nigdy się nie skończy i gdyby mógł, natychmiast by ją przeprosił. Jęknął tylko jednak ponownie i omal nie puścił korzenia, którego się przytrzymał. Oboje zakołysali się lekko i zanurzyli w wodzie po same brody.

Tym, co najbardziej dziwiło go w tamtej chwili - a dziwiło go wówczas wszystko, nic zaś mu nie przeszkadzało - był fakt, że Sophia wciąż zaciskała mocno nogi wokół jego uda, przytulona do niego całym ciałem, że miała zamknięte oczy i jęczała równie głośno jak on. Kobiety chyba nie mogą odczuwać przyjemności równie intensywnie jak mężczyźni? Niektóre nierządnicę jęczały, ale tylko dlatego, że mężczyźni to lubili - z pewnością nic wtedy nie odczuwały.

A jednak...

Sophia odsunęła się wreszcie od niego, spojrzała mu w oczy, uśmiechnęła się swobodnie, pocałowała go prosto w usta, podniosła nogi niemal do szpagatu, odepchnęła się od korzeni i popłynęła do miejsca, gdzie za krzewem leżały jej ubrania.

Trudno mu było w to uwierzyć, ale oboje się ubrali, pozbierali rzeczy, objuczyli muła, wsiedli na konie i wrócili w milczeniu do domu gubernatora.

Trudno mu było w to uwierzyć, ale tego samego wieczora podczas kolacji Sophia Cracroft śmiała się i rozmawiała ze swoją ciotką, z sir Johnem, a nawet z wyjątkowo rozmownym komandorem Jamesem Clarkiem Rossem, podczas gdy Crozier prawie się nie odzywał, wpatrzony tępo w stół. Mógł tylko podziwiać jej... jak mówiły o tym żabojady? - jej zimną krew, podczas gdy jego dusza była dokładnie w takim stanie, jak jego ciało podczas niekończącego się orgazmu w Stawie Dziobaka - rozbita na atomy i rozproszona po całym wszechświecie.

Jednak panna Cracroft nie traktowała go z dystansem ani nie okazywała w żaden sposób, że ma do niego żal. Uśmiechała się doń, mówiła do niego, starała się wciągnąć go w rozmowę, podobnie jak czyniła to każdego wieczoru w domu gubernatora. Tego wieczora jej uśmiechy były

może nieco cieplejsze? Czulsze? Może nawet rozkochane? Z pewnością tak właśnie było.

Po kolacji, kiedy Crozier proponował jej spacer w ogrodzie, odmówiła grzecznie, twierdząc, że już wcześniej umówiła się na grę w karty z komandorem Rossem. Czy komandor Crozier zechciałby się do nich przyłączyć?

Komandor Crozier również grzecznie odmówił, wnosząc z jej zachowania, że tego wieczoru w domu gubernatora musi zostać zachowany normalny porządek rzeczy i że porozmawiają o swej przyszłości przy najbliższej okazji. Komandor Crozier oświadczył głośno, że boli go nieco głowa i że następnego ranka zamierza wstać wcześniej niż zwykle.

Nazajutrz wstał, ubrał się w swój najlepszy mundur i zaczął przechadzać się po domu gubernatora jeszcze przed świtem, pewien, że Sophia, kierowana podobnym impulsem, także się tam pojawi.

Nie pojawiła się. Pierwszy zszedł na śniadanie sir John i wdał się w długą i męczącą pogawędkę z Crozierem, który nigdy nie opanował umiejętności prowadzenia luźnej rozmowy towarzyskiej, nie mówiąc już o rozważaniach dotyczących odpowiedniej wysokości opłaty za wypozyczenie więźniów do kopania kanałów.

Potem zeszła do nich lady Jane, po niej zaś Ross - Sophia pojawiła się ostatnia. Do tego czasu Crozier wypił już sześć filiżanek kawy, którą od czasu wyprawy z Parrym w lody północy cenił bardziej od herbaty, pozostał jednak przy stole, podczas gdy Sophia jadła jajka, kielbaski, fasolę i tosty.

Sir John gdzieś zniknął, podobnie jak lady Jane. Komandor Ross wybrał się na spacer. Sophia wreszcie skończyła śniadanie.

- Zechciałaby pani pospacerować po ogrodzie? - spytał.

- Tak wcześnie? - zdziwiła się. - Teraz jest tam bardzo gorąco. Mamy wyjątkowo ciepłą jesień.

- Ale... - zaczął Crozier, próbując za pomocą spojrzenia przekazać, jak bardzo zależy mu na tym, by przyjęła jego zaproszenie.

Sophia uśmiechnęła się.

- Chętnie wybiorę się z panem na spacer, Francisie. Przechadzali się powoli, czekając, aż więzień pomagający ogrodnikowi skończy rozładowywać ciężkie worki z nawozem.

Kiedy w końcu odszedł, Crozier poprowadził Sophię w stronę kamiennej ławki stojącej po drugiej stronie ogrodu. Pomógł jej usiąść i poczekał, aż złoży parasolkę. Sophia podniosła nań oczy - Crozier był zbyt przejęty, by usiąść, i stał nad nią, nerwowo przestępując z nogi na nogę - w których, był tego pewien, dojrzał oczekiwanie i zachętę.

Wreszcie opanował się na tyle, by przyklęknąć na jedno kolano.

- Panno Cracroft, zdaję sobie sprawę, że jestem tylko zwykłym komandorem porucznikiem w marynarce wojennej Jej Królewskiej Mości, a pani zasługuje na względy admirała floty... nie, co ja mówię, członka rodziny królewskiej, kogoś, kto wydawałby rozkazy admirałowi floty... zapewne jednak domyśla się pani, jakimi uczuciami panią darzę, i gdyby szczęśliwym zrządzeniem losu okazało się, że pani odwzajemnia te uczucia...

- Dobry Boże, Francisie - przerwała mu Sophia - chyba nie zamierzasz mi się oświadczyć?

Crozier nie wiedział, co odpowiedzieć. Klęcząc na jednym kolanie, z dłońmi złożonymi jak do modlitwy i wyciągniętymi w jej stronę, patrzył na nią wyczekująco.

Sophia poklepała go po ramieniu.

- Komandorze Crozier, jest pan cudownym człowiekiem. Prawdziwym dżentelmenem, pomimo pewnych braków w obyciu, których być może nigdy nie da się uzupełnić. Jest pan też

mądrym człowiekiem, czemu dał pan przed chwilą wyraz, domyślając się słusznie, że nigdy nie zostanę żoną komandora porucznika. To nie byłoby stosowne. To nie do przyjęcia.

Crozier chciał coś powiedzieć, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Część jego umysłu próbowała dokończyć długą formułkę oświadczyn, którą układał przez całą noc. Dotąd wygłosił tylko jedną trzecią owej formułki - a właściwie wydukał.

Sophia roześmiała się cicho i pokręciła głową. Potem rozejrzała się ukradkiem, by mieć pewność, że nikt, nawet jakiś więzień, nie usłyszy jej słów.

- Proszę się nie przejmować tym, co zaszło wczoraj, komandorze Crozier. To był cudowny dzień. Ten... epizod... do którego doszło w stawie, sprawił przyjemność nam obojgu. Można powiedzieć, że była to funkcja... mojej natury... a także wynik wzajemnego uczucia bliskości, którego doznawaliśmy oboje przez tamtych kilka chwil. Proszę jednak nie dręczyć się myślą, że z powodu owej chwili słabości spoczywają na panu jakiekolwiek obowiązki względem mej osoby.

Crozier wciąż tylko patrzył na nią w milczeniu. Uśmiechnęła się, nie był to jednak uśmiech równie ciepły jak te, którymi obdarzała go do tej pory.

- Proszę nie sądzić - powiedziała, zniżając głos niemal do szeptu

- że w jakikolwiek sposób naraził pan na szwank moją cześć.

- Panno Cracroft... - zaczął Crozier, później jednak umilkł. Gdyby jego statek zbliżał się niebezpiecznie do płycizny, gdyby zawiodły pompy, a w ładowni stały cztery stopy wody, gdyby wiatr porwał żagle i zaplątał liny, wiedziałby, jakie wydać rozkazy. Wiedziałby, co powiedzieć. W tej chwili nie przychodziły mu do głowy żadne słowa. Czuł tylko narastający ból i zdumienie, które raniło go tym bardziej, że rozpoznawał w nim coś aż nazbyt znajomego i czytelnego.

- Gdybym miała wyjść za mąż - mówiła dalej Sophia, otwierając ponownie parasol i kręcąc nim nad głową - wyszłabym za naszego dziarskiego komandora Rossa. Choć nie zamierzam też zostać żoną zwykłego komandora, Francisie. Musiałby otrzymać tytuł szlachecki... ale jestem przekonana, że wkrótce tak się stanie.

Crozier spojrzał jej prosto w oczy, łudząc się nadzieją, że znów tylko żartuje.

- Komandor Ross jest zaręczony - przemówił wreszcie. Jego głos brzmiał jak chrypienie człowieka pozbawionego od wielu dni wody.

- Zamierza się ożenić natychmiast po powrocie do Anglii.

- Phi! - parsknęła Sophia, wstając i jeszcze szybciej kręcąc parasolką. - Wracam do Anglii jeszcze tego lata, nim wuj John zostanie oficjalnie odwołany. Komandor James Clark Ross jeszcze nie wie, na co mnie stać.

Spojrzała na Croziera, który wciąż klęczał przed nią na białych kamieniach.

- Poza tym - dodała wesoło - nawet jeśli komandor Ross ożeni się z tą młodą pretendentką, która czeka na niego w Anglii - rozmawiałam o niej kilkakrotnie z komandorem i mogę pana zapewnić, że to idiotka - małżeństwo niczego jeszcze nie przesądza. To nie śmierć. To nie hamletowski nieznany kraj, z którego nikt nie wraca. Niejeden już mężczyzna wrócił z małżeństwa, by trafić do kobiety, która jest mu przeznaczona. Jeszcze pan wspomni te słowa, drogi Francisie, może pan być tego pewien.

Crozier podniósł się wreszcie z klęcek i otrzepał nogawkę swego najlepszego munduru z białych kamyków.

- Muszę już iść - oświadczyła Sophia. - Jadę z ciotką Jane i komandorem Rossem do Hobart Town, żeby obejrzyć nowe ogiery rozplodowe, które sprowadziła tu właśnie firma Van Diemen Company. Jeśli ma pan ochotę, może się pan z nami wybrać, tylko wcześniej proszę koniecznie zmienić ubranie i wyraz twarzy.

Dotknęła lekko jego ręki i ruszyła w drogę powrotną do domu, kręcąc od niechcenia parasolką.

Crozier usłyszał przytłumiony dźwięk wybijanych szklanek. Była czwarta w nocy. W normalnych okolicznościach, gdyby okręt znajdował się na otwartych wodach, za pół godziny marynarze musieliby wstać ze swoich hamaków i zabrać się do czyszczenia pokładów i wszystkiego, co znajduje się w zasięgu ich wzroku. Jednak tutaj, pośród ciemności, lodu i wiatru - Crozier słyszał jego wycie w takielunku, co oznaczało, że być może nadchodzi kolejna śnieżycy, a był przecież dopiero dziesiąty listopada - marynarze mogli spać dłużej, aż do czterech szklanek porannej wachty. Do szóstej rano. Wtedy statek ożywał, wypełniony krzykami bosmanów i tupotem nóg marynarzy, którzy nie czekali, aż ich przełożeni spełnią swe groźby i odetną im hamaki.

W porównaniu z prawdziwą służbą na morzu marynarze mieli tutaj mnóstwo wolnego czasu; nie tylko późno wstawali, ale mogli też jeść śniadanie na niższym pokładzie do ośmiu szklanek, a dopiero potem zabierali się do swoich porannych obowiązków.

Crozier spojrzał na pustą butelkę i szklankę. Podniósł ciężki pistolet, załadowany kulą i prochem, i przez chwilę patrzył nań tępym wzrokiem.

Potem schował pistolet do kieszeni, zdjął płaszcz i zawiesił go na haczyku. Wylał szklaneczkę po whisky czystą ściereczką, którą Jopson zostawiał mu co wieczór w tym właśnie celu, i włożył naczynie do szuflady. Później wsadził pustą butelkę do wiklinowego koszyka z przykrywką, który Jopson stawiał co wieczór przy drzwiach w tym właśnie celu. Crozier wiedział, że następnego wieczora w koszu będzie nań czekała pełna butelka.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie ubrać się cieplej i nie wyjść na pokład - włożyć ciężkie, grube buty, wełniane okrycie, szalik i czapkę i wyjść w ciemną sztormową noc, poczekać na pobudkę i zejść na śniadanie ze swoimi oficerami, by potem pracować cały dzień bez snu.

Spędził już w podobny sposób niejedną noc.

Ale nie ten. Był zbyt zmęczony. Było też za zimno, by stał tutaj w bezruchu, okryty tylko czterema warstwami wełny. Wiedział, że czwarta nad ranem to najzimniejsza część nocy i pora, o której większość ciężko chorych i rannych ludzi żegna się z tym światem i przenosi do prawdziwie nieznanego kraju.

Crozier wsunął się pod koce i wtulił twarz w zimny materac z końskiego włosia. Wiedział, że minie co najmniej piętnaście minut, nim ciepło jego ciała rozgrzeje nieco pościel. Przy odrobinie szczęścia będzie już wtedy spał. Przy odrobinie szczęścia uda mu się przespać prawie dwie godziny, nim zacznie się kolejny dzień ciemności i mrozu. Przy odrobinie szczęścia, rozmyślał, pograży się we śnie, z którego w ogóle się nie obudzi.

IRVING

70°05' szerokości geograficznej północnej, 98°23' długości geograficznej zachodniej. 13 listopada 1847.

Cisza zniknęła, a zadaniem porucznika Johna Irvinga było ją odnaleźć.

Komandor nie wydał mu takiego rozkazu... niezupełnie. Ale komandor Crozier kazał mu opiekować się Eskimoską, kiedy w czerwcu komandorzy postanowili zatrzymać ją na pokładzie HMS *Terror*, i nigdy potem tego rozkazu nie odwołał, więc Irving czuł się za nią odpowiedzialny. Poza tym młody oficer był w niej zakochany. Wiedział, że to głupie - nawet szalone - zakochać się w dzikusce, kobiecie, która nie była nawet chrześcijanką, niewykształconej dziewczynie, która nie umiała mówić po angielsku ani w żadnym innym języku, bo przecież nie miała języka - lecz mimo to Irving zakochał się w niej. Było w niej coś, co sprawiało, że w jej obecności silnemu, wysokiemu Johnowi Irvingowi miękły kolana.

A teraz zniknęła.

Najpierw zauważyli, że nie ma jej w sypialni, którą dla niej wygospodarowali - małym pokoiku o ścianach ułożonych ze skrzynek, tuż przy izbie chorych. Stało się to przed dwoma dniami, w czwartek, ale ludzie przyzwyczajeni byli do dziwnych zwyczajów lady Ciszy i do jej nieobecności - często opuszczała statek, nawet w środku nocy, nikogo o tym nie informując. W czwartek po południu, jedenastego listopada, Irving zameldował komandorowi Crozierowi, że Cisza zniknęła, ale dwa dni wcześniej sam Irving, komandor i kilku innych marynarzy widziało ją na lodzie. Potem, gdy znaleziono szczątki Stronga i Evansa, znów zniknęła. Komandor mówił Irvingowi, żeby się nie martwił, że na pewno wróci.

Ale nie wróciła.

W ten sam czwartek rano nadciągnęła burza, która przyniosła ze sobą gwałtowne opady śniegu i silny wiatr. Marynarze, którzy przy świetle lamp odbudowywali kopce znaczące ścieżkę między *Terrorem* i *Erebusem* - wysokie na cztery stopy kolumny z lodowych cegieł - po południu zostali zmuszeni do powrotu na statek i od tej pory już nie wrócili na lód. Ostatni posłaniec z *Erebusa*, który przybył do nich w czwartek wieczorem i ze względu na śnieżycę musiał zostać na pokładzie *Terroru*, potwierdził, że lady Cisza nie przebywa na statku komandora Fitzjamesa. Nadszedł sobotni ranek, a śnieżycy wciąż nie ustępowała; choć wachta skrócona została do godziny, marynarze schodzący z górnego pokładu oblepieni byli lodem i przemarznięci do szpiku kości. Co trzy godziny na pokład wychodziła także grupa ludzi z siekierami, by oczyścić liny i maszty z lodu, inaczej bowiem statek mógłby się przewrócić na bok. Poza tym spadający lód był zagrożeniem dla marynarzy stojących na wachcie i niszczył pokład. Trzeba było także regularnie odśnieżać górny pokład, by warstwa śniegu nie urosła do wysokości, która uniemożliwiałaby otwarcie włazów.

Kiedy w sobotę wieczorem po kolacji porucznik Irving ponownie zameldował komandorowi Crozierowi, że Ciszy nadal nie ma statku, komandor powiedział:

- Jeśli jest na zewnątrz, pewnie już nie wróci, John. Ale jeśli chcesz, możesz przeszukać cały statek dziś wieczorem, kiedy ludzie pójdą już spać. Przynajmniej będziesz miał pewność, że jej tu nie ma.

Choć dyżur Irvinga dobiegł końca już przed kilkoma godzinami, młody oficer ponownie włożył grubą warstwę ubrań, zapalił lampę i wyszedł na pokład.

Pogoda nie poprawiła się ani trochę, może była nawet jeszcze gorsza niż pięć godzin wcześniej, kiedy Irving zszedł pod pokład na kolację. Z północnego zachodu dał silny wiatr, który

niósł ze sobą śnieg ograniczający widoczność do pięciu stóp. Wszystko okrywała warstwa lodu, choć z dziobu dochodziły odgłosy rąbania i pokrzykiwania pięcioosobowej grupy marynarzy. Irving przedarł się przez grubą na stopę warstwę świeżego śniegu, którą wiatr naniósł pod brezent, i trzymając przed sobą zapaloną lampę, szukał w ciemności któregoś z marynarzy stojących na wachcie.

Reuben Male, dowódca dziobówki, pełnił wachtę przy lewej burcie i nadzorował jednocześnie pracę marynarzy zbijających lód. Irving odnalazł go po krótkich poszukiwaniach, choć Male przypominał oblepioną śniegiem stertę wełny. Nawet jego twarz ukryta była pod prowizorycznym kapturem, owiniętym kilkakrotnie szalikami. Strzelba, którą trzymał pod pachą, oblepiona była lodem. Obaj musieli krzyczeć, by się słyszeć.

- Widzi pan coś, panie Male? - wrzeszczał porucznik Irving, pochylając się nad grubym wełnianym turbanem, będącym głową dowódcy dziobówki.

Male zsunął niżej jedną z warstw szalika. Jego nos był biały jak sople lodu.

- Ma pan na myśli marynarzy? Nie, tylko ich słyszę. Zastępuję młodego Kinnairda. Odsłaniał pokład podczas trzeciej wachty i jeszcze nie doszedł do siebie.

- Nie, pytam, czy widział pan coś na lodzie! - krzyknął ponownie Irving. Male roześmiał się.

- Żaden z nas nie widział lodu od czterdziestu ośmiu godzin, poruczniku. Dobrze pan o tym wie, był pan tu przecież wcześniej.

Irving skinął głową i poprawił szal, zakrywając szczelniej czoło i brodę.

- Nikt nie widział Ciszy... lady Ciszy?

- Co takiego? - Male pochylił się niżej, nadstawiając ucha.

- Lady Cisza! - wrzasnął Irving.

- Nie. Zdaje się, że nikt nie widział tej Eskimoski już od kilku dni. Musiała wyjść ze statku. Pewnie leży tam gdzieś martwa na lodzie. I dobrze, krzyżyk na drogę!

Irving skinął głową, poklepał ośnieżone ramię Male'a i ruszył w stronę rufy - trzymając się z dala od grotmasztu, wokół którego na pokład raz po raz spadały z hukiem wielkie kawały lodu i śniegu - by porozmawiać z Johnem Batesem, który pełnił wachtę przy prawej burcie.

Bates także niczego nie widział. Nie widział nawet pięciu marynarzy zmierzających do pracy na dziobie.

- Pan wybaczy, ale nie mam zegarka, a boję się, że w tym cholernym wietrze nie usłyszę, jak będą wybijali szklanki. Dużo jeszcze zostało do końca wachty?

- Usłyszysz pan szklanki, kiedy wybije je pan Male! - odkrzyknął Irving, pochylając się nad okrytą lodem wełnianą kulą, która była głową dwudziestosześcioletniego marynarza. - Przyjdzie tu zresztą do was, zanim zejdzie na pokład. Czekajcie cierpliwie, Bates.

- Tak jest.

Wiatr próbował zbić Irvinga z nóg, kiedy ten przeszedł na drugą stronę brezentowego namiotu, poczekał, aż z góry przestanie na chwilę spadać lód - nawet przez wycie wiatru słyszał krzyki i przekleństwa marynarzy pracujących na maszcie - potem szybko przedarł się przez dwie stopy świeżego śniegu zalegającego na pokładzie, zanurkował pod zamarznęty brezent i zszedł pod pokład.

Wcześniej przeszukał oczywiście wielokrotnie niższe pokłady - szczególnie przestrzeń za skrzynkami przy izbie chorych, gdzie Eskimoska miała swoje legowisko - teraz jednak poszedł na rufę. O tej porze na okręcie panowała cisza, przerywana jedynie trzaskami i tupotem nóg dochodzącymi z górnego pokładu, chrapaniem zmęczonych ludzi śpiących w hamakach, przekleństwami pana Diggle'a i brzękiem jego naczyń oraz nieustającym wyciem wiatru i

pojękiwaniem lodu.

Irving posuwał się powoli w dół ciemnej i wąskiej zejściówki. Prócz kajuty pana Male'a żadna z oficerskich kwater nie była pusta. Pod tym względem HMS *Terror* miał szczęście. Podczas gdy *Erebus* stracił już kilku oficerów, w tym sir Johna i porucznika Gore'a, na *Terrorze* nie umarł żaden z oficerów i podoficerów prócz młodego Johna Torringtona, szefa palaczy, który zmarł z przyczyn naturalnych i został pochowany półtora roku wcześniej na wyspie Beechey.

W Wielkiej Kajucie nie było nikogo, nikt zresztą nie wytrzymałby długo w dojmującym chłodzie, który panował tu od jakiegoś czasu; nawet książki stojące na półkach wyglądały na zziębnięte; drewniany przyrząd, który po nakręceniu odtwarzał muzykę z metalowych dysków, milczał już od wielu dni. Irving zdążył zauważyć, że w kajucie komandora Croziera wciąż pali się światło, nim przeszedłszy przez puste mesy oficerów i podoficerów, wrócił do schodów.

Na najniższym pokładzie jak zawsze było bardzo ciemno i zimno. Ostatnio marynarze rzadziej schodzili tu po zapasy - raczej żywnościowe ograniczono niemal do minimum po tym, jak lekarze odkryli, że ogromna część konserw uległa zepsuciu - rzadziej też przenoszono węgiel z ładowni do kotłowni, gdyż ograniczeniu uległy również godziny ogrzewania statku, Irving był więc tutaj zupełnie sam. Drewniane belki i pokryte szronem metalowe obejmy jęczały wokół niego, gdy przeciskał się przez wąski korytarz. Światło lampy z trudem rozpraszało gęsty mrok, w dodatku widok przysłańiała para wydobywająca się z jego ust, która w mroźnym powietrzu natychmiast zamieniała się w drobne kryształki lodu.

Nie znalazł lady Cisy w pomieszczeniach dziobowych - ani w magazynie cieśli, ani w magazynie bosmana, ani w całkiem już niemal pustym magazynie sucharów położonym tuż za tymi pomieszczeniami. Środkowa część najniższego pokładu wypełniona była niegdyś od podłogi do sufitu skrzyniami, beczkami i innymi pojemnikami z żywnością, które *Terror* zabrał ze sobą na morze, teraz jednak znaczna część pokładu świeciła pustkami. Tu także nie było lady Cisy.

Irving skorzystał z klucza, który pożyczył mu komandor Crozier, i wszedł do magazynu rumu. W bladym świetle lampy widział pełne jeszcze butelki brandy i wina, zdawał sobie jednak sprawę, że poziom rumu w głównym pojemniku - ogromnej beczce - jest niepokojąco niski. Wiedział też dobrze, podobnie jak wszyscy oficerowie Królewskiej Marynarki Wojennej, że kiedy rum się skończy - kiedy marynarze przestaną dostawać swoją dzienną porcję grogu - może dojść do buntu. Pan Helpman, klark, i pan Goddard, dowódca ładowni, donieśli ostatnio, że zapasy rumu wystarczą na jakieś sześć tygodni, i to tylko wtedy, jeśli standardowa porcja alkoholu równa ćwierci pinta, którą rozpuszcza się w trzech ćwierciach wody, zostanie zmniejszona o połowę. Takie posunięcie z pewnością też nie spodobałoby się załodze *Terroru*.

Irving nie wierzył, by lady Cisa mogła się zakraść do zamkniętego na klucz magazynu rumu, przeszukał jednak uważnie całe pomieszczenie, zaglądając pod stoły i między beczki. Patrzył także wyżej, na rzędy kordów, bagnetów i muszkietów ułożonych starannie na półkach pod sufitem.

Przeszedł na tył statku, do magazynu amunicji, wciąż wypełnionego sporym zapasem prochu i kul, zajrzał nawet do prywatnego magazynku Croziera, zobaczył tam jednak tylko kilka ostatnich butelek whisky komandora - jedzenie zostało rozdzielone między oficerów w ciągu kilku ostatnich tygodni. Następnie przeszukał magazyn żagli, magazyn ubrań, schowki na linę kotwiczną na rufie i magazynek sternika. Gdyby to on był Eskimoską usiłującą ukryć się na statku, rozmyślał Irving, wybrałby zapewne magazyn żagli, pełen nietkniętych zwojów płótna, pościeli i nieużywanego od miesięcy sprzętu żeglarskiego.

Nie było jej tam. Irving przestraszył się nieco w magazynie ubrań, kiedy w blasku jego lampki ukazała się wysoka, przygarbiona postać stojąca w rogu pomieszczenia, okazało się jednak, że był to

tylko jakiś wełniany płaszcz i czapka zawieszzone na kołku.

Zamknawszy za sobą drzwi, porucznik zszedł po schodach do ładowni.

Irving, choć ze względu na swą chłopięcą urodę i blond czuprynę wydawał się młodszy, niż był w rzeczywistości, nie zakochał się w Eskimosce tylko dlatego, że był spragnionym miłości prawiczkim. W rzeczywistości Irving miał znacznie większe doświadczenie w obcowaniu z płcią piękną niż większość tych chwalipiętów, którzy opowiadali ze swadą o swoich miłosnych podbojach. Kiedy skończył czternaście lat, jego wuj zaprowadził go do doków Bristolu, przedstawił go czystej i miłej prostytutce o imieniu Mol i zapłacił za jego inicjację - nie za krótką przygodę w bocznej uliczce, lecz cały wieczór, noc i dzień w czystym pokoju pod dachem starej gospody z oknami wychodzącymi na nabrzeże. John Irving zasmakował wtedy w cielesnych rozkoszach, którym oddawał się potem wiele razy.

Irving nie mógł też narzekać na brak powodzenia u kobiet z towarzystwa. Zalecał się do najmłodszej córki jednej z trzech najważniejszych rodzin w Bristolu, Dunwittów-Harrisonów, i owa dziewczyna, Emily, pozwoliła mu - ba, nawet go do tego zachęcała - na intymne kontakty, o jakich większość chłopców w jego wieku mogła tylko marzyć. Przybywszy do Londynu, gdzie miał uzupełnić swą edukację w zakresie artylerii na okręcie szkoleniowym HMS *Excellent*, Irving spędzał weekendy na spotkaniach i flirtowaniu z kilkoma atrakcyjnymi damami z wyższych sfer, wśród których znalazła się wielce uprzejma panna Sarah, nieśmiała, lecz nieprzewidywalna panna Linda oraz prawdziwie szokująca - w kontaktach sam na sam - panna Abigail Elisabeth Lindstrom Hyde-Berrie, z którą młody oficer, ku własnemu zaskoczeniu, wkrótce się zaręczył.

John Irving nie zamierzał się żenić. Przynajmniej niejako dwudziestokilkulatek - jego ojciec i wuj uczyli go, że w tych właśnie latach powinien zwiedzać świat i używać życia - i najprawdopodobniej również nie jako trzydziestokilkulatek. Nie widział też żadnego ważkiego powodu, dla którego miałby się żenić jako czterdziestokilkulatek. Dlatego też, choć Irving nigdy nie miał zamiaru pracować w Służbie Badawczej - nie lubił zimna, a perspektywa długich miesięcy spędzonych w mrozie i śniegu wydawała mu się przerażająca - tydzień po zaręczynach uległ namowom swych starszych kolegów, George'a Hodgsona i Freda Hornby'ego, i poszedł na HMS *Terror*, by ubiegać się o miejsce w załodze tego okrętu.

Komandor Crozier, który tego pięknego wiosennego poranka najwyraźniej miał kaca i paskudny humor, przyglądał im się spode łba, parskając gniewnie, wyzłośliwiał się i zadawał im mnóstwo pytań. Wyśmiał ich artyleryjskie szkolenie na okręcie pozbawionym masztów i pytał drwiąco, do czego mogą się przydać podczas rejsu na statku, którego jedynie uzbrojenie stanowiły strzelby i muszkiety. Potem spytał ich surowym tonem, „czy jako Anglicy wypełnią swój obowiązek wobec ojczyzny” (Irving zastanawiał się wtedy, co właściwie miało to znaczyć, skoro ci Anglicy większość czasu spędzali na zamrożonym morzu tysiące mil od domu), wreszcie poinformował ich, że zostali przyjęci.

Panna Abigail Elisabeth Lindstrom Hyde-Berrie była oczywiście zrozpaczona i zszokowana, że ich narzeczeństwo przeciągnie się na długie tygodnie, a może nawet lata, Irving pocieszał ją jednak, twierdząc, że pieniądze zarobione dzięki tej służbie będą im absolutnie niezbędne. Zapewniał ją także, że książka, którą napisze po powrocie z wyprawy, zapewni mu sławę i poważanie na całym świecie. Argumenty te przemawiały do rodziny panny Abigail, nawet jeśli ona sama nie czuła się przekonana. Później, kiedy zostali już sami, Irving przegnał jej łzy i gniew za pomocą uścisków, pocałunków i wprawnych pieszczot. Pocieszenie przybrało na koniec bardzo interesującą formę - Irving wiedział, że teraz może być już ojcem. Nie czuł jednak smutku, kiedy kilka tygodni później machał na pożegnanie pannie Abigail, podczas gdy *Terror* odsuwał się powoli od nabrzeża, ciągnięty

przez dwa holowniki. Nieszczęśliwa młoda dama stała w dokach Greenhite, ubrana w jedwabną zielono-różową sukienkę, z różową parasolką w dłoni, i machała mu na pożegnanie starannie dobraną chusteczką z różowego jedwabiu, wycierając jednocześnie nos znacznie tańszą, bawełnianą chustką.

Wiedział, że sir John jest całkiem pewien, iż jeszcze tego samego roku, po przepłynięciu Przejścia Północno-Zachodniego, zatrzymają się w Chinach, a potem w Rosji, planował więc zaciągnąć się na jakiś okręt Królewskiej Marynarki Wojennej pływający po tamtych wodach, a być może nawet zrezygnować z kariery w marynarce, napisać książkę przygodową i zająć się interesami swego wuja w Szanghaju.

W ładowni było jeszcze ciemniej i zimniej niż na najniższym pokładzie.

Irving nienawidził tego miejsca. Przypominało mu - w jeszcze większym stopniu niż jego zimna kajuta lub mroczny dolny pokład - grób. Schodził tutaj tylko wtedy, gdy musiał, zwykle by nadzorować składanie owiniętych płótnem zwłok - lub części zwłok - w zamykanej na klucz Kajucie Zmarłych. Przy każdej takiej okazji zastanawiał się, czy wkrótce ktoś nie będzie tam składał jego ciała. Podniósł lampkę i ruszył w stronę rufy.

Na pierwszy rzut oka kotłownia wydawała się pusta, po chwili jednak Irving dostrzegł ciało leżące na koi przy grodzi po prawej burcie. Nie paliła się tu żadna lampka, a w bladym czerwonym blasku wydobywającym się zza zamkniętych drzwiczek jednego z czterech kotłów ciało spoczywające na koi wydawało się martwe. Otwarte, nieruchome oczy mężczyzny wpatrywały się tępo w sufit. Wejście Irvinga nie spowodowało go do żadnej reakcji.

- Co pana tu sprowadza, poruczniku? - spytał James Thompson. Mechanik nadal nie odwrócił głowy ani nawet nie mrugnął. Kilka tygodni wcześniej przestał się golić, a jego szczupłą, bladą twarz pokrywał nierówny zarost. Miał głęboko zapadnięte oczy. Jego zmierzwione włosy posklejane były potem i sadzą. Przy niemal całkowicie wygaszonym ogniu w kotłowni było zimno, lecz Thompson miał na sobie tylko spodnie z szelkami i podkoszulek.

- Szukam Cisy - powiedział Irving. Mężczyzna na koi nadal wpatrywał się w sufit.

- Lady Cisy - wyjaśnił młody oficer.

- Eskimoskiej wiedźmy - odpowiedział mechanik.

Irving odchrząknął. W powietrzu unosiło się tyle pyłu węglowego, że trudno było oddychać.

- Widział pan ją, panie Thompson? A może słyszał pan coś niezwykłego?

Thompson, który nadal nie obrócił głowy ani nie mrugnął, roześmiał się cicho w odpowiedzi. Był to dziwny, niepokojący dźwięk - przypominał grzechot drobnych kamieni zamkniętych w słoju - który zakończył się głuchym kaszlem.

- Proszę posłuchać - powiedział mechanik.

Irving przekrzywił głowę. Słyszał te same dźwięki, które towarzyszyły mu od miesięcy, choć tutaj, w ładowni, wydawały się głośniejsze; jęki lodu napierającego na statek, jeszcze głośniejsze jęki żelaznych zbiorników i wzmocnień z przodu i z tyłu kotłowni, odległe wycie wiatru, huk spadającego lodu i śniegu, który wprawiał w drżenie poszycie statku, odgłosy drapania i nieustanne posykiwania, piski i sapanie dochodzące z kotła i okalających go rur.

- Na tym statku jest ktoś jeszcze... albo coś jeszcze. Słyszę jego oddech - przemówił po chwili Thompson. - Słyszysz pan to?

Irving wyteżył słuch, nie dosłyszał jednak niczego; mógł tylko stwierdzić, że to kocioł wydaje z siebie dźwięki przypominające ciężki oddech wielkiego zmęczonego zwierzęcia.

- Gdzie są Smith i Johnson? - spytał oficer, wymieniając nazwiska dwóch palaczy, którzy mieli tu pracować z Thompsonem przez całą dobę.

Mechanik wzruszył ramionami.

- Teraz wsypujemy tak mało węgla, że potrzebuję ich tylko na kilka godzin w ciągu dnia. Większość czasu spędzam, przeciskając się między tymi rurami i zaworami, poruczniku. Łatam. Zaklejam. Wymieniam. Staram się, żeby to... coś... działało jak należy, żeby pompowało ciepłą wodę przez dolny pokład tych kilka godzin dziennie. Za dwa, góra trzy miesiące i tak nie będzie to miało znaczenia. Już teraz nie mamy dość węgla, żeby uruchomić silniki. Niedługo zabraknie nam nawet węgla do ogrzewania.

Irving słyszał o tych prognozach w mesie oficerskiej, jednak nie interesował się nimi specjalnie. Trzy miesiące wydawały mu się teraz całą wiecznością. W tej chwili musiał upewnić się, że Ciszy nie ma na pokładzie, i zameldować o tym komandorowi. Potem musiał spróbować odszukać ją gdzie indziej. Następnie musi przeżyć kolejne trzy miesiące. Brakiem węgla będzie się martwić później.

- Słyszał pan te plotki, poruczniku? - spytał mechanik, nadal nie wykonując najmniejszego choćby ruchu.

- Nie, panie Thompson, jakie plotki?

- Że to... coś z lodu, ta zjawia, ten diabeł... wchodzi na statek, kiedy tylko zechce, i przechadza się nocą po ładowni - odparł Thompson.

- Nie. - Irving pokręcił głową. - Nie słyszałem o tym.

- Jeśli zostanie pan tu sam na dłużej, przynajmniej na kilka wacht, wszystko pan usłyszysz i zobaczy - powiedział mechanik.

- Dobranoc, panie Thompson.

Irving podniósł lampkę i wrócił do zejściówki, kierując się w stronę dziobu.

Na tym pokładzie zostało mu już niewiele miejsc do sprawdzenia, nie zamierzał więc przebywać tu dłużej, niż było to naprawdę konieczne. Kajuta Zmarłych była zamknięta; porucznik nie poprosił wcześniej komandora o klucz, a upewniwszy się, że zamek jest nietknięty, przeszedł dalej. Nie chciał widzieć, co wydaje odgłosy mlaskania i skrobienia dochodzące go zza grubych dębowych drzwi.

Wielkie żelazne zbiorniki na wodę ustawione wzdłuż burty statku z pewnością nie nadawały się na kryjówkę, Irving przeszedł więc do ładowni z opałem. Worki z węglem, które niegdyś wypełniały te pomieszczenia od podłogi do sufitu, zajmowały teraz tylko niewielką przestrzeń pod ścianami, ułożone jeden obok drugiego niczym zaporę z worków z piaskiem. Nie wyobrażał sobie, by lady Cisza ukryła się w jednej z tych mrocznych, śmierdzących nor - podłoga pokryta była warstwą ścieków, wszędzie roiło się też od szczurów - musiał jednak sprawdzić.

Przeszukawszy wszystkie schowki i magazynki na śródokręciu, porucznik Irving przeszedł do skrzynek i beczek z zapasami złożonych w skrajniku dziobowym, dokładnie pod wielkim piecem pana Diggle'a umocowanym dwa pokłady wyżej. Różnego rodzaju pojemniki i worki zawieszone pod grubymi belkami upodabniały to miejsce do labiryntu i zmuszały porucznika, by szedł zgięty niemal wpół, choć i tak było tu znacznie mniej skrzynek, beczek, stert i worków niż przed trzydziestoma miesiącami.

Ale więcej szczurów. Znacznie więcej.

Sprawdzając wszystkie duże skrzynki i beczki, upewniając się, że są zamknięte lub puste, Irving wyszedł właśnie zza wąskich schodów prowadzących na najniższy pokład, gdy do jego uszu dotarło przytłumione sapanie i postękiwanie, a tuż za kręgiem światła rzucanego przez lampę poruszyło się coś białego. Było duże i z pewnością nie było kobietą.

Irving nie miał bronii. Przez moment zastanawiał się, czy powinien rzucić lampę i uciec. Oczywiście nie zrobił tego. Uczynił krok do przodu i przemawiając z mocą i stanowczością, o jaką

nawet siebie nie podejrzewał, rzucił:

- Kto tam? Nazwisko!

Potem ich zobaczył. Magnus Manson, największy i najgłupszy uczestnik ekspedycji, wkładał właśnie spodnie, zmagając się nerwowo z guzikami. Kilka stóp dalej stał Cornelius Hickey, mający ledwie pięć stóp wzrostu mat uszczelniając o paciorkowatych oczach i lisiej twarzy. Hickey naciągał szelki na ramiona.

Irvingowi opadła szczeka. Dopiero po kilku sekundach pojął, czego był świadkiem - pederacji. Oczywiście słyszał o takich praktykach, żartował z nich ze swymi matami, widział niegdyś, jak chłostano chorążego z Excellenta, który przyznał się do takich czynów, nigdy jednak nie sądził, że trafi na okręt, gdzie... że będzie służył z ludźmi, którzy...

Manson zrobił krok w jego stronę. Był tak wielki, że gdy chodził pod pokładem, musiał się zawsze garbić, co z przyzwyczajenia robił potem także na otwartym powietrzu. Teraz zbliżał się do niego powoli niczym kat do swej ofiary.

- Magnus - syknął Hickey. - Nie.

Irving otworzył usta jeszcze szerzej. Czyżby ci... pederacji... mu grozili? Karą zalecaną w Królewskiej Marynarce Wojennej za pederastie była śmierć przez powieszenie, a dwieście batów, które wymierzano, przeganiając winowajcę wokół floty - dosłownie od statku do statku w porcie - uważano za wyraz wielkiej pobłażliwości.

- Jak śmiesz? - przemówił wreszcie Irving, choć sam nie wiedział, czyjego słowa odnoszą się do zachowania Mansona, czy też do aktu, którego przed chwilą się dopuścił.

- Poruczniku - odezwał się Hickey, wyrzucając z siebie sylaby z akcentem typowym dla marynarzy z Liverpoolu - pan pozwoli, że wszystko wyjaśnię. Pan Diggle przysłał nas tutaj po mąkę. Jakiś cholerny szczur wbiegł Mansonowi pod nogawkę, więc chłopak próbował go wyrzucić. Te szczury to prawdziwe utrapienie.

Irving wiedział, że w tej chwili pan Diggle nie piecze jeszcze sucharów i że na wyższym pokładzie jest jeszcze mnóstwo mąki. Hickey nawet nie starał się wymyślić jakiegoś wiarygodnego kłamstwa. Jego paciorkowate, chytne oczy przywodziły Irvingowi na myśl szczury biegające wokół nich w ciemności.

- Bylibyśmy wdzięczni, gdyby pan o tym nikomu nie mówił - kontynuował Hickey. - Wszyscy śmialiby się z Magnusa, że boi się zwykłego szczura.

Słowa te były wyzwaniem i wyrazem nieposłuszeństwa. Niemal rozkazem. Hickey patrzył beczelnie prosto w oczy Irvinga, podczas gdy Magnus stał nieruchomo, z zaciśniętymi pięściami, wielki, głupi osiłek, czekający na następny rozkaz swego małego kochanka.

Milczenie przeciągało się w nieskończoność. Lód jęczał za burtami statku, skrzypiały deski. Szczury biegały po podłodze.

- Wynoście się stąd - powiedział wreszcie Irving. - Już.

- Tak jest, sir. Dziękujemy, sir - odparł Hickey. Odsłonił małą lampkę, która stała na pokładzie za jego plecami. - Chodź, Magnus.

Obaj mężczyźni wspięli się na wąskie schody i zniknęli w ciemnościach najniższego pokładu.

Irving stał w bezruchu przez kilka dobrych minut, nasłuchując, lecz nie słysząc odgłosów napływających doń z głębi okrętu.

Gdyby zameldował o tym komandorowi Crozierowi, doszłoby do procesu. Manson, dyżurny głupek wyprawy, cieszył się sympatią swych towarzyszy, choć nieraz wyśmiewali się z jego zabobonnego lęku przed duchami i goblinami. Magnus wykonywał pracę, którą inaczej musiałoby się zajmować trzech marynarzy. Hickey, choć niespecjalnie lubiany przez innych podoficerów i

oficerów, szanowany był przez większość marynarzy, zawsze potrafił bowiem zdobyć dla swych przyjaciół dodatkową porcję tytoniu lub rumu.

John Irving przypuszczał, że Crozier nie powiesiłby żadnego z nich, jednak od kilku tygodni miał paskudny nastrój, z pewnością więc kara byłaby surowa. Wszyscy na okręcie wiedzieli, że przed kilkoma tygodniami komandor zagroził Mansonowi zamknięciem w Kajucie Zmarłych, wraz z trupem jego byłego kamrata, Walkera, gdyby wielki idiota ponownie odmówił noszenia węgla do ładowni. Zapewne nikt by się nie zdziwił, gdyby komandor wykonał teraz ten wyrok.

Z drugiej strony, rozmyślał młody oficer, cóż właściwie widział? Co mógłby powiedzieć, z ręką na Biblii, gdyby przyszło mu świadczyć przed sądem? Nie widział żadnego nienaturalnego aktu. Nie przyłapał dwóch pederastów na kopulacji... ani w żadnej nienaturalnej pozycji. Słyszał posapywanie i stękanie, jakiś przytłumiony szept, i widział, jak obaj mężczyźni naciągają spodnie i wkładają do nich koszule.

W normalnych okolicznościach wystarczyłoby to do powieszenia ich obu. Lecz tutaj, na lodzie, gdzie w ciągu najbliższych miesięcy, a może i lat nie mogli spodziewać się żadnego ratunku...

Po raz pierwszy od wielu lat John Irving miał ochotę usiąść i zapłakać. Jego życie skomplikowało się właśnie do niewyobrażalnego stopnia. Gdyby doniósł na tych dwóch pederastów, żaden z jego towarzyszy - oficerów, przyjaciół, podwładnych - nigdy już nie spojrzałby na niego w ten sam sposób.

Jeśli nie zamelduje, narazi się na nieustające akty bezczelności ze strony Hickeya. Wyczuwszy jego słabość, mat uszczelniacz być może zechce szantażować go przez długie tygodnie i miesiące wspólnej podróży. Irving wiedział też, że już nigdy nie spałby spokojnie ani nie czułby się bezpiecznie na wachcie czy też w swojej kajucie - na tyle, na ile można było czuć się bezpiecznie w obecności potwora, który zabijał ich jednego po drugim - czekając bezustannie, aż na jego gardle zamkną się wielkie białe ręce Mansona.

- A niech mnie szlag. - Irving westchnął głośno. Uświadomiwszy sobie, co właśnie powiedział, roześmiał się głośno - jego śmiech, choć słaby i krótkotrwały, zabrzmiał bardziej złowieszczo niż słowa.

Zajrzawszy do wszystkich możliwych kryjówek, prócz kilku beczek i schowka na linę kotwiczną na dziobie, gotów był zaprzestać poszukiwań, nie chciał jednak wychodzić na dolny pokład, dopóki Hickey i Manson nie znikną mu z oczu.

Irving minął puste skrzynki kołyszące się lekko na wodzie - w pobliżu dziobu, położonego niżej niż inne części przechylonego statku, lodowata woda sięgała Irvingowi ponad kostki. Wiedział, że jeśli wkrótce się stąd nie wyniesie, z całą pewnością odmrozi sobie palce u nóg.

Schowek na linę kotwiczną znajdował się na samym dziobie, w miejscu, gdzie burty łączyły się ze sobą. Nie było to pomieszczenie duże ani przytulne - za podwójnymi drzwiami wysokości trzech stóp kryła się komórka wyższa zaledwie o stopę, wypełniona w większości zwojami grubych lin kotwicznych. Na dodatek śmierdziało tu zawsze mułem, nawet wiele miesięcy po tym, jak statek wciągnął kotwicę na pokład.

Irving otworzył skrzypiące drzwi schowka i podniósł lampę do oczu. Jęki i trzaski lodu brzmiały szczególnie głośno w tym miejscu, gdzie dziób i bukszpryt tkwiły wciśnięte w przemieszczający się pak.

Lady Cisza poderwała głowę, a blask lampy odbił się w jej oczach niczym w ślepiach kota.

Była zupełnie naga - jedna warstwa biało-brązowych futer leżała na podłodze, niczym dywan, druga zaś okrywała tylko jej ramiona i plecy.

Podłoga schowka znajdowała się co najmniej o stopę wyżej niż zalany wodą pokład. Lady

Cisza odsunęła liny kotwiczne na bok, urządzając sobie coś na kształt niewielkiej, wyłożonej futrami jaskini. W puszcze po konserwie, wypełnionej olejem lub foczym tłuszczem, płonął ogień, który zapewniał jej światło i odrobinę ciepła. Eskimoska jadła właśnie kawał czerwonego, surowego, pokrwawionego mięsa. Cięła je na plastry krótkim, lecz bez wątpienia bardzo ostrym nożem i wkładała odkrojone kawałki do ust. Rękojeść noża wykonana była z kości lub rogu i ozdobiona jakimś wzorem. Lady Cisza klęczała, pochylona nad ogniem i mięsem, a jej małe piersi zwieszały się w dół, co przywodziło na myśl wykształconemu Irvingowi posąg wilczycy karmiącej Romulusa i Remusa.

- Najmocniej panią przepraszam - powiedział Irving. Dotknął czapki i zamknął drzwiczki.

Cofnąwszy się o krok w zimnej brei i wystraszywszy kilka szczurów, młody oficer po raz drugi w ciągu kilku minut starał się otrząsnąć z szoku i zacząć trzeźwo myśleć.

Komandor musiał się dowiedzieć o kryjówce Ciszy. Wymagały tego choćby względy bezpieczeństwa - otwarty ogień stanowił ogromne zagrożenie dla drewnianego statku.

Skąd jednak wzięła nóż? Wyglądał raczej jak dzieło Eskimosów, a nie narzędzia, które przewozili na statku. Przeszukali ją przecież dokładnie przed sześcioma miesiącami. Czy mogła wtedy coś przed nimi ukryć?

Co jeszcze mogła ukrywać?

I to świeże mięso.

Irving był pewien, że na statku nie ma świeżego mięsa. Czyżby wychodziła na polowanie? W ciemności i śniegu? I na cóż mogła polować?

Jedynymi zwierzętami, które żyły na lodzie lub pod lodem w pobliżu *Terroru* i *Erebusa*, były białe niedźwiedzie i nieuchwytne monstrum.

Nagle przysła mu do głowy straszliwa myśl. Przez sekundę miał ochotę wrócić do Kajuty Zmarłych i jeszcze raz sprawdzić zamek.

Potem naszła go myśl jeszcze straszniejsza.

Znaleźli tylko połówki ciał Williama Stronga i Thomasa Evansa.

Porucznik John Irving ruszył w stronę rufy, ślizgając się na lodzie ukrytym pod warstwą zimnej wody, odszukał w ciemnościach schody i wspiał się pospiesznie na dolny pokład.

GOODSIR

70°05' szerokości geograficznej północnej, 98°23' długości geograficznej zachodniej. 20 listopada 1847.

Z prywatnego dziennika doktora Harry'ego D.S. Goodsira:

Sobota, 20 listopada 1847

Nie mamy dość jedzenia, by przetrwać kolejną zimę i lato na lodzie.

Powinniśmy mieć. Sir John zaopatrzył okręty w prowiant na trzy lata przy pełnych racjach dla całej załogi, pięć lat przy zredukowanych racjach i na siedem lat przy bardzo skromnych, lecz wciąż wystarczających racjach. Według obliczeń sir Johna - i komandorów jego statków, Croziera i Fitzjamesa - zapasy zgromadzone na HMS Erebus i Terror powinny wystarczyć co najmniej do 1852 roku.

Tymczasem okazało się, że zapasy wyczerpią się już najbliższej wiosny. A jeśli wszyscy pomrzemy z tego powodu, to będzie można śmiało powiedzieć, że zostaliśmy zamordowani.

Doktor McDonald z Terroru już od jakiegoś czasu miał pewne podejrzenia względem zapasów konserw i podzielił się nimi ze mną po śmierci sir Johna. Problem zepsutych konserw pojawił się już wcześniej, podczas naszej pierwszej wyprawy na Ziemię Królu Williama zeszłego lata. W październiku poprosiliśmy komandora Croziera i komandora Fitzjamesa, by pozwolili nam przeprowadzić pełną inwentaryzację zapasów. Potem cała nasza czwórka - oczywiście przydzielono nam do pomocy kilku marynarzy, którzy przestawiali ciężkie skrzynie i beczki na obu dolnych pokładach oraz otwierali wybrane losowo puszki - przeprowadziła inwentaryzację dwukrotnie, by nie popełnić błędu.

Ponad połowa konserw na obu statkach do niczego się nie nadaje.

Trzy tygodnie temu powiedzieliśmy o tym obu komandorom na zamkniętym spotkaniu w byłej kajucie sir Johna. Fitzjames, który nominalnie nadal ma stopień komandora porucznika, traktowany jest przez Croziera, nowego dowódcę ekspedycji, jak prawdziwy komandor, inni więc także traktują go w ten sposób. W spotkaniu uczestniczyła nasza czwórka, Crozier i Fitzjames.

Komandor Crozier - muszę pamiętać, że to jednak Irlandczyk - wpadł w furję, jakiej jeszcze nigdy nie widziałem. Zażądał natychmiastowych i pełnych wyjaśnień, jakbyśmy to my, lekarze, byli odpowiedzialni za prowiant podczas tej ekspedycji. Fitzjames z kolei zawsze żywił jakieś podejrzenia w stosunku do konserw i dostawcy, który nas w nie zaopatrzył - jako jedyny członek wyprawy i Admiralicji wyrażał wcześniej głośno swoje zastrzeżenia

- Crozier nie mógł jednak uwierzyć, że ktoś mógłby dopuścić się takiego oszustwa względem okrętów Królewskiej Marynarki Wojennej.

John Peddie, główny lekarz okrętowy z Terroru, spędził na morzu więcej czasu niż którykolwiek z naszej lekarskiej czwórki, służył jednak głównie na pokładzie HMS Mary - wraz z bosmanem Croziera, Johnem Lane 'em - i to na Morzu Śródziemnym, gdzie konserwy stanowiły tylko drobną część zapasów zgromadzonych na okręcie. Mój bezpośredni przełożony, główny lekarz okrętowy Erebusa, Stephen Stanley, także nie miał doświadczenia z tak dużymi ilościami puszkowanego prowiantu. Szczególnie wyczulony na zagrożenie skorbutem i przekonany o konieczności stosowania zróżnicowanej diety, doktor Stanley był zszokowany, gdy nasza inwentaryzacja wykazała, iż co najmniej połowa konserw z warzywami, mięsem i zupami, które zostały jeszcze na naszych statkach, może być zepsutą i niejadalną.

Tylko doktor McDonald, który pracował z panem Helpmanem - klarkiem komandora

Croziera - podczas aprowizacji, miał swoją teorię na ten temat.

Jak już wspomniałem kilka miesięcy temu w tym dzienniku, oprócz dziesięciu tysięcy skrzynek zgotowanym, konserwowanym mięsem mamy na Erebusie konserwy z pieczoną baraniną, cielęciną, z różnymi warzywami, takimi jak ziemniaki, marchewka i pasternak, z różnego rodzaju zupami oraz dziewięć tysięcy czterysta pięćdziesiąt funtów czekolady.

Alex McDonald współpracował jako przedstawiciel medyczny naszej ekspedycji z głównym inspektorem Deptford Victualling Yard oraz z niejakim Stephanem Goldnerem, dostawcą puszkowanej żywności dla naszej wyprawy. McDonald przypomniał komandorowi Crozierowi, że do przetargu na zaopatrzenie ekspedycji sir Johna w konserwy stanęło czterech przedsiębiorców - firmy Hogarth, Gamble, Cooper&Aves oraz firma wspomnianego powyżej pana Goldnera. Doktor McDonald przypomniał również komandorowi, że oferta Goldnera była o połowę tańsza od ofert pozostałych trzech (znacznie lepiej znanych) dostawców. W dodatku, podczas gdy pozostali przedsiębiorcy zobowiązywali się dostarczyć prowiant w ciągu miesiąca lub trzech tygodni, Goldner zapewniał natychmiastową dostawę (nie pobierając przy tym dodatkowych opłat za przepakowanie konserw do skrzynek i transport). Oczywiście taka natychmiastowa dostawa była niemożliwa, a Goldner straciłby fortunę, gdyby jego żywność miała taką jakość i była przygotowana w taki sposób, jakie opisał w ofercie, jednak nikt prócz komandora Fitzjamesa nie zwrócił wówczas na to uwagi.

Admiralicja oraz trzech członków Służby Badawczej - wszyscy zaangażowani w proces decyzyjny, prócz doświadczonego kontrolera Deptford Victualling Yard - natychmiast zarekomendowali przyjęcie oferty Goldnera, wartej trzy tysiące osiemset funtów (prawdziwy majątek dla każdego Anglika, nie mówiąc już o cudzoziemcach - a jak wyjaśnił doktor McDonald, Goldner był w rzeczywistości cudzoziemcem. Jego jedyna fabryka konserw mieściła się w Mołdawii). Goldner miał zrealizować jedno z największych zamówień w historii Admiralicji - dziewięć tysięcy pięćset puszek mięsa i warzyw o ciężarze od jednego do ośmiu funtów oraz dwadzieścia tysięcy puszek z zupą.

McDonald przyniósł na spotkanie ulotkę reklamową Goldnera - Fitzjames rozpoznał ją od razu - a jej treść przyprawiła mnie niemal o zawroty głowy; siedem rodzajów baraniny, czternaście dań z cielęciny, trzynaście odmian jagnięciny. Na liście znajdowało się także mięso z zająca, pardwa górska, królik (w sosie cebulowym lub curry), bażant oraz pół tuzina innych rodzajów dziczyzny. Gdyby Służba Badawcza zechciała zakupić owoce morza, Goldner oferował puszkowane homary, dorsze, żółwie z Indii Zachodnich, steki z łososia ipiklingiz Yarmouth. Ulotka Goldnera wymieniała także bardziej wytworne dania, takie jak bażant z truflami, języki wołowe w pikantnym sosie i wołowina po flamandzku.

- W rzeczywistości - mówił doktor McDonald - dostajemy zazwyczaj soloną koninę w zaprzęgu z beczką.

Byłem już na morzu dość długo, by poznać znaczenie tego wyrażenia - marynarze nazywali tak koninę, którą dostarczano im zamiast obiecaney wołowiny. Oczywiście, tak czy inaczej jedli ją bez słowa protestu.

- Ale Goldner oszukał nas znacznie gorzej - mówił McDonald przed obliczem siniego z wściekłości komandora Croziera i kiwającego gniewnie głową komandora Fitzjamesa. - Wsadził tanie mięso do puszek z etykietami, które na jego ulotce miały znacznie wyższą cenę - na przykład zwykły gulasz wołowy do puszki z napisem „Rumsztyk wołowy”. Zwykły gulasz kosztował dziewięć pensów, a rumsztyk już czternaście.

- Na miłość boską, człowieku - wybuchnął Crozier. - Robi to każdy dostawca

współpracujący z Admiralicją. Oszukiwanie marynarki to proceder stary jak świat. To nie tłumaczy, dlaczego nagle zostaliśmy niemal bez zapasów.

- Nie, komandorze - kontynuował spokojnie McDonald. - W tym wypadku chodzi o gotowanie i lutowanie.

- Co takiego? - zachnął się Irlandczyk, z wielkim trudem utrzymując nerwy na wodzy. Twarz Croziera była purpurowo-biała.

- Gotowanie i lutowanie - powtórzył Alex. - Pan Goldner chwalił się, że stosuje opatentowany proces gotowania, podczas którego dodaje dużą dawkę azotanu sodu i chlorku wapnia do ogromnych kadzi z wrzącą wodą, by w ten sposób podnieść temperaturę... głównie jednak, by przyspieszyć produkcję.

- Ico w tym złego? - wypytywał Crozier. - Dostawy konserw i tak były spóźnione. Coś trzeba było zrobić, żeby Goldner zdążył przed wypłynięciem statków. Ten jego patentowany proces przyspieszył całą sprawę.

- Tak jest, komandorze - zgodził się z nim doktor McDonald. - Ale wygląda na to, że przyspieszył za bardzo. Wielu lekarzy, łącznie ze mną, uważa, że dzięki odpowiednio długiemu gotowaniu można się pozbyć z jedzenia trujących substancji, które mogą wywoływać choroby - ja jednak osobiście przyglądałem się procesowi Goldnera i mogę stwierdzić, że po prostu nie gotował mięsa, warzyw i zup wystarczająco długo.

- Dlaczego nie zameldował pan o tym członkom komisji Służby Badawczej? - warknął Crozier.

- Zrobił to - odrzekł ze znużeniem komandor Fitzjames. - Ja zresztą też. Ale jedynym człowiekiem, który nas słuchał, był kontroler z Deptford Victualling Yard, a on nie miał prawa głosu na ostatecznym zebraniu komisji.

- Chcecie więc powiedzieć, że ponad połowa naszego prowiantu zepsuła się w ciągu ostatnich trzech lat z powodu złego procesu gotowania? - Twarz Croziera nadal pokryta była mozaiką białych i szkarłatnych plam.

- Tak - potwierdził Alex McDonald. - Ale równie istotne, naszym zdaniem, było lutowanie.

- Lutowanie puszek? - spytał Fitzjames. Najwyraźniej jego zastrzeżenia wobec Goldnera nie obejmowały tego szczegółu technicznego.

- Tak jest, komandorze - odpowiedział mu pomocnik lekarza z Terroru. - Przechowywanie jedzenia w puszkach to nowy wynalazek, jeden ze zdumiewających cudów naszego wieku techniki - zdążyliśmy się już jednak nauczyć, że właściwe lutowanie kołnierza na łączeniu blachy, z której zrobiona jest puszka, ma ogromne znaczenie dla trwałości jedzenia zamkniętego w tejże.

- A ludzie Goldnera nie zalutowali tych puszek właściwie? - spytał Crozier ghsem przypominającym warczenie jakiegoś dzikiego zwierzęcia.

- Owszem, w blisko sześćdziesięciu procentach konserw, które sprawdziliśmy. - McDonald skinął głową. - W wyniku tego niedbalstwa łączenia na puszkach były nieszczelne, a to z kolei przyspieszyło rozkład zamkniętych w środku wiktualów: wołowiny, cielęciny, warzyw, zup i tak dalej.

- Jak? - spytał komandor Crozier, kręcąc głową niczym człowiek oszołomiony potężnym ciosem. - Wpłynęliśmy na wody polarne wkrótce po opuszczeniu Anglii. Wydawało mi się, że jest tu wystarczająco zimno, żeby zakonserwować wszystko do dnia Sądu Ostatecznego.

- Najwyraźniej stało się inaczej - odparł McDonald. - Wiele z pozostałych dwudziestu dziewięciu tysięcy puszek Goldnera pękło. Wiele innych już nabrzmiało od nadmiaru gazów gnilnych. Być może jeszcze w Anglii dostały się do puszek jakieś szkodliwe gazy. Być może jakieś

mikroskopijne animalkulaty, nieznane jeszcze naszej medycynie i nauce, zagnieździły się w puszkach podczas transportu albo nawet jeszcze w fabryce Goldnera.

Crozier zmarszczył brwi.

- Animalkulaty? Rozmawiamy o rzeczywistości, a nie o bajkach, panie McDonald.

Pomocnik lekarza wzruszył tylko ramionami.

- Być może dla pana to bajka, komandorze, ale w odróżnieniu ode mnie nie spędził pan setek godzin, wpatrując się w okular mikroskopu. Mamy jeszcze bardzo małą wiedzę na temat tych animalkulatów, ale zapewniam pana, że gdyby zobaczył pan, ile ich mieści się w jednej kropli słodkiej wody, od razu by pan otrzeźwiał.

Crozier, który do tej pory już się nieco uspokoił, znów poczerwieniał, słysząc uwagę odnoszącą się do jego nazbyt częstych przygód z alkoholem.

- W porządku. Spora część zapasów się popsuła - rzekł szorstko. - Co możemy zrobić, żeby uratować pozostałe konserwy?

Odchrząknąłem, by zwrócić na siebie uwagę Croziera.

- Jak pan wie, komandorze, latem marynarze mieli dostawać codziennie funt i ćwierć solonego mięsa, a tylko pint groszku i trzy ćwierci funta kaszy jęczmiennej na tydzień. Jednak dostawali też codziennie suchary i chleb. Kiedy nadeszła zima, obcięliśmy racje mąki do pieczenia chleba o dwadzieścia pięć procent, żeby zaoszczędzić na węglu. Gdybyśmy gotowali dłużej jedzenie z pozostałych puszek i wrócili dopieczenia chleba, nie tylko zapobieglibyśmy dalszemu niszczeniu konserw, ale i skorbutowi.

- Niemożliwe - warknął Crozier. - W tej chwili i tak ledwie wystarczy nam węgla na ogrzanie obu statków do kwietnia. Jeśli pan mi nie wierzy, proszę spytać mechanika Gregory'ego albo mechanika Thompsona z Terroru.

- Wierzę panu, komandorze - odparłem ze smutkiem. - Rozmawiałem z obydwojma mechanikami. Ale jeśli nie będziemy gotować jedzenia z puszek, prawdopodobieństwo zatrucia znacznie wzrośnie. Jedyne, co możemy teraz zrobić, to wyrzucić zepsute konserwy i unikać tych, które wyglądają podejrzanie. To i tak drastycznie zmniejszy nasze zapasy.

- A co z kuchenkami na eter? - spytał Fitzjames, ożywiając się nieco. - Moglibyśmy ich używać do podgrzewania konserw i innych podejrzanych potraw.

Tym razem to McDonald pokręcił głową.

- Sprawdziliśmy to, komandorze. Wraz z doktorem Goodsirem próbowaliśmy podgrzać gulasz wołowy z konserwy na kuchence eterowej. Jedna butelka eteru o pojemności pinta to zbyt mało, by podgrzać jedzenie do odpowiedniej temperatury. Poza tym ludzie podróżujący z saniami - czyli być może my wszyscy, jeśli będziemy musieli opuścić statki - będą potrzebowali tych kuchenek do topienia śniegu i lodu na wodę. Powinniśmy zachować jak największy zapas eteru spirytusowego.

- Uczestniczyłem w wyprawie porucznika Gore'a do Ziemi Króla Williama. Codziennie używaliśmy kuchenek na eter - dodałem cicho. - Marynarze zużywali tylko tyle eteru, ile trzeba było do rozmrożenia zupy, a potem rzucali się na nią jak zwierzęta. Jedzenie było ledwie letnie.

W kajucie zapadła cisza.

- Mówicie, że ponad połowa konserw, która miała nam wystarczyć na kolejny rok lub dwa - gdyby zaszła taka konieczność - uległa zepsuciu - przemówił wreszcie Crozier. - Nie mamy dość węgla, żeby zagotować to jedzenie ponownie, ani na dużych piecach Frazera na Erebusie i Terrorze, ani na mniejszych piecykach z szalup. Nie mamy też dość paliwa, żeby podgrzać je na kuchenkach eterowych. Co więc możemy zrobić?

Wszyscy pozostali uczestnicy narady - czterej lekarze i komandor Fitzjames - milczeli. Jedynym rozwiązaniem było opuszczenie statków i wyprawa w poszukiwaniu jakiegoś bardziej sprzyjającego miejsca, być może jakiegoś lądu na południu, gdzie moglibyśmy upolować jakieś zwierzęta.

Jakby czytając w naszych myślach, Crozier uśmiechnął się - pomyślałem wówczas, że to wyjątkowy, szalony uśmiech prawdziwego Irlandczyka - i oświadczył:

- Problem w tym, panowie, że żaden z naszych marynarzy ani nawet żaden z naszych żołnierzy nie wie, jak złapać i zabić fokę lub morsa - gdyby te zwierzęta kiedykolwiek znów zechciały się nam pokazać - nie ma też doświadczenia w polowaniu na duże zwierzęta, takie jak karibu.

Żaden z nas nie próbował nawet zaprzeczać.

- Dziękuję wam za wasze starania, za trud, który włożyliście w przeprowadzenie inwentaryzacji, i za doskonale przygotowany raport, panie Peddie, panie Goodsir, panie McDonald i panie Stanley. Będziemy oddzielać konserwy, które uznacie za szczelne i bezpieczne, od tych, które nie zostały należycie zalutowane, oraz od tych, które są zepsute lub rozdęte i budzą wasze podejrzenia. Pozostaniemy przy obecnych dwóch trzecich racji do świąt Bożego Narodzenia, później zaś wprowadzę znacznie oszczędniejszy plan racjonowania żywności.

Doktor Stanley i ja włożyliśmy nasze grube zimowe ubrania i wyszliśmy na pokład, by przyglądać się, jak doktor Peddie, doktor McDonald, komandor Crozier i gwardia honorowa czterech marynarzy uzbrojonych w strzelby wyrusza w długą drogę powrotną do Terroru. Kiedy światło ich lamp i pochodni rozplynęło się w zasnutych śniegiem ciemnościach, Stanley pochylił się ku mnie i przekrzykując wycie wiatru, powiedział:

- Mieliby szczęście, gdyby przegapili kopce i zabłądzili. Albo gdyby jeszcze dziś dopadł ich potwór.

Spojrzałem ze zgrozą na mego towarzysza, zszokowany jego słowami.

- Śmierć głodowa to straszliwa rzecz, Goodsir - kontynuował Stanley.

- Uwierz mi. Widziałem ją w Londynie i na rozbitym statku. Śmierć na skutek szkorbutu jest jeszcze gorsza. Lepiej byłoby dla nas, gdyby jeszcze dzisiaj potwór zabrał nas wszystkich.

To powiedziawszy, zszedł na dół, do rozświetlanej płomykami lamp ciemności niższego pokładu i chłodu równego niemal okropnościom dziewiątego kręgu dantejskich piekieł.

CROZIER

70°05' szerokości geograficznej północnej, 98°23' długości geograficznej zachodniej. 5 grudnia 1847.

W trzecim tygodniu listopada, we wtorek, podczas psiej wachty potwór z lodu wszedł na pokład *Erebusa* i porwał powszechnie lubianego bosmana Thomasa Terry'ego, zostawiając tylko jego głowę na relingu. Na rufie, gdzie bosman Terry pełnił straż, nie znaleziono żadnych śladów krwi, co oznaczało, że potwór najprawdopodobniej zabrał Terry'ego z okrętu, odszedł z nim kilkaset jardów dalej, gdzie w ciemnościach wznosił się las lodowych iglic i seraków, tam go zabił i rozczłonkował - być może zjadł, choć marynarze coraz mocniej wątpili w to, że biały potwór zabijał ich towarzyszy i oficerów z głodu - a potem odniósł głowę pana Terry'ego na rufę, nim strażnicy z prawej i lewej burty zauważyli nieobecność.

Ludzie, którzy znaleźli głowę Terry'ego pod koniec swojej wachty, przez cały tydzień opowiadali innym, jak wyglądało oblicze tego nieszczęśnika - usta otwarte szeroko, jakby zastygłe w krzyku przerażenia, wargi odciągnięte do tyłu, wybałuszone oczy. Na jego głowie i twarzy nie widniały żadne ślady pazurów lub zębów - z urwanej szyi wystawała tylko okrwawiona rurka przełyku, przypominająca szczurzy ogon, widać też było biały kikut kręgosłupa.

Nagle ponad stu pozostałych przy życiu marynarzy zaczęło szukać pociechy w religii. Większość ludzi z *Erebusa* przez dwa lata narzekała po kryjomu na ciągnące się godzinami msze święte sir Johna Franklina, lecz teraz nawet ci z nich, którzy Biblię widzieli tylko na ołtarzu i to z bardzo daleka, odczuwali potrzebę wsparcia duchowego. Gdy rozeszła się wieść o okrutnej śmierci Thomasa Terry'ego - komandor Fitzjames osobiście złożył owiniętą w płótno paczkę w Kajucie Zmarłych *Erebusa* - marynarze zaczęli się dopraszać o coniedzielną mszę dla załóg obu statków. Z taką właśnie prośbą przyszedł do Croziera w pewien piątkowy wieczór Cornelius Hickey. Hickey pracował wcześniej przy naprawie kopców lodowych znaczących drogę między dwoma statkami i rozmawiał z załogą *Erebusa*.

- To jednomyślna decyzja, komandorze - mówił mat uszczelniaacz, stojąc w drzwiach maleńkiej kajuty Croziera. - Wszyscy marynarze chcieliby uczestniczyć w połączonej mszy świętej. Z obu okrętów, komandorze.

- Mówi pan w imieniu wszystkich marynarzy z obu okrętów? - upewnił się Crozier.

- Tak jest, sir, zgadza się - odparł Hickey, odsłaniając w uśmiechu cztery spośród sześciu zębów, które zostały mu do tej pory. Drobny uszczelniaacz był bardzo pewny siebie.

- Wątpię - mruknął Crozier. - Ale porozmawiam z komandorem Fitzjamesem i powiem wam, co postanowiliśmy w tej kwestii. Bez względu na to, jaka to będzie decyzja, wy przekazecie ją wszystkim marynarzom. - Crozier właśnie pił, kiedy Hickey zapukał do jego drzwi. Komandor nigdy nie lubił tego nadgorliwca. Każda załoga miała swoich adwokatów - podobnie jak szczury stanowili oni nieodłączny element życia w marynarce wojennej - a Hickey, pomimo braku wykształcenia i fatalnej wymowy od razu wydał się Crozierowi typem adwokata, który podczas trudnej podróży podburza innych do buntu.

- Chcielibyśmy uczestniczyć w takiej mszy świętej, jaką odprawiał sir John - niech Bóg ma go w swej opiece - dlatego, że...

- Może pan odejść, panie Hickey.

Crozier pił tego tygodnia wyjątkowo dużo. Melancholia, która zazwyczaj unosiła się nad nim

jak opar mgły, teraz opadła nań niczym ciężki koc. Znał Terry'ego i uważał go za świętego bosmana. Zginął straszliwą śmiercią, ale w Arktyce można było umrzeć na setki straszliwych sposobów, podobnie jak w marynarce wojennej, zarówno w czasie wojny, jak i pokoju. W ciągu swej długiej kariery Crozier wiele razy oglądał śmierć z bliska i choć pan Terry zginął w sposób wyjątkowo osobliwy, a plaga gwałtownych zgonów, która dotknęła ostatnio oba statki, była bardziej przerażająca niż prawdziwa zaraza, powodem głębokiej melancholii Croziera nie były te smutne wypadki, lecz reakcja pozostałych przy życiu członków ekspedycji.

James Fitzjames wyraźnie podupadał na duchu. Prasa zrobiła z niego bohatera, nim jeszcze jego pierwszy statek wypłynął z Liverpoolu - młody Fitzjames wyskoczył wtedy za burtę, by ratować tonącego celnika, choć jak ujął to „Times”, „krępował go płaszcz, kapelusz i kosztowny zegarek”. Kupcy z Liverpoolu, którzy podobnie jak Crozier znali wartość kupionego i opłaconego już celnika, nagrodzili młodego Fitzjamesa grawerowanym srebrnym talerzem. Admiralicja zwróciła uwagę najpierw na srebrny talerz, potem na heroiczny czyn Fitzjamesa - choć sytuacja, w której oficer ratował tonącego człowieka, nie była w marynarce czymś nadzwyczajnym, gdyż tylko nieliczni marynarze umieli pływać - a w końcu na fakt, że Fitzjames był „najprzystojniejszym mężczyzną w marynarce wojennej”, a do tego dobrze wychowanym dżentelmenem.

Reputacji młodego oficera nie zaszkodził oczywiście fakt, że dwukrotnie podjął się dowodzenia oddziałami wojskowymi skierowanymi do walki z beduińskimi rozbójnikami. Crozier przeczytał potem w oficjalnych raportach, że podczas jednego z wypadów Fitzjames złamał nogę, później zaś został przez bandytów wzięty do niewoli. Jednak najprzystojniejszy mężczyzna w marynarce wojennej zdołał uciec, co w oczach prasy i Admiralicji uczyniło zeń jeszcze większego bohatera.

Później nadeszły wojny opiumowe, a w 1841 roku Fitzjames udowodnił, że jest prawdziwym bohaterem, i aż pięciokrotnie otrzymał pochwałę z rąk swego komandora i Admiralicji. Ten młody śmiałek - miał wówczas dwadzieścia dziewięć lat - za pomocą rakiet przepędził Chińczyków ze wzgórz Tsekee i Segoan, ponownie użył rakiet, by przegnać ich z Chapoo, walczył na lądzie podczas bitwy nad rzeką Woosung, a później znów umiejętnie wykorzystał rakiety podczas oblężenia Ching-Kiang-Fo. Ciężko ranny porucznik Fitzjames, spowity bandażami i poruszający się o kulach, był obecny przy kapitulacji Chińczyków i podpisaniu traktatu z Nankingu. Awansowany do stopnia komandora porucznika w wieku zaledwie trzydziestu lat, najprzystojniejszy mężczyzna w marynarce wojennej dostał pod komendę okręt wojenny HMS Clio - wydawało się, że jego przyszłość maluje się w jasnych barwach.

Jednak w 1844 roku skończyły się wojny opiumowe, a Fitzjames został bez statku, na suchym lądzie i z połową swej dotychczasowej pensji - podobny los spotykał wielu dobrze rokujących oficerów Królewskiej Marynarki Wojennej, kiedy nagle zapadł zdradziecki pokój. Francis Crozier wiedział, że podobnie jak oferta dowodzenia wyprawą, złożona sir Franklinowi przez Służbę Badawczą, była dla tego skompromitowanego człowieka darem niebios, tak oferta dowodzenia HMS *Erebus* stanowiła dla Fitzjamesa szansę, której nie mógł przegapić.

Teraz jednak „najprzystojniejszy mężczyzna w marynarce wojennej” stracił zarówno na urodzie, jak i na humorze. Podczas gdy większość oficerów i marynarzy mimo zmniejszonych o jedną trzecią racji utrzymywała stałą wagę - członkowie Służby Badawczej odżywiali się lepiej niż dziewięćdziesiąt dziewięć procent Anglików żyjących na lądzie - komandor James Fitzjames schudł o trzydzieści funtów. Mundur wisiał na nim luźno jak na strachu na wróble, chłopięce loki zwiotczały i wypadały bezwładną masą spod czapki. Twarz Fitzjamesa, zawsze nieco puciołowata, teraz była blada i wymizierowana, różowe niegdyś policzki zapadły się i straciły kolory.

Zachowanie komandora w stosunku do podwładnych, które zawsze było mieszkanką dobrego humoru i stanowczości, nie zmieniło się widocznie; kiedy jednak Fitzjames zostawał sam na sam z Crozierem, mówił mniej, uśmiechał się rzadziej i zbyt często wydawał się roztargniony i przybity. Dla Croziera, melancholika z natury, objawy były aż nazbyt oczywiste. Czasami czuł się tak, jakby patrzył w lustro, tyle że widział w nim oblicze prawdziwego angielskiego dżentelmena, a nie irlandzkiego zera.

W piątek trzeciego grudnia Crozier załadował strzelbę i wybrał się na samotny spacer w zimną ciemność dzielącą *Terror* od *Erebusa*. Uznał, że jeśli potwór z lodu zechce go dopaść, dodatkowa eskorta z pewnością nie uchroni go przed śmiercią, tak jak nie uchroniła sir Johna.

Crozier dotarł na Erebus bez przeszkód. Przedyskutował z Fitzjamesem kilka bieżących problemów - morale marynarzy, prośbę o mszę świętą, brak zapasów i potrzebę zmniejszenia racji żywnościowych po Bożym Narodzeniu - i obaj uznali, że odprawienie w przyszłą niedzielę mszy świętej dla marynarzy z obu statków może okazać się niezłym pomysłem. Ponieważ nie było wśród nich żadnego kapelana ani samozwańczego pastora - sir John pełnił obie te funkcje aż do zeszłego czerwca - komandorzy postanowili, że obaj wygłoszą kazania. Crozier nienawidził tego bardziej niż wizyt u dentysty, wiedział jednak, że musi się poświęcić.

Nastroje panujące wśród marynarzy pogarszały się z dnia na dzień. Porucznik Edward Little, członek kadry dowódczej Croziera, donosił, że załoganci z *Terroru* zaczęli sporządzać naszyjniki i inne fetysze z pazurów i kłów białych niedźwiedzi, które zabili latem. Kilka tygodni wcześniej porucznik Irving zameldował Crozierowi, że lady Cisza urządziła sobie kryjówkę w dziobowym schowku na linę kotwiczną, a jakiś czas później ludzie zaczęli zostawiać w ładowni swoje porcje rumu i żywności, jakby składali ofiarę eskimoskiej wiedźmie lub świętej w nadziei na wstawiennictwo.

- Myślałem o pańskim balu - oświadczył nieoczekiwanie Fitzjames, kiedy Crozier zaczął się już zbierać do wyjścia.

- O moim balu?

- Wielkim Karnawale Weneckim zorganizowanym przez Hoppnera, kiedy utknęliście w lodzie z Parrym - kontynuował Fitzjames. - Kiedy przebrał się pan za czarnego lokaja.

- I co z tym balem? - spytał Crozier, owijając szalem szyję i twarz.

- Sir John miał trzy wielkie skrzynie z maskami i kostiumami - odparł Fitzjames. - Znalazłem je w jego prywatnym magazynie.

- Naprawdę? - Crozier był zaskoczony. Nigdy nie przypuszczał, że ten starzejący się gaduła, który odprawiałby mszę sześć razy w tygodniu, gdyby tylko mógł, i który nigdy nie rozumiał żartów wypowiedzianych w jego obecności, choć na wszelki wypadek głośno się z nich śmiał, zabrał ze sobą w podróż cały zapas kostiumów karnawałowych.

- Są stare - dodał Fitzjames. - Niektóre należały pewnie jeszcze do Parry'ego i Hoppnera - może nawet to te same ubrania, w których bawiliście się dwadzieścia cztery lata temu w Zatoce Baffina - ale jest ich tutaj ponad setka.

Okryty grubą warstwą ubrań Crozier stał w drzwiach dawnej kajuty sir Johna, gdzie odbyło się spotkanie z Fitzjamesem, i czekał niecierpliwie, aż jego rozmówca przejdzie do sedna rzeczy.

- Pomyślałem, że wkrótce moglibyśmy urządzić taki bal - powiedział niepewnie Fitzjames. - Oczywiście nie z takim rozmachem jak wasz wenecki karnawał, choćby ze względu na obecność tego... monstrum... na lodzie, ale z pewnością byłaby to dla marynarzy jakaś rozrywka.

- Być może - odparł Crozier, pozwalając, by jego głos wyraził jednoznacznie brak entuzjazmu, z jakim odnosił się do tego projektu. - Porozmawiamy o tym po tej przeklętej mszy w

niedzielę.

- Tak, oczywiście - przytaknął pospiesznie Fitzjames. Kiedy się denerwował, charakterystyczne seplenienie, obecne w arystokratycznej angielszczyźnie, jeszcze się uwydatniało. - Czy mam panu przydzielić eskortę na drogę powrotną do *Terroru*, komandorze Crozier?

- Nie, dziękuję. Połóż się dziś wcześniej spać, James. Wyglądasz na zmęczonego. Obaj będziemy potrzebowali sporo energii, żeby w niedzielę wygłosić jakieś sensowne kazania.

Fitzjames uśmiechnął się posłusznie, w oczach Croziera uśmiech ów wyglądał jednak jak blady i dziwnie niepokojący grymas pozbawiony choćby cienia radości.

W niedzielę piątego grudnia 1847 roku Crozier zostawił na *Terrorze* okrojoną do minimum, sześćoosobową załogę pod dowództwem porucznika Edwarda Little'a - który, podobnie jak Crozier, wolałby raczej poddać się operacji usunięcia kamieni żółciowych, niż słuchać kazań - oraz pomocnika lekarza, McDonalda, i mechanika Jamesa Thompsona. Pozostałych pięćdziesięciu kilku marynarzy maszerowało przez lód w długim pochodzie, prowadzonym przez komandora Croziera, porucznika Hodgsona, porucznika Irvinga, pierwszego oficera Hornby'ego oraz pozostałych oficerów i podoficerów. Dochodziła dziesiąta rano, jednak pod rozgwieżdżonym niebem byłoby całkiem ciemno, gdyby nie powrót zorzy polarnej, która pulsowała, tańczyła i mieniła się nad ich głowami, rzucając na lód długie cienie uczestników pochodu. Sierżant Soloman Tozer - w barwnym świetle zorzy znamię na jego twarzy było szczególnie widoczne - prowadził oddział uzbrojonych w muszkiety żołnierzy brytyjskiej piechoty morskiej, którzy osłaniali kolumnę z przodu, z boków i z tyłu, jednak potwór z lodu tym razem zostawił ich w spokoju.

Ostatnia msza, w której uczestniczyły załogi obu okrętów - odprawiona przez sir Johna niedługo przed tym, jak potwór zabrał jego okaleczone ciało w ciemność pod lodem - odbyła się na górnym pokładzie, w blasku zimnego czerwcowego słońca. Ponieważ jednak teraz temperatura na zewnątrz sięgała co najmniej pięćdziesięciu stopni poniżej zera, Fitzjames przygotował na mszę miejsce na dolnym pokładzie. Ogromnego pieca nie dało się przestawić, marynarze podnieśli jednak zwieszane stoły pod sam sufit, rozebrali ścianki wytyczające izbę chorych oraz ścianki, które tworzyły sypialnię podoficerów, kajuty stewardów oraz kabiny matów i nawigatorów. Usunęli również ściany mesy podoficerskiej i sypialni pomocnika lekarza. W powstałym dzięki temu pomieszczeniu wciąż było tłoczno, wszyscy jednak mogli się pomieścić.

Cieśla Fitzjamesa, pan Weekes, zbudował specjalnie na tę okazję niewielki podest i pulpit. Ze względu na brak miejsca pod niskim sufitem podest miał tylko sześć cali wysokości, to jednak wystarczało, by wszyscy zebrani na sali widzieli Croziera i Fitzjamesa.

- Przynajmniej będzie nam ciepło - wyszeptał Crozier do Fitzjamesa, kiedy Charles Hamilton Osmer, łysy intendent z *Erebusa*, zaintonował pierwsze słowa hymnu otwierającego nabożeństwo.

Rzeczywiście zbity tłum podniósł temperaturę powietrza na dolnym pokładzie do poziomu, jakiego nie doświadczone tutaj od sześciu miesięcy, kiedy to *Erebus* zużywał ogromne ilości węgla, a przez rury niemal bez ustanku płynęła gorąca woda. Fitzjames starał się także rozświetlić mroczną i zadymioną salę, zawieszając pod sufitem aż dziesięć lamp, a te rzucały blask porównywalny niemal do światła słonecznego, które ponad dwa lata wcześniej wpadało do okrętu przez umocowane w pokładzie iluminatory.

Marynarze ochoczo podjęli pieśń, śpiewając z mocą, od której drżały deski poszycia. Crozier wiedział dzięki swemu czterdziestokilkuletniemu doświadczeniu, że żeglarze uwielbiają śpiewać niemal w każdych okolicznościach - nawet podczas nabożeństwa, jeśli nie mają innego wyboru. Crozier widział w tłumie czubek głowy uszczelnacza Corneliusa Hickeya; stojący obok niego

Magnus Manson musiał się garbić, by nie uderzyć ciemieniem o sufit. Przygłupi olbrzym śpiewał basem, tak przy tym fałszując, że zgrzytanie lodu dochodzące z zewnątrz brzmiało przy tym jak najczystsza muzyka. Hickey i Magnus trzymali wspólnie jeden ze zbiorów hymnów, które wcześniej rozdał marynarzom Osmer.

Wreszcie śpiewy dobiegły końca, a na pokładzie zapadła cisza przerywana pokasywaniem, odchrząkiwaniem i szuraniem. W powietrzu unosił się zapach świeżo upieczonego chleba, gdyż pan Diggle przybył na *Erebusa* kilka godzin wcześniej, by pomóc kukowi z *Erebusa*, Richardowi Wallowi, w pieczeniu. Crozier i Fitzjames uznali, że warto poświęcić na ten dzień dodatkowe porcje węgla, mąki i oleju do lamp, jeśli tylko podniesie to morale marynarzy. Wciąż mieli przed sobą dwa najciemniejsze miesiące arktycznej zimy.

Nadszedł czas na dwa kazania. Fitzjames ogolił się starannie i upudrował, pozwolił też, by jego steward, pan Hoar, zwęził jego workową kamizelkę, spodnie i marynarkę, wyglądał więc teraz dostojnie i całkiem przystojnie w odświętnym mundurze i epoletach. Tylko Crozier, który stał za jego plecami, widział, jak Fitzjames zaciska nerwowo palce, układając na pulpicie Biblię i otwierając ją na właściwej stronie.

- Wysłuchamy dziś psalmu czterdziestego szóstego - przemówił komandor Fitzjames. Crozier skrzywił się lekko, słysząc arystokratyczne seplenienie, które w chwili zdenerwowania brzmiało jeszcze wyraźniej niż zwykle.

*Bóg jest dla nas ucieczką i mocą,
łatwo znaleźć u Niego pomoc w trudnościach.
Przeto się nie boimy, choćby waliła się ziemia
i góry zapadały w otchłań morza.
Niech wody jego burzą się i kipią,
niech góry się chwieją pod jego naporem.*

*Odnogi rzeki rozweselają miasto Boże -
uświęcony przybytek Najwyższego.
Bóg jest w jego wnętrzu, więc się nie zachwieje;
Bóg mu pomoże o brzasku poranka.
Zaszemrały narody, wzburzyły się królestwa.
Głos Jego zagrział - roz płynęła się ziemia.
Pan Zastępów jest z nami,
Bóg Jakuba jest dla nas obroną.*

*Przyjdźcie, zobaczcie dzieła Pana,
dzieła zdumiewające, których dokonuje na ziemi.
On uśmierza wojny aż po kratkę ziemi,
On kruszy łuki, łamie włócznie,
tarcze pali w ogniu,
„Zatrzymajcie się, i we Mnie uznajcie Boga*

wzniosłego wśród narodów, wzniosłego na ziemi!”

*Pan Zastępów jest z nami,
Bóg Jakuba jest dla nas obroną.*

Marynarze ryknęli chórem „Amen” i zaszurali nogami z uznaniem. Nadeszła kolej Francisza Croziera.

Marynarze ucichli, zarówno z szacunku, jak i z ciekawości. Załoganci *Terroru* wiedzieli, że ich komandor najchętniej czyta podczas mszy fragmenty regulaminu: Jeśli marynarz odmówi wykonywania rozkazów oficera, zostanie wychłostany lub zgładzony, zgodnie z decyzją komandora. Jeśli marynarz dopuszcza się czynów nieczystych z innym członkiem załogi lub zwierzęciem żyjącym na statku, zostanie zgładzony...” i tak dalej. Kolejne punkty regulaminu brzmiały równie surowo i dostojnie jak czytania biblijne, a jednocześnie przypominały załodze o jej obowiązkach.

Tego dnia było jednak inaczej. Crozier sięgnął pod pulpit i wyjął stamtąd ciężki, oprawny w skórę tom. Ułożył go z hukiem na pulpicie i powiódł po zebranych surowym wzrokiem.

- Dziś - zaczął - wysłuchamy czytania z Księgi Lewiatana, część pierwsza, rozdział dwunasty.

W tłumie marynarzy podniósł się szmer zdumienia. Crozier słyszał, jak jakiś bezzębny załogant *Erebusa* z trzeciego rzędu mruczy:

- Znam, kurwa, Biblię, ale nie ma tam żadnej Księgi Lewiatana. Crozier poczekał, aż tłum ponownie się uciszy, i zaczął czytać z powagą i naciskiem należnym tekstom biblijnym:

- „Co zaś się tyczy tej strony religii, którą tworzą poglądy na naturę potęg niewidzialnych, to nie ma chyba rzeczy, która by przez pogan nie była uważana tu czy tam za boga czy za diabła i której by poeci pogańscy nie przedstawiali jako ożywionej, zamieszkannej lub owładniętej przez takiego czy innego diabła.

Nieukształtowana materia świata była bogiem pod nazwą Chaosu.

Niebo, ocean, planety, ogień, ziemia, wiatry były również bogami.

Za bogów uważano mężczyzn, kobiety, ptaka, krokodyla, ciele, psa, węża, cebulę, pory. Poza tym poganie wypełniali niemal wszystkie miejsca duchami, które nazywali demonami: doliny duchami, które oznaczali mianem «Pan» albo «Satyr»; lasy faunami i nimfami; morze trytonami i innymi nimfami; każdą rzekę i każde źródło zamieszkiwał duch tegoż imienia i nimfy; każdy dom miał swoje lary, czyli duchy domowe; każdy człowiek miał swojego geniusza; piekło było pełne duchów, które miały swe funkcje, jak Charon, Cerber i Furie; nocą zaś na każdym miejscu były larwy, lemury, duchy ludzi zmarłych oraz całe królestwo rusałek i straszdyła. Przypisywali też poganie boskość i budowali świątynie akcydensom i jakościom, takim jak czas, noc, dzień, pokój, zgoda, miłość, walka, cnota, cześć, zdrowie, rdza, gorączka i rzeczy temu podobne. I gdy modlili się o to, ażeby osiągnąć taką rzecz lub ją odwrócić od siebie, to modlili się tak, jakby duchy tego imienia unosiły się nad ich głowami i spuszczały na nich albo nie spuszczały to dobro czy zło, o które się modlili, albo które chcieli od siebie odwrócić. Cześć boską oddawali też swemu własnemu rozumowi pod nazwą Muz; swej własnej niewiedzy pod nazwą Fortuny; swej własnej chuci pod nazwą Kupidyna; swemu własnemu gniewowi pod nazwą Furii; swoim własnym członkom pod nazwą Priapa; i przypisywali swe polucje duchom, które nazywali incubi i succubae. Tak, że nie było rzeczy, której by poeta nie mógł wprowadzić do swego poematu jako osoby i której by nie mógł uczynić albo bogiem albo złym

duchem”.

Crozier umilkł i spojrzał na wpatrzone weń białe twarze marynarzy.

- I tak kończy się rozdział dwunasty części pierwszej *Księgi Lewiatana* - powiedział i zamknął księgę.

- Amen - odparli chórem uradowani żeglarze.

Tego popołudnia wszyscy dostali na obiad gorące suchary i pełne porcje swej ulubionej solonej wieprzowiny; marynarze z *Tenoru* jedli wraz ze swymi kolegami z *Erebusa* przy opuszczonych spod sufitu stołach albo też siadali na skrzyniach i stawiali talerze na beczkach. W sali panował wesoły harmider. Wszyscy oficerowie z obu statków jedli na rufie, przy długim stole w dawnej kajucie sir Johna. Prócz obowiązkowej codziennej porcji soku cytrynowego, który miał zapobiegać skorbutowi - doktor McDonald martwił się, że zamknięty w pięciogalonowych beczkach napój traci swą moc - każdy marynarz otrzymał przed kolacją dodatkowe ćwierć pinta grogu. Komandor Fitzjames sięgnął do swych zapasów i uraczył oficerów i podoficerów trzema butelkami madery i dwiema butelkami brandy.

Okolo trzeciej po południu załoganci *Terroru* wstali od stołów i beczek, pożegnali się ze swymi towarzyszami z *Erebusa*, wyszli na pokład i zeszli na lód, by ruszyć w drogę powrotną pod barwnym, wciąż rozpalonym zorzą polarną niebem. Ludzie wciąż rozprawiali półgłosem o kazaniu z *Księgi Lewiatana*. Większość była pewna, że księga ta to część Biblii, nikt jednak nie potrafił powiedzieć, do czego właściwie zmierzał komandor, choć po podwójnej porcji rumu niektórzy wysuwali bardzo śmiało hipotezy. Wielu marynarzy raz po raz dotykało swoich fetyszy z zębów, pazurów i łap białego niedźwiedzia.

Crozier, który maszerował na czele całej kolumny, był niemal pewien, że po powrocie znajdą na okręcie zimne ciało zamordowanego Edwarda Little’a, zmasakrowane szczątki doktora McDonald’a i poutykane wśród różnych części bezużytecznego silnika członki mechanika Thompsona.

Wszystko było w porządku. Porucznicy Hodgson i Irving rozdali paczki z sucharami i mięsem, które były jeszcze ciepłe, kiedy niecałą godzinę wcześniej opuszczali pokład *Erebusa*. Marynarze, którzy stali w tym czasie na wachcie, najpierw wypili dodatkowe porcje grogu.

Choć przemarzał do szpiku kości - po kilkugodzinnym pobycie na zatłoczonym i niezwykle ciepłym dolnym pokładzie *Erebusa* wyjątkowo dotkliwie odczuł zimno panujące na zewnątrz - Crozier pozostał na pokładzie aż do zmiany wachty. Oficerem dyżurnym był tego wieczora Thomas Blanky, lodomistrz. Crozier wiedział, że marynarze ukryci pod pokładem korzystają z niedzielnego odpoczynku, a niektórzy wypatrują już niecierpliwie popołudniowej herbaty i wieczornej porcji biednego Jasia - solonego i gotowanego dorsza z sucharem - łudząc się nadzieją, że wraz z połówką pinta piwa dostaną chociaż uncję żółtego sera.

Nadciągał wiatr, gnając tumany śniegu przez pokryte serakami lodowe pola po tej stronie góry oddzielającej *Terror* od *Erebusa*. Grube chmury zakrywały zorzę polarną i gwiazdy. Popołudniowa noc zrobiła się znacznie ciemniejsza. W końcu, myśląc o whisky czekającej na niego w kajucie, Crozier zszedł pod pokład.

70°05' szerokości geograficznej północnej, 98°23' długości geograficznej zachodniej. 5 grudnia 1847.

Pół godziny po tym, jak komandor zszedł pod pokład, Tom Blanky nie widział w gęstym śniegu nawet grotmasztu ani lamp pozostałych marynarzy stojących na wachcie. Lodomistrz cieszył się, że zamieć nadeszła dopiero teraz; gdyby stało się to godzinę wcześniej, droga powrotna z *Erebusa* kosztowałaby ich znacznie więcej sił i nerwów.

Przy lewej burcie wachtę pełnił tego wieczora trzydziestopięcioletni Alexander Berry - człowiek może niezbyt inteligentny, ale godny zaufania i dobrze obeznany z takielunkiem - oraz John Handford i David Leys. Ten ostatni, Leys, stojący teraz na dziobie, skończył w ostatnich dniach listopada czterdzieści lat, a jego towarzysze wyprawili mu z tej okazji huczne urodziny. Lecz Leys nie był już tym samym człowiekiem, który dwa i pół roku wcześniej zgłosił się do Służby Badawczej. Na początku listopada, kilka dni po tym, jak szeregowiec Heather stracił na wachcie kawałek mózgu, a młody Bill Strong i Tom Evans zniknęli, David Leys po prostu położył się na swoim hamaku i zamilkł. Przez prawie trzy tygodnie Leys po prostu był nieobecny - leżał z otwartymi oczami, wpatrzony w pustkę, nie reagował na głos, płomień, potrząsanie, krzyki i szczypanie. Większość tego czasu spędził w izbie chorych, spoczywając obok biednego szeregowca Heathera, który pomimo otwartej czaszki i braku fragmentów mózgu wciąż oddychał. Jednak podczas gdy Heather dyszał ciężko, Davey leżał w całkowitej ciszy, wpatrując się martwym wzrokiem w sufit, jakby sam był już martwy.

Wreszcie któregoś dnia dziwna choroba ustąpiła równie nieoczekiwanie, jak się pojawiła, a Davey znów był sobą. Choć nie do końca. Odzyskał apetyt - schudł niemal dwadzieścia funtów, kiedy przebywał poza własnym ciałem - zniknęło jednak jego poczucie humoru, radosny, chłopięcy uśmiech i swoboda, z jaką wdawał się w pogawędki podczas kolacji czy wolnego popołudnia. W dodatku włosy Daveya, które przed pierwszym tygodniem listopada były rudobrazowe, stały się śnieżnobiałe. Niektórzy marynarze mówili, że lady Cisza rzuciła na niego zły urok.

Thomas Blanky, lodomistrz z ponadtrzydziestoletnim doświadczeniem, nie wierzył w uroki i czary. Wstydził się za marynarzy, którzy nosili niedźwiedzie pazury, łapy, zęby i ogony, wierząc, że te amulety ochronią ich przed czarami. Wiedział, że niektórzy, gorzej wykształceni marynarze - skupieni wokół mata uszczelniacza, Corneliusa Hickeya, którego Blanky nigdy nie lubił ani nie szanował - rozpowszechniali plotkę, że stworzenie z lodu to jakiś demon albo diabeł. Niektórzy z nich już składali potworowi ofiary, zostawiając je przed dziobowym schowkiem na linę kotwiczną, gdzie ukrywała się teraz lady Cisza, uznawana przez wielu za eskimoską czarownicę. Hickey i jego przygłupi, wielki przyjaciel, Magnus Manson, byli, rzec można, kapłanami tego kultu - a właściwie Hickey był kapłanem, a Manson akolitą, który wykonywał wszystkie polecenia Hickeya - tylko oni z całej załogi mogli zanosić do ładowni ofiary marynarzy. Blanky zszedł niedawno do tego zimnego, śmierdzącego pomieszczenia i przekonał się na własne oczy, że stoją tam cynowe talerze zjedzeniem, wypalone świece i maleńkie pojemniki z rumem.

Thomas Blanky nie był filozofem, spędził jednak na lodzie długie lata, pracując jako mat lub lodomistrz dla amerykańskich wielorybników, gdy Królewska Marynarka Wojenna nie miała dlań żadnego zajęcia, i znał obszary podbiegunowe jak mało kto spośród pozostałych uczestników wyprawy. Choć w tym regionie przebywał po raz pierwszy - z tego, co wiedział, żaden okręt nie dotarł jeszcze równie daleko na południe od Cieśniny Lancastera, równie daleko na zachód od półwyspu Boothia i zarazem równie blisko Ziemi Króla Williama - panujące tu warunki były mu

równie dobrze znane jak lato w Kent, gdzie się urodził.

Lepiej znane, uzmysłowił sobie Blanky. Nie był w Kent prawie od dwudziestu ośmiu lat.

Dobrze znał wyjący w linach wiatr i gęsty śnieg, podobnie jak twardą powierzchnię lodu, seraki i wały lodowe, które wypychały biedny *Terror* - w górę, zgniatając go jednocześnie ze wszystkich stron. Lodomistrz z *Erebusa*, James Reid, człowiek, którego Blanky darzył wielkim szacunkiem, podczas rozmowy po dziwnym nabożeństwie poinformował go, że stary okręt flagowy długo już nie pociągnie. Nie dość, że przed ponad rokiem, kiedy to ekspedycja stanęła pod znakiem zapytania, a *Erebus* utkwiał w lodzie głębiej niż *Terror*, to lód ów napierał nań z większą siłą i gwałtowniej.

Reid mówił, że ponieważ *Erebus* przechylony był na rufę - w odróżnieniu od *Terroru*, który przechylił się na dziób - napór lodu stawał się coraz większy i groźniejszy, w miarę jak wypychał trzeszczący okręt ponad powierzchnię zamrożonego morza. Ster i kil były już tak zniszczone, że nadawały się tylko do wymiany w suchym doku. Lód wygiął także żelazne płyty rufowe - na przechylonej pod kątem dziesięciu stopni rufie były już trzy stopy zamrożonej wody, i tylko dzięki tamie ułożonej ze skrzyń i worków z piaskiem morze nie wtargnęło jeszcze do kotłowni - i wyłamywał potężne dębowe belki, które wytrzymały dziesięciolecia wojen i służby na morzach. Co gorsza, pajęczyna żelaznych wzmocnień, które miały uczynić *Erebusa* odpornym na ataki lodu, jęczała teraz nieustannie pod straszliwym naporem. Od czasu do czasu mniejsze drążki pękały na złączach z trzaskiem porównywalnym do wystrzału armatniego. Zdarzało się to często w nocy - marynarze zrywali się wtedy ze swoich hamaków i ustaliwszy, co było źródłem hałasu, z powrotem kładli się spać, klnąc cicho. Komandor Fitzjames zwykle schodził wtedy pod pokład z którymś ze swoich oficerów, by obejrzeć uszkodzenia. Reid przypuszczał, że grubsze wzmocnienia wytrzymają, ale wyrwą wtedy dziury w kurczącym się poszyciu z drewna i żelaza - wtedy dla okrętu nie będzie już ratunku.

Lodomistrz *Erebusa* powiedział też Blanky'emu, że cieśla okrętowy, John Weekes, spędza całe dnie i połowę nocy, pracując wraz z co najmniej dziesiątką ludzi na pokładach najniższym i ładowni, gdzie za pomocą desek wiezionych przez *Erebusa* - oraz tych, które udało mu się pożyczyć z *Terroru* - podpira i stempluje wszystkie zagrożone miejsca, lecz powstała w ten sposób drewniana sieć zabezpieczeń to tylko rozwiązanie tymczasowe. Cytując Weekesa, Reid powiedział, że jeśli *Erebus* nie ucieknie z lodu najpóźniej w kwietniu lub maju, zostanie zgnieciony jak skorupka jajka.

Thomas Blanky znał się na lodzie. Wczesnym latem 1846 roku niemal bez ustanku prowadził sir Johna i jego komandora na południe przez długą cieśninę i nowo odkryty przesmyk na południe od Cieśniny Barrowa - nowy przesmyk na razie nie został oznaczony w dziennikach pokładowych żadną nazwą, ale niektórzy ochrzczili go już Cieśniną Franklina, jakby nazwanie kanału, który uwięził tego starego głupca, mogło pocieszyć w zaświatach jego ducha. Blanky siedział wtedy na swoim stanowisku na grotmaszcie i wykrzykiwał instrukcje do sternika, podczas gdy *Erebus* i *Terror* pokonywały dwieście pięćdziesiąt mil w zmieniającym się lodzie, wąskich pasach otwartej wody i ślepych kanałach.

Thomas Blanky był dobry w tym, co robił. Wiedział, że jest jednym z najlepszych lodomistrzów i pilotów na świecie. Siedząc na maszcie, na swym niewygodnym i niepewnym siedzisku - te stare okręty bombardujące nie miały bocianich gniazd, jak zwykle statki wielorybnicze - Blanky potrafił odróżnić lód dryfujący od gruzu lodowego z odległości ośmiu mil. Śpiąc w swej małej kajucie, słyszał od razu, kiedy okręt opuścił bulgoczący pas miękkiego śryżu i wpłynął w obszar krązków lodowych, które ze zgrzytem ocierały się o burty. Już na pierwszy rzut oka wiedział, które bryły lodu stanowią zagrożenie dla statku, a które można było śmiało rozbić. Jego starzejące się

oczy potrafiły jakoś dostrzec białobłękitne, niemal całkiem zanurzone małe góry lodowe w białobłękitnym, roziskrzonym blaskiem słońca morzu, a nawet określić, które z nich prześlizgnęłyby się ze zgrzytem po burcie okrętu, a które - jak prawdziwa góra lodowa - były dlań zagrożeniem.

Blanky był więc dumny z tego, że wraz Reidem zdołał przeprowadzić statki prawie dwieście pięćdziesiąt mil na południe, a potem na zachód od miejsca, w którym spędzili pierwszą zimę na lodzie, przy wyspach Devon i Beechey. Lecz Thomas Blanky pluł sobie także w brodę i zżymał się z gniewu na samego siebie za to, że wyprowadził oba statki i stu dwudziestu sześciu ludzi na odległość dwustu pięćdziesięciu mil od miejsca, gdzie spędzili pierwszą zimę.

Statki mogły wycofać się spod wyspy Devon i wrócić przez Cieśninę Lancastera do Zatoki Baffina, nawet gdyby musiały czekać dwa zimne lata, lub nawet trzy, by uciec przed lodem. Mała zatoczka przy wyspie Beechey uchroniłaby je przed tym paskudztwem napływającym z otwartego morza, a prędzej czy później lód w cieśninie Lancaster by ustąpił. Thomas Blanky znał tamten lód. Tamten lód zachowywał się tak, jak prawdziwy arktyczny lód - był zdradliwy, śmiertelnie niebezpieczny, gotów zniszczyć cię na skutek jednej błędnej decyzji lub potknięcia - ale był przewidywalny.

Lecz ten lód, rozmyślał Blanky, chodząc po pokładzie, przytupując zmarzniętymi stopami i spoglądając na lampy przy lewej i prawej burcie, gdzie wachtę pełnili Berry i Hanford, ten lód nie przypominał niczego, z czym zetknął się dotąd w swej długiej karierze.

Wraz z Reidem ostrzegał sir Johna i obu komandorów piętnaście miesięcy temu, tuż przed tym, jak oba okręty utknęły w lodzie. „Trzeba postawić wszystko na jedną kartę”, mówił wtedy Blanky, zgadzając się, z komandorem Crozierem, że powinni zawrócić, dopóki płynęli jeszcze przez otwarte wody, i jak najszybciej dotrzeć do półwyspu Boothia. Wody w pobliżu znanego wybrzeża - przynajmniej wschodniego wybrzeża, które było dobrze znane starym wielorybnikom i weteranom Służby Badawczej, takim jak Blanky - z pewnością nie zamrzłyby co najmniej jeszcze przez tydzień, może nawet dwa. Nawet gdyby nie mogli płynąć na północ wzdłuż wybrzeża z powodu kry i starego paku, z pewnością byłiby o wiele bezpieczniejsi za osłoną lądu, który - o czym wiedzieli już z całą pewnością po wyprawie nieszczęsnego porucznika Gore'a - był Ziemią Króla Williama. Ten właśnie ląd, choć płaski, zamrznięty, smagany wiatrem i burzami, osłoniłby statki przed paskudnym północno-zachodnim wiatrem, śnieżycami i nieustającym naporem lodu.

Blanky nigdy nie widział takiego lodu. Jedną z niewielu zalet paku, nawet jeśli statek tkwił w nim niczym kula z muszkietu w górze lodowej, był fakt, że pak dryfował. Okręty, na pozór nieruchome, płynęły. Kiedy w 1836 roku Blanky był lodomistrzem na amerykańskim wielorybniku *Pluńbus*, zima zaatakowała dwudziestego siódmego sierpnia, zaskakując wszystkich, łącznie z doświadczonym, jednookim kapitanem statku, i unieruchamiając ich w Zatoce Baffina, setki mil na południe od zatoki Disko.

Następne arktyczne lato było zimne - niemal tak zimne jak minione lato roku 1847, kiedy lód nie stopniał, powietrze ociepliło się tylko nieznacznie, a ptactwo i dzika zwierzyna nie powróciły w te tereny - lecz statek wielorybniczy *Pluńbus* tkwił w bardziej przewidywalnym paku i przedryfował ponad siedemset mil na południe, aż następnego lata dotarł do linii lodu i mógł popłynąć dalej na południe, przez pokryte miękkim lodem morza, wąskie cieśniny i szczeliny w lodzie, które otwierały się na ich oczach - Rosjanie nazywali je płoniami - by wreszcie wypłynąć na otwarte morze i wrócić do Grenlandii.

Blanky wiedział jednak, że tu nie mogą na to liczyć. Nie na tym zapomnianym przez Boga białym piekle. Pak przypominał w istocie, jak to opisywał komandorom przed piętnastoma miesiącami, niekończący się lodowiec spychany z bieguna północnego. Ponieważ na południu

ciągnęło się niezbadane jeszcze wybrzeże Kanady, na południowym zachodzie leżała Ziemia Króla Williama, a na wschodzie i północnym wschodzie półwysep Boothia, lód praktycznie się tutaj nie przesuwał

- co potwierdzały pomiary przeprowadzane za pomocą sekstansu przez Croziera, Fitzjamesa, Reida i Blanky'ego - tylko kręcił w kółko, przesuując statki po okręgu o obwodzie równym około piętnastu mil, zupełnie jakby byli muchą przylepioną do jednego metalowych dysków instrumentu, który stał w Wielkiej Kajucie. Bez ustanku wracali do punktu wyjścia.

Ten pak przypominał raczej mocny przybrzeżny lód, który Blanky znał dobrze z doświadczenia, tyle że tutaj nie miał trzech stóp grubości, lecz od dwudziestu do dwudziestu pięciu. Był tak gruby, że marynarze nie mogli już wywiercić w nim otworów przeciwpożarowych.

Nie pozwalał im nawet pogrzebać zmarłych.

Thomas Blanky zastanawiał się, czy kierował nim diabeł, czy tylko głupota, kiedy wykorzystując ponad trzydzieści lat swego doświadczenia, zaprowadził stu dwudziestu sześciu ludzi do miejsca, gdzie mogli jedynie umrzeć.

Nagle rozległ się krzyk. Potem huk wystrzału. I kolejny krzyk.

BLANKY

70°05' szerokości geograficznej północnej, 98°23' długości geograficznej zachodniej. 5 grudnia 1847.

Blanky zerwał zębami rękawicę z prawej ręki, pozwalając, by opadła na pokład, i podniósł strzelbę. Zgodnie z tradycją oficerowie na wachcie nie byli uzbrojeni, ale komandor Crozier jednym rozkazem położył kres tej tradycji. Każdy, kto wychodził na pokład, miał zawsze być uzbrojony. Pozbywszy się grubej rękawicy, Blanky mógł położyć palec na spuście, jednak jego dłoń, okryta teraz jedynie cienką wełnianą rękawiczką, natychmiast zaczęła drętwieć w dojmującym zimnie.

Zniknęło światło lampy marynarza Berry'ego, który pełnił wachtę przy lewej burcie. Wydawało się, że huk wystrzału dobiegł gdzieś z lewej strony śródokręcia, ale lodomistrz wiedział, że wiatr i śnieg zniekształcają dźwięki. Lampa na prawej burcie wciąż świeciła, Blanky miał jednak wrażenie, że się kołysze i przesuwa.

- Berry? - krzyknął w stronę lewej burty. Niemal czuł, jak wiatr porywa te dwie sylaby i wyrzuca za rufę. - Handford?

Zgasła lampa na prawej burcie. W pogodną noc Blanky widziałby światło lampy Leysa stojącego na posterunku za namiotem rozbitym na śródokręciu, to jednak nie była pogodna noc.

- Handford? - Blanky ruszył w stronę lewej burty, trzymając w prawej dłoni gotową do strzału broń, a w lewej lampę. W kieszeni płaszcza miał jeszcze trzy dodatkowe naboje, wiedział jednak dobrze, ile czasu zajmuje w takiej temperaturze przeładowanie strzelby.

- Berry! - ryknął. - Handford! Leys! - Stary lodomistrz wiedział, że w ciemnościach wszyscy trzej mogą się teraz postrzelić nawzajem, choć wyglądało na to, że Alex Berry już wypalił ze swej strzelby. Na razie nie słysząc było drugiego strzału, Blanky obawiał się jednak, że jeśli przejdzie na prawą stronę brezentowej piramidy, a Handford albo Leys ukaże się nagle z drugiej jej strony, zdenerwowani marynarze mogą odruchowo doń strzelić. Mimo to ruszył naprzód.

- Berry? - krzyknął ponownie, zbliżając się na odległość dziesięciu jardów do posterunku przy prawej burcie.

Kątem oka dostrzegł w wirującym śniegu jakiś ruch, coś o wiele za dużego, by mogło być Aleksem Berrym, a potem rozległ się huk głośniejszy od strzału jakiejkolwiek strzelby. Druga eksplozja. Blanky cofnął się dziesięć kroków w stronę rufy, kiedy beczki, skrzynie i inne pojemniki przeleciały tuż obok niego. Dopiero po kilku sekundach uświadomił sobie, co się stało: piramida z zamrożonego płótna żaglowego, ciągnąca się wzdłuż centralnej osi okrętu, runęła nagle na pokład, rozrzucając na wszystkie strony tysiące funtów śniegu, lodu i zapasów ułożonych na pokładzie - była to głównie łatwopalna smoła, materiały uszczelniające i piasek do posypywania śniegu i lodu - i strącając na właz i schody niższe drzewca grotmasztu, które przed ponad rokiem zostały przesunięte do przodu i do tyłu, tworząc w ten sposób poprzeczki wielkiego namiotu.

W tej chwili ani Blanky, ani pozostali trzej marynarze stojący na wachcie nie mogli zejść pod pokład, ani też ludzie z dolnego pokładu nie mogli podnieść włazu przykrytego ogromnym ciężarem drzewc, płótna i śniegu. Lodomistrz wiedział, że ludzie na dolnym pokładzie wkrótce pobiegą do przedniego włazu i zaczną odrywać uszczelnienia, którymi opatrzyli go przed nadejściem zimy, ale to z pewnością musiało trochę potrwać.

Czy będziemy jeszcze żyli, kiedy tu wyjdą? - zastanawiał się Blanky.

Ostrożnie stawiając stopy na oblodzonym i przechylonym pokładzie, Blanky okrążył stertę śniegu i porozrzucanych skrzynek znajdujących się z tyłu przewróconego namiotu i ruszył w dół

wąskiej ścieżki ciągnącej się po prawej stronie rumowiska.

Nagle wyrósł przed nim jakiś mroczny kształt.

Wciąż trzymając lampę w lewej dłoni, na wysokości głowy, Blanky podniósł strzelbę i położył palec na spuście, gotów do oddania strzału.

- Handford! - powiedział, dojrawszy bladą plamę twarzy pośród warstw płaszczy i szalików. Czapka marynarza była przekrzywiona.

- Gdzie twoja lampa?

- Upuściłem ją - odparł Handford. Miał odkryte dłonie i trząsł się gwałtownie na całym ciele. Przysunął się bliżej do Thomasa Blanky'ego, jakby ten mógł go ogrzać. - Upuściłem ją, kiedy to coś strąciło drzewce na pokład. Płomyk zgasł w śniegu.

- Jak to, „kiedy to coś strąciło drzewce”? - zdumiał się Blanky.

- Żadne żywe stworzenie nie może złamać ani strącić drzewca.

- Ale właśnie to zrobiło! - zaprotestował Handford. - Słyszałem, jak Berry wypalił ze strzelby. Potem coś krzyknął. A potem jego lampa zgasła. Wtedy zobaczyłem, jak coś... wielkiego, coś ogromnego... skacze na drzewce, i wtedy właśnie wszystko runęło. Próbowałem strzelić do tego, ale moja strzelba nie wypaliła. Zostawiłem ją przy relingu.

Wskoczyło na drzewce? - pomyślał Blanky z niedowierzaniem. Obrótowe drzewce grotmasztu znajdowało się na wysokości dwunastu stóp nad pokładem. Nic nie mogło na nie wskoczyć, a teraz, kiedy maszt pokryty był warstwą lodu, nic też nie mogło się na niego wspiąć.

- Musimy znaleźć Berry'ego - oświadczył głośno.

- Za żadne skarby świata nie pójdę teraz na lewą burtę, panie Blanky. Może pan złożyć na mnie skargę, mogę dostać pięćdziesiąt rzemieni od bosmana mata Johnsona, ale nic mnie nie zmusi, żebym tam teraz poszedł, panie Blanky. - Handford tak mocno szczekał zębami, że lodomistrz ledwie go rozumiał.

- Uspokój się - warknął Blanky. - Nikt nie złoży na ciebie skargi. Gdzie jest Leys?

Z posterunku na prawej burcie Blanky powinien był widzieć lampę Davida Leysa na dziobie. Na dziobie było jednak ciemno.

- Jego lampa zgasła w tej samej chwili co moja - wykrztusił Handford, szczękając zębami.

- Zabierz swoją strzelbę.

- Nie mogę tam wrócić, panie... - zaczął Handford.

- Do diabła z twoim „nie mogę”! - ryknął Thomas Blanky. - Jeśli nie pójdziesz po tę cholerną strzelbę w tej chwili, ukarzę cię tak, że pięćdziesiąt batów wyda ci się słodką pieszczotą, Johnie Handford. No już, ruszaj się!

Handford uczynił wreszcie krok do przodu. Blanky szedł za nim, nie odwracając się ani na moment plecami do zrujnowanego namiotu leżącego na środku pokładu. W gęstym śniegu krąg światła rzucanego przez lampę miał nie więcej niż dziesięć stóp średnicy.

Zatrzymali się przy relingu, gdzie Handford próbował wydobyć ze śniegu swoją strzelbę, lecz zgrabiałe z zimna dłonie wyraźnie odmawiały mu posłuszeństwa.

- Gdzie są twoje rękawice, człowieku? - warknął Blanky.

Zęby Handforda szczękały już tak mocno, że nie zdołał mu odpowiedzieć.

Blanky odstawił swoją broń, odsunął marynarza na bok i sam podniósł jego strzelbę. Upewnił się, że śnieg nie zatkał luf, potem odciągnął zamek i wręczył strzelbę Handfordowi. Okazało się, że musi wsadzić broń pod pachę marynarza, by ten mógł trzymać ją w obu skostniałych dłoniach. Włożywszy własną broń pod lewą pachę, skąd mógł ją szybko wyciągnąć, Blanky wyjął z kieszeni płaszcza nabój, załadował go do strzelby Handforda i zamknął zamek.

- Jeśli z tej sterty wyjdzie coś większego ode mnie albo Leysa - mówił Blanky, pochylając się do Handforda i przekrzykując wycie wiatru - wyceluj i strzelaj, nawet jeśli musiałbyś to robić zębami, jasne? Handford zdołał skinąć głową.

- Idę na dziób poszukać Leysa i pomóc mu otworzyć przedni włącz - oświadczył Blanky. Wydawało się, że z przodu, wokół stosu śniegu, zamrożonego płótna, połamanych drzewc i porozrzucanych skrzyń, panuje całkowity bezruch i martwota.

- Nie mogę... - zaczął znowu Handford.

- Zostań tutaj - warknął Blanky i postawił lampę obok przerażonego marynarza. - Nie zastrzel mnie, kiedy wrócę tu z Leysem, albo przysięgam na Boga, że mój duch będzie prześladował cię do śmierci, Johnie Handford.

Handford ponownie skinął głową.

Blanky ruszył w stronę dziobu. Już po dziesięciu krokach znalazł się poza kręgiem światła rzucanego przez lampę, niemal w całkowitych ciemnościach. Twarde drobiny śniegu siekły go po twarzy niczym śrut. Wiatr wył w wantach i resztkach takielunku, które zostawili tu na tę niekończącą się zimę. Było tak ciemno, że Blanky musiał nieść strzelbę w lewej dłoni - wciąż okrytej grubą rękawicą - a prawą ręką przytrzymywać się pokrytego lodem relingu. Wydawało mu się, że drzewce grotmasztu od strony dziobu także zostało urwane.

- Leys! - krzyknął.

Zatrzymał się w pół kroku, gdy zza sterty śniegu i skrzynek wychynał jakiś wielki, biały kształt. Lodomistrz nie potrafił określić, czy jest to biały niedźwiedź, czy wytatuowany demon, ani też czy znajduje się w odległości dziesięciu czy trzydziestu stóp, wiedział jednak, że stworzenie owo blokuje mu drogę na dziób.

Potem stanęło na tylnych nogach.

Blanky widział tylko jego zarys, wiedział jednak, że jest ogromne - choćby dlatego, że na jego twarz padało mniej śniegu, jakby potwór zablokował śnieżycę własnym ciałem. Mała trójkątna głowa, jeśli rzeczywiście ów niewyraźny kształt w ciemności był jego głową, wznosiła się ponad miejscem, w którym jeszcze niedawno wisiały drzewca. W jasnym trójkącie głowy widać było dwie czarne plamki - oczy? - zawieszone co najmniej czternaście stóp nad pokładem.

Niemożliwe, pomyślał Thomas Blanky. Stworzenie ruszyło w jego stronę.

Blanky przełożył strzelbę do prawej ręki, oparł kolbę o ramię, podparł broń drugą ręką i wypalił.

Błysk eksplozji pozwolił lodomistrzowi ujrzeć przez moment czarne, martwe, beznamienne oczy wpatrującego się weń rekina - nie, wcale nie rekina, poprawił się w myślach sekundę później; te dwa czarne jak otchłań kręgi były znacznie bardziej przerażające, złowrogie i inteligentne niż ślepie rekina - bezlitosnego drapieżnika, który postrzega cię tylko jako pożywienie. Owe mroczne, bezdenne ślepie zawieszone wysoko ponad głową Blanky'ego nagle zaczęły się do niego zbliżać.

Lodomistrz rzucił bezużyteczną strzelbą w potwora - nie miał czasu na przeładowanie - i doskoczył do drablinki.

Tylko dzięki czterdziestoletniemu doświadczeniu lodomistrz Blanky wiedział, gdzie ona się znajduje, i trafił do niej w zasnutych śniegiem ciemnościach. Zacisnął prawą dłoń na linie, oderwał nogi od pokładu i wyrzucił je wysoko w górę, szczęśliwie trafiając stopami w ciemnościach na któryś ze szczebli, zębami ściągnął grubą rękawicę z lewej dłoni i zaczął pisać się w górę, wisząc jednocześnie niemal do góry nogami po wewnętrznej, zwróconej do pokładu stronie wygiętych w łuk lin.

Sześć cali pod jego nogami i pośladkami coś przecięło powietrze z mocą rozkołysanego

dwutonowego tarana. Blanky słyszał, jak trzy grube, pionowe liny pękają z trzaskiem... niemożliwe!... a pozbawiona dolnego punktu zaczepienia drablinka leci w dół, omal nie zrzucając go z powrotem na pokład.

Utrzymał się. Przełożywszy nogę na drugą stronę drablinki, lodomistrz bez chwili zastanowienia ponownie zaczął pięć się w górę. Thomas Blanky poruszał się jak małpa - wspinał się po takielunku już jako dwunastoletni chłopiec, kiedy to uważał, że maszty, żagle i liny na trzymasztowym okręcie wojennym, na którym rozpoczął swą marynarską karierę, zostały zbudowane przez Jej Wysokość wyłącznie dla jego przyjemności.

Był już dwadzieścia stóp nad pokładem i zbliżał się do poziomu drugiego drzewca - to wciąż ustawione było pod należytym kątem, prostopadle do osi pokładu - kiedy stworzenie na dole ponownie uderzyło w mocowanie drablinek, odrywając od relingu kawał drewna wraz z kołkami, metalowymi trzpieniami i blokami oraz grubą warstwą lodu.

Cała sieć drablinek runęła w stronę masztu. Blanky wiedział, że siła uderzenia strąci go z lin i rzuci prosto w łapy i paszczę czekającego na dole potwora. Choć w zasnutej śniegiem ciemności wciąż widział nie dalej niż na odległość pięciu stóp, lodomistrz skoczył na wanty.

Jego marznące palce trafiły na drzewce i zawieszone pod nim liny, w tej samej chwili na dolnej linie oparła się także jego stopa. Blanky wiedział, że najlepiej chodzi się po wantach na bosaka, jednak teraz oczywiście nie wchodziło to w grę.

Podniósł się na wysokość drzewca, niemal dwadzieścia pięć stóp nad pokład, i oplótł oblodzoną drewnianą belkę rękami i nogami, kładąc się na niej niczym przerażony jeździec na koniu. Stopami odszukał liny, które zapewniły mu lepsze podparcie.

Normalnie, nawet w ciemnościach, wietrze, śniegu i gradzie, każdy prawdziwy żeglarz wspiąłby się sześćdziesiąt stóp wyżej, aż do salingu grotmasztu, skąd mógłby obrzucać swego prześladowcę obelgami, niczym szympanś siedzący bezpiecznie na wysokim drzewie i ciskający w swego wroga owocami i kałem. Tyle że w tę grudniową noc na HMS *Terror* nie było miejsca, do którego Blanky mógłby uciec przed stworzeniem tak potężnym, że mogło zniszczyć główne drzewce.

Ponad rok wcześniej, we wrześniu, Blanky pomagał Crozierowi i Harry'emu Peglarowi, odpowiadającemu za przedni maszt, kiedy ci przygotowywali *Terror* do drugiej zimy w lodzie. Nie było to zajęcie łatwe ani bezpieczne. Najpierw zdjęli i ułożyli pod pokładem dziesiątki jardów olinowania. Potem ostrożnie zdemontowali bramstengi i stengi - ostrożnie, bo gdyby ciężki maszt wyslizgnął się i runął w dół, przebiłby wszystkie pokłady i poszycie statku niczym potężna włócznia przenikająca przez ciekłą zbroję. Niejeden już okręt zatonął wskutek takiej nieostrożności. Gdyby jednak te odcinki masztu pozostały na swoim miejscu, podczas długiej zimy zgromadziłyby się na nich ogromna ilość lodu. Lodowe sopte i bryły spadałyby na niższe olinowanie i na głowy ludzi pełniących wachtę, a poza tym ciężar lodu mógłby przewrócić okręt na bok.

Kiedy nad statkiem wznosiły się już tylko trzy kikuty dolnych części masztów - dla marynarza był to widok równie nieznośny jak dla portrecisty widok człowieka o amputowanych członkach - Blanky nadzorował luzowanie want i lin pozostałych na statku; zbyt mocno napięte liny i płótno nie wytrzymałyby ciężaru śniegu i lodu. Nawet łodzie *Terroru* - dwie wielkie łodzie wielorybnicze, dwa mniejsze kutry, skif komandora, szalupy i jolki, w sumie dziesięć jednostek - zostały zniesione na dół, odwrócone, należycie przymocowane i przykryte.

Teraz Thomas Blanky wisiał na wantach drugiego drzewca grotmasztu, dwadzieścia pięć stóp nad ziemią, i miał nad sobą jeszcze tylko jeden poziom, a wszystkie liny i drablinki prowadzące na ten trzeci i ostatni poziom okryte były grubą warstwą lodu. Sam grotmaszt wyglądał jak kolumna lodu oblepiona z jednej strony warstwą śniegu. Lodomistrz objął mocniej drzewce i próbował spojrzeć w

dół, gdzie panowały teraz całkowite ciemności - albo Handford zgasił lampę, którą dał mu Blanky, albo coś zgasiło ją za niego. Blanky zakładał, że marynarz kryje się w ciemności lub jest już martwy; tak czy inaczej nie mógł liczyć na jego pomoc. Przytrzymując się mocniej want, lodomistrz spojrzał w lewo i przekonał się, że w miejscu, gdzie na wachcie powinien stać David Leys, wciąż jest ciemno.

Blanky wyteżył wzrok, próbując dojrzeć potwora pod masztem, widział jednak tylko niewyraźną, ciemniejszą od nocy plamę, która zmierzała ku grotmasztowi, rozrzucając po drodze dwustu - i trzystufuntowe beczki z piaskiem, jakby były to dziecinne zabawki.

Nie zdołał wspiąć się na grotmaszt, pomyślał Blanky. Czuł lodowate zimno drzewca przenikające do jego nóg i tułowia. Jego dłonie, okryte tylko cienkimi rękawiczkami, zaczęły kostnieć. Gdzieś w trakcie wspinaczki zgubił uszankę i szal. Nasłuchiwał, licząc, że lada moment usłyszy trzask otwieranego włazu i krzyki marynarzy, na dziobie okrętu panowała jednak cisza i nieprzeniknione ciemności.

Czy to coś zablokowało też przedni właz? Przynajmniej nie może wspiąć się na grotmaszt. Żadne stworzenie tej wielkości tego nie dokona. Żaden biały niedźwiedź - jeśli to jest biały niedźwiedź - nie umie się wspinać.

Potwór zaczął się wspinać na skrócony maszt.

Blanky czuł drżenie drzewca, kiedy stwór wbijał pazury w drewno. Słyszał trzaski, zgrzyty i stękanie... ciężkie, basowe stękanie... Potwór się wspinał.

Zapewne sięgnął kikutów najniższych odłamanych drzewc, podnosząc tylko łapy nad łeb. Blanky próbował przebić wzrokiem ciemności i był niemal pewien, że widzi okrytą futrem masę wspinającą się w górę masztu, olbrzymie przednie łapy - albo ręce - wielkości dorosłego człowieka wbite w drewno i tylne łapy oparte o kikuty najniższych drzewc.

Blanky przesunął się dalej wzdłuż oblepionego lodem i śniegiem drzewca, obejmując go rękami i nogami niczym kochankę. Gdy tylko mógł, opierał się stopami o wanty i odpychał do przodu, zmierzając na przeciwległy kraniec poziomej belki.

Tymczasem olbrzymi stwór na grotmaszcie dotarł do poziomu drzewca Blanky'ego. Lodomistrz kilkakrotnie oglądał się nań przez ramię, widział jednak tylko olbrzymią, białą pustkę w miejscu, gdzie powinna się znajdować pionowa linia masztu.

Coś uderzyło w drzewce z taką siłą, że Blanky wyleciał w powietrze na wysokość dwóch stóp, a potem wylądował ciężko na brzuchu i kroczu. Spadłby na pokład, gdyby jego przemarznięte dłonie i prawa stopa nie były wpłątane w wanty. Przez chwilę nie mógł złapać oddechu - czuł się tak, jakby dosiadł właśnie wierzgającego konia z żelaza.

Drugie uderzenie strąciłoby go z tego konia, Blanky był już jednak na nie przygotowany i trzymał się z całych sił. Mimo to drgania były tak silne, że lodomistrz zsunął się z oblodzonej belki i zawisł pod nią, wpłątany w wanty. Zdołał się podnieść i ułożyć na drzewcu tuż przed trzecim, najsilniejszym uderzeniem. Usłyszał trzask, poczuł, jak drzewce zaczyna się przechylać, i uświadomił sobie, że zostało mu tylko kilka sekund, nim wraz z ciężką belką, wantami, linami i drablinkami runie na położony dwadzieścia pięć stóp niżej pokład.

Blanky dokonał niemożliwego. Wyprostował się i uklęknął na przechylonym, oblodzonym drzewcu, potem stanął na równych nogach, wymachując szeroko rękami dla utrzymania równowagi, wreszcie rzucił się w ciemność, rozkładając szeroko ręce i nogi, szukając jednej z niewidocznych lin, które powinny być - mogły - tam wisieć. Wybierając kierunek skoku, starał się brać pod uwagę siłę i kierunek wiatru, przechył pokładu i drgania uderzanego przez potwora drzewca.

Jego dłonie minęły zawieszoną w powietrzu drablinkę. Uderzyła w nią jednak jego twarz; spadając, Tom Blanky zdążył pochwycić oblodzoną linę obiema rękami i zsunąć się zaledwie sześć

stóp niżej, by potem rozpocząć szaloną wspinaczkę do trzeciego, najwyższego drzewca, umocowanego na wysokości niemal pięćdziesięciu stóp nad pokładem.

Potwór wydał z siebie ogłuszający ryk. Moment później rozległ się potężny huk, kiedy drugie drzewce, wanty i liny runęły na pokład.

Blanky właściwie zawisł na pojedynczej linie umocowanej w odległości ośmiu jardów od głównego masztu. Służyła do szybkiego zejścia z salingu albo górnych drzewc, a nie do wspinaczki. Mimo że była obludzona, wiał silny wiatr i padał śnieg, mimo że Thomas Blanky tracił już czucie w rękach, wspiał się niczym czternastoletni aspirant, pochłonięty zabawą z chłopcami okrętowymi.

Nie mógł wciągnąć się na najwyższe drzewce - było zbyt obludzone - odnalazł tam jednak wanty i przesunął się na poluzowaną wantę pod drzewcem. Od zamarzniętej liny i zwiniętego płótna oderwał się kawałek lodu, który sekundę później roztrzaskał się o pokład. Blanky miał wrażenie - a może tylko nadzieję - że słyszał huki i trzaski dobiegające z dziobu, jakby Crozier i jego ludzie rozbijali zamknięty właz siekierami.

Uczepiwszy się zwiniętego płótna niczym pajak, Blanky spojrzał w dół i na lewo. Albo przestał padać śnieg, albo jego wzrok przywykł bardziej do ciemności, widział bowiem wyraźnie sylwetkę potwora, który wspinał się do trzeciego i najwyższego drzewca. Był tak wielki, że w porównaniu z potężnym masztem wyglądał jak duży kot wspinający się na bardzo cienkie drzewo. Tyle że wcale nie przypomina kota, pomyślał Blanky, może prócz faktu, że wspinał się, wbijając pazury w dębowe drzewce i żelazne pasy, których nie mogła przebić nawet średniej wielkości kula armatnia.

Tymczasem Blanky przesunął się po zamarzniętym żaglu, który skrzypiał pod jego ciężarem niczym zbyt nakrochmalony muślin. W miarę jak oddalał się od masztu, na pokład spadały kolejne porcje spękanego lodu.

Olbrzymi kształt za jego plecami dotarł do poziomu trzeciego drzewca. Blanky czuł drżenie drewna, płótna i lin, kiedy część ogromnego ciężaru potwora przeniosła się na drzewca po obu stronach masztu. Wyobraziwszy sobie uderzenie jednej z olbrzymich przednich łap, Blanky zaczął pełznąć jeszcze szybciej. Znajdował się już w odległości czterdziestu stóp od masztu, poza pokładem. Marynarz, który pracując przy żaglach, spadłby z tego miejsca, runąłby do morza. Blanky spadłby na położony ponad sześćdziesiąt stóp niżej lód.

Coś opadło na twarz Blanky'ego i ramiona - siatka, sieć pajęcza, pułapka. Blanky omal nie krzyknął ze strachu, w porę jednak zrozumiał, co to takiego - drablinki, liny łączące reling z drugim salingiem, przełożonym na czas zimy na czubek skróconego masztu, by marynarze mogli strącać stamtąd lód. To była drablinka z prawej burty, wyrwana z mocowań w relingu i pokładzie nieprawdopodobnie mocnym uderzeniem potwora. Oblepione śniegiem i lodem kwadraty drablinki zachowywały się jak małe żagle, które wiatr przeniósł daleko poza prawą burtę.

Blanky znów zadziałał instynktownie, bez zastanowienia. Gdyby zaczął się zastanawiać nad kolejnym ruchem, zapewne nie miałby już czasu go wykonać.

Odepchnął się od zwiniętego żagla i rzucił na kołysaną wiatrem drablinkę.

Zgodnie z jego oczekiwaniami, obciążona drablinka poleciała z powrotem w stronę masztu. Blanky minął zaledwie o stopę ogromne cielsko uczepione masztu. Było zbyt ciemno, by mógł przypatrzeć mu się dobrze, widział jednak, jak trójkątna głowa wielkości jego tułowia, osadzona na szyi zbyt długiej i węzowej, by mogła pochodzić z tego świata, obraca się gwałtownie w jego kierunku, słyszał też, jak zęby dłuższe od jego palców zamykają się z trzaskiem w miejscu, przez które przed sekundą przeleciał. Lodomistrz poczuł nawet oddech potwora - smród gnijącego mięsa, zupełnie inny od rybiego zapaszku wydobywającego się z paszcz niedźwiedzi polarnych, które zabili

i oprawili na łodzi. To był odór rozkładającego się ludzkiego ciała zmieszany z zapachem siarki, gorący jak podmuch powietrza wypływający z otwartego paleniska kotła.

W tym momencie Thomas Blanky zrozumiał, że marynarze, których nazywał przesądnymi głupcami, mieli rację; to stworzenie z lodu było demonem lub bogiem zamkniętym w postaci przerażającego drapieżnika. Było siłą, którą należało albo obłaskawić, albo czcić, albo po prostu przed nią uciec.

Mijając środkową oś okrętu, obawiał się przez chwilę, że niższa część drablinki zaczepi o kikut odłamanych drzewc albo zapłacie się w wantach - wtedy potwór musiałby jedynie przyciągnąć go do siebie niczym rybę schwytaną w sieć - ale ciężar jego ciała nadał sieci taki pęd, że oddaliła się od masztu na odległość co najmniej piętnastu stóp, w stronę lewej burty.

Blanky wiedział, że teraz drablinka poniesie go w drugą stronę, prosto w ogromną lewą łapę potwora, która wyciągała się ku niemu w ciemnościach.

Lodomistrz obrócił się, przerzucając ciężar ciała w stronę dziobu, a poczuwszy, że ciężka, porozrywana sieć poddaje się jego manewrom, wysunął nogi z drablinki, szukając stopami trzeciego drzewca.

Jego stopa trafiła na oblodzoną belkę, kiedy nad nią przelatywał. Podeszwa buta ześlizgnęła się z lodu, kiedy jednak lina niosła go ponownie w stronę rufy, Blanky zdążył oprzeć obie stopy na drzewcu i odepchnąć się od niego z całych sił.

Splątana sieć lin i drablinek znów niosła go obok grotmasztu, teraz jednak zataczała wielki łuk w stronę rufy. Nogi Blanky'ego nadal wisiały bezwładnie w powietrzu, pięćdziesiąt stóp nad zniszczonym namiotem. Kiedy zbliżał się do masztu, przywarł całym ciałem do lin, wyginając tułów do przodu.

Pazury przecięły powietrze niecałe pięć cali od jego pleców. Gdyby miał na to czas, lodomistrz pokręciłby głową z niedowierzaniem - wiedział, że od masztu dzieli go co najmniej dziesięć stóp. Potwór musiał wbić pazury prawej łapy - albo rękę, albo diabelskie szpony - w maszt i wisząc tylko na niej, wyciągnąć drugie ramię na odległość sześciu stóp.

Ale chybił.

Blanky wiedział, że kiedy znów pofrunie w jego stronę, monstrum już nie chybi.

Pochwycił skrajną linę drablinki i zaczął ześlizgiwać się w dół jak najszybciej, trąc palcami o poprzeczne szczeble i linki, co w każdej chwili groziło upadkiem na pokład.

Drablinka dotarła na szczyt łuku, który zataczała wokół masztu, i zaczęła wracać.

Jeszcze za wysoko, pomyślał Blanky, kiedy splątane liny niosły go z powrotem w stronę grotmasztu.

Potwór bez trudu przechwycił drablinkę, kiedy ta dotarła do podłużnej osi okrętu, ale Blanky był już dwadzieścia stóp niżej i wciąż się zsuwał.

Potwór zaczął przyciągać do siebie splątaną masę takielunku.

To jest, kurwa, niesamowite, zdążył pomyśleć Thomas Blanky, kiedy jego prześladowca pociągnął tonę lub półtonę lodu i sznurów z taką łatwością, z jaką rybak wyciąga sieć z morza.

Lodomistrz zrobił to, co zaplanował w ciągu ostatnich kilku sekund lotu na drablinie; ześlizgując się w dół, jednocześnie przenosił ciężar ciała raz do przodu, raz do tyłu, niczym chłopiec huśtający się na linie, zwiększając za każdym razem wychylenie drablinki. Jednocześnie jednak potwór ciągnął go w górę, mniej więcej w takim samym tempie, w jakim on schodził. Blanky przypuszczał, że dotrze na koniec lin w tym samym czasie, kiedy potwór przyciągnie go do siebie, na wysokość pięćdziesięciu stóp.

Wciąż jednak miał nad sobą tyle luźnej drablinki, że przy jej maksymalnym wychyleniu

oddalał się o dwadzieścia stóp od pionu w stronę prawej burty. Zaciskając obie ręce na pionowych linach i opierając stopy na poziomych szczeblach, lodomistrz zamknął oczy i przywołał w myślach obraz chłopca huśtającego się na sznurze.

Z góry dobiegło głośnie warknięcie, a liny powędrowały kolejne pięć, sześć stóp w górę.

Nie wiedząc, czy znajduje się dwadzieścia, czy czterdzieści pięć stóp nad pokładem, starając się wyczuć chwilę, kiedy drablinka osiągnie maksymalne wychylenie, Blanky przekręcił ją mocniej do wewnątrz, zsunął stopy ze szczebli i rzucił się w powietrze.

Wydawało mu się, że leci całą wieczność.

Najpierw musiał się ponownie obrócić, tak by nie wylądować na głowie, plecach lub brzuchu. Łód nie zamortyzowałaby jego upadku - tym bardziej, oczywiście, reling albo pokład - ale na to nic już nie mógł poradzić. Lodomistrz wiedział, że jego życie zależy teraz od prostej newtonowskiej arytmetyki; Thomas Blanky stał się elementem równania ruchu obiektu balistycznego.

Wyczuł raczej, niż zobaczył reling prawej burty, który przesunął się w odległości sześciu stóp od jego głowy, dzięki czemu zdążył podciągnąć nogi i wyprostować ramiona, nim jego ciało uderzyło w zbocze śniegu i lodu łączące niczym podjazd burtę *Terroru* z zamrożoną powierzchnią morza. Przed oddaniem skoku lodomistrz dokonał w myślach błyskawicznych obliczeń i zrobił wszystko, by trajektoria lotu wyprowadziła go tuż przed twardą jak beton ścieżkę, po której marynarze schodzili na łód, i tuż za śnieżną zaspę, gdzie pod trzema stopami śniegu kryły się okryte brezentem łodzie.

Wylądował dokładnie tam, gdzie zaplanował. Siła uderzenia pozbawiła go na moment oddechu. Poczuł przeszywający ból w lewej nodze - modlił się, by był to zerwany mięsień, a nie złamana kość - i zaczął toczyć się po długim stromym zboczu, jednocześnie wyrzucając z siebie całą lawinę przekleństw.

Trzydzieści stóp za okrętem, gdzieś na pokrytym śniegiem lodzie, Blanky opadł na plecy i zatrzymał się.

Szybko dokonał w myślach oceny sytuacji. Nie połamano rąk, choć bolał go prawy nadgarstek. Głowa także wydawała się nienaruszona. Bolały go żebra i z trudem wciągał powietrze w płuca, przypuszczał jednak, że winne są temu raczej strach i podniecenie niż połamane żebra. Ale lewa noga bolała go jak diabli.

Blanky wiedział, że powinien zerwać się na równe nogi i biec... natychmiast... ale nie mógł ruszyć się z miejsca. Leżał na plecach, z rozłożonymi szeroko rękami i nogami, pozwalając, by ciepło jego ciała uchodziło w otaczające go lód i powietrze, próbując odzyskać oddech i trzeźwość umysłu.

Teraz bez wątpienia słyszał już krzyki ludzi dochodzące z przedniego pokładu. Na dziobie pojawiły się lampy, w ich żółtym blasku widać było wyraźnie smugi gnanego wiatrem śniegu. Potem Blanky usłyszał głuchy łomot i trzask; wiedział, że to demon ześlizgnął się właśnie z grotmasztu na pokład. Nawoływania i krzyki marynarzy zmieniły barwę, słysząc w nich było nuty strachu i zdenerwowania, choć żaden ze stojących na dziobie ludzi nie mógł widzieć wyraźnie potwora, ukrytego na rufie pośród ruin namiotu, połamanych drzewc, takielunku i rozrzuconych skrzynek. Huknął strzał.

Obolały, pojękujący Thomas Blanky stanął na czworakach. Zgubił gdzieś swoje wełniane rękawiczki, jego dłonie były więc teraz pozbawione jakiegokolwiek okrycia. Stracił także czapkę, a jego rozpuszczone, przetykane pasmami siwizny włosy powiewały luźno na wietrze. Nie miał czucia w dłoniach, stopach i twarzy, lecz wszystko, co znajdowało się poza nimi, było źródłem różnych odmian bólu.

Podświetlona blaskiem lamp sylwetka potwora jednym skokiem pokonała reling i ruszyła w jego stronę.

Blanky błyskawicznie zerwał się na równe nogi i pobiegł w ciemność, między lodowe iglice i seraki.

Dopiero oddaliwszy się jakieś pięćdziesiąt jardów od statku, uświadomił sobie, że równie dobrze mógł podpisać wyrok śmierci na samego siebie.

Nie powinien oddalać się od statku. Powinien pobiec wokół okrytych śniegiem łodzi, wzdłuż prawej burty okrętu, wspiąć się na wciśnięty w lód bukszpryt i pędzić do lewej burty, wzywając jednocześnie pomocy.

Niemal od razu uświadomił sobie, że nie zdążyłby nawet wspiąć się na dziób. Potwór złapałby go w ciągu dziesięciu sekund.

Dlaczego pobiegłem w tę stronę?

Miał jakiś plan, zanim zeskoczył z drablinki. Co to był, do diabła, za plan?

Blanky słyszał skrzypienie śniegu i tupot łap za plecami.

Ktoś, być może pomocnik lekarza z *Erebusa*, Goodsir, mówił kiedyś, jak szybko potrafi biegać biały niedźwiedź - dwadzieścia pięć mil na godzinę? Tak, co najmniej tyle. Blanky nigdy nie był dobrym biegaczem. A teraz musiał omijać lodowe iglice, seraki i szczeliny, które widział dopiero wtedy, gdy był zaledwie kilka stóp przed nimi.

Dlatego pobiegłem w tę stronę. Taki był plan.

Potwór biegł za nim, omijając te same poszarpane bryły lodu i iglice, między którymi pędził slalomem Blanky. Jednak lodomistrz dyszał i rzeził jak zepsuty miech, podczas gdy ogromny stwór za jego plecami pochrząkiwał tylko cicho - z rozbawienia? ze złością? - a każdy jego krok równał się trzem lub czterem krokom Blanky'ego.

Lodomistrz oddalił się już od statku o jakieś dwieście jardów. Uderzywszy w lodowy blok, który zobaczył zbyt późno, by przed nim uskoczyć, i przyjmując całą siłę uderzenia na prawe ramię, które natychmiast zdrętwiało podobnie jak wiele innych części jego ciała, Blanky uświadomił sobie, że od dłuższego czasu porusza się na oślep. Lampy na pokładzie *Terroru* były zbyt daleko - niewyobrażalnie daleko - by w czymkolwiek mu pomóc. Nawet gdyby mógł je jeszcze zobaczyć, nie oglądałby się za siebie - straciłby tylko cenne sekundy, od których mogło zależeć jego życie.

Za tą myślą przyszła następna; mógł biec w ciemności, bo korzystał z wyrytej w jego umyśle mapy lodowych pól, szczelin i brył otaczających *Terror* po sam horyzont. Blanky miał ponad rok, by przyjrzeć się zamarzniętemu morzu i wszystkim wałom, nierównościami, głazom i serakom pokrywającym jego powierzchnię. Mógł oglądać je zarówno w ciągu długiego arktycznego dnia, jak i przy blasku księżyca, gwiazd i zorzy polarnej, a jego wprawne oko i umysł niemal odruchowo notowały wszystkie elementy otaczającego go krajobrazu.

Przebiegłszy jakieś dwieście jardów w lodowej gęstwinie, za ostatnim wałem lodowym, który udało mu się pokonać - słyszał, jak potwór pokonuje wał zaledwie kilkoma skokami, zbliżając się do potencjalnej ofiary na odległość kilkunastu jardów - przypomniał sobie labirynt lodowych bloków, małych gór lodowych odwróconych do góry nogami, które połączyły się ze sobą, tworząc miniaturę górskiego łańcucha.

Jakby zrozumiałwszy, dokąd zmierza jego ofiara, jasny kształt za jego plecami chrząknął głośno i przyspieszył kroku.

Za późno. Ominąwszy ostatni wysoki serak, Blanky zanurzył się w lodowym labiryncie. Tutaj jednak nie mógł już korzystać z mapy, którą zachował w umyśle - widział to skupisko lodowych bloków tylko z pokładu statku, przez lunetę - uderzył w lodową ścianę, upadł na siedzenie i zaczął pełznąć na czworakach do przodu. Nim odzyskał całkiem oddech i trzeźwość umysłu, potwór był tuż za nim.

Szczelina między dwoma głazami wielkości powozu miała nie więcej niż trzy stopy szerokości. Blanky wsunął się w nią - wciąż na czworakach, podpierając się pozbawionymi czucia dłońmi - tuż przedtem, nim potwór dopadł szczeliny i wsunął do niej łapę, próbując go pochwycić i przyciągnąć.

Lodomistrz starał się odsunąć od siebie obrazy kota i myszy, gdy olbrzymie pazury odrywały kawałki lodu zaledwie dziesięć cali od jego stóp. Wstał, upadł, ponownie podniósł się na równe nogi i ruszył przed siebie, zamknięty w nieprzeniknionej ciemności.

Niedobrze. Wąska lodowa alejka była za krótka - miała niecałe osiem stóp długości - i prowadziła na otwartą przestrzeń. Słyszał już kroki i pochrząkiwania potwora okrążającego lodowy blok od prawej strony. Wiedział, że nie może tu zostać - równie dobrze mógłby stanąć na środku boiska do krykieta - a szczelina, obłożona głównie śniegiem, a nie lodem, stanowiła tylko tymczasową kryjówkę. Potwór potrzebowałby zapewne ledwie minuty lub dwóch, by poszerzyć otwór i dostać się do niego. Tutaj mógł tylko umrzeć.

Rzeźbione wiatrem góry lodowe, które widział kiedyś przez lunetę, znajdowały się... gdzie? Chyba po lewej.

Ruszył w lewo, otarł się o lodowe iglice i seraki, przeszedł nad szczeliną głębokości zaledwie dwóch stóp, wspiął się na niski, poszarpany wał, ześlizgnął na dół, wspiął się ponownie i usłyszał, jak potwór wychodzi zza lodowego bloku i zatrzymuje się jakieś dziesięć stóp od niego.

Większe góry zaczynały się tuż za tym lodowym blokiem. Ta z otworem, który dostrzegł kiedyś przez lunetę, będzie...

...te lodowe twory przemieszczają się codziennie, co noc...

...przewracają się i odrastają, zmieniają kształt, spychane przez wały lodowe...

...potwór wspina się na lodowe zbocze, zmierzając do miejsca, gdzie stoi Blanky...

Cienie. Szczeliny. Pęknięcia. Ślepe alejki w lodzie. Wszystkie za małe, by mógł się w nich pomieścić. Chwileczkę.

W ścianie odwróconej góry lodowej po jego prawej stronie znajdował się otwór wysokości czterech stóp. Chmury rozeszły się na jedną chwilę, a światło gwiazd wystarczyło Blanky'emu, by dojrzeć nieregularny otwór w ciemnej ścianie lodu.

Dopadł do ściany i rzucił się we wnękę, nie wiedząc, czy ma dziesięć jardów, czy dziesięć cali głębokości. Nie zmieścił się.

Zewnętrzna warstwa ubrań - płaszcz i wełniane okrycia - nie pozwalała mu wcisnąć się w szczelinę.

Blanky zerwał z siebie ubranie. Potwór wspiął się już na wał lodowy i stanął na tylnych łapach. Lodomistrz go nie widział - nie miał czasu, by oglądać się za siebie - ale czuł, że potwór podnosi się na tylne łapy.

Nie odwracając nawet głowy, Blanky rzucił ubrania za siebie, najszybciej jak potrafił.

Potwór sapnął, zaskoczony - lodomistrz poczuł siarczany odór wydobywający się z jego paszczy - później zaś jednym ruchem rozdarł grubą warstwę ubrań na strzępy i odrzucił je na lód. Blanky zdołał jednak wykorzystać kilka sekund spokoju, które zyskał w ten sposób.

Ponownie rzucił się do lodowego otworu.

Zmieściły się tylko jego ramiona. Podeszwy butów ślizgały się przez sekundę po lodzie, wreszcie znalazły jakiś punkt podparcia, palce szukały szczelin, nierówności, jakiegokolwiek punktu zaczepienia.

Lodomistrz przesunął się zaledwie cztery stopy w głąb wnęki, kiedy potwór sięgnął po niego. Najpierw zdarł jego prawy but i fragment stopy. Blanky poczuł, jak przerażające pazury wbijają się

w jego ciało i pomyślał - miał nadzieję - że stracił tylko stopę. Dysząc ciężko, starając się nie myśleć o przeszywającym bólu, który czuł mimo drętwienia jego rannej nogi, wsuwał się coraz głębiej w otwór.

Lodowy tunel był coraz ciaśniejszy, zwężał się.

Pazury zgrzytnęły o lód i uderzyły w jego prawą nogę, zrywając skórę i mięśnie w miejscu, gdzie Blanky zranił się podczas skoku z olinowania. Lodomistrz poczuł zapach własnej krwi. Potwór zapewne także, znieruchomiał bowiem na moment, a później ryknął.

Ogłuszający ryk wypełnił cały tunel. Ramiona Blanky'ego zakleszczyły się między lodowymi ścianami, nie mógł już przesunąć się do przodu, choć wiedział, że cała dolna część jego ciała wciąż jest w zasięgu potwora.

Demon znów ryknął. Przerazający dźwięk na moment zmroził krew w żyłach lodomistrza, nie pozbawił go jednak zdolności działania. Wykorzystując chwilę wytchnienia, cofnął się o kilka cali do szerszej części tunelu, wysunął przed siebie złożone razem ręce i z całych sił odepchnął się kolanami od lodu. Choć ostre krawędzie otworu, który z pewnością nie był przeznaczony dla mężczyzny jego rozmiarów, zdzierały mu skórę z ramion i boków, zdołał przepchnąć się dalej do przodu.

Tuż za owym przewężeniem tunel poszerzał się i opadał. Blanky ześlizgnął się na brzuchu po lodzie zwilżonym jego krwią. Ubranie wisiało na nim w strzępach. Czuł, jak przeraźliwy ziąb obejmuje zaciśnięte mięśnie jego brzucha i krocze.

Potwór ryknął po raz trzeci, lecz tym razem przerażający dźwięk dochodził z odległości co najmniej kilku stóp.

Chwilę później, gdy Blanky wysunął się z tunelu, był pewien, że cały jego trud poszedł na marne. Tunel - wyłobiony prawdopodobnie przez wodę ponad rok wcześniej - wyprowadził lodomistrza ponownie na otwartą przestrzeń. Nagle znalazł się pod rozgwieżdżonym niebem. Leżał na plecach, wciągając w nozdrza zapach własnej krwi, która wsiąkała powoli w lód i śnieg. Słyszał także kroki potwora, obchodzącego górę najpierw z lewej, potem z prawej strony, pewnego wygranej i prowadzonego zapachem świeżej krwi. Lodomistrz był zbyt zmęczony i obolały, by czołgać się dalej. Niech się dzieje, co chce, a Bóg żeglarzy niech straci tego skurwiela z lodu w otchłanie piekielne. Blanky modlił się już tylko o to, by jedna z jego kości utkwiała w gardzieli potwora.

Dopiero po minucie i kilku kolejnych rykach - każdy z nich był głośniejszy od poprzedniego i dochodził z innego kierunku - Blanky zrozumiał, że potwór nie może się do niego dostać.

Owszem, leżał na otwartej przestrzeni i pod gołym niebem, zarazem jednak zamknięty był w lodowej skrzyni mającej pięć na osiem stóp, utworzonej co najmniej przez trzy lodowe bloki ściśnięte i zlepione ze sobą przez napierający lód. Jedna z przechylonych gór wisiała nad nim jak upadająca ściana, lecz Blanky wciąż widział gwiazdy. Dostrzegł także światło gwiazd dochodzące z dwóch pionowych szczelin położonych po przeciwnych stronach jego lodowej trumny - zobaczył również sylwetkę drapieżnika przesłaniającą gwiazdy po drugiej stronie jednej z tych szczelin, niecałe piętnaście stóp dalej - jednak prześwity między górami miały nie więcej niż sześć cali szerokości. Tunel, przez który przed chwilą się wczołgał, był jedyną drogą wyjścia i wejścia do tej kryjówki.

Potwór ryczał i kręcił się wokół Blanky'ego przez kolejne dziesięć minut.

Thomas Blanky usiadł i oparł poranione plecy i ramiona o lód. Nie miał płaszcza ani grubych wełnianych ubrań, a jego spodnie, dwa swetry, koszule i podkoszulek wisiały w krwawych strzępach, był więc przekonany, że zamarznie na śmierć.

Potwór nie odchodził. Przechadzał się tam i z powrotem niczym drapieżnik zamknięty w

londyńskim zoo. Tyle że tutaj to Blanky tkwił we wnętrzu klatki.

Wiedział, że nawet jeśli potwór w końcu go zostawi, on nie będzie miał ani siły, ani ochoty przeciskać się ponownie przez wąski tunel. A gdyby nawet udało mu się dokonać tej sztuki, znalazłby się w miejscu, które równie dobrze mogłoby leżeć na księżycu - księżycu, który wychodził właśnie zza ustępujących chmur i wypełniał otaczające go lodowe bloki niesamowitym niebieskim blaskiem. Gdyby zaś jakimś cudem wydostał się z lodowego labiryntu, od statku wciąż dzieliłoby go trzysta jardów, a w tej chwili nie przeszedłby nawet dziesięciu. Nie czuł już własnego ciała, nie mógł też poruszać nogami.

Blanky wcisnął zmarznięte pośladki i bose stopy głębiej w śnieg - tu, gdzie nie docierał wiatr, warstwa śniegu była całkiem gruba - i zastanawiał się, czyjego towarzysze z *Terroru* kiedykolwiek go znajdą. Dlaczego w ogóle mieliby go szukać? Był tylko kolejną ofiarą monstrum z lodu. Przynajmniej kapitan nie będzie musiał znosić jego ciała, owiniętego starannie płótnem żaglowym, do Kajuty Zmarłych.

Po drugiej stronie tunelu i lodowych szczelin znów rozległy się ryki i hałasy, ale Blanky nie zwracał na nie uwagi.

- Mam w dupie ciebie i diabła, który cię spłodził - wymamrotał lodomistrz zdrętwiałymi, zamrznętymi wargami. A może nic nie mówił. Uświadomił sobie, że śmierć przez zamrożenie - być może i przez wykrwawienie, choć do tej pory krew sącząca się z jego licznych ran już pewnie zamarzała - wcale nie jest bolesna. Właściwie była całkiem spokojna... kojąca. Cudowny sposób na...

Blanky uzmysłowił sobie nagle, że w szczelinach i tunelu widać światło. Potwór chciał wywabić go z kryjówki za pomocą pochodni i lamp. Ale on nie da się nabrać na taką prostą sztuczkę. Będzie siedział w bezruchu, aż pograży się w głębokim, wiecznym śnie. Nie da monstrum tej satysfakcji i nie odezwie się po ich długim, cichym pojedynku.

- Do diabła, panie Blanky! - zahuczał w tunelu basowy głos komandora Croziera. - Odezwij się, jeśli tam jesteś, do cholery, albo cię tu zostawimy.

Blanky zamrugał. A właściwie próbował zamrużyć. Jego powieki i rzęsy zamarzły. Czyżby był to kolejny podstęp demona?

- Tutaj - wychrypiał. I jeszcze raz, głośniej: - Tutaj!

Minutę później w tunelu ukazała się głowa i ramiona mata uszczelniacza, Corneliusa Hickeya, najmniejszego marynarza na pokładzie *Terroru*. Hickey trzymał w dłoni latarnię. Blanky zdążył jeszcze pomyśleć, że wygląda to tak, jakby góra urodziła właśnie gнома.

W końcu zajęli się nim wszyscy czterej lekarze.

Blanky od czasu do czasu wynurzał się z przyjemnej mgły nieświadomości i sprawdzał, jak im idzie. Niekiedy opatrywali go lekarze z jego statku - Peddie i McDonald - a czasami medycy z *Erebusa*, Stanley i Goodsir. Nieraz był przy nim tylko jeden z nich, zajęty krojeniem, owijaniem lub zszywaniem. Blanky miał ochotę powiedzieć Goodsirowi, że niedźwiedzie polarne potrafią biec znacznie szybciej niż dwadzieścia pięć mil na godzinę, jeśli tylko zechcą. Ale... czy to rzeczywiście był niedźwiedź polarny? Raczej nie. Niedźwiedzie polarne były stworzeniami z tego świata, a to coś pochodziło z jakiegoś innego miejsca. Blanky nie miał co do tego wątpliwości.

Ostatecznie okazało się, że straty wcale nie były takie duże. Właściwie zupełnie małe.

John Handford, jak się okazało, był cały i zdrowy. Po tym, jak Blanky zostawił go przy prawej burcie, marynarz zgasił lampę i uciekł ze statku, przebiegając wokół niego na lewą burtę, by ukryć się przed potworem, który zajęty był w tym czasie pościgiem za lodomistrzem.

Alexander Berry, którego Blanky uznał już za zmarłego, leżał nieprzytomny pod płótnem

namiotu, dokładnie w miejscu, gdzie stał na wachcie w chwili, kiedy potwór ukazał się na pokładzie i wyłamał drzewce. Berry uderzył się w głowę tak mocno, że nie pamiętał niczego, co wydarzyło się tej nocy, Crozier powiedział jednak Blanky'emu, że znaleźli jego broń i że Berry z pewnością z niej strzelał. Lodomistrz oczywiście także wypalił ze swojej strzelby, mierząc prosto w sylwetkę, która stała zaledwie kilka kroków od niego i była wielka jak ściana, a jednak ani na pokładzie, ani nigdzie indziej nie znaleziono najmniejszych śladów krwi.

Crozier spytał Blanky'ego, jak to możliwe - dwóch ludzi strzeliło do zwierzęcia z odległości kilku jardów, a zwierzę nie krwawiło? - jednak lodomistrz nie udzielił mu żadnej odpowiedzi. Choć w głębi duszy, oczywiście, wiedział.

Leys także był żywy i cały. Czterdziestojednoletni marynarz musiał widzieć i słyszeć wiele - zapewne był świadkiem, jak potwór pojawił się na pokładzie - lecz nie mówił o tym. David Leys ponownie zamilkł i wpatrywał się w przestrzeń. Najpierw zaniesiono go do izby chorych na Terrorze, ponieważ jednak lekarze potrzebowali miejsca, by opatrzyć pokiereszowanego lodomistrza, Leys trafił ostatecznie do większej izby chorych na Erebusie. Według relacji gadatliwych gości Blanky'ego, Leys leżał tam nieruchomo ze wzrokiem utkwionym w suficie.

Blanky nie wyszedł z całej tej historii bez szwanku. Potwór oderwał mu pół stopy łącznie z piętą, lecz McDonald i Goodsir zaszyli i przyżegli otwartą ranę, zapewniając lodomistrza, że z pomocą cieśli okrętowego przygotowują dlań drewnianą protezę, mocowaną na skórzanych paskach, która pozwoli mu znów normalnie chodzić.

Znacznie gorzej wyglądała jego lewa noga - pazury potwora w kilku miejscach zdarły z niej mięśnie do kości i porysowały samą kość - i jak wyznał potem doktor Peddie, wszyscy czterej lekarze byli pewni, że będą musieli amputować ją aż do kolana. Jednak dzięki jednej z niewielu zalet arktycznego klimatu - wolnemu postępowi wszelkich zakażeń i gangreny - po nastawieniu kości i założeniu ponad czterystu szwów noga Blanky'ego, choć powykręcana i pozbawiona w kilku miejscach całych połaci mięśni, powoli się goiła.

- Twoje wnuki nie będą się mogły napatrzeć na te blizny - rzekł James Reid, składając mu kurtuazyjną wizytę.

Mróz także zrobił swoje. Blanky zachował co prawda wszystkie palce u nóg - lekarze powiedzieli mu, że będzie ich potrzebował, by utrzymać równowagę na uszkodzonej stopie - stracił jednak wszystkie palce prawej dłoni prócz kciuka oraz dwa najmniejsze palce i kciuk lewej dłoni. Goodsir zapewnił go, że za jakiś czas będzie mógł swobodnie pisać i jeść, korzystając tylko z dwóch palców lewej ręki, a także zapinać guziki tymi samymi palcami oraz kciukiem prawej dłoni.

Thomasa Blanky'ego na razie gównie obchodziło zapinanie guzików. Żył. Potwór z lodu zrobił wszystko, by go tego życia pozbawić, ale on wygrał tę walkę. Mógł jeść, gawędzić ze swoimi towarzyszami, wypijać codzienną porcję rumu - już teraz mógł utrzymać kubek w zabandażowanych rękach - i czytać książkę, jeśli tylko ktoś zechciał mu pomóc i odpowiednio ją ułożyć. W najbliższym czasie zamierzał dokończyć Pastora z Wakefield i miał nadzieję, że nie będzie to ostatnia książka, jaką przeczyta, nim jego doczesna wędrówka dobiegnie końca.

Blanky był żywy i zamierzał przebywać w tym stanie tak długo, jak tylko się da. Nie mógł się już doczekać, kiedy wróci do swojej kajuty - wciśniętej pomiędzy równie maleńkie kajuty porucznika Irvinga i Jopsona, stewarda komandora - co musiało nastąpić lada dzień, gdy tylko lekarze uznają, że nie potrzebuje już ich ciągłej opieki.

Na razie Thomas Blanky czuł się dziwnie szczęśliwy. Leżąc na swej koi w izbie chorych, nasłuchując późną nocą przyciszonych rozmów i śmiechów ludzi odpoczywających zaledwie kilka stóp dalej, za cienkim przepierzeniem, uśmiechnął się do siebie i pozwolił, by nieustające

pojękiwania i trzaski lodu usiłującego zgnieść HMS *Terror* kołysały go do snu równie skutecznie jak matka.

IRVING

70°05' szerokości geograficznej północnej, 98 °23' długości geograficznej zachodniej. 13 grudnia 1847.

Porucznik Irving musiał się dowiedzieć, jak Ciska wychodzi ze statku i wraca na niego niezauważona. Tego wieczora, dokładnie miesiąc po tym, jak znalazł Eskimoskę w jej nowej kryjówce, gotów był rozwiązać tę zagadkę, nawet jeśli straciłby przy tym palce u rąk i nóg.

Nazajutrz po tym, jak znalazł ją w schowku na linę kotwiczną, zameldował o tym komandorowi. Nie powiedział mu jednak, że jadła w swym nowym legowisku świeże mięso, głównie dlatego, że sam powątpiewał w realność tego, co widział zaledwie przez sekundę przy nikłym, migotliwym blasku małego płomienia. Nie zameldował mu także o haniebnym i szokującym czynie, na którym przyłapał matę uszczelniacza Hickeya i marynarza Mansona. Wiedział, że tym samym nie dopełnia obowiązków oficera Służby Badawczej Królewskiej Marynarki Wojennej, ale...

Ale co? Jedynym powodem, który mógł usprawiedliwiać to poważne naruszenie regulaminu, był fakt, że na pokładzie HMS *Terror* było już wystarczająco dużo szczurów.

Poza tym niewytłumaczalne zachowanie lady Cisky, jej tajemnicze zniknięcia i powroty - choć akceptowane przez zabobonną załogę jako ostateczny dowód na jej nadprzyrodzone zdolności i ignorowane przez komandora Croziera oraz innych oficerów jako mit - wydawały się młodemu Irvingowi o wiele ważniejsze niż odpowiedź na pytanie, czy rzeczywiście mat i okrętowy idiota robili sobie dobrze w śmierdzących ciemnościach ładowni.

Bo faktycznie była to śmierdząca ciemność, rozmyślał Irving, siedząc trzecią godzinę na skrzynce ukrytej za filarem w pobliżu dziobowego schowka na linę kotwiczną. Smród zalegający w mroźnej, ciemnej ładowni z dnia na dzień robił się coraz gorszy.

Przynajmniej na niskim podeście przed schowkiem nie było już talerzy zjedzeniem, kubków z rumem ani pogańskich fetyszy. Wkrótce po brawurowej ucieczce lodomistrza Blanky'ego przed potworem z lodu jeden z oficerów zwrócił uwagę komandora na ten problem. Komandor wpadł we wściekłość i zagroził, że pozbawi codziennej porcji rumu - na zawsze! - każdego marynarza, który będzie dość głupi, dość przesądny i ogólnie rzecz biorąc nie dość chrześcijański, by ofiarować cenne pożywienie i kubki doskonałego indyjskiego rumu tubylczej dziewczynie. Pogańskiemu dziecku. (Choć ci marynarze, którzy widzieli lady Ciskę nago lub słyszeli, jak rozmawiają o niej lekarze, wiedzieli, że wcale nie jest już dzieckiem, i szeptali o tym między sobą.)

Komandor Crozier zaznaczył również wyraźnie, że nie będzie tolerował żadnych fetyszy z białych niedźwiedzi. Oświadczył podczas nabożeństwa - właściwie było to tylko odczytanie regulaminu, choć wielu marynarzy chciało usłyszeć kolejny fragment Księgi Lewiatana - że każdy niedźwiedzi ząb, pazur, ogon, nowy tatuaż czy też inny fetysz, jaki zobaczy u któregośkolwiek z marynarzy, będzie oznaczał dla tego nieszczęśnika dodatkową nocną wachtę albo dodatkowe czyszczenie kibli. Od tego dnia marynarze HMS *Terror* jakby nagle przestali wierzyć w moc pogańskich fetyszy - choć porucznik Irving wiedział od przyjaciół z *Erebusa*, że tam załoga nie zmieniła swego postępowania.

Irving kilkakrotnie próbował śledzić Eskimoskę podczas jej nocnych przechadzek po statku, ponieważ jednak nie chciał, by wiedziała o jego obecności, szybko tracił ją z oczu. Dziś wieczorem wiedział z całą pewnością, że lady Ciska jest w swojej kryjówce. Zszedł za nią do ładowni prawie trzy godziny temu, kiedy marynarze zjedli kolację, a Ciska przyjęła od pana Diggle'a swoją porcję biednego Jasia, suchara i szklankę wody i poszła z tym wszystkim do siebie. Irving kazał jednemu ze

swych podwładnych obserwować główny właz, innemu zaś główną zejściówkę. Marynarze mieli zmieniać się na tych posterunkach co cztery godziny. Gdyby Eskimoska wspięła się do któregoś z tych wejść jeszcze tego wieczora - a właściwie nocy, bo było już po dziesiątej - Irving wiedziałby, dokąd poszła i kiedy.

Jednak już od trzech godzin drzwi schowka były szczelnie zamknięte. Krawędzie niewysokich drzwiczek obwiedzione były wąskim pasem światła, co oznaczało, że Eskimoska ma tam jakąś świeczkę albo prymitywną lampkę z otwartym płomieniem. Gdyby komandor Crozier się o tym dowiedział, z pewnością natychmiast wyciągnąłby Ciszę z jej kryjówki i wrzucił z powrotem do pomieszczenia przy izbie chorych albo... wypędził na lód. Dowódca bał się pożaru na statku równie mocno jak każdy inny doświadczony żeglarz, a przy tym nie darzył eskimoskiego gościa szczególnym sentymentem.

Nagle czworokąt światła wokół drzwi schowka zniknął.

Poszła spać, pomyślał Irving. Wyobrażał ją sobie - zupełnie nagą, zawiniętą w kokon niedźwiedziej futer. Irving wyobrażał sobie także, jak jeden z oficerów szuka go rankiem i znajduje jego martwe ciało na skrzynce w zimnej i śmierdzącej ładowni. Pomyślałby wtedy zapewne, że Irving to łajdak, który zakradł się tutaj, by podglądać jedyną kobietę na pokładzie. Biedni rodzice młodego porucznika spaliliby się pewnie ze wstydu, poznawszy okoliczności jego niechlubnej śmierci.

W tym momencie przez ładowie przepłynął strumień prawdziwie lodowatego powietrza, jakby w ciemności otarł się o niego jakiś duch. Strach na sekundę zjeżył mu włosy na karku, potem jednak przyszła mu do głowy prosta myśl: To tylko przeciąg. Jakby ktoś otworzył okno albo drzwi.

Zrozumiał wtedy, jak lady Cisza w magiczny sposób znika ze statku i wraca do niego.

Irving zapalił swoją lampkę, zeskoczył ze skrzynki, podszedł do schowka na linę kotwiczną i szarpnął za drzwi. Były zamknięte od wewnątrz. Irving wiedział, że w środku dziobowego schowka nie ma żadnego zamka - drzwi nie były nawet zamykane na klucz od zewnątrz, bo nikt nie chciałby ukraść liny kotwicznej - Eskimoska musiała więc zabezpieczyć je jakoś na własną rękę.

Irving przygotował się na taką ewentualność. Zabrał ze sobą trzydziestocalowy łom. Świadom, że będzie musiał wytłumaczyć się ze wszelkich zniszczeń przed porucznikiem Little'em i komandorem Crozierem, wsunął wąskie ostrze łomu między drzwi i naparł nań z całych sił. Drzwi zaskrzypiały głośno, lecz uchyliły się zaledwie o cal lub dwa. Przytrzymując łom jedną ręką, Irving sięgnął pod grubą warstwę ubrań i wyciągnął zza pasa nóż.

Lady Cisza zdołała jakoś wbić od wewnątrz kilka gwoździ w drzwi schowka, a potem połączyła je ze sobą paskiem jakiegoś elastycznego materiału - skóry? ścięgien? - tworząc białą sieć, która skutecznie przytrzymywała drzwi w miejscu. Irving i tak nie mógł już liczyć na to, że wejdzie do środka, nie pozostawiając po sobie śladów, przeciął więc nożem gęstą pajęczynę ścięgien. Nie było to łatwe; ścięgna stawiały ostrzu większy opór niż rzemienie czy liny okrętowe.

Kiedy ostatnie pasma sieci spadły wreszcie na podłogę, Irving wsunął do ciemnego wnętrza schowka swoją lampkę.

Kryjówka lady Ciszy wyglądała dokładnie tak, jak ją zapamiętał sprzed czterech tygodni - zwoje liny, przesunięte w środkowej części w głąb schowka i jednocześnie sięgające pod sufitem niemal samych drzwi, tworzyły coś na kształt jaskini - widać było także przedmioty świadczące o tym, że lady Cisza jadła tu posiłki: cynowy talerz *Terroru* z resztkami biednego Jasia, cynowy kubek na grog i torba na żywność, która wyglądała tak, jakby Eskimoska uszyła ją z fragmentów jakiegoś starego żagla. Na podłodze schowka stała także mała lampka z odrobiną oleju - marynarze używali takich lampek, kiedy nocą szli do ubikacji. Irving ściągnął rękawice i dotknął jej ostrożnie - była

jeszcze gorąca. Ale ani śladu lady Cisy.

Irving mógłby przesuwając ciężkie zwoje lin i szukać za nimi Eskimoski, wiedział jednak z doświadczenia, że cała wolna przestrzeń w schowku jest nimi szczelnie wypełniona i że nie ma tam już miejsca dla człowieka nawet tak drobnego jak lady Cisa.

A jednak nie było jej tutaj. Nie mogła przeniknąć przez pokład ani przez poszycie. Czyżby więc przesądni marynarze mieli rację? Czyżby rzeczywiście była eskimoską czarownicą? Szamanką?

Porucznik Irving nie wierzył w takie bzdury. Zauważył, że nie wyczuwa już przeciągu, który przed chwilą sprowokował go do działania. Jednak płomyk jego świecy chwia się lekko, jakby poruszany jakimś innym, lżejszym podmuchem.

Trzymając lampę w wyciągniętej ręce, zatoczył nią koło i zatrzymał w miejscu, gdzie płomień chwia się najmocniej: niemal dokładnie naprzeciwko wierzchołka dziobu.

Postawił lampę na podłodze i zaczął przesuwając zwój na bok. Natychmiast przekonał się, jak sprytnie Cisa ułożyła tutaj linę - to, co wyglądało jak kolejna wielka bela, było w rzeczywistości zwiniętym fragmentem innego zwoju, wciśniętym w pustą przestrzeń tak, by bez trudu można go było przesunąć w stronę drzwi, w głąb kryjówek. Za fałszywym zwojem widać było łukowate deski poszycia.

Tutaj także lady Cisa dokonała przemyślanego wyboru. Przednią część schowka przecinała od góry do dołu skomplikowana pajęczyna drewnianych i żelaznych belek zamocowanych podczas remontu HMS *Terror* kilka miesięcy przed rozpoczęciem wyprawy. Pionowe żelazne belki, dębowe poprzecznice, rozporki trzy razy grubsze od standardowych, żelazne trójkątne wsporniki i potężne dębowe belki ukośne - niektóre tak grube jak belki oryginalnego poszycia - wszystko to tworzyło strukturę wzmocnień przygotowanych z myślą o podróży przez arktyczny lód. Porucznik Irving wiedział, że jeden z londyńskich reporterów opisał te tony żelaza, dębu, afrykańskiego dębu, wiąz kanadyjskiego i dodatkowych warstw afrykańskiego i angielskiego dębu jako „masę drewna grubości około ośmiu stóp”.

Rzeczywiście, przy samej dziobnicy warstwa drewna i żelaza osiągała niemal taką właśnie grubość, lecz poczynając od tego miejsca, na przestrzeni około pięciu stóp w stronę rufy, poszycie zbudowane było tylko z pięciu cali mocnego angielskiego dębu, a nie z dziesięciu cali różnego rodzaju drewna, które wzmocniało kadłub niemal na całej długości. Uważano, że części kadłuba położone w pobliżu dziobówki muszą być cieńsze i elastyczniejsze, by mogły się poddawać straszliwym naciskom powstającym podczas przebijania się przez lód.

I tak właśnie było. Pięć pasów drewna po obu stronach kadłuba w połączeniu ze wzmocnionym dziobem i poszyciem stworzyło nowoczesny okręt przystosowany w stopniu dotąd niespotykanym do łamania lodu - cud techniki, z którym nie mogła się mierzyć żadna inna jednostka cywilna ani wojskowa na świecie. *Terror* i *Erebus* płynęły do miejsc, gdzie żaden inny okręt na świecie nie przetrwałby nawet jednej zimy.

Ten obszar w pobliżu dziobówki także był cudem techniki. Tyle że nie był już bezpieczny.

Irving szukał przez kilka minut, wystawiając płomień lampki na przeciąg, przesuwając gołymi, marznącymi dłońmi po poszyciu, dźgając deski nożem, by w końcu znaleźć miejsce, gdzie został poluzowany fragment burty o wymiarach trzy na półtorej stopy. Tylne części deski przymocowana była do burty dwoma długimi gwoździami, które teraz działały jak zawiasy. Przednia część - położona zaledwie kilka stóp od olbrzymiej stępki - była tylko wciśnięta w swoje miejsce.

Poluzowawszy deskę łomem - zastanawiał się, jak mogła dokonać tego młoda kobieta, i to gołymi rękami - i opuściwszy ją na podłogę, Irving stanął nagle przed szerokim otworem prowadzącym w ciemność arktycznego lodu. Do wnętrza schowka wpadał strumień mroźnego

powietrza.

To było niemożliwe. Młody oficer wiedział, że dziób *Terroru* został obłożony specjalnie w tym celu przygotowanymi, walcowanymi i hartowanymi płytami żelaza grubości jednego cala. Płyty te sięgały od dziobu niemal do jednej trzeciej długości kadłuba. Nawet jeśli Eskimosce udało się jakoś poluzować deskę, tutaj powinna była trafić na przeszkodę nie do przebycia.

A jednak nie trafiła. Za otworem ciągnął się lodowy tunel prowadzący bezpośrednio na zewnątrz. Ta część dziobu była wbita głęboko w lód i wbijała się weń coraz głębiej, w miarę jak okręt przechylał się do przodu, wypychany z drugiej strony w górę przez warstwę lodu gromadzącą się pod rufą.

Serce Irvinga biło jak oszalałe. Gdyby nazajutrz *Terror* jakimś cudem znalazł się ponownie na wodzie, zatonąłby.

Czy lady Ciska mogła tego dokonać? Ta myśl przeraziła Irvinga bardziej niż wszelkie podejrzenia dotyczące jej magicznych zdolności znikania i pojawiania się w dowolnym miejscu. Czy dwudziestoletnia kobieta mogła zerwać ze statku żelazne płyty? Czy mogła wyrwać z poszycia grube deski, które stoczniovcy w pocie czoła wyginali i przybijali do wręg? Czy mogła wiedzieć, gdzie dokładnie to zrobić, by sześćdziesięciu marynarzy, którzy znali ten okręt lepiej niż twarz własnej matki, niczego nie zauważyło?

Irving oparł się o poszycie, próbując uspokoić nierówny oddech i rozszalałe serce.

Musiał założyć, że po dwóch latach zmagania *Terroru* z lodem - w Zatoce Baffina, w Cieśninie Lancastera, wokół Wyspy Cornwallisa, a potem, następnego lata, w kanale, który ludzie nazywali teraz Cieśniną Franklina - tuż przed tym, jak utknęli w lodzie na dobre, część żelaznego pancerza oderwała się lub przesunęła, a gruba deska w poszyciu została wgięta do środka już po unieruchomieniu okrętu.

Czy coś innego niż lód mogłoby poluzować deskę takiej grubości? Czy coś innego próbowało się dostać do statku?

W tej chwili nie miało to znaczenia. Lady Ciska opuściła statek zaledwie przed kilkoma minutami, a John Irving zamierzał ją śledzić, nie tylko po to, by sprawdzić, dokąd się wybiera. Był ciekaw, czy - w jakiś niezwykle, prawdziwie cudowny sposób, biorąc pod uwagę grubość lodu i straszliwe zimno - sama wyszukuje i zabija zwierzęta lub łowi ryby.

Irving wiedział, że takie odkrycie mogłoby uratować ich wszystkich. Porucznik Irving, podobnie jak inni, słyszał o zepsutym jedzeniu w konserwach Goldnera. Wszyscy na obu statkach powtarzali już plotki, że jeszcze przed nadejściem lata skończą im się zapasy.

Nie mieścił się w otworze.

Irving próbował poluzować sąsiednie deski, wszystko jednak - prócz owej jednej, wyjętej już części - było twarde jak skała. Otwór szerokości trzech stóp i wysokości osiemnastu cali był jedyną drogą na zewnątrz. A on się w niej nie mieścił.

Zdjął warstwę wełnianych ubrań, płaszcz, szalik, czapkę i uszankę, wepchnął to wszystko do otworu i... wciąż nie mógł wsunąć do niego ramion, choć był jednym z najszczuplejszych oficerów na pokładzie. Trzęsąc się z zimna, Irving zdjął jeszcze kamizelkę i wełniany sweter i także wrzucił je do tunelu.

Gdyby nie udało mu się teraz wydostać ze statku, musiałby gęsto się tłumaczyć, dlaczego wraca z ładowni bez wierzchniego okrycia.

Zmieszczył się. Ledwo ledwo. Stękając i klnąc cicho, Irving wsunął się wreszcie do ciasnego otworu, choć stracił przy tym niemal wszystkie guziki od swej wełnianej koszuli.

Jestem poza statkiem, w lodzie, pomyślał, choć sam nie mógł w to do końca uwierzyć.

Leżał w wąskiej jaskini, która utworzyła się wokół dziobu i bukszprytu. Nie miał tu miejsca, by włożyć ponownie swoje ubrania, pchał je więc przed sobą. Zastanawiał się przez moment, czy nie sięgnąć z powrotem do schowka po lampkę, rozmyślił się jednak, licząc na to, że księżyc w pełni, który kilka godzin wcześniej towarzyszył mu podczas wachty, wciąż wisi na bezchmurnym niebie. W końcu zabrał ze sobą tylko łom.

Lodowy tunel musiał być co najmniej równie długi jak bukszpryt - miał ponad osiemnaście stóp długości - i być może został wyłobiony przez wodę spływającą po długiej belce podczas minionego lata, gdy temperatura sięgała czasem powyżej punktu zamarzania. Wyszedłszy z tunelu, Irving czołgał się jeszcze przez kilka sekund, nim uświadomił sobie, że jest już na zewnątrz - nad jego głową wisiała belka bukszprytu oraz ułożone na niej zamarznięte olinowanie i płótno kliwra, które nie tylko przesłaniały mu niebo, ale i skutecznie kryły go przed wzrokiem marynarza pełniącego wachtę na dziobie.

Z tego miejsca, gdzie *Terror* był tylko wielką, mroczną sylwetką na tle nieba, Irving mógł jedynie ruszyć w drogę powrotną na statek albo iść do przodu, w gęstwinę lodowych bloków i seraków.

Drżąc z zimna, porucznik wkładał na siebie kolejne warstwy ubrań. Dłonie trzęsły mu się zbyt mocno, by mógł zapiąć guziki kamizelki, ale to nie miało znaczenia. Płaszcz był ciężki i nieporęczny, ale przynajmniej miał znacznie większe guziki. Nim wreszcie Irving wciągnął na siebie wszystkie ubrania, był przemarznięty do szpiku kości.

Którędy?

Gęstwina lodowych tworów przed dziobem okrętu rozciągała się we wszystkich kierunkach, Cisza mogła więc zniknąć w niej bez śladu. Irving miał jednak wrażenie, że od tunelu wybiega w głąb lodowej pustyni coś na kształt ścieżki, pas wydeptanego śniegu. Jako że i tak nie widział w pobliżu lepszej drogi, sięgnął po łom, wyprostował się i ruszył na zachód.

Nigdy by jej nie znalazł, gdyby nie ten nieludzki dźwięk.

Odszedł już kilkaset jardów od okrętu i zgubił się w lodowym labiryncie - ścieżka, która go tutaj zaprowadziła, w pewnym momencie zniknęła, a właściwie połączyła się z kilkoma innymi, podobnymi trasami - i chociaż blask księżyca i gwiazd oświeślał wszystko z taką mocą, jakby był to dzień, Irving nie widział żadnego ruchu ani żadnych śladów na śniegu.

Wtedy usłyszał to zawodzenie.

Nie, uświadomił sobie, trzęsąc się na całym ciele - już od dłuższego czasu trząsał się z zimna, teraz jednak drżenie to sięgnęło głębiej - to nie było zawodzenie. To nie był dźwięk, jaki mogłaby wydać ludzka istota. To był raczej pozbawiony melodii głos jakiegoś przedziwnego instrumentu muzycznego... jakby po trosze przytłumionych dud, rogu, oboju, fletu i ludzkiego śpiewu. Dźwięk ów był na tyle głośny, by dochodził doń z odległości kilkudziesięciu jardów, z pewnością jednak nie był słyszalny na pokładzie statku - szczególnie że tej nocy wiatr wiał wyjątkowo z południowego wschodu, a nie północy. Wszystkie te dziwne tony łączyły się ze sobą w jeden dźwięk, jakby wypływały z jednego instrumentu. Irving nigdy nie słyszał czegoś podobnego.

Nieziemska muzyka - która zaczynała się raptownie, potem przyspieszała w seksualnym niemal rytmie i urywała się nagle, jakby w chwili szczytowania, i która z pewnością nie brzmiała tak, jakby ktoś odtwarzał ją z nut - dochodziła z pola seraków w pobliżu wysokiego wału lodowego, niecałe trzydzieści jardów na północ od oznaczonej kopcami ścieżki, która łączyła *Terror* z *Erebusem*. Tej nocy nikt nie pracował przy kopcach; Irving miał zamarznięte morze dla siebie. Dla siebie i kogoś lub czegoś, co wydawało te dźwięki.

Porucznik podjął wędrówkę przez rozświetlony na niebiesko labirynt lodowych bloków i wysokich seraków. Gdy tylko tracił poczucie kierunku, patrzył na księżyc w pełni. Żółty krąg przypominał raczej ogromną planetę zawieszoną na rozgwieżdżonym niebie niż księżyc, który Irving widział do tej pory na lądzie i morzu. Wydawało się, że powietrze wokół niego drży z zimna, jakby miało lada moment zamarznąć. Krysztalki lodu w górnej warstwie atmosfery utworzyły wielkie, podwójne halo wokół księżyca; dolne krawędzie obu kręgów kryły się za wałem lodowym i pasem gór lodowych. Wokół zewnętrznego kręgu lśniły trzy wielkie krzyże, niczym trzy diamenty osadzone w złotym pierścieniu.

Porucznik widział już kilkakrotnie podobne zjawisko. Lodomistrz Blanky wyjaśnił mu, że to tylko blask księżyca załamujący się w krysztalkach lodu, podobny do światła załamującego się w diamentach, jednak w tej chwili widok ten, w połączeniu z przedziwną wibrującą muzyką dochodzącą z głębi lodowej pustyni, napełnił Irvinga trwogą i podziwem. Muzyka rozpoczęła się równie gwałtownie jak poprzednim razem, przyspieszyła tempo do niemal ekstatycznego poziomu, po czym tak samo raptownie ucichła.

Irving próbował sobie wyobrazić lady Ciszę grającą na jakimś nieznanym dotąd eskimoskim instrumencie - sporządzonym, powiedzmy, z rogów karibu i przypominającym waltornię - szybko jednak uznał, że to głupi pomysł. Po pierwsze, ani Cisza, ani człowiek, z którym przybyła na statek, nie mieli takiego instrumentu. Po drugie, Irving miał dziwne przeczucie, że to jednak nie lady Cisza gra na owym przedziwnym przyrządzie.

Pokonawszy ostatni wał dzielący go od seraków, pomiędzy których dochodził tajemniczy dźwięk, Irving szedł dalej na czworakach, by śnieg chrzęszczący pod jego stopami nie spłoszył Eskimoski.

Niesamowita muzyka rozbrzmiała znowu - dochodziła zza najbliższego seraka, któremu wiatr nadał kształt grubej flagi - i szybko przekształciła się w najgłośniejszy, najszybszy, najgłębszy i najbardziej szalony dźwięk, jaki Irving kiedykolwiek słyszał. Ze zdumieniem stwierdził, że ma wzwód. Coś w tym głębokim, zawodzącym dźwięku było tak... pierwotne... że budziło w nim równie pierwotne podniecenie, choć jednocześnie trząsł się z zimna.

Wyjrzał ostrożnie zza ostatniego seraka.

Lady Cisza znajdowała się jakieś dwadzieścia stóp dalej, na gładkim, rozświetlonym błękitnym blaskiem obszarze lodu. Miejsce to otoczone było serakami i lodowymi blokami; Irving poczuł się nagle tak, jakby ujrzał Stonehenge przeniesione w lodową pustynię rozświetloną niezwykle błękitnym blaskiem. Nawet cienie były tutaj niebieskie.

Lady Cisza była naga. Klęczała na grubym futrze - zapewne na swojej kurtce. Irving zaszedł ją od tyłu i nieco z boku, tak że widział zarówno zarys jej prawej piersi, jak i oblane blaskiem księżyca długie czarne włosy i krągłe, mocne pośladki. Serce biło Irvingowi tak mocno, że bał się, iż Cisza może je usłyszeć.

Cisza nie była sama. Coś innego wypełniało mroczną przestrzeń między druidycznymi blokami po drugiej stronie lodowej polany, tuż za Eskimoską.

Irving wiedział, że to potwór z lodu. Biały niedźwiedź albo biały demon był tutaj z nimi - pochylał się nad lady Ciszą, niemal na niej leżał. Choć porucznik wyteżał wzrok, nie mógł dojrzeć zarysów jego sylwetki - białoniebieskie futro na tle białoniebieskiego lodu, potężne mięśnie na tle potężnych lodowych krawędzi, czarne oczy, które mogły tkwić w głowie potwora albo stanowić część ciemności za jego plecami.

Trójkątna głowa osadzona na dziwnie długiej szyi wiła się i kołysała niczym wąż sześć stóp nad klęczącą kobietą. Irving próbował oszacować w myślach wielkość łba potwora - gdyby w

przyszłości chcieli go zabić, taka informacja byłaby przydatna - nie mógł jednak dostrzec ani dokładnego kształtu, ani rozmiarów owej białej masy, gdyż poruszała się nieustannie we wszystkich kierunkach.

Jednak bez wątpienia potwór pochylał się nad dziewczyną. Jego łeb wisiał teraz dokładnie nad jej głową.

Irving wiedział, że powinien krzyknąć, pobiec do przodu z łomem w dłoni - nie miał ze sobą żadnej innej broni, prócz noża, który zatknął wcześniej za pas - i próbować ratować Eskimoskę, jednak jego mięśnie nie usłuchałyby w tej chwili takiej komendy. Mógł tylko przyglądać się temu widowisku ze zgrozą graniczącą z dziwnym, niemal seksualnym podnieceniem.

Lady Ciska wyciągnęła ręce dłońmi do góry niczym papistyczny ksiądz odprawiający mszę i przyzywający cud eucharystii. Irving miał w Irlandii kuzyna papistę i kiedyś wybrał się z nim do kościoła na katolicką mszę. Miał wrażenie, że na jego oczach odprawiany jest właśnie ten sam magiczny rytuał. Ciska nie wydawała z siebie żadnego dźwięku, klęczała jednak z szeroko rozpostartymi ramionami, zamkniętymi oczami i głową odrzuconą do tyłu - Irving podczołgał się jeszcze trochę do przodu i widział teraz jej twarz - trzymała też szeroko otwarte usta, niczym wierny czekający na komunię.

Szyja potwora wyprostowała się nagle niczym atakująca kobra, wypychając łeb w dół. Szeroko otwarta paszcza objęła głowę Cisky aż po szyję, jakby potwór chciał ją oderwać jednym kłapinięciem.

Irving omal nie krzyknął. Tylko powaga chwili i obezwładniający strach powstrzymały go przed tym.

Potwór nie pożarł Cisky. Irving uświadomił sobie, że patrzy na czubek białoniebieskiego łba potwora - przynajmniej trzy razy większego od głowy człowieka - który wciąż zwieszał szeroko otwartą paszczę nad głową kobiety i jej otwartymi ustami. Eskimoska nadal trzymała rozłożone ręce, niemal jakby chciała uściskać stojącą przed nią masę mięśni i futra.

Wtedy zaczęła się muzyka.

Irving widział, jak głowy obojga - potwora i Eskimoski - kołyszą się w jednym tempie, jednak dopiero po minucie zorientował się, że orgiastyczne pohukiwania i erotyczne pojękiwania wydobywają się z... kobiety.

Olbrzymie stworzenie zwieszające się nad Ciską, niedźwiedź lub demon, dmuchało w jej otwarte usta, grając na jej strunach głosowych, jakby ludzkie gardło było instrumentem. Tryle, zawrozenia i basowe dźwięki nabierały mocy i tempa - Irving widział, jak lady Ciska podnosi głowę i wygina ją w jedną stronę, podczas gdy trójkątna głowa potwora, osadzona na węzowej szyi, wychyla się w przeciwnym kierunku; potwór i kobieta wyglądali w tej chwili jak para kochanków, którzy szukali najlepszej pozycji dla głębokiego, namiętnego pocałunku.

Melodyjne dźwięki rozbrzmiewały coraz szybciej i gwałtowniej - Irving był pewien, że słyszą je już teraz wszyscy marynarze na statku i że wszyscy mają też równie potężny i długotrwały wzwód jak on sam - a potem nagle, bez ostrzeżenia, ucichły z prędkością seksualnego spełnienia.

Potwór podniósł i cofnął głowę, zwijając węzową szyję.

Ręce lady Cisky opadły do jej nagich boków, jakby była już zbyt wyczerpana, by utrzymać je dłużej. Jej głowa przechyliła się do przodu i zawisała nad osrebrzonymi blaskiem księżyca piersiami.

Teraz ją zje, pomyślał Irving, wciąż nie mogąc uwierzyć w to, co przed chwilą widział. Rozedrze ją na kawałki i pożre.

Nic takiego się nie stało. Ogromna masa mięśni znikła na sekundę, przechodząc na czterech łapach między blokami lodowego Stone-henge, a potem wróciła, by skłonić głowę przed lady Ciską i

rzucić coś przed nią na lód. Irving usłyszał głuchy odgłos, charakterystyczne znajome młasknięcie, w tych okolicznościach jednak ten dźwięk wydawał się zupełnie nie na miejscu - Irving nie rozumiał ani trochę tego, co widzi i słyszy.

Biały potwór znów zniknął - Irving czuł, jak lód drży pod uderzeniami olbrzymich łap. Po minucie wrócił i znów rzucił coś na lód przed eskimoską dziewczyną. Potem jeszcze raz odszedł i coś jej przyniósł.

A w końcu po prostu znikł... zlał się w jedno z ciemnością. Młoda kobieta klęczała sama na lodowym polu, przed nią zaś leżała sterta jakichś ciemnych przedmiotów.

Trwała w bezruchu jeszcze przez całą minutę. Irving znów pomyślał o katolickim kościele swego irlandzkiego kuzyna i starych parafianach, którzy po mszy zostawali w swych ławkach i modlili się. Potem Eskimoska wstała, szybko wsunęła stopy do futrzanych butów, naciągnęła spodnie i włożyła kurtkę.

Porucznik Irving uświadomił sobie, że trzęsie się jak w febrze. Wiedział, że przynajmniej po części przyczyną owego drżenia był chłód. Miał nadzieję, że uda mu się znaleźć w sobie dość ciepła i siły, by wrócić na statek. Nie miał pojęcia, jak dziewczyna mogła nago przetrwać choćby kilka sekund, nie mówiąc już o minutach.

Cisza podniosła przedmioty, które potwór zrzucił przed nią na lód, i trzymała je teraz na rękach, niczym kobieta karmiąca jednocześnie dwójkę dzieci. Wyglądało na to, że wraca na statek, zmierzała bowiem niemal w tym samym kierunku, z którego przyszedł Irving.

Nagle znieruchomiała i odwróciła głowę w jego stronę. Choć nie widział jej czarnych oczu, czuł na sobie jej wzrok. Dopiero teraz uświadomił sobie, że wciąż stoi na czworakach, w miejscu oddalonym o trzy stopy od seraka, za którym początkowo się krył. Pragnąc przyjrzeć się lepiej niezwykle widowisku, zupełnie zapomniał o środkach ostrożności.

Przez moment oboje tkwili w bezruchu. Irving wstrzymał oddech. Czekał, aż Cisza wykona jakiś gest, na przykład uderzy dłonią w lód, przyzywając natychmiast potwora z lodu. Jej obrońcę. Jej mściciela.

Cisza odwróciła głowę i podjęła przerwany marsz, znikając między lodowymi filarami na południowo-wschodnim krańcu kręgu.

Irving odczekał jeszcze kilka minut, wreszcie podniósł się na równe nogi. Był przemarznięty do szpiku kości, tracił już czucie w rękach i nogach, a mimo to wciąż miał potężną, niesłabnącą erekcję. Odzyskawszy w końcu kontrolę nad własnym ciałem, nie ruszył za dziewczyną, lecz do miejsca, w którym przed chwilą klęczała.

Na lodzie była krew. W błękitnym blasku księżyca krwawe plamy wydawały się całkiem czarne. Porucznik Irving ukląkł, ściągnął grubą rękawicę i cienką wełnianą rękawiczkę, dotknął palcem plamy, a potem przyłożył go do ust. Tak, to była krew, ale nie podejrzewał, żeby była ludzka.

Potwór przyniósł jej surowe, świeże mięso. Krew wypływająca z owego mięsa miała charakterystyczny smak, podobny do smaku jego własnej krwi, ale Irving zakładał, że krew świeżo zabitych zwierząt smakuje podobnie. Ale jakich zwierząt? Skąd? Uczestnicy ekspedycji Franklina nie widzieli żadnych lądowych zwierząt od ponad roku.

Krew zamarza w ciągu kilku minut. Potwór zabił jakieś stworzenie zaledwie kilka minut temu, kiedy Irving błądził po lodowym labiryncie, szukając lady Ciszy.

Odsunawszy się z przestachem od czarnej plamy - zupełnie jakby odsuwał się od pogańskiego ołtarza, na którym złożono właśnie jakąś niewinną ofiarę - Irving uspokoił najpierw oddech, a potem poruszył skostniałymi nogami, przygotowując się do powrotu na statek.

Nie zamierzał wciskać się ponownie do lodowego tunelu i wchodzić na okręt przez schowek

na linę kotwiczną. Planował po prostu ostrzec strażnika o swoim nadejściu, nim jeszcze znajdzie się w zasięgu strzału, a potem wejść na statek po lodowej pochylni i nie odpowiadać na żadne pytania aż do rozmowy z komandorem.

Czy powie o tym wszystkim dowódcy?

Nie miał pojęcia. Nie wiedział nawet, czy potwór z lodu, który wciąż musiał być gdzieś w pobliżu, pozwoli mu wrócić na statek. Nie wiedział, czy wystarczy mu ciepła i energii na tak długi marsz.

Wiedział tylko, że już nigdy nie będzie taki sam.

Irving odwrócił się na południowy wschód i wszedł ponownie w lodowy las.

HICKEY

70°05' szerokości geograficznej północnej, 98°23' długości geograficznej zachodniej. 18 grudnia 1847.

Hickey postanowił, że wysoki, chudy porucznik - Irving - musi umrzeć i że stanie się to właśnie dziś.

Drobny mat uszczelniać nie żywił żadnej urazy do naiwnego młodego oficera - Irving po prostu źle wybrał czas i miejsce, kiedy ponad miesiąc temu niespodziewanie pojawił się w ładowni.

Praca i harmonogram wacht do tej pory utrudniały Hickeyowi działanie. Dwukrotnie spotkał się z Irvingiem podczas nocnej wachty, ale wtedy nie było na pokładzie Magnusa Mansona. Hickey planował miejsce i czas zbrodni, ale to Magnus Manson miał dokonać egzekucji - nie dlatego, by Cornelius Hickey bał się zabić człowieka; po raz pierwszy poderznął człowiekowi gardło, kiedy był jeszcze za młody, by chodzić do burdelu bez opiekuna. Nie, po prostu środki i metoda morderstwa wymagały udziału człowieka, który podczas tej ekspedycji stał się jego uczniem i kochankiem, debilowatego Magnusa Mansona.

Dzisiaj wszystkie okoliczności im sprzyjały. Był piątkowy ranek - choć ranek wyglądał tutaj dokładnie tak samo jak północ - a grupa ponad trzydziestu marynarzy pracowała na lodzie, naprawiając zniszczone w ciągu ostatnich dni kopce na trakcie między Erebusem i Terrorem. Teoretycznie ochraniało ich dziewięciu żołnierzy piechoty morskiej uzbrojonych w muszkiety, w rzeczywistości jednak grupa rozciągnięta była na odcinku niemal mili, a pod komendą każdego z oficerów pracowało nie więcej niż pięciu ludzi. We wschodniej części szlaku służbę pełniło trzech oficerów z *Terroru* - porucznicy Little, Hodgson i Irving - a ponieważ Hickey pomagał rozdzielać marynarzy na mniejsze grupki, urządził wszystko tak, by wraz z Magnusem pracować przy najdalszych kopcach pod komendą Irvinga.

Żołnierze zwykle byli niewidoczni; teoretycznie mieli ruszyć na pomoc każdemu, kto wszcząłby alarm, w rzeczywistości robili jednak wszystko, by jak najczęściej grzać się przy ogniu płonącym w żelaznym kosiaku, który ustawiono w pobliżu najwyższego wału lodowego, niecałe ćwierć mili od okrętu. Pod komendą porucznika Irvinga pracowali tego ranka także John Bates i Bill Sinclair, ale obaj byli leniwi i starali się trzymać poza zasięgiem wzroku młodego oficera, by zbytnio się nie przemęczać.

Dzień - choć ciemny jak noc - był stosunkowo ciepły i niemal bezwietrzny. Nie było księżyca ani zorzy, ale na bezchmurnym niebie błyszczały gwiazdy i rzucały dość światła, by człowiek, który zszedł z trasy bez lampy lub latarni, widział w ciemnościach drogę powrotną. W obawie przed atakiem potwora z lodu mało kto oddalał się od swojej grupy, choć żeby znaleźć odłamki lodowe odpowiedniej wielkości i kształtu, potrzebne do naprawy uszkodzonych lub rozsypanych kopców, każdy musiał od czasu do czasu wyjść poza światło lampy.

Irving sprawdzał, jak idzie praca przy dwóch kopcach reperowanych przez jego grupę, i często pomagał marynarzom. Hickey czekał tylko na chwilę, gdy Bates i Sinclair znikną za zakrętem lodowego szlaku, a porucznik Irving znajdzie się tylko w towarzystwie jego i Magnusa.

Mat uszczelniać mógł użyć stu różnych narzędzi ze stali lub żelaza dostępnych na statku - okręt marynarki wojennej był prawdziwą skarbnicą narzędzi zbrodni, w wielu wypadkach bardzo pomysłowych - ale Hickey wołał, by Magnus po prostu zaatakował dandysowatego oficera z zaskoczenia, odciągnął go jakieś dwadzieścia jardów w głąb lodowej gęstwiny, skrzył mu kark, a potem rozerwał ubrania, połamał żebra, kilkoma kopniakami zmasakrował mu tę zadowoloną,

różową buźkę, złamał rękę i dwie nogi (albo nogę i dwie ręce) i zostawił trupa na lodzie. Hickey wybrał już nawet miejsce kaźni - obszar z wysokimi serakami i pozbawiony śniegu, w którym odbiłyby się ślady Mansona. Pouczył Magnusa kilkakrotnie, by nie poplamiał się krwią oficera, nie zostawił żadnego śladu swej obecności obok jego ciała i, co najważniejsze, by go nie okradał.

Potwór z lodu zabijał już marynarzy na różne sposoby, a gdyby ciało porucznika Irvinga było dostatecznie zmasakrowane, nikt nie podejrzewałby, że kto inny stał za zabójstwem. Porucznik John Irving zamieniłby się w jeszcze jedno owinięte płótnem ciało zamknięte w Kajucie Zmarłych *Terroru*.

Magnus Manson nie był urodzonym mordercą - był tylko urodzonym idiotą - jednak już wcześniej zabijał ludzi dla swojego pana i gotów był zrobić to po raz kolejny. Cornelius Hickey wątpił, czy Magnus zapyta go kiedykolwiek, dlaczego oficer musiał umrzeć - był to tylko kolejny rozkaz, który miał wykonać. Hickey był więc zaskoczony, kiedy olbrzym odciągnął go na bok i wyszeptał z niepokojem:

- Jego duch nie będzie mnie straszył, prawda, Corneliusie? Hickey poklepał swego wielkiego towarzysza po plecach.

- Oczywiście, że nie, Magnusie. Nie kazałbym robić ci niczego, co naraziłoby cię na wizyty duchów, zgadza się, kochany?

- Jasne, jasne - mruknął Manson, kiwając głową. Potem jednak zmarszczył brwi i zadał kolejne pytanie: - Ale dlaczego jego duch nie będzie mnie straszył, Corneliusie? Przecież nic mi nie zrobił, a ja go zabiję.

Hickey musiał szybko coś wymyślić. Bates i Sinclair oddalali się od nich, zmierzając do miejsca, gdzie grupa marynarzy z *Erebusa* wznosiła śnieżne ogrodzenie wzdłuż dwudziestojardowego odcinka ścieżki najczęściej i najmocniej smaganego wiatrem. Niejeden już marynarz zabłądził w tym miejscu, komandorzy uznali więc, że śnieżne ogrodzenie pozwoli kurierom łatwiej odnaleźć następne kopce. Irving zamierzał zapewne przydzielić Batesowi i Sinclairowi jakieś zadanie przy budowie tego odcinka, a potem wrócić do Magnusa i Hickeya.

- Powiem ci, dlaczego duch kapitana nie będzie cię straszył, Magnusie - wyszeptał do ucha pochylonego olbrzyma. - Jeśli zabijasz człowieka w złości, to jego duch ma powód, żeby wrócić i wyrównać z tobą rachunki. Nie podoba mu się to, co zrobiłeś. Ale duch pana Irvinga będzie wiedział, że zrobiłeś to, bo musiałeś, a nie dlatego, że miałeś coś przeciwko niemu. Nie będzie miał powodu, żeby tu wracać i ci dokuczać.

Manson skinął głową, nie wyglądał jednak na całkiem przekonanego.

- Poza tym - kontynuował Hickey - duch nie będzie mógł trafić z powrotem na statek, prawda? Wszyscy wiedzą, że kiedy ktoś umrze tak daleko od statku, jego duch idzie prosto do nieba. Nie znajdzie drogi między tymi wszystkimi górami lodowymi i blokami. Duchy nie są zbyt mądre, Magnusie, możesz mi wierzyć, znam się trochę na tym, kochany.

Olbrzym rozpromienił się, słysząc te słowa. Hickey widział już Irvinga zmierzającego w ich stronę z zapaloną pochodnią w dłoni. Nad lodową pustynią znów zaczął się podnosić wiatr, który szarpał płomieniem pochodni. Lepiej, żeby było wietrznie, pomyślał Hickey. Jeśli Irving zacznie krzyczeć, nikt go nie usłyszy.

- Corneliusie - wyszeptał Manson. Znów miał zatroskaną minę. - A jeśli ja tutaj umrę, to mój duch też nie będzie mógł trafić na statek? Nie chciałbym zostać tutaj na zimnie, tak daleko od ciebie.

Hickey znów poklepał olbrzyma po ramieniu.

- Nie umrzesz tutaj, kochany. Obiecuję ci to jako chrześcijanin. A teraz ucisz się i przygotuj. Kiedy zdejmę czapkę i podrapię się po głowie, złapiesz Irvinga od tyłu i zaciągniesz go tam, gdzie ci

pokazywałem. Pamiętaj; nie zostawiaj śladów i nie poplam się krwią.

- Nie zrobię tego, Corneliusie.

- Dobry chłopak.

Irving był już blisko, wszedł w krąg światła rzucanego przez lampę ustawioną obok kopca.

- Kończycie już z tym kopcem, panie Hickey?

- Tak jest. Dołożymy jeszcze tylko te kawałki i będzie gotowe, poruczniku. Kopiec jak się patrzy, solidny jak latarnia w Mayfair.

Irving skinął głową. Wyglądało na to, że nie czuje się dobrze w towarzystwie tych dwóch marynarzy, choć Hickey zwracał się do niego serdecznym i życzliwym tonem. Pierdol się, pomyślał mat, szczerząc zęby w szczerbatym uśmiechu. Jeszcze chwila i nie będziesz się więcej wymądrzał ani pokazywał tutaj tej swojej różowej gęby, gnoju. Jeszcze pięć minut i będziesz tylko kolejnym zamarzniętym kawałkiem miecha, które zawisnie w ładowni. Trochę szkoda, bo szczury są teraz takie głodne, że zjedzą nawet pierdolonego oficera, ale nic już na to nie poradzę.

- Świetnie. - Irving skinął głową. - Kiedy już skończycie, dołączcie proszę do pana Sinclaira i Batesa i pomóżcie im przy budowie muru. Przyjdę do was za chwilę, ale najpierw sprowadzę tu jeszcze kaprała Hedgesa.

- Tak jest - odparł Hickey. Spojrzał porozumiewawczo na Magnusa. Musieli powstrzymać Irvinga, zanim ten ruszy w drogę powrotną do majaczącej w ciemnościach linii pochodni i lamp. Obecność Hedgesa czy któregośkolwiek innego z żołnierzy mogła pokrzyżować im szyki.

Irving przeszedł kilka kroków i zatrzymał na skraju kręgu światła, najwyraźniej czekając, aż Hickey osadzi ostatnie dwa bloki lodu na szczycie odbudowanego kopca. Gdy mat uszczelniając pochylił się, by podnieść przedostatni kawał lodu, skinął głową na Magnusa. Olbrzym przesunął się za plecy Irvinga.

Nagle w ciemnościach na zachodzie rozległy się krzyki. Ktoś wrzasnął przeraźliwie. Krzyki przybrały na sile.

Ogromne ręce Magnusa zawisły na wysokości szyi Irvinga - olbrzym zdjął rękawice dla pewniejszego uchwytu, a jego dłonie, okryte teraz tylko cienkimi rękawiczkami, majaczyły w bladym świetle lampy tuż za głową oficera.

Kolejne krzyki. Huk wystrzału.

- Magnus, nie! - krzyknął Cornelius Hickey. Pomimo nagłego zamieszania olbrzym zamierzał skrócić Irvingowi kark.

Manson wycofał się w ciemność. Irving, który zrobił trzy kroki w stronę dochodzących z zachodu krzyków, obrócił się w miejscu skonsternowany. Od strony *Terroru* biegło trzech ludzi. Jednym z nich był Hedges. Korpulentny żołnierz dyszał ciężko, nie zwalniał jednak kroku. W dłoniach trzymał nabity i gotowy do strzału muszkiet.

- Za mną! - zawołał Irving i ruszył w stronę zamieszania. Porucznik nie miał żadnej broni, zabrał jednak ze sobą lampkę. Całą szóstką przebiegli przez pas seraków i wypadli na lodową polanę, gdzie kręciło się kilku marynarzy. Hickey rozpoznał wśród nich Sinclaira i Batesa, a także jednego z trzech załogantów *Erebusa*, Francisza Dunna, który pełnił tam taką samą funkcję, jak on na *Terrorze*. Zobaczył też, że muszkiet, z którego padł strzał, należał do szeregowca Billa Pilkingtona - to właśnie ten żołnierz był w pułapce na niedźwiedzia w dniu śmierci sir Johna i został wtedy postrzelony w ramię przez jednego z towarzyszy. Pilkington przeładował właśnie broń i celował w ciemność zalegającą za przewróconym fragmentem śnieżnego muru.

- Co się stało? - spytał Irving.

Odpowiedział mu Bates, który wraz z Sinclairem i Dunnem oraz Abrahamem Seeleyem i

Josephusem Greaterem z *Erebusa* pracował przy murze pod komendą pierwszego oficera z *Erebusa*, Roberta Orme Sergeanta, kiedy nagle jeden z lodowych bloków stojących tuż za kręgiem światła po prostu ożył.

- Podniósł pana Sergeanta za głowę, dziesięć stóp nad ziemię - mówił Bates drżącym głosem.

- Tak było, jak Boga kocham - przytaknął mat uszczelniacz Francis Dunn. - W jednej chwili stał między nami, a w następnej pofrunął w górę. I ten dźwięk... ten chrzęst... - Dunn umilkł raptownie i przez chwilę tylko dyszał ciężko, aż jego twarz zniknęła za chmurą lodowych kryształków.

- Dochodziłem do pochodni, kiedy zobaczyłem, jak pan Sergeant po prostu... znika - powiedział szeregowiec Pilkington, opuszczając broń. - Strzeliłem raz, kiedy ten... potwór... wracał między seraki. Chyba go trafiłem.

- Równie dobrze mogłeś też trafić Roberta Sergeanta - wtrącił Cornelius Hickey. - Może jeszcze żył, kiedy strzeliłeś.

Pilkington popatrzył na Hickeya z nienawiścią.

- Pan Sergeant już nie żył - odparł Dunn, który nawet nie zauważył wymiany spojrzeń między żołnierzem i Hickeyem. - Krzyknął tylko raz, a wtedy to coś zmiażdżyło jego głowę jak orzech. Widziałem to. Słyszałem to.

Na miejsce zdarzenia nadbiegli kolejni ludzie, wśród nich komandor Crozier i komandor Fitzjames, który nawet w grubej warstwie ubrań wydawał się chudy i wymizerowany, a Dunn, Bates i pozostali musieli jeszcze raz opowiedzieć całą historię.

Kapral Hedges i dwaj pozostali żołnierze, którzy pobiegli za potworem, wrócili z ciemności i zameldowali, że nie udało im się znaleźć pana Sergeanta, ale jedynie podarte ubranie i ślady krwi prowadzące w stronę największej góry lodowej.

- Chce, żebyśmy za nim poszli - mruknął Bates. - Będzie tam na nas czekał.

Crozier odsłonił zęby w gniewnym grymasie.

- Więc go nie rozczarujemy - warknął. - To świetna okazja, żeby znów go poszukać. Ludzie już są na lodzie, mamy dość lamp, a żołnierze mogą przynieść więcej muszkietów i strzelb. A trop wciąż jest świeży.

- Zbyt świeży - mruknął kapral Hedges.

Crozier wydał rozkazy. Kilku ludzi wróciło do statków, by przynieść broń. Inni podzielili się na kilka grup zgromadzonych wokół żołnierzy, którzy byli już uzbrojeni. Każda grupa zaopatrzyła się także w lampy i latarnie przyniesione z miejsc pracy. Posłano także po doktora Stanleya i doktora McDonalda, na wypadek gdyby okazało się, że Robert Orme Sergeant wciąż żyje - w co nikt nie wierzył - albo gdyby ktoś inny został ranny, co było znacznie bardziej prawdopodobne.

Gdy Hickey dostał już do ręki muszkiet, zastanawiał się, czy nie postrzelić porucznika Irvinga „przez przypadek”, kiedy wszyscy znajdą się już w ciemnościach, lecz młody oficer wyraźnie unikał teraz zarówno Mansona, jak i mata uszczelnacza. Nim jeszcze Crozier przydzielił ich do różnych grup, Hickey zauważył, że Irving zerka podejrzliwie na Magnusa. Wiedział, że bez względu na to, czy Irving dostrzegł za sobą uniesione ręce olbrzyma, nim rozległy się krzyki zaatakowanych marynarzy, czy też po prostu wyczuł, że dzieje się coś niedobrego, teraz nie będzie im łatwo ponownie zwabić go w pułapkę.

Ale musieli to zrobić. Hickey obawiał się, że nękany podejrzeniami John Irving w końcu zamelduje komandorowi o tym, co widział w ładowni, a mat nie mógłby tego znieść. Nie chodziło mu nawet o karę za pederastie - rzadko już wieszano marynarzy za przewinienia tego typu, rzadko też przeganiano ich batami - lecz o upokorzenie. Cornelius Hickey nie był panienką jakiegoś wielkiego debila, a pewnie tak by go właśnie traktowano.

Musiał poczekać, aż Irving nieco ochłonie, być może uśpić jakoś jego czujność, a potem jeśli trzeba będzie, załatwić to osobiście. Nawet gdyby lekarze odkryli, że Irving został zamordowany, nie miałyby to większego znaczenia. Sprawy zaszły już za daleko podczas tej ekspedycji. Irving byłby tylko kolejnym zamarzniętym ciałem w ładowni.

Ostatecznie nie udało im się znaleźć pana Sergeanta - krwawy ślad kończył się w połowie drogi do góry lodowej - ale przynajmniej podczas poszukiwań nie zginął nikt inny. Kilku ludzi odmroziło sobie palce, a wszyscy trzęśli się z zimna i zmęczenia, kiedy godzinę po porze kolacji odwołano wreszcie poszukiwania. Tego dnia Hickey nie widział już więcej porucznika Irvinga.

Magnus Manson zaskoczył Hickeya ponownie, gdy wracali już na *Terror*, smagani lodowatym wiatrem. W pewnej chwili Hickey uświadomił sobie, że człapiący obok niego olbrzym płacze. Łzy natychmiast zamarzały na jego zarośniętych policzkach.

- O co chodzi? - spytał Hickey.
- To takie smutne, Corneliusie.
- Co jest takie smutne?
- Biedny pan Sergeant. Hickey zerknął nań z ukosa.
- Nie wiedziałem, że tak kochasz podoficerów, Magnusie.
- Nie, nie kocham, Corneliusie. Mogą wszyscy pozdychać, nic mnie to nie obchodzi. Ale pan Sergeant umarł na lodzie.
- I co z tego?
- Jego duch nie trafi na statek. A komandor Crozier powiedział, że kiedy już wrócimy, wszyscy dostaną dodatkową porcję rumu. Smutno mi, że nie będzie tam jego ducha. Pan Sergeant zawsze lubił rum, Corneliusie.

CROZIER

70°05' szerokości geograficznej północnej, 98°23' długości geograficznej zachodniej. 31 grudnia 1847.

Boże Narodzenie na pokładzie HMS *Terror* upłynęło w iście grobowej atmosferze, lecz zbliżający się Drugi Wielki Karnawał Wenecki miał to wszystkim wynagrodzić.

Przez cztery dni poprzedzające Boże Narodzenie na zewnątrz szalały burze śnieżne - tak gwałtowne, że trzeba było skrócić wachty do godziny - a w Wigilię i sam dzień Bożego Narodzenia mrok zalegający na dolnym pokładzie przeniknął także do serc marynarzy. Pan Diggle przygotował na tę okazję specjalne dania - ugotował ostatnie porcje niepuszkowanej solonej wieprzowiny na tuzin różnych sposobów, a do tego dorzucił jeszcze ostatnie kawałki zajęczego mięsa przechowywane w słojach. Do tego kucharz - idąc za radą sterników, Kenleya, Rhodesa i Davida McDonalda, oraz pracując pod czujnym nadzorem lekarzy Peddiego i Alexandra McDonalda - przyrządził potrawy z kilku spośród lepiej zachowanych puszek Goldnera, między innymi zupę żółtą, wołowinę po flamandzku, bażanta z truflami i ozorki cielęce. Na deser podano ostatnie kawałki sera, które pomocnicy pana Diggle'a zdołali jakoś oskrobać z pleśni, a komandor Crozier dorzucił do tego pięć butelek brandy przechowywanych w magazynie rumu specjalnie na takie okazje.

Mimo to żałobne nastroje marynarzy nie uległy poprawie. Kilka razy próbowano śpiewać wspólnie kolędy, zarówno w lodowatej Wielkiej Kajucie oficerów, jak i pośród marynarzy, siedzących w nieco cieplejszej kajucie z piecem pana Diggle'a - zapasy węgla skurczyły się już tak bardzo, że nie wystarczyło go nawet na dogrzanie statku w ten szczególny dzień - ale próby te spełzły na niczym. Trzeba było również oszczędzać olej do lamp, więc dolny pokład przypominał wnętrze walijskiej kopalni, rozświetlone jedynie blaskiem kilku świec. Warstwa lodu oblepiała wszystkie belki i deski, a ubrania i koce marynarzy były zawsze wilgotne. Wszędzie biegały szczury.

Brandy poprawiła nieco nastroje, ale nie na tyle, by ludzie zaczęli cieszyć się świętami. Crozier przyszedł do marynarzy na pogaduszki, a kilku z nich wręczyło mu prezenty - mały kapciuch z tytoniem, rzeźbę biegnącego białego niedźwiedzia, rysunek przedstawiający przerażony pysk niedźwiedzia (miał być to żart, ale zapewne ofiarodawcy obawiali się też nieco, żeby kapitan nie ukarał ich za fetysyzm), zacerowany wełniany podkoszulek, własność któregoś ze zmarłych niedawno marynarzy, drewniane szachy wyrzeźbione przez kaprała piechoty morskiej Roberta Hopcrafta (jednego z najcichszych i najskromniejszych uczestników ekspedycji, który został awansowany do stopnia kaprała po tym, jak podczas czerwcowego ataku potwora doznał złamania ośmiu żeber, pęknięcia obojczyka i wywichnięcia ramienia). Crozier podziękował wszystkim, uściśnął ręce marynarzy i wrócił do mesy oficerskiej, gdzie panowały nieco lepsze nastroje - głównie dzięki dwóm butelkom whisky ofiarowanym nieoczekiwanie przez porucznika Little'a, który ukrywał ten skarb niemal przez trzy lata.

Śnieżnica ustała rankiem 26 grudnia. Zasy sięgały dwunastu stóp ponad poziom pokładu i sześć stóp ponad reling w przedniej części prawej burty. Odkopawszy spod śniegu okręt oraz ścieżkę między Terrorem i Erebussem, marynarze zajęli się przygotowaniami do Drugiego Wielkiego Karnawału Weneckiego - za pierwszy, jak przypuszczał Crozier, marynarze uznali ten, w którym on sam brał udział jeszcze jako aspirant, podczas podróży Parry'ego w 1824 roku.

Tego mrocznego ranka 26 grudnia Crozier i porucznik Edward Little wybrali się na długi spacer do *Erebusa*, powierzwszy uprzednio nadzór nad odsnieżaniem okrętu Hodgsonowi, Hornby'emu i Irvingowi. Crozier doznał lekkiego szoku, przekonawszy się, że Fitzjames wciąż

chudnie - kamizelka i spodnie były nań o kilka numerów za duże, choć jego stewardzi wciąż próbowali je zwęzać - ale prawdziwy szok przeżył podczas ich rozmowy, kiedy uświadomił sobie, że dowódca *Erebusa* prawie go nie słucha. Fitzjames wydawał się dziwnie rozproszony, jak człowiek, który z grzeczności podtrzymuje konwersację, a w rzeczywistości słucha muzyki dochodzącej z sąsiedniego pomieszczenia.

- Twoi ludzie farbują na łodzi płótno żaglowe - powiedział Crozier. - Widziałem, jak przygotowują wielkie kadzie z zieloną, niebieską, a nawet czarną farbą. I zamierzają wysmarować tym całkiem dobre zapasowe żagle. Nie przeszkadza ci to, James?

Fitzjames uśmiechnął się słabo.

- Naprawdę myślisz, że te żagle jeszcze kiedyś nam się przydadzą?

- Mam nadzieję, że tak - odparł Crozier.

Na twarzy Fitzjamesa wciąż widniał łagodny, nieco szalony uśmiech.

- Powinieneś zobaczyć ładownię *Erebusa*, Francisie. Od czasu naszej ostatniej wizyty przed świętami łód poczynił tam spore zniszczenia. *Erebus* nie utrzymałby się na otwartej wodzie nawet przez godzinę. Ster zamienił się w stertę drzazg. A to był nasz zapasowy ster.

- Zawsze można zrobić nowy - odrzekł Crozier, choć miał ochotę zgrzytnąć tylko zębami i zacisnąć pięści. - Cieśle mogą wykorzystać do tego zapasowe deski. Opracowuję plan wykopania otworów w łodzi wokół obu statków i stworzenia przed nadejściem wiosennych roztopów suchych doków głębokości ośmiu stóp. Wtedy moglibyśmy naprawić wszystkie uszkodzenia.

- Wiosenne roztopy - powtórzył Fitzjames z protekcyjnym uśmiechem.

Crozier postanowił zmienić temat.

- Nie martwisz się o ludzi, którzy przygotowują ten Karnawał Wenecki?

Fitzjames wzruszył ramionami, jakby zapominając, że taki gest nie przystoi dżentelmenowi.

- Dlaczego miałbym się martwić? Nie wiem, jak na twoim statku, Francisie, ale na *Erebusie* Boże Narodzenie przypominało raczej pogrzeb. Ludzie potrzebują czegoś, co podniesie ich morale.

Crozier wolał nie rozmawiać o tym, jak wyglądały święta na Terrorze.

- No dobrze, ale zabawa przebierańców na łodzi w ciemności? Ilu jeszcze ludzi stracimy, kiedy pojawi się tam ten potwór?

- A ilu ludzi stracimy, jeśli będziemy się chować w naszych statkach? - odpowiedział pytaniem Fitzjames, wciąż uśmiechając się z roztargnieniem. - A jak sam mówiłeś, ludzie świetnie się bawili podczas waszego Wielkiego Karnawału w dwudziestym czwartym.

Crozier pokręcił głową.

- Wtedy tkwiliśmy w łodzi dopiero od dwóch miesięcy - odparł cicho. - A zarówno Hoppner, jak i Parry byli maniakami dyscypliny. Choć obaj lubili się zabawić i uwielbiali teatr, Edward Parry nieraz powtarzał: „maskarada bez rozpasania” i „zabawa z umiarem”! My podczas tej wyprawy nie utrzymywaliśmy należytej dyscypliny, James.

Fitzjames w końcu przestał się głupio uśmiechać.

- Komandorze Crozier - przemówił sztywno. - Czy oskarża mnie pan o zaniedbanie dyscypliny na moim statku?

- Nie, nie - odrzekł Crozier, nie wiedząc, czy rzeczywiście oskarża o to młodszego komandora, czy jeszcze nie. - Chcę tylko powiedzieć, że my spędzamy w łodzi już trzeci rok, a nie trzeci miesiąc, jak Parry i Hoppner. Choroby i osłabione morale zawsze prowadzą do rozluźnienia dyscypliny.

- Więc może tym bardziej powinniśmy pozwolić ludziom na tę odrobinę rozrywki? - spytał Fitzjames wciąż nieco oschłym tonem. Jego blade policzki zaróżowiły się nieco, gdy usłyszał z ust

przełożonego słowa zawoalowanej krytyki.

Crozier westchnął. Zrozumiał, że już za późno, by zapobiec tej cholernej maskaradzie. Ludzie zabrali się do pracy, a z największym zapałem pracowali ci, którzy pierwsi wzniciłiby bunt, gdyby sprowokowały ich do tego okoliczności. Crozier wiedział, że należy dopilnować, by takie okoliczności nigdy nie zaistniały, nie miał jednak pojęcia, czy planowana zabawa będzie temu sprzyjać, czy wręcz przeciwnie.

- W porządku - powiedział w końcu. - Ale ludzie muszą pamiętać, że nie wolno im zmarnować ani drobin zapasów węgla, oleju i eteru.

- Obiecują, że będą używać tylko pochodni - odparł Fitzjames.

- Nie mogą też liczyć na dodatkowe porcje rumu ani jedzenia w dniu zabawy - dodał Crozier.

- Dziś przeszliśmy na mocno ograniczone porcje. Nie zmienimy tego po pięciu dniach tylko ze względu na maskaradę, której żaden z nas do końca nie pochwala.

Fitzjames skinął głową.

- Porucznik Le Vesconte, porucznik Fairholme i jeszcze kilku dobrych strzelców wybierze się w tym tygodniu na polowanie, ale wszyscy dobrze wiedzą, że jeśli wrócą z pustymi rękami, dostaną tylko zwykłe, a właściwie zredukowane porcje.

- Wracają z pustymi rękami od trzech miesięcy, więc nie wróżę im powodzenia - mruknął Crozier. Łagodniejszym już tonem dodał:

- W porządku, James, wracam do siebie. - Dowódca *Terroru* ruszył do wyjścia, zatrzymał się jednak jeszcze w drzwiach kajuty Fitzjamesa.

- A tak przy okazji, dlaczego oni właściwie farbują żagle na te wszystkie kolory?

Fitzjames uśmiechnął się z roztargnieniem.

- Nie mam pojęcia, Francisie.

Świt w piątek 31 grudnia 1847 roku był zimny, lecz bezwietrzny - choć oczywiście w rzeczywistości nie było żadnego świtu. Marynarze z porannej wachty *Terroru* pod komendą pana Irvinga zanotowali temperaturę minus siedemdziesiąt trzy stopnie. Siła wiatru była zerowa. W nocy nadeszły chmury, które zakryły niebo po sam horyzont. Było bardzo ciemno.

Większość marynarzy chciała iść na karnawał już po śniadaniu - po zmniejszeniu racji śniadanie składało się tylko z jednego suchara z dżemem oraz miarki kaszy jęczmiennej z odrobiną cukru, trwało więc krócej niż do tej pory - komandor Crozier żądał jednak, by wszystkie codzienne prace na statku zostały wykonane i dał wolne większości marynarzy dopiero po kolacji. Zgodził się natomiast, by ci z nich, którzy nie mieli tego dnia wachty ani żadnej konkretnej pracy do wykonania - takiej jak szorowanie dolnego pokładu, zbijanie lodu z relingu, odśnieżanie pokładu, prace remontowe na statku i przy kopcach na trasie do *Erebusa* - zajęli się przygotowaniami do maskarady, więc już po śniadaniu około dziesięciu marynarzy opuściło statek w eskorcie dwóch żołnierzy uzbrojonych w muszkiety.

Już w południe, po wydaniu porcji grogu, dało się zauważyć wśród marynarzy podniecenie wywołane perspektywą nadchodzącej zabawy. Crozier zwolnił kolejnych sześciu ludzi, którzy skończyli pracę, i odesłał ich na *Erebusa* wraz z porucznikiem Hodgsonem.

Przechadzając się po południu po rufie *Terroru*, Crozier widział już jasny blask pochodni wypływający z największej góry lodowej rozdzielającej oba okręty. Nadal nie było wiatru, a niebo zakrywały chmury.

Podczas kolacji marynarze, którzy zostali na *Terrorze*, byli równie podekscytowani jak dzieci w wigilijny wieczór. Zjedli posiłek w rekordowym czasie, choć i tak przy zredukowanych racjach i

to w piątek, który nie był „dniem mącznym” - pan Diggle nie piekł więc sucharów - przysługiwał im tylko biedny Jaś, trochę warzyw z puszek Goldnera i piwa na dwa palce, a Crozier nie miał serca trzymać ich na statku do czasu, gdy skończą jeść oficerowie. Poza tym oficerowie także chcieli jak najszybciej rozpocząć zabawę. Nawet mechanik, James Thompson, który rzadko interesował się czymkolwiek poza maszyną w ładowni i który schudł tak, że wyglądał jak szkielet, wyszedł na dolny pokład i ubrał się do wyjścia.

O siódmej wieczorem komandor Crozier był już gotowy do wyjścia i udzielał ostatnich instrukcji ośmiu marynarzom, którzy mieli zostać na okręcie - wachtę tego wieczora pełnił pierwszy oficer Hornby, po północy zmieniał go jednak Irving, który miał wrócić na *Terror* z trzema marynarzami, by Hornby i jego wachta mogli wziąć jeszcze udział w zabawie - żeby chwilę później zejść na zamrożone morze i ruszyć żwawym marszem w stronę *Erebusa*. Jego śladem ciągnął sznur trzydziestu kilku marynarzy. Po chwili Crozier znalazł się obok porucznika Irvinga, lodomistrza Blanky’ego i kilku podoficerów.

Blanky podpierał się kulą, podczas ucieczki przed potworem stracił bowiem piętę prawej stopy i nie nauczył się jeszcze do końca chodzić na drewnianej protezie, wydawało się jednak, że stary lodomistrz jest w świetnym nastroju.

- Dobry wieczór, komandorze - przywitał Croziera. - Proszę nie zwalniać tempa ze względu na mnie. Moi towarzysze, Wilson, Kenley i Billy Gibson, mi pomogą.

- Wydaje mi się, że idzie pan równie szybko jak ja, panie Blanky - odparł Crozier. Kiedy mijali pochodnie zatknięte w kopcach, komandor zauważył, że nadal nie ma wiatru; płomienie strzelały prosto w górę. Ścieżka była dobrze wydeptana, lodowe szczeliny zasypane i wyrównane. Olbrzymia góra lodowa, od której dzieliło ich jeszcze pół mili, podświetlona dziesiątkami pochodni płonących po drugiej stronie, przypominała teraz jakąś fantasmagoryczną lśniąca wieżę obłączniczą. Crozier przypominał sobie, jak w czasach dzieciństwa wybierał się na irlandzkie ludowe zabawy. Atmosfera tego wieczora, choć znacznie zimniejszego niż letnie wieczory w Irlandii, przypominała mu tamte pełne ekscytacji imprezy. Crozier obejrzał się do tyłu, by sprawdzić, czy szeregowiec Hammond, szeregowiec Dały i sierżant Tozer, uzbrojeni w muszkiety gotowe do strzału, zamykają pochód marynarzy.

- To dziwne, że ludzie aż tak bardzo się podniecają tą zabawą, prawda komandorze? - spytał Blanky.

W odpowiedzi Crozier mógł tylko mruknąć coś niezrozumiałego. Tego popołudnia wypił ostatnią butelkę whisky ze swoich zapasów. Z przerażeniem myślał o nadchodzących dniach i wieczorach.

Blanky i jego towarzysze szli tak szybko, że Crozier puścił ich przodem. Dotknął ramienia Irvinga, a szczupły oficer zwolnił kroku, opuszczając towarzystwo porucznika Little’a, lekarzy Peddiego i McDonalda, cieśli Honeya i innych.

- John - przemówił Crozier, kiedy znaleźli się pomiędzy oficerami a tylną strażą kolumny. - Jakież wieści o lady Ciszy?

- Nie, komandorze. Sprawdziałem schowek niecałą godzinę temu, ale ona już wyszła przez ten swój tunel.

Kiedy Irving zameldował Crozierowi o niezwykłych wyprawach ich eskimoskiego gościa, komandor chciał w pierwszym odruchu zasypać tunel, zreperować zepsute poszycie i raz na zawsze wyrzucić wiedźmę na lód.

Ale nie zrobił tego. Kazał porucznikowi Irvingowi wyznaczyć trzech marynarzy, którzy w miarę możliwości obserwowaliby lady Ciszę, a jemu samemu śledzić ją ponownie poza statkiem,

gdyby to było wykonalne. Do tej pory nie widzieli, by wychodziła ponownie przez swoje tajemne przejście, choć Irving godzinami czaił się wśród lodu za dziobem okrętu. Wydawało się, że kobieta nie tylko widziała Irvinga podczas spotkania z potworem na lodzie, ale chciała, by młody oficer zobaczył i usłyszał ją właśnie w takiej sytuacji, i że to już jej wystarczyło. Żywiła się tylko racjami, które wydawano jej na statku, a schowek na liny kotwiczne traktowała jedynie jako sypialnię.

Crozier nie wyrzucił Eskimoski na lód z prostego powodu - jego ludzie zaczęli właśnie przymierać głodem. Nie mieli dość zapasów, by przetrwać wiosnę, nie mówiąc już o następnym roku. Jeśli lady Cisza rzeczywiście zdobywała jakoś świeże pożywienie w środku zimy - być może zastawiając pułapki na foki albo morsy - podwładni Croziera mogliby nauczyć się od niej tej umiejętności i dzięki temu przeżyć. Wśród załóg obu statków nie było ani jednego myśliwego lub rybaka z prawdziwego zdarzenia.

Komandor nie potraktował poważnie dziwnej opowieści Irvinga o czymś, co wyglądało jak potwór z lodu, wygrywało z Eskimoską jakąś dziwną melodię i przynosiło jej mięso. Po prostu nigdy by nie uwierzył, że Cisza wytresowała wielkiego białego niedźwiedzia - jeśli rzeczywiście był to tylko niedźwiedź - tak by ten dostarczał jej ryby, foki lub morsy niczym dobrze ułożony pies, który przynosi swemu panu bażanta. A co do muzyki... cóż, to już była kompletna bzdura.

Akurat dziś znów wybrała się na jedną ze swych tajemniczych eskapad.

- Cóż... - Crozier westchnął, starając się nie oddychać zbyt głęboko, by zimne powietrze nie paliło go w płuca. - Kiedy zejdziesz z wachty po ośmiu szklankach, zajrzyj do jej schowka, a jeśli jej tam nie będzie... na miły Bóg, a cóż to takiego?

Pokonali właśnie ostatnią linię wałów lodowych i wyszli na płaski obszar zamrożonego morza, ciągnący się na przestrzeni ćwierć mili od *Erebusa*. Widok, który ukazał się oczom Croziera, sprawił, że otworzył usta ze zdumienia.

Kapitan zakładał wcześniej, że marynarze zorganizują Drugi Wielki Karnawał Wenecki na lodowej płaszczyźnie tuż obok *Erebusa*, podobnie jak Hoppner i Parry, którzy urządzili bal na niewielkim obszarze lodu między Heclą i Fury. Tymczasem *Erebus* wydawał się całkiem opuszczony, gdyż blask pochodni i odgłosy zabawy dobiegały z miejsca oddalonego o ćwierć mili, dokładnie spod największej góry lodowej.

- Dobry Boże - powiedział porucznik Irving.

Podczas gdy *Erebus* wyglądał jak pusta, ciemna skorupa, na obszarze położonym tuż obok góry lodowej powstało prawdziwe miasto barwionych płócien, migoczących pochodni i dziesiątek jardów nowego takielunku. Crozier mógł tylko stać i patrzeć.

Takielarze musieli się naprawdę ciężko napracować. Niektórzy weszli na zbocze góry, by na wysokości sześćdziesięciu stóp wkręcić w nie ogromne żelazne śruby, zamocować pierścienie i bloki i rozciągnąć tyle lin, ile wystarczyłoby do otaklowania trzymasztowego okrętu wojennego.

Pajęczyna oblepionych lodem lin ciągnęła się od góry aż do *Erebusa*, podtrzymując ściany z barwionego płótna żeglarskiego. Owe płócienne ściany - niektóre miały ponad trzydzieści stóp wysokości - przymocowane były do powierzchni lodu, seraków i lodowych brył, ale również naciągnięte na pionowe drzewca za pomocą sztagów umocowanych w lodowej górze.

Crozier podszedł bliżej, wciąż mrugając. Jego rzęsy, oblepione lodem, mogły się skleić i pozbawić go wszelkich widoków, lecz Crozier wciąż mrugał.

Wyglądało to tak, jakby na lodzie postawiono szereg olbrzymich namiotów pozbawionych dachu. Pionowe ściany, podświetlane od środka i z zewnątrz dziesiątkami pochodni, ciągnęły się przez otwarty lód i przez las seraków, aż do samej góry. W ciągu jednej nocy marynarze wzniesli na lodzie olbrzymie kolorowe pomieszczenia. Każdy z tych pokoi ustawiony był pod kątem do

poprzedniego, a wszystkie razem tworzyły coś, co przypominało olbrzymiego, kolorowego węża pełzającego przez lodową pustynię.

Pierwsza komnata otwierała się na wschód. Ściany tejże komnaty miały intensywny, jasnoniebieski kolor - kolor nieba, jakiego nie widzieli już od tyłu miesięcy, kolor, który sprawił, że nagle komandor Crozier poczuł dziwny ucisk w gardle - a za sprawą pochodni płonących po ich drugiej stronie wydawało się, że błękitne płótna lśnią i pulsują jakimś wewnętrznym blaskiem.

Crozier przeszedł obok pana Blanky'ego i jego towarzyszy, którzy wpatrywali się w płótna z nieskrywanym zachwytem.

- Chryste - mruknął pod nosem lodomistrz.

Crozier szedł dalej, by w końcu znaleźć się w przestrzeni zamkniętej jasnoniebieskimi ścianami.

Wokół niego podskakiwały i tańczyły przedziwnie odziane postacie - gałganiarze ciągnący za sobą kolorowe ogony komet, kominiarze w czarnych jak śmierć, okrytych sadzą mundurach, egzotyczne ptaki z długimi złotymi dziobami, arabscy szejkwowie z czerwonymi turbanami na głowach i spiczastymi perskimi pantoflami na stopach, piraci w przerażających maskach ścigający jednorożca, generałowie armii napoleońskiej w białych maskach rodem z greckiego chóru. Coś odzianego od stóp do głów w zieleń - leśny duszek? - podbiegło do komandora i zaszczębiotało falsetem:

- Kufer z kostiumami stoi po lewej, komandorze. Może pan sobie wybrać, co tylko chce. - To powiedziawszy, zjawa oddaliła się, by dołączyć do roztańczonego pochodu cudacznie odzianych postaci.

Crozier szedł dalej, w głąb labiryntu kolorowych komnat.

Za błękitną komnatą, po prawej stronie, znajdował się pokój purpurowy. Marynarze przygotowujący karnawał zadbali, by żadna z komnat nie była pusta, tutaj więc także można było zobaczyć dywany, gobeliny, skrzynie i stoły pomalowane na ten sam kolor co otaczające je ściany.

Za pokojem purpurowym, wygiętym w lewo pod tak dziwnym kątem, że gdyby na niebie świeciły gwiazdy, Crozier zapewne spojrzałby na nie, by ustalić dokładnie swoją pozycję, znajdował się długi zielony pokój. Tutaj komandor napotkał kolejnych imprezowiczów; egzotyczne ptaki, księżniczkę z głową konia, stworzenia tak dziwnie rozczłonkowane i połączone, że wyglądały jak olbrzymie owady.

Francis Crozier nie przypominał sobie, by ktoś nosił którykolwiek z tych kostiumów podczas balu maskowego na *Fury* i *Hecli*, ale Fitzjames zapewniał go wcześniej wielokrotnie, że Franklin zabrał je właśnie z tamtych statków.

Ściany i wyposażenie czwartej komnaty były pomarańczowe. Blask pochodni płonących po drugiej stronie płótna podkreślał jeszcze soczystość koloru. Fragmenty pofarbowanego na pomarańczowo płótna leżały także na podłodze, a na nakrytym pomarańczowym obrusem stole pośrodku pokoju stała wielka waza z ponczem. Tłoczyło się wokół niej co najmniej trzydzieści postaci w dziwnych kostiumach; niektóre z nich zsuwały na moment z twarzy kolorowe dzioby lub zębate paszcze, by się napić.

Crozier uświadomił sobie nagle ze zdumieniem, że z piątej części płóciennego labiryntu dochodzi muzyka. Skręciwszy w prawo, wszedł do białej komnaty. Wzdłuż białej ściany stały tu okryte prześcieradłami skrzynie i krzesła z mesy oficerskiej, a niemal już zapomniany mechaniczny instrument z Wielkiej Kajuty *Terroru*, nakręcany przez jakiegoś kolorowego stwora stojącego po drugiej stronie pomieszczenia, wylewał z siebie popularne melodie taneczne. Na lodzie wydawane przez niego dźwięki wydawały się głośniejsze niż na statku.

Crozier przeszedł obok urządzenia, minął rozbawionych przebierańców, skręcił ostro w lewo

i wkroczył do pokoju fioletowego.

Komandor z podziwem patrzył na takielunek wyrastający z ustawionych pionowo zapasowych drzewc i biegnący ku drzewcu zawieszonemu w powietrzu - łączyły się tu ze sobą liny z pozostałych sześciu komnat - oraz ciągła kotwiczne ciągnące się od owego centralnego drzewca do kotwic umocowanych wysoko na zboczu góry lodowej. Takielarze z *Erebusa* i *Terroru*, którzy wymyślili i wykonali ten siedmioczęściowy labirynt, chociaż po części rozładowali zapewne w ten sposób frustrację wywołaną faktem, że od tyłu już miesiące nie mogli wykonywać swojej pracy. Jednak w fioletowym pokoju bawiło się niewielu marynarzy, a światło wydawało się tutaj dziwnie przytłaczające. Na środku komnaty stała sterta skrzynek okrytych fioletowymi płachtami. Nieliczni piraci, żebracy i kolorowe ptaki przystawali tu tylko na chwilę, by łyknąć ponczu, który przynieśli ze sobą z białego pokoju, rozglądali się dokoła, a potem wracali do innych pomieszczeń.

W ostatnim pokoju w ogóle nie było światła.

Opuszczając fioletową komnatę, Crozier skręcił ostro w prawo i znalazł się w objęciach całkowitej czerni.

Nie, uświadomił sobie szybko, nieprawda. Za pofarbowanymi na czarno ścianami również płonęły pochodnie, tyle że tu do wnętrza przenikał jednak nikły, przytłumiony blask. Crozier musiał się zatrzymać, by jego oczy przywykły do ciemności, a kiedy już się to stało, cofnął się raptownie o krok.

Lód pod jego stopami zniknął. Poczuł się nagle tak, jakby chodził po czarnej wodzie arktycznego morza.

Komandor niemal od razu zrozumiał, jaki wybieg zastosowali tutaj marynarze. Wzięli sadzę z kotłowni i magazynów z węglem i rozsypali ją na lodzie - żeglarze używali tej sztuczki, kiedy chcieli, by lód topił się szybciej w słabym wiosennym słońcu, ale teraz oczywiście taki efekt nie mógł zaistnieć - nie było słońca, a temperatura spadała nawet do minus stu stopni. Tutaj jednak czarny jak noc pył sprawiał, że w mroku ostatniego, przerażającego pokoju lód stawał się praktycznie niewidzialny.

Gdy oczy Croziera przywykły do mroku, przekonał się, że w długiej komnacie znajduje tylko jeden mebel; gdy go jednak ujrzał, omal nie zazgrzytał zębami ze złości.

Po drugiej stronie komnaty stał wysoki hebanowy zegar sir Johna Franklina, zwrócony tyłem do góry lodowej, która wyznaczała ostatnią ścianę pokoju i zarazem całego labiryntu. Crozier słyszał teraz wyraźnie donośne tykanie.

Gdy komandor podniósł wzrok nieco wyżej, przez moment odniósł wrażenie, że z góry lodowej usiłuje się wydostać jakieś zwierzę, ponieważ z lodowej ściany wyrastała okryta białym futrem, wyszczerzona w krwiożerczym grymasie głowa potwora.

Nie, ponownie poprawił się w myślach Crozier, nie potwora. Marynarze zdołali jakoś przymocować do lodu łeb i szyję wielkiego niedźwiedzia polarnego. Paszcza stworzenia była szeroko otwarta, w jego czarnych oczach odbijał się nikły blask pochodni przenikający przez czarne ściany komnaty. Futro i kły zwierzęcia były najjaśniejszymi przedmiotami w całym tym ponurym pomieszczeniu. Jego język lśnił szokującą czerwienią. Hebanowy zegar tykał miarowo niczym serce zamknięte w niewidocznym tułowi niedźwiedzia.

Ogarnięty furją, której źródła nie potrafił sam zdefiniować, Crozier wyszedł z hebanowej komnaty, zatrzymał się w białym pokoju i ryknął wściekle, przyzywając do siebie oficera - jakiegokolwiek oficera.

Natychmiast przydreptał do niego satyr z długą twarzą z papier-mache i wielkim sterczącym stożkiem przymocowanym do czerwonego pasa.

- Tak, komandorze?

- Zdejmijcie tę idiotyczną maskę!

- Tak jest, komandorze - odrzekł satyr i zsunął maskę, odsłaniając twarz Thomasa R. Farra z *Terroru*, człowieka odpowiadającego za maszt główny. Stojąca obok niego Chinka z wielkimi piersiami także zdjęła maskę, spod której ukazało się grube oblicze Johna Diggle'a, kucharza. Obok Diggle'a stał olbrzymi szczur; po chwili spod szarego pyska gryzonia wychynęło oblicze porucznika Jamesa Fairholme'a z *Erebusa*.

- Co to wszystko ma znaczyć, do diabła? - ryknął Crozier. Bajkowe postaci i zwierzęta skuliły się odruchowo, zaskoczone gniewną reakcją komandora.

- Co właściwie ma pan na myśli, komandorze? - spytał porucznik Fairholme.

- To! - ryknął ponownie Crozier, podnosząc ręce i wskazując na białe ściany, na takielunek, pochodnie... wszystko.

- Nic szczególnego, komandorze - odparł pan Farr. - To po prostu... karnawał.

Do tej pory Crozier zawsze uważał Farra za rozsądnego, odpowiedzialnego człowieka i świetnego dowódcę głównego masztu.

- Panie Farr, czy pomagał pan w taklowaniu? - spytał ostro. - Tak jest.

- Poruczniku Fairholme, wiedział pan o tej... głowie... wyeksponowanej w tak dziwny sposób w ostatniej komnacie?

- Tak, komandorze - odrzekł Fairholme. Pociągła, ogorzała twarz oficera emanowała spokojem, jakby gniew dowódcy nie robił na nim żadnego wrażenia. - Sam go zastrzeliłem. Wczoraj wieczorem. Właściwie były to dwa niedźwiedzie. Niedźwiedzica i duży, prawie już dorosły młody. Zamierzamy upiec ich mięso dziś o północy, wyprawić swego rodzaju ucztę, komandorze.

Crozier przez chwilę wpatrywał się w swych podwładnych w milczeniu. Czuł, jak wali mu serce, czuł gniew, który - zmieszany z whisky wypitą wcześniej i świadomością, że od tej pory nie będzie już mógł się nią znieczulać - często popychał go na ładzie do gwałtownych czynów.

Tutaj musiał zachować ostrożność.

- Panie Diggle - zwrócił się do grubej Chinki z wielkimi piersiami.

- Wie pan, że wszyscy pochorowaliśmy się po zjedzeniu wątroby białego niedźwiedzia?

Mięsiste policzki Diggle'a zatrzęsły się w jednym rytmie z wypchanymi poduszkami piersiami.

- Tak jest, komandorze. W wątrobie niedźwiedzia polarnego jest jakieś paskudztwo, którego nie udało nam się wysmażyć. Podczas dzisiejszej uczyty nie podam wątroby, zapewniam pana. Tylko świeże mięso - setki funtów świeżego mięsa, smażone, pieczone i opalane na sto różnych sposobów.

- Ludzie ogromnie się cieszą, że napotkaliśmy te dwa niedźwiedzie i że udało nam się je zastrzelić, uważają to za dobry znak, komandorze

- dodał Fairholme. - Nie mogą się już doczekać dzisiejszej uczyty.

- Dlaczego nikt mi nie powiedział o tych niedźwiedziach? - spytał ostro Crozier.

Fairholme, Farr i Diggle spojrzeli po sobie. Stojące obok kolorowe ptaki, zwierzęta i wróżki także spojrzały na siebie.

- Zastrzeliliśmy je wczoraj wieczorem, komandorze - przemówił wreszcie Fairholme. - Dziś przez cały dzień marynarze przechodzili tylko z *Terroru* na *Erebus*, a nie wysłaliśmy żadnego posłańca w drugą stronę. Przepraszam, że pana o tym nie poinformowałem, komandorze.

Crozier wiedział, że вина leży w tym wypadku po stronie Fitzjamesa. Wiedzieli to także wszyscy ludzie stojący wokół niego.

- No dobrze. - Westchnął wreszcie. - Bawcie się dalej. - Kiedy jednak ludzie zaczęli z

powrotem nakładać maski, dodał: - Ale jeśli cokolwiek stanie się zegarowi sir Johna, gorzko pożałujecie.

- Tak jest, komandorze - odparli przebierańcy.

Rzuciwszy ostatnie, niemal trwożliwe spojrzenie w stronę czarnej komnaty - niewiele rzeczy w pięćdziesięcioletnim, wypełnionym melancholią życiu Francisa Croziera zrobiło na nim równie przygnębiające wrażenie - przeszedł z białej komnaty do pomarańczowej, potem z pomarańczowej do zielonej, później z zielonej do purpurowej, z purpurowej do błękitnej i z błękitnej wyszedł wreszcie na otwartą przestrzeń.

Dopiero opuściwszy kolorowy labirynt, Crozier poczuł, że może swobodnie oddychać.

Przebierańcy trzymali się z dala od gniewnego komandora, kiedy ten zmierzał w stronę ciemnej, okutanej w grubą warstwę ubrań postaci stojącej na pokładzie *Erebusa*.

Komandor Fitzjames stał samotnie przy relingu i palił fajkę.

- Dobry wieczór, komandorze Crozier.

- Dobry wieczór, komandorze Fitzjames. Byłeś w środku tego... - Nie mogąc znaleźć właściwych słów, Crozier wskazał na kolorową, płócienną budowlę i płonące wokół niej ognie.

- Owszem. - Fitzjames pokiwał głową. - Nasi ludzie wykazali się niezwykłą pomysłowością.

Crozier nie wiedział, co ma na to odpowiedzieć.

- Powstaje tylko pytanie - kontynuował Fitzjames - czy długie godziny przygotowań i wysiłek, jaki w nie włożyli, przysłuży się wyprawie, czy... diabłu.

Crozier próbował spojrzeć w oczy młodego komandora ukryte pod brzegiem czapki. Nie wiedział, czy Fitzjames mówi poważnie, czy sobie z niego żartuje.

- Ostrzegalem ich - mruczał gniewnie Crozier - że nie mogą wykorzystać podczas tego cholernego karnawału ani pinta oleju i ani flinta węgla, a spójrz tylko na te ognie!

- Marynarze zapewniają mnie, że używają tylko oleju i węgla, który zaoszczędzili, nie ogrzewając *Erebusa* przez ostatnich kilka tygodni

- odrzekł spokojnie Fitzjames.

- Kto wpadł na pomysł tego... labiryntu? - spytał Crozier. - Tych kolorowych komnat? Hebanowego pokoju?

Fitzjames wyjął fajkę z ust i zachichotał.

- To wszystko pomysły młodego Richarda Aylmore'a.

- Aylmore'a? - powtórzył Crozier. Pamiętał nazwisko, lecz nie kojarzył z nią twarzy. - Twojego stewarda mesy młodszych oficerów?

- Zgadza się.

Crozier przypominał sobie w końcu drobnego mężczyznę o osadzonych głęboko, zamyślonych oczach i cienkich czarnych wąsikach.

- Skąd mu to przyszło do głowy, do diabła?

- Aylmore mieszkał przez kilka lat w Stanach, zanim w tysiąc osiemset czterdziestym czwartym roku wrócił do Anglii i zaciągnął się do Służby Badawczej - odparł Fitzjames, przgryzając ustnik fajki.

- Twierdzi, że pięć lat temu, w czterdziestym drugim, przeczytał jakąś absurdalną historyjkę opisującą bal maskowy, który odbywał się właśnie w takich kolorowych pomieszczeniach. Mówił, zdaje się, że trafił na nią w jakimś szmatławym czasopiśmie, „Graham's Magazine” czy czymś takim, kiedy mieszkał u swego kuzyna w Bostonie. Aylmore nie pamięta już dokładnie fabuły opowiadania, ale pamięta, że opisywało dziwny bal maskowy wydany przez niejakiego księcia Prospero... i że na pewno kolorowe pomieszczenia ułożone były w takiej właśnie kolejności, z tym okropnym

hebanowym pokojem na końcu. Ludziom bardzo się to spodobało.

Crozier tylko pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Francisie - kontynuował Fitzjames. - Przez ponad dwa lata, kiedy tym okrętem dowodził sir John, nie piliśmy tutaj alkoholu. Mimo to udało mi się przemycić na pokład trzy butelki whisky, które podarował mi ojciec. Została mi jedna butelka. Czułbym się zaszczycony, gdybyś zechciał wypić ją ze mną tego wieczora. Zanim kucharze zaczną przygotowywać mięso niedźwiedzi, miną jeszcze co najmniej trzy godziny. Pozwoliłem panu Wallowi i twojemu panu Diggle'owi ustawić na łodzie dwa piece z łodzi wielorybnych, na których będą gotować dodatki, takie jak warzywa z puszek. Pozwoliłem im też zbudować wielki ruszt w białym pokoju, bo tam właśnie zamierzają smażyć niedźwiedzie mięso. Bez względu na to, jak im to wyjdzie, będzie to nasze pierwsze świeże mięso od trzech miesięcy. Zechcesz zejść ze mną do kajuty sir Johna i napić się tej whisky przed ucztą?

Crozier skinął głową i wszedł za Fitzjamesem do wnętrza statku.

CROZIER

70°05' szerokości geograficznej północnej, 98°23' długości geograficznej zachodniej. 31 grudnia 1847 - i stycznia 1848.

Crozier i Fitzjames wyszli z *Erebusa* przed północą. W Wielkiej Kajucie było bardzo zimno, lecz na zewnątrz na ich ciała i zmysły natarł znacznie gorszy, srogi ziąb arktycznej nocy. W ciągu ostatnich godzin zerwał się lekki wiatr, który targał płomieniami pochodni i węgla płonącego w wielkich koksownikach - Fitzjames zasugerował Crozierowi, a ten po pierwszej godzinie picia whisky przystał na tę propozycję, by wysłać na lód dodatkowe porcje oleju i węgla i tym samym uchronić przebierańców przed zamarznięciem.

Komandorzy nie rozmawiali zbyt wiele, pogrążeni w melancholijnej zadumie. Poza tym co chwila ktoś im przeszkadzał. Porucznik Irving przyszedł zameldować, że wraca na *Terror*, porucznik Hodgson przyszedł zameldować, że został zmieniony przez porucznika Irvinga i wraz ze swymi ludźmi przybył już na zabawę; inni oficerowie, odziani w przedziwne kostiumy, przychodzili zameldować, że wszystko jest w porządku; różni marynarze i oficerowie z *Erebusa* przychodzili zameldować, że właśnie zeszli z wachty albo właśnie idą ją objąć; pan Gregory, mechanik, przyszedł zameldować, że mogą spokojnie wykorzystać węgiel do ogrzewania, bo gdyby nawet nadeszła ta mityczna odwilż, to paliwa potrzebnego do napędzania statku starczyłoby im tylko na kilka godzin. Po tych słowach poszedł przekazać marynarzom, że mogą zabrać jeszcze kilka worków z węglem na lód do coraz bardziej rozbawionych przebierańców; pan Murray, stary żaglomistrz - ubrany jak przedsiębiorca pogrzebowy, z twarzą zakrytą czaszką, która w gruncie rzeczy niewiele różniła się od jego pomarszczonego oblicza - przeprosił za najście i spytał, czy wraz ze swymi pomocnikami mógłby wykorzystać dwa zapasowe kliwry i utworzyć z nich zasłonę chroniącą przed wiatrem nowe koksowniki.

Komandorzy przyjmowali meldunki, wydawali rozkazy, wyrażali zgodę i udzielali ostrzeżeń, ani na chwilę nie odrywając się od swych melancholijnych rozmyślań.

Gdzieś między jedenastą i dwunastą włożyli wierzchnie okrycia, wyszli na pokład i zeszli ponownie na lód. Kilka chwil wcześniej Thomas Jopson i Edmund Hoar, stewardzi Croziera i Fitzjamesa, udali się do Wielkiej Kajuty z porucznikami Le Vesconte'em i Little'em - wszyscy odziani w fantastyczne kostiumy naciągnięte na wierzchnie okrycia - by oświadczyć, że kucharze pieką już mięso niedźwiedzi, że odłożyli najlepsze porcje dla komandorów, i spytali, czy komandorzy zechcieliby teraz przyjść na ucztę.

Crozier uświadomił sobie, że jest bardzo pijany. Potrafił wypić sporo alkoholu i zachowywać się normalnie - jego ludzie przywykli już do tego, że choć śmierdzi whisky na odległość, zawsze panuje nad sytuacją - jednak teraz, po kilku nieprzespanych nocach, zmierzając przez mroźną lodową krainę ku podświetlonym barwnym namiotom i roztańczonym postaciom, Crozier czuł whisky płonącą w jego brzuchu i głowie.

Marynarze ustawili ruszt w białej komnacie. Komandorzy przeszli przez kilka barwnych pomieszczeń, nie zamieniając ani słowa ze sobą ani z którymkolwiek z przemykających wokół przebierańców.

Crozier nie miał wątpliwości, że większość marynarzy także jest pijana. Jak to zrobili? Oszczędzali swoje porcje grogu? Chowali piwo, które zwykle podawano im do kolacji? Wiedział, że nie włamali się do magazynu rumu na *Terrorze*, bo kazał porucznikowi Little'owi sprawdzić dobrze zamki zarówno minionego ranka, jak i popołudnia. Magazyn rumu na *Erebusie*był pusty dzięki sir

Johnowi Franklinowi, i to od chwili wypłynięcia okrętu z portu.

Ale ludzie zdawali się jakoś upić. Jako marynarz z czterdziestoletnim doświadczeniem, który odsłużył też swoje jako zwykły chłopak okrętowy, Crozier wiedział, że jeśli chodzi o pędzenie, gromadzenie czy wyszukiwanie alkoholu, pomysłowość brytyjskich marynarzy nie zna granic.

Ogromne połcie niedźwiedziego mięsa smażyły się nad otwartym ogniem na ruszcie, za którym stali pan Diggle i pan Wall; uśmiechnięty od ucha do ucha porucznik Le Vesconte oraz inni oficerowie z obu statków rozdawali ustawionym w kolejce marynarzom talerze z parującym jedzeniem. Dokoła unosił się smakowity zapach smażonego mięsa, który bezlitośnie pobudzał wyobraźnię i ślinianki Croziera, choć komandor przyrzekał sobie wcześniej, że nie weźmie udziału w tej uczcie.

Kolejka rozstała się przed dwoma komandorami. Zebracy, papistyczni kapłani, francuscy dworzanie, wróżki, okryty całunem trup oraz dwaj rzymscy legionieści w czerwonych płaszczach, czarnych maskach i złotych zbrojach zaprosili Fitzjamesa i Croziera do podejsścia do rusztu, skłaniając głowy, kiedy dowódcy przeszli obok nich.

Pan Diggle, który dla wygody przesunął teraz swój obfity biust na brzuch, osobiście odkroił dwa najlepsze kawałki mięsa dla komandora Croziera, a potem dla komandora Fitzjamesa. Le Vesconte podał im sztucę z oficerskiej mesy i białe lniane serwetki. Porucznik nalał do kubków piwo.

- Muszą panowie pić szybko - mówił Fairholme - zanurzając usta w piwie jak ptaki, żeby wargi nie przymarzły wam do kubków.

Fitzjames i Crozier zasiedli u szczytu stołu okrytego białym prześcieradłem, na przykrytych prześcieradłami krzesłach, które odsunął dla nich pan Farr, niedawna ofiara gniewu Croziera. Pan Blanky siedział obok swego odpowiednika z *Erebusa*, pana Reida, podobnie jak Edward Little i kilku oficerów z okrętu flagowego. Lekarze zebrali się po drugiej stronie stołu.

Crozier zdjął grube rękawicę, ujął w zziębniętą dłoń widelec i spróbował ostrożnie smażonego mięsa, uważając, by metalowy widelec nie dotknął jego ust. Kotlet z niedźwiedzia sparzył go w język. Komandor miał ochotę roześmiać się głośno - w arktyczną noc, przy temperaturze minus stu stopni, w której jego oddech natychmiast zmieniał się w obłok kryształków lodu, on sparzył się w język. Spróbował ponownie, odgryzł kawałek mięsa i przeżuwszy, połknął.

To był najsmaczniejszy stek, jaki kiedykolwiek jadł. Crozier był tym zaskoczony. Wiele miesięcy temu, kiedy jedli niedźwiedzie mięso, wydawało im się zepsute i śmierdzące. Część marynarzy po zjedzeniu wątroby i innych narządów, które zazwyczaj uchodzą za przysmaki, poważnie się pochorowała. Postanowiono wtedy, że mięso niedźwiedzi polarnych będzie spożywane tylko, gdy zajdzie taka konieczność.

A teraz ta uczta... ta wystawna uczta. Wszędzie dokoła w białej komnacie i zapewne w sąsiadujących z nią komnatach pomarańczowej i fioletowej ludzie siedzący przy stołach, na skrzyniach i beczkach pochłaniali smakowite steki. Śmiechy i rozmowy zadowolonych marynarzy zagłuszały huk płomieni płonących pod rusztem i trzepot płócien smaganych coraz silniejszym wiatrem. Kilku marynarzy w białym pokoju jadło za pomocą noży i widelców - niektórzy po prostu nabili stek na widelec i obgryzali go dookoła - większość jednak trzymała mięso w okrytych rękawicami dłoniach. Wyglądało to tak, jakby ponad setka drapieżników pożerała właśnie swe ofiary.

Im więcej Crozier jadł, tym bardziej robił się głodny. Fitzjames, Reid, Blanky, Farr, Little, Hodgson - nawet Jopson, jego steward, który siedział przy pobliskim stole z innymi stewardami - jedli swoje mięso z nie mniejszym apetytem. Jeden z pomocników pana Diggle'a, przebrany za

małego Chińczyka, roznosił na stoły talerze z parującymi warzywami. Jednak warzywa przysmażone na patelni, na jednym z pieców z łodzi wielorybnych, choć cudownie gorące, po prostu nie miały smaku w porównaniu z pysznym świeżym niedźwiedzim mięsem. Tylko powaga urzędu, jaki sprawował, i świadomość, że musi dawać innym przykład, nie pozwoliła Crozierowi przepchać się na początek kolejki i zażądać kolejnej porcji. Fitzjames choć raz nie wyglądał na przygaszonego; młody komandor miał taką minę, jakby za chwilę miał rozplakać się ze szczęścia.

Nagle, w chwili gdy większość marynarzy zjadła już swoje steki i dopijała piwo, by mocno alkoholizowany napój nie zamarzał im w kubkach, perski król stojący obok wejścia do fioletowej komnaty zaczął nakręcać muzyczny mechanizm.

Gdy tylko rozbrzmiały pierwsze nuty, podniósł się ogromny aplauz, marynarze walili z całych sił w okryte rękawicami dłonie. Wielu miłośników muzyki na obu statkach narzekało na tę maszynę - zakres dźwięków wydobywających się z metalowych dysków był dokładnie taki sam, jaki wypuszczali ze swych instrumentów uliczni kataryniarze - jednak ta melodia była zbyt charakterystyczna, by ktokolwiek mógł ją pomylić z czym innym. Marynarze podnieśli się z miejsc. Inni zaczęli od razu śpiewać. Nawet Crozier musiał uśmiechnąć się szeroko, kiedy znajome słowa odbiły się echem od zbocza góry lodowej.

*Gdy głosem niebios powołana
wyrosła Anglia z mór przestworzy,
Śpiewali tak wśród szumu fal
uradowani aniołowie boży:*

Komandorzy Crozier i Fitzjames także wstali ze swych miejsc i przyłączyli się do pozostałych, śpiewając ile sił w płucach pierwszy refren.

*Panuj, Brytanio, panuj nad oceanami
Brytyjczycy nigdy nie będą niewolnikami!*

Czysty tenor młodego Hodgsona prowadził ludzi zamkniętych w sześciu spośród siedmiu komnat, gdy wyśpiewywali kolejne zwrotki:

*Narody mniej niebiosom drogie
przed tyranami upadają,
a Twojej siły nikt nie złamie,
Ciebie złe moce się lękają.*

Choć z daleka dobiegały go odgłosy jakiegoś zamieszania, rozgrzany whisky i stekiem, Crozier odrzucił głowę do tyłu i ryczał ze swymi ludźmi:

*Panuj, Brytanio, panuj nad oceanami
Brytyjczycy nigdy nie będą niewolnikami!*

Ludzie w sąsiednich pomieszczeniach nadal śpiewali, ale teraz i śmiali się głośno, co wzmagало jeszcze zamieszanie. Mechaniczny instrument rozbrzmiał głośniej. Marynarze śpiewali jeszcze głośniej.

Crozier, wyśpiewujący ochoczo trzecią zwrotkę pieśni, doznał szoku, gdy do białej komnaty wkroczył nagle przedziwny pochód.

*Każdy cios wroga z obcych stron
Twe siły po wielekroć mnoży,
Bo dusza twoja, czysta, wolna
Nigdy nie lęka się i nie trwoży.*

Pochód prowadził marynarz przebrany w teatralną wersję admirałskiego munduru. Epolety były tak absurdalnie szerokie, że wystawały osiem cali poza ramiona drobnego mężczyzny. Był

bardzo gruby; poły marynarki staromodnego munduru nie mogły objąć jego wielkiego brzucha. Karykaturalna postać pod jedną pachą niosła własną głowę, wykonaną z papier-mâché, pod drugą zaś admirałski kapelusze.

Crozier zamilkł. Pozostali śpiewali dalej.

Panuj, Brytanio, panuj nad oceanami

Brytyjczycy nigdy nie będą niewolnikami!

Za bezgłowym admirałem, który bez wątpienia miał przedstawiać zmarłego sir Johna Franklina, choć sir John nie został pozbawiony głowy, lecz nóg, szedł powoli ogromny potwór, mający co najmniej dziesięć lub dwanaście stóp wzrostu.

Potwór miał ciało, futro, czarne łapy, długie pazury, trójkątny łeb i czarne ślepia charakterystyczne dla niedźwiedzi polarnych, kroczył jednak na dwóch łapach, był dwa razy wyższy od niedźwiedzia i miał dwa razy dłuższe ramiona. Szedł sztywno, jakby na oślepie, kołysząc tułowiem do przodu i do tyłu, i przyglądając się małymi ślepiami każdemu mijanemu marynarzowi. Łapy potwora, które kołysały się na zwisających bezwładnie ramionach niczym serca dzwonów, były większe od ludzkiej głowy.

- Na dole idzie ten wasz olbrzym, Manson - wyjaśniał ze śmiechem Charles Frederick Des Voeux, który stał obok tuż obok Croziera i pochylał się ku niemu, by przekrzyczeć następną zwrotkę. - A na jego ramionach siedzi ten mały mat uszczelniacz, Hickey, zdaje się. Podobno przez całą noc zszywali ten kostium z dwóch niedźwiedzich skór.

Knowania złych tyranów próżne

Rozpalą złości Twej płomienie,

Co Tobie chwałę dadzą wieczną,

a im haniebne zapomnienie.

Kiedy olbrzymi niedźwiedź przeszedł przez białą komnatę, tłum marynarzy z komnaty błękitnej, zielonej i pomarańczowej ruszył za nim do kolejnego, fioletowego pokoju. Crozier stał nieruchomo, jakby dosłownie przymarzył do lodu. Wreszcie odwrócił powoli głowę i spojrzał na Fitzjamesa.

- Przysięgam, że nic o tym nie wiedziałem - wyszeptał Fitzjames. Był bardzo blady.

Biała komnata zaczęła pustoszeć, kiedy kolejni marynarze szli śladem bezgłowego admirała i wielkiego, pokracznego potwora, którzy zniknęli już w półmroku długiego, fioletowego pokoju. Wokół Croziera wciąż rozbrzmiewał jednak pijacki ryk:

PANUJ, BRYTANIO, PANUJ NAD OCEANAMI

BRYTYJCZYCY NIGDY NIE BĘDĄ NIEWOLNIKAMI!

Crozier także przyłączył się do pochodu, a Fitzjames szedł jego śladem. Dowódca HMS *Terror* nigdy jeszcze nie znalazł się w takiej sytuacji; wiedział, że powinien natychmiast przerwać to absurdałne przedstawienie - żaden szanujący się dowódca nie mógł tolerować sytuacji, w której drwi się ze śmierci poprzedniego dowódcy wyprawy. Jednocześnie jednak wiedział, że zabawa osiągnęła już punkt, kiedy jego krzyki i napomnienia byłyby równie absurdałne i bezużyteczne jak pogański rytuał, któremu przyglądał się z rosnącym gniewem.

Twe miasta to kraina bogactw,

Twe pola, lasy, plon obfity dają.

Twe będą kiedyś wszystkie morza świata

i brzegi, które fale obmywają.

Bezgłowy admirał, człapiący za nim potwór i złożony z około stu przebierańców pochód nie zabawił długo w fioletowej komnacie. Gdy wszedł tam Crozier, zdążył jeszcze zobaczyć, jak

Manson, Hickey i towarzyszący im tłum zatrzymują się na moment przy wejściu do komnaty hebanowej.

Crozier miał ochotę krzyknąć głośno „NIE!”, powstrzymał się jednak w ostatniej chwili. Odgrywanie tego spektaklu z udziałem karykatury sir Johna i potwora z lodu w jakimkolwiek miejscu było obrazą pamięci zmarłego komandora, nabierało jednak szczególnie haniebnego wymiaru w owej czarnej, hebanowej komnacie z tykającym zegarem i głową niedźwiedzia. Bez względu na to, jak idiotyczny finał tego pochodu zaplanowali jego autorzy, przynajmniej lada chwila miał dobiec końca. Zakończyć musiał się też cały Drugi Wielki Karnawał Wenecki, impreza, która okazała się jedną wielką pomyłką. Crozier zamierzał pozwolić swym podwładnym dokończyć pieśń i ów pogański pochód, by potem kazać im natychmiast pościągać kostiumy i odesłać większość na statek. Na lodzie zostaliby takielarze i organizatorzy - komandor życzył sobie, by jeszcze tej nocy ściągnęli wszystkie liny i żagle, nawet jeśli mieliby sobie przy tym odmrozić ręce lub nogi. Później rozprawiliby się z Hickeyem, Mansonem, Aylmore'em i swoimi oficerami.

Admirał i towarzyszący mu potwór weszli chwiejnym krokiem do hebanowej komnaty, prowadzeni radosnymi okrzykami marynarzy.

Czarny zegar sir Johna zaczynał wybijać północ.

Tłum przebierańców na tyłach pochodu zaczął napierać na poprzedzające ich szeregi, by jak najszybciej dostać się do wnętrza czarnej komnaty i nie uronić ani odrobiny z mającego się tam rozegrać przedstawienia. Tymczasem żebracy, szczury, jednorożce, śmieciarze, jednonodzy piraci, arabscy książęta i egipskie księżniczki, gladiatorzy, wróżki i inne postacie kroczące na początku pochodu zaczęły się nagle wycofywać, jakby uznawszy, że jednak nie chcą znaleźć się pośrodku czarnych jak smoła ścian i stąpać po równie czarnym podłożu.

Crozier przepychał się łokciami przez gęsty tłum - stłoczona masa ludzi kołysała się raz do przodu raz do tyłu, targana sprzecznymi emocjami - uznawszy, że nawet jeśli nie może zapobiec finałowemu aktowi, to przynajmniej zdoła go skrócić.

Ledwie wszedł do wnętrza komnaty wraz z dwudziestoma lub trzydziestoma marynarzami, którzy także zatrzymali się przy wejściu, straciwszy nagle ochotę na zabawę - musiał odczekać chwilę, aż jego oczy przywykną do niemal całkowitych ciemności - kiedy poczuł na twarzy uderzenie zimnego powietrza, zupełnie jakby ktoś otworzył drzwi w ścianie góry lodowej. Choć przebierańcy obecni w pokoju próbowali jeszcze śpiewać, robili to z coraz mniejszym przekonaniem; pełnym gardłem śpiewali ci, którzy próbowali się dopiero wepchnąć do środka komnaty.

PANUJ, BRYTANIO, PANUJ NAD OCEANAMI

BRYTYJCZYCY NIGDY, NIGDY, NIGDY, NIGDY

NIGDY

NIE BĘDĄ NIEWOLNIKAMI!

Crozier widział tylko zarys niedźwiedziej głowy wyrastającej z lodu ponad hebanowym zegarem - dźwięk kurantów wydawał się wyjątkowo przerażająco, wręcz głośny w owej mrocznej przestrzeni - miał też wrażenie, że Manson i Hickey z trudem utrzymują równowagę na śliskiej powierzchni, zdezorientowani trzepotaniem północnej ściany, w którą uderzał coraz mocniejszy wiatr.

Crozier zrozumiał nagle, że w komnacie pojawiła się druga biała postać. Ona także stała na tylnych łapach, schowana głębiej w ciemności niż kukła Hickeya i Mansona. Była też od niej znacznie większa. I wyższa.

Marynarze obecni w komnacie zamilkli nagle, a gdy rozbrzmiało dziewiąte uderzenie zegara, ukryty w mroku kształt ryknął.

*Na Ciebie Muzy z ośnieżonych szczytów
patrzą z zachwytem i zazdrością,
Wyspo błogosławiona pięknem niezrównanym,
łaskami Boga i mężnych serc miłością.*

Nagle wszyscy obecni w pokoju rzucili się do wyjścia, ze zdwojoną siłą napierając na tych, którzy próbowali tam wejść.

- Co tu się dzieje? - spytał doktor McDonald. Wszyscy czterej lekarze ubrani byli w kostiumy arlekinów, ściągnęli jednak maski, dzięki czemu Crozier rozpoznał ich w mocniejszym nieco, fioletowym blasku wypływającym z przejścia między dwoma pokojami.

Któryś z marynarzy zamkniętych w hebanowej komnacie krzyknął przeraźliwie. Potem rozległ się drugi ryk, dźwięk niepodobny do niczego, co Francis Rawdon Moira Crozier słyszał do tej pory w swym życiu; dźwięk, który przynależał raczej do gęstej dżungli z jakiejś odległej epoki niż do Arktyki dziewiętnastego wieku. Dźwięk mający tak niskie, basowe rejestry, tak przejmujący i tak dziki zarazem, że dowódca HMS *Terror* omal nie zmoczył spodni w obecności swoich podwładnych.

Większy spośród dwóch białych kształtów obecnych w komnacie rzucił się do przodu.

Przebierańcy zaczęli krzyczeć przeraźliwie, próbowali odepchnąć do tyłu tłum ciekawskich, którzy wciąż parli do przodu, potem rozbiegli się na lewo i prawo, uderzając w ciemnościach w płóciennne ściany.

Crozier stał nieruchomo w miejscu. Czuł masę potwora przesuwającego się obok niego w ciemności. Wyczuwał jego obecność umysłem... czuł ją w głowie. Nagle w nozdrza uderzył go zapach starej krwi, a potem smród gnijącego mięsa.

Księżniczki i wróżki zrzuciły kostiumy i wierzchnie okrycia, próbowały przedrzeć się na drugą stronę płóciennej ściany, drżącymi rękami szukały noży przypiętych do pasa.

Crozier usłyszał paskudny głuchy odgłos, kiedy ogromna łapa potwora zakończona pazurami długości noża wbiła się w ciało jakiegoś człowieka. Coś chrupnęło obrzydliwie, kiedy olbrzymie kły zamknęły się na czaszce lub kościach ofiary. Tymczasem w pozostałych komnatach marynarze wciąż śpiewali pełnym głosem.

PANUJ, BRYTANIO, PANUJ NAD OCEANAMI
BRYTYJCZYCY NIGDY, NIGDY, NIGDY, NIGDY
NIGDY

NIE BĘDĄ NIEWOLNIKAMI!

Hebanowy zegar skończył wreszcie wybijać godzinę. Była północ. Rozpoczął się rok 1848.

Marynarze rozcinali nożami płóciennne przegrody, by wydostać się na zewnątrz, a targane wiatrem pasy materiału wpadały w ogień pochodni i koksowników ustawionych na zewnątrz. Płomienie skoczyły ku niebu i niemal natychmiast objęły takielunek.

Biały kształt przeszedł do fioletowego pokoju. Czekający tam marynarze zaczęli krzyczeć i biegać na wszystkie strony, kłąć i przepychać się, niektórzy cięli już płótno, nie próbując nawet uciekać w głąb kolorowego labiryntu. Crozier ruszył wreszcie z miejsca, odpychał na boki oszalałych ze strachu marynarzy, idąc śladem potwora. Płonęły już obie ściany hebanowego pokoju. Jakiś człowiek w stroju arlekina przebiegł tuż obok Croziera, krzycząc niehumanym głosem; jego kostium i ubrania jarzyły się żółtym płomieniem.

Nim Crozier wyrwał się wreszcie z przerażonego, rozbieganego tłumu spanikowanych przebierańców, fioletowy pokój także stał już w ogniu, a potwór przeniósł się do pokoju białego. Komandor słyszał krzyki ludzi uciekających przed monstrem, wymachujących rękami i zrzucających z siebie krępujące kostiumy. Sieć lin, przygotowana z takim mozołem i pomysłowością, płonęła teraz

na coraz większym obszarze, kreśląc na niebie ogniste runy. Płomienie odbijały się w nierównej powierzchni wysokiej na sto stóp góry lodowej.

Płonęły również drzewca, ciągnące się wzdłuż ogarniętej ogniem ściany hebanowego pokoju niczym odsłonięte żebra. Lata składowania w suchym arktycznym klimacie dokładnie pozbawiły drewno wilgoci. Teraz płonęło jak ogromny skład zapalek.

Zrozumiałwszy, że w żaden sposób nie uda mu się zapanować w tej chwili nad sytuacją, Crozier zaczął biec wraz z innymi. Musiał uciec z płonącego labiryntu.

Biały pokój stał w ogniu. Płomienie strzelały w górę białych ścian z fragmentów płótna ułożonych na podłodze, z okrytych prześcieradłami stołów i krzeseł, z metalowego rusztu pana Diggle'a. Ktoś przewrócił mechaniczny instrument, który mienił się teraz w blasku płomieni wypolerowanymi mosiężnymi i dębowymi krzywiznami.

Crozier dostrzegł komandora Fitzjamesa stojącego w białym pokoju, jedyną postać pozbawioną kostiumu i pogrążoną w bezruchu. Pochwycił go za rękaw i szarpnął.

- Chodź, James! Musimy uciekać.

Dowódca *Erebusa* odwrócił powoli głowę i spojrzał na swego zwierzchnika tak, jakby widział go po raz pierwszy w życiu. Na jego usta powrócił dziwny, nieobecny i szalony uśmieszek.

Crozier uderzył go w ramię.

- Chodź!

Ciągnąc za sobą nieprzytomnego Fitzjamesa, Crozier wyszedł z białego pokoju, przeszedł przez czwarty pokój, którego ściany były teraz bardziej pomarańczowe od płomieni niż od farby, by wejść do pokoju zielonego, który także ogarnął już ogień. Wydawało się, że labirynt nie ma końca. Tu i ówdzie na lodzie leżały odziane w kostiumy postacie - niektóre jęczały głośno, inne próbowały ściągnąć z siebie zniszczone przebrania, ktoś był całkiem nagi i poparzony - pozostali marynarze przystawali, by im pomóc, podnosili swych towarzyszy i ciągnęli za sobą. Łódź zasłany był także strzępami porzuconych kostiumów i okryć wierzchnich. Większość albo już płonęła, albo lada moment miała się zapalić.

- Chodź! - powtórzył Crozier, wciąż ciągnąc za sobą Fitzjamesa. Jakiś marynarz leżał nieprzytomny na lodzie - Crozier rozpoznał w nim młodego George'a Chambersa z *Erebusa*, jednego z chłopców okrętowych, który podczas wyprawy zdążył już wkroczyć w wiek męski - jednak nikt nie zwracał nań uwagi. Crozier zostawił na chwilę Fitzjamesa, zarzucił ciało Chambersa na ramię i ponownie chwyciwszy drugiego komandora za rękaw, ruszył biegiem, uciekając przed płomieniami, które z hukiem strzelały w górę.

Nagle za plecami Croziera rozległo się głośne, przeraźliwe syczenie.

Przekonany, że potwór zaszedł go od tyłu, komandor odwrócił się w miejscu, by stawić mu czoło, choć nie miał do obrony nic prócz jednej wolnej ręki.

Jego oczom ukazała się okryta parą, sycząca i trzaskająca góra lodowa. Ogromne połacie lodu i ciężkie półki odrywały się od głównej bryły i spadały na lód, sycząc niczym węże w zetknięciu z morzem płomieni, w które zamienił się płócienny labirynt. Crozier stanął i z zachwytem wpatrywał się szeroko otwartymi oczami w ten niezwykle widok - niezliczone płaszczyzny góry, w których odbijał się blask płomieni, przywodziły mu na myśl stupiętrową bajkową wieżę wypełnioną blaskiem milionów świec. Wiedział, że nigdy w życiu nie zobaczy już czegoś podobnego.

- Francis - przemówił nieoczekiwanie komandor Fitzjames. - Musimy iść.

Ściany zielonego pokoju opadały na lód, ale za nimi także szalał ogień. Ogniste macki sięgały już ostatnich dwóch pomieszczeń.

Oslaniając twarz dłonią, Crozier przebiegł przez płomienie, zaganiając przed sobą ostatnich

uciekinierów.

Wszyscy przebrnęli przez płonący purpurowy pokój, by zatrzymać się raptownie w pokoju niebieskim. Wiatr z północnego zachodu był jak potępieniec, przyłączając się do chóru krzyków, ryku ognia i syczenia lodu. Pchane wiatrem płomienie tworzyły barierę blokującą wyjście z ostatniej, błękitnej komnaty.

Kilkunastu marynarzy, odzianych w strzępki kostiumów, stało bezradnie przed ową ognistą zaporą.

- NAPRZÓD! - ryknął Crozier głosem, który usłyszałby obserwator na najwyższym maszcie przy ośmiowężłowym wietrze i czterdziestostopowych falach. I posłuchałby go. Ci ludzie także wykonali rozkaz, przeskakując z krzykiem przez ścianę ognia. Komandor biegł tuż za nimi, wciąż niosąc na ramieniu nieprzytomnego Chambersa i ciągnąc za sobą Fitzjamesa.

Wydostawszy się na zewnątrz, Crozier nie przystawał, minął po drodze kilkunastu marynarzy, którzy rozbiegli się na wszystkie strony. Komandor nie od razu zobaczył między nimi białego potwora, wszędzie panowało jednak ogromne zamieszanie - mimo że płomienie oświetlały lodową równinę na przestrzeni pięciuset stóp - poza tym był zajęty szukaniem swych oficerów, a potem jakiegoś lodowego bloku, na którym mógłby położyć nieprzytomnego George'a Chambersa.

Nagle przez ryk płomieni przedarł się huk wystrzałów.

Crozier nie mógł uwierzyć własnym oczom; czterech żołnierzy piechoty morskiej przykłękoło w jednym rzędzie na skraju kręgu światła rzucanego przez płomienie i strzelało w grupy biegnących ludzi. Tu i ówdzie na lód padała jakaś postać, czasem odziana jeszcze w barwny bajkowy kostium.

Crozier wypuścił z uścisku rękaw Fitzjamesa i pobiegł do przodu. Stał na linii ognia i zaczął wymachiwać rękami. Kule z muszkietów świszczały mu koło uszu.

- WSTRZYMAĆ OGIEŃ! DO JASNEJ CHOLERY, SIERŻANCIE TOZER, ZDEGRADUJĘ WAS DO SZEREGOWCA I KAŻĘ POWIESIĆ, JEŚLI NATYCHMIAST NIE WSTRZYMACIE OGNIA!

Strzelanina wreszcie ustała.

Szeregowcy poderwali się z kolan i stanęli przed komandorem na baczność, sierżant Tozer krzyczał, że biały potwór jest między marynarzami. Widzieli go w blasku ognia, niósł w paszczy człowieka.

Crozier nie zwracał na niego uwagi. Próbował zebrać wokół siebie jak najwięcej marynarzy z obu statków, odsyłał rannych i poparzonych na *Erebusa*, a jednocześnie starał się odnaleźć swoich oficerów - lub oficerów komandora Fitzjamesa - lub kogokolwiek, komu mógłby wydać rozkaz i mieć pewność, że rozkaz ten zostanie przekazany grupkom przerażonych marynarzy, którzy wciąż biegli na oślep przed siebie, pokonując lodowe grzbiety i zagłębiając się w ciemny gąszcz seraków i lodowych bloków.

Wiedział, że jeśli ci ludzie się zgubią, zamarzną. Albo wcześniej dopadnie ich potwór. Crozier postanowił, że nikt nie wróci na *Terror*, dopóki wszyscy nie ogrzeją się na dolnym pokładzie *Erebusa*.

W pierwszej chwili znalazł tylko drugiego oficera z *Erebusa*, Coucha, i porucznika Hodgsona, później jednak pojawił się porucznik Little owiany chmurą dymu i pary - kilkucalowa warstwa lodu wokół płomieni topiła się i zamieniała w gęstą mgłę, którą wiatr gnał w las seraków. Little zsalutował niezdarnie - miał poparzoną rękę - i zgłosił gotowość do wykonania rozkazu.

Z porucznikiem Little'em u boku Crozierowi było już nieco łatwiej zapanować nad sytuacją - zgarnął wreszcie z lodu wszystkich ludzi, odesłał ich na *Erebusa*, a potem kazał żołnierzom przeładować muszkiety i ustawić szyk obronny między marynarzami, którzy zmierzali do statku, a

ogniem szalejącym obok góry lodowej.

- Mój Boże - powiedział doktor Goodsir, który wyszedł właśnie z *Erebusa* i stanął obok Croziera, by ściągnąć płaszcz i wierzchnie okrycia. - Tutaj jest naprawdę ciepło.

- Rzeczywiście - zgodził się z nim Crozier, ocierając spocone czoło. Ogień podniósł temperaturę co najmniej o sto stopni. Przez moment zastanawiał się, czy lód stopi się na całej grubości i czy wszyscy utoną. Potem zwrócił się do Goodsira: - Proszę odszukać porucznika Hodgsona i przekazać mu, by policzył zabitych i rannych, a potem przekazał ich panu. Proszę też odszukać pozostałych lekarzy i wraz z nimi przygotować izbę chorych w Wielkiej Kajucie sir Johna. Nie chcę, żeby zmarli leżeli na lodzie - ten potwór ciągle tam jest - więc niech marynarze przeniosą ich do skrajnika dziobowego na dolnym pokładzie. Przyjdę do was za czterdzieści minut i chcę, żebyście do tego czasu mieli już pełną listę zabitych i rannych.

- Tak jest, komandorze - odrzekł Goodsir. Lekarz ponownie włożył wierzchnie okrycie i ruszył w stronę *Erebusa*.

Płótno, takielunek, osadzone w lodzie maszty, kostiumy, stoły, skrzynie i inne sprzęty, które tworzyły siedmiokolorowy labirynt, płonęły przez całą noc i większość następnego, równie ciemnego dnia.

GOODSIR

70°05' szerokości geograficznej północnej, 98°23' długości geograficznej zachodniej. 4 stycznia 1848.

Z prywatnego dziennika doktora Harry'ego D.S. Goodsira:

Wtorek, 4 stycznia 1848. Zostałem sam.

Spośród wszystkich lekarzy ekspedycji tylko ja zostałem przy życiu. Bez wątplenia mieliśmy ogromne szczęście, że straszliwy Drugi Wielki Karnawał Wenecki pochłonął tylko pięć ofiar, ale fakt, że aż trzy spośród owych pięciu to moi przyjaciele lekarze, wydaje się co najmniej niezwykle.

Dwaj główni lekarze, doktor Peddie i doktor Stanley, umarli od poparzeń. Mój odpowiednik, pomocnik lekarza z Terroru, doktor McDonald, przeżył bez szwanku pożar i uszedł z łap bestii tylko po to, by zginąć od kuli z muszkietu żołnierzy, którzy strzelali do ludzi uciekających z namiotów.

Dwie pozostałe ofiary to także oficerowie. Porucznik James Walter Fairholme z Erebusa zginął w hebanowej komnacie, prawdopodobnie zabity przez potwora. Choć im wpół zwęglone ciało porucznika Fairholmea zostało odnalezione w spalonych szczątkach przekłętego labiryntu, przeprowadzona przeze mnie sekcja zwłok wykazała, że umarł od potężnego ciosu w klatkę piersiową, gdy wyłamane żebra przebiły mu serce.

Ostatnią ofiarą śmiertelną noworocznego pożaru i zamętu był pierwszy oficer z Terroru, Frederick John Hornby, który został dosłownie wypatroszony w pomieszczeniu nazywanym przez marynarzy białą komnatą. Najsmutniejsze jest to, że pan Hornby większość nocy spędził na pokładzie swego statku, gdzie pełnił wachtę, i został zmieniony przez porucznika Irvinga niecałą godzinę przed początkiem owych tragicznych wydarzeń.

Komandor Crozier i komandor Fitzjames zostali więc pozbawieni fachowej pomocy trzech spośród swoich czterech lekarzy oraz rady i wsparcia dwóch spośród swoich najlepszych oficerów.

Poza tym podczas wielkiego karnawałowego koszmaru osiemnaście osób zostało rannych - sześć ciężko. Do szóstki tej należą: lodomistrz Blanky z Terroru; mat cieśla Wilson z tego samego statku (marynarze zwą go „Grubym Wilsonem”); marynarz John Morfin, z którym kilka miesięcy temu wędrowałem do Ziemi Króla Williama; steward intendentów z Erebusa, pan William Fowler; marynarz Thomas Work, także z Erebusa; i bosman John Lane z Terroru - z radością stwierdzam, że wszyscy przeżyją. (Muszę tu wspomnieć o niezwykle zdarzeniu pana Blanky 'ego, który niecały miesiąc temu został okaleczony przez stworzenie z lodu - wszyscy lekarze z obu statków opatrywali wówczas jego rany. Pan Blanky nie odniósł podczas pożaru żadnych poparzeń, ale został ponownie ranny w prawą nogę - uderzony lub ugryziony przez potwora, jak sam przypuszcza, choć twierdzi też, że w tym czasie przedzierał się przez płonące płótno i takielunek. Tym razem musiałem amputować mu prawą nogę tuż pod kolanem. Pan Blanky zachowuje niezwykle pogodę ducha, jak na człowieka, który w tak krótkim czasie odniósł tyle obrażeń.)

Wczoraj, w poniedziałek, wszyscy byliśmy świadkami chłosty. Nigdy wcześniej nie widziałem wymierzanej publicznie kary cielesnej i Bóg mi świadkiem, że nie chcę już nigdy więcej oglądać podobnego spektaklu.

Wczoraj o dziesiątej rano komandor Crozier - który od czasu piątkowego pożaru kipiał ledwie powściąganym gniewem - zebrał wszystkich pozostałych przy życiu członków załóg z obu statków na dolnym pokładzie Erebusa. Żołnierze piechoty morskiej, uzbrojeni w muszkiety, stanęli w szeregu, w poprzek pokładu. Biły werble.

Na pokład wprowadzono stewarda z mesy młodszych oficerów z Erebusa, pana Richarda Aylmore'a, mata uszczelniacza z Terroru Corneliusa Hickeya i ogromnego marynarza Magnusa Mansona. Wszyscy ubrani byli tylko w spodnie i podkoszulki. Zaprowadzono ich do miejsca obok pieca, gdzie znajdowała się ustawiona pionowo pokrywa kuchennego wjazdu, do której ich potem przywiązywano, jednego po drugim.

Wcześniej jednak wszyscy musieli stanąć w szeregu i wysłuchać zarzutów odczytanych przez komandora Croziera. Aylmore i Manson stali z pokornie spuszczonej głowami, Hickey trzymał głowę prosto, wręcz wyzywająco.

Aylmore miał otrzymać pięćdziesiąt batów za niesubordynację i lekkomyślne zachowanie, stwarzające zagrożenie dla statku. Gdyby ten spokojny, cichy steward zaproponował jedynie stworzenie kolorowego labiryntu - podobno zaczerpnął ten pomysł z jakiegoś amerykańskiego czasopisma - zapewne także nie uszedłby kary, ale na pewno nie byłaby tak sroga. Nie dość jednak, że Aylmore był głównym pomysłodawcą Drugiego Wielkiego Karnawału Weneckiego, to jeszcze przebrał się za bezgłowego admirała - zważywszy na okoliczności śmierci sir Johna, było to bez wątpienia wielce nieestosowne, co, jak wszyscy dobrze wiedzieliśmy, mogło równie dobrze zaprowadzić go im szubienicę. Wszyscy słyszeliśmy opowieści o zeznaniach, jakie Aylmore złożył przed komandorami; podobno opisywał w nich, jak krzyczał, a potem zemdlał w hebanowej komnacie, uświadomiwszy sobie, że wśród przebierańców pojawił się prawdziwy potwór.

Manson i Hickey mieli otrzymać po pięćdziesiąt batów za zszycie i noszenie niedźwiedziej skóry, co stanowiło naruszenie wszystkich poprzednich rozkazów komandora Croziera, który kategorycznie zabronił noszenia takich pogańskich fetyszy.

Dla wszystkich jasny był fakt, że co najmniej pięćdziesięciu innych marynarzy miało swój udział w planowaniu, takłowaniu, farbowaniu żagli i przygotowaniu karnawałowego pochodu, i że Crozier mógł równie dobrze wymierzyć im wszystkim tyle samo batów. W pewnym sensie ta nieszczęsna trójca, Aylmore, Manson i Hickey, ponosiła karę za całą załogę.

Kiedy werble przestały już bić, a skazani stanęli w szeregu przed załogami, przemówił komandor Crozier. Mam imdziej, że nie przeinaczę tutaj jego słów:

- Ci ludzie zostaną ukarani chłostą za złamanie regulaminu i za nierozważne zachowanie, w którym brali udział wszyscy tutaj zgromadzeni Łącznie ze mną.

Niech wszyscy tutaj zgromadzeni wiedzą i zapamiętają, że ostatecznie odpowiedzialność za akt głupoty, który kosztował życie pięciu naszych towarzyszy i okaleczył kilkunastu innych, ponoszę ja. Dowódca jest odpowiedzialny za wszystko, co dzieje się na jego statku. Dowódca wyprawy jest odpowiedzialny podwójnie. Fakt, że ze względu na brak imleżytej uwagi pozwoliłem, by ten szalony plan został wcielony w życie, jest zaniedbaniem i przestępstwem, co potwierdzę podczas nieuniknionego procesu przed sądem wojskowym... nieuniknionego, jeśli uda nam się przeżyć i uciec z lodu, który wszystkich nas tu więzi. To ja powinienem otrzymać wszystkie te baty i otrzymam je, kiedy spadnie na mnie nieunikniona kara zasądzona przez moich przełożonych.

Spojrzałem wówczas na komandora Fitzjamesa. Wina, którą obarczał samego siebie komandor Crozier, z pewnością spadała także na dowódcę Erebusa, bo to on, a nie Crozier, nadzorował większość przygotowań do karnawału. Twarz Fitzjamesa była blada i obojętna. Wpatrywał się tępo w przestrzeń, jakby myślami był zupełnie gdzie indziej.

- Nim jednak nadejdzie dzień mojego rozliczenia - mówił dalej Crozier - wymierzimy karę tym trzem ludziom, osądzonym przez oficerów HMS Erebus i Terror i uznanym za winnych naruszenia regulaminu oraz narażenia życia swych towarzyszy. Bosmanie Johnson...

Wtedy przed szereg wyszedł Thomas Johnson, potężny i silny bosmanmat z HMS Terror,

towarzysz komandora Croziera, który od wielu lat służył pod jego komendą. Johnson skinął głową, nakazując, by przywiązano Aylmore'a do włazu.

Potem bosmanmat położył na skrzynce obite skórą pudelko i otworzył mosiężne zatrzaski. Wnętrze pudelka wyłożone było czerwonym aksamitem, co ze względu na zawartość owego pojemnika wydało mi się dość dziwne - oto bowiem na czerwonym aksamicie spoczywał starannie ułożony dziewięciorzemienny bicz o poczerniałej rączce.

Podczas gdy dwaj marynarze przywiązywali Aylmore'a do pokrywy włazu, Johnson podniósł bicz, zważył go w dłoni i wypróbował, wprawiając go w ruch lekkim zaledwie poruszeniem nadgarstka. Nie robił tego na pokaz, lecz rzeczywiście przygotowywał się do wymierzenia okrutnej kary. Dziewięć rzemieni - o których słyszałem już tyle różnych opowieści i żartów - przecięło powietrze ze złowieszczym świstem. Na końcu każdego z nich znajdował się mały węzeł.

Przez chwilę nie mogłem uwierzyć, że to dzieje się naprawdę. Nie wierzyłem, że w tym zatłoczonym, śmierdzącym potem mroku dolnego pokładu, pod zwieszającymi się z niskich belek torbami i skrzyniami, Johnson zdoła w ogóle wziąć zamach i należycie wymierzyć karę. Od lat słyszałem powiedzenie: „za mało miejsca, żeby biczem machnąć”, jednak aż do tej pory nie rozumiałem jego znaczenia.

- Proszę wymierzyć karę panu Aylmore 'owi - powiedział komandor Crozier. Werble zagrały przez moment, a potem ucichły raptownie.

Johnson stanął w rozkroku, zwrócony bokiem do skazańca, niczym bokser na ringu, odrzucił bicz do tyłu, a potem przerzucił go do przodu gwałtownym, nagłym, lecz płynnym ruchem przedramienia. Zakończony węzłami końcówki rzemieni przemknęły niecałą stopę przed pierwszym szeregiem marynarzy.

Odgłos bicia uderzającego w ludzkie ciało to coś, czego nie zapomnę do końca życia.

Aylmore krzyknął - niektórzy mówili potem, że był to dźwięk bardziej nieludzki niż ryk, który wydał z siebie potwór w hebanowej komnacie.

Na szczupłych, bladych plecach skazańca natychmiast pojawiły się szkarłatne pręgi, a krople krwi opryskały twarze ludzi stojących najbliżej miejsca kaźni, w tym i moją.

- Raz! - zaczął odliczać Charles Frederick Des Voeux, który po śmierci Roberta Orme Sergeanta przejął obowiązki pierwszego oficera Erebusa. Wykonanie kary należało do obowiązków obu matów.

Aylmore krzyknął ponownie, nim jeszcze rzemienie uderzyły po raz wtóry w jego plecy, przerażony bez wątpienia perspektywą kolejnych czterdziestu dziewięciu batów. Przyznam, że zrobiło mi się wtedy słabo... stłoczone niemyte ciała, zapach krwi, mrok i ciasnota dolnego pokładu, wszystko to sprawiało, że ledwo trzymałem się na nogach. To było prawdziwe piekło. A ja byłem w nim.

Steward zemdlął po dziewiątym uderzeniu. Komandor Crozier nakazał mi gestem, bym sprawdził, czy skazaniec oddycha. Oddychał. W normalnych okolicznościach, jak wyjaśniono mi później, mat wylałby na niego wiadro wody, by ten odzyskał świadomość i w pełni odcierpiał pozostałe baty. Ale tego ranka na dolnym pokładzie HMS Erebus nie było płynnej wody. Wszystko zamarzło. Nawet krople krwi na plecach Aylmore'a zamieniały się po jakimś czasie w twarde czerwone śruciny.

Aylmore nie odzyskał przytomności do końca chłosty.

Gdy nieszczęsny steward otrzymał już wszystkie pięćdziesiąt batów, odwiązano go od pokrywy włazu i przeniesiono do byłej kajuty sir Johna, prowizorycznej izby chorych, do której

trafiły wszystkie ofiary karnawałowego pożaru. Leżało tam ośmiu ludzi, w tym David Leys, który od czasu grudniowego ataku potwora na pana Blanky'ego wciąż nie reagował na żadne bodźce.

Ruszyłem w stronę rufy za Aylmore'em, lecz komandor Crozier gestem nakazał mi pozostać na swoim miejscu. Najwidoczniej zgodnie z regulaminem wszyscy członkowie załogi powinni przyglądać się chłście do samego jej końca, nawet jeśli z powodu mojej nieobecności Aylmore miałby się wykrwawić na śmierć.

Następny był Magnus Manson. W porównaniu z niemałymi przecież bosmanami, którzy przywiązywali go do pokrywy, wyglądał jak olbrzym. Gdyby postanowił w tej chwili stawić im opór, rozpętałoby się zapewne piekło podobne do tego, jakie przeżyliśmy podczas noworocznej nocy.

Nie stawiał oporu. Bosmanmat Johnson wymierzył mu karę z taką samą siłą i surowością, z jaką chłostał Aylmore'a - ani większą, ani mniejszą. Krew trysnęła już przy pierwszym uderzeniu. Manson nie krzyczał. Zrobił coś nieskończenie gorszego. Od pierwszego dotknięcia bicia płakał jak dziecko. Szlochał. Później jednak przeszedł niemal o własnych siłach do izby chorych, choć - jak zawsze - musiał się garbić, by nie uderzyć głową w belki. Kiedy przechodził obok mnie, prowadzony przez dwóch marynarzy, zobaczyłem strzępy skóry i ciała zwisającego z jego pleców.

Hickey, najmniejszy spośród ukaranych chłostą mężczyzn, przez całą długą chłostę nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Rany na jego wąskich plecach były jeszcze głębsze niż te, które otwierały się na ciałach jego poprzedników, ale nie krzyczał. Ani nie zemdlał. Drobnym mat uszczelniając jakby oddalił się myślami od miejsca karni, a jego gniewny wzrok, utkwoiony w deskach pokładu, patrzył zapewne na jakąś zupełnie inną rzeczywistość. Od czasu do czasu słychać było tylko, jak przed kolejnym uderzeniem wstrzymuje na chwilę oddech.

Przeszedł do prowizorycznej izby chorych o własnych siłach, odrzuciwszy pomoc odprowadzających go marynarzy.

Komandor Crozier oświadczył, że kara została wymierzona zgodnie z regulaminem, i pozwolił marynarzom rozejść się do swoich zajęć. Nim jeszcze udałem się do chorych, wyszedłem na moment na pokład, by przyjrzeć się odejściu marynarzy z Terroru. Zeszli po lodowym podejściu i ruszyli w długą drogę powrotną do swego statku, mijając w ciemnościach osmalony pas lodu, na którym doszło do pożaru. Crozier i jego główny oficer szli na samym końcu. Żaden z ponad czterdziestu ludzi nie odezwał się ani słowem, kiedy oddalali się od oświetlonego pokładu Erebusa. Na naszym statku zostało jeszcze ośmiu załogantów Terroru, którzy mieli towarzyszyć Hickeyowi i Mansonowi, gdy ci wydobrzeją już na tyle, by wrócić na swój okręt.

Zszedłem szybko pod pokład, do izby chorych, by zająć się nowymi pacjentami. Poza przemyciem i zabandażowaniem ran - bicz pozostawił na ich ciałach przerażającą liczbę skaleczeń, obrzęków i wyżłobień - nie mogłem zrobić nic, co ulżyłoby ich cierpieniom. Manson przestał szlochać, a kiedy Hickey kazał mu nagle przestać też chlipać i sapać, olbrzym natychmiast to zrobił. Hickey w milczeniu zniósł wszystkie moje zabiegi, a kiedy już skończyłem, gniewnym tonem kazał Mansonowi ubrać się i wyjść z izby chorych.

Steward Aylmore był zupełnie rozbity. Jak doniósł mi młody Henry Lloyd, pełniący teraz funkcję mojego pomocnika, od chwili odzyskania przytomności Aylmore głośno jęczał i płakał. Tak samo zachowywał się, gdy opatrywałem jego rany. Wciąż jęczał żałośnie i nie mógł chodzić o własnych siłach, kiedy kilku podoficerów - stary John Bridgens, steward mesy podoficerów, pan Hoar, steward komandora, pan Bell, sternik, i Samuel Brown, bosmanmat - przyszło pomóc mu przenieść się do własnej kajuty.

Słyszałem jego jęki i płacze, kiedy nieśli go w dół zejściówką, a potem za schody, do kajuty

stewarda mesy młodszych oficerów przy prawej burcie między pustą kajutą Williama Fowlera i moją. Wiedziałem też, że prawdopodobnie będę zmuszony słuchać płaczu Aylmore'a przez całą noc, bo cienka ściana rozdzielająca nasze kajuty z pewnością nie zatrzyma tych żalosnych dźwięków.

- Pan Aylmore dużo czyta - powiedział William Fowler ze swojej koi w izbie chorych. Steward intendentów doznał dotkliwych poparzeń i urazów podczas karnawałowego pożaru, jednak podczas żadnego z zabiegów, czy to szycia, czy usuwania skóry, ani razu jeszcze nie krzyknął. Ponieważ miał poparzone plecy i brzuch, mógł spać wyłącznie na boku, lecz nie słyszeliśmy jeszcze od niego najmniejszego słowa skargi.

- Ludzie, którzy dużo czytają, są bardziej wrażliwi - dodał Fowler.

- A gdyby ten biedak nie przeczytał tej głupiej amerykańskiej historyjki, nie zaproponowałby zbudowania tego kolorowego labiryntu - wszyscy uważaliśmy to wtedy za cudowny pomysł - i nie doszłoby do tego wszystkiego.

Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć

- Chcę tylko powiedzieć, że może czytanie to jakiś rodzaj przekleństwa

- dokończył Fowler. - Może lepiej trzymać się tylko tego, co człowiek ma w głowie.

Amen, miałem ochotę dodać, choć sam nie wiem dlaczego.

Kiedy piszę te słowa, siedzę w byłej kajucie doktora Peddiego na pokładzie HMS Terror, gdyż komandor Crozier kazał mi spędzać każdy wtorek, środę i czwartek na Terrorze, a pozostałą część tygodnia na Erebusie. Podczas mojej nieobecności Lloyd dogląda sześciu wracających do zdrowia pacjentów w izbie chorych Erebusa. Niestety, niedawno odkryłem z przerażeniem, że niemal tyłu samo chorych jest tutaj, na Terrorze.

Większość cierpi na chorobę, którą my, arktyczni lekarze, nazywamy najpierw nostalgią, a potem osłabieniem. Do pierwszych objawów tej choroby

- prócz krwawiących dziąseł, pomieszania myśli, słabości kończyn, licznych siniaków i krwawienia w okrężnicy - należy także bardzo silne pragnienie powrotu do domu. Później objawy przybierają na sile, pacjent jest coraz słabszy, traci kontakt ze światem, krwawi z odbytu, dziąseł i otwartych ran, aż w końcu nie ma sił pracować ani nawet stać.

Inna nazwa dla nostalgii i osłabienia - nazwa, której lekarze wolą nie wymieniać głośno i której ja także jeszcze nie wymieniłem - to szkorbut.

Wczoraj w swojej kajucie zaszył się także komandor Crozier, dręczony ciężką chorobą. Słyszę jego przytłumione jęki, gdyż kajuta Peddiego sąsiaduje z kabiną komandora. Przypuszczam, że komandor Crozier mocno zaciska na czymś zęby - być może na pasku skóry - by inni nie słyszeli jego jęków. Ja jednak zawsze byłem obdarzony - choć sam nie wiem, czy to dar, czy przekleństwo - doskonałym słuchem.

Wczoraj komandor przekazał dowodzenie nad statkiem i całą wyprawą porucznikowi Little 'owi - tym samym w sposób dyskretny, lecz stanowczy oddał władzę Little'owi, a nie komandorowi Fitzjamesowi - i wyjaśnił mi, że zмага się z nawrotem malańi.

To kłamstwo.

Komandor Crozier cierpi nie tylko na objawy typowe dla malarii - wiem to, bo wciąż słyszę go przez ścianę i wiem, że będę słyszał aż do piątkowego poranka, kiedy to wrócę na Erebusa.

Ze względu na słabość, której ulegał zarówno mój wuj, jak i ojciec, wiem, z jakimi demonami walczy dzisiejszej nocy nasz dowódca.

Komandor Crozier to człowiek uzależniony od mocnych alkoholi i albo zapasy tych alkoholi na obu pokładach właśnie się skończyły, albo komandor postanowił sam uwolnić się od

nich na czas tego kryzysu. Tak czy inaczej cierpi teraz okropne męki i będzie je cierpiał jeszcze przez wiele dni. Może stracić rozum. Na razie ten okręt i ta ekspedycja pozbawione są więc swego prawdziwego dowódcy. Jego jęki, rozbrzmiewające na pokładzie statku zmierzającego ku chorobie i rozpacz, budzą litość i współczucie.

Chciałbym mu jakoś pomóc. Chciałbym pomóc dziesiątkom innych cierpiących - rannych, poparzonych, chorych na szkorbut, niedożywionych, popadających w szaleństwo - na pokładzie tego statku i jego siostrzanej jednostki. Chciałbym umieć pomóc samemu sobie, bo i ja zdradzam pierwsze objawy nostalgii i osłabienia.

*Ale niewiele mogę zrobić, i jako człowiek, i jako jedyny lekarz na pokładzie obu statków.
Boże, miej nas w swej opiece.*

CROZIER

70°05' szerokości geograficznej północnej, 98°23' długości geograficznej zachodniej. 11 stycznia 1848.

To się nigdy nie skończy.

Ból się nigdy nie skończy. Wymioty nigdy się nie skończą. Nie skończą się dreszcze. Nie ustanie strach.

Crozier wije się z bólu na swojej koi i chce umrzeć.

Podczas krótkich przeblysków świadomości żałuje najrozsądniejszej rzeczy, jaką zrobił przed powrotem do swoich demonów; oddał swój pistolet porucznikowi Little'owi i przykazał, by nie oddawał mu go pod żadnym pozorem, aż on, komandor Crozier, wyjdzie w pełnym umundurowaniu na pokład i grzecznie o niego poprosi.

Crozier oddałby teraz wszystko za tę naładowaną broń. Ten poziom bólu po prostu jest nie do zniesienia. Te myśli są nie do zniesienia.

Jego babka ze strony nieodżałowanego zmarłego ojca, Memo Moira, była wyrzutkiem, zapomnianym i niewymienianym członkiem rodziny Crozierów. Jako osiemdziesięciolatka, kiedy Crozier nie był jeszcze nastolatkiem, Memo mieszkała dwie wsie dalej - dla małego chłopca była to odległość ogromna, niewyobrażalna, nie do pokonania - a rodzina jego matki nigdy nie zapraszała jej na rodzinne uroczystości ani nawet nie wspominała o jej istnieniu.

Była papistką. Była wiedźmą.

Crozier zaczął wymykać się do jej wioski, kiedy miał dziesięć lat. Po roku chodził już ze staruszką do tego dziwnego papistycznego kościoła. Jego matka i ciotka umarłyby, gdyby się o tym dowiedziały. Jedyna właściwa, prezbiteriańska część jego rodziny wyrzekłaby się go, wygnała i darzyła taką pogardą, jaką Admiralicja i Rada Arktyczna darzyły go przez wszystkie te lata tylko dlatego, że był Irlandczykiem. I plebejuszem.

Memo Moira uważała go za kogoś wyjątkowego. Powiedziała mu, że ma dar jasnowidzenia.

Ta myśl wcale nie przeraziła młodego Francisza Rawdona Moiry Croziera. Uwielbiał ciemność i misterium katolickiej mszy - księdza krocącego dumnie niczym czarnowron i wymawiającego magiczne formuły w martwym języku, magię eucharystii przywracającej zmarłych do życia, by wierni mogli spożyć swego Pana i stać się Nim, zapach kadzidła i mistyczne śpiewy. Kiedyś, gdy miał dwanaście lat, na krótko przedtem, nim uciekł na morze, powiedział Memo, że chciałby zostać księdzem. Staruszka roześmiała się tym swoim dzikim, chrapliwym śmiechem i powiedziała mu, żeby wybił sobie tę bzdurę z głowy.

- Księża są równie pospolici i bezużyteczni jak irlandzcy pijacy. Lepiej wykorzystaj swój dar, Francisie - mówiła. - Wykorzystaj moc jasnowidzenia, która jest w naszej rodzinie od wielu pokoleń. Ona pomoże ci dotrzeć do takich miejsc i zobaczyć takie rzeczy, jakich nie widział jeszcze żaden człowiek na tej smutnej ziemi.

Młody Francis nie wierzył w dar jasnowidzenia. Mniej więcej w tym samym czasie zrozumiał też, że nie wierzy również w Boga. Został marynarzem. Wierzył we wszystko, czego się nauczył i co widział na morzu, a niektóre z tych lekcji i widoków były naprawdę niezwykłe.

Crozier unosi się na grzbietach bólu, wieńczących fale nudności. Budzi się tylko po to, by wymiotować do wiadra, które jego steward, Jopson, wymienia co godzinę. Ból przenika do samego środka jego jestestwa, gdzie, jak sądzi, mieszkała jego dusza, dopóki nie odpłynęła stamtąd niesiona morzem whisky, którą wlewał w siebie przez dziesięciolecia. Przez wszystkie te dni i noce zimnego

potu na zamrażniętych prześcieradłach wie, że oddałby swój stopień, swoje honory, swoją matkę, swoje siostry, nazwisko swego ojca i pamięć o samej Memo Moirze za jedną szklaneczkę whisky.

Okręt jęczy, gdy nieustępliwy lód ściska go i kruszy. Crozier jęczy, kiedy nieustępliwe demony gnębią go i rozbijają na drobne kawałki za pomocą dreszczy, gorączki, mdłości i żalu. Trzyma w ustach sześciocalowy kawałek starego paska i by nie jęczeć głośno, zaciska na nim zęby. Jęczy i tak.

Wyobraża sobie to wszystko. Widzi to wszystko.

Lady Jane Franklin w swoim żywiole. Teraz, gdy od ponad dwóch lat jej mąż nie daje znaku życia, jest wreszcie w swoim żywiole. Niezłomna lady Franklin. Wdowa lady Franklin, Która Nie Godzi się na Bycie Wdową. Lady Franklin, patronka i święta Arktyki, która zabiła jej męża... Lady Franklin, która nigdy nie pogodzi się z tym faktem.

Crozier widzi ją tak wyraźnie, jakby rzeczywiście miał dar jasnowidzenia. Lady Franklin nigdy nie wyglądała piękniej niż teraz, gdy jest zdeterminowana, gdy nie godzi się na żałobę, gdy wierzy do końca, że jej mąż żyje i że trzeba odszukać i uratować jego wyprawę.

Minęło ponad dwa i pół roku. Królewska Marynarka Wojenna wie, że sir John zaopatrzył *Erebusa* i *Terror* w zapasy na wiele lat, ale spodziewano się, że wypłynie za Alaskę latem 1846 roku, a już z pewnością nie później niż w sierpniu 1847.

Lady Jane na pewno nakłania senną marynarkę i parlament do czynu. Crozier widzi, jak pisze listy do Admiralicji, do Rady Arktycznej, do przyjaciół i byłych zalotników w parlamencie, listy do królowej i oczywiście do swego zmarłego męża, pisze je codziennie, swym idealnym, rzeczowym charakterem pisma, zapewnia swego zmarłego męża, że wie, iż jej ukochany żyje, że nie może się już doczekać ponownego z nim spotkania. Crozier widzi, jak lady Jane opowiada o tym całemu światu. Będzie mu wysyłać całe sterty i pliki listów, oddając je na pokład statków ratunkowych... statków marynarki wojennej, oczywiście, ale zapewne także statków prywatnych, wynajętych za pieniądze samej lady Jane lub jej zatroskanych i bogatych przyjaciół.

Crozier, opuściwszy na moment świat wizji, próbuje usiąść prosto na swojej koi i uśmiechnąć się. Nieustannie wstrząsają nim dreszcze. Wymiotuje do wypełnionego już niemal po brzegi wiadra. Opada z powrotem na przepoconą, śmierdzącą żółcią poduszkę i zamyka oczy, by ponownie oddać się wizjom.

Kogo wyślą na ratunek Erebusowi i *Terrorowi*? Kogo już wysłali?

Crozier wie, że sir John Ross będzie się rwał do poprowadzenia ekspedycji ratunkowej, widzi jednak, że lady Jane Franklin odrzuci jego pomoc - uważa go za prostaka - i wybierze jego bratanka, Jamesa Clarka Rossa, z którym Crozier podróżował po morzach wokół Antarktydy.

Młodszy Ross obiecał swojej młodej żonie, że nigdy już nie wyruszy na wyprawę badawczą. Crozier widzi jednak, że nie mógł odmówić prośbie lady Franklin. Ross wyruszy dwoma statkami. Crozier widzi, jak wypływają najbliższego lata, 1848 roku, widzi dwa statki płynące na północ od Wyspy Baffina, na zachód przez Cieśninę Lancastera, gdzie trzy lata wcześniej płynęły także *Erebus* i *Terror* - widzi niemal nazwy na dziobach okrętów Rossa - ale sir James napotka twardy jak skała lód okrywający morze za Cieśniną Księcia Regenta, a może za wyspą Devon, ten sam lód, który więzi teraz statki Croziera. Następnego lata lód nadal będzie blokował cieśniny i przesmyki, przez które prowadzili ich na południe lodomistrzowie Reid i Blanky. Sir James Clark Ross nigdy nie zbliży się do nich na odległość mniejszą niż trzysta mil.

Crozier widzi, jak zawracają do Anglii zimną, wczesną jesienią 1848 roku.

Szlocha i jęczy, zaciska mocniej zęby na pasku skóry. Mróz przenika jego kości. Ogień pali jego ciało. Po jego skórze chodzą miliony mrówek.

Wizje pokazują mu, że tego samego roku pańskiego 1848 na ratunek ruszą inne statki, inne ekspedycje, wypłyną z portów mniej więcej w tym samym czasie co okręty Rossa, może nawet wcześniej. Crozier wie, że królewska marynarka wojenna działa powoli, że to morski leniwiec, ale kiedy już zmusi się do działania, zwykle przesadza. Zupełny brak umiaru po przedłużającej się w nieskończoność bierności, tak właśnie działała marynarka wojenna, w której komandor służył już od czterdziestu lat.

W swym obolałym umyśle Crozier widzi co najmniej jeszcze jedną ekspedycję marynarki wojennej wypływającą na ratunek okrętom Franklina tego samego lata, a potem także trzecią, która ma opłynąć przylądek Horn i spotkać się z pozostałymi ekspedycjami w pobliżu Cieśniny Beringa, przeprowadziwszy poszukiwania w zachodniej części Arktyki, do której *Erebus* i *Terror* nie zbliżyły się nawet na tysiąc mil. Takie same, spóźnione i ociążałe działania podjęte będą także w 1849 roku i później.

A zaczyna się dopiero drugi tydzień 1848 roku. Crozier wątpi, czy jego ludzie dożyją następnego lata.

Czy na ratunek ruszy także wyprawa lądowa, która powędruje wzdłuż rzeki Mackenzie do arktycznego wybrzeża, a potem na wschód do Ziemi Wollaston i Ziemi Wiktorii, by szukać ich okrętów gdzieś wzdłuż legendarnego Przejścia Północno-Zachodniego? Crozier jest pewien, że taka próba zostanie podjęta. Szanse, że wyprawa lądowa znajdzie statki uwięzione w lodzie dwadzieścia pięć mil na północny zachód od Ziemi Króla Williama, są zerowe. Uczestnicy takiej wyprawy nie wiedzieliby nawet, że Ziemia Króla Williama jest wyspą.

Czy pierwszy lord Admiralicji ogłosi w Izbie Gmin, że wyznacza nagrodę za uratowanie sir Johna i jego ludzi? Crozier sądzi, że tak właśnie będzie. Ale ile? Tysiąc funtów? Pięć tysięcy funtów? Dziesięć tysięcy? Crozier zaciska mocno powieki i widzi wyraźnie, jakby na dokumencie, który ktoś podsuwa mu pod oczy, sumę dwudziestu tysięcy funtów oferowaną temu, kto „może w znaczący sposób przyczynić się do uratowania sir Johna Franklina i jego eskadry”.

Crozier ponownie wybucha śmiechem, co prowokuje tylko kolejną porcję wymiotów. Drży z zimna i bólu. Zewsząd dochodzą go jęki statku ściskanego lodem. Komandor nie odróżnia już tych odgłosów od własnych jęków.

Wizje wracają. Widzi osiem statków - sześć brytyjskich, dwa amerykańskie - rozstawionych w kilkumilowych odstępach, na kotwiczowiskach w pobliżu czegoś, co wygląda jak wyspa Devon, niedaleko Beechey, a może jak Wyspa Cornwallisa. Jest dzień, późne arktyczne lato, może koniec sierpnia, z pewnością zostało już niewiele czasu do nadejścia lodu, który może uwięzić ich wszystkich. Crozier ma wrażenie, że wizja ta urzeczywistni się za dwa lub trzy lata. Dlaczego osiem statków wysłanych na ratunek zgromadziłoby się na tak małej przestrzeni, zamiast prowadzić poszukiwania na obszarze tysięcy mil morskich, pozostaje dla Croziera niezrozumiałe. To po prostu objaw szaleństwa, pijackie zwidy.

Obraz przenosi się z miejsca na miejsce, najpierw Crozier widzi mały szkuner i stateczek wielkości jachtu, o wiele za mały na taką wyprawę, potem zaś stuczterdziestotonowe i osiemdziesięciotonowe statki amerykańskie, następnie zaś dziewięćdziesięcotonowy angielski statek pilotowy przystosowany naprędce do podróży w obszary arktyczne. Jest tam też kilka zwykłych okrętów brytyjskiej marynarki wojennej i krążowników. Obolałe oczy umysłu Croziera widzą nawet nazwy tych okrętów - *Advance* i *Rescue* to statki amerykańskie, *Prince Albert*, tak nazywa się statek pilotowy. Na czele brytyjskiej eskadry stoi *Lady Franklin*. Crozier widzi także dwa statki, które kojarzy ze starym Johnem Rossem - mały szkuner *Felix* i zupełnie nieprzystający do tego miejsca jacht *Mary*. Na samym końcu stoją dwa okręty brytyjskiej marynarki wojennej, *Assistance*! *Intrepid*.

Crozier patrzy teraz na wszystkie statki z góry, jakby zamienił się w mewę, i widzi, że wszystkie zgromadzone są na przestrzeni czterdziestu mil - cztery mniejsze brytyjskie jednostki przy wyspie Griffith nad Cieśniną Barrowa, cztery pozostałe w zatoce Assistance przy zachodnim krańcu Wyspy Cornwallisa, a dwa okręty amerykańskie nieco dalej na północ, tuż za wschodnim łukiem Wyspy Cornwallisa, po drugiej stronie Cieśniny Wellingtona, niemal dokładnie naprzeciwko zatoki przy wyspie Beechey, gdzie wyprawa sir Johna spędziła pierwszą zimę. Żaden ze statków nie zbliżył się nawet na dwieście pięćdziesiąt mil do miejsca, w którym tkwią teraz *Erebus* i *Terror*.

Minutę później wizja ukazuje Crozierowi sześć spośród tych statków zacumowanych w odległości ćwierć mili jeden od drugiego, tuż przy brzegu jakiejs małej wyspy.

Crozier widzi ludzi biegnących po zamrzniętym żwirze pod czarną ścianą urwiska. Są podekscytowani. Niemal słyszy ich głosy w mroźnym powietrzu.

To wyspa Beechey, teraz jest już tego pewien. Znaleźli drewniane płyty nagrobne i groby palacza Johna Torringtona, marynarza Johna Hartnella i szeregowca Williama Braine'a.

Crozier wie, że bez względu na to, w jak odległej przyszłości zostanie dokonane to odkrycie, nie przyniesie ono żadnego pożytku ani jemu, ani nikomu z załogi *Terroru* i *Erebusa*. Sir John opuścił wyspę Beechey w bezmyślnym pośpiechu, wyruszając w drogę pierwszego dnia, gdy tylko to było możliwe. Po dziewięciomiesięcznym pobycie na tej wyspie ekspedycja Franklina nie zostawiła nawet wiadomości na temat przewidywanego kierunku ich dalszej podróży.

Crozier rozumiał wówczas, że sir John nie uważał za konieczne informować Admiralicji o tym, że wypełnia jej rozkazy i płynie na południe. Sir John Franklin zawsze wypełniał rozkazy. Sir John zakładał, że Admiralicja uzna, iż tym razem postąpił podobnie. Jednak po dziewięciomiesięcznym pobycie na wyspie - i po zbudowaniu zwykłego kopca, a nawet kopca ustawionego z wypełnionych żwirem pustych puszek, co miało stanowić swego rodzaju żart - Franklin odpłynął, nie pozostawiając na niej żadnej wiadomości, co było sprzeczne z rozkazami, które otrzymał.

Admiralicja i Służba Badawcza wyposażyły ekspedycję Franklina w dwieście szczelnie zamykanych mosiężnych cylindrów, które miały znaczyć drogę, jaką posuwała się wyprawa, i informować o jej dalszych planach i posunięciach. Sir John zużył... jeden taki cylinder, zostawiając bezużyteczną wiadomość na Ziemi Króla Williama, dwadzieścia pięć mil na południowy wschód od ich aktualnej pozycji.

Na wyspie Beechey, nic.

Na wyspie Devon, którą minęli i zbadali, nic.

Na wyspie Griffith, gdzie szukali zatoki, nic.

Na Wyspie Cornwallisa, którą opłynęli, nic.

Na wyspie Somerset, na Wyspie Księcia Walii i na Wyspie Królowej Wiktorii, wzdłuż których płynęli latem 1846 roku, nic.

Crozier widzi teraz w swojej wizji, jak ratownicy na sześciu statkach - sami bliscy zamrznięcia i uwięzienia w lodzie - spoglądają na północ, na fragmenty otwartego morza sięgające w głąb Cieśniny Wellingtona, ku biegunowi północnemu. Na wyspie Beechey nie znaleźli żadnych wskazówek. Crozier widzi też z góry, że cieśnina Peel - którą *Erebus* i *Terror* popłynęły na południe półtora roku temu, podczas krótkiego arktycznego lata - jest w tej bliżej nieokreślonej przyszłości pokryta grubą warstwą lodu sięgającego po sam horyzont.

Nigdy nawet nie przyjdzie im do głowy, że Franklin mógłby popłynąć w tę stronę... że mógłby wykonać rozkazy. Ich uwaga - teraz i w najbliższych latach, bo Crozier widzi, że ich okręty stoją zamrożone w Cieśninie Lancastera - skierowana będzie na północ. Rozkazy sir Johna Franklina

mówiły też jasno, że jeśli nie będzie mógł płynąć na południe, powinien skręcić na północ i pożeglować w kierunku Otwartego Morza Polarne - choć nikt tak naprawdę nie wiedział, czy takie morze w ogóle istnieje.

Crozier wie, że dowódcy i załogi tych statków doszli do wniosku, iż Franklin popłynął na północ - czyli w kierunku przeciwnym do tego, który wybrał w rzeczywistości.

Budzą go własne jęki. W kajucie jest jasno, jednak jego oczy nie mogą teraz znieść światła, próbuje więc zrozumieć, co się dzieje, tylko dzięki słuchowi i dotykowi. Dwaj ludzie - jego steward Jopson i lekarz Goodsir - ściągają z niego brudną i przepoconą koszulę nocną, obmywają go cudownie ciepłą wodą i ubierają w czystą koszulę i skarpety. Jeden z nich próbuje karmić go zupą. Crozier wymiotuje, ale zawartość wiadra jest zamrożona na kamień - słyszy, jak mężczyźni wycierają podłogę. Wlewają weń trochę wody, wreszcie Crozier opada bezwładnie na zimne posłanie. Jeden z mężczyzn okrywa go ciepłym kocem - ciepłym, suchym, niezamrożonym kocem - a Crozier ma ochotę płakać z wdzięczności. Chce także coś powiedzieć, ale wpada z powrotem w wir wizji i nie potrafi znaleźć ani wypowiedzieć odpowiednich słów, nim znów traci kontakt z rzeczywistością.

Widzi chłopca o czarnych oczach i zielonkawej skórze skulonego w pozycji embrionalnej pod ceglana ścianą o kolorze uryny. Crozier wie, że ten chłopiec to epileptyk zamknięty w zakładzie dla obłąkanych. Chłopiec leży w bezruchu, mruga tylko raz za razem. Ten kształt to ja.

Gdy tylko ta myśl pojawia się w jego głowie, Crozier wie, że to nie jego lęk. To koszmar jakiegoś innego człowieka. Na moment znalazł się w umyśle kogoś innego.

Wchodzi w niego Sophia Cracroft. Crozier jęczy i zaciska mocniej zęby na pasku.

Widzi ją nagą, ocierającą się o niego w Stawie Dziobaka. Widzi ją na kamiennej ławce obok domu gubernatora, jej chłodny wzrok i lekceważącą minę. Widzi ją w niebieskiej jedwabnej sukience, gdy stoi i macha - nie do niego - w doku w Greenhithe, tego majowego dnia, kiedy *Erebus* i *Terror* wyruszyły w podróż. Wreszcie widzi ją taką, jakiej nie widział jej jeszcze nigdy - Sophię Cracroft z przyszłości, dumną i pogrążoną w żalobie, w głębi duszy szczęśliwą z powodu owej żaloby, odnowioną i odrodzoną jako pomocnik, towarzysz i sekretarz swej ciotki lady Jane Franklin. Podróżuje z nią wszędzie - prasa nazywa je dwiema niezłomnymi kobietami. Sophia, podobnie jak jej ciotka, jest poważna i pełna nadziei, wojownicza, kobieca i ekscentryczna, pochłonięta namawianiem świata do ratowania sir Johna. Nigdy nie wspomni o Francisie Crozierze, nawet w obecności ich wspólnych znajomych. Crozier widzi od razu, że Sophia doskonale czuje się w tej roli: odważna, władcza, przez całe dziesięciolecia umiejętnie odgrywa kokietkę, starannie jednak unikając prawdziwej miłości i zobowiązań. Nigdy nie wyjdzie za mąż. Będzie podróżować po świecie z lady Jane, która nigdy oficjalnie nie straci nadziei na odnalezienie sir Johna - nawet długo po tym, jak wszyscy już tę nadzieję porzucą - i która wciąż będzie cieszyć się wolnością, współczuciem, władzą i pozycją, jaką da jej ów stan niepełnego wdowieństwa.

Crozier próbuje wymiotować, lecz jego żołądek jest już pusty od wielu godzin, albo i dni. Może tylko zwinąć się w kłębek i próbować przetrzymać jakoś skurcze.

Jest w mrocznym pokoju, w ciasnym, wymyślnie umeblowanym i wyposażonym wiejskim domu w Hydesdale, w stanie Nowy Jork, jakieś dwadzieścia mil na zachód od Rochester. Crozier nigdy nie słyszał o Hydesdale ani o Rochester. Wie, że to wiosna tego roku, 1848, przyszłość odległa zaledwie o kilka tygodni. Przez szparę między zasuniętymi zasłonami widać błyskawice. Potężny grzmot trzęsie całym domem.

- Chodź, mamó! - woła jedna z dwóch dziewczynek siedzących przy stole. - Przekonasz się, że to bardzo pouczające.

- Przekonam się, że to przerażające - odpowiada ich mama, nijaka kobieta w średnim wieku, z włosami spiętymi w kok i wiecznie zmarszczonym czołem. - Nie wiem, dlaczego dałam się wam na to namówić.

Crozier nie może się nadziwić brzydocie amerykańskiej angielszczyzny, którą posługuje się farmerka. Większość Amerykanów, jakich poznał do tej pory, to żeglarze, komandorzy amerykańskiej marynarki wojennej lub wielorybnicy.

- Pospiesz się, mamó! - Dziewczynka zwracająca się tak władczy tonem do swej matki to piętnastoletnia Margaret Fox. Jest skromnie ubrana i atrakcyjna w kokieterijny i niezbyt inteligentny sposób, typowy dla tych nielicznych Amerykanek, które miał kiedyś okazję poznać. Druga dziewczynka to jedenastoletnia siostra Margaret, Catherine. Młodsza dziewczynka, ledwie widoczna w słabym blasku świecy, bardziej przypomina swoją matkę; także ma ciemne brwi, włosy ściągnięte w kok i zmarszczone czoło.

W szparze między zasłonami znów rozpala się na moment błyskawica.

Matka i dwie córki ustawiają się wokół okrągłego dębowego stołu i chwytają za ręce. Crozier zauważa, że papierowa serweta na stole położyła ze starości. Wszystkie trzy kobiety mają zamknięte oczy. Grzmot trzęsie szybami w oknach.

- Jest tam kto? - pyta piętnastoletnia Margaret.

Przerażająco głośne stuknięcie. Nie grzmot, ale stuknięcie, jakby ktoś uderzył w blat stołu młotkiem.

- O Boże! - krzyczy matka, chcąc podnieść ręce i zakryć nimi usta w geście przerażenia. Dziewczynki trzymają mocno jej dłonie, nie pozwalając jej przerwać kręgu. Stół kołysze się lekko.

- Jesteś dziś naszym przewodnikiem? - pyta Margaret.

Głośne *STUK*.

- Przybyłeś, by nas skrzywdzić? - pyta Katy. Dwa jeszcze głośniejsze stuknięcia.

- Widzisz, mamó? - szepcze Maggie. Zamknawszy ponownie oczy, pyta teatralnym szeptem: - Przewodniku, czy jesteś tym miłym panem Splitfootem, który komunikował się z nami wczoraj wieczorem?

STUK.

- Dziękujemy, że przekonał nas pan wczoraj wieczorem, że naprawdę pan istnieje, panie Splitfoot - kontynuuje Maggie, szepcząc niemal tak, jakby pogrążyła się w jakimś transie. - Dziękujemy, że powiedział pan mamie wszystko o jej dzieciach, podał nasz wiek i przypomniał o szóstym dziecku, które zmarło. Odpowiesz dziś na nasze pytania?

STUK.

- Gdzie jest ekspedycja Franklina? - pyta mała Katy.

STUK STUK STUK stuk stuk stuk stuk STUK STUK stuk STUK STUK... stukot trwa przez jakieś pół minuty.

- Czy to jest ten duchowy telegraf, o którym mówiłyście? - szepcze ich matka.

Maggie ucisza ją. Stukot ustaje. Crozier widzi nagle, jakby jego wzrok mógł przenikać przez wełnę i bawełnę, że obie dziewczynki mają bardzo giętke kończyny i że na zmianę strzelają palcami u nóg, pocierając paluchem o drugi z rzędu palec. Powstały w ten sposób dźwięk jest zaskakująco głośny jak na tak małe palce.

- Pan Splitfoot mówi, że sir John Franklin, o którym tyle teraz piszą w gazetach, jest cały i zdrowy. Jego ludzie też są cali i zdrowi, ale bardzo wystraszeni. Wszyscy siedzą na swoich statkach, które utknęły w lodzie w pobliżu pewnej wyspy, pięć dni żeglugi na południe od zimnego miejsca, gdzie zatrzymali się na pierwszą zimę - kontynuuje Maggie.

- Jest tam bardzo ciemno - dodaje Katy. Znow slychać głośnie stukanie.

- Sir John mówi swojej żonie, Jane, żeby się nie martwiła - tłumaczy serię dźwięków Maggie.

- Mówi, że wkrótce znów się zobaczą, jeśli nie na tym, to na drugim świecie.

- O Boże! - powtarza pani Fox. - Musimy wezwać tu Mary Redfield i pana Redfielda, i Leah, oczywiście, i państwa Dueslerów, i panią Hyde, i państwa Jewellów...

- Pst! - syczy Katy.

STUK STUK STUK STUK stukstukstukstukstuk STUK.

- Przewodnik nie chce, żebyś się odzywała, kiedy on nas prowadzi - szepcze Katy.

Crozier jęczy i wbija zęby w pasek. Skurcze, które rozpoczęły się w jego żołądku, teraz ogarniają całe ciało. W jednej chwili trzęsie się z zimna, by w następnej zrzucić z siebie koce.

Widzi mężczyznę ubranego jak Eskimos - w futrzaną kurtkę, wysokie futrzane buty, kaptur podobny do tego, jaki nosi lady Cisz. Mężczyzna stoi na drewnianej scenie, przed światłami rampy. Jest bardzo gorąco. Za plecami mężczyzny widać malowany prospekt przedstawiający lód, góry lodowe, zimowe niebo. Powierzchnię sceny przykrywa sztuczny śnieg. Na scenie leżą także cztery psy podobne do tych, których Eskimosi używają do ciągnięcia sań. Psy są zgrzane, dyszą ciężko.

Brodaty mężczyzna w kurtce przemawia z ośnieżonego podwyższenia.

- Chciałbym więc przemówić dziś do waszych uczuć - mówi mężczyzna. Jego mocny angielski akcent wydaje się Crozierowi równie okropny jak angielszczyzna nastoletnich dziewczynek.

- Popłynąłem do Anglii, by porozmawiać osobiście z lady Franklin. Życzy mi powodzenia podczas naszej kolejnej ekspedycji - oczywiście jeśli uda nam się zebrać tutaj, w Filadelfii, oraz w Nowym Jorku i Bostonie dość pieniędzy, by taką ekspedycję przygotować - i mówi, że byłaby zaszczycona, gdyby to właśnie synowie Stanów Zjednoczonych sprowadzili do domu jej męża. Proszę was więc dzisiaj o hojność nie ze względu na siebie, lecz dla dobra ludzkości. Proszę o to w imieniu lady Franklin oraz jej zaginionego męża, pozostając w nadziei, że ta wyprawa przyniesie chwałę Stanom Zjednoczonym Ameryki...

Crozier znów widzi tego samego mężczyznę. Brodaty jegomość jest nagi, leży na łóżku w Union Hotel w Nowym Jorku, z bardzo młodą nagą kobietą. Jest gorąco, więc oboje odrzucili kołdrę. W pobliżu nie widać psów pociągowych.

- Wiele mi pewnie można zarzucić - mówi mężczyzna ściszonego głosem, bo okno pokoju otwarte jest na oścież - ale przynajmniej cię kochałem. Gdybyś nawet była cesarzową, droga Maggie, a nie małą dziewczynką zajmującą się dziwną i zagadkową profesją, zachowałbym się tak samo.

Crozier uświadamia sobie, że młoda naga kobieta to Maggie Fox, tyle że kilka lat starsza. Wciąż jest atrakcyjna w ten swój kokieterijny, amerykański sposób, nawet kiedy nie ma na sobie ubrań.

Maggie odpowiada głosem znacznie bardziej gardłowym niż ten, którym zwracała się do swej matki jako nastolatka.

- Doktorze Kane, wie pan, że pana kocham.

Mężczyzna kręci głową. Podniósł właśnie fajkę ze stolika nocnego, a teraz wyciąga lewą rękę spod ciała dziewczyny, by nabić fajkę tytoniem i zapalić.

- Maggie, moja droga, słucham tych słów wypływających z twoich ślicznych, kłamliwych ust i chciałbym im wierzyć. Ale nie możesz wznieść się ponad to, kim jesteś. Masz cechy, które pozwolą ci wiele w życiu osiągnąć, Maggie... Jesteś urocza i umiesz się zachować, a gdybyś otrzymała inne wykształcenie, byłabyś niewinna i prostoduszna. Nie jesteś jednak warta tego, bym darzył cię jakimś stałym uczuciem.

- Nie jestem warta - powtarza Maggie. Oczy, chyba najładniejszy element jej urody, prócz

krągłych piersi, które jednak zniknęły teraz z pola widzenia Croziera, napęlniają się łzami.

- Co innego jest moim przeznaczeniem, moje dziecko - mówi doktor Kane. - Pamiętaj, że ja realizuję własne cele, tak jak ty i twoje siostry realizujecie swoje. Jestem oddany swemu powołaniu, tak jak i ty swojemu, biedne dziecko, jeśli takie teatralne spirytualistyczne bzdury można w ogóle nazwać powołaniem. Możesz więc tylko wspominać, jak wspomina się sen, że doktor Kane z Arktycznych Mórz kochał Maggie Fox Wybrankę Duchów.

Crozier budzi się w ciemności. Nie wie, gdzie jest ani która godzina. W jego kajucie panuje mrok. Wydaje się, że na całym statku jest ciemno. Deski poszycia jęczą - a może to tylko echo jego własnych jęków z ostatnich godzin i dni? Jest bardzo zimno. Ciepły koc, który położył na nim Jopson lub Goodsir, jest teraz równie wilgotny i zimny jak cała pościel. Lód jęczy wokół okrętu. Okręt odpowiada własnymi jękami ściskanego bezlitośnie drewna i żelaza.

Crozier chce usiąść prosto, przekonuje się jednak szybko, że jest na to za słaby. Ledwie porusza rękami. Znowu zanurza się w odmęcie bólu i wizji.

Twarze ludzi, których poznał lub tylko widział w Służbie Badawczej. Robert McClure, jeden z najbardziej przebiegłych i ambitnych ludzi, jakich Francis kiedykolwiek znał - kolejny Irlandczyk, który chciałby coś osiągnąć w angielskim świecie. McClure stoi na pokładzie statku uwięzionego w lodzie. Dokoła wznoszą się urwiska ze skał i lodu, niektóre mają nawet sześćset lub siedemset stóp wysokości. Crozier nigdy nie widział czegoś podobnego.

Stary sir John Ross stoi na rufie małego statku - właściwie jachtu - który płynie na wschód. Do domu.

Jest i James Clark Ross, starszy, grubszy i posępniejszy od tego, jakiego zapamiętał Crozier. Promienie wschodzącego słońca przenikają przez oblodzony kliwer, gdy statek Rossa opuszcza lód i wypływa na otwarte morze. Wraca do domu.

Oto Francis Leopold M'Clintock - Crozier dzięki swemu darowi wie, że to człowiek, który szukał Franklina pod komendą Jamesa Rossa, a kilka lat później powróci z własną wyprawą. Ile lat później? W jak odległej przyszłości?

Crozier widzi jakieś obrazy przepływające przed oczami jego umysłu, nie otrzymuje jednak odpowiedzi na swoje pytania.

Znowu pojawia się M'Clintock, tym razem ciągnie sanie, porusza się przy tym znacznie szybciej i sprawniej niż porucznik Gore lub którykolwiek inny spośród ludzi sir Johna i Croziera.

M'Clintock stoi przy kopcu i czyta wiadomość, którą wyjął przed momentem z mosiężnego cylindra. Crozier zastanawia się, czy jest to wiadomość, którą siedem miesięcy temu Gore zostawił na Ziemi Króla Williama. Zamarznięty żwir i szare niebo za plecami M'Clintocka wyglądają tak samo.

Nagle obraz przenosi się gdzie indziej, M'Clintock stoi sam na lodzie i żwirze, w oddali widać jego ludzi, którzy zostali kilkaset jardów z tyłu. M'Clintock patrzy na dużą łódź przywiązaną do wielkich sań z dębowego drewna i żelaza.

Sanie wyglądają jak dzieło okrętowego cieśli Croziera, pana Honeya. Zostały zbudowane tak, jakby miały przetrwać cały wiek. Każde łączenie zostało starannie dopracowane. Sanie są potężne - muszą ważyć co najmniej sześćset pięćdziesiąt funtów. Na saniach leży łódź, która waży kolejne osiemset funtów.

Crozier rozpoznaje łódź. To dwudziestoosmiostopowa szalupa z *Terroru*. Widzi, że została przygotowana do podróży po rzece. Starannie zwinięte żagle pokrywa gruba warstwa lodu.

Crozier unosi się nieco, jakby wspiał się na kamień, i zagląda do wnętrza łodzi. Widzi dwa szkielety. Zęby obu czaszek lśnią, jakby uśmiechały się drwiąco do M'Clintocka i Croziera. Jeden ze

szkieletów to właściwie garść pogryzionych kości, rzuconych niedbale na stertę na dziobie i przykrytych częściowo śniegiem.

Drugi szkielet jest nietknięty, wciąż ma na sobie strzępy czegoś, co wygląda jak resztki oficerskiego płaszcza i wierzchniego okrycia. Na czaszce tkwią pozostałości czapki. Ten szkielet siedzi na rufie, na ławce wioślarza, i wyciąga kościste ręce ku dwóm strzelbom opartym o burtę. U stóp szkieletu leżą sterty wełnianych koców i ubrań oraz przysypana częściowo śniegiem torba z grubego płótna, wypełniona nabojami do strzelby. Na dnie łodzi, między nogami szkieletu leży pięć złotych zegarków i coś, co wygląda jak trzydzieści do czterdziestu oddzielnie zawiniętych kawałków czekolady. W pobliżu leży także dwadzieścia sześć srebrnych sztućców - Crozier i M'Clintock widzą na nich znaki i inicjały sir Johna Franklina, komandora Fitzjamesa, sześciu innych oficerów i samego Croziera. Spod śniegu i lodu wystają fragmenty podobnie oznaczonych naczyń i dwóch srebrnych tac.

Na całej długości dna między dwoma szkieletami leżą przeróżne przedmioty przykryte częściowo warstwą zamrożonego śniegu: dwie rolki blachy, płócienne nakrycie na łódź, osiem par butów, dwie piły, cztery pilniki, sterta gwoździ, dwa noże i torba z nabojami, którą Crozier zauważył już wcześniej.

Crozier widzi także wiosła, zwinięte żagle oraz kłębki szpagatu leżące obok szkieletu w ubraniach. Obok częściowo pożąrtego ciała na dziobie dostrzega stertę ręczników, kostki mydła, kilka grzebieni i szczoteczkę do zębów, parę ręcznie szytych pantofli, które niemal dotykają białych stóp szkieletu, oraz sześć książek - pięć egzemplarzy Biblii i Pastora z Wakefield, który teraz stoi na półce w Wielkiej Kajucie *Terroru*.

Crozier chce zamknąć oczy, ale nie może. Chce uciec przed tą wizją - przed wszystkimi wizjami - ale nie ma nad nimi żadnej władzy.

Nagle twarz Francisa Leopolda M'Clintocka jakby rozmywa się, roztopia i zamienia w twarz jakiegoś młodszego mężczyzny, którego Francis Crozier nie zna. Poza tym obraz się nie zmienia. Młody mężczyzna - niejaki porucznik William Hobson, którego Crozier już zna, nawet o tym nie wiedząc - stoi w tym samym miejscu co przed chwilą M'Clintock i zagląda do łodzi z tym samym niedowierzaniem, które przed chwilą Crozier widział na twarzy M'Clintocka.

Nieoczekiwanie obraz łodzi i szkieletów znika, a Crozier leży w lodowej jaskini obok nagiej Sophii Cracroft.

Nie, to nie jest Sophia. Crozier mruga oczami, czując, jak dar jasnowidzenia Memo Moiry przenika jego obolały umysł niczym ognista pięść, i widzi po chwili, że leży zupełnie nagi obok nagiej lady Ciszy. Okrywają ich futra rozłożone na śniegu lub lodowej półce. Wnętrze jaskini rozświetla płomień lampki. Kopulasty sufit ułożony jest z lodowych bloków. Piersi Ciszy są brązowe, jej włosy długie i czarne. Leży na futrach, podpierając głowę ręką i patrzy na Croziera z powagą.

Śniesz moje sny?- pyta, nie poruszając wargami ani nie otwierając ust. Nie mówi po angielsku. - Czy to ja śnię twoje?

Crozier czuje ją we wnętrzu swego umysłu i serca. To niesamowite uczucie, zupełnie jak łyk najlepszej whisky, jaką pił w życiu.

I wtedy zaczyna się najgorszy koszmar.

Ten nieznajomy, połączenie M'Clintocka i kogoś o nazwisku Hobson, nie zagląda do łodzi z dwoma szkieletami, ale patrzy, jak młody Francis Rawdon Moira Crozier potajemnie uczestniczy w papieskiej mszy wraz z papistyczną wiedźmą, swoją babką Memo Moirą.

To była jedna z największych tajemnic w życiu Croziera - fakt, że nie tylko chodził z Memo Moirą na zakazane msze, ale także brał udział w herezji katolickiej eucharystii, wyszydzanej i

zabronionej komunii świętej.

M'Clintock-Hobson stoi z boku niczym ministrant i przypatruje się, jak drżący Crozier - czasem chłopiec, czasem pięćdziesięcioletni mężczyzna - podchodzi do balustrady przed ołtarzem, klęka, odchyła głowę do tyłu, otwiera usta i wystawia język, czekając na Zakazany Oplątek - Ciało Chrystusa - co dla wszystkich pozostałych dorosłych we wsi Croziera i jego rodziny jest swoistą formą kanibalizmu.

Nagle dzieje się coś dziwnego. Siwowłosy ksiądz w białych szatach, który się nad nim pochyla, polewa wodą podłogę, balustrady i samego Croziera. Ksiądz wydaje się przy tym za duży, nawet z punktu widzenia dziecka - jest ogromny i potężnie umięśniony, jego cień zakrywa klęczącego chłopca. To nie człowiek.

Crozier, który wciąż klęczy z głową odchyłoną do tyłu i wysuniętym językiem, jest nagi.

Jednak ksiądz nie ma żadnego opłatka w ręce. Nie ma rąk. Pochyla się nad balustradą, nad Crozierem, i rozchyła ogromną paszczę, jakby to Crozier był chlebem czekającym na pożarcie.

- Jezu Chryste, Boże Wszechmogący - szepce przyglądający się temu M'Clintock-Hobson.

- Jezu Chryste, Boże Wszechmogący - szepce komandor Francis Crozier.

- Jest z nami - mówi doktor Goodsir do pana Jopsona. Crozier jęczy.

- Komandorze - zwraca się Goodsir do Croziera - może pan usiąść? Może pan otworzyć oczy i usiąść prosto? Doskonale.

- Jaki dziś dzień? - chrypi Crozier. Słabe światło wpadające przez otwarte drzwi i jeszcze słabsze światło lampki rażą jego wrażliwe oczy niczym eksplozja słonecznego blasku.

- Jest wtorek, jedenasty stycznia, komandorze - odpowiada Jopson, jego steward, a potem dodaje: - Roku pańskiego tysiąc osiemset czterdziestego ósmego.

- Chorował pan cały tydzień - mówi lekarz. - Kilka razy w ciągu tych ostatnich dni byłem pewien, że pana straciliśmy. - Goodsir podaje mu wodę do picia.

- Śniłem - odpowiada w końcu Crozier, wypiwszy kilka łyków lodowato zimnej wody. Czuje smród własnego ciała wypełniający wnętrze maleńkiej kajuty.

- Przez ostatnich kilka godzin jęczał pan bardzo głośno - mówi Goodsir. - Pamięta pan swoje malaryczne sny?

Crozier pamięta tylko poczucie niezwyklej lekkości, oderwania od ziemi, którego doświadczał w snach, a jednocześnie grozę i przewrotny humor wizji, które rozpieczętowały się już niczym smugi mgły przegnane silnym wiatrem.

- Nie - odpowiada. - Panie Jopson, proszę mi przynieść ciepłą wodę do mycia, jeśli pan łaskaw. Poproszę też, żeby pomógł mi pan przy goleniu. Doktorze Goodsir...

- Tak, komandorze?

- Czy zechciałby pan przejść do przodu i powiedzieć panu Diggle'owi, że jego dowódca chce dziś zjeść bardzo duże śniadanie?

- Jest już wieczór, komandorze - odpowiada lekarz.

- Nieważne, chcę zjeść bardzo duże śniadanie. Suchary. Ziemniaki. Kawa. Jakaś wieprzowina, najlepiej bekon, jeśli jeszcze jest.

- Tak jest, komandorze.

- Jeszcze jedno, doktorze Goodsir - mówi Crozier do wychodzącego lekarza. - Proszę łaskawie przekazać porucznikowi Little'owi, by przyszedł do mnie i złożył mi raport z całego tygodnia oraz przyniósł mi moją... własność.

PEGLAR

70°05' szerokości geograficznej północnej, 98°23' długości geograficznej zachodniej. 29 stycznia 1848.

Harry Peglar zaplanował wszystko tak, by pełnić dyżur posłańca do *Erebusa* w dni, w których miało wrócić słońce. Chciał świętować ten dzień - jeśli w tym trudnym czasie można było coś jeszcze świętować - z kimś, kogo kochał. I z kimś, w kim kiedyś był zakochany.

Starszy bosman Harry Peglar odpowiadał za przedni maszt na *Terrorze*, był dowódcą starannie wyselekcjonowanych ludzi zajmujących się topsłami, którzy pracowali w najwyższych częściach takielunku, przy marslu i bramzagli, w blasku dnia i w ciemności nocy, przy pięknej pogodzie i w najgorszym sztormie. Stanowisko to wymagało siły, doświadczenia, zdolności przywódczych i, przede wszystkim, odwagi, a Harry Peglar znany był ze wszystkich tych cech. Czterdziestojednoletni takielarz dowiódł, na co go stać, nie tylko przed załogą HMS *Terror*, ale i na kilkunastu innych statkach, na których służył w czasie swej długiej kariery.

Choć teraz sam nie mógł w to uwierzyć, Harry Peglar aż do dwudziestego piątego roku życia był analfabetą. Czytanie było teraz jego skrytą pasją i przyjemnością, podczas tej podróży pochłonął już ponad połowę z tysiąca książek zgromadzonych w Wielkiej Kajucie *Terroru*, Człowiekiem, który przemienił niegdyś Peglara w miłośnika literatury, był zwykły steward służący na pokładzie statku badawczego HMS *Beagle*. Za sprawą tego samego stewarda Harry Peglar zaczął się zastanawiać, co właściwie znaczy być mężczyzną.

Tym stewardem był John Bridgens, obecnie najstarszy uczestnik ekspedycji Franklina. Kiedy wypływali z Anglii, na dziobówkach *Terroru* i *Erebusa* żartowano sobie, że John Bridgens, zwykły steward mesy podoficerów, ma tyle samo lat co sir John Franklin, ale dwadzieścia razy więcej rozumu. Harry Peglar wiedział, że to prawda.

Na wyprawy Służby Badawczej rzadko zabierano starszych ludzi poniżej rangi komandora lub admirała, obie załogi przyjęły więc ze śmiechem wiadomość, że na oficjalnych listach wiek Johna Bridgensa uległ odwróceniu - być może w wyniku zwykłej pomyłki, a być może był to specyficzny żart intendenta - i został zapisany jako „26”. Marynarze wielokrotnie żartowali w obecności Bridgensa z jego młodego wieku, niedoświadczenia i młodzieńczej jurności. Steward uśmiechał się tylko w milczeniu.

To Harry Peglar wyszukał młodszego stewarda Bridgensa na HMS *Beagle* podczas pięcioletniej wyprawy badawczej, kiedy to dowodzony przez komandora FitzRoya statek w latach 1831-1836 opłynął praktycznie cały świat. Peglar przeszedł na podrzędny okręt, jakim był *Beagle*, za swoim bezpośrednim przełożonym, porucznikiem Johnem Lortem Stokesem, z którym służył wcześniej na prawdziwym, studwudziestoarmatnym liniowcu HMS *Prince Regent Beagle* był tylko dziesięcioarmatnym brygiem klasy Cherokee, który został przerobiony na statek badawczy. Nie była to z pewnością jednostka, jaką chciałby pływać ambitny człowiek pokroju Peglara, lecz nawet on interesował się wówczas pracami badawczymi i odkryciami, a podróż na małym *Beagle*, pod komendą FitzRoya, okazała się dlań bardzo pouczająca pod wieloma względami.

Steward Bridgens był wówczas o jakieś osiem lat starszy niż Peglar teraz - miał blisko pięćdziesiąt lat - jednak już wtedy uchodził za najmądrzejszego i najbardziej czytanego podoficera we flocie. Znany był też jako pederasta, co jednak w owym czasie nie miało dla dwudziestopięcioletniego Peglara większego znaczenia. W królewskiej marynarce wojennej służyli pederasci dwojakiemu rodzajowi; jedni szukali przygód tylko na lądzie i nigdy nie przenosili swych

erotycznych zainteresowań na morze, drudzy zaś nigdy z nich nie rezygnowali, uwodząc często młodych chłopców, których nie brakowało na okrętach marynarki wojennej. Wszyscy wiedzieli, że Bridgens należał do tego pierwszego rodzaju - lubił spotykać się z mężczyznami na lądzie, nigdy jednak nie ujawniał swych skłonności na morzu. Co więcej, w odróżnieniu od mata uszczelniaacza ze statku, na którym obecnie służył Peglar, Bridgens nie był pedofilem. Większość jego znajomych uważała, że chłopiec pozostawiony na okręcie pod opieką Johna Bridgensa byłby bezpieczniejszy niż w towarzystwie swego pastora w domu.

Poza tym, kiedy Harry Peglar wypływał z Anglii w 1831 roku, był partnerem niejakiej Rose Murray. Choć nigdy się formalnie nie pobrali - Rose była katoliczką i kategorycznie twierdziła, że nie wyjdzie za Harry'ego, jeśli ten się nie nawróci, na co Harry nie umiał się zdobyć - byli szczęśliwą parą. Z drugiej jednak strony analfabetyzm Rose i kompletny brak zainteresowania światem odpowiadały Peglarowi sprzed podróży na *Beagle*, a zupełnie nie pasowały do człowieka, którym stał się później. Być może nawet poślubiłby Rose, gdyby mogła mieć dzieci, ale nie mogła - sama Rose nazywała to „karą boską”. Umarła, kiedy Peglar opływał świat na *Beagle*. Kochał ją, na swój sposób.

Ale kochał także Johna Bridgensa.

Nim zakończyła się pięcioletnia misja badawcza HMS *Beagle*, Bridgens - który początkowo nie chciał podjąć się roli mentora, w końcu jednak uległ żarliwym namowom młodego chłopca z obsługi marsła

- nauczył Harry'ego czytać i pisać nie tylko po angielsku, ale i po grecku, niemiecku i łacinie. Uczył go również filozofii, historii i przyrody. Co więcej, Bridgens nauczył tego młodego, inteligentnego człowieka myśleć.

Dwa lata po tej wyprawie, w 1838 roku, Peglar odwiedził Bridgensa w Londynie - Bridgens, podobnie jak większość członków floty, był wtedy na wydłużonym urlopie - i poprosił go o kolejne lekcje. Peglar był już w owym czasie dowódcą przedniego masztu na HMS *Wanderer*.

To właśnie podczas tych długich miesięcy nauki i dyskusji do późnej nocy bliska przyjaźń między dwoma mężczyznami zamieniła się w coś, co przypominało bardziej relacje między kochankami. Peglar był ogromnie zdumiony, kiedy odkrył, że jest zdolny do czegoś takiego

- odkrycie to najpierw go przeraziło, później jednak kazało mu zastanowić się ponownie nad każdym aspektem jego życia, nad zasadami moralnymi, wiarą i własnym ja. Owe rozmyślenia doprowadziły go do kolejnego zdumiewającego wniosku, że tak właściwie jego pojęcie o sobie samym nie uległo zmianie. Jeszcze bardziej zdumiewające było dlań to, że to on, a nie John Bridgens, był inicjatorem pierwszego intymnego kontaktu między nimi.

Ów intymny aspekt ich przyjaźni trwał tylko kilka miesięcy i zakończył się, gdy obaj uznali to za stosowne, również z powodu długich nieobecności Peglara, który pływał na HMS *Wanderer* aż do 1844 roku. Ich przyjaźń przetrwała. Peglar zaczął pisać do byłego stewarda długie filozoficzne listy, zapisując wszystkie słowa od końca, tak że ostatnia litera ostatniego słowa w każdym zdaniu stała w owym zdaniu na pierwszym miejscu i zaczynała się od wielkiej litery. Zapewne głównie ze względu na okropny charakter pisma Peglara, byłego analfabety, Bridgens odpisał mu kiedyś, że „twój dziecinny szyfr, Harry, jest niemal nie do odczytania”. Peglar pisał teraz swoje dzienniki, używając tego samego, prymitywnego kodu.

Żaden nie zdradził się przed drugim, że zamierza przyłączyć się do wyprawy sir Johna Franklina w poszukiwaniu Przejścia Północno-Zachodniego. Obaj byli zdumieni, kiedy na kilka tygodni przed wypłynięciem zobaczyli swe nazwiska na oficjalnej liście załogi. Peglar, który nie kontaktował się z Bridgensem od ponad roku, przyjechał z koszar w Woolwich do mieszkania

stewarda w północnym Londynie, by spytać go, czy ma zrezygnować z udziału w ekspedycji. Bridgens upierał się, że to on powinien wykreślić swoje nazwisko z listy. W końcu obaj uznali, że żaden z nich nie powinien zmarnować okazji na przeżycie takiej przygody - ze względu na wiek dla Bridgensa z pewnością była to ostatnia taka okazja (intendent *Erebusa*, Charles Hamilton Osmer, był wieloletnim przyjacielem Bridgensa, i by uniknąć sporów z sir Johnem i innymi oficerami, celowo nie podał prawdziwego wieku stewarda, zamieniając cyfry miejscami - bo to właśnie on przerobił 62 na 26). Ani Peglar, ani Bridgens nie mówili o tym głośno, ale obaj wiedzieli, że steward zgodnie z wieloletnim zwyczajem zrezygnuje na czas podróży ze swych seksualnych upodobań i że żaden z nich nie będzie próbował zmieniać tego postanowienia. Obaj wiedzieli dobrze, że ta część ich wspólnej historii to już zamknięty rozdział.

Jak się okazało, podczas rejsu Peglar prawie nie widywał się ze swoim przyjacielem, a podczas przymusowego pobytu w lodzie rzadko kiedy zdarzało się, by przebywali sam na sam dłużej niż minutę.

Oczywiście było jeszcze ciemno, kiedy w sobotni rano, około jedenastej Peglar przybył na *Erebusa*, lecz, na południu widać było blask stanowiący zapowiedź pierwszego od ponad osiemdziesięciu dni świtu. Blade światło nie podniosło ani trochę temperatury sięgającej minus sześćdziesięciu pięciu stopni, Peglar nie ociągał się więc, gdy dojrzał latarnie okrętu.

Widok skróconych masztów *Erebusa* raniłby serce każdego, kto zajmuje się topsłami, był jednak szczególnie bolesny dla Harry'ego Peglara, gdyż to właśnie on pomagał dowódcy przedniego marsla tego okrętu, Robertowi Sinclairowi, przy ściąganiu i układaniu górnych części masztów przed niekończącą się zimą. Co gorsza, okaleczone maszty wraz z całym okrętem, unoszonym powoli narastającą falą lodu, przechylały się coraz mocniej do tyłu i na bok.

Peglar został przywitany przez marynarzy pełniących wachtę i zaproszony na pokład, skąd szybko zszedł niżej, by zanieść wiadomość komandora Croziera komandorowi Fitzjamesowi, który siedział i palił fajkę w mesie oficerskiej na rufie, gdyż Wielka Kajuta nadal pełniła funkcję izby chorych.

Komandorzy zaczęli używać do przenoszenia wiadomości mosiężnych cylindrów, które sir John miał zostawiać na trasie swej podróży - kurierom nie podobała się ta zmiana, gdyż zimny metal parzył ich w palce nawet przez grube rękawice - Fitzjames musiał więc poprosić Peglara, by to on otworzył metalowe opakowanie, wciąż bowiem było zbyt zimne, by sam mógł go dotknąć. Fitzjames nie odprawił kuriera, ten stał więc w drzwiach mesy oficerskiej, podczas gdy komandor czytał wiadomość od Croziera.

- Nie będzie odpowiedzi, panie Peglar - powiedział Fitzjames.

Harry Peglar zasalutował i wyszedł ponownie na pokład. Kilkunastu ludzi z załogi *Erebusa* stało tam już w oczekiwaniu na wschód słońca, kilkunastu innych ubierało się na dolnym pokładzie, by do nich dołączyć. Peglar zauważył, że w izbie chorych na łózkach leży około dziesięciu mężczyzn - mniej więcej tyle samo co na Terrorze. Szkorbut zaczynał dawać się we znaki załogom obu statków.

Peglar dostrzegł drobną znajomą postać Johna Bridgensa stojącego przy relingu na lewej burcie rufy. Podeszedł do niego od tyłu i postukał go lekko w ramię.

- Oto obraz Henryka nocą, niewprawną skreślony ręką - powiedział Bridgens, nim jeszcze się odwrócił.

- Ta noc wkrótce się już skończy - odparł Peglar. - Skąd wiedziałeś, że to ja?

Bridgens nie miał na twarzy szalika, dzięki czemu Peglar widział jego uśmiech i wodniste, jasnoniebieskie oczy.

- Wieści rozchodzą się szybko na małych okrętach uwięzionych w lodzie. Musisz zaraz wracać na *Terror*!

- Nie. Komandor Fitzjames nie wysłał odpowiedzi.

- Miałbyś ochotę na krótki spacer?

- Oczywiście. - Peglar skinął głową.

Zeszli ze statku po lodowej pochylni i ruszyli w stronę góry lodowej i wysokiego wału na południowym wschodzie, skąd rozciągał się lepszy widok na jaśniejący południowy horyzont. Po raz pierwszy od kilku miesięcy HMS *Erebus* oświetlony był czymś innym niż tylko blaskiem zorzy polarnej, lamp i pochodni.

W drodze do wału lodowego minęli pogorzelisko znaczące miejsce, gdzie odbywał się karnawał. Na rozkaz komandora Croziera obszar ten został starannie posprzątany, w lodzie pozostały jednak otwory po drzewcach pełniących funkcję masztów wielkiego namiotu oraz kawałki lin i płótna, które zamarzły tam po pożarze. Na białej powierzchni widać było również wyraźnie czarny kwadrat, gdzie znajdowała się hebanowa komnata, choć marynarze wielokrotnie już próbowali go usunąć lub zasypać śniegiem.

- Czytałem tego amerykańskiego autora - powiedział Bridgens.

- Jakiego amerykańskiego autora?

- Tego, który podsunął biednemu Dickiemu Aylmore'owi pomysł na niezwykłą dekorację i przez którego Dickie zebrał potem baty. Nazywa się Poe, jeśli mnie pamięć nie myli. Píše bardzo dziwne, melancholijne i ponure rzeczy, powiedziałbym, że miejscami wręcz makabryczne. W gruncie rzeczy niezbyt dobre, ale bardzo amerykańskie, jeśli wiesz, co mam na myśli. Nie czytałem jednak tego opowiadania, które sprowadziło na nas tyle nieszczęść.

Peglar skinął głową. Nagle uderzył czubkiem stopy w jakiś twardy przedmiot i schylił się, by go podnieść.

Była to czaszka niedźwiedzia, która wisiała nad zegarem sir Johna - zegar przepadł w pożarze - pozbawiona skóry i czarna od sadzy, z wyjątkiem zębów, które wciąż błyszczały niemal nieskalaną bielą.

- No proszę, jestem pewien, że pan Poe byłby tym zachwycony - rzekł Bridgens.

Peglar rzucił czaszkę na śnieg. Kiedy marynarze oczyszczali ten teren, leżała zapewne ukryta pod kawałkami lodu. Zapomniawszy o dziwnym znalezisku, Peglar wszedł wraz ze swym towarzyszem na szczyt pobliskiego wału. Kilkakrotnie podawał dłoń stewardowi i pomagał mu we wspinaczce.

Kiedy stanęli wreszcie na wierzchołku wału, Bridgens dyszał ciężko. Nawet Peglar, zazwyczaj równie silny i sprawny jak jeden ze starożytnych olimpijskich atletów, o których czytał w książkach opisujących dawną Grecję, oddychał ciężiej niż zazwyczaj. Pomyślał, że zbyt długo nie wykonywał ciężkiej fizycznej pracy.

Południowy horyzont płonął przytłumionym żółtym blaskiem, w którym niknęła niemal połowa gwiazd po tej stronie nieba.

- Aż trudno uwierzyć, że w końcu wraca - powiedział Peglar. Bridgens skinął głową.

Nagle zza chmur, które wyglądały z tej odległości jak pasmo niskich, poszarpanych wzgórz, wychynął skrawek czerwonożółtej tarczy słońca. Peglar słyszał, jak czterdziestu marynarzy zgromadzonych na pokładzie *Erebusa* wznosi trzykrotny okrzyk radości, któremu odpowiedział podobny wiwat dochodzący z odległego niemal o milę *Terroru*.

- Oto wschodzi różanopalcu Jutrzenka - powiedział Bridgens po grecku.

Peglar uśmiechnął się, rozbawiony nieco faktem, że nadal pamięta tę frazę. Minęło już

kilkanaście lat, odkąd czytał Iliadę czy jakikolwiek inny grecki utwór w oryginale. Pamiętał, jakie podniecenie budziło w nim pierwsze spotkanie z tym językiem, z Troją i jej bohaterami, kiedy *Beagle* stał na kotwicy w pobliżu Sao Tiago, wulkanicznej wyspy w archipelagu Wysp Zielonego Przylądka, niemal siedemnaście lat wcześniej.

Jakby czytając w jego myślach, Bridgens spytał:

- Pamiętasz pana Darwina?

- Tego młodego przyrodnika? - odpowiedział pytaniem Peglar.

- Ulubionego rozmówcę komandora FitzRoya? Oczywiście, że pamiętam. Trudno nie pamiętać kogoś, z kim spędziło się pięć lat na małym statku, nawet jeśli ten ktoś był dżentelmenem, a ja nie.

- I jakie zrobił na tobie wrażenie, Harry? - Blade oczy Bridgensa łzawiły mocniej niż przed chwilą, być może z radości na widok słońca albo w reakcji na niewidziane dawno światło o takiej mocy. Czerwony dysk słońca nie wzniósł się jeszcze całkiem nad horyzont, nim znów zaczął się za niego chować.

- Pan Darwin? - Peglar także zmrużył oczy, był to jednak raczej grymas wyrażający głęboki namysł niż reakcja na cudowny blask słońca.

- Wydał mi się bardzo miły, jak większość dżentelmenów jego pokroju. Pamiętam, że bez ustanku kazał ludziom przenosić i pakować do skrzyń wszystkie te martwe zwierzęta, w pewnej chwili myślałem nawet, że same ptaki zajmą całą ładownię, ale muszę przyznać, że i on nie bał się ubrudzić sobie rąk. Pamiętasz, jak wiosłował ze wszystkimi, kiedy musieliśmy holować *Beagle* w górę rzeki? Innym razem uratował łódkę przed falą pływową. A pewnego razu, kiedy płynęły obok nas wieloryby, zdaje się, że to było gdzieś u wybrzeży Chile, sam wspiał się na saling, żeby lepiej im się przyjrzeć. Potem musiałem co prawda pomóc mu zejść, ale najpierw przez ponad godzinę przyglądał się tym wielorybom przez lunetę.

Bridgens uśmiechnął się lekko.

- Byłem niemal zazdrosny, kiedy pożyczył ci tę książkę. Co to było? Lyell?

- Zasady geologii - odparł Peglar. - Właściwie nie całkiem ją rozumiałem. Albo raczej rozumiałem na tyle, by domyślić się, jak jest niebezpieczna.

- Ze względu na twierdzenia Lyella dotyczące wieku naszego świata.

- Bridgens pokiwał głową. - I ze względu na bardzo niechrześcijańską teorię, że wszystko zmienia się powoli w ciągu długiego czasu, a nie szybko i gwałtownie, w wyniku jakichś niecodziennych wydarzeń.

- Zgadza się - przytaknął Peglar. - Ale pan Darwin był wielkim zwolennikiem tej teorii. Mówił jak człowiek, który doświadczył właśnie religijnego nawrócenia.

- Myślę, że w pewnym sensie doświadczył czegoś takiego - odrzekł Bridgens. Nad horyzontem widać już było tylko trzecią część słońca.

- Wspominam o tym, bo nim jeszcze wyruszyliśmy w tę podróż, nasz wspólny przyjaciel powiedział mi, że Darwin pisze książkę.

- Wydał już kilka. - Peglar pokiwał głową. - Pamiętasz, rozmawialiśmy o jego Dzienniku badań nad geologią i historią naturalną różnych krajów odwiedzonych przez HMS *Beagle*, kiedy przyjechałem do ciebie po naukę... w tysiąc osiemset trzydziestym ósmym roku. Nie było mnie na nią stać, ale ty mówiłeś, że ją przeczytałeś. Zdaje się, że wydał też kilka książek opisujących rośliny i zwierzęta, jakie widział podczas tamtej podróży.

- Zoologia podróży HMS *Beagle*. Tak, to też kupiłem. Ale teraz Darwin pracuje nad znacznie ważniejszym dziełem, przynajmniej tak wynika z tego, co mówił mi mój drogi przyjaciel pan

Babbage.

- Charles Babbage? Ten sam, który buduje jakieś dziwne urządzenia, w tym maszynę liczącą?

- Zgadza się. Charles mówił mi, że pan Darwin od wielu lat pracuje nad bardzo interesującą książką opisującą mechanizmy ewolucji naturalnej. Podobno wspiera się przy tym mnóstwem danych z anatomii porównawczej, embriologii, paleontologii... jak zapewne pamiętasz, tym właśnie interesował się w głównej mierze nasz były towarzysz podróży. Jednak z jakichś bliżej nieokreślonych względów pan Darwin ociąga się z wydaniem tego dzieła, być może więc nie ujrzy ono światła dziennego za jego życia.

- Ewolucja naturalna? - powtórzył Peglar.

- Tak, Harry. To teoria, według której - wbrew temu, co twierdzą wszystkie Kościoły chrześcijańskie - gatunki zwierząt i roślin nie są zawsze takie same, lecz mogą ulegać przemianom i adaptować się do różnych środowisk na przestrzeni czasu... bardzo długiego czasu. Czasu rozumianego w kategoriach pana Lyella.

- Wiem, czym jest ewolucja naturalna - odparł Peglar, starając się nie okazywać, jak bardzo zirytował go pouczający ton przyjaciela. Nie po raz pierwszy uświadomił sobie, że bez względu na upływ czasu i zmieniające się okoliczności relacja uczeń-nauczyciel zawsze pozostaje taka sama. - Czytałem o tym u Lamarcka. I Diderota. I Buffona, zdaje się..

- Tak, to stara teoria - odparł Bridgens lekko rozbawionym i zarazem przeprasającym tonem. - Pisał o tym Monteskiusz, podobnie jak Maupertuis i inni, których już wymieniałeś. Podobne hipotezy wysuwał nawet Erasmus Darwin, ojciec naszego wspólnego znajomego.

- Więc dlaczego książka pana Charlesa Darwina miałaby być taka ważna? - spytał Peglar. - Ewolucja naturalna to pomysł znany od wieków... i od wieków odrzucany przez Kościół i kolejne pokolenia przyrodników.

- Jeśli wierzyć Charlesowi Babbage'owi i innym znajomym pana Darwina, których i ja mam szczęście znać, ta książka - jeśli w ogóle zostanie wydana - opisuje dokładnie mechanizm ewolucji i wspiera to mnóstwem dowodów. Podobno pan Darwin podaje w niej tysiące konkretnych przykładów działania tego mechanizmu.

-i jak wygląda ów mechanizm? - spytał Peglar. Słońce zniknęło już za horyzontem. Różowe cienie rozmyły się w bladożółtym mroku, który zapowiadał także wschód słońca. Peglar nie mógł teraz uwierzyć, że przed chwilą je widział.

- To dobór naturalny wynikający z rywalizacji między niezliczonymi gatunkami - odrzekł steward. - Dobór, która wybiera cechy pozytywne, a odrzuca negatywne - to jest takie, które nie zwiększają w żaden sposób szans na przeżycie ani na przedłużenie gatunku... na przestrzeni czasu. Bardzo długiego czasu.

Peglar zastanawiał się nad tym przez chwilę.

- Dlaczego o tym wspominasz, John? - spytał wreszcie.

- Ze względu na naszego drapieżnego przyjaciela z lodu, Harry. Ze względu na osmaloną czaszkę, którą zostawiłeś w zgliszczach czarnej komnaty.

- Chyba nie do końca rozumiem - odparł Peglar. Używał tego zwrotu bardzo często, będąc uczniem Bridgensa podczas pięcioletniej podróży na pokładzie HMS *Beagle*. Podróż ta zaplanowana była pierwotnie na dwa lata, Peglar obiecał więc Rose, że wróci do domu najpóźniej po dwóch latach, a może i wcześniej. Umarła na suchoty, gdy Harry był już czwarty rok na morzu. - Uważasz, że to monstrum z lodu to wytwór doboru naturalnego przewyższający zwykłe niedźwiedzie, z którymi spotykaliśmy się do tej pory?

- Wręcz przeciwnie - odrzekł Bridgens. - Zastanawiam się, czy nie spotkaliśmy jednego z

ostatnich przedstawicieli jakiegoś bardzo starego gatunku, czegoś większego, sprytniejszego, szybszego i o wiele groźniejszego od jego potomków, czyli zwykłych niedźwiedzi polarnych.

Peglar zamyślił się na moment.

- Czegoś z ery przedpotopowej - rzekł wreszcie. Bridgens zachichotał.

- Tak, przynajmniej w metaforycznym sensie, Harry. Pamiętasz, że zawsze twierdziłem, iż nie należy traktować historii o potopie dosłownie.

Peglar uśmiechnął się.

- Czasami niebezpiecznie było przebywać w twoim towarzystwie, John. - Znow zamyślił się na kilka chwil. Blask słońca słabł. Na południowym niebie znow pojawiały się gwiazdy. - Myślisz, że to... coś... ten ostatni z gatunku... chodził po ziemi, kiedy były tu wielkie jaszczury? Skoro tak, to dlaczego nie znaleźliśmy jego kości?

Bridgens ponownie zachichotał.

- Nie, nie wydaje mi się, żeby nasz lodowy drapieżnik konkurował z olbrzymimi jaszczurami. Być może ssaki takie jak *Ursus maritimus* nigdy nie koegzystowały z wielkimi gadami. Jak wykazał Lyell, i co zrozumiał nasz pan Darwin, Czas... pisany wielką literą, Harry... może być czymś znacznie większym, niż potrafimy zrozumieć.

Obaj mężczyźni milczeli przez chwilę. Zerwał się lekki wiatr, a Peglar zrozumiał, że jest już zbyt zimno, by stali dłużej w bezruchu. Widział, że jego przyjaciel drży.

- John - powiedział po chwili. - Myślisz, że jeśli zrozumiemy, czym jest owo zwierzę... owo stworzenie, bo czasami wydaje się zbyt inteligentne na zwykłe zwierzę... będzie nam je łatwiej zabić?

Tym razem Bridgens roześmiał się głośno.

- Ani trochę, Harry. Między nam mówiąc, drogi przyjacielu, uważam, że to stworzenie już z nami wygrało. Myślę, że śnieg przykryje nasze kości wcześniej niż jego... choć, jak się nad tym zastanowić, ogromne stworzenie, które żyje niemal wyłącznie na lodzie, nie rozmnaża się ani nie poluje na lądzie stałym, jak zwykłe niedźwiedzie, być może za to poluje na te niedźwiedzie i traktuje je jako główne źródło pożywienia, nie zostawia po sobie żadnych kości, żadnych śladów, żadnych skamieniałości... a przynajmniej nie w takich miejscach, w których moglibyśmy je znaleźć przy naszym obecnym stanie nauki.

Ruszyli w drogę powrotną do *Erebusa*.

- Powiedz mi, Harry, co się dzieje na Terrorze?

- Słyszałeś o tym, co zaszło trzy dni temu? O tej próbie buntu?

- Naprawdę było aż tak źle? Peglar wzruszył ramionami.

- Było paskudnie. Koszmar każdego oficera. Mat uszczelniacz Hickey i dwóch czy trzech innych agitatorów podjudziło całą załogę. Wiesz, jak łatwo manipulować takimi ludźmi. Crozier doskonale sobie z tym poradził. Nie widziałem jeszcze nigdy, by dowódca uspokoił motłoch z taką finezją i pewnością siebie, jak zrobił to w środę Crozier.

- A wszystko z powodu tej Eskimoski?

Peglar skinął głową, a potem naciągnął mocniej uszanke i szalik. Wiatr robił się coraz bardziej przenikliwy.

- Hickey i większość marynarzy dowiedzieli się, że ta wiedźma jeszcze przed Bożym Narodzeniem wydrążyła otwór w kadłubie i przekopała tunel w śniegu. Aż do karnawału wychodziła ze statku i wracała do swojej kryjówki w schowku, kiedy tylko chciała. Dzień po pożarze pan Honey i jego pomocnicy zatkali dziurę w poszyciu, a pan Irving zasypał tunel, ale marynarze jakoś się o tym wszystkim dowiedzieli.

- Hickey i pozostali myśleli, że Eskimoska ma coś wspólnego z pożarem?

Peglar ponownie wzruszył ramionami.

- Żeby tylko. Wszyscy myśleli, że to ona jest tym potworem. Albo przynajmniej jego małżonką. Większość od miesiący uważa, że to pogańska czarownica.

- Podobnie jak większość marynarzy z *Erebusa* - odparł Bridgens, szczękając zębami. Obaj mężczyźni jak na komendę przyspieszyli kroku.

- Hickey i jego motłoch zamierzali napaść dziewczynę, kiedy wyjdzie po wieczornego dorsza i suchara - mówił dalej Peglar. - I poderżnąć jej gardło. Być może odprawiawszy przy tym jakiś oficjalny obrzęd.

- Dlaczego do tego nie doszło, Harry?

- Zawsze znajdzie się ktoś, kto powie o wszystkim zwierchności

- odrzekł Peglar. - Kiedy komandor Crozier dowiedział się o tym

- prawdopodobnie zaledwie kilka godzin przed planowanym morderstwem - wyciągnął dziewczynę na dolny pokład i zwołał tam wszystkich marynarzy i oficerów. Ściągnął nawet ludzi z wachty, co jest rzeczą niespotykaną.

Nie zwalniając kroku, Bridgens zwrócił swą bladą twarz ku Peglarowi. Robiło się coraz ciemniej, a północno-zachodni wiatr przybierał na sile.

- Zbliżała się właśnie pora kolacji - kontynuował Peglar - ale komandor kazał z powrotem podciągnąć stoły pod sufit i usiąść wszystkim na pokładzie. Nie na skrzyniach czy beczkach, ale na pokładzie. Kazał też, by stanęli za nim uzbrojeni oficerowie. Trzymał Eskimoskę za rękę, jakby była ofiarą, którą zamierza rzucić marynarzom. Jak kawałek mięsa szakalom na pożarcie. W pewnym sensie to właśnie zrobił.

- Co masz na myśli?

- Powiedział załodze, że jeśli chcą ją zamordować, muszą to zrobić natychmiast... w tej chwili. Swoimi nożami. Na dolnym pokładzie, dokładnie tam, gdzie jedzą i śpią. Powiedział też, że będą musieli zrobić to wszyscy razem, marynarze i oficerowie, bo morderstwo na statku jest jak choroba, która nie rozprzestrzenia się tylko wtedy, kiedy wszyscy są już nią dotknięci.

- Dziwne... - mruknął Bridgens. - Dziwię się tylko, że to powstrzymało tych ludzi. Tłum to bezrozumny stwór.

Peglar ponownie skinął głową.

- Potem Crozier przywołał do siebie pana Diggle'a, kucharza.

- Kucharza? - zdziwił się po raz kolejny Bridgens.

- Tak jest. Crozier spytał go, co jest na kolację tego wieczora... i każdego wieczora przez następny miesiąc. „Biedny Jaś - odpowiedział Diggle - plus jedzenie z puszek, które się jeszcze nie zepsuło”.

- Interesujące...

- Potem Crozier spytał Goodsira, który akurat tego dnia był na Terrorze, ilu ludzi z objawami choroby zgłosiło się do niego w ciągu ostatnich trzech dni. „Dwudziestu jeden - odpowiedział Goodsir. - Czternastu spało w izbie chorych, dopóki nie wezwał ich pan na to zebranie, komandorze”.

Tym razem to Bridgens skinął głową, jakby domyślał się już, do czego zmierzał Crozier.

- I wtedy komandor powiedział: „To skorbut, chłopcy”. Od trzech lat nikt nie wypowiedział głośno tego słowa, żaden oficer, lekarz ani marynarz. „Dopada nas skorbut - mówił dalej komandor. - Znacie objawy tej choroby. A jeśli nie znacie... albo jeśli nie macie odwagi, żeby o nich myśleć... musicie posłuchać”. I wtedy komandor przywołał do siebie Goodsira, kazał mu stanąć obok

dziewczyny i wymienić wszystkie objawy szkorbutu.

- „Wrzody - kontynuował Peglar, przytaczając słowa Goodsira.

- Wrzody i krwotoki na całym ciele. Krew wylewająca się pod skórą. Krew wypływająca ze skóry. Wypływająca ze wszystkich otworów w ciele, nim jeszcze choroba rozpocznie się na dobre - z ust, oczu, tyłka. Sztywnienie kończyn, co oznacza, że najpierw ręce i nogi okropnie was bolą, a potem robią się sztywne. Nie chcą się ruszać. Będziecie niezdarni jak ślepy wół. Potem zaczną wam wypadać zęby”. W tym miejscu Goodsir zrobił pauzę. Było tak cicho, John, że nie usłyszałbyś nawet oddechów tych pięćdziesięciu ludzi, tylko stękanie i jęczenie lodu. „A kiedy będą wam wypadać zęby - mówił dalej lekarz - szernieją wam też wargi. Szernieją i odsuną się na górę i na dół, jak wargi trupa. Spuchną wam też dziąsła. I będą śmierdzieć. To jest właśnie źródło strasznego smrodu, który wszyscy kojarzą ze szkorbutem. Dziąsła, które gniją i ropieją od wewnątrz. Ale to nie wszystko - mówił Peglar, powtarzając dokładnie słowa lekarza. - Będziecie mieli kłopoty ze wzrokiem i słuchem... zaczniecie tracić kontakt z rzeczywistością. Wybierzecie się na spacer przy minus pięćdziesięciu stopniach bez rękawic i czapki i wcale wam to nie będzie przeszkadzało. Zapomnicie, gdzie jest północ i jak się wbija gwoździe. Zmysły nie tylko was zdradzają; one obrócą się przeciwko wam. Gdybyśmy jakimś cudem zdobyli sok pomarańczowy i chcieli go wam podać, zapach pomarańczy przyprawiłby was o paroksyzmy bólu albo dosłownie doprowadził do szaleństwa. Zgrzyt płóz sunących po lodzie mógłby być dla was równie bolesny jak przypalanie żywym ogniem; huk wystrzału z muszkietu mógłby was zabić”. - Peglar przerwał na moment, by zaczerpnąć oddechu. - „Ejże - krzyknął wtedy któryś z kompanów Hickeya - mamy przecież sok cytrynowy”. Goodsir pokręcił tylko głową ze smutkiem. „Mamy już tylko resztki tego soku - odparł. - I do tego niewiele warte. Nikt nie wie, dlaczego tak się dzieje, ale proste substancje zapobiegające szkorbutowi, takie jak sok cytrynowy, tracą swoją moc już po kilku miesiącach. Nasz sok ma przecież ponad trzy lata”. Wówczas znowu na pokładzie zapadła całkowita cisza. Tyle że wtedy słyhać już było oddechy, nierówne, przerażone oddechy. Nad tłumem unosił się zapach strachu... i czegoś jeszcze gorszego. Większość marynarzy, którzy tam siedzieli, i większość oficerów zauważyła ostatnio u Goodsira pierwsze objawy szkorbutu. Nagle jeden z kamratów Hickeya krzyknął: „A co to wszystko ma wspólnego z tą dziewczuchą, z tym Jonaszem?”. Crozier wyszedł wtedy o krok do przodu, wciąż trzymając przy sobie dziewczynę, jakby nadal chciał ją oddać motłochowi. „Różni dowódcy i lekarze próbują na różne sposoby bronić się przed szkorbutem - powiedział.

- Ciężkie ćwiczenia fizyczne. Modlitwa. Jedzenie z puszek. Ale na dłuższą metę nie sprawdza się żaden z tych środków. Doktorze Goodsir, co jedynie może nas uchronić przed szkorbutem?”. Wszystkie głowy zwróciły się wtedy w stronę lekarza. Nawet Eskimoska patrzyła na niego. „Świeże jedzenie - odpowiedział Goodsir. - Szczególnie świeże mięso. Nie wiemy, jaki niedobór powoduje szkorbut, ale wiemy, że świeże mięso uzupełnia ten niedobór”. Wszyscy spojrzeli wtedy ponownie na Croziera - opowiadał bez wytchnienia Peglar. - Komandor omal nie pchnął wtedy dziewczyny prosto w ich ręce, a potem powiedział: „Na pokładzie obu naszych statków jest tylko jeden człowiek, który podczas tej jesieni i zimy umiał zdobyć świeże mięso. Ten człowiek stoi właśnie przed wami. Ta właśnie eskimoska dziewczyna... Tak, choć to tylko dziewczyna, wie, jak znaleźć i zabić foki, morsy i lisy, podczas gdy my nie potrafimy nawet odkryć ich tropów na lodzie. Co się z nami stanie, kiedy będziemy musieli opuścić statek... kiedy znajdziemy się na lodzie bez żadnych zapasów? Pośród pozostałych przy życiu stu dziewięciu ludzi jest tylko jedna osoba, która wie, jak zdobyć świeże mięso i przeżyć... a wy chcecie ją zabić”.

Bridgens odsłonił w uśmiechu własne krwawiące dziąsła. Przystanęli właśnie u podnóża lodowej pochylni prowadzącej na pokład *Erebusa*.

- Następca sir Johna jest być może człowiekiem z gminu - rzekł cicho - może nie ma najlepszego wykształcenia, ale nikt, przynajmniej w mojej obecności, nigdy nie nazwał go głupcem. Wydaje mi się, że bardzo się też zmienił po tej ciężkiej chorobie sprzed kilku tygodni.

- Tak, nazwałbym to wręcz całkowitą przemianą. - Peglar uśmiechnął się, nawiązując do własnej przemiany sprzed szesnastu lat.

- Jak to?

Peglar podrapał się po zarośniętym policzku.

- Trudno to opisać. Osobiście przypuszczam, że komandor Crozier po raz pierwszy co najmniej od trzydziestu lat jest całkowicie trzeźwy. Whisky nigdy nie pomniejszała jego umiejętności ani kompetencji - to doskonały żeglarz i oficer - ale tworzyła jakąś barierę... ścianę... pomiędzy nim i światem. Teraz jest tutaj bardziej obecny. Nic nie uchodzi jego uwagi. Nie wiem, jak to inaczej opisać.

Bridgens skinął głową.

- Rozumiem, że nikt już nie wspominał o zabijaniu wiedźmy.

- Zgadza się. Marynarze dali jej więcej sucharów, ale ona zniknęła zaraz po kolacji. Poszła gdzieś na lód.

Bridgens ruszył w górę pochylni, zatrzymał się jednak po kilku krokach i odwrócił ponownie do Peglara.

- Co myślisz o Corneliusie Hickeyu, Harry? - spytał przyciszonym głosem, by nie usłyszał go żaden z marynarzy stojących na wachcie.

- Myślę, że to podstępna gnida - odparł Peglar, nie dbając o to, czy ktoś go słyszy.

Bridgens ponownie skinął głową.

- Tak właśnie jest. Znam go od lat, sporo też o nim słyszałem na długo przedtem, nim spotkaliśmy się podczas tej wyprawy. Podczas długich podróży polował na młodych chłopaków, zamieniał ich w niewolników, którzy spełniali jego zachcianki. Słyszałem też, że ostatnio zaczął podporządkowywać sobie starszych marynarzy, takich jak ten idiota...

- Magnus Manson - dokończył Peglar.

- Jak Manson. Gdyby Hickeyowi chodziło jedynie o zaspokajanie własnej chuci, nie mielibyśmy powodów do obaw. Ale ten gnom na tym nie poprzestanie, Harry... to ktoś gorszy niż niedoszły buntownik albo typowy morski adwokat. Uważaj na niego. Miej na niego oko, Harry. Obawiam się, że może nam wszystkim wyrządzić wielką krzywdę. - Bridgens roześmiał się nagle. - „Wyrządzić wielką krzywdę”; mówię tak, jakby nasz los i tak nie był już przesądzony. Być może zobaczymy się ponownie, kiedy będziemy opuszczali statki i wyruszali na nasz ostatni długi i mroźny spacer. Uważaj na siebie, Harry.

Peglar nie odpowiedział. Zdjął grubą rękawicę i cieńszą rękawiczkę, podniósł rękę i dotknął przemarzniętymi palcami policzka i czoła stewarda Johna Bridgensa. Dotyk ów był bardzo delikatny i żaden z mężczyzn nawet go nie poczuł, ale to musiało im wystarczyć.

Bridgens ruszył ponownie w górę pochylni. Nie oglądając się za siebie, Peglar włożył rękawicę i rozpoczął długi marsz przez ciemność w stronę ukrytego za wałami lodowymi *Terroru*.

IRVING

70°05' szerokości geograficznej północnej, 98°23' długości geograficznej zachodniej. 6 lutego 1848.

Była niedziela, a porucznik Irving odsłużył właśnie dwie wachty na pokładzie, w ciemności i mrozie, zastępując podczas drugiej swego przyjaciela George'a Hodgsona, który leżał w izbie chorych z objawami dyzenterii. W związku z tym Irving nie zjadł ciepłej kolacji w mesie oficerskiej i musiał zadowolić się tylko małym, twardym jak lód kawałkiem solonej wieprzowiny oraz sucharem z mąki pełnej wołków zbożowych. Teraz jednak miał całe osiem godzin do następnej wachty. Mógł zejść na dolny pokład, wsunąć się pod zamrożnięte koce na swojej koi, rozgrzać je nieco własnym ciałem i spać przez pełne osiem godzin.

Tymczasem Irving powiedział Robertowi Thomasowi, który przejmował od niego służbę na pokładzie, że wybiera się na spacer i wkrótce wróci.

Potem Irving zszedł z pokładu na okryty ciemnościami lód. Szukał lady Cisy.

Irving był zszokowany przed kilkoma tygodniami, kiedy komandor Crozier omal nie rzucił Eskimoski w ręce tłumu, który uległszy podszeptom Hickeya i jego kompanów, zaczął krzyczeć, że lady Ciska jest Jonaszem i trzeba ją zabić albo wypędzić. Kiedy Crozier stanął przed nimi i trzymając lady Ciskę za rękę, pchał ją w stronę rozgniewanego motłochu, niczym rzymski cesarz rzucający chrześcijanina lwom na pożarcie, porucznik Irving nie wiedział, co ma zrobić. Jako młodszy stopniem oficer mógł tylko przyglądać się poczynaniom swego dowódcy, nawet jeśli oznaczałoby to śmierć Cisy. Jako młody zakochany mężczyzna Irving gotów był wystąpić przed tłum i ocalić Eskimoskę, nawet za cenę własnego życia.

Kiedy Crozier przekonał większość marynarzy, że Ciska może być jedynym człowiekiem na pokładzie, który wie, jak polować i łowić ryby pod lodem, i że ta wiedza być może uratuje im życie, kiedy opuszczą statek, Irving odetchnął z ulgą.

Jednak po tych wydarzeniach Eskimoska opuściła statek na dobre, wracała tylko co drugi lub trzeci dzień w porze kolacji, by odebrać swojego suchara lub zabrać świeczkę, i później znów zniknąć w mroku. Nikt nie wiedział, gdzie mieszka ani co robi.

Tej nocy nad lodem było stosunkowo jasno; na niebie tańczyła zorza polarna, a blask księżyca rzucał na powierzchnię lodu czarne jak atrament cienie seraków. Tym razem porucznik Irving nie wyruszył na poszukiwanie lady Cisy z własnej inicjatywy. Komandor Crozier zasugerował mu, by spróbował - nie narażając się przy tym na zbyt wielkie niebezpieczeństwo - odnaleźć kryjówkę eskimoskiej wiedźmy.

- Wcale nie kłamałem, mówiąc ludziom, że Ciska może mieć umiejętności, które pozwolą nam przeżyć na lodzie - mówił Crozier przyciszonym głosem, kiedy Irving zameldował się u niego w kajucie. - Ale musimy się dowiedzieć, jak zdobywa świeże mięso, nim jeszcze opuścimy statek; potem może być za późno. Doktor Goodsir twierdzi, że skorbut dopadnie nas wszystkich, jeśli przed latem nie znajdziemy jakiegoś źródła świeżego mięsa.

- Rozumiem - wyszeptał Irving. - Ale jak mam się tego dowiedzieć, skoro ona nie może mówić? Musiałbym podpatrzeć, jak to robi.

- Pozostawiam to waszej pomysłowości, poruczniku - odparł Crozier i skończył na tym rozmowę.

Teraz właśnie po raz pierwszy od tamtej rozmowy Irving miał okazję użyć własnej pomysłowości.

W skórzanej torbie na ramię niósł kilka cennych drobiazgów, które mogłyby mu się przydać, gdyby spotkał Ciszę na lodzie i próbował nawiązać z nią jakiś kontakt. Miał więc kilka sucharów pozbawionych robaków i znacznie świeższych niż te, które dawano im na kolację; suchary owinięte były w zwykłą serwetkę, ale Irving zabrał ze sobą również piękną orientálną chustkę z jedwabiu, którą otrzymał w prezencie od swej bogatej angielskiej dziewczyny tuż przed ich... niemiłym rozstaniem. Jedwabna chusteczka okrywała najcenniejszy z prezentów - małe naczynie z dżemem brzoskwiniowym.

Goodsir pilnował dżemu jak oka w głowie i wydawał marynarzom starannie odmierzone porcje, traktując go jako jeden z niewielu dostępnych im środków zapobiegających skorbutowi, porucznik Irving wiedział jednak, że ten przysmak był również jedną z niewielu rzeczy, które lady Ciska przyjmowała od pana Diggle'a z niekłamanym entuzjazmem. Irving widział, jak błyszczały jej oczy, kiedy Diggle nakładał jej na suchara łyżeczkę dżemu. Przez ostatnich kilkanaście dni odkładał więc własne porcje dżemu, by zbierać większą porcję, którą niósł teraz w porcelanowym naczyniu należącym niegdyś do jego mamy.

Irving przeszedł na lewą stronę statku i zbliżał się do labiryntu seraków i małych gór lodowych, które wznosiły się przed nim niczym lodowa wersja Lasu Birnamskiego podchodzącego pod zamek Dunzynie. Wiedział, że może stać się kolejną ofiarą potwora z lodu, choć już od pięciu tygodni nikt nie widział owego stworzenia, nawet z daleka. Żaden marynarz nie padł jego ofiarą od czasu feralnego karnawału.

No tak, rozmyślał Irving, ale też nikt prócz mnie nie zapuszczał się samotnie w las seraków, i to nawet bez lampy.

Jedyną bronią, jaką miał przy sobie, był pistolet ukryty głęboko w kieszeni płaszcza.

Po czterdziestu minutach poszukiwań w ciemnościach, na mrozie i lodowatym wietrze Irving bliski był podjęcia decyzji, że wypróbuje swoją pomysłowość przy innej okazji, najlepiej za kilka tygodni, kiedy słońce będzie świeciło nad południowym horyzontem nieco dłużej niż kilka minut dziennie.

I wtedy zobaczył światło.

Był to niezwykły widok - cała sterta lodu ułożona w lodowej rynnie między kilkoma serakami płonęła przytłumionym blaskiem, jakby od wewnątrz rozświetlała ją jakaś arktyczna wróżka.

Albo wiedźma.

Irving podszedł bliżej, zatrzymując się przy każdym seraku, by sprawdzić, czy nie jest to w rzeczywistości kolejna wąska szczelina w lodzie. Wiatr pogwizdywał cicho w poszarpanych szczytach seraków i lodowych kolumn. Wszędzie tańczył fioletowy blask zorzy polarnej.

Śnieżno-lodowe bloki zostały ułożone - albo przez wiatr, albo rękami lady Cisky - w niską kopułę, na tyle cienką, że prześwitywał przez nią migotliwy żółty blask płomienia.

Irving zsunął się do niewielkiej lodowej rynny, a właściwie zagłębienia między dwiema płytami paku zaszypanego śniegiem, i zbliżył się do czarnego otworu, który na pierwszy rzut oka wydawał się położony zbyt nisko, by mógł mieć coś wspólnego z kopułą ułożoną wyżej, na jednym ze zboczy zagłębienia.

Wejście - jeśli to było wejście - było niewiele szersze od okrytych grubą warstwą ubrań ramion Irvinga. Porucznik pochylił się ku owemu otworowi, znieruchomiał jednak jeszcze na moment, zastanawiając się, czy nie powinien wyciągnąć i odbezpieczyć pistoletu. Niezbyt miły gest powitalny, pomyślał. Pochylił się niżej i wsunął do otworu.

Wąski tunel prowadził najpierw w dół, na długości około trzech stóp, a potem kierował się ku górze, przez kolejnych osiem, dziewięć stóp. Kiedy Irving w końcu wysunął głowę i ramiona z

ciemnego otworu, zamrugał, oślepiiony blaskiem świecy, rozejrzał się dokoła i... otworzył usta zaskoczony niezwykłym widokiem.

Lady Ciska była naga, okryta jedynie narzuconą niedbale kurtką. Leżała na podwyższeniu wykutym w lodzie i śniegu, jakieś cztery stopy przed Irvingiem i prawie trzy stopy wyżej. Jej piersi były całkiem odsłonięte - Irving widział ułożony między nimi talizman wyobrażający białego niedźwiedzia, który zabrała swemu zmarłemu towarzyszowi - nie próbowała jednak wcale ich zakryć, wpatrywała się weń tylko nieruchomymi oczyma. Nie wyglądała ani trochę na przestraszona. Z pewnością słyszała go na długo przedtem, nim pojawił się w wejściu do jej lodowego domu. W dłoni trzymała krótki, lecz bardzo ostry kamienny nóż, który widział u niej już wcześniej, w schowku na linę kotwiczną.

- Najmocniej panią przepraszam - powiedział Irving. Nie wiedział, co ma właściwie zrobić. Dobre maniere nakazywały, by jak najszybciej wycofał się z buduaru damy, choć z pewnością miałby spore trudności z czołganiem się do tyłu, w porę przypominał sobie jednak, że ma misję do spełnienia.

Jego uwagi nie uszedł też fakt, że kiedy tak tkwił uwięziony w wąskim tunelu, Ciska mogła bez trudu pochylić się nad nim i poderżnąć mu gardło, on zaś nie mógłby temu zapobiec.

Irving wysunął się do końca z otworu wejściowego, wciągnął za sobą torbę, podniósł się na kolana, a potem wstał. Ponieważ podłoga lodowego domu położona była niżej niż powierzchnia lodu i śniegu na zewnątrz, stojąc pośrodku kopuły, Irving miał dość miejsca, by się wyprostować, a i tak nie sięgał głową sufitu. Uświadomił sobie, że choć z zewnątrz dom ów wyglądał jak śnieżna zaspą, w rzeczywistości była to bardzo zmyślna konstrukcja ułożona z podtrzymujących się nawzajem lodowych bloków.

Irving, wykształcony w najlepszej szkole artyleryjskiej, jaką prowadziła brytyjska marynarka wojenna, zawsze był świetnym matematykiem, natychmiast więc zauważył, że lodowe bloki ułożone były spiralnie, a każdy z nich przechylony nieco mocniej do środka niż poprzedni, aż do samego szczytu kopuły, gdzie tkwił zwornik podtrzymujący całą budowlę. Dostrzegł też małe otwory, dymniki mający nie więcej niż dwa cale średnicy, wywiercone tuż obok zwornika.

Irving-matematyk wiedział, oczywiście, że kopuła nie jest idealną półkulą - kopuła zbudowana na zasadzie okręgu natychmiast by się zawaliła - lecz ma raczej kształt podobny do tego, jaki przyjmuje łańcuch trzymany luźno w dwóch dłoniach. Irving-dżentelmen wiedział, że przygląda się kopule, lodowym blokom i geometrycznej strukturze tej niezwyklej budowli, by nie patrzeć na nagie piersi i ramiona lady Cisky. Uznawszy, że dał jej dość czasu, by się okryła, spojrzał ponownie w jej stronę.

Nic się nie zmieniło. Piersi Eskimoski wciąż były odkryte, wciąż błyszczały między nimi biały amulet, kontrastując żywo z brązem skóry. Jej ciemne oczy przyglądały mu się z uwagą i zainteresowaniem wolnym od wrogości. Nadal trzymała w dłoni nóż.

Irving westchnął i usiadł na okrytym futrem podwyższeniu, wyrzeźbionym w lodzie po drugiej stronie niewielkiego centralnego zagłębienia, naprzeciwko legowiska lady Cisky.

Dopiero teraz uświadomił sobie, że we wnętrzu lodowego domu jest ciepło. Nie tylko cieplej niż na zewnątrz, w trzaskającym mrozie, nie tylko cieplej niż na zamrożonym dolnym pokładzie HMS *Terror*, ale po prostu ciepło. Jego ciało, okryte grubą warstwą brudnych ubrań, zaczęło się już obficie pocić. Dojrzał też krople potu na brązowych piersiach kobiety leżącej zaledwie kilka stóp dalej.

Ponownie odwróciwszy wzrok od półnagiej kobiety, Irving rozpiął wierzchnie okrycie. Jednocześnie uświadomił sobie, że źródłem światła i ciepła wypełniającego lodową kryjówkę była

niewielka puszka z naftą skradziona z okrętu. Gdy tylko o tym pomyślał, zrobiło mu się wstyd. Rzeczywiście, puszka pochodziła z *Terroru*, była to jednak jedna z setek pustych puszek, które wyrzucali do ogromnego dołu ze śmieciami wydrążonego w lodzie zaledwie trzydzieści jardów od okrętu. Płomień nie był wynikiem spalania nafty, lecz jakiegoś oleju - rozpoznawał po zapachu, że nie był to olej wielorybi. Foczy? Z sufitu zwieszał się sznurek spleciony z jelit lub ścięgien jakiegoś zwierzęcia, podtrzymujący pasek tłuszczu, z którego do lampy ściekał roztopiony olej. Irving domyślił się, że kiedy poziom oleju w puszcze się obniża, nad jego powierzchnię wystaje dłuższy odcinek knota, zrobionego prawdopodobnie z włókien wyciągniętych z lin kotwicznych, który rozpala się wyższym płomieniem, topiąc tym samym więcej tłuszczu spadającego do puszek w postaci oleju. Był to bardzo pomysłowy system.

Puszka po nafcie nie była jedynym interesującym przedmiotem w lodowym domu. Powyżej puszek, nieco na bok od płomienia, znajdowała się ramka zbudowana z czterech żeber, prawdopodobnie foczych - jak ona łapie i zabija te foki? - zastanawiał się Irving - wbitych pionowo w lodowe podwyższenie i połączonych gęstą siecią ścięgien. Z ramki zwieszała się duża prostokątna puszka Goldnera - zapewne także wygrzebana z wysypiska śmieci obok *Terroru* - zawieszona na ścięgnach przeciągniętych przez otwory wydrążone w czterech rogach. Irving od razu zrozumiał, że puszka odgrywa rolę garnka lub czajnika podgrzewanego przez płomień lampy.

Piersi lady Cisy wciąż były odkryte. Biały amulet podnosił się i opadał w rytm jej oddechu. Wciąż wpatrywała się w jego twarz.

Porucznik Irving odchrząknął niepewnie.

- Dobry wieczór, panno... ehm... Cicho. Przepraszam, że wtargnąłem do pani domu... bez zaproszenia.

Cisza nie odrywała odeń spojrzenia.

- Komandor Crozier przesyła pozdrowienia. Poprosił, żebym zajrzał do pani i sprawdził... eee... jak sobie pani radzi.

Irving czuł, że robi z siebie głupca. Był pewien, że pomimo kilku miesięcy spędzonych na pokładzie okrętu dziewczyna nie rozumiała ani słowa po angielsku. Mimo woli zauważył, że jej sutki podniosły się w reakcji na powiew zimnego powietrza, który wpuścił za sobą do wnętrza lodowego domu.

Porucznik otarł pot z czoła. Potem zdjął rękawice i rękawiczki, skłaniając lekko głowę, jakby prosił panią domu o pozwolenie. Potem znów otarł czoło. Nie mógł uwierzyć, że jedna lampa z foczym olejem tak bardzo rozgrzewa przestrzeń zamkniętą pod lodową kopułą.

- Komandor chciałby... - zaczął i raptownie przestał. - Ach, do diabła z tym...

Irving sięgnął do skórzanej torby i wyjął z niej suchary zawinięte w starą serwetkę oraz naczynie z dżemem zawinięte w delikatną chusteczkę z jedwabiu.

Pochylił się do przodu i drżącymi rękami podał jej oba prezenty.

Eskimoska nie uczyniła żadnego ruchu.

- Proszę - powiedział Irving.

Cisza mrugnęła dwukrotnie, wsunęła nóż pod futro, wzięła od niego dwa zawiniątka i postawiła je obok siebie, na lodowym podwyższeniu. Kiedy ułożyła się ponownie na boku, sutek jej prawej piersi niemal dotykał chustki z chińskiego jedwabiu.

Irving spojrzał w dół i uświadomił sobie, że on także siedzi na grubym futrze. Skąd ona wzięła drugie futro? - pomyślał, potem jednak przypomniał sobie, że przed ponad siedmioma miesiącami oddali jej kurtkę starego Eskimosa - siwowłosego mężczyzny, który zmarł na statku, postrzelony przez jednego z ludzi Grahama Gore'a.

Cisza rozpakowała najpierw starą serwetkę, nie zareagowała jednak w żaden sposób na widok pięciu sucharów. Irving spędził naprawdę sporo czasu, wyszukując nienadgryzione przez robaki. Teraz poczuł się nieco dotknięty brakiem najmniejszych choćby oznak uznania z jej strony. Odwinąwszy małe porcelanowe naczynie jego mamy, podniosła jedwabną chusteczkę - pokrytą wymyślnymi wzorami w różnych odcieniach czerwieni, zieleni i błękitu - i przyłożyła ją na moment do policzka, by potem odłożyć na bok.

Wszystkie kobiety są takie same, pomyślał Irving, dziwnie oszołomiony. Uświadomił sobie, że choć obcował już z niejedną młodą kobietą, nigdy jeszcze nie doświadczył równie silnego pocucia... intymności... jak w tej chwili, kiedy siedział nieruchomo naprzeciwko tej młodej, półnagiej kobiety.

Gdy lady Cisza otworzyła naczynie i ujrzała dżem, ponownie podniosła wzrok na Irvinga, jakby chciała wyczytać z jego twarzy zamiary.

Irving pokazał jej na migi, żeby posmarowała dżemem suchary i zjadła.

Cisza nie drgnęła. Nie spuszczała wzroku z twarzy Anglika.

Wreszcie pochyliła się do przodu i wyciągnęła rękę, jakby sięgając do niego. Irving drgnął, zaskoczony, potem jednak zrozumiał, że kobieta sięga do wnęki - niewielkiego zagłębienia w lodowym bloku - znajdującej się nad jego pośladkiem. Udawał, że nie zauważa, iż jej ubranie zsunęło się niżej, a piersi falują niemal dokładnie przed jego oczami.

Podawała mu coś biało-czerwonego, cuchnącego jak zepsuta ryba. Zrozumiał, że to kolejny kawałek tłuszczu z foki lub jakiegoś innego zwierzęcia, który Cisza przechowywała w zimnym zagłębieniu w lodzie.

Irving przyjął jej podarunek, skinął głową i usiadł prosto, trzymając kawałek tłuszczu w dłoniach, nad kolanami. Nie miał pojęcia, co z nim zrobić. Czy miał zabrać go do domu i wykorzystać do stworzenia własnej lampy z foczego tłuszczu?

Usta Ciszy drgnęły lekko - Irving miał przez moment wrażenie, że się uśmiechnęła. Wyjęła swój krótki, ostry nóż i kilkakrotnie przeciągnęła nim szybko wzdłuż ust, jakby chciała odciąć sobie te pełne, różowe wargi.

Irving przypatrywał się temu z rosnącym zdumieniem, wciąż trzymając przed sobą kawałek tłuszczu.

Cisza westchnęła, wzięła od niego tłuszcz, przystawiła go do ust i odcięła kilka kawałków, przesuwając krótkie ostrze właściwie już między swymi białymi zębami. Przeżuła odcięte kęsy, a potem oddała mu tłuszcz wraz z miękką, foczą skórą - Irving był już niemal pewien, że to foka.

Porucznik musiał sięgnąć pod grubą warstwę okryć, by dostać się do noża zatkniętego w pochwie u jego pasa. Podniósł go i pokazał Ciszy, niczym dziecko szukające aprobaty u nauczyciela.

Eskimoska lekko skinęła głową.

Irving przysunął śmierzdzący, lepki kawałek tłuszczu do ust i szybko przesunął wzdłuż twarzy ostrze noża, podobnie jak przed chwilą zrobiła to Cisza.

Omal nie odciął sobie nosa. Odciąłby sobie dolną wargę, gdyby ostrze nie zatrzymało się na skórze i nie podniosło w górę całego kawałka. Mimo to Irving czuł, jak z jego naciętej przegrody nosowej sączą się krople krwi.

Cisza pokręciła nieznacznie głową i wręczyła mu swój nóż.

Irving spróbował ponownie, pewnym ruchem odcinając kawałek tłuszczu, na który spadła właśnie kropla jego krwi.

Ostrze przecięło tłuszcz i skórę bez najmniejszego problemu. Trudno było w to uwierzyć, ale jej mały kamienny nóż był o wiele ostrzejszy od jego ostrza.

Odcięty fragment tłuszczu wypełnił usta Anglika. Irving żuł go wytrwale, jednocześnie kiwając z uznaniem głową w stronę Eskimoski.

Foczy tłuszcz smakował jak zdechły przed wieloma tygodniami karp wyciągnięty z dna Tamizy tuż przy ujściu kanału ściekowego.

Irving czuł, że zbiera mu się na wymioty, miał ochotę natychmiast wypluć wszystko na podłogę lodowego domu, uznawszy jednak, że nie przysłużyłoby się to dobrze jego misji dyplomatycznej, pogryzł tłuszcz do końca i przełknął.

Uśmiechając się szeroko w uznaniu dla przysmaku, który właśnie spożył - i tłumiąc zarazem odruch wymiotny oraz ocierając ukradkiem ledwo draśnięty, lecz krwawiący obficie nos - Irving spostrzegł z przerażeniem, że Eskimoska nakazuje mu gestem, by odkroił sobie i zjadł kolejny kawałek.

Wciąż się uśmiechając, Irving spełnił jej życzenie. Pomyślał, że tak samo zapewne czułby się, przeżuwając wielką garść śluzu wydłubanego z nosa jakiegoś innego stworzenia.

Ku zdumieniu młodego Anglika jego pusty żołądek zaburczał, skurczył się i zażądał więcej. W śmierdzącym tłuszczu było coś, co zaspokajało jakieś głębokie pragnienie, z którego nawet nie zdawał sobie sprawy. Jego ciało, w przeciwieństwie do umysłu, chciało więcej.

Przez kilka kolejnych minut w lodowym domu panowała prawdziwa sielanka; Irving siedział na niedźwiedzim futrze i pochłaniał kolejne kęsy foczego tłuszczu, podczas gdy lady Ciska zanurzała suchary w porcelanowym naczyniu z dżemem i pożerała je, kawałek po kawałku, wydając przy tym z siebie pełne zadowolenia pochrząkiwania i pomruki.

Przez cały ten czas jej piersi były odkryte i doskonale widoczne dla oczu porucznika Johna Irvinga, który starał się wpatrywać wyłącznie w coraz mniejszy kawałek foczego tłuszczu.

Co pomyślałaby mama, gdyby zobaczyła teraz swojego syna i swoją porcelanę? - zastanawiał się.

Kiedy Ciska zjadła wszystkie suchary i opróżniła porcelanowe naczynie, Irving przełknął ostatni kawałek tłuszczu i próbował wytrzeć brodę i usta rękawicą, Eskimoska jednak sięgnęła ponownie do otworu w lodzie i podała mu garść śniegu. Ponieważ temperatura we wnętrzu lodowego domu była prawdopodobnie wyższa od temperatury zamarzania, Irving wziął śnieg, wytarł twarz i osuszył ją rękawem, a potem podał Ciskę resztę foczego tłuszczu. Eskimoska wskazała na otwór w lodzie, a Anglik posłusznie wepchnął tam kawałek obrośniętej tłuszczem skóry.

Teraz zaczyna się najtrudniejsze, pomyślał porucznik.

Jak pokazać wyłącznie za pomocą rąk, że ponad setce ludzi grozi szkorbut i że muszą oni dowiedzieć się, w jaki sposób ktoś inny poluje i łowi na tej lodowej pustyni?

Irving podjął próbę. Najpierw przerabiał w miejscu nogami, udając, że dokąś idzie, potem pomasaował się po brzuchu, co miało symbolizować głód, następnie pokazał trzy maszty statku i chorych marynarzy - wystawił język, zrobił okropnego zęba i udał, że pada na niedźwiedzią skórę - potem zaś wskazał na Ciskę i pokazał, jak ta rzuca włócznią, trzyma wędkę i wyciąga z wody zdobycz. Następnie wskazał na ukryty w schowku foczy tłuszcz, przesunął rękę w inny punkt, jakby chciał pokazać lodową pustynię na zewnątrz, znów pomasaował się po brzuchu, zrobił zęba i udał, że się przewraca, i jeszcze raz pomasaował brzuch. Potem wskazał na lady Ciskę, zawahał się na moment, nie wiedząc, jak przekazać „pokaż nam, jak się to robi”, w końcu odegrał ponownie rzucanie włócznią i łowienie ryb, przerywając od czasu do czasu, by wskazać na Ciskę i na swoje oczy oraz pomasaować się po brzuchu - chciał jej w ten sposób dać do zrozumienia, kto będzie polował, a kto się temu przyglądał i uczył.

Kiedy skończył, miał czoło zroszone potem.

Lady Cisza patrzyła na niego w bezruchu, nie mrugając nawet oczami.

- Och, do jasnej cholery... - zachnął się porucznik Irving.

W końcu zapiął z powrotem wierzchnie okrycia, schował serwetki i porcelanowe naczynie do torby i uznał, że czas już wracać na statek. Może jednak zrozumiała coś z jego wygłupów. Być może, gdyby przychodził do lodowego domu dość często...

Rozmyślania Irvinga podążyły w tym momencie w bardzo niepożądanym kierunku, opanował się więc szybko, ściągając wodze swych fantazji niczym woźnica powstrzymujący dwa rozpędzone konie.

Być może, gdyby przychodził do lodowego domu dość często... za którymś razem wybrałby się z nią na polowanie.

A jeśli to potwór z lodu daje jej te wszystkie rzeczy? - pomyślał. Od czasu, gdy widział lady Ciszę i potwora, minęło wiele tygodni, podczas których zdołał już niemal przekonać samego siebie, że jednak niczego nie widział. Jednak uczciwsza część umysłu i pamięci Irvinga wiedziała, że widział. Potwór z lodu przyniósł jej mięso foki albo lisa polarnego, albo jeszcze innego zwierzęcia. Tamtej nocy lady Cisza wróciła na statek z rękami pełnymi jedzenia.

Pierwszy oficer z *Erebusa*, Charles Frederick Des Voeux, opowiadał historie o mężczyznach i kobietach we Francji, którzy zamieniali się w wilki. Skoro to było możliwe - a wielu oficerów i wszyscy marynarze uważali, że jest - to dlaczego Eskimoska nosząca na szyi talizman z podobizną białego niedźwiedzia nie mogłaby się zamieniać w olbrzymiego potwora o zwierzęcej sile i ludzkiej inteligencji? Nie, widział tych dwoje razem, na lodzie. Czyż nie? Irving drżącymi rękami dopiął ostatnie guziki płaszcza. W lodowym domku było bardzo ciepło; jak na ironię, to właśnie przyprawiało go o dreszcze. Czuł, że focy tłuszcz dotarł już do jego jelit i porucznik uznał, że najwyższy czas wracać. Miał nadzieję, że zdąży dotrzeć do ubikacji na Terrorze i że nie będzie musiał załatwiać potrzeby na lodzie. Miał dość kłopotów, kiedy odmroził sobie nos.

Lady Cisza przyglądała mu się uważnie przed chwilą, kiedy pakował stare serwetki i porcelanowe naczynie - później uzmysłowił sobie, że być może chciała je zatrzymać - teraz jednak jeszcze raz przytknęła jedwabną chusteczkę do twarzy i próbowała mu ją oddać.

- Nie. - Irving pokręcił głową. - To prezent ode mnie. Znak mojej przyjaźni i szacunku. Proszę go zatrzymać. Czułbym się urażony, gdyby pani tego nie zrobiła.

Spróbował pokazać to, co właśnie przed chwilą powiedział. Miał wrażenie, że kąciki ust Eskimoski znów lekko drgnęły, gdy przyglądała się jego poczynaniom.

Delikatnie odepchnął rękę, w której trzymała chusteczkę, uważając przy tym, by nie dotknąć jej nagich piersi. Wydawało się, że biały amulet ułożony na jej ciemnej skórze lśni własnym wewnętrznym blaskiem.

Irving uświadomił sobie, że jest mu bardzo, bardzo gorąco. Lodowy pokój falował lekko przed jego oczami. Czuł, jak przewracają mu się wnętrzności.

- Muszę uciekać - powiedział. Przez najbliższe tygodnie miał się zwijać ze wstydu na wspomnienie tych słów, choć lady Cisza i tak nie rozumiała, jak idiotycznie zabrzmiały w tamtym czasie i okolicznościach. Mimo to...

Irving dotknął dłonią czapki, owinał twarz szalikiem, włożył rękawiczki i rękawice, przycisnął torbę do piersi i wsunął się do wąskiego otworu wyjściowego.

Nie pogwizdywał w drodze powrotnej na statek, ale miał wielką ochotę to zrobić. Zupełnie zapomniał o tym, że gdzieś w ciemnościach może się czaić wielki potwór polujący na ludzi. Gdyby takie stworzenie rzeczywiście obserwowało tej nocy porucznika Johna Irvinga, zobaczyłoby, jak młody Anglik mówi do siebie na głos i od czasu do czasu bije się po głowie rękawicą.

CROZIER

70°05' szerokości geograficznej północnej, 98°23' długości geograficznej zachodniej. 15 lutego 1848.

- Panowie, czas, byśmy się wspólnie zastanowili, co zrobimy w ciągu najbliższych miesięcy - przemówił komandor Crozier. - Muszę podjąć odpowiednie decyzje.

Na zebranie, które odbywało się w Wielkiej Kajucie *Terroru*, wezwani zostali wszyscy oficerowie, niektórzy podoficerowie oraz specjaliści tacy jak dwaj mechanicy, dowódcy przedniego masztu, lodomistrzowie oraz ostatni pozostały przy życiu lekarz. Crozier wybrał na miejsce spotkania *Terror* nie po to, by dokuczyć komandorowi Fitzjamesowi i jego ludziom - którzy musieli przejść tutaj ze swojego statku podczas krótkiego jeszcze dnia i mieli nadzieję, że uda im się wrócić, nim znów zapadną ciemności - ani po to, by podkreślić zmianę okrętu flagowego, lecz tylko dlatego, że na statku Croziera w izbie chorych leżało mniej ludzi. Łatwiej było przenieść tych kilku pacjentów do tymczasowej izby chorych na dziobie i przygotować Wielką Kajutę na zebranie; na *Erebusie* liczba chorych na skorbut była dwukrotnie większa, a do tego, jak zaznaczył doktor Goodsir, niektórzy z nich byli w tak ciężkim stanie, że nie należało ruszać ich z miejsca.

Teraz piętnastu dowódców ekspedycji siedziało wokół długiego stołu, który w styczniu został nieco przycięty i zamieniony w stół operacyjny, teraz jednak dzięki staraniom cieśli *Terroru*, pana Honeya, wrócił do swego dawnego wyglądu. Oficerowie i cywile zostawili wierzchnie okrycia, rękawice, uszanki i szaliki przy głównych schodach, nadal jednak mieli na sobie grubą warstwę ubrań. W pokoju unosił się zapach wilgotnej wełny i niedomytych ciał.

W długiej kajucie było zimno i mroczno; przez umieszczone w suficie iluminatory nie wpadał blask słońca, na pokładzie wciąż bowiem leżała gruba warstwa śniegu przykryta na dodatek płótnem. Jedynym źródłem światła były nikle płomienie lamp olejowych stojących na grodziach.

Zgromadzenie oficerów i cywilów przypominało letnią naradę wojenną, którą sir John zwołał niemal półtora roku wcześniej na *Erebusie*, teraz jednak u szczytu stołu, przy prawej burcie, siedział Francis Crozier. Po jego lewej ręce miejsca zajęło siedmiu oficerów i podoficerów, których Crozier zaprosił na zebranie. Tuż obok komandora zasiadł porucznik Edward Little, a następne miejsca zajmowali kolejno: porucznik George Hodgson, porucznik John Irving, mechanik James Thompson - jeszcze chudszy, bledszy i bardziej wymizerowany niż zwykle, lodomistrz Thomas Blanky, który poruszał się już na swej drewnianej nodze z ogromną wprawą, oraz dowódca przedniego masztu Harry Peglar, jedyny bosman z *Terroru*, którego zaprosił tu Crozier. W zebraniu brał także udział sierżant Tozer, który nie cieszył się łaską komandora po karnawale, kiedy jego ludzie strzelali do marynarzy, lecz wciąż był najwyższym rangą żołnierzem piechoty morskiej na obu statkach - reprezentującym znacznie uszczuplony oddział wojska uczestniczącego w ekspedycji.

Naprzeciwno Croziera, przy lewej burcie statku, siedział komandor porucznik Fitzjames. Crozier wiedział, że Fitzjames nie golił się już od kilku tygodni, w wyniku czego jego twarz obrosła rudawą brodą przetykaną zaskakująco gęstymi pasmami siwizny, jednak tego dnia zdobył się na ten wysiłek albo poprosił, by ogolił go jego steward, pan Hoar. Jego twarz wyglądała teraz bladziej i szczuplej niż zazwyczaj, w dodatku pokryta była mnóstwem drobnych skaleczeń i zadrapań. Choć ciało Fitzjamesa okrywała gruba warstwa ubrań, widać było, że jest przerażająco chude.

Po lewej ręce komandora Fitzjamesa siedziało sześciu ludzi z załogi *Erebusa*. Tuż obok dowódcy zasiadał jedyny pozostały przy życiu oficer tego statku - sir John Franklin, porucznik Gore i porucznik James Walter Fairholme zostali zabici przez potwora z lodu - porucznik H.T.D. Le

Vesconte, który od czasu do czasu pobłyskiwał w uśmiechu swym złotym zębem. Obok Le Vesconte'a zasiadał Charles Frederick Des Voeux, który przejął obowiązki pierwszego oficera Roberta Orme'a Sergeanta, zabitego przez potwora w grudniu, podczas naprawiania kopców na lodzie.

Po lewej stronie Des Voeux zajmował miejsce jedyny pozostały przy życiu lekarz, doktor Harry D.S. Goodsir. Choć obecnie pełnił obowiązki lekarza całej ekspedycji, zarówno on sam, jak i oficerowie uznali, że powinien siedzieć obok swoich dawnych towarzyszy z *Erebusa*.

Obok Goodsira siedział lodomistrz James Reid, a obok lodomistrza jedyny mat z *Erebusa* obecny na spotkaniu, dowódca przedniego masztu Robert Sinclair. Ostatnie miejsce w tym szeregu zajmował mechanik *Erebusa*, John Gregory, który wyglądał znacznie zdrowiej niż jego odpowiednik z *Terroru*, Pan Gibson z *Terroru* i pan Bridgens z *Erebusa*, zastępujący złożonych skorbutem stewardów obu komandorów, podali suchary z robakami i herbatę.

- Zaczniemy od najważniejszego - mówił Crozier. - Po pierwsze, czy możemy zostać na statkach aż do nadejścia letnich roztopów? I czy nasze statki dadzą radę płynąć w lipcu lub sierpniu, jeśli w ogóle nadejdzie odwilż? Komandorze Fitzjames?

Gdy Fitzjames się odezwał, w jego głosie nie było donośnego, pewnego siebie tonu, jakim niegdyś przemawiał dowódca *Erebusa*. Mężczyźni zasiadający po obu stronach stołu musieli się pochylić, by go usłyszeć.

- Nie sądzę, żeby *Erebus* dotrwał do lata. Taka jest moja opinia, i taka jest opinia pana Weekesa i pana Watsona, moich cieśli, pana Browna, mojego bosmanmata, pana Ridgena, mojego sternika, pana porucznika Le Vesconte oraz pierwszego oficera Des Voeux. Wszyscy jesteśmy przekonani, że gdy nadejdą roztopy, *Erebus* zatonie.

Wydawało się, że zimne powietrze w Wielkiej Kajucie zrobiło się nagle jeszcze zimniejsze. Przez całe pół minuty w kajucie panowała kompletna cisza.

- Nacisk lodu zniszczył poszycie obu burt - kontynuował Fitzjames cichym, zachrypniętym głosem. - Główny wał został wygięty i nie nadaje się do naprawy. Jak wszyscy wiecie, wał został zaprojektowany tak, by można go było wciągnąć do wnętrza, aż do poziomu najniższego pokładu, by w ten sposób uchronić go przed zniszczeniem, ale teraz nie da się już tego zrobić, a nie mamy zapasowych wałów. Śruba została zgięta przez lód, podobnie jak ster. Moglibyśmy przygotować zastępczy ster, ale lód rozdarł poszycie dna wzdłuż kilu na całej jego długości. Straciliśmy prawie połowę żelaznych osłon wzdłuż dziobu i burt. Co więcej - kontynuował Fitzjames - lód ścisnął kadłub tak mocno, że żelazne wzmocnienia, dodatkowe belki i poprzecznice przebiły poszycie co najmniej w kilkunastu miejscach. Gdyby nawet udało nam się załatać wszystkie te dziury i rozwiązać jakoś problem wału i śruby, *Erebus* nie miałby żadnej wewnętrznej ochrony przed lodem. Następna rzecz to drewniane wyłobienia na burtach, które miały zapobiec wspinaniu się lodu na nadburcia. Spełniły swą funkcję, to prawda, ale ciśnienie działające na te wyłobienia, wynikające z ułożenia statku w lodzie, sprawiło, że popękały wszystkie deski ciągnące się wzdłuż wyłobień.

Fitzjames dopiero teraz zauważył, z jaką uwagą wszyscy przysłuchują się jego słowom. Zamilkł na moment i opuścił wzrok, jakby się zawstydził. Kiedy przemówił ponownie, jego głos brzmiał niemal przeprasząco.

- Ale najgorsze jest to, że napór lodu wykrzywił cały kadłub, stępkę i poszycie. Pokłady się łamią, wykrzywiają w górę. W całości utrzymuje je tylko ciężar śniegu i lodu... Żaden z nas nie wierzy, by pompy nadażyły z wylewaniem wody wpływającej wszystkimi pęknięciami i szczelinami, gdyby *Erebus* znów znalazł się na wodzie... To wszystko z mojej strony. Pan Gregory opowie wam o stanie kotła, zapasów węgla i układu napędowego.

Oczy wszystkich obecnych zwróciły się w stronę Johna Gregory'ego. Mechanik odchrząknął i

obliział blade, spierzchnięte wargi.

- HMS *Erebus* nie ma już żadnego układu napędowego - rzekł. - Wał jest tak powyginany, że dałoby się go naprawić tylko w suchym doku w Bristolu. Węgla nie starczyłoby nawet na jeden dzień pracy kotła pod pełną parą. Do końca kwietnia skończy nam się węgiel do ogrzewania statku, nawet jeśli będziemy przepychać wodę tylko do dolnego pokładu i tylko przez czterdzieści pięć minut na dobę.

- Panie Thompson - przerwał mu Crozier, zwracając się do mechanika z *Terroru*. - Jak wygląda sytuacja na naszym statku?

Żywy szkielet przez chwilę przyglądał się swemu dowódcy w milczeniu, a potem przemówił zaskakująco silnym głosem.

- Gdybyśmy spuścili teraz *Terror* na wodę, silnik nie mógłby pracować dłużej niż przez godzinę lub dwie. Półtora roku temu schowaliśmy wał, śruba też jest cała - mamy zresztą zapasową - ale kończy nam się węgiel. Gdybyśmy przenieśli tu węgiel z *Erebusa* i tylko ogrzewali nasz statek, przepychając gorącą wodę dwie godziny na dobę, wystarczyłoby go... powiedzmy... do początku maja. Ale wtedy nie mielibyśmy już na czym płynąć. Jeśli pozostaniemy tylko przy zapasach *Terroru*, będziemy musieli zakończyć ogrzewanie w połowie kwietnia.

- Dziękuję, panie Thompson. - Komandor przemawiał cichym, pozbawionym emocji tonem. - Poruczniku Little i panie Peglar, czy zechcielibyście nam powiedzieć, w jakim stopniu *Terror* zdolny jest do żeglugi?

Little skinął głową, przesunął spojrzeniem po zgromadzonych przy stole, a potem ponownie popatrzył na swego dowódcę.

- Nie jesteśmy w aż tak złej sytuacji jak *Erebus*, ale łód uszkodził w wielu miejscach poszycie, zewnętrzne osłony, ster i wewnętrzne wzmocnienia. Niektórzy z was wiedzą zapewne, że jeszcze przed Bożym Narodzeniem porucznik Irving odkrył, iż straciliśmy nie tylko większość żelaznej osłony na prawej burcie obok dziobu, ale że dziesięć cali dębu i wiązu w okolicach dziobu wykrzywiło deski w poszyciu na poziomie schowka na linę kotwiczną. Dzięki temu odkryliśmy także, że trzynaście cali twardego dębu wzdłuż dna statku zostało wykrzywione lub naruszone w dwudziestu lub trzydziestu miejscach. Deski na dziobie zostały wymienione i wzmocnione, nie możemy się jednak dostać do wszystkich uszkodzeń na dnie, bo pokryte są warstwą lodu i wody. Myślę, że *Terror* mógłby pływać i byłby sterowny - podsumował porucznik Little - ale nie mogę pana zapewnić, że pompy nadążą z wylewaniem wody wpływającej wszystkimi szczelinami. Szczególnie że łód będzie napierała jeszcze przez następne cztery lub pięć miesięcy. Myślę, że pan Peglar może powiedzieć o tym coś więcej.

Harry Peglar odchrząknął. Najwyraźniej nie był przyzwyczajony do przemawiania w obecności tylu oficerów.

- Jeśli *Terror* znów znajdzie się na wodzie, moi ludzie założą wszystkie maszty, takielunek i żagle w ciągu czterdziestu ośmiu godzin od wydania takiego rozkazu. Nie mogę zagwarantować, że dzięki samej tylko mocy żagli uda nam się przebić przez lód, który widzieliśmy na południu, ale jeśli znajdziemy się na otwartej wodzie, będziemy mogli pływać. Pozwolę sobie tutaj wtrącić słówko od siebie, panowie... Moim zdaniem lepiej założyć maszty za wcześniej niż za późno.

- Nie obawiasz się, że łód zgromadzony na masztach przewróci statek? - spytał Crozier. - Albo spadnie na nas, kiedy będziemy pracować na pokładzie? Przed nami jeszcze długie miesiące mrozu i śnieżyc, Harry.

- Tak jest, komandorze. - Peglar skinął głową. - Takie zagrożenie zawsze istnieje. Ale mimo to uważam, że na wypadek nagłej odwilży lepiej mieć już maszty i takielunek na miejscu. Być może

będziemy musieli przygotować się do żeglugi w ciągu dziesięciu minut. Poza tym moi ludzie potrzebują trochę ruchu i ćwiczeń. A co do spadającego lodu... cóż, to tylko wzmocni naszą czujność. Spadający lód i bestia z lodu.

Kilku ludzi przy stole zachichotało. Optymistyczne raporty Little'a i Peglara rozładowały nieco napięcie. Świadomość, że chociaż jeden z okrętów nadal może pływać, podniosła wszystkich na duchu. Crozier miał wrażenie, że podniosła się temperatura w Wielkiej Kajucie - i być może tak było, bo wielu spośród zebranych znów zaczęło oddychać pełną piersią.

- Dziękuję panu, panie Peglar. - Crozier skinął głową. - Wygląda na to, że jeśli zechcemy stąd odpłynąć, będziemy musieli zrobić to na pokładzie *Terroru*, Wszyscy. Obie załogi.

Żaden z oficerów nie wspomniał głośno, choć wszyscy o tym pomyśleli, że dokładnie takie samo rozwiązanie Crozier proponował już półtora roku wcześniej.

- No właśnie, porozmawiajmy teraz przez chwilę o potworze z lodu - powiedział Crozier. - Wydaje się, że ostatnio nie pokazywał się w pobliżu żadnego ze statków.

- Od pierwszego stycznia nie musiałem opatrywać żadnych ran

- potwierdził doktor Goodsir. - Nikt też nie umarł ani nie zaginął od czasu karnawału.

- Marynarze pełniący wachtę meldowali jednak, że widzieli jakiś wielki kształt przesuwający się między serakami - wtrącił porucznik Le Vesconte. - Słyszeli też jakieś dziwne odgłosy w ciemnościach.

- Ludzie stojący na warcie zawsze słyszeli dziwne odgłosy w ciemnościach - odrzekł porucznik Little. - Poczynając od starożytnych Greków aż do dzisiaj.

- Może gdzieś sobie poszedł - zasugerował porucznik Irving.

- Przeniósł się. Na południe. Albo na północ. Wszyscy ucichli, zastanawiając się nad tą myślą.

- A może zjadł nas już dość wielu, by przekonać się, że nie jesteśmy smacznymi - powiedział lodomistrz Blanky.

Niektórzy uśmiechnęli się, słysząc ten komentarz. Nikt inny nie ośmieliłby się żartować w ten sposób, ale pan Blanky przeszedł już tyle, że mógł korzystać ze szczególnych przywilejów.

- Moi żołnierze prowadzili poszukiwania zgodnie z rozkazem komandora Croziera i komandora Fitzjamesa - rzekł sierżant Tozer. - Zastrzeliliśmy kilka niedźwiedzi, ale żaden z nich nie wyglądał na to... stworzenie.

- Mam nadzieję, że pańscy ludzie strzelają już nieco lepiej niż w czasie nocy karnawałowej - powiedział Sinclair, odpowiedzialny za przedni maszt *Erebusa*.

Tozer odwrócił się w stronę Sinclaira i spojrzał nań spod przymrużonych powiek.

- Nie poruszajmy już tego tematu - uciął komandor Crozier. - Na razie musimy założyć, że potwór z lodu wciąż żyje i prędzej czy później wróci. Wychodząc ze statku, musimy zawsze mieć jakiś plan obrony przed tym stworzeniem. Mamy za mało żołnierzy, by eskortowali wszystkie grupy ciągnące sanie, być może powinniśmy więc uzbroić marynarzy. Każda grupa składałaby się z zaprzęgu i uzbrojonej eskorty, które co jakiś czas zamieniałyby się miejscami. Nawet jeśli tego lata lód znów nie stopnieje, łatwiej nam będzie podróżować w ciągu dnia polarnego.

- Proszę wybaczyć, że zapytam wprost, komandorze - odezwał się Goodsir - ale czy możemy czekać z decyzją opuszczenia statków aż do lata?

- No właśnie, doktorze Goodsir, możemy? - odpowiedział pytaniem Crozier.

- Nie sądzę. - Goodsir pokręcił głową. - Coraz więcej puszek jest zepsutych lub zatrutych, więcej, niż przypuszczaliśmy. Kończą nam się wszystkie inne zapasy. Ludzie nie dostają już dość pożywienia, by mieć siły do pracy na statku lub na lodzie. Wszyscy robią się coraz słabsi i chudsi.

Jeśli dodamy do tego rosnącą liczbę zachorowań na szkorbut... Cóż, panowie, nie sądzę, by wielu z nas, czy to z *Erebusa*, czy z *Tenoru* - jeśli oczywiście oba statki przetrwają do tej pory - miało dość sił, by w ogóle wybrać się w jakąś podróż, jeśli poczekamy z tym do czerwca lub lipca.

W kajucie znów zapadła cisza. Po chwili Goodsir dodał:

- Może zdarzyć się też tak, że niektórzy znajdą w sobie dość sił, by ciągnąć sanie i łodzie, salwując się ucieczką ku bardziej cywilizowanym terenom, będą jednak musieli zostawić ogromną większość obu załóg na statkach.

- Ci najsilniejsi mogliby sprowadzić pomoc dla wszystkich - wtrącił porucznik Le Yesconte.

Tym razem przemówił lodomistrz Thomas Blanky.

- Każdy, kto wyruszy na południe, zaciągnie, damy na to, łodzie do ujścia Rzeki Backa, a potem przepłynie pod prąd kolejne osiemset pięćdziesiąt mil na południe i dotrze do Wielkiego Jeziora Niewolniczego, gdzie jest nasza placówka, dotrze tam najwcześniej późną jesienią lub zimą i sprowadzi ratunek nie wcześniej niż późnym latem tysiąc osiemset czterdziestego dziewiątego roku. Do tej pory wszyscy, którzy zostaną na statkach, umrą na szkorbut albo z głodu.

- Moglibyśmy załadować sanie i ruszyć ku Zatoce Baffina - powiedział Des Voeux. - Tam może trafimy na wielorybników. Albo nawet na ekipy ratunkowe szukające naszych statków.

- Tak. - Blanky skinął głową. - Istnieje taka możliwość. Musielibyśmy jednak przeciągnąć sanie przez setki mil lodu, wały lodowe i być może pasy otwartej wody. Albo iść wzdłuż wybrzeża, ale to byłoby ponad tysiąc dwieście mil. A potem musielibyśmy przejść cały półwysep Boothia, pokonać wszystkie góry i przeszkody, żeby dostać się do wschodniego wybrzeża, gdzie mogą być wielorybnicy. Moglibyśmy ciągnąć ze sobą łodzie, żeby przepływać w nich pasy otwartej wody, ale wtedy nasz ładunek byłby trzykrotnie cięższy. Jedno jest pewne: jeśli łódź nie otwiera się tutaj, to nie otworzy się też na północnym wschodzie, przy Zatoce Baffina.

- Byłoby nam znacznie lżej, gdybyśmy zabrali tylko sanie z zapasami i namiotami - przemówił porucznik Hodgson z *Terroru* - Jedna szalupa musi ważyć co najmniej sześćset funtów.

- Raczej osiemset - sprostował komandor Crozier. - Bez żadnych zapasów.

- Dodajmy do tego ponad sześćset funtów sań, które mogą przewieźć taką łódź - przemówił ponownie Thomas Blanky - i okaże się, że każda grupa będzie ciągnąć około tysiąca czterystu, tysiąca pięciuset funtów, nie licząc jedzenia, namiotów, broni, ubrań i innych rzeczy, które musimy ze sobą zabrać. Nikt nie przeciągnął takiego ciężaru przez ponad tysiąc mil. A znaczna część tej trasy wiodłaby przez otwarty lód, z wałami, górami i tak dalej.

- Ale sanie z żaglem sunęłyby po lodzie łatwiej niż po ziemi, szczególnie w marcu lub kwietniu, kiedy lód nie zacznie się jeszcze topić i nie robi się lepki - odezwał się porucznik Le Vesconte.

- Moim zdaniem powinniśmy zostawić łodzie i wyruszyć w stronę Zatoki Baffina tylko z saniami i niezbędnymi zapasami - ponownie zabrał głos Des Voeux. - Jeśli dotrzemy na wschodnie wybrzeże wyspy Somerset, zanim skończy się sezon wielorybiczny, na pewno trafimy na jakiś statek. Jestem też pewien, że będą tam już okręty ratownicze naszej marynarki.

- Jeśli zostawimy tu łodzie, zatrzyma nas pierwszy pas otwartej wody - odrzekł lodomistrz Blanky. - Umrzemy na lodzie.

- Dlaczego właściwie okręty ratownicze miałyby nas szukać po wschodniej stronie wyspy Somerset i półwyspu Boothia? - spytał porucznik Little. - Jeśli rzeczywiście będą nas szukać, popłyną raczej przez Cieśninę Lancastera, do wysp Devon, Beechey i Cornwallisa. Wiedzą, jakie rozkazy otrzymał sir John. Zapewne będą zakładać, że przepłynęliśmy przez cieśninę Lancaster, bo zazwyczaj latem ta cieśnina jest żeglowna. Żaden z nas na pewno nie dotrze aż tak daleko na północ.

- Być może w tym roku w Cieśninie Lancastera lód jest równie gruby jak tutaj - przemówił lodomistrz Reid. - Wtedy ekipy ratunkowe szukałyby nas raczej na południu, po wschodniej stronie wyspy Somerset i półwyspu Boothia.

- Może znajdą wiadomości, które zostawiliśmy w kopcach na Beechey, jeśli rzeczywiście tam dotrą - wtrącił sierżant Tozer. - I wyślą sanie albo statki tam, gdzie trzeba, na południe.

W kajucie zapadła nagle martwa cisza.

- Nie zostawiliśmy żadnych wiadomości na Beechey - oświadczył komandor Fitzjames. O tym wiedzieli wszyscy prócz sierżanta Tozera.

W pełnej zakłopotania ciszy, jaka znów zapadła w Wielkiej Kajucie po owych słowach, Francis Rawdon Moira Crozier poczuł nagle, że w jego piersiach płonie dziwny, gorący i czysty płomień. Było to uczucie podobne do pierwszego łyku whisky po długiej abstinencji, a zarazem zupełnie od niego różne.

Crozier chciał żyć. Po prostu. Zamierzał przetrwać ten trudny okres wbrew wszelkim przeciwnościom i bogom, którzy odmawiali mu prawa do życia. Ten ogień w jego piersiach płonął już w tych pełnych bólu i słabości dniach na początku stycznia, kiedy bliski śmierci zdołał jednak przetrwać ataki głodu alkoholowego i uwolnić się od nałogu. Z każdym dniem płomień przybierał na sile.

Francis Crozier lepiej niż którykolwiek z obecnych w Wielkiej Kajucie ludzi rozumiał, jak nierealne są proponowane przez nich rozwiązania. Głupotą byłaby wyprawa na południe, przez lód, w stronę Rzeki Backa. Głupotą byłaby też wędrówka w stronę wyspy Somerset, przez tysiąc dwieście mil przybrzeżnego lodu. Głupotą była wiara w to, że lód tego lata stopnieje i pozwoli *Terrorowi* - obciążonemu podwójną załogą i niemal zupełnie pozbawionemu zapasów - wypłynąć z beznadziejnej pułapki, w którą wprowadził ich sir John.

Mimo to Francis Crozier pragnął żyć i nie zamierzał się poddawać. Płomień płonął w jego piersiach niczym mocna irlandzka whisky.

- Czy to oznacza, że w ogóle nie bierzemy już pod uwagę drogi morskiej? Przed chwilą usłyszeliśmy, że *Terror* może pływać - odezwał się Robert Sinclair.

Odpowiedział mu James Reid, lodomistrz *Erebusa*.

- Musielibyśmy przepłynąć prawie trzysta mil na północ, przez nienazwaną jeszcze cieśninę, którą odkrył sir John, potem przez cieśniny Barrowa i Lancastera, a potem jeszcze na południe, przez Zatokę Baffina, i to wszystko przed nadejściem zimy, nim znów dopadnie nas lód. Kiedy płynęliśmy na południe, mieliśmy do dyspozycji silnik parowy i żelazne osłony. Nawet gdyby lód stopniał do takiego stopnia jak dwa lata temu, mielibyśmy wielkie problemy z przebyciem takiego dystansu tylko na żaglach. I z osłabionym kadłubem.

- Lód może być znacznie mniejszy niż w tysiąc osiemset czterdziestym szóstym roku - odrzekł Sinclair.

- A z mojej dupy mogą wylecieć anioły - powiedział Thomas Blanky.

Ze względu na kalectwo lodomistrza żaden z oficerów obecnych przy stole nie próbował nawet go upominać. Kilku się uśmiechnęło.

- Istnieje jeszcze inne rozwiązanie... to znaczy, jeśli chodzi o drogę morską - odezwał się porucznik Edward Little.

Oczy wszystkich obecnych zwróciły się w jego stronę. Kilku oficerów i podoficerów paliło fajki nabite tytoniem, który odkładali na taką okazję jak ta. Dym wypełniający kajutę sprawiał, że było w niej jeszcze ciemniej niż na początku zebrania.

- Podczas wyprawy do kopca sir Rossa w zeszłym roku porucznik Gore dostrzegł podobno

jakiś łód na południe od Ziemi Króla Williama - kontynuował Little. - Jeśli rzeczywiście tak było, musiał to być Półwysep Adelajdy, terytorium już nam znane, przy którym podobno często można znaleźć pas otwartej wody między lodem przybrzeżnym a pakiem. Gdyby łód popękał na tyle, byśmy mogli popłynąć na południe, zaledwie nieco ponad sto mil, a nie trzysta mil dzielące nas od Cieśniny Lancastera, moglibyśmy pożeglować wzdłuż zachodniego wybrzeża aż do Cieśniny Beringa.

- Przejdźcie Północno-Zachodnie - skwitował porucznik John Irving. Jego słowa zabrzmiały jak jakieś ponure zaklęcie.

- Pozostaje pytanie, czy do lata będziemy mieli jeszcze dość zdrowych ludzi, by obsadzić statek załogą - przemówił cicho doktor Goodsir. - Do maja wszyscy możemy być już chorzy na szkorbut. A co będziemy jedli podczas tygodni lub miesięcy żeglugi na zachód?

- Możemy polować - odpowiedział sierżant Tozer. - Na zachodzie z pewnością będzie więcej zwierzyny. Woły piżmowe. Karibu. Morsy. Lisy polarne. Może zanim dopłyniemy do Alaski, będziemy jeść jak królowie.

Crozier spodziewał się, że Blanky dorzuci swoje: „A z mojej dupy może wylecą woły piżmowe”, ale lodomistrz milczał pogrążony w myślach.

Tozerowi odpowiedział jednak porucznik Little.

- Sierzancie, problem w tym, że nawet gdyby dzika zwierzyna powróciła jakimś cudem po dwóch latach nieobecności, żaden z marynarzy nie umiałby jej zastrzelić z muszkietu... oprócz pańskich podwładnych, oczywiście. Potrzebowalibyśmy do polowania znacznie więcej ludzi niż tych kilku żołnierzy, którzy pozostali jeszcze przy życiu. Zdaje się też, że żaden z nas nie polował na stworzenia większe niż ptaki. Czy ze strzelby śrutowej można zastrzelić te zwierzęta, o których pan mówił?

- Jeśli podejdzie się dość blisko - odparł Tozer ponuro. Crozier przerwał tę jałową dyskusję:

- Doktor Goodsir poruszył tu bardzo ważny problem... Jeśli poczekamy do lata albo nawet tylko do czerwca, by przekonać się, czy łód pęka, będziemy już być może zbyt chorzy i głodni, by obsadzić statek kompletną załogą. Z pewnością zabraknie nam zapasów, żeby wyruszyć w podróż saniami. Musimy zakładać, że podróż do ujścia Rzeki Backa zajmie nam trzy do czterech miesięcy, jeśli więc chcemy porzucić okręty i wyruszyć w drogę w nadziei, że uda nam się dotrzeć do Wielkiego Jeziora Niewolniczego albo na wschodnie wybrzeże wyspy Somerset jeszcze przed zimą, powinniśmy zrobić to przed czerwcem. Ale kiedy?

W kajucie znów zapadła pełna zakłopotania cisza.

- Myślę że nie później niż pierwszego maja - powiedział wreszcie porucznik Little.

- Moim zdaniem, jeszcze wcześniej - oparł doktor Goodsir. - Chyba że znajdziemy jakieś źródło świeżego mięsa, a choroba nie będzie się rozprzestrzeniała w takim tempie, jak teraz.

- Więc kiedy? - spytał komandor Fitzjames.

- Nie później niż w połowie kwietnia? - podsunął nieśmiało Goodsir. Ludzie spojrzeli po sobie. Do tego czasu zostały już niecałe dwa miesiące.

- Być może nawet wcześniej - dodał lekarz głosem, który wydał się Crozierowi stanowczy i niepewny zarazem. - Jeśli sytuacja nadal będzie się pogarszać.

- A może być jeszcze gorsza niż teraz? - spytał porucznik Hodgson.

Młody oficer chciał zapewne, by zabrzmiało to jak żart, który rozładuje nieco napiętą atmosferę, odpowiedziały mu jednak tylko groźne spojrzenia i złe miny.

Crozier nie chciał, by narada zakończyła się w takim nastroju. Oficerowie, podoficerowie i cywile zgromadzeni przy stole przeanalizowali swoją sytuację i przekonali się, że jest bardzo trudna, jeśli nie beznadziejna, o czym Crozier wiedział już od dawna, nie chciał jednak, by morale jeszcze

się pogorszyło.

- Aha, jeszcze jedno - dodał Crozier swobodnym tonem. - Komandor Fitzjames postanowił odprawić w przyszłą niedzielę mszę na pokładzie *Erebusa*. Wygłosi wtedy specjalne kazanie, którego bardzo chciałbym wysłuchać, choć wiem z pewnych źródeł, że nie będzie to czytanie z Księgi Lewiatana. Pomyślałem też, że skoro zgromadzą się wtedy załogi obu statków, to przy okazji wydamy wszystkim pełny obiad i pełne racje grogu.

Wszyscy rozpromienili się nagle i zaczęli rozmawiać między sobą z ożywieniem. Nikt nie spodziewał się, że przyniesie z tego zebrania jakieś dobre wieści.

Fitzjames uniósł lekko brew. Wiadomość o jego „specjalnym kazaniu” i mszy była dlań równie zaskakująca jak dla pozostałych, Crozier uznał jednak, że dobrze będzie, jeśli coraz chudszy komandor porucznik zajmie czymś myśli i znajdzie się choć przez chwilę w centrum uwagi. Fitzjames skinął lekko głową.

- No dobrze, panowie - przemówił Crozier, nieco już bardziej formalnym tonem. - Ta wymiana myśli i informacji była bardzo pomocna. Komandor Fitzjames i ja będziemy jeszcze o tym dyskutować, być może poprosimy o opinię kilku z was, i dopiero wówczas postanowimy, jak będą wyglądały nasze poczynania w najbliższej przyszłości. Na tym skończymy, bo chciałbym, żeby panowie z *Erebusa* wrócili do siebie jeszcze za dnia. Z Bogiem, panowie. Zobaczymy się w niedzielę.

Oficerowie i podoficerowie ruszyli do wyjścia. Fitzjames podszedł do Croziera, pochylił się i wyszeptał:

- Być może zechcę pożyczyć od ciebie tę Księgę Lewiatana, Francisie.

- To powiedziawszy, dołączył do swych towarzyszy z *Erebusa*, którzy stali przy schodach i wkładali zamrożone wierzchnie okrycia.

Gdy oficerowie *Terroru* powrócili do swoich zajęć, komandor Crozier siedział przez chwilę w bezruchu, rozmyślając o sprawach, które przed chwilą były tematem dyskusji. Ogień życia płonął w jego piersiach mocniej niż kiedykolwiek.

- Komandorze?

Crozier podniósł wzrok. W kajucie pozostał jeszcze stary steward z *Erebusa*, Bridgens, który przejął obowiązki chorego stewarda komandora Fitzjamesa. Bridgens pomagał Gibsonowi sprzątać talerze i filiżanki ze stołu.

- Och, może pan już iść, panie Bridgens - powiedział Crozier.

- Proszę dołączyć do pozostałych, Gibson zajmie się tym wszystkim. Nie chciałbym, żeby wracał pan na *Erebusa* sam.

- Tak jest - odrzekł stary steward. - Wcześniej jednak chciałbym zamienić z panem słówko, komandorze, jeśli pan pozwoli, oczywiście.

Crozier skinął głową. Nie poprosił stewarda, by usiadł. Zawsze czuł się skrępowany w obecności tego starego marynarza - o wiele za starego na pracę w Służbie Badawczej. Gdyby to Crozier wybierał przed trzema laty członków załogi, Bridgens nigdy nie trafiłby listę - z pewnością nie po tej prymitywnej sztuczce z zamianą cyfr w rubryce opisującej wiek - ale sir Johna bawił fakt, że na pokładzie jego statku pracuje steward starszy nawet od niego, sprawa była więc przesądzona.

- Słyszałem panów dyskusję, panie komandorze, z której wynika, że mamy do wyboru trzy możliwości; albo pozostaniemy na statkach i będziemy czekać na odwilż, albo wyruszymy na południe, do Rzeki Backa, albo przejdziemy po lodzie do Somerset i Boothii. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, komandorze, chciałbym zasugerować czwartą możliwość.

Komandor miał coś przeciwko. Nawet taki egalitarysta jak Francis Crozier nie uważał za

stosowne, by steward z mesy podoficerów udzielał mu rad w sprawach decydujących o życiu lub śmierci jego podwładnych. Odpowiedział jednak:

- Proszę.

Steward podszedł do biblioteki wbudowanej w grodz rufową, wyjął dwa wielkie tomy, przyniósł je do stołu i położył na blacie.

- Z pewnością wie pan, komandorze, że w tysiąc osiemset dwudziestym dziewiątym roku sir John Ross i jego krewniak James popłynęli na swoim statku Victory wzdłuż wschodniego wybrzeża Boothia Felix, półwyspu, który wówczas odkryli, i który dziś nazywamy półwyspem Boothia.

- Wiem o tym doskonale, panie Bridgens - odrzekł Crozier chłodno. - Znam dobrze zarówno sir Johna, jak i sir Jamesa. - Podczas pięciu lat wspólnego pobytu w lodach Antarktyki Crozier miał okazję poznać Jamesa Clarka Rossa lepiej niż dobrze.

- Tak jest, komandorze. - Bridgens, który wcale nie wyglądał na speszonego, skinął głową. - Jestem pewien, że zna pan szczegóły tej wyprawy. Spędzili w lodzie cztery zimy. Pierwszej zimy sir John zakotwiczył Victory przy wschodnim wybrzeżu Boothii, w Felix Harbour... niemal dokładnie na wschód od miejsca, w którym się teraz znajdujemy.

- Uczestniczył pan w tej ekspedycji, panie Bridgens? - spytał Crozier. Chciał, by stary steward jak najszybciej przeszedł do sedna.

- Nie miałem tego zaszczytu, komandorze. Przeczytałem jednak te dwie grube książki, w których sir John opisuje ze szczegółami swoją wyprawę. Zastanawiałem się, czy pan także znalazł czas, by do nich zajrzeć.

Crozier czuł, jak budzi się w nim jego irlandzki gniew. Stary steward przemawiał ze śmiałością graniczącą z bezczelnością.

- Oczywiście, że zajrzałem do tych książek - odparł lodowatym tonem. - Nie miałem jednak czasu, by przeczytać je w całości. Czy to ma jakiś związek z tym, co chce mi pan powiedzieć, panie Bridgens?

Każdy inny oficer, podoficer, marynarz lub żołnierz służący pod komendą Croziera natychmiast zrozumiałby, że nie jest tu mile widziany, i pospieszenie wycofałby się z kajuty, kłaniając się w pas, Bridgens jednak jakby nie zauważał irytacji dowódcy wyprawy.

- Tak, komandorze - powiedział steward. - Chodzi o to, że John Ross...

- Sir John - przerwał mu Crozier.

- Oczywiście. Sir John Ross miał ten sam problem co my, komandorze.

- Bzdura. Ich statek, Victory, zamarzył po wschodniej stronie Boothii, panie Bridgens, dokładnie tam, gdzie chcielibyśmy dotrzeć, gdyby pozwoliły nam na to warunki. Setki mil na wschód od tego miejsca.

- Tak jest, komandorze, ale na tej samej szerokości, choć dzięki Boothii oni nie mieli do czynienia z tym przeklętym pakiem z północnego zachodu. Spędzili tam jednak trzy zimy, uwięzieni w lodzie, jak my. Ludzie Jamesa Rossa przeszli ponad sześćset mil na zachód, ciągnąc sanie przez lód i półwysep Boothia do Ziemi Króla Williama, czyli zaledwie dwadzieścia pięć mil na południowy wschód od nas, panie komandorze. To właśnie James Ross nadał nazwę Victory Point miejscu, do którego biedny porucznik Gore dotarł zeszłego lata.

- Sądzi pan, że nie wiedziałem, kto odkrył Ziemię Króla Williama i Victory Point? - spytał Crozier, z trudem utrzymując nerwy na wodzy. - Podczas tej wyprawy James Ross odkrył też biegun magnetyczny. Sir James jest... był... najwybitniejszym odkrywcą naszych czasów, panie Bridgens.

- Tak jest, komandorze - odparł steward z uśmiechem, za który Crozier chętnie by go pobił. Komandor wiedział od dawna, że Bridgens jest pederastą, przynajmniej na lądzie. Po tym, jak mat

uszczelniać, omal nie wywołał na pokładzie buntu, komandor Crozier miał dość pederastów. - Chodzi mi o to, panie komandorze, że po trzech zimach spędzonych w łodzie, kiedy jego ludzie byli zapewne tak chorzy na szkorbut, jak nasi będą latem, sir John uznał, że nigdy nie uwolnią się z lodu, i zatopił Victory w dziesięciu sążniach wody przy wschodnim wybrzeżu Boothii, na wschód od nas, po czym wyruszył na północ, do Fury Beach, gdzie komandor Parry zostawił zapasy i łodzie.

Crozier zrozumiał, że prędzej uda mu się powiesić tego człowieka, niż zamknąć mu usta, zmarszczył więc brwi i cierpliwie słuchał.

- Pamięta pan zapewne, komandorze, że łodzie i zapasy Parry'ego były właśnie na Fury Beach. Ross wziął łodzie i popłynął na północ, wzdłuż wybrzeża do przylądka Clarence, gdzie ze szczytu urwisk widzieli morze za cieśninami Barrowa i Lancastera. Mieli nadzieję, że dostrzegą tam statki wielorybnicze, ale... gruby lód ciągnął się po horyzont. Tamto lato było równie zimne jak dwa ostatnie, i być może następne.

Crozier czekał. Po raz pierwszy od czasu ciężkiej choroby, przez którą przeszedł w styczniu, miał ochotę napić się whisky.

- Wrócili do Fury Beach i spędzili tam czwartą zimę, komandorze. Ludzie chorowali ciężko na szkorbut, byli bliscy śmierci. Następnego lata, w czerwcu tysiąc osiemset trzydziestego trzeciego roku, popłynęli w małych łodziach na północ, a potem na wschód przez Cieśninę Lancastera, aż rankiem dwudziestego piątego sierpnia James Ross... teraz już sir James Ross... zobaczył żagiel. Machali, krzyczeli, wystrzelili race. Żagiel zniknął za wschodnim horyzontem.

- Pamiętam, że sir James wspominał coś o tym - rzekł sucho Crozier.

- Tak jest, komandorze, jestem pewien, że o tym mówił - odrzekł Bridgens ze swym irytującym uśmiechem. - Ale wiatr osłabł, a ludzie w łodziach wiosłowali jak szaleni i w końcu dogonili tę jednostkę wielorybniczą. To była Isabella, ten sam statek, którym sir John dowodził w roku tysiąc osiemset osiemnastym. Sir John, sir James i załoga Victory spędzili w łodzie cztery lata, komandorze - powtórzył po raz kolejny Bridgens. - Umarł wtedy tylko jeden człowiek, cieśla, niejaki Thomas, który cierpiał na niestrawność i miał nieprzyjemne usposobienie.

- I co z tego wszystkiego wynika? - spytał Crozier beznamiętnym tonem. Pamiętał aż za dobrze, że podczas tej wyprawy, pod jego komendą zginęło już kilkunastu ludzi.

- Na Fury Beach wciąż są zapasy i łodzie - odparł Bridgens. - Przypuszczam też, że ekipy ratownicze, które po nas wysłano - lub które dopiero zostaną wysłane tego lata - zostawią tam jeszcze więcej łodzi i zapasów. To pierwsze miejsce, w którym Admiralicja zostawi jedzenie i sprzęt dla nas oraz dla następnych ekip ratunkowych. Właśnie dzięki wyprawie sir Johna.

Crozier westchnął.

- Ma pan w zwyczaju myśleć to samo co Admiralicja, stewardzie Bridgens?

- Czasami tak. - Bridgens skinął głową. - Uczyłem się tego przez długie dziesięciolecia, komandorze. Gdy człowiek przebywa w towarzystwie głupców, po jakimś czasie zaczyna myśleć tak jak oni.

- To wszystko, stewardzie Bridgens, żegnaj pana - warknął Crozier.

- Tak jest, panie komandorze. Proszę jednak przeczytać te dwa tomy. Sir John opisuje tu wszystko ze szczegółami; jak przeżyć na łodzie. Jak walczyć ze szkorbutem. Jak znaleźć Eskimosów i wykorzystać ich do pomocy przy polowaniu. Jak budować małe domy z bloków lodu i śniegu...

- Żegnaj, stewardzie Bridgens!

- Tak jest, panie komandorze. - Bridgens zasalutował i ruszył w stronę zejściówki, wcześniej jednak przesunął dwa grube tomy bliżej Croziera.

Komandor siedział w lodowatej Wielkiej Kabinie jeszcze przez kolejne dziesięć minut.

Słyszał, jak załoga *Erebusa* wychodzi na pokład na jego głowę. Słyszał okrzyki oficerów z *Terroru*, którzy życzyli swym towarzyszom bezpiecznego powrotu na statek. *Terror* przycichł, z dala dobiegały jedynie odgłosy krzątania, kiedy marynarze podciągali po kolacji stoły pod sufit i dopijali swoje porcje grogu. Crozier słyszał kroki oficerów wracających z pokładu i zmierzających do mesy na spóźnioną kolację. Ich głosy brzmiały radośniej niż przy śniadaniu.

Wreszcie komandor wstał - zeszywniały z zimna i bólu - podniósł dwa ciężkie tomy i odstawił je na półkę przymocowaną do grodzi rufowej.

GOODSIR

70°05'szerokości geograficznej północnej, 98°23' długości geograficznej zachodniej. 6 marca 1848.

Lekarz przebudził się raptownie, wyrwany ze snu pełnymi przerażenia krzykami.

Przez chwilę nie wiedział, gdzie jest, potem jednak przypomniał sobie - w kajucie sir Johna, która pełniła teraz funkcję izby chorych *Erebusa*. Wszystkie lampy olejowe zostały wcześniej zgaszone, światło wpadało jedynie przez otwarte drzwi do zejściówki. Goodsir zasnął na dodatkowej koi - siedmiu pacjentów ciężko chorych na szkorbut i jeden z kamieniami w nerce spali na pozostałych kojach. Pacjent z kamieniami dostał wcześniej porcję opium.

Goodsirowi śniło się, że jego pacjenci umierają, krzycząc przy tym przeraźliwie. Umierali w jego śnie, bo nie wiedział, jak ich uratować. Będąc z wykształcenia anatomem, Goodsir miał mniejsze doświadczenie w sprawowaniu opieki nad chorymi marynarzami - sporządzaniu pigułek, mikstur, napojów i ziół - niż jego zmarli koledzy po fachu. Doktor Peddie tłumaczył mu kiedyś, że ogromna większość lekarstw była bezużyteczna w leczeniu typowych marynarskich przypadłości - zazwyczaj podawano je tylko po to, by oczyścić jelita i żołądek - sami marynarze uważali jednak, że im mocniejszy środek przeczyszczający zażywają, tym szybciej wrócą do zdrowia. To właśnie przekonanie o skuteczności takiego sposobu leczenia, a nie samo leczenie, pozwalało niektórym żeglarzom przezwyciężyć chorobę. W większości tego typu sytuacji, gdy w grę nie wchodziły prawdziwe zabiegi operacyjne, organizm leczył się sam albo pacjent umierał.

Goodsir śnił, że wszyscy jego pacjenci umierają i krzyczą przy tym przeraźliwie.

Lecz te krzyki były prawdziwe. Dochodziły gdzieś spod pokładu.

Do izby chorych wbiegł Henry Lloyd, pomocnik Goodsira. Lloyd trzymał w ręku lampę, dzięki czemu Goodsir zauważył, że nie ma on butów, a spod jego swetra wystają poły koszuli. Musiał przybiec doń prosto ze swojego hamaka.

- Co się dzieje? - spytał szeptem Goodsir. Krzyki nie zbudziły jeszcze żadnego z chorych.

- Komandor chce, żeby przeszedł pan do głównych schodków - odparł Lloyd, nie próbując nawet ściszać głosu. Wyglądał na przerażonego.

- Pst... - upomniał go Goodsir. - Co się dzieje, Henry?

- Potwór jest w środku, doktorze - wyjąkał Lloyd, szczękając zębami ze strachu i zimna. - Na dole. Zabija ludzi na dole.

- Pilnuj pacjentów - rozkazał Goodsir. - Zawołaj mnie, gdyby któryś z nich się obudził albo gdyby stan któregoś nagle się pogorszył. Ale najpierw włóż buty i narzuć coś na siebie.

Goodsir ruszył w stronę dziobu, przeciskając się między podoficerami, którzy wychodzili ze swych kajut i wkładali ubrania. Komandor Fitzjames stał wraz z Le Vescontem przy otwartym włązie prowadzącym na niższe pokłady. W dłoni trzymał pistolet.

- Panie Goodsir, na dole będą ranni ludzie. Pójdzie pan tam z nami. Proszę się lepiej ubrać.

Goodsir skinął w milczeniu głową.

Z górnego pokładu zszedł pierwszy oficer Des Voeux, wpuszczając za sobą podmuch lodowatego powietrza, który na moment pozbawił Goodsira oddechu. Przez ostatni tydzień nad *Erebus* szalały śnieżyce, a temperatura spadła nawet do minus stu stopni. Lekarz nie mógł odwiedzać *Erebusa* zgodnie z ustalonym wcześniej planem. Komunikacja między oboma statkami została całkowicie wstrzymana.

Des Voeux otrzepał ubranie ze śniegu.

- Trzej marynarze na wachcie niczego nie widzieli, komandorze. Kazałem im pozostać na posterunkach.

Fitzjames skinął głową.

- Potrzebujemy broni, Charles.

- Wydaliśmy tylko trzy strzelby, które teraz są na górnym pokładzie - odparł Des Voeux.

Z ciemności pod ich stopami dobiegł kolejny, mrozący krew w żyłach krzyk. Goodsir nie umiał określić, czy dochodzi on z najniższego pokładu, czy też z położonej jeszcze niżej ładowni. Włazy na obu pokładach były otwarte.

- Poruczniku Le Vesconte - przemówił Fitzjames. - Proszę zabrać ze sobą trzech ludzi i zejść przez właz w mesie oficerskiej do magazynu i podać nam tyle muszkietów, strzelb, prochu i naboji, ile tylko pan zdoła. Chcę, żeby wszyscy ludzie na dolnym pokładzie byli uzbrojeni.

- Tak jest, komandorze. - Le Vesconte przywołał do siebie trzech marynarzy, po czym wszyscy ruszyli na rufę.

- Charles - powiedział Fitzjames, zwracając się do Des Voeux.

- Zapal lampy. Idziemy na dół. Collins, ty też. Panie Dunn, panie Brown, także pójdziecie z nami.

- Tak jest - odrzekli jednym głosem uszczelniacz i jego pomocnik. Henry Collins, drugi nawigator, spytał z niedowierzaniem:

- Bez broni, komandorze? Chce pan, żebyśmy tam zeszli bez broni?

- Zabierz swój nóż - odrzekł Fitzjames. - Ja mam to. - Komandor podniósł jednostrzałowy pistolet. - Idźcie za mną. Porucznik le Vesconte dołączy do nas z uzbrojonym oddziałem i przyniesie nam strzelby. Panie Goodsir, proszę trzymać się mnie.

Goodsir znów tylko skinął głową. Wkładał właśnie okrycie wierzchnie i niczym małe dziecko nie mógł trafić lewą ręką do rękawa.

Fitzjames, który nie miał żadnych rękawic i narzucił tylko starą kurtkę, wziął lampę od Des Voeux i ruszył w dół schodów. Z dołu dobiegła seria głośnych trzasków, jakby ktoś łamał deski poszycia lub grodzie. Nie było już słychać żadnych krzyków.

Goodsir przypomniał sobie, że komandor kazał mu iść tuż za nim, i zaczął schodzić, zapomniawszy zabrać ze sobą lampę. Nie miał też swojej torby z narzędziami i bandażami. Brown i Dunn szli tuż za nimi, a pochod zamykał przeklinający głośno Collins.

Najniższy pokład znajdował się zaledwie siedem stóp pod dolnym pokładem, wydawało się jednak, że to zupełnie inny świat. Goodsir prawie nigdy się tutaj nie zapuszczał. Fitzjames i starszy mat stali kilka kroków od schodów, trzymając w uniesionych rękach rozkołysane lampy. Lekarz uświadomił sobie, że na najniższym pokładzie jest co najmniej o czterdzieści stopni zimniej niż na dolnym pokładzie, gdzie wszyscy jedli i spali - a ostatnio i tam temperatura spadła poniżej poziomu zamarzania.

Trzaski ustały. Fitzjames kazał Collinsowi zamilknąć i przez chwilę sześciu mężczyzn stało w ciszy i bezruchu wokół otwartego włazu prowadzącego na pokład ładowni. Wszyscy prócz Goodsira mieli lampy i trzymali je teraz przed sobą, choć ich blade światło rozpraszało ciemności tylko w promieniu kilku stóp. Oddechy marynarzy błyszczały przed ich twarzami niczym złote ornamenty. Goodsir miał wrażenie, że tupot nóg na dolnym pokładzie dobiega doń z odległości kilku mil.

- Kto miał dzisiaj służbę na dole? - spytał szeptem Fitzjames.

- Pan Gregory i któryś palacz - odparł Des Voeux. - Cowie, zdaje się. A może Plater.

- I cieśla Weekes ze swoim pomocnikiem, Watsonem - wyszeptał Collins. - Próbowali zatkać dziurę w poszyciu, w pomieszczeniu na węgiel przy dziobie.

Coś ryknęło nagle pod nimi. Był to dźwięk sto razy głośniejszy i dzikszy niż jakikolwiek odgłos wydawany przez zwierzę, który Goodsir słyszał do tej pory - gorszy nawet niż ryk w hebanowej komnacie w noc karnawału. Przenikał wszystkie deski, grodzie i żelazne wzmocnienia kadłuba. Goodsir był pewien, że marynarze pełniący wachtę na górnym pokładzie słyszeli go tak wyraźnie, jakby bestia stała tuż obok nich.

Ryk dobiegał z ładowni.

- Brown, Dunn, Collins - warknął Fitzjames. - Przejdźcie do przodu i zabezpieczcie właz dziobowy. Des Voeux, Goodsir, chodźcie ze mną.

Fitzjames schował pistolet do kieszeni, przełożył lampę do prawej ręki i zszedł na dół, w ciemność.

Goodsir omal nie zmoczył spodni ze strachu, usłyszawszy ryk potwora. Gdy Des Voeux pospieszył za komandorem, lekarz znalazł w sobie dość sił, by pójść jego śladem tylko dlatego, że inaczej okryłby się wstydem przed wszystkimi marynarzami, a poza tym bał się zostać sam na pustym pokładzie. Jego ręce i nogi wydawały mu się teraz równie nieczułe jak kawałki drewna, wiedział jednak, że wynika to ze strachu, a nie z zimna.

U podnóża schodów - w zimnej ciemności, która wydawała się Harry'emu Goodsirowi gęsta i bardziej przerażająca niż wrogie lody Arktyki na zewnątrz - czekali na niego komandor i pierwszy oficer. Obaj trzymali przed sobą lampy, wyciągając ręce jak najdalej przed siebie. Fitzjames miał odbezpieczony i gotowy do strzału pistolet, Des Voeux trzymał w drżącej dłoni obnażony nóż. Nikt się nie poruszał ani nie oddychał.

Cisza. Trzaski, huki i krzyki ucichły.

Goodsir miał ochotę krzyczeć. Wyczuwał obecność jakiejś innej istoty ukrytej w ciemnościach ładowni. Czegoś olbrzymiego i niehumanoidalnego. Mogło stać zaledwie kilkanaście stóp dalej, za kręgiem światła rzucanego przez lampy.

Wraz z pewnością, że nie są na pokładzie sami, pojawił się silny metaliczny zapach. Goodsir znał go aż za dobrze. Świeża krew.

- Tędy - wyszeptał komandor i poprowadził ich w stronę rufy, w dół wąskiej zejściówki przy prawej burcie.

Do kotłowni.

Lampa, która zawsze się tam paliła, była teraz zgaszona. Zza otwartych drzwi wypływał jedynie migotliwy, pomarańczowy blask rzucany przez kilka brył węgla płonących w kotle.

- Panie Gregory?! - zawołał komandor. Głos Fitzjamesa, który nieoczekiwanie przerwał pełną grozy ciszę, tak wystraszył Goodsira, że lekarz omal znów się nie złał. - Panie Gregory?! - zawołał komandor po raz drugi.

Nikt mu nie odpowiedział. Z korytarza lekarz widział tylko kilka stóp kwadratowych podłogi w kotłowni i trochę rozsyanego węgla. W powietrzu unosił się zapach przypominający aromat pieczonej wołowiny. Ślina sama napłynęła do ust lekarza, choć jednocześnie czuł, jak narasta w nim ogromne przerażenie.

- Zostańcie tutaj - rzucił Fitzjames do Des Voeux i Goodsira. Starszy mat rozglądał się na boki, zataczając lampą szerokie kręgi i próbując przebić wzrokiem ciemności zalegające w głębi korytarza. W drugiej ręce trzymał skierowany ostrzem ku górze nóż. Goodsir mógł jedynie stać w bezruchu i zaciskać dłonie w pięści. Niemal już zapomniany zapach pieczonego mięsa przyprawiał go o ślinotok i skurcze żołądka.

Fitzjames wszedł do wnętrza kotłowni i zniknął im z oczu.

Przez wieczność trwającą pięć, dziesięć sekund z kotłowni nie dochodził żaden dźwięk.

Potem rozbrzmiał spokojny, cichy głos komandora:

- Panie Goodsir, proszę tu wejść.

W kotłowni leżały dwa martwe ciała. Jedno z nich należało do mechanika Johna Gregory'ego, który został wypatroszony. Jego zwłoki leżały w rogu pomieszczenia, pod grodzia, lecz szare pasma wnętrzości rozrzucone zostały po całej kotłowni niczym serpentyny. Goodsir musiał uważnie patrzeć pod nogi. Drugie ciało, należące do krępego mężczyzny w niebieskim swetrze, leżało na brzuchu z rękami ułożonymi wzdłuż tułowia i zwróconymi wnętrzem dłoni ku górze. Głowa i ramiona trupa tkwiły w palenisku.

- Niech mi pan pomoże wyciągnąć go stamtąd - powiedział Fitzjames.

Lekarz złapał za lewą nogę mężczyzny i jego tłący się sweter, komandor pochwycił drugą nogę i ramię, po czym obaj wyciągnęli go z płomieni. Otwarte usta trupa zawadziły na moment o dolną krawędź paleniska, potem jednak zsunęły się z niej ze zgrzytem.

Goodsir przewrócił ciało mężczyzny na plecy, podczas gdy Fitzjames zdjął kurtkę i ugasił nią płomienie trawiące twarz i włosy.

Harry Goodsir czuł się tak, jakby patrzył na to wszystko z ogromnego dystansu. Starając się korzystać tylko z tej części umysłu, która oceniała sytuację z pozycji wolnego od emocji zawodowca, zauważył, że niewielki ogień płonący w palenisku stopił oczy zmarłego, spalił jego nos i uszy i zamienił twarz w różową pulpę przypominającą powierzchnię świeżo upieczonej tarty malinowej.

- Rozpoznaje go pan, panie Goodsir? - spytał Fitzjames. - Nie.

- To Tommy Plater - dobiegł ich od drzwi drżący głos Des Voeux. - Poznaję go po swetrze i po tym kolczyku, który wtopił mu się w policzek.

- Do diabła, Des Voeux - warknął Fitzjames. - Proszę wrócić na swój posterunek na korytarzu.

- Tak jest, komandorze - odrzekł Des Voeux i wyszedł. Po chwili z korytarza dobiegły odgłosy wymiotowania.

- Będę musiał pana poprosić... - zaczął komandor, zwracając się do Goodsira.

Nagle od strony dziobu dobiegł ich trzask, a potem huk tak głośny, że lekarz był pewien, iż statek złamał się na pół.

Fitzjames natychmiast pochwycił lampkę i wybiegł na korytarz, zostawiając w kotłowni tłącą się kurtkę. Goodsir i Des Voeux pobiegli za nim, mijając po drodze rozrzucone beczki i rozbite skrzynki wciśnięte między pojemniki z resztkami zapasów wody pitnej i worki z węglem.

Kiedy przebiegali obok wejścia do schowka na węgiel, Goodsir spojrzał w prawo i zobaczył nagie ramię wystające zza futryny drzwi. Przystanął na moment i pochylił się, by zobaczyć, kto tam leżał, komandor i starszy mat pobiegli już jednak dalej, zabierając ze sobą lampy. Goodsir został sam w ciemnościach, w towarzystwie kolejnego trupa. Wyprostował się i ruszył za swymi towarzyszami.

Kolejne trzaski. Krzyki z pokładu nad ich głowami. Strzał z pistoletu albo muszkietu. Krzyki. Przerażone głosy kilku ludzi.

Goodsir, który został w tyle i biegł na oślep, kierując się ku światłom lamp, wypadł z wąskiego korytarza na otwartą, mroczną przestrzeń i uderzył z rozpędu w gruby dębowy słup. Upadł na plecy, prosto w osiem cali lodu i zimnej wody. Nie mógł skupić wzroku - lampy nad jego głową zamieniły się w niewyraźne, rozkołysane plamy żółci - a cały świat śmierdział i smakował ściekami, pyłem węglowym i krwią.

- Nie ma schodków! - krzyknął Des Voeux.

Goodsir usiadł prosto i potrząsnął głową, odzyskując w pełni świadomość. Schodki dziobowe, zbudowane z grubych dębowych bali i desek, na które mogło wspiąć się jednocześnie

kilku ludzi niosących ze sobą stufuntowe worki z węglem, zostały roztrzaskane na kawałki. Z otwartego wjazdu zwisały tylko fragmenty wyłamanych desek.. - Podsadźcie mnie - rozkazał Fitzjames, który zatknął pistolet za pas, odstawił latarnię i pochwyciwszy się rękami krawędzi wjazdu, próbował się podciągnąć. Des Voeux pochylił się, by mu pomóc.

Nagle z otwartego wjazdu buchnęły płomienie.

Fitzjames zaklął i upadł plecami w lodowatą wodę, zaledwie kilka stóp od Goodsira. Wyglądało na to, że płonie cała dziobowa część najniższego pokładu.

Pożar, pomyślał Goodsir. Jego nozdrza wypełnił gryzący dym. Nie mamy dokąd uciec. Na zewnątrz szalała śnieżyca, temperatura sięgała minus stu stopni. Gdyby okręt się teraz spalił, wszyscy by zginęli.

- Główne schody - rzucił krótko Fitzjames, zerwał się na równe nogi, podniósł lampę i ruszył biegiem w stronę rufy. Des Voeux biegł tuż za nim.

Goodsir podparł się rękami, stanął, znów upadł, przeszedł kilka kroków na czworakach, wreszcie zdołał się wyprostować i pobiegł za oddalającymi się lampami.

Coś na najniższym pokładzie ryknęło. Potem rozległ się huk wystrzałów z muszkietów i strzelb.

Goodsir chciał zatrzymać się przy magazynie węgla i sprawdzić, czy mężczyzna, do którego należało nagie ramię, jeszcze żyje - i czy w ogóle to ramię jest połączone z jakimś ciałem - kiedy jednak tam dotarł, było już zbyt ciemno. Lekarz biegł więc dalej, objając się o grodzie i zbiorniki z wodą.

Lampy przemieszczały się już w górę schodów prowadzących z najniższego pokładu. Z otwartego wjazdu buchały kłęby dymu.

Goodsir wspiał się pospiesznie na schody, dostał w twarz butem komandora lub pierwszego oficera i stanął na pokładzie.

Nie mógł oddychać. Nic nie widział. W pobliżu kołysały się jakieś lampy, w powietrzu unosił się jednak gęsty dym.

Goodsir miał ochotę odnaleźć jak najszybciej schody prowadzące na dolny pokład i wspiać się tam, a potem jeszcze wyżej, na zewnątrz, gdzie mógłby odetchnąć czystym powietrzem, jednak po jego prawej stronie - od strony dziobu - krzyczeli jacyś ludzie, opadł więc na kolana i ręce. Tutaj powietrze nadawało się chociaż do oddychania. Ledwie. Z przodu widać było pomarańczowy blask, o wiele za jasny, by mogła to być lampa.

Goodsir przeszedł do przodu na czworakach, odszukał zejściówkę przy lewej burcie, obok magazynu sucharów, i ruszył dalej. Nieco dalej kilku marynarzy próbowało ugasić ogień kocami. Płomienie obejmowały także i te koce.

- Ściągnijcie tu ludzi z wiadrami! - krzyknął Fitzjames gdzieś z kłębow dymu na przodzie. - Niech przyniosą tu wodę!

- Nie ma wody, komandorze! - wrzasnął ktoś z tyłu.

- Weźcie wiadra ze szczykami. - Zdecydowany głos komandora wcinał się jak nóż w dym i krzyki innych ludzi.

- Zamarzły! - odpowiedział mu ten sam głos, należący do dowódcy głównego masztu, Johna Sullivana.

- Weźcie je tak czy inaczej! - krzyczał Fitzjames. -i śnieg. Sullivan, Sinclair, Reddington, Seeley, Pocock, Greater - zbierzcie ludzi i ustawcie ich w szeregu od głównego pokładu aż dotąd, tak żeby mogli podawać sobie wiadra. Nabierajcie tyle śniegu, ile tylko się da. Rzucajcie go na ogień. - Fitzjames przerwał i zakasłał gwałtownie.

Goodsir wstał. Dym wirował wokół niego, jakby ktoś nagle otworzył okno albo drzwi. W jednej chwili widział wyraźnie płonące ściany magazynku bosmana i cieśli, oddalone co najmniej o piętnaście stóp, a w następnej nie sięgał wzrokiem dalej niż na dwie stopy. Wszyscy kasłali głośno, a Goodsir, chcąc nie chcąc, przyłączył się do nich.

Ludzie spieszący do schodów obijali się o niego i odpychali na bok, lekarz przywarł więc całym ciałem do grodzi, zastanawiając się, czy nie powinien wyjść na dolny pokład. Tutaj nie było z niego żadnego pożytku.

Przypomniawszy sobie nagie ramię wystające z wejścia do magazynu na węgiel. Na myśl o tym, że miałby tam zejść ponownie, zrobiło mu się niedobrze.

Ale potwór jest na tym pokładzie.

Jakby na potwierdzenie tej myśli cztery lub pięć muszkietów wypaliło jednocześnie nie dalej niż dziesięć stóp od Goodsira. Huk był ogłuszający. Goodsir zakrył uszy dłońmi i opadł na kolana, przypominając sobie, jak mówił członkom załogi *Terroru*, że chorzy na szkorbut mogą umrzeć od takiego właśnie huku. Wiedział, że sam ma już pierwsze objawy szkorbutu.

- Przestańcie strzelać! - krzyknął Fitzjames. - Natychmiast! Tam są ludzie.

- Ale komandorze... - zaczął protestować kapral Alexander Pearson, najwyższy rangą spośród czterech pozostałych przy życiu żołnierzy na pokładzie *Erebusa*.

- Wstrzymać ogień, powiedziałem!

Goodsir widział ciemne sylwetki porucznika Le Vesconte i żołnierzy na tle płomieni. Le Vesconte stał, podczas gdy żołnierze klęczeli na jednym kolanie i przeładowywali muszkiety, jakby brali udział w jakiejś bitwie. Lekarz zauważył również, że ściany i belki oraz leżące luzem skrzynki i pudła w dziobowej części okrętu ogarnięte były ogniem. Marynarze próbowali zdusić płomienie kocami i płachtami płótna żaglowego. Wszędzie fruwały iskry.

Z płomieni wytoczył się jakiś człowiek, zmierzający chwiejnym krokiem ku żołnierzom i marynarzom.

- Nie strzelać! - krzyknął Fitzjames.

- Nie strzelać! - powtórzył Le Vesconte. Poparzony marynarz wpadł prosto w ręce Fitzjamesa.

- Panie Goodsir! - krzyknął komandor. John Downing, sternik, przestał uderzać kocem w ogień ogarniający ściany korytarza, doskoczył do ranego i zdusił płomienie strzelające z jego ubrania.

Goodsir podbiegł do przodu i przejął od Fitzjamesa słaniającego się na nogach marynarza. Mężczyzna nie miał już praktycznie prawej części twarzy, która nie została jednak spalona, lecz zdarta - z okrwawionej kości zwieszało się oko i luźny płat skóry - a po prawej stronie jego tułowia ciągnęły się głębokie krwawe znaki, przecinające osiem warstw ubrań i ciało. Kamizelka przesiąkła krwią. Mężczyźnie brakowało prawej ręki.

Goodsir uświadomił sobie, że trzyma Henry'ego Fostera Collinsa, drugiego nawigatora, którego Fitzjames wysłał na dziób wraz z Brownem i Dunnem, by pilnowali przedniego włazu.

- Ktoś musi pomóc mi go przenieść - wystękał Goodsir. Collins był dużym i ciężkim mężczyzną, a lekarz tracił już siły. Trzymał go jeszcze w pionie tylko dlatego, że stał oparty plecami o grodz magazynu sucharów.

- Downing! - zawołał Fitzjames w stronę wysokiej sylwetki sternika, który ponownie zajął się gaszeniem ognia za pomocą swego płonącego koca.

Downing odrzucił koc na bok i podbiegł do nich. Nie zadając zbędnych pytań, założył sobie lewą ręką Collinsa na ramię i powiedział:

- Proszę prowadzić, panie Goodsir.

Goodsir ruszył w górę schodów, ale na drodze stanęło mu kilku ludzi z wiadrami, którzy próbowali właśnie przedostać się na dół.

- Z drogi! - ryknął Goodsir. - Niesiemy rannych.

Buty i kolana cofnęły się.

Goodsir dotarł wreszcie na dolny pokład. Marynarze stojący przy włazie wpatrywali się weń ze zdumieniem. Lekarz dopiero teraz uświadomił sobie, że sam wygląda zapewne na ciężko rannego - jego dłonie, twarz i ubranie poplamione były krwią wypływającą z rozbitej głowy, wiedział też, że jest cały osmolony.

- Na rufę, do izby chorych - rzucił do Downinga, kiedy ten stanął obok niego. Sternik musiał obrócić się bokiem, by przenieść Collinsa przez wąską zejściówkę. Tymczasem kilkudziesięciu marynarzy podawało sobie z góry wiadra ze śniegiem, który wyrzucali na parujące, syczące deski pokładu wokół pieca na dolnym pokładzie i przedniego włazu. Goodsir wiedział, że jeśli ten pokład się zapali, statek będzie zgubiony.

Z izby chorych wyszedł blady i przerażony Henry Lloyd.

- Moje narzędzia gotowe? - spytał krótko Goodsir.

- Tak jest.

- Piła do kości?

- Tak.

- Dobrze.

Downing ułożył nieprzytomnego Collinsa na stole operacyjnym pośrodku izby chorych.

- Dziękuję panu, panie Downing. - Goodsir skinął głową. - Czy zechciałby pan sprowadzić tu jeszcze dwóch marynarzy, którzy pomogliby innym chorym przenieść się do jakichś innych łóżek? Mogą być też hamaki.

- Tak jest, doktorze.

- Lloyd, idź do pana Walla i powiedz mu, że potrzebujemy ciepłej wody, ile tylko mogą nam dać. Ale najpierw zapal jeszcze te lampy. A potem wracaj tutaj, będę cię potrzebował.

Przez następną godzinę doktor Harry D.S. Goodsir był tak zajęty, że nie zauważyłby nawet, gdyby izba chorych stanęła w ogniu, co najwyżej ucieszyłby się z mocniejszego światła.

Ściągnął ubrania z górnej części tułowia Collinsa - otwarte rany parowały w lodowatym powietrzu - wylał na nie garnek ciepłej wody, nie tyle nawet, by je oczyścić, ile by choć na chwilę zmyć krew i przekonać się, jakie są głębokie, a uznawszy, że rozcięcia nie zagrażają jego życiu, zajął się ramieniem, szyją i twarzą drugiego nawigatora.

Ramię urwane było zadziwiająco równo, zupełnie jakby ktoś uciął je jakąś wielką gilotyną. Goodsir, przyzwyczajony do wypadków w fabrykach i na statkach, które rozrywały ludzkie ciało na strzępy, przyglądał się ranie ze zdumieniem, by nie rzec - podziwem.

Collins omal nie wykrwawił się na śmierć, lecz płomienie, przed którymi uciekał, częściowo przyżęły otwartą ranę i uratowały mu życie. Na razie.

Ręka urwana została tuż przy samym ramieniu, Goodsir nie musiał więc obcinać żadnych kości. Z pomocą Lloyd'a, który trzymał lampę w drżącej dłoni i od czasu do czasu przystawiał palec we wskazanym przed Goodsira miejscu, skąd zwykle tryskała krew - lekarz sprawnie zamknął wszystkie żyły i tętnice. Zawsze był dobry w tego rodzaju zabiegach - jego dłonie i palce pracowały niemal same, bez udziału umysłu.

Goodsir stwierdził też ze zdumieniem, że w otwartej ranie nie ma żadnych kawałków tkaniny ani innych obcych ciał. To znacznie zmniejszało ryzyko zakażenia, choć sprawa nie była jeszcze

przesądzona. Lekarz oczyścił ranę w miarę możliwości, wykorzystując do tego drugi garnek ciepłej wody. Potem odciął wszelkie luźne kawałki skóry i mięśni. Na szczęście niektóre kawałki skóry były tak długie, że mógł przyłożyć je do rany i przyszyć.

Collins jęknął i poruszył się na stole.

Goodsir pracował jak najszybciej, by skończyć to, co najgorsze, nim pacjent odzyska przytomność.

Prawa część twarzy Collinsa leżała na jego ramieniu jak obluzowana maska karnawałowa. Przypomniło to Goodsirowi liczne sekcje zwłok, które wykonywał jako student i lekarz, kiedy to odcinał twarz zmarłego i zwijał ją na czaszce niczym wilgotną ścierkę.

Kazał Lloydowi podciągnąć luźny płat skóry jak najwyżej i najmocniej - jego pomocnik odwrócił się i zwymiotował na pokład, potem jednak szybko wykonał polecenie lekarza, wytarłszy wpiętych palców w kamizelkę - a sam szybko przyszył ją do grubej warstwy skóry i mięśni uciętej tuż pod linią włosów.

Nie mógł uratować oka drugiego nawigatora. Próbował wcisnąć gałkę na miejsce, ale kość pod oczodołem Collinsa została zmiażdżona. Goodsir oczyścił oczodoł z odłamków kości, ale przekonał się szybko, że i sama gałka jest zbyt mocno uszkodzona, by mogła jeszcze pełnić swą funkcję.

Wziął nożyczki z drżącej ręki Lloyda i uciął nerw wzrokowy, po czym wrzucił oko do wiaderka wypełnionego już okrwawionymi szmatami i strzępami ciała Collinsa.

- Przysuń bliżej tę lampę - rozkazał Goodsir. - I przestań się trząść.

Lekarz przyjrzał się uważnie uszkodzonemu oczodołowi i zauważył, że ocalała jeszcze spora część powieki. Naciągnął ją mocno w dół i przyszył do skóry pod okiem. Tym razem użył drobniejszego ściegu, świadom, że te szwy będą służyły Collinsowi przez lata.

Jeśli przeżyje.

Opatrzywszy twarz drugiego nawigatora na tyle, na ile mógł, Goodsir zajął się oparzeniami i ranami pozostawionymi przez pazury potwora. Oparzenia były powierzchowne. Rany po pazurach, choć zasadniczo niegroźne, były na tyle głębokie, że tu i ówdzie Goodsir widział biel odsłoniętych żeber.

Przykazawszy Lloydowi nasmarować wolną ręką oparzenia, Goodsir oczyścił i zsunął rozcięte mięśnie, a potem zszył poszarpaną skórę, gdzie tylko dało się to zrobić. Krew nadal sączyła się z ramienia i szyi Collinsa, jednak już znacznie wolniej. Goodsir wiedział, że jeśli płomienie przyżegły ciało i żyły nawigatora w wystarczającym stopniu, zostało w nim jeszcze dość krwi, by przeżyć.

Do izby chorych wnoszono tymczasem nowych pacjentów, wszyscy doznali jednak wyłącznie poparzeń - niektórzy ciężkich, ale nie zagrażających ich życiu. Opatrzywszy najgroźniejsze rany Collinsa, Goodsir zajął się pomniejszych obrażeniami, przykazawszy wcześniej Lloydowi, by pomógł pacjentom przy smarowaniu i bandażowaniu poparzeń.

Właśnie podawał Collinsowi opium, by wracający do świadomości, krzyczący z bólu marynarz mógł zasnąć, kiedy przy stole operacyjnym stanął komandor Fitzjames.

Komandor był cały osmolony i okrwawiony, podobnie jak lekarz.

- Będzie żył? - spytał Fitzjames.

Goodsir odłożył skalpel i rozłożył szeroko ręce, jakby chciał powiedzieć: Bóg jeden wie. Fitzjames skinął głową.

- Ugasiliśmy ogień - powiedział. - Pomyślałem, że to pana zainteresuje.

Tym razem to Goodsir skinął głową. Przez ostatnią godzinę w ogóle nie myślał o pożarze.

- Lloyd, panie Downing - powiedział. - Zechcielibyście przenieść pana Collinsa na koję przy przedniej grodzi? Tam jest najcieplej.

- Straciliśmy cały magazyn cieśli na najniższym pokładzie - kontynuował Fitzjames - i znaczną część zapasów schowanych w skrzynkach przy przednim włazie, a także sporą część zapasów z magazynu sucharów. Przepadła co najmniej jedna trzecia jedzenia w puszkach i beczkach. Na pewno są też spore straty na pokładzie ładowni, ale jeszcze tam nie byliśmy.

- Jak doszło do pożaru? - spytał lekarz.

- Collins albo któryś z jego ludzi rzucił lampą w potwora, kiedy ten wyszedł przez przedni właz - odparł komandor.

- A co stało się z... potworem? - spytał Goodsir. Nagle ogarnęło go takie zmęczenie, że musiał przytrzymać się krawędzi okrwawionego stołu, by nie upaść.

- Wyszedł zapewne tą samą drogą, którą wszedł - odrzekł Fitzjames. - Przez przedni właz i gdzieś na pokładzie ładowni. Chyba że wciąż czeka tam na dole. Postawiłem uzbrojonych ludzi przy wszystkich włazach. Na najniższym pokładzie jest tyle dymu, że będziemy musieli zmieniać wartę co pół godziny. Collins widział to stworzenie najlepiej. Dlatego tu przyszedłem... żeby sprawdzić, czy można z nim rozmawiać. Inni widzieli tylko jakiś kształt za ścianą ognia - oczy, zęby, pazury, masę futra. Porucznik Le Vesconte kazał żołnierzom strzelać do niego, ale nikt nie wie, czy został trafiony. Wokół spalonego magazynku cieśli jest pełno krwi, ale nie wiemy, czyja to krew. Mogę porozmawiać z Collinsem? Goodsir pokręcił głową.

- Właśnie podałem mu środek znieczulający. Będzie spał przez kilka godzin. Nie mam pojęcia, czy kiedykolwiek się obudzi. Szanse są niewielkie.

Fitzjames ponownie skinął głową. Wyglądał na równie zmęczonego jak lekarz.

- A co z Dunnem i Brownem? - spytał Goodsir. - Poszli na dziób z Collinsem. Znaleźliście ich?

- Tak. - Fitzjames westchnął. - Są cali i zdrowi. Uciekli na prawą stronę magazynu sucharów, kiedy potwór rzucił się na biednego Collinsa. - Kapitan wziął głęboki oddech. - Dym powoli ustępuje, będę więc musiał zejść z kilkoma ludźmi do ładowni, żeby zabrać stamtąd ciała mechanika Gregory'ego i palacza Tommy'ego Platera.

- O Boże... - Goodsir się zachłysnął. Powiedział Fitzjamesowi o nagim ramieniu wystającym zza drzwi magazynu na węgiel.

- Nie widziałem - odparł komandor. - Tak się spieszyłem do przedniego włazu, że nie patrzyłem na dół ani na boki, tylko przed siebie.

- A ja powinienem był patrzeć przed siebie - rzekł z żalem lekarz.

- Uderzyłem w jakiś słup. Fitzjames uśmiechnął się.

- Właśnie widzę. Lekarzu, ulecz się sam. Ma pan głęboką ranę na czole, od włosów aż po brew, i siny obrzęk wielki jak pięść Magnusa Mansona.

- Naprawdę? - zdziwił się Goodsir. Ostrożnie dotknął czoła. Na jego okrwawionych palcach pojawiły się krople świeżej krwi, choć czuł też, że stłuczenie okryte jest wielkim strupem. - Zaszycę to później przed lustrem albo każę to zrobić Lloydowi - powiedział ze znużeniem.

- Mogę już iść, komandorze.

- Dokąd, panie Goodsir?

- Do ładowni - odrzekł lekarz, choć na samą myśl o tej wyprawie zbierało mu się na wymioty. - Żeby sprawdzić, kto leży w magazynie na węgiel. Może jeszcze żyje.

Fitzjames spojrzał mu prosto w oczy.

- Wciąż nie zgłosił się nasz cieśla, pan Weekes, i jego pomocnik, Watson, doktorze.

Pracowali w magazynie na węgiel przy prawej burcie, łatali dziurę w poszyciu. Z pewnością już nie żyją.

Goodsir milczał przez moment. Jego uwagi nie uszedł fakt, że Fitzjames powiedział doń „doktorze”. Franklin i jego komandor prawie nigdy nie zwracali się w ten sposób do lekarzy, nawet do Stanleya i Peddiego, głównych lekarzy okrętowych. Zarówno oni, jak i Goodsir zawsze byli tylko zwykłymi „panami” dla sir Johna i arystokratycznego Fitzjamesa.

Jednak nie tym razem.

- Musimy zejść na dół i sprawdzić - powiedział wreszcie Goodsir. - Ja muszę tam zejść i sprawdzić. Być może któryś z nich jeszcze żyje.

- Równie dobrze może tam na nas czekać potwór z lodu - odrzekł cicho Fitzjames. - Nikt nie widział, by opuścił statek.

Goodsir skinął ze znużeniem głową i podniósł torbę z narzędziami.

- Czy mógłbym zabrać ze sobą pana Downinga? - spytał. - Ktoś będzie mi musiał potrzymać lampę.

- Ja z panem pójdę, doktorze Goodsir - odparł komandor Fitzjames, podnosząc lampę, którą przedtem niósł Downing. - Proszę prowadzić.

CROZIER

70°05' szerokości geograficznej północnej, 98°23' długości geograficznej zachodniej. 22 kwietnia 1848.

- Poruczniku Little - powiedział komandor Crozier. - Proszę wydać rozkaz opuszczenia okrętu.

- Tak jest, komandorze! - Little odwrócił się i wykrzyczał komendę w stronę zatłoczonego pokładu. Inni oficerowie i pozostali przy życiu drugi oficer byli nieobecni, więc John Lane, bosman, przekazał rozkaz dalej, w stronę dziobu. Thomas Johnson, bosmanmat i człowiek, który wychłostał w styczniu Hickeya oraz dwóch pozostałych winowajców, wykrzyczał rozkaz do otwartego włazu, po czym zamknął klapę i zabił wejście gwoździami.

Oczywiście nikt nie został pod pokładem. Crozier i porucznik Little przeszli przez wszystkie pokłady, od dziobu do rufy, zajrzeli do każdego pomieszczenia - od zimnej kotłowni z wygaszonymi paleniskami na pokładzie ładowni, przez puste magazyny na węgiel, do schowka na liny kotwiczne. Na najniższym pokładzie sprawdzili, czy w magazynie z bronią nie zostały jakieś muszkiety, naboje lub proch - nie zabrali ze sobą tylko kordów i bagnetów, ułożonych w równych rzędach na górnych półkach. Obaj oficerowie upewnili się, czy przez ostatnie półtora miesiąca wyniesiono z magazynu ubrań wszystkie potrzebne okrycia, a potem przeszli do pustego magazynku komandora i równie pustego magazynu sucharów. Na dolnym pokładzie Little i Crozier zajrzeli do każdej kajuty po kolei; ich uwagi nie uszedł fakt, że oficerowie zostawili po sobie idealny porządek. Później przeszli do sali zajmowanej przez marynarzy; wszystkie hamaki były zwinięte, puste skrzynie stały na swoich miejscach, jakby w oczekiwaniu na kolację. Następnie sprawdzili Wielką Kajutę, spoglądając mimowolnie na przetrzebioną bibliotekę, z której marynarze za ich pozwoleniem zabrali tyle książek, ile tylko chcieli. Wreszcie, stojąc obok wielkiego pieca, który po raz pierwszy od trzech lat był całkiem zimny, porucznik Little i komandor Crozier ponownie pochyłili się nad włazem, wzywając ludzi, którzy mogli pozostać na dole, do wyjścia. Oczywiście zamierzali potem policzyć wszystkich, którzy zgromadzili się na zewnątrz, ale tak zgodnie z przepisami wyglądała procedura opuszczania statku.

Uczyniwszy zadość wszystkim wymogom regulaminu, wyszli na pokład, zostawiając za sobą otwarty właz.

Ludzie stojący na pokładzie nie byli zaskoczeni rozkazem opuszczenia statku. Właśnie po to się tutaj zebrali. Było ich niewiele ponad dwudziestu; pozostali członkowie załogi *Terroru* znajdowali się już w Obozie *Terror*, dwie mile na południe od Victory Point, albo w drodze do obozu, dokąd ciągnęli sanie z żywnością i sprzętem, albo też na polowaniu lub zwiadzie w okolicy obozu. Obok *Terroru*, na lodzie, czekało kolejnych dwudziestu kilku załogantów *Erebusa*, stojących obok sań, w miejscu gdzie od pierwszego kwietnia, czyli od czasu opuszczenia przez nich okrętu, rozbito namioty z zapasami i sprzętem.

Crozier przyglądał się w milczeniu, jak jego ludzie schodzą po pochylni *Terroru*, opuszczając swój statek na zawsze. W końcu na przechylonym pokładzie został tylko on i porucznik Little. Niemal pół setki ludzi stojących na lodzie spoglądało na nich spod naciągniętych mocno czapek, mrużąc oczy w ostry, porannym słońcu.

- Idź, Edwardzie - powiedział cicho Crozier. - Zaraz do ciebie dołączę.

Porucznik zasalutował, podniósł paczkę ze swoimi rzeczami osobistymi, zszedł po drabinie i ruszył w dół lodowej pochylni.

Crozier rozejrzał się dokoła. Białe kwietniowe słońce rozświetlało świat pomarszczonego lodu, wysokich wałów lodowych, niezliczonych seraków i wszechobecnego śniegu. Naciągnąwszy mocniej czapkę na oczy i spoglądając na wschód, Crozier starał się zanotować w pamięci uczucia, jakich doświadczał w tej chwili.

Porzucenie własnego okrętu było najgorszą rzeczą, jaka mogła przydarzyć się komandorowi. Było przyznaniem się do całkowitej klęski.

Na ogół oznaczało też koniec kariery w marynarce wojennej. Dla większości komandorów, których Crozier znał osobiście, był to też cios, po którym nigdy się już nie podnieśli.

Crozier nie odczuwał jednak smutku. Jeszcze nie. W tej chwili ważniejszy był dla niego płomień determinacji, który wciąż płonął w jego piersiach - będę żył.

Chciał, by przeżyli także jego ludzie - a przynajmniej tylu z nich, ile tylko możliwe. Jeśli istniał choćby cień nadziei, by którykolwiek z jego podwładnych z HMS *Erebus* i HMS *Terror* przeżył i wrócił do swego domu, do Anglii, Francis Rawdon Moira Crozier gotów był iść za głosem tej nadziei, nie oglądając się za siebie.

Musiał wyprowadzić swoich ludzi ze statku. A potem z lodu.

Uświadomiwszy sobie, że patrzy nań niemal pięćdziesiąt par oczu, Crozier po raz ostatni poklepał nadburcie, zszedł po drabince, którą przymocowali do prawej burty przed kilkoma tygodniami, gdy okręt zaczął się mocniej przechylać na bok, i ruszył w dół pochylni, do czekających na niego ludzi.

Dotarłszy do ostatnich sań w szeregu i ułożywszy na nich paczkę ze swoimi rzeczami, Crozier spojrzał po raz ostatni na statek i powiedział:

- Wygląda nieźle, prawda, Harry?

- Tak jest, komandorze - odrzekł dowódca przedniego masztu, Harry Peglar. Zgodnie z tym, co obiecał podczas zebrania, w ciągu ostatnich dwóch tygodni wraz ze swymi ludźmi założył wszystkie maszty, takielunek i żagle, i to pomimo śnieżyc, niskiej temperatury, burz i porywistego wiatru. Teraz na wszystkich żaglach, linach i masztach lśniła warstwa lodu. Wydawało się, że cały statek przystrojony jest klejnotami.

Po zatonięciu HMS *Erebus*, co stało się w ostatni dzień marca, Crozier i Fitzjames uznali, że przywrócą *Terror* do stanu używalności, choć obaj byli świadomi, że powinni jak najszybciej opuścić także ten statek i wyruszyć w długą wędrówkę przez lód. Gdyby utknęli w Obozie *Terror* na Ziemi Króla Williama aż do lata, a lód jakimś cudem stopniał, teoretycznie mogli wrócić w łodziach do *Terroru* i pożeglować ku wolności.

Teoretycznie.

- Panie Thomas - zawołał Crozier do Roberta Thomasa, który po śmierci Hornby'ego przejął obowiązki pierwszego oficera, a teraz przewodził zaprzęgowi pierwszych sań. - Niech pan rusza, kiedy będzie pan gotowy.

- Tak jest, komandorze! - odkrzyknął Thomas i naparł z całych sił na uprzęż. Mimo że przyłączyło się do niego pozostałych sześciu mężczyzn zapiętych w uprzęży, sanie nie drgnęły. Ich płozy przymarzły do lodu.

- Razem, chłopcy! - zawołał ze śmiechem Edwin Lawrence, jeden z towarzyszy Thomasa. Ludzie stęknęli, zaskrzypiały rzemienie i obciążone sanie ruszyły w końcu naprzód.

Porucznik Little dał rozkaz do wymarszu załodze drugich sań, którą prowadził Magnus Manson. To właśnie dzięki jego zwierzęcej sile drugie sanie - choć obładowane cięższym bagażem niż sanie Thomasa - natychmiast poderwały się do przodu.

I tak w drogę wyruszały kolejne załogi, w sumie trzydziestu pięciu ludzi w zaprzęgach, pięciu

w rezerwie, która stanowiła jednocześnie zbrojną eskortę pochodu, czterech matów z obu okrętów i dwóch oficerów - porucznik Little i komandor Crozier - którzy od czasu do czasu popychali sanie, a czasem, choć nieco rzadziej, sami zakładali uprząż.

Komandor przypominał sobie, że kilka dni wcześniej, kiedy porucznik Hodgson i porucznik Irving przygotowali swoją grupę do wyprawy do Obozu *Terror* - obaj oficerowie po dotarciu do obozu wysłali część ludzi na zwiady i polowanie - Irving zaskoczył go niecodzienną prośbą; chciał, by jeden z dwóch ludzi przydzielonych do jego zespołu został na Terrorze. Crozier był zdumiony, wcześniej wydawało mu się bowiem, że młody oficer doskonale radzi sobie z marynarzami i bez problemu wypełnia wszystkie powierzone mu zadania, kiedy jednak usłyszał nazwiska ludzi, o których chodziło Irvingowi, zrozumiał. Porucznik Little przydzielił do sań Irvinga zarówno Corneliusa Hickeya, jak i Magnusa Mansona, a Irving prosił komandora, nie podając przy tym żadnych konkretnych powodów, by któryś z nich został włączony do innego zespołu. Crozier natychmiast przystał na tę prośbę, wcielając Mansona do załogi, która jako jedna z ostatnich miała opuścić statek, i zostawiając mata uszczelniacza w grupie Irvinga. Crozier także nie ufał Hickeyowi, szczególnie po wydarzeniach sprzed kilku tygodni, kiedy to za jego sprawą omal nie doszło do buntu na pokładzie, wiedział też, że mat jest szczególnie groźny, gdy ma u boku wielkiego idiotę Magnusa Mansona.

Teraz Crozier oddalał się z każdym krokiem od swego statku, świadom, że prawdopodobnie nigdy go już nie zobaczy. Choć patrząc prosto przed siebie, widział głównie Magnusa Mansona, nie odwracał głowy. Obiecał sobie, że nie spojrzy w stronę *Terroru* co najmniej przez pierwsze dwie godziny wędrówki.

Przeglądając się ludziom maszerującym w długim pochodzie, myślał o tych, których wśród nich nie było.

Fitzjames pełnił funkcję oficera dowodzącego w Obozie *Terror* na Ziemi Króla Williama, w rzeczywistości jednak jego nieobecność wynikała z innych powodów. Żaden komandor nie chciał opuszczać swego statku w obecności innego dowódcy. Crozier, który od czasu pożaru odwiedzał *Erebusa* niemal codziennie, obserwując, jak napór lodu powoli przełamuje okaleczony statek na pół, celowo nie pojawił się tam 31 marca, kiedy Fitzjames musiał w końcu opuścić swoją jednostkę. Fitzjames w ramach rewanżu podjął się dowodzenia Obozem *Terror* na tydzień przed tym, jak Crozier musiał w końcu zejść z pokładu swojego okrętu.

Nieobecność większości pozostałych miała znacznie bardziej tragiczne i przynębiające przyczyny. Crozier przywoływał w pamięci ich twarze, maszerując powoli obok ostatnich sań.

Terror miał więcej szczęścia niż *Erebus* nie tylko dlatego, że wciąż był cały i nadawał się do podróży, ale także dlatego, że stracił znacznie mniej oficerów. Należeli do nich pierwszy oficer Fred Hornby, zabity przez potwora w noc karnawału, drugi nawigator Giles MacBean, który padł ofiarą potwora minionego lata, podczas podróży do Ziemi Króla Williama, oraz obaj lekarze, Peddie i McDonald, kolejne ofiary nieszczęsnego karnawału. Jednak wszyscy porucznicy Croziera nadal żyli i mieli się w miarę dobrze, podobnie jak jego drugi oficer Thomas, lodomistrz Blanky oraz niezastąpiony pan Helpman, główny klark.

Fitzjames stracił swojego dowódcę, sir Johna, porucznika Grahama Gore'a, porucznika Jamesa Waltera oraz pierwszego oficera Roberta Orme Sergeanta; wszyscy padli ofiarą potwora. Zginął również główny lekarz, pan Stanley, oraz drugi nawigator, Henry Foster Collins. Z oficerów *Erebusa* zostali tylko porucznik H.T.D. Le Vesconte, drugi oficer Charles Des Voeux, lodomistrz Reid, lekarz Goodsir oraz intendent Charles Hamilton Osmer. Podczas gdy przed dwoma laty mesa oficerska była pełna ludzi - sir John, Fitzjames, Gore, Le Vesconte, Fairholme, Stanley, Goodsir i

Osmer jedli posiłki razem - w ostatnich tygodniach pojawiał się w niej tylko komandor, jego jedyny porucznik, lekarz i intendent. W ostatnich dniach, gdy łód przechylił *Erebusa* o trzydzieści stopni, owe wspólne posiłki wyglądały wyjątkowo absurdalnie. Oficerowie zmuszeni byli siedzieć na pokładzie i trzymać talerze na kolanach, opierając się stopami o burtę.

Hoar, steward Fitzjamesa, był ciężko chory na szkorbut, więc biedny stary Bridgens musiał wypełniać jego obowiązki i obsługiwać oficerom, biegając niczym krab po przechylonym pokładzie.

Załoga *Terroru* miała więcej szczęścia także ze względu na to, że wciąż żyli wszyscy jej podoficerowie. Mechanik Croziera, jego bosman i cieśla nadal pełnili swe obowiązki. Mechanik *Erebusa*, John Gregory, i główny cieśla, zostali wypatroszeni przez potwora, kiedy ten wtargnął na główny pokład okrętu, na początku marca. Bosman *Erebusa*, Thomas Terry, padł ofiarą monstrum kilka miesięcy wcześniej, w listopadzie. Fitzjames nie miał już do dyspozycji żadnego podoficera.

Spośród dwudziestu jeden podoficerów *Terroru* - matów, sterników, dowódców przedniego masztu, ładowni, głównego masztu i grotmasztu, stewardów, uszczelniaczy i palaczy - Crozier stracił tylko jednego człowieka: palacza Johna Torringtona, który zmarł jako pierwszy z członków wyprawy, i stycznia 1846 roku, na wyspie Beechey. Crozier pamiętał, że przyczyną śmierci były suchoty, na które Torrington zapadł jeszcze w Anglii.

Fitzjames stracił kolejnego spośród swoich ludzi, palacza Tommy'ego Platera, owej pamiętnej marcowej nocy, gdy potwór szalał na pokładzie *Erebusa*. Spośród wszystkich obecnych wówczas w ładowni atak monstrum przeżył tylko pomocnik cieśli, Thomas Watson, który stracił jednak lewą rękę.

Ponieważ Thomas Burt, zbrojmistrz, został odesłany do Anglii, nim jeszcze ich statki wpłynęły w łód, na *Erebusie* zostało już tylko dwudziestu podoficerów. Niektórzy z nich, tacy jak stary żaglomistrz, John Murray, i steward Fitzjamesa, Edmund Hoar, byli zbyt ciężko chorzy, by mogli się do czegokolwiek przydać, inni, jak Thomas Watson, byli zbyt mocno okaleczeni, a jeszcze inni, jak wychłostany w styczniu Richard Aylmore, zbyt przygnębieni i niezadowoleni, by służyć Fitzjamesowi jakąkolwiek pomocą.

Crozier kazał jednemu z marynarzy, który wyglądał na wyczerpanego, by zrobił sobie przerwę i siedł obok sań, podczas gdy on, komandor, zajął jego miejsce w uprzęży. Mimo że wraz z nim pracowało w niej sześciu mężczyzn, straszliwy wysiłek potrzebny do przeciągania po lodzie ponad tysiąca pięciuset funtów jedzenia, broni i namiotów stanowił dla jego osłabionego organizmu ogromne obciążenie. Nawet gdy udało mu się już wpaść w rytm - brał udział w wyprawach z saniami od marca, kiedy zaczęli transportować łodzie i sprzęt na Ziemię Króla Williama, i dobrze wiedział, jaka to ciężka praca - bolesny ucisk rzemieni na klatkę piersiową, ogromna masa ciągniętego ładunku i dokuczliwy pot, który zamarzał, topniał i znów zamarzał w wilgotnych ubraniach, były dlań prawdziwym szokiem.

Crozier żałował, że nie mają więcej marynarzy i żołnierzy. *Terror* stracił dwóch dobrych żeglarzy - Billy'ego Stronga, rozerwanego na pół przez potwora z lodu, i Jamesa Walkera, najlepszego przyjaciela Magnusa Mansona, nim ten idiota dał się całkowicie omotać Hickeyowi. Crozier pamiętał, że to właśnie ze strachu przed duchem Jimmy'ego Walkera Manson odmówił niegdyś wykonania rozkazu.

Pod jednym tylko względem *Erebus* miał więcej szczęścia niż jego siostrzana jednostka. Jedynym dobrym marynarzem, którego stracił Fitzjames podczas tej ekspedycji, był John Hartnell, który także zmarł na gruźlicę i został pogrzebany zimą 1846 roku na wyspie Beechey.

Crozier napał mocniej na uprząż, myśląc o twarzach i nazwiskach - zginęło tylu oficerów i tak niewielu zwykłych marynarzy - i zastanawiając się, czy potwór z lodu celowo wybierał na swe

ofiary niemal wyłącznie przywódców ekspedycji.

Nie myśl tak, przykazał sobie Crozier. Przypisujesz tej bestii zdolność rozumowania, której przecież nie ma.

Czyżby? - spytała inna, bardziej strachliwa część jego umysłu.

Obok Croziera przeszedł jeden z żołnierzy eskorty, który niósł pod pachą naładowany muszkiet. Twarz mężczyzny ukryta była pod czapkami i szalikami, Crozier rozpoznał jednak po charakterystycznym chodzie Roberta Hopcrafta. Szeregowiec Hopcraft został ciężko raniony przez potwora rok wcześniej, gdy zginął sir John. Choć wrócił w końcu do zdrowia, ze względu na rozbity obojczyk, którego nie dało się już przywrócić do dawnego stanu, przy każdym kroku przechylał się lekko na lewo, jakby nie mógł utrzymać się w linii prostej. Towarzyszył im także William Pilkington, szeregowiec, który został postrzelony w ramię tego samego dnia. Crozier zauważył, że Pilkington oszczędza to ramię i rękę.

Sierżant David Bryant, dowódca oddziału piechoty morskiej na Erebusie, został pozbawiony głowy tuż przed tym, jak potwór wrzucił sir Johna pod lód. Szeregowiec William Braine zmarł na wyspie Beechey w 1846 roku, a szeregowiec William Reed zniknął na lodzie 9 listopada minionej zimy, kiedy niósł wiadomość na *Terror* - Crozier pamiętał dobrze tę datę, sam bowiem wybrał się wtedy na *Erebusa*, gdzie potem zastała go wieść o śmierci jego dwóch ludzi - co oznaczało, że pod komendą Fitzjamesa zostało tylko czterech żołnierzy: dowodzący oddziałem kapral Alexander Pearson, kaleki szeregowiec Hopcraft, szeregowiec Pilkington i szeregowiec Joseph Healey.

Oddział żołnierzy pod komendą Croziera stracił tylko szeregowca Williama Heathera, który został zaatakowany przez potwora w listopadzie minionego roku. Choć potężny cios monstrum pozbawił go sporej części czaszki i mózgu, Haether wciąż żył. Przez kilka tygodni leżał w izbie chorych, pogrążony w śpiączce, balansując cały czas na granicy życia i śmierci. Potem jego towarzysze z oddziału przenieśli go do hamaka we wspólnej sali, gdzie codziennie go karmili, przebierali, nosili do ubikacji i myli. Wyglądało to tak, jakby bezrozumny, śliniący się mężczyzna był ich pupilem. Został przewieziony do Obozu *Terror* w zeszłym tygodniu; żołnierze opatulili go szczelnie i usadzili w specjalnym jednoosobowym toboganie, przygotowanym specjalnie dla niego przez pomocnika cieśli, Grubego Wilsona. Marynarze nie mieli nic przeciwko dodatkowemu ładunkowi; sami zadeklarowali się, że będą na zmianę ciągnęli sanie z żywym trupem przez lód i wały lodowe do samego Obozu *Terror*.

Crozier miał więc do dyspozycji pięciu żołnierzy piechoty morskiej - Daly'ego, Hammonda, Wilkesa, Hedgesa i trzydziestosiedmioletniego sierżanta Solomona Tozera, niewykształconego głupca, który teraz jednak dowodził całą dziewiątką żołnierzy czynnie uczestniczących w wyprawie sir Johna Franklina.

Po pierwszej godzinie pracy w uprzęży Crozier odniósł wrażenie, że sanie ślizgają się nieco łatwiej, lepiej też dopasował się do rytmu ciężkiego dyszenia, które w tych warunkach zastępowało zwykłe oddychanie.

Wymienił już w myślach chyba wszystkie kategorie podwładnych, których stracił do tej pory podczas tej wyprawy. Oprócz chłopców, oczywiście, tych młodych ochotników, którzy przyłączyli się do wyprawy w ostatniej chwili i zostali wpisani do rubryki „Chłopcy”, choć trzech spośród nich miało już wtedy osiemnaście lat, a czwarty, Robert Golding, nawet dziewiętnaście.

Trzech „chłopców” wciąż żyło, choć Crozier osobiście wyniósł nieprzytomnego George'a Chambersa z płonącego namiotu podczas karnawałowej nocy. Jedyną ofiarą śmiertelną spośród całej czwórki był Tom Evans, najmłodszy z nich wszystkich; potwór porwał go dosłownie sprzed nosa komandora Croziera, kiedy wyszli na lód w poszukiwaniu Williama Stronga.

George Chambers, choć odzyskał przytomność dwa dni po karnawale, nigdy już nie był taki sam. Wcześniej uchodził za bystrego i wesołego chłopaka, jednak po spotkaniu z potworem, które zakończyło się dlań wstrząśnieniem mózgu, inteligencją nie dorównywał już nawet Magnusowi Mansonowi. George nie był żywym trupem jak szeregowiec Heather - wykonywał proste polecenia i rozkazy - jednak od czasu owej straszliwej noworocznej nocy prawie w ogóle się nie odzywał.

David Leys, jeden z najbardziej doświadczonych uczestników wyprawy, był kolejnym człowiekiem, który przeżył dwa spotkania z potworem, lecz był równie bezużyteczny jak bezmózgi - dosłownie - szeregowiec Heather. Od pamiętnej nocy, kiedy to potwór spotkał Leysa i Johna Hadforda na pokładzie, a potem ścigał lodomistrza Blanky'ego w lodowym lesie, Leys ponownie popadł w stan całkowitego odrętwienia psychicznego, z którego już się nie wydobył. Przeniesiono go do Obozu *Terror* wraz z ciężko rannymi i chorymi, którzy nie byli w stanie chodzić o własnych siłach, jak steward Fitzjamesa, Hoar. Coraz więcej ludzi ranionych przez potwora, ciężko chorych lub pogrążonych w depresji zamieniało się w bezużyteczny ciężar; coraz więcej ust do wykarmienia i ciał do przeciągnięcia, a coraz mniej marynarzy zdolnych do wykonywania ciężkiej pracy.

Zmęczony i niewyspany - zajęty przygotowaniami do opuszczenia statku nie spał przez ostatnie dwie noce - Crozier spróbował policzyć zmarłych.

Wyszło mu dwudziestu zmarłych, nie licząc trzech żołnierzy i Evansa. Dwadzieścia cztery ofiary śmiertelne. Przerażająca liczba - Crozier nie przypominał sobie, by jakkolwiek inna wyprawa arktyczna w historii brytyjskiej marynarki wojennej poniosła równie duże straty.

Pozostawała jednak jeszcze jedna, znacznie ważniejsza liczba, na której skupiała się uwaga Francisza Rawdona Moiry Croziera: stu pięciu żywych ludzi pozostających pod jego opieką.

Stu pięciu ludzi, łącznie z nim, musiało porzucić swe statki i wyruszyć na lód.

Crozier pochylił głowę i naparł mocniej na uprząż. Podniósł się wiatr, który niósł ze sobą gęsty śnieg, ograniczający widoczność zaledwie do kilku stóp.

Czy dobrze wszystko policzył? Dwudziestu zmarłych, nie licząc żołnierzy i chłopca? Tak, porucznik Little z pewnością sprawdził rano listę i upewnił się, że nikogo nie brakuje, że wszyscy są albo w obozie, albo w drodze do obozu, albo na pokładzie HMS *Terror*... ale czy na pewno? Czy nie zapomniał o kimś? Czy nie omylił się w rachunku? Crozier był bardzo, bardzo zmęczony.

Francis Crozier mógł mieć chwilowe kłopoty z dodawaniem i odejmowaniem - nie spał przecież od dwóch, nie, nawet trzech nocy - ale nie zapomniał twarzy ani nazwiska żadnego ze swoich ludzi. I wiedział, że nie zapomni ich do końca życia.

- Komandorze!

Crozier ocknął się z transu, w który zapadł, ciągnąc sanie. W tej chwili nie umiałby powiedzieć, czy tkwi w uprzęży od godziny, czy od sześciu godzin. Świat wypełniony był oślepiającym blaskiem zimnego słońca, kryształkami lodu, które siekły go po twarzy, bólem całego ciała, jego ciężkim oddechem, ciężarem złożonym na saniach, oporem lodu i świeżego śniegu, a przede wszystkim dziwnie niebieskim niebem ze smugami białych chmur, które oplatały ich ze wszystkich stron, jakby maszerowali we wnętrzu ogromnej, biało-niebieskiej misy.

- Komandorze! - krzyczał porucznik Little.

Crozier uświadomił sobie nagle, że ludzie w jego zaprzęgu przystanęli. Wszystkie sanie stały nieruchomo na lodzie.

Na wprost ich kolumny, na południowym wschodzie, jakąś milę za następnym wałem lodowym, przez morze lodu płynął trójmasztowiec. Miał zwinięte żagle, ale i tak się poruszał, jakby niesiony silnym prądem. Sunął powoli i majestatycznie przez pas otwartej wody, który musiał

otwierać się tuż za tym wałem.

Ratunek. Ocalenie.

Błękitny płomień w piersiach Croziera rozpałił się mocniej na kilka sekund.

Lodomistrz Thomas Blanky, który poruszał się na drewnianej protezie przygotowanej dlań przez cieślę Honeya, przystąpił do komandora i rzekł krótko:

- Miraż.

- Oczywiście - odparł komandor.

Niemal od razu rozpoznał charakterystyczne maszty i takielunek HMS *Terror*, nawet w drżącym, roziskrzonym świetle. Przez kilka sekund oszołomienia zastanawiał się nawet, czy nie zgubili drogi, nie skręcili na północny zachód i nie wrócili do okrętu, który zostawili za sobą kilka godzin wcześniej.

Nie. Przed nimi ciągnęły się stare ślady płóz, wyżłobione głęboko w lodzie przez niezliczone wyprawy kursujące między statkiem i Ziemią Króla Williama. Słońce wciąż wisiało na niebie przed nimi, nieco na prawo od kierunku ich marszu, na południu. Trzy maszty wystające zza wału lodowego rozbłysły jaśniej, na moment zniknęły, a potem ukazały się jeszcze wyraźniej niż po poprzednio, tyle że do góry nogami; uwięziony w lodzie kadłub dotykał nieba i zlewał się z białymi chmurami.

Crozier, Blanky i wielu innych uczestników wyprawy wielokrotnie już widziało podobne zjawisko - iluzoryczne obrazy na niebie. Pewnego słonecznego zimowego poranka przed wielu laty, gdy jego statek tkwił uwięziony w lodzie przy lądzie, który nazywali Antarktydą, Crozier widział, jak dymiący wulkan - noszący tę samą nazwę co statek - oderwał się od zamarznętej powierzchni morza i poszybował na północ. Innym razem, podczas tej samej wyprawy, wiosną 1847 roku, Crozier wyszedł na pokład i ujrzał czarne kule unoszące się na południowym niebie. Kule przybrały kształt ósemek, podzieliły się na kolejne, mniejsze kule, a potem, w ciągu niecałego kwadransa, zniknęły bez śladu.

Dwaj marynarze przy trzecich saniach opadli na kolana, w warstwę świeżego śniegu. Jeden z nich szlochał głośno, a drugi wyrzucał z siebie wiązkę najwymyślniejszych przekleństw, jakie Crozier słyszał w swojej karierze - a słyszał już sporo.

- Do diabła! - ryknął komandor. - Widzieliście już wcześniej arktyczne miraże. Przestańcie się mazgać i kłąć albo sami będziecie ciągnąć te sanie, a ja na nich usiądę i będę was kopał po tyłkach. Wstawać, do jasnej cholery! Jesteście marynarzami, a nie panienkami z dobrego domu. Ruszać się, kurwa mać!

Dwaj marynarze podnieśli się i otrzepali niezdarnie z drobin śniegu i lodu. Crozier nie widział ich twarzy ukrytych pod grubą warstwą szalików i nie chciał ich widzieć.

Pochód ruszył ponownie przy akompaniamencie sapań i postękiwań, ale nie przekleństw. Wszyscy wiedzieli, że pokonanie ciągnącego się przed nimi wału będzie ich kosztowało mnóstwo wysiłku, mimo że poprzednie wyprawy wyciosały w nim już nieco wygodniejsze przejście. Musieli podnieść ciężkie sanie i przenieść je w górę stromego zbocza, między urwiskami wysokości sześćdziesięciu stóp, z których w każdej chwili mógł im spaść na głowy jakiś lodowy blok.

- Zupełnie jakby jakiś okrutny bóg chciał nas trochę podręczyć - rzekł Thomas Blanky niemal radosnym tonem. Lodomistrz, który nie musiał ciągnąć żadnych sań, wciąż szedł obok Croziera.

Komandor nie odpowiedział na jego uwagę i po minucie Blanky został nieco z tyłu, dołączając do jednego z żołnierzy zamykającego pochód.

Crozier kazał jednemu z wolnych marynarzy zająć jego miejsce w zaprzęgu - wcześniej uczyli się, jak to robić, by nie zatrzymywać sań i całego pochodu - a kiedy już zamiana dobiegła końca, stanął z boku i spojrzał na zegarek. Szli już pięć godzin. Spojrzawszy do tyłu, przekonał się, że

Terror zniknął im już z oczu, oddzielony od nich dystansem co najmniej pięciu mil i kilkoma wałami lodowymi. Iluzoryczny obraz statku był ostatnim prezentem jakiegoś okrutnego arktycznego boga, który cieszył się ich udręką.

Francis Rawdon Moira Crozier, przywódca tej nieszczęsnej ekspedycji, po raz pierwszy uzmysłowił sobie, że nie jest już komandorem okrętu należącego do Służby Badawczej Królewskiej Marynarki Wojennej. Ta część jego życia - a służba w marynarce była całym jego życiem, odkąd ukończył dwanaście lat - stanowiła już zamknięty rozdział. Wiedział, że po tym, jak stracił dwa okręty i sporą część załogi, Admiralicja nigdy już nie powierzy mu dowództwa nad innym statkiem. Crozier wiedział, że jeśli chodzi o jego karierę w marynarce wojennej, był żywym trupem.

Czekały ich jeszcze dwa dni trudnej wędrówki do Obozu *Terror*. Crozier wbił wzrok w wysoki wał lodowy i ruszył naprzód.

GOODSIR

69°37'42" szerokości geograficznej północnej, 98°41' długości geograficznej zachodniej.
22 kwietnia 1848.

Z prywatnego dziennika doktora Harry'ego D.S. Goodsira.

22 kwietnia 1848

Od czterech dni jestem w miejscu, które nazywamy Obozem Terror. Jaka nazwa, takie miejsce.

Łącznie przebywa tutaj sześćdziesięciu ludzi, którymi dowodzi komandor Fitzjames.

Przyznam, że kiedy przybyłem tutaj w zeszłym tygodniu i zobaczyłem obóz po raz pierwszy, przyszła mi na myśl Iliada Homera. Obóz rozstawiony jest na brzegach szerokiej odnogi morskiej, około dwóch mil na południe od kopca wzniesionego niemal dwadzieścia lat temu przez Jamesa Clarka Rossa. Stały łód osłania nas nieco przed wiatrem i śniegiem wiejącym od strony paku.

Być może skojarzenia z Iliadą przywołał widok osiemnastu długich łodzi ułożonych w szeregu wzdłuż brzegu zamrożonego morza - cztery łodzie leżały bezpośrednio na żwirze, pozostałe czternaście przywiązane były do sań.

Za łodziami stoi dwadzieścia namiotów różnej wielkości, od tych najmniejszych z płótna Holland, których używaliśmy prawie rok temu, podczas wyprawy porucznika Gore'a do Victory Point - w każdym namiocie tego typu może spać sześciu ludzi, po trzech w jednym, szerokim na pięć stóp spiworze z wilczych skór i koców - przez nieco większe namioty zrobione przez żaglomistrza Murraya, w tym tuzmioty dla komandora Fitzjamesa i komandora Croziera oraz ich stewardów, do dwóch największych, rozmiarów Wielkiej Kajuty z Terroru - w jednym z nich mieści się izba chorych, w drugim mesa marynarska. Są też namioty pełniące funkcję mesy dla podoficerów oraz oficerów i równych im rangą cywilów, takich jak mechanik Thompson i ja.

Być może też skojarzenie z Iliadą wzięło się stąd, że kiedy ktoś zbliża się do Obozu Terror nocą - a wszystkie grupy z HMS Terror przybywały do obozu nocą, po trzech dniach wędrówki - nie może się nadziwić wielkiej liczbie ognisk. Oczywiście nie mamy drewna, które moglibyśmy palić w tych ogniskach - prócz kilku stert dębowych desek, które przyciągnęliśmy z Erebusa specjalnie w tym celu - korzystamy jednak z ostatnich worków węgla, które przewożono tu przez ostatnich kilka tygodni. Niektóre z ognisk płoną w kręgach ułożonych z kamieni, inne w czterech wysokich koksownikach uratowanych z karnawałowego pożaru.

W efekcie obóz rozświetlony jest blaskiem dziesiątek ognisk, a także pochodni i lamp.

Spędziwszy w obozie kilka dni, doszedłem do wniosku, że przypomina on bardziej obozowisko piratów niż zgromadzenie Achillesa, Odyseusza, Agamemnona i innych bohaterów Homera. Ludzie chodzą w poszarpanych, postrzępionych i wielokrotnie cerowanych ubraniach. Większość jest chora albo kuleje, albo jedno i drugie. Ich twarze są blade, często porośnięte gęstą brodą, zapadnięte oczy patrzą na świat z ciemnych oczodołów.

Włóczą się po obozie z nożami uwieszonymi u szerokich pasów i schowanych w pochwach sporządzonych z przyciętych pochew na bagnety. Owe pochwy to pomysł komandora Croziera, podobnie jak gogle z cienkiej metalowej siatki, które ludzie noszą w słoneczne dni, by nie nabawić się śnieżnej ślepoty. Ogólnie wszyscy wyglądają jak banda zbirów.

I większość ma objawy szkorbutu.

Ostatnio miałem dużo pracy w izbie chorych. Marynarze poświęcili sporo sił, by przewieźć przez lód i przerażające wały lodowe dwanaście koi dla chorych (i dwie dodatkowe dla

komandorów), ale w tej chwili mam w izbie dwudziestu pacjentów, więc ośmiu z nich leży na posłaniach z koców, ułożonych bezpośrednio na ziemi. Światło podczas długich nocy zapewniają nam trzy lampy olejowe.

Większość ludzi śpiących w izbie chorych zapadła na szkorbut, choć nie wszyscy. Leży tutaj szeregowiec Heather, który niegdyś został pozbawiony przez potwora z lodu fragmentu czaszki i mózgu (Doktor Peddie uzupełnił brakujący fragment kości złotą płytką, mózgu niestety nie dało się niczym zastąpić). Heatherem zajmowali się do tej pory żołnierze, którzy zamierzali to robić także w Obozie Terror - szeregowiec został tu przewieziony na małych saniach sporządzonych specjalnie dla niego przez pana Honeya - lecz podczas transportu, trzech długich dni i dwóch zimnych nocy, Heather nabawił się zapalenia płuc. Tym razem nie spodziewam się, by szeregowiec, który do tej pory żył tylko dzięki jakiemuś niezwykleму zrządzeniu niebios, pozostał przy życiu dłużej niż kilka dni.

Jest tutaj także David Leys, nazywany przez swoich towarzyszy Daveyem. Jego katatoniczny stan nie uległ zmianie od kilku miesięcy, ale po przenosinach do obozu - dotarł tutaj wraz z moją grupą - nie przyjmuje już nawet rzadkiej zupy ani wody. Dziś jest sobota. Nie sądzę, by w środę o tej porze Leys jeszcze żył.

Ogromny trud, na jaki musieli zdobyć się marynarze, by przeciągnąć łodzie i tak wiele materiałów z okrętu na wyspę - przez wały lodowe, na które ja z trudem się wspinałem, choć przecież nie dźwigałem za sobą żadnych ciężarów - zaowocował typowymi złamaniami i kontuzjami, które musiałem opatrzyć. Należało do nich jedno poważne i skomplikowane złamanie ręki marynarza Bilia Shanksa. Zatrzymałem go tutaj, by obserwować na bieżąco, czy w ranę nie wdaje się zakażenie (ostre fragmenty kości przebiły w dwóch miejscach mięśnie i skórę).

Jednak największe żniwo zbiera szkorbut.

Być może pierwszy spośród wszystkich chorych umrze pan Hoar, steward komandora Fitzjamesa. Hoar coraz rzadziej odzyskuje świadomość. Podobnie jak Leys i Heather musiał zostać przewieziony przez dwadzieścia pięć mil po lodzie dzielącym nasz okręt od Obozu Terror.

Edmund Hoar ma wszystkie typowe objawy rozwoju tej choroby. Steward komandora jest młodym człowiekiem - skończy dwadzieścia siedem lat za dwa tygodnie, 9 maja. Jeśli dożyje tego dnia.

Jak na stewarda Hoar jest dużym mężczyzną - ma sześć stóp wzrostu - i kiedy nasza ekspedycja wyruszała z Anglii, był w doskonałym zdrowiu. Był bystry, energiczny, zdyscyplinowany i niezwykle wysportowany jak na stewarda. Podczas różnego rodzaju zawodów sportowych, które organizowaliśmy w trakcie postoju przy wyspie Beechey zimą 1845-46, Hoar często był zwycięzcą i przewodził różnym zespołom.

Miał już lekkie objawy skorbutu zeszłej jesieni - znużenie, ospałość, coraz częstsze kłopoty z koncentracją - jednak choroba objawiła się z większą mocą po masakrze karnawałowej nocy. Hoar obsługiwał komandorowi Fitzjamesowi po szesnaście godzin dziennie aż do lutego, w końcu jednak choroba wzięła górę.

Pierwszym niezaprzeczalnym objawem choroby, która dopadła pana Hoara, było coś, co marynarze z dziobówki nazywają koroną cierniową.

Z włosów Edmunda Hoara zaczęła sączyć się krew. Ito nie tylko z włosów na jego głowie. Plamy krwi pojawiały się codziennie najpierw na jego czapkach, potem na podkoszulkach, a potem na bieliźnie.

Przyglądałem się temu uważnie i stwierdziłem, że krew na głowie pochodzi z samych mieszków włosowych. Niektórzy marynarze próbują uniknąć tych pierwszych objawów, goląc sobie

głowy do łysa, ale to oczywiście niczego nie zmienia. Kiedy uszanki, czapki, szale i poduszki marynarzy i oficerów zaczęły nasiąkać krwią, większość zaczęła owijać sobie głowy ręcznikami.

Oczywiście nie umniejsza to w żadnym stopniu zakłopotania i dyskomfortu, jakiego doświadcza człowiek, który krwawi ze wszystkich owłosionych miejsc na swoim ciele.

W styczniu zaczęły się także pojawiać krwotoki pod skórą stewarda Hoara. Choć oczywiście nikt nie organizował już żadnych zawodów na lodzie, a obowiązki rzadko zmuszały pana Hoara do wyjścia na zewnątrz lub podejmowania dużego wysiłku fizycznego, najmniejszy guz lub siniak objawiał się na jego ciele w postaci wielkiej sinoczerwonej plamy i nie chciał się goić. Zadrapanie lub drobne rozcięcie, jakich trudno czasem uniknąć przy obieraniu ziemniaków lub krojeniu mięsa, nie zamykały się i krwawiły tygodniami.

Do końca stycznia nogi pana Hoara spuchły i nabrzmiały do absurdalnych rozmiarów - były co najmniej dwukrotnie grubsze niż normalnie. Hoar musiał pożyczać brudne spodnie od większych od niego marynarzy, by mieć w czym usługiwać komandorowi. Nasilający się ból w stawach nie dawał mu spać. Nim nadszedł marzec, każdy ruch sprawiał Edmundowi Hoarowi niewyobrażalny ból.

Przez cały marzec Hoar upierał się, że nie może pozostać dłużej w izbie chorych Erebusa - że musi wracać do swojej kajuty i usługiwać komandorowi Fitzjamesowi. Jego blond włosy bezustannie sklejała zakrzepła krew. Spuchnięte ręce, nogi i twarz zaczynały przypominać wyrośnięte ciasto. Badałem go codziennie i zauważyłem, że z dnia na dzień jego skóra staje się coraz mniej elastyczna; na tydzień przed tym, jak Erebus uległ zniszczeniu, mogłem wepchnąć w ciało Hoara niemal cały palec, a powstałe przy tym zagłębienie pozostawało tam na stałe, otoczone kolejnym siniakiem.

Do połowy kwietnia całe ciało Hoara zamieniło się w rozdętą, zniekształconą masę. Żółtaczka zabarwiła jego ręce i twarz. Jasnożółte oczy stanowiły szokujący kontrast dla czerwonych, krwawiących brwi.

Choć wraz z mym pomocnikiem staraliśmy się przewracać ciało chorego i zmieniać jego ułożenie co najmniej kilka razy dziennie, nim przewieźliśmy go z umierającego Erebusa, Hoar pokryty był odleżynami, które zamieniły się w brązowofioletowe wrzody wypełnione ropą. Jego twarz, szczególnie po obu stronach nosa i ust, także pokryła się wrzodami, z których nieustannie sączyły się ropa i krew.

Ropa chorego na skorbut ma szczególnie odrażający zapach. Nim przenieśliśmy się do Obozu Terror, pan Hoar miał już tylko dwa zęby - pomyśleć tylko, że jeszcze w święta Bożego Narodzenia mógł pochwalić się najzdrowszym uśmiechem spośród wszystkich marynarzy na obu statkach.

Dziąsła Hoara poczerniały i skurczyły się. Chory jest przytomny tylko przez kilka godzin na dobę, a każda sekunda tego czasu to dlań ogromna męczarnia. Kiedy otwieramy mu usta, by go nakarmić, z trudem wytrzymujemy wydobywający się z nich smród. Ponieważ nie możemy pracować ręczników, położyliśmy na łóżku płótno żaglowe, które jest teraz czarne od krwi. Jego ubrania także sztywne są od zakrzepłej krwi i ropy.

Równie straszliwy jak cierpienia i wygląd chorego jest fakt, że może on żyć - w coraz gorszym stanie - jeszcze przez całe tygodnie lub miesiące. Skorbut to podstępny zabójca. Torturuje swą ofiarę długimi miesiącami, nim w końcu pozwoli jej odejść na wieczny spoczynek. Zanim chory na skorbut umrze, często jest tak zmieniony, że nie poznają go nawet najbliżsi krewni, a on sam także nie poznaje już nikogo ze swego otoczenia.

Tutaj jednak nie mamy takiego problemu. Z wyjątkiem braci Hartnell - starszy z nich zmarł

już dwa lata temu i został pogrzebany na wyspie Beechey

- w wyprawie nie brały udziału żadne rodzeństwa, a z pewnością żaden z naszych krewnych nigdy nie przybędzie na tę straszną wyspę wiatru, śniegu, lodu, błyskawic i mgły. Nie będzie nikogo, kto mógłby nas zidentyfikować po naszej śmierci, a tym bardziej pogrzebać.

Dwunastu ludzi w izbie chorych umiera na szkorbut, a ponad dwie trzecie z pozostałych przy życiu uczestników ekspedycji, łącznie ze mną, ma już pierwsze objawy choroby.

Za niecały tydzień skończy nam się sok cytrynowy, nasz najskuteczniejszy środek zapobiegający szkorbutowi, który w ciągu ostatniego roku i tak stracił znacznie ze swej mocy. Jedyne, co może nas jeszcze teraz ochronić przed chorobą, to ocet. Tydzień temu osobiście przyglądałem się rozlewaniu pozostałych zapasów octu z beczek do osiemnastu mniejszych beczulek - po jednej na każde sanie przyciągnięte do Obozu Terror.

Marynarze nienawidzą octu. W odróżnieniu od soku cytrynowego, którego cierpki smak można nieco złagodzić odpowiednią dawką cukru, a nawet rumu, ocet smakuje jak trucizna, szczególnie tym, których podniebienia zostały już zniszczone przez szkorbut rozwijający się w ich organizmach.

Oficerowie, którzy jedli więcej jedzenia z puszek Goldnera niż marynarze

- ci jedli swoją ukochaną (choć już śmierdzącą) soloną wieprzowinę i wołowinę aż do ostatniego kęsa wykrobanego z dna beczek - wydają się nieco bardziej podatni na szkorbut niż zwykli żeglarze.

To potwierdza teorię doktora McDonalda, który uważał, że w puszkowanym mięsie, warzywach i zupach brakuje jakiegoś ważnego elementu obecnego w zepsutym imwet, ale niegdyś świeżym jedzeniu. Gdyby udało mi się jakimś cudem odkryć ów element, nie tylko zyskałbym szansę na uratowanie życia tych biednych ludzi - może nawet pana Hoara - ale po powrocie do Anglii być może otrzymałbym nawet tytuł szlachecki.

Oczywiście jednak ze względu na okoliczności, w jakich się obecnie znajdujemy, i brak jakichkolwiek przyrządów naukowych, nie mam najmniejszych szans na dokonanie takiego odkrycia. Jedyne, co mogę zrobić, to namawiać wszystkich, by jedli świeże mięso, gdyby tylko nasi myśliwi przynieśli takowe do obozu - myślę, że nawet zwykły tłuszcz wzmocniłby nasze organizmy i uchronił je choć trochę przed szkorbutem.

Ale nasi myśliwi nie znaleźli żadnych żywych stworzeń, które mogliby upolować, a lód jest zbyt gruby, by udało nam się wyrębać w nim przerębel i nałowić ryb.

Poprzedniego wieczora komandor Fitzjames wstąpił do izby chorych - czyni to na początek i koniec każdego dnia, kiedy już dokona obchodu całego obozu i może mnie spokojnie wypytać o stan poszczególnych pacjentów - a ja znalazłem w sobie dość śmiałości, by zadać mu pytanie, które dręczyło mnie już od wielu tygodni.

- Komandorze - powiedziałem - może pan nie odpowiadać na to pytanie, jeśli jest pan zbyt zmęczony albo jeśli nie uzna pan tego za stosowne, bo bez wątpienia nie jest to pytanie zbyt mądre, ale zastanawiam się już od pewnego czasu... dlaczego aż osiemnaście łodzi? Zabraliśmy wszystkie łodzie z Erebusa i Terroru, ale mamy tylko stu pięciu ludzi.

- Proszę wyjść ze mną na zewnątrz, jeśli pan może, doktorze Goodsir - odrzekł komandor.

Przykazałem Henry'emu Lloydowi, mojemu pomocnikowi, by czuwał nad chorymi, i wraz z komandorem Fitzjamesem wyszedłem na zewnątrz. Zauważyłem, że jego broda, która wcześniej wydawała mi się ruda, w rzeczywistości była siwa, a czerwoną barwę nadawała jej zaschnięta krew.

Komandor zabrał ze sobą lampę i poprowadził mnie na żwirową plażę.

Oczywiście nie była to plaża, o którą leniwie biły fale ciemnego morza. Wzdłuż zamrożonego brzegu ciągnął się pas gór lodowych, które tworzyły barierę oddzielającą nas od paku.

Komandor Fitzjames podniósł wyżej lampę i oświetlił łodzie ułożone wzdłuż brzegu.

- Co pan widzi, doktorze? - spytał.

- Łodzie - odparłem, czując się jak ostatni głupiec, którym zresztą byłem.

- Widzi pan jakieś różnice między nimi? - spytał ponownie Fitzjames. Przyjrzałem im się uważniej.

- Pierwsze cztery nie są na saniach - odrzekłem. Zauważyłem to już pierwszego wieczora, kiedy tu przybyliśmy. Nie miałem pojęcia, dlaczego pan Honey przygotował specjalne sanie dla wszystkich pozostałych łodzi, a dla tych czterech nie. Wyglądało to jak karygodne niedbalstwo.

- Zgadza się, ma pan rację. - Komandor skinął głową. - Te cztery to łodzie wielorybnicze, welboty z Erebusa i Terroru. Mają trzydzieści stóp długości. Są lżejsze od pozostałych. Bardzo wytrzymałe. W każdej jest po sześć wiosła. Mogą płynąć w obie strony jak kanu... widzi pan to?

Rzeczywiście. Dopiero wtedy zauważyłem, że welboty mają dwa dzioby, jak kanu.

- Gdybyśmy mieli dziesięć takich łodzi, nie byłoby problemu - kontynuował komandor.

- Dlaczego? - spytałem.

- Są wytrzymałe, doktorze. Bardzo wytrzymałe. I lekkie, jak już powiedziałem. Moglibyśmy włożyć do nich zapasy i ciągnąć je przez lód bez sani, które musieliśmy zbudować dla pozostałych łodzi. Gdybyśmy znaleźli otwartą wodę, moglibyśmy spuścić je tam prosto z lodu.

Pokręciłem głową. Wiedziałem, że gdy tylko zadam to pytanie, komandor Fitzjames uzna mnie za skończonego głupca, lecz mimo to je zadałem:

- Dlaczego jednak te właśnie łodzie możemy ciągnąć po lodzie, a innych nie?

Głos komandora nie zdradzał najmniejszych oznak zniecierpliwienia, kiedy odpowiedział na me pytanie innym pytaniem:

- Widzi pan tu ster, doktorze?

Przyjrzałem się łodzi z obu stron, ale nie zauważyłem steru, co też powiedziałem komandorowi.

- Ano właśnie. - Skinął głową. - Welboty mają bardzo mały kil i w ogóle nie mają steru. Steruje wiosłarz siedzący na rufie.

- To dobrze czy źle? - spytałem.

- Dobrze, jeśli chce pan mieć lekką, wytrzymałą łódź bez kilu i bez steru, który możemy złamać, ciągnąc ją po lodzie - odparł komandor Fitzjames.

- Taka łódź doskonale nadaje się do transportu po lodzie, choć ma trzydzieści stóp długości i może pomieścić nawet dwunastu ludzi łącznie z zapasami.

Skinąłem głową, jakbym doskonale to rozumiał. I prawie rozumiałem, ale byłem bardzo zmęczony.

- Widzi pan maszt tej łodzi, doktorze?

Spojrzałem ponownie. Ponownie nie zobaczyłem tego, o co pytał mnie komandor, i ponownie się do tego przyznałem.

- To dlatego, że welboty mają tylko jeden, składany maszt - odrzekł komandor. - Leży teraz schowany pod płótnem, które marynarze rozpięli im burtach.

- Tak, już wcześniej zauważyłem to płótno i deski im wszystkich łodziach - powiedziałem, by pokazać, że nie jestem jednak całkowitym ignorantem.

- Czy to płótno tim osłaniać łodzie przed śniegiem?

Fitzjames zapalił swoją fajkę. Zapasy tytoniu skończyły się już dawno temu. Nie chciałem wiedzieć, co pali zamiast tytoniu,

- Pokrowce zostały założone dla ochrony załóg wszystkich osiemnastu łodzi, choć być może będziemy potrzebowali tylko dziesięciu - odparł cicho. Większość ludzi w obozie już spała. Strażnicy przechadzali się powoli wzdłuż skraju światła rzucanego przez lampy.

- Będziemy pod tym płótnem, kiedy przepłyniemy przez otwartą wodę do ujścia Rzeki Backa? - spytałem. Nie sądziłem, że będziemy chować się pod płótnem żaglowymi i deskami. Wyobrażałem sobie raczej, że będziemy wiosłować w blasku słońca, uradowani perspektywą rychłego ocalenia.

- Być może nie będziemy płynąć łodziami po rzece - powiedział komandor, wypuszczając chmury dymu, którego zapach przypominał wysuszone ludzkie odchody. - Jeśli wody wzdłuż wybrzeża otworzą się tego lata, popłyniemy właśnie tamtędy, drogą morską.

- Aż do Alaski i Sankt Petersburga? - spytałem z niedowierzaniem.

- Co najmniej do Alaski - odrzekł komandor. - Albo Zatoki Baffina, jeśli pasma otwartej wody będą sięgać na północ. - Zrobił kilka kroków do przodu i przysunął lampę bliżej łodzi ułożonych na saniach. - Zna pan te łodzie, doktorze?

- A czy to są jakieś inne łodzie niż te, które oglądaliśmy przed chwilą? - Przekonałem się, że ogromne zmęczenie pozwala człowiekowi zadawać pytania, których inaczej nie ośmieliłby się zadać w obawie przed kompromitacją.

- Tak jest - odrzekł Fitzjames. - Te dwie łodzie, przymocowane do specjalnych sań pana Honeya, to kutry. Na pewno zauważył je pan w ciągu tych ostatnich trzech lat, kiedy leżały przymocowane do pokładu albo do lodu?

- Tak, oczywiście. - Skinąłem głową. - Więc mówi pan, że kutry różnią się czymś od welbotów?

- Zdecydowanie - przytaknął komandor Fitzjames, ponownie zapalając fajkę. - Zauważył pan jakieś maszty na tych łodziach, doktorze?

Nawet w bladym świetle lamp widziałem dwa maszty wyrastające z każdej z tych łodzi i starannie skrojone, obszyte i zwinięte żagle. Powiedziałem o tym wszystkim komandorowi.

- Świetnie - odrzekł, kiwając głową. W jego głosie nie było cienia drwiny ani protekcyjności.

- Czy te składane maszty celowo nie zostały złożone? - spytałem, by pokazać, że słuchałem jego wcześniejszych wywodów.

- Te maszty nie są składane, doktorze Goodsir. Te maszty przymocowane są do łodzi na stałe. Zapewne widzi pan też przymocowane na stałe stery.

I dłuższe kile.

Rzeczywiście, widziałem je.

- To właśnie ze względu na te stery i kile nie można ich ciągnąć po lodzie jak welbotów? - spytałem.

- Otóż to. Doskonale zdiagnozował pan problem, doktorze.

- Czy tych sterów nie dałoby się usunąć, komandorze?

- Zapewne tak, doktorze Goodsir, gorzej z kilami... Urwalibyśmy je na pierwszym wale lodowym, nie sądzi pan?

Skinąłem głową i położyłem dłoń na nadburciu łodzi.

- Czy misie tylko wydaje, czy też kutry są krótsze od welbotów?

- Jest pan bardzo spostrzegawczy, doktorze. Mają dwadzieścia osiem stóp długości, a więc

o dwie mniej niż welboty. Są też cięższe. I mają kwadratowe rufy.

Dopiero teraz zauważyłem, że te dwie łodzie w odróżnieniu od welbotów miały wyraźnie zarysowany dzioby i kwadratowe rufy.

- Eu ludzi zmieści się w tych kutrach? - spytałem.

- Dziesięciu. I osiem wiosel. Zmieści się tu też sporo zapasów, a w razie potrzeby, na przykład podczas sztormu, wszyscy będą mogli się schować za burtami. Dzięki dwóm masztom powierzchnia żagli kutrów jest dwa razy większa niż u welbotów, co bardzo przydaje się na otwartym morzu. Jeśli jednak będziemy musieli popłynąć w górę Rzeki Backa, kutry mogą okazać się znacznie mniej poręczne niż welboty.

- A to dlaczego? - spytałem, czując, że powinienem już to wiedzieć, że już wcześniej mi o tym powiedział.

- Większe zanurzenie, doktorze. Przyjrzyjmy się dwóm następnym... To szalupy.

- Wydają mi się trochę dłuższe od kutrów, komandorze.

- Bo są dłuższe, doktorze. Każda ma trzydzieści stóp długości... tyle samo co welboty. Ale są cięższe, doktorze. Cięższe nawet od kutrów... Ważą co najmniej dziewięćset funtów. Niełatwo przeciągnąć po łodzie taki ciężar, zapewniam pana. Być może komandor Crozier zostawi je tutaj.

- Więc dlaczego nie zostawiliśmy ich od razu na statku? - spytałem. Komandor Fitzjames pokręcił głową.

- Nie mogliśmy tego zrobić. Musimy wybrać te łodzie, które dadzą największe szanse na przeżycie setce ludzi, które będą nam służyć przez długie tygodnie albo miesiące na otwartym morzu, albo na rzece. Czy wiedział pan, że te łodzie... wszystkie te łodzie... takluje się inaczej w zależności od tego, czy mają pływać po morzu, czy też po rzece, doktorze?

Tym razem to ja pokręciłem głową.

- Nieważne. - Komandor Fitzjames machnął ręką. - Porozmawiamy o subtelnościach taktowania przy innej okazji, najlepiej w jakiś słoneczny, ciepły dzień, daleko na południu od tego miejsca... Zostało nam jeszcze osiem łodzi. Dwie pierwsze to szalupy, które nazywamy czasem pinkami, następne cztery to też szalupy, choć nieco innego typu, a dwie ostatnie to jolki.

- Jolki wydają się znacznie krótsze - zauważyłem.

Komandor Fitzjames zaciągnął się śmierzącym dymem i skinął z powagą głową, jakbym wygłosił właśnie jakąś niesłychaną mądrość.

- Tak - rzekł ze smutkiem. - Jolki mają tylko dwanaście stóp długości, podczas gdy pinki dwadzieścia osiem, a mniejsze szalupy dwadzieścia dwie. Ale żadna z nich nie ma masztu, a jedynie wiosła. Obawiam się, że ludzie, którzy w nich zasiądą, będą mieli spore trudności, kiedy wypłyniemy na otwarte morze. Nie zdziwiłbym się, gdyby komandor Crozier postanowił je tutaj zostawić.

Otwarte morze? - pomyślałem. Wcześniej nawet nie przyszło mi do głowy, że moglibyśmy płynąć tymi łodziami po czymś większym niż Rzeką Backa, która była zapewne podobna do Tamizy, choć przecież uczestniczyłem w wielu naradach i słyszałem, jak analizowano różne rozwiązania. Patrząc na delikatne jolki i krótkie szalupy przywiązane do sań, byłem pewien, że płynący w nich ludzie będą mogli tylko bezsilnie patrzeć na żagle welbotów i kutrów znikające za horyzontem.

Ludzie płynący w mniejszych łodziach skazani byli na śmierć. Kto zostanie do nich przydzielony? Czy komandorzy wybrali już załogi?

I jaka łódź - jaki los - przypadnie mi?

- Jeśli zabierzemy ze sobą mniejsze łodzie, będziemy ciągnąć losy - powiedział komandor. - W ten sposób rozstrzygniemy, kto zasiądzie w welbotach, kutrach i pinkach, a kto w pozostałych

łodziach.

Musiąłem wtedy bardzo dziwnie nań spojrzeć.

Komandor roześmiał się głośno - śmiechem, który zamienił się w chrapliwy kaszel - i opróżnił swoją fajkę z popiołu, uderzając nią o but. Zrywał się coraz mniejszy wiatr. Nie miałem pojęcia, ile czasu zajęła nam ta rozmowa

- musiała minąć już północ. Było ciemno już co najmniej od siedmiu godzin.

- Proszę się nie martwić, doktorze - powiedział cicho komandor. - Nie czytałem w pańskich myślach. Widziałem tylko pańską minę. Jak już powiedziałem, będziemy ciągnąć losy, ale być może też wcale nie zabierzemy małych łodzi. Tak czy inaczej nie zostawimy nikogo z tyłu. Jeśli wypłyniemy na otwarte wody, powiążemy łodzie ze sobą.

Uśmiechnąłem się, licząc na to, że komandor zobaczy w świetle lampy mój uśmiech, ale nie dojrzy okrwawionych dziąseł.

- Nie wiedziałem, że łodzie żaglowe można wiązać z łodziami bez żagli - powiedziałem, jeszcze raz wykazując się kompletną ignorancją.

- Zazwyczaj nie można - odparł komandor Fitzjames. Dotknął mojego ramienia - zobaczyłem to raczej, niż poczułem, gdyż gruba warstwa ubrań tłumila skutecznie wszelkie doznania.

- Skoro już poznał pan wszystkie sekrety naszej małej floty, doktorze, może już wrócimy? Zrobiło się bardzo zimno, a ja chciałbym się jeszcze trochę przespać przed następną wachtą.

Przygryzłem wargę.

- Mam jeszcze tylko jedno, ostatnie pytanie, komandorze. Zechce pan mi na nie odpowiedzieć?

- Słucham, doktorze.

- Kiedy komandor Crozier zdecyduje, które łodzie zabieramy ze sobą, i kiedy spuścimy je na wodę? - spytałem zachrypniętym głosem.

Komandor pokiwał lekko głową. Na tle ogniska płonącego przy namiocie pełniącego funkcję marynarskiej mesy widziałem tylko jego ciemną sylwetkę. Jego twarz kryła się w mroku.

- Nie wiem, doktorze Goodsir - rzekł w końcu. - Wątpię, czy komandor Crozier mógłby panu odpowiedzieć na to pytanie. Może dopisze nam szczęście i lód zacznie pękać za kilka tygodni... Jeśli tak się stanie, osobiście zawiozę pana na Wyspę Baffina. A może za trzy miesiące będziemy spuszczać te łódki na wody Rzeki Backa... Prawdopodobnie wciąż będziemy mieli wtedy dość czasu, by dotrzeć do Wielkiego Jeziora Niewolniczego przed nadejściem zimy, nawet jeśli do rzeki dojdziemy dopiero w lipcu.

Poklepał nadburcie pinki leżącej obok niego na saniach. Czulem się dumny, że potrafiłem ją zidentyfikować jako pinkę. A może była to jedna z jolek.

Starąłem się nie myśleć o stanie Edmunda Hoara i o tym, co mógł on zwiastować nam wszystkim, jeśli nie wyruszymy w drogę do ujścia rzeki zwanej Rzeką Backa... przez kolejne trzy miesiące. Kto zostanie przy życiu, jeśli nasze łodzie nie popłyną do tego czasu w górę rzeki?

- Albo - kontynuował komandor - jeśli nie dopisze nam szczęście, te łodzie nigdy już nie osiądą na wodzie.

Nie wiedziałem, co mógłbym odpowiedzieć. Oznaczało to wyrok śmierci dla nas wszystkich. Odwróciłem się i ruszyłem w drogę powrotną do izby chorych. Szanowałem komandora Fitzjamesa i nie chciałem, by widział moją twarz w tamtej chwili.

Dłoń komandora opadła na moje ramię i zatrzymała mnie w miejscu.

- Gdyby tak się stało - mówił stanowczym głosem - to po prostu będziemy musieli dojść do

domu, zgadza się?

CROZIER

69°37'42" szerokości geograficznej północnej, 98 °41' długości geograficznej zachodniej.
22 kwietnia 1848.

Ciągnąc sanie w stronę zachodzącego słońca, Crozier przypominał sobie, ile jeszcze będzie trwała ta droga przez mękę. Osiem mil pierwszego dnia wędrówki po lodzie, do obozu pierwszego. Dziewięć mil dnia następnego i jeśli wszystko pójdzie dobrze, noc w obozie drugim. Osiem mil - w tym najtrudniejsze fragmenty wędrówki, gdzie trzeba było przeciągać sanie przez barierę lodu ciągnącą się wzdłuż wybrzeża - ostatniego, trzeciego dnia. I bezpieczna przystań Obozu *Terror*.

Obie załogi miały połączyć się ze sobą po raz pierwszy od długiego czasu. Jeśli grupa Croziera przeżyje wędrówkę po lodzie - i nie da się wyprzedzić śledzącemu ich potworowi - wszyscy pozostali przy życiu uczestnicy wyprawy spotkają się na północno-zachodnim wybrzeżu wyspy.

Pierwsze grupy z saniami wędrujące do Ziemi Króla Williama jeszcze w marcu - kiedy dzień trwał nie dłużej niż kilka godzin - posuwały się tak powoli, że często rozbijały pierwszy obóz w zasięgu wzroku marynarzy trzymających wachtę na okręcie. Pewnego dnia, kiedy z południowego wschodu nadciągnął bardzo silny wiatr i śnieżycy, porucznik Le Yescont pokonał w ciągu dwunastu godzin niecałą milę.

Jednak znacznie łatwiej wędrowało się za dnia, gdy w śniegu wyrte już były ślady płóz, a wały lodowe obniżone - jeśli nie zrównane z lodem - i łatwiejsze do pokonania.

Crozier nie chciał pozostać na Ziemi Króla Williama. Choć na Victory Point czekały na nich wielkie sterty zapasów, namioty i resztki węgla przywiezione ze statków, Crozier nie wierzył, by jego ludzie mogli tam przetrwać dłuższy czas. Warunki pogodowe panujące na wyspie były mordercze zimą, okropne wczesną wiosną i jesienią, ale latem zagrażały bezpośrednio życiu wszystkich przebywających na niej ludzi. Burze z piorunami, które latem 1847 roku tak surowo doświadczyły grupę porucznika Gore'a, powtarzały się jeszcze wielokrotnie zarówno latem, jak i wczesną jesienią. Jedną z pierwszych rzeczy, które Crozier kazał przewieźć poprzedniego lata na wyspę, były zapasowe piorunochrony oraz mosiężne karnisze z kajuty sir Johna.

Aż do ostatecznej zagłady *Erebusa* w ostatnich dniach marca Crozier miał nadzieję, że będą mogli wyruszyć na wschodnie wybrzeże półwyspu Boothia, by odszukać tam zapasy złożone na Fury Beach i nawiązać kontakt z jakimś statkiem wielorybniczym spływającym z Zatoki Baffina. Podobnie jak stary John Ross mogliby iść lub płynąć na północ, wzdłuż wschodniego wybrzeża Boothii, aż do wyspy Somerset albo nawet wyspy Devon, gdyby zaszła taka konieczność. Wcześniej czy później trafiliby na jakiś statek w Cieśninie Lancastera.

W tamtych okolicach znajdowały się też wioski Eskimosów. Crozier wiedział o tym z całą pewnością - widział je podczas swej pierwszej arktycznej podróży z Williamem Edwardem Parrym w 1819 roku, kiedy miał dwadzieścia dwa lata. Powrócił do tego samego rejonu dwa lata później, również z Parrym, by szukać Przejścia Północno-Zachodniego. Dwa lata później znów tam był i znów prowadził poszukiwania przejścia - poszukiwania, które dwadzieścia sześć lat później miały zabić sir Johna Franklina.

I mogą jeszcze zabić nas wszystkich, doszedł do wniosku Crozier i potrząsnął głową, by odsunąć od siebie te defetystyczne myśli.

Słońce wisiało już nisko nad południowym horyzontem. Tuż przed zachodem mieli się zatrzymać i zjeść zimny obiad, by potem znów założyć uprząż, maszerować kolejne sześć do ośmiu

godzin w ciemnościach późnego popołudnia i wieczoru i dotrzeć na koniec do obozu pierwszego, położonego mniej więcej w jednej trzeciej drogi między Ziemią Króla Williama i Obozem *Terror*.

Przedwieczorną ciszę mąciły tylko ciężkie oddechy ludzi w zaprzęgach, skrzypienie skórzanych pasów i zgrzyt płóz sunących po lodzie. Wiatr ucichł całkowicie, ale robiło się coraz zimniej. Lodowe kryształki oddechów unosiły się przed twarzami marynarzy niczym złote kule rozświetlane blaskiem zachodzącego słońca.

Crozier siedł teraz przy pierwszych saniach, gotów pomóc we wciąganiu ciężkiego ładunku na stromy wał lodowy, do którego się właśnie zbliżali, spojrzał w stronę zachodzącego słońca i pomyślał o tym, jak bardzo starał się kiedyś znaleźć drogę do Boothii i wielorybników z Zatoki Baffina.

Już jako trzydziestojednolatek Crozier towarzyszył komandorowi Parry'emu w czwartej i ostatniej wyprawie do Arktyki. Ich zadaniem było zdobycie bieguna północnego. Dotarli wtedy dalej na północ niż ktokolwiek do tej pory, ostatecznie jednak zostali zatrzymani przez twardy pak, który ciągnął się aż po północne krańce świata. Francis Crozier nie wierzył już w istnienie otwartego Morza Polarne; był przekonany, że jeśli ktoś w końcu dotrze do bieguna, użyje do tego sań.

Być może sań ciągniętych przez psy, jak u Eskimosów.

Crozier wiele razy widział już tubylców i ich lekkie sanki - nie sanie o rozmiarach i wadze zgodnej ze standardami brytyjskiej marynarki wojennej, ale lekkie małe sanki - ciągnięte przez te ich dziwne psy, zarówno na Grenlandii, jak i po wschodniej stronie wyspy Somerset. Poruszali się znacznie szybciej niż ludzie Croziera. Jednak chciał wyruszyć na wschód przede wszystkim dlatego, że właśnie tam, w okolicach Boothii, mógł napotkać wioski Eskimosów. Podobnie jak lady Cisza, która wyruszyła do Obozu *Terror* kilka dni wcześniej, z grupami poruczników Hodgsona i Irvinga, tubylcy wiedzieli, jak zdobywać pożywienie w tej zapomnianej przez Boga krainie.

Kiedy na początku lutego Irving zameldował mu, że nie może wydobyć od lady Ciszy informacji o tym, skąd ma świeże mięso ani też podpatrzyć, jak zdobywa pożywienie, Crozier zastanawiał się przez chwilę, czy nie zagrozić jej pistoletem lub nożem i w ten sposób zmusić ją do zdradzenia owej cennej tajemnicy. W głębi serca wiedział jednak, czym skończyłaby się podobna próba - eskimoska wiedźma nie otworzyłaby nawet ust i wpatrywałaby się swymi ciemnymi oczami w twarz Croziera, aż ten musiałby się w końcu poddać i uczynić zadość swej groźbie. Niczego by w ten sposób nie osiągnął.

Zostawił ją więc w spokoju, w owym małym lodowym domku, który opisał mu Irving, i pozwolił panu Diggle'owi wydzielać jej od czasu do czasu suchara lub kawałek ryby. Komandor starał się przez dłuższy czas zupełnie o niej zapomnieć. Fakt, że doznał lekkiego szoku, dowiedziawszy się, że lady Cisza ruszyła śladem grup Hodgsona i Irvinga w stronę Obozu *Terror*, dowodził jednoznacznie, że udało mu się usunąć eskimoską dziewczynę ze swych myśli. Wiedział jednak, że wciąż o niej śni.

Gdyby Crozier nie był tak bardzo zmęczony, mógłby rozmyślać z dumą o pomysłowych projektach i wytrzymałości sań, które ludzie ciągnęli teraz przez lód.

W połowie marca, kiedy nie było jeszcze wiadomo, że *Erebus* przełamie się wkrótce na pół, kazał panu Honeyowi, cieśli z *Terroru*, oraz jego pomocnikom, Wilsonowi i Watsonowi, pracować dzień i noc nad projektem i budową sań, które mogłyby ciągnąć zarówno łodzie, jak i sprzęt.

Gdy tylko został ukończony pierwszy prototyp wielkich sań z dębowego drewna i mosiądzu, Crozier kazał ludziom wyjść na lód, by je wypróbowali i nauczyli się, jak najefektywniej je ciągnąć. Kazał takielarzom, sternikom, a nawet ludziom od topsli wprowadzać nieustannie różne poprawki do uprzęży, by działała ona jak najefektywniej, a zarazem dawała marynarzom maksimum swobody. Pod

koniec marca gotowe były już nie tylko projekty, ale i sanie. Wydawało się wtedy, że najlepiej sprawdzi się projekt jedenastoosobowej uprzęży dla załogi ciągnącej większe sanie z łodziami i uprzęży siedmioosobowej, przeznaczonej dla załogi ciągnącej mniejsze sanie, obciążone jedynie sprzętem.

Sanie te przeznaczone były do pierwszego etapu podróży, czyli do przewiezienia sprzętu i zapasów na Ziemię Króla Williama. Crozier wiedział, że do czasu, kiedy będą opuszczać ten obóz, liczba chorych i zmarłych wzrośnie i nie wystarczy mu ludzi do obsadzenia wszystkich zaprzęgów, szczególnie tych jedenastoosobowych. Zakładał, że skorzystają wówczas wyłącznie z mniejszych sań, choć siłą rzeczy zwiększy się ładunek, jakie będą na nich wieźć, a ludzie w zaprzęgach wcale nie będą silniejsi ani zdrowsi niż teraz.

Pod koniec marca, gdy *Erebus* już dogorywał, obie załogi wychodziły na lód zarówno za dnia, jak i w ciemnościach, by uczestniczyć w wyścigach saniami, a tym samym uczyć się chodzenia w zaprzęgu i dobierać najlepiej zgrane zespoły. Nagrodami w owych wyścigach były złote i srebrne monety, i choć w prywatnym magazynie sir Johna stały skrzynie pełne szylingów i gwinei - sir John planował kupić mnóstwo pamiątek na Alasce, w Rosji i Chinach - owe złote i srebrne monety pochodziły z funduszy Francisa Croziera.

Crozier chciał wyruszyć w stronę Zatoki Baffina, gdy tylko dni zrobią się na tyle długie, by mogli pokonywać w świetle dziennym duże odległości. Wiedział zarówno z opowieści sir Johna, jak i z książki autorstwa George'a Backa, który czternaście lat wcześniej pokonał sześciusetpięćdziesięciomilowy odcinek dzielący ujście Rzeki Backa od Wielkiego Jeziora Niewolniczego - książka ta była w bibliotece *Terroru*, a teraz leżała w torbie z rzeczami Croziera na saniach - że szanse, by którykolwiek z nich przeżył i ukończył taką podróż, są nikłe.

Mogło się okazać, że nawet nie dadzą rady pokonać stu sześćdziesięciu mil dzielących Ziemię Króla Williama od ujścia rzeki. Trasa takiej wędrówki wiodła przez najgorszy przybrzeżny lód, w którym mogły pojawić się pasy otwartej wody, co zmusiłoby ich do porzucenia sań, i przez pokryte żwirem tereny samej wyspy, gdzie ciągnięcie ciężkich sań w wietrze i śniegu byłoby prawdziwą męczarnią.

Gdyby jednak udało im się dotrzeć w końcu do rzeki, stanęliby przed czymś, co Back opisał jako „mordercze pięset trzydzieści mil ciągnące się przez martwą krainę, w której nie rośnie ani jedno drzewo” i są „aż osiemdziesiąt trzy wodospady i kaskady”. Crozier nie mógł sobie wyobrazić, by jego ludzie, wyczerpani kilkoma miesiącami wędrówki przez lód, mieli jeszcze dość sił, by stawić czoło osiemdziesięciu trzem wodospadom i kaskadom, nawet w najbardziej wytrzymałych łodziach.

Tydzień wcześniej Goodsir powiedział Crozierowi, że sok cytrynowy, jedyny środek przeciw skorbutowi, który im pozostał, skończy się za niecałe trzy tygodnie lub wcześniej, w zależności od tego, ilu ludzi umrze do tego czasu.

Crozier wiedział, jak szybko dopadnie ich wszystkich skorbut. Trasą dzielącą *Terror* od Ziemi Króla Williama szli głównie za dnia, wędrując po szlaku wyżłobionym i wygładzonym przez poprzednie grupy i żywiąc się połówkami zwykłych racji, i pokonywali w ciągu jednego dnia niewiele ponad osiem mil. Na trudnym przybrzeżnym lodzie lub na samej Ziemi Króla Williama zapewne nie przeszliby nawet połowy tej odległości. Kiedy zaczną chorować, ów dystans zmniejszy się być może nawet do jednej mili, a jeśli zabraknie wiatru, nie będą mieli sił, by wiosłować pod prąd rzeki. Niewykluczone, że za kilka miesięcy okaże się, że w ogóle nie zdołają ruszyć się z miejsca.

Jedyne czynniki, które działałyby na ich korzyść, gdyby zdecydowali się wędrować na

południe, to niewielka, ale realna szansa, że być może od Wielkiego Jeziora Niewolniczego płyną już w ich stronę ekipy ratunkowe, i fakt, że im dalej zapuszczaliby się na południe, tym byłoby cieplej.

Crozier wolałby jednak pozostać na północnych szerokościach i wybrać dłuższą trasę na wschód i północ, ku półwyspowi Boothia i na drugą jego stronę. Wiedział, że istnieje tylko jeden stosunkowo bezpieczny sposób na osiągnięcie tego celu; najpierw musiał zabrać ludzi na Ziemię Króla Williama, przejść przez nią, później pokonać stosunkowo wąski pas otwartego lodu, osłonięty jednak przed najgorszą pogodą przez masyw wyspy, dotrzeć do południowo-zachodniego wybrzeża Boothii, potem posuwać się powoli na północ, wzdłuż krawędzi lodu albo po przybrzeżnej równinie, wreszcie przeprowić się przez góry do samej Fury Beach, licząc na każdym kroku owej wędrówki, że uda im się spotkać Eskimosów.

To była bezpieczna, ale i bardzo długa droga. Tysiąc dwieście mil, niemal o połowę więcej niż alternatywna trasa do ujścia Rzeki Backa.

Crozier wiedział też jednak dobrze, że jeśli wkrótce po dotarciu do Boothii nie spotkają przyjaźnie nastawionych Eskimosów, nie dotrą do końca tej długiej podróży. Gotów był jednak zaryzykować i wyruszyć na północny wschód, by powtórzyć niezwykle wyczyn swego przyjaciela, Jamesa Clarka Rossa, który osiemnaście lat wcześniej pokonał wraz ze swą niewielką grupą dystans sześciuset mil, zostawiając po drugiej stronie półwyspu Boothia uwięziony w lodzie okręt Fury. Stary steward, Bridgens, miał całkowitą rację. John Ross wybrał najlepsze rozwiązanie, wędrując z saniami na północ, a potem przesiadając się do łodzi i płynąc do Cieśniny Lancastera, gdzie mógł spotkać statki wielorybnicze. Jego bratanek, James Ross, udowodnił, że możliwe jest przejście z saniami z Ziemi Króla Williama do Fury Beach.

Erebus wciąż dogorywał, kiedy Crozier wybrał najlepszych marynarzy pracujących w zaprzęgach - zdobywców największych nagród i ostatnich pieniędzy, jakie Francis Crozier miał na tym świecie - dał im najlepsze sanie i kazał panu Helpmanowi oraz panu Osmerowi zaopatrzyć tę superzałogę we wszystko, czego może potrzebować do sześciotygodniowego pobytu na lodzie.

Była to jedenastoosobowa załoga dowodzona przez pierwszego oficera z *Erebusa*, Charlesa Fredericka Des Voeux, i prowadzona przez olbrzymiego Magnusa Mansona. Wszyscy pozostali uczestnicy mogli odmówić udziału w tej wyprawie. Żaden tego nie zrobił.

Crozier musiał wiedzieć, czy w ogóle możliwe było ciągnięcie w pełni załadowanych sań przez tak długi czas i na tak długim odcinku. Jedenastu marynarzy wyruszyło w drogę po sześciu szklankach, 23 marca, w ciemnościach, w temperaturze trzydziestu ośmiu stopni poniżej zera i przy akompaniamencie radosnych okrzyków reszty załogi, która specjalnie na tę okazję zgromadziła się na lodzie obok statku.

Des Voeux i jego ludzie wrócili po trzech tygodniach. Żaden nie umarł, ale wszyscy byli wyczerpani, a czterej mieli poważne odmrożenia. Jedynie Magnus Manson - oprócz niezmordowanego Des Voeux - spośród członków jedenastoosobowego zaprzęgu nie wydawał się bliski śmierci z wyczerpania.

W ciągu trzech tygodni zdołali przejść niecałe dwadzieścia osiem mil w linii prostej od *Terroru* i *Erebusa*. Des Voeux ocenił później, że aby pokonać tę odległość, musieli przewędrować w sumie ponad sto pięćdziesiąt mil, bo na otwartym lodzie nie dało się iść po prostej. Pogoda na północny wschód od ich obecnej pozycji była jeszcze gorsza niż w dziewiątym kręgu piekieł, w którym tkwili już od dwóch lat. Raz po raz na drodze stawały im wały lodowe. Niektóre miały ponad osiemdziesiąt stóp wysokości. Czasami trudno im było nawet utrzymać właściwy kurs, kiedy podczas krótkiego dnia chmury zakrywały słońce, a ciągu długiej, osiemnastogodzinnej nocy także i gwiazdy.

Kompasy, oczywiście, były bezużyteczne w tak małej odległości od północnego bieguna magnetycznego.

Ze względów bezpieczeństwa zespół Des Voeux zabrał ze sobą aż pięć namiotów, choć marynarze zamierzali spać tylko w dwóch z nich. Noce na otwartym lodzie były jednak tak zimne, że wszyscy spali - jeśli w ogóle mogli spać - tylko w jednym. Pod koniec wędrówki nie mieli zresztą innego wyboru, bo cztery spośród pięciu namiotów zostały porwane lub poszarpane na strzępy przez porywisty wiatr.

Des Voeux sobie tylko znanym sposobem zmuszał marynarzy do dalszej wędrówki na północny wschód, ale każdego dnia wędrówka ta stawała się coraz trudniejsza; pogarszała się pogoda, coraz częściej musieli schodzić z trasy, by obejść wysokie wały lodowe, a ich sanie zostały poważnie uszkodzone podczas przeprawy przez poszarpane lodowe granie. Stracili dwa dni na naprawę sań, marznąc w wyjąłym wietrze i oślepiającym śniegu.

Czternastego ranka pierwszy oficer postanowił zawrócić. Ponieważ został im już tylko jeden z pięciu namiotów, nie dawał swojej grupie większych szans na przeżycie. Próbowali kierować się w drodze powrotnej śladami własnych sań, ale łódź był zbyt aktywny - przesuwające się lodowe płyty, nowe wały i ruchome góry lodowe zatarły wszelkie ślady. Des Voeux, najlepszy nawigator ekspedycji prócz samego Croziera, podczas krótkich chwil dobrej pogody ustalał ich pozycję za pomocą teodolitu i sekstansu, głównie jednak kierował się intuicją, obierając taki, a nie inny kurs. Oczywiście mówił swoim ludziom, że wie dokładnie, gdzie się znajdują. Później przyznał się Fitzjamesowi i Crozierowi, że był przekonany, iż minął statek co najmniej o dwadzieścia mil.

Kiedy podczas ich ostatniej nocy na lodzie wiatr porwał im ostatni namiot, marynarze zostawili swe śpiwory i maszerowali w ciemnościach na południowy zachód, ruszając się tylko po to, by nie zamarznąć. Wyrzucili dodatkowe zapasy żywności i ubrania, a sanie ciągnęli tylko dlatego, że potrzebowali wody, broni i amunicji. Coś wielkiego śledziło ich przez całą wyprawę. Widzieli to przez zasłone śniegu i drobin lodu. Słyszeli, jak krąży w nocy wokół ich obozu.

Des Voeux i jego ludzie zostali dostrzeżeni na północnym horyzoncie, kiedy wciąż szli na zachód. Nie dostrzegli *Terroru* oddalonego o trzy mile na południe. Zauważył ich obserwator *Erebusa*, choć jego statek już wtedy nie istniał. Des Voeux i jego ludzie mieli ogromne szczęście, że ów obserwator, lodomistrz James Reid, przed świtem wspiął się na szczyt góry lodowej i obserwował horyzont przez lunetę.

Reid, porucznik Le Vesconte, doktor Goodsir i Harry Peglar ruszyli z grupą, która dogoniła ludzi Des Voeux i sprowadziła ich na *Terror*. Przeszli wtedy obok potrzaskanych desek, połamanych masztów i splątanego takielunku, wszystkiego, co zostało z *Erebusa*. Pięciu członków supergrupy Des Voeux nie mogło przejść ostatniej mili o własnych siłach; towarzysze musieli zaciągnąć ich na statek na saniach. Sześciu marynarzy, w tym sam Des Voeux, rozplakało się na widok ich zniszczonego statku i domu.

Po tym trudnym doświadczeniu Crozier nie brał już pod uwagę wędrówki na północny wschód, na półwysep Boothia. Wysłuchawszy relacji Des Voeux i pozostałych uczestników wyprawy, zarówno Fitzjames, jak i Crozier uznali, że jeśli wyruszą w tym kierunku, tylko nieliczni spośród pozostałych przy życiu stu pięciu uczestników ekspedycji Franklina dotrą do półwyspu, nawet jeśli do tego czasu dni robią się dłuższe, a temperatura się podniesie.

Zostały im więc do wyboru tylko dwie możliwości: albo pozostać na statku, albo rozbić obóz na Ziemi Króla Williama i ewentualnie wyruszyć stamtąd na południe, do ujścia Rzeki Backa.

Następnego dnia Crozier zaczął przygotowywać plany ewakuacji.

Tuż przed zachodem słońca i przerwą na posiłek natknęli się na wielką dziurę w lodzie. Wszystkie zaprzęgi przystanęły, otaczając otwór. Czarny, pofalowany krąg był pierwszym skrawkiem otwartej wody, jaki widzieli od dwudziestu miesięcy.

- Nie było tu tego w zeszłym tygodniu, kiedy wieźliśmy pinki do obozu, komandorze - rzekł marynarz Thomas Tadman. - Widzi pan, jak blisko krawędzi są ślady płóz. Na pewno byśmy to zauważyli. Po prostu nie było tu tego.

Crozier skinął głową. To nie była zwykła połyńia - tak Rosjanie nazywali otwory w lodzie, które nie zamarzały przez cały rok. Lód miał tutaj ponad dziesięć stóp grubości - był cieńszy niż pak otaczający *Terror*, ale i tak wystarczająco solidny, by zbudować na nim kamienicę - jednak wokół otworu nie było widać żadnych pęknięć ani śladów ścierania się lodowych płyt. Wyglądało to tak, jakby ktoś wziął olbrzymią piłę, podobną do tych, jakie przewozili na statkach, i wyciął w lodzie idealnie okrągły otwór.

Ale żadna piłą nie przecięłaby tak równo lodu grubości dziesięciu stóp.

- Moglibyśmy zatrzymać się tutaj na obiad - zaproponował Thomas Blanky. - Spożyć posiłek nad brzegiem morza, że tak powiem.

Marynarze pokręcili głowami. Crozier zgadzał się z nimi - zastanawiał się, czy dziwny otwór i krąg czarnej wody także budził w nich jakiś bliżej nieokreślony niepokój.

- Zatrzymamy się za godzinę - powiedział. - Poruczniku Little, pańskie sanie poprowadzą.

Jakieś dwadzieścia minut później, kiedy słońce zniknęło za horyzontem, a na niebie zapłonęły pierwsze gwiazdy, szeregowcy Hopcraft i Pilkington, tworzący tylną straż pochodu, podeszli do Croziera, który maszerował obok ostatnich, piątych sań.

- Komandorze, coś za nami idzie - wyszeptał Hopcraft.

Crozier wyjął swą mosiężną lunetę, ułożoną przezornie w skrzynce na samej górze sterty bagaży, i przez minutę obserwował okolicę, podczas gdy sanie sunęły dalej.

- Tam, komandorze - powiedział Pilkington, wskazując zdrową ręką właściwy kierunek. - Może wyszedł z tej dziury w lodzie, komandorze. Jak pan sądzi? Bo Bobby i ja myślimy, że tak właśnie było. Może czekał tam pod wodą, aż przejdziemy, a potem wylazł za nami? Albo myślał, że zatrzymamy się tam na dłużej. Jak pan przypuszcza, komandorze?

Crozier nie odpowiedział. Widział potwora w lunecie, a właściwie tylko jego sylwetkę. Wydawała się biała jedynie dlatego, że na moment znalazła się na tle ciemnych burzowych chmur nadciągających z północnego zachodu. Kiedy stwór przechodził między serakami i lodowymi blokami, które pochod sań minął zaledwie dwadzieścia minut wcześniej, widać było wyraźnie, jaki jest wielki. Nawet gdy szedł na czworakach, był wyższy od Magnusa Mansona. Poruszał się zadziwiająco lekko i sprężysto jak na tak masywne zwierzę - jego ruchy przypominały raczej chód lisa niż niedźwiedzia. Po chwili potwór podniósł się i zaczął iść na dwóch nogach. W ten sposób poruszał się nieco wolniej niż na czworakach, ale i tak szybciej niż ludzie ciągnący sanie ważące dwa tysiące funtów. Górował teraz nad serakami, których szczytów Crozier nie dosięgnąłby nawet, wyciągając nad głowę rękę z rozłożoną lunetą.

Potem zrobiło się całkiem ciemno, a wały lodowe i seraki zlały się w jednolitą nieprzeniknioną masę. Crozier wrócił wraz z żołnierzami do sań i odłożył lunetę do pudełka.

- Trzymajcie się blisko sań, ale spoglądajcie co jakiś czas do tyłu i trzymajcie broń w pogotowiu do strzału - przykazał cicho Pilkingtonowi i Hopcraftowi. - Żadnych lamp. Bez nich będziecie lepiej widzieć w ciemności.

Żołnierze skinęli głowami i przesunęli się do tyłu. Crozier zauważył, że strażnicy idący przed pierwszymi saniami zapalili już swe lampy, nie widział już jednak samych ludzi, a tylko złote kręgi

światła.

Komandor przywołał do siebie Thomasa Blanky'ego. Ze względu na swoje kalectwo lodomistrz zwolniony został z obowiązku ciągnięcia sań. Choć cieśla zaopatrzył jego drewnianą nogę w gwoździe i ćwieki ułatwiające poruszanie się po lodzie, proteza nie dawała mu wystarczającego podparcia, by mógł uciągnąć ogromny ciężar sań. Marynarze wiedzieli jednak, że lodomistrz może wkrótce okazać się niezastąpiony pod innymi względami; gdyby w drodze z Obozu *Terror* napotkali jakieś pasy otwartej wody i musieli spuścić na nie łódzie, jego wiedza mogła im wszystkim ocalić życie.

Teraz Crozier wykorzystał Blanky'ego jako posłańca. - Panie Blanky, proszę przejść do przodu i przekazać ludziom, którzy nie ciągną sań, że nie będziemy zatrzymywać się na kolację. Niech wyjmą ze skrzyń zimną wołowinę i suchary i przekażą marynarzom w zaprzęgach. Niech im też powiedzą, że wszyscy mają jeść podczas marszu i pić wodę z butelek, które trzymają pod ubraniami. Proszę też przekazać strażnikom, by trzymali broń gotową do strzału. Być może będą też musieli zdjąć rękawice.

- Tak jest, komandorze - odrzekł Blanky i zniknął w ciemnościach. Crozier słyszał skrzypienie lodu i śniegu pod jego podkutą protezą.

Komandor wiedział, że w ciągu dziesięciu minut wszyscy uczestnicy pochodu domyśla się, że potwór idzie za nimi i jest coraz bliżej.

IRVING

69°37'42" szerokości geograficznej północnej, 98°40'58" długości geograficznej zachodniej. 24 kwietnia 1848.

Prócz faktu, że John Irving był chory i wygłodniały, że jego dziąsła krwawiły, że dwa zęby po bokach ust mogły zaraz z nich wypaść, i że ledwie trzymał się na nogach ze zmęczenia, był to jeden z najszcześniejszych dni w jego życiu.

Przez dwa ostatnie dni Irving oraz George Henry Hodgson, jego stary przyjaciel z okrętu szkoleniowego *Excellent*, na którym służyli jeszcze przed tą ekspedycją, prowadzili zespoły zajmujące się wyszukiwaniem zwierzyny łownej i badaniem okolicy. Po raz pierwszy w ciągu całej tej przekłętej wyprawy, po trzech latach siedzenia w miejscu i marznięcia, porucznik John Irving był prawdziwym badaczem.

Co prawda wyspa, którą badał, posuwając się powoli na wschód - ta sama Ziemia Króla Williama, gdzie przybył wraz z porucznikiem Grahamem Gore'em niecały rok wcześniej - niewarta była funta kłaków, składała się bowiem jedynie z zamrożonego żwiru i niskich pagórków, wznoszących się co najwyżej dwadzieścia stóp nad poziom morza, a jedynymi jej mieszkańcami były śnieżne zasy i wyjący wiatr, ale Irving nareszcie badał nowy ląd. Już tego ranka zobaczył rzeczy, których nie widział żaden inny biały człowiek - a może i nawet żadna ludzka istota na świecie. Oczywiście były to tylko kolejne wzgórza, zamrożone połacie żwiru i zasy, ale to było jego odkrycie: przed dwudziestu laty sir James Ross wędrował wokół północnego wybrzeża i dotarł do Victory Point, ale to John Irving - młodzieniec rodem z Bristolu i wychowanek londyńskiej akademii - pierwszy zapuścił się w głąb Ziemi Króla Williama.

Irving zastanawiał się, czy nie nazwać tego miejsca Ziemią Irvinga. Czemu nie? Miejsce odległe o dwie mile od Obozu *Terror* zostało nazwane na cześć żony sir Johna, lady Jane Franklin, a czymże ona sobie na to zasłużyła prócz poślubienia starego, grubego i łyszego mężczyzny?

Poszczególne zaprzęgi zaczynały o sobie myśleć jako o oddzielnych grupach czy też zespołach. Wczoraj Irving poprowadził więc na polowanie tę samą grupę sześciu marynarzy, podczas gdy Hodgson wraz ze swymi ludźmi rozpoznawał teren, wykonując tym samym polecenia komandora Croziera. Myśliwi Irvinga nie znaleźli nawet śladów jakiegś zwierzyny odcisniętych w śniegu.

Porucznik musiał przyznać, że ponieważ wszyscy jego ludzie zostali poprzedniego dnia uzbrojeni w strzelby i muszkiety (on sam nosił tylko pistolet w kieszeni płaszcza), momentami czuł się niepewnie, mając za plecami uzbrojonego mata uszczelniacza. Oczywiście jednak nic się nie wydarzyło. Pozbawiony towarzystwa Magnusa Mansona, który został z Crozierem na statku, Hickey był wręcz nadskakująco uprzejmy wobec Irvinga, Hodgsona i innych oficerów.

Przypominało to Irvingowi czasy, gdy ich nauczyciel rozdzielał jego braci i jego samego podczas zajęć w ich domu, w Bristolu, kiedy znudzeni długimi lekcjami chłopcy zaczynali rozrabiać. Nauczyciel sadzał każdego z nich w oddzielnym pokoju i prowadził lekcje z każdym po kolei, przechodząc z jednego skrzydła starego dworu do drugiego, stukając przy tym obcasami o deski korytarza. John i jego bracia, David i William, którzy razem stanowili trudną do opanowania paczkę urwisów, robili się cisi i potulni, zostając sam na sam z bladolicym, wysokim i chudym jak tyka guwernerem w białej peruce. Choć młody porucznik długo się wahał, czy powinien prosić komandora Croziera o zatrzymanie Mansona na statku, teraz cieszył się, że jednak to zrobił. Jeszcze bardziej cieszył go fakt, że komandor nie żądał odeń żadnych wyjaśnień; Irving nigdy nie powiedział

mu, na czym przyłapał niegdyś Hickeya i wielkiego marynarza w ładowni, i nie zamierzał mówić mu o tym kiedykolwiek.

Dzisiaj jednak nie miał żadnego powodu do obaw. Jedynym członkiem zespołu, który miał przy sobie broń - prócz samego Irvinga - był Edwin Lawrence, uzbrojony w muszkiet. Ćwiczenia strzeleckie, które urządzili w pobliżu Obozu *Terror*, pokazały, że jedynie Lawrence spośród członków tego zespołu umie jako tako posługiwać się muszkietem, został więc dziś ich strażnikiem i obrońcą. Pozostali nieśli tylko torby z jedzeniem i sprzętem, zaopatrzone w skórzany pasek, który mogli zarzucić na ramię. Reuben Male, dowódca dziobówki i bardzo pomysłowy człowiek, wraz ze starym żaglomistrzem Murrayem sporządził takie torby dla wszystkich marynarzy, więc ci nazwali je torbami Male'a. W torbach tych trzymali butelki z wodą, trochę sucharów i suszonej wieprzowiny, puszkę Goldnera, dodatkowe ubrania, druciane gogle, które miały chronić ich przed śnieżną ślepotą, proch i naboje potrzebne podczas polowania i śpiwory, na wypadek gdyby z jakiegoś powodu nie mogli wrócić na noc do obozu.

Tego ranka chodzili po wyspie już od ponad pięciu godzin. Starali się wędrować głównie po pokrytych żwirem zboczach; wiatr był tutaj silniejszy i zimniejszy, ale szło im się znacznie łatwiej niż w wypełnionych śniegiem dolinach. Nie znaleźli do tej pory nic, co mogłoby zwiększyć szanse na przeżycie wszystkich marynarzy - najmniejszego śladu mchów czy porostów na kamieniach. Irving wiedział z książek przechowywanych w bibliotece *Terroru* - dwie z nich zostały napisane przez samego sir Johna - że głodni ludzie mogli przyrządzić swego rodzaju zupę z mchów i porostów. Bardzo głodni ludzie.

Kiedy cały zespół zatrzymał się, by zjeść zimny obiad, napić się trochę wody i odpocząć wreszcie w osłoniętym od wiatru miejscu, Irving przekazał dowodzenie dowódcy głównego masztu Thomasowi Farrowi i wybrał się na spacer. Wmawiał sobie, że marynarze są wyczerpani kilkutygodniową przeprowadzką z *Terroru* na Ziemię Króla Williama, w rzeczywistości jednak potrzebował po prostu odrobiny samotności.

Irving powiedział Farrowi, że wróci za godzinę, i by mieć pewność, że się nie zgubi, od czasu do czasu schodził do osłoniętych od wiatru zagłębień i zostawiał w śniegu odciski stóp, które mogły go potem doprowadzić z powrotem do grupy - albo grupę do niego. Idąc dalej na wschód i ciesząc się chwilą cudownej samotności, pogryzał twardego sucharka, starając się przy tym nie nadwerężyć obluzowanych zębów. Kiedy wyjmował sucharka z ust, widział na nim ślady krwi. Choć wiecznie wygłodniały, Irving nie miał ostatnio apetytu. Przeszedł przez kolejne śnieżne zagłębienie, wrócił na twardy żwir, wdrapał się na kolejny smagany wiatrem wał i zatrzymał raptownie. W rozciągającej się przed nim dolinie poruszały się czarne punkty. Irving ściągnął zębami rękawicę i sięgnął do torby Male'a, wyciągając z niej jeden ze swych najcenniejszych przedmiotów, mosiężną lunetę, którą dostał od wuja, gdy wstąpił do marynarki wojennej. Wiedział, że jeśli przyłoży mosiądz do oka, metal natychmiast przymarznie do jego skóry, trzymał go więc tuż przed twarzą. W takich warunkach niełatwo było mu uzyskać wyraźny obraz, tym bardziej że ręce i dłonie drżały mu ze zmęczenia.

Okazało się, że to, co wziął początkowo za małe stado porośniętych futrem zwierząt, było grupą ludzi.

Myśliwi Hodgsona.

Nie. Ci ludzie mieli na sobie futrzane kurtki, podobne do tej, jaką nosiła lady Ciska. Zresztą grupa składała się z dziesięciu osób, a George miał ze sobą tylko sześciu ludzi. Poza tym Hodgson poszedł tego dnia na południe, wzdłuż wybrzeża, a nie w głąb wyspy.

Ta grupamiąta też ze sobą sanie. Hodgson nie miał sań. W Obozie *Terror* w ogóle nie było

takich małych sań.

Irving wyostrzył obraz w lunecie i wstrzymał oddech, starając się choć przez chwilę utrzymać swój ukochany instrument nieruchomo.

Te sanie ciągnie zaprzęg złożony co najmniej z sześciu psów.

Wniosek był prosty; albo byli to ratownicy ubrani jak Eskimosi, albo sami Eskimosi.

Irving musiał opuścić lunetę, przykłęknąć na jedno kolano i spuścić na moment głowę. Cały świat wirował mu przed oczami. Osłabienie fizyczne, które od kilku tygodni przewyższało wyłącznie siłą woli, w końcu wzięło nad nim górę, przenikało jego ciało niczym fale nudności.

To zmienia wszystko, pomyślał.

Ludzie wędrujący doliną - nadal go nie widzieli, zapewne dlatego, że miał na sobie czarny płaszcz, który zlewał się w jedno ze zwirem pokrywającym zbocze - mogli być myśliwymi z jakiejś eskimoskiej wioski położonej niedaleko na północ od tego miejsca. Gdyby tak było w rzeczywistości, stu pięciu rozbitków z *Erebusa* i *Terroru* mogłoby mówić o cudownym ocaleniu. Tubylcy albo by ich nakarmili, albo pokazali, jak zdobywać pożywienie w tej martwej krainie.

Być może jednak ci Eskimosi byli wojownikami, a włócznie, które nieśli ze sobą, przeznaczone były dla białych ludzi najeżdżających ich ziemie.

Porucznik John Irving wiedział, że tak czy inaczej jego obowiązkiem jest zejść do doliny, nawiązać kontakt z tubylcami i przekonać się, jakie są ich zamiary.

Złożył lunetę, schował ją między swetrami w swojej torbie i uniósłszy wysoko rękę - miał nadzieję, że dzikusy uznają ten gest za symbol pokojowych zamiarów - ruszył w stronę grupy ludzi, którzy na jego widok stanęli jak wryci.

CROZIER

*69°37'42" szerokości geograficznej północnej, 98°41' długości geograficznej zachodniej.
24 kwietnia 1848.*

Trzeci i ostatni dzień wędrówki po lodzie był jednocześnie najtrudniejszy. W ciągu ostatnich sześciu tygodni Crozier pokonał tę trasę dwukrotnie, towarzysząc wyprawom ciągnącym większe sanie, lecz choć warunki były wtedy mniej sprzyjające, marsz sprawiał mu znacznie mniej trudności. Był zdrowszy. I znacznie mniej zmęczony.

Francis Crozier nie do końca zdawał sobie z tego sprawę, ale odkąd wyzdrowiał po ciężkiej chorobie, którą przeszedł na początku stycznia, cierpiał na chroniczną bezsenność. Jako żeglarz, a później jako komandor Crozier zawsze szczylił się tym - podobnie jak większość komandorów - że potrzebował bardzo mało snu i budził się natychmiast, gdy ze statkiem coś się działo; gdy zmieniał się kurs, gdy wiatr podniósł żagle, gdy podczas wachty na pokładzie słychać było tupot zbyt wielu stóp, gdy zmieniał się odgłos wody uderzającej o burty... cokolwiek.

Jednak w ciągu ostatnich tygodni z nocy na noc Crozier spał coraz krócej, aż doszło do tego, że przesypiał w ciągu nocy nie więcej niż godzinę lub dwie, a za dnia ucinął sobie krótką, półgodzinną drzemkę. Wmawiał sobie, że nie ma czasu na więcej, że musi dopilnować wielu spraw i wydawać liczne rozkazy, w rzeczywistości jednak był to jeden z objawów melancholii, która znów próbowała go zniszczyć.

Przez większość czasu jego umysł był otępiały. Crozier był inteligentnym człowiekiem o umyśle otumanionym chemicznymi produktami ubocznymi zmęczenia.

Praktycznie żaden z uczestników wyprawy nie mógł spać w pierwszym i drugim obozie na lodzie, bez względu na to, jak bardzo był zmęczony. Nie musieli rozbijać namiotów, bo te stały tu już od kilku tygodni, przymocowane na stałe do lodu i naprawiane na bieżąco przez kolejne grupy.

Trzyosobowe śpiwory ze skóry renifera były o wiele cieplejsze niż śpiwory uszyte z koców, a o przydziale tych lepszych decydowało losowanie. Crozier nie brał nawet udziału w losowaniu, kiedy jednak podczas pierwszej nocy spędzonej na lodzie wszedł do namiotu, który dzielił z dwoma innymi oficerami, zobaczył, że jego steward, Jopson, przygotował dlań śpiwór ze skóry renifera. Ani niedomagający Jopson, ani inni marynarze nie uważali za stosowne, by ich komandor musiał dzielić śpiwór z dwoma innymi, chrapiącymi, pierdzącymi i rozpychającymi się ludźmi - choćby innymi oficerami - a Crozier był wtedy zbyt zmęczony i wdzięczny, by się spierać.

Nie powiedział też Jopsonowi oraz innym marynarzom, że człowiek śpiący w śpiworze w pojedynkę marznie znacznie bardziej niż ten, który śpi z dwoma innymi. Ciała innych ludzi stanowiły jedyne źródło ciepła podczas mroźnych nocy.

Lecz Crozier nawet nie próbował spać nocą w obozach na lodzie.

Co dwie godziny wstawał i obchodził obóz, by sprawdzić, czy wachty zmieniają się o właściwej porze. Nocą podniósł się wiatr, a ludzie stojący na wachcie chowali się za naprędcę wzniesionymi ścianami śniegu. Skuleni za owymi niskimi barierami nie zobaczyliby potwora z lodu dopóty, dopóki ten nie stanąłby przed nimi.

Tej nocy nikt go nie widział.

Kiedy Crozierowi udawało się w końcu zasnąć, śnił te same koszmary, które nawiedzały go podczas styczniowej choroby. Niektóre powtarzały się tyle razy - i budziły komandora - że znał je już na pamięć. Nastolatki rozmawiające z duchem. M'Clintock i jakiś inny mężczyzna patrzący na dwa szkielety w otwartej łodzi, jeden w pozycji siedzącej, w pełnym ubraniu, inny zamieniony w stertę

nadgryzionych kości.

Maszerując za dnia, Crozier zastanawiał się, czy to on jest jednym z owych szkieletów.

Jednak zdecydowanie najgorszy był sen, w którym klęczał nagi przed ołtarzem w zakazanym kościele Memo Moiry, podczas gdy olbrzymi, nieludzki ksiądz - odziany w ociekającą wodą białą szatę, przez którą prześwitywało osmalone i okrwawione ciało ciężko poparzonego człowieka - pochylał się nad nim nisko i dmuchał mu prosto w twarz oddechem przesyconym smrodem padliny.

Nazajutrz, 23 kwietnia, wszyscy wstali o piątej rano. Było jeszcze ciemno, a słońce miało wzejść dopiero pięć godzin później, o dziesiątej. Dokuczliwy wiatr wciąż siekł marynarzy po twarzach, kiedy usiedli razem do śniadania.

Podczas podróży po lodzie marynarze mieli podgrzewać jedzenie w małych cynowych garnuszkach na kuchenkach opalanych eterem przechowywanym w butelkach, które wieźli ze sobą na saniach. Nawet gdy nie było wiatru, rozpalenie kuchenek i utrzymanie ognia było często bardzo trudne; przy wietrze, który wiał tego ranka, wręcz niemożliwe, nawet gdyby postanowili zaryzykować i rozpalić maszynki w namiotach. Uspokajając się więc nawzajem, że zupy, warzywa i mięsa Goldnera i tak już kiedyś zagotowano, ludzie po prostu wybierali łyżkami zamrożoną masę prosto z puszek. Byli wygłodzeni, a czekał ich długi dzień bardzo ciężkiej pracy.

Goodsir - a wcześniej także jego trzech nieżyjący już koledzy - rozmawiali z Crozierem i Fitzjamesem o potrzebie gotowania jedzenia z puszek Goldnera, szczególnie zup. Warzywa i mięsa, mówił Goodsir, rzeczywiście były już kiedyś gotowane, lecz zupy - głównie z pasternaku, marchewki i innych warzyw korzeniowych - zostały „skoncetrowane”, co oznaczało, że należy je rozcieńczyć wodą i zagotować.

Goodsir nie potrafił powiedzieć, jakaż to trucizna kryje się w niezagotowanych zupach Goldnera - a być może również w mięsie i warzywach - stale jednak przypominał wszystkim o potrzebie podgrzewania puszkowanego jedzenia, nawet podczas marszu przez lód. Te właśnie napomnienia były jednym z powodów, dla których Crozier i Fitzjames kazali przewieźć do Obozu *Terror* ciężkie żelazne piece z welbotów.

Jednak ani w pierwszym, ani w drugim obozie na lodzie nie było pieców, kiedy więc małe kuchenki na eter zawiodły, ludzie jedli konserwy na zimno - a nawet gdy udało im się rozpalić kuchenkę, paliwa wystarczało zazwyczaj tylko na roztopienie zamrożonych zup, a nie zagotowanie.

Crozier uznał, że w tej sytuacji musi im to wystarczyć. Gdy tylko skończyli śniadanie, żołądek komandora zaczął ponownie burczeć z głodu.

Zgodnie z planem mieli zwinać osiem namiotów z pierwszego obozu na lodzie, załadować je na sanie i przewieźć do Obozu *Terror*, na wypadek gdyby znów musieli wyruszyć wkrótce na lód. Jednak wiatr był za mocny, a ludzie zbyt wyczerpani już po jednym dniu i jednej nocy wędrówki. Po krótkiej naradzie z porucznikiem Little'em Crozier postanowił, że wystarczy, jeśli zabiorą z tego obozu tylko trzy namioty. Miał nadzieję, że trochę lepiej pójdzie im w obozie drugim.

Drugiego dnia wędrówki, 23 kwietnia 1848 roku, trzech ludzi z zaprzęgów opadło całkowicie z sił. Jeden z nich zaczął wymiotować krwią. Dwaj pozostali po prostu upadli na lód i nie mogli pracować do końca dnia. Jednego z nich trzeba było ułożyć na saniach i ciągnąć.

Nie chcąc zmniejszać liczby uzbrojonych strażników strzegących kolumny, Crozier i Little zajęli miejsca w zaprzęgach i ciągnęli sanie przez większość tego ciężkiego, niekończącego się dnia.

Wały lodowe, które pokonywali drugiego dnia przejścia, nie były szczególnie wysokie, a na lodzie ciągnęły się wyraźne i głębokie ślady płóz, lecz wiatr i niesiony wiatrem śnieg nie pozwoliły im skorzystać z tych dogodności. Ludzie idący w zaprzęgu nie widzieli następnych sań, które wyprzedzały ich zaledwie o piętnaście stóp. Żołnierze i uzbrojeni marynarze pełniący funkcję

strażników musieli maszerować nie dalej niż jard lub dwa od sań, inaczej bowiem zgubiliby się w gęstej śnieżycy.

Kilka razy w ciągu dnia sanie prowadzące pochód - zwykle w zaprzęgu tym szedł Crozier lub Little - zjeżdżały z wyżłobionych w lodzie śladów i gubiły drogę. Wszyscy musieli się wtedy zatrzymać na kwadrans lub dwa, podczas gdy kilku ludzi wychodziło z zaprzęgu, przywiązywało się liną do sań, i odchodziło na lewo i prawo, szukając w lodzie przysypanych śniegiem wyżłobień.

Gdyby przy takiej pogodzie zgubili drogę na dobre, mogliby przypłacić to nie tylko stratą wielu godzin, ale i życiem.

Niektóre grupy ciągnące nawet cięższe ładunki pokonywały ten dziewięćmiłowy odcinek w niecałe dwanaście godzin i przybywały do drugiego obozu na lodzie zaledwie kilka godzin po zachodzie słońca. Grupa Croziera przybyła tam sporo po północy, omal nie minawszy obozu ukrytego w gęstych ciemnościach i śniegu. Gdyby nie Magnus Manson i jego niezwykle wyczulony słuch - stanowiący być może swego rodzaju rekompensatę za niemal zupełny brak inteligencji - dzięki któremu usłyszał trzepot namiotów szarpanych wiatrem, przeszliby obok swego schronienia i skrytki zjedzeniem.

Okazało się, że obóz drugi i tak został w znacznym stopniu zniszczony przez nieustający wiatr, który uniósł w ciemność lub rozerwał na strzępy pięć spośród ośmiu namiotów, choć wszystkie zostały przytwierdzone do lodu grubymi śrubami. Wyczerpani i wygłodzeni marynarze zdołali rozbić dwa spośród trzech namiotów zabranych z obozu pierwszego i ostatecznie czterdziestu sześciu ludzi, którzy tłoczyli się dotąd w ośmiu namiotach, zmieściło się w pięciu.

Ludzie pełniący tej nocy wachtę - szesnastu spośród czterdziestu sześciu - przeżyli prawdziwe piekło, dręczeni wiatrem, śniegiem i mrozem. Crozier trzymał straż między drugą i czwartą w nocy. Wolał się ruszać, niż siedzieć w namiocie, bo w swym jednoosobowym, zimnym śpiworze i tak nie zdołałby zasnąć, mimo że marynarze wokół niego leżeli stłoczeni jak śledzie w beczce.

Ostatni dzień na lodzie był zarazem najgorszy.

Wiatr przestał wiać tuż przed piątą rano, nie cieszyli się tym jednak długo, gdyż wraz z odejściem chmur burzowych temperatura spadła co najmniej o trzydzieści stopni. Kiedy porucznik Little dokonał pomiaru o szóstej rano, termometr wskazywał minus sześćdziesiąt cztery stopnie.

To tylko osiem mil, powtarzał sobie Crozier, ciągnąc tego dnia sanie. Wiedział, że pozostali myślą o tym samym. Tylko osiem mil, o całą milę mniej niż wczoraj. Ponieważ coraz więcej ludzi opadało z sił, tuż po wschodzie słońca Crozier kazał strażnikom odłożyć broń na sanie i wejść do zaprzęgów. Każdy, kto mógł iść o własnych siłach, ciągnął teraz sanie.

Pozbawieni ochrony wierzyli, że przy dobrej widoczności i tak w porę dostrzegą potwora. W dali widać już było brązową kreskę Ziemi Króla Williama - choć jeszcze wyraźniej prezentowała się linia gór lodowych strzegących dostępu do stałego lądu, ich poszarpane szczyty lśniły w słońcu niczym bariera wzniesiona z tłuczonego szkła - dzięki czemu mogli przynajmniej mieć pewność, że nie zgubią drogi i że potwór nie podkradnie się do nich niepostrzeżenie.

Bo potwór wciąż tam był. Widzieli go - małą kropkę oddaloną o kilka mil na południowy wschód od ich kolumny, poruszającą się znacznie szybciej niż oni. Nawet gdyby porzucili sanie i poderwali się do biegu, i tak by mu nie dorównali.

Kilka razy w ciągu tego dnia Crozier albo Little wychodził z zaprzęgu, wyciągał swoją lunetę i obserwował białe monstrum.

Potwór poruszał się na czworakach, oddalony od nich co najmniej o dwie mile. Z tej odległości wyglądał jak zwykły biały niedźwiedź, których tyle już zabili w ciągu ostatnich trzech lat -

wyglądał tak do czasu, gdy stanął na tylnych łapach, uniósł łeb ponad otaczające go seraki i spojrzał w ich stronę.

Wie, że opuściliśmy okręty, pomyślał Crozier, spoglądając na potwora przez swoją miedzianą lunetę, pokrytą licznymi zadrapaniami i rysami, świadectwem wieloletniej służby na obu biegunach. Wie, dokąd idziemy. Chce być tam pierwszy.

Maszerowali przez cały dzień, zatrzymując się tylko o zachodzie słońca, by zjeść trochę zamrożonego jedzenia z puszek. Zużyli już cały zapas solonej wieprzowiny i czerstwych sucharów. Tuż przed zachodem słońca lodowa ściana ciągnąca się wzdłuż wybrzeża Ziemi Króla Williama lśniła przez moment tysiącem światła niczym wielkie, rojne miasto, by potem nagle okryć się ciemnością nocy.

Zostały im jeszcze cztery mile. Na saniach leżało już ośmiu marynarzy, w tym trzech nieprzytomnych.

Około pierwszej w nocy przeszli przez wielką lodową barierę oddzielającą stały ląd od paku. Wiatr nadal był słaby, ale wciąż spadała temperatura. Gdy zatrzymali się, by przygotować sanie do przeniesienia przez trzydziestostopową ścianę lodu - tutaj nie mogli liczyć na ułatwienia powstałe po przejściu poprzednich grup, gdyż bryły lodu spadające z okolicznych gór dawno już zasypały wyciosane przez marynarzy przejście - porucznik Little ponownie zmierzył temperaturę. Termometr pokazał minus osiemdziesiąt dwa stopnie.

Crozier od wielu godzin poruszał się i wydawał rozkazy, choć opadł z sił. Tuż przed zachodem słońca, kiedy po raz ostatni spojrzał na stworzenie biegnące przed nimi - potwór przechodził już wtedy przez barierę lodu, pokonując ją kilkoma długimi susami - zdjął na moment rękawice i rękawiczki, by zanotować coś dzienniku pokładowym. Zapomniawszy włożyć rękawice z powrotem, sięgnął ponownie po lunetę, a czubki palców jednej ręki i wnętrze dłoni drugiej natychmiast przymarzły do metalu. Gdy odruchowo cofnął ręce, zerwał warstwę skóry z czterech palców prawej ręki i spory kawałek skóry wraz z mięsem z lewej dłoni.

Takie rany nie goiły się łatwo w arktycznych warunkach, szczególnie u kogoś, kto miał już pierwsze objawy skorbutu. Crozier odwrócił się od swych podwładnych i zwymiotował z bólu. Piekący ból uszkodzonych palców i dłoni wzrastał się podczas długiej nocy wypełnionej ciągnięciem, pchaniem, podnoszeniem i szarpaniem. Na mięśniach rąk i ramion komandora pojawiły się siniaki znaczące miejsca, gdzie z ogromną siłą wrzynały się pasy uprzęży.

Kiedy około pierwszej trzydzięci w nocy pokonywali ostatnią barierę, mozoląc się pod rozgwieżdżonym i zabójczo zimnym niebem, Crozier zastanawiał się przez moment, czy nie zostawić tu sań i nie przejść do Obozu *Terror* już bez obciążenia. Rankiem inni ludzie mogli tu wrócić i przeciągnąć sanie przez milę zamrożonego żwiru i śniegu, która wciąż dzieliła ich od obozu.

Francis Crozier myślał jeszcze jednak na tyle trzeźwo, by natychmiast odrzucić to rozwiązanie. Oczywiście, mógł zostawić sanie - nie zrobiła tego do tej pory żadna inna grupa - i jak najszybciej przejść do obozu, ale wówczas na zawsze straciłby szacunek wszystkich swoich marynarzy i oficerów.

Choć ból przenikający poranione dłonie sprawiał, że raz za razem wymiotował na lód - mniej oszołomiona część umysłu Croziera zauważyła, że wymiociny są całkiem płynne i czerwone - wciąż wydawał rozkazy i pomagał przeciągać sanie przez lodową barierę aż na zamrożony przybrzeżny żwir.

Gdyby nie świadomość, że mróz zerwie mu skórę z ust podobnie jak wcześniej z dłoni, Crozier upadłby na kolana i pocałował stały ląd, gdy wreszcie ostatnie z sań zazgrzytały o nierówną, kamienną powierzchnię.

W Obozie *Terror* płonęły pochodnie. Crozier prowadził zaprzęg pierwszych sań, kiedy zbliżali się do obozu. Wszyscy starali się trzymać prosto - albo przynajmniej nie chwiać się zbyt - gdy pokonywali ostatnie kilkaset jardów, ciągnąc za sobą sanie obciążone zapasami i ciałami ich nieprzytomnych towarzyszy.

Przed namiotami czekali na nich jacyś ludzie. Crozier wzruszył się ich troską, pewien, że tych kilkunastu marynarzy, których widział w blasku pochodni, chciało już wysłać ekipę ratunkową na poszukiwania spóźnionego komandora oraz jego towarzyszy.

Gdy jeszcze raz naparł mocniej na uprząż, pokonując ostatnie sześćdziesiąt stóp dzielące ich od światła pochodni, przygotował w myślach jakiś drobny żarcik na powitanie - coś o tym, że zarządza ponownie Boże Narodzenie, i że wszyscy będą mogli spać przez tydzień - lecz wówczas komandor Fitzjames i kilku oficerów uczyniło kilka kroków do przodu, wychodząc im naprzeciw.

Crozier zobaczył wtedy ich oczy: oczy Fitzjamesa i Le Vesconte'a, Des Voeux, Coucha i Hodgsona, oczy Goodsira i innych. Natychmiast zrozumiał - być może dzięki niezwykłemu darowi, o którym mówiła Memo Moira, a może dzięki instynktowi dowódcy - że coś się wydarzyło i że nic będzie już takie, jak to sobie zaplanował i wymarzył. Nigdy.

IRVING

69°37'42" szerokości geograficznej północnej, 98°40'58" długości geograficznej zachodniej. 24 kwietnia 1848.

Stało przed nim dziesięcioro Eskimosów; sześciu mężczyzn w bliżej nieokreślonym wieku, jeden bezzębny starzec, jeden chłopiec i dwie kobiety. Jedna kobieta była stara, miała obwisłą, pomarszczoną twarz, druga zaś była bardzo młoda. Może to matka i córka, pomyślał Irving.

Wszyscy byli niscy; głowa najwyższego spośród mężczyzn ledwie sięgała podbródka wysokiego porucznika. Dwaj ściągnęli z głów kaptury, odsłaniając strzechy czarnych włosów i gładkie twarze, pozostali jednak patrzyli na niego z głębi kapturów. Brzegi kilku kapturów obszyte były gęstym, śnieżnobiałym futrem, zdartym zapewne z lisa polarnego, inne nieco ciemniejszym i twardszym - Irving przypuszczał, że jest to futro rosomaka.

Wszyscy mężczyźni, prócz chłopca i starca, trzymali w dłoniach broń - harpun albo krótką włócznię z kamiennym lub kościanym ostrzem - lecz nawet gdy Irving zbliżył się do nich, pokazując puste dłonie, żaden z mężczyzn nie podniósł broni ani nie skierował ku niemu ostrza. Eskimosi - myśliwi, jak sądził Irving - stali swobodnie, na rozstawionych lekko nogach, a najstarszy z nich przytrzymał w miejscu sanie i tulił do siebie chłopca. Sanie - znacznie mniejsze i lżejsze od najmniejszych, składanych sań z pokładu *Terroru* - ciągnięte były przez zaprzęg złożony z sześciu psów. Psy szczekały i warczały, obnażając ostre kły, dopóki starzec nie uciszył ich kilkoma ostrymi słowami i kijem, który trzymał w ręce.

Zastanawiając się, jak nawiązać komunikację z tymi dziwnymi ludźmi, Irving przyglądał się jednocześnie ich ubraniom. Kurtki mężczyzn były krótsze i ciemniejsze niż kurtka lady Cisy i jej zmarłego towarzysza, ale także wykonane z futra. Irving pomyślał, że pewnie zostały zrobione ze skóry karibu lub futra lisów; z kolei sięgające kolan spodnie bez wątpienia uszyte zostały z niedźwiedziego futra. Wysokie buty niektórych Eskimosów także wyglądały na uszyte ze skóry karibu, inne jednak wydawały się bardziej miękkie i elastyczne. Z foczej skóry?

Rękawice bez wątpienia zostały wykonane z takiej właśnie skóry i wydawały się znacznie cieplejsze i elastyczniejsze od rękawic Irvinga.

Irving przesunął spojrzeniem po twarzach sześciu młodszych mężczyzn, by przekonać się, który z nich jest przywódcą grupy, ale wcale nie było to oczywiste. Oprócz starca i chłopca z całej grupy wyróżniał się tylko jeden Eskimos, dojrzały mężczyzna z odsłoniętą głową, na której nosił pasek z białego futra karibu. Miał też wąski pasek, z którego zwieszały się różne dziwne przedmioty, a na rzemieniu na szyi nosił coś w rodzaju sakiewki. Irving natychmiast przypomniał sobie biały amulet w kształcie niedźwiedzia polarnego noszony przez lady Ciszę.

Jaka szkoda, że cię tu nie ma, lady, Ciso, pomyślał młody porucznik.

- Witajcie - powiedział głośno, dotykając dłonią piersi. - Porucznik John Irving z okrętu Jej Królewskiej Mości *Terror*.

Mężczyźni pochylili się ku sobie i mamrotali coś przez chwilę. Irving słyszał pojedyncze słowa: *kabloona*, *cavaci miagortok*, ale nie miał pojęcia, co mogłyby oznaczać.

Starszy mężczyzna z sakiewką i dziwnym pasem wskazał w końcu na Irvinga i rzekł głośno:

- Piifixaaq!

Pozostali mężczyźni pokręcili przecząco głowami. Irving miał nadzieję, że jeśli była to obelga, młodzi Eskimosi właśnie się z nią nie zgodzili.

- John Irving - powiedział, dotykając ponownie piersi.

- *Sixam ieu*a? - spytał mężczyzna stojący naprzeciw porucznika.

- *Suingne!*

Irving mógł tylko skinąć głową. Jeszcze raz przyłożył dłoń do piersi.

- Irving - powtórzył i wskazał na mężczyznę. Eskimos patrzył nań w milczeniu.

Zdesperowany porucznik wskazał na psa prowadzącego zaprzęg, który znów zaczął na niego szczekać i warczeć pomimo wysiłków starca, okładającego go kijem.

- Pies - powiedział Irving. - Pies.

Eskimos stojący najbliżej Irvinga roześmiał się głośno.

- *Quimmiq* - powiedział wyraźnie, także wskazując na psa. - *Tunok*.

- Eskimos pokręcił głową i ponownie zachichotał.

Choć Irving trząśnięty z zimna, poczuł, że robi mu się raźniej na duszy. Wreszcie znalazł jakiś punkt zaczepienia. Pies, którego Eskimosi używali do ciągnięcia saní, nazywał się w ich języku *qimmiq* albo *tunok*, albo tak i tak. Wskazał na sanie.

- Sanie - oświadczył z mocą.

Dziesięcioro Eskimosów wpatrywało się weń w głuchym milczeniu. Młoda kobieta podniosła rękę do twarzy. Stara otworzyła szeroko usta, dzięki czemu Irving mógł się przekonać, że ma tylko jeden ząb.

- Sanie - powtórzył.

Sześciu mężczyzn popatrzyło po sobie. Wreszcie ten, który rozmawiał z nim już wcześniej, powiedział:

- *Katnatik?*

Irving pokiwał radośnie głową, choć nie miał pojęcia, czy rzeczywiście słowo *katnatik* to po eskimosku sanie; równie dobrze Eskimos mógł go właśnie zapytać, czy chce zostać zabity harpunem, czy włócznią. Mimo to młody porucznik uśmiechał się od ucha do ucha. Większość mężczyzn - prócz chłopca, starca, który wciąż zajęty był uspokajaniem psa, i Eskimosa z sakiewką na szyi - także uśmiechała się do niego.

- Czy ktoś z was mówi może po angielsku? - spytał Irving, uświadamiając sobie, że powinien był zadać to pytanie znacznie wcześniej.

Eskimosi znów odpowiedzieli mu jedynie zdumionymi spojrzeniami. Irving powtórzył podobne pytanie po francusku, a potem łamaną, okropną niemiecką.

Eskimosi nadal tylko się uśmiechali lub krzywili z dezaprobatą.

Irving pochylił się i przykucnął, a stojąca obok niego szóstka mężczyzn zrobiła to samo. Nie usiedli na zamrożonym żwirze ani na leżącym obok glazie. Po trzech latach spędzonych w arktycznym klimacie Irving doskonale to rozumiał. Nadal chciał poznać imię choćby jednego z nich.

- Irving - powiedział, jeszcze raz przykładając dłoń do piersi. Potem wskazał na kucającego obok mężczyznę.

- Inuk - odpowiedział Eskimos, dotykając piersi. Ściągnął zębami rękawicę i podniósł prawą rękę. Brakowało na niej dwóch najmniejszych palców. - *Tikerqat* - dodał, uśmiechając się ponownie.

- Miło mi pana poznać, panie Inuk - odrzekł Irving z powagą. - Albo panie *Tikerqat*. Naprawdę bardzo miło mi pana poznać. - Uznawszy, że jedynym skutecznym sposobem komunikacji z tymi ludźmi jest język gestów, wskazał na północny zachód, skąd przyszedł. - Mam wielu przyjaciół - powiedział, jakby te słowa mogły zapewnić mu bezpieczeństwo w towarzystwie tych dzikusów. - Dwa duże statki. Dwa... statki.

Większość Eskimosów spojrzała we wskazany przezeń kierunek. Inuk zmarszczył lekko brwi.

- Nanuq - rzekł cicho, potem jednak pokręcił głową, jakby poprawiając samego siebie. - Tornarssuk.

Na dźwięk tego słowa pozostali odwrócili wzrok albo pochyłili głowy, jakby przejęci nabożną czcią lub strachem. Porucznik był jednak pewien, że nie chodziło im wcale o dwa okręty ani o grupę białych ludzi.

Irving oblizał zakrwawione wargi. Pomyślał, że lepiej będzie, jeśli na początek spróbuje z nimi pohandlować, zamiast wdawać się w bezowocną rozmowę. Poruszając się bardzo powoli, by nie przstraszyć któregoś z nich, sięgnął do swojej torby, by sprawdzić, czy nie ma w niej jakiegoś jedzenia lub błyskotki, którą mógłby im podarować.

Nic. Zjadł już swoją porcję solonej wieprzowiny i suchara, które miały mu wystarczyć na cały dzień. Może więc coś lśniącego i interesującego...

Miał tylko dwa postrzępione swetry, parę śmierdzących skarpetek i kawałek niepotrzebnej już szmaty, którą zabrał ze sobą na wypadek, gdyby musiał załatwić większą potrzebę na powietrzu. W tym momencie Irving gorzko pożałował, że dał swą piękną chińską chustkę lady Ciszy. Nie wiedział nawet, gdzie ta wiedźma się teraz podziewa - wyszła z Obozu *Terror* po dwóch dniach pobytu i od tamtej pory nikt jej nie widział. Był pewien, że dzikusom spodobałaby się jedwabna czerwono-zielona chustka.

Potem jego palce dotknęły mosiężnej krzywizny lunety.

Serce Irvinga podskoczyło na moment z radości, a potem ścisnęło się z bólu. Luneta była chyba najcenniejszym przedmiotem, jaki miał, ostatnią rzeczą, jaką podarował mu ukochany wuj, nim zmarł nagle na serce.

Uśmiechając się słabo do czekających cierpliwie Eskimosów, Irving powoli wyciągnął lunetę z torby. Widział, jak śniadoliccy mężczyźni zaciskają mocniej dłonie na swych włóczniach i harpunach.

Dziesięć minut później cała grupa Eskimosów otaczała go ciasnym kołem, niczym uczniowie zgromadzeni wokół ukochanego nauczyciela. Każdy z nich, nawet podejrzliwy starszy mężczyzna z opaską na głowie, spoglądał po kolei w okular lunety. Dostały tego zaszczytu nawet jedyne dwie kobiety w grupie - Irving pozwolił, by Inuk Tikerqat, jego nowy ambasador, podał mosiężny instrument rozchichotanym Eskimoskom. Starzec, który przytrzymał do tej pory sanie, także zajrzał do okularu i krzyknął ze zdumienia, podczas gdy obie kobiety nuciły jednostajnie:

aiyeiyaiya na

ye heyeyeyiyan eya qana

ai ye yi yat yana

Eskimosi spoglądali przez lunetę na siebie nawzajem, cofając się w przestachu, a potem głośno śmiejąc, gdy w okularze ukazywała się ogromne twarze ich towarzyszy. Potem mężczyźni, którzy szybko nauczyli się wyostrzać obraz, oglądali przez chwilę odległe skały, chmury i poszarpane grzbiety wzgórz. Kiedy Irving pokazał im, że mogą odwrócić lunetę i w ten sposób pomniejszyć obraz, dolina znów wypełniła się okrzykami zdumienia i śmiechem.

Za pomocą języka gestów i ciała - gdy Inuk Tikerqat chciał mu oddać lunetę, wcisnął ją w jego ręce - dał im do zrozumienia, że to prezent.

Śmiech ucichł, a Eskimosi spojrzeli nań nagle z ogromną powagą. Przez moment Irving zastanawiał się, czy naruszył jakieś tabu, obraził ich w jakiś sposób, potem jednak zrozumiał, że postawił ich przed trudnym problemem związanym z etykietą; on dał im wspaniały prezent, a oni nie przynieśli nic w zamian.

Inuk Tikerqat naradzał się przez chwilę z pozostałymi mężczyznami, a potem odwrócił się ponownie do Irvinga i zaczął wykonywać jednoznaczne gesty, podnosząc rękę do ust i gładząc się po brzuchu.

Przez jedną straszliwą chwilę Irving myślał, że jego rozmówca prosi o jedzenie, gdy jednak próbował pokazać, że nie ma ze sobą niejadalnego, Eskimos pokręcił głową i powtórzył serię gestów. Irving zrozumiał nagle, że tubylcy pytają, czy on jest głodny.

Porucznik odetchnął skrycie z ulgą, a potem powtórzył gesty Eskimosa i pokiwał entuzjastycznie głową. Inuk Tikerqat pochwycił go za ramię i doprowadził do sań. Jak oni to nazywali? - rozmyślał Irving.

- *Kamatik?* - powiedział głośno, przypomniawszy sobie wreszcie odpowiednie słowo.

- *Ee!* - zawołał pan Tikerqat z uznaniem. Przegoniwszy kopniakiem warczące psy, odrzucił na bok grube futro przykrywające sanie. Pod futrem kryła się wielka sterta zamrożonego świeżego mięsa i ryb.

Eskimos wskazywał palcem na różne przysmaki. Pokazując rybę, powiedział:

- *Eqaluk.* - Poszczególne głoski wymawiał i powoli i z namaszczeniem, jakby mówił do małego dziecka. - *Nat-suk* - oświadczył, przesuwając palec w stronę płatów foczego mięsa i tłuszczu. - *Oo ming-mite* - zakończył, wskazując na większe poćcie ciemniejszego mięsa.

Irving skinął głową, zawstydzony nieco, że jego usta wypełniły się nagle śliną. Nie wiedząc, czy ma tylko podziwiać ten zapas mięsa, czy też coś z niego wybrać, wskazał niepewnie na mięso foki.

- *Ee!* - powtórzył pan Tikerqat. Podniósł płat delikatnego mięsa i tłuszczu, sięgnął pod kurtkę, wyciągnął zza pasa krótki, bardzo ostry nóż i odkroił kawałek dla Irvinga, a potem dla siebie. Wręczył porucznikowi jego porcję i zabrał się do jedzenia swojej.

Starsza kobieta stojąca przy saniach nagle wydała z siebie płaczliwy dźwięk.

- *Kaaktunga!* - zajęczała, a gdy żaden ze stojących obok mężczyzn nie zareagował, powtórzył, tym razem już krzycząc: - *Kaaktunga!*

Pan Tikerqat spojrzał na Irvinga i skrzywił się porozumiewawczo, jakby dzieląc się z nim swoją udręką, po czym warknął krótko:

- *Orssunquvoq!*

Potem jednak odkroił pasek foczego tłuszczu i rzucił go kobiecie niczym psu.

Bezzębna starucha roześmiała się głośno i zaczęła przeżuwać miękki tłuszcz.

Cała grupa natychmiast zgromadziła się wokół sań, mężczyźni wyciągnęli noże i zabrali się do jedzenia.

- *Aipalingiagpoq* - powiedział Tikerqat ze śmiechem, wskazując na starą kobietę. Pozostali myśliwi, starzec i chłopiec - wszyscy prócz mężczyzny z przepaską na głowie i torebką na szyi - także wybuchnęli śmiechem.

Irving uśmiechnął się szeroko, choć nie miał pojęcia, czego dotyczy ów żart.

Mężczyzna z przepaską wskazał na Irvinga i rzekł ostrym tonem:

- *Qavac... suingm!Kangunartuliorpoq!*

Porucznik nie potrzebował tłumacza, by wiedzieć, że to, co powiedział Eskimos, nie było ani pochlebne, ani miłe. Jednak w odpowiedzi Tikerqat i pozostali tylko pokręcili głowami.

Wszyscy, nawet młoda kobieta, używali noży w taki sposób, jaki lady Ciska pokazała mu w swym śnieżnym domku przed ponad dwoma miesiącami - ucinając skórę, mięso i tłuszcz tuż przy ustach, tak że ostrza noży o włos mijały wargi i języki.

Irving robił to samo - na tyle, na ile potrafił - lecz jego nóż był bardziej tępy i szło mu to

dosyć opornie; ale przynajmniej nie skaleczył się w nos, jak podczas wizyty u Cisy. Przez chwilę wszyscy posilali się w milczeniu, pobekując tylko od czasu do czasu i popierdując dyskretnie. Mężczyźni od czasu do czasu popijali coś ze skórzanego bukłaka, Irving wyciągnął już jednak butelkę, którą trzymał pod ubraniami.

- *Kee-nah-oo-veet?* - powiedział nagle Inuk Tikerqat. Uderzył się pięścią w pierś. - Tikerqat.

- Potem znów ściągnął rękawicę i pokazał dłoń pozbawioną dwóch palców.

- Irving - odrzekł porucznik, także stukając się w pierś.

- *Eh-vunq* - powtórzył Eskimos.

Młody oficer uśmiechnął się doń znad kawałka foczego tłuszczu, po czym wskazał na swego nowego przyjaciela, mówiąc:

- *Inuk* Tikerqat, ee! Eskimos pokręcił głową.

- *Ah-ka.* - Zatoczył rękami szerokie koło, jakby obejmując wszystkich towarzyszących mu ludzi. - *Inuk* - oświadczył stanowczo. Potem podniósł rękę i ukrywając kciuk za dłonią, poruszył dwoma palcami, powtarzając: - Tikerqat.

Irving zrozumiał z tego, że słowo „Inuk” nie było imieniem mężczyzny, lecz nazwą odnoszącą się do wszystkich obecnych tu Eskimosów - być może tak nazywało się ich plemię lub klan. Domyślił się też, że „Tikerqat” to nie nazwisko, lecz całe imię jego rozmówcy, i że oznacza ono zapewne „dwa palce”.

- Tikerqat - powiedział Irving, starając się wymawiać poprawnie poszczególne głoski, choć jednocześnie wciąż przeżuwał foczy tłuszcz. Fakt, że focza skóra, mięso i tłuszcz były już stare i śmierdzące, w niczym mu nie przeszkadzał. Czuł się tak, jakby jego ciało nade wszystko na świecie pragnęło takiego właśnie pożywienia. - Tikerqat - powtórzył raz jeszcze.

Po tym wstępie, pośród trwającej nieprzerwanie uczty, nastąpiła prezentacja poszczególnych członków grupy. Początkowo robił to Tikerqat, wymawiając kolejne imiona i próbując za pomocą gestów objaśnić ich znaczenie - jeśli te imiona miały jakieś znaczenie - wkrótce jednak poszczególni Eskimosi zaczęli się sami przedstawiać. Przypominało to jakąś radosną, dziecięcą zabawę.

- Taliriktug - powiedział powoli Tikerqat, wypychając do przodu stojącego obok niego mężczyznę z wydatnym torsem. Dwa Palce pochwycił swego kompana za rękę i ścisnął ją, wydając przy tym pełne podziwu cmokania, a potem sam napiął mięśnie, jakby chciał pokazać, że są znacznie mniejsze.

- Taliriktug - powtórzył Irving, domyślając się, że oznacza to tyle, co „Wielki Mięsień” albo „Silne Ramie”, albo coś podobnego.

Kolejny mężczyzna, nieco niższy od pozostałych, nazywał się *Tuluqag*. Tikerqat zsunął z jego głowy kaptur, wskazał na jego czarne włosy i pomachał złożonymi rękami, naśladując ptaka w locie.

- *Tuluqag* - powtórzył Irving, skłaniając uprzejmie głowę w stronę niskiego mężczyzny. Zastanawiał się, czy imię to oznacza kruka.

Czwarty mężczyzna uderzył się pięścią w pierś, powiedział:

- *Amaruq* - po czym odchylił głowę do tyłu i zawył.

- *Amaruq* - powtórzył Irving i skinął głową. - Wilk.

Piąty myśliwy przedstawił się jako *Mamarut* i odegrał jakąś skomplikowaną scenę, wymachując szeroko rękami i tańcząc. Irving powtórzył i skinął głową, nie miał jednak pojęcia, co mogłoby oznaczać to imię.

Szósty myśliwy, młody mężczyzna o bardzo poważnej twarzy, został przedstawiony przez Tikerqata jako *Ituksuk*. Mężczyzna przez chwilę patrzył na Irvinga ciemnymi jak węgiel oczami i... nie powiedział ani nie pokazał niczego. Irving skinął uprzejmie głową i włożył do ust kolejny kęs

foczego tłuszczu.

Starszy mężczyzna z opaską na głowie i workiem na szyi nosił imię Asiajuk - o czym poinformował Irvinga Tikerqat - jednak i on nie poruszył się ani nie odezwał ani słowem. Oczywiście było, że nie darzy porucznika Johna Irvinga sympatią ani zaufaniem.

- Miło mi pana poznać, panie Asiajuk - powiedział Irving.

- Afatkuq - powiedział cicho Tikerqat, wskazując głową na poważnego mężczyznę z opaską.

Jakiś szaman? - zastanawiał się Irving. Dopóki wrogość Asiajuka objawiała się jedynie wzgardliwym milczeniem, porucznik nie zamierzał się nią szczególnie przejmować.

Starzec pilnujący sań został przedstawiony jako Kringmuluardjuk. Tikerqat wskazał na powarkujące psy, złożył ręce i roześmiał się.

Wciąż się śmiejąc, rozmówca Irvinga wskazał na nieśmiałego chłopca, który mógł mieć nie więcej niż dziesięć lub jedenaście lat, potem wskazał ponownie na siebie i powiedział:

- Irniq - potem zaś dodał: - Qajoranguaq.

Irving domyślił się, że Irniq oznacza tyle co „syn” lub „brat”. Prawdopodobnie to drugie, pomyślał. A może chłopiec miał na imię Irniq, a Qajoranguaq oznaczało brata lub syna. Porucznik skinął z szacunkiem głową, traktując chłopca tak samo jak starszych myśliwych.

Tikerqat wypchnął do przodu starszą kobietę. Przedstawił ją jako Nauja i znów wykonał dłońmi gest przypominający ptaka w locie. Irving powtórzył imię najlepiej, jak potrafił - Eskimosi wydawali z siebie pewien głęboki, gardłowy dźwięk, którego młody Anglik nie umiał odtworzyć - i znów skłonił z szacunkiem głowę. Zastanawiał się, czy *Nauja* to rybitwa, mewa, czy też coś bardziej egzotycznego.

Stara kobieta zachichotała i napchała sobie usta foczym tłuszczem.

Tikerqat objął ramieniem młodą kobietę, właściwie jeszcze dziewczynę i powiedział:

- *Qaumaniq*. - Potem myśliwy wyszczerzył zęby w uśmiechu i dodał: - *Amooq!*

Dziewczyna uśmiechnęła się i spróbowała wyslizgnąć z jego uścisku, podczas gdy wszyscy mężczyźni, prócz szamana, wybuchnęli śmiechem.

- *Amooq?* - powtórzył Irving, a mężczyźni roześmieli się jeszcze głośniejsze. Tuluqag i Amaruq wręcz zataczali się ze śmiechu, z trudem utrzymując w ustach kawałki foczego mięsa, które tam przed chwilą włożyli.

- *Qaumaniq... amooq!* - powtórzył Tikerqat i wyciągnął przed siebie obie dłonie z rozcapierzonymi palcami, jakby chciał w nie coś złapać, wykonując tym samym jednoznaczny i uniwersalny gest. By mieć jednak pewność, że biały człowiek zrozumiał jego przekaz, myśliwy przyciągnął bliżej młodą kobietę - Irving zakładał, że to jego żona - i podniósł na moment jej krótką, ciemną kurtkę.

Dziewczyna była pod kurtką zupełnie naga, a jej piersi rzeczywiście były bardzo duże... naprawdę bardzo duże jak na tak młodą kobietę.

John Irving czuł, jak czerwieni się aż po korzonki włosów. Opuścił wzrok, wbijając go w kawałek foczego tłuszczu, który trzymał w dłoni.

W tej chwili gotów był postawić każdą sumę na to, że *Amooq* w języku Eskimosów oznacza tyle, co „Wielkie Cycki”.

Otoczający go mężczyźni wyli ze śmiechu. *Qimmiq* - psy zaprzęgnięte do drewnianych *kamatik* - także wyły i szarpały się w uprzęży. Starzec pilnujący sań, Kringmuluardjuk, upadł na kolana, jakby śmiech odebrał mu siły.

Nagle Amaruq - Wilk? - który przez cały czas bawił się lunetą, wskazał na grzbiet wzgórza, z którego zszedł przed chwilą Irving i powiedział ostrym tonem coś, co brzmiało jak *Takuva-a...*

kabloona qu-kiuttina!

Cała grupa umilkła w jednej sekundzie. Psy zaczęły wściekle ujać.

Irving przysłonił oczy dłonią i spojrzał w stronę górskiego grzbietu. Przez moment widział tam ciemną sylwetkę w płaszczu, która jednak natychmiast zniknęła za wzgórzem.

Cudownie! - pomyślał Irving. Od chwili gdy udało mu się nawiązać pierwszy kontakt z Eskimosami, zastanawiał się, jak przekonać Tiker-qata i innych, by wrócili z nim do Obozu *Terror*. Obawiał się, że nie zdoła jedynie gestami namówić wszystkich Eskimosów, by zmienili kierunek marszu i poszli wraz z nim na wybrzeże, miał jednak nadzieję, że zdoła zabrać ze sobą chociaż Tikerqata.

Wiedział jednocześnie, że nie może tak po prostu pozwolić im odejść. Nazajutrz do obozu miał przybyć komandor Crozier, który mówił mu już kilkakrotnie, że bardzo liczy na spotkanie z tubylcami i że być może to właśnie oni są ich jedyną nadzieją na przetrwanie. „Północne plemiona rzadko są wojowniczo nastawione do innych - tłumaczył mu Crozier pewnego wieczora. - Jeśli w drodze na południe natrafimy na ich wioskę, być może nie tylko nas nakarmią, ale i zaopatrzą w prowiant na długi marsz do Wielkiego Jeziora Niewolniczego. W najgorszym razie nauczą nas zdobywać pożywienie na tym pustkowiu”.

Teraz Thomas Farr i pozostali przybyli za nim do tej doliny, kierując się zapewne śladami odcisniętymi w śniegu. Postać, którą dojrzał na szczycie wzgórza, natychmiast się schowała - doznawszy szoku na widok dziesięciu obcych ludzi czy też nie chcąc ich przestraszyć? - Irving zdążył jednak dostrzec ciemny płaszcz, uszankę i szalik. Wyglądało na to, że jeden z jego problemów został już rozwiązany.

Gdyby nie udało mu się namówić żadnego z Eskimosów do marszu na wybrzeże - byłoby to zapewne szczególnie trudne w przypadku starego szamana, Asiajuka - Irving i kilku jego towarzyszy zostaliby z nimi i starało się jak najdłużej zatrzymać ich w dolinie, podczas gdy najszybszy marynarz z grupy pobiegłby do obozu i sprowadził komandora Fitzjamesa.

Nie mogą pozwolić im odejść. Ci Eskimosi mogą być lekiem na wszystkie nasze problemy. Mogą stanowić naszą jedyną szansę ocalenia.

Irving czuł, jak serce wali mu w piersiach z przejęciem.

- Wszystko w porządku - zwrócił się do Tikerqata i pozostałych, przemawiając z wielkim spokojem i pewnością siebie. - To tylko moi przyjaciele. Kilku przyjaciół. To dobrzy ludzie. Nie skrzywdzą was. Mamy ze sobą tylko jedną strzelbę, ale i tak jej tutaj nie przyniesiemy. Wszystko w porządku. To moi przyjaciele, którzy chętnie was poznają.

Irving wiedział, że Eskimosi nie rozumieją ani słowa z jego wywodów, wciąż jednak mówił do nich spokojnym, kojącym tonem, jakiego używałby, zwracając się do płochliwego żrebaka w swej rodzinnej posiadłości w Bristolu.

Kilku myśliwych sięgnęło ponownie po harpuny i włócznie, które wcześniej wbili w śnieg, lecz wszyscy - Amaruq, Tulugaq, Taliriktug, Ituksuk, młodziutki Qajoranguaq, Kringmuluardjuk, a nawet podejrzliwy szaman Asiajuk - spoglądali pytająco na Tikerqata, czekając na jego decyzję. Kobiety przestały przeżuwać foczy tłuszcz i wycofały się pospiesznie za szereg mężczyzn.

Tikerqat spojrzał na Irvinga. Jego oczy wydały się nagle młodemu porucznikowi zupełnie obce i nieprzeniknione. Wyglądało na to, że Eskimos oczekuje jakichś wyjaśnień.

- *Khat-seet?* - spytał cicho.

Irving uniósł ręce w uspokajającym geście i uśmiechnął się przyjaźnie.

- To tylko przyjaciele - odparł równie cicho i łagodnie jak Tikerqat. - Kilku przyjaciół.

Porucznik zerknął ponownie na grzbiet wzgórza. Wciąż było puste. Obawiał się, że marynarz,

który przyszedł go tutaj szukać, przestraszył się zgromadzenia w dolinie i wrócił do pozostałych. Irving nie miał pojęcia, jak długo może tu jeszcze czekać... jak długo uda mu się jeszcze zatrzymać Tikerqata i jego ludzi.

Wziął głęboki oddech i uzmysłowił sobie, że będzie musiał wyjść na wzgórze, przywołać do siebie marynarza, powiedzieć mu, co się wydarzyło, i posłać po Farra i pozostałych. Nie mógł dłużej czekać.

- Proszę, zostańcie tutaj - zwrócił się do Eskimosów. Położył swoją torbę w śniegu obok Tikerqata, chcąc pokazać w ten sposób, że wkrótce wróci. - Poczekaście chwilę. Zaraz wracam. Będziecie mnie przez cały czas widzieć. Proszę, zostańcie. - Uświadomił sobie, że gestykuluje tak, jakby prosił Eskimosów, by usiedli, podobnie jak pokazywałby to psu.

Tikerqat nie usiadł ani nie odpowiedział, pozostał jednak na miejscu, kiedy Irving zaczął się powoli wycofywać.

- Zaraz wrócę! - zawołał porucznik. Odwrócił się i ruszył biegiem w górę zbocza, na pokryty żwirem grzbiet wzgórza.

Dotarłszy na szczyt, zdyszany i przejęty, obejrzał się za siebie.

Dziesięcioro ludzi, szczekające psy i sanie były dokładnie tam, gdzie je zostawił.

Irving pomachał do nich, pokazał, że zaraz wróci, i przeszedł na drugą stronę wału, by dogonić i przywołać wycofującego się marynarza. Nim jednak zdołał uczynić choćby kilka kroków, zobaczył coś, co na moment odebrało mu mowę i zdolność jakiegokolwiek ruchu.

Dwadzieścia stóp niżej, po północno-wschodniej stronie zbocza, drobny mężczyzna, odziany jedynie w buty, tańczył wokół sterty ubrań ułożonych na głazie.

Krasnal, pomyślał Irving, przypominając sobie bajkowe opowieści komandora Croziera. Nie miał pojęcia, dlaczego właśnie teraz przed jego oczami pojawił się taki widok. To w ogóle był dzień dziwnych widoków.

Podszedł bliżej i przekonał się, że nie jest to żaden krasnal, lecz mat uszczelniacz. Mężczyzna nucił pod nosem jakąś marynarską piosenkę, tańcząc i kręcąc piruety. Irving mimowolnie zauważył chorobliwą błądź jego skóry, sterczące żebra i gęsią skórę, dostrzegł również, że mężczyzna jest obrzezany, a najbardziej rzucającą się w oczy częścią jego ciała są białe pośladki.

Irving podszedł do niego, kręcąc głową z niedowierzaniem. Nie było mu wcale do śmiechu, choć jednocześnie wciąż nie mógł otrząsnąć się z podniecenia wywołanego nieoczekiwanym spotkaniem z Eskimosami.

- Panie Hickey - przemówił, stanąwszy zaledwie o kilka kroków od mata. - Co pan wyrabia, do diabła?

Hickey przestał kręcić się w miejscu i przyłożył palec do ust, jakby chciał prosić porucznika o ciszę. Potem pochylił się nad stertą ubrań złożonych na kamieniu, pokazując jednocześnie Irvingowi swoje blade pośladki.

Ten człowiek oszalał, pomyślał Irving. Nie mogę pozwolić, by Tiker-qat i inni zobaczyli go w tym stanie. Zastanawiał się, czy jeśli wymierzy matowi kilka siarczystych policzków, ten odzyska zmysły i sprowadzi do doliny Farra i pozostałych.

- Panie Hickey, proszę natychmiast... - zaczął surowym tonem. Mat błyskawicznie obrócił się w miejscu, jednocześnie wyciągając przed siebie rękę i zataczając nią szeroki łuk. Przez moment Irving myślał, że szaleniec podjął na nowo swój dziwny taniec.

Później jednak zobaczył, że w jego dłoni tkwi obnażony nóż.

Irving poczuł nagle przeszywający ból w gardle. Chciał przemówić ponownie, uzmysłowił sobie, że nie może tego zrobić, podniósł obie ręce do gardła i spojrzał w dół.

Krew spływała szerokim strumieniem na dłonie Irvinga i jego piersi, czerwone krople kapały na jego buty.

Hickey zamachnął się ponownie, wykonując szerokie, paskudne cięcie.

Ten cios przeciął tchawicę porucznika. Broczący krwią oficer opadł na kolana i podniósł prawą rękę, wskazując nią na Hickeya, choć jego obraz niknął mu już z oczu, przesłonięty coraz gęstszą kurtyną ciemności. John Irving był tak zaskoczony, że nie zdążył nawet poczuć gniewu ani rozpaczy.

Hickey, wciąż zupełnie nagi, zbliżył się do porucznika i przykucnął obok niego niczym jakiś blady, kościsty gnom. Irving, który runął jak kłoda na ziemię, wyrzucając przy tym z siebie nieprawdopodobne ilości krwi, umarł, nim jeszcze Cornelius Hickey zdarł z niego ubranie i zabrał się do krojenia.

CROZIER

69°37'42" szerokości geograficznej północnej, 98°41' długości geograficznej zachodniej.
25 kwietnia 1848.

Gdy wreszcie ludzie Croziera dotarli do Obozu *Terror*, schowali się do namiotów i natychmiast posnęli, jednak jemu nie było dane zaznać tej nocy ani chwili snu.

Najpierw poszedł do namiotu rozbitego specjalnie po to, by doktor Goodsir miał gdzie przeprowadzić sekcję zwłok i przygotować zwłoki do pogrzebu. Ciało porucznika Irvinga, białe i zamrożone na kamień po długiej podróży do obozu, gdzie przewieziono je na saniach odebranych dzikusom, przedstawiało naprawdę przerażający widok. Jego szyja rozcięta została tak głęboko, że w głębi było widać biały kręgosłup, a głowa opadała do tyłu, jakby umocowana na luźnym zawiasie, a jakby tego było mało, młody mężczyzna został wykastrowany i pozbawiony wnętrza.

Goodsir wciąż zajmował się ciałem zmarłego, kiedy Crozier wszedł do namiotu. Lekarz badał właśnie narządy wyjęte ze zwłok, dotykając ich jakimś ostrym instrumentem. Podniósł głowę i obdarzył Croziera dziwnym, zamyślnym, niemal przepraszającym spojrzeniem. Żaden z nich nie przemówił ani słowem przez dłuższy czas, gdy komandor stał nad ciałem młodego oficera. Crozier odsunął kosmyk blond włosów, który opadł na czoło Johna Irvinga. Otwarte oczy porucznika, choć zasłane śmiertelną mgłą, wciąż wypełniało bezbrzeżne zdumienie.

- Pogrzeb odbędzie się jutro w południe. Proszę przygotować do tego czasu ciało - powiedział Crozier.

- Tak jest, komandorze.

Crozier przeszedł do swego namiotu, gdzie czekał nań Fitzjames.

Kiedy kilka tygodni wcześniej trzydziestoletni steward Croziera, Thomas Jopson, nadzorował załadunek i transport „namiotu komandora” do Obozu *Terror*, Crozier dowiedział się poniewczasie, że Jopson nie tylko kazał dlań uszyć namiot dwukrotnie większy od pozostałych, ale i przewieźć na Ziemię Króla Williama koję, kilka dębowych krzeseł z Wielkiej Kajuty i duże ozdobne biurko, należące uprzednio do sir Johna.

Teraz Crozier był zadowolony, że ma do dyspozycji te meble. Ustawił ciężkie biurko pomiędzy wejściem do namiotu i posłaniem. Tylko po jednej stronie biurka, naprzeciwko wejścia, stały dwa krzesła. Lampa zawieszona pod sufitem oświetlała jedynie puste miejsce przed biurkiem, pozostawiając w półmroku krzesła przeznaczone dla Croziera i Fitzjamesa. Całość przypominała salę sądu wojskowego.

Właśnie o to chodziło Francisowi Crozierowi.

- Powinien się pan przespać, komandorze - powiedział Fitzjames.

Crozier spojrzał na młodszego dowódcę. Fitzjames wcale nie wydawał się już młody. Wyglądał jak chodzący trup - jego skóra była tak blada, że wydawała się niemal przezroczysta, bokobrody sklezione były zakrzepłą krwią sączącą się z mieszków włosowych, a oczy i policzki zapadnięte z głodu i zmęczenia. Crozier od kilku dni nie przeglądał się w lustrze, starał się też nie patrzeć na lustro wiszące w jego namiocie, miał jednak nadzieję, że nie wygląda aż tak źle, jak było cudowne dziecko Królewskiej Marynarki Wojennej, komandor porucznik James Fitzjames.

- Sam powinieneś się trochę przespać, James - odpowiedział. - Ja mogę sam przesłuchać tych ludzi.

Fitzjames pokręcił głową ze znużeniem.

- Oczywiście już ich o wszystko wypytałem - odrzekł jednostajnym, pozbawionym z emocji

tonem. - Ale nie byłem jeszcze na miejscu zbrodni ani nie przesłuchiwałem ich jak należy. Wiedziałem, że ty będziesz chciał to zrobić.

Crozier skinął głową.

- Chcę być na miejscu zbrodni, gdy tylko zrobi się jasno.

- To jakieś dwie godziny marszu na południowy zachód - odrzekł Fitzjames.

Crozier ponownie skinął głową.

Fitzjames zdjął czapkę i przeczesał brudnymi palcami długie, tłuste włosy. Woda, którą podgrzewali na piecach przeciągniętych ze statków, wystarczała im tylko do picia i do golenia - jeśli któryś z oficerów chciał się golić - jednak o kąpieli mogli tylko pomarzyć. Fitzjames uśmiechnął się.

- Mat Hickey pyta, czy może się przespać, nim przyjdzie jego kolej na składanie raportu.

- Mat Hickey nie jest bardziej zmęczony niż my, więc niech się pocałuje w dupę - odparł Crozier.

- Właśnie to mniej więcej mu powiedziałem. - Fitzjames skinął głową. - Postawiłem go na warcie. Mam nadzieję, że zimno nie da mu zasnąć.

- Albo go zabije - dodał Crozier tonem sugerującym, że wcale by się nie zmartwił takim obrotem sprawy. Potem odchrząknął i zawołał do szeregowca Daly'ego, który trzymał straż przy wejściu do namiotu: - Proszę wezwać sierżanta Tozera!

Choć od tygodni wszyscy marynarze otrzymywali ograniczone do minimum, głodowe racje, wielki, głupi sierżant piechoty morskiej wciąż był gruby. Gdy Crozier wezwał go do siebie, Tozer stanął na baczność przed biurkiem i stał w tej pozycji do końca przesłuchania.

- Jakie wrażenie zrobiły na panu dzisiejsze wydarzenia, sierżancie?

- Byłem bardzo zadowolony, komandorze.

- Zadowolony? - Crozier przypomniał sobie okaleczone ciało porucznika Irvinga.

- Tak jest. Mam na myśli atak, komandorze. Wszystko poszło jak po maśle. Zeszliśmy z tego dużego wzgórza powolutku, spokojnie, z opuszczonymi strzelbami i muszkietami, jakbyśmy nie chcieli zrobić nikomu krzywdy, a te dzikusy tylko nam się przyglądały. Otworzyliśmy ogień, kiedy zostało nam już do nich niecałe dwadzieścia jardów. To było prawdziwe piekło, komandorze, prawdziwe piekło. Ich szeregi od razu się załamały, po pierwszej salwie.

- Stali w jakimś szyku?

- No... właściwie nie, komandorze, nie powiedziałbym. Stali raczej byle jak, jak to dzikusy.

- A pierwsza salwa położyła większość?

- Tak jest, komandorze. Naprawdę, było na co popatrzeć.

- Strzelaliście jak do zajęcy?

- Tak jest, komandorze - odparł sierżant Tozer, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu.

- Czy ci ludzie stawiali opór, sierżancie?

- Opór? Nie, nie powiedziałbym.

- Ale byli uzbrojeni w noże, włócznie i harpuny.

- A tak, zgadza się. Próbowali nawet nimi rzucać, ale byli już ranni, no i nie bardzo im to szło, jeden tylko drasnął w łydkę młodego Sammy'ego Crispe'a, ale Sammy wziął wtedy strzelbę i wysłał tego dzikusa prosto do piekła, komandorze. Prosto do piekła.

- Jednak dwóch Eskimosów zdołało uciec - powiedział Crozier. Tozer spochmurniał.

- Tak, komandorze. Przykro mi, ale jakoś tak wyszło. Było sporo zamieszania. Ci dwaj leżeli na ziemi, myśleliśmy, że to trupy, ale kiedy strzelaliśmy do tych cholernych psów, wstali i uciekli.

- Dlaczego zastrzeliliście psy, sierżancie? - spytał Fitzjames. Tozer wydawał się zaskoczony

tym pytaniem.

- Bo szczekały, warczały i rzucały się na nas, komandorze. Ja bym powiedział, że to były wilki, a nie psy.

- Czy przyszło panu do głowy, że te psy mogą nam się przydać, sierżancie? - pytał dalej Fitzjames.

- Tak jest, komandorze. Jako mięso.

- Proszę opisać dwójkę Eskimosów, którym udało się uciec - polecił Crozier.

- Jeden był mały, komandorze. Pan Farr mówił, że to mogła być kobieta. Albo dziewczyna.

Miała zakrwawiony kaptur, ale najwyraźniej jeszcze żyła.

- Najwyraźniej - rzekł cierpko Crozier. - Co z drugim? Tozer wzruszył ramionami.

- Widziałem tylko, że miał opaskę na głowie, komandorze. Padł przy saniach i wszyscy myśleliśmy, że to już trup. Ale potem wstał i pobiegł z dziewczyną, kiedy zabijaliśmy psy.

- Ścigaliście ich?

- Czy ich ścigaliśmy, komandorze? Jasne, mało nam du... biegliśmy, ile sił w nogach. I strzelaliśmy do nich. Wydawało mi się, że trafiłem tę eskimoską sukę, ale ona nawet nie zwolniła. Byli po prostu za szybcy. Ale nieprędka tu wrócą, komandorze. Nie odważą się.

- A co z ich przyjaciółmi? - spytał oschle Crozier.

- Słucham, komandorze? - Tozier znów szerzył zęby w uśmiechu, ogromnie z siebie zadowolony.

- Mówię o ich plemieniu. Wiosce. Klanie. O innych myśliwych i wojownikach. Ci ludzie skądś tu przyszli. Nie wędrowali po lodzie przez całą zimę. Ta dwójka prawdopodobnie wróci do swojej wioski, jeśli już tam nie dotarła. Czy pomyślał pan o tym, że inni eskimoscy myśliwi - ludzie, dla których zabijanie to chleb codzienny - mogą mieć nam za złe, że zabiliśmy im ośmioro krewniaków?

Trozer zmarszczył brwi skonfundowany.

- Może pan odejść, sierżancie - powiedział Crozier. - Proszę przysłać tu porucznika Hodgsona.

Hodgson wyglądał jak zupełne przeciwieństwo zadowolonego z siebie Tozera. Młody porucznik był bez wątpienia wstrząśnięty śmiercią swojego najbliższego przyjaciela i skutkami ataku, który zarządził, gdy natknął się na grupę Irvinga i ujrzał jego ciało.

- Spocznij, poruczniku - powiedział Crozier. - Potrzebuje pan krzesła?

- Nie, komandorze.

- Proszę nam powiedzieć, jak doszło do tego, że połączył się pan z grupą porucznika Irvinga. Zgodnie z rozkazami komandora Fitzjamesa pana oddział miał polować na południe od obozu.

- Tak jest, komandorze. Rano poszliśmy na południe, zgodnie z rozkazem. Na wybrzeżu nie znaleźliśmy żadnych śladów, nic a nic, więc około dziesiątej postanowiliśmy ruszyć w głąb wyspy. Mieliśmy nadzieję, że tam natkniemy się na jakiś trop, może karibu, a może chociaż lisa polarnego.

- Ale nie znaleźliście nic takiego?

- Nie, komandorze. Znaleźliśmy za to ślady około dziesięciu ludzi noszących miękkie, eskimoskie buty, a do tego ślady sań i psów.

- I ruszyliście za nimi na południowy zachód, zamiast nadal szukać zwierzyny?

- Tak.

- Kto podjął tę decyzję, poruczniku Hodgson? Pan czy sierżant Tozer?

- Ja, panie komandorze. Byłem tam jedynym oficerem. Ja podjąłem także wszystkie inne decyzje.

- Pan także wydał rozkaz do ataku na Eskimosów?

- Tak jest, komandorze. Wypatrzyliśmy ich z grzbietu tego wzgórza, gdzie biedny John został zamordowany i wypatroszony i... wie pan, co jeszcze mu zrobili, komandorze. Wyglądało na to, że właśnie zamierzają ruszyć w drogę, na południowy zachód. Wtedy postanowiliśmy ich zaatakować.

- Jaką bronią dysponowaliście, poruczniku?

- Mieliśmy trzy karabiny, dwie strzelby i dwa muszkiety, panie komandorze. Grupa porucznika Irvinga miała tylko jeden muszkiet. Aha, i pistolet, który wyjęliśmy z kieszeni płaszcza Johna... porucznika Irvinga.

- Eskimosi zostawili broń w jego płaszczu? - spytał Crozier. Hodgson spojrzał nań zaskoczony, jakby wcześniej w ogóle nie zastanawiał się nad tym szczegółem.

- Tak.

- Czy skradzione zostały jakieś inne rzeczy należące do porucznika Irvinga?

- Tak jest, komandorze. Pan Hickey mówił nam, że widział, jak Eskimosi zabrali Johnowi... porucznikowi Irvingowi... jego lunetę i torbę, zanim zabili go na wzgórzu. Kiedy tam dotarliśmy, widziałem przez naszą lunetę, że tubylcy przeglądali zawartość jego torby i podawali sobie jego lunetę. Wciąż stali w tej dolinie, do której zapewne zeszli po tym, jak go zamordowali i... okaleczyli...

- Czy na śniegu były ślady?

- Słucham?

- Siady... Eskimosów... prowadzące od grzbietu wzgórza, na którym znaleźliście ciało porucznika, do miejsca, gdzie tubylcy przeglądali jego rzeczy.

- Eee... tak, panie komandorze. Tak mi się wydaje, to znaczy, pamiętam, że widziałem jakieś ślady. Wtedy wydawało mi się, że to tylko ślady Johna, ale pewnie musieli zostawić je też Eskimosi. Pewnie szli jeden za drugim, gęsiego. Pan Hickey mówił, że skoczyli na porucznika całą grupą, poderżnęli mu gardło i... robili inne rzeczy. Mówił też, że nie wszyscy tam poszli... na dole zostały chyba kobiety i chłopiec... w sumie było to sześciu albo siedmiu mężczyzn. Myśliwi, panie komandorze. Młodzi mężczyźni.

- A starzec? - spytał Crozier. - Podobno był wśród nich jakiś bezzębny starzec.

Hodgson skinął głową.

- Tak, miał tylko jeden ząb. Nie pamiętam, czy pan Hickey wspominał coś o nim, więc nie wiem, czy był w grupie, która zabiła Johna.

- Jak to się stało, że spotkaliście najpierw grupę pana Farra, a właściwie porucznika Irvinga, skoro szliście śladem Eskimosów na północ, poruczniku?

Hodgson skinął energicznie głową, jakby zadowolony, że otrzymał wreszcie pytanie, na które może udzielić pełnej odpowiedzi.

- Zgubiliśmy tropy tubylców mniej więcej milę na południe od miejsca, w którym zginął porucznik Irving. Szli wtedy zapewne na wschód, przez wzgórza, gdzie jest tylko lód i skały... wie pan, zamrożony żwir. Nie mogliśmy znaleźć ich śladów w żadnej z dolin, toteż szliśmy dalej na północ. Zeszliśmy ze wzgórza i znaleźliśmy grupę pana Farra... Johna... Pan Hickey przybiegł do nich minutę wcześniej i opowiedział im o wszystkim, co widział, więc pewnie trochę wystraszyliśmy Thomasa i jego ludzi... myśleli, że jesteśmy tymi Eskimosami, i że chcemy ich zaatakować.

- Czy zauważył pan coś dziwnego w zachowaniu pana Hickeya? - spytał Crozier.

- Dziwnego, panie komandorze? Crozier czekał w milczeniu.

- Cóż... - zastanawiał się Hodgson. - Trząsł się na całym ciele, jakby dostał jakiegoś porażenia. Jego głos też wydawał się nienaturalny, przypominał niemal pisk albo skrzeczenie. I... no

tak... śmiał się. A raczej chichotał. Ale podobnie pewnie zachowywałby się każdy człowiek, który widziałby to, co on.

- A co on widział, George?

- Cóż... - Hodgson spuścił na moment wzrok, by opanować emocje. - Pan Hickey powiedział dowódcy głównego masztu Farrowi, a potem także i mnie, że poszedł sprawdzić, co dzieje się z porucznikiem Irvingiem, i wyszedł na wzgórze w chwili, gdy sześciu lub siedmiu Eskimosów zabijało właśnie i okaleczało porucznika Irvinga i zabierało jego rzeczy. Pan Hickey powiedział - wciąż był wtedy bardzo wzburzony, cały się trząsł - że widział, jak wycinają genitalia Johna.

- Pan widział ciało porucznika Irvinga kilka minut później, prawda, poruczniku?

- Tak, panie komandorze. Leżało jakie dwadzieścia pięć minut marszu od miejsca, w którym grupa porucznika Farra zatrzymała się na obiad.

- Ale ujrawszy zwłoki Irvinga, nie zaczął pan się trząść na całym ciele, prawda, poruczniku? Nie trząsł się pan co najmniej przez dwadzieścia pięć minut?

- Nie, panie komandorze - odparł Hodgson, najwyraźniej nie rozumiejąc, do czego zmierzają pytania Croziera. - Ale zwymiotowałem.

- Kiedy postanowił pan zaatakować grupę Eskimosów i zabić ich wszystkich?

Hodgson nerwowo przełknął ślinę.

- Kiedy zobaczyłem przez lunetę, jak grzebią w torbie Johna i bawią się jego lunetą, panie komandorze. Gdy tylko przyjrzelśmy się im wszyscy - pan Farr, sierżant Tozer i ja - i zrozumieliśmy, że Eskimosi obrócili sanie i zamierzają ruszać w drogę.

- I wydał pan rozkaz, żeby nie brać jeńców? Hodgson ponownie spuścił wzrok.

- Nie, panie komandorze. W ogóle wtedy o tym nie myślałem. Byłem po prostu... wściekły.

Crozier milczał.

- Powiedziałem sierżantowi Tozerowi, że musimy spytać któregoś z Eskimosów, co się stało, panie komandorze - mówił dalej porucznik. - Zakładałem więc zapewne, że nie wszyscy zginą podczas ataku. Byłem wtedy naprawdę... zły.

- Kto kazał otworzyć ogień do Eskimosów, poruczniku? Pan, sierżant Tozer, pan Farr czy jeszcze ktoś inny?

Hodgson kilkakrotnie bardzo szybko zamrugał.

- Nie pamiętam, panie komandorze. Nie jestem pewien, czy w ogóle ktoś wydał taki rozkaz. Pamiętam, że podeszliśmy do nich na odległość trzydziestu jardów, może mniejszą, widziałem, jak kilku Eskimosów chwytając swoje harpuny czy włócznie, a potem nagle wszyscy zaczęli strzelać i przeładowywać i znów strzelać. Tubylcy rzucili się do ucieczki, kobiety krzyczały... ta starsza kobieta krzyczała jak... jak te upiory, o których nam pan opowiadał, komandorze... piszczała przeraźliwie, wyła... nawet kiedy trafiło ją już kilka kul, wciąż krzyczała. Potem sierżant Tozer podeszedł do niej, stanął nad nią z pistoletem Johna... i to wszystko działo się bardzo szybko, komandorze. Nigdy nie brałem udziału w czymś podobnym.

- Ja też nie - odrzekł Crozier.

Fitzjames milczał. Był bohaterem kilku dzikich kampanii przeprowadzonych przez wojska brytyjskie podczas wojen opiumowych. Teraz wpatrywał się tępo w przestrzeń, jakby duchem był zupełnie gdzie indziej.

- Jeśli popełniono jakieś błędy - przemówił ponownie Hodgson - biorę za nie pełną odpowiedzialność. Po śmierci Jo... porucznika Irvinga to ja byłem oficerem dowodzącym obydwojema grupami i odpowiadałem za wszystkich ich poczynania.

Crozier wbił weń zimne jak stal spojrzenie.

- Był pan tam jedynym oficerem, poruczniku Hodgson. Cokolwiek wydarzyło się w tamtym miejscu, był i jest pan za to odpowiedzialny. Za jakieś cztery godziny chcę wyruszyć na miejsce morderstwa i strzelaniny. Będziemy szli po waszych śladach, żeby dotrzeć na miejsce jeszcze przed wschodem słońca. Pan, poruczniku, i pan Farr będziecie jedynymi uczestnikami dzisiejszych wydarzeń, którzy pójdą z nami. Proszę się teraz przespać i być gotowym do drogi przed szóstą szklanką.

- Tak jest, komandorze.

- Proszę wezwać Hickeya.

GOODSIR

69°37'42" szerokości geograficznej północnej, 98°41' długości geograficznej zachodniej.
25 kwietnia 1848.

Z prywatnego dziennika doktora Harry'ego D.S. Goodsira:

Wtorek, 25 kwietnia 1848

Bardzo lubiłem porucznika Iruinga. Zawsze uważałem go za przyzwoitego i miłego człowieka. Nie znałem go dobrze, ale w ciągu wszystkich tych trudnych miesięcy - szczególnie podczas tygodni, które spędzałem częściowo na Erebusie, a częściowo na Terrorze - nigdy nie widziałem, by porucznik uchylał się od swoich obowiązków albo żeby odnosił się do kóregokolwiek ze swych podwładnych lub do mnie inaczej niż z uprzejmością i troską.

Wiem, że komandor Crozier jest zdruzgotany tą stratą. Kiedy dotarł około drugiej w nocy do obozu, jego twarz była tak blada, że mógłbym wówczas założyć się o wszystko, nawet o własną reputację zawodową, iż bledsza już być nie może. A jednak pobladła, gdy przekazaliśmy mu smutne wieści. Nawet jego usta zrobiły się tak białe jak pak, na który patrzymy niemal od trzech lat.

Jedniuk bez względu na to, jak bardzo lubiłem porucznika Irvinga, musiałem dopełnić swoich obowiązków, zapominając na ten czas o prywatnych sympatiach i uczuciach.

Zdjąłem resztki ubrania z ciała porucznika - ktoś zerwał guziki ze wszystkich warstw jego ubrań, od płaszcza po bieliznę, a zakrzepła krew zamieniła tkaninę w pomarszczoną, twardą jak skała masę - i poprosiłem mego pomocnika, Lloyda, by pomógł mi je umyć. Woda uzyskiwana z lodu i śniegu topionych przez pomocników pana Diggle'a na piecu opalanym węglem, który przywieźliśmy ze statków, jest tutaj bardzo cenna, ale musieliśmy uhonorować młodego Irvinga w ten właśnie sposób.

Oczywiście nie musiałem dokonywać nacięcia w kształcie odwróconej litery Y, sięgającej od bioder do mostka, gdyż zabójcy porucznika Irvinga już to zrobili.

Podczas autopsji jak zwykle sporządzałem notatki i szkice, choć palce bolały mnie z zimna. Przyczyna śmierci była jednoznaczna. Dwa cięcia zadane gładkim ostrzem przecięły szyję porucznika, który wykrwawił się na śmierć. Wątpię, czy w ciele biednego oficera został choćby pint krwi.

Przecięte zostały także tchawica i krtani porucznika, ślady ostrza widać nawet na odsłoniętej części szyjnej kręgosłupa.

Jama brzuszna ofiary została otwarta kilkonm nacięciami krótkiego ostrza, a większość jelit została wycięta i wyjęta na zewnątrz. Tym samym ostrzem rozcięto także śledzionę i nerki porucznika. Brakuje jego wątroby.

Penis porucznika został amputowany mniej więcej cal powyżej nasady. Podobnie jak wątroba nie został odnaleziony. Moszna została rozcięta wzdłuż centralnej osi, a jądra usunięte. Zabójca musiał wykonać kilka nacięć w tym samym miejscu, by przeciąć worek mosznowy, ruijadrze i osłonki pochwowe jąder. Prawdopodobnie narzędzie zbrodni było już wtedy tępe.

Choć brakuje jąder, w ciele pozostały resztki nasieniowodu, cewki moczowej i tkanki łączącej penis z jamą ciała.

Choć zwłoki porucznika Irvinga pokryte są licznymi siniakami - wiele z nich to prawdopodobnie objaw postępującego skorbutu - nie ma na nich żadnych innych poważnych ran. Co ciekawe, na jego rękach, przedramionach i dłoniach nie ma żadnych skaleczeń ani innych obrażeń, które mógłby odnieść, broniąc się przed atakiem zabójcy.

Wszystko wskazuje na to, że porucznik Irving został zaatakowany z zaskoczenia. Jego zabójca lub zabójcy poderżnęli mu gardło, nim zdążył nawet pomyśleć o obronie. Potem otworzyli jego ciało i usunęli genitalia za pomocą jakiegoś ostrego narzędzia.

Przygotowując ciało porucznika do dzisiejszego pogrzebu, zaszyłem jego szyję i gardło najlepiej, jak potrafiłem, potem zaś włożyłem do jamy brzusznej substancję nieulegającą rozkładowi (złożony sweter z torby porucznika), by jama brzuszna nie zapadała się zbyt i nie wyglądała nienaturalnie pod mundurem, w którym zostanie pochowany, i również zaszyłem ją na tyle, na ile tylko było to możliwe (brakowało sporych fragmentów tkanki).

Najpierw jednak, po chwili wahania, postanowiłem zrobić coś niezwykłego. Otworzyłem żołądek porucznika Iwinga.

Właściwie nie miałem powodu, by to robić. Przyczyna śmierci młodego porucznika była jednoznaczna. Nie musiałem też sprawdzać, czy porucznik cierpiał na jakieś przewlekłe choroby lub dolegliwości - wszyscy mamy już różne objawy szkorbutu i jesteśmy niedożywieni.

Mimo to otworzyłem żołądek porucznika. Wydawał się dziwnie rozdęty - bardziej, niż wynikałoby to z działania bakterii i początków rozkładu, szczególnie w tak niskiej temperaturze - i nie uznałbym tego badania za kompletne, nie sprawdzwszy uprzednio przyczyn tej anomalii.

Żołądek Iwinga był pełny.

Tuż przed śmiercią porucznik spożył duże ilości foczego mięsa i tłuszczu. Proces trawienia dopiero się rozpoczynał.

Eskimosi nakarmili porucznika Iwinga, nim go zamordowali.

A może porucznik wymienił swoją lunetę, torbę i kilka rzeczy osobistych na kawałek foczego mięsa i tłuszczu.

Nie wydaje się to możliwe, ponieważ mat uszczelniając widział, jak Eskimosi zabili i obrabowali porucznika.

Focze mięso i tłuszcz oraz ryby znajdowały się na eskimoskich saniach, którymi pan Farr przywiózł do obozu ciało porucznika Iwinga. Pan Farr mówił, że wcześniej zrzucili z saní różne przedmioty - kosze, garnki i inne drobiazgi przywiązane sznurami do mięsa i ryb - by lepiej ułożyć na nich biednego porucznika.

Chcieliśmy, żeby porucznikowi było wygodnie - tak właśnie mówił o tym sierżant Tozer.

Wynika z tego, że Eskimosi najpierw poczęstowali go swoim mięsem, pozwolili mu je zjeść - choć już nie strawić - potem ponownie załadowali sanie i dopiero wówczas się na niego rzucili.

Potraktować kogoś jak przyjaciela, a potem zamordować go i okaleczyć w tak bestialski sposób? Czy można uwierzyć, że istnieje rasa równie zdraдлиwa, zła i barbarzyńska?

Co mogło wywołać tę nagłą i gwałtowną zmianę w zachowaniu tubylców? Czy porucznik powiedział lub zrobił coś, co naruszało ich święte tabu? A może po prostu chcieli go obrabować? Czy przyczyną strasznego śmierci porucznika Iwinga była jego mosiężna luneta?

Istnieje jeszcze jedna możliwość, jednak tak ohydna i nieprawdopodobna, że waham się, czy w ogóle tu o niej wspominać. To nie Eskimosi zabili porucznika Iwinga.

Ale to też nie ma sensu. Mat Hickey twierdził, że WIDZIAŁ sześciu do ośmiu tubylców atakujących porucznika. WIDZIAŁ, jak zabierają jego torbę, lunetę i inne rzeczy - choć, co dość dziwne, nie zabrali pistoletu ani nie przeszukali innych kieszeni. Hickey powiedział dzisiaj komandorowi Fitzjamesowi - byłem obecny przy tej rozmowie - że OBSERWOWAŁ z daleka, jak tubylcy patroszą naszego przyjaciela.

Hickey ukrył się i obserwował wszystkie te wydarzenia.

Jest jeszcze całkiem ciemno i bardzo zimno, ale komandor Crozier wychodzi z obozu za

dwadzieścia minut, by wraz z kilkoma ludźmi udać się na miejsce zbrodni i krwawego starcia z Eskimosami. Prawdopodobnie ich ciała wciąż leżą w tamtej dolinie.

Właśnie skończyłem zszywać ciało porucznika Iwinga. Jestem już okropnie zmęczony - nie spałem od dwudziestu czterech godzin - każę więc Lloydowi ubrać porucznika i przygotować do dzisiejszego pogrzebu. Iwing przyniósł ze sobą z Terroru swój mundur. W nim właśnie zostanie pochowany.

Spytam teraz komandora Croziera, czy mogę udać się wraz z jego grupą na miejsce zbrodni.

PEGLAR

69°37'42" szerokości geograficznej północnej, 98°40'58" długości geograficznej zachodniej. 25 kwietnia 1848.

Kiedy podniosła się mgła, wszyscy zauważyli dziwny przedmiot, przypominający ogromny ludzki mózg, ułożony na zamarzniętym gruncie: szary, poskręcany, pokryty lśniąca warstwą lodu.

Harry Peglar uświadomił sobie, że patrzy na wnętrze Johna Irvinga.

- To tutaj - powiedział Thomas Farr, choć nikt już takiego potwierdzenia nie potrzebował.

Peglar był nieco zaskoczony, że komandor kazał mu wziąć udział w wyprawie na miejsce zbrodni. Dowódca przedniego masztu nie należał do żadnej z grup - Irvinga lub Hodgsona - które brały udział w wydarzeniach minionego dnia. Później jednak przyjrzał się uważnie, kto jeszcze bierze udział w tej porannej ekspedycji: porucznik Edward Little, Tom Johnson (bosmanmat Croziera i jego stary towarzysz z wyprawy na biegun południowy), dowódca głównego masztu Farr, który był tu wczoraj, doktor Goodsir, porucznik Le Vesconte z *Erebusa*, pierwszy oficer Robert Thomas oraz eskorta złożona z czterech uzbrojonych żołnierzy - Hopcrafta, Healeya, Pilkingtona i kapral Pearsona.

Harry Peglar miał nadzieję, że nie pochlebia sobie zbyt, sądząc, że z jakiegoś sobie tylko znanego powodu zabrał ze sobą jedynie ludzi, których darzył zaufaniem. Wszyscy malkontenci i nieudacznicy zostali w Obozie *Terror*; Hickey miał osobiście zająć się wykopaniem grobu dla porucznika Irvinga.

Grupa Croziera opuściła obóz długo przed świtem, kierując się śladami pozostawionymi poprzedniego dnia przez marynarzy i eskimoskie sanie. Choć od czasu do czasu ślady znikły na oblodzonych skalnych grzbietach, później bez trudu znów odnajdywali je w wypełnionych śniegiem dolinach. W ciągu nocy temperatura podniosła się o pięćdziesiąt pięć stopni, sięgając co najmniej zera, a nad ziemią pojawiła się gęsta mgła. Harry Peglar, który pływał już po większości mórz

i oceanów, widział wiele typów pogody, nie miał jednak pojęcia, skąd gęsta mgła mogła się wziąć w miejscu, gdzie w promieniu wielu setek mil nie było ani skrawka otwartej wody. Być może były to po prostu chmury, które sunęły po powierzchni lodu i zatrzymały się na tej zapomnianej przez boga wyspie, wyrastającej zaledwie kilkanaście jardów nad poziom morza. Wschód słońca objawił się we mgle jako rozproszony żółty blask, dochodzący ze wszystkich kierunków naraz.

Cała grupa przez kilka minut patrzyła w milczeniu na miejsce zbrodni. Nie było tu wiele do oglądania. Farr podniósł czapkę Johna Irvinga, którą wiatr zaniósł pod pobliski głaz. Na kamieniach czerniła się plama zamarzniętej krwi, obok leżała sterta ludzkich wnętrzności. Kilka kawałków podartego materiału.

- Poruczniku Hodgsonie, panie Farr - przemówił w końcu Crozier. - Czy widzieliście tutaj jakieś ślady Eskimosów, gdy pan Hickey przyprowadził was na to miejsce?

Hodgson wydawał się zaskoczony tym pytaniem. Farr odparł:

- Nie, tylko okaleczone ciało porucznika. Podczołgaliśmy się na skraj grzbietu i zajrzeliśmy do doliny, korzystając z lunety pana Hodgsona, a oni jeszcze tam byli. Ciągłe bili się o lunetę Johna i inne rzeczy.

- Zobaczył pan, jak Eskimosi walczyli między sobą? - warknął Crozier.

Peglar nigdy jeszcze nie widział, by jego dowódca - czy jakkolwiek inny dowódca, pod którym służył do tej pory - był aż tak zmęczony. W ciągu ostatnich dni i tygodni oczy Croziera dosłownie wpadły w oczodoły, jego głos, zawsze donośny i stanowczy, teraz brzmiał jak skrzek. Wydawało się, że oczy zaraz zaczną mu krwawić.

Peglar sam mógł sporo powiedzieć o krwawieniu. Nie mówił o tym jeszcze swemu przyjacielowi, Bridgensowi, ale ostatnio coraz mocniej dokuczał mu szkorbut. Jego wspaniałe niegdyś mięśnie zanikały. Ciało pokryte było licznymi siniakami. W ciągu ostatnich dziesięciu dni stracił dwa zęby. Za każdym razem, gdy czyścił pozostałe zęby, szczoteczka pokrywała się krwią. I za każdym razem, gdy kucał, by się załatwić, srał krwią.

- Czy widziałem, jak Eskimosi walczą między sobą? Nie, komandorze. Ale przepychali się i śmiali. A dwaj młodzi mężczyźni wyrywali sobie z rąk lunetę Johna.

Crozier skinął głową.

- Zejdźmy do doliny, panowie.

Peglar był zszokowany ogromną ilością krwi. Nigdy dotąd nie widział pola bitwy, nawet tak niewielkiej potyczki jak ta, i choć spodziewał się ujrzeć ciała zabitych, nie sądził, że na śniegu będzie aż tyle czerwonych plam.

- Ktoś tutaj był - rzekł nieoczekiwanie porucznik Hodgson.

- Jak to? - zdziwił się Crozier.

- Niektóre ciała zostały przesunięte - odparł młody porucznik, wskazując na zwłoki mężczyzny, a potem starej kobiety. - Nie ma też ich kurtek, takich futrzanych, jak kurtka lady Cisy, widzę, że zniknęły też buty, rękawice i ich broń... włócznie i harpuny. Proszę, tu nawet widać w śniegu ich ślady, ale broni już nie ma.

- Pamiątki? - wychrypiał groźnie Crozier. - Czy nasi ludzie...

- Nie, panie komandorze - odrzekł szybko i stanowczo Farr. - Zrzuciliśmy z sań trochę koszyków i naczyń, a potem zabraliśmy te sanie na górę, żeby ułożyć na nich ciało porucznika Irvinga. Szliśmy wszyscy razem aż do obozu. Nikt nie został z tyłu.

- Niektóre z tych garnków i koszyków też zniknęły - zauważył Hodgson.

- Wydaje mi się, że widać tu jakieś nowe ślady, ale nie jestem pewien, bo w nocy wiał wiatr i trochę wszystko przysypał - odezwał się bosmanmat Johnson.

Komandor przechodził od ciała do ciała, przewracał na plecy te, które leżały twarzą ku ziemi. Wydawało się, że przygląda się uważnie twarzy każdego zmarłego. Peglar zauważył, że nie wszystkie ofiary ataku to mężczyźni - był wśród nich chłopiec i stara kobieta, której otwarte usta, jakby zastygłe w niemilknącym śmiertelnym krzyku, wyglądały niczym czarna bezdenna dziura. Wszędzie było pełno krwi. Jeden z Eskimosów musiał zostać postrzelony z bardzo małej odległości; strzał oderwał mu połowę głowy.

Przyjrzawszy się uważnie twarzom zmarłych, jakby w nadziei, że znajdzie tam odpowiedź na dręczące go pytania, komandor Crozier wyprostował się powoli i rozejrzał dokoła. Doktor Goodsir, który także przyglądał się zwłokom, podszedł do komandora i szepnął mu coś do ucha. Crozier cofnął się o krok i spojrzał na Goodsira ze zdumieniem, później jednak skinął głową.

Lekarz uklęknął przy jednym ze zmarłych Eskimosów i wyjął ze swej torby kilka instrumentów chirurgicznych, między innymi nóż o bardzo długim, zakrzywionym i ząbkowanym ostrzu, przypominający piłę, którą Peglar odcinał kawałki lodu z zamrożniętych pojemników z wodą pitną na pokładzie *Terroru*.

- Doktor Goodsir musi zbadać żołądki kilku tubylców - powiedział Crozier.

Peglar był nieco zaskoczony tym oświadczeniem, przypuszczał zresztą, że nie on jeden, nikt jednak nie zadawał żadnych pytań. Bardziej wrażliwi na tego typu widoki - w tym trzech żołnierzy - odwrócili wzrok, gdy lekarz zaczął rozcinać brzuch pierwszego trupa. Dźwięk noża tnącego zamrożnięte na kamień ciało przypominał Peglarowi zgrzyt piły tnącej drewno.

- Komandorze, kto pana zdaniem mógł zabrać tę broń i ubrania?

- spytał Thomas. - Jeden z tej dwójki, która uciekła? Crozier pokiwał głową w roztargnieniu.
- Albo ktoś inny z ich wioski, choć trudno sobie wyobrazić wioskę na tej przeklętej wyspie.

Być może była to część jakiejś większej grupy, która poluje tu w pobliżu.

- Ci tutaj mieli ze sobą mnóstwo mięsa - powiedział porucznik Le Vesconte. - Wyobraźcie sobie tylko, ile mięsa musi mieć większa grupa myśliwych. Moglibyśmy nakarmić nim wszystkich naszych ludzi.

Porucznik Little uśmiechnął się pod nosem.

- Chciałbyś teraz wybrać się osobiście do ich wioski albo do większej grupy myśliwych i poprosić grzecznie o trochę mięsa albo dobrą radę? Teraz? Po tym? - Little wskazał na zamrożone ciała i krwawe plamy na śniegu.

- Myślę, że jak najszybciej musimy opuścić Obóz *Terror* i tę wyspę

- rzekł porucznik Hodgson drżącym głosem. - Eskimosi podkradną się i zabiją nas we śnie. Spójrzcie tylko, co zrobili biednemu Johnowi.

- Młody oficer umilkł nagle, wyraźnie zmieszany.

Peglar przyglądał się ukradkiem porucznikowi. Hodgson wyglądał na równie niedożywionego i zmęczonego jak pozostali, miał jednak mniej objawów szkorbutu. Peglar zastanawiał się, czy i on byłby równie rozhisteryzowany, gdyby zobaczył widok podobny do tego, jaki Hodgson ujrzał niecałe dwadzieścia cztery godziny wcześniej.

- Tom - powiedział cicho Crozier, zwracając się do swojego bosmanmata. - Przejdź się, proszę, na następne wzgórze i sprawdź, czy nie widać stamtąd czegoś interesującego. Szczególnie śladów odchodzących od tego miejsca... a jeśli tak, to ile i jakiego rodzaju.

- Tak jest, panie komandorze. - Johnson ruszył w górę zbocza, najpierw pokonał pas głębokiego śniegu, a potem wbiegł na twardy żwir.

Peglar mimowolnie obserwował poczynania Goodsira. Lekarz otworzył już szaroróżowy, rozdęty żołądek pierwszego Eskimosa, potem przeszedł do starej kobiety, a następnie do chłopca. Był to naprawdę okropny widok. Za każdym razem Goodsir - który pracował bez rękawic - małym ostrym przyrządem rozcinał żołądek trupa i oglądał dokładnie jego zawartość, jakby szukał tam jakiegoś skarbu. Skończywszy oględziny trzeciego ciała, Goodsir wytarł dłonie w śnieg, włożył rękawice i znów wyszeptał coś do ucha Crozierowi.

- Może pan powiedzieć o tym wszystkim - oświadczył głośno Crozier. - Chcę, żeby wszyscy to usłyszeli.

Mały lekarz oblizał swe popękane i zakrwawione wargi.

- Dziś rano otworzyłem żołądek porucznika Irvinga...

- Dlaczego? - krzyknął Hodgson. - To jedna z niewielu części ciała Johna, której te dzikusy nie okaleczyły! Jak pan mógł!

- Milczeć! - warknął Crozier. Peglar zauważył, że komandor na moment odzyskał swój mocny, władczy ton. Crozier skinął głową na lekarza. - Proszę kontynuować, doktorze Goodsir.

- Tuż przed śmiercią porucznik Irving zjadł tyle foczego mięsa i tłuszczu, że miał dosłownie pełny brzuch - mówił lekarz. - Żaden z nas od miesiący nie jadł takiego posiłku. Bez wątpienia mięso pochodziło z zapasów ułożonych na saniach Eskimosów. Ciekaw byłem, czy Eskimosi jedli razem z nim; czy badanie zawartości ich żołądków wykaże, że tuż przed śmiercią także spożywali focze mięso. Ta trójka, którą właśnie zbadałem, bez wątpienia to robiła.

- Łamali się z nim chlebem... jedli z nim mięso... i zabili go, kiedy odchodził? - powiedział głośno pierwszy oficer Thomas, najwyraźniej zdumiony tą informacją.

Peglar także był skonfundowany. To nie miało sensu... chyba że ci ludzie byli równie zmienni

w nastrojach i równie zdradliwi jak niektóre plemiona, które poznał na morzach południowych podczas pięcioletniej podróży na pokładzie *Beagle*. Żałował, że nie ma z nimi Johna Bridgensa, który z pewnością miałby coś ciekawego do powiedzenia na ten temat.

- Panowie - przemówił Crozier, najwyraźniej zwracając się również do żołnierzy. - Chciałem, żebyście usłyszeli to wszystko, ponieważ niewykluczone, że w przyszłości będziecie musieli wykorzystać tę wiedzę, nie chcę jednak, by na razie wiedział o tym ktokolwiek inny. Kiedyś być może uznam, że wszyscy powinni poznać te fakty, a może taka chwila nie nadejdzie nigdy. Jeśli którykolwiek z was powie o tym komukolwiek albo nawet wypapla coś przez sen, przysięgam na Boga, że dowiem się, kto to był, i zostawię go na łodzi z pustymi rękami. Zrozumiano?

Wszyscy pokiwali posępnie głowami.

Wtedy powrócił ze wzgórza zziębnięty Thomas Johnson. Zatrzymał się i spojrzał na milczących mężczyzn, jakby chciał zapytać ich, co się stało.

- Zauważył pan coś ciekawego, panie Johnson? - spytał Crozier.

- Siady, panie komandorze - odrzekł bosmanmat. - Ale stare. Prowadzące na południowy zachód. Ci dwoje, którzy uciekli wczoraj - i ci, co przyszli tu w nocy po kurtki, broń i całą resztę - musieli biec po tych właśnie śladach. Nie znalazłem niczego nowego.

- Dziękuję, Tom. - Crozier skinął głową.

Mgła znów opadła niżej. Ze wschodu dobiegły ich dźwięki przypominające huk armat, nikt jednak nie zwrócił na nie uwagi; w ciągu minionych dwóch lat wielokrotnie słyszeli podobne odgłosy. Nadciągała burza. W kwietniu. Przy temperaturze sięgającej co najmniej dwudziestu stopni.

- Panowie - przemówił ponownie Crozier. - Czeka nas dziś jeszcze pogrzeb naszego drogiego towarzysza. Wracamy.

Podczas długiej drogi powrotnej do obozu Harry Peglar rozmyślał o wszystkim, co widział tego ranka - o śmierci oficera, którego lubił, o ciałach leżących na okrwawionym śniegu, o brakujących kurtkach, broni i narzędziach, o makabrycznym badaniu doktora Goodsir i o dziwnych słowach komandora Croziera. „Być może w przyszłości będziecie musieli wykorzystać tę wiedzę”, powiedział, jakby przygotowywał ich do udziału w jakiejś rozprawie sądowej.

Peglar nie mógł się już doczekać, kiedy zapisze to wszystko w swoim dzienniku. Miał też nadzieję, że po pogrzebie, nim wszyscy powrócą do swoich namiotów i zajęć, uda mu się porozmawiać z Bridgenssem. Chciał usłyszeć, co jego kochany, mądry Bridgens sądzi o tym wszystkim.

CROZIER

69°37'42" szerokości geograficznej północnej, 98°41' długości geograficznej zachodniej.

25 kwietnia 1848.

- Gdzież jest, o śmierci, twoje zwycięstwo? Gdzież jest, o śmierci, twój oścień?

Porucznik Irving był oficerem Croziera, ale komandor Fitzjames miał lepszy głos - seplenienie charakterystyczne dla wyższych sfer praktycznie zniknęło - i lepiej sobie radził z Pismem Świętym, Crozier był mu więc wdzięczny, że podjął się prowadzenia ceremonii pogrzebowej.

Na pogrzebie pojawili się wszyscy marynarze obecni w obozie, prócz tych, którzy stali właśnie na wachcie, ciężko chorych lub tych, co musieli wykonywać ważne zadania, na przykład pan Lloyd opiekujący się chorymi lub pan Diggle, pan Wall i ich pomocnicy, przyrządzający właśnie mięso i ryby znalezione na saniach Eskimosów. Wokół grobu, oddalonego od obozu o jakieś sto jardów, stało co najmniej osiemdziesięciu ludzi. Ciemne płaszcze i snująca się nad ziemią mgła sprawiały, że wyglądali jak stado upiórów.

- Ościeniem zaś śmierci jest grzech, a siłą grzechu Prawo. Bogu niech będą dzięki za to, że dał nam odnieść zwycięstwo przez Pana naszego Jezusa Chrystusa. Przeto, bracia moi najmilsi, bądźcie wytrwali i niezachwiani, zajęci zawsze ofiarnie dziełem Pańskim, pamiętając, że trud wasz nie pozostaje daremny w Panu.

Ciało Irvinga mieli zanieść do grobu pozostali przy życiu oficerowie i dwaj maci. W całym Obozie *Terror* nie było dość drewna, by zrobić prawdziwą trumnę, ale pan Honey, cieśla, znalazł kilka desek, z których zbił paletę wielkości drzwi. Ciało Irvinga, zaszyte w worek z płótna żaglowego, leżało na tej właśnie palecie, którą żałobnicy mieli za chwilę spuścić do grobu. Nie było to trudne zadanie - Hickey i jego ludzie zdołali wykopać dół głębokości zaledwie trzech stóp, poniżej tego poziomu zamrożona ziemia była twarda jak skała. Marynarze zebrali stertę dużych kamieni, którymi zamierzali przykryć ciało, by potem okryć je żeglarskim płótnem, warstwą żużlu i znów stertą kamieni. Nikt nie łudził się, że powstrzyma to białe niedźwiedzie i inne drapieżniki, które pojawiają się na wyspie wraz z nadejściem lata, lecz trud włożony w zbieranie kamieni był oznaką sympatii, jaką większość marynarzy darzyła Johna Irvinga.

Większość marynarzy.

Crozier zerknął na Hickeya, stojącego obok Magnusa Mansona i stewarda z *Erebusa*, Richarda Aylmore'a, który wraz z nimi został wychłostany po tragicznym karnawale. Wokół tej trójki tłoczyła się grupa innych malkontentów - kilku marynarzy z *Terroru*, którzy w styczniu chcieli zabić lady Ciszę - jednak ich twarze, podobnie jak twarze wszystkich żałobników, ukryte były pod grubą warstwą czapek i szalików.

Nocne przesłuchanie Corneliusa Hickeya w namiocie komandora było krótkie, lecz niezwykle trudne dla obu stron.

- Dzień dobry, panie komandorze. Pewnie chciałby pan, żebym powtórzył panu to samo, co powiedziałem komandorowi Fitzjamesowi...

- Proszę zdjąć płaszcz, panie Hickey.

- Słucham?

- Słyszał pan, co powiedziałem.

- Tak, ale jeśli chce pan się dowiedzieć, jak te dzikusy zabiły biednego pana Irvinga...

- Porucznika Irvinga, macie. Słyszałem już pańską opowieść z ust komandora Fitzjamesa.

Chciałby pan coś do niej dodać, coś w niej zmienić?

- Ach... nie, panie komandorze.

- Proszę zdjąć wierzchnie okrycie. Rękawice też.

- Tak jest. O to chodziło, panie komandorze? Mam je położyć tutaj...

- Proszę je rzucić na ziemię. Marynarkę też.

- Marynarkę też? Tu jest cholernie zimno... tak jest, komandorze.

- Panie Hickey, dlaczego chciał pan na własną rękę szukać porucznika Irvinga, choć nie było go zaledwie od godziny? Nikt inny się o niego nie martwił.

- Och, wcale nie chciałem go szukać, komandorze. Wydaje mi się, że to pan Farr mnie wysłał...

- Pan Farr powiedział, że kilkakrotnie pan pytał, czy porucznik Irving się nie spóźnia, i zaproponował pan, że pójdzie go szukać, podczas gdy pozostali odpoczywali po posiłku. Dlaczego pan to zrobił, panie Hickey?

- Skoro pan Farr tak mówi... Cóż, pewnie wszyscy się o niego trochę martwiliśmy, komandorze. To znaczy o porucznika.

- Dlaczego?

- Mogę się już ubrać, panie komandorze? Tu jest naprawdę cholernie zimno...

- Nie. Proszę zdjąć kamizelkę i swetry. Dlaczego martwiliście się o porucznika Irvinga?

- Jeśli martwi się pan... to znaczy, jeśli myśli pan, że zostałem dzisiaj ranny, to nie ma powodu do obaw. Ci tubylcy mnie nie widzieli. Nie jestem ranny, zapewniam pana.

- Proszę zdjąć sweter. Dlaczego martwiliście się o porucznika Irvinga?

- No cóż, chłopaki i ja... sam pan wie, komandorze.

- Nie.

- No, martwiliśmy się po prostu, że jeden z nas zniknął. Było mi też zimno. Usiedliśmy, żeby coś zjeść, i wtedy zmarłem. Pomyślałem, że jeśli pójdę szukać porucznika, trochę się rozgrzeję.

- Proszę pokazać mi ręce.

- Słucham, komandorze?

- Pańskie ręce.

- Tak jest, komandorze. Proszę wybaczyć, że się trzęsę, ale przez cały dzień było mi zimno, a teraz, kiedy jestem rozebrany...

- Proszę odwrócić dłonie. - Tak jest.

- Czy ten brud pod pańskimi paznokciami to krew?

- Być może, panie komandorze. Wie pan, jak to jest.

- Nie. Proszę mi powiedzieć.

- No... mamy mało wody, więc nie kąpaliśmy się już od miesięcy. A przez ten szkorbut i dyzenterię człowiek trochę krwawi, kiedy robi... wie pan... co konieczne...

- Chce pan powiedzieć, że podoficer Królewskiej Marynarki Wojennej z mojego statku podciera sobie tyłek palcami?

- Nie, panie komandorze... to znaczy... mogę się już ubrać? Widzi pan, że nie jestem ranny ani nic takiego. W tym cholernym zimnie...

- Proszę też zdjąć koszulę i bieliznę.

- Mówi pan poważnie, panie komandorze?

- Nie będę się powtarzał, panie Hickey. Nie mamy tu aresztu, więc każdy, kto zasłuży na karę, zostanie na jakiś czas przykuty do welbota.

- Proszę bardzo, panie komandorze. To tylko moje ciało, ledwie żywe z zimna. Gdyby moja

stara mnie teraz widziała...

- W pańskich dokumentach nie ma mowy o tym, że jest pan żonaty, panie Hickey.

- Och, moja Luiza nie żyje już od siedmiu lat, panie komandorze. Zmarła na ospę. Panie świeć nad jej duszą.

- Dlaczego mówił pan innym marynarzom, że kiedy przyjdzie czas zabijać oficerów, porucznik Irving powinien być pierwszy?

- Nigdy czegoś takiego nie powiedziałem, panie komandorze.

- Podobno wygłaszał pan tego typu opinie od czasu karnawału, a nawet wcześniej. Dlaczego uwziął się pan na porucznika Irvinga? Co ten oficer panu zrobił?

- Nic, panie komandorze. I nigdy nie mówiłem takich rzeczy. Proszę mi pokazać człowieka, który panu to powiedział, a splunę mu w twarz.

- Co panu zrobił porucznik Irving, panie Hickey? Dlaczego mówił pan marynarzom z *Erebusai Terroru*, że Irving to kurwiarz i kłamca?

- Przysięgam, komandorze... przepraszam, że tak szczękam zębami, ale naprawdę jest zimno... Przysięgam, że nie mówiłem nic podobnego. Wielu z nas traktowało biednego porucznika Irvinga jak... syna, panie komandorze. Jak syna. Poszedłem za nim tylko dlatego, że się o niego martwiłem. I dobrze, że to zrobiłem, bo inaczej nigdy byśmy nie złapali tych sukinsynów...

- Proszę się ubrać, panie Hickey.

- Tak jest, komandorze.

- Nie. Na zewnątrz. Proszę zejść mi z oczu.

- Człowiek zrodzony z niewiasty ma krótkie i bolesne życie - recytował Fitzjames. - Wyrasta i więdnie jak kwiat, przemija jak cień chwilowy.

Hodgson i inni żałobnicy ostrożnie opuścili ciało Irvinga do płytkiego grobu. Crozier wiedział, że nim jeszcze stary Murray zaszył zwłoki w płótno, Hodgson i inni przyjaciele młodego porucznika zachodzili do namiotu pełniącego funkcję kostnicy, by złożyć Irvingowi ostatni hołd. Goście zostawili obok jego ciała kilka oznak swej sympatii i oddania - odzyskaną lunetę, którą Irving tak sobie cenił, złoty medal z jego nazwiskiem, który zdobył podczas zawodów na pokładzie okrętu szkoleniowego HMS *Excellent*, i co najmniej jeden banknot pięciofuntowy, jakby ktoś zwrócił mu w końcu jakiś stary dług. Wrodzony optymizm lub młodzieńcza naiwność kazała Irvingowi zabrać ze sobą mundur galowy, w którym miał teraz zostać pochowany. Crozier zastanawiał się mimowolnie, czy pozłacane guziki munduru, ozdobione wizerunkiem kotwicy otoczonej koroną, wciąż będą leżeć w grobie, kiedy z ciała chłopca nie zostanie już nic prócz białych kości i złotego medalu z jego nazwiskiem.

- Pośrodku życia w śmierci jesteśmy - mówił z pamięci Fitzjames zmęczonym, lecz donośnym głosem. - Jakiegoż wspomóżyciela mamy szukać poza Tobą, Panie, który sprawiedliwie gniewasz się za nasze grzechy?

Komandor Crozier wiedział, że w całunie z żaglowego płótna zaszyty jest jeszcze jeden przedmiot, o którym wiedział tylko on. Przedmiot ów leżał pod głową zmarłego porucznika niczym poduszka.

Była to kolorowa jedwabna chusteczka. Crozier zaskoczył ofiarodawcę, wchodząc do namiotu po odejściu Goodsira, Lloyda, Hodgsona i innych, tuż przed tym, jak stary Murray, żaglomistrz, miał zaszyć płótno, na którym ułożono już ciało Irvinga.

Była tam lady Cisza. Pochylona nad ciałem, wkładała coś pod jego głowę.

W pierwszym odruchu Crozier chciał sięgnąć po pistolet ukryty w kieszeni płaszcza, zastygł

jednak w bezruchu, ujrawszy twarz Eskimoski. Jej niezwykle, ciemne oczy wolne były od łez, lśniły jednak jakimś uczuciem, którego Crozier sam nie potrafił nazwać. Smutkiem? Nie, raczej nie. To uczucie związane było z jego nadejściem, jakby Cisza właśnie tego się spodziewała. Komandor z kolei poczuł dziwny zamęt w myślach, poruszenie, którego tak często doświadczał w obecności Memo Moiry.

Jednak dziewczyna najwyraźniej wkładała chustkę pod głowę zmarłego Irvinga, by oddać mu w ten sposób hołd. Crozier wiedział, że chusteczka należała do młodego porucznika - widział ją u niego kilkakrotnie.

Czy eskimoska wiedźma ją ukradła? Zabrała z jego rzeczy poprzedniego dnia?

Tydzień wcześniej Cisza poszła do Obozu *Terror* za grupą Irvinga, a potem po prostu zniknęła, by nie pokazać się już więcej. Niemal wszyscy z wyjątkiem Croziera, który wciąż miał nadzieję, że Cisza pokaże im, jak zdobywać pożywienie, uznali to za dobry znak. Jednak przez cały ten okropny, długi ranek część umysłu Croziera zastanawiała się, czy Cisza była odpowiedzialna za śmierć jego oficera na mroźnej, obcej ziemi.

Czy prowadziła tutaj swoich towarzyszy, by napadli na obóz, a po drodze natknęła się na Irvinga, którego najpierw nakarmiła do syta, a potem zabiła z zimną krwią, by nie powiedział innym o tym spotkaniu? Czy to Cisza była tą młodą kobietą, która uciekła przed żołnierzami wraz z mężczyzną z opaską na głowie? Po powrocie do wioski w zeszłym tygodniu mogła zmienić kurtkę, a kto by tam odróżnił jedną eskimoską dziewczkę od drugiej.

Crozier zastanawiał się długo nad tym wszystkim, lecz wtedy, gdy na moment zatrzymał się czas - zarówno on, jak i młoda dziewczyna zastygli na chwilę w bezruchu - komandor spojrzał w twarz Eskimoski i zrozumiał, czy to dzięki instynktowi, czy darowi, o którym mówiła Memo Moira, że lady Cisza oplakuje w głębi serca Johna Irvinga i że przyszła, by oddać prezent, który kiedyś od niego otrzymała.

Crozier domyślał się, że Irving dał jej chusteczkę podczas lutowej wizyty w śnieżnym domku, z której zdał mu potem relację... jednak relację bardzo ogólnikową. Teraz Crozier zastanawiał się, czy ci dwoje byli kochankami.

Potem lady Cisza zniknęła. Wysunęła się bezszelestnie z namiotu i rozpułyła w powietrzu. Crozier wypytywał potem strażników, żaden jednak nie zauważył nic niezwykłego.

Po wyjściu Cisy Crozier podszedł do ciała Irvinga, spojrzał na białą twarz, kontrastującą z barwną chusteczką, na której spoczywała głowa porucznika, wreszcie okrył go płótnem i zawołał starego Murraya.

- Panie Boże przenajświętszy, Panie wszechmogący, Zbawco święty i miłosierny - mówił Fitzjames - wybaw nas od śmierci wiecznej. Ty, Panie, znasz sekrety serc naszych; nie zamykaj, Panie, uszu na modlitwy nasze, lecz wybaw nas Panie. Panie Boże wszechmogący, Zbawco przenajświętszy i miłosierny, Sędzio przedwieczny i sprawiedliwy, nie dozwól, byśmy w godzinie śmierci oddalili się od ciebie. Fitzjames umilkł i odsunął się od grobu.

Crozier, pogrążony w myślach, stał w milczeniu przez długą chwilę, nim uświadomił sobie, że nadeszła jego kolej. Stał u wezglowia grobu.

- Składamy ciało naszego przyjaciela i oficera Johna Irvinga w grobie - przemówił Crozier zachrypniętym głosem, recytując słowa, które w ostatnich miesiącach aż nazbyt wyraźnie wryły się w jego pamięć - by uległo rozkładowi, my zaś pozostajemy w nadziei, że zostanie wskrzeszone wraz z innym, gdy morze i ziemia oddadzą swych zmarłych. - Crozier pochylił się i wrzucił do grobu garść zamrożonej ziemi. Drobinę żwiru zsunęły się z cichym zgrzytem po twardym, zamrożonym płótnie okrywającym ciało Irvinga. - Życie zapanuje wtedy nad śmiercią, przez Pana naszego Jezusa

Chrystusa, który nadejdzie powtórnie, by przemienić plugawe ciała nasze na kształt ciała swego, On bowiem panuje nad wszystkimi rzeczami i mocen jest dokonać wszystkiego.

Uroczystość dobiegła końca. Marynarze wyciągnęli liny, na których leżała paleta ze zwłokami Irvinga.

Ludzie naciągnęli mocniej czapki, otulili się szczelniej płaszczami i ruszyli w stronę obozu na popołudniowy posiłek.

Hodgson, Little, Thomas, Des Voeux, Le Vesconte, Blanky, Peglar i kilku innych zostali dłużej przy grobie, odprawiawszy marynarzy, którzy mieli pogrzebać ciało Irvinga. Oficerowie sami zaczęli układać pierwszą warstwę kamieni i żwiru. Chcieli, by ich towarzysz został pogrzebany najlepiej, jak można to było zrobić w tych okolicznościach.

Kiedy skończyli, Crozier i Fitzjames oddalili się od pozostałych. Mieli zjeść kolację znacznie później - na razie planowali przejść do oddalonego o dwie mile Victory Point i kopca Jamesa Rossa, gdzie prawie rok wcześniej Graham Gore zostawił mosiężny cylinder z optymistyczną wiadomością.

Crozier zamierzał uzupełnić tę wiadomość informacjami o tym, co działo się z ekspedycją sir Johna Franklina od tamtego czasu oraz o ich planach na najbliższą przyszłość.

Maszerując ze znużeniem przez gęstą mgłę i wsłuchując się w głos dzwonu okrętowego wzywającego marynarzy na obiad - oczywiście zabrali z Terrorui *Erebusa* dzwony i przeciągnęli je do obozu wraz z welbotami - Francis Crozier modlił się do Boga, by zdołał wymyślić jakiś plan, nim dotrą wraz z Fitzjamesem do kopca. Obawiał się, że jeśli tego nie uczyni, po prostu się rozpłacze.

PEGLAR

69°37'42" szerokości geograficznej północnej, 98°41' długości geograficznej zachodniej.
25 kwietnia 1848.

Zapasy foczego mięsa i ryb z eskimoskich sani były zbyt skromne, by mogła się nimi najeść setka wygłodniałych marynarzy - kilku ciężko chorych w ogóle nie przyjmowało pokarmów stałych - i nawet pan Diggle oraz pan Wall, którzy już od miesięcy wielokrotnie dokonywali cudu rozmnożenia chleba i ryb, tym razem nie zdołali tej sztuki powtórzyć (tym bardziej że niektóre kawałki mięsa były wyjątkowo śmierdzące), każdy jednak otrzymał chociaż kawałek ryby lub foczego mięsa wraz ze zwyczajową porcją jedzenia z puszek.

Harry Peglar zjadł swoją porcję ze smakiem, choć podczas jedzenia trząśł się z zimna i wiedział, że wywoła ono tylko rozwolnienie, które dręczyło go już od tygodni.

Po posiłku Peglar i steward Bridgens spacerowali przez chwilę razem, trzymając w dłoniach kubki z letnią herbatą. Mgła tłumiała ich głosy, choć jednocześnie wydawało się, że wzmacnia dźwięki dochodzące z większej odległości. Słyszeli kłótnie marynarzy grających w karty w którymś z namiotów po drugiej stronie obozu. Z północnego zachodu - gdzie przed obiadem wybrali się obaj komandorzy - dobiegały dudniące grzmoty. Słyszeli ten dźwięk przez cały dzień, ale nad obozem nie pojawiła się dotąd burza.

Peglar i Bridgens zatrzymali się przy łódkach i saniach ułożonych na brzegu, wzdłuż zamarzniętej linii morza.

- Powiedz mi, Harry - odezwał się Bridgens - które z tych łodzi zabierzemy ze sobą, jeśli znów będziemy musieli wyjść na lód?

Peglar pociągnął łyk herbaty.

- Nie jestem pewien, ale myślę, że komandor Crozier zabierze tylko dziesięć. Nie mamy dość ludzi, żeby ciągnąć wszystkie.

- Więc po co tachaliśmy je tutaj?

- Komandor Crozier mówił mi, że być może zostaniemy w Obozie *Terror* jeszcze przez dwa lub trzy miesiące, aż zacznie pękać lód. Wtedy przydałyby nam się dodatkowe łodzie; moglibyśmy zabrać do nich więcej jedzenia, namiotów i sprzętu. Jeśli zabierzemy tylko dziesięć, będziemy musieli zostawić tutaj sporo zapasów.

- Ale ty myślisz, że tak właśnie zrobimy; wyruszymy na pohidnie jedynie z dziesięcioma łodziami, i to szybko, zgadza się, Harry?

- Mam nadzieję, że tak właśnie będzie. - Peglar skinął głową. Opowiedział Bridgensowi o wszystkim, co widział tego ranka, o tym, że zgodnie z sugestiami doktora Goodsira zarówno Irving, jak i Eskimosi jedli tuż przed śmiercią focze mięso, oraz o dziwnym zachowaniu komandora, który potraktował ich wszystkich tak, jakby w przyszłości mieli uczestniczyć w procesie sądowym. Dodał też, że komandor prosił ich wszystkich o zachowanie tych informacji w tajemnicy.

Bridgens wysłuchiwał cierpliwie jego relacji i pokiwał głową.

- Moim zdaniem - zaczął cicho - komandor Crozier nie jest przekonany, że to Eskimosi zabili porucznika Irvinga.

- Co takiego? A kto inny mógłby... - Peglar umilkł raptownie. Nagle ogarnęła go fala mdłości, musiał oprzeć się o welbot, by nie upaść. Do tej pory nawet nie przyszło mu do głowy, by ktoś inny niż eskimoscy barbarzyńcy mógł w tak bestialski sposób zamordować Johna Irvinga. Przypomniawszy sobie stertę zamarzniętych wnętrzności na szczycie wzgórza.

- Richard Aylmore mówi, że to oficerowie są wszystkiemu winni - mówił półszeptem Bridgens. - Powtarza ciągle, że powinniśmy zabić oficerów i rozdzielić między siebie ich racje żywnościowe. Aylmore w naszej grupie i mat uszczelniać w waszej mówią, że powinniśmy jak najszybciej wrócić na *Terror*.

- Wrócić na *Terror*... - powtórzył Peglar. Choć jego umysł otumaniony był zimnem, zmęczeniem i chorobą, wiedział dobrze, że to nie ma sensu. Okręt uwięziony był w lodzie i miał tam pozostać przez następne miesiące, nawet gdyby tego roku lato rzeczywiście zawitało w te regiony. - Dlaczego dowiaduję się o tym dopiero od ciebie, John? Nikt nie mówił czegoś takiego w mojej obecności.

Bridgens uśmiechnął się.

- Boją się, że nie zachowasz tego tylko dla siebie. Nie ufają ci, Harry.

- Ale tobie ufają?

- Oczywiście, że nie. Ale ja wcześniej czy później słyszę wszystko. Stewardzi są niewidzialni, nikt nie zwraca na nich uwagi... chyba że można zabrać ich porcję mięsa. No właśnie, dzisiejsze mięso było wyborne, sam przyznasz. Być może to ostatnie świeże mięso, jakie kiedykolwiek jedliśmy.

Peglar był jednak zbyt wzburzony, by gawędzić o minionych i przyszłych potrawach.

- Co możemy zrobić, żeby ostrzec Fitzjamesa i Croziera? - spytał.

- Och, oni dobrze wiedzą, co Hickey i Aylmore wygadują za ich plecami - odparł nonszalancko stary steward. - Nasi komandorowie mają własne źródła informacji.

Peglar pokręcił głową. Wciąż nie mógł uwierzyć, że wśród jego towarzyszy są ludzie na tyle nikczemni i głupi, by nawet w tak trudnej sytuacji zwracać się przeciwko innym.

- Powiedz mi, Harry - rzekł Bridgens, poklepując burtę welbota - które z tych łodzi zabierzemy ze sobą, a które zostawimy tutaj?

- Na pewno weźmiemy cztery welboty - odparł Peglar z roztargnieniem, wciąż wracając myślami do porannych wydarzeń i do tego, co powiedział mu Bridgens. - Szalupy są równie długie jak welboty, ale cholernie ciężkie. Na miejscu komandora zostawiłbym je tutaj i zamiast nich zabrał kutry. Mają tylko dwadzieścia pięć stóp długości, ale są znacznie lżejsze od welbotów. Z drugiej strony może się okazać, że mają za duże zanurzenie, by dało się nimi płynąć po Rzece Backa. Mniejsze łódki są za małe na żeglugę po otwartym morzu i zbyt delikatne na podróż po rzece.

- Sądziś więc, że zabierzemy cztery welboty, cztery kutry i dwie mniejsze szalupy, pinki, tak? - spytał Bridgens.

- Tak - powiedział Peglar, uśmiechając się mimowolnie. Pomimo dziesiątek lat spędzonych na morzu i tysięcy przeczytanych książek John Bridgens wciąż miał niewielkie pojęcie o żeglarstwie.

- Myślę, że tak właśnie będzie.

- No dobrze. - Bridgens skinął głową. - Zakładając nawet, że większość chorych wróci do zdrowia, każdą łódź będzie ciągnęło co najwyżej dziesięciu ludzi. Zdołamy to zrobić, Harry?

Peglar ponownie pokręcił głową.

- To nie będzie wyglądało tak, jak podróż z *Terroru*, John.

- Bogu dzięki.

- Nie, źle mnie zrozumiałeś. Wszystko wskazuje na to, że będziemy ciągnęli te łodzie po lądzie, a nie po zamrożonym morzu. To będzie znacznie trudniejsze niż podróż z *Terroru*, kiedy ciągnęliśmy co najwyżej dwie łodzie naraz i mogliśmy w każdej chwili korzystać z pomocy tych, którzy akurat mieli wolne ręce. Poza tym teraz łodzie będą wyładowane zapasami i sprzętem. Podejrzewam, że w jednym zaprzęgu będzie szło co najmniej dwudziestu ludzi, a to oznacza

przeciąganie łodzi na zmianę.

- Na zmianę? Dobry Boże, przecież minie cała wieczność, nim dociągniemy je w ten sposób do rzeki. A im będziemy słabsi i bardziej chorzy, tym wolniej będzie nam to szło.

- Zgadza się. - Peglar pokiwał głową.

- Czy w ogóle istnieje jakaś szansa, żebyśmy dociągnęli je do ujścia Rzeki Backa, a potem dopłynęli do Wielkiego Jeziora Niewolniczego?

- Wątpię - odparł Peglar. - Być może jeśli kilku z nas pożyje dość długo, by zaciągnąć łodzie do rzeki, i jeśli te łodzie będą dobrze przystosowane do żeglugi po rzece i... ale nie, wątpię, czy taka szansa rzeczywiście istnieje.

- To dlaczego komandorowie Crozier i Fitzjames skazują nas na takie męczarnie, skoro i tak nie mamy żadnych szans na ocalenie? - spytał Bridgens. W jego głosie nie było żalu, gniewu czy irytacji, a tylko czysta ciekawość. Peglar słyszał, jak John zadawał podobnym tonem tysiące pytań dotyczących astronomii, przyrody, geologii, botaniki, filozofii i wielu innych tematów. Zwykle z góry znał odpowiedź, a chciał tylko sprawdzić w ten sposób stan wiedzy swego ucznia. Tym razem jednak John Bridgens naprawdę nie wiedział, jak brzmi odpowiedź na jego pytanie.

- A jaka jest alternatywa? - odrzekł Peglar.

- Moglibyśmy zostać tutaj, w Obozie *Terror* - powiedział Bridgens.

- Albo nawet wrócić na statek, kiedy... będzie nas już mniej.

- Po co? Żeby czekać na śmierć?

- Tak, czekać w spokoju i wygodzie, Harry.

- Czekać w wygodzie? - Peglar uświadomił sobie, że niemal krzyczy.

- A kto, do cholery, chce czekać w wygodzie na śmierć? Jeśli uda nam się przeciągnąć łodzie do brzegu, chociaż jedną łódź, niektórzy z nas będą mieli jakieś szanse na przeżycie. Może na wschód od Boothii będzie otwarta woda. Może uda nam się popłynąć w górę rzeki. Chociaż niektórym z nas. A ci, którym się to uda, będą mogli przynajmniej powiedzieć naszym rodzinom i naszym ukochanym, co się z nami stało i gdzie zostaliśmy pogrzebani.

- Ty jesteś moją jedyną rodziną, Harry - powiedział cicho Bridgens.

- Jedynym człowiekiem na świecie, którego obchodzi to, czy jeszcze żyję. Ty będziesz wiedział, co się ze mną stało i gdzie spoczęły moje kości.

Peglar, wciąż rozgniewany, czuł, jak serce wali mu w piersiach.

- To ty mnie przeżyjesz, John.

- Och, w moim wieku, przy moich skłonnościach do różnych chorób...

- Przeżyjesz mnie, John. - Peglar był zaskoczony mocą swych słów. Bridgens zamrugał gwałtownie i umilkł. Peglar wziął go za rękę. - Obiecuję, że zrobisz dla mnie jedną rzecz, John.

- Oczywiście. - W głosie Bridgensa nie było tym razem ani śladu typowej dla niego ironii.

- Chodzi o mój dziennik... to nic wielkiego, ostatnio z trudem mi się nawet myśli, nie mówiąc już o pisaniu... ten skorbut mnie wykańcza, John, ogłupia mnie... ale prowadziłem ten dziennik przez ostatnie trzy lata. Są w nim moje myśli, spostrzeżenia. Wszystko, co tutaj przeżyliśmy. Gdybyś mógł zabrać go ze sobą... kiedy cię opuszczę... po prostu zabrać do Anglii... Byłbym ci wdzięczny.

Bridgens skinął tylko głową.

- John - mówił dalej Peglar. - Myślę, że komandor Crozier da wkrótce rozkaz do wymarszu. Wie, że z każdym dniem robimy się coraz słabsi. Niedługo w ogóle nie damy rady ciągnąć sań. Zaczniemy dziesiątkami umierać już tutaj, w obozie, jeśli wcześniej nie zabije nas ten potwór z lodu.

Bridgens ponownie skinął głową. Patrzył na swoje okryte rękawicami dłonie.

- Nie jesteśmy w tych samych grupach, nie będziemy płynąć w tej samej łodzi, być może

nawet rozstaniemy się na dobre za jakiś czas, jeśli komandorowie postanowią rozdzielić nas na mniejsze zespoły - kontynuował Peglar. - Chcę pożegnać się z tobą dzisiaj i nie musieć robić tego więcej.

Bridgens raz jeszcze skinął głową, wpatrując się tym razem w swoje buty. Mgła otoczyła łodzie i ich nieruchome postacie niczym mroźny oddech jakiegoś pogańskiego boga.

Peglar uściskał starego stewarda. Bridgens stał przez chwilę w bezruchu, a potem odwzajemnił uścisk.

Dowódca przedniego masztu odwrócił się i ruszył powoli w stronę Obozu *Terror* i swego małego okrągłego namiotu, gdzie w cienkich i zimnych śpiworach tłoczyło się już kilku brudnych, zmarzniętych ludzi.

Kiedy po chwili przystanął i obejrzał się za siebie, nie zobaczył już Bridgensa ani łodzi, jakby cały świat skrył się za zasłoną gęstej, nieprzeniknionej mgły.

CROZIER

69°37'42" szerokości geograficznej północnej, 98° 4 V długości geograficznej zachodniej.
25 kwietnia 1848.

Zasnął podczas marszu.

Crozier szedł obok Fitzjamesa i rozmawiał z nim o tym, czy powinni pozwolić ludziom spędzić jeszcze kilka dni w Obozie *Terror*, kiedy nagle Fitzjames potrząsnął nim za ramię i obudził go.

- Jesteśmy na miejscu, Francis. To ten wielki biały głaz. Victory Point i kopiec muszą być gdzieś po lewej. Naprawdę zasnąłeś, idąc?

- Nie, oczywiście, że nie - wychrypiał Crozier.

- Więc co miałeś na myśli, mówiąc „Uważaj na dwa szkielety w łodzi”? Albo „uważaj na dwie dziewczynki i stukanie”? Rozmawialiśmy o tym, czy doktor Goodsir powinien zostać w Obozie *Terror* z ciężko chorymi, podczas gdy silniejsi marynarze wyruszyliby z łodziami do Wielkiego Jeziora Niewolniczego.

- Tylko głośno myślałem - mruknął Crozier.

- Kim jest Memo Moira? - spytał Fitzjames. - i dlaczego ma cię nie posyłać do komunii?

Crozier ściągnął czapkę i szalik, pozwalając, by zimne powietrze ocuciło go i przywróciło trzeźwość umysłu.

- Gdzie jest ten kopiec, do diabła? - warknął.

- Nie wiem - odparł Fitzjames. - Powinien być tutaj. Trzeba przejść wzdłuż wybrzeża do białego głazu, tego właśnie, a potem skręcić w lewo, prosto do kopca na Victory Point.

- Nie mogliśmy go minąć - rzekł Crozier. - Inaczej bylibyśmy już na paku.

Potrzebowali aż trzech kwadransów, by odnaleźć kopiec ukryty w gęstej mgle. W pewnym momencie Crozier powiedział:

- Ten cholerny potwór zabrał go i ukrył, żeby zrobić nam na złość. Fitzjames spojrzał tylko wtedy na swego dowódcę i powstrzymał się od jakiegokolwiek komentarza.

W końcu, idąc po omacku, niczym dwaj ślepcy - wiedzieli, że nie mogą ani na moment rozdzielić się w tak gęstej mgle, gdzie nie słyszeli by nawet swoich nawoływań zagłuszanych przez nieustające grzmoty - dosłownie wpadli na kopiec.

- Nie ma go tam, gdzie był - zaskrzeczał Crozier.

- Rzeczywiście, stoi w innym miejscu - zgodził się z nim Fitzjames.

- Kopiec Rossa z wiadomością Gore'a stał na szczycie wzniesienia, na końcu Victory Point. To przynajmniej sto jardów na zachód od tego miejsca.

- To bardzo dziwne - przyznał ponownie Fitzjames. - Francis, byłeś już wiele razy w regionach podbiegunowych; powiedz mi, czy burze o tej porze roku to normalna rzecz? Mamy przecież dopiero wczesną wiosnę.

- Nigdy nie widziałem ani nie słyszałem, żeby burze nadciągały tu wcześniej niż w połowie lata - wychrypiał Crozier. - I bardzo mi się to nie podoba. Mam wrażenie, że to coś gorszego niż burza.

- A co może być gorszego od burzy z piorunami w kwietniu, przy temperaturze poniżej zera?

- Strzały armatnie - odparł Crozier.

- Strzały armatnie?

- Z okrętu ratunkowego, który przyplłynął tu przez otwarte przesmyki aż z Cieśniny Lancastera

i znalazł jedynie resztki *Erebusa* i porzucony *Terror*. Strzelają z armat przez całą dobę, żeby ściągnąć na siebie naszą uwagę, nim stąd odpłyną.

- Francis, przestań, proszę - zachnął się Fitzjames. - Jeśli nie przestaniesz, mogę wymiotować. A dzisiaj już wymiotowałem, wystarczy.

- Przepraszam - mruknął Crozier, grzebiąc w kieszeniach.

- Myślisz, że to rzeczywiście mogą być armaty statku ratunkowego? - spytał po chwili młodszy komandor. - To naprawdę brzmi jak wystrzały.

- Prędzej bym uwierzył, że sir John Franklin przyплыł tu po nas prosto z piekła - odparł Crozier. - Ten pak ciągnie się aż do Grenlandii.

- Więc skąd się bierze ta mgła? - pytał dalej komandor Fitzjames, powodowany raczej czystą ciekawością niż złudną nadzieją. - Szukasz w kieszeniach czegoś konkretnego?

- Zapomniałem zabrać ze sobą mosiężnego cylindra, w który mieliśmy włożyć tę wiadomość - przyznał Crozier. - Podczas pogrzebu sięgnąłem do kieszeni i poczułem jakieś zgrubienie, myślałem, że to właśnie ten cylinder, ale to był tylko mój pistolet.

- Zabrałeś papier?

- Nie. Jopson przygotował kilka kartek, ale zostawiłem je w namiocie.

- A pióro? I atrament? Przekonałem się już, że jeśli nie trzyma się atramentu w kieszeni tuż przy ciele, bardzo szybko zamarza.

- Nie mam ani pióra, ani atramentu - przyznał ponownie Crozier.

- Nic nie szkodzi. - Fitzjames machnął ręką. - Mam jedno i drugie w kieszeni kamizelki. Możemy wykorzystać notkę Grahama Gore'a... dopiszemy się do niej.

- Jeśli jest w tym cholernym kopcu - mruknął Crozier. - Kopiec Rossa miał sześć stóp wysokości. Ten ledwie sięga mi piersi.

Obaj zaczęli wyjmować kamienie z zawietrznej strony kopca. Nie chcieli rozbierać całego kopca, by potem nie musieli budować go od nowa.

Fitzjames sięgnął do ciemnego otworu i po chwili wyjął z niego mosiężny cylinder, nieco porysowany, lecz wciąż cały.

- A niech mnie kule biją... - Crozier pokręcił głową. - To wiadomość Grahama, zgadza się?

- Na pewno - przytaknął Fitzjames. Ściągnąwszy zębami rękawicę, rozwinął kartkę z wiadomością i przeczytał:

28 maja 1847. HMS Erebus i Terror zimują na lodzie na 70°05' szerokości geograficznej północnej i 98 °23' długości geograficznej zachodniej. Zimę 1846-47 spędziły przy wyspie Beechey na 74 °43 28" szerokości geograficznej północnej...

Fitzjames przerwał raptownie.

- Chwileczkę, przecież to nieprawda. Przy Beechey spędziliśmy zimę 1845-46, a nie 46-47.

- Wygląda na to, że kiedy sir John dyktował tę wiadomość, był równie zmęczony i zdezorientowany jak my teraz - wychrypiał Crozier.

- Nikt jeszcze nigdy nie był tak zmęczony i zdezorientowany jak my teraz - odparł Fitzjames. - Tutaj jest jeszcze ciąg dalszy. Ekspedycją dowodzi sir John Franklin. Wszystko w porządku.

Crozier nie roześmiał się. Ani nie zapłakał. Powiedział tylko:

- Graham Gore zostawił tę wiadomość na tydzień przed tym, jak potwór zabił sir Johna.

- I dzień przed tym, jak sam został zabity przez potwora. - Fitzjames pokiwał głową. - Wszystko dobrze. Wydaje się, jakby to było w jakimś innym życiu, prawda? Pamiętasz jeszcze, kiedy którykolwiek z nas mógł z czystym sumieniem napisać coś podobnego? Na marginesie jest jeszcze sporo miejsca, możesz tu coś dopisać, jeśli chcesz.

Obaj skulili się po zawietrznej kamiennego kopca. Temperatura wyraźnie spadła i zerwał się wiatr, lecz nad ziemią wciąż unosiła się mgła. Robiło się ciemno. Z północnego zachodu wciąż dobiegał huk dział.

Crozier ogrzał oddechem mały, przenośny kałamarz, przebił piórem cienką warstwę lodu na powierzchni atramentu, wytarł stalówkę w zamrożony rękaw i zaczął pisać.

(25 kwietnia). Okręty Terror i Erebus zostały opuszczone 22 kwietnia i nadal pozostają w miejscu, gdzie zamarły 12 grudnia 1846 roku, około 25 mil na północny zachód od tego punktu. 105 oficerów i członków załogi pod komendą komandora F.R.M. Croziera zatrzymało się na 69°31'42'' szerokości geograficznej północnej, 98°41' długości geograficznej zachodniej. Ta wiadomość została znaleziona przez porucznika Irvinga w kopcu wzniesionym rzekomo przez sir Jamesa Rossa w 1831 roku, 4 mile na północ od miejsca, gdzie w czerwcu 1847 roku złożył ją nieżyjący już porucznik Gore. Kopiec sir Jamesa Rossa nie został jednak odnaleziony, a dokument przeniesiono w to miejsce, gdzie w rzeczywistości został zbudowany kopiec sir Jamesa Rossa...

Crozier przerwał. Co ja tu, do diabła, wypisuję? - pomyślał. Przeczytał jeszcze raz ostatnie zdania - ...w kopcu wzniesionym rzekomo przez sir Jamesa Rossa w 1831 roku? Kopiec sir Jamesa nie został jednak odnaleziony?

Crozier westchnął ciężko. Kiedy w sierpniu minionego roku Irving miał przewieźć na Ziemię Króla Williama pierwszą partię materiałów z *Erebusa* i *Terroru*, Crozier polecił mu, by w pierwszej kolejności odszukał Victory Point i kopiec Rossa, a potem zostawił sprzęt i zapasy w osłoniętej zatoczce, kilka mil na południe od kopca, w miejscu, gdzie później powstał Obóz *Terror*. Irving zaznaczył wszystkie te punkty na mapie, pomylił się jednak i naniósł symbol kopca w odległości czterech mil od obozu zamiast dwóch. Podczas kolejnych wypraw odkryli i sprostowali ten błąd, jednak zmęczony umysł Croziera upierał się przy tym, że pojemnik z wiadomością Gore'a został przeniesiony z jakiegoś fałszywego kopca Rossa do tego prawdziwego kopca.

Crozier pokręcił głową i spojrzał na Fitzjamesa, ten jednak spał, opierając ręce i głowę na podciągniętych kolanach. Komandor porucznik pochrapywał lekko.

Crozier przełożył kartkę, pióro i maleńki kałamarz do jednej ręki, drugą zaś nabrał trochę śniegu i natarł nim twarz. Lodowaty dotyk otrzeźwił go nieco.

Skup się, Francis, na miłość boską. Skup się. Żałował, że nie ma ze sobą jeszcze jednej kartki, na której mógłby napisać całkiem nową wiadomość. Spojrzał ponownie na zapisany już arkusz. Większość miejsca zajmował oficjalny nadruk - wielkie czarne litery głoszące *Osoba, która znalazła ten dokument, proszona jest o dostarczenie go do sekretarza Admiralicji* oraz ta sama informacja w języku francuskim, niemieckim, portugalskim i kilku innych - i notatka sporządzona przez Gore'a. Na marginesie ciągnęły się maleńkie, niewyraźne i nierówne literki, w których Crozier z trudem rozpoznał własny charakter pisma; wyglądały tak, jakby napisał je przerażony, zmarznięty lub umierający człowiek.

Albo ktoś, kto wykazywał wszystkie te trzy cechy.

Nieważne, pomyślał. Albo i tak nikt tego nigdy nie przeczyta, albo będziemy już wtedy dawno martwi. Nieważne. Może sir John zawsze to rozumiał. Może dlatego właśnie nie zostawił żadnej wiadomości na Beechey. Wiedział od samego początku.

Zanurzył pióro w atramencie i napisał:

Sir John Franklin umarł 11 czerwca 1847 roku. Do dzisiejszego dnia zmarło ogółem 9 oficerów i 15 nmrynarzy.

Crozier znów przerwał. Nie pomylił się przypadkiem? Doliczył do zmarłych Irvinga? Nie potrafił dokonać prostych obliczeń. Wczoraj miał pod komendą sto pięć dusz... sto pięć, kiedy

opuścił *Terror*, swój okręt, swój dom, swoją żonę, swoje życie... Nie będzie niczego zmieniał.

Odwróciwszy kartkę do góry nogami, na niezapisanym jeszcze fragmencie górnego marginesu nagryzmolił F.R.M. Crozier, komandor i oficer dowodzący.

Trącił Fitzjamesa, wyrywając go ze snu.

- James... podpisz się tutaj.

Młodszy komandor przetarł zaspane oczy, spojrział na dokument i nie przeczytawszy nawet jego treści, podpisał się we wskazanym przez Croziera miejscu.

- Dopisz *Komandor HMS Erebus* - polecił Crozier. Fitzjames dopisał.

Crozier zwinął kartkę, włożył ją ponownie do mosiężnego pojemnika, zamknął go szczelnie i schował do kopca. Naciągnął rękawicę i obłożył kopiec kamieniami, które przed chwilą z niego zdjęli.

- Francis, napisałeś, dokąd pójdziemy i kiedy wyruszamy? Crozier uświadomił sobie, że tego nie zrobił. Zaczął mu wyjaśniać, dlaczego... dlaczego skazani byli na śmierć bez względu na to, czy zostaną w obozie, czy wyruszą w drogę. Dlaczego nie postanowił jeszcze, czy powędrują w stronę odległej Boothii, czy też w stronę Rzeki Backa. Zaczął wyjaśniać Fitzjamesowi, że jeśli pójdą, trafi ich szlag, a jeśli zostaną, też trafi ich szlag, i że i tak nikt nie przeczyta tej cholernej wiadomości, więc co za różnica...

- Pst! - uciszył go nagle Fitzjames.

Coś krążyło wokół nich, ukryte za zasłoną gęstej mgły. Obaj słyszeli ciężkie kroki na żwirze i lodzie. Coś bardzo dużego sapało w mgle. Szło na czterech łapach, nie dalej niż piętnaście stóp od kopca, potężne łapy przesuwwały drobiny żwiru ze chrzęstem głośniejszym niż odległe grzmoty.

Crozier słyszał nie tylko kroki stworzenia, ale i jego ciężki oddech - było teraz za nimi, okrążało po raz kolejny kopiec. Obaj zerwali się na równe nogi.

Crozier wyjął z kieszeni pistolet. Ściągnął rękawicę i odbezpieczył pistolet, gdy zarówno kroki, jak i sapanie zatrzymały się dokładnie na wprost nich, we mgle. Crozier był pewien, że czuje już ohydny smród wydobywający się z paszczy potwora.

Fitzjames, który nie miał ze sobą żadnej broni, a w dłoniach wciąż trzymał kałamarz i pióro, wskazał na mgłę, na miejsce, gdzie, jak mu się wydawało, czaił się na nich potwór.

Znów zachrząścił żwir. Stworzenie szło w ich stronę.

Powoli z mgły wynurzył się trójkątny łeb zawieszony pięć stóp nad ziemią. Wilgotne białe futro zlewało się w jedno z gęstą mgłą. Nieludzkie, czarne oczy przypatrywały im się z odległości zaledwie sześciu stóp.

Crozier wymierzył pistolet w punkt położony tuż nad łbem stworzenia.

Ogromna głowa przysunęła się bliżej, jakby nie była połączona z żadnym ciałem. Potem z mgły wysunęły się olbrzymie ramiona.

Crozier strzelił, mierząc jednak na tyle wysoko, by nie trafić w pysk zwierzęcia.

Ogłuszający huk był bolesny nie tylko dla ich uszu, ale dla całego układu nerwowego, osłabionego przez szkorbut.

Młody niedźwiedź polarny, właściwie jeszcze niedźwiedziątko, parsknął z przestrawieniem, cofnął się o krok, obrócił w miejscu i rzucił do ucieczki, znikając natychmiast w białej mgle. Przez chwilę jeszcze słyszeli chrzęst łap uderzających o żwir, oddalający się w stronę morza, na północny zachód.

Crozier i Fitzjames wybuchnęli śmiechem.

Żaden nie mógł przestać. Gdy tylko któryś trochę się uspokajał, drugi śmiał się jeszcze głośniejszym, opętany szalonym, bezrozumnym atakiem wesołości.

Zgięci w pół, trzymali się za brzuchy, wstrząsani konwulsjami śmiechu, które przenikały bólem ich posiniaczone ciała.

Crozier upuścił pistolet i wszystko zaczęło się od nowa.

Klepali się po plecach, wskazywali palcami na mgłę i śmiali się, a łyzy wesołości przymarzały im do policzków i бакów. Podpierając się nawzajem, nie przestawali rechotać.

Obaj komandorzy opadli na żwir i oparli się plecami o kopiec, co znów rozbawiło ich do łez.

W końcu śmiech zamienił się chichot, chichot w sporadyczne parskanie, a parskanie w głęboki, ciężki oddech.

- Wiesz, za co oddałbym teraz swoje lewe jajo? - spytał wreszcie komandor Francis Crozier.

- Za co?

- Za szklaneczkę whisky. A właściwie dwie. Jedną dla mnie, drugą dla ciebie. Ja stawiam, James.

Fitzjames skinął głową, ściągając lód z powiek i wydłubując z brody zamrożone smarki.

- Dzięki, Francis. A ja wzniósłbym pierwszy toast za ciebie. Jesteś najlepszym dowódcą i człowiekiem, z jakim kiedykolwiek miałem zaszczyt służyć.

- Możesz oddać mi na chwilę pióro i kałamarz? - poprosił Crozier. Włożywszy z powrotem rękawicę, ponownie zdjął kamienie z kopca, wydobył zeń pojemnik, otworzył go, rozłożył kartkę na kolanie, znów ściągnął rękawicę, zanurzył pióro w atramencie i na małym skrawku wolnego miejsca pod swoim nazwiskiem, napisał:

Wyruszamy jutro, 26 kwietnia, do ujścia Rzeki Backa.

GOODSIR

69°?Tszerokości geograficznej północnej, 98°?T długości geograficznej zachodniej. 6 czerwca 1848.

Z prywatnego dziennika doktora Harry'ego D.S. Goodsira:

Wtorek, 6 czerwca - komandor Fitzjames wreszcie umarł. Bogu dzięki.

W odróżnieniu od wszystkich innych, którzy umarli w ciągu ostatnich sześciu tygodni, czyli odkąd zaczęliśmy ciągnąć łodzie na południe (ta praca to prawdziwe piekło, z którego nie zwolniono nawet jedyne go lekarza ekspedycji), komandor, przynajmniej moim zdaniem, nie padł ofiarą szkorbutu.

Chorował na szkorbut, co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości. Właśnie skończyłem sekcję zwłok tego dobrego człowieka; siniaki, krwawiące dziąsła i poczerwiałe wargi świadczą jednoznacznie o postępującej chorobie. Ale to nie szkorbut był tutaj zabójcą.

Ostatnie trzy dni swego życia komandor spędził tutaj, około 80 mil na południe od Obozu Terror, w smaganej wiatrem zatoce, gdzie linia brzegowa Ziemi Króla Williama skręca ostro na zachód. Po raz pierwszy od sześciu tygodni rozbiliśmy wszystkie namioty - łącznie z tymi największymi - i skorzystaliśmy z węgla oraz żelaznego pieca, które przyciągnęliśmy ze sobą aż tutaj. Przez ostatnie tygodnie jedliśmy wyłącznie zimne posiłki - albo co najwyżej tylko częściowo podgrzane na maleńkich eterowych kuchenkach. Przez ostatnie dwa dni dostawaliśmy wreszcie ciepłe jedzenie - oczywiście zdecydowanie za mało, ledwie trzecią część tego, czego potrzebujemy do niezwykle wyczerpującej pracy, jaką jest ciągnięcie sań, ale przynajmniej posiłki były ciepłe. Przez dwa ranki z rzędu budziliśmy się w tym samym miejscu. Marynarze nazywają to miejsce Zatoką Luksusów.

Zatrzymaliśmy się głównie po to, by pozwolić komandorowi Fitzjamesowi umrzeć w spokoju. Ale komandor do ostatnich chwil swego życia nie zaznał spokoju.

Biedy porucznik Le Vesconte przed kilkoma dniami miał te same objawy co komandor Fitzjames. Porucznik Le Vesconte zmarł nagle trzynastego dnia naszej straszliwej wędrówki na południe - zaledwie 18 mil od Obozu Terror, jeśli dobrze pamiętam. Tego samego dnia odszedł szeregowiec Pilkington. Obaj jednak mieli już znacznie bardziej zaawansowane objawy szkorbutu, a ich bolesna agonia nie trwała tak długo jak męczarnie biednego komandora.

Przyznam, że nie pamiętałem, iż porucznik Le Vesconte ma na imię Harry. Nasze stosunki były dość przyjacielskie, ale też dość oficjalne, a na liście załogi porucznik figurował jako H.T.D. Le Vesconte. Zapewne słyszałem od czasu do czasu, jak inni oficerowie zwracają się do niego po imieniu - słyszałem to zapewne setki razy - zawsze jednak byłem zbyt zajęty lub zbyt zamyślony, by zwrócić na to uwagę. Dopiero po śmierci porucznika le Vesconte zauważyłem, że inni mówią o nim po prostu „Harry”.

Szeregowiec Pilkington miał na imię William.

Pamiętam, że tamtego majowego dnia, po pogrzebie porucznika Le Vesconte'a i szeregowca Pilkingtona, jeden z marynarzy zaproponował, by nazwać pobliski cypel od jego nazwiska, „Le Vesconte Point”. Komandor Crozier sprzeciwił się temu pomysłowi, mówiąc, że jeśli zaczniemy nazywać od naszych nazwisk wszystkie miejsca, w których będziemy chować zmarłych, wkrótce zabraknie nam cypli, przylądków i wysp.

Te słowa zdumiały wszystkich marynarzy i muszę przyznać, że zdumiały także mnie. Zapewne miał to być żart, aleja poczułem się zszokowany - podobnie zapewne jak pozostali.

Być może to właśnie było celem komandora Croziera. Od tej pory nikt już nie proponował, by nazywać elementy krajobrazu nazwiskami zmarłych oficerów.

Komandor Fitzjames już od kilku tygodni był wyraźnie osłabiony - nawet nim jeszcze opuściliśmy Obóz Terror - lecz cztery dni temu dotknięty został chorobą znacznie gwałtowniejszą i boleśniejszą niż zwykle osłabienie lub nawet szkorbut.

Od jakiegoś czasu komandor miał kłopoty z żołądkiem i jelitami, lecz nagle, 2 czerwca, po prostu się przewrócił. Zgodnie z przepisami nie przerywamy marszu, by zajmować się chorymi, lecz kładziemy ich w którejś z większych łodzi i ciągniemy wraz z zapasami i sprzętem. Komandor Crozier osobiście dopilnował, by komandor Fitzjames ułożony został starannie we własnym welbocie.

Ponieważ podczas tego długiego marszu na południe ciągniemy łodzie partiami - najpierw przez kilka godzin przeciągamy pięć ciężkich łodzi zaledwie kilkaset jardów po żwirze i śniegu, starając się zawsze wędrować po lądzie, a nie po paku poprzecinanym dziesiątkami wałów lodowych, a potem wracamy po pozostałe - zwykle gdy marynarze idą po drugą partię łodzi, ja zostaję z najcięższymi chorymi. Często towarzyszą mi wtedy panowie Diggle i Wall, którzy przygotowują na maleńkich eterowych kuchenkach posiłek dla niemal setki ludzi, oraz kilku marynarzy z muszkietami, którzy strzegą nas przed potworem z lodu i Eskimosami.

Komandor Fitzjames cierpiał straszliwe katusze. Nieustające nudności, wymioty i biegunka oraz okropne skurcze sprawiały, że ten dzielny i silny mężczyzna zwijał się w kłębek i krzyczał z bólu.

Drugiego dnia próbował dołączyć do zespołu ciągnącego jego łódź - nawet oficerowie idą od czasu do czasu w zaprzęgach - wkrótce jednak znów upadł.

Znów dręczyły go nieustające wymioty i skurcze. Kiedy marynarze zostawili na łodzie welboty i poszli po drugą piątkę łodzi, komandor Fitzjames wyznał mi, że ma kłopoty ze wzrokiem, że widzi tylko niewyraźne plamy, a czasem widzi też podwójnie.

Spytałem go, czy nosił gogle, którymi chronimy oczy przed blaskiem słońca. Marynarze ich nienawidzą, bo ograniczają pole widzenia, a poza tym przyprowadzają ich o ból głowy. Komandor Fitzjames przyznał, że nie nosił gogli, ale zauważył także, że dzień od rana był pochmurny i że nie nosił ich także nikt inny. W tym momencie musieliśmy przerwać rozmowę, gdyż komandor znów zaczął wymiotować.

Tego samego dnia, a właściwie nocy, komandor powiedział mi, że ma kłopoty z przełykaniem i nieustannie czuje suchość w ustach. Wkrótce potem zaczął chrapliwie oddychać i nie mógł już mówić. Nim wstał dzień, paraliż objął ręce komandora, tak iż nie mógł już dłużej nawet pisać.

Komandor Crozier zarządził tego dnia postój - pierwszy całodniowy postój od czasu wyjścia z Obozu Tenor. Rozbito wszystkie namioty. Wyjęto nawet duży namiot przeznaczony na izbę chorych - marynarze, którzy są teraz znacznie słabsi i mniej sprawni niż jeszcze kilka tygodni temu, rozbijali go niemal przez trzy godziny i po raz pierwszy od półtora miesiąca wszyscy chorzy zostali ułożeni w jednym miejscu.

Pan Hoar, schorowany steward komandora Fitzjamesa, umarł 2 marca. (Był to pierwszy dzień naszej wędrówki; przeszliśmy wtedy niecałą milę i wciąż widzieliśmy wszystkie zapasy ułożone w Obozie Terror, zupełnie jakbyśmy nie osiągnęli absolutnie niczego po dwunastu godzinach morderczej pracy. Te pierwsze dni - potrzebowaliśmy aż tygodnia, by pokorzyć wąski, liczący zaledwie sześć mil szerokości przesmyk na południe od Obozu Terror - omal nie złamały w nas ducha i nie pozbawiły woli przetrwania.)

Szeregowiec Heather, który kilka miesięcy wcześniej stracił fragment mózgu, w końcu pozwolił swemu ciału umrzeć czwartego dnia wędrówki. Jego towarzysze broni odegrali na dudach pożegnalną pieśń nad jego płytkim, naprędce wykopanym grobem.

I tak po kolei odchodzili od nas kolejni chorzy, jedtuzk po niemal jednoczesnej śmierci porucznika Le Vesconte 'a i szeregowca Pilkingtona pod koniec drugiego tygodnia wędrówki nastał długi okres, podczas którego nikt nie umarł. Ludzie zaczęli wierzyć, że ci naprawdę chorzy już poumierali, a zostali tylko silni.

Nagła zapaść komandora Fitzjamesa przypomniła nam, że wszyscy z dnia na dzień robimy się coraz słabsi. Tak naprawdę nikt spośród nas nie jest już silny, być może z wyjątkiem tego olbrzyma, Magnusa Mansona, który jakimś dziwnym zrządzeniem losu nie chudnie ani nie traci sił.

Chcąc powstrzymać nieustające wymioty komandora Fitzjamesa, podałem mu dawkę asafetydy, żywicy o działaniu rozkurczającym. Nic się nie zmieniło. Komandor nie przyjmował pokarmów stałych ani płynu. Podałem mu wodę wapienną, by uspokoić nieco jego żołądek, lecz i to nie pomogło.

Na kłopoty z przełykaniem zaaplikowałem syrop z cebulicy - zioła zanurzonego w roztworze taniny - który jest doskonałym środkiem wykrztuśnym. Zwykle specyfik ten jest bardzo skuteczny, tym razem jednak ani trochę nie ulżył umierającemu.

Gdy komandor Fitzjames stracił władzę w rękach, a potem w nogach, próbowałem ratować go peruwiańskim winem z liści koki - bardzo silną mieszanką wina i kokainy - a także lekarstwem wytwarzanym ze sproszkowanych rogów jelenia, o bardzo silnym zapachu amoniaku, oraz roztworem kamfory. Wszystkie te środki, podawane w dawkach dwa razy mniejszych, niż zaaplikowałem komandorowi, często powstrzymują paraliż, a nawet likwidują jego skutki.

Nie pomogły. Paraliż ogarnął wszystkie kończyny komandora Fitzjamesa. Wymioty i skurcze miotają jego ciałem długo po tym, jak nie mógł już mówić ani wykonywać żadnych kontrolowanych ruchów.

Przynajmniej jednak paraliż narządów mowy uwolnił pozostałych marynarzy od pełnych bólu krzyków umierającego dowódcy Erebusa. Ja jednak widziałem jego mękę i usta otwarte w niemym krzyku jeszcze przez cały ostatni dzień jego życia.

Dziś rano, czwartego i ostatniego dnia męczarni komandora Fitzjamesa, paraliż dosięgnął płuc i mięśni układu oddechowego. Przez cały dzień komandor walczył o każdy oddech. Wraz z Lloydem i komandorem Crozierem, który spędził wiele godzin przy łóżu swego umierającego przyjaciela, sadzaliśmy Fitzjamesa lub trzymaliśmy go prosto, a nawet prowadziliśmy wokół namiotu, trzymając pod ręce jego bezwładne ciało, byle tylko ułatwić pracę jego słabnącym płucom.

W akcie desperacji zaaplikowałem komandorowi tynkturę z lobelii, brązowawy roztwór indyjskiego tytoniu, który w istocie jest niemal czystą nikotyną - wlałem ów roztwór do gardła komandora, masując jednocześnie jego sparaliżowaną szyję i przesuwając tym samym ciecz w dół przełyku, zupełnie jakbym karmił umierające pisklę. Tynktura z lobelii była najlepszym środkiem pobudzającym oddychanie, jaki jeszcze pozostał w mej uszczuplonej apteczce, gorąco polecanym przez nieodżałowanego doktora Peddiego. „Podniósłby Jezusa z martwych dzień wcześniej”, mawiał Peddie, kiedy był w dobrym humorze.

W tym wypadku tynktura nie przyniosła żadnej zmiany.

Należy pamiętać, że jestem chirurgiem, a nie lekarzem ogólnym. Specjalizowałem się w anatomii i chirurgii. Lekarze ogólni badają i przepisują lekarstwa, chirurdzy kroją. Robię jednak wszystko, co w mojej mocy, wykorzystując wszelkie środki, jakie zostawili mi moi zmarli koledzy.

Długa agonia komandora Fitzjamesa była również przerażająca dlatego, że komandor przez cały ten czas zachowywał pełną świadomość - gdy wymiotował i wił się z bólu, gdy stracił głos i zdolność przełykania, gdy ogarniał go paraliż, gdy wreszcie z coraz większym trudem wciągał powietrze do płuc. Widziałem panikę i grozę w jego oczach. Jego umysł był w pełni sprawny, podczas gdy otaczające go ciało umierało. Nie mógł w żaden sposób zapobiec tej okrutnej torturze, patrzył na mnie jedynie błagalnym wzrokiem. Ja także nie mogłem mu pomóc.

Chwilami miałem ochotę podać mu śmiertelną dawkę czystej kokainy, by położyć kres jego cierpieniom, powstrzymywała mnie jednak przysięga Hipokratesa i wiara chrześcijańska.

W takich momentach wychodziłem na zewnątrz i płakałem bezgłośnie, bacząc, by nie zobaczył mnie przy tym żaden z oficerów lub marynarzy.

Komandor Fitzjames umarł dzisiejszego popołudnia, osiem minut po godzinie trzeciej. Dziś mamy szósty dzień czerwca, roku pańskiego 1848.

Marynarze wykopali już dlań płytki grób i przygotowali stertę kamieni. Na pogrzebie pojawili się wszyscy, którzy tylko mogli się ubrać i ustać o własnych siłach. Wielu spośród tych, którzy przez ostatnie trzy lata służyli pod komendą Fitzjamesa, płakało. Choć było dziś wyjątkowo ciepło - pięć do dziesięciu stopni powyżej temperatury zanurzenia wody - z północnego zachodu wiał zimny wiatr, który zamieniał łzy w kryształki lodu.

Żołnierze, którzy pozostali jeszcze przy życiu, oddali salwę honorową.

Z pobliskiego wzgórza zerwała się wtedy pardwa, która poleciała w stronę paku.

Nad tłumem podniósł się głośny jęk. Nie był to jednak wyraz żalu po odejściu komandora Fitzjamesa, lecz po zaprzepaszczonej szansie na zdobycie choćby odrobiny mięsa. Nim żołnierze ponownie załadowali muszkiety, ptak był już poza ich zasięgiem.

Później, jakieś pół godziny temu, komandor Crozier zajrzał do izby chorych i poprosił mnie, bym wyszedł na zewnątrz.

- Czy komandor Fitzjames umarł na szkorbut? - spytał krótko. Przyznałem, że moim zdaniem nie. Przyczyną śmierci było coś znacznie groźniejszego.

- Komandor Fitzjames podejrzewał, że steward, który usługiwał jemu i innym oficerom po śmierci Hoara, próbował go otruć - wyszeptał komandor. - Czy to możliwe?

- Bńdgens? - zdumiałem się głośno. Za głośno. Byłem zszokowany. Zawsze lubiłem tego czytanego stewarda.

Crozier pokręcił głową.

- Od dwóch tygodni oficerom Erebusa usługiwał Richard Aylmore - powiedział. - Czy to mogła być trucizna, doktorze Goodsir?

Zawahałem się. Potwierdzając podejrzenia komandora, wydałbym wyrok śmierci na Aylmorea. Steward mesy młodszych oficerów został już kiedyś ukarany chłostą za nazbyt aktywny udział w Wielkim Weneckim Karnawale. Aylmore był także przyjacielem i powiernikiem mata uszczelniacza z Terroru, człowieka chytrego i podejrzanego. Wszyscy wiedzieliśmy, że i Aylmore jest człowiekiem małego ducha.

- Owszem, to mogła być trucizna - odparłem wreszcie. - Ale być może Aylmore podawał ją całkiem nieświadomie.

- Co pan chce przez to powiedzieć? - spytał Crozier. Komandor był tak zmęczony, że jego biała skóra dosłownie lśniła w blasku gwiazd.

- Oficerowie jedzą największe porcje z ostatnich konserw Goldnera, które zabraliśmy ze sobą. W tej żywności znajduje się czasem nieznana, lecz śmiertelnie groźna trucizna. Nikt nie wie, co to jest. Być może to jakieś mikroskopijne, niewidoczne dla naszych oczu żyjątko.

- Nie poczulibyśmy, że jedzenie jest zepsute? - wyszeptał Crozier. Pokręciłem ze smutkiem głową.

- Nie. Ta trucizna ma straszliwą moc, odbiera najpierw głos, a potem paraliżuje całe ciało, nie można jej jednak wyczuć zmysłem węchu ani smaku. Jest niewidzialna jak sama śmierć.

Crozier zastanawiał się nad tym przez dłuższy czas.

- Każę wszystkim odstawić jedzenie z puszek na trzy tygodnie - rzekł wreszcie. - Na razie muszą nam wystarczyć nadpsute resztki solonej wieprzowiny i suchary. Będziemy je jeść na zimno.

- Ludzie nie będą z tego zadowoleni - odpowiedziałem szeptem. - Zupy i warzywa z puszek to jedyne ciepłe pożywienie, jakie dostają podczas marszu, Kiedy zostaną tego pozbawieni, mogą się buntować.

Crozier uśmiechnął się w odpowiedzi w taki sposób, że aż przeszedł mnie dreszcz.

- Więc nie wszyscy zostaną pozbawieni jedzenia z puszek - syknął. - Steward nadal będzie je jadł; dokładnie te same konserwy, którymi karmił Fitzjamesa. Dobranoc, doktorze Goodsir.

Wróciłem do izby chorych, sprawdziłem, czy któryś z moich podopiecznych nie potrzebuje mojej pomocy, wsunąłem się do śpiwora i ułożyłem moje przenośne mahoniowe biurko na kolanach.

Moje pismo na tej stronie jest tak nierówne, bo trzęsły mi się ręce. I to nie tylko z zimna.

Za każdym razem, gdy wydaje mi się, że znam już dobrze któregoś z oficerów lub nuiirynarzy, przekonuję się, że jestem w błędzie. Miliony lat postępów medycyny nie odkrywają sekretów ludzkiej duszy.

Jutro przed świtem ruszamy w dalszą drogę. Podejrzewam, że ten trzydniowy przystanek w Zatoce Luksusów był ostatnią okazją do dłuższego odpoczynku na trasie naszego wyczerpującego marszu.

BLANKY

Szerokość geograficzna nieznana, długość geograficzna nieznana. 18 czerwca 1848.

Kiedy złamała się jego trzecia i ostatnia proteza, Tom Blanky wiedział, że to już koniec.

Jego pierwsza drewniana noga była prawdziwym dziełem sztuki. Pan Honey, cieśla z *Terroru*, wystrugał ją z jednego kawałka solidnej angielskiej dębiny. Blanky był z niej ogromnie zadowolony i lubił się nią popisywać. Kiedy poruszał się tylko po okręcie, kuśtykał na zwykłej protezie niczym stary pirat, gdy jednak wychodził na lód, przyczepiał do niej idealnie wyrzeźbioną drewnianą nogę, mocowaną na specjalnym ruchomym złączu. W podeszwie stopy tkwiły dziesiątki gwoździ i śrub, które zapewniały mu lepszą przyczepność niż zwykłe, nabite ćwiekami buty marynarzy, dzięki czemu jedenonogi lodomistrz, choć niezdolny do ciągnięcia sań, mógł bez trudu dotrzymać kroku zdrowym marynarzom zarówno podczas przejścia z *Terroru* do Obozu Terror, jak i podczas marszu na południe. Do czasu.

Jego pierwsza drewniana noga złamała się tuż pod kolanem dziewiętnaście dni po tym, jak porzucili Obóz *Terror*, wkrótce po pogrzebie biednego Pilkingtona i Harry'ego Le Vesconte'a.

Tego dnia Tom Blanky i pan Honey jechali w szalupie ułożonej na saniach ciągniętych przez dwudziestu marynarzy. Cieśla, który zazwyczaj siedł wraz z innymi w zaprzęgu, tym razem zajęty był struganiem nowej nogi z kawałka zapasowego drzewca.

Blanky nigdy nie wiedział, czy powinien nosić swą drewnianą stopę, czy też nie, kiedy siedł obok kolumny złanych potem, zdyszanych marynarzy. Kiedy wędrowali po lodzie - jak podczas przejścia przez zamrożony przesmyk na południe od Obozu *Terror*, a potem w Zatoce Fok i w szerokiej zatoce na północ od cypla, gdzie pogrzebali Le Vesconte'a - nabijana żelastwem stopa spisywała się doskonale. Jednak większa część trasy na południe, w stronę ujścia Rzeki Backa, prowadziła po stałym lądzie.

Kiedy śnieg i lód na skałach zaczął topnieć, a topniał szybko, gdyż lato było znacznie cieplejsze niż minionego, 1847 roku, drewniana stopa Toma Blanky'ego ześlizgiwała się ze skał, wpadała w szczeliny lub przekrzywiała się niebezpiecznie na każdej nierówności terenu.

Wędrując po lodzie, Blanky starał się manifestować swoją solidarność z innymi marynarzami, chodząc tam i z powrotem wzdłuż kolumny, przenosząc od czasu do czasu jakieś drobne przedmioty i próbując zastępować najbardziej zmęczonych marynarzy w zaprzęgu. Zwykle jednak grzecznie dziękowano mu za pomoc, wszyscy bowiem wiedzieli, że ze względu na drewnianą nogę Tom nie uciągnie żadnego ciężaru.

Po sześciu tygodniach i czterdziestu siedmiu milach wędrówki, w Zatoce Luksusów, gdzie zmarł biedny komandor Fitzjames, Blanky chodził już na trzeciej nodze - słabszej i gorszej niż druga, nie mówiąc o pierwszej - i starał się z całych sił dotrzymać kroku towarzyszom, pokonując kolejne strumienie, kałuże i skalne grzbiety, nie wracał już jednak z pozostałymi po drugą część sań.

Tom Blanky uświadomił sobie, że stał się kolejnym zbędnym ciężarem, który jego zmęczeniu towarzysze - teraz już tylko dziewięćdziesięciu pięciu - musieli ciągnąć ze sobą na południe.

Tym, co nie pozwalało Blanky'emu się poddać, nawet gdy zaczęła pękać jego trzecia noga - nie mieli już zapasowych drzewców, z których można by wystrugać czwartą - była nadzieja, że wkrótce przesiądą się do łódek i że wtedy jego wiedza na temat lodu okaże się bardzo przydatna.

Jednak podczas gdy warstwa lodu okrywająca nagie skały i żwir topniała w ciągu dnia - według porucznika Little'a temperatura sięgała czasami aż czterdziestu stopni - pak za przybrzeżną linią gór lodowych wcale nie pękał. Blanky starał się zachować cierpliwość. Wiedział lepiej niż

którykolwiek z pozostałych członków ekspedycji, że na tych szerokościach obszary otwartej wody pokazują się czasem dopiero w połowie lipca albo i później.

Lodomistrz wiedział też dobrze, że od tego, kiedy lód zacznie pękać, zależy bezpośrednio jego życie. Gdyby przesiedli się wkrótce do łodzi, miałby szansę na przetrwanie. Nie potrzebował nóg, by podróżować łodzią. Crozier dawno już postanowił, że Thomas Blanky zostanie szyprem jego szalupy - dowódcą ośmioosobowej załogi - i gdyby tylko lodomistrz doczekał tej chwili, zapewne ocalałby. Gdyby dopisało im szczęście, dopłynęliby do samego ujścia Rzeki Backa, zatrzymali się tam, otaklowali łodzie do podróży po rzece i ruszyli w stronę jeziora, licząc na wsparcie północno-zachodnich wiatrów. Oczywiście wielokrotnie musieliby wychodzić z łodzi i przenosić je po stałym lądzie, lecz nawet dla Blanky'ego byłaby to bułka z masłem w porównaniu z męczarnią ostatnich ośmiu tygodni.

Gdyby Thomas Blanky doczekał chwili, gdy przesiadą się do łodzi, znalazłby ocalenie.

Blanky wiedział jednak o jeszcze jednej rzeczy, z którą nie mógł poradzić sobie nawet jego wrodzony optymizm: potwór z lodu polował na niego.

Widzieli go niemal codziennie, każdego popołudnia, gdy marynarze wracali po drugą piątkę łodzi, każdego wieczora około jedenastej, kiedy zmęczeni chowali się w namiotach, by przespać się choć przez kilka godzin.

Potwór wciąż szedł za nimi. Czasami oficerowie widzieli go przez swoje lunety, gdy obserwowali morze. Ani Crozier, ani Little, ani Hodgson nie mówili marynarzom, że widzieli potwora, lecz Blanky - który miał więcej czasu niż inni na obserwacje i rozmyślenia - nieraz słyszał, jak oficerowie naradzają się między sobą i wiedział.

Zdarzało się nawet, że marynarze ciągnący ostatnie łodzie widzieli bestię bez lunet. Czasami szła za nimi jakąś milę z tyłu, widoczna jako czarna kropka na tle białego lodu lub biała kropka na tle czarnych skał.

„To tylko niedźwiedź polarny - rzekł James Reid, rudobrody lodomistrz z *Erebusa* i jeden z najbliższych przyjaciół Blanky'ego. - Te zwierzaki zjadłyby cię, gdyby tylko mogły, ale zwykle są niegroźne. Kule zabijają je jak wszystkie inne bydłota. Miejmy nadzieję, że podejdziesz bliżej. Potrzebujemy świeżego mięsa”.

Blanky wiedział jednak, że to nie był jeden z niedźwiedzi polarnych, które nauczyli się już zabijać bez większego problemu. To był on, potwór, i choć wszyscy uczestnicy długiego marszu panicznie się go bali - szczególnie podczas nocy, a właściwie kilku godzin półmroku, które udawały teraz noc - tylko Thomas Blanky wiedział, że potwór poluje przede wszystkim na niego.

Marsz dawał się we znaki wszystkim, lecz Blanky cierpiał prawdziwe katusze; nie ze względu na skorbut, który dotykał go w stopniu mniejszym niż pozostałych marynarzy, lecz ze względu na ból w kikucie nogi, której pozbawił go potwór. Chodzenie po lodzie lub przybrzeżnych skałach sprawiało mu tyle problemów, że już przed południem każdego dnia wypełnionego kilkunastogodzinną wędrówką z kikuta wypływały strumienie krwi. Krew wsiąkała w grube spodnie z żeglarskiego płótna i spływała po drewnianej nodze, zostawiając na ziemi czerwony ślad. Krwią nasiąkały także jego kalesony, bielizna i koszula.

Podczas pierwszych tygodni marszu, kiedy było jeszcze bardzo zimno, krew natychmiast zamarzała. Teraz jednak, gdy temperatura sięgała powyżej zera, a czasami nawet ponad poziom zamarzania wody, Blanky krwawił jak zarzynana świnka.

Długie okrycie wierzchnie i płaszcz także pomagały mu ukryć jego krwawą mękę przed komandorem i pozostałymi, lecz w połowie czerwca zrobiło się już tak ciepło, że marynarze zrzucali wierzchnie okrycia i kładli je w łodziach, które ciągnęli za sobą. Przez większość dnia pracowali

tylko w swetrach lub nawet samych koszulach, po południu zaś, gdy robiło się chłodniej, wkładali z powrotem cieplejsze ubrania. Wielokrotnie pytali go, dlaczego on także nie zrzuci z siebie ciężkiego płaszcza, on jednak zbywał ich pytania żartami. Jestem zimnokrwistym stworzeniem, chłopcy - odpowiadał ze śmiechem. - Ciągłe mi jest zimno przez tę drewnianą nogę, a nie chciałbym, żebyście widzieli, jak się trzęsę”.

W końcu jednak musiał zrzucić z siebie płaszczy i warstwę bawełnianych ubrań. Nieustający wielogodzinny marsz na drewnianej nodze i okaleczonym krwawiącym kikucie był dla niego co najmniej równie wyczerpujący jak dla zdrowych marynarzy ciągnięcie ciężkich sań. Pot, który sączył się z jego ciała przez cały dzień, wsiąkał w ubrania, by później zamarznąć i utworzyć zimną skorupę. Po jakimś czasie lodomistrz po prostu nie mógł już tego dłużej znieść.

Marynarze zareagowali na widok jego okrwawionych spodni obojętnym milczeniem. Mieli własne problemy. Większość cierpiała na szkorbut i także krwawiła z wielu miejsc.

Crozier i Little często odciągali Blanky’ego i Reida na bok i pytali ich o lód ciągnący się tuż za barierą gór lodowych. Kiedy po opuszczeniu Zatoki Luksusów okrążyli długi na kilka mil przylądek i wrócili ponownie na trasę wiodącą wzdłuż południowego wybrzeża, na południowy wschód, Reid stwierdził, że lód pomiędzy tą częścią Ziemi Króla Williama, bez względu na to, czy była to wyspa, czy też fragment kontynentu, będzie pękał wolniej niż pak na północnym zachodzie, gdzie podczas lata warunki pogodowe były bardziej zmienne.

Blanky był większym optymistą. Zauważył, że góry lodowe spiętrzone wzdłuż południowego wybrzeża robią się coraz mniejsze, a właściwie przypominały już bardziej las seraków niż prawdziwych gór. Działo się tak dlatego, twierdził Blanky, że przylądek wyrastający z Ziemi Króla Williama osłaniał ten fragment morza i wybrzeża, albo zatoki i wybrzeża, przed rzeką lodu spływającą z północnego zachodu, która zamknęła w swym żelaznym uścisku *Erebusa* i *Terror*. Ten ruchomy lodowiec ciągnął się aż od samego bieguna północnego. Tutaj, po południowej stronie Ziemi Króla Williama, lód nie był tak gruby i mógł popękać wcześniej niż pak.

Reid przyglądał się Blanky’emu ze zdumieniem, kiedy jego kolega po fachu wygłaszał tę opinię. Blanky wiedział, co myśli drugi lodomistrz.

Bez względu na to, czy jest to zatoka, czy przesmyk prowadzący do ujścia Rzeki Backa, lód zamknięty na malej przestrzeni pęka zwykle najpóźniej.

Reid miałby rację, gdyby podzielił się tą opinią z komandorem Crozierem - nie zrobił tego, zapewne by nie podważać autorytetu swego przyjaciela - lecz Blanky mimo to był optymistą. Prawdę mówiąc, Thomas Blanky patrzył na świat z niegasnącym optymizmem od czasu owej ciemnej nocy 5 grudnia, kiedy uciekł przed potworem z lodu.

Potwór już dwukrotnie próbował go zabić. I dwukrotnie Thomas Blanky stracił przy tym kawałek nogi.

Kuśtykał do przodu, dzieląc się żartami lub krztyną tytoniu ze zmęczonymi marynarzami. Wiedział, że jego współlokatorzy z namiotu cenią sobie jego towarzystwo. Podczas coraz krótszych nocy stawał na ochotnika na straży, przechadzał się na zakrwawionej protezie wzdłuż rzędu łodzi i sań, trzymając w dłoni odbezpieczoną strzelbę, choć dobrze wiedział - lepiej, niż którykolwiek z jego towarzyszy - że zwykła strzelba nie powstrzyma bestii, kiedy ta przyjdzie w końcu po następną ofiarę.

Długi marsz na południe stawał się dla wszystkich coraz większą udręką. Ludzie umierali powoli z głodu, szkorbutu i zmęczenia, dwukrotnie powtórzyły się także przypadki strasznego zatrucia, które uśmierciło komandora Fitzjamesa. John Cowie, palacz, który przeżył marcowy atak potwora na pokładzie *Erebusa*, umarł 10 czerwca, targany najpierw paroksyzmami bólu, a potem

obezwładniony powolnym paraliżem. Dwunastego czerwca podobny los spotkał Daniela Arthura, trzydziestoosmioletniego sternika z *Erebusa*, który zmarł po ośmiu godzinach męczarni. Ich ciała nie zostały należycie pogrzebane; pochód zatrzymał się tylko po to, by zaszyć ich zwłoki w płótno i obłożyć kamieniami.

Richard Aylmore, który po śmierci komandora Fitzjamesa stał się obiektem licznych spekulacji, nie miał prawie żadnych objawów choroby. Plotki głosiły, że podczas gdy zgodnie z rozkazem komandora wszyscy pozostali marynarze nie mogli jeść ciepłego pożywienia z puszek, Aylmore miał dzielić się tym pożywieniem z Cowiem i Arthurem. Powstawało więc pytanie, dlaczego Cowie i Arthur zmarli w męczarniach, a Aylmore wciąż był zdrowy. Wydawało się, że odpowiedź jest prosta i że Aylmore musiał świadomie otruć tę dwójkę. Z drugiej strony, choć wszyscy zdawali sobie sprawę, że Aylmore nienawidził komandora Fitzjamesa i komandora Croziera, nikt nie widział powodu, dla którego steward miałby zabijać swych towarzyszy.

Chyba że chciał przejąć ich porcje jedzenia.

Jednym z kilku ciężko chorych na szkorbut, którzy musieli leżeć w łodziach ciągniętych przez ich towarzyszy, był Henry Lloyd, pomocnik doktora Goodsira - ten żwawy niegdyś młodzieniec ledwie się teraz ruszał, a jeśli już to robił, to tylko po to, by zwymiotować własną krwią i zębami - a ponieważ Blanky jako jeden z nielicznych marynarzy zostawał przy łodziach po południu, gdy pozostali szli przyciągnąć drugą piątkę sań, starał się wówczas pomagać dobremu lekarzowi.

Co ciekawe, w miarę jak robiło się coraz cieplej, coraz więcej ludzi zgłaszało się do Goodsira z poważnymi odmrożeniami. Spoceni marynarze, którzy zrzucali wierzchnie okrycia, marynarki i rękawice, pracowali bez ciepłych ubrań aż do wieczora, kiedy temperatura spadała do piętnastu stopni poniżej zera. Goodsir bez ustanku opatrywał odmrożone palce i obszary skóry przemarzniętej do białości lub czarnej już od zgnilizny.

Praktycznie co drugi marynarz cierpiał również na bóle głowy i ślepotę wywołaną ostrym blaskiem słońca. Crozier i Goodsir codziennie rano przechadzali się wzdłuż kolumny i namawiali wszystkich, by nakładali specjalne gogle z drobnej siatki, lecz marynarze nienawidzili owych drucianych okropieństw. Joe Andrews, odpowiedzialny za ładunek na *Erebusie* i stary przyjaciel Toma Blanky'ego, mówił, że patrząc przez te cholerne gogle, człowiek męczy się tak samo, jakby próbował dojrzeć, co kryje się pod damskimi reformami z czarnego jedwabiu, tyle że ma z tego znacznie mniejszą uciechę.

Bóle głowy i śnieżna ślepota nie stanowiły bezpośredniego zagrożenia dla życia marynarzy, były jednak bardzo dokuczliwe. Niektórzy błagali doktora Goodsira o laudanum, które ulżyłoby im nieco w cierpieniach, lecz lekarz odpowiadał, że nie ma już ani odrobiny tego środka. Blanky, który często przynosił lekarstwa z zamykanej na klucz lecarskiej skrzynki, wiedział, że Goodsir kłamie; w skrzynce leżała jeszcze jedna, niepodpisana fiołka laudanum. Lodomistrz domyślał się, że lekarz trzymają ją jakąś szczególną, straszliwą okazję - by ulżyć cierpieniom komandora Croziera w jego ostatnich godzinach? A może własnym?

Wielu marynarzy doznawało też rozległych oparzeń słonecznych. Niemal wszyscy mieli czerwone dłonie, szyje i twarze, jednak ci, którzy w najgorętszej porze dnia choćby na chwilę zdjęli koszule, wieczorem patrzyli z przerażeniem, jak ich skóra, zupełnie biała po trzech latach spędzonych w ciemności i zamknięciu, pokrywa się wielkimi pęcherzami.

Doktor Goodsir przecinał pęcherze skalpelem i okładał otwarte rany balsamem, którego zapach przypominał Blanky'emu smar do osi.

W połowie czerwca, po kilku tygodniach wyczerpującego marszu, niemal wszyscy byli na krawędzi załamania. Dopóki chociaż część marynarzy mogła ciągnąć ciężkie sanie z łodziami i

wypakowane po krawędzie burt welboty, pozostali, słabsi lub bardziej schorowani, mieli okazję, by odpocząć, a potem powrócić do zaprzęgów i wspomóc swych towarzyszy. Blanky wiedział jednak, że gdy liczba chorych i słabych przekroczy liczbę zdolnych do marszu, ich wyprawa dobiegnie końca.

Oprócz skorbutu, śnieżnej ślepoty i oparzeń słonecznych ludziom dokuczało także nieustające pragnienie. Gdy tylko napotykali na drodze jakiś strumyk, padali na kolana i chleptali z niego wodę niczym psy. Blanky wiedział, że gdyby nie gwałtowna odwilż, już trzy tygodnie wcześniej wszyscy pomarliby z pragnienia. Kończyło im się paliwo do kuchenek eterowych. Początkowo próbowali topić śnieg w ustach, później jednak zrozumieli, że pozbawiają się w ten sposób mnóstwa energii i są jeszcze bardziej spragnieni. Za każdym razem, gdy przeciągali łodzie przez jakiś strumień - a ze wzgórz spływało coraz więcej strumieni i potoków - wszyscy zatrzymywali się, by napełnić butelki, których nie musieli już trzymać przy ciele, by uchronić wodę przed zamarznięciem.

Choć nie musieli się już obawiać śmierci z pragnienia, marynarze tracili siły i zdrowie z wielu innych powodów. Wszyscy byli poważnie niedożywieni. Głód często nie pozwalał ludziom zasnąć podczas czterech godzin nocnego półmroku przeznaczonych na odpoczynek (oczywiście ci, którzy pełnili wachtę, mieli do dyspozycji co najwyżej dwie godziny).

Rozbijanie i składanie namiotów, które jeszcze dwa miesiące wcześniej, w Obozie *Terror*, trwało nie więcej niż dwadzieścia minut, teraz zabierało im dwie godziny rano i dwie godziny wieczorem. Każdego dnia, w miarę jak palce stawały się coraz bardziej spuchnięte i niezdarne, czas ten się wydłużał.

Zmęczenie, choroby i brak snu sprawiały, że wszyscy, nawet Blanky, mieli kłopoty z zachowaniem trzeźwości umysłu. Wydawało się, że Crozier radzi sobie z tym najlepiej, czasami jednak, kiedy komandorowi wydawało się, że nikt na niego nie patrzy, jego twarz zamieniała się w maskę zmęczenia i otępienia.

Żeglarze, którzy niegdyś potrafili zawiązać skomplikowany węzeł, stojąc w ciemności na rozkołysanym drzewcu, pięćdziesiąt stóp nad pokładem statku targanego sztormem w Cieśninie Magellana, teraz nie umieli zasnurować butów. Ponieważ w promieniu trzystu mil nie było żadnego drewna - prócz nogi Blanky'ego, ich łodzi i sań oraz *Terroru* i szczątków *Erebusa* spoczywających sto mil dalej na północ - i ponieważ ziemia rozmarzała tylko na wierzchu, a pod całem błotem wciąż była twarda jak kamień, na każdym postoju marynarze musieli znosić kamienie, którymi przykładali brzegi namiotów, by nie porwał ich nocny wiatr.

Ta uciążliwa praca ciągnęła się nieraz do północy. Ludzie zasypiali niekiedy na stojąco, trzymając w obu dłoniach kamienie. Często towarzysze nawet ich nie budzili.

Kiedy więc późnym popołudniem 18 czerwca 1848 roku, gdy marynarze ciągnęli drugą partię sań i łodzi, trzecia noga Blanky'ego złamała się tuż pod jego krwawiącym kolanem, lodomistrz uznał to za znak.

Doktor Goodsir miał tego dnia mało pracy, Blanky wrócił więc wraz z innymi marynarzami po drugą piątkę sań. Gdy maszerował wraz z nimi do obozu, jego drewniana noga utkwiała między dwoma kamieniami przymarzniętymi do gruntu i pękła tuż pod kolanem. Blanky uznał, że zarówno miejsce pęknięcia, jak i fakt, że wbrew swoim zwyczajom znalazł się niemal na samym końcu kolumny, są oczywistymi znakami od bogów.

Pokuśtykał do pobliskiego głazu, rozsiadł się na nim wygodnie, wyjął fajkę i nabił ją resztką tytoniu, którą już od tygodni trzymał na jakąś specjalną okazję.

Kiedy kilku marynarzy przystanęło, by spytać, co robi, Blanky odpowiedział z uśmiechem:

- Ot, przysiadłem sobie na chwilkę. Muszę dać trochę odpocząć mojej biednej nodze.

Kiedy sierżant Tozer, który dowodził tylną strażą kolumny, przystanął, by spytać ze

znużeniem, dlaczego Blanky zostaje w tyle, lodomistrz odparł:

- Och, nie przejmuj się tym, Salomonie. - Zawsze lubił irytować głupiego sierżanta, zwracając się doń po imieniu. - Zabieraj swoich ludzi i daj trochę odsapnąć.

Pół godziny później, kiedy łodzie oddaliły się już od niego o dobrych kilkaset jardów, do Blanky'ego przyszedł komandor Crozier z cieślą Honeyem.

- Co pan do diabła wyprawia, panie Blanky? - warknął Crozier.

- Odpoczywam, komandorze. Pomyślałem sobie, że zatrzymam się tu na noc.

- Niech się pan nie wygłupia - zachnął się Crozier. Spojrzał na złamaną protezę i odwrócił się do cieśli. - Może pan to naprawić, panie Honey? Powiedzmy, na jutro po południu. Do tej pory pan Blanky będzie jechał w łodzi.

- Tak, panie komandorze - odparł Honey, przyglądając się skrzywiony złamanej nodze, niczym artysta niezadowolony ze swego dzieła albo dotknięty brakiem szacunku dla owego dzieła. - Nie mamy za wiele drewna, ale został nam jeszcze zapasowy ster do szalupy, na pewno coś się da z tego zrobić.

- Słyszał pan, panie Blanky? - spytał Crozier. - A teraz niech pan zabiera stąd tyłek i dogoni z panem Honeyem ostatnią łódkę. Szybko. Jutro po południu będzie pan już miał nową nogę.

Blanky uśmiechnął się.

- Czy pan Honey może naprawić też to?

Zdjął resztkę ułamanej nogi i zsunął z kikuta skórzaną uprząż.

- A niech to... - mruknął Crozier. Pochylił się, by obejrzeć uważniej krwawiący kikut i białą kość wystającą z czarnej otoczki gnijącego ciała, potem jednak odsunął się pośpiesznie, uderzony falą ohydneho smrodu.

- Tak jest, komandorze. - Blanky pokiwał głową. - Dziwię się, że doktor Goodsir nie wywachał tego wcześniej. Staralem się stać od zawietrznej, kiedy pomagałem mu w izbie chorych. Chłopcy z mojego namiotu wiedzą, co się dzieje. Nic już na to nie poradzimy.

- Nonsens. Goodsir na pewno... - Crozier umilkł raptownie. Blanky znów się uśmiechnął, nie był to jednak uśmiech sarkastyczny ani smutny.

- Na pewno co, komandorze? Utnie mi nogę przy biodrze? Czarne i czerwone linie sięgają mi aż do tyłka i krocza, komandorze, jeśli zechce pan wybaczyć tak szczegółowy opis. A gdyby nawet mnie zoperował, ile dni leżałbym w łodzi jak szeregowiec Haether, niech Bóg ma w opiece jego biedną duszę, i pozwalał się ciągnąć ludziom, którzy i tak ledwie trzymają się na nogach?

Crozier milczał.

- Nie - kontynuował Blanky, zaciągając się z lubością dymem. - Myślę, że najlepiej będzie, jeśli sobie trochę odpocznę i porozmyślam o tym i owym. Miałem dobre życie. Chciałbym je trochę powspominać, nim ból i smród zatrują mi myśli.

Crozier westchnął, spojrzał na swego cieślę, a potem na lodomistrza i westchnął ponownie. Wyjął z kieszeni płaszcz butelkę z wodą.

- Proszę chociaż wziąć to.

- Dziękuję, komandorze. Bardzo chętnie.

Crozier ponownie sięgnął do kieszeni, pogrzebał w nich chwilę, by wreszcie spojrzeć bezradnie na cieślę.

- Nie mam nic do jedzenia. A pan, panie Honey?

Cieśla znalazł zapleśniałego suchara i kawałek jakiejś zielonej substancji, która niegdyś była zapewne plastrem wołowiny.

- Nie, dzięki, John. - Blanky uśmiechnął się. - Naprawdę nie jestem głodny. Mam jednak

prośbę do pana, komandorze.

- O co chodzi, panie Blanky?

- Moja rodzina mieszka w Kent, niedaleko Ightham Mote, na północ od Tonbridge Wells. A przynajmniej tam właśnie mieszkała moja Betty, Michael i moja mama, kiedy wypływaliśmy z Anglii. Zastanawiałem się, komandorze, to znaczy, gdyby dopisało panu szczęście, i miał pan potem trochę czasu...

- Przysięgam, że jeśli wrócę do Anglii, znajdę ich i powiem, że kiedy widziałem pana po raz ostatni, siedział pan sobie wygodnie na kamieniu i palił fajkę - odparł Crozier. Wyjął z kieszeni pistolet. - Porucznik Little widział przez lunetę potwora. Idzie za nami od samego rana. Pewnie niedługo się tutaj pojawi. Proszę to wziąć, przyda się panu.

- Nie, dziękuję, komandorze.

- Jest pan pewien? To znaczy, że chce pan tu zostać? - nie dawał za wygraną Crozier. - Nawet gdyby został pan z nami... chociaż jeszcze przez tydzień, może dłużej, pańska wiedza mogłaby się nam bardzo przydać. Kto wie, jakie warunki będą panowały na lodzie dwadzieścia mil stąd?

Blanky uśmiechnął się ponownie.

- Gdyby nie było z wami pana Reida, wziąłbym to sobie do serca, komandorze. Naprawdę. Ale to świetny lodomistrz.

Crozier i Honey pożegnali się z Blankym mocnym, serdecznym uściskiem dłoni, a potem odwrócili się i ruszyli żwawym krokiem, by dogonić ostatnie łodzie znikające właśnie za odległym grzbietem lodowym na południu.

Było już dobrze po północy, kiedy wreszcie przyszedł po niego.

Blanky dawno już zużył cały zapas tytoniu, a gdy sięgnął po butelkę z wodą, którą nieopatrznie postawił obok siebie, na kamieniu, okazało się, że woda już zamarzła. Był zmęczony i obolały, ale nie chciał spać.

Na szarym nieboskłonie pojawiło się kilka gwiazd. Jak zwykle wieczorem zerwał się wiatr z południowego zachodu, a temperatura spadła co najmniej o czterdzieści stopni poniżej wartości, którą osiągała w południe.

Blanky położył złamaną nogę i uprząż na kamieniu obok siebie. Choć dokuczał mu dotknięty gangreną kikut i pusty żołądek, najwięcej bólu sprawiała mu tego wieczora dolna część nogi, której przecież już nie miał.

Nagle potwór po prostu pojawił się przed nim, wyrósł z lodu niczym duch.

Przez chwilę stał nieruchomo, niecałe trzydzieści kroków dalej.

Musiał wyjść przez jakąś niewidoczną dziurę w lodzie, pomyślał Blanky. Przypomniawszy sobie wesołe miasteczko i namiot magika, który widział jako mały chłopiec w Tumbridge Wells. Magik, drobny mężczyzna w fioletowej pelerynie i wysokim, stożkowym kapeluszu przyozdobionym lśniącymi gwiazdami i księżycem, pojawił się na scenie w podobny sposób, wyskakując z ukrytej zapadni przy akompaniamencie achów i ochów zachwyconej publiczności.

- Witaj ponownie - powiedział Blanky do ciemnej sylwetki na lodzie. Potwór stanął na tylnych łapach i zastygł na moment w bezruchu.

Lodomistrz patrzył spokojnie na ogromną masę futra i mięśni, na pazury lśniące odbitym blaskiem zachodzącego słońca, na pobłyskujące w półmroku olbrzymie kły, jakimi z pewnością nie mógł się poszczycić żaden ze znanych ludzkości drapieżników. Blanky przypuszczał, że potwór ma ponad dwanaście stóp wysokości, może nawet czternaście.

W jego oczach, ciemniejszych niż mrok okrywający jego sylwetkę, nie odbijał się nawet blask umierającego słońca.

- Spóźniłeś się - przemówił ponownie lodomistrz, mimowolnie szczękając zębami. - Czekam na ciebie już ładnych parę godzin. - Rzucił w ciemną sylwetkę swoją drewnianą nogą.

Potwór nie próbował się nawet uchylić przed drewnianym pociskiem. Stał w bezruchu jeszcze przez minutę, po czym nagle runął do przodu, sunąc nad lodem niczym upiór. Monstrum kilkoma skokami dopadło głazu i rozłożyło swe olbrzymie ramiona, przesłaniając lodomistrzowi cały świat.

Thomas Blanky uśmiechnął się szeroko i zacisnął mocno zęby na ustniku zimnej fajki.

CROZIER

Szerokość geograficzna nieznana, długość geograficzna nieznana. 4 lipca 1848.

Jedyną rzeczą, która wciąż trzymała przy życiu Francisa Rawdona Moirę Croziera przez dziesięć długich tygodni marszu, był błękitny płomień gorejący w jego piersiach. Im bardziej umęczone, schorowane, wygłodniałe i poobijane było jego ciało, tym mocniej i jaśniej płonął ów ogień. Wiedział, że nie była to jedynie metafora jego determinacji. Ani optymizmu. Błękitny płomień przeciskał się do jego serca niczym jakieś obce ciało, przenikał je niczym choroba, skupiał w sobie wszystkie jego myśli i uczucia, umacniając go w niechcianym przekonaniu, że zrobi wszystko, by przeżyć. Wszystko.

Czasami Crozier gotów był niemal modlić się, by ów błękitny płomień zgasł, a on mógł wreszcie się poddać, położyć na śniegu i schować pod zamarzną tundrą niczym zasypiające dziecko pod kocem.

Dziś musieli się zatrzymać - po raz pierwszy od wielu tygodni nie ciągnęli sań. Rozbili też wielki i ciężki namiot pełniący funkcję izby chorych, choć nie rozpakowywali nawet mes dla poszczególnych grup marynarzy. Ludzie nazwali to niczym niewyróżniające się miejsce w małej zatoce na południowym wybrzeżu Ziemi Króla Williama obozem szpitalnym.

W ciągu ostatnich dwóch tygodni przeszli przez pokrytą nierównym lodem zatokę, opuszczając wreszcie długi przylądek, sięgający na południowy zachód. Teraz szli wzdłuż wybrzeża, kierując się ponownie na południowy wschód i wschód, w stronę ujścia Rzeki Backa.

Crozier zabrał z Terror swój sekstans i teodolit, podobnie jak porucznik Little, który miał także przyrządy nawigacyjne zmarłego komandora porucznika Fitzjamesa, jednak żaden z nich już od tygodni nie mierzył położenia słońca ani gwiazd. Po prostu nie miało to znaczenia. Jeśli Ziemia Króla Williama była półwyspem, jak sądziła większość badaczy polarnych, łącznie ze starym dowódcą Croziera, Jamesem Clarkiem Rossem, linia brzegowa doprowadziłaby ich prosto do ujścia Rzeki Backa. Jeśli była to wyspa - a ku takiej właśnie opinii skłaniał się Crozier, podobnie jak niegdyś porucznik Gore - wkrótce zobaczyliby na południu stały ląd i przeszli przez wąską cieśninę do ujścia Rzeki Backa. Tak czy inaczej od ujścia rzeki dzieliło ich jeszcze około dziewięćdziesięciu mil.

Podczas długiego marszu z Obozu *Terror* pokonywali średnio niewiele ponad milę dziennie. Czasami zdarzało im się przejść trzy lub cztery mile w ciągu jednego dnia, co przypominało Crozierowi o fantastycznym tempie przeprawy z okrętów do obozu *Terror*, jednak kiedy indziej - kiedy ciągnęli sanie głównie po ziemi, a nie po lodzie, kiedy musieli przeprowiać się przez strumienie, a raz nawet przez prawdziwą rzekę, kiedy wybrzeże było tak skaliste, że musieli zejść na lód, kiedy dokuczała im fatalna pogoda, kiedy liczba chorych była większa niż zwykle, a zdrowi marynarze musieli przeciągać nie tylko dziesięć łodzi z ładunkiem, ale i swych towarzyszy - przez cały dzień oddalali się od poprzedniego obozu zaledwie o kilkaset jardów.

Pierwszego lipca, po kilku tygodniach cieplej pogody, powróciło zimno i śnieg. Śnieżycą nadciągająca z południowego wschodu wiała ludziom prosto w twarz. Wszyscy powyciągali z łodzi wierzchnie okrycia, uszanki i szaliki. Śnieg pokrywający sanie i łodzie zwiększył ich ciężar o kilkaset funtów. Ciężko chorzy marynarze, którzy leżeli na zwiniętych namiotach i pojemnikach z zapasami, chronili się pod płótnem zakrywającym ów ładunek.

Przez trzy dni ludzie maszerowali w gęstej śnieżycy i porywistym wietrze wiejącym ze wschodu i południowego wschodu. Nocami nie pozwalały im spać nieustające grzmoty.

Dziś zatrzymali się w końcu na dłuższy postój, gdyż wielu marynarzy było chorych, a doktor

Goodsir chciał się nimi zająć. Poza tym Crozier chciał wysłać zwiadowców na wschód oraz większe grupy uzbrojonych ludzi na północ, w głąb wyspy, a także na południe, na lód. Miał nadzieję, że którejs z nich uda się coś upolować.

Bardzo potrzebowali jedzenia.

Niedawno zjedli wreszcie ostatnią konserwę Goldnera, co było zarazem dobrą i złą wiadomością. Kiedy steward Aylmore, który na rozkaz komandora jadł pożywienie z puszek, nie podzielił jednak losu komandora Fitzjamesa i nie umarł w straszliwych męczarniach - choć spotkało to dwóch innych marynarzy, którzy teoretycznie nie mieli jeść konserw - wszyscy ponownie sięgnęli do tego źródła pożywienia, uzupełniając nim niewielkie porcje solonej wieprzowiny i dorsza.

Dwudziestoosmioletni marynarz Bill Closson umarł, krzycząc bezgłośnie, gdy paraliż ogarniał powoli kolejne partie jego ciała, doktor Goodsir nie miał jednak pojęcia, co go zabiło, dopóki jeden z jego towarzyszy, Tom McConvey, nie wyznał, że Closson ukradł i zjadł całą puszkę brzoskwiń.

Podczas bardzo krótkiej ceremonii pogrzebowej Clossona - jego ciało nie zostało nawet zaszyte w płótno, a jedynie przykryte stertą kamieni, gdyż stary żaglomistrz, Murray, umarł na szkorbut, a poza tym i tak nie było już wolnego płótna - komandor Crozier wygłosił cytát, który zdaniem marynarzy z pewnością nie pochodził z Biblii, lecz z legendarnej już Księgi Lewiatancu

- Życie ludzkie wypełnia samotność, bieda, podłość, cierpienie i przemijanie - recytował komandor. - Wszyscy żyjemy krótko, ale jeszcze krócej ci, którzy okradają swoich przyjaciół.

Mowa pogrzebowa komandora, choć wyjątkowo krótka, zrobiła prawdziwą furorę wśród marynarzy. Choć wszystkie dziesięć łodzi, które ciągnęli za sobą od ponad dwóch miesięcy, miały już nazwy nadane im, gdy jeszcze *Erebus* i *Terror* pływały po morzach, marynarze natychmiast przemianowali trzy kutry i dwie szalupy przeciągane po południu i wieczorem (wszyscy nienawidzili teraz tej części dnia, musieli bowiem jeszcze raz pokonywać dystans, który przeszli już rankiem). Nazwy owych łodzi brzmiały teraz oficjalnie Samotność, Bieda, Podłość, Cierpienie i Przemijanie.

Crozier przyjął tę inicjatywę z rozbawieniem i zadowoleniem; wyglądało na to, że jego ludzie nie są jeszcze aż tak schorowani, wygłodniali i przygnębieni, by nie stać ich było na przebłyśki czarnego, żeglarskiego humoru.

Kiedy w końcu doszło do buntu, na jego czele stanął ostatni człowiek, którego Francis Crozier posądzalby o złe zamiary i niesubordynację.

Był środek dnia, komandor próbował przespać się choć przez chwilę, podczas gdy większość marynarzy przebywała poza obozem, na zwiadach lub na polowaniu. Usłyszał szuranie wielu stóp na śniegu przed jego namiotem i natychmiast zrozumiał, że szykują się kłopoty poważniejsze niż te, z którymi musieli radzić sobie na co dzień.

Wyrwany z płytkiej drzemki, Crozier natychmiast wstał i włożył płaszcz. Zawsze nosił naładowany rewolwer w prawej kieszeni, ostatnio jednak zaczął również nosić mniejszy, dwustrzałowy pistolet w kieszeni lewej.

Na otwartej przestrzeni między namiotem Croziera i izbą chorych stało około dwudziestu pięciu ludzi. Choć czapki i szaliki przesłaniały twarze wielu z nich, Crozier rozpoznał wszystkich niemal natychmiast. Nie zdziwił się wcale, ujrawszy w drugim rzędzie Corneliusa Hickeya, Magnusa Mansona, Richarda Aylmore'a i kilku innych malkontentów.

Był jednak ogromnie zaskoczony, kiedy zobaczył, kto stoi w pierwszym rzędzie.

Większość oficerów przebywała poza obozem, dowodząc oddziałami zwiadowców i myśliwych, których rankiem Crozier rozesłał na różne strony świata - komandor zbyt późno

uświadomił sobie, że popełnił błąd, wysyłając z obozu najbardziej lojalnych oficerów, między innymi porucznika Little'a, pierwszego oficera Roberta Thomasa, wiernego bosmanmata Toma Johnsona i Harry'ego Peglara, a zostawiając na miejscu marynarzy słabszych nie tylko fizycznie, ale i psychicznie. Jednak na czele grupy nie stali wcale ci najslabsi, najmniej inteligentni żeglarze, lecz młody porucznik Hodgson, Rebuen Małe, dowódca dziobówki, oraz dowódca przedniego masztu z *Erebusa*, Robert Sinclair. Małe i Sinclair zawsze byli zdyscyplinowanymi i lojalnymi marynarzami.

Crozier podszedł do zgromadzenia tak szybko, że Hodgson odruchowo cofnął się o dwa kroki i wpadł na idiotę Mansona.

- Czego chcecie? - wychrypiał Crozier, starając się przemawiać z jak największą mocą i stanowczością. - Co tu się dzieje, do diabła?

- Musimy porozmawiać, panie komandorze - odparł Hodgson. Głos młodego porucznika drżał ze zdenerwowania.

- O czym? - Crozier cały czas trzymał prawą rękę w kieszeni. Widział, że doktor Goodsir podszedł do otworu wyjściowego izby chorych i przyglądał się ze zdumieniem tłumowi zgromadzonemu przed namiotem. Crozier naliczył w sumie dwudziestu trzech ludzi. Wiedział, że nigdy nie zapomni ich twarzy ani nazwisk.

- O powrocie - odrzekł Hodgson. Przez stojący za nim tłum przebiegł pomruk aprobaty, zwiastun nadciągającego buntu.

Crozier nie zareagował od razu, analizując w myślach sytuację, która z dwóch powodów nie wyglądała tak źle, jak mógłby się tego spodziewać. Po pierwsze, nie był to jeszcze bunt w prawdziwym tego słowa znaczeniu - gdyby wszyscy marynarze, łącznie z Hodgsonem, Małe'em i Sinclairem, zdecydowali się na użycie siły, już by nie żył. Zaatakowaliby go w nocy, gdy robiło się ciemniej. Po drugie, choć dwóch czy trzech marynarzy trzymało w dłoniach strzelby, cała reszta uzbrojenia pozostawała w rękach sześćdziesięciu sześciu myśliwych i zwiadowców.

Crozier zanotował w myślach, by nigdy więcej nie pozwalać wszystkim żołnierzom opuszczać obozu jednocześnie. Tozer i jego podwładni koniecznie chcieli wybrać się na polowanie. Komandor był tak zmęczony, że bez zastanowienia wyraził na to zgodę.

Crozier wodził wzrokiem po twarzach buntowników. Niektórzy natychmiast spuszczaali wzrok, zawstydzeni. Inni, jak Małe i Sinclair, śmiało patrzyli mu w oczy. Hickey odpowiedział mu spojrzeniem tak zimnym i niehumanicznym, że Crozier mógłby je porównać tylko do wejrzenia białych niedźwiedzi - albo samego potwora z lodu.

- O powrocie dokąd? - spytał wreszcie.

- Do O-b-b-bozu *Terror* - wyjąkał Hodgson. - Jest tam jedzenie w puszkach, piece i trochę węgla. I inne łodzie.

- Nie bądź głupi - warknął Crozier. - Od Obozu *Terror* dzieli nas co najmniej sześćdziesiąt pięć mil. Dotarlibyście tam w październiku, w zimie, gdyby w ogóle wam się to udało.

Hodgson milczał, zbity z tropu, zastąpił go jednak dowódca dziobówki z *Erebusa*.

- Jesteśmy o wiele bliżej obozu niż tej cholernej rzeki, do której się wlecemy.

- To nieprawda, panie Sinclair - wychrypiał Crozier. - Zdaniem porucznika Little'a, i moim własnym, do zatoki prowadzącej do rzeki zostało nam już niecałe pięćdziesiąt mil.

- Do zatoki - parsknął pogardliwie marynarz Thompson. George Thompson znany był z pijaństwa i lenistwa. Crozier z pewnością nie był kimś, kto miał prawo krytykować innych za pijaństwo, brzydził się jednak lenistwem.

- Od zatoki do ujścia Rzeki Backa jest jeszcze pięćdziesiąt mil na południe - kontynuował Thompson. - W sumie ponad sto mil stąd.

- Uważaj, do kogo mówisz, Thompson - odrzekł Crozier takim tonem, że nawet ów bezczelny prostak spuścił wzrok. Komandor ponownie powiódł wzrokiem po tłumie i przemówił, zwracając się do wszystkich: - Nieważne, czy od początku zatoki do samego ujścia jest czterdzieści, czy pięćdziesiąt mil; jest całkiem prawdopodobne, że pojawi się tam otwarta woda... będziemy płynąć w łodziach, a nie ciągnąć je. A teraz zapomnijcie o tych bzdurach i wracajcie do swoich obowiązków.

Kilku ludzi posłusznie odwróciło się, by odejść, jednak na ich drodze stanął olbrzymi Mangus Manson, który zatrzymał ludzki strumień niczym tama. Reuben Małe powiedział:

- Chcemy wrócić do statku, komandorze. Uważamy, że tam będziemy mieli większe szanse.

Crozier nie wierzył własnym uszom.

- Wrócić do *Terroru*? Dobry Boże, Reuben, przecież to ponad dziewięćdziesiąt mil. Nigdy tam nie dotrzecie z tymi łodziami i saniami.

- Weźmiemy tylko jedną łódź - włączył się ponownie do rozmowy Hodgson. Ludzie pokiwali głowami z aprobatą.

- Jak to zjedna łodzią? O czym wy mówicie, do diabła?

- Tylko jedna łódź - powtórzył z naciskiem Hodgson. - Jedna łódź na jednych saniach.

- Mamy już dość tego cholernego ciągnięcia - odezwał się John Morfin, marynarz, który został ciężko ranny podczas karnawału.

Crozier zignorował go i zwrócił się do Hodgsona:

- Poruczniku, jak planujecie przewieźć dwadzieścia trzy osoby w jednej łodzi? Nawet gdybyście zabrali welbot, zmieści się tam co najwyżej dwunastu z was i minimalna ilość zapasów. A może zakładacie, że nim dotrzecie do obozu, co najmniej dziesięciu z was umrze? Rzeczywiście, tak pewnie będzie. Więcej niż dziesięciu.

- W Obozie *Terror* zostało osiem mniejszych łodzi - odpowiedział Sinclair, czyniąc krok do przodu i przyjmując agresywną postawę. - Weźmiemy stąd tylko jeden welbot, a do *Terroru* dopłyniemy już na tamtych łodziach.

Crozier patrzył nań przez chwilę z niedowierzaniem, a potem wybuchnął śmiechem.

- Myślicie, że lód na północny zachód od Ziemi Króla Williama popękał? Naprawdę w to wierzycie, głupcy?

- Tak. - Porucznik Hodgson skinął głową. - Na statku jest jedzenie. Mnóstwo puszek zjedzeniem. Moglibyśmy popłynąć stamtąd...

Crozier roześmiał się ponownie.

- Gotowi jesteście postawić własne życie na to, że pak popękał, a *Terror* nadaje się do żeglugi i czeka tylko, aż do niego przypłyniecie? Że w zimie, bo wtedy tam dojdziecie, lód będzie otwarty na przestrzeni trzystu mil?

- Prędzej uda nam się przepłynąć przez lód, niż dojść do tej cholernejszej rzeki! - krzyknął Richard Aylmore. Twarz stewarda wykrzywiały gniew, strach, uraza i... radość, że oto wreszcie ma swoje pięć minut.

- Chętnie poszedłbym z wami... - zaczął Crozier.

Hodgson zamrugał gwałtownie. Kilku marynarzy spojrzało po sobie.

- Żeby tylko zobaczyć wasze miny, kiedy przejdziecie wreszcie przez wszystkie te wały lodowe i zobaczycie, że lód złamał *Terror* tak samo jak *Erebusa*. - Zamilkł na kilka sekund, by marynarze zdążyli wyobrazić sobie ten widok, i dodał spokojniejszym już głosem: - Na miłość boską, spytajcie pana Honeya albo pana Wilsona, albo pana Goddarda, albo porucznika Little'a, w jakim stanie było poszycie *Terroru*, W jakim stanie był jego ster. Spytajcie Thomasa, jak fatalnie wyglądały wszystkie łączenia jeszcze w kwietniu... a mamy już lipiec, głupcy. Jeśli nawet lód

rzeczywiście trochę stopniał, to *Terror* i tak pewnie zatonął do tego czasu. A jeśli nawet nie zatonął, to czy wasza grupa, dwudziestu trzech ludzi, zdoła jednocześnie wypompowywać wodę i kierować statkiem? Gdyby jednak jakimś cudem udało wam się dotrzeć do statku, nim lód znów zamarźnie, gdybyście zdołali jakoś wypompowywać wodę i sterować nim jednocześnie, to powiedzcie mi, proszę, jak znajdziecie drogę przez lód? - Crozier ponownie umilkł na moment i powiódł spojrzeniem po tłumie. - Nie widzę tu pana Reida. Jest z grupą zwiadowczą porucznika Little'a. Bez lodomistrza macie niewielkie szanse, żeby przepłynąć trzy mile na południe, nie mówiąc o trzystu. - Crozier pokręcił głową i zachichotał, jakby marynarze opowiedzieli mu właśnie jakiś zabawny dowcip. - Wracajcie do swoich obowiązków... natychmiast - warknął. - Nie zapomnę, że wpadliście w ogóle na taki idiotyczny pomysł, ale postaram się zapomnieć o tym, jakim tonem mówiliście do mnie, i o tym, że przyszliście tutaj jak grupa buntowników, a nie jak marynarze Królewskiej Marynarki Wojennej, którzy chcą porozmawiać ze swoim komandorem. A teraz wracajcie do siebie.

- Nie - powiedział Cornelius Hickey głosem dość mocnym i stanowczym, by powstrzymać kilku niezdecydowanych marynarzy. - Pan Reid pójdzie z nami. Inni też.

- A to dlaczego? - spytał Crozier, przeszywając Hickeya wzrokiem.

- Nie będą mieli wyboru - odrzekł mat uszczelniaacz. Pociągnął Magnusa Mansona za rękaw i obaj mężczyźni wystąpili przed pierwszy szereg, mijając zdumionego Hodgsona.

Crozier postanowił, że najpierw zastrzeli Hickeya. Nie musiał nawet wyjmować w tym celu pistoletu ukrytego w kieszeni płaszcza. Poczekaj, aż Hickey zrobi jeszcze trzy kroki i wtedy strzeli mu w brzuch. Potem wyjmie pistolet i spróbuje trafić prosto w czoło olbrzyma Mansona. Wiedział, że strzał w tułów nie zdoła go powstrzymać.

Nagle, jakby jego myśl stała się ciałem, od strony wybrzeża dobiegł ich huk wystrzału.

Wszyscy oprócz komandora i mata uszczelniaacza odwrócili się w tamtą stronę. Crozier ani na moment nie spuszczał wzroku z Hickeya. Obaj mężczyźni odwrócili głowy dopiero, gdy do strzałów dołączyły krzyki.

- Otwarta woda!

Była to grupa zwiadowcza porucznika Little'a wracająca z lodu - lodomistrz Reid, bosman John Lane, Harry Peglar i kilku innych, wszyscy uzbrojeni w strzelby i muszkiety.

- Otwarta woda! - krzyknął ponownie Little. Wymachiwał rękami, zmierzając przez lód i żwir w ich stronę, zupełnie nieświadom dramatu, który rozgrywał się przed namiotem komandora. - Niecałe dwie mile na południe! Przesmyki wystarczająco duże dla łodzi. Ciągną się na południe przez wiele mil! Otwarta woda!

Hickey i Manson wmieszali się w tłum wiwatujących marynarzy, którzy jeszcze przed chwilą bliscy byli buntu. Niektórzy ściskali się z radości. Reuben Małe wyglądał tak, jakby chciało mu się wymiotować na myśl o tym, co przed chwilą chciał zrobić. Robert Sinclair usiadł ciężko na kamieniu, jakby nagle opadł całkiem z sił. Niegdyś silny i nieustraszony dowódca przedniego masztu ukrył twarz w dłoniach i zaczął płakać jak dziecko.

- Wracajcie do swoich namiotów i obowiązków - powiedział Crozier. - Za godzinę zaczniemy się pakować i sprawdzać maszty i takielunek w łodziach.

PEGLAR

Gdzieś w cieśninie pomiędzy Ziemią Króla Williama i Półwyspem Adelajdy. 9 lipca 1848.

Marynarze czekający w obozie szpitalnym chcieli ruszyć w drogę dziesięć minut po tym, jak grupa porucznika Little'a przyniosła wieści o otwartej wodzie, zwinęli jednak obóz następnego dnia, a dopiero po kolejnych dwóch dniach łodzie zsunęły się wreszcie z lodu i zanurzyły w ciemnej wodzie na południe od Ziemi Króla Williama.

Najpierw musieli czekać na powrót wszystkich grup zwiadowców i myśliwych. Niektóre z nich wróciły dopiero po północy, a ich członkowie resztką sił wsunęli się do śpiworów i zasnęli, nie usłyszawszy nawet dobrych wieści. Myśliwi nie mogli się pochwalić zbyt wielką zdobyczą, choć grupie Roberta Thomasa udało się zabić lisa polarnego i kilka królików, a grupa sierżanta Tozera przyniosła dwie pardwy.

Rankiem piątego lipca, w środę, izba chorych niemal całkowicie opustoszała, gdyż wszyscy, którzy stali o własnych siłach, chcieli pomóc w przygotowaniach do wyprawy na otwarte morze.

Po śmierci Henry'ego Lloyd'a i Toma Blanky'ego obowiązki pomocnika doktora Goodsira przejął John Bridgens. Poprzedniego popołudnia stary steward stał wraz z lekarzem w wejściu do izby chorych i obserwował próbę buntu. To właśnie Bridgens opisał całą tę scenę Harry'emu Peglarowi, który doznał niemal szoku, dowiedziawszy się, że po stronie buntowników stanął jego odpowiednik z *Erebusa*, Robert Sinclair. Mniej zaskoczyła go postawa Reubena Male'a, który był człowiekiem godnym zaufania, ale i wyjątkowo upartym. Niezwykle upartym. Nie czuł natomiast nic prócz pogardy w stosunku do Aylmore'a, Hickey'a i ich pochlebców. W oczach Harry'ego Peglara byli to ludzie małego ducha, którzy mieli usta pełne wielkich słów, lecz brakowało im poczucia przyzwoitości i lojalności.

W czwartek, 6 lipca, po raz pierwszy od ponad dwóch miesięcy maszerowali przez cały dzień po paku. Większość zapomniała już, jak trudne i męczące jest ciągnięcie sań po lodzie, nawet tutaj, pod osłoną Ziemi Króla Williama i wielkiego przylądka, który właśnie obesзли. Lód wciąż poprzecinany był wysokimi wałami, przez które musieli przeciągać wszystkie dziesięć łodzi i sań. Lód na otwartym morzu nie był tak śliski jak śnieg i lód przybrzeżny. Nie było tu żadnych dolinek, żadnych załamań terenu, a nawet żadnych głazów, za którymi mogliby się schronić przed wiatrem. Co gorsza, nie było tu także strumyków, z których mogliby się napić. Śnieżycy nie ustawała, a wiatr z południowego wschodu przybierał na sile, wiejąc im prosto w twarz, kiedy przeciągali łodzie przez dwie mile lodu dzielące ich od otwartej wody.

Po pierwszym dniu byli tak zmęczeni, że nie rozbijali nawet namiotów, a tylko ułożyli je na lodzie po zawietrznej stronie łodzi i sań i tuląc się do siebie w trzyosobowych śpiworach, przespał kilka godzin w półmroku zastępującym noc podczas lata arktycznego.

Pomimo śnieżycy, wiatru i licznych wałów lodowych stojących na ich drodze, pokonali dwie mile w rekordowym tempie i dotarli na miejsce rankiem 7 lipca, w piątek.

Pas otwartej wody zniknął. Zamknął się. Little wskazał na pasmo cieńszego lodu, grubości zaledwie trzech do ośmiu cali, znaczącego miejsce, gdzie jeszcze kilka dni temu mogliby płynąć łodziami.

Prowadzeni przez lodomistrza Reida szli przez większą część tego dnia po zygzakowatym szlaku cieńszego lodu na południowy wschód, a potem na wschód.

Prócz rozczarowania, zmęczenia i zimna odczuwali teraz również - po raz pierwszy od wielu lat - strach związany ze stąpaniem po cienkim lodzie.

Kilka minut po południu szeregowiec James Dały, który jako jeden z sześciu zwiadowców wysłanych przed kolumnę badał wytrzymałość lodu, nakłuwając go długą piką, wpadł do wody. Jego towarzysze szybko go z niej wyciągnęli, Dały zdążył już jednak posinieć na całym ciele. Doktor Goodsir kazał go natychmiast rozebrać do naga, owinąć w koce, przykryć dwoma kolejnymi kocami i ułożyć pod plandeką okrywającą jeden z kutrów. Dwaj inni marynarze mieli leżeć obok niego w tej przytulnej kryjówce i ogrzewać go własnymi ciałami. Mimo to szeregowiec Dały trząsł się na całym ciele, szcząkał zębami i majaczył do samego wieczora.

Lód, który przez dwa lata był równie nieruchomy i solidny jak stały ląd, teraz podnosił się i opadał powolnymi falami, co przyprawiało wszystkich o zawroty głowy, a niektórych również o wymioty. Poddawany działaniu ogromnego ciśnienia lód, nawet ten najgrubszy, trząsł, jęczał i eksplodował z hukiem, który rozlegał się daleko przed nimi, po bokach, tuż za nimi lub bezpośrednio pod ich stopami. Doktor Goodsir wyjaśniał im kilka miesięcy wcześniej, że jednym z objawów szkorbutu jest nadwrażliwość na dźwięki - huk wystrzału może nawet zabić chorego, mówił wtedy - a teraz większość spośród osiemdziesięciu dziewięciu ludzi ciągnących sanie przez lód doświadczała tego na sobie.

Nawet idiota taki jak Magnus Manson rozumiał, że jeśli którakolwiek z łodzi wpadnie pod lód - lód, który nie utrzymał ciężaru wychudzonego ciała Jamesa Dały - żaden z ludzi idących w zaprzęgu nie będzie miał najmniejszych szans na przeżycie. Wszyscy utoną, nim jeszcze zdążą zamarznąć na śmierć.

Przywykli do marszu w ciasnej kolumnie, marynarze czuli się dość dziwnie, gdy oficerowie kazali im rozproszyć się na jak największej przestrzeni. Czasami w gęstym śniegu poszczególne grupy nie widziały innych zaprzęgów, co wywoływało u ludzi strach i poczucie izolacji. Kiedy po południu wrócili po trzy kutry i dwie szalupy, nie szli po starych śladach i znów bali się, czy cienki lód ich utrzyma.

Niektórzy marynarze denerwowali się, że mogli już minąć zatokę prowadzącą na południe, do ujścia Rzeki Backa. Peglar widział mapy i wiedział dobrze, że od wejścia do zatoki dzieli ich jeszcze co najmniej trzydzieści mil. Przy takim tempie podróży, nawet gdyby znaleźli jedzenie i jakimś cudem wszyscy ozdrowieli, dotarliby do wejścia do zatoki nie wcześniej niż w sierpniu, a do ujścia rzeki we wrześniu.

Perspektywa żeglugi po otwartej wodzie sprawiała, że serce Harry'ego Peglara biło mocniej niż zwykle. Oczywiście, serce Harry'ego i tak biło ostatnio bardzo mocno i nieregularnie. Jego mama zawsze martwiła się jego sercem - jako chłopiec chorował na szkarlatynę i często miewał bóle w piersiach - on zawsze jednak mówił jej, że to bzdura, że jest dowódcą przedniego masztu na najwspanialszych okrętach świata i że człowiek o chorym sercu nigdy nie mógłby pracować na takim stanowisku. Jakoś udało mu się ją przekonać, że jest zdrowy, ale od czasu do czasu Peglar czuł dziwne trzepotanie w piersiach, po nim zaś kilkudniowe odrętwienie i ból lewej ręki, czasem tak dokuczliwe, że musiał wspinać się na szczyt masztu i górne drzewca, korzystając tylko z jednej ręki. Jego ludzie myśleli wtedy, że się popisuje.

Przez ostatnie tygodnie serce trzepotało mu w piersiach wyjątkowo często. Dwa tygodnie temu praktycznie stracił czucie w palcach lewej dłoni, a ból w lewym ramieniu nie ustawał ani na chwilę. Jakby tego było mało, wciąż dokuczało mu rozwolnienie. Peglar zawsze był człowiekiem skromnym, wręcz wstydliwym, i nie umiał, jak pozostali marynarze, załatwiać swych potrzeb na oczach wszystkich, na przykład wystawiając tyłek za burtę statku, lecz czekał z tym aż do zapadnięcia ciemności lub do czasu, gdy mógł udać się do ubikacji.

Lecz podczas tego marszu nie było żadnych ubikacji. Nie było nawet krzaka albo skały, za

którą mógłby się schować. Marynarze z zaprzęgu Peglara śmiali się, że ich mat woli chować się przed nimi i ryzykować śmierć w paszczy potwora, którego nazwali Terrorem, niż załatwić się spokojnie w ich obecności.

Jednak to nie dobrodusze docinki marynarzy kłopotowały Peglara najbardziej podczas ostatnich tygodni; najgorsze było doganianie zaprzęgu i zajmowanie miejsca w uprzęży. Był tak wyczerpany wewnętrznym krwawieniem, brakiem pożywienia i trzepotaniem serca, że miał coraz większe kłopoty z dopędzeniem oddalających się łodzi.

Dlatego też Harry Peglar był chyba jedynym spośród osiemdziesięciu dziewięciu marynarzy, który cieszył się z opadów śniegu i z gęstej mgły, gdy ta napływała po ustąpieniu śnieżycy.

Mgła sprawiała jednak wszystkim sporo kłopotów. Zaprzęgi wędrujące po zdradzieckim lodzie w tak dużych odległościach od siebie mogły się łatwo zgubić. Nawet powrót po drugą piątkę łodzi sprawił im sporo problemów, gdyż pod wieczór mgła zaczęła gęstnieć. Komandor Crozier zarządził postój, by przedyskutować tę kwestię. Zarządził, że w jednym miejscu nie może stać na lodzie więcej niż piętnastu ludzi, i to nie w pobliżu łodzi. Tego wieczora ciągnęli sanie w najmniejszych zaprzęgach, jakie mogły poradzić sobie z tą wielką masą drewna i sprzętu.

Sanie mogły sprawić im sporo kłopotów natury logistycznej, gdyby w końcu dotarli do obiecannej otwartej wody. Istniało duże prawdopodobieństwo, że przed dotarciem do ujścia Rzeki Backa musieliby ponownie wciągnąć kutry i szalupy na sanie, nie mogli więc zostawić ich po prostu na lodzie. Przed wymarszem, w czwartek, Crozier kazał przeciwłożyć zdejmowanie łodzi, składanie ciężkich sań na tyle, na ile można je było złożyć, i układanie ich w łodziach. Trwało to kilka godzin.

Układanie łodzi ponownie na saniach było dla marynarzy prawdziwą próbą sił i cierpliwości. Opuchnięte i zziębnięte palce nie radziły sobie z najprostszymi węzłami. Drobne skaleczenie krwawiło przez kilka godzin. Najmniejsze uderzenie zostawiało na ich ciałach wielkie siniaki.

Teraz wiedzieli już jednak, że mogą to zrobić - złożyć sanie i załadować je do łodzi, a potem rozłożyć ponownie.

Crozier kazał każdemu zespołowi nieść zapaloną lampę z przodu i z tyłu zaprzęgu. Odwołał bezużytecznych żołnierzy badających wytrzymałość lodu za pomocą pik i wyznaczył porucznika Hodgsona na oficera dowodzącego pierwszą spośród pięciu łodzi sunących po lodzie w formacji przypominającej kształtem romb. Ciężki welbot Hodgsona, przewodzący całej piątce, wyładowany został sprzętem o najmniejszej wartości.

Wszyscy wiedzieli, że młody Hodgson został w ten sposób wyróżniony za udział w próbie buntu. W jego zaprzęgu, oprócz prowadzącego Magnusa Mansona, znaleźli się także Aylmore i Hickey, którzy do tej pory pracowali w różnych zespołach. Gdyby ich sanie wpadły do wody, pozostali słyszeliby ich krzyki, nie mogliby im jednak w żaden sposób pomóc.

Około ósmej wieczorem ludzie z zaprzęgu Hodgsona rzeczywiście zaczęli krzyczeć, jednak nie dlatego, że załamał się pod nimi lód. Znaleźli otwartą wodę, ponad milę na południowy wschód od miejsca, gdzie kilka dni wcześniej po raz pierwszy dostrzegł ją porucznik Little.

Pozostałe zespoły wysłały do przodu ludzi z lampami. Marynarze stąpali ostrożnie po lodzie, przekonani, że jest wyjątkowo cienki, choć w rzeczywistości miał ponad stopę grubości i to aż do samej krawędzi przesmyku.

Pas ciemnej wody miał tylko trzydzieści jardów szerokości, ciągnął się jednak na wschód i znikał we mgle.

- Poruczniku Hodgson - rozkazał Crozier - proszę przygotować w pańskim welbocie miejsce dla sześciu ludzi z wiosłami. Proszę wyłożyć na lód zbędny sprzęt i zapasy. Dowodzenie nad welbotem przejmie porucznik Little. Panie Reid, wyruszy pan z porucznikiem. Popłyniecie w dół

przesmyku przez dwie godziny, jeśli będzie to możliwe. Nie podnoście żagla, poruczniku. Korzystajcie tylko z wiosła. Po dwóch godzinach - jeśli uda wam się tyle płynąć - zawróćcie i powieście nam, czy waszym zdaniem warto spuszczać łodzie na wodę. My w tym czasie przepakujemy wszystko i ułożymy sanie w łodziach.

- Tak jest, komandorze. - Little skinął głową i zaczął wydawać rozkazy. Peglar miał wrażenie, że młody Hodgson zaraz się rozplacze. Z pewnością musiał czuć się okropnie, wiedząc, że nie ma już szans na zrobienie kariery w marynarce wojennej, choć skończył zaledwie dwadzieścia kilka lat. Dobrze mu tak, pomyślał Peglar. Sam od dziesięcioleci służył w marynarce, w której wieszano ludzi i chłostało ich za samą myśl o buncie, a Harry Peglar nigdy nie uważał tej zasady ani tej kary za niesprawiedliwość.

Crozier podszedł do niego.

- Harry, czujesz się na tyle dobrze, żeby popłynąć z porucznikiem Little'em? Chciałbym, żebyś sterował. Pan Reid i porucznik Little będą siedzieć na dziobie.

- Tak jest, komandorze, czuję się świetnie. - Peglar był zszokowany, że komandor Crozier uznał, iż zachowuje się lub wygląda, jakby był chory. *Czyżbym zachowywał się jak symulant?* Na samą myśl, że mógłby zachowywać się w ten sposób, zrobiło mu się niedobrze.

- Potrzebuję dobrego sternika i kogoś, kto umie ocenić, czy ten przesmyk wart jest zachodu - wyszeptał Crozier. - I potrzebuję też chociaż jednego człowieka, który umie pływać.

Peglar uśmiechnął się, choć jednocześnie zrobiło mu się przeraźliwie zimno na samą myśl o pływaniu w ciemnej, lodowatej wodzie. Temperatura powietrza dawno już spadła poniżej poziomu zamarzania, a nasycona solą woda z pewnością nie była od niego cieplejsza.

Crozier poklepał Peglara po plecach i przeszedł do kolejnego „ochotnika”. Dowódca przedniego masztu od razu zrozumiał, że Crozier starannie dobiera uczestników wyprawy, zatrzymując jednocześnie przy sobie kilku zaufanych ludzi, takich jak pierwszy oficer Des Voeux, pierwszy oficer Robert Thomas, bosmanmat z *Terroru*, Tom Johnson, oraz wszystkich żołnierzy.

Po trzydziestu minutach ich łódź była już gotowa do podróży.

Choć ta wyprawa miała trwać zaledwie cztery godzinny, zabierali ze sobą sporo sprzętu. Mieli worek solonej wieprzowiny i sucharów, a także kilka butelek z wodą, na wypadek gdyby się zgubili lub gdyby ich podróż znacznie się wydłżyła. Każdy z dziewięciu uczestników ekspedycji wyposażony został w kilof lub siekierę. Gdyby na drodze stanął im jakiś blok lodowy lub tafla lodu, mogli spróbować się przez nią przebić. Peglar wiedział, że jeśli natrafią na szeroki i gruby pas lodu, przeniosą łódź do następnego przesmyku z otwartą wodą. Miał nadzieję, że zostało mu jeszcze dość sił, by wziąć udział w przeciąganiu lub przepychaniu ciężkiego welbota.

Komandor Crozier wręczył porucznikowi Little'owi strzelbę i paczkę nabojów. Porucznik ułożył je na dziobie.

Peglar wiedział, że w łodzi znajduje się także duży namiot i trzy trzyosobowe śpiwory, miał jednak nadzieję, że nie utkną w lodzie i nie będą ich potrzebować.

Gdy ułożono już cały sprzęt i zapasy, marynarze weszli w końcu do łodzi i usadowili się na swoich miejscach. Minionej zimy Crozier i pozostali oficerowie zastanawiali się, czy pan Honey - i pan Weekes, który kilka tygodni później zginął podczas marcowego ataku potwora na *Erebus* - nie powinien podwyższyć burt wszystkich łodzi, dzięki czemu byłyby one lepiej przystosowane do żeglugi po morzu. Ostatecznie jednak zdecydowano zostawić nadburcia na dotychczasowej wysokości, co z kolei ułatwiało podróż po rzece. Komandor Crozier kazał też skrócić wszystkie wiosła, by można ich było swobodniej używać w wąskim korycie rzeki.

Sprzęt, który wciąż pozostawał na dnie łodzi, nie pozwalał marynarzom rozsiać się

wygodnie. Wioślarze musieli opierać nogi na pakunkach, trzymali więc kolana na wysokości głowy, co z pewnością nie ułatwiało im pracy. Peglar także nie siedział na ławeczce sternika, lecz na jakiejś grubej, owiniętej sznurem beli - wszyscy jednak jakoś się zmieścili, a na dziobie zostało jeszcze miejsce dla porucznika Little'a i pana Reida, wyposażonych w długie piki.

Wszyscy chcieli jak najszybciej spuścić łódź na wodę. Po kilku chóralnych „hej-ho” i „raz-dwa-trzy” ciężki welbot zsunął się z lodu, dziób zanurzył się na dwie stopy w ciemnej wodzie, wioślarze zaczęli odpychać się od krawędzi lodu, ludzie stojący na lodzie naparli na rufę i wreszcie łódź opadła na wodę - pierwsza jednostka pływająca z *Erebusa* i *Terroru* po ponad dwóch latach i dziewięciu miesiącach przerwy.

Wszyscy wzniesli spontaniczny okrzyk radości, po nim zaś tradycyjne potrójne „hip hip hurra”.

Peglar skierował łódź na środek przesmyku i starał się ją tam utrzymać - nie było to łatwe, gdyż przesmyk miał tutaj niewiele ponad dwadzieścia stóp szerokości, a czasem był tak wąski, że ledwie mieściły się w nim wiosła - a gdy znalazł wreszcie chwilę, by się odwrócić i spojrzeć do tyłu, zobaczył już tylko nieprzeniknioną ścianę mgły.

Przez następne dwie godziny Harry Peglar czuł się jak we śnie. Zdarzyło mu się już wcześniej sterować małą łodzią w lodzie - dwa lata temu, kiedy szukali dobrej przystani dla obu okrętów przy wyspie Beechey, ponad tydzień pływali wzdłuż brzegu w łodziach, a Peglar dowodził jedną z nich - było to jednak zupełnie inne doświadczenie. Przesmyk wciąż był bardzo wąski, niekiedy tak wąski, że nie wiosłowali, lecz odpychali się wiosłami od lodowych brzegów. Od czasu do czasu kanał zakręcał w lewo lub prawo, jednak zakręty te nigdy nie były tak ciasne, by łódź nie mogła się w nich zmieścić. Zwały lodu i śniegu ograniczały widoczność po obu stronach, mgła na przemian gęstniała, to znów podnosiła się, by później znów okryć ich szarym całunem. Dźwięki wydawały się jednocześnie przytłumione i wzmocnione, co budziło we wszystkich dziwny niepokój, po jakimś czasie marynarze porozumiewali się więc wyłącznie szeptem.

Kilkakrotnie natknęli się na miejsca, gdzie pływający lód blokował im drogę albo też sam przesmyk był zamrożony. Marynarze wychodzili wówczas z łodzi i odpychali krę za pomocą pik albo rozbijali lód kilofami. Kilku ludzi zostawało potem na brzegu, by za pomocą lin przeciągać ciężką łódź przez wąski kanał. Później przesmyk znów rozszerzał się na tyle, że marynarze mogli wejść do łodzi i wiosłować.

Przeciskali się tak do przodu niemal przez całe dwie godziny, które dał im komandor Crozier, kiedy zygzakowaty przesmyk znów się zwęził. Burty zgrzytały o brzegi, gdy marynarze odpychali się wiosłami od lodu. Nagle wypłynęli na najszerszy pas otwartej wody, jaki widzieli podczas tej podróży. Jakby chcąc upewnić ich, że najgorsze mają za sobą, mgła podniosła się i ukazała ich oczom setki jardów falującej wody.

Dotarli do otwartego morza albo do wielkiego jeziora w lodzie. Smuga słonecznego światła, która przebiła się przez warstwę chmur, zabarwiła wodę na niebiesko. W lazurowym morzu pływało kilka niskich gór lodowych różnej wielkości. Marynarze przysłonili oczy, chroniąc je przed jaskrawym światłem odbitym od lodu, śniegu i wody.

Sześciu wioślarzy wzniosło spontaniczny okrzyk radości.

- Jeszcze nie, panowie - powiedział porucznik Little, który stanął na dziobie i oglądał okolicę przez swą mosiężną lunetę. - Nie wiemy jeszcze, czy to ciągnie się dalej... czy z tego jeziora jest jakaś inna droga prócz tej, którą tu przypłynęliśmy. Sprawdźmy to, zanim wrócimy.

- Och, na pewno się ciągnie! - krzyknął wioślarz o nazwisku Berry. - Czuję to w kościach. Dopłyniemy tedy do samego ujścia rzeki. Wrócimy po resztę, rozwiniemy żagle i będziemy tam jutro

przed kolacją.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz, Alex - odparł porucznik Little. - Ale najpierw musimy poświęcić trochę czasu i wysiłku, żeby to sprawdzić. Chciałbym przywieźć naszym towarzyszom naprawdę dobre wieści.

Pan Reid, lodomistrz, wskazał na przesmyk, z którego właśnie wypłynęli.

- Tutaj jest pełno szczelin. Możemy potem nie trafić do właściwej, jeśli jej teraz nie oznaczymy. Podpłynmy tam. Panie Peglar, może wzięłoby pan zapasową pikę i wbił ją w śnieg przy brzegu. Wtedy na pewno tu trafimy.

- Tak jest - odparł Peglar.

Oznaczywszy właściwy przesmyk, wypłynęli ponownie na otwartą wodę. W odległości niecałych stu jardów od wejścia do kanału na falach unosiła się olbrzymia góra lodowa.

- Moglibyśmy rozbić na niej obóz i jeszcze mielibyśmy mnóstwo miejsca - powiedział Henry Sait, jeden z marynarzy *Terroru* siedzących przy wiosłach.

- Nie chcemy rozbijać obozu - odrzekł porucznik Little. - Mamy już dość rozbijania obozów na całe życie. Chcemy płynąć do domu.

Marynarze odpowiedzieli mu chóralnym okrzykiem aprobaty i naparli mocniej na wiosła. Peglar zaintonował szantę, a wiosłarze wnet się do niego przyłączyli, po raz pierwszy od wielu miesięcy śpiewając prawdziwą marynarską pieśń.

Zajęło im to trzy godziny - godzinę ponad czas, w którym powinni byli wrócić do pozostałych - ale musieli mieć pewność.

„Otwarta” woda była iluzją; jezioro w lodzie miało półtorej mili długości i dwie trzecie mili szerokości. Wzdłuż brzegów otwierały się dziesiątki szczelin i przesmyków wiodących na południe, wszystkie jednak były w rzeczywistości tylko krótkimi zatoczkami.

Dotarłszy do południowo-wschodniego brzegu jeziora, przycumowali łódź do lodowej półki, a potem wyciosali w grubej na sześć stóp warstwie lodu schody, jakby była to keja. Wszyscy marynarze wspięli się na powierzchnię lodu i spojrzeli w stronę, w której mieli nadzieję ujrzeć kolejne pasmo otwartej wody.

Plaska biała równina. Śnieg, lód i seraki. Niebo znów zasnuwało się chmurami, nad lodem sunęła mgła. Zaczął padać śnieg.

Kiedy już porucznik Little rozejrzał się we wszystkich kierunkach, usadzili najmniejszego uczestnika wyprawy, Berry’ego, na ramionach największego, trzydziestosześcioletniego Billy’ego Wentzalla, i wręczyli mu lunetę. Berry obserwował horyzont, mówiąc Wentzallowi, kiedy ma się obrócić.

- Ani jednego pingwina - oświadczył w końcu. Był to stary żart, odnoszący się do podróży komandora Croziera na drugi biegun. Nikt się nie roześmiał.

- Widzisz gdzieś ciemniejsze niebo? - spytał porucznik Little. - Takie jak nad otwartą wodą? Albo czubek jakiejś dużej góry lodowej?

- Nie, panie poruczniku. Widzę tylko chmury. Little skinął głową.

- Wracajmy, chłopcy. Harry, zejdź pierwszy do łodzi i przytrzymaj ją, dobrze?

Żaden z nich nie odezwał się ani słowem podczas półtoragodzinnej drogi powrotnej przez jezioro. Słońce zniknęło, a nad wodą pojawiła się mgła, wkrótce jednak zobaczyli ogromną górę lodową, co upewniło ich, że płyną we właściwym kierunku.

- Jesteśmy już prawie przy przesmyku! - zawołał Little z dziobu. Chwilami mgła była tak gęsta, że Peglar z trudem dostrzegał sylwetkę porucznika. - Panie Peglar, trochę na lewo, proszę.

- Tak jest.

Wioślarze nawet nie podnosili głów, pogrążeni w niewesołych rozmyślaniach. Znowu padał na nich śnieg, tym razem jednak z północnego zachodu. Teraz przynajmniej zwróceni byli do niego plecami.

Kiedy mgła podniosła się na chwilę, od brzegu dzieliło ich nie więcej niż sto stóp.

- Widzę tyczkę - oświadczył pan Reid beznamiętnym tonem. - Trochę na prawo, Harry. Nieźle ci poszło.

- Coś jest nie tak - powiedział nagle Peglar.

- Co masz na myśli? - zdziwił się porucznik. Kilku marynarzy podniosło w końcu głowy i spojrzało pytająco na Peglara. Siedzieli zwróceni tyłem do dziobu, nie widzieli więc, co dzieje się przed łódką.

- Widzi pan ten serak albo wielką bryłę lodu obok tyczki, którą zostawiłem przy przesmyku? - spytał Harry.

- Owszem - odparł porucznik Little. - I co z tego?

- Nie było go tam, kiedy stąd wypływaliśmy.

- Do tyłu! - rozkazał Little, zupełnie niepotrzebnie, gdyż marynarze już zaczęli wiosłować w drugą stronę, jednak rozpędzona ciężka łódź wciąż sunęła do brzegu.

Lodowy blok odwrócił się do nich.

GOODSIR

Ziemia Króla Williama, szerokość geograficzna nieznana, długość geograficzna nieznana.

18 lipca 1848.

Z prywatnego dziennika doktora Harry'ego D.S. Goodsira:

Czwartek, 18 lipca 1848

Dziewięć dni temu, kiedy nasz komandor wysłał porucznika Little 'a i ośmiu marynarzy w głąb przesmyku i kazał im wrócić po czterech godzinach, ludzie pozostali na łodzie przespali resztę owych czterech godzin. W ciągu dwóch godzin zapakowaliśmy sanie do łodzi, a potem ułożyliśmy obok nich nieprzemakalny brezent, skórę z renifera i śpiwory, próbując złapać choćby godzinę snu. Był już początek lipca i słońce znów zaczęło chować się około północy za horyzont, przespaliśmy więc - albo próbowaliśmy przespać - tych kilka godzin ciemności. Byliśmy bardzo zmęczeni.

Po upływie czterech godzin pierwszy oficer Des Voeux zbudził wszystkich marynarzy, ale porucznik Little wciąż nie wracał. Komandor pozwolił większości spać dalej.

Dwie godziny później wszyscy byli już na nogach, a ja starałem się pomagać, wykonując rozkazy drugiego oficera Coucha i przygotowując łodzie do drogi. (Oczywiście jako lekarz zawsze boję się o swoje ręce, choć prawdą jest, że podczas tej wyprawy wielokrotnie były już okaleczone i odmrożone.)

Dopiero po siedmiu godzinach od chwili, gdy porucznik Little, James Reid, Harry Peglar i sześciu marynarzy wyruszyło na zwiad, nasza osiemdziesiątka gotowa była wreszcie do drogi. Ze względu na ruchy lodu i spadek temperatury przesmyk zwęził się nieco podczas tych kilku godzin, więc właściwie ułożenie łodzi na otwartej wodzie nie było wcale łatwe. W końcu ustawiliśmy się w następującej kolejności - najpierw płynęły trzy welboty (pierwszym dowodził komandor Crozier, drugim zaś, w którym znalazłem się i ja, drugi oficer Couch), potem cztery kutry (dowodzone odpowiednio przez pierwszego oficera Roberta Thomasa, bosmanmna Johna Lane'a, bosmanmata Thomasa Johnsona oraz porucznika Hodgsona), na końcu zaś dwie szalupy dowodzone przez bosmanmata Samuela Browna i pierwszego oficera Charlesa Des Voeux.

Zrobiło się zimniej, zaczął też prószyć drobny śnieg, jednocześnie jednak podniosła się mgła, która przyjęła postać gęstych chmur sunących zaledwie sto jardów nad lodem. Choć dzięki temu znacznie poprawiła się widoczność, wszyscy czuliśmy się dziwnie przytłoczeni, jakbyśmy zostali zamknięci w ogromnej sali balowej o spękanej marmurowej podłodze i suficie pomalowanym szarą farbą.

Gdy ostatnia, dziewiąta łódź opadła na wodę, a załoga usiadła na swoich miejscach, marynarze, którzy po raz pierwszy od niemal dwóch lat znaleźli się na otwartym morzu, próbowali uczcić tę chwilę okrzykiem radości, ale próba ta speliła na niczym. Niepokój o losy wyprawy porucznika Little'a był zbyt wielki, by ktokolwiek miał ochotę na świętowanie.

Przez pierwsze półtorej godziny w ciszy arktycznego poranka słyszeć było jedynie pojękiwania i skrzypienie lodu oraz postękiwania marynarzy pracujących przy wiosłach. Ponieważ jednak siedziałem w pobliżu dziobu drugiej łodzi, na ławce tuż za plecami pana Coucha, świadom, że w chwilach takich jak ta jestem zupełnie nieprzydatny, że równie dobrze mógłbym leżeć jak kłoda, pogrążony w śpiączce niczym biedny David Leys - marynarze bez słowa skargi ciągną go ze sobą już od ponad trzech miesięcy, a mój nowy pomocnik, były steward John Bridgens, karmi go i podciera co wieczór w naszym namiocie medycznym, jakby był to jego ukochany, lecz

sparaliżowany dziadek (brzmi to jak niezamierzona ironia, gdyż Bridgens ma ponad sześćdziesiąt lat, a Leys tylko czterdzieści). Słyszałem całkiem wyraźnie rozmowy prowadzone szeptem przez wiosłarzy.

- Little i inni musieli się zgubić - wyszeptał marynarz Coombs.

- Porucznik Edward Little na pewno się nie zgubił - odparł Charles Best. - Mógł gdzieś utknąć, ale nie zgubić się.

- Utknąć w czym? - spytał Robert Ferrier od sąsiedniego wiosła. - Ten przesmyk cały czas jest otwarty.

- Może porucznik Little i pan Reid znaleźli otwartą drogę aż do rzeki, podnieśli żagiel i popłynęli - wyszeptał Tom McConvey. - Mówię wam, oni już tam są... jedzą łososie, które same im wskakują do łódki, i kupują za paciorki mięso od tubylców.

Nikt nie skomentował tej nieprawdopodobnej sugestii. Od czasu śmierci porucznika Iruinga i masakry ośmiu dzikusów każda wzmianka o Eskimosach budziła wśród marynarzy konsternację. Choć wszyscy uczestnicy naszej ekspedycji marzą o ratunku z czyichkolwiek rąk, większość zapewne bardziej się obawia spotkania z tubylcami, niż na nie liczy. Niektórzy filozofowie twierdzą, że zemsta to jedna z najsilniejszych motywacji znanych ludzkości, a marynarze z pewnością się z tym twierdzeniem zgadzają.

Po ponad dwóch godzinach podróży welbot komandora Croziera wypłynął z wąskiego przesmyku na szeroki pas otwartej wody. Marynarze z pierwszych łodzi krzyknęli radośnie. Przy wyjściu z przesmyku stała wysoka czarna pika, oblepiona od północnego zachodu warstwą zmarzniętego śniegu.

Radosne krzyki ucichły raptownie, gdy nasze łodzie wypłynęły na otwartą wodę.

Woda była czerwona.

Na taflach lodu po obu stronach wyjścia z przesmyku, zarówno na płaszczyznach poziomych, jak i na pionowych krawędziach, ciągnęły się czerwone smugi, które mogły być jedynie śladami krwi. Widok ten przyprawił mnie o zimny dreszcz, widziałem też, że marynarze byli nim głęboko wstrząśnięci.

- Spokojnie, panowie - mruknął pan Couch. - To tylko krew fok zabitych przez białe niedźwiedzie; widzieliśmy takie ślady dwa lata temu.

Komandor Crozier prawdopodobnie mówił to samo do swoich ludzi w pierwszej łodzi.

Minutę później wiedzieliśmy już, że te krwawe smugi to nie ślady fok zabitych przez białe niedźwiedzie.

- Chryste! - wykrzyknął nagle Coombs. Wszyscy przestali wiosłować. Trzy welboty, cztery kutry i dwie szalupy unosiły się bezwładnie na czerwonej wodzie.

Dziób welbota porucznika Little'a wystawał pionowo z morza. Na burcie widać było wyraźnie napis Lady J. Franklin wymalowany czarną żeglarską farbą (była to jedna z pięciu łodzi, które zachowały swą nazwę po majowym kazaniu komandora Croziera). Podpłynąwszy bliżej, przekonaliśmy się, że welbot został przełamany w odległości około czterech stóp od dziobu, na wysokości pierwszej ławki, i na powierzchni wody unosi się tylko ta przednia część.

Marynarze zaczęli zbierać inne szczątki unoszące się na wodzie: wiosło, kawałki połamanych desek, uszanke, torbę na naboje, rękawicę, kawałek kamizelki.

Marynarz Ferrier za pomocą bosaka zaczął przyciągać do łodzi coś, co wyglądało na marynarską kurtkę, nagle jednak krzyknął przejęty zgrozą i omal nie wypuścił bosaka z dłoni.

W czarnej wodzie pływało bezgłowe, ludzkie ciało, odziane wciąż w niebieską wełnianą kurtkę. Jego palce, lekko już opuchnięte i dziwnie skrócone, unosiły się miarowo na falach i

poruszały bezustannie niczym grube, białe robaki. Wyglądało to tak, jakby ów martwy już człowiek chciał nam coś przekazać za pomocą języka migowego.

Pomogłem Ferrierowi i McCowueyowi wciągnąć szczątki do łodzi. Ryby lub jakiś wodny drapieżnik obgryzły już dłonie nieszczęśnika - palce zostały zjedzone do drugiego stawu - lecz chłód opóźnił proces rozkładu.

Łódź komandora Croziera podpłynęła bliżej.

- Kto to jest? - wymamrotał jakiś marynarz.

- To Harry Peglar! - odkrzyknął inny. - Poznaję jego kurtkę.

- Harry Peglar nie nosił żółtej kamizelki - wtrącił jeszcze inny.

- Sammy Crispy miał taką! - wykrzyknął czwarty marynarz.

- Cisza! - ryknął komandor Crozier. - Doktorze Goodsir, zechce pan przeszukać kieszenie tego nieszczęśnika.

Zrobiłem to. Z największej kieszeni kamizelki wyjąłem niemal całkiem pusty woreczek z tytoniem, obsyty czerwoną skórą.

- Cholera! - zaklął Thomas Tadman, siedzący na mojej łodzi obok Roberta Ferriera. - To biedny pan Reid.

Tak było w istocie. Wszyscy przypomnieli sobie wtedy, że poprzedniego wieczora lodomistrz ubrany był tylko w kurtkę i zieloną kamizelkę, wszyscy też setki razy widzieli, jak nabijał fajkę tytoniem wydobytym z owego woreczka z czerwonej skóry.

Spojrzelismy na komandora Croziera, jakby tylko on mógł nam wyjaśnić, co stało się z naszymi towarzyszami, choć w głębi duszy wszyscy dobrze to wiedzieliśmy.

- Proszę ułożyć ciało pana Reida w łodzi - rozkazał komandor Crozier. - Musimy przeszukać dokładnie okolicę, może komuś udało się ujść z życiem. Niech nikt nie oddala się poza zasięg wzroku i głosu.

Łodzie rozpląły się na różne strony. Pan Couch skierował nasz welbot z powrotem do wyjścia z przesmyku, którym tu przyplłynęliśmy. Przesuwaliśmy się powoli wzdłuż krawędzi lodu wyrastającej z wody na wysokość czterech stóp. Zatrzymywaliśmy się przy każdej smudze krwi na powierzchni kry i na jej pionowej krawędzi, nie znaleźliśmy jednak więcej ciał.

- A niech to - wy jęczał trzydziestoletni Francis Pocock, który sterował naszą łodzią. - Patrzcie na te zakrwawione ślady palców wyżłobione w śniegu. Potwór musiał wciągnąć biedaka z powrotem do wody.

- Stulcie mordy i nie wygadujcie więcej takich głupot! - warknął pan Couch, spoglądając groźnie na wioślarzy. Wszyscy posłusznie umilkli.

Na łodzie po północno-zachodniej stronie otwartej wody widać było trzy takie krwawe ślady. Trzecie, odległe o jakieś dziesięć stóp od krawędzi lodu, wskazywały miejsce, gdzie ktoś został zjedzony. Zostało po nim kilka kości nóg, kilka żeber, fragment jakiejś tkanki, która mogła być ludzką skórą, i kilka kawałków ubrań.

- Proszę wysadzić mnie na brzeg, panie Couch - powiedziałem. - Zbadam te szczątki.

Tak też zrobiłem. Niemal w każdym innym zakątku świata nad resztkami czerwonego mięsa, kości i rozciągniętych na łodzie wnętrzości krążyłyby roje much, tutaj jednak nad lodem zalegała cisza przerywana tylko pojękiwaniem lodu.

Zawołałem w stronę łodzi, że nie mogę zidentyfikować zwłok. Nawet resztki ubrań były zbyt nienowoczesne i zbyt zniszczone, by mi w tym pomóc. Nie znalazłem ani głowy, ani butów, ani rąk, ani nóg, ani nawet tułowia - jedynie kilka pogryzionych żeber, fragment kręgosłupa i połowę miednicy.

- Proszę tam zostać, doktorze Goodsir! - zawołał Couch. - Wysyłam do pana Marka i Tadmana z pustą torbą. Proszę włożyć do niej szczątki tego nieszczęśnika. Komandor Crozier na pewno zechce je pogrzebać.

Była to ponura praca, ale szybko się z nią uporaliśmy. Ostatecznie kazałem dwóm krzywiącym się z obrzydzenia marynarzom zapakować do worka tylko żebra i kawałek miednicy. Kręgosłup przymarzł do lodu, a pozostałe szczątki były zbyt rozdrobnione, by warto je było zbierać.

Odpułynęliśmy właśnie od krawędzi lodu, by zbadać południowy brzeg otwartej wody, kiedy od północy dobiegł nas strzał.

- Znaleźliśmy człowieka! - krzyczał jakiś marynarz. - Znaleźliśmy człowieka!

Wszyscy chyba czuliśmy mocniejsze bicie serca, kiedy Coombs, McConvey, Ferrier, Tadman i Johns napierali z całych sił na wiosła, pchając naszą łódź w stronę wielkiego kawałka lodowej kry, która wypłynęła na środek mającego kilkaset jardów obszaru otwartej wody. Wszyscy chcieliśmy odnaleźć jakiegoś żywego uczestnika wyprawy porucznika Little'a.

Nie było nam to dane.

Komandor Crozier był już na lodzie i przywołał mnie do leżącego tam ciała. Przyznam, że poczułem się wówczas trochę wykorzystywany; nie rozumiałem, dlaczego nawet komandor nie może stwierdzić śmierci człowieka, który bez wątpienia był już martwy od kilku godzin. Byłem bardzo zmęczony.

Na lodzie leżał Harry Peglar, niemal zupełnie nagi - miał na sobie tylko bieliznę - zwiniętą w kłębek, z kolanami podciągniętymi pod brodę, nogami skrzyżowanymi w kostkach i dłońmi schowanymi pod pachami, jakby próbował do ostatniej chwili zachować choćby resztki ciepła.

Jego błękitne oczy były zamrożnięte i otwarte. Jego ciało także było niebieskie i twarde jak marmur.

- Pewnie dopłynął do kry, wspiął się na nią i zamarznął tu na śmierć - rzekł cicho pan Des Voeux. - Potwór nie złapał ani nie okaleczył Harry'ego.

Komandor Crozier skinął tylko głową. Wiedziałem, że komandor lubił Harry'ego Peglara i ufał mu. Ja także go lubiłem. Większość marynarzy go lubiła.

Po chwili zobaczyłem, czemu przygląda się Crozier. Na śniegu pokrywającym krę, szczególnie wokół ciała Harry'ego Peglara, widniały wielkie ślady, podobne do śladów białego niedźwiedzia, tyle że trzy lub cztery razy większe.

Potwór obszedł Harry'ego wiele razy. Przyglądał się, jak biedny pan Peglar umiera, drżąc z zimna? Bawiło go to? Czy ostatnim obrazem, jaki Harry Peglar widział na tym świecie, było pochylone nad nim białe monstrum i jego czarne, nieprzeniknione ślepie? Dlaczego potwór nie zjadł naszego przyjaciela?

Komandor Crozier jeszcze przez chwilę przyglądał się zamrożniętymu ciału i śladom, a potem rzekł jedynie:

- Potwór przez cały czas chodził na dwóch łapach.

Z kolejnej łodzi, która przybiła do kry, wyszli marynarze z kawałkiem żeglarskiego płótna.

Jedyną drogą wyjścia z jeziora w lodzie był przesmyk, którym przed chwilą do niego wpłynęliśmy. Podczas dwóch okrążeń wzdłuż granic obszaru otwartej wody - pięć łodzi płynęło zgodnie z ruchem wskazówek zegara, cztery w kierunku przeciwnym - odkryliśmy jedynie krótkie, ślepe przesmyki, szczeliny w lodzie i dwie krwawe smugi, które świadczyły zapewne o tym, że któryś z członków załogi łodzi porucznika Little'a wydostał się na lód i rzucił do ucieczki, został

jednak pochwycony przez potwora i zaciągnięty z powrotem do wody. Prócz kilku kawałków poszarpanej niebieskiej kurtki nie znaleźliśmy żadnych resztek ofiary monstrum z lodu.

Było już wczesne popołudnie i chyba wszyscy marzyliśmy tylko o jednym - by jak najszybciej uciec z tego przeklętego miejsca. Wszyscy jednak czuliśmy również, że wcześniej powinniśmy wyprawić godny pogrzeb szczątkom naszych trzech towarzyszy. (Wielu z nas sądziło zapewne, i słusznie, jak się potem okazało, że może to być ostatnia ceremonia pogrzebowa, jaką dane nam będzie odprawić.)

Nie znaleźliśmy w lodowym jeziorze żadnych przydatnych przedmiotów prócz fragmentu przemoczonego płótna z namiotu, który znajdował się na łodzi porucznika Little. W ten właśnie fragment owinęliśmy zostało ciało naszego przyjaciela Harry'ego Peglara. Szczątki szkieletu, które znaleźliśmy przy wyjściu z przesmyku, pozostały w torbie. Ciało pana Reida zostało zaszyte w jeden z zapasowych śpiworów.

Zgodnie z marynarskim zwyczajem powinniśmy byli umieścić przy stopach każdego ze zmarłych kulę armatnią, by ciało popłynęło prosto na dno, a nie unosiło się na powierzchni, ale oczywiście nie mieliśmy ze sobą żadnych kul. Zamiast nich marynarze włożyli do całunów chwytaściągnięty z odłamanego dziobu Lady J. Franklin i metal z ostatnich pustych puszek Goldnera.

Sporo czasu zajęło nam wyciąganie dziewięciu łodzi z wody i układanie kutrów oraz szalup na saniach. Montowanie sań i podnoszenie łodzi oraz związane z tym przepakowywanie sprzętu i zapasów ogromnie wycieńczyło wychudzonych i schorowanych marynarzy. Uporawszy się wreszcie z tym zadaniem, zgromadzili się przy krawędzi lodu, stojąc w szerokim półkolu, by nie obciążać zbytnio kry.

Nikt nie miał ochoty na zbyt długie celebrowanie pogrzebu ani na tak cenioną do tej pory ironię słynnej już Księgi Lewiatana komandora Croziera, wszyscy więc wysłuchali z prawdziwym wzruszeniem - i odrobiną zaskoczenia - psalmu 90, który komandor wyrecytował w całości z pamięci:

PANIE, Ty dla nas byłeś ucieczką
z pokolenia na pokolenie.
Zanim góry narodziły się w bólach,
nim ziemia i świat powstały,
od wieku po wiek Ty jesteś Bogiem.

W proch każesz powracać śmiertelnym,
i mówisz „Synowie ludzcy, wracajcie!”.
Bo tysiąc lat w Twoich oczach
jest jak wczorajszy dzień, który minął,
niby straż nocna.
Porywasz ich: stają się jak sen poranny,
jak trawa, co rośnie
rankiem kwitnie i jest zielona,
wieczorem więdną i usycha.

Zaiste, Twój gniew nas niszczy,
trwoży nas Twe oburzenie.

Stawiasz przed sobą nasze winy,
nasze skryte grzechy w świetle Twojego oblicza.
Bo wszystkie dni nasze płyną pod Twoim gniewem;
kończymy nasze lata jak westchnienie.
Miarą naszych lat jest lat siedemdziesiąt
lub, gdy jesteśmy mocni, osiemdziesiąt;
a większość z nich to trud i marność:
bo szybko mijają, my zaś odlatujemy.
Któż potrafi zważyć ogrom Twojego gniewu
i kto może doświadczyć mocy Twego oburzenia?
Naucz nas liczyć dni nasze,
abyśmy osiągnęli mądrość serca.

Powróć, o Panie, dokądże jeszcze...?
I bądź litościwy dla sług Twoich!
Nasyć nas z rana swoją łaskawością,
abyśmy przez wszystkie dni nasze mogli się radować i cieszyć.
Daj radość według miary dni, w których nas przygniotłeś,
i lat, w których zazналиśmy niedoli.
Niech sługom Twoim ukaże się Twe dzieło,
a chwała Twoja nad ich synami!
A dobroć Pana Boga naszego niech będzie nad nami!
I wspieraj pracę rąk naszych,
wspieraj dzieło rąk naszych!

Chwała Ojcu i Synowi i Duchowi Świętemu;
Jak było na początku, teraz i zawsze, i na wieki wieków.
Amen.

- Amen - odrzekli chórem wszyscy marynarze, drżąc z zimna i emocji. Na chwilę zapadła cisza. Śnieg prószył nam w twarze. Czarna woda chlupotała cicho. Lód jęczał i drgał nieznacznie pod naszymi stopami.

Wszyscy chyba myśleliśmy wtedy, że ta mowa pogrzebowa przeznaczona była dla nas. Do tego dnia, do śmierci porucznika Littlea i jego załogi - łącznu z niezastąpionym panem Reidem i powszechnie lubianym panem Peglarem - wielu nas wciąż wierzyło, że uda nam się przeżyć. Teraz wiedzieliśmy, że nie mamy już praktycznie żadnych szans.

Tak długo wyczekiwana i witana z ogromną radością otwarta woda okazała się śmiertelną pułapką.

Lód me wypuści nas ze swych szponów.

Potwór z lodu nie pozwoli nam odejść.

- Marynarze, czapki z głów! - zawołał bosmanmat Johnson. Wszyscy posłusznie ściągnęliśmy nasze brudne nakrycia głowy.

- Wiedziecie, że nasz Zbawiciel żyje - przemówił ponownie komandor Crozier swym zachrypniętym głosem - i że przyjdzie ponownie na ziemię w dniu Sądu Ostatecznego. Choć ciała

nasze ulegną zepsuciu, Pan wskrzesi nas, byśmy mogli na własne oczy ujrzeć Chwałę naszego Pana i Boga.

O Panie, przyjmij do swego królestwa te pokorne sługi, łodmistrza Jamesa Reida, dowódcę przedniego masztu Harry'ego Peglara i ich nieznanego towarzysza. Przyjmij również dusze porucznika Edwarda Little'a, marynarza Alexandra Berry'ego, marynarza Henry'ego Saita, marynarza Williama Wentzalla, marynarza Samuela Crispe'a, marynarza Johna Batesa i marynarza Davida Simsa.

Kiedy nadejdzie dzień śmierci naszej, pozwól nam, Panie, dołączyć do nich w Królestwie Niebieskim.

Wysłuchaj naszej modlitwy, Panie, okaż miłosierdzie naszym towarzyszom i nam samym. Daj im wieczne odpoczywanie, a nas zachowaj od złego. Oszczędź nas, Panie, i daj nam siły, nim i my odejdziemy stąd na wieki.

Amen.

- Amen - wyszeptaliśmy wszyscy.

Bosmani podnieśli zaszyte w płótno ciała i wrzucili je do wody, gdzie zatonęły w ciągu kilku sekund. Przez chwilę jeszcze na powierzchnię wydobywały się białe pęcherzyki, niczym ostatni, pożegnalny gest naszych drogich towarzyszy, w końcu jednak czarna tafla jeziora wygładziła się i znieruchomiła.

Sierżant Tozer i dwaj żołnierze oddali salwę honorową z muszkietów. Komandor Crozier wpatrywał się przez chwilę w czarne jezioro, targany skrywanymi głęboko emocjami.

- Ruszymy teraz w drogę - przemówił wreszcie stanowczym tonem, zwracając się do nas wszystkich, smutnych, przybitych i pozbawionych nadziei. - Przed nocą przeciągniemy sanie i łodzie o milę dalej na południowy wschód, w stronę ujścia Rzeki Backa. Tutaj, na łodzie, wędrówka będzie łatwiejsza.

Jak się okazało, wędrówka po łodzie była znacznie trudniejsza. W końcu okazała się niemożliwa, choć nie ze względu na wały lodowe ani trudności z transportem łodzi - głód, choroby i słabość czyniły to zadanie coraz trudniejszym - lecz z powodu pękającego lodu i ukrytego w wodzie stworzenia.

Pozbawieni pomocy dziewięciu sprawnych towarzyszy przeszliśmy tego dnia znacznie mniej niż milę, nim w końcu rozbiliśmy namioty i ułożyliśmy się wreszcie do snu.

Sen ten został przerwany niecałe dwie godziny później, kiedy lód zaczął nagle pękać i poruszać się. Ogromna masa lodu zaczęła falować, podnosić się i raptownie opadać. Było to doprawdy przerażające doświadczenie; większość z nas wyszła z namiotów i kręciła się bezładnie po obozie. Marynarze zaczęli składać namioty i gotować się do drogi, lecz komandor Crozier, pan Couch i pan Des Voeux kazali im natychmiast przerwać i uspokoić się. Oficerowie stwierdzili, że w pobliżu naszego obozu nie widać żadnych pęknięć na powierzchni lodu, a falowanie, choć nieprzyjemne i niepokojące, w niczym nam nie zagraża.

Po kilkunastu minutach falowanie ustało, a zamarznięta powierzchnia morza pod naszymi stopami znów była nieruchoma i twarda jak skała. Wróciliśmy do namiotów.

Godzinę później lód znów zaczął się kołysać i pękać. Niektórzy ponownie wybiegli z namiotów, przerażeni, jednak co odważniejsi marynarze pozostali w swoich śpiworach. Ci z nas, którzy salwowali się ucieczką, wpęzli ostatecznie z powrotem do ciasnych namiotów - wypełnionych chrapaniem i smrodem ludzi, którzy nie myli się i nie zmieniali ubrań od kilku miesięcy - dziękując Bogu za gęste ciemności, które skrywały ich zawstydzone twarze.

Przez cały następny dzień ciągnęliśmy łodzie po powierzchni, która wydawała nam się równie niestabilna i zdradliwa jak kawałek naciągniętej mocno gumy. Co jakiś czas pod naszymi nogami otwierały się nowe szczeliny i choć w niektórych widać było lód grubości co najmniej sześciu stóp, straciliśmy poczucie, że wędrujemy po lodowej równinie, nabierając jednocześnie przekonania, że przechodzimy z kry na krę.

Powinienem tutaj wspomnieć, że drugiego wieczora po tym, jak opuściliśmy lodowe jezioro, przeglądałem rzeczy należące do zmarłych - członkowie grupy porucznika Little'a przed wyruszeniem na zwiad zostawili je w naszym obozie - i natknąłem się właśnie na torbę Harry'ego Peglara, zawierającą kilka ubrań i trochę rzeczy osobistych, takich jak listy, rogowy grzebień i kilka książek, kiedy nagle mój pomocnik John Bridgens powiedział:

- Czy mógłbym zatrzymać kilka spośród tych rzeczy, doktorze Goodsir?

Byłem zaskoczony. Bridgens wskazywał na rogowy grzebień i gruby notatnik oprawny w skórę.

Wcześniej zaglądałem już do tego notatnika. Peglar sporządzał w nim zapiski, używając dość prymitywnego kodu - pisał od tyłu, stawiając wielką literę na końcu ostatniego wyrazu w zdaniu, jakby był to jego początek - lecz choć relacja z wydarzeń ostatniego roku mogła być interesująca dla krewnego lub przyjaciela pana Peglara, zarówno jego charakter pisma, jak i struktura zdań, nie wspominając o ortografii, stały się w ostatnich miesiącach coraz trudniejsze do odcyfrowania. Jeden z zapisków wyglądał następująco: Śmierci, gdzie twoje żądło, grób w Zatoce Luksusów bo kto wątpi... [kolejna linijka, zniszczona przez wodę, zupełnie nieczytelna]... farbiarz rzek...

Na odwrocie tej samej kartki Peglar narysował drżącą ręką kółko i napisał w jego wnętrzu Obóz Terror. Daty nie mogłem odczytać, ale był to zapewne 25 kwietnia. Na następnej stronie znajdowały się, między innymi takie zapiski Gdyby będzie trudna droga... zechce trochę grogu zapić nasz... wszystko co umiem... Tom... bo myślę... czas... powinienem spac... 21 jutro ciężki...

Przypuszczałem, że Peglar sporządził ten zapiszek wieczorem 21 kwietnia, kiedy komandor Crozier powiedział załogom Terroru i Erebusa, że nazajutrz wszyscy opuszczą statek.

Były to, innymi słowy, gryzmoły półanalfabety, w których trudno było się doszukać odbicia prawdziwego charakteru i umiejętności Harry'ego Peglara.

- Dlaczego chce pan to zatrzymać? - spytałem Bridgensa. - Peglar był pańskim przyjacielem?

- Tak jest, doktorze.

- Potrzebuje pan grzebienia? - Stary steward był niemal całkiem łysy.

- Nie, doktorze, chcę mieć tylko jakąś pamiątkę po Harrym. Grzebień i dziennik wystarczą.

Pomyślałem, że to bardzo dziwne, bo wszyscy raczej wyrzucali zbędne rzeczy, chcąc jak najbardziej odciążyć ładunek, który musieli za sobą ciągnąć.

Spełniłem jednak prośbę Bridgensa i dałem mu grzebień oraz dziennik. Nikt nie potrzebował koszuli Peglara ani jego skarpetek, dodatkowych spodni z wełny czy też Biblii, następnego ranka zostawiłem je więc na stercie porzuconych rzeczy. Kopczyk ułożony z przedmiotów należących do Peglara, Little'a, Reida, Berry'ego, Crispe'a, Batesa, Simsa, Wentzalla i Saita wyglądał jak ich symboliczny nagrobek i symbol ludzkiej śmiertelności.

Rankiem następnego dnia, 12 lipca, znów natknęliśmy się na krwawe smugi na lodzie. Najpierw wszyscy przerazili się, że to kolejne ślady kaźni naszych towarzyszy, lecz komandor Crozier zaprowadził nas do miejsca, gdzie pośrodku karmazynowego kręgu krwi leżało ciało białego niedźwiedzia. Wkrótce wśród innych krwawych śladów znaleźliśmy szczątki innych

niedźwiedzi, nie więcej jednak niż rozbity łeb, zbroczone krwią futro, połamane kości czy też kawałki łap.

Marynarze uspokoili się na moment, później jednak wszyscy zadali sobie oczywiste pytanie: Co zabiło te ogromne drapieżniki na kilka godzin przed naszym przybyciem?

Odpowiedź była równie oczywista.

Dlaczego jednak potwór zabijał białe niedźwiedzie? Tu także odpowiedź była jednoznaczna: by pozbawić nas jedyne go źródła pożywienia.

Szesnastego lipca nadszedł kryzys - wydawało się, że ludzie nie dadzą rady iść dalej. Wciągu osiemnastogodzinnego dnia nieustannego marszu pokonywaliśmy niecałą milę. Nieraz zdarzało się, że gdy rozbijaliśmy wieczorem obóz, widzieliśmy jeszcze stertę porzuconego sprzętu i ubrań leżącą w miejscu, gdzie obozowaliśmy poprzedniego dnia. Od czasu do czasu znajdowaliśmy kolejne ciała zabitych niedźwiedzi. Morale upadło tak nisko, że gdybyśmy przeprowadzili tego dnia głosowanie, większość marynarzy byłaby zapewne za tym, by się poddać, położyć na lodzie i umrzeć.

Wieczorem tego dnia, 16 lipca, kiedy wszyscy spali, a tylko jeden człowiek stał na wachcie, komandor Crozier poprosił mnie, bym przyszedł do jego namiotu. Komandor spał teraz w jednym namiocie z Charlesem Des Voeux; ze swoim intendentem, Charlesem Hamiltonem Osmerem (u którego zaobserwowałem pierwsze objawy zapalenia płuc); z Williamem Bellem (sternikiem z Erebusa); oraz z Philipem Reddingtonem, dowódcą dziobówki z Erebusa.

Komandor skinął głową, a wszyscy oprócz pierwszego oficera Des Voeux i pana Osmera opuścili namiot.

- Doktorze Goodsir - zaczął komandor - potrzebuję pańskiej rady.

Skinąłem głową i słuchałem.

- Mamy dość ubrań i namiotów - mówił komandor Crozier. - Dodatkowe buty, które kazałem załadować do szalup, uchroniły wielu marynarzy przed odmrożeniami i amputacją stóp.

- Zgadzam się z panem, komandorze - odrzekłem, choć wiedziałem, że to nie w tej kwestii komandor chciał zasięgnąć mojej rady.

- Jutro rano powiem marynarzom, że zostawimy jeden welbot, dwa kutry i jedną szalupę, i od tej pory będziemy ciągnąć tylko pięć pozostałych łodzi - kontynuował komandor Crozier. - Te dwa welboty, dwa kutry i szalupa są w najlepszym stanie i powinny nam wystarczyć, gdybyśmy natrafili na jakieś obszary otwartej wody.

- Wszyscy na pewno przyjmą tę wiadomość z ogromną radością, komandorze - odrzekłem. Sam byłem ogromnie uradowany. Ponieważ od jakiegoś czasu także pomagałem ciągnąć sanie i łodzie, nie mogłem nacieszyć się myślą, że wreszcie nie trzeba będzie wracać po drugą partię ciężkiego ładunku.

- Chciałbym pana zapytać, doktorze Goodsir - mówił dalej komandor

- czy możemy zmniejszyć racje żywnościowe marynarzy? A właściwie, czy kiedy to już zrobimy, ludzie jeszcze dadzą radę ciągnąć łodzie? Potrzebuję pańskiej fachowej opinii, doktorze.

Spojrzałem na podłogę namiotu. Przenośna kuchenka pana Diggle'a - a może specjalne urządzenie do podgrzewania herbaty pana Walla - wypaliła w płótnie podłogi dziurę, kiedy jeszcze mieliśmy paliwo do kuchenek eterowych.

- Komandorze, panie Des Voeux - przemówiłem po chwili, wiedząc, że to, co powiem, jest dla nich oczywiste - racje, które otrzymują teraz marynarze, nie dają im dość sił i energii do wykonywania codziennych zadań. - Wziąłem głęboki oddech. - Wszystko, co jedzą, jest zimne. Żywność z puszek skończyła się już kilka tygodni temu. Kuchenki i lampy na eter zostawiliśmy na

łodzie, razem z pustymi butelkami po paliwie. Dziś wieczorem każdy dostanie na kolację jednego suchara, kawałek solonej wieprzowiny, jedną uncję czekolady, odrobinę herbaty, niecałą łyżeczkę cukru i łyżkę rumu.

- I odrobinę tytoniu, który zachowaliśmy do tej pory - dodał pan Osmer. Skinąłem głową.

- Tak, i odrobinę tytoniu. Marynarze uwielbiają tytoń. Mielście panowie świetny pomysł, ukrywając przed nimi te resztki zapasów. Odpowiadając na pańskie pytanie, komandorze: nie, nie sądzę, by ludzie mogli nadal funkcjonować przy jeszcze mniejszych racjach.

- Będą musieli - odparł komandor Crozier. - Za sześć dni skończy nam się solona wieprzowina. Za dziesięć rum.

Pan Des Voeux odchrząknął, dając znak, że chce coś powiedzieć.

- Wszystko zależy od tego, czy uda nam się znaleźć i zabić więcej fok na krze - rzekł.

Wszyscy obecni w namiocie - wszyscy uczestnicy ekspedycji - dobrze wiedzieli, że odkąd opuściliśmy przed dwoma miesiącami Zatokę Luksusów, udało nam się upolować dwie foki.

- Moim zdaniem - odezwał się ponownie Crozier - powinniśmy znów ruszyć na północ, w stronę Ziemi Króla Williama - to tylko trzy, góra cztery dni marszu. Tam będziemy mieli mech i porosty. Podobno z niektórych gatunków można ugotować jadalną zupę. Oczywiście, jeśli uda nam się znaleźć te właściwe gatunki.

Sir John Franklin, pomyślałem. Człowiek, który zjadł swoje buty. Mój starszy brat opowiedział mi tę historię kilka tygodni przed wypłynięciem naszych statków. Sir John, nauczony smutnym doświadczeniem, wiedziałby dokładnie, które gatunki mchów i porostów nadają się do jedzenia.

- Ludzie ucieszą się, że zejda z lodu, komandorze - rzekłem głośno, nie wiedząc, co innego mógłbym powiedzieć. - Jeszcze bardziej ucieszy ich wiadomość, że będą ciągnąć mniej łodzi.

- Dziękuję panu, doktorze - oparł komandor Crozier. - To wszystko. Skłoniłem głowę w żalonym salucie, wyszedłem z namiotu, zajrzałem do najcięższej chorych - nie mamy już izby chorych, a Bédgens i ja chodzimy co wieczór od namiotu do namiotu, by zbadać chorych i podać im lekarstwa - wróciłem do swego namiotu (który dzielę teraz z Bridgensem, nieprzytomnym Daudem Leysem, umierającym mechanikiem Thompsonem i ciężko chorym cieślą, panem Honeyem) i natychmiast zapadłem w głęboki sen.

Tej nocy lód otworzył się i pochłonął namiot, w którym spało naszych pięciu żołnierzy - sierżant Tozer, kapral Hedges, szeregowy Wilkes, szeregowy Hammond i szeregowy Dały.

Tylko Wilkes zdołał wydostać się z namiotu, nim ten zatonął w ciemnym jak wino morzu. Marynarze wyciągnęli go ze szczeliny tuż przed tym, jak lód zamknął się ponownie z ogłuszającym traskiem.

Wilkes był jednak zbyt wyziębiony, chory i przerażony, by przeżyć, mimo że wraz z Bridgensem owinęliśmy go w ostatnie suche koce i ułożyliśmy między sobą. Umarł tuż przed wschodem słońca.

Jego ciało zostało na lodzie wraz z porzuconymi saniami, łodziami i stertą ubrań.

Nikt nie wspomniał ani słowem, że należałoby wyprawić pogrzeb jemu i pozostałym czterem żołnierzom.

Nikt nie wznosił okrzyków radości, kiedy komandor oświadczył, że nie będziemy już dłużej ciągnąć czterech łodzi i sań.

Ruszyliśmy na północ, w stronę lądu kryjącego się tuż za horyzontem. Wyglądaliśmy i czuliśmy się zapewne sto razy gorzej niż żołnierze Napoleona wracający spod Moskwy.

Tizy godziny później lód znów pękł, a my stanęliśmy przed szczelinami, które były zbyt

wąskie, by spuścić na nie łodzie, a zbyt szerokie, by dało się przez nie przeciągnąć sanie.

*Ziemia Króla Williama, szerokość geograficzna nieznana, długość geograficzna nieznana.
26 lipca 1848.*

Kiedy Crozier spał - nawet przez kilka minut - sny wracały. Dwa szkielety w odsłoniętej łodzi. Amerykańskie dziewczynki, które symulują rozmowę z duchem, strzelając palcami u nóg. Amerykański lekarz pozujący na podróżnika, pękaty mężczyzna w eskimoskiej kurtce stojący na zalanej światłem scenie. Jeszcze raz dwa szkielety w łodzi. Noc zawsze kończyła się snem, który niepokoił Croziera najbardziej.

Jest chłopcem, siedzi z Memo Moirą w olbrzymiej katolickiej katedrze. Jest nagi. Memo pcha go w stronę ołtarza i balustrady oddzielającej ołtarz, ale on boi się iść naprzód. W katedrze jest zimno; marmurowa podłoga pod stopami młodego Francisa jest zimna; na drewnianych ławach skrzy się warstwa lodu.

Młody Francis Crozier klęka przy balustradzie. Czuje na sobie pełen aprobaty wzrok Memo Moiry, ale jest zbyt wystraszony, by się odwrócić. Coś zbliża się do niego.

Ksiądz pojawia się niespodziewanie, jakby wynurzył się z zapadni ukrytej po drugiej stronie balustrady. Jest olbrzymi, o wiele za duży na człowieka, a jego białe szaty ociekają wodą. Pochyla się nad małym Francisem Crozierem, otaczając go zapachem potu, krwi i gnijącego mięsa.

Francis zamyka oczy i wysuwa język, by przyjąć eucharystię - dokładnie tak, jak uczyła go tego Memo w swoim domu. Wie, jak bardzo ważny jest ten sakrament, boi się go. Wie, że jeśli przyjmie papistyczną hostię, jego życie już nigdy nie będzie takie samo. I wie również, że jeśli jej nie przyjmie, jego życie się skończy.

Kapłan pochyla się niżej, przesłania cały świat... Crozier obudził się we wnętrzu łodzi. Zawsze, gdy wybudzał się z tych snów, nawet jeśli spał tylko przez kilka minut, serce waliło mu jak młotem, a w ustach czuł nieznosną suchość. Drżał też na całym ciele, choć raczej z zimna niż ze strachu.

Łód w tej części zatoki, w której przebywali 18 lipca, popękał w wielu miejscach. Przez kolejne cztery dni nie ruszali się z ogromnej kry, na której rozbili obóz tamtego dnia; wcześniej zdjęli wszystkie łodzie z sań i przygotowali je do spuszczenia na wodę, zostawiając na zewnątrz tylko namioty i śpiwory.

Każdej nocy wybiegali z namiotów, zbudzeni kołysaniem kry i głośnym trzaskami, pewni, że łód otwiera się pod nimi i lada moment ich pochłonie, podobnie jak pochłoniął sierżanta Tozera i jego ludzi. Każdej nocy trzaski, przypominające wystrzały karabinowe, w końcu przycichały, gwałtowne kołysanie ustawało i wszyscy wracali do swoich śpiworów.

Zrobiło się cieplej, czasami temperatura sięgała niemal poziomu zamarzania wody - tych kilka lipcowych tygodni było zapewne najcieplejszym okresem arktycznego lata, które znów okazało się bezlitośnie i morderczo zimne - lecz ludzie byli bardziej wyziębieni i przygnębieni niż kiedykolwiek. Czasami zamiast śniegu z nieba padał deszcz. Kiedy robiło się zimniej, kryształki lodu unoszące się w mglistym powietrzu okrywały wilgocią ich wełniane ubrania, było bowiem zbyt ciepło, by mogli nosić wodoodporne zimowe okrycia. Pot wsiąkał w brudną bieliznę, brudne koszule i skarpety, w obszarpane, okryte cienką warstwą lodu spodnie; choć zużyli już niemal cały zapas żywności, łodzie robiły się coraz cięższe, przybywało bowiem chorych, którzy nie mogli iść o

własnych siłach. Doktor Goodsir informował Croziera codziennie, że stopy kolejnych ludzi - wiecznie przemoczone, pomimo całego zapasu butów, które komandor kazał zabrać ze statku - zaczynają gnić, że czernieją kolejne palce i pięty, że coraz więcej nóg nadaje się tylko do amputacji.

Przemoczone namioty nigdy nie wysychały. Śpiwory, do których wsuwali się po zapadnięciu zmroku, były przemoczone i zamrożone od środka i na zewnątrz - i nigdy nie wysychały. Kiedy marynarze budzili się rano po kilku godzinach niespokojnego snu, wewnątrz każdego z namiotów oblepione było trzydziestoma funtami szronu, który spadał na ich głowy, ramiona i twarze, gdy próbowali pić maleńką porcję letniej herbaty, roznoszonej codziennie przez komandora Croziera, pana Des Voeux i pana Coucha - Crozier zapoczątkował ten dziwny zwyczaj kilka dni po rozpoczęciu ich wędrówki przez lód, a marynarze zdążyli się już doń przyzwyczaić na tyle, że uważali go za coś zupełnie normalnego.

Pan Wall, kucharz z *Erebusa*, zapadł na chorobę przypominającą gruźlicę i niemal przez cały czas leżał zwinięty w kłębek na dnie jednej z łodzi, lecz pan Diggle zupełnie się nie zmienił - wciąż był tym samym energicznym, wulgarnym i wygadany typem, który zarażał swym optymizmem innych i podnosił ich na duchu. Teraz, gdy zużyli już niemal cały zapas eteru, pan Diggle miał niewiele pracy - dwa razy dziennie dzielił między wszystkich marynarzy drobne porcje solonej wieprzowiny i resztki innych wiktuałów, czemu zawsze przyglądał się uważnie sternik Osmer i jeszcze jeden oficer. Diggle, niepoprawny optymistą, sporządził jednak prymitywny piecyk na foczy tłuszcz, przekonany, że gdy tylko upolują więcej fok, będzie mógł coś na nim przyrządzić.

Crozier codziennie wysyłał myśliwych na lód, lecz jego ludzie nieodmiennie wracali z pustymi rękami - nawet gdy udało im się znaleźć jakieś foki, te zawsze chowały się do swoich maleńkich otworów w krze, nim zdolali je ustrzelić. Kilka razy zostały nawet trafione ze śrutówki lub muszkietu, miały jednak jeszcze dość sił, by zanurkować w ciemnej wodzie, pozostawiając po sobie tylko krwawy ślad na powierzchni lodu. Czasami myśliwi zlizywali tę krew.

Crozier spędził w obszarach podbiegunowych wiele lat i wiedział, że w połowie lipca morze i kra powinny tętnić życiem; oczyma wyobraźni widział morsy wygrzewające się w słońcu lub pływające tuż przy krawędzi kry; całe stada fok bawiących się w wodzie jak dzieci lub pełzających komicznie po lodzie; białuchy i narwale sunące majestatycznie przez pasy otwartej wody; niedźwiedzice z małymi polujące na foki i unikające silniejszych samców, które zjadłyby zarówno młode, jak i je same; wreszcie całą obfitość morskich ptaków, ogromne stada przesłaniające błękitne niebo, obsiadające grzbiety lodowych gór i unoszące się na morskich falach.

Tego lata, drugi rok z rzędu, niemal jedynymi żywymi istotami na lodzie byli marynarze ciągnący z uporem ciężkie sanie i ich prześladowca, który ukazywał im się czasem z dala, pozostając jednak poza zasięgiem ich muszkietów i strzelb. Kilkakrotnie wieczorem słysząc było skomlenie lisów polarnych, czasami na śniegu widać było również ich ślady, żaden jednak nigdy nie pokazał się myśliwym. Kilka razy marynarze słyszeli też wieloryby, kiedy jednak rzucali się biegiem w ich stronę, przeskakując z kry na krę i ryzykując życie, ogromne ssaki znikły pod wodą, nim nawet zdążyli je zobaczyć.

Crozier nie miał pojęcia, czy zdolaliby zabić narwala lub białuchę z kilku strzelb i muszkietów, które jeszcze im zostały, sądził jednak, że tak - kilka kul prosto w mózg powinno zabić każde stworzenie prócz bestii, która wciąż ich prześladowała (choć marynarze dawno już uznali, że nie jest to żadne zwierzę, lecz rozgniewany bóg rodem z Księgi Lewiatana). Gdyby znaleźli w sobie dość sił, by wyciągnąć ubitego narwala na lód, mieliby zapasy oleju do pieca pana Diggle'a na kilka tygodni lub miesięcy i objadaliby się do nieprzytomności świeżym tłuszczem i mięsem.

Najbardziej jednak Crozier pragnął zabić samego potwora. W odróżnieniu od większości

swoich podwładnych uważał, że jest to śmiertelne stworzenie - zwierzę, nie więcej. Sprytniejsze niż biały niedźwiedź, ale tylko zwierzę. Crozier wiedział, że gdyby udało im się zabić potwora, sam ten fakt oraz radość, jaką daje zemsta, podniosłyby morale pozostałych przy życiu marynarzy bardziej niż odkrycie dwudziestu galonów przedniego rumu.

Bestia nie niepokoiła ich od czasu śmierci porucznika Little'a i jego ludzi. Zgodnie z rozkazami komandora myśliwi, którzy natknęliby się na ślady potwora, mieli natychmiast wracać do obozu; Crozier chciał mieć do dyspozycji wszystkich ludzi zdolnych do walki i wszystkie strzelby. Gdyby musiał, kazałby ludziom tłuc w garnki i krzyczeć ile sił w płucach, byle tylko wypłoszyć potwora, jakby ten był tygrysem ukrywającym się w wysokiej trawie gdzieś w Indiach.

Crozier wiedział jednak, że byłoby to równe nieskuteczne jak pułapka na niedźwiedzie sir Johna. By zwabić potwora, potrzebowali skutecznej przynęty. Był pewien, że potwór wciąż im towarzyszy, podchodzi bliżej w ciągu coraz dłuższych godzin ciemności, za dnia zaś ukrywa się pod lodem. Wiedział też, że podszedłby jeszcze bliżej, gdyby tylko udało im się go zwabić. Nie mieli jednak świeżego mięsa, a gdyby nawet takie znaleźli, jego ludzie woleliby je zjeść, niż wykorzystać jako przynętę na potwora.

Kiedy jednak Crozier myślał o olbrzymich rozmiarach i masie bestii, nie miał wątpliwości, że ważyła co najmniej tonę, a może nawet kilka ton, gdyż duże samce białych niedźwiedzi osiągały masę tysiąca pięciuset funtów, a potwór był od nich kilkakrotnie większy. Gdyby więc udało im się zabić ich zabójcę, mieliby co jeść przez wiele tygodni. Każdy kęs, nawet spożywany na zimno, w marszu, przypominałby też o słodkiej zemście i podnosił ich na duchu.

Francis Crozier wiedział, że gdyby mogło się to spełnić, on sam wyszedłby na lód i zamienił się w żywą przynętę. Gdyby. Gdyby w ten sposób uratował i nakarmił chociaż kilku spośród swoich ludzi, zwabiłby potwora i pozwolił, by marynarze, którzy nauczyli się już strzelać nie gorzej niż pochłonięci przez morze żołnierze z *Terroru*, wpakowali w niego całą masę kul i wreszcie uśmiercili, nawet jeśli on sam także miałby tego nie przeżyć.

Wraz z myślą o żołnierzach pojawił się w jego umyśle obraz ciała szeregowca Henry'ego Wilkesa pozostawionego kilka tygodni wcześniej w porzuconej łodzi. Wilkes nie miał nawet skromnego pogrzebu; tuż przed świtem Crozier, Des Voeux i kilku przyjaciół żołnierza odmówiło jedynie krótką modlitwę nad jego zwłokami.

Powinniśmy byli wykorzystać ciało Wilkesa jako przynętę, pomyślał Crozier, leżąc na dnie welbotu i wsłuchując się w chrapanie śpiących dokoła ludzi.

Potem uświadomił sobie - nie po raz pierwszy - że mieli ze sobą świeższą przynętę. Od ośmiu miesięcy, od grudniowej nocy, kiedy to potwór ścigał lodomistrza Blanky'ego, David Leys był tylko bezużytecznym ciężarem. Od czterech miesięcy marynarze ciągnęli go ze sobą niczym sto trzydzieści funtów brudnej bielizny, a Leys, choć leżał nieruchomo i wpatrywał się nicość, potrafił jednak zjeść codziennie swoją porcję wieprzowiny i wypić przysługującą mu herbatę i rum.

Crozier był mile zaskoczony faktem, że żaden z jego ludzi - nawet wiecznie niezadowoleni Hickey i Aylmore - nie zaproponowali dotąd, by zostawić Leysa i innych chorych, którzy nie mogli iść o własnych siłach. Wszystkich jednak z pewnością nachodziła ta sama myśl...

Zjeść ich.

Zjeść najpierw Leysa, a potem pozostałych, kiedy już umrą.

Francis Crozier był tak głodny, że mógł sobie wyobrazić jedzenie ludzkiego mięsa. Nie zabiłby człowieka, by go pożreć - jeszcze nie - ale skoro ów człowiek i tak był już martwy, to dlaczego mieli zostawiać tyle mięsa i pozwalać, by zgniło w arktycznym słońcu? Albo, co gorsza, by zostało pożarte przez ścigającego ich potwora?

Jako młody, dwudziestokilkuletni porucznik, Crozier usłyszał opowieść o komandorze Pollardzie, który dowodził w latach dwudziestych amerykańskim brygiem Essex (historią tą raczono wszystkich młodych żeglarzy, którzy wypuszczali się na szerokie wody).

Essex został uszkodzony i w konsekwencji zatopiony przez olbrzymiego, liczącego osiemdziesiąt pięć stóp długości kaszalota. Działo się to na środku Pacyfiku, z dala od jakiegokolwiek stałego lądu. Cała dwudziestoosobowa załoga przebywała właśnie w łodziach, polując na wieloryby, i wróciła do statku, gdy ten zaczynał już tonać. Rozbitkowie, zasiadający w trzech welbotach, zdążyli zabrać z niego jeszcze trochę narzędzi, przyrządy nawigacyjne i jeden pistolet. Mieli też niewielkie zapasy żywności, złożone z dwóch żywych żółwi, które złapali na wyspach Galapagos, dwóch skrzynek sucharów i sześciu beczek słodkiej wody.

Ruszyli w stronę Ameryki Południowej.

Najpierw, oczywiście, zabili i zjedli wielkie żółwie. Potem udało im się schwycić rybę latającą, która wskoczyła przypadkiem do jednej z łodzi (w odróżnieniu od żółwiego mięsa, które zdołali jakoś ugotować, rybę zjedli na surowo). Później nurkowali w morzu i zdrapywali z kadłubów łodzi pąkle, które jedli z sucharami.

Kolejny niezwykle przypadek sprawił, że dopłynęli do Wyspy Hendersona - jednego z nielicznych skrawków stałego lądu rozsianych po bezkresnym błękitnie Oceanu Spokojnego. Przez cztery dni dwudziestu marynarzy łapało kraby, polowało na mewy i wybierało jaja z ich gniazd. Komandor Pollard wiedział jednak, że na wyspie jest zbyt mało krabów i mew, by utrzymać jego ludzi przy życiu dłużej niż przez kilka tygodni, zarządził więc głosowanie. Siedemnastu spośród dwudziestu marynarzy chciało ponownie wypłynąć na morze. Dwudziestego siódmego grudnia 1820 roku spuścili więc łodzie na wodę, pożegnali się z trójką swych towarzyszy i odbili od brzegu.

Dwudziestego ósmego stycznia sztorm rozdzielił trzy łodzie. Osamotniony welbot komandora Pollarda wciąż płynął na wschód, zamknięty między bezkresem błękitnej wody i rozpalonego słońcem nieba. Każdy z członków pięcioosobowej załogi otrzymywał codziennie półtorej uncji sucharów - nieprzypadkowo właśnie takie racje zamierzał wydzielać swym ludziom komandor Crozier, gdy skończą się już zapasy solonej wieprzowiny.

Kilka kęsów jedzenia i kilka łyków wody dziennie utrzymywały przy życiu całą załogę Pollarda - jego bratanka Owena Coffina, czarnoskórego byłego niewolnika Barzillaię Raya i dwóch marynarzy - przez kolejne dziewięć tygodni.

Od najbliższego lądu dzieliło ich jeszcze ponad tysiąc sześćset mil, kiedy jednego dnia zjedli ostatnie suchary i wypili ostatnią porcję wody. Crozier obliczył, że kiedy za miesiąc jego ludziom skończą się zapasy sucharów, od najbliższych ludzkich osad wciąż będzie ich dzieliło osiemset mil.

Pollard był w o tyle gorszej sytuacji, że wszyscy na pokładzie jego łodzi wciąż żyli, postanowili więc ciągnąć losy. Najkrótszą zapalną wyciągnął młody bratanek Pollarda, Owen Coffin. Potem losowali ponownie, by wybrać tego, kto dokona zabójstwa. Tym razem najkrótszą zapalną wyciągnął Charles Ramsdell.

Chłopiec pożegnał się ze wszystkimi drżącym głosem (Crozier pamiętał do tej pory grozę, jaką przejęła go ta część opowieści, gdy pewien stary żeglarz, który opowiadał mu tę historię podczas wspólnej wachty u wybrzeży Argentyny, udatnie naśladował drżący głos skazanego na śmierć chłopca), a potem położył głowę na burcie i zamknął oczy.

Komandor Pollard, jak sam później zeznał, podał Ramsdellowi pistolet i odwrócił się.

Ramsdell strzelił Owenowi w tył głowy.

Pozostała piątka, łącznie z komandorem Pollardem, wujem chłopca, wypili jego świeżą, ciepłą krew. Choć była słona, w odróżnieniu od otaczającego ich morza nadawała się do picia.

Następnie odarli kości nieszczęśnika z mięsa i zjedli je na surowo.

W końcu połamali kości Owena Coffina i wyssali z nich szpik.

Ciało chłopca wystarczyło im na trzynaście dni i gdy zastanawiali się już na ponownym losowaniu, czarnoskóry Barzillai Ray umarł z pragnienia i wyczerpania. Jego krew, mięso i kości utrzymały ich przy życiu aż do 23 lutego 1821 roku, kiedy to uratował ich statek wielorybniczy *Dauphin*.

Francis Crozier nigdy nie poznał komandora Pollarda, znał jednak jego dalsze losy. Pechowy Amerykanin utrzymał swój stopień i jeszcze raz wypłynął na morze - i znów stracił okręt. Choć i tym razem zdołał się uratować, nikt już nie powierzył mu dowództwa nad statkiem. Zaledwie kilka miesięcy przed wypłynięciem ekspedycji sir Johna Crozier słyszał, że komandor Pollard pracuje jako stróż nocny w Nantucket. Podobno żył w zupełnym osamotnieniu, odrzucony zarówno przez mieszkańców miasteczka, jak i wielorybników. Mówiono, że przedwcześnie się zestarzał, że mówił głośno do siebie samego i do swego nieżyjącego bratanka i że trzymał pod krokwiami w swoim domu suchary i soloną wieprzowinę.

Crozier wiedział, że jego ludzie będą musieli podjąć decyzję o jedzeniu swych zmarłych w ciągu najbliższych kilku tygodni, jeśli nie dni.

Wraz z upływem czasu coraz mniej marynarzy mogło iść o własnych siłach, a jeszcze mniej ciągnąć łodzie. Czterodniowy odpoczynek na łodzie wcale nie dodał im sił. Crozier, Des Voeux i Couch - młody porucznik Hodgson był przez komandora praktycznie zupełnie ignorowany - zmuszali ludzi do działania, wysyłali ich na polowanie, kazali naprawiać sanie i łodzie, słowem nie pozwalali, by ich podwładni leżeli beczynnym w zamrzniętych śpiworach i przeciekających namiotach, nie mogli jednak zrobić nic ponadto - zewsząd otaczały ich wąskie szczeliny w łodzie, które uniemożliwiały dalszą wędrówkę na południe, wschód lub północ.

Crozier gotów był zrobić wszystko, byle tylko nie zawracać na zachód lub północny zachód.

Kra nie dryfowała jednak wcale w kierunku, w którym chcieli zmierzać, czyli na południowy wschód, w stronę ujścia Rzeki Backa. Spękany łód kręcił się w kółko, podobnie jak pak, który przez dwie długie zimy więził *Erebusa* i *Terror*.

Wreszcie w sobotę, 22 lipca, łód popękał na tyle, że Crozier kazał spuścić łodzie na wodę.

Płynęli od sześciu dni, w łodziach powiązanych linami, w przesmykach i pasmach wody zbyt małych lub zbyt krótkich, by dało się w nich wiosłować lub żegłować. Crozier miał ze sobą sekstans (cięższy teodolit zostawił na łodzie) i kiedy inni spali, sprawdzał ich położenie, korzystając z krótkich rozpogodzeń. Z jego obliczeń wynikało, że znajdują się w odległości osiemdziesięciu pięciu mil na północny zachód od ujścia Rzeki Backa.

Lada dzień Crozier spodziewał się ujrzeć półwysep łączący Ziemię Króla Williama z Półwyspem Adelajdy, kiedy jednak obudził się w środę 26 lipca, w jasny, bezchmurny poranek, zobaczył na niebie ciemniejsze pasma znaczące obecność lądu w odległości około piętnastu mil zarówno na północy, jak i na południu od łodzi.

Jakiś czas później, przywoławszy bliżej pozostałe łodzie, Crozier stanął na dziobie swego welbotu i zawołał:

- Panowie, Ziemia Króla Williama to w rzeczywistości Wyspa Króla Williama. Jestem pewien, że przed nami rozciąga się morze i że nie znajdziemy ani skrawka lądu łączącego przylądek, który widzicie na południowym wchodzie, z lądem, który widać na północnym wschodzie. Jesteśmy w cieśninie. A skoro jesteśmy w cieśninie, na północ od Półwyspu Adelajdy, to znaczy, że ekspedycja sir Johna Franklina osiągnęła swój cel. To jest Przejście Północno-Zachodnie. Panowie, dokonaliśmy tego.

Odpowiedziały mu słabe wiwaty i pokastywania.

Gdyby kra i łodzie dryfowały na południe, mieliby poczucie, że długie tygodnie wędrówki po lodzie nie poszły na marne. Lecz pasma otwartej wody i szczeliny w lodzie otwierały się tylko na północ.

Życie w łodziach było równie ciężkie i żałosne jak życie w namiotach. Ludzie żyli w ogromnej ciasnocie. Choć na welbotach i kutrach o podwyższonych burtach pan Honey ułożył między ławkami dodatkowy pokład do spania (z rozebranych sań udało się także zbić poprzeczną platformę na środku łodzi), ludzie dzień i noc musieli tulić się do siebie. By się wypróżnić, musieli wystawiać tyłek za burtę - co prawda taka konieczność i tak zachodziła coraz rzadziej, wszyscy bowiem jedli i pili coraz mniej - a nieraz zdarzało się, że nagła fala moczyła zarówno ich nagą skórę, jak i opuszczone spodnie, co wywoływało falę przekleństw, czyraki i noce spędzone na szczekaniu zębami.

Rankiem w piątek, 28 lipca 1848 roku, obserwator na łodzi Croziera dostrzegł całą sieć szczelin i przesmyków prowadzących do stałego lądu na północnym zachodzie, jakieś trzy mile dalej.

Marynarze przez osiemnaście godzin ciągnęli łodzie przez wąskie szczeliny, a w razie potrzeby przerąbawali także lodowe zatory.

Dotarli do kamienistego brzegu około jedenastej wieczorem, w niemal całkowitych ciemnościach, rozpraszanych tylko co jakiś czas przez blask księżyca, który wyglądał na krótkie chwile zza chmur.

Marynarze byli zbyt wyczerpani, by montować sanie i wciągać na nie łodzie. Byli zbyt zmęczeni, by rozbijać przemoczone namioty i rozwijać śpiwory.

Padli prosto na wilgotne, śliskie kamienie, na które wyciągnęli przed chwilą łodzie. Spali zbici w ciasne kupki, ogrzewając się nawzajem ciepłem własnych ciał.

Crozier nie postawił nawet nikogo na straży. Jeśli potwór chciał ich pożreć tego wieczora, mógł to zrobić. Nim jednak sam położył się spać, jeszcze raz spróbował ustalić ich położenie, korzystając z sekstansu i tabel nawigacyjnych, które wciąż nosił ze sobą.

Jeśli dobrze pamiętał, spędzili na lodzie dwadzieścia pięć dni i pokonali czterdzieści sześć mil, maszerując, dryfując i płynąc w kierunku południowo-wschodnim. Wylądowali z powrotem na Ziemi Króla Williama gdzieś naprzeciwko Półwyspu Adelajdy, jeszcze dalej od ujścia Rzeki Backa niż jeszcze dwa dni temu - około trzydziestu pięciu mil na południowy zachód od wejścia do zatoki położonej po drugiej stronie nienazwanej jeszcze cieśniny, której nie mogli na razie przekroczyć. Nawet gdyby udało im się tego dokonać, od ujścia rzeki dzieliłoby ich jeszcze ponad sześćdziesiąt mil, a od Wielkiego Jeziora Niewolniczego, ostatecznego celu ich wędrówki, ponad dziewięćset mil.

Crozier starannie ułożył sekstans w drewnianym pudełku, które schował następnie do zaimpregnowanego, wodoszczelnego worka.

Odszukał w łodzi swój wilgotny koc i rzucił go na ziemię obok Des Voeux i trzech innych marynarzy. Zasnął po kilku sekundach.

Śnił o Mémo Moirze popychającej go w stronę balustrady i kapłana w białych, ociekających wodą szatach.

Leżąc pośród chrapiących, wyczerpanych marynarzy, na nieznanym skrawku lądu oblanym księżycowym blaskiem, Crozier, wciąż pogrążony we śnie, odchylił głowę do tyłu i wysunął język, by przyjąć Ciało Chrystusa.

BRIDGENS

Obóz nad rzeką 29 lipca 1848.

John Bridgens zawsze - skrycie - porównywał różne okresy swego życia do rozmaitych dzieł literackich, które uformowały jego osobowość.

W młodości i latach studenckich lubił przyrównywać się do różnych postaci z Dekameronu Boccaccia albo z Opowieści kanterberyjskich Chaucera - przy czym wiele tych postaci wcale nie uchodziło za wzór cnót (przez pewien czas jego podejście do świata można było zamknąć krótkim „Pocałujcie mnie w dupę”).

Jako dwudziestolatek John Bridgens najczęściej identyfikował się z Hamletem. Starzejący się w błyskawicznym tempie książę Danii - Bridgens był pewien, że Hamlet, który na początku sztuki jest chłopcem, w ciągu kilku tygodni, czyli do aktu piątego, osiąga wiek co najmniej lat trzydziestu - tkwił w zawieszeniu między myślą i czynem, między motywem i działaniem, obezwładniony świadomością tak przenikliwą i bezlitosną, że zmuszała go do myślenia o wszystkim, nawet o samej myśli. Młody Bridgens był ofiarą takiej właśnie samoświadomości i podobnie jak Hamlet zadawał sobie to najważniejsze, zasadnicze pytanie - być albo nie być? (Guwerner Bridgensa z tamtych czasów, nauczyciel akademicki wyrzucony z Oksfordu, będący jednocześnie pierwszym pederasta, jakiego poznał niedoszły młody uczonek, twierdził z przekonaniem, że ów słynny monolog wcale nie traktuje o samobójstwie, lecz Bridgens miał na ten temat odmienne zdanie. Tak to świadomość czyni nas wszystkich tchórzami; to zdanie doskonale wyrażało stan młodzieńczej duszy Johna Bridgensa, przygnębionego stanem własnej egzystencji i swymi nienaturalnymi pragnieniami, przygnębionego udawaniem kogoś, kim nie był, przygnębionego byciem sobą i przygnębionego przede wszystkim faktem, że mógł tylko myśleć o odebraniu sobie życia, gdyż strach, że po drugiej stronie myśl może istnieć nadal, że on może wciąż pozostawać niewolnikiem własnego umysłu, spać i śnić, skutecznie powstrzymywał go przed tym czynem.)

Na szczęście już jako młody, nie całkiem jeszcze ukształtowany człowiek, John Bridgens miał dwie rzeczy, które - prócz niezdecydowania - odwodziły go od samozniszczenia: książki i poczucie ironii.

Wkroczywszy w wiek średni, Bridgens najczęściej myślał o sobie jako o Odyseuszu. Porównanie to wydawało mu się trafne nie tylko ze względu na to, że porzuciwszy karierę naukową, został marynarzem i pływał po świecie, ale również ze względu na cechy, jakie Homer przypisywał swemu bohaterowi - spryt i pomysłowość. Bridgens rzadko wykorzystywał swe zdolności do manipulowania innymi, lecz używał ich raczej jak tarczy podobnej do tych, za którymi herosi Homera kryli się przed atakiem wroga.

Używał swego sprytu, by być niewidzialnym.

Pewnego razu, przed wielu laty, podczas pięcioletniej podróży na pokładzie HMS *Beagle*, kiedy to poznał Harry'ego Peglara, Bridgens wspominał o tej analogii przyrodnikowi obecnemu na pokładzie - grywali dość często w szachy w kajucie pana Darwina - sugerując, że wszyscy uczestnicy tej wyprawy byli do pewnego stopnia współczesnymi Ulissesami. Bystry naukowiec przyjrzał mu się wtedy uważnie i odrzekł: „Być może, tylko coś mi się nie wydaje, żeby w domu czekała na pana jakaś Penelopa, panie Bridgens”.

Od tej pory steward był ostrożniejszy. Nauczył się - podobnie jak Odyseusz po wielu latach wędrówki - że świat jest sprytniejszy od niego i że pycha zawsze zostanie ukarana przez bogów.

W tych ostatnich dniach Bridgens czuł, że postacią literacką, z którą łączy go najwięcej -

wygląd, wspomnienia, przyszłość i smutek - jest król Lir.

Wreszcie uznał, że nadszedł czas na ostatni akt.

Zatrzymali się na dwa dni u ujścia rzeki wpływającej do nienazwanej cieśniny na południe od Ziemi Króla Williama, a właściwie Wyspy Króla Williama. Dzięki stosunkowo wysokiej temperaturze woda w rzece nie była jeszcze zamrznięta, mogli więc napełnić beczki i manierki, nikt jednak nie widział ani nie złapał w jej nurtach ryby. Wydawało się też, że żadne zwierzęta nie przychodzą z niej pić... nawet lisy polarne. Największą zaletą tego obozu był fakt, że dolina rzeki osłaniała ich nieco przed wiatrem i atakami nocnych burz gradowych.

Rankiem pierwszego i drugiego dnia postoju marynarze rozkładali na kamieniach namioty, śpiwory i ubrania, łudząc się nadzieją, że słońce wyjrzy wreszcie zza chmur i wysuszy je choć trochę. Oczywiście zamiast blasku słońca doczekali się tylko mżawki. Po raz ostatni w ciągu minionego półtora miesiąca widzieli słońce tuż przed przybyciem do obozu nad rzeką; tego samego dnia większość marynarzy zgłosiła się do doktora Goodsira z licznymi poparzeniami.

Bridgens, asystent doktora Goodsira, dobrze wiedział, że arsenał lekarstw, którymi dysponował dzielny lekarz, był już bardzo uszczuplony. Goodsir miał jeszcze trochę środków przeczyszczających (głównie olej rycynowy i tynkturę z ziaren powoju) oraz środków pobudzających dla chorych na skorbut (głównie kamforę i amoniak, gdyż tynktura z lobelii została zużyta w ciągu pierwszych kilku miesięcy ataku tej choroby), odrobinę opium, które pełniło funkcję środka uspokajającego, nieco mandragory i proszku Dovera uśmierzających ból, a także siarczan miedzi i ołowiu, jedyne substancje, które mógł jeszcze stosować do dezynfekcji ran i oparzeń. Zgodnie z poleceniem doktora Bridgens zużył niemal cały zapas siarczanów, opatrując jęczących z bólu marynarzy, którzy nierozważnie zdjęli podczas wiosłowania koszule i wystawili swe blade ciała na słońce.

Teraz jednak słońce chowało się za chmurami, a marynarze musieli spać w wilgotnych śpiworach i trząść się z zimna i gorączki.

Kilku najsilniejszych marynarzy wysłanych na zwiady doniosło, że kiedy znajdowali się na łodzi, minęli głęboką zatokę położoną piętnaście mil na północny zachód od ujścia rzeki, gdzie rozbili w końcu obóz. Co ważniejsze, zwiadowcy przekonali się również, że wybrzeże wyspy zakręcało ponownie na północny zachód zaledwie dziesięć mil od obozu. Oznaczało to, że znajdowali się bardzo blisko południowo-wschodniego krańca Ziemi Króla Williama, punktu położonego najbliżej zatoki prowadzącej do ujścia Rzeki Backa.

Rzeka Backa, cel ich wyprawy, znajdowała się dokładnie po drugiej stronie cieśniny, komandor Crozier dał jednak wszystkim do zrozumienia, że zamierza kontynuować wędrówkę po lądzie aż do miejsca, gdzie wybrzeże zawraca na północny zachód. Tam mieli rozbić obóz i obserwować cieśninę. Gdyby w ciągu dwóch tygodni lód popękał, wsiedliby do łodzi. W przeciwnym razie ruszyliby z saniami na lód, w stronę Półwyspu Adelajdy, a dotarłszy do stałego lądu, kontynuowaliby marsz na wschód, by jak najszybciej pokonać piętnaście mil dzielące ich od zatoki prowadzącej do ujścia Rzeki Backa.

John Bridgens zawsze najgorzej radził sobie z końcówkami partii. Rzadko udawało mu się dobrze rozegrać tę część szachowego pojedynku.

Wieczorem poprzedzającym dzień, w którym mieli opuścić obóz nad rzeką, Bridgens spakował starannie wszystkie swoje rzeczy - w tym gruby dziennik, który prowadził od kilku lat (pięć grubszych tomów zostawił w kwietniu na Terrorze) - i włożył je do swego śpiwora wraz z notatką, że jego towarzysze mogą wziąć sobie wszystko, co tylko zechcą. Potem zabrał dziennik Harry'ego

Peglara i jego grzebień oraz szczotkę do ubrań, którą posługiwał się od wielu lat, schował to wszystko do kieszeni kurtki i poszedł do namiotu doktora Goodsira, by się z nim pożegnać.

- Jak to, wybiera się pan na spacer i może nie wrócić, nim wyruszymy w drogę? - zdumiał się Goodsir. - Co to ma znaczyć, panie Bridgens?

- Nic szczególnego, doktorze, po prostu mam ogromną ochotę na przechadzkę.

- Przechadzkę. - Goodsir pokiwał głową. - Dlaczego, panie Bridgens? Jest pan trzydzieści lat starszy od większości marynarzy, którzy jeszcze ostali się przy życiu, ale dziesięć razy zdrowszy.

- Tak, jeśli chodzi o zdrowie, zawsze miałem szczęście - odparł Bridgens. - Obawiam się jednak, że to dziedziczne i że nie mogę przypisywać tego własnej roztropności czy szczególnej trosce o własne samopoczucie.

- Więc dlaczego... - zaczął Goodsir.

- Po prostu nadszedł już ten czas, doktorze Goodsir. Przyznam, że jako młodzieniec marzyłem o karierze aktorskiej. Jedną z niewielu rzeczy, jakich nauczyłem się w owym czasie, było to, że dobrzy aktorzy zawsze schodzą ze sceny, nim publiczność znudzi się ich grą i sama ich stamtąd wyprosi.

- Mówi pan jak stoik, panie Bridgens. Wielbiciel poglądów Marka Aureliusza. Jeśli cesarz jest z pana niezadowolony, idzie pan do domu, przygotowuje ciepłą kąpiel...

- O, nie - przerwał mu Bridgens. - Zawsze podziwiałem stoików, to prawda, ale z drugiej strony zawsze też bałem się noży i wszelkiego rodzaju ostrzy. Jestem pewien, że w takiej sytuacji cesarz pozbawiłby mnie głowy, rodziny i majątku. Ja chciałem się tylko przespacerować dziś wieczór. Może zdrzemnąć.

- I może śnić? - odpowiedział Goodsir.

- Tak, w tym cały problem - przyznał steward. W jego głosie pobrzmiwały nuty smutku i niepokoju.

- Naprawdę uważa pan, że nie mamy już żadnych szans na ocalenie? - spytał lekarz z autentycznym zaciekawieniem.

Bridgens milczał przez chwilę. Wreszcie odpowiedział:

- Nie wiem. Wszystko prawie zależy od tego, czy od strony Wielkiego Jeziora Niewolniczego wysłano już ekipę ratunkową w naszym kierunku - myślę, że to całkiem możliwe, w końcu tkwimy tu już od trzech lat - a jeśli tak się stało, to zapewne mamy jakieś szanse. Wiem z całą pewnością, że jeśli którykolwiek z członków naszej ekspedycji ma szansę doprowadzić nas do domu, to jest to komandor Francis Rawdon Moira Crozier. Moim skromnym zdaniem komandor zawsze był niedoceniany przez Admiralicję.

- Proszę powiedzieć mu to osobiście - odrzekł Goodsir. - Albo przynajmniej poinformować go, że pan odchodzi. Myślę, że jest mu pan to winien.

Bridgens uśmiechnął się.

- Zrobiłbym to, panie doktorze, ale obaj wiemy, że komandor nie pozwoliłby mi odejść. Być może nawet kazałby mnie związać, by zmusić do dalszej wędrówki.

- Tak - zgodził się z nim Goodsir. - Ale zostając, wyświadczyłby pan mi wielką przysługę. Czeka mnie kilka amputacji, będę potrzebował pańskiej pewnej ręki.

- Jest tutaj sporo młodych mężczyzn, którzy mogą panu pomóc i którzy mają znacznie pewniejszą - i silniejszą - rękę niż ja.

- Ale żaden z nich nie jest równie inteligentny - odparł Goodsir. - Z żadnym nie mogę porozmawiać tak, jak z panem. Cenię sobie pańską opinię.

- Dziękuję, doktorze Goodsir. - Bridgens uśmiechnął się ponownie. - Nie chciałem panu o

tym mówić, ale zawsze brzydziłem się bólem i krwią. Od dzieciństwa. Ogromnie cieszyłem się, że mogłem z panem współpracować przez tych kilka ostatnich tygodni, ale robiłem to wbrew własnej naturze. Zawsze zgadzałem się ze świętym Augustynem, który mówił, że jedyny prawdziwy grzech to ludzki ból. Jeśli rzeczywiście zamierza pan przeprowadzić kilka amputacji, to najlepiej będzie, jeśli odejdę. Zegnam, doktorze Goodsir - powiedział Bridgens, wyciągając rękę.

- Zegnam, panie Bridgens. - Lekarz ujął rękę stewarda w obie dłonie i mocno ją uściśnął.

Bridgens opuścił obóz od strony północno-wschodniej, wyszedł z płytkiej doliny rzeki - podobnie jak wszystkie wzgórza i wzniesienia na Ziemi Królowej Williama grzbiety ciągnące się wzdłuż rzeki miały nie więcej niż piętnaście, dwadzieścia stóp wysokości - i ruszył wzdłuż wolnej od śniegu grani, oddalając się z każdym krokiem od swych towarzyszy.

Słońce zachodziło około dziesiątej wieczorem, John Bridgens postanowił jednak, że nie będzie maszerował aż do zapadnięcia zmroku. Jakies trzy mile od obozu nad rzeką znalazł suchy zakątek wśród kamieni ułożonych na grani, usiadł, wyjął z kieszeni suchara - swoją dzienną rację żywnościową - i zjadł go powoli. Choć czerstwy i twardy jak kamień, był jedną z najpyszniejszych rzeczy, jakich kiedykolwiek skosztował. Zapomniał zabrać ze sobą wody, nabrał więc garść śniegu i roztopił go w ustach.

Zachód słońca na południowym zachodzie był piękny. Czerwony dysk pokazał się w wąskiej szczelinie między warstwą chmur i horyzontem, zawisł tam na moment i zniknął. Bridgens pomyślał, że był to widok, który cieszyłby raczej oczy Odyseusza niż króla Lira.

Ziemia okryła się miękką szarością, a temperatura zaczęła gwałtownie spadać. Wkrótce miał się zerwać zimny wiatr. Bridgens miał nadzieję, że zaśnie, nim wiatr rozhula się na dobre, i nim nad cieśninę znów napłyną chmury burzowe.

Sięgnął do kieszeni i wyjął stamtąd ostatnie trzy przedmioty.

Pierwszym z nich była szczotka do ubrań, której John Bridgens używał od ponad trzydziestu lat. Dotknął delikatnych kłaczków na włosiu szczotki, uśmiechnął się do swych myśli i włożył ją do drugiej kieszeni.

Następnie wyjął grzebień Harry'ego Peglara. Między zębami grzebienia wciąż tkwiło kilka brązowych włosów. Bridgens trzymał go przez chwilę w mocno zaciśniętej dłoni, a potem przełożył do tej samej kieszeni co szczotkę.

Wreszcie przyszła kolej na dziennik Peglara. Bridgens otworzył go na chybił trafił.

Śmierci, gdzie twoje żądło, grób w Zatoce Luksusów bo kto wątpi... farbiarz rzek...

Bridgens pokręcił głową. Wiedział, że ostatnie słowo powinno brzmieć „rzekł”, choć i tak nie rozumiał sensu całego zdania. Nauczył Peglara czytać, nigdy jednak nie udało mu się nauczyć go poprawnej pisowni. Bridgens podejrzewał - gdyż Harry Peglar był jedną z najinteligentniejszych istot ludzkich, jakie kiedykolwiek poznał - że wynikało to z dysfunkcji jakiegoś obszaru w mózgu Peglara, jakiejś nieznanej naukowcom części tego narządu odpowiedzialnej za umiejętność prawidłowego pisania. Nawet wiele lat po tym, jak poznał alfabet i czytał najtrudniejsze nawet książki z wnikliwością i zrozumieniem właściwym tylko wielkim umysłem, Harry nie umiał napisać listu, w którym nie roiłoby się od różnego rodzaju błędów.

Śmierci, gdzie twoje żądło...

Bridgens uśmiechnął się po raz ostatni, włożył dziennik do przedniej kieszeni kurtki, gdzie nie mogły dosięgnąć go różne drobne drapieżniki, położył się na boku i oparł głowę na złożonych dłoniach.

Poruszył się raz jeszcze, by podnieść kołnierz i spuścić niżej czapkę. Wiatr był coraz

silniejszy, robiło się też coraz zimniej.

John Bridgens spał, nim jeszcze na południu zapadły całkowite ciemności.

CROZIER

Obóz ratunkowy 13 sierpnia 1848.

Przez dwa tygodnie wędrowali na południowo-wschodni kraniec wyspy - do miejsca, gdzie linia brzegowa Wyspy Króla Williama zakręcała raptownie na północ i wschód - a potem zatrzymali się, by rozbić namioty, rozesać myśliwych i odpocząć nieco, wypatrując jednocześnie szczelin w lodzie pokrywającym cieśninę. Doktor Goodsir powiedział Crozierowi, że potrzebuje trochę czasu, by opatrzyć chorych i rannych, których ciągnęli w łodziach przez ostatnie dwa tygodnie. Marynarzy nazwali to obozowisko Krańcem Ziemi.

Gdy Goodsir poinformował Croziera, że podczas postoju będzie musiał amputować stopy co najmniej pięciu ludziom - co oznaczało, że ludzie ci nie pójdą już nigdzie dalej, gdyż nawet zdrowi marynarze nie mieli dość sił, by ciągnąć swych towarzyszy - komandor przemianował to miejsce na obóz ratunkowy.

Zgodnie z pomysłem, który wyszedł od Goodsira i o którym wiedzieli na razie tylko oni dwaj, lekarz miał zostać z ludźmi wracającymi do zdrowia po amputacji nóg. Jak dotąd operacji tej poddało się czterech marynarzy i żaden z nich nie umarł - ostatni, pan Diggle, miał być operowany tego ranka. Inni marynarze, którzy byli zbyt słabi lub zbyt zmęczeni, by kontynuować marsz, mogli zostać z Goodsirem i rekonwalescentami, podczas gdy Crozier, Des Voeux, Couch, Johnson i inni popłynęliby na południe - oczywiście, jeśli tylko lód popękałby na tyle, by umożliwić im żeglugę. Później ta mniejsza grupa popłynęłaby w górę Rzeki Backa, by powrócić z ekipą ratunkową na wiosnę - albo jeszcze przed nadejściem zimy, gdyby cudownym zbiegiem okoliczności natknęli się na taką ekipę w ciągu najbliższych kilku tygodni.

Crozier wiedział, że szanse na takie spotkanie równają się niemal zeru, a szanse na to, by którykolwiek z ludzi pozostałych w obozie ratunkowym dotrwał do wiosny, niewarte są nawet dyskusji. Przez wiosnę, czerwiec i lipiec udało im się upolować zaledwie kilka małych zwierząt, a sierpień wcale nie był lepszy pod tym względem. Lód był zbyt gruby, by dało się w nim wyrębać przeręble, mogli więc łowić tylko w połoniach lub w szczelinach, ale do tej pory nie schwytali ani jednej ryby. Jak Goodsir i jego pomocnicy oraz podopieczni mogli przetrwać w tych warunkach nadchodzącą zimę? Crozier wiedział, że wyrażając chęć pozostania z chorymi, Goodsir podpisał wyrok śmierci na samego siebie. Goodsir wiedział z kolei, że jego komandor doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Obaj nie wspominali o tym ani słowem.

Tak wyglądał ich aktualny plan, który mógł jednak ulec zmianie w dwóch sytuacjach: gdyby Goodsir się jednak rozmyślił albo gdyby wydarzył się prawdziwy cud i w drugiej połowie sierpnia lód otworzyłby się na tyle, by ich sfatygowane łodzie przepłynęły na drugą stronę cieśniny, zabierając nie tylko zdrowych marynarzy, ale i wszystkich chorych i rannych.

Jako zapasy jedzenia? - pomyślał Crozier.

Był to kolejny problem, z którym musiał sobie jakoś poradzić.

Wychodząc z namiotu, komandor zawsze miał teraz przy sobie dwie sztuki broni - wielki rewolwer w prawej kieszeni płaszcza i dwustrzałowy pistolet w kieszeni lewej. Nie powtórzył już błędu, który popełnił kilka tygodni wcześniej, i nie wysyłał z obozu swych najlepszych ludzi

- Coucha, Des Voeux, Johnsona i kilku innych - pozostawiając w nim jednocześnie malkontentów takich jak Hickey, Aylmore i przygłupi olbrzym Manson. Od czasu niedosłego buntu Francis Crozier nie ufał również porucznikowi George'owi Hodgsonowi, dowódcy dziobówki Reubenowi Male'owi i dowódcy przedniego masztu z *Erebusa* Robertowi Sinclairowi.

Widok z obozu ratunkowego był przygnębiający. Od dwóch tygodni niebo kryło się za gęstą zasłoną chmur, Crozier nie mógł więc skorzystać ze swego sekstansu. Znów zaczął wiać mocny wiatr z północnego zachodu, a powietrze było zimniejsze niż przez ostatnie dwa miesiące. Cieśninę nadal pokrywała gruba warstwa lodu, który wyglądał jednak zupełnie inaczej niż płaska lodowa równina, poprzecinana tu i ówdzie wałami lodowymi, którą pokonali w drodze z *Terroru* do Obozu *Terror* tak dawno, dawno temu. Łód w cieśninie na południe od Wyspy Króla Williama był prawdziwą gęstwiną ogromnych gór lodowych, niezliczonych wałów lodowych, seraków o ostrych jak brzytwa krawędziach i lodowych bloków. Crozier nie sądził, by którykolwiek z marynarzy obecnych w obozie ratunkowym - łącznie z olbrzymim Mansonem - mógł przejść przez tę lodową dżunglę.

Jęki, eksplozje, trzaski, huki i ryki, które wypełniały teraz całe noce i dni, były ich jedyną nadzieją. Łód był niespokojny i bez ustanku zmieniał swój kształt. Od czasu do czasu otwierały się w nim wąskie szczeliny, które jednak po kilku godzinach zamykały się z trzaskiem. Wały lodowe wysokości trzydziestu stóp wypiętrzały się wciąż kilku sekund, by kilka godzin później równie szybko zniknąć. Ściskane ze wszystkich stron ogromną masą topniejącego paku góry lodowe eksplodowały z ogłuszającym hukiem.

Jest dopiero 13 sierpnia, mówił sobie Crozier, choć wiedział dobrze, że powinien raczej mówić: Jest już 13 sierpnia. Zima zbliżała się wielkimi krokami. *Terror* i *Erebus* zamarzły we wrześniu 1848 roku, a było to przecież wyjątkowo ciepłe lato.

Jest dopiero 13 sierpnia, powtarzał sobie Crozier. Mieli jeszcze dość czasu, by przepłynąć przez cieśninę - nawet gdyby miejscami musieli ciągnąć łodzie przez lód - pokonać siedemdziesiąt pięć mil dzielące ich od ujścia Rzeki Backa i przygotować łodzie do żeglugi po rzece. Gdyby dopisało im szczęście, zatoka prowadząca do ujścia rzeki byłaby wolna od lodu - rzeka niosła z południa cieplejsze wody, które z pewnością topiły lodową powłokę. Później musieliby jak najszybciej przedostać się w górę rzeki, by uciec przed nadchodzącą zimą, lecz wciąż mieliby szanse na ratunek. Teoretycznie.

Teoretycznie.

Tego ranka - w niedzielę, jeśli zmęczony Crozier nie stracił rachuby czasu - Goodsir miał dokonać ostatniej amputacji, korzystając przy tym z pomocy swego nowego asystenta, Thomasa Hartnella. Później Crozier zamierzał odprawić nabożeństwo, podczas którego ujawniłby swe plany i oświadczył wszystkim, że Goodsir zostanie w obozie wraz z chorymi i rannymi, on zaś w ciągu najbliższego tygodnia wyruszy z grupą najsilniejszych marynarzy na południe bez względu na to, czy lód popęka, czy też nie.

Jeśli Reuben Małe, Hodgson, Sinclair czy też Hickey i jego kompani chcieli zaproponować jakiś inny plan, Crozier gotów był nie tylko z nimi rozmawiać, ale i pozwolić im odejść. Im mniej ludzi zostawało w obozie ratunkowym, tym lepiej, szczególnie jeśli przy okazji mógł się pozbyć czarnych owiec.

Z namiotu Goodsira dobiegł przerażający krzyk, co oznaczało, że lekarz zaczął amputować przeżartą gangreną stopę pana Diggle'a.

Sprawdziwszy, czy oba pistolety są na swoim miejscu, Crozier wyszedł z namiotu, by odszukać Thomasa Johnsona i kazać mu zebrać wszystkich ludzi.

Pan Diggle, najbardziej chyba lubiany członek ekspedycji oraz świetny kucharz, z którym Francis Crozier pracował od lat podczas licznych wypraw w obszary podbiegunowe, zmarł na skutek upływu krwi i komplikacji pooperacyjnych natychmiast po amputacji jego prawej stopy i na kilka minut przed rozpoczęciem przeglądu.

Za każdym razem, gdy marynarze przebywali w jednym miejscu dłużej niż przez dwa dni, bosmani rysowali na żwirze i śniegu zarys pokładu statku. Dzięki temu wszyscy wiedzieli, gdzie stać podczas apelu, nie czuli się też tak obco w nowym miejscu. Podczas pierwszych dni pobytu w Obozie *Terror* na zbiórkach panował ogromny tłok, kiedy to ponad stu marynarzy z obu okrętów próbowało zmieścić się na powierzchni odpowiadającej górnemu pokładowi jednego statku, teraz jednak każdy miał wystarczająco dużo miejsca.

W ciszy, która zapadła po sprawdzeniu obecności i krótkim czytaniu z Biblii, komandor przyglądał się przez chwilę grupce obszarpanych, brodatych, bladych, brudnych, wycieńczonych ludzi, którzy starali się nie garbić zbyt mocno i zachować pozycję przypominającą choć trochę postawę na baczność.

Spośród trzynastu oficerów HMS *Erebus* me żyło już dziewięciu: sir John, komandor Fitzjames, porucznik Graham Gore, porucznik H.T.D. Le Vesconte, porucznik Fairholme, pierwszy oficer Sergeant, drugi nawigator Collins, lodomistrz Reid i główny lekarz Stanley. Przy życiu pozostali jeszcze Des Voeux, obecnie pierwszy oficer, i Couch, w tej chwili drugi oficer, asystent głównego lekarza Goodsir (który zajął swe miejsce w szeregu z opóźnieniem i garbił się jeszcze bardziej niż pozostali, przytłoczony zmęczeniem i poczuciem przegranej) oraz intendent Charles Hamilton, który przeżył zapalenie płuc tylko po to, by rozchorować się na szkorbut.

Uwagi komandora Croziera nie uszedł fakt, że wszyscy oficerowie marynarki wojennej służący na *Erebusie* już nie żyli, a przy życiu pozostali tylko podoficerowie lub cywile.

Nie żyli także wszyscy trzej bosmani *Erebusa* - mechanik John Gregory, bosman Thomas Terry i cieśla John Weekes.

Gdy *Erebus* odpływał od wybrzeży Grenlandii, na jego pokładzie znajdowało się dwudziestu jeden podoficerów; w dniu apelu żyło jeszcze piętnastu z nich, choć niektórzy - jak intendent Steward William Fowler, który nigdy nie wydobrzeł po poparzeniach, jakich doznał podczas karnawałowej nocy - od dawna już nie mogli wypełniać swoich obowiązków.

Na apelu zwołanym w dzień Bożego Narodzenia 1845 roku na pokładzie *Erebusa* stawiłoby się dziewiętnastu marynarzy. Piętnastu z nich wciąż żyło.

Spośród siedmiu żołnierzy brytyjskiej piechoty morskiej służących na tym okręcie do 13 sierpnia 1848 przetrwało trzech - kapral Pearson oraz szeregowcy Hopcraft i Healey - wszyscy jednak byli zbyt chorzy na szkorbut, by wyruszyć na polowanie lub choćby stanąć porządnie na baczność, nie mówiąc już o ciągnięciu sań. Tego ranka stawili się jednak na apelu, wsparci o muszkiety i pochyleni mocno do przodu, jakby lada moment mieli przewrócić się na ziemię i już nie wstać.

Dwaj chłopcy okrętowi wciągnięci na listę załogi *Erebusa*, David Young i George Chambers, wciąż żyli, Chambers został jednak tak mocno poturbowany przez potwora z lodu podczas karnawałowej nocy, że od tego czasu niewiele różnił się od zwierzęcia - potrafił na komendę ciągnąć sanie i jeść, poza tym jednak trudno było nawiązać z nim kontakt.

Z dokonanego właśnie przeglądu wynikało więc, że dnia 13 sierpnia 1848 roku żyło trzydziestu dziewięciu spośród sześćdziesięciu pięciu członków pierwotnej załogi *Erebusa*.

Oficerowie HMS *Terror* mieli nieco więcej szczęścia niż ich koledzy z *Erebusa*, gdyż do połowy sierpnia 1848 dotrwało jeszcze dwóch oficerów Królewskiej Marynarki Wojennej - komandor Crozier i porucznik Hodgson. Poza tym do kadry oficerskiej zaliczali się także pierwszy oficer Robert Thomas oraz pan E. J. Helpman, klark Croziera.

Na apelu nie stawili się tragicznie zmarli porucznik Little, porucznik Irving oraz pierwszy oficer Hornby, lodomistrz Blanky, drugi nawigator MacBean oraz obaj lekarze, Peddie i McDonald.

Spośród jedenastu oficerów *Terroru* do tej pory przy życiu pozostało tylko czterech.

Na wyprawę w poszukiwaniu Przejścia Północno-Zachodniego wyruszyło na pokładzie *Terroru* trzech bosmanów - pierwszy mechanik James Thompson, bosman John Lane oraz cieśla Thomas Honey - i wszyscy trzej wciąż żyli, choć mechanik wyglądał jak żywy szkielet, zbyt słaby, by ustać o własnych siłach, nie mówiąc już o ciągnięciu łodzi, a pan Honey nie tylko chorował na szkorbut, ale poprzedniego wieczora trafił pod nóż doktora Goodsira, który musiał amputować mu obie stopy. Cieśla jednak zachował na tyle sił i wigoru, by krzyknąć „Obecny!” ze swego namiotu, gdy Crozier wyczytał jego nazwisko.

Trzy lata wcześniej na pokładzie *Terroru* służyło dwudziestu jeden podoficerów; w trakcie wyprawy grupa ta zmniejszyła się o pięć osób - pierwszy zmarł palacz John Torrington, później zaś dowódca przedniego masztu Harry Peglar, sternicy Kenley i Rhodes oraz kucharz John Diggle, który dołączył do szeregów zmarłych zaledwie kilka minut przed apelem.

Spośród dziewiętnastu marynarzy, którzy wypłynęli z Anglii na pokładzie *Terroru*, na apelu stawiło się dziesięciu: jedenasty, David Leys, wciąż pogrążony był w śpiączce i nie reagował na żadne bodźce zewnętrzne.

Sierpniowego apelu nie dożył żaden z sześciu żołnierzy piechoty morskiej służących na *Terrorze*. Szeregowiec Heather, pozbawiony przez potwora części czaszki i mózgu, przez wiele miesięcy tkwił w zawieszeniu między życiem i śmiercią, w końcu jednak zmarł dzień po tym, jak opuścili obóz nad rzeką. Marynarze zostawili jego ciało na ziemi, bez pogrzebu i choćby słowa komentarza.

Na liście załogi *Terroru* figurowały nazwiska dwóch chłopców okrętowych, na apelu stawił się jednak tylko jeden z nich, Robert Golding, teraz niemal dwudziestotrzyletni mężczyzna, który jednak chwilami wciąż wydawał się równie naiwny i bezrozumny jak dziecko.

Spośród sześćdziesięciu dwóch członków załogi *Terroru* do poranka 13 sierpnia 1848 dotrwało ogółem trzydziestu pięciu ludzi. Oznaczało to, że liczba uczestników wyprawy sir Johna zmniejszyła się w ciągu ostatnich trzech lat, czyli od momentu opuszczenia Grenlandii, ze stu dwudziestu sześciu do siedemdziesięciu czterech ludzi.

Jednakże czterej spośród nich stracili w ciągu ostatniej doby jedną lub obie stopy, a co najmniej dwudziestu kolejnych było zbyt słabych, chorych lub wycieńczonych, by kontynuować podróż. Dla nich wędrówka dobiegła już końca.

Nadszedł czas na ostateczne rozstrzygnięcia.

- Boże Wszechmogący - zaczął Crozier zachrypniętym, zmęczonym głosem - który przywołujesz do siebie dusze naszych bliźnich, by cieszyli się w Twojej obecności wiecznym szczęściem, dziękujemy Ci, Panie, że zechciałeś uwolnić brata naszego, Johna Diggle'a, od ziemskiej udręki. Twojej woli, Boże nasz i Panie, poddajemy się dziś wszyscy i błagamy, byś w miłosierdziu swoim zechciał wszystkich nas oczyścić z grzechów naszych i przyjąć do swego królestwa, byśmy tam cieszyli się życiem wiecznym, przez Chrystusa Pana naszego. Amen.

- Amen - wychrypiało sześćdziesięciu dwóch mężczyzn, którzy zachowali dość sił, by stawić się na zbiórce.

- Amen - dodało słabo kilku spośród tych, którzy leżeli w namiotach. Crozier nie zamierzał jednak kończyć apelu.

- Marynarze HMS *Erebus* i HMS *Terror*, członkowie Królewskiej Służby Badawczej, uczestnicy wyprawy sir Johna Franklina - przemówił głośniejszym głosem. - Dziś musimy postanowić, którądy wieść będą nasze ścieżki. Wszyscy podpisaliście regulamin Królewskiej Służby Badawczej i

przysięgaliście na swój honor, że będziecie go przestrzegać. Zgodnie z tą przysięgą pozostajecie pod moimi rozkazami, dopóki nie zwolnię was z tego obowiązku. Do tej pory służyliście pod komendą sir Johna, komandora Fitzjamesa oraz moją, i dowiedliście, że jesteście ludźmi dzielnymi i prawymi. Wielu naszych przyjaciół odeszło do domu Pana naszego, Jezusa Chrystusa, jednak siedemdziesięciu czterech doczekało tej chwili. Moim największym pragnieniem jest, byście wszyscy przeżyli do końca tej podróży i ujrzeli ponownie Anglię, swoje domy i rodziny. Bóg mi świadkiem, że robiłem do tej pory wszystko, co w mojej mocy, by do tego doprowadzić. Dziś jednak pozwolę, byście sami zdecydowali, jakim sposobem chcecie osiągnąć ten cel.

Przez szeregi marynarzy zgromadzonych na apelu przeszedł szmer zdumienia. Crozier odczekał chwilę, po czym przemówił ponownie:

- Wiecie już, co zamierzamy zrobić: doktor Goodsir zostanie tutaj z tymi, którzy są zbyt chorzy lub słabi, by kontynuować podróż, pozostali zaś wyruszą w stronę Rzeki Backa. Czy ktoś z was chciałby szukać innych dróg ratunku?

Przez chwilę ludzie stali w milczeniu, spoglądając niepewnie po sobie lub wbijając wzrok w ziemię, w końcu jednak przed szereg wystąpił porucznik George Hodgson.

- Owszem, panie komandorze. Kilku z nas chciałoby wrócić.

Crozier przez chwilę tylko patrzył na porucznika. Wiedział, że Hodgson jest rzecznikiem Hickeya, Aylmore'a i kilku innych malkontentów, którzy od miesiący siali zamęt wśród pozostałych marynarzy, choć młody oficer zapewne sam nie zdawał sobie z tego sprawy.

- Wracać dokąd, poruczniku? - spytał wreszcie.

- Do statku, panie komandorze.

- Myśli pan, że *Terror* jest jeszcze na swoim miejscu, poruczniku? - W tym samym momencie, jakby dla podkreślenia jego słów, łód na południe od wyspy eksplodował z ogłuszającym hukiem. Góra lodowa znajdująca się kilkaset jardów od brzegu pękła na pół i rozsypała się jak domek z kart.

Hodgson wzruszył ramionami.

- Na pewno na swoim miejscu będzie Obóz *Terror*, komandorze. Zostawiliśmy tam jedzenie, piece i łodzie.

- Zgadza się. - Crozier skinął głową. - Na pewno wszyscy chętnie skorzystalibyśmy teraz z tego jedzenia; nawet z puszek, które zabiły kilku z nas w tak straszliwy sposób. Pamięta pan chyba jednak, poruczniku, że opuściliśmy Obóz *Terror* prawie sto dni temu i przeszliśmy w tym czasie około dziewięćdziesięciu mil. Naprawdę sądzi pan, że zdołacie tam dotrzeć przed zimą? Dojdziecie do obozu pod koniec listopada. W całkowitych ciemnościach. Pamięta pan zapewne, jakie temperatury panują na lodzie w tym czasie.

Hodgson skinął w milczeniu głową.

- Nie będziemy szli aż do listopada - przemówił nagle Cornelius Hickey, stając obok przygarbionego porucznika. - Zakładamy, że wzdłuż brzegu nie ma lodu. Opłyniemy ten cholerny przylądek, przez który ciągnęliśmy sanie jak jacyś niewolnicy, i będziemy w Obozie *Terror* za niecały miesiąc.

Słyszając te słowa, marynarze zaczęli szeptać między sobą.

- Może rzeczywiście łód przy brzegu stopnieje, panie Hickey - odrzekł spokojnie Crozier. - A może nie. Tak czy inaczej musicie pokonać sto mil dzielące was od okrętu, który najprawdopodobniej został zgnieciony przez łód, a nawet jeśli jest jeszcze cały, to z całą pewnością znów będzie unieruchomiony w paku, nim do niego dotrzecie. Stąd jest znacznie bliżej do ujścia Rzeki Backa, przypuszczam też, że w zatoce prowadzącej do ujścia nie ma jeszcze lodu.

- Nie zmienimy zdania, komandorze - oświadczył stanowczo Hickey. - Rozmawialiśmy o tym

między sobą i postanowiliśmy, że idziemy.

Crozier patrzył przez chwilę w milczeniu na mata uszczelniacza. Instynkt nakazywał mu natychmiast stłumić wszelkie przejawy niesubordynacji, pamiętał jednak dobrze, że właśnie tego chciał. Nadszedł już czas, by pozbyć się malkontentów i uratować tych, którzy obdarzyli go zaufaniem. Poza tym plan Hickeya, choć ryzykowny, mógł się powieść. Wszystko zależało od tego, gdzie otworzyły się szczeliny w lodzie - i kiedy się zamkną. Marynarze zasługiwali na to, by samodzielnie wybrać swą ostatnią szansę.

- Ilu ludzi pójdzie z panem, poruczniku? - spytał Crozier, zwracając się do Hodgsona, jakby ten został już oficjalnie przywódcą całej grupy.

- Cóż... - zaczął niepewnie Hodgson.

- Idzie z nami Magnus - przemówił zamiast niego Hickey, gestem przywołując do siebie olbrzyma. - I pan Aylmore.

Posępny steward wystąpił przed szereg i spojrzał na Croziera z nieskrywaną nienawiścią i pogardą.

- I George Thompson... - kontynuował Hickey.

Crozier nie był tym zaskoczony - Thompson zawsze był leniwy i bezczelny, a gdy tylko miał okazję i rum - także pijany.

- Ja też idę z nimi... panie komandorze - oświadczył John Morfin, występując przed szereg.

William Orren, który skończył właśnie dwadzieścia sześć lat, bez słowa wyszedł z szeregu i stanął obok Hickeya.

Potem do tej grupy dołączył również James Brown i Francis Dunn

- uszczelniacz i mat uszczelniacz z *Erebusa*.

- Uważamy, że to nasza jedyna szansa, panie komandorze - powiedział Dunn, spuszczać wzrok.

Crozier czekał, aż usłyszy podobne oświadczenie z ust Reubena Mała i Roberta Sinclaira - zdawał sobie sprawę, że jeśli większość ludzi zebranych na apelu przyłączy się do tej grupy, jego własny plan legnie w gruzach - zdumiał się jednak, ujrawszy, że z szeregu wychodzi William Gibson, steward mesy podoficerów z *Terroru*, oraz palacz Lukę Smith. Obaj zawsze byli lojalnymi i pracowitymi marynarzami.

Po chwili dołączył do nich Charles Best - marynarz z *Erebusa*, podwładny porucznika Gore'a - oraz czterech innych marynarzy: William Jerry, Thomas Work, który został ciężko ranny podczas zabawy karnawałowej, młody John Strickland i Abraham Seeley.

W sumie przed szeregiem stało szesnastu ludzi.

- To wszystko? - spytał Crozier, tłumiąc westchnienie ulgi. Szesnastu ludzi; musiał dać im jedną łódź, ale w obozie zostawało dość zdrowych marynarzy, by utworzyć grupę zmierzającą do ujścia rzeki i zostawić doktorowi Goodsrowi kilku pomocników.

- Dam wam szalupę - powiedział, zwracając się ponownie do Hodgsona.

Porucznik skinął głową z wdzięcznością.

- Szalupa jest zniszczona i ciężka, trzeba ją ciągnąć na tych cholernych saniach - odezwał się znów Hickey. - Weźmiemy welbot.

- Dostaniecie szalupę - powtórzył Crozier.

- Chcemy też zabrać George'a Chambersa i Davida Leysa - oświadczył mat uszczelniacz, splatając ręce na piersiach i stając przed swymi ludźmi na rozstawionych lekko nogach, niczym Napoleon.

- A to niby dlaczego? - zdziwił się Crozier. - Po co mielibyście brać ze sobą dwóch ludzi,

którzy nie potrafią nawet sami o siebie zadbać?

- George może ciągnąć - odrzekł Hickey. - A Leysem opiekowaliśmy się do tej pory i nadal chcemy to robić.

- Nie - przemówił nieoczekiwanie doktor Goodsir, stając między Crozierem i ludźmi Hickeya. - Nie opiekowaliście się wcale panem Leysem i nie chcecie wcale robić tego dalej. Nie chcecie też zmuszać George'a Chambersa do pracy. Zabieracie ich obu jako jedzenie.

Porucznik Hodgson spojrzał na lekarza ze zdumieniem, Hickey zaś przywołał do siebie Magnusa Mansona. Obaj ruszyli do przodu.

- Ani kroku dalej! - ryknął Crozier. Pozostali przy życiu żołnierze - kapral Pearson, szeregowiec Hopcraft i szeregowiec Healey - choć z trudem trzymali się na nogach, podnieśli muszkiety i wycelowali je w Hickeya.

W tej samej chwili po strzelby sięgnęli również pierwszy oficer Des Voeux, drugi oficer Edward Couch, bosman John Lane i bosmanmat, Tom Johnson.

- My też mamy broń - warknął wściekle Cornélius Hickey.

- Nie - odrzekł spokojnie komandor Crozier. - Nie macie. Kiedy staliście na apelu, Des Vouex zabrał wam strzelby. Jeśli odejdziecie jutro w spokoju, dostaniecie jedną strzelbę i trochę naboju. Jeśli teraz zrobicie choć jeden krok do przodu, dostaniecie kulę w łeb.

- Wszyscy zginiecie - powiedział Cornélius Hickey, obejmując gestem marynarzy stojących karnie w szeregu. - Jeśli pójdziecie za Crozierem i tymi innymi głupcami, wszyscy zginiecie.

Mat uszczelniając odwrócił się do lekarza.

- Doktorze Goodsir, wybaczymy panu to, co powiedział pan o George'u Chambersie i Davidzie Leysie. Niech pan idzie z nami. Nie może pan uratować tych ludzi. - Hickey spojrzał z pogardą na namioty, w których leżeli chorzy i ranni. - Oni są już martwi, choć jeszcze o tym nie wiedzą - kontynuował Hickey zadziwiająco donośnie. - My będziemy żyli. Jeśli pójdzie pan z nami, doktorze Goodsir, wróci pan do domu i do swojej rodziny. Jeśli zostanie pan tutaj albo pójdzie z Crozierem, zginie pan. Niech się pan dobrze zastanowi.

Goodsir wciąż miał na nosie okulary, które włożył przed operacją. Teraz zdjął je i bez pośpiechu wytarł skrawkiem zakrwawionej kamizelki, po czym spokojnie, niemal celebrując każdy ruch, ponownie zatknął je na nos i spojrzał na Hickeya oraz jego towarzyszy.

- Panie Hickey - przemówił wreszcie swobodnym tonem. - Jestem panu ogromnie wdzięczny, że tak troszczy się pan o moją skromną osobę, śpieszę jednak zapewnić pana, że i bez mojej pomocy może pan pociąć ciała swych kolegów i przygotować je do spożycia.

- Wcale nie chcę... - zaczął Hickey.

- Nawet kompletny laik może się szybko nauczyć rozczłonkowywać ludzkie ciało - przerwał mu z mocą Goodsir. - Kiedy jeden z tych dżentelmenów, których zabiera pan ze sobą jako przenośną spiżarnię, umrze - albo kiedy pomożecie mu umrzeć - wystarczy tylko dobrze naostrzyć nóż i zabrać się do cięcia.

- Nie będziemy nikogo... - próbował wtrącić Hickey.

- Radziłbym jednak zabrać piłę - kontynuował Goodsir, nie dając się zakrzyczeć. - Myślę, że jedna z pił pana Honeya doskonale się do tego nada. Nóż bez trudu odetnie miękkie mięso z palców, łydek, ud i brzuchów pańskich towarzyszy, ale żeby oddzielić od tułowia ręce i nogi, z pewnością będziecie potrzebowali dobrej piły.

- Niech cię szlag trafi! - wrzasnął Hickey. Ruszył wraz z Mansonem w stronę Goodsira, zatrzymał się jednak, gdy żołnierze i oficerowie ponownie podnieśli broń.

Lekarz, zupełnie się nie przejmując reakcją Hickeya, wskazał na Magnusa Mansona, jakby ten

był wykresem anatomicznym zawieszonym na ścianie.

- W gruncie rzeczy taka operacja niewiele różni się od patroszenia bożonarodzeniowej gęsi. - Goodsir nakreślił w powietrzu kilka prostych linii. - Ręce odcinamy na wysokości stawów barkowych, ale żeby odpiłować nogi, trzeba przeciąć kości miednicy.

Hickey zacisnął dłonie w pięści i poczerwieniał na twarzy, nie próbował już jednak przerywać Goodsirowi, kiedy ten mówił dalej.

- Nieco mniejszą piłą należałoby potem przeciąć nogi w kolanach i ręce w łokciach, później zaś nożem lub skalpelem oddzielić od kości najlepsze części - uda, pośladki, bicepsy, mięśnie trójgłowe, mięśnie naramienne i mięso otaczające golenie. Dopiero wtedy można zająć się mięśniami piersiowymi i dostać się do resztek tłuszczu, które mogły zachować się jeszcze na łopatkach naszych wychudzonych towarzyszy i pod skórą tułowia. Oczywiście będzie tego bardzo niewiele, ale jestem pewien, że pan Hickey nie chciałby zmarnować ani odrobiny cennego pożywienia.

Jeden z marynarzy stojących za Crozierem upadł na kolana i zaczął wymiotować.

- Mam przyrząd zwany haczykiem chirurgicznym, który ułatwia wyłamywanie mostka i usuwanie żeber - kontynuował spokojnie Goodsir - ale obawiam się, że nie mogę go panom pożyczyć. Równie dobrze możecie się jednak panowie posłużyć młotkiem i dłutem; zapewne zauważyliście, że oba te narzędzia znajdują się w łodzi. Radzę zjeść najpierw mięso, na później zaś odłożyć głowę, ręce, stopy i wnętrzności pańskich towarzyszy. Ostrzegam też, że otwieranie długich kości i wyjmowanie z nich szpiku może być trudniejsze, niż się panom wydaje. Będziecie potrzebowali do tego jakiegoś drugiego narzędzia, podobnego do tych najdłuższych, półkolistych dłut pana Honeya. Szpik wyjęty ze środka kości będzie najprawdopodobniej grudkowaty i czerwony... i wymieszany z drobinami kości. Dlatego też radzę najpierw umieścić szpik w garnku i zagotować, nim zjedzą panowie do końca swoich towarzyszy i siebie nawzajem.

- Pierdol się - warknął Hickey. Doktor Goodsir skinął głową.

- Aha, jeszcze jedno - dodał z niezmaconym spokojem. - Najprostsze chyba będzie jedzenie mózgu. Wystarczy odpiłować żuchwę i za pomocą noża lub łyżki przebić podniebienie miękkie, żeby dostać się do wnętrza czaszki. Można odwrócić czaszkę do góry nogami i wyjadać jej zawartość niczym pudding z garnuszka.

Przez chwilę w obozie panowała kompletna cisza, przerywana jedynie wyciem wiatru i trzaskaniem lodu.

- Czy ktoś jeszcze chce jutro opuścić obóz? - zawołał w końcu komandor Crozier.

Z szeregu wystąpił Reuben Małe, dowódca dziobówki z *Terroru*, Robert Sinclair, dowódca przedniego masztu z *Erebusa*, i Samuel Honey, kowal z *Terroru*.

- Idziecie z Hickeyem i Hodgsonem? - spytał Crozier, starając się nie okazywać zaskoczenia.

- Nie, komandorze - odparł Reuben Małe, kręcąc głową. - Idziemy sami. Ale też spróbujemy dostać się do *Terroru*.

- Nie potrzebujemy łodzi - dodał Sinclair. - Spróbujemy przejść przez wyspę. Może w głębi lądu znajdziemy jakąś zwierzynę, chociażby lisy.

- Trudno wam będzie utrzymać właściwy kierunek - zauważył Crozier. - Kompasy do niczego się tutaj nie nadają, a nie mogę wam pożyczyć mojego sekstansu.

Małe pokręcił głową.

- Bez obaw, komandorze, jakoś sobie poradzimy. Dopóki ten cholerny wiatr będzie wiać nam prosto w twarz, wiemy, dokąd iść.

- Zanim zostałem kowalem, byłem marynarzem - przemówił Samuel Honey. - Wszyscy jesteśmy żeglarzami. Skoro nie możemy umrzeć na morzu, to przynajmniej umrzemy na pokładzie

naszego statku.

- W porządku - przemówił Crozier, zwracając się do stojących przed nim ludzi i mówiąc na tyle głośno, by jego słowa dotarły także do namiotów. - Zbierzemy się tutaj po szóstej szklance i podzielimy wszystkie zapasy, które nam jeszcze zostały. W dzieleniu wezmą udział nawet ci, którzy wczoraj mieli amputowane nogi. Każdy przekona się, czym jeszcze dysponujemy, i każdy dostanie równą część. Od tej pory każdy z nas - prócz chorych, których karmi doktor Goodsir - sam będzie dysponował swoim prowiantem.

Crozier spojrzał zimno na Hickeya, Hodgsona i ich grupę.

- Wy będziecie musieli wcześniej przygotować swoją szalupę do drogi. Wyruszyście jutro o świcie. A teraz zejście mi z oczu, nie chcę już dziś oglądać więcej waszych twarzy.

GOODSIR

Obóz ratunkowy 15 sierpnia 1848.

Przez dwa dni po śmierci pana Diggle'a, apelu, wystąpieniu Hickeya i żalosnym podziale resztek zapasów lekarz nie miał siły ani ochoty zapisywać niczego w swoim dzienniku. Wrzucił oprawny w skórę tomik do torby i nie wyjmował go stamtąd przez dłuższy czas.

Wielki Podział, jak nazwał go w myślach Goodsir, był smutnym i żmudnym spektaklem, który przeciągnął się do samego wieczora. Od razu stało się oczywiste, że jeśli chodzi o jedzenie, nikt nikomu nie ufa. Wydawało się, że każdy podejrzewa innych o złe zamiary i o ukrywanie jakichś zapasów. Przez kilka godzin wypakowywali wszystko z łodzi, wyjmowali pakunki, przeszukiwali namioty i wszystkie rzeczy pana Diggle'a oraz pana Walla. W przeglądzie i podziale brali udział przedstawiciele załogi, podczas gdy pozostali uważnie przyglądali się ich poczynaniom.

Thomas Honey umarł wieczorem tego samego dnia, tuż po zakończeniu Wielkiego Podziału. Goodsir kazał Thomasowi Hartnellowi poinformować o tym komandora, a potem pomógł zaszyć ciało cieśli w jego śpiwór. Dwaj marynarze zanieśli je do zasy śnieżnej, odległej o jakieś sto jardów od obozu, gdzie leżały już zwłoki pana Diggle'a. Uczestnicy wyprawy od jakiegoś czasu przestali wyprawiać zmarłym pogrzeby, choć nie był to wcale skutek jakiegoś rozkazu lub edyktu komandora, lecz rodzaj cichej umowy.

Układamy ciała w śniegu, żeby się nie zepsuły, i żebyśmy mogli je kiedyś zjeść? - zastanawiał się lekarz.

Nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Wiedział tylko, że kiedy tłumaczył Hickeyowi - i wszystkim pozostałym ludziom zgromadzonym na apelu (robił to celowo, gdyż jeszcze przed przeglądem ustalał z komandorem Crozierem tę taktykę) - jak należy rozczłonkować ludzkie ciało i przygotować je do jedzenia, do ust napływała mu ślina.

Wiedział też, że nie był jedynym wśród obecnych na apelu, którzy reagowali w ten sposób na myśl o świeżym mięsie... bez względu na jego pochodzenie.

Tylko garstka marynarzy wyszła rankiem 14 sierpnia przed namioty, by przyglądać się, jak Hickey i jego piętnastu towarzyszy opuszcza obóz. Goodsir także przyglądał się temu z ukrycia, dopilnowawszy wcześniej, by ciało pana Honeya zostało pogrzebane w śnieżnej zaspie.

Nieco wcześniej, jeszcze przed świtem, obóz opuściła trójka piechurów, pan Małe, pan Sinclair i Samuel Honey - kowal nie był krewnym zmarłego cieśli - którzy zabrali ze sobą tylko plecaki, śpiwory, trochę sucharów, wodę i jedną strzelbę z nabojami. Nie wzięli nawet namiotu, zakładając, że jeśli pogoda gwałtownie się pogorszy, wydrążą jamę w śniegu i tam schronią się przed nawałnicą. Goodsir przypuszczał, że pożegnali się ze swymi towarzyszami poprzedniego wieczora, wyruszyli bowiem, gdy jeszcze cały obóz spał. Pan Couch powiedział mu później, że szli na północ, w głąb lądu, i zamierzali po dwóch dniach wędrówki skręcić na północny zachód, by dotrzeć jak najszybciej do Obozu *Terror*.

Tymczasem ludzie Hickeya, jakby działając na przekór tej trójce, wyladowali swą łódź po brzegi. Niemal wszyscy uczestnicy wyprawy, łącznie z Male'em, Sinclairem i Samuelem Honeyem, pozbywali się bezużytecznych przedmiotów - szczotek do włosów, książek, ręczników, pulpitów do pisania, grzebieni - odprysków cywilizacji, które ciągnęli ze sobą przez sto dni i których nie chcieli ciągnąć już dłużej. Hickey i jego towarzysze pozbierali wiele spośród tych rupieci i włożyli do swej szalupy wraz z namiotami, śpiworami i jedzeniem. W jednej z toreb przechowywali sto pięć oddzielnie zapakowanych kawałków czekolady, czyli całkowity przydział zapasów, które pan Wall i

pan Diggle ukrywali w swych bagażach, by w odpowiedniej chwili sprawić swym towarzyszom miłą niespodziankę.

Porucznik Hodgson uściśnął dłoń komandora Croziera, kilku innych marynarzy pożegnało się ze swymi towarzyszami, lecz Hickey, Manson, Aylmore i większość ich kompanów zachowała wrogie milczenie. Potem bosmanmat Johnson wręczył Hodgsonowi nienaładowaną strzelbę wraz z torbą nabojów i dopilnował, by młody porucznik schował je do łodzi. Wreszcie zaprzęg złożony z trzynastu marynarzy prowadzonych przez Magnusa Mansona ruszył naprzód w ciszy przerywanej jedynie zgrzytaniem płóz o żwir, a potem o lód. Po dwudziestu minutach cała grupa zniknęła za wzniesieniem położonym na zachód od obozu ratunkowego.

- Myśli pan o tym, czy im się uda, doktorze Goodsir? - spytał Edward Couch, który wraz z lekarzem obserwował całą tę scenę.

- Nie - odrzekł Goodsir, kręcąc ze znużeniem głową. - Myślałem o szeregowcu Heatherze.

- O szeregowcu Heatherze? - zdziwił się Couch. - Przecież zostawiliśmy jego ciało... - Drugi oficer umilkł raptownie.

- Ano właśnie. - Goodsir westchnął. - Ciało Heathera leży przykryte płótnem o dwanaście dni drogi od obozu. Ludzie Hickeya dotrą tam zapewne znacznie szybciej, ciągną przecież tylko jedną łódź.

- Jezu Chryste... - syknął Couch. Goodsir skinął głową.

- Mam tylko nadzieję, że nie znajdą ciała stewarda Bridgensa. To był dobry człowiek. Nie zasługuje na to, by zjadły go kanalie pokroju Corneliusa Hickeya.

Tego samego popołudnia Goodsir został wezwany na spotkanie przy czterech łodziach ułożonych na brzegu - dwa welboty jak zawsze leżały do góry dnem, kutry zaś nadal znajdowały się na saniach - z dala od ludzi pracujących w obozie lub drzemących w namiotach. Przy łodziach czekał już komandor Crozier, pierwszy oficer Des Voeux, pierwszy oficer Robert Thomas, drugi oficer Couch, bosmanmat Johnson, bosman John Lane oraz kapral Pearson, który był tak słaby, że musiał opierać się o kadłub odwróconego welbota, by nie upaść na ziemię.

- Dziękuję, że przyszedł pan tak szybko, doktorze - przywitał go Crozier. - Zebraliśmy się tutaj, żeby porozmawiać o środkach obrony przed grupą Corneliusa Hickeya i o naszych planach na najbliższe tygodnie.

- Naprawdę sądzi pan, że Hickey i Hodgson mogą tutaj wrócić, komandorze? - zdziwił się lekarz.

Crozier wzruszył ramionami.

- Być może Hickey będzie chciał zabrać stąd Davida Leysa. Albo ciała pana Diggle'a i pana Honeya. Albo nawet pana, doktorze.

Goodsir pokręcił głową i podzielił się swymi przypuszczeniami dotyczącymi ciał zmarłych, które leżały przy trasie wiodącej do Obozu *Terror* niczym wielkie porcje zamrożonego mięsa.

- Też o tym myśleliśmy - zgodził się z nim Charles Des Voeux. - Prawdopodobnie z tego właśnie powodu Hickey uważa, że uda mu się dotrzeć do *Terroru*. Ale tak czy inaczej przez kilka dni będziemy wystawiać całodobową wachtę w obozie i wyślemy za grupą Hickeya bosmana Johnsona z kilkoma ludźmi. Będą mieli ich na oku przez kilka dni; na wszelki wypadek.

- No dobrze. - Crozier westchnął. - Porozmawiajmy teraz o naszej przyszłości. Doktorze Goodsir, co ma pan do powiedzenia na ten temat?

Tym razem to lekarz wzruszył ramionami.

- Pan Jopson, pan Helpman i mechanik Thompson nie pożyją dłużej niż kilka dni - rzekł cicho.

- Trudno mi powiedzieć, co stanie się z pozostałymi piętnastoma pacjentami chorymi na szkorbut. Kilku z nich może przeżyć... Szczególnie gdy znajdziemy świeże mięso. Jednak spośród osiemnastu marynarzy, którzy zostaną tu ze mną w obozie ratunkowym - dołączy do nich Thomas Hartnell, który sam zaoferował się z pomocą - tylko trzech lub czterech będzie miało dość sił, by polować na foki lub lisy. I nie starczy im tych sił na długo. Przypuszczam, że pozostali umrą z głodu najpóźniej do połowy września. Większość znacznie wcześniej.

Goodsir nie wspomniał głośno, że niektórzy mogą jednak przetrwać dłużej, jedząc ciała zmarłych. Nie powiedział również, że on, doktor Harry D.S. Goodsir, postanowił, iż nie stanie się kanibalem, byle tylko przedłużyć swe życie o kilka dni lub tygodni, ani też nie pomoże nikomu w oprawianiu ludzkich ciał. Poprzedniego dnia, podczas apelu, wygłosił cały wykład na ten temat i nie zamierzał już nigdy doń wracać. Nie zamierzał jednak również osądzać tych, którzy zdecydowaliby się jeść ludzkie mięso, by przedłużyć swe życie w nadziei na ocalenie. Spośród wszystkich żyjących jeszcze uczestników wyprawy sir Johna on wiedział najlepiej, że ludzkie ciało to tylko naczynie duszy, które po odejściu tejże duszy niczym nie różni się od ciał zwierząt. Decyzja o wstrzymaniu się od spożywania ludzkiego mięsa wypływała z jego własnych przekonań moralnych i filozoficznych. Nigdy nie był szczególnie dobrym chrześcijaninem, ale chociaż chciał umrzeć jak dobry chrześcijanin.

- Istnieje jeszcze inne rozwiązanie - oświadczył cicho komandor Crozier, jakby czytając w jego myślach. - Postanowiłem dziś rano, że wszyscy zostaniemy w obozie ratunkowym jeszcze przez tydzień, może nawet dziesięć dni, w zależności od pogody, licząc na to, że lód jednak popęka, i że wszyscy odpłyniemy stąd w łodziach... nawet chorzy i umierający.

Goodsir spojrzał z powątpiewaniem na cztery łodzie.

- Zmieścimy się wszyscy? - spytał.

- Proszę nie zapominać, doktorze, że dziewiętnastu ludzi odeszło dziś rano, a wczoraj zmarło dwóch innych. W sumie zostało nas więc tylko pięćdziesięciu trzech.

- I jak sam pan twierdził, w przyszłym tygodniu umrze kolejnych dwóch - dodał Thomas Johnson.

- Nie mamy prawie w ogóle jedzenia, które musielibyśmy ze sobą ciągnąć - odezwał się słabym głosem kapral Pearson. - Choć na pewno wszyscy chcielibyśmy, żeby było inaczej.

- Postanowiłem też, że zostawimy wszystkie namioty - oświadczył Crozier.

- A gdzie się schowamy, gdy nadejdzie burza? - spytał Crozier.

- Na łodzi pod łodziami, a na otwartej wodzie pod przykryciem łodzi - wyjaśnił Des Voeux.

- Robiłem to już, kiedy w marcu próbowaliśmy dotrzeć do półwyspu Boothia, w środku zimy. Pod łodziami jest znacznie cieplej niż w tych cholernych namiotach... pan wybaczy, panie komandorze.

- Wybaczam - odparł Crozier. - Poza tym namioty ważą trzy lub nawet cztery razy więcej niż na początku wyprawy. Nigdy nie wysychają. Wchłonęły chyba połowę wilgoci z biegun.

- Podobnie jak nasza bielizna - mruknął Robert Thomas. Wszyscy roześmiali się głośno. Dwóch oficerów zaniosło się potem chrapliwym kaszlem.

- Zamierzam też zabrać tylko trzy duże beczki na wodę - mówił dalej Crozier. - W tym dwie puste. Prócz tego na każdej łodzi będzie jedna mała beczka napełniona wodą.

- Jak pańscy ludzie będą gasić pragnienie, kiedy wyjdziecie na lód albo wypłyniecie na otwartą wodę? - spytał Goodsir.

- Nasi ludzie, doktorze - odparł Crozier. - Proszę pamiętać, że jeśli lód się otworzy, wszyscy stąd odejdziemy. A beczki będziemy napełniać wodą z rzeki. Muszę też przyznać się panom do czegoś; podczas wczorajszego podziału nie pokazaliśmy jednej rzeczy, którą ukrywaliśmy do tej

pory. Mówię o zapasie paliwa do maszynki eterowej, który trzymaliśmy w podwójnym dniu beczki po rumie.

- W razie potrzeby stopimy trochę śniegu i będziemy mieli słodką wodę - wtrącił Johnson.

Goodsir skinął powoli głową. Zdążył już pogodzić się z myślą o rychłej śmierci i nie chciał ponownie robić sobie fałszywych nadziei. Wiedział, że każda z trzech grup - Hickey i jego kompani, trójka piechurów oraz podwładni Croziera - wciąż ma bardzo nikłe szanse na ocalenie.

I znów, jakby czytając w jego myślach, Crozier zwrócił się do Goodsira z pytaniem:

- Co pozwoliłoby nam przezwyciężyć chorobę i słabość w ciągu najbliższych trzech miesięcy, kiedy będziemy wiosłować w górę Rzeki Backa?

- Świeże jedzenie - odrzekł lekarz. - Jestem pewien, że przynajmniej część chorych na szkorbut wyzdrowieje, jeśli tylko uda nam się zdobyć świeże jedzenie. Nie mówię tutaj o owocach i warzywach, to oczywiste, ale świeże mięso też będzie skuteczne, szczególnie tłuszcz. Nawet krew może nam się przydać.

- Dlaczego mięso i tłuszcz zapobiegają tak straszliwej chorobie, doktorze? - spytał kapral Pearson.

- Nie mam pojęcia. - Goodsir pokręcił głową. - Wiem tylko, że jeśli wkrótce nie upolujemy jakiejś zwierzyny, szkorbut zabije nas wszystkich... jeśli wcześniej nie pomrzemy z głodu.

- Czy jedzenie z puszek też by pomogło? - spytał Des Voeux. - Mam na myśli grupę Hickeya i zapasy, które zostawiliśmy w Obozie *Terror*...

Goodsir wzruszył ramionami.

- Prawdopodobnie, choć podobnie jak mój nieodżałowany kolega, doktor McDonald, uważam, że świeże jedzenie zawsze lepsze jest od puszkowanego. Poza tym jestem przekonany, że w konserwach Goldnera były co najmniej dwa rodzaje trucizny; jedna zabijała powoli i bezboleśnie, druga prowadziła do gwałtownej i straszliwej śmierci. Tak czy inaczej na pewno my wyjdziemy lepiej, jedząc świeże mięso niż oni puszkowane.

- Mam nadzieję, że kiedy już wypłyniemy na otwartą wodę, znajdziemy całe mnóstwo fok i morsów - powiedział komandor Crozier. - Kiedy z kolei będziemy płynąć rzeką, zejdziemy od czasu do czasu na ląd i spróbujemy upolować karibu albo lisy, a w najgorszym razie będziemy łowić ryby... Z relacji podróżników takich jak George Back albo nasz sir Franklin wynika, że na to można liczyć.

- Sir John zjadł też swoje buty - dorzucił kapral Pearson.

Nikt nie skarcił chorego żołnierza, ale nikt też się nie roześmiał ani nie skomentował tej uwagi, dopóki komandor Crozier nie przemówił ze śmiertelną powagą:

- Właśnie dlatego kazałem zabrać kilkaset par dodatkowych butów. Nie tylko po to, żeby chronić stopy marynarzy, co jak sam pan wie, okazało się trudniejsze, niż myśleliśmy. Te buty to nasza ostatnia deska ratunku, nasze zapasy na czarną godzinę.

Goodsir wpatrywał się weń z niedowierzaniem.

- Będziemy mieli tylko jedną beczkę wody, ale setki marynarskich butów do jedzenia?

- Tak jest. - Crozier skinął głową.

Nagle cała ósemka wybuchnęła niepohamowanym śmiechem; gdy tylko zaczęli się uspokajać, jeden z nich eksplodował wesołością na nowo, a pozostali natychmiast się do niego przyłączali.

- Pst! - powiedział wreszcie Crozier, niczym nauczyciel uspokajający rozbrykane dzieci, choć sam wciąż chichotał pod nosem.

Marynarze pracujący w obozie podnosili głowy znad swych zajęć i przyglądali im się z zaciekawieniem.

Goodsir musiał otrzeć łzy wesołości, by nie przymarzły mu do twarzy.

- Nie będziemy czekać, aż szczeliny w lodzie sięgną samego brzegu - oświadczył, gdy wreszcie wszyscy się uspokoili. - Jutro pan Des Voeux ruszy z grupą kilku najsilniejszych marynarzy na południe. Zabiorą ze sobą tylko plecaki i śpiwory i wejdą co najmniej dziesięć mil w głąb zatoki, być może trochę dalej, by sprawdzić, czy nie ma tam szczelin podatnych do żeglugi. Jeśli znajdą takie szczeliny nie dalej niż pięć mil od obozu, wszyscy ruszymy w drogę.

- Ludzie nie mają sił... - zaczął Goodsir.

- Jeśli będą wiedzieli, że od otwartej wody dzieli ich nie więcej niż dwa dni marszu, na pewno znajdą dość sił - odparł komandor. - Nawet ci dwaj, którzy mieli niedawno amputowane stopy, będą kuśtykać z innymi, jeśli tylko obiecamy im, że wkrótce przesiądą się do łodzi.

- A jeśli dopisze nam szczęście, moja grupa przyniesie tu świeże mięso z fok i morsów - dorzucił Des Voeux.

Goodsir spojrzał na lodową gęstwinę seraków, wałów i popękanych gór, ciągnącą się po sam horyzont.

- Dacie radę przeciągnąć foki i morsy przez ten koszmar? - spytał. Des Voeux uśmiechnął się tylko szeroko w odpowiedzi.

- Na koniec została nam jeszcze jedna dobra wiadomość - oznajmił bosmanmat Johnson.

- Co masz na myśli, Tom? - spytał Crozier.

- Wygląda na to, że nasz przyjaciel z lodu przestał się nami interesować i gdzieś sobie poszedł. Nie widzieliśmy go, odkąd opuściliśmy obóz nad rzeką.

Wszyscy zgromadzeni, łącznie z Johnsonem, pochylili się raptownie i postukali w drewniane burty łodzi.

GOLDING

Obóz ratunkowy 17 sierpnia 1848.

Tuż po zachodzie słońca w czwartek 17 sierpnia do obozu ratunkowego wbiegł dwudziestodwuletni Robert Golding, zdyszany, roztrzęsiony i podekscytowany zarazem. Robert Thomas zatrzymał go przed wejściem do namiotu Croziera.

- Golding? Myślałem, że jesteś z grupą pana Des Voeux w cieśninie.
- Tak jest, panie Thomas, to znaczy, byłem.
- Pan Des Voeux już wrócił?
- Nie, panie Thomas. Pan Des Voeux przysłał mnie tutaj z wiadomością dla komandora.
- Możesz ją przekazać mnie.
- Tak jest. To znaczy, nie. Pan Des Voeux powiedział, że mogę to powiedzieć tylko komandorowi. Tylko jemu.

- Co tu się dzieje, do diabła? - spytał Crozier, wychodząc z namiotu. Golding powtórzył, że zgodnie z instrukcjami ma złożyć raport tylko komandorowi, przeprosił Roberta Thomasa i wraz z komandorem odszedł o kilkadziesiąt kroków od kręgu namiotów.

- Mów teraz, co się dzieje, Golding. Dlaczego nie jesteś z grupą pana Des Voeux? Coś mu się stało?

- Nie, panie komandorze... to znaczy, tak, coś się stało. Nie było mnie przy tym - zostałem z Francisem Pocockiem i Josephusem Greaterem, żeby polować na foki, a pan Des Voeux poszedł wczoraj dalej na południe z Robertem Johnsem, Billem Markiem, Tomem Tadmanem i innymi. Wrócili dziś wieczorem, to znaczy pan Des Voeux i paru innych, jakąś godzinę po tym, jak usłyszeliśmy strzały.

- Uspokój się, chłopcze - powiedział Crozier, kładąc dłoń na drżącym ramieniu młodzieńca. - Powiedz mi, jaką wiadomość kazał ci przekazać pan Des Voeux, słowo po słowie. A potem powiedz mi, co widziałeś.

- Oboje nie żyją, komandorze. Oboje. Widziałem jej ciało, pan Des Voeux przywiózł je na kocu, całe poszarpane, ale nie widziałem jeszcze jego.

- Kto nie żyje, Golding? - warknął Crozier, chociaż zaimek „jej” sporo mu już wyjaśnił.

- Lady Cisza i potwór, komandorze. Ta eskimoska suka i potwór z lodu. Widziałem jej ciało. Jego jeszcze nie widziałem. Pan Des Voeux mówi, że leży obok polipa jakąś milę od miejsca, gdzie polował na foki, i że dobrze byłoby, gdyby przyszedł pan tam z doktorem Goodsirem.

- Polip? - zdumiał się Crozier. - Masz na myśli połynię? Małe jezioro w lodzie?

- Tak jest, komandorze. Jeszcze nie widziałem potwora, ale podobno tam właśnie leży, tak mówi pan Des Voeux i Gruby Wilson, który był tam z nim i przyciągnął ze sobą koc z ciałem lady Ciszy, jakby to były sanie. Pan Des Voeux mówił, żebym przyprowadził pana i doktora, i nie mówił nikomu innemu albo każe mnie wychłostać.

- Po co mu lekarz? - spytał Crozier. - Ktoś jest ranny?

- Chyba tak, panie komandorze. Nie jestem pewien. Oni są jeszcze przy tej... dziurze w lodzie. Pocock i Greater wrócili na południe z panem Des Voeux i Grubym Wilsonem, a mnie przysłał tutaj i kazał sprowadzić tylko pana i lekarza, nikogo innego. I nikomu o tym nie mówić. Jeszcze nie. Aha... i prosił jeszcze, żeby lekarz zabrał ze sobą przyrządy i jakiś dłuższy nóż do cięcia ciała. Słyszał pan dzisiaj strzały, panie komandorze? Pocock, Greater i ja słyszeliśmy, że ktoś strzelał, a byliśmy wtedy co najmniej milę od tego polipa.

- Nie, z takiej odległości nie słyszelibyśmy huku strzałów, zwłaszcza gdy w pobliżu ciągle pęka lód - odrzekł Crozier. - Zastanów się, Golding. Dlaczego pan Des Voeux powiedział, że tylko ja i doktor Goodsir możemy zobaczyć to... coś?

- Powiedział, że to na pewno jest martwe, ale że to zupełnie coś innego, niż myśleliśmy, panie komandorze. Powiedział, że to... zapomniałem, jak on to powiedział. Ale pan Des Voeux mówi, że to wszystko zmienia. Chce, żeby pan i doktor zobaczyli, co się tam stało, zanim dowie się o tym ktokolwiek inny w obozie.

- A co się tam stało? - naciskał Crozier. Golding pokręcił głową.

- Nie wiem, panie komandorze. Polowałem z Pocockiem i Greaterem na foki... postrzeliliśmy jedną, panie komandorze, ale uciekła do tej swojej dziury w lodzie i nie mogliśmy się do niej dostać. Potem usłyszeliśmy strzały na południu. Trochę później, gdzieś po godzinie, przyszedł pan Des Voeux z George'em Cannem, który miał całą twarz we krwi, i z Grubym Wilsonem, a Wilson ciągnął na kocu ciało Ciszy, całe rozszarpane... powinniśmy się śpieszyć, panie komandorze. Dopóki świeci słońce.

Rzeczywiście, po pogodnym wieczorze nastąpiła jasna, pogodna noc - Crozier wyjmował właśnie sekstans, kiedy usłyszał zamieszanie przed swym namiotem - a nad południowo-wschodnim horyzontem wstał księżyc.

- Dlaczego mamy się tak śpieszyć? - spytał Crozier. - Nie możemy poczekać do jutra?

- Pan Des Voeux kazał się śpieszyć, panie komandorze. Prosił, żeby przyszedł pan do niego i zabrał ze sobą doktora Goodsira. To nie więcej niż dwie godziny marszu.

- No dobrze. - Crozier skinął głową. - Idź do doktora Goodsira i powiedz mu, żeby ciepło się ubrał i przygotował torbę z narzędziami. Spotkamy się przy łodziach.

Golding wyprowadził czterech mężczyzn na lód - Crozier zignorował prośbę Des Voeux i prócz doktora Goodsira zabrał ze sobą bosmana Johna Lane'a i dowódcę ładowni Williama Goddarda uzbrojonych w strzelby - a potem powiódł ich w gęstwinę lodowych gór i bloków, na wał lodowy i w las seraków, gdzie widać było nawet ślady ludzi Des Voeux i bambusowe kije, które ciągnęli ze sobą od samego *Terroru*. Grupa Des Voeux zabrała kije, by znaczyć nimi drogę wiodącą do lodowych szczelin, gdyby takowe znaleźli, i gdyby chcieli potem doprowadzić do nich pozostałych członków ekspedycji. W jasnym blasku księżyca widać było wyraźnie cienie rzucane przez bambusowe drążki, przypominające wskazówki zegara słonecznego.

Przez pierwszą godzinę szli w milczeniu, posapując tylko z cicha i szurając butami o powierzchnię lodu. Wreszcie Crozier spytał:

- Jesteś pewien, że ona nie żyje, Golding?

- Kto, panie komandorze? Crozier parsknął z irytacją.

- A któżby? Lady Cisza, oczywiście.

- O tak, panie komandorze. - Chłopiec zachichotał. - Na pewno nie żyje. Miała całkiem rozerwane cycki.

Komandor spiorunował młodzieńca wzrokiem. Kiedy pokonali kolejny wał i weszli w cień wielkiej góry lodowej, Crozier przemówił ponownie:

- Czy to na pewno lady Cisza? Może znaleźliście jakąś inną Eskimoskę.

Golding był zaskoczony tym pytaniem.

- A są tu jakieś inne Eskimoski, panie komandorze?

Crozier pokręcił tylko głową i gestem nakazał chłopcu, by prowadził ich dalej.

Po półtorej godzinie marszu dotarli do „polianny”, jak nazywał połynię Golding.

- Mówiłeś, zdaje się, że to trochę dalej - zauważył Crozier.

- Ja nawet tutaj wcześniej nie byłem - odrzekł Golding. - Zostałem z tyłu i polowałem na foki, kiedy pan Des Voeux znalazł potwora. - Machnął niedbale ręką, wskazując miejsce, w którym wcześniej się znajdował.

- Mówiłeś też, że któryś z naszych ludzi został ranny - powiedział doktor Goodsir.

- Tak jest. Gruby Alex Wilson miał krew na twarzy.

- Przedtem mówiłeś chyba, że to George Cann był okrwawiony - zdziwił się Crozier.

Golding pokręcił energicznie głową.

- Nie, nie, panie komandorze, to był Gruby Alex.

- To była jego krew? - pytał dalej Goodsir.

- Nie wiem - odparł niepewnie Golding. - Pan Des Voeux powiedział mi tylko, żeby przyniósł pan swoje instrumenty. Pomyślałem, że ktoś został ranny i pan Des Voeux chce, żeby pan go opatrzył.

- Ja tu nikogo nie widzę - rzekł bosman John Lane, stąpając ostrożnie wzdłuż brzegu połyni - która miała nie więcej niż dwadzieścia stóp średnicy - i spoglądając najpierw na ciemne lustro wody, a potem na las seraków. - Gdzie oni są? Prócz ciebie, Golding, pan Des Voeux miał ze sobą ośmiu ludzi.

- Nie wiem, panie Lane. Kazał mi was tutaj przyprowadzić. Goddard przyłożył dłonie do ust i krzyknął:

- Halooo! Panie Des Voeux? Halooo!

Odpowiedział im czyjś głos z prawej strony, niewyraźny i przytłumiony, choć zarazem bez wątpienia podekscytowany.

Crozier nakazał Goldingowi gestem, by przesunął się do tyłu, i poprowadził całą grupę w głąb lasu seraków. Wiatr świszczął i zawodził między lodowymi kolumnami o krawędziach ostrzejszych od noży.

Kilkadziesiąt jardów dalej, pośrodku lodowej polany zalanej blaskiem księżyca, stała samotna ludzka postać.

- Jeśli to Des Voeux - wyszeptał Lane do swego komandora - to brakuje mu ośmiu ludzi.

Crozier skinął głową.

- John, William, pójdziecie przodem. Powoli. Trzymajcie strzelby gotowe do strzału. Doktorze Goodsir, proszę zostać tu ze mną. Golding, nie ruszaj się stąd.

- Tak jest, panie komandorze - wyszeptał William Goddard, po czym podobnie jak John Lane zdjął zębami rękawiczki, by w razie potrzeby natychmiast pociągnąć za spust. Obaj ruszyli ostrożnie w stronę księżycowej polany na skraju lodowego lasu.

Zza pobliskiego seraka wysunął się nagle olbrzymi cień, który pochwycił głowy Lane'a i Goddarda i uderzył nimi o siebie. Obaj osunęli się na lód niczym zwierzęta ogłuszone młotem przed wejściem do rzeźni.

Inna mroczna postać uderzyła Croziera w tyłu głowy, wykręciła mu ręce za plecy, kiedy próbował się podnieść, i przyłożyła nóż do gardła.

Robert Golding pochwycił Goodsira i przystawił mu ostrze noża do szyi.

- Nie ruszaj się, doktorku - wyszeptał chłopak - albo sam cię zaraz z operuję.

Olbrzymi cień pochwycił Goddarda i Lane'a za kołnierze płaszczy i wyciągnął ich na polanę. Zza seraków wychynął kolejny mężczyzna, który podniósł strzelby Lane'a i Goddarda, po czym wręczył jedną Goldingowi, a drugą zatrzymał dla siebie.

- Ruszajcie się - warknął Richard Aylmore, mierząc ze strzelby do Croziera.

Popychany przez oprawcę, w którym rozpoznał po zapachu pijaka George'a Thompsona, komandor wstał i ruszył chwiejnym krokiem w stronę człowieka czekającego na środku lodowej polany.

Magnus Manson położył ciała Lane'a i Goddarda u stóp swego pana, Corneliusa Hickeya.

- Czy oni żyją? - wychrypiał Crozier. Thompson wciąż przytrzymywał go za wykręcone do tyłu ręce, a dwóch innych buntowników mierzyło doń ze strzelb.

Hickey pochylił się nad nieprzytomnymi mężczyznami, jakby chciał ich zbadać, po czym dwoma błyskawicznymi ruchami poderżnął im gardła, posługując się nożem, który nagle pojawił się w jego dłoni.

- Teraz już nie żyją, panie ważny i przemądrzały komandorze - powiedział mat uszczelniacz.

Krew wyciekająca na lód wydawała się w blasku księżyca zupełnie czarna.

- W ten sam sposób zabiłeś Johna Irvinga? - spytał Crozier głosem drżącym z wściekłości.

- Pierdol się. - Hickey splunął.

Crozier spojrzał z pogardą na Roberta Goldinga.

- Mam nadzieję, że dostałeś swoje trzydzieści srebrników. Golding zachichotał.

- George - zwrócił się Hickey do Thompsona, stojącego za komandorem - Crozier ma w prawej kieszeni płaszcza rewolwer. Wyciągnij go i podaj Richardowi. Dickie, podasz mi zaraz ten rewolwer. Jeśli Crozier się ruszy, zabij go.

Thompson wyjął rewolwer z kieszeni komandora, podczas gdy Aylmore mierzył do niego ze strzelby. Potem podszedł do Thompsona i wziął od niego rewolwer i pudełko z nabojami, a następnie wycofał się powoli, wciąż trzymając Croziera na muszce. Przeszedł przez oświetloną blaskiem księżyca polanę i podał broń Hickeyowi.

- Natura spuszcza na nas tyle nieszczęść - przemówił nieoczekiwanie doktor Goodsir. - Dlaczego ludzie muszą ją w tym wspierać? Dlaczego nasz gatunek nie poprzestaje na tych klęskach, którymi karzą nas niebiosy, lecz dokłada do nich swoją dawkę cierpienia i udręki? Czy może pan odpowiedzieć mi na to pytanie, panie Hickey?

Mat uszczelniacz, Manson, Aylmore, Thompson i Golding gapili się na lekarza, jakby ten zaczął nagle mówić po aramejsku.

- Czego chcesz, Hickey? - spytał Crozier, przerywając pełną zdumienia ciszę. - Brakuje ci już jedzenia i szukasz nowych zapasów?

- Chcę, żebyś zamknął gębę i umierał długo i boleśnie - warknął Hickey.

Robert Golding zaniósł się głupawym śmiechem. Lufa strzelby, którą trzymał w dłoniach, uderzyła w kark Goodsira.

- Panie Hickey - przemówił ponownie lekarz - z pewnością zdaje pan sobie sprawę, że nie pomogę panu rozczłonkować ciał moich towarzyszy.

Hickey uśmiechnął się drapieźnie.

- Pomożesz, konowale, gwarantuję ci to. Albo będziesz się przyglądał, jak kroimy ciebie i zjadamy, kawałek po kawałeczku.

Goodsir milczał.

- Tom Johnson i jego ludzie cię znajdą - powiedział Crozier, nie odrywając spojrzenia od twarzy Hickeya.

Mat roześmiał się głośno.

- Johnson już nas znalazł, Crozier. A właściwie to my znaleźliśmy jego. Hickey sięgnął za siebie i wyciągnął ze śniegu płócienną torbę.

- Jak ty to zawsze nazywałeś Johnsona, królu Crozierze? Swoją prawą ręką? Oto i ona.

Wyjął z torby okrwawioną, uciętą w łokciu rękę i rzucił ją pod stopy Croziera.

Komandor nawet na nią nie spojrzał.

- Jesteś żalosną gnidą, Hickey. Kompletnym zerem. Nikim.

Grymas wściekłości, który wykrzywił twarz Hickeya, upodobił go do jakiegoś odrażającego, nieludzkiego monstrum. Jego oczy płonęły czymś, czego nie dało się już nawet nazwać zwykłym szaleństwem i nienawiścią.

- Magnus - wycedził przez odsłonięte zęby Hickey. - Uduś komandora. Natychmiast.

- Tak, Corneliusie. - Magnus Manson skinął posłusznie głową i ruszył w stronę Croziera.

Goodsir próbował rzucić się na ratunek komandorowi, lecz Golding przytrzymał go jedną ręką i wbił mu w kark lufę strzelby.

Crozier nawet nie drgnął, kiedy olbrzym zbliżał się do niego. Gdy jego cień padł na komandora i Thompsona, Thompson wzdrygnął się odruchowo. Crozier natychmiast wykorzystał tę okazję, wyrwał rękę z uścisku swego oprawcy i włożył ją do lewej kieszeni płaszcza.

Golding omal nie pociągnął za spust swojej strzelby i nie odstrzelił Goodsirowi głowy, kompletnie zaskoczony, gdy kieszeń komandora eksplodowała nagle ogniem i hukiem podwójnego wystrzału, który odbił się echem od otaczających ich seraków.

- Au - powiedział Magnus Manson, podnosząc powoli dłonie do brzucha.

- A niech to - mruknął spokojnie Crozier. Niechący wypalił z obu luf swego dwustrzałowego pistoletu.

- Magnus! - krzyknął Hickey, biegnąc do swego kompana.

- Komandor chyba mnie postrzelił, Corneliusie - powiedział Manson. Olbrzym wydawał się zaskoczony i nieco zdeprymowany.

Komandor obrócił się w miejscu, kopnął kolaniem w krocze Thompsona i wyrwał się z jego uścisku.

- Goodsir - krzyknął - uciekaj!

Lekarz spróbował. Poderwał się do biegu, lecz w ostatniej chwili młody Golding podłożył mu nogę, powalił na ziemię i przycisnął kolaniem do lodu, przystawiając jednocześnie lufę strzelby do tyłu jego głowy.

Crozier biegł w stronę seraków.

Hickey spokojnie wyjął strzelbę z rąk Richarda Aylmore'a, wymierzył i wypalił z obu luf.

Czubek pobliskiego seraka rozpadł się na drobne kawałki i w tej samej chwili Crozier runął twarzą na lód i podjechał na brzuchu kilka stóp.

Hickey oddał strzelbę Aylmorowi, rozpiął płaszcz i kamizelkę Mansona, a potem rozerwał koszulę i brudny podkoszulek okrywający brzuch olbrzyma.

- Przyprowadź tutaj tego cholernego lekarza! - krzyknął do Goldinga.

- To wcale nie boli, Corneliusie - oznajmił Manson. - Raczej łaskocze.

Golding poderwał z ziemi Goodsira i pchnął go w stronę Hickeya i Mansona. Lekarz włożył okulary i przyjrzał się podwójnej ranie.

- Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że kule nie przebiły podskórnej warstwy tłuszczu pana Mansona, nie mówiąc już o jego mięśniach. To tylko dwa niewielkie otwory w jego skórze. Czy mogę teraz zająć się komandorem Crozierem, panie Hickey?

Hickey roześmiał się chrapliwie.

- Cornelius! - krzyknął Aylmore.

Korzystając z zamieszania, Crozier podniósł się powoli na kolana i zaczął pełznąć w stronę

lasu seraków. Po chwili wstał na równe nogi i chwiejnym krokiem kontynuował marsz, zostawiając na lodzie szeroki, krwawy ślad.

Golding zachichotał i podniósł strzelbę.

- Nie! - krzyknął Hickey. Wyjął z kieszeni rewolwer Croziera i starannie wymierzył.

Gdy od ściany seraków dzieliło go już nie więcej niż dwadzieścia stóp, Crozier obejrzał się za siebie. Hickey strzelił.

Trafiony w ramię Crozier obrócił się w miejscu i opadł na kolana. Przez chwilę klęczał, wspierając się zakrwawioną ręką o lód, a potem spróbował wstać.

Hickey zrobił kilka kroków do przodu i strzelił ponownie.

Crozier upadł na plecy i leżał nieruchomo, z podciągniętymi w górę kolanami.

Hickey podszedł dwa kroki i strzelił raz jeszcze. Jedna noga komandora opadła na ziemię, kiedy kula przebiła kolano lub mięśnie tuż pod kolanem. Crozier nie wydał z siebie żadnego dźwięku.

- Corneliusie, kochany - przemówił Magnus Manson głosem skrzywdzonego dziecka. - Zaczyna mnie boleć brzuch.

Hickey obrócił się na pięcie.

- Goodsir, daj mu coś. Lekarz skinął głową.

- Zabrałem ze sobą całą butelkę proszku Dovera - mówił lekarz beznamiętnym tonem. - To środek złożony głównie z ekstraktu liści koki, zwanego czasami kokainą. Podam mu to. Wszystko, jeśli pan zechce. Dorzucę do tego trochę mandragory, laudanum i morfiny. To uśmierzy ból. - Goodsir umilkł i sięgnął do swojej torby.

Hickey podniósł broń i wymierzył w lewe oko lekarza.

- Jeśli podasz Magnusowi jakąś truciznę albo jeśli wyciągniesz z tej torby nóż czy skalpel, przysięgam na Boga, że strzelę ci w jaja i każę ci je zjeść. Rozumiesz mnie, konowale?

- Rozumiem - odrzekł spokojnie Goodsir. - Ale składałem przysięgę Hipokratesa i nie zamierzam nikomu robić krzywdy. - Wyjął z torby butelkę i łyżeczkę, na którą nalał kroplę morfiny. - Proszę to wypić - zwrócił się do olbrzyma.

- Dziękuję, doktorze - odrzekł Magnus Manson i wypił lekarstwo.

- Cornelius! - zawołał Thompson, wskazując na las seraków. Crozier zniknął. Krwawe ślady na lodzie prowadziły w lodową gęstwinę.

- A niech to szlag. - Mat uszczelniacz westchnął. - Same problemy z tym dupkiem. Dickie, przeładowałeś już? - spytał Hickey, przeładowując własną broń.

- Tak - odparł Aylmore, podnosząc strzelbę.

- Thompson, weźmiesz drugą strzelbę i zostaniesz tutaj z Magnusem i lekarzem. Jeśli nasz doktorek zrobi coś głupiego, nawet głośniej pierdnie, odstrzelcie mu jaja.

Thompson skinął głową. Golding zachichotał. Hickey, Golding i Aylmore ruszyli powoli w stronę lasu seraków.

- Nie będzie go tu łatwo znaleźć - wyszeptał Aylmore, kiedy weszli w lodową gęstwinę.

- Chyba żartujesz - parsknął Hickey, wskazując na szeroką smugę krwi ciągnącą się między serakami.

- On ciągle ma ze sobą ten mały pistolet - wyszeptał Aylmore, przechodząc ostrożnie od seraka do seraka.

- Pieprzyć jego i jego mały pistolet - odparł Hickey, maszerując śmiało przed siebie.

Golding zachichotał głośno.

- Pieprzyć jego i jego mały pistolet - powtórzył i zachichotał ponownie.

Krwawy ślad prowadził prosto do połyni. Hickey podbiegł do czarnego kręgu wody i

spojrzał na smugi znaczące pionową powierzchnię grubej na osiem stóp warstwy lodu. Coś wpadło tutaj do wody.

- Szlag by to jasny kurwa trafił - krzyknął Hickey, uderzając pięścią w udo. - Chciałem strzelić mu prosto w tę jego przemądrzałą mordę, chciałem, żeby to widział. A ten fiut odebrał mi tę przyjemność.

- Panie Hickey, proszę spojrzeć tam - zawołał Golding, chichocząc. Wskazał na jakiś przedmiot, który wyglądał jak obrócone twarzą w dół ciało unoszące się na powierzchni wody.

- To tylko pierdolony płaszcz - odparł Aylmore, który wyszedł spomiędzy seraków, trzymając przed sobą broń gotową do strzału.

- Tylko pierdolony płaszcz - powtórzył Robert Golding.

- Więc Crozier utonął, nie żyje - rzekł Aylmore. - Zbierajmy się, zanim ktoś przyjdzie. Przed nami dwa dni drogi, a musimy jeszcze pociąć ciała.

- Nigdzie na razie nie idziemy - warknął mat. - Crozier może jeszcze żyć.

- Ciężko ranny, bez ubrania? - zdziwił się Aylmore. - Spójrz tylko na ten płaszcz, Corneliusie. Jest cały porwany.

- Może jeszcze żyje. Musimy się upewnić. Może za chwilę ciało wypłynie na powierzchnię.

- I co wtedy zrobisz? - spytał Aylmore. - Będziesz strzelał do trupa? Hickey obrócił się na pięcie i spiorunował Aylmore'a wzrokiem.

Wyższy o głowę mężczyzna cofnął się o krok speszony.

- Tak - wycedził przez zęby Hickey. - Właśnie to zamierzam zrobić.

- Potem zwrócił się do Goldinga. - Sprowadź tu Thompsona, Magnusa i lekarza, przywiążemy go tutaj do seraka. Ja, Aylmore i Thompson będziemy szukać Croziera, a ty przypilnujesz w tym czasie lekarza i potniesz na kawałki Lane'a i Goddarda.

- Ja mam ich pociąć? - oburzył się Golding. - Mówiłeś, że właśnie dlatego chcemy złapać lekarza. To on miał się tym zajmować, nie ja.

- Goodsir będzie to robił w przyszłości, Bobby - odparł Hickey.

- Na razie nie możemy mu jeszcze zaufać... Kiedy już stąd odejdziemy i wrócimy do swoich, na pewno namówimy Goodsira do współpracy. A teraz sprowadź go tutaj, przywiąż mocno do seraka. Powiedz Magnusowi, żeby przyniósł tutaj ciała, a potem potnij je na mniejsze kawałki. Weź sobie noże z torby Goodsira i piłę, którą tu przyniosłem, jest w torbie.

- No dobra... - mruknął z rezygnacją Golding, ruszając w stronę polany. - Ale wolałbym szukać komandora.

- Crozier krwawił jak zarzynana świnia - powiedział Aylmore. - Jeśli nie wpadł do wody, to musiał zostawić tu gdzieś ślad.

- Masz rację, Dickie - odparł Hickey z dziwnym uśmiechem. - Jeśli nie wpadł do wody, to musiał odczołgać się gdzieś na bok, ale na pewno nie przestał krwawić. Będziemy szukać, dopóki się nie upewnimy, że nie przysiadł gdzieś za serakiem i nie wykrwawił się na śmierć. Ty zaczniesz po południowej stronie polny, ja po północnej. Będziemy szli zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Jeśli zobaczysz jakikolwiek ślad, choćby jedną kroplę krwi w śniegu, choćby najmniejszy odcisk, zatrzymaj się i krzyknij. Przyjdę do ciebie. I uważaj. Nie chcemy, żeby ten skurwiel wyskoczył nagle z cienia i zabrał nam strzelbę.

Aylmore wyglądał na zaskoczzonego i zaniepokojonego.

- Naprawdę myślisz, że może mieć jeszcze dość sił, żeby to zrobić? Dostał przecież trzy kulki i całą garść śrutu. Poza tym bez płaszcza i tak zamarznie na śmierć w ciągu kilku minut. Robi się coraz zimniej. Naprawdę myślisz, że może się na nas czaić?

Hickey uśmiechnął się i wskazał głową na czarny krąg wody.

- Nie. Myślę, że się utopił i leży na dnie. Ale musimy się upewnić. Nie odejdziemy stąd, dopóki tego nie zrobimy, choćbyśmy mieli siedzieć tu do świtu.

Szukali Croziera przez trzy godziny, dopóki księżyc nie schował się za horyzontem. Nie znaleźli żadnych śladów przy połyni ani wśród seraków, ani na otwartym lodzie za serakami, ani na wałach lodowych po północnej, południowej i wschodniej stronie. Ani jednej kropli krwi, ani jednego odcisku stopy w śniegu, nic.

Przez całe te trzy godziny Robert Golding kroił na mniejsze kawałki ciała Johna Lane'a i Williama Goddarda, ogromnie się przy tym trudząc. Na śniegu walały się bezładnie żebra, głowy, ręce, stopy i kawałki kręgosłupa, zupełnie jakby ktoś wysadził w powietrze rzeźnię. Sam Golding pokryty był krwią od czubka głowy do pięt i wyglądał jak upiór; gdy Aylmore, Thompson i pozostali wrócili wreszcie z bezowocnych poszukiwań, przerazili się, ujrawszy ten makabryczny widok. Hickey, z kolei, śmiał się z młodego Goldinga do rozpuku.

Hickey i jego towarzysze owinęli połcie mięsa w kawałki ceraty, które przezornie zabrali ze sobą, i włożyli do worków. Potem odwiązali Goodsira, który drżał na całym ciele z zimna albo z szoku.

- Czas na nas, doktorku - powiedział Hickey. - Nasi przyjaciele czekają na ciebie dziesięć mil stąd, na zachodzie.

- Pan Des Voeux i inni będą was ścigać - odparł spokojnie Goodsir.

- Nie - rzekł Hickey z przekonaniem. - Nie będą. Szczególnie kiedy dowiedzą się, że mamy co najmniej trzy strzelby i rewolwer. Zresztą najpierw i tak musieliby znaleźć nasze ślady, co im się raczej nie uda. Daj naszemu nowemu koledze worek z mięsem, niech nie idzie z pustymi rękami - zwrócił się do Goldinga.

Kiedy Goodsir nie chciał wziąć od Goldinga torby z ludzkimi szczątkami, Magnus Manson wymierzył drobnemu lekarzowi potężny cios, omal nie łamiąc mu żeber. Po trzech kolejnych próbach i dwóch ciosach Goodsir w końcu uległ.

- Chodźmy - rzucił krótko Hickey. - Nic tu po nas.

DES VOEUX

Obóz ratunkowy 19 sierpnia 1848.

Charles Des Voeux uśmiechał się jak idiota, kiedy jego grupa wracała do obozu ratunkowego w sobotni ranek 19 sierpnia. Tym razem miał dla swego komandora same dobre wieści.

Zaledwie cztery mile od brzegu w lodzie otwierały się szerokie szczeliny prowadzące na południe. Des Voeux i jego ludzie szli wzdłuż nich cały dzień i przekonali się, że otwarta woda sięga do samego Półwyspu Adelajdy i niemal na pewno dalej, aż do samego ujścia Rzeki Backa. Des Voeux widział niskie wzgórza Półwyspu Adelajdy, odległe o niecałe dwanaście mil od góry lodowej, na którą wspięli się po dotarciu do południowego krańca paku. Bez łodzi nie mogli posunąć się dalej, co właśnie sprawiło Des Voeux w tak wyśmienity humor.

Wszyscy mogli teraz opuścić obóz ratunkowy. Wszyscy mieli szanse na przeżycie.

Równie krzepiąca była wiadomość, że niemal całe dwa dni polowali na foki żerujące przy krawędzi kry. Przez dwa dni i noce Des Voeux i jego ludzie obżerali się foczym mięsem i tłuszczem. Ich ciała były tak bardzo złaknione tłuszczu, że kiedy nawet wymiotowali z przejedzenia, wybuchali śmiechem, natychmiast robili się jeszcze głodniejsi i znów zabierali się do jedzenia.

Nim wyruszyli w drogę powrotną do obozu, upolowali jeszcze kilka fok i zabrali ze sobą; każdy z nich ciągnął teraz co najmniej jedno martwe zwierzę. Tego wieczora wszyscy mieszkańcy obozu ratunkowego mogli się wreszcie najeść do syta.

W gruncie rzeczy, rozmyślał Des Voeux, zbliżając się do obozu, była to bardzo udana wyprawa, na której cieniem kładło się jedynie zachowanie młodego Goldinga; bezczelny gnojek już pierwszego dnia marszu zawrócił sam do obozu, wymawiając się bólem brzucha. Des Voeux zdążył już jednak niemal zapomnieć o tym incydencie i myślał tylko o tym, że po raz pierwszy od wielu miesięcy - lat - komandor Crozier i pozostali będą mieli co świętować.

Wszyscy wracali do domu. Gdyby wyruszyli dziś w drogę, zabierając ze sobą wszystkich chorych i rannych, już za trzy lub cztery dni byłiby na wodzie, a za tydzień przy ujściu Rzeki Backa. Być może szczeliny w lodzie sięgały już dalej w głąb kry i od brzegu dzieliło je nie więcej niż dwie lub trzy mile!

Zbliżywszy się do obozu, ludzie Des Voeux zaczęli wymachiwać rękami i krzyczeć radośnie. Obszarpani, przygarbieni marynarze podnieśli głowy znad swoich zajęć i wyszli przed namioty, przyglądając im się w ciszy.

Podwładni Des Voeux - Gruby Alex Wilson, Francis Pocock, Josephus Greater, George Cann, Robert Johns, Thomas Tadman, Thomas McConvey i William Mark - umilkli raptownie, ujrawszy posępne, nieruchome twarze swych towarzyszy. Mieszkańcy obozu widzieli upolowane foki, ale nie reagowali w żaden sposób na ten widok.

Couch i Thomas wyszli ze swych namiotów i stanęli przed szeregiem marynarzy z obozu ratunkowego.

- Czy ktoś umarł? - spytał Charles Frederick Des Voeux.

Drugi oficer Edward Couch, pierwszy oficer Robert Thomas, pierwszy oficer Charles Des Voeux, dowódca ładowni *Erebusa* Joseph Andrews i dowódca głównego masztu *Terroru* Thomas Farr siedzieli w namiocie, w którym do niedawna mieścił się szpital doktora Goodsira. Wszyscy pacjenci, jak poinformowano Des Voeux, albo umarli w ciągu ostatnich kilku dni, albo zostali przeniesieni do mniejszych namiotów.

Mężczyźni uczestniczący w zebraniu byli ostatnimi podoficerami ekspedycji Johna Franklina, którzy pozostali przy życiu - a przynajmniej ostatnimi, którzy przebywali w obozie ratunkowym i mogli iść o własnych siłach. Czterech z nich - Farr nie palił - podzieliło między siebie resztki tytoniu i nabiło nim fajki. Wnętrze namiotu wypełnione było siwym dymem.

- Jesteście pewni, że to nie potwór zabił tych wszystkich ludzi? - pytał Des Voeux.

Couch pokręcił głową.

- Początkowo tak myśleliśmy... właściwie, byliśmy tego pewni... ale kości, głowy i kawałki mięsa, które tam znaleźliśmy... - Mat umilkł

i zacisnął mocniej zęby na ustniku fajki.

- Zostały przecięte nożem - dokończył za niego Robert Thomas. - Lane i Goddard zginęli z rąk człowieka.

- Nie. - Thomas Farr pokręcił głową. - Z rąk potwora w ludzkiej postaci.

- Hickey - rzekł krótko Des Voeux. Pozostali pokiwali głowami.

- Musimy go schwycić. Jego kompanów także - powiedział Des Voeux. Przez chwilę wszyscy milczeli. Wreszcie Robert Thomas spytał: - Poco?

- Żeby wymierzyć im sprawiedliwość.

Czterech spośród pięciu mężczyzn spojrzało po sobie.

- Mają teraz trzy strzelby - powiedział Couch. - I rewolwer komandora.

- My mamy więcej ludzi... broni... prochu, naboju - odparł Des Voeux.

- Owszem. - Thomas Farr skinął głową. - Ilu z nich zginie w bitwie z Hickeyem i jego kanibalami? Thomas Johnson powinien był wrócić kilka dni temu. Miał tylko śledzić grupę Hickeya i upewnić się, że rzeczywiście stąd odeszli.

- Nie mogę w to uwierzyć. - Des Voeux wyjął fajkę z ust i ubił mocniej tytoń. - Co z komandorem Crozierem i doktorem Goodsirem? Zostawimy ich na łaskę i niełaskę Corneliusa Hickeya?

- Komandor nie żyje - rzekł Andrews. - Hickey nie miał powodów, żeby zachować go przy życiu... chyba że chciał go wcześniej torturować.

- Tym bardziej więc powinniśmy wysłać za nimi grupę ratunkową - obstawał przy swoim Des Voeux.

Pozostali milczeli przez chwilę. Dym wirował powoli w powietrzu. Thomas Farr podniósł połę namiotu, by wpuścić do środka trochę świeżego powietrza.

- Minęły dwa dni, odkąd komandor, Goodsir, Goddard i Lane opuścili obóz - przemówił wreszcie Edward Couch. - Minie kilka kolejnych, nim uda nam się odnaleźć Hickeya i jego ludzi, jeśli w ogóle uda nam się ich odnaleźć. Wystarczy, żeby Hickey odszedł trochę dalej w głąb wyspy albo lodu, a nigdy go nie znajdziemy. Wiatr zasypuje ślady w ciągu kilku godzin... nawet ślady płóz. Naprawdę sądzisz, że Francis Crozier będzie jeszcze żył za tych kilka dni? Prawdę mówiąc, jestem pewien, że zginął w tym samym czasie, co Goddard i Lane.

Des Voeux przygryzł ustnik fajki.

- No dobrze, a co z doktorem Goodsirem? Potrzebujemy lekarza. Przypuszczam, że jego Hickey jednak oszczędził. Być może wrócił tutaj właśnie ze względu na Goodsira.

Robert Thomas pokręcił głową.

- Być może Cornelius Hickey potrzebuje doktora Goodsira do własnych, nikczemnych celów, ale nam już się lekarz nie przyda.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Większość lekarstw i instrumentów naszego lekarza została tutaj; zabrał ze sobą tylko swoją

torbę - odparł Farr. - A Thomas Hartnell, który był jego pomocnikiem, wie, jak stosować te środki.

- A jeśli trzeba będzie przeprowadzić jakąś operację? - nie dawał za wygraną Des Voeux.

Couch uśmiechnął się smutno.

- Chłopcze, naprawdę wierzysz, że ktoś, kto potrzebuje operacji, ma w ogóle szansę dożyć końca tej wyprawy?

Des Voeux nie odpowiedział.

- A jeśli Hickey i jego ludzie nigdzie nie poszli? - spytał Andrews.

- Jeśli nawet nie zamierzali nigdzie iść? Wrócił, żeby zabić komandora, porwać Goodsira i zaszlachtować biednego Goddarda i Lane'a, a potem pociąć ich na kawałki, jak zwierzęta. On traktuje nas wszystkich jak bydło rzeźne. Może czeka już za najbliższym grzbietem, żeby zaatakować cały obóz?

- Robisz z mata uszczelnacza straszidło - parsknął Des Voeux.

- On sam zrobił już z siebie straszidło - odparł Andrews. - A właściwie nie straszidło, tylko diabła. Prawdziwego diabła. On i ten jego pomagier, Magnus Manson - niech ich piekło pochłonie - sprzedali swoje dusze i w zamian zostali obdarzeni jakąś ciemną mocą. Wspomnicie jeszcze moje słowa.

- Wydawałoby się, że jeden prawdziwy potwór w zupełności wystarczy na jedną ekspedycję - powiedział Thomas.

Nikt się nie roześmiał.

- Właściwie to jest jeden potwór - rzekł wreszcie Edward Couch.

- I to dobrze znany ludzkiej rasie.

- Cóż więc proponujecie? - spytał Des Voeux po kolejnej chwili ciszy. - Żebyśmy uciekli przed Hickeyem i wyruszyli jutro na południe?

- Moim zdaniem powinniśmy wyruszyć jeszcze dzisiaj - powiedział Joseph Andrews. - Gdy tylko załadujemy do łodzi sprzęt. Możemy ciągnąć je przez całą noc; jeśli wszędzie księżyc, będzie wystarczająco jasno. Jeśli nie, wykorzystamy trochę paliwa, które zostawiliśmy do tej pory, i zapalimy lampę. Sam powiedziałeś, Charles, że zostawiliście na trasie bambusowe kije i że bez trudu je odnajdziemy. Kiedy nadejdzie pierwsza prawdziwa śnieżycą, wszystkie znikną pod śniegiem.

Couch pokręcił głową.

- Ludzie Des Voeux są zmęczeni. Nasi są zupełnie zniechęceni. Wyprawmy dziś wieczorem ucztę i zjedzmy wszystkie foki, które tu ze sobą przyciągnęliście, Charles. Ruszemy w drogę jutro rano. Dobry posiłek i kilka godzin snu na pewno podniesie nas wszystkich na duchu.

- Ale wystawimy strażę na noc - zastrzegł Andrews.

- Tak jest. - Couch skinął głową. - Sam stanę pierwszy. Nie jestem bardzo głodny.

- Pozostaje jeszcze kwestia dowództwa - zauważył Thomas Farr, spoglądając po kolei na twarze mężczyzn zgromadzonych w namiocie.

- Charles niech dowodzi - rzekł pierwszy oficer Robert Thomas.

- Sir John awansował go na pierwszego oficera okrętu flagowego.

- Ale ty byłeś pierwszym oficerem na Terrorze, Robercie - powiedział Farr do Thomasa.

Thomas pokręcił energicznie głową.

- *Erebus* był okrętem flagowym. Pan Des Voeux jest lepszym przywódcą niż ja, a będziemy potrzebowali dobrego przywódcy.

- Nie mogę uwierzyć, że nie ma już z nami komandora Croziera. - Andrews westchnął.

Mężczyźni palący fajki zaciągali się mocniej dymem. Przez chwilę znów wszyscy milczeli. Na zewnątrz ktoś rozmawiał o fokach, ktoś inny roześmiał się głośno, w tle słychać było trzaski i

eksplozje pękającego lodu.

- Teoretycznie wyprawie przewodzi teraz porucznik George Henry Hodgson - powiedział Thomas Farr.

- Och, pieprzyć porucznika Hodgsona rozżarzonym prętem w dupę - zachnął się Joseph Andrews. - Gdyby ten gnojek wrócił tu teraz, udusiłbym go gołymi rękami i naszczał na jego trupa.

- Wątpię, czy porucznik Hodgson jeszcze żyje - rzekł cicho Des Voeux. - Uzgodniliśmy więc, że ja dowodzę teraz całą ekspedycją, a moi zastępcy to Robert i Edward?

- Tak jest - przytaknęli pozostali podoficerowie.

- Oczywiście przed podjęciem ważnych decyzji będę konsultował się z wami wszystkimi - mówił dalej Des Voeux. - Zawsze chciałem dowodzić załogą... ale nie w ten sposób. Będę potrzebował waszej pomocy.

Wszyscy pokiwali ze zrozumieniem głowami.

- Chciałbym, żebyśmy uzgodnili jeszcze jedną rzecz, zanim wyjdziemy do naszych ludzi i zaczniemy przygotowywać się do uczty i jutrzejszego wymarszu - powiedział Couch.

Des Voeux pytająco uniósł brwi.

- Co z chorymi? Hartnell mówi, że sześciu marynarzy nie da rady iść o własnych siłach, nawet gdyby zależało od tego ich życie. Są zbyt chorzy. Weźmy na przykład Jopsona, stewarda komandora. Pan Helpman i nasz mechanik, Thompson, nie żyją, ale Jopson ciągle się jakoś trzyma. Hartnell mówi, że nie ma nawet siły, żeby podnieść głowę i normalnie się napić - trzeba mu przy tym pomagać - ale wciąż żyje. Zabieramy go ze sobą?

Des Voeux spojrzał na Coucha, a potem na twarze pozostałej trójki, szukając w nich odpowiedzi, nie dopatrzyl się jednak niczego.

- A jeśli zabierzemy Jopsona i innych ciężko chorych - kontynuował Couch. - To po co?

Des Voeux nie musiał pytać, co miał na myśli mat. Będziemy ich ciągnąć jako chorych towarzyszy czy jako jedzenie?

- Jeśli ich tutaj zostawimy - przemówił głośno - a Hickey wróci, czego obawiają się niektórzy z nas, na pewno potraktuje ich jak darmowy zapas mięsa.

Couch pokręcił głową.

- Nie o to pytałem.

- Wiem - odrzekł Des Voeux. Wziął głęboki oddech i omal nie zakrztusił się dymem z fajek. - No dobrze, oto moja pierwsza decyzja jako nowego dowódcy wyprawy Franklina. Kiedy jutro rano wyciągniemy łodzie na lód, każdy, kto będzie miał dość sił, by dojść do tych łodzi, pójdzie z nami. Jeśli umrze po drodze, zdecydujemy, co zrobić z jego ciałem. Ja zdecyduję. Ale jutro rano z obozu ratunkowego wyjdą tylko ci, którzy mogą iść o własnych siłach.

Żaden z mężczyzn obecnych w namiocie nie przemówił, dwóch skinęło tylko głowami. Wszyscy unikali wzroku Des Voeux.

- Powiem o tym ludziom, kiedy już zjemy - oświadczył Des Voeux. - Każdy z was wybierze sobie jakiegoś godnego zaufania towarzysza na wachtę. Edward ustali kolejność. Nie pozwólcie tym ludziom objeść się do nieprzytomności. Musimy trzeźwo myśleć i być czujni - przynajmniej niektórzy z nas - dopóki nie dotrzemy do otwartej wody.

Wszyscy pokiwali zgodnie głowami.

- W porządku, idźcie i powiedzcie swoim ludziom o uczcie - rozkazał Des Voeux. - Na dzisiaj to wszystko.

GOODSIR

20 sierpnia 1848.

Z prywatnego dziennika doktora Harry'ego D.S. Goodsira:

Sobota, 20 sierpnia 1848

Wydaje się, że fortuna, która tak brutalnie obeszła się z sir Johnem, komandorem porucznikiem Fitzjamesem i komandorem Crozierem, nie szczędzi swych łask temu diablui, Hickeyowi.

Moi oprawcy nie wiedzą, że przypadkiem włożyłem pamiętnik do torby medycznej - a właściwie zapewne wiedzą, bo starannie przeszukali moje rzeczy dwa dni po tym, jak mnie schwytali, ale nic ich to nie obchodzi. Śpię w namiocie tylko z porucznikiem Hodgsonem, który właściwie także jest już więźniem Hickeya, mogę więc bez przeszkód pisać, gdy tylko mam wolną chwilę.

Wciąż nie mogę uwierzyć w śmierć moich towarzyszy - Lane a, Goddarda i Croziera - ani w to, co stało się w piątek wieczór, gdy wróciliśmy do obozu Hickeya, położonego niedaleko naszego dawnego obozu nad rzeką; Diabeł Hickey wyprawił wtedy prawdziwą ucztę, podczas której jego kompani raczyli się ludzkim mięsem. Mimo że widziałem to na własne oczy, nadal nie mogę uwierzyć w takie barbarzyństwo.

Nie wszyscy członkowie piekielnych legionów Hickeya ulegli jeszcze pokusie kanibalizmu. Hickey, Manson, Thompson i Aylmore oczywiście z entuzjazmem pochłaniali ludzkie szczątki, podobnie jak marynarz William Orren, steward William Gibson, palacz Lukę Smith Golding, uszczelniaacz James Brown i jego pomocnik Dunn.

Inni jednak wstrzymują się od jedzenia ludzkiego mięsa. Morfin, Best, Jerry, Work, Stricklan, Seeley i, oczywiście, Hodgson, podobnie jak ja żywią się jedynie spleśniałymi sucharami. Podejrzewam, że spośród całej tej grupy tylko Stricklan, Morfin i porucznik będą opierać się pokusie przez dłuższy czas. Ludzie Hickeya podczas podróży na zachód złapali tylko jedną fokę, to jednak wystarczyło, by rozpalić piecyk zasilany jej tłuszczem - zapach pieczonego ludzkiego mięsa jest bardzo nęcący.

Hickey nie zrobił mi jeszcze krzywdy. Nie tknął mnie nawet poprzedniego wieczora, kiedy odmówiłem jedzenia ludzkiego mięsa i krajania innych ciał, kiedy przyjdzie na to czas. Jak dotąd ciała panów Goddarda i Lane'a zaspokoili ich apetyty i uwolniły mnie od trudnego wyboru: zostać kucharzem kanibali czy też pozwolić, by ci sami kanibale okaleczyli lub zjedli mnie.

Mógłbym spróbować wzniecić bunt, ale wszystkie strzelby i pistolety są u pana Hickeya, który udostępnia je jedynie panu Aylmore'owi i Thompsonowi - ci dwaj zostali porucznikami nowego Bonaparte, czyli naszego mata uszczelniaacza. Magnus Manson z kolei jest bronią samą w sobie, i do tego posłuszną tylko jednemu człowiekowi - jeśli jest to jeszcze człowiek - czyli Hickeyowi.

Kiedy mówię o łaskach, jakie zsyła Hickeyowi fortuna, mam na myśli nie tylko fakt, że dzięki swej podłości nie może narzekać na brak jedzenia. Chodzi mi raczej o dzisiejsze odkrycie; dwie mile na północny zachód od brzegu, na wysokości obozu nad rzeką, natrafiliśmy na pasy otwartej wody ciągnące się wzdłuż wybrzeża na zachód.

Łajdacka załoga Hickeya błyskawicznie rozładowała sanie, przeładowała bagaże do szalupy i spuściła ją na wodę. Od tej pory płyniemy nieustannie wzdłuż wybrzeża, kierując się na zachód.

Można by spytać, jak siedemnastu ludzi mieści się w łodzi długości dwudziestu ośmiu stóp, przeznaczonej dla ośmiu marynarzy? Otóż mieści się w niej z wielkim trudem; wszyscy żyjemy w okropnej ciasnocie - choć wieziemy ze sobą tylko namioty, broń, naboje, beczki z wodą i zapas ludzkiego mięsa - a łódź jest tak obciążona, że woda niemal przelewa się przez nadburcia, szczególnie na szerszych wodach, gdzie możemy rozwinąć żagle i płynąć bez użycia wiosel.

Słyszałem, jak dzisiejszego wieczora, kiedy przybiliśmy do brzegu, by rozbić namioty na noc, Hickey i Almoyre naradzali się między sobą. Mówili dość głośno, jakby nie zależało im wcale na zachowaniu dyskrecji.

Ktoś będzie musiał umrzeć.

Przed nami ciągnie się otwarta woda, mamy wolną drogę - być może do samego Obozu Terror, a nawet do samego Terroru - dokładnie tak, jak przewidział to prorok Cornelius Hickey podczas rozmowy z komandorem Crozierem w nienazwanej zatoce, w lipcu, kiedy buntowi zapobiegł powrót porucznika Little'a i wiadomość o otwartej wodzie. Może okazać się, że Hickey i ci, którzy z nim zostaną, wrócą do Obozu Terror po trzech dniach spokojnej żeglugi, podczas gdy my pokonywaliśmy ten dystans przez trzy i pół miesiąca, ciągnąc za sobą ciężkie sanie.

Jednak teraz, kiedy nie potrzebują już ludzi do ciągnięcia saní, którego z nas zamienią na zapas mięsa, by odciążyć łódź przed jutrzejszą żeglugą?

Hickey, jego olbrzym i Aylmore idą przez obóz w chwili, kiedy kreślę te słowa, wywołując nas z namiotów, choć jest już późno i całkiem ciemno.

Jeśli dożyję jutra, będę kontynuował te zapiski.

JOPSON

Obóz ratunkowy 20 sierpnia 1848.

Traktowali go jak starca i zostawiali w obozie, bo uważali, że jest słaby jak starzec, wręcz umierający, ale to była bzdura. Thomas Jopson miał zaledwie trzydzieści jeden lat. Dziś, 20 sierpnia, kończył trzydzieści jeden lat. Dziś były jego urodziny, a żaden z nich, prócz komandora Croziera, który z jakiegoś nieznanego mu powodu przestał jakiś czas temu przychodzić do jego namiotu, nie wiedział, że to właśnie dziś. Traktowali go jak starca, bo wypadły mu niemal wszystkie zęby, wypadły mu niemal wszystkie włosy, krwawił też z dziąseł, oczu i odbytu, ale nie był starcem. Kończył dziś trzydzieści jeden lat, a oni zostawiali go tutaj w dzień jego urodzin na pewną śmierć.

Jopson słyszał odgłosy zabawy poprzedniego popołudnia i wieczora - strzały, śmiechy i zapach pieczonego mięsa nie łączyły się w jego umyśle w całość, bo niemal przez cały ten dzień leżał nieprzytomny, odzyskując świadomość tylko na krótkie chwile - a kiedy obudził się o zmierzchu, zobaczył, że ktoś przyniósł mu talerz z płatem foczej skóry, kawałkami białego foczego tłuszczu i czerwonego, niemal surowego mięsa. Jopson zwymiotował - z jego żołądka nic nie wypłynęło, nie jadł bowiem już od wielu dni - i wypchnął talerz z żalonymi resztkami na zewnątrz namiotu.

Zrozumiał, że go zostawiają, kiedy późnym wieczorem jego towarzysze przychodzili doń jeden po drugim i w milczeniu, nie pokazując nawet swych twarzy, kładli przy jego boku twarde i spleśniałe suchary, jakby chcieli ułożyć z nich kopiec pogrzebowy. Był wtedy zbyt słaby, by zaprotestować - i zbyt pochłonięty swoimi snami - wiedział jednak, że te bryły czerstwych, spleśniałych sucharów były całą zapłatą, jaką miał otrzymać za lata wiernej służby Królewskiej Marynarce Wojennej, Służbie Badawczej i komandorowi Crozierowi.

Zostawiali go.

Kiedy obudził się tego niedzielnego ranka, po raz pierwszy od wielu dni - a może tygodni - mógł trzeźwo myśleć. I wtedy właśnie usłyszał, jak jego towarzysze przygotowują się do wymarszu.

Słyszał krzyki i nawoływania marynarzy, którzy przygotowali do drogi dwa welboty i załadowali na sanie dwa kutry wypełnione sprzętem i zapasami.

Jak mogli mnie tutaj zostawić? Jopson nie mógł uwierzyć, że byli do tego zdolni. Czyż nie służył wiernie komandorowi Crozierowi, gdy ten leżał złożony chorobą, gdy pogrążony był w depresji, gdy upijał się niemal do nieprzytomności? Czyż nie wynosił w środku nocy wiader z wymiocinami z kajuty komandora? Czyż nie podcierał dupy tego irlandzkiego pijaka, kiedy ten leżał nieprzytomny i robił pod siebie?

Może dlatego ten gnojek teraz mnie zostawia.

Jopson powoli uniósł powieki i przewrócił się na bok w swym zimnym, wilgotnym śpiworze. Dokonał tego z najwyższym trudem. Był bardzo słaby. Gdy tylko otwierał oczy, jego głowę przenikał dojmujący ból. Ziemia pod jego ciałem falowała niczym wzburzone morze w okolicach przylądka Horn. Bolały go wszystkie kości.

Zaczekajcie na mnie! - krzyknął. Wydawało mu się, że krzyknął, ale była to tylko cicha myśl. Musiał bardziej się postarać... dogonić ich, nim zepchną łodzie na lód... pokazać im, że może ciągnąć sanie z innymi. Być może nawet zdoła ich oszukać i zjeść trochę tego ich śmierdzącego, gnijącego mięsa z foki.

Jopson nie mógł uwierzyć, że traktowali go jak trupa. Był żywą istotą ludzką, wiernie służył marynarce wojennej, miał spore doświadczenie jako steward, zawsze sumiennie wypełniał swe obowiązki. Był również lojalnym obywatelem i poddanym Jej Królewskiej Mości, nie wspominając

już o tym, że miał rodzinę i dom w Portsmouth (jeśli Elizabeth i ich syn, Avery, jeszcze żyli i jeśli nie zostali wyeksmitowani z domu opłacanego z zaliczki, którą Thomas Jopson otrzymał przed wyprawą w poszukiwaniu Przejścia Północno-Zachodniego).

Obóz ratunkowy wydawał się teraz całkiem opustoszały, ciszę zalegającą nad ziemią przerywały jedynie jęki dochodzące z pobliskich namiotów i szum wiatru. Chrząst butów stąpających po żwirze, przekleństwa i śmiechy, rozmowy ludzi idących na wachtę, krzyki między namiotami, stukot młotków i zgrzyt pił, zapach tytoniu fajkowego - wszystko to zniknęło. Wszyscy naprawdę opuścili obóz.

Thomas Jopson nie zamierzał tu zostać i umrzeć w tym zimnie, na zapomnianym przez Boga i ludzi skrawku jałowej ziemi.

Zebrawszy wszystkie siły, Jopson zsunął z ramion krawędź śpiwora i zaczął się z niego wysuwać. Nie było to łatwe, szczególnie że musiał oderwać do welny i własnego ciała zamrażające pasma tkaniny, przesycone potem, krwią i innymi substancjami.

Czołgając się powoli na łokciach, Jopson wysunął się wreszcie na zewnątrz i zachłysnął zimnym powietrzem. Przywykł już na tyle do półmroku i duchoty panujących we wnętrzu namiotu, że teraz chłód niemal parzył go w płuca, a blask słońca raził obolałe oczy.

Jopson szybko zdał sobie sprawę, że słoneczny blask był tylko iluzją; w rzeczywistości poranek był mroczny i mglisty. Wstęgi białej mgły przesuwwały się między namiotami niczym duchy zmarłych, których zostawili po drodze. Przypomniały stewardowi dzień, w którym wysłali porucznika Little'a, łodomistrza Reida, Harry'ego Peglara i innych w głąb lodowej szczeliny.

Wysłaliśmy ich na śmierć, pomyślał Jopson.

Przeczołgawszy się po sucharach i kawałkach mięsa, które leżały przy jego ciele niczym ofiara złożona jakiemuś pogańskiemu bożkowi, Jopson wyciągnął swe bezwładne i pozbawione czucia nogi poza obręb namiotu.

Zobaczył kilka namiotów stojących w pobliżu i przez moment łudził się nadzieją, że zdrowi marynarze wyszli z obozu tylko na chwilę, że zajęci są reperowaniem łodzi i wkrótce wrócą. Potem jednak uświadomił sobie, że większość namiotów zniknęła.

Nie, nie zniknęła. Gdy jego oczy przywykły już do światła sączącego się przez mgłę, zobaczył, że większość namiotów leży na ziemi, złożona i przygnieciona kamieniami. Jopson był zdezorientowany. Skoro zamierzali odejść, to dlaczego nie zabierali ze sobą namiotów? Wyglądało to tak, jakby wybierali się na lód, ale planowali wkrótce wrócić. Dokąd jednak miałby iść? I po co? Chory i wycieńczony steward nic z tego nie rozumiał.

Potem mgła podniosła się na chwilę, a Jopson ujrzał swych towarzyszy ciągnących i spychających łodzie oraz sanie z łodziami na lód. Wydawało mu się, że przy każdej łodzi stoi co najmniej dziesięciu ludzi, co oznaczało, że wszyscy lub niemal wszyscy zdrowi marynarze opuszczają obóz, zostawiając w nim tylko jego i kilku innych ciężko chorych.

Jak doktor Goodsir mógł mnie tak zostawić? - zastanawiał się Jopson. Próbował sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni to właśnie lekarz podnosił jego bezwładne ciało, by go nakarmić lub umyć. Wczoraj zajmował się tym młody Hartnell... A może to było już kilka dni temu? Nie przypominał sobie, kiedy po raz ostatni widział doktora Goodsira.

- Czekaście! - zawołał.

A właściwie próbował zawołać, gdyż z jego ust wydobył się tylko słaby skrzek. Jopson uświadomił sobie, że nie mówił głośno już od kilku dni - być może tygodni - i że jeśli nie zdobędzie się na prawdziwy krzyk, nikt go nie usłyszy.

- Czekaście! - Ta próba wcale nie wypadła lepiej. Pomyślał, że powinien pomachać rękami,

zwrócić na siebie ich uwagę, sprawić, by spojrzeli w jego stronę.

Thomas Jopson nie mógł podnieść ręki. Gdy spróbował to zrobić, opadł bezwładnie na ziemię i uderzył twarzą w żwir.

Nie miał innego wyjścia - musiał się do nich podczołgać. Na pewno nie zostawią towarzysza, który wykrzesał dość sił, by przejść za nimi sto jardów.

Jopson podczołgał się o trzy stopy do przodu i ponownie opadł twarzą na ostry żwir. Nad obóz znów napłynęła gęsta mgła, która przesłoniła nawet jego namiot. Zajączał głośnie wiatr - a może były to głosy innych chorych porzuconych w swoich namiotach - a mroźne powietrze przeniknęło przez wełnianą koszulę Jopsona i jego brudne spodnie. Uświadomił sobie, że jeśli odczołga się dalej od namiotu, zabraknie mu sił, by wrócić i umrze tutaj z zimna i wilgoci.

- Czekajcie! - krzyknął, a raczej miauknął niczym ślepe kocię. Przepelznął kolejne trzy stopy... cztery... i leżał przez chwilę, dysząc ciężko niczym przebita harpunem foka. Jego osłabione ręce były równie bezużyteczne jak płetwy...

Jopson spróbował wbić brodę w żwir i podciągnąć się w ten sposób chociaż o kilka cali do przodu. Przy pierwszej próbie omal nie stracił jednego z dwóch zębów, które mu jeszcze zostały. Kolejna próba była również nieskuteczna. Jego ciało było po prostu zbyt ciężkie.

Mam tylko trzydzieści jeden lat, myślał ze złością. Dzisiaj są moje urodziny.

- Czekajcie... czekajcie... czekajcie... - Każda sylaba brzmiała ciszej od poprzedniej.

Sapiąc i dysząc ciężko, Jopson ułożył się na brzuchu, oparł głowę o ziemię i przekrzywił ją tak, by patrzeć prosto przed siebie.

- Czekajcie...

Mgła zawirowała i znów podniosła się na moment. Sięgał teraz wzrokiem co najmniej sto jardów do przodu, za kamieniste wybrzeże, aż na lód, gdzie czterdziestu kilku ludzi ciągnęło i pchało cztery łodzie - gdzie jest piąta? Nawet z tej odległości widać było, że wszyscy są osłabieni i poruszają się niewiele szybciej niż Jopson.

- Czekajcie! - Ten krzyk pozbawił go przedostatniej porcji energii, jaką jeszcze zachował - Jopson czuł, jak z jego ciała ulatują resztki ciepła - zabrzmiał jednak nie głośniejsze niż słowo wypowiedziane w normalnej rozmowie.

- Czekajcie! - krzyknął wreszcie. Tym razem był to głos mężczyzny, a nie małego kotka lub umierającej foki.

Było już jednak za późno. Ludzie i łodzie, od których dzieliło go już ponad sto jardów, znikali za szarą zasłoną mgły, a jęki i trzaski lodu zagłuszyłyby nawet huk wystrzału, a nie tylko głos pojedynczego człowieka.

Na moment mgła podniosła się jeszcze wyżej, a na ziemię padł złoty blask - jakby słońce postanowiło w końcu stopić cały lód i śnieg, a potem okryć zielenią i życiem ziemię, która nigdy tego życia nie zaznała - później jednak szary opar zamknął się wokół Jopsona, oślepiając go i oblepiając swymi lepкими mackami.

Ludzie i łodzie zniknęli w szarości, jakby nigdy nie istnieli.

HICKEY

Na południowo-zachodnim przylądku Wyspy Króla Williama. 8 września 1848.

Mat uszczelniacz Cornelius Hickey nienawidził królów i królowych. Uważał wszystkich arystokratów za krwio pijców, pasożyty żerujące na zdrowym ciele narodu.

Przekonał się jednak, że nie ma nic przeciwko byciu królem.

Jego pierwotny plan, zgodnie z którym mieli dopłynąć do samego Obozu *Terror* lub nawet do *Terroru*, wziął w łeb, kiedy ich szalupa - już nie tak zatłoczona - opłynawszy południowo-zachodni przylądek Ziemi Króla Williama, natrafiła na postępujący pak. Pasma otwartej wody były coraz węższe i prowadziły donikąd, nawet przy samym brzegu nie było już dość miejsca, by mogli kontynuować żeglugę.

Nieco dalej na zachód widać było większe obszary otwartej wody, Hickey nie mógł jednak odpłynąć na większą odległość od lądu i stracić go choćby na moment z oczu z tej prostej przyczyny, że żaden z ludzi obecnych w łodzi nie potrafił nawigować na pełnym morzu.

Jedynym powodem, dla którego Hickey i Aylmore pozwolili łaskawie George'owi Hodgsonowi przyłączyć się do nich - w rzeczywistości praktycznie zmusili go do tego - był fakt, że ów głupiec, podobnie jak wszyscy porucznicy marynarki wojennej, znał się na nawigacji. Jednak już pierwszego dnia wędrówki Hodgson przyznał, że nie może określić ich pozycji ani wytyczyć trasy prowadzącej prosto do *Terroru* bez sekstansu, a jedyny sekstans, jaki im jeszcze pozostał, był wciąż w rękach komandora Croziera.

To właśnie między innymi dlatego Hickey, Manson, Aylmore i Thompson wrócili w pobliże obozu ratunkowego i wywabili na łód Croziera i Goodsira - Hickey chciał dostać w swoje ręce lekarza, ale zależało mu również na zdobyciu sekstansu. Tutaj jednak wrodzony spryt Corneliusa Hickeya zawiódł. Ani Hickey, ani Aylmore nie potrafili wymyślić żadnego przekonującego powodu, dla którego Bobby Golding miałby poprosić Croziera o wyniesienie sekstansu z obozu. Uzgodnili więc, że kiedy już dostaną tego irlandzkiego gnojka w swe ręce, torturami zmuszą go, by wysłał do obozu list z prośbą o wydanie Goldingowi sekstansu. Gdy jednak mat uszczelniacz zobaczył swego oprawcę na kolanach, postanowił zabić go od razu.

Kiedy dotarli w końcu do otwartej wody, Hickey uznał, że Hodgson do niczego nie jest im już potrzebny - nawet jako siła pociągowa - i że musi jak najszybciej się go pozbyć.

W realizacji tego planu bardzo przydatny okazał się rewolwer Croziera i dodatkowe naboje. Przez kilka dni po pojmaniu Goodsira Hickey pozwalał Aylmore'owi i Thompsonowi nosić dwie zdobyczne strzelby - Hickey otrzymał trzecią strzelbę wraz z nabojami z rąk komandora Croziera, kiedy opuszczali obóz - wkrótce uznał jednak, że nie jest to najlepszy pomysł i kazał Magnusowi wrzucić broń do morza. Tak było lepiej; król, Cornelius Hickey, miał pod swą kontrolą rewolwer, jedyną strzelbę wraz z nabojami, oraz Magnusa Mansona. Aylmore był zniewieściałym mądrąłą, urodzonym konspiratorem, Thompson zaś pijakiem, któremu nie można było ufać - Hickey wiedział to dzięki swemu niezwykłemu instynktowi i wrodzonej inteligencji - kiedy więc 3 września skończyło się mięso Hodgsona, Hickey kazał Mansonowi ogłuszyć obu mężczyzn, związać ich i nieprzytomnych położyć przed pozostałą dwunastką. Mat uszczelniacz urządził błyskawiczny proces, uznał Aylmore'a i Thompsona za winnych spiskowaniu przeciwko ich przywódcy i towarzyszom, po czym zabił obu strzałem w tył głowy.

Mimo że poświęcił te trzy ofiary - Hodgsona, Aylmore'a i Thompsona - dla dobra ogółu, przeklęty lekarz, Goodsir, wciąż nie chciał wypełniać swych obowiązków i opłakiwać zmarłych.

W związku z tym Hickey zmuszony był wymierzyć krnąbrnemu lekarzowi stosowną karę. Kara ta była potrójna - każda za jedno ciało

- teraz więc Goodsir miał poważne problemy z chodzeniem. Cornelius Hickey wierzył w przychyłność losu i zawsze przychyłności tej doświadczał, kiedy jednak fortuna odwracała się od niego, gotów był zawsze wziąć sprawy w swoje ręce.

W tym wypadku, kiedy po opłynięciu wielkiego przylądka na południowo-zachodnim krańcu Ziemi Króla Williama ujrzeli gruby, twardy pak, Hickey kazał wciągnąć łódź na brzeg i załadować ją na sanie.

Nie musiał przypominać swym ludziom, jakie mieli szczęście. Podczas gdy ludzie Croziera z pewnością już nie żyli albo umierali w obozie ratunkowym - albo na paku na południe od tego obozu - wybrańcy Hickeya pokonali ponad dwie trzecie, a być może nawet trzy czwarte drogi dzielącej ich od Obozu *Terror* i wszystkich złożonych tam zapasów.

Hickey uznał, że jako przywódca i król wyprawy Franklina nie powinien być zmuszany do ciągnięcia sań. Dzięki niemu - i tylko dzięki niemu - jego ludzie mieli co jeść i nie mogli narzekać na choroby lub brak energii, postanowił więc pokonać ten ostatni odcinek wędrówki, siedząc na rufie szalupy ułożonej na saniach i pozwolić, by jego dwunastu poddanych, w tym kulejący Goodsir, ciągnęło go po lodzie, śniegu i żwirze.

Od kilku dni Magnus Manson jechał w szalupie wraz z nim, i to nie tylko dlatego, że - co wszyscy już chyba zrozumieli - był małżonkiem panującego, a także wielkim inkwizytorem i katem. Biednego Magnusa znów bolał brzuch.

Głównym powodem, dla którego Goodsir, choć okaleczony, wciąż żył, był fakt, że Cornelius Hickey panicznie bał się choroby i zakażenia. Krwawy skorbut, który zabił już i złożył niemocą tylu marynarzy, budził w nim odrazę i strach. Potrzebował lekarza, choć do tej pory szczęśliwie nie doświadczył żadnych objawów tej choroby.

Marynarze maszerujący w zaprzęgu Hickeya - Morfin, Orren, Brown, Dunn, Gibson, Smith, Best, Jerry, Work, Seeley i Strickland - także wyglądali rześko i zdrowo, głównie dzięki temu, że od jakiegoś czasu znów mogli jeść świeże mięso.

Tylko Goodsir wyglądał i zachowywał się jak człowiek dotknięty ciężką chorobą, nadal bowiem, wbrew zdrowemu rozsądkowi, żywił się jedynie sucharami i wodą. Hickey wiedział, że wkrótce będzie musiał zainterweniować i zmusić lekarza do skorzystania ze zdrowszego pożywienia - gotów był podzielić się z nim najsmaczniejszymi kęsami z ud, łydek i ramion - by Goodsir nie umarł z powodu swego bezrozumnego uporu. Lekarz powinien wiedzieć o tym najlepiej. Czerstwe suchary i woda mogą utrzymać przy życiu szczura, ale z pewnością nie wystarczały prawdziwemu mężczyźnie.

By mieć pewność, że lekarz pozostanie jak najdłużej przy życiu, Hickey dawno już wyjął wszystkie lekarstwa z jego torby i wydzielał je Goodsirowi tylko wtedy, gdy ten miał podać jakiś środek Magnusowi lub innym jego poddanym. Dopilnował także, by lekarz nie miał dostępu do noży, a kiedy byli na morzu, któryś z jego ludzi zawsze siedział obok niego i pilnował, by nie wyskoczył za burtę.

Do tej pory jednak lekarz ani razu nie próbował targnąć się na swoje życie.

Ból brzucha dręczący Magnusa był już na tyle dokuczliwy, że nie tylko zmuszał osowiałego olbrzyma do jazdy w szalupie, ale również nie pozwalał mu spać w nocy. Hickey wiedział, że jego towarzysz nigdy nie miał kłopotów ze snem.

Przyczyną były oczywiście dwie małe rany po kulach, Hickey zmuszał więc Goodsira, by doglądał ich codziennie. Lekarz twierdził z uporem, że rany są powierzchowne i że nie doszło do zakażenia. Pokazywał Hickeyowi i Magnusowi - który trzymał w górze poły swej koszuli i przyglądał

się z ciekawością własnemu brzuchowi - że skóra wokół ran wciąż jest różowa i wygląda całkiem zdrowo.

- Skąd więc ten ból? - dopytywał się Hickey.

- Ta rana to swego rodzaju stłuczenie, może więc boleć nawet przez kilka tygodni, podobnie jak duży, ukryty głęboko pod skórą siniak. Nie jest jednak poważna i nie zagraża życiu pana Magnusa.

- Możesz wyjąć te kule? - spytał Hickey.

- Niewykluczone. - Goodsir skinął głową. - Ale wolałbym nie próbować, przynajmniej dopóki jesteśmy w drodze. Musiałbym przeciąć w tym celu mięsień, który w dużej mierze już się zagoił. Po operacji pan Manson musiałby leżeć przez kilka dni... istniałoby też spore ryzyko zakażenia. Gdybyśmy zdecydowali się na usunięcie kul, wolałbym zrobić to w Obozie *Terror* albo na statku, by pacjent przez kilka dni mógł spokojnie wracać do zdrowia.

- Nie chcę, żeby bolał mnie brzuch - poskarżył się Magnus.

- Oczywiście, że nie - odparł Hickey, głaszcząc swego wielkiego przyjaciela po ramieniu. - Daj mu trochę morfiny, Goodsir.

Lekarz skinął głową i wylał odrobinę środka przeciwbólowego na łyżkę.

Magnus chętnie wypijał odmierzoną dawkę, a po przyjęciu morfiny siedział przez godzinę na dziobie szalupy ze słodkim uśmiechem na ustach, by potem zapaść w głęboki sen.

Tego dnia, w piątek 8 sierpnia, w świecie króla Hickeya panował należyty porządek. Jego zwierzęta pociągowe - Morfin, Orren, Brown, Dunn, Gibson, Smith, Best, Jerry, Work, Seeley i Strickland - były silne i zdrowe, dzięki czemu mogły żwawo ciągnąć sanie i łódź. Magnus był zadowolony - lubił siedzieć na dziobie jak oficer i patrzeć na krajobraz, który zostawiali za sobą - przynajmniej dopóki nie brakowało mu morfiny, a Hickey wiedział, że zapasy, którymi jeszcze dysponowali, wystarczą im do końca podróży do Obozu *Terror* lub do samego statku. Goodsir maszerował obok karawany i doglądał króla oraz jego małżonka. Pogoda była dobra, choć z dnia na dzień robiło się coraz zimniej, nie widzieli też ani śladu stworzenia, które wcześniej pozbawiło życia tylu marynarzy.

Mimo że jedli do syta, mieli jeszcze dość mięsa Thompsona i Aylmore'a, by jeszcze przez kilka dni nie martwić się o pożywienie - odkryli też, że ludzki tłuszcz może być paliwem, choć pali się nieco gorzej i krócej niż tłuszcz foczy lub wielorybi. Hickey postanowił, że nim jeszcze dotrą do Obozu *Terror*, urządzą loterię i wyłonią w ten sposób ofiarę, która pozwoli innym zachować formę do samego końca podróży.

Mogli oczywiście zmniejszyć racje, Cornelius Hickey wiedział jednak, że loteria napęłni strachem serca jego poddanych i przypomni im raz jeszcze, kto jest królem tej wyprawy. Hickey zawsze miał czujny sen, a do tego spał teraz zjedną ręką na rewolwerze, jednak ta ostatnia ofiara - oraz kara, którą Magnus musiał zapewne wymierzyć Goodsirowi za kolejny akt nieposłuszeństwa - z pewnością pozbawiłaby złudzeń te spośród jego zwierząt pociagowych, które kryły w swych sercach zdradzieckie zamiary.

Na razie jednak cieszyli się słoneczną pogodą, błękitnym niebem i wysoką, sięgającą dwudziestu stopni temperaturą. Płozy sań sunęły z sykiem po lodzie i żwirze. Magnus, który niedawno otrzymał swoją dawkę morfiny, uśmiechał się do siebie i nucił pod nosem jakąś skoczną melodię.

Wszyscy wiedzieli, że od Obozu *Terror* dzieli ich już niecałe trzydzieści mil. Karmieni świeżym mięsem ludzie pokonywali codziennie dwie do trzech mil, a przy większych porcjach prawdopodobnie mogliby poruszać się jeszcze szybciej.

Mając tona uwadze, Hickey wyrwał kartkę z jednego spośród kilkunastu egzemplarzy Biblii,

które na prośbę Magnusa załadowali do łodzi w obozie ratunkowym - było to o tyle dziwne, że Magnus nie umiał czytać - i dzielił ją właśnie na jedenaście równych pasków papieru.

Hickey oczywiście nie zamierzał brać udziału w nadchodzącej loterii, planował też zwolnić z niej Magnusa i przekłętego Goodsira. Wiedział już jednak, że wieczorem, kiedy zatrzymają się na odpoczynek, każdy z jedenastu pozostałych marynarzy napisze na pasku swe nazwisko lub postawi znaczek. Potem, na jego polecenie, Goodsir sprawdzi, czy każdy umieścił na losie swe prawdziwe imię lub narysował tam charakterystyczny, niepowtarzalny symbol.

Na końcu wszystkie skrawki papieru trafią do kieszeni królewskiego płaszcza, a potem rozpocznie się ponura ceremonia losowania.

GOODSIR

Na południowo-zachodnim przylądku Wyspy Króla Williama. 5 października 1848.

Z prywatnego dziennika doktora Harry'ego D.S. Goodsira:

6, 7 lub być może 8 października 1848

Wypiłem ostatnią porcję. Minie jeszcze kilka minut, nim poczuję w pełni Jej Działanie. Do tego czasu uzupełnię mój Dziennik.

Przez ostatnie kilka dni wspominałem młodego porucznika Hodgsona i wszystko, co mi powiedział w zaciszu naszego namiotu kilka tygodni temu, na dzień przed swoją śmiercią.

Porucznik wyszeptał wtedy:

- Przepraszam, że panu przeszkadzam, doktorze, ale muszę komuś powiedzieć, jak bardzo żałuję tego, co zrobiłem.

- Nie jest pan papistą, poruczniku Hodgson - odpowiedziałem szeptem.

- A ja nie jestem pańskim spowiednikiem. Proszę pozwolić mi spać.

- Przepraszam jeszcze raz, panie doktorze - nie dawał za wygraną Hodgson

- ale muszę komuś powiedzieć, jak bardzo żałuję, że zdradziłem komandora

- który zawsze był dla mnie dobry - i że pozwoliłem Hickeyowi wziąć pana do niewoli.

Naprawdę ogromnie tego żałuję i bardzo mi przykro z tego powodu.

Leżałem w milczeniu. Nie reagowałem w żaden sposób na słowa młodzieńca.

- Odkąd zginął John - mówił dalej Hodgson - to znaczy porucznik Irving, mój przyjaciel ze szkoły artyleryjskiej, byłem przekonany, że to Hickey go zamordował, i panicznie się go bałem.

- Dlaczego więc przyłączył się pan do pana Hickeya, skoro uważał pan go za potwora? - wyszeptałem w ciemnościach.

- Bałem się... Chciałem być po jego stronie, bo mnie przerażał - odparł Hodgson. A potem wybuchnął płaczem.

- Powinien się pan wstydzić - powiedziałem.

Mimo to objąłem go ramieniem i klepałem po plecach, kiedy szlochał cicho, aż wreszcie zasnął ze zmęczenia.

Następnego ranka pan Hickey zebrał wszystkich przed namiotami, kazał Mangusowi Mansonowi wywlec porucznika Hodgsona przed szereg i rzucić go na kolana. Potem pan Hickey wyjął rewolwer i oświadczył, że nie będzie tolerował próżniactwa i że wszyscy pracownicy i lojalni towarzysze będą żyć w dostatku, a próżniacy zginą.

Następnie przystawił lufę rewolweru do podstawy czaszki George'a Hodgsona i odstrzelił mu pół głowy.

Muszę przyznać, że porucznik Hodgson był bardzo dzielny. Nie okazywał tego ranka choćby cienia strachu. Jego ostatnie słowa, tuż przed wystrzałem, brzmiały: „Idź do diabła”.

Chciałbym przeżyć swe ostatnie chwile równie godnie. Wiem jednak z całą pewnością, że tak się nie stanie.

Jednak przedstawienie urządzone tamtego ranka przez pana Hickeya nie skończyło się wraz ze śmiercią porucznika Hodgsona ani z chwilą, gdy Magnus Manson rozebrał biednego chłopca do naga i pozostawił jego ciało przed zgromadzonymi wokół marynarzami.

Przyznam, że na ten widok ścisnęło mi się serce. Biedny Hodgson był niewiarygodnie chudy. Jego ręce wyglądały jak kości obciążnięte skórą. Zebra i miednica sterczały do góry, jakby lada moment miały przebić cienką skórę. Całe ciało chłopca pokryte było licznymi sińcami.

Mimo to pan Hickey przywołał mnie do siebie, wręczył mi nożyce i kazał rozczłonkować ciało porucznika na oczach jego towarzyszy.

Odmówilem.

Pan Hickey uprzejmym tonem poprosił mnie ponownie. Znow odmówilem.

Pan Hickey kazał wtedy Mansonowi odebrać mi nożyce i rozebrać mnie do naga, podobnie jak ciało leżące u naszych stóp.

Kiedy już zostałem odarty z ubrań, pan Hickey zaczął przechadzać się wzdłuż szeregu marynarzy i wskazywać na różne części mojego nagiego ciała. Pan Manson stał obok, z nożycami w dłoniach.

- W naszej marynarskiej braci nie ma miejsca dla próżniaków - mówił pan Hickey. - I choć potrzebujemy tego lekarza - bo chcę troszczyć się o zdrowie każdego z was - musimy go ukarać, kiedy odmawia pracy dla naszego wspólnego dobra. Tego ranka dwukrotnie już sprzeciwił się naszej woli. Na znak naszego niezadowolenia pozbawimy go dwóch nieistotnych części ciała.

To powiedziawszy, pan Hickey zaczął dotykać lufą rewolweru różnych części mojej anatomii - palców, nosa, penisa, jąder, uszu. Potem podniósł moją rękę.

- Lekarz potrzebuje palców u rąk, jeśli ma nam się do czegoś przydać - oświadczył teatralnym tonem i roześmiał się. - Zachowamy je na koniec.

Większość marynarzy także się roześmiała.

- Nie potrzebuje jednak kutasa ani jaj - mówił dalej Hickey, dotykając wymienionych części mego ciała bardzo zimną lufą..

Marynarze znow się roześmiali, wyczekując niecierpliwie ciągu dalszego.

- Dziś jednak jesteście litościwi - powiedział w końcu pan Hickey i rozkazał panu Mansonowi pozbawić mnie dwóch palców u nóg.

- Których dwóch? - spytał wielki idiota.

- Sam wybierz, Magnusie - odrzekł mistrz ceremonii.

Marynarze roześmiali się raz jeszcze, nieco rozczerowani, że zostaną pozbawiony tylko czegoś tak banalnego jak palce u nóg. Z drugiej jednak strony cieszył ich fakt, że jestem zdany na łaskę i niełaskę Magnusa Mansona. Nie miałem im tego za złe. Większość marynarzy nie miała żadnego wykształcenia i nie lubiła tych, którzy takie wykształcenie odebrali.

Pan Manson wybrał dwa duże palce.

Publiczność śmiała się i klaskała.

Pan Manson użył wreszcie nożyc, a dzięki jego ogromnej sile cały zabieg przebiegł szybko i sprawnie.

Marynarze obserwowali ze śmiechem - i wielkim zainteresowaniem - moje poczynania, kiedy otrzymawszy na chwilę swą torbę, zaszywałem tętnice, zatrzymywałem krwawienie - przyznam, że zrobiło mi się wówczas trochę słabo - i opatrywałem własne rany.

Pan Manson wziął mnie potem na ręce i zaniósł do mojego namiotu; obchodził się ze mną równie łagodnie jak matka z chorym dzieckiem.

Tego dnia pan Hickey postanowił również uwolnić mnie od ciężaru butelek z najsilniejszymi lekarstwami. Ja jednak już kilka dni wcześniej przelałem większość morfiny, opium, laudanum, proszków Dovera, trującej rtęci i mandragory do jednej buteleczki, którą opatrzyłem nalepką „Cukier ołowiany” i schowałem między swymi rzeczami. Później dopełniłem zawartość buteleczek z morfiną, opium i laudanum do poprzedniego poziomu.

To zabawne, ale za każdym razem, gdy wydzielam panu Mansonowi porcję morfiny, która ma go uwolnić od bólu brzucha, w rzeczywistości otrzymuje on zaledwie dwie maleńkie dawki

środka przeciwbólowego rozcieńczzone aż ośmioma dawkami wody. Wydaje się jednak, że olbrzym w ogóle tego nie zauważa, co jeszcze raz przypomina mi o tym, jak ważną rolę w procesie leczenia pełni wiara w jego skuteczność.

Od czasu śmierci pana Hodgsona jeszcze kilkakrotnie odmówiłem udziału w rozcinaniu ludzkich ciał, co kosztowało mnie w sumie utratę kolejnych ośmiu palców u nóg, jednego ucha i napletka.

Ten ostatni zabieg tak bardzo rozbawił zgromadzonych marynarzy - i to pomimo leżących przed nimi ciał ich towarzyszy - że wydawałoby się, iż przyjechał do nich cały cyrk.

Wiem, dlaczego pan Hickey, mimo wielokrotnie powtarzanych gróźb, nie pozbawił mnie członka ani jąder. Mat uszczelniać widział wystarczająco dużo obrażeń, by wiedzieć, że krwawienia z tego typu rany często nie da się zatrzymać - szczególnie jeśli krwawiącym jest sam lekarz, który na skutek osłabienia i szoku związanego z takim zabiegiem może stracić przytomność - a pan Hickey chce przecież jak najdłużej zachować mnie przy życiu.

Odkąd straciłem siódmy spośród dziesięciu palców u nóg, mam ogromne kłopoty z chodzeniem. Dotąd nie zdawałem sobie sprawy, jak ważne dla utrzymania równowagi są te niepozorne części ciała. Równie dokuczliwy jest oczywiście ból, który towarzyszy mi już od miesiąca.

Myślę, że popełniłbym grzech pychy - nie wspominając o kłamstwie - gdybym twierdził tutaj, że nie myślałem już wcześniej o sięgnięciu po moją ukrytą butelkę z morfiną, opium i laudanum (oraz innymi substancjami medycznymi).

Nigdy jednak nie wyjąłem jej z ukrycia.

Do dzisiaj.

Przyznam, że sądziłem wcześniej, iż owe środki będą działać szybciej i gwałtowniej, niż dzieje się to w rzeczywistości.

Straciłem już czucie w stopach - drętwota sięga teraz rzepek - przypuszczam jednak, że minie co najmniej kolejne dziesięć minut, nim trucizna unieruchomi moje serce i inne ważne narządy.

Opróżniłem właśnie do końca butelkę z miksturą. Przypuszczam, że tylko z tchórzostwa nie wypilem całej jej zawartości od razu.

Przyznam tutaj - z powodów czysto naukowych, na wypadek gdyby ktoś znalazł kiedyś ten dziennik - że mikstura ma silne działanie odurzające. Gdyby ktoś siedział teraz przy mnie w to ciemne, burzowe popołudnie, widziałby, jak w ostatnich chwilach swego życia mimowolnie kiwam głową i szczerzę zęby w pijackim uśmiechu.

Nie polecam jednak nikomu powtarzania tego eksperymentu, nawet dla dobra całej medycyny.

Co prowadzi mnie do ostatecznego wyznania.

Po raz pierwszy i jedyny w całej mej karierze i całym moim życiu nie zrobiłem dla pacjenta wszystkiego, co mogłem.

Mówię, oczywiście, o biednym panu Magnusie Mansonie.

Moja diagnoza obrażeń powstałych w wyniku podwójnego postrzału była kłamstwem. Kule z pistoletu komandora były małe, to prawda, musiały jednak uderzyć z ogromną siłą, gdyż obie - co stwierdziłem już przy pierwszych oględzinach - przeszły nie tylko skórę olbrzyma i jego mięśnie, ale i narządy wewnętrzne.

Już po wstępnym badaniu wiedziałem, że pociski tkwią w żołądku pana Mansona, jego śledzienie, wątrobie lub jakimś innym ważnym narządzie, i że można go uratować, tylko usuwając

owe pociski z jego ciała.

Sklamalem.

Jeśli istnieje piekło - w które już nie wierzę, gdyż ta ziemia i zamieszkujący ją ludzie wystarczą za piekło dla całego wszechświata - zostaną strącony do najgorszej części najniższego piekielnego kręgu.

Nic mnie to nie obchodzi.

Powinienem tu wspomnieć, że robi mi się zimno i że... drętwieją mi palce.

Kiedy przed miesiocem dopadła nas buza, dzikowałem Bog.

Wydawało się wówczas że naprawdę dojdziemy do Obzu Terrorr. Wydawało się że pan Hickey wgrał. Byliśmy - tak sadzę - niecałe 20 mil od tego obozu i pokonywaliśmy 3 lub 4 mile dziennie przy pięknej pogodzie kiedy uderzył pierwszy z całej serii sztormów.

Jeśli Bóg istnieje... dziękuje Panie Boże.

Śniek. Ciemnos. Straszliw wiatr noca i za dnia.

Marynarze nie mogli ciągnąć san. Wiatprował namoty. Temperatura spadła o 50 stopni.

Zima uderzył jak młot boży. Pan Hickey mugieynie ułożyć breznę przy szalpie i zabić Polowe ludzi by nakarmić drugą Polowę.

Niektórzy marynarze uciekli w śnieżycę i umarli.

Niektórzy zostali i zginęli od kul.

Niektórzy zamazali na śmierć.

Nikt nie zjadł innych ludzi i też umarli

Pan Hickey i pan Masnonn siedzą w swojej łodzi na wietrze. myślę choć nie wiem, że pan Mann już nie żyje.

Jak go zabiłem.

Zabiłem ludzi których zostawiłem w obozie ratunkowym.. Tak mi przykro. Tak mi przykro.

Przez całe życie, mój brat wie szkodę z tego tuniema, Thomas wie, że życie uwielbiałem. Płakałem i dialog Sokratesa.

Umieram jak wół Sokrates aleja nate śmierć zalega wędruje w górę ciała zmienia ręce i piersi - palce lekarza - w odrętwiałe palce i tak się ciesze

Napisz mi te wiadomości i przypilam do piersi

**ZJEDZ TE DOCHODZĄCE SZCZĄTKI DOKTORA HARRY D.S. GOODSSSIRA JEŚLI CHCESZ
TRACIĆ W TYM CIELE KOSCI CIEBIE TEŻ ZBIJE**

Ludzie Obrotu

Thomas jeśli znajdziesz to na moim i prze

Tak mi Przykro.

Robię coś mgłą ale nigdy

Rany pana Mansona NIE ZALU

Będzie mi Idzie w swojej opinii

HICKEY

Na południowo-zachodnim przylądku Wyspy Króla Williama. 18 października 1848.

W ciągu ostatnich kilku dni, a może tygodni, Cornelius Hickey uświadomił sobie, że przestał być królem. Był teraz bogiem.

Właściwie - przypuszczał tylko, nie był tego jeszcze całkiem pewien, ale nabierał tej pewności z każdą chwilą - Cornelius Hickey stał się bogiem.

Wszyscy wokół niego umarli, a on wciąż żył. Nie czuł już zimna. Nie czuł głodu ani pragnienia, nie musiał zaspokajać żadnych potrzeb. Widział w ciemnościach, które coraz dłużej zalegały nad ziemią, jego zmysły przenikały także śnieg i wiatr.

Gdy wiatr pozbawił ich namiotów, zwykli śmiertelnicy potrzebowali brezentu i lin, by zbudować sobie przy szalupie osłonę, pod którą chronili się przed wiatrem, aż umarli, Hickey jednak czuł się doskonale na swoim tronie, wysoko na rufie szalupy.

Kiedy po trzech tygodniach nieustających śnieżyc, wiatru i mrozu, uniemożliwiających dalszą wędrówkę, jego zwierzęta pociągowe skomlały i błagały go o jedzenie, Hickey zstąpił między nie niczym Bóg i obdarzył je swymi bochenkami chleba i rybami.

Zastrzelił Stricklanda, by nakarmić Seeleya.

Zastrzelił Dunna, by nakarmić Browna.

Zastrzelił Gibsona, by nakarmić Jerry'ego.

Zastrzelił Besta, by nakarmić Smitha.

Zastrzelił Morfina, by nakarmić Orrena... a może było odwrotnie. Hickey nie zaprzętał już sobie pamięci tak trywialnymi sprawami.

Teraz jednak ci, których tak hojnie obdarował, już nie żyli, zamarznięci w swoich śpiworach lub zastygli w przerażających, przedśmiertnych pozach. Być może znudził się nimi i także ich zastrzelił. Pamiętał jak przez mgłę, że przed tygodniem lub dwoma wycinał najlepsze części z ciał kilku innych ludzi, kiedy jeszcze potrzebował jedzenia. A może zrobił to tylko dla kaprysu. Nie pamiętał szczegółów. To i tak nie miało znaczenia.

Postanowił już, że kiedy śnieżyce ustaną - a wiedział, że teraz może im już rozkazywać i kazać im się uciszyć, kiedy tylko tego zapragnie

- przywróci kilku z nich do życia, by mogli zaciągnąć jego i Magnusa do Obozu *Terror*.

Przeklęty lekarz nie żył - otrul się i leżał teraz zamarznięty w swoim małym namiocie, kilka jardów od szalupy i wspólnego grobu, w który zamienił się namiot pozostałych marynarzy - Hickey postanowił jednak zignorować ten nieprzyjemny incydent, który w gruncie rzeczy nie miał dlań żadnego znaczenia. Nawet bogowie mają fobie, a Cornelius Hickey zawsze bał się trucizn. Rzuciwszy okiem na ciało lekarza - i strzeliwszy mu w głowę, by upewnić się, że przeklęty konował nie udaje - nowy bóg Hickey wycofał się i zostawił w spokoju zatrute ścierwo.

Magnus już od tygodni pojękiwał, skarżył się i narzekał ze swego ulubionego miejsca na dziobie, jednak ostatnio dziwnie ucichł. Kiedy poruszył się po raz ostatni, podczas krótkiego okresu ciszy między kolejnymi śnieżycami, kiedy blask księżyca oświetlił na moment szalupę i przytulony do niej, przysypany śniegiem namiot, niskie wzgórze, na którym stała ich łódź, zamarzniętą plażę na zachodzie i rozciągające się za nim lodowe pola, otworzył usta, jakby chciał prosić o coś swego kochanka i boga.

Jednak z jego ust zamiast słów lub choćby kolejnej skargi wypłynął strumień gorącej krwi, który ściekał mu po brodzie i dłoniach złożonych na brzuchu, a potem zamienił się w kałużę na dnie

łodzi obok jego butów. Krew wciąż okrywała jego gęsty zarost zamrożonymi na kamień falami, upodabniając go do biblijnych proroków o wielkich, pofalowanych brodach. Od tej pory Magnus nie odezwał się ani słowem.

Śmiertelna drzemka, w którą zapadł jego towarzysz, nie niepokoiła Hickeya - wiedział, że gdy tylko zechce, przywróci Magnusa do życia - jednak wpatrzone weń nieustannie oczy i otwarte usta po kilku dniach zaczęły działać bogowi na nerwy. Szczególnie irytowały go zamrożone oczy Magnusa, które po jakimś czasie zamieniły się w białe lodowe kule.

Hickey wstał wtedy ze swego tronu na rufie, przeszedł obok strzelby i torby z nabojami, nad ławką dla wioślarzy i stertą czekolady (którą mógł ewentualnie zjeść, gdyby głód jednak powrócił), obok pił, gwoździ i zwiniętych w rulon arkuszy ołowiu, nad ręcznikami i jedwabnymi chusteczkami ułożonymi przy okrwawionych stopach Magnusa, a potem jednym kopniakiem rozrzucił stertę Biblii, które jego przyjaciel w tych ostatnich dniach przyciągnął do siebie i ułożył jedną na drugiej, niczym ścianę oddzielającą go od drugiej części łodzi.

Jednak usta Magnusa nie chciały się zamknąć - Hickey nie mógł nawet oderwać zamrożonego strumienia krwi, zwisającego pod brodą olbrzyma - podobnie jak powleczone warstwą lodu oczy.

- Wybacz, kochany - wyszeptał - ale wiesz, że nie lubię, jak ktoś się na mnie gapi.

Za pomocą noża wydłubał zamrożone gałki oczne swego kochanka i wyrzucił je w ciemność. Pomyślał, że naprawi to później, kiedy już przywróci Magnusa do życia.

Wreszcie śnieżycą ustała, posłuszna jego rozkazom. Ucichł wiatr. Śnieżna zaspą od zachodniej strony łodzi przykrywała całe sanie i sięgała niemal po krawędź nadburcia szalupy, a od strony zawietrznej śnieg przysypał niemal cały brezentowy namiot i ukrytych pod nim marynarzy.

Było bardzo zimno. Dzięki swym nadnaturalnym zdolnościom Hickey widział nadciągające od zachodu chmury burzowe, na razie jednak nad lodową pustynią panował spokój. Widział, jak słońce chowa się za południowym horyzontem, wiedział też, że minie kolejnych szesnaście lub osiemnaście godzin, nim wstanie ponownie, także na południu, i że wkrótce przestanie pokazywać się w ogóle. Nastanie wówczas Wiek Ciemności - dziesięć tysięcy lat ciemności - ale dla Corneliusa Hickeya nie miało to większego znaczenia.

Noc była cicha i spokojna. Gwiazdy świeciły jasno - Hickey poznał kiedyś nazwy niektórych spośród konstelacji widocznych na niebie, teraz jednak miał trudności z odszukaniem chociażby Wielkiego Wozu - a nowo narodzony bóg siedział wygodnie rozparty na rufie swej łodzi, otulony ciepłym płaszczem i zapatrzony w ciemny horyzont, za którym krył się Obóz *Terror* i odległy okręt. Wiedział, że dotrze do niego, gdy tylko zechce przywrócić swe zwierzęta pociągowe do życia. Myślał o minionych miesiącach i latach oraz o nieuniknionej przemianie, która uczyniła zeń istotę nadprzyrodzoną.

Cornelius Hickey nie żałował niczego, co zrobił w swym minionym, śmiertelnym życiu. Robił to, co musiał. Odpłacił tym aroganckim gnojkom, którzy ośmielili się kiedykolwiek go zlekceważyć, innym zaś pokazał promyk swego boskiego światła.

Nagle wyczuł jakiś ruch na zachodzie. Z pewnym trudem - było bardzo zimno - odwrócił głowę, by spojrzeć w tę stronę.

Coś zbliżało się do niego. Być może to jego słuch - nadnaturalny i niewiarygodnie wyczulony, podobnie jak wszystkie inne zmysły - dał mu znać o obecności innego stworzenia na łodzi.

Coś wielkiego szło w jego stronę na dwóch nogach.

Hickey dojrzał nikły blask gwiazd odbijający się w białym futrze. Uśmiechnął się. Cieszył się z tej wizyty.

Potwór z lodu nie był już czymś, czego należało się obawiać. Hickey wiedział, że monstrum przychodzi do niego nie jako drapieżnik, lecz jako wierny poddany. Teraz nie byli sobie nawet równi; Cornelius Hickey mógł jednym ruchem ręki unicestwić potwora lub wysłać go w najodleglejszy zakątek kosmosu.

Tymczasem potwór zbliżał się do niego, czasami idąc na czterech łapach, czasami maszerując na dwóch jak człowiek, choć w niczym nie był podobny do człowieka.

Hickey poczuł, że budzi się w nim jakiś dziwny lęk, który zakłóca jego głęboki kosmiczny spokój.

Monstrum zniknęło mu na chwilę z oczu, kiedy podeszło bardzo blisko szalupy i sań. Hickey słyszał, jak porusza się obok brezentu - pod brezentem - szarpie zamrożone ciała długimi pazurami, czasami wypuszcza głośno powietrze z paszczy - ale go nie słyszał. Uświadomił sobie, że boi się odwrócić głowę.

Patrzył prosto przed siebie, na puste oczodoły Magnusa.

Nagle potwór pojawił się tuż przed nim, wysunął się co najmniej sześć stóp nad krawędź burty, która i tak znajdowała się już na wysokości sześciu stóp nad ziemią.

Hickey czuł, jak zamiera mu dech.

W świetle gwiazd potwór wydawał mu się bardziej przerażający niż kiedykolwiek dotąd, bardziej przerażający, niż mógł to sobie wyobrazić. Podobnie jak On - Cornelius Hickey - potwór uległ cudownej i straszliwej zarazem przemianie.

Stworzenie nachyliło się nad łodzią i wypuściło z paszczy obłok maleńkich kryształków lodu. Zwierzęcy oddech, który owionął głowę Hickeya, niósł ze sobą zapach zgniłego mięsa i śmierci.

Hickey padłby na kolana i oddał pokłon potworowi, gdyby tylko mógł to zrobić, ale - całkiem dosłownie - zmarł w bezruchu. Nie mógł nawet poruszyć głową.

Potwór obwąchał ciało Magnusa Mansona, dotykając kilkakrotnie czubkiem nieprawdopodobnie długiej paszczy wodospadu brązowej krwi, okrywającej tułów olbrzymia. Wielki język stworzenia polizał zamrożoną ciecz. Hickey chciał wyjaśnić, że jest to ciało jego ukochanego i że musi zostać zachowane w całości, by potem On - nie Hickey, mat uszczelniać, lecz nadprzyrodzona istota, w którą się zamienił - mógł przywrócić go kiedyś do życia.

Nagle, niemal od niechcenia, potwór odgryzł głowę Magnusa.

Towarzyszący temu chrzęst był tak przerażający, że Hickey zakryłby uszy, gdyby tylko zdołał oderwać ręce od nadburci. Nie mógł nimi poruszyć.

Monstrum machnęło olbrzymią łapą i uderzyło nią prosto w pierś trupa - klatka piersiowa i kręgosłup marynarza eksplodowały deszczem białych odłamków kości. Hickey zdał sobie sprawę, że potwór nie złamał kości Magnusa, tak jak ten łamał niegdyś kręgosłupy i żebra mniejszych od siebie mężczyzn - on po prostu rozbił go tak, jak człowiek rozbiłby szklaną butelkę lub porcelanową lalkę.

Szuka duszy, którą mógłby pożreć, pomyślał Hickey, choć nie miał pojęcia, skąd ta myśl przyszła mu do głowy.

Hickey nie mógł poruszyć głową, musiał więc patrzeć, jak monstrum wyjada wnętrzności Magnusa Mansona i rozgniata je wielkimi zębami, podobnie jak niegdyś Hickey rozgryzał drobiny lodu. Potem potwór oderwał zamrożone mięso i skórę od kości Magnusa, połamał kości i wyssał z nich szpik, a później rzucił je z powrotem na łódź. Wiatr znów przybrał na sile i owiewał łódź wraz z saniami, zawodząc przy tym żałośnie. Hickey wyobraził sobie boga z najgłębszych czeluści piekła, okrytego białym futrem i grającego na kościanym flecie. Potem potwór zwrócił się ku niemu.

Najpierw opadł na cztery łapy, znikając mu z oczu - co było w pewnym sensie bardziej przerażające niż jego pełny obraz - po czym wyrósł nagle obok łodzi, niczym wał lodowy,

przesłaniając Hickeyowi niemal cały świat. Jego czarne, nieruchome i nieludzkie oczy znalazły się o kilka cali przed oczami mata. Gorący oddech potwora owionął jego twarz.

- Och - jęknął słabo Cornelius Hickey.

Było to ostatnie słowo, jakie Hickey wypowiedział w swym życiu, a właściwie nie słowo, lecz długi, pełen bezbrzeżnego przerażenia jęk. Hickey czuł, jak ostatni oddech opuszcza jego ciało, wypływa z jego piersi, przesuwa się przez gardło i wylatuje z ust, przeciskając się między zębami, natychmiast jednak uświadomił sobie, że to nie oddech, lecz jego duch, nieśmiertelna dusza.

Potwór wchłonął ją.

Nagle jednak monstrum parsknęło, sapnęło i cofnęło się o krok, trzęsąc łbem, jakby połknęło niechcący coś wyjątkowo niesmacznego. Opadło na cztery łapy i zniknęło z oczu Corneliusa Hickeya na zawsze.

Wszystko zniknęło z oczu Corneliusa Hickeya na zawsze. Gwiazdy zstąpiły z nieba i przylgnęły do jego nieruchomych oczu niczym kryształy. Kruk opadł na niego niczym ciemność i pożarł to, czego *Tuunbaq* nie chciał nawet tknąć. W końcu martwe oczy Hickeya popękały z zimna, on jednak niczego już nie czuł.

Jego ciało siedziało nieruchomo na rufie, obok szeroko rozstawionych nóg leżała sterta złotych zegarków i ubrań, które zabrał zmarłym. Okryte rękawicami dłonie mata przymarzły do nadburci, zamrożnięte palce prawej ręki zastygły zaledwie kilka cali od naładowanej strzelby.

Następnego ranka, tuż przed świtem, nad Wyspę Króla Williama dotarł front burzowy. Znów rozszalały się śnieżyce, śnieg padający przez cały dzień i noc wypełnił otwarte usta Hickeya, przykrył jego płaszcz, zastygłą w grymasie przerażenia twarz i popękane, wpatrzone w nicość oczy puszystym białym całunem.

CROZIER

Piękno bycia martwym, o czym teraz już wie, polega na tym, że nie czuje się bólu i zapomina o własnym ja.

Śmierć, o czym teraz już wie, niesie jednak ze sobą coś, czego zawsze się obawiał, i co powstrzymywało go przed próbami samounicestwienia - sny.

Stan ten jednak ma taką zaletę, że sny, które śni pogrążony w martwocie śmierci człowiek, nie są jego własnymi snami.

Crozier unosi się w tym ciepłym, łagodnie falującym morzu niebytu i słucha nie swoich snów.

Gdyby chociaż drobny fragment jego analitycznego umysłu przetrwał ową śmiertelną przemianę, stary Francis Crozier mógłby się zastanawiać, co właściwie oznacza „słuchanie snów”, choć prawdą było, że owe sny bardziej przypominały słuchanie pieśni śpiewanej przez innego człowieka - pieśni pozbawionej słów i muzyki - niż „widzenie” snów, którego doświadczał jako żywy człowiek. Choć i te sny zawierają widzialne obrazy, kształty i kolory, nie przypominają niczego, co widział po drugiej stronie zasłony śmierci, i poddają się całkowicie tej bezgłośnej opowieści, która wypełnia jego duszę.

Opowieść mówi o pięknej eskimoskiej dziewczynie o imieniu Sedna. Sedna mieszka ze swym ojcem w lodowym domu, daleko na północ od osad innych Eskimosów. Wieść o niezwykłej urodzie dziewczyny roznosi się szeroko, a liczni młodzieńcy wędrują przez lodowe kry i jałową ziemię, by złożyć pokłon jej siwowłosemu ojcu i zabiegać o jej względy.

Żaden z zalotników nie budzi jej zachwyty, kiedy więc nadchodzi wiosna i gdy pęka lód, Sedna wędruje samotnie na krę, by uciec przed chmarą adoratorów.

Ponieważ dzieje się to w czasie, kiedy zwierzęta mówią jeszcze ludzkim głosem, nad lód nadlatuje ptak, który uwodzi Sednę swą pieśnią. „Chodź ze mną do krainy ptaków, gdzie wszystko jest tak piękne, jak moja pieśń - śpiewa. - Chodź ze mną do krainy ptaków, gdzie nie ma głodu, gdzie zamieszkas w namiocie z najpiękniejszych skór karibu, gdzie będziesz leżeć na najdelikatniejszych futrach, gdzie twoja lampa zawsze napełniona będzie olejem. Moi przyjaciele i ja przyniesiemy ci wszystko, czego tylko zapragnie twoje serce, i od tej pory będziesz chodziła okryta naszymi najlepszymi i najpiękniejszymi piórami”.

Sedna daje wiarę słowom ptasiego zalotnika, poślubia go zgodnie z tradycją Prawdziwych Ludzi i wędruje wraz z nim przez morze i lód do dalekiej krainy ptasiego ludu.

Ale ptak skłamał.

Ich dom nie jest uszyty z najlepszych skór karibu; jest stary i połatany, obrzucony śmierdzącymi rybami truchłami. Wiatr hula po jego wnętrzu i śmieje się z jej naiwności.

Nie śpi na delikatnych niedźwiedzich futrach, lecz na starej skórze morsa. W jej lampie nie ma oleju. Inni ludzie-ptaki ignorują ją i musi chodzić w tym samych ubraniach, w których poślubiła swego męża. Jej wybranek przynosi jej do jedzenia tylko zimne ryby.

Sedna powtarza swemu nieczulemu mężowi, że tęskni za swoim ojcem, w końcu więc ptak pozwala mu przybyć do niej z wizytą. Starzec musi podróżować przez wiele dni w swej kruchej łodzi, by do niej dotrzeć.

Kiedy przybywa wreszcie na miejsce, Sedna udaje, że jest szczęśliwa, dopóki nie zostają sami w ciemnym, śmierdzącym namiocie. Wtedy wybucha płaczem i opowiada ojcu o tym, jak źle traktuje ją jej nowy mąż, i o wszystkim, co straciła - młodość, urodę, szczęście - poślubiając ptaka zamiast jednego z młodych mężczyzn spośród Prawdziwych Ludzi.

Ojciec Sedny jest przerażony i układa wraz z nią zuchwały plan. Nazajutrz, kiedy ptak-mąż dziewczyny wraca do niej z zimną rybą na śniadanie, Sedna i jej ojciec zabijają go. Potem oboje uciekają z krainy ludzi-ptaków.

Przez wiele dni żeglują na południe, w stronę krainy Prawdziwych Ludzi, kiedy jednak rodzina i przyjaciele jej męża znajdują go martwego, napelnieni gniewem wzbijają się w powietrze i lecą na południe z trzepotem skrzydeł, który słychać tysiące mil dalej, w domach Prawdziwych Ludzi.

Tysiące ptaków w ciągu kilku minut pokonują odległość, którą Sedna i jej ojciec przepłynęli przez cały tydzień. Spadają na małą łódź niczym rozgniewana chmura dziobów, szponów i piór. Trzepot ich skrzydeł wzniesca ogromne fale i straszliwy sztorm, który w każdej chwili może przewrócić łódkę.

Ojciec Sedny postanawia złożyć ptakom ofiarę ze swej córki i wyrzucają za burtę.

Sedna zaciska dłonie na burcie i trzyma się jej mocno.

Ojciec wyjmuje nóż i przecina pierwsze stawy palców Sedny. Gdy kawałki palców wpadają do morza, zamieniają się w pierwsze wieloryby. Paznokcie stają się białymi fiszbinami, które można znaleźć na plażach.

Sedna jednak wciąż trzyma się łodzi. Ojciec ucina jej palce w drugim stawie.

Kiedy te części palców wpadają do morza, zamieniają się w foki.

Sedna wciąż zaciska dłonie na burcie. Gdy przerażony ojciec odcina ostatnie fragmenty jej palców, te spadają na przepływającą obok krę, a potem do wody i zamieniają się w morsy.

Pozbawiona palców Sedna wpada w końcu do morza i opada na samo jego dno. Mieszka tam po dziś dzień.

To właśnie Sedna jest panią wszystkich wielorybów, morsów i fok. Jeśli jest zadowolona z Prawdziwych Ludzi, posyła do nich te zwierzęta i mówi im, by pozwoliły się złapać i zabić. Jeśli jest niezadowolona, zatrzymuje wszystkie wieloryby, foki i morsy przy sobie, w głębi morza, a Prawdziwi Ludzie cierpią i głodują.

A cóż to, u diabła? - myśli Francis Crozier. To jego własny głos przerywa powolną opowieść śmiertelnego snu.

Ból w jednej chwili ogarnia całe jego śmiertelne ciało, jakby czekał tylko na to wezwanie.

CROZIER

Moi ludzie! - krzyczy. Jest jednak zbyt słaby, by to wykrzyczeć. Jest zbyt słaby, by powiedzieć to głośno. Jest nawet zbyt słaby, by pamiętać, co znaczą te trzy sylaby. Moi ludzie! - krzyczy ponownie, choć z jego ust wydobywa się tylko jęk.

Ona go torturuje.

Crozier nie budzi się od razu, lecz odzyskuje świadomość powoli, krok po kroku, próbując unieść ciężkie powieki, łącząc ze sobą poszarpane fragmenty świadomości rozrzucone na przestrzeni wielu godzin i dni, wypychany z otchłani snu przez ból i dwa pozbawione znaczenia słowa - moi ludzie! - aż w końcu jest na tyle przytomny, by przypomnieć sobie, kim jest, by zobaczyć, gdzie jest, i uświadomić sobie, kto mu towarzyszy.

Ona go torturuje.

Eskimoska dziewczyna, którą znał jako lady Ciszę, kroi jego piersi, ręce, bok, plecy i nogę ostrym, rozgrzanym nożem. Każdy jej ruch niesie straszliwy, nieznośny ból.

Leży obok niej w jakimś małym pomieszczeniu - nie w lodowym domku, jaki opisywał John Irving, lecz w namiocie ze skór ułożonych na zakrzywionych kijach lub kościach. Płomienie kilku lamp olejowych oświetlają nagi tułów dziewczyny oraz jego własne okrwawione piersi, ramiona i brzuch. Crozier spogląda na swe zmaltretowane ciało i myśli, że dziewczyna kroi go na wąskie pasy.

Crozier próbuje wrzasnąć, przekonuje się jednak szybko, że jest zbyt słaby, by wydać z siebie krzyk. Próbuje odtrącić jej rękę i nóż, ale jest zbyt słaby, by poruszyć jakąkolwiek częścią ciała.

Jej brązowe oczy wpatrują się przez chwilę w jego twarz, a potem wracają do miejsca, gdzie nóż kroi go na kawałki, tnie i torturuje.

Crozier wydaje z siebie cichy jęk. Potem zapada w ciemność, nie wraca jednak do przyjemnego stanu niebytu i snów, które ledwie teraz pamięta, lecz do wzburzonego czarnego morza bólu.

Karmi go jakąś zupą z puszek po jedzeniu Goldnera, którą musiała zabrać z *Terroru*. Zupa smakuje jak krew jakiegoś zwierzęcia. Potem odcina kawałki foczego mięsa i tłuszczu, posługując się dziwnym zakrzywionym nożem o kościanej rękojeści, trzymając płat foczego mięsa w zębach i przesuwając ostrze tuż przy ustach. Przeżuwa dobrze odcięty kawałek, a potem wsuwa miękką papkę między popękane i pokrwawione wargi Croziera. Komandor próbuje je wypluć - nie chce, by karmiono go jak pisklę - ona jednak podnosi każdy odrzucony kęs i wsuwa mu ponownie do ust. Pokonany, niezdolny do walki, znajduje w sobie dość energii, by przeżuć pożywienie i je połknąć.

Potem, kołysany do snu wyciem wiatru, zasypia, szybko się jednak budzi. Uświadamia sobie, że leży zupełnie nagi między futrami - jego ubrania zniknęły - i że lady Ciska przetoczyła go teraz na plecy, ułożywszy wcześniej pod jego ciałem miękką foczą skórę, by krew nie pobrudziła futer przykrywających podłogę. Tnie i dźga jego plecy długim prostym ostrzem.

Zbyt słaby, by stawiać opór, Crozier pojękuje tylko cicho. Wyobraża sobie, jak lady Ciska kroi go na kawałki, a potem gotuje i zjada. Czuje, jak wciska pasma czegoś wilgotnego i śliskiego w liczne rany na jego plecach.

Mimo dojmującego bólu wkrótce zasypia ponownie.

Moi ludzie!

Dopiero po kilku dniach bólu i krótkich przeblysków świadomości, podczas których dochodzi

do wniosku, że lady Ciska kroi go na kawałki, Crozier przypomina sobie, że został postrzelony.

Budzi się w mroku, rozpraszany jedynie przez blask księżyca lub gwiazd, który sączy się przez mocno naciągnięte skórzane ściany namiotu. Eskimoska dziewczyna śpi obok niego, dzieląc się z nim ciepłem swego ciała. Oboje są nadzy. Crozier nie czuje jednak pożądania, jest zbyt obolały. Chce tylko, by było mu ciepło.

Moi ludzie! Muszę wrócić do moich ludzi! Ostrzec ich!

Po raz pierwszy przypomina sobie Hickeya, blask księżyca, strzały.

Ręka Croziera leży na jego piersiach. Zebrawszy siły, Crozier przesuwa dłoń wyżej, do miejsca, gdzie śruciny uderzyły w jego pierś i ramię. Górna lewa część jego tułowia pokryta jest w całości bolesnym obrzękiem i ranami, wydaje się jednak, że śruciny i fragmenty ubrań, które mogły wnikać w jego ciało, zostały starannie usunięte. W większych ranach tkwi jakaś substancja przypominająca wilgotny mech lub wodorosty. Crozier najchętniej wydłubałby je i wyrzucił, nie ma jednak siły, by to zrobić.

Górna część pleców boli go jeszcze bardziej niż poranione piersi. Crozier przypomina sobie, jak lady Ciska wbijała tam nóż, zadając mu bolesne tortury. Przypomina sobie również miękki, wilgotny dźwięk, który nastąpił tuż po tym, jak Hickey pociągnął za spust, i tuż przed tym, jak eksplodowały ładunki w strzelbie - proch w ładunkach był stary i wilgotny, dzięki czemu oba strzały miały znacznie mniejszą siłę, niż powinny. Pamięta też, jak chmura śrucin obróciła go w miejscu i rzuciła na lód. Został postrzelony ze strzelby dwukrotnie, raz z przodu i raz z tyłu.

Czy ta eskimoska dziewczyna wydłubała wszystkie śruciny? Wszystkie skrawki brudnych ubrań?

Crozier mruga oczami w ciemnościach. Przypomina sobie, jak podczas jednej z jego wizyt w izbie chorych doktor Goodsir tłumaczył mu cierpliwie, że bardzo często marynarze ranni w walce umierają nie od samych ran, lecz od zakażenia, które wdaje się później w te rany.

Crozier przesuwa powoli dłoń z piersi na ramię. Pamięta już, że postrzeliwszy go ze strzelby, Hickey oddał doń później kilka strzałów z jego własnego rewolweru, a pierwszy pocisk trafił... tutaj. Crozier syczy z bólu, kiedy jego palce natykają na głęboką bruzdę w bicepsie. Rana wypełniona jest wilgotną, śliską substancją. Dojmujący ból przyprawia go o zawroty głowy i mdłości.

Odnajduje drugi ślad po kuli, na lewym żebrze. Tym razem ból jest tak silny, że Crozier traci na moment przytomność.

Odzyskawszy świadomość, Crozier uzmysławia sobie, że Ciska wydobyła kulę także z tej rany i opatrzyła ją tym samym pogańskim okładem, którym okryła niemal całe jego ciało. Ból, który czuje przy każdym oddechu, i bolesna opuchlizna na plecach świadczą o tym, że kula prawdopodobnie złamała co najmniej jedno żebro, zmieniła kierunek i utkwiała pod skórą, obok lewej łopatki. Ciska musiała ją stamtąd wyjąć.

Zmuszając się do nadludzkiego niemal wysiłku, powoli przesuwa rękę w dół, by dotknąć najboleśniej rany.

Crozier nie pamięta, jak został postrzelony w lewą nogę, lecz ból przenikający mięsień tuż nad i tuż pod kolaniem mówi mu, że trzecia kula musiała przejść właśnie tamtędy. Czuje pod drżącymi palcami zarówno otwór wlotowy, jak i wylotowy. Dwa cale wyżej, a straciłby kolano, straciwszy zaś kolano, straciłby całą nogę, a tym samym i życie. Ta rana także wypełniona jest miękką i wilgotną substancją. Choć wyczuwa pod palcami strupy, nie wydaje się, by z rany wypływała jeszcze świeża krew.

Nic dziwnego, że jestem taki rozpalony. W którąś ranę musiało wdać się zakażenie, stąd gorączka. Niedługo umrę.

Później uświadamia sobie, że choć jest mu gorąco, wcale nie musi mieć gorączki. Futra doskonale chronią przed zimnem, a leżące obok niego nagie ciało lady Cisy rozgrzewa go tak skutecznie, że jest mu naprawdę ciepło po raz pierwszy od... jak dawna? Miesiące? Lat?

Crozier podejmuje kolejny wysiłek i odchyła nieco skraj okrywającego ich futra, wpuszczając pod nie odrobinę chłodniejszego powietrza.

Cisza porusza się przez sen. Przypatrując się jej nagiemu ciału, Crozier myśli, że wygląda jak dziecko - być może jak jedna z nastoletnich córek jego kuzyna Alberta.

Wspominając kuzyna Alberta i partie krokietu rozgrywane na zielonym trawniku w Dublinie, Crozier ponownie zapada w sen.

Lady Cisza, ubrana w futrzaną kurtkę, klęczy przed nim. W dłoniach rozsuniętych na odległość stopy trzyma sznurek spleciony ze zwierzęcych ścięgien lub jelit, który przesuwają się między jej palcami. Bawi się w kocią kołyskę, dziecięcą zabawę ze sznurkiem.

Crozier przygląda się temu tępym wzrokiem.

W sieci krzyżujących się ze sobą odcinków sznurka pojawiają się raz za razem dwa wzory. Pierwszy składa się z dwóch trójkątów zawieszonych u góry obrazu, tuż przy kciukach dziewczyny, pod którymi znajduje się podwójna pętla w kształcie spiczastej kopuły. Drugi wzór to skomplikowana podwójna pętla, która przypomina postać o czterech owalnych nogach lub płetwach i okrągłej głowie.

Crozier nie ma pojęcia, co mogą oznaczać te symbole. Powoli kręci głową, dając jej do zrozumienia, że nie chce się w to bawić.

Cisza wpatruje się weń przez chwilę, patrzy mu prosto w oczy. Potem rozplata cały wzór jednym zręcznym ruchem drobnych dłoni i odkłada sznurek do kościanej miski, z której Crozier pije zupę. Sekundę później wysuwa się na zewnątrz, rozchylając na moment poły namiotu.

Orzeźwiony podmuchem lodowatego powietrza, Crozier próbuje podczołgać się do wyjścia. Musi się dowiedzieć, gdzie jest. Nieustanne pojękiwania i trzaski świadczą o tym, że wciąż znajdują się na lodzie - być może bardzo blisko miejsca, w którym został postrzelony. Crozier nie ma pojęcia, ile czasu minęło od chwili, gdy Hickey wciągnął w zasadzkę ich czwórkę - jego samego, Goodsira i biednych Lane'a i Goddarda - ma jednak nadzieję, że było to zaledwie kilka godzin, a co najwyżej dzień lub dwa. Jeśli ruszy teraz w drogę, być może uda mu się ostrzec ludzi w obozie ratunkowym, nim Hickey, Manson, Thompson i Aylmore wyrządzą jeszcze więcej szkód.

Crozier może unieść głowę i ramiona, ale jest o wiele za słaby, by wysunąć się spomiędzy futer, nie mówiąc już o doczołganiu się do wyjścia z namiotu. Ponownie zapada w sen.

Jakiś czas później - nie jest nawet pewien, czy to ten sam dzień, czy też Cisza wielokrotnie wychodziła i wracała, kiedy on spał - Cisza budzi go delikatnie. We wnętrzu namiotu wciąż płonie kilka lampek na foczy olej. W zagłębieniu wydrążonym w lodowej podłodze, które służy Cisie za spiżarkę, leży zapas świeżego foczego mięsa. Crozier widzi, że Eskimoska zdjęła kurtkę i ubrana jest tylko w krótkie spodnie z futra odwróconego włosem do wewnątrz. Zewnętrzna warstwa zwierzęcej skóry jest jaśniejsza niż brązowa karnacja Cisy. Piersi dziewczyny kołyszą się lekko, kiedy klęka przed Crozierem.

Nagle między jej palcami znów pojawia się sznurek. Tym razem układa się najpierw we wzór przypominający jakieś zwierzę, później zaś znów ukazuje spiczastą kopułę.

Crozier kręci głową. Nie rozumie.

Cisza wrzuca sznurek do miski, bierze do ręki ostry, zakrzywiony nóż z kościaną rękojeścią i zaczyna kroić płät świeżego mięsa.

- Muszę odnaleźć moich ludzi - szepcze Crozier. - Musisz pomóc mi znaleźć moich ludzi.

Cisza przygląda mu się tylko.

Komandor nie wie, ile dni upłynęło, odkąd po raz pierwszy odzyskał świadomość. Wciąż dużo śpi. Kiedy jest przytomny, zajmuje się głównie jedzeniem zupy i foczego mięsa oraz tłuszczu - Cisza co prawda nie przeżuwa już jego jedzenia, nadal jednak karmi go jak dziecko - poddaje się też zabiegom Eskimoski, która zmienia mu opatrunki i czyści go. Crozier czuje się zażenowany i zawstydzony faktem, że musi załatwiać swe podstawowe potrzeby do puszek ustawionych w zagłębieniu w lodzie i że to właśnie ta dziewczyna musi wynosić ją na zewnątrz i opróżniać. Wcale nie pociesza go fakt, że zawartość puszek błyskawicznie zamarza i że jej zapach jest praktycznie niewyczuwalny w namiocie, który śmierdzi rybami, foczym mięsem i ich własnym potem.

- Musisz pomóc mi wrócić do moich ludzi - chrypi ponownie. Czuje, że wciąż są blisko połyni, przy której napadł na nich Hickey - nie dalej niż dwie mile od obozu ratunkowego.

Musi ostrzec innych.

Niepokoi go fakt, że za każdym razem, gdy się budzi, przez ściany namiotu sączy się to samo blade światło. Być może z jakiegoś dziwnego powodu, który mógłby wyjaśnić tylko doktor Goodsir, budzi się tylko w nocy. Przypuszczalnie Cisza dodaje mu do zupy z foczej krwi jakiś środek, który usypia go w ciągu dnia. Zapewne chce w ten sposób powstrzymać go od ucieczki.

- Proszę - szepcze. Może tylko łudzić się nadzieją, że pomimo swej ułomności dzikuska nauczyła się choć trochę angielskiego podczas pobytu na HMS *Terror*. Goodsir stwierdził ponad wszelką wątpliwość, że choć lady Cisza nie ma języka, normalnie słyszy, Crozier widział zresztą kiedyś, jak poderwała się, wystraszona jakimś nagłym hałasem na statku.

Cisza wciąż tylko patrzy na niego.

Głupia dzikuska, myśli Crozier. Prędejkę go piekło pochłonie, niż jeszcze raz poprosi tę poganekę o pomoc. Będzie jadł i zbierał siły, aż pewnego dnia odepchnie ją na bok i sam pójdzie do obozu.

Cisza mruga i odwraca się, by usmażyć kawałek foczego mięsa nad piecykiem opalonym foczym tłuszczem.

Crozier budzi się kolejnego dnia - a raczej kolejnej nocy, gdyż jak zwykle na zewnątrz jest ciemno - i widzi przed sobą Ciszę, która znów układa między dłońmi różne wzory ze sznurka.

Pierwszy ponownie ukazuje zarys spiczastej kopuły. Palce dziewczyny poruszają się z niezwykłą zręcznością. Crozier znów widzi dwa pionowe kształty, tym razem jednak mają one dwie nogi lub pletwy, a nie cztery. Cisza rozkłada szerzej ręce, a zawieszone między nimi kształty poruszają się - idą od lewej do prawej dłoni, przebierając pękatymi nogami. Zmienia ułożenie palców i sznurka, a pośrodku ruchomego obrazu znów pojawia się kopuła. Crozier uświadamia sobie, że tym razem ma ona nieco inny kształt, łagodniejszy, podobny do tego, jaki przyjmuje sznur zawieszony luźno między dwoma punktami.

Kręci głową.

- Nie rozumiem - chrypi. - Ta zabawa nie ma dla mnie sensu. Cisza spogląda na niego, rzuca sznurek na bok i zaczyna wyciągać go spod futer.

Crozier wciąż nie ma siły, by się opierać, nie stara się jednak również pomagać młodej Eskimosce. Cisza sadza go prosto i wkłada na jego tułów lekką koszulkę ze skóry karibu, a potem grubą futrzaną kurtkę. Crozier nie może uwierzyć, że ubrania są takie lekkie - warstwy bawełny i wełny, które nosił na zewnątrz przez ostatnie trzy lata, ważyły ponad trzydzieści funtów, nim jeszcze nasiąknęły potem, a to eskimoskie okrycie ważyło na pewno nie więcej niż osiem funtów. Czuje, że

obie warstwy leżą luźno na jego tułowiu, lecz jednocześnie szczelnie opinają szyję i nadgarstki - miejsca, gdzie ciepło mogłoby uciekać na zewnątrz.

Zawstydzony Crozier próbuje pomóc w naciąganiu lekkich spodni ze skóry karibu - większej wersji krótkich spodni, które Ciska nosi w namiocie - a potem wysokich pończoch, również ze skóry karibu, jednak jego niezdarne palce nie mogą sobie z tym poradzić. Ciska odpycha jego ręce i kończy go ubierać z bezosobową sprawnością znaną tylko matkom i pielęgniarkom.

Crozier przygląda się, jak Ciska wkłada na jego stopy nakładki splecione z trawy, które mają zapewne chronić go przed zimnem. Crozier nie próbuje nawet wyobrazić sobie, ile czasu zajęło Ciszcy - lub jakiejś innej kobiecie - splecenie trawy w tak wysokie, obcisłe skarpety. Futrzane buty, które wkłada mu potem Ciska, zachodzą na pończochy i spodnie. Crozier zauważa, że podeszwy butów wykonane są z wyjątkowo grubej i twardej skóry.

Jakiś czas wcześniej, gdy odzyskiwał już powoli pełną świadomość, nie mógł się nadziwić obfitości ubrań, kurtek, futer, skór, naczyń, lamp olejowych wykonanych z czegoś, co przypominało steatyt, noży i innych narzędzi, szybko jednak zrozumiał oczywistą prawdę: to lady Ciska zabrała rzeczy ośmiu Eskimosów zabitych przez poruczników Hodgsona i Farra. Pozostałe materiały - puszki Goldnera, łyżki, dodatkowe noże, kawałki drewna i kości słoniowej, a nawet klepki z beczek, które tworzyły teraz szkielet namiotu - pochodziły zapewne z *Terroru* lub Obozu *Terror*.

Kiedy jest już ubrany, Crozier opada na łokieć i dyszy ciężko.

- Zabierasz mnie teraz do moich ludzi? - pyta.

Ciska naciąga rękawice na jego dłonie, wkłada mu kaptur na głowę, po czym chwytając za niedźwiedzią skórę, na której leży jego ciało, i wyciąga go na zewnątrz.

Lodowate powietrze uderza w płuca Croziera i przyprawia go o atak kaszlu, po chwili jednak Irlandczyk uświadamia sobie, że poza tym jest mu zdumiewająco ciepło, niemal gorąco. Ciepło jego ciała opływa skórę, zamkniętą pod nieprzenikliwym ubraniem. Ciska krząda się koło niego przez chwilę - podciąga go w górę i sadza na stercie zwiniętych futer. Crozier domyśla się, że Eskimoska nie chce, by leżał na lodzie, nawet na futrze, kiedy bowiem siedzi, powietrze uwięzione pod tym dziwnym eskimoskim ubraniem krąży swobodniej wokół jego ciała i skuteczniej je ogrzewa.

Jakby na potwierdzenie tej teorii Ciska zwija niedźwiedzie futro i kładzie je na stercie sąsiadującej z tą, na której siedzi Crozier. Irlandczyk nie może się nadziwić, że zimno ani wilgoć wciąż nie docierają do jego stóp okrytych skarpetami z trawy i futrzanymi butami - przez minione trzy lata jego stopy zawsze były zmarznięte i wilgotne.

Kiedy Ciska zaczyna składać namiot kilkoma energicznymi, pewnymi ruchami, Crozier rozgląda się dookoła.

Jest noc. Dlaczego wyciągnęła mnie tutaj w nocy? Coś się stało? Namiot, w którym spędzili ostatnie dni, stoi, jak już wcześniej się domyślił, na lodzie, między serakami, górami lodowymi i wałami, w których odbija się blask nielicznych gwiazd migocących między chmurami. Crozier dostrzega ciemną połyńnię odległą nie więcej niż trzydzieści stóp od miejsca, w którym znajdował się ich namiot, a jego serce zaczyna nagle bić szybciej. *Nie odeszliśmy od miejsca, w którym Hickey mnie postrzelił. Jesteśmy nie dalej niż dwie mile od obozu ratunkowego. Wiem, jak tam dojść.*

Potem uświadamia sobie, że ta połyńnia jest znacznie mniejsza od połyńni, do której doprowadził ich Robert Golding - ma zaledwie osiem stóp długości i cztery szerokości. Pobliskie góry lodowe również nie wyglądają tak, jak powinny. Są znacznie wyższe i znacznie liczniejsze niż te w pobliżu zasadzki Hickeya. Wyższe są też wały lodowe.

Crozier spogląda na niebo i prześwitujące między chmurami gwiazdy. Gdyby chmury rozstały się na chwilę i gdyby miał sekstans i tabele, mógłby ustalić ich pozycję.

Gdyby... gdyby... mógłby.

Jedyny znajomy fragment nieboskłonu, który udaje mu się dojrzeć, wygląda raczej jak zimowa konstelacja, a nie gwiazdozbiór obecny w tej części nieba w drugiej połowie sierpnia. Wie, że został postrzelony w nocy 17 sierpnia - zdążył już dokonać codziennego wpisu w dzienniku pokładowym, nim do obozu przybiegł Robert Golding - i nie wyobraża sobie nawet, by od tego czasu upłynęło więcej niż kilka dni.

Spogląda z coraz większym przestachem na horyzont, szukając tam bladej poświaty świadczącej o niedawnym zachodzie słońca lub zbliżającym się wschodzie. Widzi tylko lodową pustynię, ciemność i kilka migoczących gwiazd.

Jezu Chryste... gdzie jest słońce?

Nie jest mu zimno, trzęsie się jednak tak gwałtownie, że musi przytrzymać się sterty futer, by nie spaść na lód. Lady Cisza robi coś bardzo dziwnego.

Złożyła już namiot kilkoma sprawnymi ruchami - nawet w nikłym świetle gwiazd Crozier widzi, że zewnętrzna warstwa poszycia wykonana jest z foczych skór - a teraz klęczy na płachcie foczej skóry i przecina ją na pół.

Potem ciągnie obie połówki skóry do połyni i pomagając sobie zakrzywionym patykiem, zanurza je w wodzie. Powróciwszy do miejsca, gdzie przed chwilą stał namiot, wyciąga z wyciętego w lodzie otworu zamrożone ryby i układa je w równym rzędku, jedną za drugą, wzdłuż boku każdej z zamarzających w szybkim tempie połówek foczej skóry.

Crozier nie ma pojęcia, co wyczynia eskimoska wiedźma. Wygląda to tak, jakby odprawiała jakiś pogański rytuał. Croziera martwi jednak co innego; Cisza pocięła skórzane poszycie namiotu. Nawet jeśli odbuduje szkielet i okryje go skórą, rozszczelnione poszycie nie zatrzyma już zimna i wiatru.

Tymczasem Cisza zwija ciasno obie połówki skóry wokół ułożonych w rzędku ryb, naciągając je co jakiś czas, by rulony były jeszcze ciaśniejsze. Crozier zauważa z rozbawieniem, że z jednego i drugiego zwoju wystaje połowa ryby, i że Cisza wygina owe połówki lekko do góry.

Dwie minut później podnosi oba rulony - każdy z nich, zamrożony na kamień, przypomina teraz długą na siedem stóp dębową deskę zakończoną wygiętą rybią głową - i układa je, jeden obok drugiego, na lodzie.

Następnie układa na lodzie mały kawałek skóry, klęka na nim i kawałkami ścięgien i rzemyków przywiązuje do rulonów rogi karibu i klepki z beczek, łącząc je w ten sposób w jedną całość.

- Matko Boska... - szepcze Crozier. *Zamrożone ryby owinięte foczą skórą to płozy. Rogi i klepki to łączące je poprzeczki.* - Budujesz sanie - chrypi.

Jego oddech zawisa przed nim w postaci obłoczku lodowych kryształków, zamieniając rozbawienie w paniczny strach. *W połowie sierpnia nigdy nie było tak zimno, nawet w środku nocy.*

Crozier przypuszcza, że zbudowanie niezwykłych sań zajęło lady Ciszy nie więcej niż godzinę, teraz jednak siedzi na stercie futer przez kolejne półtorej godziny, może więcej - bez zegarka trudno ocenić mu upływ czasu, tym bardziej że co chwila zapada w lekki sen - podczas gdy Eskimoska pracuje nad płozami.

Najpierw wyjmuje z płóciennej torby, którą zabrała zapewne z *Terroru*, coś, co wygląda jak mieszanka błota i mchu. Potem przynosi w puszcze Goldnera wodę z połyni, lepi z błota i mchu kulki wielkości pięści, a następnie kładzie je na płozach, rozgniata i rozsmarowuje gołymi dłońmi. Crozier nie ma pojęcia, dlaczego nie odmraża sobie przy tym rąk, nawet jeśli od czasu do czasu chowa je pod kurtkę i rozgrzewa na własnym ciele.

Cisza wygładza zamrożnięte błoto nożem, wyrównuje starannie niczym rzeźbiarz swe dzieło. Potem znów przynosi z polyni wodę i polewa nią warstwę błota, tworząc lodową powłokę. Wreszcie nabiera wody do ust, spryskuje nią kawałek niedźwiedziego futra i pociera wilgotnym skrawkiem zamrożnięte błoto na całej długości każdej z płóz, aż warstwa lodu staje się idealnie gładka. W świetle gwiazd wydaje się, że powierzchnia odwróconych płóz - które dwie godziny wcześniej były tylko stertą ryb i kawałkiem foczej skóry - pokryta jest szkłem.

Cisza stawia sanie na gotowych już płozach, sprawdza jeszcze raz wszystkie węzły łączące poprzeczki z drewna i kości i mocuje z tyłu sań dwa dodatkowe kabłąki z długich, zakrzywionych kawałków rogów karibu.

Potem kładzie na poprzeczkach kilka warstw foczych skór i niedźwiedzych futer, podchodzi do Croziera, podnosi go i prowadzi do sań. Crozier odtrąca jej rękę i próbuje iść sam.

Nie pamięta, kiedy i jak upadł w śnieg, odzyskuje jednak świadomość, gdy Cisza układa go na saniach, prostuje mu nogi i opiera go plecami o stertę skór ułożonych pod tylnym kabłąkiem, a na końcu okrywa kilkoma warstwami grubych futer.

Crozier widzi teraz, że Eskimoska przywiązała do przedniej części sań kilka pasów skóry i połączyła ich końce ze sobą, tworząc uprząż oplatającą ją w pasie. Irlandczyk przypomina sobie jej zabawy ze sznurkiem i domyśla się wreszcie, co chciała mu powiedzieć - złożony namiot (spiczasty owal), ich dwoje wędrujących przez lód (dwie maszerujące postaci, choć tej nocy Crozier z pewnością nigdzie by nie doszedł o własnych siłach) do innego owalu. (Namiot w kształcie kopuły? Lodowy domek?).

Kiedy wszystko jest już spakowane - dodatkowe futra, płóciennne torby, owinięte w skóry naczynia i lampy leżą na Crozierze i wokół niego - Cisza wsuwa się w uprząż i zaczyna ciągnąć sanie po lodzie.

Płozy ślizgają się gładko po twardej powierzchni, znacznie ciszej i łatwiej niż wielkie sanie z *Terroru* i *Erebusa*. Crozier uświadamia sobie ze zdumieniem, że wciąż jest mu ciepło; choć przez ponad dwie godziny siedział nieruchomo na lodzie, w ogóle nie zmarzł, było mu jedynie trochę zimno w czubek nosa.

Niebo zakrywa gęsta warstwa chmur. Nad horyzontem zalegają ciemności, nie zanosi się na to, by wkrótce na niebo miało wypłynąć słońce. Francis nie ma pojęcia, dokąd zabiera go eskimoska kobieta

- z powrotem na Wyspę Króla Williama? Na południe, na Półwysep Adelajdy? W stronę ujścia Rzeki Backa?

- Moi ludzie - powtarza zachrypniętym głosem. Próbuje przemówić głośniejszym, przekrzyczeć szum wiatru i jęki otaczającego ich lodu.

- Muszę wrócić do moich ludzi. Szukają mnie. Panienko... proszę pani... lady Ciszo, proszę. Na miłość boską, zabierz mnie z powrotem do obozu ratunkowego.

Cisza się nie odwraca. Widzi tylko tył jej kaptura i otaczającą ją kryzę z białego niedźwiedziego futra. Nie ma pojęcia, jak Cisza odnajduje drogę w ciemnościach i jak taka drobna dziewczyna może bez trudu ciągnąć sanie z nim i bagażem.

Suną przez ciemność ku ciągnącej się przed nimi lodowej gęstwinie.

CROZIER

Sedna decyduje o tym, czy wysłać foki na powierzchnię morza, gdzie mogą na nie polować inne zwierzęta i Prawdziwi Ludzie, ale w pewnym sensie to sama foka decyduje o tym, czy pozwoli się zabić, czy też nie.

W jeszcze innym sensie istnieje tylko jedna prawdziwa foka.

Foki, podobnie jak Prawdziwi Ludzie, mają dwa duchy - ducha życia, który umiera wraz z ciałem, i trwałego ducha, który opuszcza ciało w chwili śmierci. Ta nieśmiertelna dusza, tamie, ukrywa się w ciele foki jako maleńki pęcherzyk powietrza i krwi, który można odnaleźć w jej wnętrznościach i który ma taki sam kształt jak foka, choć jest oczywiście znacznie mniejszy.

Kiedy foka umiera, trwały duch opuszcza jej ciało i powraca w dokładnie takiej samej formie w ciele młodej foki, potomka tego zwierzęcia, które postanowiło dać się zabić i zjeść.

Prawdziwi Ludzie wiedzą, że każdy myśliwy będzie w ciągu swego życia wiele razy zabijał tę samą fokę, morsa, niedźwiedzia lub ptaka.

Dokładnie to samo dzieje się z trwałym duchem członka Prawdziwego Ludu, kiedy jego duch życia umiera wraz z ciałem. Inua - trwały duch, nieśmiertelna dusza - przenosi się wraz ze wszystkimi wspomnieniami i umiejętnościami do ciała chłopca lub dziewczynki spokrewnionych ze zmarłym. To jeden z powodów, dla których Prawdziwi Ludzie nigdy nie są surowi dla swych dzieci, choćby były najbardziej nawet niesforne lub niegrzeczne. W ciele każdego dziecka, prócz dziecięcego ducha życia, mieszka inua dorosłego - ojca, wujka, dziadka, pradziadka, matki, ciotki, babki lub prababki wraz z przynależną im mądrością i zdolnościami - którego nie należy ganić.

Foka nie pozwoli się zabić każdemu myśliwemu z Prawdziwego Ludu. Myśliwy musi ją zdobyć, nie tylko dzięki własnej przebiegłości, czujności i sile, ale również dzięki odwadze i wartości swego inua.

Inua - duchy Prawdziwych Ludzi, fok, morsów, niedźwiedzi, karibu, ptaków i wielorybów - istniały nim jeszcze powstała Ziemia, a Ziemia jest bardzo stara.

Podczas pierwszego okresu istnienia wszechświata Ziemia była dyskiem, który unosił się swobodnie pod niebem wspartym na czterech filarach. Pod Ziemią znajdowało się ciemne miejsce, gdzie żyły duchy (i gdzie większość żyje do dziś dnia). Ta pierwsza Ziemia przez większość czasu znajdowała się pod wodą, a na jej powierzchni nie było ani jednej ludzkiej istoty - do czasu gdy z otworu w ziemi wyszło dwóch mężczyzn, Aakulujjuusii i Uumaaniirtua. To właśnie oni zostali pierwszymi Prawdziwymi Ludźmi.

W owym czasie nie było żadnych gwiazd, księżyca ani słońca, potomkowie pierwszych Ludzi musieli więc żyć w całkowitych ciemnościach. Ponieważ nie było wówczas także szamanów, którzy mówiliby im, jak się mają zachowywać, te pierwsze ludzkie istoty miały bardzo małą moc i mogły polować tylko na najmniejsze zwierzęta - zające, pardwy, czasem kruki - i nie wiedziały, jak żyć. Nie mieli ubrań, niektórzy nosili tylko *aanguag*, amulet z pancerza jeżowca.

Wkrótce do mężczyzn dołączyły pierwsze kobiety (w odróżnieniu od mężczyzn nie wyszły z ziemi, lecz z lodowca), były jednak bezpłodne i przez cały czas chodziły wzdłuż wybrzeża, wpatrując się w morze lub przekopując ziemię w poszukiwaniu dzieci.

Drugi Okres dziejów Ziemi nastąpił po długiej i zażartej walce między lisem i krukiem. Pojawiły się wtedy pory roku, a potem życie i śmierć; wkrótce zaczęła się nowa era, w której duch życia ludzkich istot umierał wraz z ich ciałami, a duch inua wędrował gdzie indziej.

Szamani poznali niektóre sekrety porządku wszechświata i mogli pomóc Prawdziwym

Ludziom prowadzić właściwe życie - stworzyli wówczas reguły, które zabraniały kazirodztwa i małżeństw między krewnymi, zabijania ludzi i innych zachowań niezgodnych z Porządkiem Rzeczy. Szamani widzieli także wydarzenia z przeszłości, nawet z czasów, gdy na świecie nie było jeszcze Prawdziwych Ludzi, dzięki czemu mogli opowiedzieć innym o początkach wielkich duchów - *inuat* - takich jak Duch Księżyca albo Naarjuk, duch świadomości, albo Siła, Duch Powietrza, który jest najżywotniejszą spośród wszystkich przedwiecznych sił; to właśnie Siła stworzyła i przenika oraz napęłnia energią wszystkie rzeczy, to ona także wyraża swój gniew poprzez śnieżyce i burze.

W owym czasie Prawdziwi Ludzie poznali także historię Sedny, która znana jest w innych zimnych miejscach jako Uinigumaituq lub Nuliajuk. Szamani wyjaśnili im, że wszystkie ludzkie istoty - Prawdziwi Ludzie, czerwonoskóre istoty ludzkie mieszkające daleko na południe od Prawdziwych Ludzi, duchy karibu *Ijirait*, a nawet bladzi ludzie, którzy pojawili się znacznie później - narodziły się po tym, jak Sedna-Uinigumaituq-Nuliajuk kopulowała z psem. To również wyjaśnia, dlaczego psy mają imiona i duszę, a nawet dzielą ze swym panem jego *inua*.

Inua księżyca, Aningat, dopuścił się kazirodztwa ze swoją siostrą, Siqniq, *inua* słońca. Zona Aningata, Ulilarnaq, uwielbiała wypruwać wnętrze swym ofiarom - zwierzętom i Prawdziwym Ludziom - i nie cierpiała, gdy szamani mieszały się w sprawy duchowe, często więc karała ich atakami niepowstrzymanego śmiechu. Po dziś dzień zdarza się, że szamani dostają napadów niepohamowanego śmiechu, które nawet mogą ich zabić.

Prawdziwi Ludzie wiedzą o istnieniu trzech najpotężniejszych duchów w kosmosie - wszechobecnego Ducha Powietrza, Ducha Morza, który ma władzę nad wszystkimi zwierzętami żyjącymi w morzu i nad jego brzegami, oraz Ducha Księżyca - lecz te trzy pierwotne *inuat* są zbyt potężne, by zwracać uwagę na Prawdziwych Ludzi (lub jakiegokolwiek inne ludzkie istoty), gdyż stoją one tak wysoko nad mniejszymi duchami, jak owe mniejsze duchy nad ludźmi; dlatego też Prawdziwi Ludzie nie oddają czci tej trójcy. Szamani rzadko próbują się skontaktować z tymi najpotężniejszymi duchami - do których zalicza się także Sedna - i starają się tylko dopilnować, żeby Prawdziwi Ludzie nie łamali zakazów i nie czynili niczego, co mogłoby rozgniewać Ducha Morza, Ducha Księżyca lub Ducha Powietrza.

Jednak powoli, z pokolenia na pokolenie, szamani - zwani przez Prawdziwych Ludzi *angakkuit* - poznawali kolejne tajemnice ukrytego wszechświata i pomniejszych duchów *inuat*. Niektórzy szamani po stuleciach starań zdobyli także dar jasnowidzenia. W zależności od tego, jak przejawiają się owe niezwykle zdolności, Prawdziwi Ludzie nazywają je *qaumaniq* albo *angakkua*. Tak jak niegdyś ludzkie istoty oswoiły swych duchowych braci, wilki, i zamieniły je w psy, które dzielą ze swym panem jego *inua*, tak *angakkuit* obdarzeni zdolnością słuchania i przesyłania myśli uczą się, jak oswajać i kontrolować pomniejsze duchy, które im się ukazują. Duchy te, zwane *tuurngait*, nie tylko pomagają szamanom oglądać niewidzialny świat duchów i wędrować myślą do czasów, gdy na świecie nie było jeszcze ludzi, ale również pozwalają im zajrzeć do umysłów innych istot ludzkich i zobaczyć, co się dzieje, gdy Prawdziwi Ludzie naruszają porządek wszechświata. Duchy *tuurngait* pomagają szamanom w przywracaniu równowagi i porządku. Uczą *angakkuit* swego języka, języka mniejszych duchów, zwanego *irinaliutit*, by szamani mogli zwracać się bezpośrednio do swoich przodków i do potężniejszych mocy *inuat* rządzących wszechświatem.

Kiedy szamani nauczyli się już języka *irinaliulit*, języka pomniejszych duchów *tuurngait*, mogli pomóc innym istotom ludzkim wyzbyć się złych przyzwyczajęń i przyznać do dotychczasowych błędów. Dzięki temu mogli następnie leczyć choroby i porządkować chaos ludzkich spraw, przywracając dzięki temu właściwy porządek świata. System reguł i zakazów przekazywany przez szamanów był równie złożony jak sznurkowe wzory, które kobiety Prawdziwego Ludu do dziś

układają między palcami.

Szamani byli także obrońcami.

Między Prawdziwymi Ludźmi krążą pomniejsze złe duchy, które krzywdzą ludzkie istoty i sprawdzają złą pogodę, szamani nauczyli się jednak wytwarzać święte noże i zabijać nimi te *tupilait*.

By powstrzymać burze, *angakkuit* stworzyli specjalny hak, który może przeciąć *silagiksaqtuq*, żyłę wiatru.

Szamani potrafią także fruwać i rozwiązywać problemy powstałe między duchami i Prawdziwymi Ludźmi, ale umieją również - i często to robią - zdradzić swe powołanie i krzywdzić istoty ludzkie za pomocą *ilisiqsiniq*, potężnych zaklęć, które budzą zazdrość i niezdrową rywalizację, a czasami nawet nienawiść, która pcha Prawdziwych Ludzi do zabójstwa. Często zdarza się również, że szaman traci kontrolę nad swoimi duchami pomocniczymi, *tuurngait*, a kiedy już do tego dojdzie, niełatwo temu zaradzić - taki niekompetentny szaman jest niczym ogromna metaliczna skała, która ściąga na siebie letnie błyskawice. Jedyne, co mogą wówczas zrobić Prawdziwi Ludzie, to albo związać szamana i zostawić go na pastwę losu, albo zabić go i uciąć mu głowę, by nie mógł przywrócić się do życia i mścić się na nich.

Większość szamanów obdarzonych choćby przeciętną mocą potrafi fruwać, leczyć poszczególnych ludzi, rodziny i całe wioski (właściwie tylko pomagają ludziom, którzy mogą uleczyć się sami, wyznawszy swe grzechy i odzyskawszy równowagę), opuszczać swe ciało i przenosić się na księżyc lub na dno morza (gdzie mogą przebywać najpotężniejsze duchy inuat) oraz - po odpowiednich zaklęciach w języku *inналиutit*, śpiewach i biciu w bębny - zamieniać się w zwierzęta, takie jak biały niedźwiedź.

Choć większość duchów, które nie są uwięzione w duszach, woli przebywać wyłącznie w świecie duchów, istnieją stworzenia, które noszą w sobie duchy inua potworów.

Niektóre spośród mniejszych potworów, nazywane *tupilek*, zostały powołane do życia przez ludzi zwanych *ilisituk setki*, a nawet tysiące lat temu. *Ilisituk* nie byli szamanami, lecz starymi, złymi kobietami i mężczyznami, którzy posiadli częściowo moce przypisane szamanom, używali ich jednak do zabawy, a nie do leczenia lub pomagania innym.

Wszystkie istoty ludzkie, a szczególnie Prawdziwi Ludzie, żyją, pożerając dusze - i dobrze o tym wiedzą. W gruncie rzeczy polowanie polega na tym, że jedna dusza wyszukuje inną i zmuszają co całkowitej uległości, do śmierci. Kiedy foka zgadza się, by zabił ją myśliwy, ów myśliwy musi oddać cześć inua upolowanej foki, zanim ją zje - ponieważ jest to stworzenie wodne, podaje jej wodę. Niektórzy myśliwi Prawdziwego Ludu noszą ze sobą małe naczynia przeznaczone do tego właśnie celu, lecz niektórzy spośród najstarszych i najlepszych łowców wciąż przekazują wodę prosto ze swych ust do pyska foki.

Wszyscy jesteścieśmy pożeraczami dusz.

Ale źli starzy ludzie *ilisituk* byli złodziejami dusz. Za pomocą zaklęć przejmowali kontrolę nad myśliwymi, którzy często zabierali swe rodziny z dala od wioski, by żyły - i umarły - na lodzie lub w odległej jałowej krainie. Potomkowie tych ofiar złodziei dusz, zwani *qivitok*, byli zawsze bardziej gwałtowni i dzicy niż zwykłe ludzkie istoty.

Kiedy rodziny i wioski zaczęły podejrzewać starych *ilisituk* o złe zamiary, podstępni czarownicy tworzyli małe złośliwe stworzenia - *tupilek* - które miały za zadanie prześladować, ranić lub zabijać ich wrogów. *Tupilek*, które początkowo było drobnymi, pozbawionymi życia przedmiotami, pod wpływem zaklęć *ilisituk* mogły przybierać dowolne rozmiary i straszliwe, nieopisane kształty. Ponieważ jednak łatwo było dostrzec takie potwory i uciec przed nimi,

przebiegli *tupilek* zwykle nadawali im kształty prawdziwych żywych istot - morsów lub białych niedźwiedzi. Wtedy niczego niepodejrzewający myśliwy, który został przeklęty przez złe ilisituk, sam zamieniał się w zwierzynę. Rzadko kiedy udawało się ludzkim istotom uciec przed nasłanymi na nich *tupilek*.

Jednak dziś na świecie zostało bardzo niewiele złych, starych ilisituk. Stało się tak między innymi dlatego, że jeśli *tupilek* nie zdołał zabić przeznaczonej mu ofiary - jeśli przeszkodził mu w tym szaman albo jeśli łowca był dość sprytny, by przed nim uciec - potwór zwracał się przeciwko swemu stwórcy. Jeden po drugim starzy ilisituk padali ofiarami własnych dzieł.

Później, wiele tysięcy lat temu, nadszedł czas, kiedy Sedna, Duch Morza, rozgniewała się na swych towarzyszy, Ducha Powietrza i Ducha Księżyca.

By ich zabić - dwie części Trójcy, stanowiącej podstawową moc rządzącą wszechświatem - Sedna stworzyła własnego *tupilek*.

Ta ożywiona maszyna do zabijania była tak przerażająca, że otrzymała własną duszę i własne imię - *Tuunbaq*.

Tuunbaq mógł przemieszczać się swobodnie między światem duchów i ziemią zamieszkaną przez ludzkie istoty, mógł też przybierać dowolny kształt. Każda wybrana przezeń postać była tak przerażająca, że nawet czyste duchy nie mogły nań bezkarnie patrzeć, gdyż widok ów przywiódłby je do szaleństwa. Jego moc - stworzona przez Sednę wyłącznie w jednym celu, by siać spustoszenie i śmierć - budziła nieopisaną grozę. Jakby tego było mało, *Tuunbaq* miał władzę nad *ixitqusiqjuk*, niezliczonymi złymi duchami o mniejszej mocy.

Tuunbaq mógł zabić Ducha Księżyca lub Siłę, Ducha Powietrza, ale tylko jedno po drugim, a nie naraz.

Jednak *Tuunbaq*, choć potężny i budzący trwogę, nie był tak przebiegły jak mniejsze *tupilek*.

Siła, Duch Powietrza, która wypełnia swą energią cały wszechświat, wyczuła jego obecność w świecie duchów. Wiedząc, że może zostać przezeń zgładzona i że jeśli do tego dojdzie, wszechświat znów pograży się w chaosie, Siła poprosiła Ducha Księżyca, by pomógł jej zabić *Tuunbaqa*.

Duch Księżyca nie miał ochoty jej pomagać. Nie przejmował się też losem wszechświata.

Siła zwróciła się więc z prośbą o pomoc do Naarjuk, Ducha Świadomości i jednego z najstarszych duchów inna (który, podobnie jak Siła, pojawił się w zamierzchłej przeszłości, gdy chaos wszechświata został oddzielony od cienkiej, lecz wciąż się rozrastającej zielonej trzciny porządku).

Naarjuk zgodził się jej pomóc.

Wspólnymi siłami, w bitwie, która trwała dziesięć tysięcy lat i spustoszyła krainę duchów, Siła i Naarjuk pokonali straszliwego *Tuunbaqa*.

Jak wszystkie *tupilek*, które nie zdołały wykonać swego zadania i zabić wyznaczonej im ofiary, *Tuunbaq* zwrócił się przeciwko swemu stwórcy, Sednie.

Jednak Sedna, która od czasu swego nieszczęśliwego małżeństwa wiele się nauczyła, zdawała sobie sprawę, jak groźny może stać się dla niej *Tuunbaq*, i zabezpieczyła się przed jego atakiem. Kiedy potwór stanął przeciwko niej, za pomocą specjalnego zaklęcia obudziła słabość, którą ukryła w nim podczas aktu tworzenia.

Tuunbaq został natychmiast wygnany na powierzchnię ziemi. Nigdy nie mógł już powrócić do świata duchów ani na dno morza. Sedna była bezpieczna.

Ziemia i jej mieszkańcy z kolei nie mogli już czuć się bezpiecznie.

Sedna wygnała *Tuunbaqa* do najzimniejszej, najbardziej opustoszałej części ziemi - wiecznie

zamarzniętych obszarów w pobliżu bieguna północnego. Wybrała Daleką Północ, a nie południe, bo tylko na północy, centrum ziemi dla wielu bogów inuat, żyli szamani, którzy umieli radzić sobie ze złymi duchami.

Tuunbaq, pozbawiony swej potwornej postaci, lecz wciąż tak samo niebezpieczny, zmienił wkrótce kształt - podobnie jak wszystkie *pupilek* - upodabniając się do najbardziej przerażającego zwierzęcia, jakie spotkał na ziemi. Wybrał postać najsprytniejszego i najgroźniejszego drapieżnika - białego niedźwiedzia - lecz górował nad zwykłymi niedźwiedziami inteligencją i siłą tak, jak Prawdziwi Ludzie górują nad swymi psami. *Tuunbaq* zabijał i zjadał białe niedźwiedzie - pożerając ich dusze - równie łatwo, jak Prawdziwi Ludzie zabijali i pożerali pardwy.

Im bardziej skomplikowana jest dusza inua żywej istoty, tym bardziej smakuje pożeraczowi dusz. *Tuunbaq* wkrótce przekonał się, że woli zjadać ludzi niż nanuą, białe niedźwiedzie, że dusze ludzkie smakują mu bardziej niż dusze morsów, a nawet wielkie, łagodne i inteligentne dusze orek.

Przez pokolenia *Tuunbaq* objadał się ludzkimi istotami. Olbrzymie połacie śnieżnej północy, na których gęsto było niegdyś od wiosek, wielkie obszary morza, po których pływały niegdyś całe floty kajaków, miejsca, gdzie niegdyś rozbrzmiewały głosy i śmiech tysięcy Prawdziwych Ludzi, opustoszały, gdy wszystkie ludzkie istoty uciekły na południe.

Lecz przed *Tuunbaqiem* nie można było uciec. *Tupilek* Sedny był szybszy i sprawniejszy od ludzi. Przewodził złym duchom *ixitqusiqjuk* i kazał im przesuwac lodowce na południe, śladem uciekających istot ludzkich, by ukryty w lodzie i zimnie mógł nadal spokojnie pożerać ludzkie dusze.

Setki myśliwych wyruszały z wiosek Prawdziwych Ludzi, by zabić potwora, ale żaden z nich nie wrócił żywy. Czasami *Tuunbaq* drwł z rodzin zmarłych łowców, podrzucając im części ich ciała - zdarzało się, że zostawiał w jednym miejscu głowy, nogi, ręce i tułowia kilku myśliwych, przemieszane do tego stopnia, że bliscy nie mogli nawet wyprawić im właściwej ceremonii pogrzebowej.

Wydawało się, że potwór Sedny pożre dusze wszystkich istot ludzkich żyjących na Ziemi.

Stało się jednak to, na co liczyła Sedna. Szamani setek różnych grup Prawdziwych Ludzi zbierali się na peryferiach zimnej północy, spotykali się w enklawach *angakkuit*, naradzali się między sobą i rozmawiali z przyjaznymi im duchami, aż wreszcie obmyślili plan, który miał rozwiązać problem *Tuunbaqa*.

Nie mogli zabić tego Boga Który Chodził Jak Człowiek - nawet Siła, Duch Powietrza, i Sedna, Duch Morza, nie mogły zabić *tidipek Tuunbaq*.

Mogli go jednak powstrzymać. Mogli nie dopuścić do tego, by wędrował dalej na południe i zabił w końcu wszystkie ludzkie istoty i wszystkich Prawdziwych Ludzi.

Najlepsi spośród najlepszych szamanów - *angakkuit* - wybrali spośród siebie najlepszych mężczyzn i kobiety obdarzonych zdolnościami jasnowidzenia, czytania w myślach i przesyłania myśli i parzyli je ze sobą tak, jak Prawdziwi Ludzie parzą dziś psy, by stworzyć jeszcze silniejsze, inteligentniejsze pokolenie.

Nazwali te szamańskie, jasnowidzące dzieci *sixam ieua* lub władcami-duchów-z-nieba i wysłali je wraz z rodzinami na północ, by powstrzymały *Tuunbaqa* od zabijania Prawdziwych Ludzi.

Sixam ieua porozumiewali się bezpośrednio z *Tuunbaqiem* - nie za pomocą języka duchów *tuurngait*, co próbowali czynić zwykli szamani, lecz dotykając bezpośrednio umysłu i duszy *Tuunbaqa*.

Władcy-duchów-z-nieba nauczyli się przyzywać *Tuunbaqa* swym śpiewem. W zamian za możliwość komunikowania się z potworem zgodzili się, by ów zazdrosny *tupilek* pozbawił ich umiejętności zwykłej mowy i pozbawił kontaktu z innymi istotami ludzkimi. Władcy-duchów-z-nieba

obiecali *Tuunbaqowi*, że jeśli przestanie pożerać ludzkie dusze, Prawdziwi Ludzie nigdy więcej nie będą zakładać swych wiosek na dalekiej północy. Obiecali także Bogowi Który Chodzi Jak Człowiek, że bez jego pozwolenia nigdy nie będą łowić ryb ani polować w jego królestwie.

Obiecali, że wszystkie przyszłe pokolenia będą zaspokajać ogromny apetyt Boga Który Chodzi Jak Człowiek, przynosząc mu ryby, morsy, foki, karibu, zające, wieloryby, wilki, a nawet mniejszych kuzynów *Tuunbaqa*, białe niedźwiedzie. Obiecali, że żadna ludzka istota nie wtargnie do królestwa Boga Który Chodzi Jak Człowiek, a jeśli już to zrobi, to tylko po to, by przynieść mu jedzenie, zaśpiewać kojącą pieśń lub oddać mu cześć.

Sixam ieua wiedzieli dzięki swym niezwykłym zdolnościom, że kiedy kraina *Tuunbaqa* zostanie w końcu najechna przez bladych ludzi - *kabloona* - będzie to początek Końca Czasów. Zatruty bladymi duszami *kabloona Tuunbaq* zachoruje i umrze. Prawdziwi Ludzie zapomną swojego języka i zwyczajów. W ich domach zapanują pijaństwo i rozpacz. Mężczyźni zapomną o dobroci i życzliwości, będą bić swoje żony. *Inua* dzieci pogubią się w nowym świecie, a Prawdziwi Ludzie stracą swe dobre sny.

Władcy-duchów-z-nieba wiedzą, że kiedy *Tuunbaq* umrze na chorobę *kabloona*, jego biała, lodowa kraina zacznie się topić. Na lodzie zabraknie miejsca dla białych niedźwiedzi, więc ich młode umrą. Wieloryby i morsy nie będą miały gdzie żerować. Ptaki, pozbawione lęgówisk, będą krążyć pod niebem i nadaremnie wzywać na pomoc Kruka.

Tak wygląda przyszłość, którą ujrzeli.

Sixam ieua wiedzieli, że choć *Tuunbaq* jest przerażający, przyszłość bez niego - i bez ich zimnego świata - będzie gorsza.

Tak wyglądała przyszłość, lecz oni musieli dbać o teraźniejszość. Dzięki temu, że mężczyźni i kobiety *sixam ieua* przemawiali do *Tuunbaqa* tak, jak robiła to tylko Sedna i inne duchy - nie głosem, lecz bezpośrednio, z umysłu do umysłu - Bóg Który Chodzi Jak Człowiek wysłuchał ich propozycji i obietnic.

Tuunbaq, który - jak wszystkie wielkie duchy *inua* - lubi być rozpieszczany, zgodził się. Obiecał, że będzie jadł ich dary, a nie ich dusze.

Przez kolejne pokolenia jasnowidzący *sixam ieua* wiązali się tylko z istotami ludzkimi o takich samych zdolnościach. We wczesnym dzieciństwie każde dziecko *sixam ieua* rezygnowało z możliwości rozmawiania z innymi istotami ludzkimi, by pokazać Bogu Który Chodzi Jak Człowiek, że zależy im jedynie na komunikowaniu się z nim, *Tuunbaqiem*.

Przez kolejne pokolenia małe rodziny *sixam ieua* żyły w miejscach położonych o wiele dalej na północ niż wioski innych Prawdziwych Ludzi (którzy wciąż boją się *Tuunbaqa*) i zawsze budowały swe domy na pokrytej wiecznym lodem ziemi i na paku. Inne istoty ludzkie zaczęły nazywać ich Ludźmi Chodzącymi Z Bogiem, a język tych członków ich rodzin, którzy mogli normalnie rozmawiać, zamienił się w dziwną mieszkankę różnych języków Prawdziwych Ludzi.

Oczywiście sami *sixam ieua* nie mówią żadnym językiem - prócz języka *quamaniq* i *angakkua*, przesyłania i przyjmowania myśli. Mimo to są normalnymi istotami ludzkimi, kochają swoje rodziny i należą do większych grup rodzinnych, by więc porozumieć się z innymi Prawdziwymi Ludźmi *sixam ieua*, używają specjalnego języka migowego, a kobiety *sixam ieua* tworzą symbole ze sznurka rozciągniętego między dłońmi, jak uczyły ich tego ich matki.

Nim opuściłam wioskę,

i wyszłam na lód,

by znaleźć mężczyznę, którego mam poślubić,

mężczyznę, o którym śnił mój ojciec i ja,

*kiedy jeszcze wiosła były czyste,
mój ojciec wziął ciemny kamień, aumaa,
i oznaczył każde wiosło.*

*wiedział, że nie wróci
żywy z lodu
oboje widzieliśmy w naszych snach sixam ieua,
jedynych snach, które są prawdziwe
że mój ukochany Aja
zginie tam,
z rąk bladego człowieka.*

*odkąd zesłam z lodu,
szukałam tego kamienia
na wzgórzach
i w korytach rzek,
ale nigdy go nie znalazłam.*

*kiedy wrócę do mego ludu
znajdę wiosło, na którym aumaa
zostawił swój szary ślad.
narodziny były krótką linią
na czubku ostrza,
lecz nad nią ciągnęła się dłuższa
równoległa śmierć.*

wracaj! krzyczy Kruk.

CROZIER

Crozier budzi się z okropnym bólem głowy.

Ostatnio niemal każdego ranka budzi się z okropnym bólem głowy. Można by pomyśleć, że człowiek, który został dwukrotnie postrzelony ze strzelby i co najmniej trzykrotnie z rewolweru, powinien cierpieć na inne bóle. Crozier boleśnie odczuwa wszystkie te świeżo zabliźnione rany, ale tym, co zwraca jego uwagę najpierw, tuż po przebudzeniu, jest ból głowy.

Przypomina mu to wszystkie te lata, kiedy co wieczór pił whisky i co rano tego żałował.

Czasami, jak choćby tego ranka, kiedy wynurza się ze snu, po głowie kołaczą mu się jakieś bezsensowne sylaby i pozbawione znaczenia słowa. Przypominają mu nic nieznaczące dziecięce wyliczanki, choć z drugiej strony tuż przed przebudzeniem wydaje mu się, że jednak mają one jakiś sens. Czuje się ostatnio umysłowo wyczerpany, jakby całymi nocami czytał Homera po grecku. Francis Rawdon Moira Crozier nigdy w życiu nie próbował czytać greki. Nigdy też nie chciał tego robić. Zostawiał to zawsze naukowcom lub biednym molom książkowym, takim jak stary steward Bridgens, przyjaciel Peglara.

Tego ranka obudził się w lodowym domu obok Cisy, która za pomocą nici rozciągniętej między palcami mówi mu, że czas zapolować na foki. Cisa jest już ubrana w swoją kurtkę i skończywszy niemą rozmowę, znikła w tunelu.

Zły, że nie ma nic na śniadanie - nawet jakiegoś zimnego kawałka starego foczego tłuszczu - Crozier ubiera się, wkładając na końcu kurtkę i rękawice, i wysuwa się na zewnątrz przez długi tunel skierowany na południe, z dala od wiatru.

Kiedy jest już na zewnątrz, wstaje powoli - lewa noga czasami wciąż odmawia mu posłuszeństwa - i rozgląda się dokoła. Ich lodowy dom jarzy się lekko blaskiem płonącej w środku lampy na foczy tłuszcz. Płomień lampy utrzymuje wysoką temperaturę we wnętrzu domu, kiedy oni przebywają na zewnątrz. Crozier pamięta wyraźnie długą podróż na saniach, która przywiodła ich do tego miejsca. Pamięta, jak siedział opatulony futrami i bezradny niczym dziecko i przyglądał się z podziwem i zdumieniem, jak Cisa buduje dom z lodowo-śnieżnych bloków.

Później, kiedy leżał już we wnętrzu domu, godzinami przyglądał się lodowatej kopule i rozmyślał o tym, jak wielkiej precyzji wymagało przycięcie bloków odpowiedniej wielkości - a Cisa robiła to przecież w nikłym świetle gwiazd - i ułożenie ich we właściwy sposób. Wylegając się beczynnie między warstwami futer - owa beczynność dokuczała mu niemal równie mocno jak bolesne rany na całym ciele - myślał też nieraz: To powinno się zawalić. Najwyższe bloki ułożone były niemal poziomo. Ostatnia bryła, którą Cisa wycięła z warstwy lodu i śniegu, miała kształt trapezoidu i pełniła funkcję zwornika. Eskimoska wsunęła ją między pozostałe bloki od wewnątrz i przycięła wystające krawędzie. Potem wyszła na zewnątrz, wspięła się na nowo wybudowaną kopułę, podskoczyła na niej kilkakrotnie i zjechała z pochyłej ściany.

Crozier pomyślał najpierw, że Cisa po prostu się bawi, później jednak zrozumiał, że testuje wytrzymałość i stabilność ich nowego domu.

Upewniwszy się, że lodowa konstrukcja jest stabilna, Eskimoska weszła do środka z lampką na foczy tłuszcz i za jej pomocą roztopiła wewnętrzną powierzchnię ścian, a potem pozwoliła, by warstwa wilgoci ponownie zamarzała, zamieniając się w cienką, lecz bardzo twardą warstwę lodu. Następnie rozmroziła focze skóry, które w czasie podróży służyły jako płozy, i przewlekając grubą nicią przez warstwę lodu, zawiesiła je we wnętrzu domu, w odległości kilku cali od powierzchni ścian, tworząc w ten sposób wewnętrzne poszycie. Crozier domyślił się, że warstwa skór chroni

mieszkańców przed wodą kapiącą ze ścian, a zarazem zapewnia dodatkową izolację.

Crozier był zdumiony, kiedy przekonał się, jak ciepło jest we wnętrzu ich lodowego domu; temperatura była tam zawsze co najmniej o pięćdziesiąt stopni wyższa niż na zewnątrz, a często było tak ciepło, że oboje nosili tylko krótkie spodnie ze skóry karibu. Na lodowej półce przy wejściu znajdowało się miejsce do gotowania. Na ramce z drewna i rogów karibu wisiały nie tylko różne naczynia, w których przygotowywali potrawy, ale i ubrania, które suszyli nad płomieniem lampki z foczym olejem. Gdy tylko Crozier był na tyle sprawny, by wychodzić wraz z Ciszą na zewnątrz, Eskimoska wytłumaczyła mu za pomocą sznurka i gestów, że zawsze po powrocie do domu w pierwszej kolejności muszą wysuszyć ubrania.

Oprócz miejsca do gotowania, znajdującego się po prawej stronie wejścia, i półki do siedzenia, umieszczonej naprzeciwko, po lewej stronie, w lodowym domu znajdował się szeroki podest pełniący funkcję łóżka, umieszczony naprzeciwko wejścia, pod przeciwległą ścianą. Ciska obłożyła go kawałkami drewna, które wcześniej stanowiły elementy namiotu i sań, by warstwa lodu nie ścierała się zbyt szybko. Następnie okryła całą platformę mchem, który trzymała w płóciennych torbie - prawdopodobnie mech odgrywał rolę warstwy izolacyjnej - a potem z wielką starannością rozłożyła na lodowym łożu kilka warstw skór karibu i niedźwiedzi. Później pokazała mu, że będą spali zwrócenii głową do wyjścia, opierając głowy na złożonych w kostkę ubraniach, które wysuszają się do tej pory nad płomieniem lampki.

Przez pierwsze dni i tygodnie Crozier spał w spodniach ze skóry karibu, choć lady Ciska zawsze układała się do snu zupełnie naga. Wkrótce przekonał się, że pod warstwą futer jest tak gorąco, iż nie potrzebuje dodatkowego okrycia. Wciąż zbyt osłabiony, by myśleć o zaspokajaniu cielesnych żądz, Crozier przyzwyczał się szybko do spania nago.

Ilekoć Crozier budził się nagi i rozgrzany w środku nocy, próbował przypomnieć sobie wszystkie te miesiące na pokładzie *Terroru*, gdy zawsze było mu zimno i mokro, gdy żył zamknięty na ociekającym wilgocią, mroźnym i śmierdzącym dolnym pokładzie. Życie w płóciennych namiotach było jeszcze gorsze.

Crozier wysuwa się z lodowego tunelu, naciąga głębiej kaptur, by uchronić twarz przed zimnem, i rozgląda się dokoła.

Oczywiście jest ciemno. Potrzebował sporo czasu, by pogodzić się z myślą, że leżał nieprzytomny - a może martwy? - co najmniej kilka tygodni, nim po raz pierwszy w pełni odzyskał świadomość. Gdy jechali do tego miejsca, dostrzegł na południowym horyzoncie nikły, ledwie widoczny blask, teraz więc musiał być co najmniej listopad, może grudzień. Crozier próbował liczyć dni od momentu, kiedy zamieszkali w lodowym domu, nie było to jednak łatwe, i to nie tylko ze względu na ciemność arktycznej nocy; żyli według nieregularnego cyklu snu i aktywności - czasami spali co najmniej dwanaście godzin bez przerwy - a gdy na zewnątrz szalały śnieżyce, nie wychodzili w ogóle z lodowego domu, żywiąc się tylko zimnym foczym mięsem i rybami.

Konstelacje przesuwające się tego dnia po niebie to konstelacje zimowe. Powietrze jest tak zimne, że gwiazdy migocą i tańczą na czarnym tle nieboskłonu jak przez wszystkie te lata, kiedy Crozier obserwował je z pokładu *Terroru* lub innych statków.

Tylko że teraz nie jest mu zimno i nie wie, gdzie się znajduje.

Crozier idzie po śladach Cisy w stronę zamarzniętej plaży i morza. Właściwie wcale nie musi kierować się jej śladami, wie bowiem, że pokryta śniegiem plaża znajduje się sto jardów na północ od lodowego domu i że Ciska zawsze wychodzi na lód, by polować na foki.

Jednak świadomość tego, gdzie jest północ, a gdzie południe, wcale nie pomaga mu ustalić własnej pozycji.

Kiedy wędrował ze swoją załogą wzdłuż południowego wybrzeża Wyspy Króla Williama, zamrożone cieśniny zawsze leżały na południe od trasy ich pochodu. Teraz mógł znajdować się na Półwyspie Adelajdy, na południe od Wyspy Króla Williama, albo nawet na samej wyspie, ale gdzieś na wschodnim lub północno-wschodnim wybrzeżu, w miejscu nietkniętym do tej pory stopą białego człowieka.

Crozier nie ma pojęcia, gdzie stał namiot, do którego Ciska przeniosła go po tym, jak został postrzelony, nie wie też, ile właściwie trwała podróż z owego namiotu do lodowego domu, w którym mieszkali teraz oboje.

Właściwie wcale nie musieli być na Wyspie Króla Williama, nawet jeśli lady Ciska zabrała ich na północ; być może mieszkali teraz na jednej z wysp w Cieśninie Jamesa Rossa, gdzieś na północny wschód od Wyspy Króla Williama, albo na nieoznaczonej na mapie wysepce przy wschodnim lub zachodnim wybrzeżu Boothii. Podczas jasnych księżycowych nocy Crozier widzi wzgórza w głębi łądu - nie góry, ale wzgórza wyższe od tych, jakie kiedykolwiek widzieli na Wyspie Króla Williama - a ich obozowisko jest osłonięte przed wiatrem lepiej niż jakiekolwiek miejsce, które udało się znaleźć jego ludziom, łącznie z Obozem *Terror*.

Idąc przez ośnieżoną plażę, a potem przez zamrożoną powierzchnię morza, Crozier myśli o minionych tygodniach, kiedy to setki razy próbował przekazać Ciske, że musi ją opuścić, że musi odszukać swoich ludzi, że musi do nich wrócić.

Ciska zawsze patrzy nań z pozbawioną wyrazu miną.

Crozier dawno już doszedł do wniosku, że Eskimoska go rozumie - jeśli nawet nie rozumie dokładnej treści słów, to z pewnością odbiera jego emocje - nigdy jednak nie reaguje na jego prośby.

Nienazwane zdolności lady Cisky - i jego własne, coraz głębsze zrozumienie skomplikowanych treści przekazywanych za pomocą zwykłego sznurka - wydają się Crozierowi niemal przerażające. Czasami czuje się tak bliski tej dziwnej eskimoskiej dziewczynie, że kiedy budzi się w nocy, nie wie, które ciało należy do niego, a które do niej. Kiedy indziej znów słyszy, jak krzyczy do niego z daleka, prosi, by przyniósł drugi harpun albo sznurek... choć przecież nie ma języka i nigdy nie wydała żadnego dźwięku w jego obecności. Rozumie bardzo dużo, a on niekiedy odnosi wrażenie, że śni jej sny, i zastanawia się, czy ona także widzi jego koszmar o kapłanie w białych szatach, który pochyla się nad nim i udziela mu komunii.

Mimo to Ciska nie chce zaprowadzić go do jego ludzi.

Trzykrotnie Crozier wyruszył w drogę sam, wyczołgał się z lodowego domu, gdy Ciska spała lub udawała, że śpi. Zabierał ze sobą tylko torbę z foczym mięsem i tłuszczem oraz nóż. Trzykrotnie zablądził - dwa razy w głębi łądu, na którym znajdował się ich lodowy dom, a raz na zamrożonym morzu. Trzykrotnie szedł tak długo, aż nie miał już sił iść dalej - być może trwało to nawet kilka dni - a potem padał na lód, przyjmując pokornie śmierć jako właściwą karę za porzucenie swych ludzi.

Trzykrotnie Ciska go odnajdywała. Układała go na niedźwiedziej skórze, okrywała futrem i zaciągała z powrotem do lodowego domu, gdzie rozgrzewała jego przemarznięte stopy i dłonie na własnym brzuchu i odwracała wzrok, kiedy Crozier cicho szlochał.

Teraz Crozier odnajduje ją w odległości kilkuset jardów od brzegu, pochyloną nad otworem zrobionym przez fokę.

Choć próbował już wiele razy, Crozier nigdy nie może znaleźć tych cholernych dziur. Wątpi, czy zobaczyłby je w pełnym blasku dnia, podczas gdy Ciska potrafi je znaleźć w blasku księżyca, gwiazd lub nawet w całkowitych ciemnościach. Foki są tak bystre i tak przebiegłe, że Crozier wcale się teraz nie dziwi, iż jego ludzie zdołali w ciągu wielu miesięcy pobytu na lodzie zabić jedynie kilka z nich, i to tylko wtedy, gdy wypęły na powierzchnię paku.

Za pomocą sznurka Cisza wyjaśniła Crozierowi, że foka może wytrzymać pod wodą bez powietrza tylko siedem lub osiem minut - co najwyżej piętnaście (Cisza nie mówiła oczywiście o minutach, lecz o uderzeniach serca, Crozier jednak przeliczył sobie te wielkości). Z wyjaśnień Eskimoski wynikało również, że każda foka ma swoje terytorium - podobnie jak wilk lub niedźwiedź. Nawet w zimie musi bronić granic tego terytorium, więc by mieć pewność, że nie zabraknie jej powietrza, wynajduje miejsce, gdzie warstwa lodu jest najcieńsza, i wydrąży w nim kopulastą norę, na tyle dużą, by zmieściło się w niej całe jej ciało, oraz niewielki otwór, przez który może oddychać. Cisza pokazywała Crozierowi ostre pazury na płetwach martwej foki, a nawet wbiła je w lód, by przekonał się, jak doskonale radzą sobie z twardą substancją.

Crozier wierzy Ciszy, kiedy ta pokazuje mu, że na terytorium jednej foki znajdują się dziesiątki takich otworów, ale nie umie znaleźć ani jednego. Kopulaste nory, które przedstawia za pomocą sznurka i które wyszukuje z taką łatwością, są niemal zupełnie niewidoczne między serakami, wałami lodowymi, blokami i górami z lodu. Crozier jest pewien, że setki razy stawał na takich norach, a mimo to nigdy ich nie zauważył.

Cisza kuca teraz obok jednej z nich. Kiedy Crozier zbliża się na odległość kilkunastu jardów, gestem nakazuje mu, by był cicho.

Crozier dobrze już wie, że foka jest jednym z najczujniejszych i najpłochliwszych stworzeń na ziemi, więc trzeba podkraść się do niej bardzo ostrożnie, nie czyniąc najmniejszego hałasu. Lady Cisza czyni to doskonale, jakby w zgodzie ze swoim imieniem.

Nim Cisza zbliży się do focznej nory - skąd ona wie, że foka jest w środku? - kładzie na lodzie małe kawałki skóry karibu, na których stawia stopy i które przekłada po każdym kroku. Robi to, by śnieg ani lód nie zaskrzypiał przypadkiem pod grubymi podeszwami jej butów. Kiedy jest już przy norze, powoli, ostrożnie, wbija w śnieg kilka rozwidlonych kawałków rogów i układa na nich nóż, harpun, liny i inne narzędzia myśliwskie, by potem zabrać je szybko, nie czyniąc przy tym hałasu.

Przed wyjściem z lodowego domu Crozier obwiązał rzemieniami ręce i nogi, jak pokazała mu to wcześniej Cisza, by jego ubrania nie szeleściły przy każdym ruchu. Wie jednak, że jeśli zbliży się teraz do nory, wypłoszy fokę - jeśli ta rzeczywiście tam jest - równie skutecznie jak huk wystrzału, spogląda więc na lód, dostrzega fragment grubej skóry karibu, który zostawiła tam dla niego Cisza, i powoli, ostrożnie, klęka na nim.

Crozier wie, że nim tu przyszedł, lady Cisza odgarnęła nożem śnieg wokół otworu i poszerzyła sam otwór kościanym ostrzem przymocowanym do drzewca harpuna. Potem obejrzała uważnie otwór, by mieć pewność, że znajduje się on dokładnie nad kanałem w lodzie - Crozier wiedział już, że inaczej szanse na udane pchnięcie harpunem byłyby niewielkie - po czym ponownie przykryła go lodem i śniegiem. Ponieważ wiatr niósł ze sobą drobiny śniegu, okryła otwór cienką skórą, chroniąc go w ten sposób przed zasypaniem. Potem wzięła bardzo cienką kościaną igłę połączoną długim kawałkiem sznurka z czubkiem innej igły i ptasiego pióra, i wsunęła ten wskaźnik do otworu, kładąc igłę z piórem na rozwidlonych rogach.

Teraz czeka. Crozier obserwuje.

Mijają godziny.

Wiatr wieje coraz mocniej, gwiazdy chowają się za warstwą chmur, zaczyna padać śnieg. Cisza stoi nieruchomo, pochylona nad otworem, pokryta coraz grubszą warstwą śniegu. W dłoni trzyma harpun z kościanym ostrzem, jego drugi koniec wspiera się o białe w śnieg rogi karibu.

Crozier widział już, jak Cisza chwytła foki na różne sposoby. Jeden z nich polega na tym, że myśliwy wydrąży w lodzie dwa otwory i wabi fokę do siebie. Eskimoska nauczyła już Croziera, że choć foka to bardzo ostrożne zwierzę, jej piętą achillesową jest ciekawość. Crozier, który pomagał

Ciszy podczas tego polowania, wsuwał do jednego z otworów harpun zakończony rozszczepioną stosiną pióra i poruszał nim lekko w górę i w dół, tuż pod powierzchnią wody. W końcu wiedzona ciekawością foka nie mogła oprzeć się pokusie i podpłynęła do otworu.

Innym razem Crozier przyglądał się ze zdumieniem Ciszy, kiedy ta pęzała na brzuchu po lodzie, udając fokę, poruszając rękami niczym płetwami. Przekonał się już, że podczas takiego polowania nawet nie zauważa, kiedy foka wysuwa głowę nad otwór w lodzie; informuje go o tym nagły, nieprawdopodobnie szybki ruch ręki Eskimoski. Potem Ciska przyciąga harpun przymocowany długim sznurkiem do jej nadgarstka. Zazwyczaj na drugim końcu sznurka znajduje się martwa foka.

Jednak tego dnia-nocy czatują przy otworze w lodzie. Crozier klęczy na kawałku skóry karibu, podczas gdy Ciska stoi pochylona nad lodową kopułą. Mniej więcej co pół godziny Eskimoska sięga do wbitych w lód rogów i bierze z nich dziwny przyrząd - zakrzywiony kawałek drewna, długości około dziesięciu cali, w którym tkwią trzy ptasie szpony - i drapie lód obok otworu tak delikatnie, że oddalony zaledwie o kilka jardów Crozier niczego nie słyszy. Foka jednak z pewnością słyszy ów intrygujący dźwięk. Nawet jeśli przebywa w tej chwili kilkaset jardów dalej, przy innym otworze, prędzej czy później daje się zwieść i podpływa do myśliwego.

Crozier wie już to wszystko, nadal jednak nie ma pojęcia, jak Ciska widzi fokę, w którą rzuca harpunem. Być może w blasku słońca, latem, pod lodem da się zauważyć jej sylwetkę... ale w świetle gwiazd? Nim kościana igła poruszy się, informując Ciskę o obecności foki, ta może już dawno zawrócić i zanurkować z powrotem w wodzie. Czyżby Eskimoska wyczuwała jej zapach? Może dostrzega jej obecność za pomocą jakiegoś innego zmysłu?

Jest już przemarznięty - co oznacza, że położył się na skórze karibu, zamiast na niej klęczeć - i drzemie, kiedy kościany wskaźnik Cisky zaczyna drżeć.

Ciska podnosi harpun i wrzuca go do otworu szybciej, nim Crozier otwiera zaspane oczy. Potem odchyła się do tyłu, ciągnąc z całych sił linę, która znika w otworze w lodzie.

Crozier podnosi się z lodu - lewa noga okropnie go boli i nie chce utrzymać ciężaru ciała - i stara się jak najszybciej dokuśtykać do Cisky. Wie, że to jeden z najtrudniejszych elementów polowania na fokę - wyciągnięcie zwierzęcia z wody, nim zerwie się z kościanego harpuna, jeśli jest tylko ranne lub zapłacze się gdzieś pod lodem, lub też opadnie na dno, jeśli jest już martwe. Prędkość, jak powtarzano mu bez końca w Królewskiej Marynarce Wojennej, to podstawa sukcesu.

Razem wyciągają ciężkie zwierzę na powierzchnię. Ciska ciągnie sznurek jedną ręką z zaskakującą siłą, drugą zaś uderza nożem w lód, powiększając otwór.

Foka jest martwa, ale nieprawdopodobnie śliska. Crozier wsuwa dłoń pod nasadę płetwy, bacząc przy tym, by nie uszkodzić rękawic o ostre jak brzytwa pazury, po czym przenosi zwierzę na lód. Uwolniony od obowiązku zachowania absolutnej ciszy, sapie ciężko, przeklina i śmieje się. Ciska, oczywiście milczy, od czasu do czasu z jej ust wydobywa się tylko głośniejszy oddech.

Kiedy foka leży już na lodzie, Crozier cofa się o krok. Wie, co teraz się stanie.

Foka, ledwie widoczna w blasku gwiazd prześwitujących między chmurami, leży na grzbiecie, jej martwe ślepia wpatrują się w niebo, z otwartego pyska wypływa strużka krwi.

Ciska klęka na lodzie, a potem kładzie się na brzuchu, tak by jej twarz znalazła się przy pysku foki.

Crozier cofa się jeszcze o krok. Nie umie tego wytłumaczyć, ale czuje się podobnie jak wtedy, gdy wraz z Memo Moirą siedział w katolickim kościele.

Ciska sięga pod kurtkę, wyjmując stamtąd maleńką, kościaną buteleczkę i napełnia usta wodą. Trzymała butelkę przy ciele, by woda nie zamarzła.

Pochyla się do przodu i przykładając usta do pyska foki w dziwnej parodii pocałunku, rozchyła

nawet wargi, podobnie jak dziwki, które Crozier widział co najmniej na czterech kontynentach.

Ale ona nie ma języka, upomina się w myślach.

Cisza pozwala, by woda z jej ust spłynęła do pyska foki.

Crozier wie, że jeśli duszy foki, zamkniętej jeszcze w jej ciele, podoba się harpun i kościane ostrze, które ją zabiło, jeśli podoba jej się spryt i cierpliwość Ciszy, a zwłaszcza jeśli smakuje jej woda, którą Cisza przelała do jej pyska, powie duszom innych fok, że powinny przyjść do tego myśliwego, by napić się takiej świeżej, czystej wody.

Crozier nie ma pojęcia, skąd o tym wie - Cisza nigdy nawet nie próbowała przekazać mu tej wiedzy za pomocą sznurka lub gestów - ale jest pewien, że to prawda. Wydaje mu się, że ma to jakiś związek z bólem głowy, który dręczy go każdego ranka.

Odprawiwszy ten ważny rytuał, Cisza wstaje, otrzepuje spodnie i kurtkę ze śniegu, zbiera wszystkie przyrządy myśliwskie, po czym oboje ciągną martwą fokę do ich lodowego domu.

Jedzą przez cały wieczór. Crozier nie może przestać się opychać świeżym mięsem i tłuszczem. Po jakimś czasie ich twarze są całe umazane lśniącym tłuszczem. Crozier wskazuje na swoją twarz, potem na równie brudną twarz Ciszy i wybucha śmiechem.

Cisza nigdy się nie śmieje, Crozier ma jednak wrażenie, że widzi na jej ustach cień uśmiechu, gdy wsuwa się na chwilę do tunelu i wraca - ubrana jedynie w skórzane spodnie - z garścią świeżego śniegu, którym ocierają usta, nim osuszą je kawałkami delikatnej skóry karibu.

Piją lodową wodę, znów jedzą, znów piją, wychodzą na zewnątrz, by się załatwić, po powrocie rozwieszają wilgotne ubrania nad płomieniem lampki, myją raz jeszcze ręce i twarze, czyszczą zęby palcami i cienkimi gałązkami, po czym wsuwają się nadzy pod niedźwiedzie futra.

Crozier zasypia, budzi się jednak po chwili, czując drobną dłoń Ciszy na swoich udach i męskości.

Reaguje natychmiast, sztywniejąc i podnosząc się. Nie zapomniał o bólu ani o skrupułałach wobec kontaktów z tą eskimoską dziewczyną; po prostu w ogóle nie myśli o tych drobiazgach, kiedy jej drobne palce zamykają się wokół jego penisa.

Oboje ciężko dyszą. Cisza przekłada nogę nad jego udem i ociera się o nie. Crozier kładzie dłonie na jej piersiach, a potem przesuwają je w dół, by pochwycić jej krągłe pośladki i przycisnąć mocniej jej krocze do swojego uda. Jego penis jest niemal absurdalnie twardy, pulsuje na całej długości, nabrzmiąły koniuszek przy każdym kontakcie z jej ciepłą skórą drży niczym pióro wskazujące obecność foki. Jego ciało zachowuje się jak ciekawska foka, płynie szybko ku powierzchni doznań wbrew temu, co podpowiada mu rozum.

Cisza odrzuca na bok skraj futra i siada na nim okrakiem. Jednocześnie wolną ręką błyskawicznie obejmuje go, ustawia we właściwej pozycji i wsuwa do swego wnętrza.

- Jezu... - szepcze Crozier, kiedy stają się jednym ciałem. Czuje, że jego penis napotyka jakiś opór, który powoli ustępuje pod jego naciskiem, i uzmysławia sobie nagle zszokowany, że posiadał właśnie dziewicę. Albo że dziewica posiadała jego. - O Boże... - szepcze ponownie, kiedy zaczynają się ruszać.

Przyciąga ją do siebie i próbuje pocałować, ona odwraca jednak twarz, przykładając ją do jego policzka, do szyi. Crozier zapomniał, że eskimoskie kobiety nie umieją się całować... choć to pierwsza rzecz, o jakiej informują świeżo upieczonych badaczy polarnych starzy weterani.

Teraz nie ma to żadnego znaczenia.

Eksploduje w niej po niecałej minucie, może wcześniej. Minęło już tyle czasu.

Cisza przez chwilę leży na nim nieruchomo, jej nagie spocone piersi tulą się do jego równie spoconego ciała. Czuje szybkie bicie jej serca i wie, że ona czuje bicie jego serca.

Kiedy może już myśleć, zastanawia się, czy Cisza jest okrwawiona. Nie chciałby poplamieć tych pięknych śnieżnobiałych futer.

Lecz Cisza znów zaczyna poruszać biodrami. Wciąż siedzi na nim okrakiem, wyprostowana, wpatrzona w jego twarz. Jej ciemne sutki wyglądają jak druga para nieruchomych, zapatrzonych weń oczu. Penis Croziera wciąż jest w niej, a jej ruchy, co wydaje mu się nieprawdopodobne - coś podobnego nie zdarzyło się podczas żadnego ze spotkań z prostytutkami w Anglii, Australii, Nowej Zelandii, Ameryce Południowej czy gdziekolwiek indziej - sprawiają, że znów ożywa, znów twardnieje, a jego biodra poruszają się w rytm jej coraz gwałtowniejszych ruchów.

Cisza odrzuca głowę do tyłu i opiera dłoń o jego piersi.

Kochają się tak przez wiele godzin. Cisza opuszcza go na chwilę, jednak tylko po to, by przynieść im wodę - stopiony śnieg w puszcze Goldnera zawieszony nad płomieniem lampy - a kiedy kończą pić, zmywa z wewnętrznych części ud smugi krwi.

Potem kładzie się na plecach, rozkłada nogi i przyciąga go do siebie.

Słońce nie wschodzi, więc Crozier nie wie, czy kochali się przez całą noc - może było to nawet kilka nocy i dni bez snu i dłuższej przerwy (przynajmniej tak mu się wydaje) - w końcu jednak zasypiają. Wilgoć ich oddechów i potu kapie drobnymi kroplami z odsłoniętych fragmentów ścian. W ich małym domu jest tak ciepło, że przez jakiś czas śpią całkiem odkryci.

CROZIER

*Kiedy stworzył już ląd,
gdy świat był jeszcze ciemny,
Tulunigraq, Kruk, usłyszał, jak Dwaj Mężczyźni śnią o świetle.
Ale na świecie nie było światła.
Wszystko było ciemne jak zawsze.
Żadnego słońca. Żadnego księżyca. Żadnych gwiazd. Żadnego ognia.*

*Kruk leciał nad ziemią, aż znalazł dom z lodu,
gdzie mieszkał starzec ze swą córką.
Wiedział, że ukrywają światło,
chowają odrobinę światła,
więc wszedł.
Wczołgał się przez tunel
Spojrzał w górę przez katak.
Wisiały tam dwie torby,
w jednej była ciemność,
w drugiej światło.*

*Starzec spał,
jego córka siedziała na jutrze.
Była ślepa.
Tulunigraq sięgnął do niej myślą,
sprawił, że chciała się bawić.
„Pozwól mi pobawić się piłką!” - krzyknęła córka,
budząc starca.*

*Mężczyzna obudził się i zdjął torbę, w której
trzymał światło dnia.
Światło owinięte było w skórę karibu,
rozgrzewaną od środka blaskiem dnia,
który chciał się wydostać na zewnątrz.*

*Kruk sięgnął myślą do głowy dziewczyny, sprawił,
by pchnęła światło dnia w stronę katak.
„Nie!” - krzyknął jej ojciec.*

*Piłka potoczyła się do katak,
wpadła do wejścia.*

*Tulunigraq czekał.
Złapał piłkę.
Uciekł na zewnątrz,
uciekł ze światłem dnia.*

*Kruk użył swego dzioba.
Rozerwał skórzaną piłkę.
Rozerwał światło dnia.
Mężczyzna z lodowego domu
ścigał go nad wzgórzami i lodem,
ale strażnik światła dnia nie był człowiekiem.
Był sokołem.
Pitqiktuak! - krzyknął Sokół,
„Zabiję cię, Oszuście!”.*

*Rzucił się na Kruka,
lecz wcześniej Kruk rozerwał piłkę.
Wstał Świt.
Światło rozlało się wszędzie.
Quagaa Siła! Wstał Świt!*

*Unukpuaq! Unukpuagmun! Ciemność! -
krzyczał Sokół.
Quagaa! Wszędzie światło! -
wołał Kruk.*

*Noc!
Dzień!
Ciemność!
Światło!
Noc!
Światło!*

*Krzyczeli bez wytchnienia.
Kruk wołał -
„Światło dnia dla świata!”.
„Światło dnia dla Prawdziwych Ludzi!”.
Nie może być tak,
że mamy jedno, a nie mamy drugiego.*

*I tak Kruk zaniósł światło dnia do jednych miejsc,
a Sokół zaniósł ciemność do innych.
Lecz zwierzęta wciąż ze sobą walczyły.
Dwaj Mężczyźni walczyli.
Rzucali w siebie światłem i ciemnością.
Dzień i noc weszły w stan harmonii.*

*Zima przychodzi po lecie.
Dwie połowy.
światło i ciemność, uzupełniają się nawzajem.
Życie i śmierć uzupełniają się nawzajem.
Ty i ja uzupełniamy się nawzajem.
Na zewnątrz Tuunbaq wędruje przez noc.
Tam gdzie się dotykamy, jest światło.*

Wszędzie panuje harmonia.

CROZIER

Wyruszają w długą podróż wkrótce po tym, jak słońce pokazuje się po raz pierwszy, ledwie na kilka minut, na południowym horyzoncie.

Crozier wie, że to nie powrót słońca był znakiem, który określił czas ich działania i zmusił go do rychłego podjęcia decyzji; tym znakiem była raczej gwałtowność zjawisk zachodzących na ciemnym niebie przez pozostałe dwadzieścia trzy godziny doby. Kiedy opuszczają na zawsze swój lodowy dom, migoczące pasma kolorowego światła rozwijają się nad nimi i zwijają niczym palce otwartej i zamkniętej pięści. Z każdym dniem i nocą zorza polarna nabiera mocy i wielkości.

Tym razem ich sanie są większe i wytrzymalsze od pojazdu, na którym Ciska wiozła go, gdy jeszcze nie mógł chodzić o własnych siłach. Płozy tych sań, prawie dwukrotnie dłuższe od płóz z ryb i foczej skóry, wykonane są z małych, starannie wystruganych kawałków drewna połączonych z kłami morsa. Płozy pokryte są od dołu płytkami z fiszbinu i kości, a nie pastą z torfu, choć Ciska i Crozier kilka razy dziennie obciążają je warstwą lodu. Poprzeczki wykonane są z rogów karibu oraz ostatnich kawałków drewna, jakie im zostały, a tylny kabłąk z dużego, wygiętego poroża i kłów morsa.

Skórzana uprząż przeznaczona jest dla dwojga ludzi - żadne z nich nie będzie jechało na saniach, chyba że się rozchoruje lub zrani - Crozier wie jednak, że Ciska zbudowała te sanie bardzo starannie w nadziei, że nim skończy się ten rok, będzie je ciągnął zaprzęg psów.

Jest w ciąży. Nie powiedziała o tym Crozierowi - ani za pomocą sznurka, ani za pomocą spojrzenia, ani w żaden inny widzialny sposób - bo nie musiała. Wiedziała, że sam to zrozumie. Crozier szacuje, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, dziecko urodzi się w miesiącu, który nazywał niegdyś lipcem.

Na saniach znajdują się wszystkie ich skóry i futra, sprzęt do gotowania, narzędzia, puszki Goldnera, zapasy zamrożonych ryb, mięso fok, morsów, lisów, zajęcy i pardw. Crozier wie jednak, że część tego mięsa przeznaczona jest na czasy, które mogą nigdy nie nadejść - przynajmniej dla niego. Niektóre mogą też być prezentami, w zależności od tego, co postanowi i co wydarzy się potem na lodzie. Wie, że jeśli podejmie pewną decyzję, oboje będą wkrótce pościć - choć, jeśli wszystko dobrze zrozumiał, tylko on musi pościć. Ciska przyłączy się do niego jedynie dlatego, że jest teraz jego żoną, i kiedy on nie będzie jadł, ona także tego nie robi. Jeśli jednak on umrze, ona zabierze sanie zjedzeniem i wróci do swej krainy, by żyć tam swoim życiem i wypełniać swoje obowiązki.

Całymi dniami wędrują na północ wzdłuż wybrzeża, omijając urwiska i zbyt strome wzgórza. Kilka razy muszą schodzić na lód, ale nie chcą przebywać tam zbyt długo. Jeszcze nie.

Lód pęka tu i ówdzie, ale szczeliny są krótkie i wąskie. Nie zatrzymują się obok tych szczelin ani obok połyni, by łowić ryby, lecz idą dalej, maszerują co najmniej dziesięć godzin na dzień, gdy tylko to możliwe, trzymając się lądu, choć oznacza to, że muszą częściej odświeżać warstwę lodu na płozach.

Wieczorem ósmego dnia zatrzymują się na wzgórzu i patrzą w dół, na gromadę rozświetlonych od środka śnieżnych kopuł.

Ciska poprowadziła ich tak, by podeszli do tej małej wioski pod wiatr, lecz jakiś pies uwiązany przed jednym z lodowych domów zaczyna wściekle ujać. Na szczęście inne nie przyłączają się do niego.

Crozier patrzy na rozświetlone budowle - jedna z nich to skomplikowana struktura, złożona z jednej dużej i kilku mniejszych kopuł połączonych wspólnymi przejściami. Sama myśl o takiej

społeczności, nie mówiąc już o widoku, sprawia Crozierowi nieokreślony ból.

Z głębi doliny dochodzi przytłumiony przez warstwę lodu i skór radosny ludzki śmiech.

Wie, że mógłby tam teraz zejść i poprosić tych ludzi, by pomogli mu odnaleźć drogę do obozu ratunkowego i jego ludzi; wie, że to wioska grupy należącej do szamana, który uciekł spod łuf żołnierzy Farra i Hodgsona, i że jest to rodzina Cisy, podobnie jak ośmioro zamordowanych kobiet i mężczyzn.

Mógłby zejść na dół i poprosić ich o pomoc. Wie, że Cisa poszłaby za nim i przetłumaczyła wszystko za pomocą sznurka. Jest jego żoną. Wie też, że istnieje spore prawdopodobieństwo, iż jeśli nie robi tego, co powinien zrobić na lodzie, to bez względu na to, że jest mężem Cisy, i bez względu na miłość i szacunek, jakim darzą ją jej krewni, Eskimosi mogą przywitać go uśmiechami i radosnymi okrzykami, a potem, kiedy będzie spał, zarzucą mu na głowę worek i będą dźgać nożami, zarówno kobiety, jak i mężczyźni, dopóki nie umrze. Śnił o swej krwi spływającej na biały śnieg.

A może nie. Może Cisa nie wie, co się wydarzy. Jeśli śniła o tej przyszłości, to nie powiedziała mu o tym za pomocą gestów i sznurka ani nie dzieliła z nim tych snów.

Tak czy inaczej nie chce tego sprawdzać. Ta wioska, ta noc, jutrzejszy dzień - nim jeszcze postanowi, co robi ze swym życiem - nie jest jego najbliższą przyszłością, bez względu na to, jak ta przyszłość ma wyglądać.

Crozier skłania lekko głowę w jej stronę, po czym oboje odwracają się od wioski i ciągną sanie dalej na północ.

Podczas długich nocy i dni podróży - kiedy chcą spać, mocują tylko na pałaku skórę karibu, która służy im za daszek, i przytuleni do siebie okrywają się kilkoma futrami - Crozier ma dużo czasu na rozmyślanie.

Przez ostatnie kilka miesięcy, być może dlatego, że nie miał z kim rozmawiać - przynajmniej za pomocą zwykłego, wypowiedzanego na głos języka - nauczył się, jak pozwalać różnym częściom swego umysłu i serca przemawiać tak, jakby były to różne osoby lub dusze. Jedną z nich, jego starszą, zmęczoną duszą, wie, że nie zdał żadnego z egzaminów, jakim został poddany. Jego ludzie - ludzie, którzy mu zaufali, których miał doprowadzić bezpiecznie do domu - zostali zabici lub rozproszeni. Jego umysł ludzi się nadzieja, że niektórzy z nich przeżyli, lecz w głębi serca wie, że ludzie, którzy wtargnęli do krainy *Tuunbaqa*, już nie żyją, a ich kości leżą porzucone na jakiejś nienazwanej plaży lub pustej krze. Zawiódł ich wszystkich.

Jedyne, co może teraz zrobić, to pójść ich śladem.

Crozier nie ma jeszcze pojęcia, gdzie się znajduje, choć z każdym dniem umacnia się w przekonaniu, że spędzili minioną zimę na zachodnim wybrzeżu dużej wyspy położonej na północny wschód od Wyspy Króla Williama, niemal na tej samej szerokości geograficznej co Obóz *Terror* i sam *Terror*, choć odległej od tych miejsc co najmniej o sto mil. Gdyby chciał wrócić na *Terror*, musiałby iść na zachód, przez zamrożone morze i mniejsze wyspy, potem przez północną część Wyspy Króla Williama, a potem kolejne dwadzieścia pięć po lodzie, choć wcale nie ma pewności, że okręt, który opuścił ponad dziesięć miesięcy wcześniej, wciąż jest na swoim miejscu.

Nie chce wracać na *Terror*.

Przez ostatnie miesiące Crozier nauczył się dość dużo o życiu w lodowej krainie, by wyruszyć w samotną wędrówkę. Wierzy, że gdyby miał dość czasu, znalazłby drogę do obozu ratunkowego, a nawet do ujścia Rzeki Backa, polując po drodze i w razie potrzeby budując domy z lodu lub namioty ze skór, które osłonią go przed wiatrem i śniegiem. Może odszukać swoich ludzi albo chociaż ich ślady, nawet gdyby miało to trwać kilka lat.

Cisza pójdzie z nim, jeśli wybierze tę drogę - wie, że to robi - nawet jeśli będzie to dla niej oznaczało śmierć wszystkiego, czym jest, i wszystkiego, dla czego tu żyje.

Ale nie poprosiłby jej o to. Gdyby miał wyruszyć na południe w poszukiwaniu swej załogi, poszedłby sam, bo podejrzewa, że pomimo wszystkich nowo nabytych umiejętności zginąłby podczas tych poszukiwań. Jeśli nie umrze na lodzie, może zginąć w nurcie rzeki. Jeśli nie zabije go rzeka ani choroby, może spotkać na swej drodze grupy wrogo nastawionych Eskimosów albo Indian zamieszkujących północne obszary Kanady. Anglicy - szczególnie starzy arktyczni weterani - lubią wierzyć, że Eskimosi to prymitywni, lecz miłujący pokój ludzie, którzy rzadko wpadają w gniew i unikają wszelkich sporów. Crozier widział jednak prawdę w swoich snach: Eskimosi to ludzkie istoty, równie nieprzewidywalne jak każda inna ludzka rasa i równie często uciekające się do przemocy, a w ciężkich czasach nawet do kanibalizmu.

Wie, że znacznie krótsza i bezpieczniejsza droga do ocalenia wiedzie na wschód. Gdyby wyruszył tam, nim jeszcze lód popęka tego lata - jeśli popęka - przeszedł przez półwysep Boothia na jego wschodnie wybrzeże, a potem skierował się na północ, dotarłby do Fury Beach. Tam musiałby tylko poczekać na jakiś statek wielorybiczny lub ratunkowy. Miałby wtedy naprawdę spore szanse na ocalenie.

Co robi jednak dalej, kiedy wróci już do cywilizacji... do Anglii? Sam. Zawsze będzie komandorem, który pozwolił wszystkim swym ludziom zginąć. Z pewnością stanąłby przed sądem wojkowym, a ten bez wątpienia wydałby wyrok skazujący. Gdyby nawet kara była łagodna, do końca swych dni żyłby z piętnem tchórza i zdrajcy.

Jednak nawet świadomość owej nieuchronnej hańby nie odwiodłaby go od wędrówki na wschód. Jest jeszcze coś innego.

Kobieta obok niego nosi jego dziecko.

Ze wszystkich niepowodzeń, jakich doznał w swym życiu, najbardziej boli i przeraża go fakt, że zawiódł jako mężczyzna.

Ma teraz prawie pięćdziesiąt trzy lata i do tej pory kochał naprawdę tylko raz - oświadczył się rozpieszczonemu dziecku, niegodziwej dziewczynie-kobiecie, która najpierw się z nim droczyła, a potem wykorzystała go dla własnej przyjemności, tak jak marynarze wykorzystują dziewczyny z portu. Nie, pomyślał, tak jak ja wykorzystywałem dziewczyny.

Każdego ranka, a często także w nocy, budzi się obok Ciszy, wyśniwszy jej sny, wiedząc, że ona śniła jego, czując obok siebie jej ciepło, czując, jak reaguje na to ciepło. Każdego dnia zanurzają się razem w zimnym świetle i razem walczą o życie - wykorzystując jej wiedzę i umiejętności do polowania na inne dusze, do zjadania innych dusz, by ich dwie dusze, duchy życia, mogły nadal trwać.

Ona nosi nasze dziecko. Moje dziecko.

Ale to nie ma żadnego związku z decyzją, którą musi podjąć w ciągu kilku najbliższych dni.

Ma prawie pięćdziesiąt trzy lata, a wymaga się od niego, by uwierzył w coś tak niedorzecznego, że chce mu się śmiać na samą myśl o tym absurdzie. Wymaga się od niego - jeśli dobrze rozumie sznurkowe obrazy i sny, a wydaje mu się, że tak właśnie jest - by *zrobił* coś tak strasznego i bolesnego, że nawet jeśli to doświadczenie go nie zabije, to może doprowadzić go do obłądzenia.

Musi wierzyć, że ten obłąkany pomysł jest dlań najlepszym rozwiązaniem. Musi wierzyć, że ze względu na swe sny - zwykłe sny - i miłość do tej kobiety powinien zapomnieć o zdrowym rozsądku, o całym swym dotychczasowym życiu, i stać się...

Stać się czym?

Kimś i czymś innym.

Ciągnąc wraz z Ciszą sanie, maszerując w równym rytmie pod niebem rozświetlonym feerią barw, przypomina sobie, że Francis Rawdon Moira Crozier nie wierzy w nic.

A jeśli już musiałby wskazać coś, w co wierzy, byłby to Lewiatan Hobbesa.

Życie ludzkie wypełnia samotność, bieda, podłość, cierpienie i przemijanie.

Żaden rozsądny człowiek nie może temu zaprzeczyć. Francis Crozier pomimo niezwyklej snów, zastanawiających bólów głowy i gotowości do przyjęcia nowej dziwnej wiary pozostaje rozsądnym człowiekiem.

Jeśli ktoś, kto siedzi sobie wygodnie w angielskim domu przy kominku, w którym wesoło trzaska ogień, świadom jest, że ludzkie życie wypełnia samotność, bieda, podłość, cierpienie i przemijanie, to trudno, by nie zgodził się z tym ktoś, kto ciągnie sanie wyładowane zamrożonym mięsem i futrami przez nienazwaną wyspę, pod oszalałym arktycznym niebem, tysiące mil od najbliższej cywilizowanej osady.

I zmierza ku przeznaczeniu, którego woli sobie nawet nie wyobrażać.

Po pięciu dniach wędrówki wzdłuż wybrzeża docierają do krańca wyspy, a Cisza prowadzi ich na północny wschód, na zamrożone morze. Posuwają się tutaj znacznie wolniej - muszą radzić sobie z wałami lodowymi i ruchomymi fragmentami kry - i pracują znacznie ciężiej. Muszą też uważać, by nie uszkodzić sań. Na piecyku na foczy tłuszcz topią śnieg, by mieć świeżą wodę do picia, nie zatrzymują się jednak na polowanie, choć Cisza raz po raz pokazuje mu miejsca, gdzie pod śniegiem kryją się focze nory.

Dni wciąż są bardzo krótkie, słońce wysuwa się zza horyzontu zaledwie na jakieś pół godziny, choć Crozier nie może dokładnie tego zmierzyć. Jego zegarek zniknął wraz z ubraniami po tym, jak postrzelił go Hickey, a Cisza uratowała od pewnej śmierci.

Wtedy umarłem po raz pierwszy, myśli.

Teraz wymaga się od niego, by umarł ponownie - by uśmiercił swoje stare ja i stał się kimś innym.

Ilu ludzi otrzymuje taką drugą szansę? Ilu komandorów, którzy widzieli, jak stu dwudziestu pięciu ludzi pod ich komendą umiera lub znika, chciałoby skorzystać z takiej szansy?

Mógłbym zniknąć.

Każdego wieczora, kiedy rozbiera się do snu, Crozier widzi przerażające blizny na swojej ręce, piersiach, brzuchu i nodze, wyczuwa pod ręką i wyobraża sobie, jak wyglądają jego zmasakrowane plecy. Te blizny mogłyby stać się dlań kluczem do wolności, mogłyby tłumaczyć, dlaczego nie chce lub nie może mówić o przeszłości.

Może przejść na drugą stronę Boothii, polować i łowić ryby w ciepłych wodach przy tamtejszym wybrzeżu, ukrywać się przed angielskimi okrętami i czekać na jakiś amerykański statek wielorybiczny. Mógłby tego dokonać, nawet gdyby musiał czekać dwa lub trzy lata. Był tego pewien.

A później, zamiast wracać do domu do Anglii - czy Anglia kiedykolwiek była dlań prawdziwym domem? - może powiedzieć swym amerykańskim wybawcom, że nie pamięta, co się z nim stało ani na jakim statku płynął - na dowód może pokazać swe straszliwe rany - i popłynąć wraz z nimi do Ameryki. Tam może zacząć zupełnie nowe życie.

Hu ludzi w jego wieku otrzymuje taką szansę? Wielu na pewno chciałoby ją wykorzystać.

Czy Cisza poszłaby z nim? Czy znosiłaby ciekawskie spojrzenia i śmiech żeglarzy, a później złośliwe uwagi i szept „cywilizowanych” Amerykanów w jakimś mieście w Nowej Anglii lub w Nowym Jorku? Czy zamieniłaby swe futra na perkalowe suknie, wiedząc, że resztę życia spędzi w obcym kraju pośród obcych ludzi?

Zrobiłaby to.

Crozier jest tego pewien.

Poszłaby za nim. I umarłaby tam - bardzo szybko. Umarłaby od wszystkich tych nikczemnych, małostkowych, niegodziwych myśli, które wlewałyby się w nią tak, jak trucizna z puszek Goldnera wlała się w Fitzjamesa - niewidzialna, ohydna, śmiercionośna.

Tego też jest pewien.

Ale Crozier mógłby wychować swego syna w Ameryce i prowadzić nowe życie w tym niemal cywilizowanym kraju. Być może zostałby komandorem jakiegoś prywatnego żaglowca. Zawiódł na całej linii jako komandor Królewskiej Marynarki Wojennej i Służby Badawczej, jako oficer i dżentelmen - cóż, właściwie dżentelmenem nie był nigdy - ale w Ameryce nikt nie musiałby o tym wiedzieć.

Nie, nie, dowodząc dużym żaglowcem, musiałby zawijać do miejsc i portów, w których ktoś mógłby go rozpoznać. Gdyby do tego doszło, zostałby powieszony za dezercję. Ale mały statek rybacki... przystań w jakimś niewielkim miasteczku w Nowej Anglii, amerykańska żona, która czekałaby nań w porcie i wychowywała jego dziecko po śmierci Ciszy...

Amerykańska żona?

Crozier zerka na Ciszę, która maszeruje obok niego, pochylona w uprzęży. Kolorowy blask zorzy polarnej kładzie się na jej futrzanej kurtce. Nie patrzy na niego. Crozier jest jednak pewien, że wie, o czym myśli. A jeśli nie wie tego teraz, to dowie się później, kiedy razem ułożą się do snu i razem będą śnić.

Nie może wrócić do Anglii. Nie może popłynąć do Ameryki.

Lecz alternatywa...

Wzdryga się i naciąga mocniej futrzany kaptur, który zatrzymuje ciepło jego oddechu i ciała.

Francis Crozier w nic nie wierzy. *Życie ludzkie wypełnia samotność, bieda, podłość, cierpienie i przemijanie.* Życie nie ma żadnego planu, żadnego celu, żadnych tajemnic, które rekompensowałyby wszystkie cierpienia i niedostatki. Nic, czego się nauczył i dowiedział w ciągu minionych sześciu miesięcy, nie skłoniło go do zmiany zdania w tej kwestii.

Czyżby?

Razem ciągną sanie po szorstkim lodzie, coraz dalej i dalej od stałego lądu.

Zatrzymują się ósmego dnia wędrówki.

To miejsce nie różni się niczym od wielu innych miejsc, które mijali w ciągu minionego tygodnia - jest może nieco bardziej płaskie, może z lodu wyrasta tu trochę mniej gór i wałów, ale poza tym wygląda całkiem zwyczajnie. Crozier widzi w oddali kilka małych połyni - plamy ciemnej wody wyglądają jak skazy na białej skórze lodu - i kilka wąskich szczelin, które w każdej chwili mogą się zamknąć lub szerzej otworzyć. Wydaje się, że tym razem lato przyniesie ze sobą prawdziwą odwilż, choć Crozier wcale nie jest tego taki pewien - wie z doświadczenia, że prawdziwa wiosna nadchodzi dopiero pod koniec kwietnia albo później i że dopiero wtedy można się przekonać, czy lód rzeczywiście popęka, czy też nie.

Na razie jednak mają wokół siebie mnóstwo obszarów otwartej wody i foczych nor, przypuszczalnie mogliby nawet upolować morsa lub narwala, ale Cisza nie jest zainteresowana polowaniem.

Oboje wychodzą z uprzęży i rozglądają się dokoła. Zatrzymali się podczas owego krótkiego okresu w środku dnia, kiedy słońce wysuwa się znad południowego horyzontu.

Cisza staje przed Crozierem, ściąga jego rękawice, a potem ściąga własne. Wiatr jest bardzo zimny, nie powinni więc odsłaniać dłoni na dłużej niż minutę, lecz przez tę minutę Cisza trzyma go

mocno za ręce i patrzy mu w oczy. Spogląda na wschód, potem na południe, a potem znów na niego.

Pytanie jest aż nadto oczywiste.

Crozier czuje, jak serce wali mu w piersiach. Nie przypomina sobie, by kiedykolwiek w dorosłym życiu - z pewnością nie wtedy, gdy wpadł w zasadzkę Hickeya - był równie przerażony.

- Tak - mówi.

Cisza wkłada rękawice i zaczyna rozpakowywać sanie.

Kiedy Crozier pomaga jej przekładać rzeczy na lód, a potem rozbierać same sanie na części, zastanawia się po raz kolejny, jak Cisza znalazła to miejsce. Wiedział już, że choć czasami odnajduje właściwą drogę, kierując się położeniem księżyca lub gwiazd, częściej zwraca po prostu uwagę na otoczenie i elementy krajobrazu. Nawet na obszarze pozbawionym na pozór jakichkolwiek charakterystycznych cech liczy śnieżne zasy i wały lodowe, zapamiętując nawet, w jakim kierunku biegną te wały. Podobnie jak Cisza, Crozier zaczął odmierzać czas nie dniami, lecz przerwami na sen - ile razy zatrzymali się, by spać, bez względu na porę dnia czy nocy.

Tutaj, na paku, bardziej niż kiedykolwiek zdawał sobie sprawę z subtelnych różnic między poszczególnymi rodzajami lodu - działało się tak zapewne również dzięki temu, że znał myśli Ciszy. Teraz dostrzega otwarte pasma wody z odległości wielu mil; wystarczy, że chmury nad ową szczeliną są odrobinę ciemniejsze od otoczenia. Unika niebezpiecznych, lecz niewidocznych szczelin i obszarów zmurszałego lodu niemal mimowolnie, nawet tego nie zauważając.

Ale dlaczego właśnie to miejsce? Skąd wiedziała, że mają przyjść właśnie tutaj, by zrobić to, co zamierzali zrobić?

Co ja zamierzam zrobić, uświadamia sobie, a jego serce znów zaczyna bić szybciej.

Ale jeszcze nie teraz.

W przygasającym szybko świetle dnia łączą elementy rozmontowanych częściowo sań, budując z nich szkielet małego namiotu. Będą tu tylko przez kilka dni - chyba że Crozier zostanie tu na zawsze - nie szukają więc miejsca, w którym mogliby wznieść dom z lodu, ani nie tracą energii na konstruowanie dużego i wygodnego namiotu. Ten im wystarczy.

Kilka skór umocowanych na szkielecie tworzy zewnętrzne poszycie namiotu, większość wędruje do środka.

Podczas gdy Crozier układa na podłodze skóry i futra, Cisza pozostaje na zewnątrz, gdzie wycina z lodu niewielkie bloki i buduje z nich niski mur, chroniący namiot przed północno-zachodnim wiatrem.

Uporawszy się z tym zadaniem, dołącza do Croziera i pomaga mu rozstawić w przedsionku namiotu lampę na foczy olej oraz kratkę z rogów karibu. Rozpalają lampę i topią śnieg na wodę do picia, później rozwieszają i suszą na kratce wilgotne ubrania. Wiatr okrywa warstwą śniegu porzucone sanie, które teraz składają się właściwie tylko z płóz i kilku poprzeczek.

Przez trzy dni oboje poszczą. Piją dużo wody, by oszukać głód. Każdego dnia opuszczają namiot na długie godziny, by ćwiczyć i rozładować nieco napięcie.

Crozier rzuca do wielkich lodowych bloków obydwoma harpunami i obiema lancami; Cisza zabrała je niegdyś z miejsca, gdzie podwładni Croziera urządzili masakrę jej rodziny, a później, przed kilkoma miesiącami, przygotowała po jednym ciężkim harpunie i lżejszej lancy dla każdego z nich.

Teraz Crozier rzuca harpunem z taką siłą, że jego ostrze wnika na dziesięć cali w lodowy blok.

Cisza podchodzi bliżej i ściąga kaptur, przyglądając mu się uważnie w migotliwym blasku zorzy polarnej.

Crozier kręci głową i próbuje się uśmiechnąć.

Nie umie pokazać: Czyż nie tak traktujecie swoich wrogów? - przytula ją więc tylko niezdarnie, jakby chciał ją zapewnić, że w najbliższym czasie nie zamierza używać tej broni przeciwko komukolwiek ani czemukolwiek.

Nigdy nie widział takiej zorzy polarnej.

Przez cały dzień i noc kaskady barwnego światła tańczą od horyzontu do horyzontu, a centralny punkt tego przedstawienia znajduje się dokładnie na środku nieboskłonu. W ciągu wielu lat podróży w okolice bieguna północnego i południowego Crozier nigdy nie widział niczego, co choćby trochę przypominało tę eksplozję światła. W ciągu trwającego niecałą godzinę dnia ten powietrzny spektakl jest niemal równie intensywny jak nocą.

Jakby tego było mało, niezwykłym efektem wizualnym towarzyszą efekty dźwiękowe.

Wszędzie wokół nich lód jęczy, trzaska i zgrzyta, spod jego powierzchni raz po raz wydobywają się huki przypominające artyleryjską kanonadę.

Zdenerwowany długim wyczekiwaniem Crozier z trudem znosi te hałasy i ruchy lodu, na którym stoi ich namiot. Śpi teraz w kurtce i raz po raz wychodzi przed namiot, pewien, że ich kra zaraz pęknie na pół.

Nic takiego się nie dzieje, choć od czasu do czasu w odległości kilkudziesięciu jardów od ich namiotu pojawiają się szczeliny, które wkrótce potem zamykają się z trzaskiem i znikają.

Ostatniej nocy swego starego życia Crozier śpi bardzo niespokojnie - głód sprawia, że przenika go zimno, którego nie może przegnać nawet ciepło ciała Ciszy - i śni, że Cisza śpiewa.

Huki i trzaski pękającego lodu zamieniają się w rytmiczne bicie bębnow, które stanowią tło dla jej wysokiego, słodkiego i smutnego głosu:

Ayaa, yaa, yapape!

Ayaa, yaa, yapape!

Aja-ja, aja-ja-ja...

Aji,jai,ja...

Powiedz mi, czy życie na ziemi było takie piękne?

Oto jestem tu wypełniony radością,

Ilekróć świt wstaje nad ziemią.

A wielkie słońce

Wyływa na niebo.

Lecz tam, gdzie jesteś ty,

Leżę i drżę ze strachu

przed robactwem i larwami,

Przed morskimi stworzeniami bez dusz,

Które wgryzają się w mój obojczyk

I wyjadają me oczy.

Aji,jai,ja...

Aja-ja, aja-ja-ja...

Ayaa, yaa, yapape!

Ayaa, yaa, yapape!

Crozier budzi się zlany potem. Widzi, że Cisza już nie śpi i przygląda mu się z uwagą. W chwili czystej grozy uświadamia sobie, że to nie jej głos śpiewał mu przed chwilą pieśń zmarłego człowieka - dosłownie pieśń zmarłego człowieka dla jego poprzedniego ja - lecz głos jego nienarodzonego jeszcze syna.

Crozier i jego żona wstają i ubierają się w ciszy. Na zewnątrz, choć być może jest to już poranek, wciąż trwa noc, noc rozświetlana feerią barw.

Trzaski pękającego lodu wciąż przypominają bicie bębnów.

Zostało mu tylko poddanie się lub śmierć. Albo jedno i drugie.

Przez całe życie, jako chłopiec i jako mężczyzna, którymi był ponad pięćdziesiąt lat, wolałby raczej umrzeć, niż się poddać. Mężczyzna, którym był teraz, wolałby raczej umrzeć, niż się poddać.

Lecz czymże jest śmierć, jeśli nie ostateczną kapitulacją? Błękitny płomień w jego piersiach nie przyjmie żadnego z tych rozwiązań.

W ciągu minionych tygodni, które spędził w lodowym domu, pod warstwą futer, poznał inny rodzaj poddania. Kapitulacji będącej rodzajem śmierci. Przemianą własnego ja w coś innego, co nie jest już tym ja ani jego zaprzeczeniem.

Jeśli dwoje tak różnych ludzi, którzy nie znają nawet wspólnego języka, może śnić te same sny, to być może - abstrahując nawet od treści snów i wszystkich innych dziwnych wydarzeń - inne rzeczywistości także się ze sobą łączą.

Crozier bardzo się boi.

Wychodzą z namiotu ubrani tylko w buty, krótkie skórzane spodnie, nogawice i cienkie koszule ze skóry karibu, które wkładają czasem pod kurtki. Jest bardzo zimno, ale wiatr ucichł jeszcze za dnia, gdy na niebie pojawiło się na chwilę słońce.

Crozier nie ma pojęcia, która właściwie jest godzina. Słońce zniknęło za horyzontem wiele godzin wcześniej, a od tego czasu jeszcze nie spali.

Lód pęka przy akompaniamencie rytmicznych trzasków. W pobliżu otwierają się nowe szczeliny.

Zorza polarna rozświetla nieboskłon od rozgwieżdżonego zenitu po poszarpany horyzont, rozsyła fale barwnego blasku na północ, wschód, południe i zachód. Wszystkie istoty żywe i martwe, łącznie z białym człowiekiem i śniadą kobietą, mienia się szkarłatem, fioletem, żółcią i błękitem.

Crozier opada na kolana i odchyła głowę do tyłu.

Cisza stoi nad nim, pochylona lekko, jakby obserwowała foczą norę.

Crozier trzyma wyprostowane ręce wzdłuż tułowia, tak jak go tego nauczyła, Cisza chwytą go jednak mocno za ramiona. Mimo dojmującego zimna nie nosi rękawic.

Pochyla głowę i otwiera szeroko usta. Crozier otwiera swoje. Ich wargi niemal się dotykają.

Cisza bierze głęboki oddech, zamyka jego usta swoimi i zaczyna dmuchać prosto do jego gardła.

W tym właśnie miejscu - kiedy ćwiczyli podczas długiej zimowej ciemności - Crozier miał największe problemy. Wdychanie oddechu innego człowieka jest jak tonięcie.

Sztynniejąc na całym ciele, stara się nie zakrzusić, nie odsunąć. Poddaj się, myśli.

Kattajjaą. Pirkusirtuk. Nipaąuhiit. Wszystkie te dziwne imiona, które pamięta ze swoich snów. Wszystkie słowa, którymi Prawdziwi Ludzie zamieszkujący północną krainę lodu określają to, co właśnie robi z Ciszą.

Zaczyna od krótkiej rytmicznej serii dźwięków.

Gra na jego strunach głosowych jak na kilku zebranych w jednym miejscu instrumentach stroikowych.

Dźwięki wydobywające się z jego gardła wypływają nad lód i łączą się z trzaskaniem lodu i pulsowaniem zorzy polarnej.

Cisza powtarza ten sam rytmiczny motyw, ale tym razem robi krótkie pauzy między poszczególnymi nutami.

Crozier nabiera jej oddech ze swych płuc, dodaje własny i dmucha w jej otwarte usta.

Cisza nie ma języka, ale jej struny głosowe są nietknięte. Dźwięki, które wydają, poruszone jego oddechem, są wysokie i czyste.

Ona wydobywa muzykę z jego gardła. On budzi muzykę w niej. Początkowy, rytmiczny motyw przyspiesza, nakłada się na siebie, rozpędza. Dźwięki stają się coraz głośniejsze i coraz bardziej różnorodne - czasami przypominają flet lub obój, czasami brzmią jak ludzki głos, czasami są do niego zupełnie niepodobne.

Co jakieś trzy minuty milkną na moment, by zaczerpnąć oddechu. Wiele razy podczas ćwiczeń wybuchali w tym momencie śmiechem - Cisza przekazała mu za pomocą sznurka, że kiedy była to tylko zabawa dla kobiet, obie śpiewaczki zawsze próbowały się nawzajem rozśmieszać - jednak tego wieczora nie było miejsca na śmiech.

Muzyka rozbrzmiewa na nowo.

Dźwięki upodabniają się do pieśni śpiewanej ludzkim głosem, głębokim basem i sopranem jednocześnie. Dmuchając sobie nawzajem w struny głosowe, mogą nawet wymawiać słowa, a Cisza właśnie to robi - wyśpiewuje słowa w rozpalonej zorzą nocy; gra na jego gardle i strunach głosowych jak na skomplikowanym instrumencie, a słowa nabierają kształtów.

Improwizują. Kiedy jedno z nich zmienia rytm, drugie musi się do tego dostosować. Crozier wie już, że pod tym względem ów niezwykle śpiew bardzo przypomina cielesną miłość.

Crozier wykorzystuje przestrzeń ukrytą między dźwiękami do zaczerpnięcia powietrza, dzięki czemu mogą śpiewać bez przerwy dłużej i wydawać czystsze, głębsze dźwięki. Rytm przyspiesza, niemal dochodzi do punktu kulminacyjnego, później zwalnia, a potem znów przyspiesza. Jedno musi nadążyć za drugim, jedno zmienia tempo i rytm, drugie dostosowuje się niczym posłuszny kochanek, a później przejmuje inicjatywę. Grają w ten sposób na własnych gardłach przez godzinę, potem przez następne dwie, czasami nie przerywają dla nabrania powietrza nawet przez dwadzieścia minut.

Bołą go mięśnie przepony. Gardło pali żywym ogniem. Dźwięki i rytm są teraz tak złożone, jakby wygrywało je kilkanaście instrumentów naraz, równie skomplikowane i splecione jak sonata lub symfonia.

Crozier pozwala jej prowadzić. Jeden głos, który z siebie wydają, dźwięki i słowa, które wypowiadają jego gardłem, są w rzeczywistości jej słowami. On się poddaje.

W końcu Cisza milknie i klęka obok niego. Oboje są zbyt zmęczeni, by trzymać głowy prosto. Dyszą jak psy po kilkumilowym biegu.

Lód przestał jęczeć i trzaskać. Wiatr ucichł. Zorza polarna pulsuje wolniej.

Cisza dotyka jego twarzy, wstaje i odchodzi do namiotu, starannie zasłaniając za sobą otwór wejściowy.

Crozier znajduje w sobie dość sił, by wstać i zrzucić resztę ubrań. Nagi nie czuje zimna.

Trzydzieści stóp dalej w lodzie otworzyła się szczelina. Crozier idzie w jej stronę. Jego serce wciąż wali jak oszalałe.

Gdy od szczeliny dzieli go nie więcej niż sześć stóp, ponownie opada na kolana, zwraca twarz ku niebu i zamyka oczy.

Słyszy, jak potwór wynurza się z wody zaledwie kilka stóp od niego, słyszy zgrzytanie jego pazurów o lód i ciężki oddech, słyszy, jak lód jęczy pod jego ciężarem, nie opuszcza jednak głowy ani nie otwiera oczu. Jeszcze nie.

Woda, która wypłynęła na lód, obmywa jego nagie kolana. Crozier trwa w bezruchu.

Czuje zapach wilgotnego futra, zapach zwierzęcego ciała, smród dna oceanu, czuje, jak pada na niego cień, ale nie otwiera oczu. Jeszcze nie.

Dopiero gdy jego skóra pokrywa się gęsią skórą, gdy wyczuwa otaczającą go masę, gdy jego

twarz owiewa oddech drapieżnika, unosi powieki.

Ociekające wodą futro jest niczym wilgotna szata kapłana. Blizny po poparzeniach na białym tle. Zęby. Czarne oczy zawieszone trzy stopy nad nim i wpatrzone w niego, oczy drapieżnika szukającego jego duszy... sprawdzające, czy ma duszę. Olbrzymia trójkątna głowa opuszcza się niżej i przesłania pulsujące niebo.

Poddając się tylko ludzkiej istocie, z którą chce być, i ludzkiej istocie, którą chce zostać - nigdy *Tuunbaqozoi* albo wszechświatowi, który zgasiłby błękitny płomień w jego piersiach - ponownie zamyka oczy, odchyła głowę do tyłu, otwiera usta i wystawia język, dokładnie tak, jak uczyła go tego Memo Moira, gdy miał przyjąć komunię.

TALIRIKTUG

69°30' szerokości geograficznej północnej, 99° długości geograficznej zachodniej. 28 maja 1851.

Wiosną roku, w którym urodziło się ich drugie dziecko, dziewczynka, składali wizytę rodzinie Silny w grupie Ludzi Chodzących Z Bogiem, dowodzonej przez starego szamana Asiajuka, kiedy goścący w osadzie myśliwy o imieniu Inupijuk powiedział im, że grupa Prawdziwych Ludzi daleko na północy otrzymała *aituserk*, prezenty, drewno, metal i inne cenne przedmioty martwych *kabloona* - białych ludzi.

Taliriktug zwrócił się do Asiajuka, posługując się językiem gestów, ten zaś przetłumaczył je na pytania dla Inupijuka. Wyglądało na to, że ów skarb to noże, widelce i inne przedmioty z łodzi *Erebusa* i *Terroru*, Asiajuk wyszeptał do Taliriktuga i Silny, że Inupijuk jest qavac, co dosłownie oznacza „człowieka z południa”, lecz w języku Inuktitut sugeruje także głupotę. Taliriktug skinął głową na znak, że rozumie, nadal jednak zadawał pytania, które posępny szaman przekazywał uśmiechającemu się głupio myśliwemu. Taliriktug wiedział, że przyczyną dziwnego zachowania Inupijuka może być po części fakt, iż nigdy dotąd nie miał on do czynienia z *sixam ieua* i nie był pewien, czy Taliriktug i Silna to ludzkie istoty.

Ze słów myśliwego wynikało, że skarb *kabloona* naprawdę istniał. Taliriktug i jego żona wrócili do swojego *iglu*, gdzie ona karmiła dziecko, a on rozmyślał o tym, co przed chwilą usłyszał. Kiedy podniósł wzrok, Silna mówiła do niego za pomocą sznurka.

Powinniśmy ruszyć na południe, pokazywał sznurek rozpięty między jej palcami. Jeśli chcesz. Skinął głową.

Inupijuk zgodził się zaprowadzić ich do południowo-wschodniej wioski, a Asiajuk postanowił, że pójdzie z nimi - co było rzeczą niezwykłą, gdyż stary szaman rzadko i niechętnie wybierał się w dalekie podróże. Asiajuk zabrał ze sobą najlepszą żonę, Mewę - młodą Nauję z wielkimi piersiami - która także nosiła na swym ciele liczne blizny, pamiątkę po spotkaniu z *kabloona*. Mewa i szaman jako jedyni uszli z życiem z tej masakry, lecz dziewczyna nie czuła żadnej urazy do Taliriktuga; była raczej ciekawa, jaki los spotkał ostatnich *kabloona*, którzy - jak wszyscy wiedzieli - trzy lata wcześniej zeszli na lód i wyruszyli na południe.

Sześciu myśliwych z grupy Ludzi Chodzących Z Bogiem także chciało z nimi iść - głównie z ciekawości i by polować po drodze, gdyż tej wiosny lód w cieśninie pękał wyjątkowo wcześnie - w końcu postanowiono, że wszyscy wsiądą do łodzi i popłyną pasmami otwartej wody, które otwierały się wzdłuż wybrzeża.

Taliriktug, Silna i ich dzieci płynęli - podobnie jak czterech spośród sześciu myśliwych - w swych długich podwójnych kajakach, lecz Asiajuk był już zbyt stary i piastował zbyt wysoką godność, by machać wiosłem w kajaku. Siedział więc wraz z Naują pośrodku wielkiej żaglowej *umiak*, podczas gdy dwaj młodzi myśliwi pracowali przy wiosłach. Kiedy nie było wiatru, wszyscy cierpliwie czekali na *umiak*, gdyż w długiej na trzydzieści stóp łodzi znajdowało się dość zapasów świeżej żywności, by nie musieli zatrzymywać się na polowanie. Wielka łódź wiozła też sanie *kamatik*, na wypadek gdyby musieli wędrować po lądzie, a także myśliwego Inupijuka i sześć *qimmiq* - psów.

Choć Asiajuk wielkodusznie zaproponował Silnie, by przesiadła się wraz ze swymi dziećmi do *umiak*, dziewczyna odpowiedziała mu za pomocą sznurka, że woli jednak swój kajak. Taliriktug wiedział, że jego żona nigdy nie zgodziłaby się, by którekolwiek z jej dzieci - z pewnością nie

Kanneyuk, dwumiesięczna dziewczynka - przebywało tak blisko psów, i to na tak ograniczonej przestrzeni. Ich dwuletni syn, Tuugaq - „Kruk” - nie bał się psów, ale rodzice i tak woleli zatrzymać go przy sobie; siedział w kajaku, w niewielkim skrawku wolnej przestrzeni między Taliriktugiem i Silną. Małeńka Kanneyuk (której sekretne imię *sixam ieua* brzmiało Arnaaluk) leżała w *amoutiq* Silny, wielkim kapturze przeznaczonym do noszenia dzieci.

Wyruszyli w drogę o poranku, a gdy odbijali od brzegu, piętnastu pozostałych członków grupy Ludzi Chodzących Z Bogiem śpiewało im pożegnalną pieśń:

Ai yei yai ya na

Ye he ye ye yi yan e ya quana

Ai ye yi yai yana.

Drugiego wieczora, na dzień przed tym, jak ich łódzie miały zmienić kurs i ruszyć na południe, oddalając się od angilak ąikiątaą, czyli „największej wyspy”, którą James Ross przed wielu laty nazwał Ziemią Króla Williama, ignorując przy tym fakt, że tubylcy wielokrotnie określali ją w jego obecności mianem ąikiątaą - zatrzymali się na noc o niecałą milę od miejsca, gdzie niegdyś znajdował się obóz ratunkowy.

Taliriktug poszedł tam sam.

Był tam już wcześniej. Przed dwoma laty, zaledwie kilka tygodni po narodzinach Kruka, przyszedł tu z Silną. Działo się to niecały rok po tym, jak mężczyzna, którym niegdyś był Taliriktug, został zdradzony, pojmany i postrzelony jak pies, lecz już wtedy tylko nieliczne ślady świadczyły o tym, że znajdowało się tu duże obozowisko zamieszkane przez ponad sześćdziesięciu Anglików. W śniegu tkwiły fragmenty płótna z rozerwanych przez wiatr namiotów, a na ziemi widać było niewyraźne kręgi, pozostałości po ogniskach i większych namiotach.

Zostały też kości.

Taliriktug znalazł kilka kości długich, kawałek nadgryzionego kręgosłupa i jedną, pozbawioną zuchwy czaszkę. Trzymając ją w dłoni, mężczyzna zwany niegdyś Crozierem modlił się, by nie była to czaszka doktora Goodsira.

Pozbierał wszystkie te pogryzione przez nanuą resztki i złożył w grobowcu - kopcu ułożonym z kamieni. Na szczycie kopca zatknął widelec, naśladując zwyczaj Prawdziwych Ludzi i Ludzi Chodzących Z Bogiem, którzy wraz ze swymi zmarłymi posyłali do świata duchów ich ulubione przedmioty i narzędzia. Jednocześnie jednak zdawał sobie sprawę, że Eskimosi uznaliby to za nieprzyzwoite marnotrawstwo cennego metalu.

Potem spróbował odmówić jakąś prostą modlitwę.

Modlitwy w języku Inuktitut, które słyszał w ciągu ostatnich kilku miesięcy, nie nadawały się do tego miejsca i tych okoliczności. Próbując jednak nauczyć się tego trudnego języka - choć wiedział, że i tak nigdy nie będzie mógł wymówić głośno ani jednego słowa - przetłumaczył na własny użytek fragment Modlitwy Pańskiej.

Tego wieczora, stojąc przy grobowcu swych towarzyszy, próbował odmówić ją w myślach.

Nalegaumt kailaule. Pijornajatpinatuale nuname sorlo kilangme...

Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje...

Przed dwoma laty doszedł tylko do tego miejsca, teraz uznał jednak, że to w zupełności wystarczy.

Wracając do swej żony z miejsca, które niegdyś zwane było obozem ratunkowym - od czasu jego ostatniej wizyty Prawdziwi Ludzie z południa zabrali widelec i otworzyli grobowiec, rozrzucając kości zmarłych - Taliriktug pomyślał z uśmiechem, że nawet jeśli dożyje biblijnych

siedemdziesięciu lat, nigdy nie opanuje języka Prawdziwych Ludzi.

Każde słowo, nawet proste rzeczowniki, miało wiele wariantów, a subtelności odmiany przerastały wyobraźnię mężczyzny w średnim wieku, który zaciągnął się na statek jako kilkunastoletni chłopiec i nigdy nawet nie uczył się łaciny. Bogu dzięki nigdy nie będzie musiał mówić głośno w tym języku. Próby zrozumienia dłuższych i bardziej skomplikowanych wypowiedzi przyprawiały go o ból głowy podobny do tego, którego doświadczał, gdy Silna zaczęła dzielić z nim sny.

Choćby Wielki Niedźwiedź. Zwyczajny niedźwiedź polarny. Ludzie Chodzący Z Bogiem i Prawdziwi Ludzie, których poznał w ciągu ostatnich dwóch lat, nazywali go *nanuq*, co było stosunkowo proste, słyszał jednak również inne wersje tej nazwy, które można było zapisać za pomocą alfabetu łacińskiego - Prawdziwi Ludzie nie znali pisma - jako *nanuq*, *tiamwak*, *nannuraluk*, *takoaq*, *pisugtoaq* i *ayualunaq*. Ostatnio dowiedział się także od Inupijuka, myśliwego z południa (który w rzeczywistości wcale nie był taki głupi, jak twierdził Asiajuk), że wiele grup Prawdziwych Ludzi z południa określało Wielkiego Niedźwiedzia mianem *Tornarssuk*.

Przez kilka wypełnionych bólem miesięcy - wracał wówczas do zdrowia i uczył się na nowo jeść i przetykać - nie miał żadnego imienia i było mu z tym całkiem dobrze. Kiedy grupa Asiajuka zaczęła nazywać go Taliriktug - „Silne ramię” - po tym, jak podczas polowania sam wyciągnął z wody ciało zabitego niedźwiedzia, choć wcześniej nie poradził sobie z tym zaprzęg psów i trzech myśliwych (nie dokonał tego dzięki jakiejś nadludzkiej sile - po prostu jako jedyny zauważył, że lina harpuna zaplątała się między lodowymi głazami), nie miał nic przeciwko nowemu imieniu, choć równie dobrze mógłby się bez niego obejść. Asiajuk powiedział mu, że teraz nosi pamięć duszy wcześniejszego Silnego Ramienia, który zginął z rąk *kabloona*.

Kilka miesięcy wcześniej, kiedy wraz z Ciszą przybył do wioski, by jego żona mogła skorzystać podczas porodu z pomocy tamtejszych kobiet, dowiedział się, że jej imię w języku Prawdziwych Ludzi, Inuktitut, brzmi Silna. Imię to pasowało do niej jak ulał, gdyż podobnie jak ona sama, zawierało zarówno ducha Silny, bogini powietrza, jak i Sedny, bogini morza. Jej drugie, tajemne imię *sixam ieua* pozostawało mu nieznane, gdyż Silna nie chciała ani nie mogła przekazać mu go w żaden sposób, czy to w snach, czy też za pomocą sznurka.

Znał swoje sekretne imię. Podczas pierwszej, wypełnionej cierpieniem nocy, kiedy *Tuunbaq* zabrał jego język i stare życie, wyśnił swoje sekretne imię. Nie mógł jednak zdradzić go nikomu, nawet Silnie, którą w myślach i snach wciąż nazywał Ciszą.

Wioska nazywała się Taloyoak. Większość jej mieszkańców - łącznie było ich około sześćdziesięciu - żyła w namiotach, choć kilka rodzin zamieszkiwało również lodowe domy, a nawet chaty z darni, przyklejone do stromego urwiska.

Tubylcy nazywali siebie Oleekatalik, co dało się przetłumaczyć jako „Ludzie z Pelerynami”, choć skóry, które nosili na ramionach, przypominały raczej szerokie szale niż peleryny. Wódz wioski był mniej więcej w wieku Taliriktuga i prezentował się całkiem nieźle, choć nie miał już w ogóle zębów, co sprawiało, że wyglądał na znacznie starszego, niż był w rzeczywistości. Nazywał się Ikpakhuak, czyli Brudas, choć zdaniem Taliriktuga nie był wcale brudniejszy ani nie śmierdzał bardziej niż jego pobratymcy.

Żona Ikpakhuaka, znacznie od niego młodsza, nazywała się Higilak, co jak wyjaśnił Asiajuk, z drwiącym uśmiechem na ustach, oznaczało „Dom z Lodu”. Jednak przyjęcie, jakie zgotowała Higilak niespodziewanym gościom, wcale nie było chłodne; wraz ze swym mężem podjęła ich gorącą strawą i obdarowała licznymi prezentami.

Taliriktug uświadomił sobie, że nigdy nie zrozumie tych ludzi.

Ikpakhuak i Higilak podali im *umingmak*, stek z mięsa wołu piźmowego, który Taliriktug zjadł ze smakiem; Silna, Asiajuk, Nauja i pozostali członkowie ich grupy przełknęli wołowinę z najwyższym trudem, wszyscy byli bowiem *Netsilik*, „Ludźmi Foki”. Kiedy ceremonia powitalna i posiłek dobiegły już końca, Taliriktug, wspomagany przez Asiajuka, który tłumaczył jego znaki, zdołał naprowadzić rozmowę na temat darów *kabloona*.

Ikpakhuak przyznał, że Ludzie z Pelerynami mają takie dary, nim jednak pokazał je gościom, poprosił, by Silna i Taliriktug pokazali wszystkim mieszkańcom wioski swe czary. Większość Oleekatalików nigdy nie spotkała *sixam ieua* - choć sam Ikpakhuak miał przed wieloma laty okazję poznać ojca Silny, Aja - ich wódz spytał więc grzecznie Silne i Taliriktuga, czy nie zechcieliby może pofruwać trochę wokół wioski i, być może, zamienić się w foki - byle nie w niedźwiedzie.

Silna wyjaśniła - także za pośrednictwem Asiajuka - że władcy-duchów-z-nieba woleliby tego nie robić, ale że chętnie pokażą gościnnym Oleekatalik, gdzie *Tuunbaq* zabrał ich języki, a jej *kabloona sixam ieua* mąż zaprezentuje im również swoje blizny... ślady po straszliwej walce ze złym duchem, którą stoczył przed wielu laty.

To w zupełności usatysfakcjonowało Ikpakhuaka i jego lud. Kiedy pokaz dobiegł końca, Taliriktug wrócił do tematu darów *kabloona*.

Ikpakhuak skinął głową, klasnął w dłonie i kazał kilku chłopcom przynieść owe dary, które później przekazał swym czcigodnym gościom.

Były wśród nich różne kawałki drewna, odłamane fragment drzewców i łodzi.

Złote guziki ozdobione motywem kotwicy, symbolem Służby Badawczej.

Fragment wyszywanego kolorową nicią podkoszulka. Złoty zegarek, łańcuszek, który niegdyś go podtrzymywał, i garść monet. Na odwrocie zegarka widniały wygrawerowane inicjały CFDV

- Charles Des Voeux.

Srebrne pudełko na ołówki, ozdobione od wewnątrz inicjałami EC. Złoty medal, który sir John Franklin otrzymał niegdyś od Admiralicji.

Srebrne widelce i łyżki z herbami różnych oficerów Franklina. Porcelanowy talerzyk z emaliowanym napisem SIR JOHN FRANKLIN.

Nóż chirurgiczny.

Przenośny mahoniowy pulpit, który człowiek trzymający go w ręce rozpoznał od razu, niegdyś bowiem należał do niego.

Naprawdę ciągnęliśmy łodzi z całym tym gównem przez setki mil?

- pomyślał Crozier. - A wcześniej przywieźliśmy je tutaj aż z Anglii? Co myśmy sobie wyobrażali? - Czuł, że lada moment zwymiotuje. Musiał zamknąć oczy i poczekać, aż atak mdłości minie.

Cisza dotknęła jego dłoni. Wyczuła nagłą zmianę w jego duszy. Spojrzał jej w oczy, by upewnić ją, że nadal tam jest, choć nie był. Niezupełnie. Nie do końca.

Płynęli wzdłuż wybrzeża na zachód, w stronę ujścia Rzeki Backa.

Ludzie Ikpakhuaka nie potrafili - a może nie chcieli - określić dokładnie, gdzie znaleźli skarby *kabloona*; niektórzy mówili, że było to w miejscu zwanym Keenuna, co wskazywałoby na jedną z kilku wysepek położonych w cieśninie przy południowym wybrzeżu Wyspy Króla Williama, lecz większość myśliwych twierdziła, że natrafili na bogactwa białych ludzi na zachód od Taloyoak, w Kugluktuk, co Asiajuk przetłumaczył jako „Miejsce Spadającej Wody”.

Crozier podejrzewał, że chodzi o mały wodospad, o którym czytał niegdyś w relacji z podróży Backa. Wodospad ów znajdował się już na kontynencie, w pobliżu ujścia Rzeki Backa.

Spędzili tydzień na poszukiwaniach. Asiajuk, jego żona i trzech myśliwych zostało w utniak przy ujściu rzeki, podczas gdy Crozier i Cisza ze swoimi dziećmi, ciekawski Inupijuk oraz pozostali myśliwi popłynęli trzy mile w górę rzeki, do pierwszych wodospadów.

Crozier znalazł tam kilka klepek z beczek. Skórzaną podeszwę. W piasku i mule na brzegu rzeki leżał długi na osiem stóp kawałek dębiny, który niegdyś stanowił zapewne część nadburcia jednej z szalup (dla ludu Ikpakhuaka byłby to prawdziwy skarb). Nic więcej.

Wracali w poczuciu klęski, wiosłując w dół rzeki, do morza, kiedy spotkali starszego mężczyznę, jego trzy żony i czwórkę zakatarzonych dzieci. Jak mówił mężczyzna, przyszli nad rzekę, by łowić ryby. Nigdy wcześniej nie widział *kabloona*, nie mówiąc już o dwojgu *sixam ieua* władców-duchów bez języków, był więc bardzo wystraszony, lecz jeden z myśliwych towarzyszących Crozierowi rozproszył jego obawy. Mężczyzna nazywał się Puhtoorak i należał do grupy Prawdziwych Ludzi zwanej Qikiqtarqjuaq.

Po wymianie jedzenia i uprzejmości starzec zapytał, co robią tak daleko od północnej krainy Ludzi Chodzących Z Bogiem, a kiedy jeden z myśliwych wyjaśnił, że szukają żywych lub martwych *kabloona*, którzy mogli pojawić się w tej okolicy - lub ich skarbów - Puhtoorak odrzekł, że nie słyszał o *kabloona* na tej rzece, po chwili jednak, między kolejnymi kęsami foczego mięsa, które otrzymał od *sixam ieua*, oświadczył:

- Zeszłej zimy widziałem łódź *kabloona*, wielką jak góra lodowa, z trzema wysokimi patykami. Stała w lodzie, tuż przy Utjulik. Wydaje mi się, że w jej brzuchu byli martwi *kabloona*. Kilku naszych młodszych mężczyzn weszło do środka - musieli użyć swoich siekier z ostrzami z gwiazdnego gówna, żeby wyrąbać dziurę w jej boku - ale zostawili wszystkie skarby z drewna i metalu, które tam znaleźli. Mówili, że w domu z trzema kijami mieszkają duchy.

Crozier spojrzał na Ciszę. *Czy ja dobrze go zrozumiałem?*

Tak. Skinęła głową. Kanneyuk zaczęła płakać, a Silna rozchyliła poły letniej kurtki i zaczęła karmić ją piersią.

Crozier stał na szczycie urwiska i patrzył na okręt uwięziony w lodzie. Był to HMS *Terror*.

Podróż od ujścia Rzeki Backa do tej części wybrzeża Utjulik zajęła im osiem dni. Za pośrednictwem myśliwych Ludzi Chodzących Z Bogiem Crozier próbował namowić Puhtooraka - a właściwie przekupić go - by wraz ze swą rodziną zaprowadził ich do łodzi *kabloona* z trzema wielkimi kijami, lecz stary Qikiqtarqjuaq nie chciał mieć już nic do czynienia z tym nawiedzonym miejscem. Choć zeszłej zimy nie wszedł z młodymi myśliwymi do wnętrza domu-z-trzema-kijami, widział, że jest on skażony obecnością piijixaaq - niezdrowych duchów-upiorów zamieszkujących złe miejsce.

Utjulik było eskimoską nazwą zachodniego wybrzeża Półwyspu Adelajdy. Pasma otwartej wody kończyły się w zachodniej części zatoki prowadzącej do ujścia Rzeki Backa - dalej ciągnął się twardy, zbity pak - musieli więc zejść na ląd, schować kajaki i umiak Asiajuka i przepakować bagaże na solidne, długie na trzynaście stóp sanie ciągnięte przez sześć psów. Cisza, która najlepiej orientowała się w tym terenie, poprowadziła ich na zachodni fragment wybrzeża, gdzie Puhtoorak widział podobno okręt... a nawet, do czego przyznał się później, stał na jego pokładzie.

Asiajuk wcale nie miał ochoty opuszczać swej wygodnej łodzi, kiedy okazało się, że będą musieli wędrować przez ląd. Gdyby Silna, jedna z najbardziej poważanych władców-duchów, nie poprosiła go wprost, by poszedł z nimi - nawet największy szaman nie mógł odmówić prośbie *sixam ieua* - Asiajuk kazałby swoim myśliwym zawieźć się do domu. Teraz jechał na saniach okryty ciepłymi futrami i od czasu do czasu starał się nawet brać czynny udział w podróży, rzucając

kamieniami w psi zaprzęg i krzycząc „Hou! Hou! Hou!”, gdy chciał, by psy skręciły w lewo, lub: „Dzi! Dzi! Dzi!”, kiedy chciał skierować je na prawo. Crozier zastanawiał się, czy stary szaman odkrywa na nowo przyjemność podróżowania z psim zaprzęgiem.

Teraz, późnym popołudniem ósmego dnia ich podróży, patrzyli na HMS *Terror*. Nawet Asiajuk wydawał się onieśmielony i niespokojny.

Opisując położenie statku Puhtoorak twierdził, że dom-z-trzema-kijami „stoi zamarznięty w lodzie obok wyspy około pięciu mil na zachód” od pewnego cypla i że Crozier oraz jego ludzie „muszą potem przejść jakieś trzy mile na północ, po gładkim lodzie, minawszy przedtem kilka wysp dzielących ich od statku. Zobaczą go z urwiska położonego na północnym krańcu dużej wyspy”.

Oczywiście Puhtoorak nie używał określeń takich jak „mile”, „statek” czy nawet „cypel”. Starzec mówił, że drewniany dom *kabloona* z kadłubem umiak znajduje się w odległości kilku godzin marszu na zachód od *tikerqat*, co oznacza „Dwa Palce” - Prawdziwi Ludzie określali tą nazwą dwa wąskie cyple położone w tej części wybrzeża Utjulik - niedaleko północnego krańca dużej wyspy.

Crozier i jego dziesięcioosobowa grupa - myśliwy z południa, Inupijuk, towarzyszył im do samego końca - przeszli po lodzie w pobliżu Dwóch Palców, minęli dwie mniejsze wysepki i dotarli do dużej wyspy. Na jej północnym krańcu znaleźli wysokie na sto stóp urwisko, opadające pionowo ku zamarzniętemu morzu.

Dwie lub trzy mile dalej widać było maszty HMS *Terror* mierzące prosto w zachmurzone niebo.

Crozier żałował, że nie ma swojej starej lunety, choć z drugiej strony wcale jej nie potrzebował, by rozpoznać maszty okrętu, którym dowodził przez długie lata.

Puhtoorak miał rację - lód między brzegiem dużej wyspy i statkiem był znacznie gładszy niż pak między kontynentem i wyspami. Komandorskie oko Croziera szybko dostrzegło przyczynę takiego stanu rzeczy: na północy i wschodzie ciągnęło się pasmo małych wysp, które tworzyły naturalny wał chroniący ten obszar morza przed nieustającym wiatrem z północnego zachodu.

Jednak nawet Crozier nie potrafił sobie wyobrazić, jak jego okręt trafił w te okolice, niemal dwieście mil od miejsca, gdzie przez trzy lata tkwił uwięziony w lodzie obok siostrzanej jednostki, *Erebusa*.

Wkrótce miał znaleźć odpowiedź na to pytanie.

Prawdziwi Ludzie, nawet Ludzie Chodzący z Bogiem, którzy nieustannie żyli w cieniu potwora, zbliżali się do statku z zabobonnym lękiem. Opowieści Puhtooraka o duchach i upiorach zamieszkujących dom-z-trzema-kijami najwyraźniej zrobiły na nich wrażenie - nawet na Asiajuku, Nauii i myśliwych, którzy nie rozmawiali z nim osobiście. Kiedy szli przez lód, Asiajuk bez ustanku mamrotał pod nosem jakieś zaklęcia i modlitwy, które miały chronić ich przed złymi duchami, co wcale nie dodawało odwagi pozostałym uczestnikom wyprawy. Crozier wiedział, że kiedy szaman robi się nerwowo, denerwują się wszyscy.

Jedyną osobą, która szła na czele pochodu obok Croziera, była Cisza, niosąca na rękach oboje ich dzieci.

Terror stał przechylony o jakieś dwadzieścia stopni na lewą burtę, z dziobem skierowanym na północny wschód. Prawa część kadłuba była wysunięta o kilka stóp za wysoko nad powierzchnię lodu. Crozier stwierdził ze zdumieniem, że jedna z kotwic - po lewej burcie - została spuszczonej do wody. Było to o tyle zaskakujące, że zdaniem Croziera morze miało tu co najmniej dwadzieścia sążni głębokości, a wzdłuż północnych wybrzeży wysp za jego plecami znajdowało się mnóstwo małych zatoczek. Roztropny komandor, szukający bezpiecznej przystani, zawinąłby do którejś z nich albo przynajmniej wpłynął w cieśninę po wschodniej stronie dużej wyspy, z której właśnie zeszli, i

zakotwiczył między tą wyspą - jej urwiska osłaniałyby statek przed wiatrem - i trzema mniejszymi wysepkami, odległymi nie więcej niż dwie mile od tego miejsca.

Terror stał jednak tutaj, około dwóch i pół mili od północnego wybrzeża dużej wyspy, wystawiony na wściekle ataki sztormów i burz nadciągających z południowego wschodu.

Krótki spacer wokół statku i oględziny przechylonego pokładu od północno-zachodniej strony wyjaśniły, dlaczego ludzie z grupy Puhtooraka musieli wyrąbać dziurę w kadłubie statku, by dostać się do jego wnętrza; wszystkie włazy na górnym pokładzie były zamknięte i obite listwami.

Crozier wrócił do otworu, który Eskimosi wybili w poszyciu *Terroru*. Przypomniawszy sobie, jak Puhtoorak mówił, że jego młodzi pobratymcy musieli użyć do tego swych siekier z gwiezdnych gówna, i mimo bolesnych uczuć, które przenikały teraz jego duszę, uśmiechnął się do siebie.

Prawdziwi Ludzie nazywali „gwiezdny gówno” spadające gwiazdy i metal z tych gwiazd, które znajdowali na lodzie. Crozier słyszał kiedyś opowieść Asiajuka o *uluriak anoktok* - „gównie gwiazd spadającym z nieba”.

Crozier żałował, że nie ma teraz przy sobie siekiery albo innego narzędzia z ostrzem z gwiezdnych gówna, uzbrojony był bowiem jedynie w zwykły nóż z ostrzem z kła morsa. Na saniach leżały harpuny, nie należały jednak one do niego - jego narzędzia i broń zostały w kajaku - a nie chciał pożyczać cudzej broni tylko po to, by wejść z nią do statku.

Czterdzieści stóp za nim, przy saniach, *qimmiq* - duże psy o niezwykłych, żółto-niebieskich oczach i duszach, które dzieliły ze swymi panami - czekały, warczały, wyły i rzucały się na siebie nawzajem oraz na każdego, kto się do nich zbliżył. Nie podobało im się to miejsce.

Crozier zwrócił się do Cisy. *Spytaj Asiajuka, czy ktoś chce wejść ze mną do środka.*

Cisza błyskawicznie wykonała jego polecenie, używając do tego wyłącznie palców, bez sznurka. Stary szaman zawsze rozumiał jej gesty o wiele szybciej niż niezdarne znaki Croziera.

Żaden z Prawdziwych Ludzi nie chciał wejść do wnętrza statku.

Zobaczymy się za kilka minut, przekazał Crozier Cisie.

Cisza uśmiechnęła się w odpowiedzi.

Nie bądź głupi, przekazała. Idziemy z tobą, ja i twoje dzieci.

Crozier precyzyjnie przeszedł przez wąski otwór w poszyciu. Cisza szła tuż za nim, niosąc Kruka na rękach, a Kanneyuk w nosidełku z miękkiej skóry, zawieszonym na jej ramionach. Dzieci spały.

W środku było bardzo ciemno.

Crozier uświadomił sobie, że młodzi myśliwi Puhtooraka wyrąbali dziurę na wysokości najniższego pokładu. Mieli szczęście, gdyby bowiem próbowali zrobić to samo nieco niżej, trafiliby na żelazne pojemniki na wodę i nigdy nie zdołaliby przebić się do środka, nawet siekierami o ostrzach z gwiezdnych gówna.

Zaledwie kilka kroków od wejścia było już całkiem ciemno, Crozier szedł więc na pamięć, trzymając Ciszę za rękę i zmierzając w dół przekrzywionego pokładu.

Po jakimś czasie jego oczy przywykły do ciemności na tyle, że dostrzegał ściany i zarysy przedmiotów. Dzięki temu zauważył, że zamknięte na ciężkie kłódki drzwi do magazynu rumu i do magazynu amunicji zostały wyważone. Nie sądził, by dokonali tego ludzie Puhtooraka. Drzwi te nie bez powodu zostały starannie zamknięte, nim cała załoga opuściła statek, blokowały bowiem wejście do pomieszczeń, do których każdy biały człowiek wracający na *Terror* chciałby dostać się w pierwszej kolejności.

Beczki na rum - kiedy wyruszali na lód, mieli jeszcze tyle rumu, że część musieli zostawić na statku - były puste. Beczki z prochem stały jednak na swoim miejscu, nienaruszone, podobnie jak

skrzynki i beczki z nabojami, torby ze śrutem, prawie dwa rzędy muszkietów - nie mogli zabrać wszystkich ze sobą - i dwie setki bagnetów zawieszonych pod belkami.

Metal zamknięty w tym jednym pomieszczeniu uczyniłby z grupy Asiajuka najbogatszych ludzi w ich świecie.

Zapasy prochu i naboarów wystarczyłyby tuzinowi grup Prawdziwych Ludzi na dwadzieścia lat i dałyby im pełną władzę nad całą Arktyką.

Cisza dotknęła jego dłoni. Było zbyt ciemno, by mogli porozumiewać się językiem migowym, przesłała doń więc myśl. *Czujesz to?*

Crozier stwierdził ze zdumieniem, że myśl, którą mu przesłała - po raz pierwszy - wyrażona była w języku angielskim. Wynikało z tego, że śniła jego sny intensywniej, niż przypuszczał, albo była bardzo uważna podczas swego kilkumiesięcznego pobytu na statku. Do tej pory przesyłali sobie myśli tylko w snach.

Ii, odpowiedział jej bezgłośnie. Tak.

To miejsce było złe. Wspomnienia przenikały je niczym odrażający zapach.

By nieco rozładować napięcie, poprowadził ją z powrotem do przedniej części statku, wskazał na dziób i przesłał obraz schowka na linę kotwiczną.

Zawsze czekałam na ciebie, odpowiedziała mu myślą. Jej słowa rozbrzmiały tak wyraźnie i z taką siłą, że równie dobrze mogłyby zostać wypowiedziane na głos.

Ciało Croziera zaczęło drżeć z emocji na myśl o tym, co właśnie usłyszał.

Wyszli po schodach na dolny pokład.

Tutaj było już znacznie jaśniej. Crozier zdał sobie sprawę, że - wreszcie - światło wpada do statku przez iluminatory Prestona umieszczone w pokładzie nad ich głowami. Wypukłe szkło pokryte było cienką warstwą lodu, ale choć raz nie przysłonięte śniegiem ani płótnem.

Pokład wydawał się całkiem pusty. Wszystkie hamaki zostały starannie zwinięte i schowane, stoły podciągnięte pod sufit, skrzynie ustawione wzdłuż ścian. Olbrzymi piec Frazera był ciemny i zimny.

Crozier próbował sobie przypomnieć, czy pan Diggle jeszcze żył, kiedy on, komandor, został wywabiony na lód i postrzelony. Pomyślał o tym nazwisku - Diggle - po raz pierwszy od bardzo długiego czasu.

Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu w ogóle myślę we własnym języku.

Crozier uśmiechnął się pod nosem. „We własnym języku”. Jeśli światem rzeczywiście rządziła bogini taka jak Sedna, to jej prawdziwe imię brzmiało Cholerna Ironia.

Cisza pociągnęła go w stronę rufy.

Mesa i kajuty oficerów, do których zajrzeli, były puste.

Crozier zastanawiał się, którzy z jego podwładnych mogli dotrzeć do *Terroru* i pożeglować na południe.

Des Voeux i jego ludzie z obozu ratunkowego?

Był niemal całkowicie pewien, że pan Des Voeux i pozostali kontynuowali podróż na południe, w stronę ujścia Rzeki Backa. Hickey i jego ludzie?

Ze względu na doktora Goodsira cieszyłby się, gdyby tak było w istocie, ale nie wydawało mu się to prawdopodobne. Prócz porucznika Hodgsona - a Crozier podejrzewał, że porucznik nie pożył długo w towarzystwie tych łajdaków - w grupie Hickeya nie było nikogo, kto umiałby żeglować *Terrorem*, nie wspominając już o nawigacji. Prawdę mówiąc, wątpił, czy umieliby żeglować i nawigować jedną małą szalupą, którą im oddał.

Zostawało więc tylko trzech ludzi, którzy opuścili obóz ratunkowy, by dotrzeć do Obozu

Terror drogą lądową - Reuben Małe, Robert Sinclair i Samuel Honey. Czy dowódca dziobówki, dowódca przedniego masztu i kowal mogli przeprowadzić *Terror* prawie dwieście mil na południe, przez labirynt szczelin i pasów otwartej wody?

Rozmyślenia o wszystkich tych ludziach, ich twarzach i nazwiskach, przyprawiały Croziera o zawroty głowy i lekkie mdłości. Niemal słyszał ich głosy. Słyszał ich głosy.

Puhtoorak miał rację: to miejsce zamieszkane było przez *piifixaaq* - pełne urazy duchy, które zostawały na tym świecie, by prześladować żywych.

Na koi Francisa Rawdona Moiry Croziera leżały ludzkie zwłoki.

Nie mieli czasu ani możliwości przeszukać wszystkich pomieszczeń i pokładów, wydawało się jednak, że jest to jedyny trup na statku.

Dlaczego postanowił umrzeć na mojej koi? - zastanawiał się Crozier.

Zmarły był mężczyzną wzrostu Croziera. Jego ubrania - umarł pod kocami, ubrany w marynarską kurtkę, czapkę i wełniane spodnie, co było dość dziwne, bo stało się to zapewne w środku lata - nie pozwalały określić jego tożsamości. Crozier nie miał najmniejszej ochoty przeszukiwać jego kieszeni.

Dłonie mężczyzny, jego odsłonięte nadgarstki i szyja były brązowe, zmumifikowane i pomarszczone, jednak dopiero gdy Crozier spojrzał na jego twarz, pożałował, że umieszczone w pokładzie iluminatory przepuszczają aż tyle światła.

Oczy zmarłego wyglądały jak dwie brązowe kulki. Jego włosy i broda były zadziwiająco długie i zmierzwione, jakby rosły jeszcze kilka miesięcy po jego śmierci. Wyschnięte i skurczone wargi, ściągnięte przez wysuszone ścięgna, odsłaniały dziąsła i zęby.

To właśnie zęby trupa były najbardziej przerażające. Wszystkie siekacze - które większość chorych na skorbut marynarzy straciła, nim jeszcze Crozier został postrzelony przez Hickeya - nie tylko tkwiły na swoim miejscu, ale były zadziwiająco szerokie, żółte i niemożliwie wręcz długie - miały co najmniej trzy cale długości - zupełnie jak zęby królika lub szczura, które jeśli nie są regularnie ścierane, rosną dopóty, dopóki nie przebiją gardła zwierzęcia.

Te niesamowite królicze zęby nie należały do porządku świata znanego Crozierowi, ale patrzył na nie, widział je wyraźnie w blasku wieczornego słońca wpadającym do jego starej kajuty. Pomyślał, że nie jest to pierwsza nieprawdopodobna lub wręcz niemożliwa rzecz, jaką widział w ciągu ostatnich lat. Przypuszczał też, że nie jest ostatnia.

Chodźmy, pokazał Ciszy. Nie chciał przesłać myśli w tym miejscu, gdzie mogły je usłyszeć inne byty.

Musiał użyć siekiery, by wydostać się przez zamknięty i zabity gwoździami główny właz. Nie zastanawiając się nad tym, kto go zamknął i dlaczego - ani czy trup pod pokładem był wtedy jeszcze żywym człowiekiem - odrzucił siekiere na bok, wyszedł na pokład i pomógł Ciszy wspiąć się po schodach.

Kruk zaczynał się budzić, ale Cisza pokołysała go trochę i malec znów zapadł w sen.

Poczekaj tutaj, pokazał jej Crozier i ponownie zszedł pod pokład.

Najpierw wyniósł na górę ciężki teodolit i kilka starych podręczników, sprawdził szybko pozycję słońca i zapisał wyniki pomiarów na marginesie poplamionej solą książki. Potem wrzucił teodolit i książki z powrotem pod pokład, świadom, że określenie pozycji statku było prawdopodobnie najbardziej bezużyteczną rzeczą, jaką zrobił w całym swym długim życiu wypełnionym robieniem bezużytecznych rzeczy. Wiedział jednak również, że musiał to zrobić.

Podobnie jak to, co zrobił później.

Przeszedł do magazynu amunicji na najniższym pokładzie i otworzył trzy beczki z prochem. Następnie wysypał zawartość pierwszej z nich na pokład i schody prowadzące na pokład ładowni (nie chciał tam schodzić), drugą opróżnił na dolnym pokładzie (szczególnie obficie posypując wnętrze własnej kajuty), trzecią zaś na najwyższym pokładzie, gdzie czekała na niego Cisza z dziećmi. Asiajuk i pozostali przeszli w tym czasie na lewą stronę statku i przyglądali się jego poczynaniom z odległości trzydziestu jardów. Psy nadal wyły i szarpały się w uprzęży, lecz Asiajuk lub któryś z myśliwych uwiązał je do palików wbitych w lód.

Crozier wolałby zostać na zewnątrz, na świeżym powietrzu, przemógł się jednak i ponownie zszedł na dół, na najniższy pokład.

Otworzywszy ostatnią beczkę z olejem do lamp, jaka została na statku, wylał jej zawartość na wszystkie trzy pokłady, ponownie ze szczególną starannością polewając drzwi i grodzie własnej kajuty. Zawahał się tylko raz, przy wejściu do Wielkiej Kajuty, gdzie z półek spoglądały na niego grzbiety setek książek.

Dobry Boże, co by się stało, gdybym zabrał tylko kilka z nich?

Wiedział jednak, że teraz książki kryją ciemne inua statku śmierci. Niemal płacząc, oblał je olejem.

Wylawszy ostatnią kroplę paliwa na górny pokład, odrzucił pustą już beczkę na lód.

Muszę tam zejść jeszcze raz, ostatni, pokazał Ciszy. Ty idź już z dziećmi na lód, ukochana.

Zapałki były tam, gdzie je zostawił trzy lata wcześniej, w szufladzie biurka.

Przez sekundę był pewien, że słyszy skrzypienie koi i szelest zamrożonych koców, kiedy mumia za jego plecami sięgnęła do niego. Słyszał, jak wysuszone ścięgna w martwej ręce napinają się i trzeszczą, gdy brązowa dłoń o za długich, żółtych paznokciach podniosła się powoli nad koję.

Crozier nie odwrócił głowy. Nie rzucił się do ucieczki. Nie obejrzał się za siebie. Trzymając w dłoni pudełko zapalek, powoli wyszedł ze swej kajuty, przestępując pasma czarnego prochu i plamy oleju.

Musiał zejść po głównych schodach, by rzucić pierwszą zapałkę. Powietrze było tutaj tak zatęchłe, że zapałka ledwie się zapaliła. Później jednak proch buchnął płomieniem, który ogarnął nasączoną olejem grodzie, a potem popędził jednocześnie w stronę rufy i dziobu.

Choć wiedział, że wystarczyłoby w zupełności wzniecić pożar na najniższym pokładzie - po sześciu latach pobytu w arktycznej pustyni drewno wysuszone było na wiór - podpalił także proch rozsypany na dolnym i górnym pokładzie.

Potem zeskoczył z wysokości dziesięciu stóp na lodowe zbocze po zachodniej stronie statku i zaklął paskudnie, gdy jego postrzeloną nogę przeszył bolesny skurcz. Powinien był zejść po drabinie sznurowej zawieszanej na burcie statku, co z pewnością zrobiła Cisza.

Kuśtykając jak starzec, którym wkrótce spodziewał się zostać, Crozier wyszedł na lód i dołączył do pozostałych.

Statek płonął niemal przez półtorej godziny, nim wreszcie zatonął. To był niesamowity widok. Pokaz fajerwerków na kole podbiegunowym.

Przyglądając się pożarowi, zrozumiał, że wcale nie musiał rozsypywać prochu ani rozlewać oleju. Drewno i płótno były tak wysuszone, że statek palił się niczym olbrzymia pochodnia lub jeden z pocisków zapalających, którymi przed laty miotał ze swego pokładu.

Terror zatonałby tak czy inaczej za kilka tygodni lub miesięcy, wraz z nadejściem letnich roztopów. Otwór wyrąbany w poszyciu był jego śmiertelną raną.

Jednak nie to było powodem, dla którego Crozier postanowił go podpalić. Gdyby ktoś kiedykolwiek zapytał go o ten powód - choć był pewien, że nigdy do tego nie dojdzie - nie potrafiłby odpowiedzieć. Wiedział, że nie chce, by „ratownicy” z brytyjskich okrętów weszli na jego pokład, by zawieźli do domu makabryczne opowieści, którymi straszyliby obywatele Anglii i które dostarczyłyby panu Dickensowi lub Tennysonowi materiału do nowych dzieł. Wiedział też, że marynarze zawieźliby do Anglii nie tylko opowieści. To, co zawładnęło statkiem, było równie zabójcze i niebezpieczne jak zaraza. Widział to oczami swej duszy, wyczuwał wszystkimi ludzkimi zmysłami i zmysłami *sixam ieua*.

Prawdziwi Ludzie wzniesli radosny okrzyk, kiedy maszty statku runęły.

Wszyscy musieli cofnąć się o sto jardów. *Terror* wytopił w lodzie szeroki otwór - własny grób - i wkrótce po tym, jak zawaliły się płonące maszty i olinowanie, statek zaczął zanurzać się z sykiem i bulgotem w ciemnej wodzie, rozpoczynając swą ostatnią wędrówkę na dno morza.

Odgłosy pożaru obudziły dzieci, a płomienie tak rozgrzały powietrze na lodzie, że wszyscy - jego żona, naburmuszony Asiajuk, cycata Nauja, myśliwi, uśmiechnięty od ucha do ucha Inupijuk, nawet Taliriktug - zdjęli kurtki i ułożyli je na saniach *kamatik*.

Kiedy pokaz dobiegł końca, statek zatonął, a słońce zaczęło zniżać się nad południowym horyzontem, nadal pozostali na miejscu, pokazując sobie ze śmiechem kłęby pary i płonące deski rozrzucone po lodzie.

W końcu cała grupa ruszyła w stronę dużej wyspy, a potem mniejszych wysp, planując rozbić obóz dopiero na kontynencie. Słońce, które świeciło co najmniej do północy, wspomagało ich w marszu. Wszyscy chcieli już zejść z lodu i oddalić się od tego miejsca przed zapadnięciem nocy. Nawet psy przestały czekać i warczeć, wydawało się, że ciągną sanie nieco mocniej, kiedy mijali małe wyspy. Asiajuk spał i chrapał na saniach, okryty futrami, dzieci były jednak wyspane i gotowe do zabawy.

Taliriktug wziął na lewą rękę rozbrykaną Kanneyuk, prawą zaś objął ramiona Silny-Ciszy. Kruk, wciąż niesiony na rękach przez swą matkę, próbował wyrwać się z jej uścisku i zmusić ją, by postawiła go na lodzie, gdzie mógłby próbować chodzić o własnych siłach.

Taliriktug zastanawiał się przez moment - nie po raz pierwszy - jak ojciec i matka bez języków nauczą upartego chłopca dyscypliny. Potem przypomniał sobie - nie po raz pierwszy - że należy teraz do jednej z tych nielicznych kultur na świecie, w której nikt nie próbuje karać upartych chłopców i dziewcząt. Kruk miał już w sobie inua jakiegoś przyzwoitego człowieka. Jego ojciec mógł więc tylko poczekać i przekonać się, jak przyzwoity jest ów człowiek.

Inua Francisa Croziera wciąż żywe i całe w Taliriktugu dobrze wiedziało, że jego życie będzie wypełnione biedą, cierpieniem i przemijaniem.

Ale nie musiało być samotne.

Obejmując Silne, starając się ignorować donośne chrapanie szamana, szamotaninę i gniewne posapywania rozdrażnionego syna oraz fakt, że mała Kanneyuk zsikała się właśnie na najlepszą letnią kurtkę swego ojca, Taliriktug i Crozier maszerował wytrwale przez lód w stronę stałego lądu na wschodzie.

Spis treści

[1](#)
[2](#)
[3](#)
[4](#)
[5](#)
[6](#)
[7](#)
[8](#)
[9](#)
[10](#)
[11](#)
[12](#)
[13](#)
[14](#)
[15](#)
[16](#)
[17](#)
[18](#)
[19](#)
[20](#)
[21](#)
[22](#)
[23](#)
[24](#)
[25](#)
[26](#)
[27](#)
[28](#)
[29](#)
[30](#)
[31](#)
[32](#)
[33](#)
[34](#)
[35](#)
[36](#)
[37](#)
[38](#)
[39](#)
[40](#)
[41](#)

[42](#)
[43](#)
[44](#)
[45](#)
[46](#)
[47](#)
[48](#)
[49](#)
[50](#)
[51](#)
[52](#)
[53](#)
[54](#)
[55](#)
[56](#)
[57](#)
[58](#)
[59](#)
[60](#)
[61](#)
[62](#)
[63](#)
[64](#)
[65](#)
[66](#)
[67](#)

Spis treści

[Wydaje](#)

1. 3
2. 13
3. 26
4. 40
5. 47
6. 53
7. 60
8. 74
9. 83
10. 93
11. 100
12. 110
13. 120
14. 130
15. 141
16. 157
17. 181
18. 194
19. 201
20. 211
21. 216
22. 235
23. 247
24. 254
25. 268
26. 280
27. 288
28. 303
29. 317
30. 327
31. 342
32. 356
33. 367
34. 379
35. 389
36. 393
37. 400
38. 412
39. 420
40. 424
41. 430

[42. 437](#)

[43. 442](#)

[44. 449](#)

[45. 456](#)

[46. 467](#)

[47. 474](#)

[48. 484](#)

[49. 498](#)